

**Biblioteka
Warszawska**

Mf 12437

Warszawa
1849 r.

t. 1-2

poz. Mf 12437

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1849 t.1-2, og. zb. 33-34 (m-c I-VI),
sp. rzeczy

Oryg.: ZNiO sygn. 117.152

neg. Mf 12437



BIBLIOTEKA ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH PAŁAC
W R O C Ł A W



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIÉRWSZYM

z r. 1849.

Materyaly historyczne.

| | Stron. |
|---|-------------|
| Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporozża, przez <i>Michala Głisczyńskiego</i> . Z mapą..... | 1, 374, 484 |
| Wydatki magistratu Staréj Warszawy w roku 1579. Podał <i>T. Lipiński</i> | 165 |
| Wyciągi z rękopisu 1749 r., przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i> . | 396 |
| Dawne pismo wójta warszawskiego z roku 1459; podane przez <i>Bolesława Podczaszyńskiego</i> | 623 |

Biografia.

| | |
|---|-----|
| Wiadomość bibliograficzna o życiu i pracach naukowych <i>Ludwika Bojanusa</i> . Przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> .. | 169 |
| Wspomnienie o <i>Łukaszu Gołębiowskim</i> , przez <i>X. J.</i> | 406 |

Filozofia.

| | Stron. |
|--|--------|
| O powołaniu lekarza. Wyjątek z listu pierwszego Dra <i>Ferdynanda Dworzaczka</i> | 477 |

Nauki społeczne.

| | |
|--|-----|
| Wiadomość o pomiarach geodezyjnych, wykonywanych w królestwie Polskiem, przez <i>S. P.</i> | 404 |
|--|-----|

Opisy i podróże.

| | |
|---|---------|
| Podhale i północna pochyłość Tatrów, czyli Tatry polskie, przez <i>Ludwika Zejsznera</i> | 57, 535 |
| Wspomnienia z podróży po kraju, odbytej przez 8 uczniów Instytutu Agronomicznego w Marymoncie, pod przewodnictwem <i>Wojciecha Jastrzębowski</i> , w czasie wakacyj, t. j. w miesiącach lipcu i sierpniu 1848 r. 221, 441 | |
| Szklery i ich kraina. (Z angielskiego)..... | 258 |

Literatura.

| | |
|--|-----|
| Pieśni ludu weselne, przez <i>Oskara Kolberga</i> (ciąg dalszy). | 605 |
| Wiadomość bibliograficzna. Przez <i>A. W.</i> | 176 |

Powieści.

| | |
|--|----------|
| Emeryt. Powieść przez <i>Józefa Korzeniowski</i> | 330, 569 |
|--|----------|

Rozbiory.

| | |
|---|-----|
| Historja narodu i państwa rzymskiego, przez <i>Jana Szwanica</i> . Przegląd przez <i>A. Tyszyńskiego</i> | 92 |
| Dwanaście śpiewów polskich z towarzyszeniem fortepianu, przez <i>Józefa Nowakowski</i> . Warszawa. Przez <i>J. S.</i> | 155 |
| Berghaus: <i>Physikalisches Atlas</i> . Gotta. 2 Bände. Przez <i>S. P.</i> | 161 |
| Wędrowki Oryginała, przez <i>Józefa Korzeniowski</i> . Wilno. 1848. 1 tom. Przez <i>E. L.</i> | 597 |

Nauki przyrodzone.

| | |
|--|-----|
| O złocie, przez <i>Jana Mitkiewicza</i> (dokończenie)..... | 284 |
|--|-----|

| | Stron. |
|---|---------------|
| Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: | |
| Do czytających te Wiadomości. O korzyściach nauk przyrodzonych. — O stanie ich u nas. Przez A. W... | 179 |
| Astronomia, przez J. B..... | 190, 408 |
| Fizyka, przez S. P..... | 195, 411, 632 |
| Chemia, przez J. B...ę..... | 204, 413, 634 |
| Historya naturalna. Zoologia, przez A. W... | 206, 416, 643 |
| <i>Kronika bibliograficzna</i> | 215, 434, 662 |
| Doniesienia literackie..... | 216, 435, 663 |
| Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém: | |
| za miesiąc listopad r. z..... | 217 |
| — — grudzień r. z..... | 437 |
| — — styczeń r. b..... | 665 |
| Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryum warszawskiém w roku 1848 robionych. | |



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1849.

Materyały historyczne.

| | Stron. |
|---|--------------|
| Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporóża, przez <i>Michała Głiszczyńskiego</i> (dokończenie)..... | 26, 319, 515 |
| Mniemany grobowiec Bolesława Wstydliwego w Krakowie, przez <i>Kazimierza Stronczyńskiego</i> (z drzeworytem)..... | 503 |

Filozofia.

| | |
|---|-----|
| Platon; jego stosunek do Sokratesa i jego pojęcie piękności. Przez <i>Juliana K.</i> | 281 |
|---|-----|

Nauki społeczne.

| | |
|--|----------|
| Droga żelazna z Libawy do Jurburga, przez <i>W. Kolberga</i> .. | 616 |
| Rys hydrografii Królestwa Polskiego, z wiadomością o spławach, skreślił <i>Ludwik Wolski</i> | 221, 441 |

Opisy i podróże.

| | |
|---|----|
| Kilka słów o Kalifornii i Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, przez <i>J. M.</i> | 1 |
| O złocie w Kalifornii, przez <i>J. R. Szymańskiego</i> | 16 |

Literatura.

| | Stron. |
|---|--------|
| Starożytne rękopisma i książki w Samarkandzie, przez <i>J. M.</i> | 368 |

Powieści.

| | |
|--|-----|
| Emeryt. Powieść przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> (ciąg dalszy)..... | 132 |
| Tamko, powieść z XVIII wieku, przez <i>Antoniego Wieniar- skiego</i> | 559 |

Sztuki piękne.

| | |
|--|-----|
| Wspomnienia koncertowe, przez <i>J. Sikorskiego</i> | 383 |
| Wzmianka o niektórych obrazach Fr. Smuglewicza; w od- powiedzi na zapytanie w Kuryerze Warszawskim z r. b. n. 105 zamieszczone, przez <i>E. Rastawieckiego</i> . | 636 |

Rozbiory.

| | |
|---|-----|
| Nauka czytania i pisowni, wedle najgruntowniejszych zasad ulożona, podająca sposobność do poznania mecha- nizmu mowy polskiej i do uczynienia śpiesznego w niej postępu; z dołączeniem sposobu liczb pisania, krót- kiej geografii, tudzież stosownych uwag nad języ- kiem, dla poczynających uczyć się czytać, pisać po polsku i rachować, przez Stanisława Ko. Wasniew- skiego, nauczyciela języka polskiego w gimnazjum drugim warszawskim. Warszawa. 1848. Przez <i>A. W.</i> | 177 |
| Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskie- go. We Lwowie, tomy I — III w 8ce, 1846 — 1847. Przez <i>A. W.</i> | 180 |
| Wiązanie dla moich wnuków. Pierwiastki czytania jako zachęta do nauk, przez T. Dziekońskiego, b. dyre- ktora gimnazjum. 1849. Warszawa..... | 357 |
| Wykład praktyczny chorób zębów i ich leczenia, przez Ja- na Anus. Warszawa. 1849. Przez <i>J. R. Szymańskiego</i> . | 363 |
| Pamiętnik Jana Chtopickiego, porucznika 7 pułku ułanów wojsk francuzkich. Spisany z ustnych opowiadań przez jego syna. Wydany przez Romualda Podbere- skiego. 8ka. Wilno. 1849, p. <i>J. R. Szymańskiego</i> | 594 |
| Rocznik literacki. Pismo zbiorowe. Rok czwarty. Pod re- dakcją Romualda Podbereskiego. Wilno. 8ka. 1849. Przez <i>J. R. Szymańskiego</i> | 601 |
| Kurs geometrii elementarnej, z rysunkiem geometrycznym i zastosowaniami, przez M. Swierzbńskiego. War- szawa. 1848. Przez <i>S. Przysiańskiego</i> | 610 |

Technologia.

| | Stron. |
|---|--------|
| Komu rzeczywiście należy się wynagrodzenie i mace- rowania buraków cukrowych? przez <i>A. W.</i> | 194 |

Nauki przyrodzone.

| | |
|---|----------|
| O piorunach. Podług <i>Fr. Arago</i> , przez <i>Józefa Sapalskiego</i> (ciąg dalszy)..... | 97 |
| Wiadomość o robakach spadłych ze śniegiem w gubernii wileńskiej dnia 24 stycznia 1849 r., przez <i>K. hr. Ty-</i> <i>zenhauza</i> | 189 |
| O droncie, samotniku i o urojonym ptaku nazareńskim, przez <i>A. W.</i> | 372 |
| Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: | |
| Astronomia i fizyka kuli ziemskiej, przez <i>J. B.</i> | 391 |
| Fizyka, przez <i>S. P.</i> | 646 |
| Chemia, przez <i>J. B.</i> ... <i>ę</i> | 407, 653 |
| Historja naturalna. Zoologia, przez <i>A. W.</i> ... 195, 408, 655 | |

Korrespondencye.

| | |
|--|---------------|
| Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej o złotym dukacie Władysławowskim, przez <i>Erazma Niedzielskiego</i> (z drzeworytem)..... | 388 |
| Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej o dziele <i>Oeynhausa</i> : „Opis geologiczny górnego Szlązka”, p. <i>K. Kos-</i> <i>sowskiego</i> | 639 |
| <i>Kronika bibliograficzna</i> | 214, 433, 660 |
| <i>Doniesienia literackie</i> | 215, 434, 670 |
| Wiadomości literackie i artystyczne krajowe i zagraniczne, przez <i>F. M. S.</i> | 646 |
| Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem: | |
| za miesiąc luty b. r. | 217 |
| — — marzec b. r. | 437 |
| — — kwiecień b. r. | 673 |



**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1849.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXIII.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1849.

P

117152



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



ZNACZENIE I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michała Głuszczyńskiego.

(Z m a p p ą).

WŚLĘP.

Podając krótką wiadomość o hetmanach małosyjskich i Kozakach do czasów unii, więcej na dzieje zewnętrzne tamtej krainy miałem zwrócić uwagę.

Rozповідаjąc początek kozaczyzny i późniejsze jej dzieje aż do unii, nieledwie w samych ogólnikach, przełotem prawie, bo głównie szło mi o hetmanów małosyjskich, jako namiestników polskich w tamtej stronie; nie mogłem oznaczyć ani wypowiedzieć, co rozumiem przez kozaczynę, i jak ją dzisiaj polscy i rossyjscy nowsi historycy uważają. Myślę więc, że to będzie przedmiot dosyć ciekawy i zajmujący, jeżeli, o ile źródła i właściwość samego przedmiotu pozwolą, opiszę sian wewnętrzny kozaczyzny. Że zaś początkiem i pierwowzorem wszystkich Kozaków byli zaporozcy Kozacy, dlatego Zaporozie wyłącznie będzie przedmiotem tej

pracy. Z Zaporozia wypłynęła emanacja na Ukrainę, Don, potem Dunaj, Wołgę, Ural i t. d., a jako już emanacja, musiała jakiś typ metropolii zachować; ale mimo to, zbiegiem innych praw, obyczajów, zwyczajów i sposobu życia, od niej się wyróżnić.

Kiedy zamierzam obejrzeć stan wewnętrzny Zaporozia, dopatrzeć w nim wszystkich organów jego czysto wojenno-zakonnego życia, muszę wprzód niektóre uwagi poczynić, aby potem w ciągu samego przedmiotu od niego już nie zbaczać.

Najprzód, muszę tu nadmienić, że Zaporozie było samo w sobie oddzielną i niezależną jednostką, przyznającą zwierzchnictwo Polski, a potem Rossyi, ale zawsze na własnych prawach stojącą.

Powtóre, co innego znaczyła hetmańszczyzna, to jest Małorossya z Kozakami ukraińskimi, a co innego znaczyło Zaporozie.

Kozacy małorossyjscy czyli ukraińscy, czyto rejestrowi, po naszymu regularni, czy po miastach i wsiach mieszkający i żonaci, byli zupełnie pod władzą hetmana małorossyjskiego, i składali wojsko pod jego rozkazami będące, jak już powiedziałem, na pułki i sotnie podług miast i wsi podzielone; Zaporozie zaś nie zależało w niczem od hetmanów małorossyjskich.

Ukraińscy Kozacy byli prawda emanacją z Zaporozia, ale z różnym już charakterem, i widocznym na ich urządzenie wewnętrzne wpływem i zależnością od Polski. Zaporozie przeciwnie miało wszystko swoje rodzime; a tylko pewne oznaki zewnętrzne świadczyły, że przyznawali zwierzchność Polski, a potem Rossyi.

Dziwna rzecz, że w kronice, z której wyjątki p. Maciejowski w *Kwartalniku Naukowym* krakowskim z ro-

ku 1855, tomie II, zeszyte 2 umieścić, powiedziano: „że rejestrowi Kozacy nastali piérwój, niż zaporozcy”; a dziwniejsza, że p. Maciejowski choć w przypisku tak ogromnego fałszu historycznego nie sprostował.

Rejestrowi Kozacy, tak nazwani dlatego, że już urzędzeni byli przez Polaków na sposób wojenny i w registr wojskowy zapisywani, byli wypływem z Zaporozża, bo tam było piérwsze gniazdo i piérwsze siedlisko kozaczyny.

Potrzenie, zwykle dotąd i w naszych i rossyjskich historykach używano wyrażenia „hetmani kozaccy” niewłaściwie, bo nazwisko to i godność hetmana rozciągały się więcéj do Małerossyi niż do kozactwa, i więcéj do Kozaków ukraińskich, a wcale nie do zaporozkich; bo tam najwyższym dowódcą niezależnym od nikogo i rządcą ziem zaporozkich był ataman koszowy. To téż niewłaściwie p. Maciejowski w *Historyi Prawodawstw Słowiańskich* t. III, k. 313 wyraża się: „hetmani zaporozcy”, bo takich hetmanów nigdy nie było.

Prawda, że w *Historyi Prawodawstw Słowiańskich*, t. III, str. 328 p. Maciejowski rozróżnia dwa rodzaje Kozaków, i powiada: „Rejestrowi Kozacy służyli na żołdzie, a wszyscy inni albo o własnym koscie, albo za małém wynagrodzeniem”. Cóżto byli za jedni owi inni Kozacy? ot, co trzeba było wyjaśnić. Byłito zapewnie Kozacy w registr niewpisani, żonaci, którzy uprawiali ziemię, i w czasie wojny tylko szli do służby wojskowej; ale trzeba było od obu tych gałęzi najdobitniéj wyróżnić Kozaków zaporozkich, na Zaporozżu w siczy siedzących, i zachowujących w czystości obyczaje i zwyczaje kozackie.

Owoż, żeby znaleźć prawdziwe znaczenie Kozaczyzny, sposób życia i zatrudnienia Kozaków, oraz właściwości im samym przystałe, szukać tego wszystkiego trzeba na Zaporozżu.

Przedmiot ten tak mało znany, a przez dawniejszych i nowszych naszych historyków prawie nietknięty, bo wszyscy zewnętrznie tylko działania i wpływy Kozaków opisywali, jest pełen interesu przez swoją oryginalność w całej swój treści, i przez prostotę w całym składzie. Myślę, że czytająca publiczność znajdzie w tej pracy nieco żywiołów dla zaspokojenia prostej ciekawości, a i dla naukowych poglądów na fakta, osoby i instytucje, nie mniej materyałów.

L

Nazwa i granice Zaporozża.

Jakim sposobem powstało Zaporozże? obszerniej o tém już powiedziałem gdzieindziej. Wielu mieszkańców południowej Rusi, znękanych ciągłymi napadami Tatarów, Litwinów i innych hord blakających się między Wolgą, Oką, Donem i Dnieprem, chroniło się na wysypki i niedostępne miejsca przy progach Dnieprowych; z kąd potem kraj tamten dostał nazwisko Zaporozża, jako za progami Dniepru leżący.

Progi te na Dnieprze znajome już były za Konstantego Porfirogenity; byłyto skały, jedne ukryte w rzece, drugie równe z wodą, a dwie najwyższe wystające nad rzekę, różnej rozciągłości i wysokości.

Beauplan tak je opisuje: „Aby wam wytłumaczyć, coto są właściwie progi (porohy), powiem wam, że to

jest wyraz ruski, który oznacza skałę. Owoż te progi są niby łańcuchem skał¹⁾ położonych wpoprzek rzeki, z których jedne są pod wodą, drugie na równi z wodą, a inne ponad wodą od 8 do 10 stóp; i są wielkie jak domy, i blisko jedne drugich, tak, że stanowią tamę, która wstrzymuje bieg rzeki, która potem spada z wysokości od 5 do 7 stóp”.

Było ich wszystkich trzynaście, a te są:

| N a z w i s k a | | Rozcią- głość na | Spadek wody na | | |
|------------------------|-------------|------------------------|----------------|-------|-------|
| O b e c n e | Dawniejsze | sażnie | sażnie | stopy | cale. |
| 1. Staro-Kajdacki .. | Kadak | 180 | .. | 2 | .. |
| 2. Jacki | .. | .. | .. | .. | .. |
| 3. Surski | .. | 70 | .. | 1 | .. |
| 4. Łochański..... | Łochany | 287 | 1 | 3 | 2 |
| 5. Zwonecki..... | Dzwoniec | 140 | .. | 4 | 9 |
| 6. Techniński..... | Księżnej | 73 | .. | 4 | 2 |
| 7. Nienasytecki.... | Nienasytiec | 400 | 2 | .. | 2 |
| 8. Woronow..... | .. | .. | .. | .. | .. |
| 9. Wołniński..... | Wołnieg | 150 | .. | 5 | 7 |
| 10. Buditowski..... | Budito | 116 | .. | 4 | 10 |
| 11. Tawalszański... | .. | .. | .. | .. | .. |
| 12. Liszni (zbyteczny) | Łyczna | 150 | .. | 3 | 5 |
| 13. Wolny | .. | 307 | 1 | .. | 11 |

Kiedy Dniepr wzbierze, wszystkie progi kryją się w wodę; jeden tylko siódmy Nienasytny sterczy zawsze na wiérzchu, i on tylko jest przeszkodą dla żeglugi w téj porze roku (1).

(1) „Pour vous définir, ce que c'est proprement que Poroüy, je vous diray, que c'est un mot Rusien, qui signifie pierre de Roche. Ces Poroüys est comme une chaine de ces pierres estendues tout au travers de la rivière, dont il y en a quelques unes sous l'eau, d'autres a fleur d'eau, d'autres aussi hors de l'eau de plus de 8 à 10 pieds, et sont grosses comme des maisons, et fort proches les unes des autres, de façon que cela est fait comme une digue ou chaussée, qui areste le cours de la rivière, laquelle puis après tombe de la hauteur de 5 à 7 pieds. Au printemps,

Okolo tych progów osiedlali się powoli wychodźcy z dawnych siedzib swoich, chroniący się przed nieprzyjacielem, i zajęli tę część ziemi prawem pierwszych osiedleńców (*jure primi occupantis*); a gdy liczba tych wychodźców rosła z postępem czasu, rozszerzali sobie też swe posiadłości, dotąd, dopóki przeszkody w zajęciu nie doznali. Z czasem wyrosli w silną całość, która się *towarzystwem wojsk zaporozkich*, a okazałej, sławném *zaporozkiém nizowém wojskiem* przezwiała, a ziemia na której wyrosło owo bractwo czy zakon wojenny, nazwisko *Zaporoża* przybrała. W artykule moim umieszczonym w roku zeszłym w Bibliotece Warszawskiej, dołączyłem przywileje Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, któremi przyznali Kozakom zaporozkim na własność ziemie, jakie w chwili wydanych przywilejów posiadali.

Sławne zaporozkie nizowe wojsko w czasach najświetniejszej jego epoki od roku 1600 — 1770, zajmowało ogromną przestrzeń ziemi, składającą teraz je-katerynosławską i chersońską gubernie, wyjąwszy odeski, tyraspolski i ananijewski powiat, to jest przestrzeń między Bohem i Dniestrem leżącą.

Pan Skalkowski widział „generalną landkartę od Kijowa po Dnieprze do Oczakowa i po stepie do Azowa, z pokazaniem Nowej Serbii i t. d.” którą zrobił inżynier podpułkownik de Boquesète 1740 roku, na której dosyć dobrze oznaczył posiadłości zaporozkie pod na-

lorsque le Boristen est enflé, tous les Porouys sont couverts d'eau, excepté le septième qui s'appelle Nienasytny, et qui seul empesche la navigation en cette saison". Description de l'Ukraine, par le Sieur de Beauplan. Rouen. 1660.

zwiskiem „Mieszkania i zimowniki zaporozkich Kozaków”. Opierając się na tęj mappie Boquesèta i na zebranych z kądinąd wiadomościach geograficznych, oznacza takie granice siczy zaporozkich wojsk:

„Na północ od Kryłowa czyli końca polskiej granicy, po Dnieprze do twierdzy Perewołoczny, idzie granica hetmańszczyzny czyli Wschodniej Ukrainy, to jest pułków kozackich, ukraińskich czyli małorossyjskich: mirgorodzkiego i połtawskiego”.

„Na wschód od Perewołoczny do Bachmutu po rzéce Orel i północnym Dońcu, idzie granica słobodzkich pułków, powstałych za hetmana Chmielnickiego; po lewej stronie północnego Dońca i Kalmiusu, aż do ujścia téj ostatniej rzéczki do Azowskiego morza, idzie granica kozackiej dońskiej drużyny.”

„Na południe, od ujścia rzéki Berdy (przy terazniejszym Berdiańsku) do ujścia rzéki Końskich Wód do Dniepru, był „straszny i pusty step”, o którym tyle tylko wiedzieli, że na nim nogajskie Tatary koczują i na który szła z Ukrainy droga znajoma, pod nazwiskiem *Murawskiego traktu*, czyli *szlaku*; po nimto ciągnęły ruskie karawany po sól, węgę i wino do Krymu, czyli jak wtedy mówili do „Perokopskiej Baszty”.

„Na południo-zachód, zacząwszy od ujścia Bohu do odnogi Dnieprowskiej, czyli od zaporozkiej stacyi perewiezkiej do góry, w kierunku rzéki Bohu do Gardu (stacya wojenna i miejsce główne do łowienia ryb), szła granica Nogajców, których Kozacy nazywali białogrodzkiemi, buczackiemi, a nawet oczakowskiemi.”

„Nakoniec na zachód zacząwszy od Gardu aż do Siniej wody, czyli od Czarnego Szlaku aż do rzeki Siniuchy,

a odtąd po całej zachodnio-ukraińskiej granicy, mieli Kozacy w sąsiedztwie polskie województwa od Orlika (dzisiaj Ołwiopol) aż do Czygiryna, głównego miasta Kozaków ukraińskich, które potem odebrane im było i zostało tylko starostwem.”

W tych granicach uważane Zaporozie, nazywało się w Polsce: „Niżem albo Dzikiém Polem, a w Rosyji, Zandnieprowską Ukrainą.

Przystęp do téj zaczarowanej krainy wszelkiemu obcemu był zagrodzony; szlachcie tylko mógł tam przedrzeć się, jeżeli z bronią szedł zapisać się w kozactwo, albo handlowa karawana. Dlatego téż tyle zdań sprzecznych, tyle domysłów dziwacznych, tyle fałszywych wiadomości o Zaporozu napotkać można w różnych autorach z tamtych czasów. Żaden go nie widział, a wszyscy z powietrznej wieści bajali o Zaporozu i Zaporozcach, jak o żelaznym wilku. Co większa! i rosyjscy historycy kozactwa pomieszali Zaporozców z Ukraincami, to jest całą Małorossyą, a raczej terazniejsze gubernie wołyńską, kijowską, podolską, połtawską, czernichowską i charkowską, uważali za siedlisko i ziemie Kozaków, kiedy właściwe kozactwo kupiło się na Zaporozu. Polacy XVIgo i XVIIgo wieku znali bardzo dobrze tę różnicę, kiedy Zaporozców przewali Kozakami czyli niżowcami, a Małorossyą „wojskiem ukraińskiem”, a z pogardą „chłopstwem ukraińnem.”

Pięć było głównych punktów granicznych Zaporozia, na których znajdowały się stacye i zarządy (komory) graniczne;

1. W Perewołocznie, od strony hetmańszczyzny czyli Rosyji.

2. W Bachmutowie, a później 1730 r. przy twierdzy Kozłowie, od strony słobodzkich pułków.

3. Na rzece Kałmuisie, od strony braci Kozaków dońskich.

4. Przy Nikityna przewozie czyli na Perewiezku, to jest na rzece Bohu, naprzeciw twierdzy Oczakowa, od strony Krymu i Turcyi; a nakoniec:

5. W Gardzie, od strony jak Zaporozcy się wyrażali „najjaśniejszój rzeczypospolitėj polskiej.” Podług tych pięciu punktów granicznych, dzielił się także cały wewnętrzny zarząd Zaporozia na pięć części, na pięć obwodów, które się nazywały pałankami (1). Pałanki te nie były wcale systematycznym geograficznym podziałem, ale było poprostu nadzór nad bezpieczeństwem wolności kozackich, od pogranicznych sąsiadów.

Tak było do r. 1735; wtedy powstał szósty obwód, szósta pałanka, w Perognajach, to jest przy słonych jeziorach na Kinburskim półwyspie znajdujących się, a to dla obrony ludzi z Zaporozia i Małorossyi przybywających tam po sól lub dla łowienia ryb.

Dotąd w kraju należnym do Zaporozia, na całej przestrzeni wolności kozackich, nigdzie nie było miast, ani wsi, ani futorów, nie było tém samém żadnych związków rodzinnych, ani stosunków cywilnych; wszystko było na stopie zakonno-wojennėj. Dopiero od r. 1765, kiedy czas

(1) Pałanka, po turecku, jak powiada Menniński T. 1. str. 88, znaczy niewielką twierdzę „*chateau entouré des palissades*”, i dotąd jeszcze są w Turcyi miejsca ufortyfikowane, które się pałankami nazywają.

U Zaporozców pałanka znaczyła i obwód i miejsce w którym mieszkał pułkownik ze swoją starszyzną, a w znaczeniu przenośnym zarząd wewnętrzny pułkowniczy. U nas dotąd wieśniacy pewien kawał ziemi nazywają pałankami.

wprowadził zmiany w wewnętrzny skład i znaczenie zaporozkich Kozaków, pozwolili wtedy na osiedlanie się na swych wolnościach ludziom familijnym, którzy potem utworzyli tak nazwane poddaństwo wojska zaporozkiego. Dla takich przybyszów, wyznaczono ziemie z jednej strony Samary po brzegach rzeki Orel, aż do południowego Dońca, a z drugiej po brzegach rzeki Protowczej i innych rzeczek. Liczba tych nowych osiedleńców w r. 1766 i 1768 tak urosła, że trzeba było dla nich ustanowić dwa nowe obwody, pałanki, które się nazywały Orelska i Protowczańska.

Tak więc przy końcu istnienia Zaporozża, miało ono ośm następujących pałanek:

- | | |
|-------------------|----------------------------|
| 1. Kodacka. | 5. Ingulska v. Perewiezka. |
| 2. Samarska. | 6. Prognoińska. |
| 3. Orelska. | 7. Kałmiuska. |
| 4. Protowczańska. | 8. Bohogardowa. |

Pierwsze cztery miały sioła i futory, i zamieszkałe były przez ludzi żonatyh; drugie cztery ani sioł, ani nawet stałych siedzib nie miały.

Pierwsza pałanka Kodacka, tak nazwana od ufortyfikowanego miasta Kudaka na Dnieprze, założonego przez Polaków na postrach Zaporozcom, rozciągała się od Nikitina przewozu (teraz Nikopol), do góry po Dnieprze aż do Kryłowa, a wszérz do rzeki Tasminy i Wisy. Miała ona 13 wiosek czyli siedzib (usadby), w których było mniej więcej w różnych czasach Kozaków żonatyh 168, ciągłych 378, a pieszych 295; ogółem 841, jak ich nazywano pospolitych ludzi (1).

(1) Ciągli nazywali się ci, co mieli swoją uprząż i własne pługi, a pieszy ci, co ich nie mieli. Nazwa ta u nas dotąd między włościanami zachowała się.

Druga Samarska pałanka, leżała za Dnieprem po obu stronach rzeki Samary, i była najważniejszą i najbogatszą częścią Zaporozża. Całe jego gospodarstwo i najlepsze zimowniki starszyn i Kozaków w tej pałance się znajdowały. Beauplan naoczny świadek tak opisuje okolice Samary:

„Samara wpada w Dniepr prosto naprzeciw Końskiej wyspy; obfituje bardzo w ryby, a okolice jej w miód, воск, dziczyznę i las na budulce zdolny, tak dalece, że żadne prawie miejsce w tym względzie nie może się równać z okolicami Samary” (1).

Pałanka Samarska miała siedzib 13, a w nich Kozaków żonatyh 240, ciągłych 502, pieszych 416, ogółem 1158 pospolitych ludzi.

Trzecia Orelska pałanka, leżała już poza ukraińską linią Ukraińców, przy rzekach Orelu, Bogatěj i innych, aż do rzeki Samary; dochodziła aż do Sławiano-Serbii (Jekaterenińska prowincya), miała dziewięć siedzib, a w nich było ciągłych 183, pieszych 133, ogółem 316 pospolitych ludzi.

Czwarta Pretowczańska pałanka, zajmowała przestrzeń około rzeczek Pretowczy, Tersy, Tarnowki i innych, i miała 24 siedzib, a w nich było żonatyh Kozaków 363, a pospółstwa 737, razem 1100 familij.

Tym sposobem całe poddaństwo wojska zaporozkiego niżowego, czyli cała żonata ludność Zaporozża, miała

(1) Cette rivière de Samar est fort considerable avec ses environs, non seulement pour l'abondance du poisson, mais aussi pour le cire, miel la vinaison, et les bois a bastir, dont elle est plus riche qu'aucune.

I dalej: Les Cosaques l'appellent la rivière sainte, peut estre, a cause de son heureuse abondance, *Descrip. de l'Ukraine.*

w różnych czasach w przecięciu 3415 chat czyli familij, co wynosiło mniej więcej do 12,000 ludności obojęd płci.

Drugie cztery pałanki nie miały siedzib, siól, a tylko na czas letni posyłano do nich pewne oddziały.

1. Ingulska, inaczéj Perewiezka (od przewozu na rzécce Ingulce) miała sobie powierzony dozór granicy, oraz dozór rybołóstwa na Dnieprze i Ingulce, i nad zimownikami, które rozciągały się od ujścia téj rzeczki aż do jéj źródeł w terażniejszych powiatach chersońskim i alexandryjskim.

2. Prognoińska, tak nazwana od uroczyska na Kinburskim półwyspie, który teraz nazywa się Prognoińskim, a wtedy poprostu Prognojami. Wyraz ten oznaczał zgnile jeziora słone, od wody morskiej tam zapędzonej, a która gdy z tych jezior wysychała, czyniła je gnijącemi i zostawiała w osadzie sól.

Prognoińska pałanka miała obowiązek pilnowania granicy, a nadewszystko bronić handlarzy i przedsiębiorców, udających się z Zaporozża i Małorossyi w strony zgniłych jezior dla zabiérania soli; czemu Krymcy bardzo byli przeciwni, bo chcieli, aby owi przedsiębiorcy solni udawali się na perekopskie, czyli na wewnętrzne słone jeziora. Oprócz tego pałanka ta uważała ruchy Krymców i oczakowskiej twierdzy, miała swoje przeprawy przez Dnieprowską i Bohską odnogę, dla posłańców lub handlarzy do Oczakowa.

3. Kałmiuska pałanka, jak mówiono, w nadzwyczajnej odległości leżąca, broniła tych, co wędrowali za solą aż do berdykańskiego jeziora, i na łowienie ryb w Azowskiém morzu. Graniczyła ona z Dońcami, ztąd téż częste spory, a nierzadko bitwy wynikały między

braćmi sąsiadami Kozakami dońcami i zaporozcami, o prawo do rybołówstwa w Azowskim morzu.

Pałanka ta ważną była dlatego, że mogła i powinna była śledzić wszystkie ruchy Nogajców i kubańskiej hordy i donosić wszystko koszowemu.

4ta i ostatnia na Bohu „daleko od zaporozkiej sicy” za ruską granicą, na uroczysku *Zaporozki gard* (1), w bliskości dzisiejszej wsi Bogdanowki, leżała Bohogardowska pałanka.

Z początku miejsce to dla przeprawy i rybołówstwa osadzone Kozakami, przy końcu XVI i początku XVII wieku było najważniejszą stacją pograniczną od strony Polski. Zajmowała ona przestrzeń od rzeki Ingulca i ujścia Martwychwód w górę aż do granicy polskiej Ukrainy, a od Gardu kierunkiem rzeki Siniuchy aż do pogranicznego polskiego miasta Targowicy.

P. Skalkowski znalazł o tej pałance w archiwum kozackim ciekawy dokument, z którego najjaśniej przekonujemy się, jakim sposobem owe pałanki pograniczne urządzone były i co znaczyły. Dokument ten jestto odpowiedź koszowego Aleksieja Bielickiego na zapytanie ministerstwa, co znaczy Bohogardowska pałanka?

„Do uroczyska Gard, zaporozey Kozacy dawniej i teraz w czasie letnim dla łowienia ryb bywają wyprawiani z sicy i z zimowników, i tam przez całe lato, a nawet do samėj jesieni znajdują się. A ponieważ jestto miejsce na samėj granicy, to dla jego obrony i łapania złodziei, również dla utrzymania porządku między rybołowcami i Kozakami, od kosza pułkownik z oddzielną

(1) Gard w południowej Ukrainie znaczył miejsce do łowienia ryb, z kąd też i uroczysko otrzymało swoje miano. Wyraz „Gard” jak się zdaje znaczy cały zakład w miejscach przeznaczonych do łowienia ryb.

przystojną komendą Kozaków zaporozkich tam się posyła. Na zimę zaś w bliższe miejsca siczy, a mianowicie w Wielki i Mały Ingul (Ingulec) powracają”.

Te ośm pałanki geograficznie leżały jak następuje: dwie na prawym brzegu Dniepru: Ingulska i Kodacka; trzy na lewym brzegu Dniepru: Samarska, Protowczańska i Orelska; jedna przy ujściu Berdy i Kałmiusa do Azowskiego morza, Kałmiuska; jedna już za granicą na kinburskich jeziorach: Prognoińska.

Cztery z nich, to jest: Kodacka, Samarska, Orelska i Protowczańska, miały miasta, wsie i futory, i w nich stałych mieszkańców żonaty, pospólstwo; drugie cztery: Bohogardowska, Kałmiuska, Ingulska i Pragnoińska, nietylko wsi, ale ani nawet stałych siedzib nie miały, a co rok na wiosnę wysyłane były oddziały do tych pałanek na całe lato i jesień dla łowienia ryb, polowania i zbieranie soli, a na zimę oddziały te cofały się bliżej ku siczy do zimowników.

II.

Sławne zaporozkie niżowe wojsko, jego skład, podział i rząd.

Nakręśliśmy w pierwszym rozdziale geograficzną krawę niżu czyli dzikiego pola, przedstawiliśmy czytelnikom granice ziem i wolności Zaporozców, żyjących na owej przestrzeni życiem wyłącznie im właściwém; zamierzamy teraz przeniknąć, o ile to jest możliwém przez tajemniczość przedmiotu, odległość czasów, stronne i namiętne opowiadania historyków, przeniknąć mówię w wewnętrzne życie owego wojennego bractwa czy zakonu,

wysledzić wszystkie żywotne składowe części téj społeczności dziwnéj i zajmującej, a tak mało u nas znanéj jednostki, i wykryć wszystkie sprężyny bytu tego sławnego towarzystwa.

Właściwe Zaporozie składało się z wojska, które dlatego, że osiadło z początku wraz na niższym Dnieprze, na niżu, nazywało się téż Nizowém, a Kozacy tam mieszkający Nizowcami. Potém żeby lepiej wyróżnić się od Kozaków ukraińskich czyli małorossyjskich, przeważało się zaporozkiemi, dlatego, że siedzieli poniżej progów Dnieprowskich.

Jak wysoko cenili siebie Zaporozcy, to pokazuje sam tytuł, jakiego w ważniejszych urzędowych pismach używali, i jaki na czele urzędowój pieczęci się znajdował: „Sławne zaporozkie nizowe wojsko”. Stolicą i sercem tego zaporozkiego wojska była *sicz*, albo inaczej w przenośném znaczeniu *kosz*.

Zkąd się wzięła ta nazwa *kosz* i co oznaczał ten wyraz? trudno z pewnością powiedzieć. *Kosz* czyli *koszyk* u nas znaczy pewne plecione z wici naczynie, używane do noszenia bielizny, wina i t. p.; kto wie, czy *sicz*, otoczona palisadami, nie dostała nazwiska *kosza* od podobieństwa z nim.

Niemniej jest podobne do prawdy tłumaczenie téj nazwy, jakie zaporozki opowiadacz Nikita Korz podaje: „Stada w Zaporozu, powiada on, zimą i latem koczowały na stepie. Na zimne dnie i od wiatrów stepowych, pasterze i czabany mieli „kosze”. Byłto rodzaj namiotu z wojsłoku, ustawionego na dwóch kołach, aby można było w razie potrzeby przewozić go z miejsca na miejsce. W takim koszu była kubica (komin) na ogień, przy któ-

rym pasterze suszyli się, grzali i gotowali jedzenie (1)". Ztąd wnosić można, że Zaporozcy swoje stolicę, do której wracali dla wytchnienia po wyprawach i dla przezimowania, nazwali przez naśladowanie koszem. Badacze wschodnich języków mówią: że kosz znaczy po turecku „zbierać”; to też wyraz kosz mógł oznaczać punkt zborny całego wojska.

W znaczeniu przenośnym, kosz znaczył główną kwaterę albo obóz wojska, bo w różnych sprawozdaniach, raportach, znajdujemy podpisy: „Z kosza na Czertule; dan w koszu na Czyczyokleju”; a oprócz tego, znaczył miejsce zarządu wojska, którego kancelarya używała zawsze tej formuły: „Z kosza zaporozkiego niżowego wojska”; do kosza zaporozkiego wojska; donieść koszowi” i t. d.

Kosz ten czyli sicz zaporozka dziwne przechodziła koleje. Początek zaciemniony przeszłością, potem pod wodzą Polaków, co tam aż do niej zaszedli, stoi sama sobą, siłą wewnętrzną, szarpiąc się ciągle z Turkami i Tatarami; dalej przyznaje za Stefana Batorego zwierzchnictwo Polski, odrywa się potem od niej i poddaje Rossyi, która za zdradę niszczy ją zupełnie.

Kosz przenosi się do Tatarów, wkrótce wraca do Rossyi, a w końcu za nadużycia i niesforność zupełnie ginie. Mamy więc kilka koszów czyli siczy, to jest: sicz niepewną, sicz bohaterską, sicz polską, sicz rosyjską, w ogóle starą; potem sicz krymską i znowu sicz rosyjską nową.

Początek starej siczy ginie w głębokiej przeszłości. Co i jak było na Zaporozu przed Eustachym Daszkie-

(1) Opowiadanie Nikity Leontiewicza Korzy, wydane przez odeskiego arcybiskupa Gabryela w Odessie.

wiczem i Przeclawem Lanckorońskim aż do roku 1576, nie wiadomo; jestto okres heroiczny, mityczny Zaporozia. Gdzież wtedy był kosz, czyli sicz? P. Skalkowski powiada „że prawdo-podobnie na jednéj z wysp Dnieprowskich Hiléj, a nie na Chorticu, który już za czasów Beauplana był pusty”. Później podług tego, co miejscowość wskazuje, kosz mieścił się na wysepce leżącej na rzece Czartomłyku, łączącej się z Dnieprem odnoga jego, a raczej rzeczką Pawluk.

Dotąd tę wysepkę nazywają Starą siczą. Tutaj pod wpływem polskiego ducha, już obznajmionego z rycerstwem zachodniém, skupiła się kozacka drużyna w formną i jednolitą całość, w towarzystwo bezienne, pełne energii i siły, wysadzone przez Opatrzność na te bezludne stepy, po to, aby pierś jego była szaućcem dla słowiańskich plemion przeciw zapędom wojowniczo-fanatycznym Turków i Tatarów. Szczegółów historycznych zaporozkiego kosza czyli syczy z téj epoki nie wiemy; dopiero od Stefana Batorego, który przywilejem swoim 20 sierpnia 1576 roku potwierdza na własność wojskom zaporozkim wszystkie ziemie, jakie ono dotąd posiadało, zaczyna się już pewna historia Kozaków zaporozkich czyli staréj syczy.

Polska uważana była przez Zaporozie jako jego władczyni; herb polski, orzeł biały, znajdował się na wielkiej zaporozkiej chorągwi, i tak było od roku 1576 do 1654. Od r. 1654 zmienia się postać rzeczy: Małorosya, Kozacy ukraińscy, a z niemi i zaporozcy poddają się Rossyi; czarny dwugłowy orzeł zastępuje białego. Zaporozcy pobierają żold cesarski, nazywają się „wojskiem Jéj Carskiej Przesławnej Wielkości”. Jestto epo-

ka zaciętych wojen Kozaków z Polską, w których zaporozcy ciągle udział mieli. Sahajdaczny Nieczaj, Sulima Barabasz Skałozub, Pawluk, Sierko i wielu innych przewodzców kozackich, odznaczyło się w tych walkach napół religijnych, napół politycznych; ale tymczasem Mazepa zamysła oderwać Małorossyą od Roszyi, w tym celu łączy się z Karolem XII i wciąga za sobą w tę niebezpieczną i hazardowną grę Kozaków zaporozkich. W Zaporozu był wtedy atamanem koszowym Kostya, to jest Konstanty Gordejenko, przyjaciel i strennik hetmana Małorossyi. Piotr W. dowiedziawszy się o odstępstwie Mazepy, a obawiając się zapewne, aby i zaporozcy do niego się nie przyłączyli, zwłaszcza, że nieraz przeciwko rozkazom carskim działali; posłał do nich manifest donoszący im o postępku Mazepy, i napominający ich, aby się nie dali uwieść żadnym obietnicom; i żeby tém bardziej Zaporozców w wierności ku sobie umocnić, oprócz zwykłego żołdu, posłał im w darze 12,000 rubli, koszowemu 300 dukatów, a starszyźnie 2000 rubli; ogromne naówczas summy. Mimo to Kozacy zaporozcy więcej przylegli do Mazepy i Gordejenki, ataman koszowy z 8000 i całą starszyzną poszli do obozu Karola XIIgo i walczyli przeciwko Roszyi.

Na miejsce Mazepy wybrano hetmanem Skoropackiego, a Piotr W. posłał znowu na Zaporozie posłów, upominając jeszcze raz Kozaków, aby się upamiętali i do posłuszeństwa wrócili; ale Kozacy posłów jednych zabili, drugich Mazepie odesłali.

Wtedy Piotr Wielki oburzony nietylko odstępstwem, ale zbrodniczym zamordowaniem swych posłów, wysłał z Kijowa do Kozaków zaporozkich oddział znaczny pod

dowództwem Piotra Jakowlewa, jednak z tém poleceniem, aby wprzód raz jeszcze wezwał do posłuszeństwa Kozaków, przyrzeczeniem przebaczenia winy i zostawienia im wszystkich dawnych wolności.

Gdy Zaporozcy mimo przyrzeczenia, że im wina będzie darowana, do posłuszeństwa wrócić nie chcieli i sami piérwój z armat do wojska rossyjskiego ognia dali; on, Jakowlew dnia 14 maja 1707 r. szturmem zdobył sicz i zburzył ją do szcztetu. Tak się skończyła sławna stara zaporozka sicz.

Rozgniewany monarcha rossyjski, manifestem 26 maja 1709 r. rozkazał nie puszczać Kozaków w granicę Rosyi, a tych co przeszli na stronę Szwedów i razem z swym koszowym Gordejenką do Krymu się schronili, polecił chwycić, karać śmiercią, i zbrojną siłą zabraniać Zaporozcom osiadać na nowo w siczy, albo w innych ich dawnych miejscach. Nieszczęśliwi rachując na pomoc króla szwedzkiego, czuwali przy nim ciągle, i chcieli 1710 roku założyć sobie nową sicz na rzece Kamionce przy Dnieprze; ale z rozkazu cesarza Skoropacki hetman i generał Butturlin zburzyli ją.

Wtedy r. 1711, ci Kozacy zaporozcy co ocaleli, podali się hanowi krymskiemu, zbudowali sobie nową sicz na Aleszkach, na brzegu Dniepru niedaleko jego ujścia; kajmakan tatarski mieszkał ciągle w Aleszkach, żeby pilnować działań Kozaków. Ta hańba imienia Zaporozców trwała lat 21, do roku 1733.

Wkrótce między samemi Kozakami w siczy na Aleszkach wybuchło rozdwojenie; wielu chciało wrócić do rodzinnego kraju, ale dopóki Gordejenko był koszowym, nikt nie śmiał odezwać się z tém głośno. Dopiero kiedy koszowym wybrany był Małasiewicz, wnet zaczął usilnie

się starać o wyjednanie od dworu petersburskiego przebaczenia i pozwolenia Kozakom powrotu do Rossyi. Hrabia Wejsbach silnie wstawiał się za nimi, i otrzymali przebaczenie i pozwolenie powrotu, a nawet pomoc pieniężną na wybudowanie sobie nowój siczy i wszystkie klejnoty czyli oznaki godności swoich.

Tę nową sicz wystawili Kozacy na rzekach Podpolny i Bazawluku, niedaleko od starój siczy, a hrabia Wejsbach oświadczył im w imieniu cesarzowej Anny Iwanownej, że wojsko zaporozkie przy dawnych swoich kozackich wolnościach i prawach pozostaje, aby tylko wiernie Rossyi służyło.

W téj nowój i ostatniej siczy przetrwali Kozacy 42 lat. Rossyja zaczęła tymczasem południową Rossyję urządzać podług swego systematu i ducha, a osady te nowe w sąsiedztwie siczy kozackiej zaprowadzane, pomału wdzierać się poczęły w granice Zaporozża i naruszać jego przywilejami królewskimi ugruntowaną własność. Ztąd koniecznie spory, a przy silniejszym rozdrażnieniu i krwawe sceny nieraz na granicach siczy wybuchały.

Skargi o gwałty i zabójstwa na Kozaków zaporozkich dochodziły nieraz aż do tronu, a z ich strony znowu jedna za drugą deputacya wysyłana do Petersburga, przedstawiała prawa i przywileje kozackie na ziemię przez nich zamieszkałą, oraz nadużycia na zarządzających krajem, jak wtedy nazywali noworosyjskim. Nakoniec 1775 r., gdy znowu nowe skargi na Kozaków zaszły, cesarzowa Katarzyna II rozkazała Potemkinowi generał gubernatorowi noworosyjskiemu zająć sicz. Potemkin polecił wykonać to Tekielemu, a ten bez żadnego trudu, bo Kozacy sami się poddali, zajął sicz.

Ogłoszono potem manifest 5 sierpnia 1775 r. wyluszcujący przyczyny zniesienia siczy; i tak zakończył się byt, i zniesione zostało imię nawet sławnego zaporozkiego niżowego wojska (1).

W manifestcie cesarzowej Katarzyny II są wyluszczone przyczyny, ale te są podrzędne. Historya nie może na tém przestać; musi aż do zasad logicznie potrzebom czasu odpowiednich sięgać, i w nich wysledzić przyczyny każdego faktu. Owoż mamy dwie na owe pytanie odpowiedzi:

Najprzód, Rossya wszystkie nowo nabyte kraje bądź orężem, bądź traktatami, urządziła na swój sposób administracyjny i prawny; chciała, aby koła jój wielkiej машины obracały się podług praw jednego tylko motora, aby wszystko zlewało się w jednolitą całość. Aż tu w samym środku nowych swych posiadłości, znalazła lud wojowniczy i burzliwy, oparty z całą siłą na swych prawach niepamiętnych i przywilejach późniejszych; i cóż było z nim zrobić? Czas jakiś, potrzeba sama przemawiała za Kozakami; ale gdy zbyt odrębnie i samowolnie przeciw ogólnym prawom państwa występować zaczęli, gdy nawet w miarę przekroczeń! rosły aż nazbyt śmiałe ich domagania się: wywołali sami grom, co ich zgniótł w nicłość i przekazał ich na pamiątkę archiwom historycznym.

Zapatrując się znowu z wyższego stanowiska na wypadki historyczne, każdy widzi bijącą w oczy tę prawdę: że jest jakaś opatrzna, logiczna, konieczna droga, po której idą wypadki i osoby dziejowe; że pierwsze i drugie są wyobrazicielami ideij, lub wyrobami (tyle razy już to

(1) Manifest cały i szczegóły zniszczenia siczy, umieszczę na końcu.

powtarzałem), potrzeb czasu. Owoż i byt kozactwa sprowadzony do tego zrównania algebraicznego konieczności historycznej, też samą prawdę nam wyświeci.

Wywołani z przepaści czasu do bytu historycznego, potrzebą obrony wschodniej Europy od gwałtownie rozlewającego się potoku islamizmu, zastąpili sobą krzyżowe wojenne zakony, ściérali się ciągle z Turkami i Tatarami, broniąc od nich Polskę a potem Rosyą; ale gdy Turcy stracili przewagę i zapal fanatyczny do napadów na Europę, przez ciągle, krwawe i nieszczęsne wojny, a Tatarzy prawie do imienia wyginęli: cóż więc mieli robić tu na ziemi Kozacy? Nie mają już celu na zewnątrz, owoż gryzą się wewnątrz; kłócą się i biją z rodakami; jakby naumyślnie idą wbrew poleceniom dworu petersburskiego, a nadomiar śmiało żądają ich posłowie, aby im dawny niezależny byt Zaporozża powrócono: a na co? Byłato gorączka trawiąca ciało Zaporozców, która nie mogła być wyleczoną, jedno tylko śmiercią skończyć się miała i skończyła się....

Sicz czyli kosz w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, było miasteczko ufortyfikowane, otoczone wałem i palisadami, i bardzo oryginalnie zabudowane. Kosz taki składał się z trzech części:

1) Z przedmieścia, czyli tak nazwanego „kramnego bazaru”, gdzie każdy kureń i przyjeżdżający goście mieli swoje kramy i szynki; tutaj także były mieszkania kramnych atamanów i wojskowego kantarzeja, to jest inspektora miar i wag. To przedmieście nazywało się Hassan Basza (na planie lit. c); ufortyfikowana baszta z bramą i armatami, prowadziła do właściwego kosza. 2) Byłto obszerny plac, na którym stało 38 szczególnego rodza-

ju budynków, w kształcie koszar albo magazynów, a które się kureniami nazywały (1).

Wszystkie te kurenie ciągnęły się naokoło wału, tak, że tworzyły sobą nieforemne koło. Poza temi kureniami między wałem i rzeczką Podpolną była pałanka, to jest mieszkanie koszarowego i starszyny, koszcwa cerkiew Opieki Matki Boskiej, opiekunki wojska, dom duchowieństwa, kassa wojskowa i kancelarya (lit. b). 3) Trzecią część składało oddzielne ufortyfikowanie, rodzaj cytadeli, w której już od roku 1735 znajdował się zawsze ruski garnizon, który się nazywał Nowosieczenskim retranszamentem.

Wszystkie budynki były drewniane, nawet dom koszarowego: byłato prosta wiejska chata, bez zbytku i wygódek, jak mawiali piśmienni Zaporozcy. Sicz ze trzech stron oblana była wodą rzeki Podpolnej, która głęboką odnogą, nazwaną Sesina, łączyła się z Dnieprem. Byłato głęboka rzeczka, na której tak Zaporozców wojenne łódki (czajki), a nawet greckie i tureckie statki (tumbasy), naładowane mogły po niej pływać i stać na kotwicy jakby w najlepszym porcie. Ale właściwym portem była odnoga Podpolny; nazywał on się Ustępem (Ustupom), teraz zupełnie zamulony (lit. f).

Wojsko zaporozkie składało się ze starszyny (starszyny) i towarzystwa (towarystwa), które znowu rozło-

(1) Kureń, po polsku wypadaloby przełożyć kurzeń, od wyrazu kurzyć, dymić; znaczy chatę drewnianą, dymną, nie mającą komina, w której ogień pali się zwykle na środku izby, a dym szczelinami której może wychodzi.

W kronice, z której wyimki p. Maciejowski w Kwartalniku Naukowym Krakowskim ogłosił, wyraz ten kureń przekrecono na korzeń, a atamanów kurennych rządzących kureniami, przewano atamanami korzennemi, którzy rządząli korzeniami!

zone było po kureniach. Sicz czyli kosz i jój kurenie, były wyłącznie przeznaczone na mieszkanie towarzystwa, właściwego wojska zaporozkiego, składającego się z samych bezzennych; bo żonaci, chociażby pochodzili z towarzystwa i osiedleńcy w połankach, byli: „poddaństwem” wojska.

Towarzystwo, czyli bezzenni Kozacy, byli pierwszymi właścicielami ziemi; imto rozdawano corocznie step i rzeczki na zimowniki, na pastwiska, do uprawy gruntu, na polowania i rybołówstwo, a to nazywało się „rzucac losy na rzeczki” (brosat' liasy na riezki); kiedy skończyło się losowanie, resztę ziemi (bez krzywdy jednak kureniom), oddawano starszyźnie, duchowieństwu, osiedleńcom, a nawet gościom, chociażby to byli turecy lub wołoscy czabani.

Towarzystwo mieściło się w 38 kureniach, których nazwiska, a razem i liczbę Kozaków w nich mieszczących się, w przecięciu podajemy:

| Nazwiska kureni. | Liczba Kozaków, w latach | | |
|-----------------------------|-----------------------------|------|------|
| | 1755 | 1759 | 1769 |
| 1. Briuchowiecki | 279 | 248 | 279 |
| 2. Baturyński | 317 | 200 | 248 |
| 3. Dzereljewski | 268 | 300 | 250 |
| 4. Doński | 205 | 205 | 208 |
| 5. Diadkowski | 314 | 327 | 381 |
| 6. Derewianiwski | 267 | 226 | 330 |
| 7. Humański | 241 | 224 | 478 |
| 8. Iwanowski | 454 | 454 | 382 |
| 9. Irklejewski | 482 | 480 | 738 |
| 10. Kalnibolotski | 265 | 265 | 288 |
| 11. Kaniowski | 682 | 550 | 618 |
| 12. Kislakowski | 286 | 220 | 245 |

| Nazwiska kurenii: | Liczba Kozaków w latach | | |
|---------------------------------|----------------------------|-------|------|
| | 1755. | 1759. | 1769 |
| 13. Krylewski | 214 | 511 | 315 |
| 14. Kuszczowski | 460 | 268 | 303 |
| 15. Korsunski | 402 | 415 | 305 |
| 16. Konielowski | 259 | 200 | 196 |
| 17. Koreniwski | 416 | 410 | 362 |
| 18. Lewuszkowski | 288 | 200 | 174 |
| 19. Miński | 448 | 611 | 297 |
| 20. Myszastowski | 269 | 265 | 263 |
| 21. Niezamajski | 347 | 350 | 382 |
| 22. Popowiczowski | 301 | 340 | 314 |
| 23. Peryasławski | 370 | 119 | 302 |
| 24. Połtawski | 520 | 250 | 506 |
| 25. Płastuniwski | 441 | 541 | 269 |
| 26. Płatniwski | 301 | 300 | 301 |
| 27. Paszkowski | 306 | 306 | 340 |
| 28. Rogiejewski | 406 | 406 | 488 |
| 29. Steblowski wyższy | 208 | 250 | 202 |
| 30. Steblowski niższy | 180 | 200 | 128 |
| 31. Sergiejewski | 258 | 200 | 215 |
| 32. Szkorynski | 336 | 338 | 504 |
| 33. Szczerbinowski | 309 | 319 | 399 |
| 34. Tomaszowski | 344 | 343 | 312 |
| 35. Titorowski | 330 | 330 | 179 |
| 36. Wieliczkowski | 360 | 361 | 234 |
| 37. Wiedmiedowski | 408 | 218 | 248 |
| 38. Wasiuryński | 513 | 220 | 339 |

Kiedy i z kąd kurenie te nazwiska takie podostawały? żadnego śladu nie pozostało. Ogólne zaś ich miano kurenie (po polsku kurzenie, od kurzenia się dymu), powstało zaraz przy nastaniu kozactwa.

Pierwsi osiedleńcy w siczy mieścili się rzeczywiście w jednej izbie, w kurenium, w budynku dosyć obszer-

nym; tém więcéj, że jedna połowa wojska zawsze wyprawiana była na rzeczki i pograniczne stannice.

Wyraz kureń, jeszcze teraz w Małorossyi znaczy namiot z chrustu i słomy, z otworem u wierzchu dla dymu.

Nikita Korz naoczny świadek, tak opisuje kurenie: „Kurenie siczowe nie były wcale podobne do pasterskich zwyczajnych szałasów, a stawiane były z rąbanego i piłowanego drzewa, w które Wielki-Ług (1) obfitował.”

„Kurenie były tak obszerne, że więcéj niż 600 Kozaków mogło się w każdym mieścić. Stawiano je bez żadnych przegródek, miały téż wewnątrz kształt wielkiej sali. Naokoło ścian do samych drzwi stały stoły, a naokoło stołów wąskie ławki. Piérwsze i honorowe miejsce było pod obrazami i tam zasiadał kurenni ataman. Przed obrazami stały bogate świeczniki i wisiały lampy, które na wielkie święta zwykle zapalały się. Piec do pieczenia chleba stawiano w oddzielnéj części, gdzie także mieścił się i kucharz (kuchar) kurenni; w samych zaś kureniach były gruby (piece, dziś jeszcze w Krakowskiém grubami nazywane). Kurenie miały swoją ogólną kurenną własność, sklepy i szynki w bazarze siczowym, podwórze około kureni i t. p., a własność ta nie mogła nigdy pod żadnym pozorem pojedynczej osobie być ustąpioną”.

Patryarchalny szacunek dla swych kureni był tak wielki, że nawet koszowi zawsze do spisu swego ku-

(1) Ług, znaczy nizkie brzegi rzék, pokryte trawą zdatną na siano. Uroczyszcze Wielki-Ług, jest dosyć wielka wyspa, oblana Dnieprem i Końskimi wodami; stynna w podaniu Zaporózców, jako piérwsze miejsce zawiązku sławnego zaporozkiego niżowego wojska.

renia rachowali się, swój prywatny majątek w skarbcu kurennym przechowywali, czasem nawet mieszkali w kureniach, a w ważnych wypadkach bywali nawet deputatami do kurenia swego.

Zaporozkie niżowe wojsko rządzone było przez swoją własną starszyznę, która dzieliła się na rozmaite porządkowe hierarchiczne stopnie. Starszyzna ta podług raportu złożonego hetmanowi małorossyjskiemu hr. Razumowskiemu 1755 r. przez kozowego Grzegorza Fiedorowa, była taka:

I. *Wojskowa starszyzna.*

| | | | |
|-----------------------------|---|-----------------------------|-----|
| a) Kozowy ataman. | 1 | d) Pisarz wojskowy. | 1 |
| b) Sędzia wojskowy. | 1 | e) Kurennych atama- | |
| c) Asaul wojskowy. | 1 | nów. | 38. |

II. *Pułkownicy.*

| | | | |
|-----------------------------------|---|-----------------------|----|
| a) Bohogardowy. | 1 | c) Kalmiuski. | 1 |
| b) Perewiezi v. Ingulski. | 1 | d) Samarski. | 1 |
| | | e) Kodacki. | 1. |

Przy każdym takim pułkowniku znajdowało się:

| | | | |
|-----------------|---|--------------------|----|
| Pisarz. | 1 | Podpisarz. | 1 |
| Asaul. | 1 | Podasaul. | 1. |

A że pięciu było pułkowników zarządzających pałankami, ztąd też było:

| | | | |
|------------------|---|---------------------|----|
| Pisarzy. | 5 | Podpisarzy. | 5 |
| Asaulów. | 5 | Podasaulów. | 5. |

III. *Komendy przy stanicach.*

a) W górze rzeki Dniepru na progach:

| | | | |
|-----------------------|---|-----------------------|----|
| 1) Pułkownik. | 1 | 4) Podpisarz. | 1 |
| 2) Pisarz. | 1 | 5) Podasaul. | 1. |
| 3) Asaul. | 1 | | |

b) Niżej na rzece Dnieprze w Prognojach do zbierania soli:

- | | |
|---------------------|---------------------|
| 1) Pułkownik..... 1 | 4) Podpisarz..... 1 |
| 2) Pisarz..... 1 | 5) Podasaul..... 1. |
| 3) Asaul..... 1 | |

IV. Wojskowa służba.

- | | |
|------------------------|-------------------------|
| 1) Podaśaul wojskowy 1 | 5) Puszkarz wojskowy. 1 |
| 2) Dobosz wojskowy.. 1 | 6) Podpuszkarz..... 1 |
| 3) Poddobosz..... 1 | 7) Harmarzew (dowódz- |
| 4) Różnej służby kan- | ca kanonierów.... 1. |
| celaryjnej 20 | |

V. Starszyna na wojskowych przewozach.

a) Na kodackim:

- | | |
|----------------------------|----------------------------|
| 1) Szafarz (szafar). . . 1 | 3) Podszafarzy 1 |
| 2) Pisarz 1 | 4) Podpisarz 1. |

b) Na Nikityna przewozie:

- | | |
|------------------------|----------------------------|
| 1) Szafarz 1 | 3) Podszafarzy 1 |
| 2) Pisarz 1 | 4) Podpisarz 1. |

Pokróćce rozbierzemy znaczenie wyliczonych stopni starszyny (starszyny).

Wogóle wszystkie bez wyjątku stopnie zaporozkiego wojska, od koszowego aż do pułkowego chorążego, były wybieralne i czasowe; byłato główna, nieulegająca żadnej zmianie zasada urzędzenia owój niżowój rzeczypospolitój. Corocznie 1 stycznia ściągato ze wszystkich stron do siczy „towarzystwo” tojest beżżenni Kozacy, i na wezwanie wojskowego asaula obchodzącego kurenie, zbierało się przed liturgią (nabożeństwem) na głównym rynku w majdan (połowa okręgu koła, dosłownie łuk), i tam „podług dawnego obyczaju” odbywato wybory.

Wybory te, jeżeli starszyzna lubiona była od towarzystwa, odbywały się spokojnie; ale często się trafiło, jak się to zwykle w takich razach dzieje, że wybory te otwierały pole do intryg i zamieszek, często dosyć gwałtownych.

Takie ogólne zebranie towarzystwa na wybory, nazywało się „ogólna wojskowa rada”. Odbywała się ona na rynku, pod odkrytym niebem, w przytomności całego wojska; każdy Kozak miał na niej głos równy kozowemu lub starszyźnie.

Oprócz tej ogólnej wojskowej rady, były osobne zбирання się, schadzki (schodki, schodzić się), na które schodziła się sama starszyzna wojskowa i niektórzy kurenni atamani i starcy. Na tych schadzkach stanowiono o najważniejszych przedmiotach, i o nowych wyborach w wojsku naradzano się wprzód, nim je podano do roztrząsania na burzliwą ogólną wojskową radę. Oprócz tego były mniejsze rady kurenne, rady w pałankach, i rady wojenne w marszu lub na wyprawie.

Ataman kozowoy, najpierwsza osoba w wojsku „główny jego dowódca” był cywilnym, wojennym, a nawet duchownym naczelnikiem Zaporozża. Jako najwyższy sędzia, był władcą życia i śmierci każdego Kozaka, rozstrządał ostatecznie, i miał władzę wykonawczą wyroków, nawet na śmierć skazujących.

Władzy tej bronili długo kozowi z zaciętością przeciw wszystkim postanowieniom Rossyi. Wchodził sam w imieniu własnym w dyplomatyczne stosunki z sąsiadami: Polską, Krymem i Turcyą, tudzież pogranicznymi władzami. Potwierdzał wszystkie wybory na stopnie wojskowe, podział między kurenne ziem, rzeczek, żołdu (w czasach zależności ich od Rossyi), prowiantów, woj-

skowych dochodów, wojennej zdobyczy i t. d. Również potwierdzał przyjęcie Kozaka do towarzystwa i jego uwolnienie z wojska. Pod jego imieniem adresowane, przychodziły wszystkie raporta podwładnych i wszystkie dyplomatyczne korespondencje.

Ale ta obszerna i na pierwszy rzut oka nieograniczona władza kozowych, była w samej rzeczy bardzo ograniczoną:

1) Ową wojskową radą i schadzką starszyny, której trzeba było donosić o każdym ważniejszym wypadku, o każdym akcie, a zwykłą formą; „A co bracia (albo dzieci), będziemy teraz robić”? (a szczo bratczyki albo dity budiem tepier robity?). Koszowy zapytywał się o zdanie piérwój, nim sam co postanowił.

2) Czasem; albowiem godność kozowego trwała tylko rok jeden, i zależała od wyboru towarzystwa. Bardzo mało zachowywało tę godność przez kilka lat z rzędu, jakoto: sławny Sierko, Gordejenko, Małaszewicz i Kalniszewski za nowój siczy; ale prawie wszyscy z przerwami wybierani byli po kilka razy. Mimo to, schadzka owa i ogólna rada wojskowa, chociaż zatwierdzała na dłużej atamana kozowego, ale „dopóty tylko, dopóki koszowy nie zacznie z własnej winy w jakimkolwiek względzie szkody wojsku przyczyniać”. Jeżeli zaś koszowy coś przekroczy, to on na schadzce od godności kozowego będzie odsądzon, a do ogólnej rady wojskowej zdawna uprawnionej, dopuszczonym nie będzie. Oczywiście więc, że mimo władzy powierzonych sobie, kozowi zależeli przeważnie od owych zgromadzeń wiciowych, bali się ich, bo od nich zależała ich godność.

Wojskowa starszyna; ta godność należała tylko do czterech osób: do koszowego, sędziego, pisarza i asauly wojskowego, i jako tytuł zostawała się przy tych starych i zasłużonych Kozakach, którzy piastowali już wszystkie albo jedną z owych godności, a uwolnieni od nich zostali w wojsku w swoim kurenium.

Na ogólnych zebraniach mieli pierwsze miejsce po rzeczywistej starszynie, w kureniach po atamanach kurennych; mieli udział w tajnej radzie czyli schadzce, i w czasie wojny na wyprawach dowodzili większemi oddziałami, mając pod dowództwem swoim pułkowników.

Sędzia był głównym wyobrazicielem wojskowego sądu, do rozbiérania i rozstrzygania cywilnych i kryminalnych spraw; w nieobecności koszowego, na jego prawach zarządzał w koszu, i wtenczas nazywał się: „Nakazny koszowy ataman”. Oprócz tego pełnił obowiązki koszowego kassyera, i pilnował wojskowego skarbu i armat.

Pisarz wojskowy był generalnym sekretarzem, albo raczej pierwszym ministrem wojska, w którym koszow i sędzia, nie umieli i nie powinni byli umieć pisać.

Pisarz nie tylko referował, ale i podpisywał wszystkie papiéry, podpisywał zaś nie swoje nazwisko, lecz zwykłą formułę, o której powiemy niżej. Ich godność tak wysoko cenioną była w Zaporozu, że w czasie całym trwania nowej siczy 1734 — 1775 r. czterech tylko pisarzy wybrano i to jeden po drugim. Pisarz był rzeczywiście naczelnikiem wojskowej kancelaryi i w pułkach wszystkiej pułkowej starszyny.

Asaul wojskowy był razem generał-adjutantem koszowego i ministrem policyi, i zwykle wyprawiani byli

ze znacznymi oddziałami na step i ku polskiej granicy, dla ścigania złodziei i hajdamaków, albo dla strzeżenia granic Zaporozza przy Orliku i Dnieprze od krzywd i napaści sąsiednich komend, albo nakoniec udawali się do pałanek, zamieszkałych przez żonatyh Kozaków i poddaństwo, dla wyprowadzenia jakiego śledztwa lub dla dopilnowania, aby wyroki zapadłe w koszu były ściśle wypełniane.

W czasie wojny, wojskowy asauł z wojskowym obozonym, jeżeli nie dowodzili osobnymi oddziałami, to byli głównymi pomocnikami koszowego, i strzegli porządku w wojsku i w obozie.

Asauł wojskowy odbierał i dzielił żołd i prowiant, pilnował służby, a w razie potrzeby wykonywał wyroki nad osądzonemi. We wszystkich czynnościach i radach, pomocnikiem asauła, oprócz jego podasaułów i pułkowych starszyzn, był wojskowy doboisz (dowbysz).

Wojskowa ta starszyzna miała swoje klejnoty (oznaki), które w wyprawach lub w uroczyste dni nosiła. Przy każdym starszym wojskowym była straż honorowa na usługi jego z tego kurenia, z którego on pochodził: przy koszowym 40, przy sędziu 10, przy pisarzu 27, a przy asaule 7 ludzi.

Wojskowe klejnoty (oznaki) były: chorągiew wielka królewska, która za czasów polskich w różowym polu miała białego orła, a w r. 1645, kiedy Zaporozcy przeszli pod zwierzchnictwo Rosyi, miała orła dwugłównego; buława, buńczuk, piernacz (rodzaj buławy mniejszej, mającej zamiast znajomej galki rogatęj sześć piór wklejonych), pieczęć, znaczki (mniejsze chorągwie), trzciny, a później srebrne litawry (narzędzie muzyczne ze srebra lub miedzi, do talerza lub tamberyńa podobne).

w które pałeczkami uderzano); mniejsze piernacze posyłane pułkownikom na znak ich godności, były żelazne, a czasem srebrne; także same dawane były podróżnym na znak wolnego przejazdu (żelazny list).

Buńczuk byłato wysoka żerdź, na wierzchu mająca złote jabłko, gdzie także przyczepiano dwa albo trzy końskie ogony. W wypadkach uroczystych, buławę, niósł koszowy, trzcinę i pieczęć sędziego, drugą trzcinę asaulego, chorągiew wielką, buńczuk i piernacz nosili wojskowi starszyzna, którzy dlatego nazywali się: wojskowy buńczuczny, chorąży i piernaczy.

Pułkownicy byli dwojacy: pochodni (ruchomi) i do pałanek. Pierwsi wysyłani byli z oddziałami dla zajęcia pewnych stanic na lądzie lub wodzie, dla schwytania złodziei i hajdamaków, lub wysyłani byli do stolicy po żołd i prowiant, kiedy już ściślej Kozacy do Rosyi należeli.

Takim pułkownikom dodawano pułkową pochodną starszyznę: asaulego jako adjutanta, i pisarza czyli sekretarza do prowadzenia korespondencyj z koszem, bo pułkownicy nie byli i nie powinni byli być piśmienni. Nazywali się oni pochodną (ruchomą) starszyzną, dla rozróżnienia od wysyłanej zwykle corocznie na rządzenie pałankami, która nazywała się w prostym narzęczeniu „pałanocznym państwem”. Do każdej pałanki, jak to widzieliśmy już ze spisu starszyzny, naznaczało się pułkownika, asaulego, pisarza, podasaulego i podpisarza, trzech panów i trzech podpanków (try pana i try podpanka), jak mówi Korz.

Pułkownik na znak swój godności i władzy dostawał piernacz, który nosił za pasem, i znaczek (małą chorągiew), którą nosił przed nim pułkowy chorąży. Każda

pałanka miała swoją pieczęć, która z czasem zmieniała się, jak to można widzieć na dołączonej tu tablicy.

Bardzo ważnym było znaczenie kurennych atamanów: byli to urzędnicy, których powstanie sięga początkowych czasów kozactwa. Sądząc po ich wpływie i głębokim szacunku ku nim wojska i samej nawet starszyny, można z pewnością wnosić, że ich początek sięga najdawniejszych i patryarchalnych jeszcze czasów i obyczajów Zaporozia.

Kozak, który nie był kurennym atamanem, nie mógł należeć do wojskowej starszyny, a tym bardziej być koszowym; inaczej nie mógłby mieć w wojsku potężnego wpływu, to jest władzy.

Wojskowa starszyna po uwolnieniu jej od obowiązków piastowanych, wracała do kurenia i znowu wybierana była często kurennymi atamanami. Kurenni ci atamani, mieli w swoim kureniu prawie ojcowską władzę, i często okropnie karali swoich Kozaków, bez odnoszenia się do koszowego. Oni mieli klucze od kurennego skarbu, który w razie ich nieobecności, w żadnym przypadku przez nikogo nie mógł być otwartym. Zapewne na kurennych atamanów a nawet i na koszowego i inne stopnie wojskowe, wybierano najwaleczniejszych z kurenia, bo wiemy z relacji jednej, że Kozacy zawsze szli na przodzie i większa ich część zwykle ginęła.

Starowolski wyraźnie powiada, że bez względu na pochodzenie, wybierali sobie na wodza tego, kto był najwaleczniejszym (1). Za pośrednictwem kurennych atamanów, koszowy mógł samowładnie rządzić wojskiem, nie obawiając się najmniejszego sprzeciwiania się Kozakom.

(1) *Institutorum Res militaris*, L. VIII, c. 6.

ków. Kiedy wojsko występowało w pole, to z kureniami szli nakazni kurenni atamani, a rzeczywiści kurenni atamani zostawali w siczy „na gospodarstwie”, mając pod sobą pewien oddział do pilnowania porządku w gospodarstwie i przygotowania zapasów na zimę. Każdy kureń miał swoje chorągiew (znaczek), a ten co ją nosił, nazywał się kurennym chorążym.

Służba wojskowa była następująca:

1) *Dobosz wojskowy* (dowbysz), który w stopniu stał niżej od pułkowej starszyny, był jednak ważną osobą w wojsku, bo co rok 1 stycznia, wzywał biciem w bęben całe wojsko na ogólną radę na rynek, i dawał znać, że koszowy stoi już pod wielką chorągwią. Oprócz tego wysyłano go, niby policmajstra, po to, aby dostawił do kosza jakich ważnych przestępców, aby przyspieszył pobór podatków, aby sprowadził zbiory i wyprawia z zimowników ociągających się Kozaków. On także osobiście był przytomnym przy wykonywaniu sądowych wyroków.

2) *Wojskowy puszkarz* (puszkar) zarządzał artylerią, chował proch, ołów i kule, dowodził armatami i kanonierami, a w dodatku wysyłano go po odbiór z kassy prowiantu prochu i ołowiu, wyznaczonego dla wojska. Pod jego dozorem była puszkarnia (prochownia), w której trzymano zamkniętych zbrodniarzy.

3) *Wojskowy tłumacz* (tołmacz), był tłumaczem w stosunkach różnych z Polakami, Tatarami, Grekami i Mołdawianami, a często wysyłano go do obcych krajów z tajnymi poleceniami, lub dla dowiedzenia się o zagranicznych wypadkach.

4) *Wojskowy kantarżej*, miał pod swoim zarządem miary i wagi wojskowe, pilnował poboru wojskowych

dochodów w przedmieściu czyli bazarze siczy, gdzie wszyscy handlujący musieli do koszowego skarbu dawać pewną opłatę (ralce), podarunki dla starszyny, dla wojska i cerkwi.

5) *Szafarze* (urzędnicy celni), byli u przewozów: koadackiego i Nikityna przez Dniepr, a samarskiego przez rzekę Samarę i u bohogardowskiego przy rzece Boh: oni pobierali opłaty celne, robili nakłady potrzebne na utrzymanie komendy i budowli, a zarazem pilnowali porządku i słuszności na przewozach, co było bardzo ważnym w czasie lata przy tak wielkim w tych miejscach handlu. Szafarz u Nikityna przewozu miał jeszcze obowiązek przyjmować gości i utrzymywać na koszt wojskowy zagranicznych kommissarzy tam się zbierających, dla zagodzenia wzajemnych sporów i skarg między Krymem i zaporozkimi Kozakami.

6) *Kancelarya wojskowa* składała się z pisarzy, podpisarzy, kancelarzystów, podkancelarzystów; pełna była i innych Kozaków, którzy wprawiali się w piśmie i mieli prawo posunąć się kiedyś na godności pisarskie.

7) *Nakoniec ataman siczowej szkoły*, to jest naczelnik i zarazem nauczyciel świecki dzieci, które chowano na koszczie wojska, pod nadzorem naczelnika siczowych cerkwi. Do tego dodać jeszcze trzeba: wojskowy stadnik, mający dozór nad stadami ogólnemi do całego wojska należącemi, i gromadcy atamani, to jest naczelnicy wsi i osad żonatyh Kozaków i poddaństwa; byłyto najniższe w porządku stopnie urzędowe w Zaporozżu.

Wszystkie te wymienione stopnie i godności w sławnym zaporozkiem wojsku, mogli otrzymywać sami tylko Kozacy z towarzystwa, to jest nieżonaci, bo żonaci żadnej godności, ani stopni nigdy nie mogli posiadać. Ró-

wniez prawo mieszkania w zimownikach mieli sami tylko Kozacy z towarzystwa, razem ze swoją służbą (mołodikami), którzy albo byli zapisani w którym kureniu, albo nie; ale byli także nieżonaci.

Ojciec mógł żyć w zimownikach z synami lub krewnymi, jeżeli ci zapisani byli w którym kureniu, ale ani matki, ani siostry, a tém więcej żadnej innej kobiety w zimownikach i kureniach nie było i być nie mogło. Dlaczego? Tak wymagała reguła zaporozkiego wojska.

Zimowniki byłyto folwarki, budynki, chaty na stepie, w pałankach, w których Kozacy nie wracając do kureni przez zimę mieszkali, a latem uprawiali ziemię, kosili łąki, utrzymywali stada i łowili ryby na rzekach do tego lub owego zimowiska należących; zawsze jednak prace te i dochód z nich szedł także na rachunek towarzystwa. Dopiero w r. 1760, kiedy ustawy kozackie słabnąć poczęły, starszyzna miała już swoje własne i bogate zimowniki, w których liczne stada i tabuny chowali. Towarzystwo ze zgrozą na to patrzyło, a ztąd różne głośne szemrania i skargi na koszt i starszyznę słyszeć się dawały. Zimowniki te z początku były nieliczne, a często dla małej ludności w Zaporozżu, o 15 lub więcej wiorst były od siebie odległe. W roku 1755 zimowników wszystkich było 431; liczba tak mała, że niepodobną jest do wiary. A ponieważ, jak słusznie zauważył p. Skalkowski, liczba ta stoi w raportach do rządu, to trudno jój wierzyć: bo wszystkie wewnętrzne urządzenia i zwyczaje, najstaranniej koszt ukrywał, nikomu prawdy nie wyjawiał, i ztądto powstało tyle przekręceń, tyle dziwaczych opowiadań o Zaporozżu, dopóki wynalezione archiwum kozackie zupełnie je nie obaliło.

III.

Zaporozkie zgromadzenie czyli towarzystwo (1).

Już w pierwszym moim artykule „O Hetmanach małosyjskich” nadmieniałem, że Kozacy, rozumie się zaporozcy, początkiem i przyczyną nastania swego, położeniem geograficznym na granicy nieprzyjaznych wrogów chrześcijaństwa, i formą właściwą sobie w której się pojawili i ciągle utrzymywali, bardzo dużo mieli podobieństwa do katolickich wojenno-zakonnych zgromadzeń średnich wieków.

Żeby domysł ten nasz w pewność historyczną zamienić, musimy głębiej jeszcze przedrzeć się w ducha i pojęcia téj wojennej drużyny, musimy wyświecić jój znaczenie z dowodów i źródeł, jakie ona sama po sobie zostawiła, a nie z rozumowanych i naciąganych wywodów.

Jak wiele stosunków miało Zaporozie z Polską, i że, jak to wszyscy już przyznają, od Polaków poszło pierwsze urządzenie i jakiś ład organicznej całości w Zaporozu, dowodzi to najlepiej wielka liczba wyrazów polskich, aż do ostatka w czystości zachowanych i używanych w Zaporozu. Chociaż towarzystwo zaporozkie wyznawało grecko-rossyjską wiarę, chociaż mówiło ruskim językiem, i chociaż pole jego działania zaodległe było od zachodu; nikt jednak, najzawziętszy nawet wróg kozactwa nie może zaprzeczyć jego podobieństwa z zachodnimi wojennymi zakonami.

Podobieństwo to w trzech głównych widzimy punktach: kozactwo, równie jak wojenne zachodnie zako-

(1) Towarzystwo, wyraz czysto-polski, towarzystwo.

ny, było związane z sobą węzłem bractwa, zgromadzenia (*societas*), wiary (*religio*), i celem swego ustanowienia, to jest powołaniem (*vacatio*).

W naszych czasach, wielom nawet znającym się dobrze na historii wydawało się dziwném, nawet niepodobném do wiary, ażeby napół ucywilizowani Kozacy, wiarusy, prawie niepiśmienni, nie należący w polityczném znaczeniu do liczby mocarstw europejskich, mieszkający, jak sami mówili, na stepach tatarskich, między agapińskimi koczowiskami, aby mówię ci wiarusy mieli się pojawić na polu historyczném w kształcie rycerskiego zakonu, wtedy właśnie, kiedy inne zakony na zachodzie upadły, zostawiwszy po sobie pamięć jedynie w pismach, herbach i nazwiskach familijnych szlachty zachodniej i południowej Europy. Templaryusze 1313 roku zniesieni, krzyżacy 1562 roku przechodzą w świeckie państwo i stają się wassalami Polski, jako księstwo pruskie; tylko rycerze Ś. Jana Jerozolimskiego trzymali się na wyspie Rodus, a potem na Malcie, ale i u nich widać było już ubytek pierwotnej energii i ubytek znaczny organicznej siły żywotnej.

Ale właśnie to, co się tak dziwném i niestosowném dla niektórych wydawało, wydaje się nam to logiczném następstwem i koniecznością; kiedy zakony wojenne zachodnie upadły, widać, że już potrzebne tam nie były, że spełniły co miały do spełnienia, i żyć przestały dlatego właśnie, że ich misya już się skończyła. Siła muzułmańskiego, tatarskiego potoku, grożąca nagle zachodniej Europie i chrześcijaństwu, wywołała na zachodzie oprócz ogólnej przeciw niemu obrony, specjalne stowarzyszenia czyli zakony; jedynie to na celu mające, aby walczyć wszędzie i ciągle zawziętych nieprzyjaciół imie-

nia chrześcijańskiego. Niebezpieczeństwo i ciągła napaść półksiężycą na Europę nie ustała, a co więcej jeszcze, wzmocniła się w XVI wieku; ale niebezpieczeństwo to już nie w Ziemi Śtój, nie we Francyi, nie w Hiszpanii, ale z innej strony groźnym się stawało; zwróciło się bowiem w całej sile na plemiona słowiańskie, od Dunaju do Wołgisiegając. Owoż na zachodzie ustała obawa i groźba od Turków i Tatarów, i niema też już zakonów rycerskich; ale za to na południo-wschodzie chorągiew półksiężycą rozwijała się w całej krwawej zapędności, i cóż tu dziwnego, że taż sama przyczyna w innym miejscu wydaje też same skutki? Owszem, toby było dziwnym i nielogicznym, gdyby ich nie wydała. To też powstaje zaraz w tej zagrożonej stronie Europy nowy zakon wojenny, nowe towarzystwo wojownicze, którego głównym celem jest bójka krwawa i nieustanna z Turkami i Tatarami. Czytajcie zresztą pozostałości po Kozakach w ich archiwum, zapytujcie się żywych jeszcze świadków sicy, lub jej potomków czarnomorskich i azowskich Kozaków, a nie wiercie paszkwilom i bajarzom, co dotąd historyami zaporozkimi się nazywały; a sami przekonacie się, że tak było a nie inaczej, i zgodzicie się z nami.

Rozbierzmy pokrótce warunki stowarzyszenia się kozackiego.

Zaporozcy związani byli świętymi węzłami: 1) Towarzystwa; albowiem wszyscy Kozacy bez różnicy stopnia, lat i pochodzenia, stawali się braćmi, towarzyszami, nazywali swojego koszowego kurenego atamana ojcem (bat'kiem), a Kozaków braciszkami (bratczykami). 2) Węzłem jednej i tej samej wiary; bo koniecznym było, że nikt nie mógł być zaporozkim Kozakiem, jeżeli nie był

prawosławnej wiary, tak dalece, że przybysze z innych krajów i innej religii, czy chrześcianie czy niechrześcianie, nieinaczéj byli przyjęci do towarzystwa, aż przyjęli religię wschodnią grecko-rossyjską. Że tak było, świadczy instrukcyja dana posłom kozackim do Petersburga 1767 r. 23 lipca, w której w § 8 powiedziano: „Do zaporozkiego wojska z różnych nacyj na mieszkanie i służbę, małoletni i dorosłych lat ludzie przychodzą, i po przyjęciu przez nich grecko-rossyjskiej wiary, zapisują się na służbę i wyuczwszy się ze wszystkiém jak trzeba reguły kozackiej, żyją”. 3) Węzłem posłuszeństwa (*votum obedientiae*), bo nietylko całe towarzystwo wojenne, ale nawet słudzy ołtarza i cerkwi zaporozkiej uważają się za oddzielną i niezależną od żadnej ruskiej dyecezyi owczarnią; słuchali jednego tylko naczelnika kozowego i kosza (wielkiego mistrza). 4) Węzłem bezienstwa (*castitatis*), które tak surowo wypełniali, że we wszystkich zaporozkich piśmiennych pomnikach, a tysiące ich zostało, w żadnym ani wzmianki niéma o kobiecie; a w sprawach kryminalnych, jeden i jedyny ślad pozostał: wyrok za zgwałcenie przysięgi na czystość.

Już powiedzieliśmy wyżej, że tylko nieżonaci należeli do towarzystwa, mieli udział w czynach wojennych i mogli otrzymywać godności i stopnie wyższe w wojsku. Każde przestąpienie tego, być może głównego prawidła i przysięgi, dokonane w koszu, nawet ukrycie w kureniu matki, siostry lub córki, uważane było za zbrodnią kryminalną, surowo a nawet śmiercią było karane. Kobiętom nazawsze był wzbroniony przystęp nietylko do sicy, ale nawet w pewnej od niej odległości znajdować się nie mogły; czyżto nie znana reguła (*claustrum*)

zachodnich wojennych zakonów? 5) Węzeł powołania; wojna z wrogami chrześcijaństwa i obrona chrześcijańskich państw, słowiańskich czy innych, bo to nie zmienia treści kozactwa, od napadu Saracenów, Turków i Tatarów. Czyż w tych pięciu wybitnościach siły łączącej i stanowiącej towarzystwo Kozaków, nie widać tychże samych zasad, na jakich stały zachodnie wojenne zakony? Czyżto nie jest nieunikniona konieczność tożsamości skutku z tożsamości przyczyny? Po co wyszukiwać rozumowań i wywodów nakręconych, nieprawdopodobnych, mając jasną logiczną drogę w prawdziwości faktu! Dziwny upór i zaślepienie nie chcieć widzieć tego, co jest jasnym i stawiać na to miejsce ciemne i nielogiczne domysły. Dodajmy jeszcze, że na podobieństwo zachodnich wojennych Kozaków, i zaporozcy szczególnie mieli nabożeństwo i cześć dla Najświętszej Matki Boga, Dziewicy Maryi; ona uważana była za patronkę wojska i wszędzie gdzie była sicz, natychmiast wznosiła się cerkiew w imię Opieki Najświętszej i Niepokalaniej Matki Boga-Człowieka.

Tutaj zaraz samo z siebie nasuwa się pytanie: z kąd w tém kozactwie wzięły się owe ustawy i spojinie czysto rycerskie, i tak do katolickich zbliżone?

Powiedzieliśmy już, mówiąc o hetmanach małorossyjskich, że wyjąwszy religią i język, wszystko inne było u Kozaków nowe, im właściwe, wyrobione z nowych i nieznanych wtedy na wschodzie Europy pierwiastków, a wszystko to do nich weszło z zachodu, z Polski. Polacy byli pierwszymi urządzielami téj drużyny, osiadłej oko w oko przeciw Turkom i Tatarom; zastali oni poza progami Dniepru ludzi odważnych, śmiałych, gotowych zawsze do walki i niebezpiecznych przedsięwzięć, i chociaż nie wskazali im celu ich bytu, bo ten już istniał, to

przynajmniej urządzili ich wewnątrz, nadając im wspólne ustawy i kształt organicznej całości.

Wielu nowych polskich badaczy kozactwa i jego znaczenia przyjęło już to mniemanie za pewnik, że Kozacy powstałi z téjże saméj przyczyny i w tymże samym celu, co zachodnie wojenne zakony, i że pierwsi Polacy obznajomieni i wychowani w ideach rycerskich, zanieśli na Zaporozie owe urządzenia wojenno-zachodnie. Teraz wszyscy bezstronni i zdrowo myślący rossyjscy historycy przyjęli tę myśl za pewnik historyczny, bo jest najlogiczniej krytyczną.

„Wówczas, kiedy zachód i południe Europy najeżone były wieżycami gotyckich zamków, a na skałach Rodu i Malty przebywały kawalerskie zakony, szczątki wielkich wypraw chrześcijaństwa na Azyą; nie wiedziano bynajmniej, że za warowną ścianą rzeczypospolitój polskiej, która wszystko zasłaniała od rozlicznych szkód i przygód, znajduje się na wschodnich granicach téjże Europy cały osobny system wojenny, wielkie stowarzyszenie ludzi orężnych, żyjących w ustawicznej wojnie przez wojnę i wojną. Z zadziwieniem się ujrzy, stojącą naprzeciw federacyi zachodniej feudalizmu, drugą takąż federacyą stanów wojennych na wschodzie. Naprzeciw zakonów rycerskich, strażnic zachodniego chrześcijaństwa, było drugie także stanowisko wojskowe, rozłożone po pustyniach i między kataraktami rzék; gdzie ostrow (wyspa) był klasztorem, step kommandoryą, gdzie nawet jak w tamtych bezżenność była ślubem” (1).

Rozumowanie p. Grabowskiego przy rozpatrzeniu się bliżej w Kozaczyźnie zaporozkiej, znalazło najoczywistsze potwierdzenie. Że Polacy pierwsi zanieśli tam ową ideę

(1) M. Grabowski: Literatura i Krytyka, część II, str. 6.

bractwa wojennego, jestto już prawdą powszechnie przyjętą; a że ciągle wywierali tam wpływ, to i to prawda. A czyż z drugiej strony nie wiadomo z historyi, że później polska szlachta nie tylko pomagała Zaporozcom przeciwko Bisurmanom, ale sama często w towarzystwo się zaporozkie zapisywała i miała udział w wyprawach kozackich, szczególnie Dnieprem na morze Czarne do Konstantynopola?

Konstytucya warszawska z r. 1635 pod tytu.: „Pohamowanie inkursyi morskich od wojska zaporozkiego” surowo postanowiła, ażeby szlachta, która nie hacząc na pokój z Turcyą, Kozakom zaporozkim pomaga i różne adminicula daje, sama z niemi na morze wyprawy czyni i zdobyczą się dzieli, była pozwana przed sąd sejmowy, i karą za pojedynki oznaczoną karana była.

Przedstawivszy znaczenie towarzystwa kozackiego ze stanowiska logicznego wyvodu, konieczności historycznej, trzeba poprzec teraz nasze rozumowanie dowodami czerpanemi z samego Zaporozia; trzeba okazać, że sami Zaporozcy zawsze w tym duchu występowali, i zawsze się za wojenny zakon uważali.

Pojęcie o zgromadzeniu czyli towarzystwie, zakonie, spotykamy na każdym kroku w działaniach Zaporozia. Ze wszystkich piśmiennych dokumentów pozostałych po Kozakach zaporozkich, widać najprzód, że nikt w wojsku zaporozkiem nie był osobą, jednostką oddzielną w interesach, celu i uczuciu od towarzystwa; wszyscy bez wyjątku Zaporozcy, dopóki byli rzeczywiście albo należeli do kozactwa: koszowy, starszyzna, pułkownicy, kurenni atamani i prości towarzysze, działali zawsze razem w imieniu całego i dla całego towarzystwa, całego wojska. Kozacy kurenni nie mogli mieć żadnej innej wła-

sności, ani w wojsku, ani za jego obrębem, oprócz żołdu i pieniędzy zdobytych na wyprawie, konia i broni.

W jednej bardzo starzej gawędce słyszanjej przez p. Skalkowskiego w Zwienigorodzie, gubernii kijowskiej, dymisyonowany Zaporoziec w późnej już starości, tak opowiada o swoim przyjęciu za młodu do wojska zaporozkiego: „I tak, przyszedłem w sicz i przedstawiłem się w kureniu, a jak już mnie ze wszystkiem przyjęli, to ataman w obecności wszystkich oddzielił dla mnie w kureniu trzy arszyny wzdluż, a dwa wszierz miejsce, i rzekł: „Oto twoja domowizna (domowina, grób), a jak umrzesz, to zrobimy jeszcze krótszą”.

Wszystko w koszu i w kureniu było wspólnem, nawet pożywienie, które gotowano w kureniu przez kurenego kucharza (kucharem); a jak niegdyś w Sparcie lub później i teraz w klasztornych refektarzach, tak i wszyscy Kozacy kurenia siadali razem do stołu, mając na czele atamana swego.

Kucharze ci należeli także do towarzystwa, bo w składzie każdej komendy wojennej, artyleryjskiej i prowiant-skiej, w szkole i służbie cerkiewnej, wszędzie jeden i ten sam był porządek; to téż i w kureniu: ataman, pisarz, a jeden Kozak kucharz. Był on znaczeniem wyższym od innych prostych Kozaków, bo był zarazem i kassyerem kurenia.

Są oryginalne piśmienne dowody: że chociaż władza koszowego i szacunek moralny wojska dla niego były wielkie i niezaprzeczone, nie mógł on jednak sam nic rozkazywać, ani spełniać bez woli i zgody „towarzystwa”.

W roku 1757, koszowy Grzegorz Fedorów był zapozwany przed sąd hetmański za to, że sprzyja i zasłania hajdamaków.

Na zapytanie sądu, dlaczego on pojmanyh hajdamaków wypuścił, odpowiedział: „Że on koszowy, przybyłych hajdamaków zabrać sam przez się i odesłać dokąd należało nie mógł, bo oni hajdamacy pod przysięgą przyjęci byli przez całe zgromadzenie, a bez zgody ogólnej, podług tamtejszego obyczaju nic czynić jemu samemu koszowemu niepodobna”.

W roku 1746, jakiś korsuński polski gubernator (rządca dóbr), żądał od koszowego Bazylego Grygorewa, żeby złodziei co go okradli, a do Zaporozia się schronili, odszukać i złapać rozkazał.

Posłaniec gubernatora powróciwszy z siczy doniósł mu, że atamani kurenni, zebrawszy się wszyscy, nie usłuchali koszowego, i złodziei śledzić nie chcieli. Nakoniec jednemu rossyjskiemu oficerowi, co sobie życzył zostać towarzyszem którego kurenia, koszowy Kalniszewski nie przyjąwszy go do towarzystwa, odpowiedział: „że gdy większa część wojska nie była obecną w siczy, to on nie mógł zażądać od niego zdania, i zgodzenia się na żądanie oficera.” W formie samój odezwy i korespondencyj urzędowych, owo działanie w imieniu całego towarzystwa było koniecznym warunkiem; kilka na to przykładów podajemy:

W roku 1688, kiedy Rossya mając prowadzić wojnę z Turcyą, uważała za konieczne wybudowanie fortecy przy rzece Samarze na ziemi zaporozkiej, to w odezwie Jana Piotra i Zofii Aleksiejownej powiedziano: „Naszej Carskiej Wielkości poddanemu, nizowego zaporozkiego wojska koszowemu atamanowi Gregorowi Sahajdacznemu, i całemu przy tobie znajdującemu się towarzystwu Naszej Carskiej Wielkości łaskawe słowo”.

W roku 1734, znajomy przyjaciel Mazepy, Orlik, tak zaczynał swoje podburzające odezwy do Zaporozców: „Moi wiele łaskawi przyjaciele i bracia, panie atamanie koszowy i wszystko starsze i mniejsze wojsko zaporozkiego nizowego towarzystwa”.

Nawzajem wojsko zaporozkie, od siebie w podobny sposób wydawało odezwy; i tak: roku 1683 uniwersał swój o cerkwi zaporozkiej taką zaczyna formułą:

„Grzegorz Iwanowicz ataman koszowy, sędzia, pisarz, asaula i my atamani wszystkich kureni i całe towarzystwo kurenne nizowe wojsko zaporozkie”.

W roku 1734, na odezwę hana krymskiego Kapłan-Gereja, Zaporozie odpowiedź swoją tak zaczyna: „Wasz list hański do nas wojska zaporozkiego nizowego przysłany, z przyjemnością my wojsko do rąk własnych odebrali i podług obyczaju naszego wojskowego, na ogólnej radzie naszej wszystkim na głos przeczytali” i t. d., a kończy tak: „Waszój hańskiej Wielkości wszelakiego dobra życzący i najniżsi do usług: ataman koszowy wojska zaporozkiego nizowego, z towarzystwem”.

Już później nawet, rosyjscy dowódcy wojsk w czasie wypraw, rozkazy i depesze swoje do wojska zaporozkiego wydawane, takąż samą formułą podpisywali.

Hr. Rumiańców 1769 roku pisze: „Panu atamanowi koszowemu wojska zaporozkiego Kalniszewskiemu z wojskową starszyzną i towarzystwem”; a w odezwie więcej przyjacielskiej niż urzędowej: „Dostojni i szanowni panie koszowy atamanie i całe zgromadzenie wojska zaporozkiego.”

Hr. Panin zawiadamiając Zaporozców o przybyciu swoim do armii, pisał do nich: „Wysoko szanowny

i znamienity zaporozkiego wojska panie koszowy atamanie, wojskowa starszyczno i towarzystwo, i moi przyjaciele". Nawzajem kosz w swoich raportach i podaniach do rządu, zachowywał aż do ostatnich czasów dawną zakonną formę, pisząc: „Biją czołem najpoddanniej Waszej Cesarskiej Wysokości, wojsko zaporozkie nizowe, ataman koszowy, wojskowa starszyczna, starcy, atamani kurenni i całe wojsko”.

Co większa, że i w wewnętrznych stosunkach kosza z podwładnymi i nawzajem, owo działanie w imieniu ogółu wszędzie się przebija i było surowo przestrzegane. Tak w rozkazach wydawanych z kosza do pułkowników w pałankach, do dowódców pewnych oddziałów, pisano:

„Z kosza wojska zaporozkiego nizowego, panu pułkownikowi samarskiemu NN. ze starszyczną i towarzystwem”. A podwładny odpisywał: „W kosz wojska zaporozkiego nizowego; albo „Jego wielmożności panu atamanowi Kozaków z wojskową starszyczną, wysoko szanownemi atamanami kurennemi i towarzystwem, pokorny raport”. Podpisywał się: „bohogardowy pułkownik NN ze starszyczną i towarzystwem”.

Że całe zgromadzenie, całe wojsko, całe towarzystwo, miało udział we wszystkich sprawach wojska, przytoczymy na to jeszcze dwa dokumenta:

1) Kiedy Filip Fedorow był uwolniony od obowiązków koszowego atamana, wojsko wezwało do zajęcia tej godności Piotra Kalniszewskiego i zarazem prosiło go, aby był jego obrońcą w Petersburgu. Akt tego wyboru i pełnomocnictwa brzmiał jak następuje; „My wszystkich kureni atamani, z całym kurennym towarzystwem, ze starcami i młodemi, sumiennemi i uczciwe-

mi Kozakami, starszyna i wszystko wojsko, wybrawszy Piotra Iwanowicza Kalniszewskiego na atamana do dowodzenia wojskiem zaporozkiem, uprosili go i t. d.”

Ten ciekawy dokument tak był ratyfikowany na potwierdzenie siły i na zakończenie wyżej napisanego: „Wszyscy razem atamani i całe towarzystwo, także starcy i starsi wojskowi, na tém przy ogólném kurenném zebraniu podpisujemy się.”

2) Koszowy w r. 1766 będąc w Petersburgu, był przymuszony w interesie wojska zaciągnąć pożyczkę 1000 rub. sr. Rewers przez niego wystawiony, podpisany przez wszystkich jego towarzyszy, zatwierdzony przez pisarza wojskowego, który téż i atamana koszowego podpisał, natychmiast był wysłany do kosza do ratyfikowania.

Dotąd jeszcze utrzymujące się przysłowie: „Cierp Kozaku, atamanem będziesz” (cierpi Kozak, atamanem budziesz), dowodzi, że podług praw towarzystwa, każdy Kozak mógł być wybranym starszyną i atamanem; ale władza koszowego ustawała natychmiast, jak tylko kto inny był na jego miejsce wybrany; wtedy każdy koszowy, sędzia, kurenni ataman, stawał się znowu Kozakiem towarzyszem, z tą różnicą, że ci co długoletnią służbą dosięgli do stopnia starszyny (pisarza, sędziego i asała wojskowego), dostawali po złożeniu tych godności tytuł starców (staryków).

Powiada kosz w swoim doniesieniu senatowi 1767 r., że w wojsku zaporozkiem służą i w siczy Zaporozża mieszkanie mają i szlachta i obywatele; ale całe towarzystwo wojska zaporozkiego równo pełni wojskową służbę, a tém mniej rozdzielania między niemi na osobli-

we dla każdego własności zupełnie nie ma. Te proste ale dobitne wyrazy, najjaśniej pokazują ducha ich wewnętrznego urzędzenia na zakonny sposób.

W opowiadaniu Zaporozca Korzy, znajdujemy jedną okoliczność, która w pewnym względzie potwierdza to, cośmy dotąd o charakterze towarzystwa zaporozkiego wojska powiedzieli. Mówi on „że kiedy Kozak hulając po stepie zajeżdżał po drodze do którego zimownika, to wjechawszy na podwórze i nie zsiadając z konia, wołał: pugu! pugu! Na to gospodarz zimownika, jeżeli należał do towarzystwa, przez okno zapytywał się: pugu? pugu? Gość natychmiast odpowiadał: Kozak z Ługu, i wtedy zaraz przyjmowano go do izby, a konia do szopy.

Przybyły Kozak wszedłszy do chaty i oddawszy pokłon obrazom, mówił: „Atamanie, towarzystwo nasze głowy!” Gospodarz odpowiedział: „Wasze głowy, proszę panie bracie siedzieć.”

Z tego opowiadania wnioskujemy, że Kozak tym umówionym językiem dawał poznać: że należy do towarzystwa zaporozkiego i nazywał się Kozakiem z Ługu, bo wiadomo z kądinąd, że Wielki Ług, podług podania Zaporozców był pierwszym miejscem osiedlenia się i związku sławnego nizowego zaporozkiego wojska, a najważniejszych między sobą żartem nazywali Ługarzami.

Nie możemy jeszcze nie zwrócić uwagi czytelników na ten wyraz starcy (staryki), tak często używany w pismach zaporozkich i dokumentach przez nas wyżej przytoczonych, a który tak logicznie odpowiada owym w zakonach wojennych starszym (seniores).

Widzieliśmy, że rząd w Zaporozżu był czysto-demokratyczny z pewnym odcieniem patryarchalnego: chociaż władza koszowego i starszyny była wielka, ale moc ich

jako urzędników wybieralnych, zależała od woli i dobrego względem nich usposobienia towarzystwa, od kozackich głów prostych i nieokrzesanych, a często aż nazbyt zapędnych. Bez względu na okoliczności wymagające najściślejszej tajemnicy, wszystkie wiadomości i odezwy, trzeba było na głos czytać całemu wojsku na rynku, i słuchać jego zdania i woli. Któż wtedy mógł ręczyć za słuszność i roztropność sądu i decyzji, za zdrowy rozsądek tłumu bez domu i familij, lubiącego zawsze i nadewszystko walkę, gwałt, napad, nieposłuszeństwo, a do tego jeszcze pijaństwo? Owoż cała siła kosza i starszyny leżała w starcach, których moralny wpływ na wojsko był zadziwiający. We wszystkich ważniejszych papierach, jakoto w prośbach i raportach do cesarzów, w korespondencyach z hanem krymskim, w rozkazach, wszędzie po koszowym i wojskowej starszynie znajdujemy ten wyraz „starcy.”

W odezwie swojej biskup Irydion w r. 1735 wzmiankuje o życzliwości dla klasztoru, kurennych atamanów i starców, i przyrzeka modlić się za panów atamanów kurennych i starców, i za całe towarzystwo rycerskie nizowego wojska. Są na to dwa inne jeszcze piśmienne dokumenta:

W roku 1765 koszowy pisał z Petersburga do wojskowego sędziego Pawła Gołowatego, namiestnika swego w Zaporozu: „W następujący Nowy Rok, nie róbcie tego abyście się od rządu uwalniali; albowiem jeżeli zechcecie to zrobić, to wielką wojsku i nam hańbę sprawicie; za biędne sieroty was tylko samych Bóg mścić się będzie. Żeby zaś wojsko téj zmiany w terażniejszym krytycznym położeniu nie zacheiało uczynić, czego się nie spodziewam, pisałem o tém do starców; ażeby

znowu panowie atamani kurenni nie chcieli tego uczynić, objawić tę moją kartę (pismo) panom atamanom kurennym na schadzce, żeby o tém wiedzieli, a czując obecną potrzebę wojska i okrutne przez kilka lat zniszczenie, nie czynili w was, w sobie i innych, żadnej przemiany aż do mojego przyjazdu. A jeżeli kto tego nie posłucha, i zacznie działać jakie zamieszanie, to nie tylko przed Bogiem, ale i przed wojskiem sądzony będzie”.

Na tém piśmie znaleźliśmy następującą notatkę sędziego, przez pisarza dołożoną:

„Ta kartka odebrana od pana koszowego 6 grudnia, a nazajutrz objawiona na schadzce i tam w przytomności starców zatwierdzono: Podług tego zupełnie postąpić”.

Drugi przykład jest następujący:

W roku 1774 do Potemkina na rok przed zupełnym zniszczeniem siczy, doszła na nią nowa skarga noworosyjskiego kraju. Potemkin rzekł wtedy do wojskowego posła Antoniego Gołowatego: „Poślemy reskrypt do kosza, żeby sam koszowy ataman z pisarzem przyjechał do Moskwy dla usprawiedliwienia się”. Zaporoziec odpowiedział potężnemu magnatowi: „Ataman koszowy i starszyzna temu nie przyczyną, a czyni się to tak od towarzystwa. Nad koszowym i starszyzną przewodzą (kuczat, dokuczają) starcy, atamani kurenni i wojsko”. Cóżto więc byli owi tajemniczy starcy, kiedy wszystko wewnątrz kosza od nich zależało? Byłito zasłużeni i zestarzeni w siczy Kozacy, nie prości, ale ci tylko, co już godności wojskowej starszyny posiadali. Byłito ludzie, którzy z ojczyzny swojej nie przynieśli do Zaporozża żadnego czulszego wspomnienia, którzy w dzieciństwie porwani lub przywiezieni, wychowani po kozacku, męż-

twem doszli najwyższych stopni, polubili wojsko i kozackie ustawy i życie. Cały świat dla nich był ześrodkowany w koszu, a wszystko zewnątrz niego było prawie dla nich niepojętém, a nawet nieprzyjawném. Oni to we wszystkich ważnych wypadkach byli najsilniejszą podporą Zaporozża, a nieraz także sprawcami jego nieszczęść i klęsk.

Nie możemy pominąć jeszcze jednego rysu, jednej wybitności, która czyniła Zaporozżców tyle podobnemi do wojennych zakonów zachodniej Europy; to jest: młodyków (młodzienców, giermków, braciszków).

Z wielu przykładów przekonywamy się, że przy kozowym atamanie i przy starszyznach głównych sicy znajdowało się w czasie wypraw od 40 do 50 młodyków, to jest bardzo młodych Kozaków, zapisanych w kurenach, którzy wypełniali przy nich obowiązki chłopców, pazi, giermków, i tym sposobem przygotowywali się do zajęcia kiedyś miejsca rzeczywistego Kozaka. Oprócz tego nietylko przy starszyźnie, ale i przy każdym innym starym Kozaku był młodyk, zwykle jego dziecko, krewny, albo razem z nim na Zaporozże przybyły, który tym sposobem odslugiwał swoje lata nowicyatu, a potem dopiero stawał się kurennym rzeczywistym towarzyszem. Nazywali zaś ich w koszu i pałankach młodykami, dla odróżnienia ich od prostoroboczych, poddańszczuków, parobków, którzy nazywali się argatami.

Chociaż Zaporozcy chętnie przyjmowali do swojego towarzystwa każdego kto przybywał, i wyprobowawszy jego męstwo i gorliwość, zapisywali do kurenia w towarzystwo; ale zawsze pilnie baczyli, aby to byli ludzie wolni, szlachta, popowicze; Tatarzy czy Kozacy z Małorosyi, wszystko jedno: chociażby zbrodnia i infamia na nich

ciężła. Zmieniwszy nazwisko przyjmowali ich (1), ale chłopów nie przyjmowali, chyba przez nadużycie tych, którzy ich przedstawiali i stawiali za nich także rękojmią (kumowie, ojcowie chrzestni w zakonach wojennych). Również każdy Kozak zaporozki bez żadnej przeszkody uwolniony był z towarzystwa, i w tém była prawdziwa wolność kozacka.

Tak r. 1760 śmılański guber. Jerzy Dobrzański pisał do kosza, że Zaporozcy będąc na Ukrainie za handlem, zamienili i uwieźli z sobą w Zaporozie małoletniego syna polskiego szlachcica Ignacego Bosowskiego, który był u niego w gościnie; dlatego prosi, aby Bosowskiego uwolnili z wojska, bo rodzice chłopca pozwalają go za to jako opiekuna do sądu; kosz nie namyślając się uwolnił młodego „Laszka” jako niemogącego jeszcze mieć własnej woli.

W r. 1768 znowu w czasie pamiętnej humańskiej rzezi, Zaporozcy wybawili od śmierci sierotkę szlachcica Jerzego Chrzanowskiego, którego ojca i braci zabili chłopcy; ochrzcili chłopca na wiarę grecko-rossyjską, i oddali pod opiekę bohogardowego pułkownika, a ten potem odesłał go do sycy, aby tam przyjęty był między młodyków. W r. 1770 Jakób Kwiatkiewicz pograniczny gubernator targowicki, na prośbę krewnych Chrzanowskiego prosił kosza o uwolnienie chłopca z wojska, co natychmiast uskuteczniło.

Towarzystwo opuszczało Zaporozie albo dla żeniaczki, albo dla służby w Małorossyi, gdzie dostawali stopnie i ziemie; ale największa część zostawała do samej śmierci w Zaporozu.

(1) Institutorum Rei militaris. Starowolski, ks. VIII, rozd. 7. Kraków, 1640.

Dziwna rzecz zaiste, że oczywistość najjawniejsza nie zwróciła tak długo oczu historyków, i że nie chciano widzieć w Zaporozżu tego, co konieczny bieg rzeczy ludzkich i konieczny stosunek przyczyny do skutku, uczynił nad brzegami Dniepru jak i nad brzegami Jordanu!

Jeszcze jeden rys i ostatni owego zbliżenia, a powiedziałbym raczej tożsamości znaczenia towarzystwa zaporozkiego i zakonów wojennych. Pojęcie owo towarzystwa regularnego, rozprzestrzeniło się w końcu bytu kozactwa i poza granice Zaporozża; a jak w zakonach wojennych, szczególnie maltańskim przy jego konaniu, przypuszczano i wydawano patenta na kawalera maltańskiego, tak, że połowa europejskiej szlachty do niego należała (byłoto z początku uposażenie młodszych braci, a później modą, chociaż ztąd na przyjmującego tę nazwę, żadne obowiązki przywiązane do tego zakonu nie spływały); tak samo mamy fakta, że i Polacy i Rosyianie zapisywali się w liczbę Kozaków dla zaszczytu należenia do walecznego i dzielnego bractwa, z tą różnicą, że Polacy nawet czynnie bywali często członkami tego bractwa: boć jakieś węzły moralne, jakby autora i jego dzieło wiązały Polskę z Kozakami. Później dopiero, kiedy Kozacy przeszli pod panowanie Rosyi, wielu z magnatów rosyjskich zapisywało się w bractwo wojenne kozackie, nie dzieląc jego prac i nie pełniąc jego przepisów; i tak: astronom Euler, generałowie: Usaków, Bibików, Potemkin, Oberman, Panin byli członkami honorowemi towarzystwa zaporozkiego. Ciekawa dlatego jest rzecz, wpośród tylu znamienitych i potężnych imion dziękujących szczerze za wyświadczoną im cześć przyjęciem do sławnego zaporozkiego wojska, spotkać kiedy niekiedy przykład dumnej odpowiedzi i odrzucenia we-

zwania kosza na członka towarzystwa kozackiego. Ani się dziwić będziemy temu, kiedy po tylu strasznych kłeskach i zaburzeniach, odpowiedź tę dumną i odrzucającą wezwanie, posłał Polak, ani zresztą w tym fakcie nie ma nic zabawnego, a tém mniej nic śmiesznego; nie wiem więc dlaczego pan Skalkowski przywołując ten fakt, wystawia go trochę śmiesznie i ironicznie.

Trudno jest żądać od Polaka jakichś serdecznych uczuć dla Zaporozia i kozaczyzny, którzy podniósłszy przeciw Polsce zbrojną rękę, obok innych nieszczęść najsilniej podkopali jój polityczną budowę.

Ten człowiek, z którego odpowiedzi tak niesłusznie zacny i bezstronny zkadinał autor żartuje, byłto bohusławski gubernator Michał Kleczkowski. Pisał on do koszowego list, w którym między innemi odpowiada mu: „Że zaś Waszmość pan raczysz w liście swoim nas do zaporozkiej służby zapraszać, odpisuję: jeśliby ja był złodziej albo rozbójnik, albo jaki hultaj, albo drapieżca; jeśliby mi się zachciało owych rycerstw stepowych poza komyszami dokazywać, a nietylko chudoby, ale i życia ludziom odbierać: tobym może i na służbę waszą udał się; a ponieważ ja pod znakiem koronnym i bez tego towarzyszem jestem, onój waszej służby nie chcę”. Datt. 2 sierpnia 1752 roku.

(Dalszy ciąg nastąpi).



PODHALE PÓŁNOCNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW

CZYLI

TATRY POLSKIE.

PRZEZ

Ludwika Lejznera.

Széroka dolina Dunajca ściśle odgraniczająca Bieskidy od Tatrów, ma bardzo odmienny charakter na przeciwnych końcach. Od Orawy u stóp Babięż Góry aż do wioski Czarny Dunajec, jest ona raczej zagłębieniem pagórkowatém, środkiem którego nie płynie ani rzeka, ani strumyk, tak, że nikt nie mógłby się dorozumieć, że to jest dolina. Od wsi dopiero Czarny Dunajec, zagłębienie to nabiera właściwy charakter doliny; odtąd znacznie széroka i podłużna równina rozpościéra się pomiędzy stromo spadającym południowym bokiem Bieskidów, a wznoszącém się zwolna ku południowi Podhalem, i z takim charakterem ciągnie się aż do Czorsztyna, gdzie odcinają ją grzbiety Bieskidów, stykające się z małowniczymi Pie-

ninami. Kierunek téj doliny jest tenże sam co Tatrów, to jest z zachodu na wschód. Środkiem płynie szumny Dunajec, zasilany szmaragdowo-zielonemi wodami, spadającymi z niebotycznych wierzchów Tatrowych.

Przestrzeń kraju wzgórzystego zawarta pomiędzy doliną Dunajca a stopami Tatrów, na trzy mile szeroka, a sześć do siedmiu mil długa, nazywa się Podhalem, co znaczy kraina pod gołemi górami. Najwyższe wierzchy Tatrów tak są wysokie, iż na ich szczytach dla ostrości klimatu nie rosną drzewa; przeciwieństwo zachodzące pomiędzy czarnym lasem a smukłemi wirchami wyżej sterczącymi, wyraża ta mało znana nazwa ogólnie używana; nie czysto wprawdzie polska, lecz spowinowacana z językiem słowackim, którym mówią mieszkańcy na przeciwnéj pochyłości tego pasma, w Liptowie, Orawie i innych sąsiednich górach.

Podhale jest właściwie wielką równią pochyłą ku północy schyloną, przerwana trzema wielkimi szczelinami, przez które toczą swe nurty rzeki Tatrowe: Czarny i Biały Dunajec i Białka. Dopłynąwszy one do doliny Dunajca, nagle zmieniają pierwotny kierunek z południa ku północy, łączą się z nim i powstaje właściwy Dunajec. Dolina ta jest znacznie wyniesioną nad poziom morza; w górnym końcu ma nawet też samą wysokość, co najwyższa góra w królestwie Polskiem, Łysica; wieś bowiem Czarny Dunajec leży nad morzem 2005 stóp. Dalej na wschód zniza się ta dolina coraz bardziej; Ludzimierz jest wyniesiony 1751', Nowy targ 1735', a Maniowa 1693 stóp. Od doliny Dunajca ku południowi, wznosi się ku Tatrom skośna wyżyna, a najwyższe jéj wzniesienie leży tuż przy nich i dochodzi 2900 do 3300 stóp; prawie do téjże wysokości rozsia-

ne są liczne domy. Wyżyna ta nie styka się z Tatrami, bo oddziela ją inna dolina mniej więcej széroka. Alex. Humboldt właściwym sobie sposobem oblicza wyniesienie wyżyn: bierze średnią z ich najwyższego i najniższego punktu, i taką liczbą wyraża ich wyniesienie. Tym sposobem obrachowane wyniesienie nad poziom morza wyżyny stanowiącej Podhale, wynosi około 2500 stóp paryzkich. W porównaniu z innemi wyżynami europejskiemi, nasze Podhale należy do najwyżej wyniesionych: i tak: wyżyna Auwernii we Francji południowój wznosi się 1050 stóp; wyżyna bawarska 1560 stóp; wyżyna hiszpańska 2100 stóp; wyżyna perska od 2100 do 3600 stóp wysoka, najwięcej zbliża się do wyżyny Podhala. W porównaniu jednakże z wyżynami innych części świata, jest ona niską, albowiem wyżyna Papayan w Ameryce południowój, wznosi się 5400 stóp; wyżyna niższa abissyńska w Afryce, na której jest jezioro Tzana, 5730 stóp; wyżyna południowój Afryki 6000 stóp; wyżyna wyższej Abissynii zwana Aum, 6670 stóp. Ale jak wszystkie góry nie mogą się równać z wysokością wierzchów Himalajskiego łańcucha, tak i im przyległe wyżyny; wyżyna pomiędzy łańcuchami Himalajskim a Kuenlun, wznosi się pomiędzy 10,000 a 12,000 stóp, a zatem prawie pięć razy wyższą jest od wyżyny Podhala, a nawet półtora raza przenosi najwyższe szczyty Tatrów, wyniesione do 8000 stóp.

Łatwo się dorozumieć, że znaczne wyniesienie Podhala stanowczy wpływ wywarło na jego własności fizyczne. Im bowiem kraj jaki wyżej się wznosi nad poziom morza, tém jest zimniejszym, i ztąd pochodzi, że na Podhalu klimat podobny jest jak w krajach leżących w wysokiej północy, np. w północnej Norwegii i Lapo-

nii. Dlatego też Podhalanie nie uprawiają zbóż ozimych, ograniczając się tylko na samych jarzynach, a pospolicie sieją owsy i jęczmiona; czasem widać wprowadzić kilka zagonów żyta, ale te są po ogrodach. Ziemniaki udają się również dobrze jak na równinach, ale szczególnie sprzyja tutejszy klimat uprawie lnu; ztąd często widać podczas lata wielkie łany okryte niebieskim kwiatem tej rośliny, co nadaje właściwy wdzięk tym okolicom.

Stosunki klimatyczne Podhala, jego znaczne wyniesienie nad morze, właściwa roślinność blizkich Tatrów, stanowczy wpływ wywarły na jego mieszkańców; i chociaż należą do szczepu polskiego, różnią się nadzwyczajnie od swych współbraci, uprawiających żyzne równiny pod Krakowem, Tarnowem, Kielcami, Sandomierzem i t. d. Zupełnie odmienne mają zwyczaje, sposób życia, a nawet wady; odznaczają się niezaprzeczenie bardziej obudzonemi władzami umysłowemi i tą bystrością umysłu, która odróżnia ludzi ociężałych od czynnych: i dlatego chociaż zamieszkują najnieurodzajniejszy kraj, przecież nierównie lepszy jest ich byt, lepsza odzież i domy, aniżeli ich sąsiadów na żyznych równinach nadwiślańskich. Niemało do tego przyczyniły się stosunki socyalne. Jak daleko pamięć sięga, używali Podhalanie zupełnej swobody; od niepamiętnych czasów uprawiali sobie swe role i nie odrabiali nikomu pańszczyzny, opłacając czynsze nader umiarkowane. Tym sposobem urosła niepospolicie ludność, która w miarę rozrodzenia, dzieli się coraz bardziej gruntami, a tym sposobem zmuszona jest do doskonalszej uprawy roli i do zatrudnień przemysłowych. Na całym Podhalu żyją sami polscy górale. Przed rokiem 1772 byli pod je-

dnym rządem, teraz rzeka Białka dzieli ich na dwie prawie równe części: wschodnia część należy do Spiza i stanowi część tego hrabstwa węgierskiego, zachodnia zaś do Galicyi, i liczy się do obwodu sandeckiego.

Tatry zamykające na południe od doliny Dunajca widnokrąg a zarazem Podhale, mają tenże sam kierunek, co taż dolina, to jest ze wschodu na zachód. Potężny ten łańcuch, podobny do niezmiernego zębatego muru, nadzwyczajne sprawia wrażenie. Ale obraz ten bardzo jest odmiennym w różnych porach dnia; kiedy powietrze jest przezroczyste, a skłaniające się ku zachodowi promienie słońca, oświecają te potężne szczyty: wtedy bywa do najwyższego stopnia wspaniałym, i jakiś niewymowny urok owłada naszą duszę. Przeciwnie zaś, kiedy białawe mgły obsiadą te szczyty w czasie skwarne go południa, a liczne obłoki unoszą się nad niemi, wtedy nie mają ani wielkości, ani tego czarownego widoku; bo nie tak właściwość postaci, jak raczej oświetlenie jest przyczyną szczytniej piękności widoków.

Tak Polacy mieszkający na północnej pochyłości tego pasma, jak Słowaki na południowej, nazywają to pasmo Tatrami. Znają toż nazwisko również dobrze pod Krakowem, jak na żyznej równinie węgierskiej pod Miszkolcem i Tokajem; tylko u stóp południowo-wschodnich tych gór siedzący Niemcy, sprowadzeni do Węgier w XII i XIII wieku, nazywają je Karpatami. Nie masz jednakże wątpliwości, że nazwa Karpaty zupełnie obca tym góróm, przybyła z zewnątrz i jest nazwą uczonych, a nie ludu. Pomiedzy ludnością niemiecką panuje nierównie większa oświata anizeli w słowiańskiej; po ich miasteczkach są liczne szkoły, żyją w nich ludzie mający wyższe umysłowe potrzeby, i to jest powodem,

że prawie wszyscy podróżni opierali się o Kesmark, Lewoczę, Igło, gdzie panuje żywioł niemiecki, i ztądto nie dowiedzieli się o właściwej nazwie Tatrów. I tak: Genersich w 1807 roku ogłosił: *Podróż do Karpat* (1); Wahlenberg, jeden z najznakomitszych botaników, autor wyborniej flory Tatrów, nazywa je *głównemi Karpatami, Carpathi principales* (2), a Sydów w monografii geograficznej tego pisma, *Karpatami środkowemi, Centralkarpathen* (3). Jestto błąd, pochodzący z nieściśłego zastanawiania się nad nazwami, i nieznamomości języka zwiędzanego kraju. I u nas powtarza się nieraz to zamieszanie, chociaż jeszcze Staszyc w *Ziemiorodztwie Karpat* dokładnie określił, który łańcuch nazywa się Tatrami. Jedni nazywają u nas Tatry Karpatami te góry, inni przeciwnie cały łańcuch Karpacki mianują Tatrami. Tatry jednakże są tylko częścią Karpat, najwyższym ich łańcuchem, mającym właściwy kierunek i fizyognomię. Wiele zastanawiano się z jakiego języka pochodzi ich źródłosłów. Niemasz pewności, czy jest polskim czy słowiańskim; to tylko jest pewnym, że wyraz ten nie pochodzi od Tatarów, bo z górą na dwa wieki przed ich napadem na Europę, już nazywano je *Tryn, Tritri*. W nadaniu biskupstwa pragskiego z roku 973 już czy-

(1) Christian Genersich, *Reisen in die Karpaten mit vorzügliches Rücksicht auf das Tatragebirge*, 1807 roku, wydane przez Bredeciego w *Neue Beiträge zur Topographie und Statistik von Ungarn*.

(2) Georgii Wahlenberg: *Flora Carpathorum principalium exhibens plantas in montibus Carpathi, cis ultra flumina Waagum et Dunajetz eorumque ramos Arvam et Popradum crescentes*. 1814. Göttingae.

(3) *Bemerkungen auf einer Reise im Jahre 1827 durch die Beskiden über Krakau und Wieliczka nach den Centralkarpathen, von Albrecht von Sydow*, 1830. Berlin.

tamy następujące wyrazy: „*Montes quibus nomen est Tritri*” (góry które nazywają Trytry) (1); według wszelkiego prawdopodobieństwa sąto Tatry. Na południe od Tatrów na Węgrach, powtarza się ta nazwa, a równoległy potężny grzbiet z właściwemi Tatrami, odgraniczający Liptów od hrabstwa zwolenńskiego, nazywa lud *Niżnemi*, czyli *niższemi Tatrami*. Prócz tego są jeszcze łańcuchy, mające blizkobrzmiające nazwy; i tak: mały łańcuch odgraniczający Liptów od hrabstwa turczańskiego, nazywają *Fatrami*, a dalej na południe przy samej równinie węgierskiej, w hrabstwie Hewesz, niedaleko miasta Erlau (po słowacku Jagier) słynnego z wybornego czerwonego wina, są *Matry*. Tak blizkobrzmiające wyrazy naprowadzają myśl, że muszą mieć wspólne źródło. Potwierdził to professor Bopp w Berlinie, znakomity znawca sanskrytu, któremu świat uczony winien tak szczęśliwe porównawcze badania nad językami. Od niego otrzymałem następujące objaśnienie tych nazw: *Matra*, *Fatra* i *Tatry* można wyprowadzić z języka sanskryckiego; *Mahidhara* znaczy po sanskrycku dosłownie tłumacząc, *nosiciel ziemi*; Indyanie wyobrażają sobie, że boki i grzbiety gór dźwigają urodzajną ziemię. Toż samo znaczenie ma wyraz skrócony *mahidra*, a jeżeli wypuścimy jeszcze z niego sylabę *hi*, otrzymamy wyraz *madhra*, *matra*. Tak samo wyprowadza nazwę dla *Fat*trów z *Bhudhara* i tenże sam źródłosłów dla *Tat*trów,

(1) Pelzel i Dobrowski wymieniają nazwę tę pisaną różnie w różnych rękopismach, i tak: w rękopismie katedry pragskiej *Tritri*; w wiedeńskim i drezdeńskim *Tritri*; w Freherus *Brzeznoviensis Tryti*, a korektor zrobił *Trnin*. *Scriptorum rerum bohemicarum. Cosmae Cronicon Bohomorum. Praga*, 1783, str. 69 i 170. Palacki i Szafarzyk: *Würdigung der boehmischen Geschichtschreiber*, str. 15. Szafarzyk, *Słowiańskie Starożytności*, przełożył Bońkowski T. 1 1842 r., str. 632.

który składa się zapewne z dwóch wyrazów *Dhara dhara*, toż samo znaczące, co poprzednie i przez wyrzucenie można znowu otrzymać Tatry. Indyjanie w ogólności wszystkie wyrazy, które oznaczają noszenie ziemi, używają także w znaczeniu góry. Sąto bez wątpienia arcy ciekawe myśli o źródle tych nazw, dotąd nieodgadzionych, które tylko są w stanie objaśnić uczeni, obdarzeni obszerną znajomością języków tak europejskich, jako i wschodnich.

Tatry odróżniają się na pierwszy rzut oka od Bieskidów właściwą postacią, ogromem i odmiennym kierunkiem; to mają z nimi tylko wspólnego, że należą do zbioru gór, albo raczej do pasma zwanego u geografów Karpatami. Granice Tatrom nadają rozmaici rozmaicie; powszechnie wciągają do nich pasma przyległe. Trzymając się zasad geologicznych okazuje się, że każde pasmo ma sobie właściwy kierunek, czyli że jednocześnie zostało wzniesione z dołu do góry przez wulkaniczne siły; i dlatego Tatry stanowią tylko łańcuch, mający kierunek ze wschodu na zachód, 6 mil długi.

We wschodnim końcu wznoszą się Tatry odrazu znakomicie z pomiędzy okolicznych niższych wyniosłości, pomiędzy którymi odznacza się góra zwana Spiska Magora, przy miasteczku Lendak, a kończą się na zachodzie z górą Siwa Skala w Orawie, właśnie naprzeciw wioski Zuberac. Tutaj stykają się z drugim pasmem znacznie wyższym, mającym kierunek południowo-zachodni. Łańcuch ten wapienny i ciągnący się ku południowemu zachodowi, złożony z długich grzbietów, nazywają mieszkańcy Holami liptowskimi, co znaczy gołe góry albo raczej pastwiska liptowskie. Hole te odgraniczają dwa hrabstwa węgierskie: Liptów i Orawę, i ciągną się aż do

ich granicy zachodniej, gdzie się stykają z małym łańcuchem zwanym Hole Turczańskie, który wielce podobny jest do Tatrów; ma bowiem nie tylko jednaką budowę geologiczną, ale tenże sam kierunek i postać zewnętrzną.

Powszechnie geografowie uważają Tatry wraz z Hólami Liptowskiemi za jedno pasmo, i podają długość jego nierównie większą, aniżeli wypada; łączą bowiem do niego ostatnie pasmo, mające odmienny kierunek, odpowiadający zachodniej części Bieskidów. Pasma to nieco dalej na północ wysunięte, prawie w połowie długości Tatrów spotyka się z innym wzniesieniem Bieskidów południowo-wschodniem, i przecinają się pod kątem prostym. Tatry wyskakują nad te północne długie grzbiety 3000 do 3500 stóp wysokie; nie tak znacznie wznoszą się nad góry rozłożone w południowej stronie, z którymi nierównie więcej mają wspólnych własności, jakoto: budowę geologiczną, wzniesienia, a nawet po części jednakowy kierunek; w miarę zaś oddalenia od Tatrów ku równinie węgierskiej, stają się te pasma coraz niższemi. Niektóre z tych łańcuchów mają z Tatrami wspólny kierunek, inne wprost przeciwny; i tak: sąsiednie *Niżne Tatry*, wznoszące się do 6000 stóp, są równoległe z właściwemi; tenże sam kierunek ma niższe pasmo ciągnące się dalej na południe, odgraniczone rzeką Hron. *Fatry* i pasmo *Branisko* ciągną się prostopadle do Tatrów, mają bowiem kierunek z północy na południe.

Pomimo że Tatry są bardzo krótkie w porównaniu do znanych, a z niemi zetkniętych pasm, przecież są najwyższemi górami w całych Karpatach; grzbiet ich bowiem wznosi się zwykle 6000 stóp nad morze, a z niego wyskakujące szczyty dochodzą do 8000 stóp;

są one zarazem najwyższymi wyniesieniami nie tylko w całych Karpatach, ale w całej północno-wschodniej Europie. W końcu południowo-wschodnim Karpat, na granicy Siedmiogrodu i Wołoszczyzny, są góry dochodzące do wysokości Tatrów, jakoto: góra Retyczat 7800 stóp wysoka, i wiele innych w pasmie Fogarasz, na których, według Fichtla, trwają śniegi zimowe aż do sierpnia, a we wrześniu okrywają się już nowymi.

Szczyty Tatrów, podobnie jak wyżyna Bieskid i Podhala, wznoszą się stopniowo od północy ku południowi, a potem nagle opadają, prawie prostopadle ku południowi. To stopniowe wznoszenie się bardzo pięknie widać z północnej strony od Bańkówki. Ich pierwszy, a zarazem najniższy szereg gór stromo-sterczących, wznosi się od 3500 do 4100 stóp (góra Nosal nad Zakopanem 3584 stóp; góra Opalone nad doliną Mietusia 4110; góra Kópka nad Kościeliskiem 4165). Nierównie wyższy rząd stanowią za niemi wznoszące się bardziej poszarpane wapienne góry, 5000 do 6000 stóp wysokie (góra Kopa nad Magorą Zakopanego 5206, Gewant 5746); wreszcie najwyższy trzeci grzbiet jest granitowym, pospolicie 6000 stóp wysoki, z którego wyskakują pojedyncze wirchy 2000 stóp wyżej. Najwyższe szczyty Tatrów znajdują się na przeciwnych końcach, w środku są zaś najniższe; we wschodniej części, gdzie pasmo jest najszersze, są zarazem najznakomitsze wysokości, nieco wyższe od zachodnich, gdzie się łańcuch widocznie zwęża. I tak: w części wschodniej szczyt Łomnicki jest wysoki 8000 stóp, Krywań 7684, Swinnica 7001; w środku pasma niższe wirchy mają: Suchy wirch nad doliną Kondratową 5724, góra Kondratowa 6115, Tomaszowa Polska 6080 stóp. Dalej

wznoszą się znacznie ku zachodowi, gdzie góra Pyszna sterczy 6943, a Rohacz 6407 stóp.

Chociaż na wejrzenie Tatry odznaczają się wielkością tak jak Alpy, Pirenee, Andy, albo pasmo Himalajskie; nierównie jednak są od nich niższe; i tak: Montblanc, najwyższa góra w Europie, prawie dwa razy tak jest wysoką jak szczyt Łomnicki, a Dhawalagiry w pasmie Himalajskim, najwyższe wyniesienie znane na ziemi, przeszło trzy razy przenosi najwyższe szczyty Tatrowe. Dla porównania w jakim stosunku zostają wysokości Tatrów do znakomitszych szczytów na powierzchni ziemi, daję tu spis główniejszych gór tak europejskich, jako i innych części świata :

Europa.

| | stóp paryzkich |
|------------------------------------|----------------|
| Sneehöttan w Norwegii. | 7,696. |
| Hekla w Islandyi | 4,500. |
| Wezuwiusz pod Neapolem | 3,643. |
| Etna w Sycylii | 10,202. |
| Monte Rotondo na Korsyce | 8,226. |
| Monte Velino w Apeninach | 7,367. |
| Góra Athos w Grecyi | 6,360. |
| Mont Perdu w Pireneach | 10,316. |
| Góra Vegnemal | 10,153. |
| Góra Canigou | 8,573. |
| Monte Viso w Alpach | 12,111. |
| Pointe d'Etreines | 12,637. |
| Finsteraarhorn | 13,428. |
| Jungfrau | 12,061. |
| Orteles | 12,061. |
| Grossglockner | 11,667. |
| Monte Rosa | 14,582. |
| Montblanc | 14,810. |

| | stóp paryzkich. |
|--|-----------------|
| Elbruz w Kaukazie, szczyt wschodni | 17,290. |
| Elbruz w Kaukazie, szczyt zachodni | 17,217, |
| Kasbeh | 15,509. |
| Ararat | 16,069. |

Ameryka.

| | |
|------------------------------|------------|
| Wulkan Cotopaxi | 17,708. |
| Chimborasso | 20,102. |
| Wulkan Ocacugna | 21,768. |
| Nevada de Illimani | 23,322. |
| Nevada de Sorata | 23,692(1). |

Azja.

| | |
|--|------------|
| Dzamalari w pasmie Himalajskim | 24,372. |
| Dzawahir | 24,157. |
| Dhawalagiri | 26,345(2). |

Nietylko z wysokich pasm wyskakują potężne szczyty, ale niekiedy wznoszą się téż bezpośrednio z morza; i tak:

(1) Właśnie odwołał Pentand swe pierwsze pomiary dwóch ostatnich szczytów, na wielkiej a pięknej karcie kotliny Laguna di Titiaca, wydanej w Londynie, w miesiącu czerwcu tegoż roku, a to w skutek dokładniejszych obrachowań trygonometrycznych, wykonanych przez niego, podczas powtórnego pobytu w Boliwii w r. 1838. Z tego wynika wyniesienie dla Nevada de Illimani i Nevada de Sorata 19,843 i 19,972 stóp paryzkich; tym sposobem górze Chimborasso wróconém zostało zaprzeczone pierwszeństwo najwyższej góry w Ameryce.

(2) Z listu pisanego (z dnia 25 czerwca 1841 r.) przez dr. Józefa Hooker, botanika znakomitego, towarzyszącego ostatniej wyprawie do bieguna południowego, z Dorjuling w górach Himalajskich do Aleks. Humboldta, okazuje się, że na południku Sikhim pomiędzy górami Dhawalagiri a Dzawahir, czyli pomiędzy krajami Butan a Nepal, właśnie zmierzoną została trygonometrycznie z wszelką ścisłością góra Kinchininga, mająca szczyt wznoszący się do nadzwyczajnej wysokości 26,438 stóp paryzkich. Zarazem donosi Hooker, że również nowy pomiar wykonano góry Dhawalagiri, z którego się pokazuje, że przenosi wszystkie szczyty Himalajskie, a tém samém, że jeszcze przenosi dotąd przyjęte wyniesienie 26,345 stóp paryzkich.

w grupie wysp Kanaryjskich, góra zwana Pik na Teneryfie wznosi się 11,421 stóp, a wulkan Erebus w pobliżności bieguna południowego, którego wybuchy kapitan Ross uważał w pośrodku wieczystych lodów, podnosi się 11,633 stóp wysoko.

W pasie międzyzwrotnikowym Ameryki, miasta Quito, Meksyk, Santa Fe di Bogota, Popayan, Caxamarca, leżą według ścisłych pomiarów Alex. Humboldta tak wysoko, jak najwyższe szczyty Tatrów, a nawet jeszcze wyżej; znajdują się bowiem na wyżynach 7000 do 9000 stóp nad poziom morza wyniesionych.

Łańcuch Tatrów wydaje się zdala jako jedna niezmierna skalna masa, wznosząca się od północnej pochyłości w coraz wyższych stopniach, aż do środkowego grzbietu, który ku południowi stromo nagle opada. Tak jednakże nie jest w rzeczywistości: masa ta skalna jest nadzwyczajnie podarta, a środkiem ciągnie się najwyższy grzbiet, od którego rozchodzą się w przeciwnych stronach niezmiernie głębokie doliny; z tych jedne ciągną się na północ, drugie na południe. Prócz głównych dolin, na północnej pochyłości są pomniejsze, dochodzące tylko do środkowego grzbietu wapiennego, i te odznaczają się bogactwem roślin i nadzwyczajnie dzikimi widokami. W samym końcu dolin, na przeciwnych bokach głównego grzbietu, zwyczajnie na znacznych wysokościach, są mniejsze albo większe jeziora, jak np. owo *Morskie Oko* ludu, o których krążą chmurą tajemnic odziane podania.

Ta znaczna liczba wysoko nad morzem wyniesionych jezior, jest wyłączną charakteryzującą Tatry własnością. Jeziora te po większej części leżą na wysokości od 4000 do 6000 stóp; wody mają jak łaźnia przezroczyste, a po-

wierzchnia tenże sam szmaragdowy kolor, co strumienie z nich wypływające. W większych jeziorach przy pewnym oświetleniu, zmienia się ten piękny kolor zielony w ciemno-niebieski, zupełnie podobny do powierzchni morza, i to zapewne dało początek tym dziwnym fantazyom ludowym. Niektóre jeziora znaczną mają głębokość, bo przeszło 100 i 120 stóp. Alpejskie jeziora zupełnie odmiennym sposobem są rozpołożone do swych pasm; nie są one w końcach dolin przy wysokim grzbiecie jak w Tatrach, ale przy ich pierwszych wzniesieniach u stóp gór, i stykają się zwyczajnie z równiną; dlatego też nie są wysoko wyniesione nad morzem, jak to okazuje następujący szereg ich wyniesieni:

| | stóp paryzkich. |
|---------------------------------|-----------------|
| Jezioro Garda | 219. |
| — Lago Maggiore | 696. |
| — Lugano | 924. |
| — Genewskie | 1,155. |
| — Bodensee | 1,225. |
| — Zurichsee | 1,259. |
| — Zug | 1,342. |
| — Neuchatelskie | 1,345. |
| — Vierwaldstätter | 1,345. |
| — Thun | 1,782. |
| — Brienz | 1,785. |
| — Anecy w Sabaudyi | 1,137. |

W pasmie Wogezów są dwa znaczniejsze wysokie jeziora, nazwane Białe i Czarne; pierwsze leży nad morzem 2924 stóp, drugie 3245. W Ameryce północnej, podobnie jak w Alpach, wielkie jeziora zawarte pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Kanadą, mało co leżą wyżej nad poziom morza. I tak:

| | |
|-----------------------|-----------|
| Jezioro Ontario..... | 224 stóp. |
| — Erie..... | 533 — |
| — Michigan..... | 561 — |
| — Wyższe jezioro..... | 596 — |

W Ameryce południowej znajdują się jeziora na niezmiernych wyniosłościach, z którymi Tatrowe nie mogą się mierzyć; jezioro np. Titiaca, nad którym wznoszą się najwyższe szczyty amerykańskie, jakoto: Nevada di Sorata, Illimani, Gaultieri, Chimborasso, znajduje się na wysokości 12,000 stóp. Jeszcze wyżej leży Święte jezioro Indyan przy Maypane i Lanko, w pasmie gór Himalajskich, to jest na wyniesieniu 15,946 stóp, a zatem półtrzecia razy wyżej od grupy jezior Tatrowych, zwanych Pięć-Stawy, wzniesionych 6,000 stóp nad morzem. To najwyższe jezioro, wiele miesięcy zamrożone, czczą Indianie jako święte, albowiem według ich mniemania, mają z niego płynąć cztery święte rzeki.— W przeciwieństwie z temi wysoko leżącemi jeziorami, nie od rzeczy będzie wspomnieć o znajdujących się pod poziomem morza; i tak: jezioro albo raczej morze Śródziemne, morze Kaspjskie i jezioro zwane morzem Martwém w Palestynie, należą do tego rodzaju wód, wypełniających zapadliny w ziemi; pierwsze jest w zagłębieniu 36 stóp głębokiem, morze Martwe zaś 1290 stóp pod zwierciadłem morza.

Zdawałoby się, że wyniosły łańcuch Tatrów, powinien zarazem stanowić rozdział dla rzek płynących w przeciwne strony, i że z północnego boku zmierzać powinny na północ czyli do morza Bałtyckiego, a z południowego boku do przeciwnego morza Czarnego. Ale tak nie jest w rzeczywistości; Tatry właśnie nie dzielą biegu rzek w przeciwne strony, ale dział ten sprawiają na obudwu pochyłościach małe grzbiety, ledwie dające się dostrzedz.

Na północnej stronie ciągnie się tego rodzaju grzbiet, prawie przy samym końcu zachodnim; na południowym zaś prawie we środku. Pierwszy tak jest nieznacznym w końcu północnym, pomiędzy wioskami Czarny Dunajec a Piekelnikiem, że go nie można nazywać nawet pagórkami. Jestto równina z rozległymi torfami, z której ciekną wody w przeciwne strony, do Dunajca i Orawy, czyli do dwóch przeciwnych mórz; coraz dalej ku Tatom wyraźnie wzdyma się ta równina, zostaje grzbietem, i kończy się znacznieszą górą zwaną Ossobita. Wzniesienie stanowiące dział dla rzek na południowej stronie, tworzy pewien rodzaj wyżyny pomiędzy Belanckiem a Styrbą (Csorba), odgraniczającej Liptów od Spiża; wyżyna ta dotyka prawie w połowie długości Tatrów, i odtąd płyną w przeciwne strony rzeki do Popradu i Wagu. Wysoki zatem łańcuch Tatrów nie stanowi działu rzek; ze wschodniej części bowiem płyną z niego spadające wody na północ, a z zachodniej na południe. Tak pierwsze jako i drugie płyną z początku na północ i południe, ale po krótkim przebiegu, nabierają wprost przeciwne kierunki. I tak: rzeki na północno-wschodniej pochyłości spadają na północ i tworzą Dunajec; z południowej wschodniej strony płyną na południe i stanowią Poprad, który płynie pewien czas na wschód, równoległe z Dunajcem, lecz nagle zwraca się na północ i wpada przy Starym Sączu do Dunajca. Tak samo dzieje się i na zachodniej pochyłości; Studenna wyszedłszy z północno-zachodniej doliny Rohaczów w Tatrach, wpada do Orawy przy wiosce Podbiela; na południowo-zachodniej stronie tegoż łańcucha, rzeki płyną z północy na południe i wpadają do Wagu, który po różnych skrzywieniach zmierza do Dunajca, a tém samym do morza Czarnego.

Na niektórych kartach geograficznych, działy tych rzek, nie znając istotnej budowy Tatrów, oznaczyli teoretyczni geografowie jako potężne grzbiety; w rzeczywistości niemasz ich zupełnie.

Wszystkie rzeki Tatrowe, pospolicie przez cały rok obficie wypełnione wodami, zasilają deszcze tak często padające na tych wysokich wierzchołkach; dłużej trwające ulewy, sprowadzają powodzie nadzwyczajnie gwałtowne, które się kończą równie prędko jak nastąpiły. Lodników, a nawet większych pokładów śniegu, któreby mogły zasiląć te rzeki podczas posuch, niemasz na Tatrach: tylko w bardzo cienistych dolinach, są znaczniejsze płaty śniegu, odbijające dziwnie rażącą białością w najcieplejszych miesiącach w lipcu i sierpniu, od przyległych pól okrytych kwiatami lub zielonymi owsami i jęczmionami. Nie raz robiono sobie pytanie: dlaczego na wysokościach jest zimniej aniżeli na równinach? dlaczego na wysokich górach leżą śniegi i lody, gdy na równinach panują nieznosne upały? Zdaje się, że im bardziej zbliżamy się do przedmiotu wydającego ciepło, tém większe powinno tam panować gorąco; wstępując więc na wysokie góry, a zatem zbliżając się do słońca, według tego rozumowania powinno być coraz cieplej. Tymczasem wprost przeciwnie jest w rzeczywistości; we wszystkich szerokościach, tak pod skwarnym promieniem blisko równika, jak w krajach przybiegunowych, nierównie jest zimniej na wysokościach, aniżeli w nizinach; przyczyna bowiem wyższego stopnia ciepła nie pochodzi od słonecznych promieni wysyłanych ze słońca, ale nadto od załamania się onych, gdy przechodzą przez ciała mniej lub więcej przezroczyste; od gęstości ciał od których

się odbijają. Na wysokich wprawdzie górach, w ciasnych dolinach, przy wiecznych lodach, doznawali podróżni od słońca duszącego ciepła; ale zarazem uważali, że jak tylko przestaje działanie promieni, równie szybko oziębia się powietrze. Jeżeli z jednej strony mocniej działają promienie słońca na wysokościach, to z drugiej strony również łatwo uchodzą i giną niezatrzymywane w nieograniczonych przestrzeniach, i to jest główną przyczyną większego zimna na wysokościach, pomimo silniejszego ich działania.

Zmniejszanie się ciepła na wysokościach, rozpoznawane w różnych szerokościach, odbywa się według pewnego a niezmiennego prawa: wprost pomiary okazały, że co 560 do 600 stóp paryskich wyżej, znika się temperatura o jeden stopień Celsyusza czyli stustopniowy. Mając zatem wiadomą średnią temperaturę jakiego miejsca, można łatwo wyrachować wysokość, w której się poczyna granica wiecznych śniegów, czyli kraj lodowy. Granica ta niewszędzie zupełnie jest jednakową i doznaje licznych wyjątków, bo jeszcze inne okoliczności wpływają również na jej podwyższenie lub znizzenie, a mianowicie: najwyższy stopień ciepła do którego dochodzi temperatura w jakiej okolicy; kraje bliższe po-brzeży morskich, mając powietrze bardziej nasycone wilgocią, nie mają ani wysokiego ciepła, ani zimna; i dlatego niższą jest granica wiecznych śniegów, aniżeli w środku stałego lądu, gdzie powietrze jest bardzo suche, a tém samém są bardzo gorące lata i nader ostre zimy. W tych ostatnich krajach podwyższa się ta granica, albowiem wielkie gorąca letnie stapiają śniegi bardziej, aniżeli w krajach nadbrzeżnych. Niemalý wpływ wywióra także na znizzenie granicy wiecznych lodów skupienie

się wielu łańcuchów, tudzież czy z pasmami graniczą ciepłe równiny, czy też wysoko wyniesione wyżyny; nawet mniejsza albo większa pochyłość boków w szczytach, ma niejakię znaczenie. Postępując od równika ku biegunom, zniża się coraz bardziej granica wiecznych śniegów; z wysokości 16,000 stóp, zstępuje prawie aż do powierzchni morza, jak to następujący szereg uważanych wiecznych śniegów pokazuje. Prawie przy równiku, znalazł Humboldt w górach niedaleko Quito, w Ameryce południowej, granicę wiecznych śniegów na wysokości 14,826 stóp; na południe od równika, pomiędzy 15° a 18° szerokości, w pobliżu największych szczytów amerykańskich, niedaleko góry Nevada di Sorata, sięga ta granica 16,000 do 16,500 stóp; w pasmie hiszpańskiem Sierra di Nevada (37° szerokości) śniegi wieczne poczynają się już w wysokości 10,700 stóp, i są prawie na témże wzniesieniu w pasmie północnej Ameryki, zwaném Rocky Mountains (37° do 41° szerokości). Tymczasem na górze Etna, w téjże samej szerokości co hiszpańskie Sierra di Nevada, niéma wiecznych śniegów, chociaż ten wulkan wznosi się na 10,278 stóp wysoko; w Alpach rozciągających się pomiędzy 45³/₄° a 46°, spadają pomiędzy 8,200 a 8,500 stóp; a Tatry chociaż o 3 stopnie dalej na północy posunięte, i szczyty ich 8,000 stóp wysokie, nie mają wiecznych śniegów, pomimo, że nierównie niżej powinnyby się znajdować. Przyczyna tego pochodzi od znacznego ciepła panującego w tych stronach, od ich odosobnienia, a ztąd wynikającego przewiewu ciepłych wiatrów z południa, a w części nawet od nadzwyczajnej stromości szczytów. Dalej na północ, są góry z wiecznemi lodami pomiędzy Szwecją a Norwacją, mające widocznie zni-

zoną linią śnieżną. I tak: w pasmach Langefeld i Dorefield, pomiędzy 61° a 62° szerokości, granica ta jest na wysokości 5,100 stóp; na górze Sulitelma w Laponii, w szerokości 67°, na 3,100 stóp; na przyłądku Północnym (Nordkap) na wyspie Magroe, w szerokości 70°¹/₂, na 2,200 stóp. Dotąd nie doszli podróżni do miejsc, gdzieby wieczne lody stykały się z morzem; wszędzie bowiem spotykali wśród potężnych brył lodów i śniegów wązkie pobraża, na których topniały śniegi, a w czasie lata, aczkolwiek nader biędnie rozwijały się rośliny; ztądto istotna granica lodowa, jak się zdaje, znajduje się przy samym biegunie.

Gdyby nie wyżej wymienione okoliczności, granica wiecznego śniegu na Tatrach powinna się znajdować już na wysokości pomiędzy 6000 a 7000 stóp. Wprawdzie w tych wzniesieniach, a nawet nierównie niżej, jakoto przy Morskiem Oku na wysokości 4,200 stóp, są massy śniegu po zapadniętych i wiecznym prawie cieniem okrytych dolinach; ale nie sąto połączone lodniki jak w Alpach, które tyle wdzięku dają ich widokom. Śniegi Tatrowe są wprawdzie odmienne od téj lekkiej jak puch, nastroszonej, zmarzniętej wody; są one zbiorem gruzelków lodu, podobnych do pozostałych śniegów na wiosnę. W jedném tylko miejscu, w boku wschodnim do Spiza należącym, znajduje się znaczniejsza massa istotnego lodu, przez której środek ciągnie się wydrążenie około 50 kroków długie, a w jego spodzie sączy się woda. Patrząc zdala na te niebotyczne szczyty Tatrów wydaje się, jakoby niewielkie miały wymiary; jednakże jestto tylko złudzenie, bo góry te nierównie są większe, aniżeli sądzićby można zdala; cała rozległość ich dopiero wtedy się pokazuje,

gdy się do nich zbliżymy. Toż samo stosuje się do płatek i pasków śniegu, które je pokrywają; wiele płatów okrywa przestrzenie kilka tysięcy sążni kwadratowych obszerne, a paski są kilka set sążni długie i 5 do 10 stóp szerokie. Grubość tych śniegów bardzo jest zmienną; cieńszą jest w pasach gdzie od 4 stóp dochodzi do 10ciu; nierównie znaczniejsza jest w płatach, a w niektórych dołach miewa wiele stóp grubości.

Im lato jest cieplejsze, tém więcej maleją, a nawet miejscami znikają śniegi w Tatrach: jednakże w najgorętszych latach, jakoto 1834 lub 1846 nie znikły zupełnie, tylko ich liczba i wielkość zmniejszyła się widocznie. Do drugiej połowy czerwca powszechnie topnieją większe masy śniegów: odtąd mało co znikają, tylko zmniejsza się ich objętość.

Wspomniałem już w opisie Bieskidów, że wezbrania Wisły w czasie lata są skutkiem ulewnych deszczów, padających w tych górach i na Tatrach. Wezbrania te od topniejących śniegów Tatrowych nie mogą pochodzić, albowiem ilość ich w lipcu, sierpniu i wrześniu jest tak nadzwyczajnie małą, że gdyby się odrazu zmieniły na wodę, zaledwieby sprawiły wezbranie Dunajca, który wszystkie wody spadające z północo-wschodnich Tatrów, odprowadza do Wisły. Wszystkie powodzie Wisły, prócz wiosennej, która powstaje z topienia się zimowych śniegów, pochodzą od deszczów. Mniemanie, jakoby lipcowa powódź, tak nazwana Jakóbowka, pochodziła od stopienia śniegów Tatrowych, zasada się na zupełnej nieznanymości istoty przedmiotu.

Spoglądając z pewnej odległości na potężne wirchy Tatrów, mimowolnie nastęcza się pytanie: jakim sposobem powstały tak potężne masy? co za siły utworzy-

ły tak wielki łańcuch? Pytanie to zostaje w najściślejszym związku z wyobrażeniami o sposobie tworzenia się ziemi. Nigdy mieszkaniec równin nie ma pobudki czynienia podobnego rodzaju pytania; jemuto woda osadza jego piaski i muły, a wezbrania wyrrywają doliny i tworzą nierówności. W wielkich górach, a mianowicie dochodzących do znacznych wysokości, takie sposoby pojmowania okazują się niepodobnemi na pierwszy rzut oka. Razu jednego, gdym robił poszukiwania geologiczne pod Poroninem i zastanawiałem się nad połamaną budową warstw piaskowca Karpatowego, uczynił mi pytanie mój przewodnik, mały chłopiec zaledwie 15 lat liczący, z którego żywych, czarnych oczu, przebijał się obudzony umysł:— „Słuchajcie panoszk (tak nazywają zdrobniałym językiem pana), jakim sposobem wyrosły te nasze hole?” — „Jak grzyby w lesie” — odpowiedziałem mu.

Ta napozór prosta rozmowa, zawiera najgłębsze zasady geologii, do których dopiero w najnowszym czasie przyszli uczeni, zajmujący się badaniami nad powstaniem ziemi. W kilku wierszach wyłożę tę zasadę umiejętną, którą w całej prostocie duszy pojął mój mały goralik. Przypatrując się skałom tworzącym Tatry, spostrzegamy dwa rodzaje zupełnie odmienne; jedno dzielą się na warstwy, a miejscami zawierają niezmierne ilości skorup ślimaków morskich, a zatém osadziły się z wód pierwotnego morza; drugie przeciwnie nie mają i śladu szczątków żyjącego jestestwa, składają się z samych ziarn wykrystalizowanych mineralów, i są podobne do niektórych ostyglych law, wychodzących i teraz z palących się wulkanów; sąto granity, o których teraz nie powątpiewają geologowie, że kiedyś były płynnemi lawami. Długo uspięne ognie w łonie ziemi przebudziwszy się, roz-

sadziły grubą powierzchnię ziemi, złożoną ze skał warstwowych; wtedy powstało mnóstwo nierówności i szczelin, i z nich wydzwigiły się w podziemnych pracowniach przygotowane wyroby ognia. Tym sposobem w Tatrach ze szczelin wapiennych wystąpiły na wierzch granity, i to z taką mocą, że nietylko wydzwigiła się wysoka ta ogniowa skała, ale zarazem i poblizkie wapień i inne skały na nich ułożone; co zaświadczaają ich warstwy, pierwotnie osadzone poziomo, a teraz pod znacznym kątem schylone na północ. Granity Tatrowe, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przy wystąpieniu z łona ziemi już były stężałe i znacznie ochłodzone, albowiem gdyby były płynnymi, wylałyby się na wapień z niemi graniczące, a znacznie rozpalone, przepaliłyby je widocznie; tylko piaskowce czerwone, przegradzające granit od wapienia, są bardziej twarde i lekko spieczone. Wydzwigniony granit ze szczeliny ciągnącej się ze wschodu na zachód, tkwi jako potężny klin pomiędzy warstwowemi skałami. Po wyniesieniu się Tatrów, co według wszelkiego prawdopodobieństwa miało miejsce nieco wcześniej przed stworzeniem człowieka, uspokoiły się w tych stronach podziemne siły; teraz niekiedy tylko zdrzą podziemne trzęsienie mocniej, onizeli na równinach, rozciągających się na północ od Tatrów. W jesieni roku 1838 zaledwie dostrzeżone trzęsienie ziemi w Krakowie, silnie zatrzęsło w Szafarach niedaleko Nowegotargu, a jeszcze mocniej w wiosce Żar na Spizu, u stóp samych Tatrów, na końcu północno-wschodnim.

Jeżeli Tatry nie stały się granicą dla rzek, to przecież stanowią najwydatniejszy przedział dla ludzi na ich przeciwnych pochyłościach osiedlonych. Zaiste, niepodobna

znaleźć lepszej granicy; przegroda wysokich grzbietów niepospolite stanowiąc trudności, rozdziela ludzi bardziej jak rzeki i morza. Na porzeczu (Flussgebiet) Dunajca, czyli w północno-wschodniej stronie, rozłożył swe siedziby goral polski czyli Podhalanin; na porzeczu Orawy i Wagu, czyli w stronie północno-zachodniej i południowo-zachodniej, Słowak; wreszcie porzecze Popradu zajęli Niemcy, sprowadzeni do Węgier w połowie XIIgo wieku, osiedleni w zachodniej części Spiza. Te naturalne zapory, wpłynęły także na zdania religijne ludów, pod tym łańcuchem żyjących: na północnej pochyłości Tatrów żyją sami katolicy, tak Polacy, jako i Słowaki; na południowej zaś słowacka ludność pozostała w części katolicką, w części zaś przyjęła zasady kościoła ewangelickiego. Niemcy wszyscy należą do ostatniego wyznania.

Może się będzie wydawać czytelnikom, że niepotrzebnie zajmowałem się ogólnymi uwagami nad Tatrami; ale uważam, że od zrozumienia ogólnych stosunków, zawisło poznanie szczegółów. Teraz przystępuję do opisu tej wysokiej wyżyny zwanój Podhalem, i przeryzających ją dolin, któremi płyną nieporównanie piękne rzeki, na nieprzeliczonych miejscach rozbijające się w pianę; następnie zaprowadzę czytelnika do samych Tatrów, mianowicie na ich wysokie wirchy, kąpiące swe wyniosłe czoła w eterycznej powietrznicy, a do których prowadzą głębokie, lesiste i najrozkoszniejsze doliny, powstałe wśród rozpekniętych wapieni.

Podhale.

Chociaż w samém Podhalu nie masz dróg bitych, kosztownym rządowym utrzymywanych, gościńce w ogólności

są bardzo dobre; niemało do tego przyczynia się łatwość otrzymania żwiru, obficie w rzekach osadzającego się. Nietylko drogi utrzymują starannie mieszkańcy, ale nadto nieprzeliczone mosty na Białym i Czarnym Dunajcu, i innych pomniejszych strumieniach. To staranne utrzymywanie środków komunikacyjnych niezaprzeczonem jest dowodem, że wyższe potrzeby obudziły się także u mieszkańców tych gór, pomimo, że uważani są za ludzi zostających w stanie pierwotnym, jeżeli nie w pół dzikim. Przez dolinę Białego Dunajca ciągnie się wyborny gościniec, a liczne mosty drewniane łączą jej przeciwne boki.

Szaflary. Dosyć dobra droga $\frac{3}{4}$ mili długa, prowadzi od Nowegotargu do zdaleka bielejących się domów majerza szaflarskiego. Droga ta należy do najrozkoszniejszych w tej okolicy; Tatry co kilkaset kroków zmieniają swe postaci, a wzrok ciągle doznając nowych wrażeń, z przyjemnością spoczywa na tych potężnych massach. Rzędy piramidulne pagórków, odgraniczają Podhale od doliny Dunajca; sąto owe wapienie ammonitowe wspomniane w opisie Bieskidów, które tworzą pokład w piaskowcu Karpatowym. Pod sterczącą skałą wapienną leży majerz szaflarski; jestto dwór murowany jak i liczne domostwa folwarczne, obwiedzione przytém białym murem wśród grup bujnych drzew, które niemało uroku dodają tej pięknej siedzibie. Do domów przytyka ogród z gustem założony; krzewy i drzewa odznaczają się bujnym, wesołym wzrostem, i dlatego wydały prawdziwie piękne klomby. Za angielskim ogrodem założony został owocowy, a chociaż drzewa przez kilka lat rosły dobrze, nagle wymarły jednej zimy;

widać nie mogły znieść zbytnej ostrości klimatu, majerz szafarski leży bowiem nad morzem 1862 stóp, zatem na wysokości odpowiadającej północnym klimatom, w których ustają rosnać drzewa owocowe. Jednakże truskawki, agrest i maliny również są tutaj smaczne, a nierównie wonniejsze, chociaż o miesiąc później dojrzewają jak w Krakowie. Od dworu prowadzi długi rząd wysokopiennych drzew jarzębiny do sterczącej skały wapiennej, stojącej jakoby na straży doliny Biało-dunajskiej. Mieszkańcy opowiadają, że niegdyś stał na jej szczycie zamek słynny bogactwami; miała być w nim mennica, a pod spodem niezmierne jamy pełne skarbów. Teraz pozostała po nich mała piwnica, i powieści nacechowane fantastycznością góralską. Do tego zamku ściągają się zapewne dwa wiersze, teraz jeszcze w ustach ludu żyjące:

„Kiedy się ruszymy z wirchu Maruszyny,
Zamek rozbijemy, żaden nie zginiemy” (1).

W miejscu zamku stoi teraz altana murowana, odpowiadająca więcej potrzebom czasu. Chociaż ta skała wznosi się tylko 73 stóp nad dwór szafarski, jednak przedstawiają się już ztąd widoki arcy rozległe a powabne. Kto Tatry zwiedza, niech tego miejsca nie opuszcza; z każdej strony czeka podróżnego nowy a miły krajobraz. Od północy leży u nóg wielka dolina Dunajca, jej środkiem ciągnie się jak srebrna wstążka pomiędzy czarnymi torfami Dunajec, a nad nim nieprzeliczone siola, pomiędzy którymi odznacza się Nowytarg z białymi murami. Dolinę tę odgraniczają długie, potężne grzbiety Bieskidów, zakończone w północno-wschodnim końcu najwyższym ich szczytem Babią Górą, owym ba-

(1) Pieśni ludu Podhalań. Warszawa, 1845 r. str. 153.

rometrem Podhala. Dopóki obłoki wieńczą tę masę skalną, nie można być pewnym o jakiejś trwałości pogody w tych stronach, tak zwykle pożądanej w krajach górzystych; a gdy po długim oczekiwaniu wyjaśni się ten wirch, wydaje się, że podwoiła się jego objętość, i wtedy trzeba się spieszyć do dolin Tatrów, by korzystać ze sposobnej chwili. Jeżeli pogoda dłużej ma potrwać, natenczas powlekają Babią Górę przezroczyście białawe pary, i chociaż w Tatrach deszcze padają, można być pewnym pożądanej zmiany. Bardzo prosta jest tego przyczyna. Na całym podgórzu Karpackim i graniczącymi z nim krajami, pospolicie wiatry zachodnie napędzają od morza wilgotne pary rozpuszczone w powietrzu, które stykając się z najwyższym szczytem Babięj Góry (5400 stóp wysokim), wystającym nad całe Bieskidy, oziębiają się i tworzą wieńce obłoków, unoszące się nad jej wierzchem. Powszechnie na dwa dni przed nastąpić mającą zmianą, chociaż w dolinie najpiękniej słońce przyświeca, osiadają na najwyższym wzniesieniu te złowrogie zapowiednie; a kiedy się przytém okrywają jeszcze gęstymi czarniawymi mgłami, wkrótce można być pewnym deszczu. Wschodnie wiatry przeciwnie spędzają wilgotne pary, i są zapowiednią pogody.

Nierównie bogatszy jest widok ze skały szaflarskiej ku wschodowi. U stóp jej leży śmiejąca się dolina Białego Dunajca, i żyzne pola licznymi budynkami urozmaicone; dalej długa wieś Szallary, a na końcu widnokregu wznoszą się masy wapienne z prostymi krojami, gór Czorsztyńskich i Pienin, podobne do wielkich budynków. Ale najwspanialszy jest widok na Tatry: cały szereg gór polskich, pomiędzy Szczyt, a wierzchami sterczącymi nad jeziorem Morskie-Oko i Muraniem, leży przed

nami; dokładnie można poznawać każdy znakomitszy wierzch, każdą znacznieszą dolinę. Szczególnie wspaniale przedstawia się góra Pyszna, i bardziej wystająca masą skalną Wielki Uplaz zwaną. Prawie naprzeciw widza ciągną się wirchy znizone, przed którymi sterczy wyszczerbany Gewant; dalej wznoszą się wyższe szczyty z górą Swinnicą, i za niemi ku wschodowi szereg najwyższych wierzchów, aż do znizonego widocznie łańcucha Tatrów, zakończającego się z Muraniem. Wyżyna nad którą sterczy nasza skała jest doskonałym ogrodem angielskim, chociaż tam sztuka ogrodnicza najmniejszego nie miała udziału. Nie jestto bowiem płaszczyna, ale wzniesienie składające się ze samych nierówności, którego środkiem ciągnie się zagłębienie podłużne, z którego wyskakują pojedyncze skały. Zebrane w kupki świerki, rosną jakby zawieszane na skałach, inne okrywają podłużne grzbiety; pomiędzy temi drzewami ciągną się pola zasiane owsami, i przecudne łączki, majowej zieloności prawie przez cały rok, a nad niemi sterczą wyższe kończaste wzgórza. Przeciwięństwa dzikiej i miłej natury tak są tutaj obok siebie rozłożone, że sztuka zakładania ogrodów mogłaby tu czerpać najdoskonalsze wzory. Biały słup murowany z obrazem Zbawiciela Świata, stojący u spodu skały, od którego odbijają czarne świerki, świadczy o pobożności człowieka; przechodzący górale zwykli się tutaj zatrzymywać i modlić. Trudno sobie wystawić miejsce bardziej stosowne do wzbudzenia uczuć łączących człowieka ze Stwórcą wszech rzeczy; wszystko tutaj złożyło się, aby wnieść umysł, a mianowicie samotność i rozkoszne widoki. Kilka piramidalnych gór odgraniczają na południe to zachwycające ustronie; najwyższą z nich Raniszberg otrzymała nazwę od do-

wódzcy szwedzkiego, który podczas wojen na początku zeszłego wieku prowadzonych, zapędziwszy się w te góry poległ, i nadał jój od siebie nazwę.

Dolina Dunajca pomiędzy majerzem Szaflar a samą wioską, odznacza się różnaitością widoków. Daléj aż do jój końca w Bańkówce niemasz wapieni, przeważa tylko piaskowiec Karpatowy, i dlatego ustaje różnaitość widoków; góry ich bowiem mają zwyczajne wejrzzenie, po których z oddalenia łatwo je poznać można. Wieś Szaflary ma piękny murowany kościół i porządne domy ponad rzeką. Mieszkają tutaj po większej części soltysi, posiadający od wieków jedne grunta i hole. Odwiedziłem z nich jednego; byłto naczelnik familii Kalatów, którego przodkom przybyłym z miasteczka Krompachu ze Spiza, nadał Kazimiérz Wielki dotąd posiadane dziedzictwo. Przyjął mnie w schludnej izbie, w której mnóstwo porządných było sprzętów; a gdym mu oświadczył, że sobie życzę widziéć jego nadania, z uprzejmością dobył z wielkiej malowanej skrzyni szkatułkę pełną papierów, z nadaniami i potwierdzeniami własności téj familii przez szereg królów polskich aż do Stanisława Augusta Poniatowskiego. Kalatowie mieli za ten dar obowiązek płacenia umiarkowanego czynszu i rąbania drzewa przez kilkanaście dni corocznie w zamku krakowskim. Warto by było ogłosić te troskliwie chowane dokumenta, aby mieć jasne wyobrażenie o stosunkach socyalnych mieszkańców Podhala.

Wieś Biały Dunajec. Pół mili na południe od Szaflar, ciągnie się długa wioska Biały Dunajec, która dała nazwę rzece przy niej płynącej. Nazwy rzék w całych Karpatach pochodzą powszechnie od wiosek blisko ich źródeł leżących. Dla odróżnienia od Czarne-
go Du-

najca, nazywa się Białym; zapewne od niezmiernéj ilości zaokrąglonych głazów granitu, okrywających wielkie płaszczyzny w łożu téj rzeki, a gdy wody jéj opadają, wtedy zdała świecą rażącą białością. Wieś Biały Dunajec jest nader długą, leży znacznie wyżej od Szaflar; prawie na samym początku wymierzyłem mieszkanie jednego z bogatszych sołtysów (Pawlikowski), przy którym obszerny ogród owocowy jest na 2033 stóp wyniesiony. Przybliżając się ku góróm, domy są coraz porządniejsze; pokrzywionych, wałących się chat prawie tutaj niemasz, ale natomiast wiele nowych, do których się nie wprowadzili jeszcze przezorni mieszkańcy, a w nich czyste, wielkie okna nader ujmują podróznego. Przed domami sadzić zwykli jesiony, wyrastające do znacznej wysokości; a chociaż ostre tu jest powietrze, sprzyja jednak rozwijaniu się tego drzewa, które służy nietylko ku ozdobie, ale i na pożytek; z niego to wyrabiają Podhalanie swe zgrabne wózki, mogące służyć za wzór lekkości i mocy. Sposób rozciągniętego budowania wiosek niepospolitą ma zaletę; domy bowiem stykają się z rolami w dolinie, jej bokami i przytykającą wyżyną, i to zapewne jest jedną z przyczyn, dla której doskonale są uprawiane.

Wieś Biały Dunajec, jak to wyżej wspomnieliśmy, jest bardzo długa; prawie milę ciągle trwa droga pomiędzy zabudowaniami. Miejscami stoją domy gęsto obok siebie, inne przegradzają pola w kupki zebrane. Niemasz wątpliwości, że ostatecznie należały do jednego sołtysa, który się rozrodziwszy, rozdał dzieciom swe obszerne grunta, a ci się pobudowali obok siebie. Gdyby nie było wielkiej tablicy zapowiadającej nową wieś, niktby się nie domyślił, że się skończył Biały Dunajec, a roz-

począł Poronin, którego koniec północny nazywają Bańkówką.

Bańkówka. Na samym końcu doliny Białego Dunajca, roztwiera się obszerna równina, dotykająca stóp wyniosłych Tatrów, przy spływie dwóch bystro płynących rzek: Poronica ze wschodu, i Białego Dunajca z zachodu. Wieś ta leży w najcudniejszym położeniu i składa się z grupy domów goralskich, leśniczówki i kościoła z probostwem; kilkaset kroków dalej jest cmentarz, obwiedziony kamiennym murem, z którego rogów wznoszą się również kamienne baszty. W niedziele i święta ożywia się nadzwyczajnie Bańkówka; albowiem do kościoła zbiera się niezmierna ilość ludu, przychodzącego często z odległości dwóch mil: dalej bowiem, na południe nie masz kościoła. Na płaszczynie przed kościołem odbywają się targi, gdzie się zaopatrują odlegli mieszkańcy potrzebnymi przedmiotami do życia: solą, niciami i t. p.

Przy Bańkówce 2203 stóp wyniesionej, tryszcą liczne źródła wśród łąk torfowych; jedno tuż przy kościele, dla jego obfitości i statecznej temperatury mierzyłem przez kilka po sobie idących lat, i znajdowałem, że w miesiącach letnich ma nader stateczną temperaturę, jak to załączony spis okazuje:

| | | |
|----------------|---------|-----------|
| 18 sierpnia | 1839 r. | +7,15° C. |
| 28 lipca | 1841 — | 7,40 — |
| 11 sierpnia | 1843 — | 7,45 — |
| 15 — | — — | 7,40 — |
| 10 września | 1844 — | 7,40 — |
| 2 października | — — | 7,60 — |

Średnia zatem jego temperatura wynosi +7,40° C.

Z porównania źródła w Glinnikach z Lubieńskim wyrachowałem, że temperatura jego spada co 100 stóp o $\frac{1}{5}$ stopnia C.; gdyby temu prawu odpowiadała temperatura źródła Bańkówki, musiałyby być o pół stopnia niższą. Przyczyna téj wyższości zapewne pochodzi ztąd, że ta woda nie wypływa prosto ze skały, ale z łak torfowych i miesza się z deszczową, i tym sposobem staje się nieco cieplejszą. Zresztą zmniejszanie to jest zapewne nieco wolniejszym, i może wynosić na 1 stopień 600 stóp.

Kto piérwszy raz znajduje się w pobliżności wielkich gór kilka tysięcy stóp wysokich, temu się wydaje, że te szczyty tuż się wznoszą; ale to jest złudzenie: są one pospolicie o milę oddalone, a nawet i więcej. Tatry wydają się, że tuż są przy Bańkówce; tymczasem jeszcze dobre półtory mili są oddalone. Złudzenie to nawet powiększa się w miarę jak powietrze jest mniej lub więcej czyste; w dniach mglistych, pochmurnych, nierównie są odleglejszemi, ale najbardziej się zbliżają, kiedy po długo trwającej pogodzie zmiana ma nastąpić: wtedy pozornie zbliżają się nadzwyczajnie i wydają się, że są tuż przy nas. Wié dobrze Podhalanin co to znaczy; na drugi a najdalej na trzeci dzień deszcz bowiem przepowiada, a przepowiednia ta nigdy nie myli.

Naprzeciw Bańkówki rozpostarła się wielka kotlinowata dolina, przeszło na milę szeroka i tyleż długa, kształtu prawie romboidalnego; od południa zamykają jój widnokrąg Tatry, od zachodu i wschodu ciągną się mniejsze wzgórza. Dolina ta nie jest zupełnie równą, wznosi się bowiem nieznacznie ku wysokiemu łańcuchowi, a nad strumykami które ją przerzynają, ciągną się rozrzucone wioski lub pojedyncze domki, zamieszkałe przez

właściwych Podhalań, w bliższém znaczeniu tego wyrazu, to jest przez tak zwanych skalnych górali.

Poronin. Wzdłuż szumnego Porońca, czyli wschodniego ramienia Białego Dunajca, ciągnie się droga przez Poronin, rozciągniętą wioskę jak wszystkie w krajach górzystych. Domy stawiają tu z okrągłaków porządnie, często bardzo pięknie. Jeden z odznaczających się zewnętrżnością odwiedziłem, i aby dać wyobrażenie o mieszkaniu góralickim, opiszę je pokrótce. Sień dzieli dom na dwie równe części; czarna ściana okryta świecącemi sadzami od wychodzącego drzwiami dymu, prowadzi do czarnej izby czyli do kuchni i mieszkania czeladzi; podczas zimy ma do niej dozwolony wstęp krowa, cielę i prosięta z kurami: czystości darmo by kto w niej szukał. Z drugiej strony sieni porządne odrzwia zapowiadają lepsze mieszkanie, i są wstępem do izby białej, gdzie przebywa gazda. Zastałem nader czyste, nawet wygodne jego mieszkanie; podłoga z desek, a ściany chociaż drewniane, są czysto wygładzone. Przy ścianie wokoło obwiedzione ławy; w rogu stoi wielki stół jaworowy, a nad nim rozwieszono obrazy świętych, w których wiele mistrzowstwa nie trzeba szukać, bo sprzedają je na łokcie podczas odpustu. Naprzeciw stołu na ścianie, było kilka pułek, a na nich sztucznie ustawione talerze, miseczki dziwnego kształtu, dzbanuszki polewane, popolicie pomarańczowego koloru; naczynia te nie służą na użytek, ale na ozdobę. Komin i piec zajmują trzeci róg, a w czwartym stoi szerokie łóżko z licznymi pierzynami, sięgającemi powały; były one powleczone płótnem ciemno-niebieskiem z białemi kwiatkami, a tak czysto i porządnie, że aż miło. Dwa kufry malowane stały niedaleko łoża; małe drzwiczki wycho-

dzą do komórki, gdzie gospodyni ma swą spiżarnią i skład odzieży. Zabudowania gospodarskie obwodziły czworograniaste podwórko, wyłożone płaskimi płytami z piaskowca. Naprzeciw domu stała mała stodołka, w jednym boku obórka połączona ze stajnią, a naprzeciw niej inne pomniejszych zabudowania; tam, gdzie domostwa brakło, ciągnęły się parkany, tak, że dziedziniec zupełnie stał się zamkniętym. We wszystkich tych zabudowaniach uważałem miły porządek; wozy i inne sprzęty rolnicze stały w jednej stronie, na drugiej wznosiła się mierzwa złożona w kupy. Dom ten mógłby zaiste służyć naszym włościanom za wzór doskonałości, za istotny ideał!

Nie mało przyczynia się do zamożności Podhalań zajmowanie się handlem i rzemiosłami. W Poroninie mnóstwo jest rzemieślników; jedni sporządzają lekkie a trwałe wózki goralskie, inni zajmują się młynarstwem, lub rzną deski; najwięcej zaś wyrabiają grube płótna. Wielu trudni się handlem bydła i owiec, sprzedają soli z Bochni i Wieliczki sprowadzaną, inni wychodzą podczas lata do Węgier na zarobki i wracają na zimę do swych siedzib; bo utrzymują, że nigdzie ani tak dobrze, ani tak wesoło, jak na Podhalu; tu człowiek wie dopiero że żyje!

W samym końcu Poronina, leży młot żelazny czyli kuźnica, w której przekuwają surowe żelazo, sprowadzone z Hrabusic (po niemiecku Kapsdorf) na Spizu w Węgrach, gdzie je wytapiają z najlepszego gatunku rudy jaka istnieje na świecie, za pomocą węgla drzewnego, z minerału zwanego węglan żelaza. Tak sprzyjające warunki uczyniły słynnym żelazo kute porońskie; dlatego po całej Galicyi bardzo jest poszukiwanym. Założenie tego młota, wielce pożyteczne dla tej wioski, nietylko

daje zarobkowanie mieszkańcom, ale nadto jest jedynym środkiem zużycia drzewa z niezmiernych lasów Tatro-
wych, którego gdy kiedyś zabraknie, zapewne zastąpio-
ném w części zostanie potężnymi pokładami pięknego
czarnego torfu, czerniącego się tuż za młotem. Zapewne
jeszcze piérwój przy znaczniejszém rozwinięciu tego za-
kładu, i ten wyborowy materiał stanie się użytecznym: bo
wody do obracania machin taka jest mnogość, że nie
wiém, czyby zdołały spotrzebować tę nic niekosztują-
cą siłę, która tak długo wcale nie była zużywaną.

Wyniesienie nad morze młota porońskiego wymie-
rzyłem bardzo starannie, i pokazuje się z 21 obserwacyj,
że leży 2283 stóp nad morzem; a chociaż dotyka się pra-
wie stóp wysokiego łańcucha, też same zmiany barome-
tryczne panują tutaj, co w Krakowie. Naprzeciwległa
góra Kośłowa, u której spodu warstwy piaskowca Kar-
patowego nader dziwnie się pogięły, wznosi się 700 stóp
wyżej (2965 stóp). Na téjże samój wysokości nieco da-
lój, są domy wystawione na grzbiecie; jeden z nich, dom
Skowry, znalazłem 2951 stóp wysoko położonym. Na
tych grzbietach panuje nader ostry klimat, ale nietyle
cierpią mieszkańcy od zimna, ile od wiatrów; wszystko
u nich więc zmierza, by się ochronić przed niemi; aby
nie dmuchały bezpośrednio, ściany domu pilnie okłada-
ją wokół łupaném drzewem; tak, że okna wyziérają
jakby z zagłębienia. Prawie przez cały rok zwykli palić
w piecach, nawet w najcieplejszych miesiącach, kie-
dy tego niemasz wcale potrzeby. Taki to nawyknięcia
mają ludzie!

(Dalszy ciąg nastąpi).



HISTORIA

NARODU I PAŃSTWA RZYMSKIEGO,

przez Jana Sz waj n i c a (*).

PRZEGLĄD

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

Kiedy Lucyusz Tarkwiniusz Pyszny po uskromieniu Wolsków, świątynią dla króla bogów na skale Tarpejskiej wzniesć kazał, wszystkie bogi ustąpiły z swych posad, a jeden tylko *Terminus* (bóg Granicznik) nie dał się cofnąć.

„Byłoto wróżbą, powtarzał od wieku do wieku rzymski poganin, że władza i panowanie grodu jego nie miały znać granic” (1).

„Byłoto wróżbą, mógł to dodać rzymski chrześcianin, że im nawet kiedyś miał uleż sam bóg Kapitolu”.

(*) *Historia narodu i państwa Rzymskiego podług źródeł i nowszych badań, napisana przez Jana Sz waj n i c a profesora kursów prawnych i pedagogicznych, członka komitetu egzaminacyjnego. Tomów 3. Tom I str. 408, 1845. Tom II str. 733, 1846. Tom III str. 322, 1847. Warszawa.*

(1) Liv. I, 55.

Dwa okresy odznaczyły głównie dzieje ludzkości: tłem pierwszego był bieg jój do jedności *zewewnętrznej*, drugiego bieg do *wewnętrznej* (1), a w jednym i drugim odznaczył się szczególną swą misyą gród Tarkwiniuszów.

Dwóch tych okresów wszakże, jak dwa nader odmienne cele, tak téż nader odmienne być musiały środki, żywiły; stronnicy jednych ze wstrętem więc tylko patrzą na rodzaj drugich (2), i Rzym pierwszego okresu stale odróżnionym został od następnego.

Rzym stary, Rzym z ukończoną swą misyą jest uważanym wyłącznie za Rzym właściwy; właściwa *historja rzymska* obejmuje zwykle dzieje od pierwotnych podań o Rzymie, do upadku cesarstwa rzymskiego na zachodzie. Zakres ten jest téż właśnie przedmiotem i dzieła p. Sz wajnica.



Historja narodu i państwa rzymskiego, tego narodu i państwa, których byt i znaczenie odznaczyły czas kwiatu i zakończenia Igo okresu, w każdej literaturze bywa pożądaném zjawiskiem w swoim waryancie, tém więcéj jest w naszéj. Literatura polska nie miała dotąd, rzecz można, *historji rzymskiéj*; w wiekach zeszłych mieliśmy wprawdzie kilka jój przekładów, ale przekłady te (jako: Skrócenia *Historji rzymskiéj Justyna Flora* przez Falisowskiego, 1646; *Historji rzymskiéj Vertota* przez ks. Jana Sapiebę, 1736; tudzież *Salustyusza, Korneliusza Nepo-*

(1) Buchez: *Pomysły* (Introduction) do *umiejętności historji*. 1833.

(2) Śty Augustyn w dziele „*O Mieście Bożém*” sławę Rzymu dawnego przyrównywa do sławy *korsarza*; przeciwnie Gibbon we wstępie do dzieła: *O chyleniu się i upadku Rzymu*, mówi: iż pierwszą myśl do tego pisma powziął, gdy stojąc śród grodu Cezarów, słyszał obok siebie: „mrużenia mnichów”.

sa, *Tacyta* i t. p.) lub za stare tak z *textu* jak języka przekładu, albo dotykające jedynie kilku szczegółów tej *historyi*, należą dziś nadto wszystkie do rzadkości bibliograficznych. Kompendyum *historyi rzymskiej* Goldsmidta, znane z gładkiego przekładu ks. Olszewskiego, jest tylko kompendyum (1).

Historya którą nam dał p. Szwajnic, skręśla obraz narodu i państwa rzymskiego od pierwszych czasów nastania, do upadku ich w wieku Vtym. Obraz ten, przedstawia nam w rzędzie faktów ze wszystkich szczegółów dziejów starego Rzymu tak zewnętrznych, jako i wewnętrznych; każdy fakt stwierdza cytacją, każdy prawie ocenia krytycznie, i mówiąc w ogóle, daje nam w swym zakresie i szczegółach księgę dziejową, jaką tylko zamozniejsze literatury poszczycić się dotąd mogą. *Historya* p. Szwajnica jak na rzetelną wdzięczność, tak téż i na zwrócenie szczególnych uwag jest przed innemi zasługująca.

Przedstawienie swych dziejów rzymskich, złożył pan Szwajnic ze zbioru faktów i oceniania krytycznie dwuznacznych. Uwag naszych nie zwrócimy tu jednakże głównie do tych ostatnich. Żadnych zapewne dziejów szczegóły tyle śledzone, badane i rozwijane nie były, jak rzymskich; w żadnych jednak nie pozostało ich więcej bez pewnych wniosków. Czy np. (biorąc tu losem kilka) pierwotném plemieniem w Italii było plemię Sykulów? czy Frygo-Thraków? Czy ojczyzną ojców pierwszych Rzymian była Etrurya czy Alba? Czyli w Rzymie od pierwszych królów było i *gens* i *plebs*? Czy pierwsze prawa pisane Rzymian szły z Aten, czy

(1) Rozbiór dzieła tego ze stanowiska krytyki przeczącej, widzieć w Tygod. Wileńsk. z r. 1818, przez J. L.

z tradycyi krajowych z wieku Saturna? Czy prawa rzymskie rolne miały za przedmiot dobra tylko publiczne, czy i prywatne? i t. p. W każdéj z tych kwestyj, co do nas, mamy przekonanie takie lub inne; lecz takie lub inne nie może jeszcze, wierzymy, być bezwzględny powodem przyznań albo zarzutów. — O piśmie p. Szwajnica uczynimy tu kilka uwag ze stanowiska jedynie ogólnych warunków każdego pisma, to jest bezpośredniego stosunku jego, najprzód: do swego przedmiotu, i powtóre: do czytelnika; lub jaśniej, powiemy tu:

1) O stronie dzieła *zewnątrznej*, czyli obranych źródłach i ich użyciu; i

2) O jego stronie *wewnętrznej*, czyli *wykładzie*.

A najprzód co do strony *zewnątrznej*:

Jakież są główne źródła historyi rzymskiéj? jak używano ich dotąd? i jak ich użył p. Szwajnic?

Najdawniejsi literaturze znani pisarze dawnéj historyi rzymskiéj, byli: *Fabius Pictor* i *Cato starszy*, Rzymianie, oraz *Polibiusz* Greczyn. Pisma dwóch pierwszych znane są jedynie z nader krótkich fragmentów, to jest cytacyj u *Dyonizyusza*, *Cycerona* i *Kwintyliana*; trzeci pisał tylko spółczesne sobie wojny punickie i macedońskie. Pisma te (jako téż i późniejszych dziejowych przed Augustem fragmenta) nie mogą więc być uważane za pierwsze źródła. Pisarze, których dzieła są dziś jedyném istotnym źródłem do pierwszych czasów historyi rzymskiéj, są historycy z wieku Augusta: *Dyonizyusz Hali-karnaski* i *Liwiusz*. Spółczesność i blizka potomność *Liwiusza*, dzieje jego za wyraz rzetelnéj tradycyi krajowéj przyjęła; tém więcéj więc przyjąć musiała za takie potomność dalsza. Dzieje rzymskie *Liwiusza* za wieków średnich i prawie do końca zeszłego, jako pewność klas-

syczna były uważane. Przy końcu jednak XVII stulecia i przy początku zeszłego, niektórzy pisarze (jak *Peryzomiusz*, *Vico* i t. p.), już mówiąc bezpośrednio o dziejach rzymskich, już pośrednio o dziejach dawnych i metodzie w dziejach, niejaki wątpliwości co do opowiedzianych przez Liwiusza dziejów pierwotnych Rzymu rzucili. Te wątplenia padły były na żyzną rolę, albowiem na koniec wieku XVIII. W czasie tym, zaprzeczono wśród dziejów faktom przez naocznych nawet świadków, a świadków znanych złądiną z miłości prawdy przekazywanym; tém więc więcej więc uległy podobnemu losowi i dzieje rzymskie. *Rozprawa o niepewności pierwszych czasów historii rzymskiej*, wydana w roku 1793 w Holandyi przez *Beauforta*, cios stanowczy zadała dziejom Liwiusza, i odtąd przed obliczem krytyki ścisłej, pięć pierwszych wieków historii rzymskiej wyłączone zostały z szeregu dziejów. To sprawiło roztrząsanie faktów zewnętrznych; dalsza krytyka jednak (a mianowicie krytyka w Niemczech), posunęła się do wewnętrznego badania. Okres w badaniu tém, sprawił znany krytyk-historyk *Niebuhr*. *Niebuhr* w nowy sposób wyłożył fakta dziejów wewnętrznych rzymskich, i wykład ten do badań zewnętrznych zastosował. Oparty na swój krytyce faktów, wniósł, iż mógł lepiej korzystać z staro-rzymskich rapsodów i podań, niż umiał Liwiusz, i dzieje pierwotne rzymskie z własnych ułożył hipotez. Wykład większej części faktów wewnętrznych przez *Niebuhra*, powszechnie przyjętym dziś został; wykład zewnętrznych otrzymał także swych naśladowców. W ostatnich np. latach obracając poszukiwania w wykład stylowy, odbili ją we Francyi niektórzy pisarze już szczegółowych, już skróconych dziejów rzymskich, jak: *Michelet*, *Ott* i t. p. Opór wszakże przeciw

wykładowi dziejów zewnętrznych rzymskich przez Niebuhra, zjawił się w sumej ojczyźnie Niebubra. Po zwątpieniach i po zniszczeniach, zapragniono znowu twierdzeń, znowu budowy.

Hasło do téj nowéj krytyki dziejów rzymskich anti-przeczącej, podań broniącej i wiarę w nie przywracającą, dał mianowicie *Wachsmuth* (autor jeżeli się nie mylimy wydanéj téż w tych latach *Historji Francji* z ostatniego pół wieku) w dziele swém: *Die aeltere Geschichte des Römischen Staates*. Za pismem tém, a mianowicie za duchem krytyki jego, poszedł właśnie w swojej *Historji Rzymskiej* p. Sz wajnic.

P. Sz wajnic w przedstawieniu dziejów pierwotnych rzymskich, wyszedł z metody twierdzącej, z przyjęcia tradycyj; autor uznał jednakże za zbyt nie wytlumaczyć się z powodu przyjęcia téj metody. Podzielamy ją; gdy jednak do literatury naszej przenoszona zwykle była przeciwna, musimy się wytlumaczyć przynajmniej co do nas, dlaczego?

Brak dawnych świadectw był i jest główném źródłem, powodem zarzutów przeciw prawdzie dziejów pierwotnych rzymskich. Tytus *Livius* pisał o dziejach, które się przed nim stały na wieków VIII; pismo jego jest przeto ściśle mówiąc żadném świadectwem. Przed Liwiuszem byli wprawdzie liczni historycy, lecz ich nie znamy; były roczniki kapłanów, księgi dziejowe urzędowe (*Annales Maximi s. Pontificum, libri Magistratum, libri lintei* i t. p.), lecz te roczniki i księgi nie sięgały czasów zbyt dawnych; owszem, sam Liwiusz (zwrócono uwagę) przy początku swéj księgi VI téj wyznaje: iż wszystko co powiedział w poprzednich księgach, to jest cały

przeciąg dziejów o królach, konsulach, decemwirach, do zajęcia Rzymu przez Gallów z trudnością kręślił, gdyż mówi: „Pismo za owych czasów zbyt mało jeszcze było upowszechnioném, a chociaż w komentarzach kapłanów i innych prywatnych albo publicznych pamiątkach, świadectwa jakowe istniały, te jednak razem z pożarem Rzymu za Gallów po większej części splonęły”.

Ten jest zarzut, i przez wzgląd na ten zarzut głównie, potępioną została prawda 5ciu ksiąg Liwiuszowych. Jednocześnie wszakże z Rzymianinem Liwiuszem pisał historią rzymską Dyonizyusz Halikarnaski; Dyonizyusz pisał swą historią po grecku i z duchem greckim, szczególny przedstawiał nie stronnie, ale krytycznie. do źródeł swoich nie zaliczał historyi Liwiusza (1); a jednak pierwotne dzieje rzymskie jeżeli nie w tychże drobnych, w tychże jednak szczegółach głównych, owszem w szczegółach nieraz podania Liwiusza wyjaśniających i dopełniających przedstawił. *Polybiusz*, którego świadectwo 200 latami nad świadectwo Liwiusza jest starsze, który był przyjacielem prawdy (2), który pisał krytycznie i w piśmie swém ściagał co chwila świadectwa współczesnych sobie Fabiusza i Tymeusza; tradycją jednak o dziejach pierwotnych Rzymu za ustaloną i naruszyć się niemogącą uważał. „Opowiadania moje, mówi

(1) We wstępie do dzieła swego: *Starożytności Rzymskie*, autor ten tak mówi o źródłach swój pracy do spółkrajowców: „Nie sądzicie, że te dziejowe szczegóły, które wam opowiem, będąto bajki; bawitem w Rzymie lat 20, nauczyłem się mowy Rzymian, poznałem pisma historyków ich, jakimi są: Portius Cato, Fabius Maximus, Valerius Antius, Licinius Macer, Aelius Gelius, Kalpurnius i liczni inni”. I niżej: „Každy z historyków tych opowiadał dzieje swojego kraju od ich początku, chociaż pokrótce”.

(2) „Historia, mówił, bez prawdy, jest jak zwierzę bez oka; na nic się nie przydaje”.

w rozdz. IX swéj historyi, tłumacząc się z jéj zadania, zacząłem od roku 453, t. j. od piérwszój wojny sycylijskiéj; chcąc pisać co było przedtém, musiałbym tylko powtarzać co napisali drudzy, a co byłoby i zbytniém, i nieszlachetném" (1). To zaś, czego nie chciał powtarzać i czego nie śmiał naruszać Polybiusz, wnieść możemy, iż nie różniło się wcale od powtarzanéj daléj tradycyi; ilekroć bowiem śród opisu swych wojen czyni przygodnie wzmianki o dawnéj historyi rzymskiéj (jak np. o *Koklesie* (2) broniącym mostu, o *królu Anku Marcycy-sie* (3) i t. p.), wspomina szczegóły też właśnie, które przekazał Liwiusz. Same owe słowa Liwiusza o rzadkości świadectw przed epoką Gallów, są raczój za, a nie przeciw jego historyi. Skoro bowiem powiada, że świadectwa te przed epoką Gallów rzadkie były, tém samém twierdzi że *były*; i gdy dodaje, że za Gallów spaliły się *prawie wszystkie*, tém samém świadczy, że nie spaliły się wszystkie (4).

Jakoż opowiadając Liwiusz dzieje rzeczypospolitéj przed epoką Gallów, wymienia ledwo nie pod każdym rokiem nietylko nazwiska konsulów, nietylko wojenne wyprawy, lecz téż i sądy lub prawa zapadłe, stan zdrowia, stan powietrza, stan urodzajów śród kraju i t. p. szczegóły, które właśnie były zapisywane i które tylko mogły być przepisane z *roczników* (5). I wreszcie mó-

(1) *Polyb.* IX.

(2) *Polyb.* VI, X.

(3) *Polyb.* VI, I.

(4) „..... tum quod parvae et rarae per eadem tempora litterae fuere et quod etiamsi que in commentariis pontificum aliisque publicis privatisque erant monumentis, incensa urbe pleraeque interiorae”. Liv. VI, I.

(5) „Ita enim annales conficiebantur: tabulam dealbatam quotannis Pontifex Maximus habuit, in qua prescriptis Consu-

więc nawet o dziejach z czasów królewskich, samém opowiadaniem świadczy, iż nie sam tworzył tradycją, lecz owszem, iż nie z jednego źródła czerpał jęj szczegóły (1).

Tradycya więc o tych piérwszych czasach historyi rzymskiej jak je przekazał Liwiusz, żyła przez wieki wśród kraju. Treść jęj z wyjątkiem kilku szczegółów o założycielach Rzymu, które sam Liwiusz podał jako dwuznaczność, nie nosi na sobie wcale ani cech niezwykłości, ani szczególnej stronności; i owszem, przedstawia szereg wypadków rzadko pomyslnych dla kraju, przedstawia wszakże szereg harmonijny dziejów wewnętrznych i obok zewnętrznych, następstwa których były już dalej przez naocznych świadków widziane i zapisane, a którychto następstw początek i powód w każdym razie taki lub inny być musiał. — Wieki podań, ich jedność, następstwa, mówią więc za dziejami Liwiusza; przeciw prawdzie zaś ich stawionym jest wyłącznie i tylko — *domysł*. Autorowi historyi którą mamy przed sobą, która nam do piśmienności przybywa, nader więc wdzięczni jesteśmy, że nie poszedł drogą przeczącą, że zamiast łatwego zbywania kilku słowami dziejów pierwotnych rzymskich, brania ich za legendy lub mity, lub stawiania

lum nominibus et aliorum Magistratum, digna memoratu notare consueverat, domi, militiae, terra, mori, gesta per singulos dies". *Seruius in Aen.* V, 377.

(1) Mówiąc np. o popisie ludności za króla Serwiusza Tulliusza, dodaje: „Historyk nasz Fabiusz Pictor utrzymuje: iż każdy spisowy zdolnym był do noszenia broni”. *Liv.* 141. Zowiąc Lucyusza Tarkwiniusza synem, nie synowcem starego, mówi: iż poszedł za zdaniem *większości*. „*Pluribus tamen auctoribus filium ediderim*” I, 46. Mówiąc o walce i krajowości Horacyuszów i Kuryacyuszów, mówi: „Pisarze różnie utrzymują; liczniejsi jednak piérwszych mają za Rzymian. *Auctores, utro que trahunt, plures tamen invenio qui Romanos Horatios vocent*”. I, 24.

w ich miejsce szeregu hipotez, za podstawę w opowiadaniu ich przyjął raczój tradycją jak domysł, i że zamiast zdobytej przez (mówimy to śmiało) pseudo krytykę, dla kilku dziejowych wieków nicości, przedstawił nam w nich napowrót ludzi i dzieje ludzkie.

Podzielamy metodę; mówiąc to jednak, nie zamierzamy hynajmniej bronić sposobu, w jaki się autor trzyma tój metody. Wątpienie źródło ma nie w miłości, lecz nienawiści faktów, i dlatego nie lubimy wątpienia; dzieje wszakże nie dla rozrywki lubimy, lecz jako prawdę. Nie lubimy zaprzeczeń; wolelibyśmy jednak w ostatnim razie: nieprawdy przeczenie, aniżeli fałszu twierdzenie. Podati pierwotnych historyi rzymskiej nie odrzucamy z tój jedynie zasady, iż niecałkiem są pewne; lecz skoro niecałkiem są pewne, wolelibyśmy je odrzucić, niż twierdzić, iż całkiem są pewne. Ta jest jednak zasada, krytyka, z której wyszedł p. Szwajnic w krésleniu piérwszych wieków swojej historyi. Autor w krésleniu tych wieków wyszedł już nie z metody twierdzącej, lecz (w ostateczność inną wpadając) z ultra twierdzącej. Każdy fakt, każdy szczegół przez pisarza jakiejbądźkolwiek wiary i wieku o czasach tych zapisany, skoro tylko był zapisany, autor jako niewątpliwy i nieprzeparty uważał. Oddział zwłaszcza, w którym rozbióra i objaśnia czytelnikowi piérwsze wieki historyi rzymskiej do panowania Numy, główniej w ten rodzaj sądu przybrany został. Oddział ten (t. j. dwa piérwsze rozdziały tomu Igo) jest tak różnym krytycznie od reszty pisma, tak szczególny wykład nam daje, że może raczój powinniśmy o nim przemilczć, lub kilku słowy pominąć. Ale oddział ten nie jest wcale odziany w brak krytyki, lecz w szczególny rodzaj krytyki; oddział ten autor owszem w większą może pra-

cowitość krytyczną przydział, niż jakikolwiek inny; jeśli więc mu zarzut czynimy, winniśmy się usprawiedliwić z powodów.

Iszy rozdział tomu Igo poświęcił p. Sz wajnic twierdzeniu i krytycznemu sprawdzeniu: iż Eneasze Trojanofrygijczyk po zburzeniu Troi przez Greków, przybył na półwysep Italski, i tu z ludem swym dał początek państwu rzymskiemu. Jakaż była rzeczywiście tradycya i historia tradycyi o Eneaszu?

Tradycyi o Eneaszu, jak w ogóle całym dziejom pierwotnym italskim, Liwiusz w historii swój kilka tylko wierszy poświęcił: „Wiadomo jest, mówi, iż po zburzeniu Troi, Eneasze z ostatkiem Trojan przybył do ziemi italskiej, tu zwyciężył i poślubił córkę króla Latynów, założył Albę długą, a jednym z następców jego był Romulus.” Tradycyi téj zaprzeczano jednak spólcześnie w Grecyi, i Dyonizyusz Halikarnaski stwierdzeniu jój całą prawie pierwszą księgę swych *Starożytności* musiał poświęcić. Tradycyi téj zaprzeczono tém więcej za wieków nowych. Za wieków tych, jak wiadomo, zaprzeczono nietylko iżby Trojanie przybyli do Italii po zburzeniu Troi, lecz nawet iżby Troja była burzoną; nietylko iżby Eneasze był na italskiej ziemi, ale na ziemi. Aeneasze, zwrócono uwagę, to allegorya albańska o władzy słońca; *Aen* bowiem w językach wschodnich to słońce. Przybycie Trojan przyniosłoby do Italii i bóstwa Trojan: Wenerę, Apollina, Cybełę; Rzymianie zaś nie czcili bynajmniej przez wieków kilka, ani Apolla, ani Wenery, ani Cybeli; wywód więc pochodzenia Rzymian od Trojan i Eneasza, wniesiono, powstać mógł tylko wśród Rzymian od wojen greckich, kiedy rozkrzewiła się w Rzymie mania greczenia się. Odpowiedzito na te i tym podobne

zarzuty, poświęcił właśnie p. Szwajnic Iszy rozdział swojej Historji i dodał wnioski. Słowo *Aen*, mówi tu między innemi autor, mogło istotnie w Albie oznaczać słońce; nie pociąga to jednak, iżby od tego słońca nie mogło być imię człowieka. Królowie dawni, zwraca uwagę, lubili się nazywać od słońca, i jeszcze ów rzymski Cezar Gabalus nazwał się *Heliogabalus*; bóstwa *Apollo*, *Wenera*, *Cybele*, nie spotykają się w Rzymie przez kilka wieków istotnie; niezawsze jednak jedne i te same bóstwa w starożytności pod jednemi nazwiskami były czczone. *Apollo*, *Wenera*, *Cybel*a, zdaniem autora, były czczone w Rzymie od wieków najpiérwszych, lubo pod odmiennemi nazwiskami. Troja dawna istniała; i Homer nie śpiewał bajek, gdyż dzieje te rodzin greckich, śpiewał śród rodzin greckich, wiedzących o swoich dziejach. — Autor nadto dodaje wywód wykazujący, że zwyczaje, obyczaje, obrzędy, rozsiane po ziemiach latyńskich, miały podobieństwo frygijskich; że różniły się od italskich pierwotnych, i że przeto mogły być tylko skutkiem przybycia Eneasza z swym ludem Trojano-Frygijskim do Italii. „Obrzędy te, mówi autor, nie są *najpewniejszym dowodem* osiedlenia się Trojan w Italii i przybycia z niemi Eneasza?” 1 — 20; i niżej: „Również obrzędy pogrzebowe zachowane w Rzymie, dowodzą przybycia Eneasza do Italii” 1—21.

Pomijamy tu, iż zbijanie przez autora zarzutów przeciw *możności* bytu Eneasza, może być wprawdzie dowodem *możności* jego bytu, ale nie bytu; pomijamy, iż ślady przybycia do Italii kolonii frygijskiej, mogły być tylko skutkiem przybycia kolonii frygijskiej, ale nie Eneasza; pomijamy, iż owszem sam autor wywód swój stanowczo bezużytecznym uczynił, twierząc po dwakroć, iż te

kolonie były tu już i przed Eneaszem (1). Z przekonani takich lub innych, jak rzekliśmy, nie mamy tu wszakże czynić zarzutów, a zwracamy uwagę na źródła i na metodę.

W owych wywodach czci różnych, różnych obrzędów, faktów zdarzonych, a faktów tych najpewniejszych, jak twierdzi, na jakichże autor źródłach, na jakich się oparł świadectwach? W rozdziale tym całym za jedyne, ale według autora nieprzeparte w pewności źródło, wskazywani są wyłącznie poeci z wieku Augusta: *Virgiliusz*, *Owidyusz*, oraz pisarze o wiek jeszcze po nich później piszący, a przygodnie o obyczajach i zwyczajach italskich sobie spółczesnych wspominający: *Serwiusz*, *Festus*, *Macrobiusz* i t. p.

W dowód up. iż dawni Rzymianie błagając bogów, na wzór frygijski głowę okrywali, przytacza autor opis Owidyusza, iż Augur, który poświęcał Numę *velute capite* błagał bogów. Za dowód konieczności przybycia Trojan, kładzie podobnie proroctwo Owidyuszowe: „Wszakże już Karmenta, mówi, przybycie Trojan do Italii, wskrzeszenie w niej wielkiego grodu Troi, zaprowadzenie i cześć italiackich bogów przepowiedziała.” 1—7. Kierunek drogi Eneaszowej, jego do Italii przybycie, czczenie przezeń Cybeli, autor stwierdza cytacyami z Eneidy: „Owe ślubowane zastępy, mówi na str. 4 i 5, przez wieszczka italskiego Marona opiewane, były potomkami Frygów. W Italii kryje się Saturn, w Italii panują Kureci...” Słusznie więc Eneasze idąc za tą wskazówką, zawinął do Delos. Aniasz król i kapłan w ojcu jego

(1) „Korybanci, kapłani wielkiej matki, przybywszy, mówi autor, do Italii na wiele lat przed Eneaszem, zaszczipili w niej cześć Cybeli” 1, 4. Trojanie zawitawszy pod wodzą Eneasza do italskiej ziemi, znaleźli w nowej ojczyźnie dawny ród Frygów.” 1, 25.

poznaje przyjaciela, a Febus błagany każe szukać dawnéj matki." Lub niżej między innemi: „Wielka matka, matka bogów Cybele, nieodstępnie towarzyszy Eneaszowi w podróży. Opieki jéj wzywa stanąwszy na ziemi Laurentów. Jéj zrządzeniem w Nimfy przemienione widział okręty. Do niéj przed rozpoczęciem walki z Turnusem modły zasyła: „Matko bogów! która ukochałaś Dydymę, miasto z wyniosłemi wieżami i lwy zaprzężone do twego wozu, wspieraj mnie w.téj bitwie" i t. d. 1—17.

Mamyż zwracać uwagę na niewłaściwość, dziwność równych cytacyj? Poeta Homer pragnąc przedstawić nacznie, ludzkie nie od nich zależne skłonienia woli a harmonijne wypadki, wyraził to przez drobnienie, uosobianie szczegółowych bogów. Wirgiliusz naśladował Homera, i w tenże sposób użył machiny bogów: mówiąc o Trojanach i Grekach, starał się powtarzać obrzędy Trojan i Greków, szczegóły słowa odziewał téż w fantazyje jak Homer, i owszem nieraz poetyczniej jak Homer; to, co sam Wirgiliusz przed sobą miał za fantazyją, bajkę, nazwał poezją, p. Sz wajnic ma za ścisły dowód dziejowy. Autor prowadząc w następnych rozdziałach krytykę faktów, przy wyborze dwóch świadectw nieraz nie wierzy temu, co mówi Liwiusz. Autor nie wierzy temu, o czém świadczył historyk na lat przed sobą 200, a wierzy temu, o czém na lat przed sobą tysiąc i dwieście wspominał poeta. Brać Eneidę za źródło do dziejów pierwotnych italskich, jestto to samo, przyzna nam autor, jak gdybyśmy za źródło do dziejów pierwotnych litewskich, brać dziś chcieli np. (poetyczną zkądiną) Witolorandę.

Chcieliśmy jeszcze dodać, lecz to co chcieliśmy dodać, przypomniało nam jeszcze jeden krytyki autora te-

go rozdziału odcień; odcień na który jednak tém chętniej zwracamy uwagę, iż nam tajemnicę i powód całej jasnej tłumaczy.

Chcieliśmy rzec: iż jeśli autor wierzy głoskowo każdemu twierdzeniu Wirgiliusza o tém co było na ziemi, winien téż wierzyć i w to wszystko, co mówi o niebie — w trojański i grecki Olimp; lecz oto sądzić można, i owszem sądzić wypada, iż autor wierzy istotnie w ten Olimp. We wszystkich wywodach, twierdzeniach w całym rozdziale tym, autor o bogach rzymskich wspomina w sposób, któryby mógł zawstydzić prawowierność Rzymianina dawnego. Na str. np. 10 wspominając o Grecyi przed-Homerowej, autor mówi: „W krainie rządzonej z początku *bogów potęgą*, w której góry, doliny, źródła, rzeki, gaje, lasy bóstw obecnością *są naznaczone*, gdzie Apollo z lutnią lub lirą w ręku trzody pasał; w krainie lubionej jeszcze i odwiedzanéj przez niebian, *kiedy dla występków człowieka opuściwszy ziemię osiedli na Olimpie*, byli miewątpliwie rodowi śpiewacy” i t. d. Lub niżej, wspominając o pierwszych królach albańskich, na str. 27: „Nie pominiemy przy stawianiu Alby zdarzenia, piętno dziwu na sobie noszącego. Posągi bogów *nie chciały* przeniesionemi być do Alby, do świątyni dla nich przygotowanej; bogowie chociaż ofiarami błagani, powrócili do ukochanego Lawinium”. Fakt ten dalej autor owszem za krytyczny dowód przytacza: „Pierwiastek kapłano-władny, mówi na téjże karcie, nie był snadź silny w Albie, kiedy opiekuńcze bóstwa narodu wołały pozostać w Lawinium, jak tam się przenieść”. Czyniąc wzmiankę w tymże rozdziale (na str. 24) o rodzinach rzymskich idących od Eneasza i wzięciu Ilium za Sylli, autor dodaje: „Po zburzeniu grodu, przenieśli zwycięż-

cy godło jego do Rzymu, a przenosząc je oddali hold macierzystemu Ilium. Eneasze i potomkowie chociaż już odrodni, rządili Trojanami. Przepowiednia Neptuna ziściła się do słowa. Dowodzi ona, że Homer miał niezawodne podania". Kończąc podobnie wywód swój o Eneasz i zbierając co rzekł, autor mówi: „Kiedy więc uroczystości, obrzędy, zwyczaje i w końcu *sami bogowie* świadczą o przybyciu Trojan do Italii, któż nie pozna prawdy?” i t. d. str. 1, 23.

Cóż znaczą równe twierdzenia i dowodzenia w piśmie p. Szwajnica? Twierdzenia te nader jawnie zdradzają swój powód, t. j. miejsce swych źródeł. P. Szwajnic przez obcowanie z pismami, krytyką starożytną, tak się przejmował ich treścią, przenosił w świat starodawny, że zapominał o współczesnym. Autor przytacza dowody, które tylko mieć mogły wagę dla dawnych Rzymian; zbija zarzuty, zbijania których nie potrzebuje, owszem, o istnieniu których nie wie nawet dzisiejszy czytelnik. Uwagi i twierdzenia znajdujące się w dawnych pogańskich historykach, autor wyraźnie żywcem do pisma swojego przenosił lub je rozwijał (1). Taki jest rodzaj

(1) Takiem np. właśnie jest owo proroctwo Neptuna, o którym wspomina autor. Przeciwnicy wyvodu Rzymian od Eneasza w Grecyi przytaczali, że Homer przez usta Neptuna prorokował mu: że on i dzieci jego będą panować nad Troją, że zatem Homer nie przypuszczał odjazdu jego do Italii. *Dyonizyusz* przytaczając w swym wywodzie ten zarzut, przytoczył ów wiersz Homera i wykazywał, że ten nie mówi, iż Eneasze będzie rządził Troją, lecz Trojanami, że zatem mogło to być i w Italii. P. Szwajnic objaśniając to proroctwo w ten sposób: iż Scypionowie i Sylla władali w Ilium, zawstydził jak widzimy prawowierność *Dyonizyusza*. *Dyonizyusz* opierał się na Homerze jako historyku, to jest badał, o ile mu dalszy los Eneasza mógł być znanym; p. Szwajnic mówi o faktach w lat 1000 po Homerze zdarzonych, i wychodzi z zasady wszechwiedzy proroctwa Neptunowego. Cały też wy-

krytyki p. Sz wajnica w rozdziale 1szym jego Historji; w oddzielny odcień odział autor swój rozdział 2gi.

Jeżeli w rozdziale swym piérwszym autor trzymał się prosto źródeł, to jest pism dawnych, bez przywiązywania wagi do dalszych: w drugim odbijał głównie najnowsze współczesne badania, nie zważając na źródła.

Romulus założyciel Rzymu, który u historyków dawnych był postacią ściśle dziejową, według krytyków nowszych wymysłem, nam społecznym domniemań, *allegoryą*; przedstawiony został przez autora głównie jak *allegorya*. Przytoczymy tu najprzód własnymi słowami autora wykład przez niego allegoryczności figury Romulusa i szczegółów o Romulusie podanych, wykład, który autor z całą krwią zimną nam czyni.

„Tajemniczość pochodzenia założycieli wielkiego miasta, mówi p. Sz wajnic, spowodowała światłe badania o niepewności pierwotnych dziejów państwa rzymskiego. Uczęzone badania, prace znakomitych mężów, usunęły tę wątpliwość. *W pierwiastkach Rzymu szczegóły nawet drobne zostały objaśnione.* Starożytność bliżej jeszcze z naturą spowinowacona, przenosiła cały układ niebieski słońca, księżycy, gwiazd, do krajów mieszkalnych i ich urządzeń”.

wód o Eneaszu na wzór Dyonizjusza, lubo nieraz z odmianami co do źródeł i szczegółów, nieraz téż temi prawie słowy prowadzony. Oto jest np. zaczęcie obu wywodów. Dyonizjusz zaczynając swój, mówi: „Quod autem Aeneas et Trojani venerint in Italiam omnes Romani confirmant, et quae in sacrificiis et festis diebus ad ipsos fiunt, idem indicant, et Sibillini libri et oracula Pythica, et multa alia hoc ipsum testantur”. *Dyoniz. Hakik*: według przekładu łacińskiego i wydania (które mamy pod ręką) *Henrici Stephani. Antiquitates lib. I, fol. 22.* Podobnie p. Sz wajnic: „Przybycie Eneasz do Italii zaświadczone jednomyslnością dziejopisów rzymskich, stwierdzają wyrocznie (?), zjawiska (?), sny (?), zwyczaje, obrzędy religijne, pomniki” i t. p. 1, 18.

„Założycielem będzie kapłan i król, słońce, będzie samo słońce połączone z czasem. Romulus z Remem łącząc w sobie wspomniane godła, są tego rodzaju istotami, a pierwotna historia Rzymu polega na tym podwójnym pierwiastku. W nadziemskim Kwirynowie są rocznym słońcem, ich ojcem czas, słońce, matką natura w czasie, w roku zawarta. Tym sposobem Mars daje im życie, rodzi Rea Sylwia. Pochodzenie jednak nie zabezpiecza ich od prześladowania: Amuliusz każe wyrzucić młode plemię na wodę; rozkaz zostaje spełniony w miejscu, w którym drzewo Ruminalne wznosi rozłożyste konary”.

„Ale któż jest owym okrutnym, nieubłagany Amuliuszem? Zimowe słońce w obrządkach Alban, nieprzyjaciół dwóch szczepów, które mu tron i panowanie odbiorą. A woda? Obraz czasu, jak świadczą owe coroczne przy rzekach i jeziorach ofiary, owe wizerunki z mostów do oceanu posyłane. Czém Ruminalne drzewo? Także obrazem czasu. Dzieciół ptak Marsa przynosił pokarm bliźniętom, wilczyca podawała im piersi: bo i ten ptak godłem jest czasu, jest nim także kanikuła, dlatego pokarmu nie wzbrania. Lituje się nad nieszczęśliwych bliźnięt losem Faustul pastérz królewski i żona jego Akka Laurency. Słusznie, wszak Faustul jest bożkiem ognia, jest Fajstem Persów, Efestem Greków, Festulem Latynów. A któż nie uzna wyobrażeń przenośnych w Laurency, która czyniąc polne ofiary dla pomyślności Rzymu, już dwunastu, już dwóch tylko młodzieńców w swoim orszaku prowadzi? Są nimi Romulus i Remus, znamiona miesiący, godła słońca, roku na dwie części podzielonego. Laurency z Herkulesem miała schadzki; z tym bogiem słońca (?) w kostki grywała:

jestto Akka siła bierna przyrodzenia, jój Rzymianie, jako upływającemu rokowi ofiary i cześć boską składali”.

„Zakładając gród, obiera Romulus dla powzięcia wieszczby górę Palatyńską, Remus pagórek Awentynu. Jednemu ukazało się sześć sępów, drugiemu w podwójnej liczbie zwiastowali bogowie przepowiednię. Romulus słońce całego roku witał z gronem swoim dwanaście orłów, Remus znamię półroczną, choć pierwszy co do czasu, połowę tylko ujrzał. A zatem brat panowanie mu odbiera: przy pomocy Celera władzcy i ręki czasu, zgon Remowi przynosi”.

„Stronę przenośną Romulusa, przedstawia jeszcze jego zniknięcie z ziemi i miejsce między bogami Olimpu zajęte. Niknie w obec ludu w miesiącu lipcu nad jeziorem Kapry, wśród burzy i zaćmienia słońca. Jako wódz całego roku, będąc także obrazem zimy, w znamię Rema obejmuje panowanie” i t. d. 1, 29, 31.

Kiedy niegdyś po ukończonym okresie tradycji, nastąpił był okres dociekań; pojęcia *zaczynające* okres, z natury swojej nie były odpowiednie do jasnego objęcia przekazanych szczegółów z *ukończonego*. Począwszy od Manethona i Gnostyków (którzy pierwsi bliższe zwrócili śledzenia do szczegółów Wschodu), pierwotne religie i dzieje pierwotne w ogóle, jako zbiór samych allegoryj wyłącznie zaczęły być wykładane. Teologie tłumaczono przez dzieje, dzieje ziemi przez dzieje na niebie i t. p. Tak podobnie za wieków nam bliższych, szczegóły mitologii i legend greckich wykladał np. *Bako*, tak *Vico*, i tak za dni naszych wszystkie pierwotne tradycje i mitologie wschodnie *Görres*, *Kreuzer* i t. p. Los tych faktów podzieliły i rzymskie. Eneasza, nauczało np.

to słońce; Romulus, słońce także; wiek królów, tydzień śród roku; siedmiu królów to siedm dni; rycerze: Korkles i Scewola, Kollatynus i jego małżonka, Koryolan i matka, Wirginiusz i córka, to kilka ballad i legend. Niektórzy wreszcie, jako np. *Court de Gébelin* (w *Monde Primitif*), *Zinserling* (w *Histoire Romaine*), a zwłaszcza *Kanne* (w *Erste Urkunde der Geschichte*), którychto dwóch ostatnich twierdzenia p. Sz wajnic w powyższym wykładzie właśnie prawie dosłownie powtórzył, każdą myśl, każde słowo w tradycyi za prawdę, a pomysł allegoryczny z owych pierwszych czasów idący uznali.

Powiedzieliśmy wyżej, jak uważamy krytykę faktom *zaprzeczającą*; powiemy też prosto, jak uważamy ich *wykład przez allegoryę*.

Allegorye były niegdyś istotnie i owszem są jeszcze i dzisiaj nader powszechne na Wschodzie. Pisma, szczególnie podań Wschodu, i w ogóle ludów pierwotnych są ich pełne. Lecz cóż były i gdzie miały granice te allegorye? Allegorye, to tłumaczenie myśli przez obrazy zamiast przez słowa; oczywiście więc tam tylko były w użyciu, tam były konieczne, gdzie brak był słowa. W tém istocie, w tém źródło, w tém też widzimy i granicę allegoryczności. Wierzmy, iż przez obrazy zmysłowe, tłumaczono ludom zmysłowym myśl oderwaną; lecz nie wierzymy, iżby obrazy zmysłowe wykładano im przez myśl oderwaną. Wierzmy, iż gdzie była trudność wykładu, uciekano się do środka lżejszego; lecz nie wierzymy, iżby tam gdzie była łatwość wykładu, uciekano się do trudniejszego.

Pojmujemy np. iż bogowie Homera, jako dopiéro rzekliśmy, byli allegoryą dramatów ludzkich; lecz nie pojmujemy, iżby np. jak wierzył Bakon, dziesięć czynów

Herkulesowych na ziemi, były wykładem dla ludu dziejów konstellacyj na niebie. Co się widzi, nie objaśnia się przezto, czego się nie widzi. Pojmujemy podobnie to, iż Trójca i bóstwa indyjskie były, jak mówi Kreuzer, uosobieniem sił skrytych, praw przyrodzenia; lecz nie wierzymy co mówi tenże, iżby np. legenda egipska o walce *Osirisa z Typhonem* miała być allegoryą dla ludu, iż *Nil i słońce* w Egipcie muszą walczyć z wiatrami i piaskami Etyopii. Pojmujemy, iż w biblji duch podstępny i złości mógł być nazwany *wężem*, iż *Jehowah* ukazywał się w krzewie *ognistym*; lecz nie wierzymy z tymi którzy mniemają np., iż wyrażenie „że Kain zabił Abła” (1), miało być wyrażeniem: iż pokolenia złości przemogły po rozrodzeniu się ludzi i pokonały pokolenia dobra; nie widzimy bowiem, dlaczego miał się powściągać i być w ten sposób jaśniejszym historyk?

Zasadę tę więc i do pierwotnych dziejów rzymskich stosujemy. Możemy wierzyć, iż niektóre szczegóły ich mogły być w poezję odziane, wyobraźnią dosnute, przyozdobione; lecz nie rozumiemy, dlaczego opisywane w nich czyny ludzkie nie miały być ludzkie, dlaczego i dla kogo miałyby być w allegorye o bytności gwiazd, słońca, czasu i t. p. ujmowane? Przypuszczamy, iż umysł pierwotnych Rzymian nie był zdolnym jeszcze obudzić w sobie najniższej i najpiérwszej z rodzących się władz

(1) *Dupuis* w *Origine de Cultes* twierdził, iż zdaniem jego Chrystus i 12tu apostołów, byłato allegorya pomyślana przez piérwszych chrześcian, a mająca oznaczać *słońce* i 12 *znaków zodyaku*. Twierdzenie to zkadinał poważnego historyka, przypominamy tu tylko dlatego, by wskazać jak daleko zająć może, zachodzi, branie faktów za allegorye. Ktoś niedawno twierdził dowcipnie, iż za lat 1000, może bohater Napoleon i jego czyny, jako utwór allegoryczny z naszych czasów idący, będą uważane.

pojęcia — *pamięci*, iż nie był jeszcze zdolnym spamiętać jednego żywego nazwiska, jednego czynu, i przypuszczamy, iż już był zdolnym wzbijać się do fantazyi, do obejmowania prawd oderwanych, i owszem, do wykładania ich przez allegorye filozoficzne (1). Pojmujemy, iż pierwotne czasy rzymskie przez społecznych niepoświadczone, poetycznie opowiadane, dla przyjaciół wykładu przez allegorye, mogły być polem do wątpień, do ostrzeżenia dowcipu przy ich wykładzie; lecz aby dziejopisarz tak zimny jak jest p. Szwajnic, równe domysły, zabawki, brał za prawdę nieporuszoną, to tylko za jakąś chwilę zapomnienia się rachować musimy. Że cały ów ustęp o wykrytym jakoby stanowczo wyjaśnieniu czém był Romulus, był tylko skutkiem zapomnienia się autora, możemy owszem położyć na to dowód stanowczy. Chcemy bowiem w to wierzyć na chwilę, iż wykład ten rze-

(1) P. Majorkiewicz młody autor, o którego pracach piśmieniowych i zgonie przedwczesnym, w roku zeszłym w kronice Biblioteki donieśliśmy, umieszczając w jedném z tutejszych pism artykuł z powodu wyjścia Igo tomu Historji p. Szwajnica, oświadczał się także za pojmowaniem wyłącznie allegoryczném całej tradycyi o Iszych królach rzymskich, a w szczególności o Romulusie i Nunie: „Romulus, mówił tam p. Majorkiewicz, jest symbolem życia rozwijającego się w ciągu wieków, a przynajmniej przez długi szereg pokoleń. Ginie ten dziwoląg, ta fantasmagorya ludu i rozprasza się jako mgła, skoro tylko słońce krytyki do niej się dotknie. Romulus dokonywa tego, co tylko wieki całe dokonać mogą: ustanawia małżeństwo, władzę rodziców nad dziećmi, wydaje prawo o nietykalności murów (podanie mityczne o Remie), słowem, daje fizyologijną podstawę życiu. Jest więc Romulus uosobieniem piérwszej doby rozwoju, to jest materyalnej, fizycznej.

Dru ga do ba jest moralna, uduchowniająca piérwszą: jest to oświecenie, uznanie (w postaci mętnego uczucia wiary) tego, co wydała natura; i ten zwrot uosobiony został w dziejach Rzymu w Nunie. Któżto jest Numa? sama nazwa pokazuje, że to uosobienie bóstwa (Numen)”. *Przegląd Naukowy z r. 1845, nr. 35.*

czywiście prawdziwym jest: i czémże więc był Romulus? Czy słońcem, czy rokiem, czy liczbą, czy zimą? czy czém podobném? Romulus, widzieliśmy, był tém wszystkiém według powyższego wykładu.

Nie objaśnia nas tém więcej autor skoro dodaje dalej, iż Romulus będąc słońcem, czasem i rokiem i t. p. był téż nadto postacią dziejową. Rozumielibyśmy autora gdyby twierdził: iż Romulus i Remus byli to ludzie, i że tylko niektóre szczegóły hytu ich w allegorye przez tradycją przybrano; ale p. Sz wajnic nie opiera się wcale na téj różnicy i twierdzi, że jedne i te same szczegóły bytu ich, jedne i te same ich czyny, były razem i faktami i allegoryą. Autor np. jak to widzieliśmy (t. j. na str. 30, tomu 1 swego pisma) utrzymuje, iż Amuliusz który wychował Romulusa był słońcem zimowém; iż woda w którą był rzucony Romulus, była allegoryą czasu; iż

Młody autor, widzimy, w zdaniach tych mniemając zapewne, że przez napadanie na historyczność Romulusa napadał na szkolność, sam trzymał się innéj, i w powyrywanych zdaniach, słowo w słowo wyrażał się gwałtem jak szkoła. Mówimy gwałtem, nie sądzimy bowiem, iżby istotnie w to wierzył: że między czasem zbudowania murów a zakazem przechodzenia ich, między prawem o małżeństwie a prawem o dzieciach z tego małżeństwa, powinny być środkować wieki. Autor nie wierzył, iżby lud rzymski mógł objąć pamięcią nazwisko założyciela swojej stolicy, nazwisko jednego króla; a wierzył, iż mógł obejmować wieki, i owszem wyrozumowywać ich fakta i figurami pewnemi symbolizować. Tak wprawdzie utrzymywał już *Vico*; lecz stroną silną *Vico* było dostrzeżenie momentów ogólnych w dziejach, a żadną: uczucie i tłumaczenie szczególnych. Zdaniem naszym ci krytycy historyczni, którzy jak *Vico* i szkoła, twierdzą np. iż nie istniał Herkules, lecz że istniało wielu Herkulesów; iż nie istniał Romulus, Mojżesz, lecz że istniało wielu Romulusów, wielu Mojżeszów: tak czuć umieją dzieje, jak owi krytycy poetyczni poezją, którzy sądzą, że *Iliada* Homera (poemat, którego główny przymiot wewnątrznie i zewnątrznie leży w *całości*), była nie dziełem Homera, ale w przeciągu wieków wielu Homerów.

odebranie przez brata władzy Remowi i jego zamordowanie, było jedynie figurą; iż 12ście miesięcy połyka sześć. Niżej zaś na str. 32 robi uwagę, iż wyrzucenie i wychowanie Romulusa przez kapłanów mogło być rzeczywiste, tak bowiem właśnie wychowanymi byli w starożytności Mojżesz, Cyrus; iż walka brata z bratem jakkolwiek „właściwiej” ma miejsce na niebie, ‘mogła być przecież walką o dostojęństwo kapłańskie’ i t. p. Nie rozumiemy istotnie, dlaczego autor który tolerował i powtarzał świadectwa: iż bogowie przenosili się sami z Alby do Lawinium, iż Cybela zamieniała okręty w Nimfy, uczuł nagle skrupuł krytyczny i wzdrygał się wierzyć: iż Romulusa mógł wychować pastérz Faustus, iż Romulus mógł mieć brata i t. p. i ma to za allegorye. Z dwóch rzeczy jedna: albo szczegóły o Romulusie podane istotnie były zdarzone, a wtedy allegoryą nie były; lub téż zapisane były jako allegorye, a wtedy nie były istotne. Fakt nie może jednocześnie być takim i innym, w tymże czasie *istnieć*, oraz *nie istnieć*.

Przechodząc od panowania Romulusa do panowania Numy, autor jeszcze raz twierdzi, iż między pierwszym a drugim było bezkrólewie, które jednocześnie istniało i nie istniało: „Po zejściu Romulusa, mówi, nastąpiło bezkrólewie, które nosi na sobie podwójne znamię: „*astromiczne i historyczne*”. Na tém wszakże kończy się i krytyka pierwotnych czasów jego Historji.

Téj szczególnéj autora krytyce w tych rozdziałach, téj krytyce która co chwila różna, co chwila zmienna, już wychodzi z miłości faktów, już z nienawiści faktów; już z niewiary w każdy fakt prosty, już z ultra wiary w każdy piórem zapisany; która wątpi o faktach prawdopodobnych, a objaśnia je przez mniej jeszcze po-

dobne; która i zagłębia się w źródła, i bierze jawne bajki za źródła: téj krytyce jakież nazwisko dać mamy? Krytykę tę możemy tylko uważać jako odbicie myśli, zbyt wyłącznie widokiem a natłokiem jednego rodzaju źródeł przeciążonej i rozmarzonej.

Jeżeli *Historią Rzymską* p. Sz wajnica uważać mamy za stworzony dalej idealnie świat ludzki; dwa pierwsze oddziały téj *Historii*, t. j. krytykę tych oddziałów, możemy chyba uważać za chaos, który zwykł poprzedzać wszelkie stworzenie.

Po téj krytyce pierwotnych czasów dwuznacznych, autor przystępuje do przedstawienia rozwinięcia się dziejów rzymskich w szeregu faktów, to jest szczegółów tak zewnętrznych jak wewnętrznych, przez rządy królów, republikę, rządy Cezarów do upadku państwa. W przedstawieniu tém autor przy wzmiance o każdym fakcie, przytacza świadectwo z którego czerpie. Do r. 313 od założenia Rzymu, *Dyonizyusz* i *Liwiusz*, dalej wyłącznie *Liwiusz*; do epoki wojen punickich, *Liwiusz* i *Polybiusz*, a dalej *Plutarch*, *Cezar*, *Swetoniusz*; i wreszcie do dziejów Cezarów tenże *Swetoniusz* oraz *Tacyt*, *Zosimus* i *Dio Cassiusz* byli głównymi przewodnikami w przedstawieniu dziejów zewnętrznych. Do przedstawienia wewnętrznych oprócz tychże, pomocą były autorowi same fragmenta praw dawnych, zbiory ustaw, oraz społeczna krytyka treści i stanowienia tych ustaw, zwłaszcza w dziełach prawników niemieckich *Hülmana*, *Waltera* i *Huschke*.

W jaki sposób użył autor tych źródeł do skrócenia dziejów zewnętrznych oraz wewnętrznych? zaraz właśnie rzecz mamy; tu parę tylko uwag dodamy:

Przytoczenia, t. j. cytacje autora zawsze są wierne i ścisłe; ile jednak w krytycznym piśmie mamy do wy-

rzucenia, iż autor wykładu swego nie poprzedził krytyką źródeł, co jednak tém konieczniejszém było, iż dotąd w literaturze naszej tylko ściśle przecząca krytyka źródeł tych znajdowała odbicie.

W razie dwóch różnych świadectw o jednym szczególe, albo dwóch różnych wykładów, autor wymienia wprawdzie oba i oświadcza się za jednym lub drugim; nieraz jednak nie wyjaśnia dlaczego? to jest: lub kładzie żaden, lub nie kładzie żadnego powodu (1).

Co do wyboru źródeł, autor w faktach gdzie są świadkami Dyonizyusz, Liwiusz, albo Polibiusz i Liwiusz, trzyma się częściej Dyonizyusza i Polibiusza, jak Liwiusza; i słusznie, jako krytyczniejszych i nie krajowców. Plutarch jako raczej postrzegacz i kompilator, słusznie także wtenczas tylko użyty za źródło, gdy brakło innych (jak np. do epoki Grachów). Za piérwszych Cezarów częściej był przed autorem Swetoniusz i Dio Cassius, niż Tacyt; za ostatnich wyłącznie Zosimus i Dio Cassius. Nie znajdujemy zaś śladu historyków, których zbiór zwany *Augustą*, *Herodyana* i t. p. pisarzy, zamilowanie w których wpłynęłoby jednak może na kréslenie przez autora więcej wewnętrzne, wypadków i postaci z owego czasu.

(1) Dla objaśnienia, dajemy tu przykłady jednego i drugiego przypadku. Autor np. na str. 405 tomu I zaprzeczając Liwiuszowi, iżby Rzymianie w wojnie z Prenestynami zabrali im między innymi miastami *Welitrę*, mówi: „Co do *Welitry*, niewątpliwie się myli: bo rzadko jedném natarciem twierdza się zdobywa”. Na str. 327 T. II. autor mówi: „Według Liwiusza wojsko (rzymskie) nieczynne, w obrzędach religijnych zatopione, stało pod Akwilonią. *Prawdziwsze* wszakże jest podanie Zonarasa, że zaczepnie działając wkroczyło do Kampanii”. Zonaras jestto historyk grecki z wieku XII ery chrześcijańskiej; bez innych więc powodów samemu *twierdzeniu* autora nie uwierzemy, iż opowiadanie jego o szczegółach wojny Rzymian z Prenestynami jest od Liwiusza *prawdziwsze*.

Takich źródeł i takięj przy ich ocenieniu i wyborze krytyki, użył p. Sz wajnic do swego dzieła; mamy teraz obaczyć jak ich użył, to jest: jaki na ich zasadzie nakręślił wewnątrznie obraz czyli *historyę*.

Sposoby opowiadania i przedstawiania historyi różne są. Obraz dziejów już przedstawionym być może wyłącznie w szeregu dat, już w rzędzie dramatów, już w rzędzie oderwanych wejrzeń na główne ich powody i skutki i t. p. Wybór tego albo innego z sposobów tych, tak jak wybór ogólnego przedmiotu, zależy zapewne prosto od dobrej woli autora, i według niej sądzonym być musi. Autorowi, który nam daje księgę o gospodarstwie, nie mamy prawa wyrzucać, czemu nie pisze o muzyce; piszącemu o fizyce, iż nie pisze o metafizyce i t. p.; jeśli wszakże donosząc o nowęj książce wskazać mamy: jakie znaczenie, jakie ma zająć miejsce w tęg do której przybywa gałęzi, patrzeć na nią oczywiście winniśmy według ostatniego rozwicia tęg gałęzi.

Historya, ta nauka, która niegdys w czasie swego pojęcia zajmowała się wyłącznie faktem, wypadkiem; i nauka wprost jęg wtedy przeciwna i zajmująca się wyłącznie oderwaną myślą, teorią, *filozofia*: po swych stopniowych przejściach, rozwiciach, spojrzaly się dalej, zbliżyły i wreszcie zbiegły. Filozofia o tyle dziś tylko za godną czegoś jest uznawaną, o ile przechodzi w kraj *praktyki*; historia o ile się zajmuje czynami dziejowymi w związku z ich *myślą*. Ostatnim wypadkiem historyi i filozofii, jest ich przejście w nową naukę *historyozofią*. Ta nauka jest zapewne jeszcze w poranku (1). Od

(1) Do nauki tęg ściśle mówiąc, mamy tylko dotąd: *pomysły, przygotowania, introdukcye, prolegomena, antiprolegomena* i t. p.

dzieła jednak które przychodzi dziś do gałęzi *historji*, mamy prawo wymagać zbliżenia do niéj i względu na nią.

Główną cechą i celem *Historji Rzymskiéj* p. Sz wajnica, było zapewne nagromadzenie faktów do téj *historji*. Autor wszakże wyczerpując swój przedmiot, i to co dotąd w przedmiocie tym powiedziano było do ogółu swego wnosząc, czynił téż i uwagi wewnętrzne o faktach tych. W obrazie swym kręślił autor charakterystyki osób, charakterystyki epok; w przedmowie dał charakterystykę całej *historji rzymskiéj*. Książka jego wkracza więc rzeczywiście do sfery *historyzofji*, i tém więcéj nie jako *chronologiczna* lub *opisowa*, ale téż jako *krytyczna* ocenianą być musi.

Celem książki *dziejowéj* jest dać poznać czytelnikowi dzieje. Te dzieje składa rząd *dramatów*, *dramata* działające *osoby*, *osoby* i *dramata* łącznie a w swym przebiegu, pewne większe całości *dziejowe*, zwane *okresy*. Chcąc więc poznać i spojrzeć bliżéj na wewnętrzną stronę książki p. Sz wajnica, musimy tu wskazać: 1) Jak autor przelewał w niéj w czytelnika swego poznanie, t. j. kręślił charakterystykę *dramatów*, czyli szczególnych obrazów *historji rzymskiéj*. 2) Charakterystykę osób, a osób tak pojedynczych, jak i zbiorowych (to jest *klass*, *instytucyj* i t. p.); i 3) Charakterystykę *epok*.

Sceny wielkiego *dramatu*, rozdziały *historycznego romansu*, wtedy tylko właściwie oceniać możemy, kiedy znamy już całość *dramatu*, całość *romansu*; cząstkowych podobnie określeń, charakterystyk w danéj *historji* wtedy tylko rzetelnieéj ocenimy właściwość, jeśli pozna-

Filozofie historji Hegla i *Fryderyka Szlegla*, same siebie podają za zbiór jeszcze wejrzeń tylko ogólnych i wstępów cząstkowych.

my piérwój znaczenie téj historyi. Jakież było rzeczywiste znaczenie dawnéj historyi rzymskiéj? i jak je pojął p. Sz wajnic? Czy się z tém poj mowaniem autora zgadzamy, czy różnimy, za obowiązek zapewne mamy wytłumaczyć się najprzód sami, jak? i dlaczego? tak, albo inaczej historyi téj poj mujemy znaczenie.

Jako krzew z ziarna rozrosły, kończy się lubo na licznych ziarnach, ale na ziarnach; tak ludzkość rozstrzelona z jedności, lubo w ostatnim wypadku ma wydać zhiorową jedność, lecz pewną jedność. Fizyczna i moralna jest ludzkość i taki bieg jéj. W biegu tym każdą dobę odznacza równie bieg ciała jak i bieg ducha; lecz w jednéj ma przewagę bieg ciała, a w drugiéj ducha. Piérwój rośnie ciało jednostki, jak myśl jednostki; okres przewagi ciała, miał więc poprzedzić śród dziejów okres duchowy. Okres piérwszy dziejowego rozwicia jakiz więc był? Okres ów, mówiąc praktycznie, miał za misyą rozrodzić fizycznie ludzkość, poksztalcić ją na pokolenia, na kraje, i napowrót ją znova w fizyczną jedność, t. j. pod jedną władzę, w ciało jednego powszechnego państwa połączyć. Okres ten musiał więc wydać w końcu *kraj-narzędzie* swego zadania, kraj, który miał odznaczyć kwiat jego, dopełnić go i zakończyć. Tym krajem był właśnie *Rzym*.

Jakież było imię, nazwisko tego, który ów Rzym założył, piérwszy urządził?

Fakta dziejów, to chwile; byt takich lub innych w życiu danego ludu, dziejowie tak przyjmujemy, jak daléj wychowały, złożyły myśl tego ludu.

Duch dziejów ustalił był podania o czasach piérwotnych Rzymu, wśród Rzymu; i chciał ten duch, iżby owa 1sza doba dziejowa, ta poprzedniość, a przeto figura 2éj, ten a nie

inny rodzaj tych podań, tę a nie inną wiarę w ich prawdę, w treść swą włączyła.

Założycielem miasta, które miało rozpocząć dopełnienie epoki pierwszej, miał być *Romulus*. Urodzony z Westalki, powitany najprzód przez pasterzy, i w niebo wzięty, przed odejściem los i zadanie grodu swego miał przepowiedzieć: „Idź i oznajm Rzymianom, rzekł on senatorowi *Julus* znikając, iż tak podobało się bogom, ażeby Rzym mój stał się głową świata całego” (1).

Przez kogobykolwiek z Rzymian i kiedykolwiek proctwo to zapisaném najprzód zostało, pozostało nam jako wyrażenie uczucia i dowód wiary, iż ich dzieje nie ludzkie, ale jakiejs woli bogów były utworem. O przyczynach potęgi i wzrostu dawnego Rzymu spisano tomy; za przyczynę tę już była kładzioną *cnota szczególna*, już *męstwo szczególne*, już jakaś szczególna *polityka*, której się trzymać miał senat. Przyczynę tę zdaniem naszym, oceniali wszakże najlepiej spólcześni, kiedy wyrażając się swym językiem, wprost wołą bogów ją zwali. Z trzech pagórków zrazu złożony, szarpany niezgodą zewnątrz, niezgodą wewnątrz, Rzym raczej na zniknięcie nazajutrz, aniżeli kiedyś na tryumf zdał się być przeznaczonym.

Każda wojna przynosiła mu dalej wprawdzie przyśporzenie obszaru; żadna jednak z dobrej woli senatu lub ludu, nie była zaczęta. Kiedy np. *Koryolan* przez zemstę nad ludem przyprowadził nieprzyjaciela pod mury Rzymu, wojna ta była początkiem téj, która dalej dać miała Rzymowi południe Italii. Kiedy *Furiusz Kamillus*

(1) *Abi, nuntia Romanis, coelestes ita velle, ut Roma mea caput orbis terrarum sit. Liv. I.*

uchodząc naraził sam Rzym na zajęcie, wojna ta była początkiem tych, które dały Rzymowi jej północ (1). Świadek blisko wiekowy losów swojego kraju, dyktator Cyncynat mawiał: „Nie wiem czém się to dzieje, ale bogowie łaskawsi są na nas kiedy prowadzimy wojnę, jak śród pokoju” (2). Polybiusz świadek tych wojen, które niespełna w przeciągu lat 53ch władzę Rzymu z granic Italii prawie do granic ziemi rozciągnęły, w *przedmowie* do ich opisu tak mówi: „Fortuna w tym czasie wszystkie sprawy świata skłoniła ku jednej stronie, i zdało się, iż jeden tylko cel sobie była założyła”. Owa dalej wojna domowa, która już za potęgi rzymskiej, mieszkańców państwa podzieliła była na dwa obozy, 20 senatorów, 300,000 wytepiła krajowców, nie zatrzymała była jednak na zewnątrz losów krajowych. Kiedy Tyberyusz Grachus rozdzieliwszy Rzymian przeciwko Rzymian, padł pośród Rzymu; Scypio burzył Numancyą, przyłączał Afrykę. Kiedy Maryusz przywódzca gminu wszedł do Rzymu jako twierdzy zdobytej, Sylla przyłączał Azyą. Kiedy konsul i zbawca miasta Cycero był wygnanym przez lud, Cezar Galią zdobywał. Śmierć Cezara była zdało się hasłem stanowczego rozpadnięcia się państwa, i państwo to wnet połączyło się ostatecznie pod Oktawianem. „Cała ziemia, pisze Dyonizyusz Halikarnaski, należy do Rzymu; ziemie na których nie zamieszkują ludzie, te tylko nie należą do Rzymu” (3).

Kiedy w ten sposób dzieje mające odznaczyć, odbić materialny okres ludzkości, z całym zewnętrznym blaskiem, jawnością, cechę tę odkreślały; duch w kraju

(1) Mówimy tu naturalnie o ubikacjach, nie o całościach.

(2) *Liv. V, 9.* (3) *Antiquit. lib. 1.*

wruszał się także i starał się szczytów dobić, lecz w drodze téj przez ciężką rękę chwili był potrącany.

Italia równie jak Grecya, powstała była z osad, z osad azyjskich (1). Cywilizacya z osad (wędrowców z *celem*), przechodzi zwykle stopniem cywilizacyą matkę. Rzym był częstką Italii i odbił ją. Piérwsze czasy historyi Rzymu, ukazują nam miasto poksztalcone na klasy i walkę, walkę jednostek miasta o przywilejów jedność. Walkę tę prowadzili lud czyli *plebejanie*, oraz *patrycyuszowie*, odznaczeni rodem zaszczytnym, przywilejem piastowania urzędów, wydawania wyroków, prawa wie-szczenia, i odnoszenia korzyści z wojny. Władza królów równowazyła ten bój, i król Serwiusz podźwignął był lud; lecz gdy usunieni zostali następcy Tulla, walka swobodniejszą się stała. Całe prawie piérwszych lat 200 rzeczypospolitój, były tylko pasmem zatargów i bojów dwóch stanów. Plebejanie nie otrzymując skutku swych żądań, ustępowali z miasta na Awentyn, opuszczali wodzów na wojnach, zagrażali wyniesieniem się z kraju i założeniem gdzieindziej nowój osady. Środki ich przeciwników były krwawe: patrycyuszowie niejednokrotnie mordowali obrońców ludu (trybunów), przy-jaciół jego strącali ze skały Tarpejskiej, nawet nieprzyja-ciół zewnętrznych dla odwetu i zemsty nań sprowa-dzali (2).

Bieg czasu był wszakże tylko szeregiem ustąpień, które zmuszeni byli czynić patrycyuszowie. Urzęda

(1) Kraje południa Europy, powstały były z osad zachodu Azyi, jak dalej północ świata nowego, miała powstać z osad zachodu Europy.

(2) *Koriolan, Caeso, Genucius, Spurius Melius, Manlius Kapitolński* i t. p.

w Rzymie pierwotnie były bezpłatne, i lud nie dopominał się zrazu o prawo urzędów; pierwotne domagania się gminu były: otrzymanie obrońców, małżeństwo podług obrzędu Kwirytów (1), równość prawa do podziału ziem zdobywanych i t. p. Lecz gdy następnie stan średni (to jest mieszczaństwo pochodzenia plebejowskiego) wzrosło w dostatki, gdy owe przywileje żądane, a zwłaszcza (po ustąpieniu powtórném na Awentyn) przywilój *komicyj gminnych* został zyskany; rozpoczęła się téż walka o *dostojeństwo*. Nowe prawa równie stopniami były uzyskiwane. Tak śród innych r. 374 (przed erą chrześ.) prawo Licyniusza *Stolona* postanowiło: iż jeden z konsulów może być z plebejan; roku 340 prawo *Genucjusza*, iż mogą być oba; r. 338 prawo (sławne w tradycyi ludu) *Petyliusza*: iż odtąd plebejanie nie mogli być w niewolnictwo obracani z powodu niewypłatności; tegoż roku prawo *Publiusza*: iż z dwóch cenzorów jeden winien być z ludu, i że uchwały *komicyj gminnych* mają obowiązywać lud cały; i wreszcie roku 287 prawo *Hortensjusza*: iż przedmiotem tych uchwał gminu mogą być nietylko sprawy gminu, lecz sprawy obchodzące cały lud rzymski. Prawo to było okresem; przywileje klass i jednostek odtąd porównane zostały; lud rzymski na *komicjach* swych na Marsowém polu zebrany, stanowiął odtąd wszechwładnie o pokoju i wojnie, o sprawach i losach państwa. Czynność ludu obrócona jednomyślnie na zewnątrz, wewnątrz na długo nie miała już pola i żywiołu rozterek. Plebejan i patrycyan nazwiska przeciągały się tylko tradycyjnie, a ich miejsce zajęło

(1) *Connubia cum auspiciis majorum seu Patrum*; p. Szwajnic jest zdania, iż domagano się o *Connubia cum patribus* (z patrycjuszami).

nazwisko *obywatela rzymskiego*. Był téżto czas kwiatu cnót rzymskich, czas głównych zwycięstw i wzrostu potęgi państwa. Zwycięstwa te i tryumfy mniej jednak pożądanym owocem dalej wydały.

Prawo do obywatelstwa rzymskiego mieli tylko Rzymianie i obwód, oraz niektóre miasta szczególne (*municipia*); o prawo to dobijać się dalej zaczęła reszta Italii, prowincje dalsze. Śród Rzymu powód do rozterek zrodziły bezpośrednio skutki zdobyczy. Już prawo Licyniusza Stolona dla uskromienia przewagi patrycyjan zastrzegło było: iż nikt z Rzymian nad 500 morgów własności posiadać nie ma. Prawo to, które naruszył pierwszy sam Stolon, w wykonanie nie weszło, a wojny, podboje świata, liczne wnet kolosalne mienia śród kraju stworzyły. Te mienia zrodziły téż dalej obok: widok przeciwniej ostateczności. Moźnowładzcy poskupywali sąsiednie majątności małe, a posiadacze w krajach podbitych mas ziem i niewolników, obchodzić się mogli bez usług swych spółkrajowców. Stan średni stanowiący równowagę zniknął; kraj złożyła tylko klasa bogaczy i proletaryat (1). Bez roli, bez pola do zarobku, lud rzymski rozpoczął był więc na nowo walkę przez swych obrońców. Miejsce poprzedniej walki gminu i rodowładztwa, zajęła walka nędzy i mienioładztwa.

Walkę tę rozwinęli najsilniej za epoki trzeciej wojny punickiej: Tyberyus i Kajus Grachowie. Domaganiem się Grachów było: przywrócenie prawa Stolona; przewyżki od 500 morgów roli w pojedynczych własnościach rozdzielenie pomiędzy lud; uzdolnienie ludu do pracy, przez

(1) *Proletarii* zwani byli śród Rzymu ci, którzy nie mogąc ani denarem wesprzeć skarbu i wypraw wojennych, mogli tylko być użytecznymi krajowi potomstwem (*proles*).

zakupienie narzędzi rolnych za summy zapisane świeżo Rzymowi przez króla Pargamu; nałożenie podatku od zbytków; znizenie cen od głównych przedmiotów konsumpcji i t. p. Tyberyusz i Kajus Grachowie padli oba pod ciosami możnowładców i ich stronnictwa, (pierwszy z ręki zapłaconej przez własnego szwagra Scypiona Narękę). Stronnictwa możnowładztwa i ludu jednak nie znikły. Stronnictwa te uosobiły się dalej w walce *Maryusza* i *Sylli*, oraz *Juliusza Cezara* i *Pompejusza*. „Bez głowy i mowy”, jako ktoś rzekł z nam współczesnych, ale zrazu dziecko szczęścia Pompeusz, był ostatnim przedstawicielem, oraz ostatnim obrońcą dawnego stanu rzeczy i patrycyatu. Przywódzca i protektor proletaryatu Juliusz Cezar, pokonał Pompejusza i wszedł do Rzymu. Juliusz Cezar wprowadził w wykonanie prawo rolne Stolona i Grachów, zniósł długi, zniżył komorne, przywrócił (zniesiony jeszcze po zwycięstwie Sylli) trybunat; sam też za to najwyższym trybunem, rozkazodawcą (Imperatorem) i dożywotnim dyktatorem przez lud obwołany. Spisek, na czele którego stali patrycyuszowie Brutus i Kassiusz, usunął władzę; lecz go zastąpił wkrótce z temiż przywilejami i temiż tytułami *Oktawian*. Następca Oktawiana *Tybergusz* wzbraniał się władzy, lecz go do przyjęcia jęj zagnił sam senat. „Rzeczypospolita, rzekł mu ofiarując koronę senator Asinius Gallus, jest jednym ciałem; winna też przeto mieć jedną głowę.” (*Tacyt. Annal.* 1).

Rzym odtąd stał się pasmem wypadków zewnątrz jeszcze świetnych, pstrych, jasnych, lecz wewnątrz martwych. Stary duch rzymski, dawno w staręj swęj wierze, w cnotach jęj zgasły, po dopełnieniu swych zadań, przeciągał jeszcze czas jakiś roślinne życie, i wreszcie zmalawszy do końca, upadł i skonał.

Jak o przyczynach wzrostu, tak i upadku Rzymu spisano tomy. Przeciągające się do dni naszych w swym gruncie, poksztalcone za owęj epoki dawnęj stosunki i działy, przeciągają téż i rząd uwag w ich duchu.

Przyczyną upadku Rzymu było, twierdzą dziś jedni, rzymskie gminowładztwo.

Przyczyną upadku Rzymu było, twierdzą znowu inni, rzymskie możnowładztwo.

Nasze zdanie wyraziliśmy już. Przyczyny tak upadku jak blasku Rzymu wśród jego starego okresu, leżały w ramach okresu.

Podstawą zakwitnienia i trwania owych stosunków wewnętrznych, do jakich dążył, jakie chciał urzeczywistnić długo lud rzymski, mogła być tylko istotna społeczna cnota; a lud rzymski nie wiedział co to jest cnota.

Cnota społeczna to miłość, a lud rzymski nie wiedział co to jest miłość.

Wyobrażenie cnoty wśród Rzymu, leżało w potrzebie misji epoki, kraju. Główną cnotą wśród Rzymu było rycerstwo; rycerstwo i cnota, byłato jednoznaczność w języku rzymskim (*virtus*).

Za wieku żywszych jeszcze tradycyji pierwotnych, za wieku wiary, była wprawdzie u Rzymian większa niż u innych ludów spółczesnych *bojaźń bogów*; ta *bojaźń bogów i piekieł*, jak uważa Polybiusz, większy téż pośród Rzymu za epoki owęj rząd prawości, niżeli gdzieindziej wydała (1); ale byłato także *bojaźń*, nie miłość.

Jedyną jaką Rzymianin znał miłość, byłato miłość siebie, swęj chwały. Bohaterowie Liwiusza poświęce-

(1) *Polib.*

nia się czyniąc, nie mówią o innych ich celach, jak tylko o chwale swojej, swego imienia (1).

Patrycyuszowie, jak to dopiero widzieliśmy, drugą część swego kraju uważali jedynie jako stworzoną dla siebie pomoc dla zdobywania uciech i owęj swęj chwały. Lud wiedli na wojnę bezpłatnie, za długi go katowali, albo w niewolnictwo obracali (2). Uważali go owszem za jakieś przez innych nawet bogów rządzone utwory (3).

Patrycyuszowie nie rzekli się, nie ustąpili ludowi najmniejszego z swych przywilejów z miłości, lecz tylko z musu. Rzymianin, który nie umiał jeszcze śród kraju, tém więcej nie mógł umieć za krajem, oglądać brata. Miasta swych przeciwników Rzymianin nie zajmował gdy je zdobywał, ale je burzył; ludzi w krajach zdobytych (bez względu na przymioty ich, możność), w niewolników obracał. Typ starorzymskiej cnoty Kato starszy (kochanek *potajemnych* niewolnic), póty nie usnął, póki nie wyjednał, nie ujrzał zrównania z ziemią wielkiej Kartaginy, której jedyną winą było, iż była holdowniczką Rzymowi. Wszyscy obywatele rzymscy cieszyli się wprawdzie w końcu bez różnicy pochodzenia i mienia, jednością przywilejów i praw; lecz tylko *obywatele rzymscy*. Na stu milionach ludności, składających za dni ostatnich rzeczypospolitęj państwo rzymskie, tylko dwakroć lub trzykroć sto tysięcy miało udział w tych

(1) „En tibi ut sentias „mówi w Liwiuszu Scewola, kiedy kładł w ogień rękę” quam vile corpus sit iis, qui *magnam gloriam vident.*” *Liv.* 11, 12.

(2) „Jeżeli dłużnik plebejusz niewypłatny, niech pokrają ciało dłużnika” mówiło prawo XII tablic.

(3) Były u Rzymian *Dii Majorum gentium* i *Dii Minorum gentium*.

przywilejach; resztę świata i resztę ludzi uważali Rzymianie tylko jako zbiór istot stworzonych dla łupu prokonsulów i patrycyuszów.

W państwie tak ukształconém, mógłż stać się, zakwitnąć, porównanie jednostek? ich praw? Mógłże osiągnięty być pokój? i mógłże żądanym być pokój?—Pokój który w okresie innym jest głównym środkiem i bodźcem do wznoszenia i szerzenia owoców ducha, śród Rzymu stworzył tylko ciemność i zniewieściałość.

Dla ducha starego Rzymu i jego państwa, iżby mógł kiedyś zakwitnąć, iżby się w owe zjawiska do jakich zrazu z przeczucia dążył, mógł oblec, wiele potrzeba było. Duchowi temu było potrzebném odnowienie i przerodzenie. Nie zwycięztwo Maryusza lub Sylli, Pompejusza lub Cezara było mu potrzebne, lecz—*chrzest*.

Ta missya i to w ostatku znaczenie starego Rzymu, missya połączenia różnorodnych krajów w kraj jeden, i źródło jego upadku w potrzebie przemiany ducha, zbyt jawne były, iżby niejednokrotnie dostrzeżone i zapisane już nie zostały, zwłaszcza w tych czasach ostatnich; zapisał też je i p. Sz wajnic. Całość historyi rzymskiej autor właśnie w tym duchu pojął, i wyraził to jasno w przedmowie do dzieła, krótkiej ale treściwej. Podzielamy to wyrażenie zupełnie, i co do nas, wyjaśniliśmy właśnie dlaczego? Charakterystyka wszakże całości danej historyi, nie ścieśnia się do oderwanego jój określenia. Obraz danej historyi składają szczegóły, części, któremi, jak rzekliśmy, są: czyny osób, dramata z osób, harmonijne okresy po sobie idące. Taki więc a nie inny widok tego obrazu ukształcić może dopiéro taki, a nie inny widok tych jego części.

Charakterystyki dramatów, osób, okresów, w *Historji Rzymskiej* p. Szwajnica, nie są wszakże, zdaniem naszym, w harmonii ze skreśloną przezeń ogólną; charakterystyki te nawet w swém oderwaniu, nie czynią owszem zadosyć swemu celowi.

Dzieje, jestto zbiór ludzkich czynów, a przeto *dramatów*. Dostrzeżenie w rozwiciu się dziejów: całości szczególnych dramatów, i samo przedstawienie ich żywe, stawać może za wszelkie nawet teorye i wszelkie rozumowania. Księgi np. dziejów ludu Izraelskiego (biblijne), które opowiadają te dzieje w szeregu najprostszych dramatów, o stosunku wszakże jednostek ludzkich do siły twórczej, o sile téj, mówią i uczą dobitniej, niż najwięcej mistyczne księgi innych stron wschodnich, niż nawet rozumowania późniejsze filozoficznych szkół greckich.

Zajęty pojedynczemi faktami, ich zbiorem, rozbiorem, p. Szwajnic nie miał wcale na oku łączności ich; i rzecz można, nie kręślił szczególnych dramatów w swojej *historji*. Skutek ten był naturalném następstwem usposobienia, chcemy rzec: natury myśli autora.

Pierwszém źródłem pomysłu kręślenia *obrazu*, być musi *uczucie*. P. Szwajnic zaś przy wykładzie szczegółów dziejów swych, nie przejmował się wcale ich uczuciem.

Że autor nie był rzeczywiście przejęty uczuciem swego przedmiotu, co do nas, widzimy to już w samej stronie zewnętrznej jego wykładu. Trzy tomy *Historji Rzymskiej* p. Szwajnica nie mieszczą np. w swych ramach tych szczegółów, jakie dziś każde prawie dokładne dzieło dziejowe, odbijające zamiłowanie przez autora swego przedmiotu, i chęć przelania go w czyteln-

nika, z sobą przynosi. P. Sz wajnic krytycznego swego wykładu według źródeł i nowych badań nie poprzedził opisem tych źródeł, tych badań, ocenieniem ich, wydań których używał i t. p.; do dzieła swego historycznego nie dołączył karty geograficznój, nie zakończył go wykazem alfabetycznym. Przedsięwziąwszy dać poznać obraz narodu i państwa rzymskiego od piérwszych czasów do wieku Vgo ery chrześcijańskięj, wyrzucił autor masę szczegółów, faktów; lecz w częstkach tego obrazu żadnych proporcyj, szyku, nie zdawał się widziéć i nie przedstawił.

Układ i przedstawienie faktów w Historji p. Sz wajnica, jeżeli nam to pozwoli powiedzieć autor, jest owszem *arcydziełem bezszyku*.

Historja ta niepodzieloną jest ani na *księgi*, ani na *rozdziały*, ani nawet na *okresy*; lub owszem, autor nie dzieli jęj na okresy w tomie Iszym i do połowy tomu 2go, od połowy zaś tomu 2go zaczyna podział na okresy. W jednych epokach opowiada piérwój dzieje zewnętrzne a potém wewnętrzne, w innych zmienia porządek i opowiada piérwój wewnętrzne, a potém zewnętrzne. W opowiadaniu tém czyni wprawdzie pewne oddziały i daje im napisy; napisy te jednak ani jakichś harmonijnych części obrazowości, ani nawet czasu i rzeczywistego przedmiotu do których się zdają odnosić, nie odznaczają. Autor np. swęj historyi Italii nie poprzedził opisem pierwotnych pokoleń Italii; mówi jednak o nich i szczegółowie, lecz te opisy dopiero przy końcu 1go i początku 2go tomu swęj Historji, pomiędzy te i owe rozdziały przygodnie porozmieszczał. Pod panowaniem królów, konsulów i decemwirów, autor mówi obszernie i szczegółowie o ich urządzeniach we-

wewnętrznych; prawu XII tablic i kilku innym oddzielne rozdziały poświęca; lecz dopiero po ukończeniu okresów tych (na str. 105 tom II), daje po raz pierwszy oddział z napisem *Prawodawstwo*, poświęca mu kilka wierszy, i donosi w nim tylko: iż Rzymianie od czasu królów zajmowali się prawodawstwem. Pod okresem złotego wieku literatury rzymskiej, t. j. za Augusta, oddział noszący napis: *Nauki, Umiejętności i Sztuki* (III, 12.) nic nie mówi o tych naukach i sztukach; przeciwnie oddział noszący napis: *Nauki, Umiejętności i Sztuki* pod okresem dziejów wewnętrznych za Antoninów (III, 189) mówi szczegółowie o poetach i mówcach wieku Augusta; oddział znowu tuż po nim idący, równie anachroniczny i prawie jednobrzmiący, mieści przedmiot i napis: *Stan nauk za Augusta*. O religii rzymskiej za Cezarów, mówi autor pod okresem wojen samnickich; o prawodawstwie cywilném za Rzeczypospolitą, pod artykułem: *Prawodawstwo za Cezarów* (III, 182); o neoplatonikach żyjących po Dyoklecyanie, pod okresem: *Nauki za Dyoklecjana*; o historykach z wieku Augusta: *Dyonizyszu, Diodorze, Strabonie*, pod oddziałem noszącym napis: *Poezya za Antoninów* i t. p. Nie zarzucamy tu oczywiście brak faktów, ale tylko szyk ich. Historia p. Szwajnica pod względem szyku w niej faktów, jest podobną, rzeczbyśmy mogli, do mieszkania w które się wprowadziło świeżo gospodarstwo nowe; jest w niem wszystko co jest potrzebne do ubrania i zapelnienia mieszkania, ale nic na swoim miejscu nie stoi (1).

(1) Użyteczność Histor. Rzym. p. Szwajnica jako nieobrazowej, może być głównie podręczną; przy tém jednak nierozdzieleniu faktów ani chronologicznie, ani systematycznie, przyzna autor, że był przynajmniej potrzebnym wykaz alfabetyczny.

Prócz bezszyku, brak uczucia w autorze zdradza nam także powtarzanie się. P. Szwajnic tak dalece nie przejmuję się tém co kręśli, iż jedne i też same myśli, też szczegóły, fakta, po kilkakroć przed czytelnikiem w tychże samych słowach powtarza. W tomie II np. znajdujemy na str. 102 i 322 oddziały pod napisem: *Religia*, i w obu też prawie szczegóły i myśli o dawniej rzymskiej religii. Idące po sobie pod każdym okresem oddziały w dziejach wewnętrznych, nosząc (jak to właśnie w części widzieliśmy) prawie jednoznaczne napisy, powtarzając oczywiście muszą też szczegóły: każdy okres zawiera np. oddziały: *Nauki, Umiejętności i Sztuki, Stan nauk, Poezja, Wymowa, Historia* i t. p. *Prawa, Prawodawstwo, Prawo zasadnicze* i t. p. Powtarzania te są równie, i owszem dobitniejsze są jeszcze w opisie faktów zewnętrznych. Sprowadzenie np. Eskulapiusza z Epidauru, opisuje autor w tychże prawie wyrazach po czterykroć (II, 294, 325, 339; III, 237). Sprowadzenie Cybeli II, 588 i 589 (prawie na téjże karcie). Zawarcie i wyliczenie tychże warunków pokoju z Mitrydatesem II, 641 i II, 643. Zamordowanie trybuna Gemeyusza I, 170 i I, 173. Na str. 157 tomu I zakończenie opisu wojen z Ekwami, na str. zaś 179 znowu poprzednich opis. Wybierając z przykładów licznych, wskażemy wreszcie na ostatni rozdział tomu I, noszący napis: *Wyprawy wojenne za Gallów*; oddział ten niezajmujący więcej jak stronicę, złożony jest przez połowę z tekstu, przez połowę z przypisku; a jak w przypisku, tak w tekście też same myśli, cytacje, też prawie słowa czytamy (1).

(1) O tych i tym podobnych szczegółach nie wspominalibyśmy nawet, gdyby się zdarzyły przygodnie; lecz powtarzając

Brak równy uczucia faktów, łączenia ich, sprawić więc musiał, i jak już rzekliśmy, sprawił: iż autor w rozwijaniu swych dziejów nie przejmował się obrazowością, nie kręślił dramatów. Obrazowość w *Historji* p. Szwajcya zastępują fakta rozsiane. W opowiadaniu swém autor przywiązuje się tylko zwykle do jakichś szczegółów drobnych i oderwanych, rozbiéra je i toczy spór o nie, a nie myśli o całych obrazach. Grupowanie osób i faktów, i grup oddzielanie, jest prawie zupełnie obcém pióru autora. Ta cecha sprawia: iż tak w dziejach zewnętrznych jak i wewnętrznych *Historji* autora, główne oddziały, obrazy, bez wyraźnego widoku, bez wrażenia obrazowego stają i pozostają. W oddziałach np. o *Religii* i *Prawie*, czytelnik znajdzie wprawdzie w *Historji* autora niejedyn szczegół, którego napróżno by szukał w wielu innych historyach; jak np. o drobiazgowych obrzędach kapłanów rzymskich, o historyi szczególnych ustaw i t. p., a jednak nie znajdzie tego, co charakteryzującém jest więcej każdy z oddziałów tych, i co przecież główném być musi, gdy o niem może nauczyć każde kompendium. Z oddziałów o religii, czytelnik nie pozna np. nazwiska żadnego boga, którego czcili Rzymianie; z oddziału prawa: gdzie? kiedy? przez kogo zbierane? czém zajmujące się bywały komicye? jakie były nazwiska ich uchwał, co były? a nawet, iż były: owe np. od senatu idące, najprzód ludowi znane (*senatus consulta*, *plebiscita*) i t. p. Co do wypadków wreszcie zewnętrznych, autor lub się zajmuje wyłącznie kręśleniem postaci szczególnych, lub sprzeczką o jakowyś fakt

się przez cały ciąg pisma, niszczą (zwracamy uwagę) obrazowość w *historji*.

oderwany (1), lub wreszcie, i to jest najczęstszą treścią dziejów autora, opisem wojen. Całe karty, całe długie rozdziały w Historii autora, zajęte są wyłącznie opisem wojen, to jest wszystkich szczegółów ich, jako: marszu wojsk, kwaterunków, zajmowania pozycji i t. p., opisem, który dla czytelników tém więcej jest próżnym i martwym, iż autor, jak rzekliśmy, ani geograficznój karty do dziejów swych nie dołączył, ani nawet dziejów swych geograficznym opisem Italii nie poprzedził.

Dramatyczność, mówienie przez akcyą, nie jest więc wcale cechą Historii Rzymskięj p. Sz wajnica. Autor jednak, jeżeli nie przez obrazy, zajmuje się wiele przez słowa kręśleniem charakterystyk. W opowiadaniu swém kręśli charakterystyki postaci szczególnych, osób zbiorowych, epok i t. p.

Cecha, która odznacza charakterystyki osób (a osób tak szczególnych jak i zbiorowych) w wykładzie p. Sz wajnica, musi naturalnie być taż, która towarzyszyła i kręśleniu obrazowości: brak uczucia całości przedmiotu, i pamięci na czytelnika (wrażenie). Charakterystyki, które autor czyni danego przedmiotu, lub więc są zapisaniem tylko niektórych jego warunków a nie ogółu ich, lub téż zebraniem wszelkich zdań o nim, chociażby sprze-

(1) Widzieliśmy to już, i tu jest właśnie miejsce powtórzyć: iż autor w dziele swém toczy zwykle sprzeczki krytyczne tylko o jakieś drobne i oderwane fakta, nie o ich łączność. Autor np. spiera się o to z Niebuhrem: czy pobudką do prawa Stolona była jego żona lub siostra? (II. 2); czy po bitwie pod Gaurem (przeciw Samnotom) Rzymianie korzystne lub niekorzystne zajęli stanowisko (II. 65)? Chociaż przy kręśleniu i ocenianiu bardziej stanowczych dla obrazu, dla dziejów Rzymu szczegółów, jak np. całości jego dziejów pierwotnych, bytności królów, składu i istoty ciał prawodawczych i t. p. autor nie wymieniał nawet: iż istniały i istną różniące się zdania.

cznych, bez względu na wypadkowość. W charakterystykach tych, a mianowicie charakterystykach osób zbiorowych (jako *klass*, *instytucyj* i t. p.), o których tu najprzód powiemy, mamy najpierw do zarzucenia autorowi ten szczegół, który też głównie szkodzi innym częściom jego wykładu, to jest: wychodzenie z przypuszczania poprzedniej już wiadomości przedmiotu, o którym ma być mowa, w swym czytelniku.

Autor, jak w swém ogólném wyjściu, tak i w szczegółach zaczyna zwykle od wniosków, nie powiedziawszy czytelnikowi ich przyczyn. W zaczęciu np. opowiadania swego o pierwotnych dziejach rzymskich, autor mówi: „Etrurya nie była kolebką Rzymu” (czytelnik dziwić się musi, iż mu autor mówi nie o tém co było, lecz co nie było). Wprowadzając dalej na scenę w opowiadaniu jaką figurę nową, urząd, jaki obrzęd i t. p., autor wspomina o nich najczęściej, jakby o dawno już znanych czytelnikowi (1).

Wychodzenie to z przypuszczania poprzednich wiadomości, jest stanowczo szkodzącym wykładowi Historii p. Szwajnica. Czytelnik nie jest obowiązany bynajmniej do tych wiadomości; na to owszem czytelnik nabywa książkę, na to przybywa książka w danej literaturze do danej gałęzi: iżby czytelnika téj gałęzi zaznajomiła z przedmiotem, który obrała. I najobszerniej ze szczegółami przedmiotu danego oznajomiony czytelnik, może owszem lub nie wiedzieć o wszystkich, lub je tracić z pa-

(1) Tak np. zaraz na początku tomu I, str. 55 o *Fuffecyuszu*; str. 98 o *Porsenie*; str. 925 o kościele *Janusa*; na str. 82 w przypisku i texcie ocenia i rozbiéra autor postępek *Tulii* względem ojca, a nie mówi na czém zależał; wnet podobnie o *prawie rolném*; o *stanowiącém grzywny* i t. p.

mięci śród chwili; tém więcćj nieobowiązany jest do odgadywania poprzedniego przebiegu własnej myśli autora. Autor przyzna, że każdy najoderwanićj nawet swój przedmiot traktujący pisarz (np. w zakresie historii rzymskiej), nie wyprowadzał nigdy na scenę osób nie opowiedziawszy kto one? nie przystępuje do twierdzeń, do wniosków, nie uprzedziwszy pićrwić: w czćm? dla jakich powodów? śród jakiego stanu kwestyj je stawia.

Cecha ta odznacza jednak własnćie i wszelkie prawie czynione przez autora charakterystyki klass, instytucyj i t. p.

Jakże np. daje autor poznać czytelnikowi kto byli *patrycyuszowie*? co były *kurye*? *senat*? *komicye*? rodzaje *komicyj*? i t. p.

Okrćslając p. Sz wajnie znaczenie patrycyuszów, których nazywa *rodowi*, tak mówi: „*Wieszczba* była różnicą między *rodowymi* i *ludem*; kto prawo wieszczby posiadał, ten wywodził ród z nieba, był patrycyuszem. Romulus nie stworzył tćj różnicy między mieszkańcami. Dawne prawa, stosunki i obowiązki wzajemne między niemi, ustalały się tylko i ukształcały pod jego panowaniem. Tak tćż dzieje wykazują. Rodowi jako wolni piastują dostojćnistwa kapłańskie i świeckie. Plebejusze byli na mozolne prace skazani.” 1—36.

„Kto prawo wieszczby posiadał, mówi autor, był patrycyuszem.” Wyjaśnienie to podobne jest do tego, gdyby ktos na zapytanie: co znaczył u Rzymian król, odpowiedział: „ten, przed którym chodzili ceklarze czyli liktorowie, był królem.” Patrycyuszowie posiadali istotnie prawo wieszczby, lecz pytanie jest własnćie, kto posiadał to prawo? Byłzeto naród w narodzie? czy lud pierwotny? *klasa*? *kasta*? *przywilćj*? i t. p.

Któż rzeczywiście byli patrycyuszowie? *Liviusz* mówi, iż Romulus utworzył stu senatorów, ci dla zaszczytu nazwani zostali *patres*, a potomstwo ich patrycyuszami (1). *Dyonizyusz*: iż Romulus ludzi bogatszych patrycyuszami, uboższych plebejuszami nazwał (2). Ta niejedność w dwóch świadectwach, dwóch pisarzy źródłowych w ich zdaniach, powiodła do szukania trzeciego. *Vico*, który był podzielił dzieje rzymskie jak *Manethon* egipskie na wiek bogów, wiek bohaterów i ludzi, sądził, iż patrycyuszami byli ci wszyscy, którzy żyli za wieku bogów (to jest pokoju pierwotnego). *Niebuhr* także: iż wszyscy pierwotni Rzymianie składali *gens* (t. j. cały ród rzymski), i że dopiero ludy podbite za Anka Marcyusza, złożyły *plebs*. P. Sz wajnic, jak widzieliśmy, tak od tych wykładów, jak i od pierwszych świadectw różni się i twierdzi: iż rozdział na plebejan i patrycyuszów na długo przed Romulusem już istniał. Nie czynimy zarzutu z opinii (jak uprzedziliśmy), ale przyzna nam autor, że przynajmniej wykład jego (złożony z wniosków), nie skłania na swoją stronę. „Romulus, mówi autor, nie stworzył podziału ludu na plebejan i patrycyuszów.” Czytelnik nie zaprzeczy temu, gdyż mógł nawet nie wiedzieć, iż to przypisywaném jest Romulusowi; twierdzenie jednak następane: że „rodowi jako wolni piastują dostojenstwa, a plebejanie są skazani na ciężkie prace” nie wiemy dlaczego ma być dowodem, iż ten rozdział już istniał przed Romulusem, i że nie mógł równie nastąpić za albo po Romulusie (3).

(1) *Livius* 1, VIII. (2) *Antiquit lib.* 1.

(3) W określaniu znaczenia patrycyan i w ogóle wielu szczegółów dziejów pierwotnych rzymskich, podzielił p. Sz wajnic wykład poprzednika swego, autora *Historji Rzymskiej*, wydanej

„Kurye, mówi autor, mające źródłosłów spólny z Kwirydami, były siedliskiem świętości, ofiar, religii, obrzędów” 38. Czytelnik pyta się jednak: ale cóż były te kurye? byłżeto urząd? sejm? kasta? kto składał je?

„Do senatu, mówi autor dalej, praw początkowanie, uchwał sejmowych potwierdzanie, przez kilka wieków należało” 38. Lecz zkądże powstał ten senat? czém był? kto go składał? i t. p. O *komicjach* i głównych rodzajach komicyj (przez kurye, centurye i tryby), o tych głównie żywotnych częściach ciała państwa rzymskiego, o ich składzie, istocie, znaczeniu i t. p., autor nie prawie nie mówi, t. j. w niczém istoty ich nie objaśnia. Autor wypuszcza tylko rząd pomysłanych poprzednio i utworzonych przez siebie nomenklatur: *sejmy rodowe*, *sejmy zbrojne*, *sejmy przez setnictwa*, *wilkierze*, *sejmy okręgowe* i t. p. (1), nie uprzedziwszy, do zastąpienia ja-

w Warszawie w r. 1824, p. profesora Zinserling. P. Zinserling jednak wylicza przynajmniej przyczyny, dla których *patres* miał za *kapłanów*, a istnienie ich za poprzedzające Romulusa.

(1) P. Sz wajnic w opowiadaniu swém dziejów rzymskich, używa wyrazów rzymskich: *senat*, *trybun*, *dyktator* i t. p.; niektóre jednak wyrazy przekłada na brzmienia polskie i tak je używa. Zamiast np. wyrazów *patrycyusze*, *komicyje*, *procent* i t. p., autor używa stale wyrazów: *rodowi*, *sejmy*, *stowe* i t. p. Przekład wyrazów obcych już używanych, lecz obojętnych, może być obojętnym; ale przezwanie nazwisk stanów, urzędów, instytucyj i t. p. narodowości jakiej właściwych, językiem narodowości obcej, nie wpływa na wyjaśnienie tych nazwisk. Tłumaczenie nazwisk właściwych według źródłostowu, może nam wyjaśnić znaczenie tego wyrazu źródłostowowie; lecz nie ten odcień znaczenia, jakiego źródłostów téj w danej historyczności nabył. Zebrania np. nam spólczesne krajowe: *kongres*, *parlament*, nie tłumaczymy przez *sejmy*; nie tłumaczyliśmy także nigdy nazwisk *parów*, *lordów* i t. p. tém mniej jest więc zdaniem naszym właściwém (jakiębykolwiek autor znajdował w innych językach przykłady), tłumaczyć nomenklatury, których brzmienie i znaczenie zewnętrzne jest po wagą wieków utarte, i których zkądinąd istota, t. j. znaczenie we-

kich nomenklatur łacińskich mają służyć? i w raz utworzonych przez siebie nie trzymając się stałe jedności, tak, iż zrozumieć obrazy autora, a tém więcej iść za polemiką jego co do tych obrazów, czytelnikowi niepodobnym jest prawie. Przypuszczanie jakowychś poprzednich wiadomości, o jakim dopiero rzekliśmy, i w tych właśnie wykładach jest cechą. Na str. np. 241 t. 1, mówiąc o reformach za Serwiusza Tuliusza, które przemieniły skład państwa rzymskiego, autor pisze: „Podział Serwiusza Tuliusza nosi na sobie piętno wojskowości, i ta cecha okazuje się w wyrazach: klasa, setnictwo, w sposobie zwoływania sejmu, samym sejmie, który jest narodem zbrojnym, wojskiem i t. p.”. Że podział Serwiusza Tuliusza nosił na sobie piętno wojskowości, autor widzimy objaśnia przez to, co właśnie głównie

wewnętrzne jest przez te wieki zatarte. Dlaczegoż np. p. Szwajnic komicye przez kurye zowie *rodowym*, a komicye przez setnie *sejmem zbrojnym*? jak pogodził to ze swym z innej strony wykładem dziejów wewnętrznych? Dzieje świadczą, iż lud rzymski zbierał się od czasów pierwotnych na komicye, czyli wspólne obrady przez kurye, a od Serwiusza Tuliusza przez centurye. Komicye przez centurye czyli przez setnie, równie jak komicye przez kurye, składał wprawdzie cały lud rzymski; głosowanie jednak na tych komicyach było nie przez głowy (*viritim*), jak na komicyach przez kurye, ale właśnie przez setnie, a ilość setni (znaczenie których nie oznaczało wewnątrz liczby), największą była w klasie *Iszėj*, t. j. najzamożniejszych obywateli; komicye te, uważane więc były przez wielu za podźwignienie i pierwszy krok przewagi wśród Rzymian możnowładztwa. Lecz tę ustawę Serwiusza lud rzymski uważał za źródło, za początek przewagi własnej. Czemuż? Według wykładu Niebuhra, rzecz tak się miała: Naród rzymski dzielił się pierwotnie na *gentes* czyli familie, a pewna liczba familij składała kuryę; komicye zebrane przez kurye, składały się więc istotnie z całości narodu; lecz gdy dalej ludy podbite złożyły nową klasę, klasę plebejan, skład kuryi stał się arystokracją krajową. Podział więc przez Serwiusza całego narodu na setnie i powołanie go na obrady przez setnie, wcieliły w żywioł ich i ogół no-

objaśnienia potrzebowało; czytelnik bowiem po raz pierwszy słyszy tu o jakichś setnictwach, klassach, i jakimś sejmie. Szczegóły zaś, które autor podaje niżej o tymże sejmie, są także opisem raczej niektórych cech jego, wniosków autora, nie zaś jego istoty, przyczyn tych wniosków i t. p. Na str. 241 t. I, po opisie drugiego ustąpienia przez lud na Awentyn, autor dodaje: „Ważniejszym dla ludu było prawo stanowiące powszechność wilkierzy; uchwały sejmów okręgowych obowiązywać miały cały naród”. Czytelnik dowiadyuje się tu, iż sejmy okręgowe miały obowiązywać cały naród, a nie słyszał co są te sejmy? z kąd i kiedy się wzięły? czém się różniły od zbrojnych? kto składał je? Czy wyłącznie lud? czy rycerstwo? czy lud i patrycyusze z okręgów? kogo obowiązywały dotąd? i t. p. Autor w ciągu swojej Historji podobnie o niejednym wspomni-

wych plebejan. Lecz p. Sz wajnic nie przyjmuje wykładu Niebuhra co do ukształcenia się *plebs*, dopiero za królów (I. 74), i jest zdania, iż już istniał przed Romulusem; kurye nadto ma za ogół narodu (I, 38). Sejm przez kurye dła czegóż więc nazwał wyłącznie sejmem rodowym? Z określał komicyi przez kurye, które nas doszły z pism *Warrona*, *Geljusza* (pisarzy dawniejszych nawet niż *Liwiusz*), nie widzimy bynajmniej, iżby w nich udział mieli sami patrycyuszowie. Komicyom przez centurye dał autor nazwisko sejm zbrojny. Dła czegóż jednak? Czyli dła tego, że ci wszyscy, którzy składali ten sejm, do służby wojskowej byli obowiązani? Lecz sejm tego nie składała klasa VI *Liwiusza* (proletaryat), a zdaniem autora i proletaryat służył wojskowo. Czy dła tego, iż, jak utrzymuje autor, lud na ten sejm zebrany zbierał się zbrojno? Lecz zdaniem innych było owszem warunkiem, iżby się lud na ten sejm zebrany (stojąc pod chorągwiami swoich centuryj), zgromadzał niezbrojno. Z przekazanych nam takich lub innych nazwisk starożytnych klass, instytucyj, mamy zapewne prawo czynić domysły o ich składzie, istocie wewnętrznej, ale nie mamy prawa z zasady potworzonych przez nas o téj istocie domysłów, nadawać im od siebie nazwiska. Używanie nadto zamiast patrycyuszów nomenklatury rodowi, dodajmy, już przez to samo jest niedogodne i niewłaściwe, iż nomenklatura ta jest przymiotną.

na urządzie, instytucji i t. p. bez wyjaśnienia, z kąd się poczęła? co znaczyła? jakie przynajmniej w tym względzie są domniemania, jak np. o dyktaturze, pretoryanach i t. p. Tacyt, który roczniki rzymskie pisał dla Rzymian, mógł wspominać o pretoryanach i nie tłumaczyć czém byli; ale czytelnik dzisiejszy chce się właśnie dowiedzieć o tém z Historji Rzymskiej.

P. Sz wajnic nie określa więc jasno, a nieraz wcale, osób zbiorowych, nie określa téż równie i pojedynczych.

Okréśleniom osób szczególnych, figur, autor wprawdzie liczne zdania, uwagi, całe nawet oddziały poświęcał; cechą charakterystyk tych jednak jest: nie jakowyś system patrzenia, cel pewien, pewna pamięć na stosunek danéj jednostki do owéj ogólnej charakterystyki całości historyi rzymskiej, o której powiedział autor z góry; ale (jak to już rzekliśmy) albo brak pewien, lub sama zbiorowość.

Charakterystykom postaci szczególnych, kréślonym przez autora w jego Historji, do zarzucenia, mówiąc wyraźniej, mamy: brak nieraz ich rysów głównych, stawianie za główne obojętnych albo domyślnych, przedewszystkiém zaś brak określenia jasnego: znaczenia całej postaci.

Iż znaczenia postaci autora nieodkréślone są jasno, jako za przykład wskazujemy na te, którym poświęcone są całe oddziały.

Uważaliśmy już, iż źródłem główném rozwijania się dziejów śród Rzymu była walka dwóch klass w narodzie, dwóch stronnictw: zrazu gminu i rodowładztwa, dalej proletaryatu i mieniowładztwa; uważaliśmy téż, iż współczesna nam krytyka, według cechy skłaniania się danéj postaci do tego lub innego stronnictwa, określa

jéj cnotę, wielkość i t. p. Figury np. jak *Koryolan*, *Cyncynat*, *Brutusowie*, *Cycero* i t. p. przez jednych jako typy piérwszych zaszczytów, wybawców kraju, stosownie do pierwotnej tradycyi dziejowej są określane; przez innych przeciwnie, podźwigane są postacie jak *Meliusz*, *Manlius*, *Maryusz*, *Katylina*; sam *Cezar*, jako ofiary zrazu słowa, a dalej pióra patrycyuszów. P. Szwajnic w krésleniu swych figur nie przejmował się żadném stronnictwem, nie objawił żadnej szczególnej myśli, którójby się trzymał w krésleniu tém; miał zaś oczywiście na celu wszelki rys przekazany o figurze danéj w obraz jéj włączyć, i charakterystykę jéj bezstronnie przedstawić. Zdaniem jednakże naszym, nie zachował żadnej jednósci w tém połączeniu.

Autor w ciągu opisu danéj postaci, przytacza o niéj zdania już takie, już inne: już staje na jéj stronie, już na przeciwnéj, i co chwila nam tylko sprzeczność w rysach i wanie się w sędzie przedstawia. Widzimy przed sobą, że tak powiemy: oczy, usta, ręce i t. p. postaci autora; lecz nie widzimy saméj postaci. Tak w tomie I np. przedstawieni są: *Koryolan*, *Kamillus*, *Manlius Kapitoliński*, *Melius* i t. p.—Dla przykładu, przytoczymy tu ustęp z rozdziału o tym ostatnim. *Spuryus Melius*, jak wiadomo, był znanym z dobroczynności, sypania jałmużny ludowi; jego wziętość uczyniła go groźnym patrycyatowi. Obrany dyktatorem *Cyncynat* wezwał *Meliusa*, iżby się stawił przed sąd; *Melius* wzbraniał się i *Ahala* przywódcę młodzieży patrycuszowskiej, trupem go położył. *Liwiusz* przedstawił *Meliusza* jako zdrajcę kraju; dziejopisarze dzisiejsi przeciwnie potępiają przeciwników *Meliusza*. P. Szwajnic w opisie swym téj postaci, przytacza i porównywa zdania o niéj: *Liwiusza*, *Zonarasa*, *Nie-*

buhra, Wachsmutha, i czytelnik poznaje te zdania, ale nie poznaje Meliusza. Autor mówi tu np. między innymi: „Potomność uwierzyła w zbrodnią Meliusza, ale czy współcześni mieli takie samo przekonanie? Zapra gnąłże w istocie Meliusz panowania w Rzymie? Szczodrobliwość jego podobno nie z czystego źródła płynęła. Nie przypisując mu chęci opanowania rządów, pewną jednakże być się zdaje rzeczą, że otoczony przychylnością ludu, wspierany od trybunów, zamierzył zdobyć dla ludu dostojenstwo konsulatu, i pierwszy je sprawować. Śmiała myśl uzbroiła przeciw niemu rodowładztwo; przedsięwzięto ukarać ją w twórcy; a jeżeli rozważymy, jaki opór w daleko późniejszym czasie w podobnym położeniu czynili rodowi, pojmiemy, dlaczego Meliusz padł ofiarą niedojrzałych jeszcze wyobrażeń. Zamysł jego miał być zniszczony i ukarany, zabójstwo z tego powodu zdarzone uniewinnione przed ludem, a powszechne oburzenie uspokoić wypadało. Senat dopiął celu: zbrodnia stanu zarzucona Meliuszowi, zamiar włożenia jarzma na Rzymian, obudziły silne podejrzenie. — Byłże czyn Ahali morderstwem? Zapewne postępek naczelnika jazdy i przyznanie mu stosowności ze strony dyktatora mogą oburzać, a jednak czyn trudno nazwać morderstwem. Nie przewidział Cyncynnat stawionego oporu, a opór równie jak wzburzenie ludu, pociągnęły nieszczęsną śmierć Meliusza i przykry kłopot dla popędliwego Ahali”. W przypisku w témże miejscu autor dodaje: „Według Niebuhra, Ahala był mordercą, Meliusz niewinny, bez spółników, bez zapasu broni, i nikt prócz niego nie był ukarany. Rozumowanie wszakże znakomitego dziejopisa przeciw niemu może być użyte. Wina Meliusza nie była zmyśloną. Szczegóły jej może

niedosyc nam są wiadome. Rzymianie z wielu przyczyn sprawiedliwie tylko głównych naczelników karali". 1, 294, 295.

Nie wątpimy, iż autor mógł mieć przed sobą pewne wyobrażenie jasne figury Meliusza; zwracamy tylko uwagę, iż go nie daje wykład. Byłże czyn Ahali morderstwem, pytamy? i byłże Meliusz winny, czy też niewinny według autora? Autor widzimy mówi, iż zabójstwo Meliusza było prawne, i mówi: iż z góry było ułożone i popełnienie jego, i uniewinnienie; mówi: iż Meliusz nie miał chęci opanowania rządów, i dodaje, iż czyhał tylko na urząd pierwszego konsula i t. p.—Twarze figur drugiego rzędu są nam niejasne w Historji p. Szwajnica, z powodu sprzeczności rysów; twarze pierwszego rzędu dla braku głównych. Przy końcu tomu 2go oraz okresu głównej sławy Rzymu, autor charakterystyce głównych mężów z tego okresu poświęcił osobny oddział, pod napisem: *Charakterystyka mężów społecznych z Pompejuszem*. Charakterystyka postaci dziejowych rozwija się i odznacza najdobitniej w samym dramacie; określanie jej w oderwaniu od dramatu, mogłoby więc tylko być skutkiem chęci zwrócenia uwagi na rysy, których sam dramat nie mógł objaśnić. Dramat rzeczywiście to chwila, a postać która w niej działa, nie dla niej działa. Postać działa dla siebie, dla siebie bliższych, kraju, okresu, dla całości rozwicia historycznego; określenie znaczenia postaci pod każdym z tych względów jest właśnie charakterystyką jej, i zapewne wyrażonóm być mogło (jeżeli tak chciał autor) i w oderwaniu od dramatu. Okres, z którego autor osoby do określenia oddzielnie ich charakterystyki obrał, przedsta-

wiał zapewne nader żywotne pole do tego. Byłto okres, który dla Rzymu kończył dnie głównego zadania jego i sławy; okres jakby zachodzącej głowy słonecznej, wielkiej, lecz zachodzącej; tarczy kwiatu w całym rozwiciu, tarczy mającej już opaść, lecz zawsze tarczy; okres nadto całą starożytność kończący, rozwity ile był zdolny świat stary. Taki okres dziejowie, to zbiór postaci, szereg wydatnych zmian wzruszających, wielkimi zwanymi. Co za szczegółem kwiatu, który miał opaść? co za szczegółem związku epoki znikłej z idącą? była każda z tych figur, wielkich już siłą ciała, już myśli, jak *Juliusz Cezar*, *Cycero* i t. p. to mogła i winna była rozwinać ich charakterystyka. Czyliż rozwinął ją jednak ów rozdział autora? W rozdziale tym czytelnik widzi istotnie zbliżone nazwiska mężów, którzy byli Pompejuszowi spółcześni; przedstawieni tu są: sam *Pompejusz*, *Cezar*, *Lukullus*, *Kato*, *Cycero* i t. p.; opisane rysy tych figur są wierne, czytelnik nie dowiaduje się jednak o nich nic więcej nad to, co wiedział już z dziejów poprzednich, lub o czémby nie mógł posłyszec lepiej w ciągu dramatyczności. Mówi tu autor tylko np., iż Pompejuszowi świeciła gwiazda szczęścia, iż blask jej zaćmiła gwiazda Cezara, iż Lukullus był panem bogactw, iż Cycero „wymowny, cnotliwy i wielostronnie ukształcony, doszedł wysokich urzędów” i t. p.

Mniej dbając o rysy główne, autor zajmował się znowu na to miejsce zapowaznym kręśleniem drobnych. Przywiązując się niejednokrotnie do przekazanego przez dzieje jakiegoś drobnego szczegółu, faktu, autor nim przejmował się z gruntu, oddawał mu z całą wiarą, i posuwał się do kręślenia myśli nim kierującej.

Wspominając np. w t. I, na str. 42 o wyprawie wojennéj Romulusa na Fidenatów, autor mówi: „Pociągnął przeciw nim Romulus, *wywoławszy może sam zaczepką*, wojska ich na głowę pobił” i t. d. To domniemanie o fakcie tak obojętnym i nawet tak dziejowie niepewnym, nie było zapewne pod żadnym względem potrzebném dla charakterystyki Romulusa.

Podzielając zdanie tych, którzy sądzą, iż Liwiusz jako spokrewniony z rodziną Furyuszów, przesadzał w przypisywanych Kamillowi zwycięztwach, i broniąc razem sławy tego bohatera, autor przy odkrésleniu odwrotu Gallów, tak mówi: „Dalecy jesteście od mniemania, aby Gallów wracających z okupem poraził i złoto im odebrał; *pojął* ten mąż niezwykły przeznaczenie swoje, uważał się do wyższych celów (t. j. odbudowania miasta), jak do niepewnego nad Gallami zwycięztwa powołanym.” 1—377.

Każdy z ludzi zapewne pełni i wykonywa missyą taką lub inną, lubo bez własnéj wiedzy; pełnienie swéj missyi z wiedzą (własność myśli filozoficznych prędjéj jak wojowniczych), dziś nawet jest szczególnym wyjątkiem, a tém rzadsze było zapewne za wieków dawnych. Czy Kamillus *pojął* swój czyn kiedy nie napastował Gallów, i przewidywał wtedy co ma z nimi nastąpić: o tém jeśli nie doszedł nas dziennik myśli Kamilla, nie może dziś twierdzić historyk.

Pisząc niżej o dziejach Manliusza Kapitolińskiego, autor mówi: „Gdyby nie duma z jednéj strony, a obraza z drugiéj, *powróciłby* obwiniony na drogę obowiązku.”

Ogół dziejów—to łączność, pewna harmonia, jakkolwiek z nader przygodnych cząstek na oko złożona (1);

(1) „Harmonia świata tego z dysharmonij się składa.” *Tota hujus mundi concordia ex discordibus constat.* Linn. *Systema Naturae.*

każdy szczegół jakkolwiek lichy, z pozoru próżny, to w niej konieczność. Ocenianie dziejowe dziejowych szczegółów, które się stały, jestto rozważanie ich przyczyn, istoty, następstw; lecz nie jestto czynić charakterystykę faktów, które się stały, przypuszczać na miejsce ich inne, które się stać mogły.

Przy równém albo nieodkrésleniu, albo niejasném odkrésleniu dziejowém tak dramatów, jak i osób szczególnych, które częstkami, reprezentantami są epok; nieodkrésłonym téż w opowiadaniu autora pozostać musiał charakter epok. Wprawdzie księgi p. Sz wajnica mieszczą i przedstawiając masę szczegółów z każdego okresu, odznaczają téż i pewną ich różność; stają tu np. zrazu przed nami owe burze domowe, zajęcie się główne śród miasta ustawodawstwem; dalej pewna prawość, prostota; dalej zepsucie, zbytki; za Cezarów szczegóły zbytku, jakiego ani przedtém, ani potém dzieje nie przedstawiają; te szczegóły jednak w ogóle, spotykamy albo zbyt w rozrzuceniu, albo w nieodznaczeniu, i nie znajdujemy dobitnych charakterystyk epok, charakterystyk zwłaszcza, ze stanowiska objawionego z góry przez autora, ze stanowiska nam społecznego, krésłonych.

Dzieje państwa za królów i figury królów, krésli autor jak dzieje za Cezarów; i gdyby nie nazwiska i kładzione od czasu do czasu wskazówki chronologiczne, nie wiedzielibyśmy o różnicy okresów. Uwagi szczególne, które autor także od czasu do czasu o charakterystyce epok tych kładzie, nie wpływają na trafne ich rozjaśnienie.

Kończąc np. opowiadanie o panowaniu króla Tarkwiniusza Pysznego, autor poprawia źródła z których wyłącznie tylko czerpał, mógł czerpać, i tak mówi: „Wi-

zerek tego króla skrócony przez Dyonizjusza jest utworem fantazyi bez światła; i Liwiusz w swoim obrazie nie był jaśniejszym. Rzym był wielki i potężny za panowania Tarkwiniusza." l. 84.—Historyk Warro uważał, że Rzym za panowania królów podbiwszy 20 królestw, powiększył swe posiadłości nie więcej jak na mil 20. Dyonizjusz i Liwiusz żyjący i piszący za czasów kiedy Rzym trzech części świata był panem, czuć musieli, że przymioty: potężny i wielki, jak najmniej przystawać mogły Rzymowi za Tarkwiniuszów.

Na str. 215 tomu Igo wspomniawszy autor, jak lud rzymski gotował się na wojnę pod Cyncynatem, dodaje: „Żołnierz nie wchodząc w tym okresie prawości i cnoty w rozbiór praw i obowiązków, gotów był na rozkazy wodza.”—Autor jednak właśnie na kilku poprzednich kartach okrywał, jak lud nie chciał bronić Kapitolu zajętego przez Hardoniusza, i musiano sprowadzać lud z Tusculum; jak w wojnach przeciw Wejensom, Sabinom, Ekwom i t. p. dobrowolnie dawał siebie zwyciężać (str. 212). Fakta te z téjże są epoki, i czytelnik oczywiście albo tym faktom, albo dołączonej charakterystyce epoki musi nie wierzyć.

Mówiąc nadto, a mówiąc po kilkakrotnie o cnotach, kwitnieniu cnót rzymskich, autor zabezwzględnie mówi o treści ich. Cnoty Rzymian za ich głównego okresu (t. j. ostatnich wojen samnickich i pierwszych punickich), rzeczywiście miały być wielkie, świadczyli o tém bowiem nawet pisarze greccy; jak widzieliśmy jednak, były takimi tylko w odniesieniu do epoki, natury swój epoki, i ludów współczesnych. Mówiąc o cnotach rzymskich, autor nie przedstawiał ich ani ze satnowiska ich czysto

rzymskiego (własną chwałę mającego na celu), ani ze stanowiska rzetelnej ich właściwości.

W okresie Cezarów, gdyby nie kilka faktów o zbytkach, nie poznalibyśmy, że w starym a konającym Rzymie jesteśmy. Okres ten był wszakże jednym z najciekawszych psychologicznie. Już na półtora wieku przed tym okresem, zginął był w Rzymie wiek wiary, a napływ zdobytych bogactw, zrodził był tylko upadek mężstwa, rozpustę i miłość zbiorów (1). Te żądze powściągnęły były zamieszki, wrócił je pokój. Ta miłość wyłącznie siebie, wyłącznie chwili, rozsypała się wtedy w faktów tysiące, i w różnych kształtach całe ostatnie 3 czy 4 wieki upadającego Rzymu odznaczyła. Miłość swój dobrej sławy, miłość tém więcej kraju (dawniej z nazwiska przynajmniej znane), zapomniane zostały; miłość ludzi tém więcej została żadną. Zbiór bogactw i używanie ich, były najwyższym i jedynym celem życia każdego; najuczeńsi, najdowcipniejsi, zwracali swą naukę i dowcip do pomnożenia zbiorów, dopięcia władzy. Piastunowie jej piérwsi, stali się téż głównym wyrazem epoki owój. Niekrępowani niczém, nawet sumieniem, wiarą (bogowie sami) w zwracaniu ku temu lub owe mu swój woli, nie byli téż powściągani w możności zadocść uczynienia jój. Złość, dobroć, miłość, nienawiść, chciwość, rozpusta i t. p. wszelki odcień uczuć, skłon-

(1) Polibiusz (zakładnik grecki w Rzymie, a towarzysz i przyjaciel domu Scypionów) mówiąc o tój trudności jaką miał Fabiusz Scypio żyć skromnie wśród Rzymu, na rozpustę i zbytki wyuzdanego, dodaje: „I nie należy się dziwić, że zepsucie doszło w tym czasie w Rzymie doswego kresu; po zwyciężeniu Macedonii sądzono, że już można było pędzić życie bezpiecznie, i że nie pozostało jak cieszyć się z panowania nad światem”. *Polibiusz XXXII, fragm. VIII.*

ności, w szeregu postaci tych, w posunieniu do ostatnich swych krańców, został uosobionym. Każdy z tych charakterów był typem. Dla przypomnienia czasu i epoki, wskaźmy tu np. na kilka rysów, z typów choćby drugiego rzędu, np. *Kommoda*:

„Zachwycający to był dzień i widok, mówi społeczny mu historyk Herodyan, kiedy młody Kommodus jako nowy Cezar do Rzymu wjeżdżał. Syn Marka Aurelego, po matce wnuk Antoninów, prawnuk Trajanów; piękny, o włosach tak jasnych, iż gdy na nie blask słońca padał, lśniły jak złoto: dla ludu zdał się być szczytem piękności, jego jedyną nadzieją, pychą, być bogiem”.

(Taka myśl, to zajęcie w mieszkańcach owego Rzymu, były jedyne przy wjeździe każdego z *Augustów*).

I te nadzieje Rzymian co do Kommoda, nie były bez pewnych zasad. Zdaniem wielu, myśl męża kształci się z wrażeń dziecińczych; a Kommodus był synem i wychowawcem Marka Aurelego. Cześć dla przyjaciół ojca, kierowała téż sercem Kommoda cały rok rządów jego pierwszy, lecz tylko pierwszy. W 2gim zajęły to miejsce głowy przyjaciół nowych, a starych spadły. Spadły głowy krewnych Kommoda, krewnemi i przyjaciółmi syna Aurelego, stał się tylko orszak nierządnic i Rzym rozpustny.

„Cokolwiek dalej tchnęło cnotą, miłością nauk, musiało kryć się albo z Rzymu uchodzić”, mówi Herodyan. Brak wszelkiego oporu woli, uczynił rozum Kommoda, jako niegdyś Kaliguli, półobląkanym. Kommodus kazał się czcić jako bóg Herkules, i jako Herkules chodził po mieście nagi, lwią skórą okryty. Kommodus był w rzutach i strzałach istotnie zręcznym, zręczniejszym owszem,

niż którykolwiek rzymski gladyator, i na igrzyskach publicznych wśród Rzymu, wystąpił jako gladyator. Towarzystwo i obcowanie z gladyatorami dalej nad wszystko przeniósł. Gladyatorom poświęcił odtąd owszem wyłącznie wszystkie swoje godziny, swoje zajęcia; dla gladyatorów spisał i podał na śmierć wszystkich przyjaciół domu, zarządców, nawet kochankę Marcyą; przygoda tylko sprawiła, iż losowi który gotował swym domownikom, sam uległ.

Takie szczegóły, typy, zapewne nietylko na odkręślenie ich żywsze, lecz też na wykazywanie ich powodów, sprężyn, ich otoczeń i odbić wśród kraju, zasługiwały w historyi krytycznej; tém więcej, gdy materiały istną (w ilości dzieł z owych czasów), i gdy już do epoki téj drogi tak torowane (np. dziełem *Gibbona*). P. Szwajnic jak z życia Cezarów, tak z życia całego państwa za Cezarów dotyka wszakże, że tak powiemy, tylko skieletu faktów, i nie daje ich poznać w ich ciele, w ich właściwości. Autor wylicza tu machinalnie wyprawy wojenne, warunki pokojów, spiski i t. p. jakby określał dzieje późniejszych cesarzy niemieckich lub królów Francji i Anglii. Czytelnik nie widzi przed sobą stanu i barwy społeczności, kończącej całą ogromną epokę starą ludzkości i państwo stare. — Nic też nie słyszy o krzewieniu się, urządzaniu, szerzeniu społeczności nowój z duchem i celem nowym, mającej wznieść okres nowy. Wyjąwszy rozdział o samym Założycielu chrześcijaństwa, autor o szczegółach owych jeżeli wspomina niekiedy, to tylko z duchem i słowem toleranta staro-rzymskiego.

Takie są główne uwagi które nastreczyły się nam, które zdaniem naszym każdemu przy odczytaniu Histo-

ryi Narodu i Państwa Rzymskiego p. Sz wajnica nastęrczyć się muszą.

To co rzekliśmy, skracamy tu w parę uwag i dodajemy wniosek:

Historja Narodu i Państwa Rzymskiego p. Sz wajnica, opowiedziała i przedstawiła przed nas dzieje z lat więcej tysiąca; dzieje największego z krajów starożytności, najznakomitszej z epok starożytności. Obraz ich przedstawiła nam w massie szczegółów z każdej sfery dziejowego rozwicia. Każdy z szczegółów tych przedstawiła z poparciem świadectw, z wyborem świadectw. Wielostronność, szczegółowość i wierność, te cechy tak pożądane przy wykładzie historii każdego kraju, są właśnie główne wśród wykładu Historji p. Sz wajnica.

Owoc równej pracowitości i równej treści, przybývający w języku naszym dla wzbogacenia dziejowej gałęzi w piśmienności naszej, musi w nas budzić ku sobie rzetelną miłość; i musieliśmy czuć całą przykrość téj prawdy, lecz razem i sprawdzać przysłowie: „że miłość: kłótnia”.

To, cośmy do zarzucenia trzem obszernym tomom Historji p. Sz wajnica znaleźli, mimo pozorną przeciągłość, w gruncie nie jest wszakże tak liczne.

Mieliśmy i mamy głównie do zarzucenia istotnie krytykę, t. j. przyjęte przez autora zasady do krytyki w 2ch najpiérwszych oddziałach tomu Igo; w dalszych opuszczenia niejakié w przedmiotach i określeniach, opuszczenia dla zrozumienia przedmiotu stanowcze; co do reszty, jedynym przedmiotem zarzutów naszych był tylko *wykład*.

Wykład, to względ dodatkowy, strona podrzędna, w odniesieniu wartości pisma do jego przedmiotu; wy-

kład jednak jestto punkt związku pisma z swym czytelnikiem, i brak jego może dla czytelnika uczynić bezużytecznym pismo.

Mamy nadzieję, że autor Historyi Narodu i Państwa Rzymskiego, będzie świadkiem nie pierwszego tylko wydania swojego dzieła; mamy nadzieję, iż w nowém to co opuścił dopełni, co pozginał przekształci: i że to pismo swe, które jest *skarbcem w sobie*, uczyni téż, ile w wieku miłości, i *skarbcem dla czytelników*.



KRONIKA LITERACKA.

Dwanaście śpiewów polskich z towarzyszeniem fortepianu, przez Józefa Nowakowskiego, w Warszawie.

Cieszmy się zawsze, ile razy większym zeszytem prac tego rodzaju zatrudnić nam się przychodzi; raz dlatego, że ich więcej, bo u nas rzadko i pojedyncza śpiewka się pokaże; drugi raz dlatego, że w większej liczbie łatwiej dostrzedz dążność i rozumienie rzeczy autora; trzeci raz dlatego, że np. z dwunastu pieśni choć kilka musi być lepszych dlatego tylko, że nim ostatnia się napisze, to poprzednie można przejrzeć i poprawić; czwarty raz dlatego, że taki zeszyt wystarczy na artykuł o kilkunastu wierszach, co nie jest rzeczą obojętną dla recenzenta, chcącego swe zdolności oratorskie w pięknym przedstawić świetle.

Żeby o tym zeszycie dać z góry zdanie, mające się potem przeglądem pojedynczych ustępów usprawiedliwić, powiemy, że nam się zdaje dosyć udatnym: boć dlatego samego, że pieśni jest dwanaście, wszystkie wyborne nie mogą być prawie. Opracowanie muzyczne niektórych pieśni, niczem do słuchacza nie przemawia; znać, że nie są owocem chwil artystycznych, bo miałyby barwę. Żeby jednak nie być

drobiazgowym, porobimy tylko przelotne uwagi przy każdym numerze, a rozbierzemy obszerniej jeden tylko, który do spostrzeżeń najwięcej daje sposobności; z tém ostrzeżeniem, że nie pominiemy żadnej piękności bez jój wskazania, a co z wad, zamilczymy; nie należy do uchybień tego rodzaju np. zła i niekonsekwentna harmonia, skrzywienie iloczasu języka, nędzna frazeologia, i t. p.

Z pierwszych trzech pieśni, dwie: „Kochanka do gwiazdy“ i „Wiosna“ są pióra znanego naszego sielskiego pisarza St. W., trzecia jest tłumaczeniem z Goethego: *Kennst du das Land* i t. d. przez A. M. Każda z tych pieśni ma swoje piękności i właściwy charakter, ale wszystkie trzy przekonują nas o braku dokładnego przejęcia się każdą z osobna przez kompozytora, bobyśmy nie spotykali w nich tego samego frazesu, który w pierwszej tak narysowany:



powtarza się w drugiej (wiersh 3-ci takt 3-ci) i w trzeciej (wiersh 3-ci takt 2-gi, wiersh 4-ty takt 2-gi). Co się tyczy podkładania textu pod muzykę, zrobimy tu uwagę, że powtarzanie wyrazów lub całych frazesów, usprawiedliwić się da przeważnym ich znaczeniem w określeniu sytuacji, albo przedstawieniem muzyką istotnie wydatną i obraz uzupełniającą. Powtarzanie dla zaokrąglenia peryodu muzycznego nie usprawiedliwia: bo rzecz jasna, że gdy muzyka szerzej się rozwija niż wyrazy, a nowój nie dodaje im siły, rozwlekłą być musi. To do pieśni pierwszej. Druga raz sprzecznością drugiej, tęsknej zwrotki textu z muzyką wesołą; a trzecia, według nas najwięcej z tych trzech zajmująca, wykracza nieoddzieleniem cudzysłowu: „Pielgrzymie nasz, ach! co się z tobą stało!“ od następujących wyrazów i muzyką silnie złączonych z poprzednimi: „Znaszli ten kraj;“ zdaje się, jakby to jeszcze posągi mówiły. Wyraz: laur, na dwie zgłoski rozdzielać się nie może, a jako jednozgłoskowy i kończący odcinek frazesu, dwóch nut a tém mniej czterech nieść na sobie nie powinien, jak mu to każe robić p. N.

na str. 8, wiersz 1-szy. Nietylko naturze języka jest to niedogodne, ale téż i osłabia dzielność wyrażenia w strofach następnych; tym sposobem przymiot mowy czysto muzyczny, zamiast pomagać, zaszkodził kompozytorowi.

Pieśń 4-ta „Wojak“ St. W. zupełnie nieszczęśliwą nam się zdaje, a to nietylko dla samego pomysłu muzycznego (naśladowującego zresztą rytmicznie nutę powszechnie przypisywaną Szopenowi), ale i dla nadużycia jego. Wojak, czy do rodziny, czy do konia przemawia, czy grozi wrogom, czy mówi o mogącym go spotkać zgonie, zawsze na jedną melodyą się odzywa. Prócz tego, uderza w téj pieśni jakby umyślne zaniedbanie textu pod względem deklamacyi; tak np. wiersze:

Spieszę, spieszę luby koniu!
Skacze.... lecim wnet!...

każe pan N. czytać bez żadnego znaku pisarskiego, i tym sposobem dziarski i pełen ruchu wiersz, w chaos zamienia.

Ner 5-ty „Przyczyna“ tegoż autora, zgrabnie jest ułożony; szkoda tylko, że kompozytor stosowną uwagą nie ostrzegł śpiewającego, że to „brzydki i stary“ do dziewczyny przemawia. Gdy się o tém dopiero przy końcu dowiadujemy, będzie się nam zdawało, że jak na starego zalotność była zbyt lekką i żwawą. Śpiewający powinien naśladować znekąnie, zużycie starości; lepiejby jednak było, by już muzyka sama rozumieć to dawała i ułatwiała naśladowanie. W tym rodzaju lekkiej i komicznej charakterystyki, znamy w naszej muzyce tylko dwa obrazki St. Moniuszki: „Dziad i Baba“ i „Kum i Kuma.“ (Patrz: Śpiewnik domowy St. Moniuszki, poszyt 1-szy i 2-gi. Wilno).

Pieśń 6-ta „Gdzie lubi,“ także St. W. należy do najlepszych tego zbioru, i odznacza się wdzięczną prostotą. Różnice w duchu wiersza pojęte i oddane, i gdyby nie wiersz 1-szy str. 15... „ale nie;“ i tam wybiegłość żwawa muzyki mimo smętnego trybu (minor), maluje radość; i odwrotnie, zníženie intonacyi i zwolnienie ruchu, przy weselszym nawet zwrocie (major), smutek wyraża. Słowem, piosnka to wyborna.

Ner 7-my „Poseł.“ i 8-my „Życzenie“ oba St. W. nicby do zarzucenia nie przedstawiały, gdyby nie było naszym zwyczajem troskliwie badać każdy pomysł autora, co do jego wewnętrznego znaczenia, i obliczać siłę użytych środków do pewnych celów. Ta to skrupulatność żądałaby w Nrze 7-ym akkordu 7h zamiast 3h w przejściu z drugiej do trzeciej części (wiersz 4-ty, takt 1-szy), a w Nrze 8-ym, by uderzający rys przedgrywki:



powtórzony i usprawiedliwiony był w dalszém rozwinięciu. Tak samotny, znaczy uspokojenie po jakimś rozkołysaniu, którego krótka a spokojna przedgrywka nie przedstawia, do którego tekst nie daje powodu, a które przecież w pogrywce jakby echem do nas przemawia.

Po miłym mazurku do słów Brodzińskiego: „O mój Jasiu złoty“ i t. d. wypełniającym Ner 9-ty, następuje „Wianek“ Lud. Osińskiego; nad tym ustępem zatrzymamy się dłużej, aby choć raz wejść w szczegóły opracowania muzycznego i w tym celu przytaczamy cały ten wierszyk:

„Bardzo raniuchno wschodziło słońeczko,
Mama przy szklanném okienku siedziała;
„Zkądże to, pytam, powracasz córeczko?
„Gdzieś twój wianeczek na głowie zmaczała?“
—Kto tak raniutko musi wodę nosić,
Nie dziw, że może swój wianeczek zrosić. —
„Ej! zmyślasz dziecię! tyś zapewne w pole
„Z twoim chłopakiem w zaloty pobiegła?“
—Prawda matuniu, prawdę wyznać wolę!
W polu z młodzianem chwileczka ubiegła;
Czysta więc rosa letniego poranka,
Posiała łzami kwiaty mego wianka.

Niech kto jak chce wiersz ten rozważa, znajdzie w nim tylko igraszkę; dziewczyna zrazu zapięra, a potem wyznaje przed matką schadzke swoją z kochankiem. Obrazek pana N. zawiera treść tę samą nihy, a rzeczywiście inną: bo nie uważa jęj za igraszkę. Kto ma choć trochę wprawy w tłu-

maczeniu sobie dźwięków muzycznych; kto przekonany jest o potrzebie ścisłego zastosowania kompozycji wokalnejszy do treści już gotowej i nieulegającej zmianie; kto przypuszcza usiłowania kompozytora do osiągnięcia tego celu zdążające: ten pewnie znając ten wierszyk, podług pierwszego pojęcia figlarny, uderzony zostanie dziwną niestosownością przedgrywki jakkolwiek krótkiej, albo nie wiedząc jeszcze o co chodzi, gotów przepowiadać treść dziwną, smutną nawet. Taką istotnie ją czyni muzyka pana N.; jej tok mocno przypomina krój ballady, ale dla braku szerokiego rozwinięcia treści, został tylko zamiarem, zakrojem. Formę zewnętrzną stanowią: wspomniana już przedgrywka, pierwszy wstęp wokalny, dzielący się na trzy części, z których jedna zawiera pierwsze dwa wiersze, będące przygotowaniem scenicznym, że je tak nazwiemy, i zapytanie matki; druga, wybieg dziewczyny; trzecia, podejrzenie matki. Tu następuje przegrywka (intermezzo), drugi ustęp wokalny zawierający wyznanie dziewczyny i dawniejszy wstęp instrumentalny, który tym sposobem stał się pogrywką i świadectwem niejako, że pojęcia kompozytora o treści, z góry wyrobione były i w niczem nie uległy zmianie. Zastanawiając się nad duchem cząstek formę składających, i pomijając wstęp o którym już była mowa, widzimy, że podpisanie dwóch pierwszych i dwóch drugich wierszy pod jedną i tę samą muzykę, stosownym być nie może; pierwsze bowiem są poprostu opowiadaniem poety, drugie rozpoczynają dyalog między osobami będącymi na scenie. Gdyby forma całości piosnkę tylko stanowiła, połączenie to ujęby mogło prędej; ale w porównaniu z dalszym opracowaniem treści, wygląda skąpo i niestosownie. Rozdzielenie tych czterech wierszy po dwa, ze stosownym w muzyce wytłumaczeniem, rozsunałoby korzystnie krańce formy, i dałoby autorowi sposobność silniejszego ucharakteryzowania matki, czego nie zdołała zrobić muzyka przy wyrazach: „Ej! zmyślasz dziecię“ i t. d. Żwawa odpowiedź córki na pierwsze zagadnienie matki, doskonale przedstawia chęć zbycia się natrętnych zapytań i tchnie drażliwością, niby trudno powściąganym

gniewem i żalem za podejrzenia już przewidziane. Nawet poczucie się do winy i skwapliwość chcąc się co prędzej zbyć kłopotu, cechują ten frazes nadzwyczaj w charakter bogaty, i prawdziwie mistrzowski choć niedługi. Tuż następują wyrazy matki „Ej! zmyślasz dziecię“ Bylibyśmy za odgroźeniem ich małeńkiem od poprzednich usprawiedliwień córki; charakterby na tém zyskał i przedstawienie także, a żywość prowadzenia nicby nie straciła, bo chociaż zrędna, nie tak skora matka jak córka. Zdaje się, jakoby wypowiedzenie wręcz podejrzeń matki, jakiś namysł, jakies wahanie się w umyśle córki zrodziło: bo zamiast odpowiedzi, snuje się nowa myśl instrumentalna tam i owdzie, dopóki skrucha uroczystém „prawca!“ nie rozwiąże ust dziewczynie. Wyznanie jój płynie odtąd po téj samej melodyi, która rozpoczęła tłumaczenie treści; ale gdy przyszło do wyrazów „posiała“ i t. d., jakby języka zapomniała, jaka się dziewczyna: „posiała... posiała.... posiała łzami!“.... a tymczasem przygrywka fortepianu jakies przerywane łkania słyszeć daje (synkopy), jakas trwozę czy boleść objawia (tremolo). Zapewne jestto echo duszy dziewczyny, która wyraźnie kłamie, a raczej tylko pół prawdy odkrywa; tam jakies nieszczęście stać się musiało!... Ostatnie takty pogrywki instrumentalnej po takiem przeprowadzeniu treści, dziwne przybierają znaczenie; zdają się przemawiać: na sto koni nie dogoni!...

Jeśliśmy się w pojmovaniu muzyki pana N. nie omylili, tak wiérsz przytoczony autor rozumiał i przedstawił; jeśli inaczej, to spadnie na nas zarzut o urojenie, a zwalimy go na kompozytora, oskarżając go o łudzącą pretensyą. Ale nie! chęci autora muzyki zbyt są widoczne by ich nie pojąć ale i zadaleko posunięte, by ich nie zganić z tego lub owego powodu. W przytoczonej treści nic niéma; coby pojęcie jój podobne usprawiedliwiało; a więc autor muzyki, treść drobną w pretensjonalny i nieprawdziwy obraz przerobił. Jeśli jednak tylko nasza ciężka fantazyja nie tam dostrzedz nie umie, to autor muzyki tém przynajmniej zawinił że treść bogatą wzbyt ciasne wcisnął ramy, albo tém jeszcze,

że treść choć bogatą, ale mało rozwiniętą słowem, niezdolną też do powtarzania bez ostudzenia żywości przedstawienia, w pewien rodzaj sceny dramatycznej chciał zamienić, a zmuszony był skupić, co tylko w pewnych odstępach dobrze wyglądać mogło.

Zastanowiliśmy się nad tym nrem zbioru pana N. zbyt długo w porównaniu z innemi; ale nam nie żal, bośmy tu mieli sposobność pokazać, i zdolność muzyki do wydobywania skarbów z łona nic niby nieznaczącej treści, i przekonać się o pięknym zapatrywaniu się na nią kompozytora.

Dwóm ostatnim piosneczkom: „Marzenie“ St. W. i „Cóż ja winna“ Nowosielskiego, mamy do zarzucenia i poprzednio już wskazywany brak jedności. Czemu np. pierwsza nie tą samą figurą instrumentalną się kończy ostatecznie która jej od początku towarzyszy? czemu w ostatnim takcie nowy wprowadza motyw? Czemu w drugiej takie niepodobieństwo we trzech częściach przygrywki instrumentalnej? Korzyści z tego nie widzimy, a strata widoczna: bo niema najgłówniejszej cechy—jedności muzycznej; tém potrzebniejszej w pieśni, że pieśń to jedna chwila liryczna.

Załatwość śpiewu i przygrywki, zapewne wielu miłośników muzyki obowiązanych jest autorowi. Mniemamy jednak, że mianowicie co do części instrumentalnej, pozbawiło to kompozytora rysów charakterystycznych, i obniżyło wartość niektórych numerów. Szczęśliwy, komu prostotę faktury z dosadnością wyrażenia połączyć się uda!

J. S.

Berghaus: Physikalisches Atlas. Gotta. 2 Bände.

W tym roku ukończonym został drugi tom atlasu Berghausa, którego tom pierwszy wyszedł w 1845 roku. Obszerny ten *in folio* atlas, obejmujący wiele kart pięknie wykonanych, które przedstawiają graficznie wypadki najnowszych obserwa-

cyj fizyków, geologów i podań podróżników, traktuje kulę ziemską pod wszelkimi względami. Wyobrażenie o wszechstronności tego wielce szacownego dla nauki dzieła, najlepiej poweźmiemy z przywiedzionej poniżej krótkiej treści jego kart. Tom pierwszy złożony z 5 oddziałów, traktuje meteorologią i klimatologią, hydrologią i hydrografią, geologią, magnetyzm ziemski i geografiją botaniczną. Znajdujemy w nim system linii krzywych równo-ciepłych (isoterme) Humboldta, na całej kuli ziemskiej, oddzielnie zaś na północnej pół-kuli ziemskiej, wraz z granicami wiecznego śniegu.

W tabelli załączonej obok planu tych linii w Europie, dostrzegamy, że w Warszawie:

| | | |
|---------------------|---|------------------|
| Średnia roczna jest | + | 9° ²⁰ |
| — w zimie — | — | 1° ⁸ |
| — wiosny — | | 8° ⁶ |
| — lata — | | 20° ⁶ |
| — jesieni — | | 9° ⁶ |

Te wypadki mają być wzięte z trzechletnich obserwacyj (?).

Następnie idą karty przedstawiające średni stan barometru, wraz z oscyllacyami ciśnień powietrza; karty wyobrażające różne wiatry na kuli ziemskiej, wiatry stałe, i t. d. Karta prądów powietrznych na oceanie Atlantyckim, bardzo jest szczegółowa i ciekawa.

Karta spadającąj średniej ilości deszczu, na której miejsca deszczowe, np. Sahara, Gobi, wybrzeża Peru, Boliwy są zupełnie białe; miejsca podrównikowe najobfitsze w deszcze, zupełnie ciemne, inne zaś stosownie do znanych obserwacyj, stopniowo coraz mocniejsze mają cieniowanie.

Karta ogólna stacyj meteorologicznych; szczegółowa karta przyływu morza na całej kuli ziemskiej, ułożona przez Whewell (Cambridge), bardzo nauczająca, przedstawia jawnie wpływ, jaki wywierają wyspy na zagięcia brzegów, wąskość kanałów, na opóźnianie się chwili najwyższego wezbrania morza w pewnym miejscu i t. p. Podobna jest karta szczegółowa oceanu Atlantyckiego, Wielkiego, i Indyjskiego. Na tej ostatniej, obok linii jednoczesnego przyływu morza w różnych punktach, oznaczone jest razem: stosunek temperatury

powietrza i strumieni morskich. Nareszcie karta obejmująca układ rzek starego i nowego świata.

Atlas ten obejmuje jeszcze: tablice wyobrażające graficznie oscylacje wysokości wody różnych rzek przez znaczny przeciąg czasu; karty zjawisk wulkanicznych według dzieła Huffa. Karty traktujące geografią roślin, wskazują granice, do których sięgają niektóre rośliny, np. zboża, drzewo chlebowe, trzcina cukrowa, drzewo kawowe, bawełna, indygo, herbata, pieprz, kartofle i wiele innych. Obok załączone są mapki, wystawiające na górach wysokości, do których dochodzą niektóre krzewy i drzewa. Karty magnetyzmu ziemskiego, przedstawiają południk magnetyczny, linie równego nachylenia i równego natężenia magnetyzmu ziemskiego.

Drugi tom atlasu, obejmuje geografią zoologiczną, antropografią i etnografią. Za pomocą krzywych, wskazane są miejsca pobytu małp, zwierząt workowatych, bezzębnych, gruboskórnych, drapieżnych (osobna jest karta miejscowości, w których poławiane są zwierzęta wydające futra, równie jak rodzaju kota), przeżuwających, ptaków, ziemnowodnych, węzów jadowitych i t. p.

Opisując rozkład rodzaju ludzkiego pod względem ubioru ras, załączoném jest na małych mapkach stosunek siły, wzrostu różnych ras, stosunek urodzenia według pór roku i t. p.

Na oddzielnój karcie wskazane są miejscowości, po których grasują pewne choroby.

Zakończa ten tom oddział mapp, obejmujących rozkład ziemi między ludy stale osiadłe, i wiodące koczujące życie. Karta stopniowego oświecenia ludów zamieszkujących świat, wraz z miejscami ich pobytu, naucza, że ludy wyznania protestanckiego w Europie najwyżej stoją pod tym względem.

Etnograficzne karty różnych plemion Indo - Germanów, Niemców, Słowian i t. p. na całej kuli ziemskiej, zakończają ten atlas.

Wypisywaó wiele innych bardzo ważnych i ciekawych szczegółowych kart, zawartych w tym atlasie, granice tego pisma nie pozwalają; przytoczyliśmy tylko ważniejsze, gdyż i te zda-

e się dostatecznie przekonywają o obszerności planu, pożytku i praw dziwój przysłudze, jaką autorowie wydaniem téj pracy publiczności wyświadczyli.

Względnie do obszerności, piękności wydania, cena wynosząca u nas około 37 rub. sr. jakkolwiek nieprzystępna dla wielu prywatnych, wcale nie jest zbytęcną.

S. P.



ROZMAITOŚCI.

Wydatki magistratu Staréj Warszawy w roku 1579.

Podał T. Lipiński.

Uplýnęło już lat 21, jak Łukasz Gołębiowski wydał: „Opisanie historyczno-statystyczne miasta Warszawy.” Byłto pierwszy raz pojawiający się obraz Warszawy w obszerniejszych zawarty ramach, i aczkolwiek niedokładny, w wielu swych zarysach błędny i niekrytyczny, służył jednak za przewodnika chcącemu się jakotako obznajmić z miejscową dziejowością. Lecz, co w owéj dobie było może dostatecznym do zaspokojenia ciekawości czytelnika, dziś przestało mieć swą wartość, gdyż postąpiwszy znacznie na drodze badań historycznych, nie możemy już poprzestać na wiadomościach, które nam autor przed laty ogłosił. Przejęty tą prawdą jeden z uczonych naszych, wygotował w 3ch podobno tomach opis Warszawy; ale trzymając go w utajeniu, drażni tylko naszą ciekawość i wystawia na oczekiwanie poznania nieznaných różnorodnych szczegółów, które dzieło to ma w sobie zawierać. Zanominowany konserwatorem akt dawnych miasta Warszawy, p. Alex. Wejnert, widząc bogaty zapas niełkniętych dotąd materyałów, przedsięwziął je wydawać w piśmie pod tytułem: *Starożytności Warszawskie*, których pierwszy zeszyt ukazał się w styczniu r. z. W każdym z następnych zeszytów (wyszło ich 9),

znajdujemy wiadomości obchodzące nie tylko Warszawianina, ale i każdego lubownika dziejów krajowych: albowiem nie jeden się nowy szczegół wykrył, inny wyjaśnił, sprostował, lub autentycznym dokumentem poparty, utwierdzonym został. Jednocześnie prawie, wystąpił p. Sobieszczański, podając w Bibl. Warsz. na miesiąc marzec: „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu Warszawy od najdawniejszych czasów, aż do 1847 r.“ i wielce mozolną swą pracę ukończył w grudniu. Pierwszy z nich, głównie ma na celu obznajmiać czytelników z piśmiennymi pomnikami, dotąd w ukryciu będącemi; drugiego zaś cel i zamiar, sam tytuł opiewa; obu chwalebne są usiłowania, obydwom zarówno zawdzięczamy. Lecz dokładny opis odwiecznego grodu naszego, tak jest niewyczerpaném źródłem, iż wiele jeszcze nad obrobieniem téj monografii pracować pozostaje, i przez długi przeciąg czasu znajdzie się coś nowego do przydania. Wynalezione przeto rękopiśmienne zabytki ogłaszać drukiem, uważam za rzecz niezbędnie potrzebną; mało bowiem na pozór znaczący przedmiot, posłużyć częstokroć może do wyświecenia niejednej ważnej okoliczności. Otóżto jest właśnie, co mnie skłania do podania wyciągu z wydatków magistratu Staréj Warszawy, prowadzonych od 27 sierpnia 1579 r. przez Jakóba Gisz. Namienić tu wypada: że grosz i złoty ówczesne, czynią na dzisiejszą monetę, przeszło 9 1/2 razy więcej.

Exposita na rzeczpospolitą a die 27 augusti 1579.

| | Złote | grosze |
|---|-------|--------|
| Na goździe do wieszania zbroi. | — | 2 |
| Za pół funta oliwy do zbroi. | — | 3 1/2 |
| Za dyle na ławki do rycerskiego domu. | — | 4 |
| Na nieszczęsny tryumf na ogniste kule dałem (1) | — | 15 |

(1) Przyjazd Stefana Batorego do Warszawy był powodem do obchodzenia jego zwycięstw; ale w jaki sposób odprawiał się tryumf, i jakie szkody zrządzit rząd powstały pożar, zostawiamy to do wyjaśnienia historyografom Warszawy. Bielski mówi tylko: że król zwołał sejm do Warszawy na 23 listopada, i co tam uchwalono, zamieszcza.

| | Złote | grosze |
|--|-------|--------|
| Za 2 beczki piwa na ten nieszczęśliwy tryumf. | 1 | 10 |
| Za dzwonienie na <i>Te Deum laudamus</i> | — | 12 |
| Za kamień prochu do dział | 6 | — |
| Za świece tywiczne do tryumfu. | — | 8 |
| Za banię miedzianą do zegara | 2 | 20 |
| Zegarmistrzowi, co naprawiał | 4 | — |
| Miedziana ręka z księżycem do zegara | — | 15 |
| Za liber 6 papieru panu Kulińskiemu | — | 18 |
| Ubogim więźniom kazali panowie dać elemo- zynę ⁽¹⁾ | — | 5 |
| Więźniowi na strawę, co miasto zapalił | — | 1 |
| Temuż więźniowi na strawę i na słomę | — | 2 |
| Mistrzowi kiedy gorzało, co bronił kasy | — | 10 |
| Bernardynom kazali panowie dać, co gasili u ognia | 1 | 10 |
| Solczanom 7, co przyszli gasić, po 1 gr. ⁽²⁾ | — | 7 |
| Bartoszkowi dałem, co miasto popisował | — | 5 |
| Zegarmistrzowi, co chędożył zegar i tryb no- wy robił | 1 | 10 |
| Kiedy P. Sigmont witał króla, dałem za 1/2 gar- ca matnazyi | — | 16 |
| Dałem sługom miejskim na piwo, co ubóstwo z rynku zbierali | — | 5 |
| Za klótkę do wieży zegarowej | — | 4 |
| <i>Więźnie.</i> | | |
| <i>Die 31 octobris.</i> Niewiastę wsadzono, co mia- sto zapaliła, dałem jęj na strawę | — | 2 |
| Jeszcze jęj dał na strawę i na słomę | — | 2 |
| Mistrzowi na świece do męczenia ⁽³⁾ | — | 5 |
| Na świece do męczenia mistrzowi | — | 1 1/2 |
| Na świece kiedy siła męczeń ⁽⁴⁾ | — | 2 |
| <i>Kwartalne.</i> | | |
| <i>Die 14 septembris.</i> Zegarmistrzowi za kwar- tał, od zegara naciągania | 2 | — |

(1) Wyraz panowie, znaczy urzędników w magistracie zasiadających.

(2) Solczanie, mieszkańcy Solca.

(3) Mowa tu jest o torturach, czyli mękach. Na mękach święciami, albo rozpalonemi blachami i szynami żelaznemi palono.

Linde.

(4) Gdyż wiele, znaczna liczba męczeń.

| | Złote | grosze |
|--|-------|--------|
| <i>Item</i> , zegarmistrzowi za kwartał | 2 | — |
| <i>Munera.</i> (Podarunki). | | |
| <i>Die 15 novembris.</i> Na przyjazd króla JMści od Połocka, kupiłem łososia jednego, za co panowie dali | 3 | 15 |
| <i>Item.</i> Ku temuż łososiowi kupiłem 4 szynki za Dałem za 4 łososie po 72 gr. | 4 | — |
| Za 4 szynki co dla króla JMści, dałem | 9 | 18 |
| Za łososia i za dwa karpie | 4 | — |
| Za karpia wielkiego. | 2 | 15 |
| Za łososia | 1 | 10 |
| Posłali panowie p. wojewodzie baryłę wina, w której jest 25 garcy, po 5 gr. kwarta, uczyń | 2 | — |
| Pani starościnie warszawskiej posłali panowie marcepan, czyni | 16 | 20 |
| Za norymberskie pierniczki dałem | 2 | — |
| Odźwiernemu królowej JMci kolędy dałem | 1 | — |
| Jeszcze pani starościnie wzięto u p. Kulińskiego marcepaników z cukrem | 1 | — |
| <i>Studzy i mistrz.</i> | | |
| <i>Die 29 augusti.</i> Dałem 4 sługom miejskim i mistrzowi, po 10 gr. na tydzień ⁽¹⁾ | 1 | 20 |
| <i>D. 22 septembris,</i> Dałem nowotnemu mistrzowi jego obyczaj | — | 7½ |
| <i>D. 1 octobris.</i> Panowie kazali dać mistrzowi na pożywienie | 1 | — |
| <i>Item.</i> Kiedy ten mistrz przywędrował, dałem jego obyczaj. | — | 15 |

(¹) Płaca ta, co tydzień jest powtarzana, gdyż studzy ci sprawiedliwości, stałą mieli posadę; inni zaś mistrzowie byli wędrowni, jak się z tych zapisek okazuje. Miasto *Biecz* nad Ropą, główne swego powiatu w b. twie krak., słynęło nauką i wyzwaniem się katów, oprawców, ceklarzów, którzy rozchodząc się po całej Polsce, usługi swe niesli. Rzemiosło to, wielce było rozgałęzione w epoce, kiedy lada miasteczko rządzące się magdeburyą, używało prawa miecza i hojnie nióm szafowało. A że, jak wyraża odwieczne przystowie: „dwaj kaci w jednym miasteczku się nie pożywią” zmuszało to ich do odbywania ciągłych po kraju wędrowek za szukaniem chleba. Klonowicz (*Worek Judaszów* 1603 r.), mówi: „Kata z starego zwyczaju zową *malodobrym*.”

| | Złote | grósze |
|---|-------|--------|
| Żeby mistrz powędrował, kazali mu dać panowie na drogę | — | 15 |
| D. 16 <i>novembris</i> , przywędrował mistrz, dałem mu jego obyczaj | — | 7 1/2 |
| D. 4 <i>decembris</i> , mistrzowi co ćwiertował chłopca, co krawca zabił | 1 | — |
| D. 12 <i>decembris</i> , od 2 prób złodziejów | — | 12 |
| <i>Item</i> , co je ścinał | — | 15 |
| D. 19 <i>decembris</i> , od 3 prób mistrzowi po 6 gr. <i>Item</i> , przywędrował mistrz, dałem jego obyczaj | — | 18 |
| | — | 7 1/2 |

*Wiadomość bibliograficzna o życiu i pracach naukowych
Ludwika Bojanusa (1).*

Bojanus (Ludwik Henryk) doktor medycyny i chirurgii, professor weterynaryi i anatomii porównawczej w b. uniwersytecie wileńskim, radca stanu, kawaler orderów Ś. Anny II klasy i Ś. Włodzimierza IV klasy, członek wielu akademij i uczonych towarzystw; urodził się dnia 16 lipca 1776 r. w Biszweiler, mieście w Alzacyi. Początkowe nauki pobierał w gimnazyum w mieście rodzinném, a następnie po przeniesieniu się swój familii do Darmsztadu, kosztem W. księcia wejmarskiego udawszy się do uniwersytetu

(1) Lubo żywot Bojanusa ogłoszony osobno przez prof. Eichwalda po łacinie, nadto umieszczony był kilkakrotnie w pismach krajowych i zagranicznych, między którymi szczególnie pięknie wypracowany, jest pióra godnego jego ucznia i następcy na katedrę, zacnego i uczonego prof. Ad. Ferd. Adamowicza (w Wizer. Roztrząs. nauk, 11. Wilno, 1836); na prośbę atoli kilku miłośników nauk i wielbicieli Bojanusa w Warszawie, zrobiłem nowy wyciąg z pomienionych prac i dzieł bibliograficznych, celem ułatwienia w wyszukaniu rozproszonych, a nigdzie razem niespisanych dzieł tego uczonego profesora.

w Jenie, nauce lekarskiej pod sławnymi: Hufelandem i Loderem poświęcał się, i tam w r. 1797, a w 21 roku swego życia, stopień doktora medycyny i chirurgii otrzymał. Wsparty szczodroblivością tegoż księcia, udał się potem do Wiednia, gdzie pod Janem Piotrem Frankiem w swój sztuce doskonalił się, i ze znakomitszemi lekarzami, a mianowicie Gallem zaprzyjaźnił. Powróciwszy w r. 1798 do Darmsztadu, praktyce lekarskiej przez dwa lata poświęcał się, poczem w r. 1801 kosztem rządu, za panowania Ludwika I landgrafa hessen-darmsztadzkiego, wysłany został do obcych krajów, dla wydoskonalenia się w nauce weterynaryi, celem założenia wyłącznej w tym przedmiocie szkoły. Przez trzy lata 1801—1803 podróżując, bawił w Alforcie, Paryżu, Lugdunie; z Paryża udał się do Londynu, potem do Hanoweru, Wiednia, Berlina, Drezna i Kopenhagi, zwiedzając wszędzie zakłady publiczne lub prywatne naukowe, tudzież znaczniejsze stada koni i owczarnie, oraz głównejsze szkoły weterynaryi, dla zgłębienia téj nauki, a w niektórych miejscach, przygotowane prace publicznie wydawał. Za powrotem do Darmsztadu, gdy założenie projektowanej szkoły weterynaryi do skutku nie przyszło, a w końcu 1803 roku ogłoszone zostały programata konkursowe do wakujących katedr w nowo przekształconym i świetnym uniwersytecie wileńskim; Bojanus podał się w dniu 29 kwietnia 1804 r. na kandydata do katedry weterynaryi, przesyłając zarazem rozprawę w języku niemieckim, zawierającą ogólny rozbiór téj nauki. W skutku téj rozprawy, rada uniwersytetu obrała go i potwierdziła w tymże roku na profesora zwyczajnego publicznego z dwoma dodatkowemi kursami, tojest: dozoru kliniki weterynarskiej, i wykładu anatomii porównawczej. W roku 1806 przybył Bojanus do Wilna, i zaczął wykładać dla uczniów medycyny weterynaryę; w kilka zaś lat później i anatomią porównawczą, którychto przedmiotów przed nim nikt w tym kraju nie wykładał nigdzie. W tymże samym czasie dał w ofierze dla uniwersytetu liczną swoją bibliotekę weterynarską, świeżo wtedy z zagranicy sprowadzoną. Po roku 1807 uczestniczył w dozo-

rze lekarskim szpitalów wojskowych, i kilka nader ważnych dzieł i rozpraw w przedmiocie weterynaryi z druku wydał. W późniejszym czasie prawie zupełnie poświęciwszy się anatomii porównawczej, wiele w niej ważnych i pięknych odkryć poczynił, wiele rozpraw napisał i ogłosił, które uwieczniły sławę Bojanusa, i są dotąd jedyne w swym rodzaju. Nadto był on w Wilnie twórcą gabinetów weterynaryjnego i anatomii porównawczej, a wskrzesicielem: zoologicznego.

Zwątłone zdrowie przymusiło go do opuszczenia Wilna w roku 1824, a po pięcioletnich prawie cierpieniach, zmarł w Darmstadtzie dnia 2 kwietnia 1827 r. mając lat 51. Cechą wszystkich prac tego męża, mówi p. Adamowicz, była ścisłość w szczegółowych badaniach, i wewnętrzne przekonanie o stopniu pewności, z jaką wnioskować można o nauce przyrodzenia w ogóle z pojedynczych faktów, służących jój za podstawę. Wszystkie przedmioty nauk przyrodzonych przez Bojanusa wypracowane, równie najzawilsze, jako téż najprostsze, noszą na sobie znamię przyjemnego wykładu, i żywość umysłu zgłębiającego przyrodzenie. Też same zalety, towarzyszyły i ustnemu na lekcyach publicznych nauczaniu; a szczęśliwa łatwość wystowienia i przyjemny organ, czyniły je bardziej jeszcze dzielnemi. Byłato, mówi dalej czcigodny jego uczeń, prawdziwa rozkosz słyszeć i widzieć Bojanusa, kiedy w pięknym amfiteatrze kręślił od ręki trafny dla uczniów rysunek, w téjże chwili objaśniał go wyborną potoczystą łaciną, a w tych objaśnieniach zawsze rzucał śmiałość, dowcipne i płodne myśli.

W sądzeniach o rzeczach naukowych był bardzo przenikliwy i rozważny; postępował z pewną metodą i krytyką; w zdaniach atoli swoich nie był uparty, jeśli go słuszne dowody inaczej przekonały. Szczęśliwe połączenie talentu rysowniczego ze znajomością anatomii, ułatwiało mu badania, i dopomagało do zadziwiającej w opisach ścisłości. Rysunki jego anatomiczne owcy i żółwia, obraz szlachetnego konia w truchcie, portrety jego, własnej żony i przyjaciela swego naturalisty Langsdorfa, pozostaną dowodem

jego pilnie kształconych malarskich zdolności. — Bojanus był tkliwy, silnych uczuć, temperamentu żywego, urazy niełatwo zapominający, ale prawy i otwarty, w przyjaźni stały, dla każdego uprzejmy. Cudzoziemiec, wszystkim uczonym krajowcom oddawał sprawiedliwość. Skromny, w każdej okoliczności życia unikał okazałości światowych; nie zajęty sobą, względny dla drugich i pamiętny na ubogich. Wzrostu był więcj niż miernego, budowy silnej chociaż szczupłej, włosów ciemnych, twarzy pociągłej i rumianej, nosa prostego wydatnego, oczu wielkich ciemnych i pełnych życia, wzroku łagodnego, ujęcia miłego i wesołego; przytém cały przyjemną i niewymuszoną powagą tchnący. Oprócz języków ojczystego i łacińskiego, posiadał grecki, francuzki, angielski, duński, włoski, rossyjski i polski. Poświęcał się niekiedy dość szczęśliwie drobnej poezyi, lubił i znał muzykę, konną jazdę i fechtę. Dzieł i rozpraw jego drukiem ogłoszonych, osobno lub po rozmaitych pismach czasowych mieszczących się, tudzież rozpraw w rękopiśmie pozostałych, liczą do 50; których następnę wyliczenie ze ścisłością bibliograficzną, jakie nam znaleźć udało się, podajemy.

I. Osobno z druku wydane.

1) Eduard Colemann's Grundsätze des Hufbeschlage aus d. Engl. durchaus umgearbeitet von L. Bojanus; mit 6 Kupf. Giessen, 1805, gr. 8vo.

2) Ueber den Zweck und die Organisation der Thierarznei-Schulen. Francfort am M. 1805, 8vo.

3) Anleitung zur Kenntniss und Behandlung der wichtigsten Seuchen unter dem Rindvieh und den Pferden. Riga, Deubner. 1810. 8vo. 128 str. Drugie wydanie wyszło pod tytułem: Anleit. zur Kenntniss und Behandlung d. wichtigsten Seuchen unter d. Hausthieren. Wilna. Moritz, 1820, 8vo. Trzecie wydanie z takimże tytułem in 160 z figur. w Lipsku u Fleischera, 1830. Polskie tłumaczenie przez samego autora wykonane, wyszło pod tyt.: O waz-

niejszych zarazach bydła rogatego i koni. Wilno. 1810. 8ka. str. 131.

4) *Introductio in Anatomen comparatam. Oratio Academica quam ad inaugurandas in Caes. Univ. Vilm. comparatae anatomes scholas die IX ante Calend. Nov. MDCCCXVI habuit. Vilnae. 1815. 8vo. str. 51.*

5) *Des principales causes de la dégénération des races des chevaux et des règles à suivre pour les relever etc. Discours. Vilna. 1815. 8vo, str. 33.*

6) *Wykład sztuki litograficznój; rzecz czytana na sessyi uniwersytetu (przekład z francuz). 1817. 8vo, str. 13.*

7) *Anatomia testudinis Europaeae. II Fasc. cum XLIX tab. aen. fol. maj. Vilnae. 1819—1821.*

8) *Parergon ad L. H. Bojani anatomen testudinis, cranii vertebratorum animalium, scilicet piscium, reptilium, avium, mammalium, comparisonem faciens. icon. illustr. Vilnae. Moritz. 1821. 4to maj.*

9) *Découvertes relatives à l'allantois et la vesicule ombilicale du poulain et observations sur l'apercule branchiale des poissons. 1815.*

10) *De Merycotherii Sybirici dentibus commentatio. Vilnae. 1823. 4to.*

11) *Sendschreiben an G. de Cuvier, über die Athem- und Kreislaufswerkzeuge der zweischaligen Muscheln, insbesondere des Anodon cygneum. Mit Abbild. (Aus der Isis. abgedruckt). Jena. Schmid. 1820. gr. 4to.*

II. W pismach czasowych umieszczane były następane rozprawy, jakoto:

W Millin's. Magasin Encyclop. 8me année. T. 1, p. 445 avec 2 tables; i w Journal de Physique par Lamétherie. 1802. T. XII, p. 198—215.

12) *Encéphalo-cranioscopie. Aperçu du système craniognomique du Dr. Gall, Médecin à Vienne.*

W *Literaturzeitung f. d. Medicin und Chirurgie im ganzen Umfange*, herausg. von J. H. Sternberg. 1er und 2er Ibrg. zu 12 Heften. gr. 8. Helmst. Marburg, 1804—1805.

13) *Kritische Uebersicht der Fortschritte der Thierarzneykunde in der letzt verflossenen drey Jahrhunderten, mit besonderer Beziehung auf die in diesem Zeitraume erschienene Schriften* (1805 V. Hft. p. 381—465).

W *Horn Ernst. Archiv. f. Medicin. Erfahrung. Neue Folge. Jahrg. 1811—1814. 1er—4er B. gr. 8. Berlin.*

14) *Einige Bemerkungen über eine Kritik meiner Abhandlung: Ueber die wichtigsten Seuchen. etc.* (1812 pag. 186—7).

W *Mémoires de l'Academ. de scienc. de St. Petersbourg. 1815. T. V.*

15) *De foetus canini velamentis imprimis, de ipsa membrana allantoide.* (W *tém samém przedmiocie p. t.: Ueber d. Hundsfoetus*, w *Isis. B. III, p. 1616*, i *Observatio anat. de foetu canino* w *Nov. Acta. Acad. Caes. Leopold. Car. Natr. cur. T. X Pars I*).

W *Mémoires de Societ. Imp. des Natur. de Moscou. 1818, T. V.*

16) *De amphistomate subtri gueto.*

W *Russische Sammlung für Naturwissenschaft und Heilkunst. herausg. v. Crichton Rehmann und Burdach. I. 3r. 4r. II. 1—4 stück. M. K. gr. 8. Riga. 1815—16.*

17) *Bemerkungen aus dem Gebiete der vergleichenden Anatomie* (Heft IV. II. B).

W *Oekonom. Repertor. f. Liefland. Riga, 1811, 6 B. 8vo.*

18) *Ueber die Ausrottung der Rindviehpest.*

W *Isis, Encyclopäd. Zeitschr. vorzügl. f. Naturgeschichte vergleich. Anatomie u Physiologie v. (Lorenz) Oken. Jahrg. 1817—1828, à 12 Hefte. Mit Kupf. gr. 4to. Zurich.*

19) *Ueber die rima Glaseri und chorda tympani heym Kalbe* (1818 p. 1423).

20) *Ueber die Harnblase des Pferdes und Schafes* (1818 p. 1623. 1822 p. 1228).

21) *Die Anatomie d. Blutigels* (1817 p. 2089).

- 22) Versuch einer Deutung der Knochen im Kopfe der Fische (1818 p. 498—510).
- 23) Kurze Nachricht über Zercarien (1818 Hft. IV. p. 729).
- 24) Sur l'opercule branchiale des poissons (1818).
- 25) Ueber d. Blutig. d. Dottergang bey *Coluber berus* (1818).
- 26) Weiterer Beitrag zur Deutung der Schädelknochen (1819 p. 1360).
- 27) Authelminica (1818).
- 28) Ueber *Distoma hepaticum* (1821 p. 306).
- 29) Abermals ein Wort zur Deutung der Kopfknochen (1821 p. 1145).
- 30) Ueber d. Mass des Pferdekörpers (1818).
- 31) Sendschreiben an den H. Chevalier G. de Cuvier über die Athem und Kreislaufswerkzeuge d. zweischalig. Muscheln, insbesondere des *Anodom cygneum* (1819 p. 80—99).
- 32) Antwort auf H. Blainvilles gemachte Einwendungen in Betreff des Athem werkz. d. zweisch. Musch. (1820 p. 404 428).
- 33) Ein Wort über die Verhältniss d. *membrana decidua* (1821 B. VIII, p. 268—71).
- 34) Vorschlag zur gleichförmigen Benennung der Knochentheile des Unterkiefers (1822, p. 1228).
- 35) Über die Fersenbänder am Hufe (1825 B. XVI, p. 755).
- 36) Über das Schultergerüst der Schildkröte (1826, p. 428—456).
- 37) Ueber Treviranus Meinung in Betreff d. Teichmuschel (1826, p. 751).
- W Acta nova physico-medica Academiae Caesar. Leopoldino-Carolinae naturae curiosorum, Bonn. T. XII—XIII, in 4to.
- 38) De Merycotherii Sybirici dentibus commentatio (T. XII, p. 1, pag. 265—75, cum tab. aere incis. 1823).

39) *Craniorum Argalidis Ovis et Caprae comparatio* (T. XII, p. 1, pag. 293—300 additae sunt duae tabulae chalcographicae).

40) *Adversaria ad dentitionem equini generis et Ovis domesticae spectantia* (T. XII, p. II, pag. 697—708).

41) *De Uro nostrate ejusque sceleto* (T. XIII, p. II, pag. 413—478 Acced. tab. lith. V).

III. *W rękopismach pozostały.*

42) *Annonce d'un système de physionomie basé sur l'anatomie comparée du cerveau* (1801).

43) *Über die Thierarzneeykunst* (1804).

44) *De veterinaria medicina excolenda ejusque disciplina rite ordinanda* (1806).

45) *Über eine Vaterländische Kleidung der Deutschen* (1814).

46) *Monografia zootomiczna owcy, z 600 najpiękniejszymi własnoręcznymi rysunkami i stosownym tekstem.*

Ostatni ten rękopism ma się znajdować w ręku lekarza Eigenbrodt, młodszego siostrzeńca Bojanusa; ogłoszenie zaś jego, podług zdania p. Adamowicza, postawiłoby anatomią owcy, obok anatomii ludzkiej, doprowadzoną w naszych czasach do takiego stopnia doskonałości.

F. M. Sobieszczański.

Wiadomość bibliograficzna.

Przypadkowo dostała się w moje ręce książeczka polska, której żadne dzieło o bibliografii naszej nie wymieniło. Jestto „*Charakterystyka Generała Buonaparty*” z godłem na środku tej tytułowej stronnicy: „*Prawda ku przyjacielom y nieprzyjaciolom*”, a u dołu téjże stronnicy: „*w Królewcu, w drukarni G. L. Heeringa y G. C. Haberlanda. 1799*”.

Otóż cały tytuł téj książeczki, której format jest *in-8vo min.* i którą 96 stronnic, dopiero od 8ej liczbowanych, składają. Na karcie która po tytułowej następuje, są wyrazy: „*Do Wielmożnego Jmę Pana Rydzewskiego, Stolnika Ziemi Wizkiej, Starosty Raygrodzkiego (sic) Oycza Dobrodzieia*”; poczem znowu osobna karta, cała zajęta dedykacją, z której się okazuje, że to dziełko z niemieckiego na polski język przetłumaczone zostało, i że tłumaczem jest (podpisany pod dedykacją) *Józef Rydzewski*.

Jeszcze więc do przeszłego należące wieku dziełko, skreślające wierny rys charakteru człowieka, który w następnym najwyższą chwałą ziemską zajaśniał, czyta się z nie-malém zajęciem, mimo niepoprawność stylu i w wielu miejscach złą polszczyznę. Oto początek jego od str. 7 (nienaliczbowanój): „*Neoptolem (sic) Buonaparte* narodził się w roku 1763 na wyspie Korsyce. *Markis de Marboeuf*, który jako generał francuzki kommanderował na tej wyspie, zabrał przyjaźń z matką Buonaparty, a owoc ich wzajemney miłości był nasz bohater”. Oprócz téj na samym początku uderzającej niezgodności historycznej, wszystkie dalsze podania o wychowaniu, czynach i charakterze bohatera, są prawdziwe i wierne; nadewszystko zaś jego kampanie we Włoszech dokładnie i z ciekawemi, lubo dziś powszechnie wiadomemi szczegółami opisane. Od str. 67 zaczyna się charakterystyka osoby Buonapartego i różne anegdoty o nim. Dla próby stylu kładziemy następujący wyjątek: „*Co się tycze powierzchowności, tedy pokazuje iego prosty ubiór, nietapierowane brunatne włosy, które po prostu na twarz spadaią, że on mało się niemi zatrudnia. Mały jest postawy, chudy, iego rumieniec w brunatność wpada, ma blade y nieco zapadłe policzki; nieco wielki nos, czarne oczy, spoyrzanie iego jest przenikające y śniate, mina woenna, a cała postać okazuje człowieka myślącego. Poważne y ciche jest iego obchodzenie się w wielkich kompaniach. Mówi tam mało, po części w zawieszeniu ale z dobrym sążeniem y wyrozumiałe. Żywe y przyiemne*

są jego rozmowy w poufałym gronie przyjaciół. Uzione filozoficzne albo polityczne materje dają mu w ten czas najczęściej przedmiot do jego rozmow. Nim on iako najwyższy generał i kommandant do armii Włoskiej odiechał, w roku 1796 ożenił się z piękną y bogatą wdową gilotynowanego generała Beauharnois”.

Pół wieku upływa od wydania w przekładzie polskim téj książki, której niemiecki oryginał mógł ją o rok przynajmniej poprzedzić. Było wtedy zwyczajem u naszych obywateli w okolicy Rajgroda, posyłać do Królewca synów na dokończenie nauk szkolnych. Jedento z takich, dla zapewnienia ojca, że i własnego nie zapomina języka, dedykuje mu tę charakterystykę człowieka, o którym już wtedy powszechnie mówiono. Że książka drukowaną była, a może i tłumaczenie uskutecznione, pod kierunkiem Niemca, dowodzi tego ciągle używanie wielkich liter przed rzeczownikami polskimi, czegośmy nie zachowywali w przytoczonych tu wyjątkach.

A. W.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

DO CZYTAJĄCYCH TE WIADOMOŚCI.

O korzyściach nauk przyrodzonych. — O stanie ich u nas.

Człowiek wtedy jest zupełnie oświecony, gdy z prawd których podochodzono przed nim, może wyprowadzać inne i tym sposobem rozszerzać granice zakresłone rozumowi swojemu. Żadna droga nie zawiedzie mądrości jego dalej nad tę, którą docieka tajemnic natury; ona go bowiem prowadzi do użycia w praktyce wszystkich metod umysłowego działania, które rozpostrzeć może na cały świat rzeczy istniejących, i to gruntownie poznać, co mu pierwój zdawało się być niepojętém i niepoliczoném.

Ztąd w wieku naszym szybki tych umiejętności postęp, coraz czyściój ukazuje nam prawdę, nietylko w zakresie świata zmysłowego, ale nawet w sferze wszelkiego rozumowania, wszelkich idei powoływanych do stanowienia jakiegokolwiek teorii. Rachuba (mechanika, astronomia), subtelność dociekań (fizyka), wnioskowanie i kombinowanie (chemia), metodyczne porządkowanie (historia naturalna) i tym podobne szacowne sposoby rozumu naszego, które są tylko wyrazami w dyalektyce, tu zamieniają się niejako w materję tak bierną, że użytki jej stają się prawie dotykalnemi. Dlatego nauki przyrodzone, niegdys tylko dodawane w kształ-

cie wydziałów do akademij, dziś stały się główném ciałem najznakomitszych tego rodzaju stowarzyszeń uczonych. Na ich postęp zwraca dziś uwagę coraz więcej umysłów tak, iż nie ma najmniejszej obawy, ażeby kiedykolwiek powszechnemu uległo zaniedbaniu to, do czego nieoświecone narody zawsze miały ciekawość, a w czém najoświecześnie uczuły nieocenione korzyści.

Jeżeli te umiejętności stosunkowo mały czynią postęp w kraju naszym, to widzimy w nim przynajmniej powszechny szacunek dla nich, a tém samym ogólne dążenie do gruntownego ich poznania. Za dowód tego może między innymi posłużyć miłe od czytelników Biblioteki Warszawskiej przyjmowanie donoszonych przez nią, już od lat kilku, wiadomości o postępie astronomii, fizyki, chemii i w części historii naturalnej. Niejeden skwapliwie przegląda te końcowe każdego zeszytu karty, chciwy dowiedzieć się co z upływem miesiąca wystąpiło nowego na tę rozległą widownię najczynniejszych natury dostrzegaczów. Taki jest prawdziwym przyjacielem umiejętności, i do takiego miło nam przemawiać. Ale niejeden znowu woła: „dlaczegoż ten niezrozumiały język, jakby miał pewnym tylko, wybranym osobom, a nie całemu ogółowi dozwalać przystępu do ołtarza mądrości? Czemuż te wiadomości z obcych jedynie gromadzą się krajów, a prawie nigdy nie przybędą z rodzinnego?” Zaiste, dwa te ostatnie zarzuty są tak ważne, iż z obudwu wytłumaczyć się musimy.

Nauki przyrodzone rozszerzając nasz rozum daleko za granice jego zwyczajnego działania, stwarzają nowe pojęcia, a ztąd i nowych wyrazów w mowie wymagają. Najniewątpliwszą jest rzeczą, że te naukowego języka wyrazy, *termini artis*, lepsze są nad wszelkie inne, bo one zawsze jeden tylko przedmiot lub jedną czynność oznaczają, i nie mogą być brane dwuznacznie. Nieodmienném godłem nauk przyrodzonych jest, że co ma być prawdą, nie może być wątpliwością. Ta zasada rozciągać się musi i do ich języka. Kto więc nie rozumie wyrażeń naukowego języka, jasną jest rzeczą, że nie zna nauki. [Zaiste, chciéć ażeby fizyka, chemia, fizjologia i t. p. wykładane były popularnie, jestto żądanie tego co być

nie może: jestto to samo co chcieć ażebyśmy to wiedzieli lub znali, czegośmy się nie uczyli; zresztą wiedzieć tyle tylko z tych nauk ile się da z nich wyłożyć mową popularną, gorszém byłoby podobno, niżeli wcale ich nie znać.

Lecz inną jest rzeczą nieustalenie nomenklatury. W języku polskim jest ona jeszcze daleką od tego ustalenia. Biblioteka Warszawska tę wybiera, która jój zdaje się być albo najtrafniejsza, albo najpowszechniej używana. Ale pocóż nam, Polakom, narzekać na to, kiedy ona i we wszystkich innych językach nie jest stałą; co większa, zawsze będzie musiała ulegać zmianom, w miarę rozrastania się każdej gałęzi tych nauk. Wyrazy i wyrażenia w naukach przyrodzonych używane, wtedy dopiero przestają razić, kiedy uczujemy ich potrzebę w języku, czyli co na jedno wychodzi, kiedy poznamy naukę, a w czém tylko dzieła systematyczne dopomódz mogą, bo nasze doniesienia, sąto jedynie najostateczniejsze i świeżo puszczające latorośle każdej z głównych gałęzi tego wielkiego drzewa.

Ażeby zasadniczo odpowiedzieć na drugi z wyżej wymienionych zarzutów, wyznajemy wprawdzie że nasz kraj nie mniej od innych przedstawia zjawisk albo płodów godnych uwagi badacza, lecz w obliczu nauki wszystko to pozostać musi bezowocném, skoro nie wpadnie w oko badaczy naukowych, a jakich bądź wcale nie mamy, bądź tylko niewielu się szczycimy. Nie dziw tedy, że wiadomości które umieszczamy w dzienniku polskim, przybywają do nas z Francyi, Włoch, Niemiec, Anglii, nawet Ameryki i t. d. to jest z krajów rozdzielonych, że tak rzekę, pod nadzor najbieglejszych i najczynniejszych umysłów badawczych, które i to co przed niemi dostrzeżoném było w zupełności ogarnęły, i na uważanie tego co się dziś staje, wzrok zaprawiły. Bardzo mało dotrzymujących im kroku jest u nas; ilekroć téż wydarzyło się, że który z takich postrzeżenia własne ogłosił, Bibhoteka najskwapliwszą była z przyjęciem ich w swoje doniesienia, Nie wypada na dzisiejszy stan przyrodzonych nauk, ufać z łatwowiernością wieków dawnych wszystkiemu co kto powie. Na wydzieranie tajemnic naturze zpod najściślejszych

jéj zamknięć, uorganizowała się dziś w światłéj części Euro-py i Ameryki, potężna armia badaczów. Jéjto nadewszystko i znoszących się z nią jéj korpusów, wyrachowanie i systematycznie oraz jakby pod jednym wodzem wojujących, buletyny w naszych doniesieniach zamieszczamy, rzadko ufając tym partyzanckim działaniom maroderów, którzy się z głównym sztabem armii nie wiedzą lub porozumieć nie mogą. Sztuka badania natury uległa dziś prawidłom, które znać potrzeba ażeby z niezachwianą pewnością powiedzieć co dla nauki jest nowém, co i gdzie się do niéj odnosi, co jest użyteczném, co zasługującém na wiarę. Piérwszym obowiązkiem dzisiejszego badacza natury jest sumiennosc względem tego co podaje, a ostrożność aż do niedowierzania posunięta, względem tego co odbiera (1). Jeśli świadkiem faktu nie

(1) Niejaki p. Lamarepicquot, Francuz, powróciwszy z Indyj Wschodnich do Paryża, przywiózł z sobą znaczny zbiór wschodnio-indyjskich gadów wzorowo zachowanych, który okazując Instytutowi paryżkiemu, dołączył oraz małe przez siebie napisane dziełko (*Mémoire*), obejmujące nowe postrzeżenia nad historją naturalną gadów, a mianowicie węzów, które w stanie życia w Indjach miał sposobność uważać. Wyznaczony od Instytutu sławny zoolog Duméril do ocnienia naukowej pracy p. Lamarepicquot, znalazłszy w niéj utrzymywania błędne, tak swój raport Instytutowi podany zaczyna: „Postrzeżenia czynione nad obyczajami i zwyczajami zwierząt, nie przestaną nigdy ważnemi być dla naturalistów, lecz konieczną jest rzeczą ażeby fakta przytaczane przez wędrowników, rozbierane były z największą uwagą, bo jeżeli wprowadzeni zostali w błąd, rozszerzają i akkredytują przesady, które potem bardzo trudno zniszczyć. Zaufanie niektórym opowiadaniom, wystawionym jako fakta rzeczywiste i pewne, stało się nieraz powodem do wiadomości fałszywych, które się odwiecznie powtarzają, a nawet znajdują się zapisane w dobrych autorach, chociaż dzisiejsza znajomość organizacji okazuje iż niepodobna uznać ich za prawdziwe.” P. Duméril mówi dalej, że do tych uwag dało mu powód dostrzeżenie w dziełku p. Lamarepicquot kilku utrzymowań błędnych, jakoto, że węże mają własność ssania krów, że mogą pić i połykać wiele cieczy i t. d. Mówiąc np. o żmii *demuha*, p. Lamarepicquot powiada czy téż powtarza, „że ten wąż dostawszy się do chlowa gdzie są krowy, mléko im z wymion wysysa, że wymiona krów

był umięjący go naukowo ocenić, nie nadadzą mu powagi nawet owe, dla uwiarogodnienia cudownych zdarzeń, nie-

które wysłał, schną jużto w skutek ran zadanych zębami węża, już też w skutek wrazenia którego doznaje krowa, gdy gad usiłuje dostać się do jęj wymion, nadzwyczajnie pragnący ssania". Ale dosyć dla naturalisty (odpowiada na to p. Duméril) znać ogólną budowę części składających paszczę węża, sposób i drogi jego oddychania, ażeby się przekonać że to zwierzę nie jest w stanie uskutecznić ssania żadnej cieczy. W rzeczy samėj w jego jamie gębowej nie może się utworzyć próżnia, z przyczyny braku warg mięsistych, z przyczyny że kanał nozdrzowy jest zbyt krótki, że nie ma zastony podniebienia, ani języczka przy ujściu tchawicy i t. d. Nadewszystko zaś zęby węża, bardzo kończate i w tył zakrzywione, są nader sposobne do zatrzymania zdobyczy żywój, ale w przypadku objęcia paszczą krowich brodawek, przyczepiłyby się do nich w ten sposób, że sam wąż nie zdołałby się oderwać od miejsca. Na téjże zasadzie odrzuca p. Duméril inne błędne podanie pana Lamarepicquot, o węzu Pitonie z gór Bengalskich, który, jak ten wędrownik zapewnia, wypił raz całą butelkę wody.

Wypisaliśmy to prawie dosłownie ze znanego dziennika naukowego: *Annales des Sciences naturelles*, str. 35 tomu III drugiego ciągu, poszyt ze stycznia, 1835 roku. Zobaczmy teraz jak tę okoliczność, prawie spótcześnie uważałby jeden z naszych zoologów, który w Kalendarzu powszechnym na rok 1836 mówiąc o *szkodliwych i nieszkodliwych gadach krajowych*, na str. 41 to opowiada: „W czasie pieszych pielgrzymek moich po Galicyi, pewnego dnia chcąc się schronić przed upałem zbliżającego się południa i dostać jakiego posiłku, wstąpiłem do chaty gajowego niedaleko wsi zwanėj Bucze, i zastałem na środku izby dwoje dzieci, które siedząc na ziemi, jadły z miski mléko, a między niemi chleptały (?) z téjże miski trzy potężne (?) węże. Matka tych dzieci widząc moje zadziwienie, uśmiechnęła się i rzekła „Te węże tak się już oswoiły, że nawet sypiają z nami. Patrz pan! oto jest dowód tego co powiadam: „Wtém przystąpiła do kołyski, a podniosłszy pierzynkę którą najmłodsze jęj dziecko było przykryte, pokazała mi dwa węże, które jak bicze obok śpiącego niemowlęcia leżały wyciągnięte (??) Wzięła je potem w rękę i położyła między dziećmi przy misce, a te zaraz zaczęły pić mléko z piérwszemi (?)” Niech nas ustrzegą losy od podobnej sumiennosci opowiadania faktów w dziełach umiejętnościowych!

gdys używane, protokularne formy zeznań słownych, choćby największej liczby widzów i zaprzysięgane przez nich (1).

Nie łudźmy się przeto mniemaniem, że w naszym kraju znajdziemy innym odpowiednią liczbę prawdziwych natury badaczy, prawdziwych znawców rzeczy; a jeżeli dosyć często wprowadzamy do rozmów naszych przedmioty z dziedziny nauk przyrodzonych, pochodzi to ztąd, że nam nie zływa na miłośników tych nauk. Tam gdzie nieuchronność pracowitości zniechęca ku wszystkiemu co jest użyteczne a razem do nabycia niełatwe, w miejsce uczonych koniecznie tworzyć się muszą miłośnicy nauk. Onito w mowie słów pełnej, tak wiele przytaczają nam trudnych do wytłumaczenia faktów, których sami byli naoczniemi świadkami; nietylę czyniąc to przez życzliwość ku naukom przyrodzonym, ile raczej ażeby dogodzić skłonności przechwalania się, tak znaniej z myśliwych, którzy nie czém innym są, tylko złemi naturalistami. Duchowni wywyższają astronomią i historią naturalną, jako podnoszące myśl człowieka ku stwórcy tylu cudów przyrodzenia. Bogacze oddają pochwały chemii, dlatego, że ta dogadza ich żądzy zbytkowania; sławią ją i rolnicy, gardzący zwykle innymi oddziałami nauk przyrodzonych dlatego, że te nie mają wprost na względzie źródła ich dostatków. Panie pochwalą fizykę, bo jej doświadczenia podobają się ich oczom. Owoż zkad rozpoczyna się zwykle apologia nauk przyrodzonych wśród naszych posiedzeń, gdzie każdy okaże, iż widział ten gmach wspaniały ze swojej, ale tylko z jednej strony. W obronie tych zelantów, nauki przyrodzone zdają się

(1) Jeszcze i teraz niektórzy się tém łudzą. Niedawno Schleiden, terażniejszy wydawca dziennika niemieckiego: *Neue Notizen*, umieścił w 54 numerze jego na rok 1847, dwa z dzienników angielskich wyjęte, protokularne zeznania, stwierdzone podpisami kapitana okrętu i czterech świadków z jego osady, jako wszyscy widzieli olbrzymiego węża morskiego; z czego potem gazety niemieckie żartowały, jak wyjawia sam Schleiden na str. 328 nr. 131 z r. 1848 swojego dziennika *Neue Notizen*, przytaczając tam, pewnie na swoją obronę, i trzecie podobne zeznanie, nietylko stwierdzone podpisami, ale nawet przysięgą.

być podobne do publicznego ogrodu; jeden uwielbia w nim przechadzkę, drugi ma z niego piękny widok, inny jabłko i t. p., ale niktby nie śmiał z tą samą przyjemnością podzielić kosztów jego utrzymania. Mało komu na myśl przychodzi potrzeba walk z trudem, bez którego zwalczenia te piękne i pożyteczne umiejętności, nie dadzą się ani nabyć, ani rozpostrzeć. Zobaczmy tedy na jaki w tój mierze sposób biorą się pisarze nasi, którzy obok wprawy pisarskiej, ledwie tyle co gmin wyobrażenia o tych umiejętnościach mając, raczą jednak uznać je godnemi swojego pióra, i piszą w przedmocie nauk przyrodzonych albo przez litość że mało kto o nich u nas pisze, albo przez grzeczność, że i o takich naukach w dzisiejszym wieku warto nie zapominać. W pierwszym razie sądzą oni, że dla nadania w kraju naszym popędu postępowi tych umiejętności, należy cokolwiek i jakkolwiek o nich pisać, byleby pisać (1); w drugim biorąc do ręki pióro, zaprzeczają wiary ludziom uczonym, których zowią pedantami, przywiązanemi zawsze do jednej, stariej zasady, i sądzą, że swojem prostem widzimi się, zdolni są od razu podeptać i przekroczyć obserwacyą ciągnioną przez mnogie wieki i przez najściślejszych dostrzegaczy uczonych (2). Zbyt

(1) Tak pisane są rozbiory dzieł o naukach przyrodzonych w Tygodniku Petersburskim; np. recenzya dzieła Belkego pod tyt. *Mastologia* (w nrch 97—101 z r. 1847), którejto recenzji autor, zapewne od szkół jeszcze nie zaglądając do żadnej książki o historyi naturalnej, z najciemniejszym o tój nauce wyobrażeniem, osobliwszą sztuką pisarza, wiele napisał, lubo rzeczywiście nic nie powiedział.

(2) Tu należy np. artykuł z podpisem *T. P.* umieszczony w Rocznicach gospodarstwa krajowego (w nrze I tomu XIII, od str. 44) pod tyt. *O wyradzaniu się ziarna*, którego autor okazując nieznamość fizyologii roślinnej, rozpościęra śmiało utrzymywania i zdaje się mówić najlogiczniej, jeśli nie zwrócimy uwagi na to, że wiadome sobie fakta pod niewłaściwe najczęściej kategorye podciąga. Pięknie on rozumuje, ale źle obserwuje; chwytając się nawet wygodnej metody jednego z naszych fizyków, która pozwala nic nie czytać, a o wszystkiem wiedzieć tyle żeby wyrozumować. Obserwacya nie czyni się przez natchnienie, tylko przez śledzenie.

jednostronne zamilowanie tak nazwanych nauk pięknych, które chociaż uczą, to tylko rzeczy powszechnie wiadomych, (zatem nie dziw, że w każdym dowcipku znajdują koryfeusza), czyni umysł niezdolnym do należytego sądzenia o umiejętnościach ścisłych, i uczucia w téj ich ścisłości powabu prawdy. Dla tych np. którzy całe staranie o wykształcenie umysłu poruczyli literaturze powieściowej, którzy nawykli czytać a nawet i pisać bez myślenia, zaiste i Kosmos Humboldta nie będzie jeszcze dziełem popularném.

Niektórzy znowu kompilacyami wiele spodziewają się dokazać. Prawda że winnych krajach, a osobliwie w Niemczech, kompilacye stają się nader wielką pomocą w powszechném nauczaniu umiejętności przyrodzonych: ale tam kompilacye są kursami professorów, są dziełami znawców przedmiotu, wyłącznie mu oddanych. Kompilator dzieła w przedmiocie obcym sobie, choćby postanowił co do liter nawet niezmiennie powtarzać autorów, z których czerpa, zawsze się wyda ze swoim nieznawstwem, śmiech niekiedy obudzającym (1). Jeśli kompilacya ma być bez należytego powiązania faktów, bez jedności planu, bez sądu, stokroć użyteczniejszym jest od niej przekład dobrego dzieła obcego.

Ale wszystko o czém wspomnieliśmy dotąd, ledwie zasługiwało na wzmiankę: bo jeśli w niczém nie przykłada się do postępu umiejętności przyrodzonych, w niczém go téż i nie wstrzymuje. Dziecinne zdania o tak poważnej materji jak umiejętności, uderzą niekiedy, niekiedy rozśmieszają, a w końcu

(1) To spotyka autora książki wydanej we Lwowie r. 1845, pod tyt. *Badania w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicyi, w królestwie Polskiem* i t. d. prostej kompilacyi bez sądu, zebranej z różnych rozrzuconych świadectw pismiennych, często zastaniającej się nazwiskami autorów, którzy żadnej nie dali rękojmi, że zdolni byli rzecz rozpoznać i zgłębić. Ażeby dać wyobrażenie jakim jest znawcą nauk przyrodzonych sam autor téj kompilacyi. dosyć przytoczyć z niego dwa miejsca: Na str. 224 mówi: „W Warszawie wieje zwykle wiatr zachodni, a ten najmniej przynosi wilgoci”. W rozdziale o roślinności, robi dwa paragrafy: jeden pod napisem *Fauna* (str. 207), drugi pod *Flora* (str. 216), ale i w jednym i w drugim o roślinach mówi.

zawsze zapomniane zostaną. Straszliwsza nierównie owa przewrotna taktyka tych, którzyto nauczywszy się obrotów mowy naukowych, uzbrojeni w zapas wyrazów technicznych, dałecy jednak od rozumienia nawet abecadła nauki, robią się jej reformatorami; nadną się zatém, jak każdy doktor Sorbony, a jak ów *Bombastus Teofrastus* odpowiednim postaci swojej językiem, połowę świata zdziwią. Podług nich wszyscy, i ci którzy dawniej żyli, i ci którzy teraz żyją, są w błędzie; należy porzucić szkołę zawsze jedną, a puścić gieniusz. jak w poezyi, kierunkiem własnym i wolnemu go polotowi zostawić, ażeby dalej postąpić, ażeby coś nowego stworzyć. O zwolenników swojej nowej teoryi nie troszczą się oni; znajdą ich zawsze, skoro parodując poważne naukowe frazesy, będą niemi obiecywali objawienie tego, co jest za granicami rozumu człowieka. Że ta polityka niejednego przyłodzi, rzecz nie jest bynajmniej dziwna. Każdy powie, jak wielu chorych o doktorze: „niech sobie jak chce kończy na *as, es, us* i podobnie, kiedy ma jednak dać zdrowie, trzeba w jego sztukę uwierzyć.” Słyszeliśmy jak niejeden z tych którzy dopiero na starość wzięli się do miłowania nauk przyrodzonych, z uniesieniem rzekł o jednej fizyce polskiej tu należącej; to mi to fizyka, kiedy ją rozumiem!” Nie można się dziwić że tacy sędziowie z zupełnem przekonaniem przysądzają autorowi całkowitą naukę; bo czy on powiedział *kwesoród z wodorodu*, czy *wodoród z kwasorodu*, ich umysł w obudwu tych wyrażeniach uzna prawdę, ich ucho w obudwu brzmieniach znajdzie tę samą uczoność. Według powszechnego prawa, człowiek rozumny nie wda się w rozprawę z tym, który mija się z rozumem, dlatego podobne dzieła zostają zwykle bez rozbioru, bez uczonego zdania o nich (1).

(1) Oprócz znanój Fizyki Żochowskiego, o której wolelibyśmy zamilczyć, należą jeszcze pod tę samą rubrykę, wyborne i sławne *Pomysły do nowój teoryi fizyki i nauk przyrodzonych*, przez Ludfima Wotyńskiego, umieszczone z wielką czcią w Ateneum, wydawanem w Wilnie (Oddział piąty, tom III, zeszyt III i IV, 1845), a którego wydawca, znajomy belletrysta, żartując sobie z umiejętności, nietylko że wystawił na widok w swoim zbiorze ten plód chorobliwy, ale go nawet wspaniałą etykietą opatrzył. Nie

Nie na tém jedném wszakże kończy się ich zawód: tworzą one sobie różne sekty z pogan, to jest profanów; bo nie da się im uwieść żaden wyznawca prawej wiary, to jest żaden głę-

styszeliśmy jeszcze, ażeby kto na swoim piśmie tak poważnej jak nauki przyrodzone treści, kładł pseudonim; zaręczamy jednak, że ze wszystkich nowych pomysłów, na jakie p. Ludśim Wołyński w swojej rozprawie natrafia, ten jest najrozumniejszy. Mimo to nie chcemy ażeby p. Wołyński miał prawo powiedzieć, żeśmy ocenili jego usiłowania, bez ścisłego ich rozważenia. Jakkolwiek w tytule jego rozprawy, znajduje się nazwisko nauk przyrodzonych, nie jestto wszakże utwór z dziedziny tych nauk, ale bardziej rapsoda filozoficzna, której autor nie fizykiem jest, tylko metafizykiem; nie doświadcza, tylko rozumuje. Pojmujemy więc, dlaczego ciągle pragnie podpiierać swoje rozumowania matematyką; ale nie możemy pojąć dlaczego np. wmieszać chce Miliona między świadków sprawy zupełnie mu obcej? Przypuszczając, że jest lepszym od nas znawcą poetów (*), zobaczymy jak głęboko zna matematykę. Zaraz w 1 rozdziale wstępnym, p. Wołyński (str. 149) powiada, że $-a$ jestto granica, za którą przechodzi ilość, kiedy się powiększa za $+\infty$. Nie jestto taka definicya ilości odjemnych, jaką matematyka przyjmuje. Bo gdy ilość ($+a$) będąca nieskończenie wielką ($+\infty$) dodatnią, przechodzi malejąc aż do zera (0): malejąc ciągle, zamienia się na ilość odjemną ($-a$); dalej malejąc, przechodzi aż do $-\infty$. Ten przeto stan jest tylko rośnieniem w stronę przeciwną, czyli zmysłowo, ilości $+a$ i $-a$ uważać można za równe, ale na przeciwnych stronach drogi leżące. Zresztą te definicye są nader względne; sąto założenia nie zaś dowody, na którychby godziło się jakieś prawa opierać. P. Woł. mówiąc na str. 161 w § 8: „zero nasze znaczy często wielkość jeszcze znaczną” i dalej: „Pylinka pod zmysły podpadająca względem kamienia funtowego jest zerem”, nie zna zupełnie definicyi zera w matematyce. W rozdziale pod tyt. *Byt i nicość* (str. 156), uczy: „że byt od nicości tém się różni co plus (+) od minus (—)”. I to nieprawda, bo w matematyce minus jest zawsze bytem, zatem nie może być symbolem nicości. Podobnie i w następnym tego rozdziału paragrafie, autor uważa za nicość brak, np. w przestrzeni ciał niebieskich, za granicami światów fizycznych. Choćby były przestrzenie niczem niezapełnione, to nie jest jeszcze absolutną nicością. W roz-

(*) Mamy jednak powód do wątpienia i o tém, bo poeta czuć powinien złą harmonią *fortasse meminisse*, a jaką p. Wołyński przyznał Wirgiliuszowi używając jego wiérśza za godło na swojej rozprawie.

boko przejęty umiejętnością, który będzie tylko ubolewał nad zniewagą swojej nauki, ilekroć czytając ten koran, wpadnie na jakąś analogią myśli lub wysłowienia, przybliżającą pozornie fałszywą księgę do świętych kart prawa Bożego.

Oczywistą jest rzeczą, że Biblioteka Warszawska nie mogła nigdy do swoich doniesień odważyć się czerpać z tych mętnych albo i wcale zapługawionych źródeł, choć nade-

dziale *Miejsce i czas*, mówi autor: „Póki nie było, póty też nie było ani miejsca, ani czasu”. Wyobrażenie czasu i miejsca bez wyobrażenia bytu istnieć może; bez bytu mierzyćby ich tylko nie można. Wszędzie autor biorąc nibyto matematykę w pomoc, w osobliwsze granice dowodzenia swoje wprowadza. Na str. 172 (§ 20) dochodzi do jakichsi symbolów ∞ i t. d. co bynajmniej nie jest matematyczne, tak jak i całe jego mniemanie w tym paragrafie, jakoby matematyka dopiero potrafiła wytłumaczyć związek materii z siłą, jest błędne. Rozumowania metafizyczne, nie wchodzą w atrybucyą matematyki. Myli się podobnie w § 33 (str 183) sądząc tam, że matematyka porównywa istotę materialną z niematerialną. Matematycy nie porównują dwóch istot różnorodnych, cóż dopiero materialnej z niematerialną! Oni tylko porównują liczby abstrakcyjne, wystawiają stosunki każdej ilości do jednostek téj samej natury co i same ilości. Ale nietylko w matematyce; p. Wołyński nie jest głębokim w żadnej z nauk przyrodzonych, w prostém nawet rozumowaniu. Rozdział pod tyt. *Władza*, tak zaczyna: „Kto umie tylko zastanowić się, uczuć musi, że materya, która ma dziś jakąkolwiek postać i jakiegokolwiek działanie, kiedyś musiała ich nie mieć żadnych. Tu dosyć jest pomyśleć o materii bez żadnej siły i t. d.” Nie wiemy jakiego tu zastanowienia się autor żąda, bo wyobrażenie materii pozbawionej siły, jest niepojęte, a pojęcie przestrzeni wypełnionej materią całkiem bezwładną, jest tak niepodobnem, jak przestrzeni i czasu. Autor w ogólności sprzecznym jest w pojmowaniu téj zależności pomiędzy materią a siłą. Na str. 177 (§ 27), mówiąc o pierwiastkach świat tworzących: materii i sile, powiada: że *jeden dąży do zajęcia miejsca najmniejszego* (materya), *drugi je zajmuje bez granic* (siła). Jakże materya (sama) dążyć ma do zajęcia miejsca jak najmniejszego? Więcby musiała być jakąś siłą obdarzona? Podług p. Woł. (§ 32, str. 181), atrakcyja inne ma prawa względem ciał stałych, inne względem cieczy, inne względem gazów i t. p. Tę niegłębokość wchodzenia w naukę, okazuje sama nieścistość wyrażień. Prawo Newtona (§ 18, str. 170) tak wysłowia: „przyciąganie jest w stosunku prostym z masą, a odwrotnym z kwadrato-

wszystko szacuje to co jest krajowém. A jeżeli kto powie, że literatura nasza dziś już zaczyna się wydzwigać z ubóstwa co do dzieł o naukach przyrodzonych, wspierana prawdziwie uczonemi pracami Tyzenhauzów, Belkich, Jastrzębowski, Zejsznerów i t. p., Biblioteka Warszawska nie wzmiankuje o tak chlubnych dla nas dziełach w swoich doniesieniach na końcu, lecz krytycznym ich rozbiorem najpiérwsze karty swoje chętnie poświęca. A. W.

ASTRONOMIA.

Powrót komety Enkego w roku 1848. Zpomiedzy komet peryodycznych, kometa Enkego, w najkrótszym czasie kończy swój obieg około słońca, jój bowiem peryod wynosi tylko

wą odległością”, zamiast: z kwadratem z odległości. W § 24 ma wyrażenie: „potrzeba pewnej ilości przyczyny”. Przez przyczynę rozumiemy powód skłaniający np. do pewnych działań lub ruchów i t. d., a on przyczynę raczej za siłę bierze. W przypisku na str. 151 powiedział: „o tak nazwanych anastomozach czyli połączeniach wen z arteryami”. Anastomozy nie są połączenia wen z arteryami, tylko wszelkie, gdziekolwiek się przytrafia, rozgałęzienia żyłek.

Owóż próbka wiadomości p. Wołyńskiego i dowód jak dalece polegać można na jego myśleniu. Wybraliśmy ją z piérwszej tylko części jego *Pomyśłów*, w przekonaniu że czytelnicy nasi chętnie uwolnią nas od roztrząsania drugiej.

Ale nic, że p. Ludfim Wołyński u nas stanowi nowe teorye, kiedy i w ucześniejszych od nas Niemczech wydarzają się podobne przypadki. Każdy pamięta bo rzecz niedawna, jak wystąpił z taką teoryą nową jeden baron niemiecki w Berlinie, wyraziwszy na okładce swojej rozprawy, że tysiąc lujdorów zapewnia temu, kto go przekona, iż natura inne ma prawo, jak to, które on wykląda. Wszakże na szczęście nauk nie znalazł się tam żaden Kraszewski. Zamilczę o panu Kraszewskim: wolę wierzyć, że z mojego tylko exemplarza *Ateneum* nie wydarł dotąd 142 karty tomu IIIgo, postrzegłszy, iż na niej przez omyłkę wypisał swemu przyjacielowi zbyt zapędny panegiryk, a swoim wiadomościom zbyt wczesne epitafium.

3 lata i 4 miesiące, a droga eliptyczna, którą w biegu swym opisuje, nie przechodzi poza drogę Jowisza. Powrót jęj ostatni do punktu przysłonecznego przypadł d. 26 listopada r. z. w którymto dniu najkrótsza jęj odległość od słońca, wynosiła blisko 7 milionów mil; od ziemi 21 i pół milionów mil geograficznych. Postrzeżoną była najprzód d. 4 września w Berlinie, wielkim refraktorem przez Gallego. Dnia 24 listopada r. z. uważaną była w obserwatoryum warszawském, za pomocą narzędzia ekwatoryalnego. Położenie jęj o 1 godz. 33 min. 28 sekund z rana, podług czasu średniego było: w wznoszeniu prostém: $173^{\circ} 52' 12'',7$. W zboczeniu północném $+15^{\circ} 8' 14'',8$.

Jestto mała, gołym okiem niewidzialna i jakby mgłą otoczona kometa; ostatni jęj powrót tém się odznaczył, iż kometa w biegu swym znacznie zbliżyła się do Merkurego, a ze zmian jakich doznała w biegu od tęj planety, można będzie dokładnięj oznaczyć masę Merkurego. Dnia 22 listopada zbliżyła się do tęj planety na 15razy odległość księżyca od ziemi, czyli na 780 tysięcy mil geograficznych. Bieg pozorny komety na sklepieniu nieba w ostatnim jęj powrocie, był takiż sam jak w roku 1805. Porównanie czasu trwania obiegow tęj komety pokazuje, iż peryody jęj stają się coraz krótsze, czego innym sposobem wytłumaczyć nie można tylko przyjmując, iż przestrzeń w której planety bieg odbywają, zapełniona jest eterem, który czyniąc opór nadzwyczaj lekkim ciałom, jakieni są komety, dozwala silnięj działać słońcu, a przeto zbliżać je bardzięj do siebie, a następnie i peryody ich skracać.

* *Planety teleskopowe.* Liczba ciał niebieskich do układu słonecznego należących, w trzech ostatnich latach znacznie się powiększyła, przez odkrycie sześciu nowych planet, gołym okiem niewidzialnych, z których pięć krąży poza drogą Marsa, a szósty Neptun, najdalszy ze wszystkich, za Uranem bieg odbywa. Mniemanie Olbersa na początku tego wieku ogłoszone, jakoby małe planety teleskopowe powstały z rozdzielenia się jednięj wielkięj, krążącej niegdyś między Marsem i Jowiszem, przez nowe odkrycia coraz więcięj się potwierdza. Do roku 1781 znane były sześć planet gołym okiem widzialnych, to jest: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz i Saturn. Ważne

odkrycia w astronomii zaczynają się od Wiliama Herszla, który wielkim swoim teleskopem odkrył planetę Urana dnia 13 marca 1781 r. w Slough. Na początku tego wieku odkryte były cztery planety, to jest:

Ceres . . przez Piazzego . . d. 1 stycznia 1801 r. w Palermie.
 Pallas . . „ Olbersa . . d. 28 marca 1802 r. w Bremie.
 Juno . . . „ Hardinga . . d. 1 wrześn. 1804 r. w Getyndze.
 Westa . . „ Olbersa . . d. 29 marca 1807 r. w Bremie.

W 38 lat potem odkryte były:

Astrea, przez Henkego d. 8 grudnia 1845 r. w Driesen,
 Neptun, naprzód przepowiedziany rachunkiem przez Leverriego,
 a odkryty d. 23 września 1846 r. w Berlinie przez Gallego.
 Hebe . . przez Henkego d. 1 lipca 1847 r. w Driesen.
 Iris . . . „ Hinda . . . d. 13 sierpn. 1847 r. w Londynie.
 Flora . . „ Hinda . . . d. 18 paź. 1847 r. w Londynie.
 Metis . . „ Grahama . d. 26 kwiet. 1848 r. w Markree-
 Castle w Irlandyi.

Dla pokazania wielkiego podobieństwa między sobą małych planet, tak pod względem ich odległości od słońca, jako też i czasu trwania obiegów; umieszczamy tu spis dziewięciu planet teleskopowych między Marsem i Jowiszem krążących, ułożonych porządkiem ich odległości od słońca.

| PLANETY TELESKOPO- WE. | Średnia odległość planety od słońca wy- rażona | | Czas trwania obie- gu planety około słońca | Pochyłość drogi pla- nety względem ekliptyki | Prędkość dzienna planety w biegu oko- ło słońca |
|------------------------------|--|---|--|--|---|
| | w promie- niach drogi rocznej zie- mi | w milio- nach mil geografi- cznych | | | |
| 1 Flora | 2.20 | 45 | lat dni 3 98 | 5° 53' | 18' 6" |
| 2 Westa | 2.36 | 49 | 3 229 | 7 8 | 16 17 |
| 3 Iris | 2.38 | 49 | 3 247 | 5 28 | 16 6 |
| 4 Metis | 3.39 | 49 | 3 251 | 5 34 | 16 3 |
| 5 Hebe | 2.43 | 50 | 3 286 | 14 47 | 15 39 |
| 6 Astrea | 2.57 | 53 | 4 40 | 5 19 | 14 19 |
| 7 Juno | 2.67 | 55 | 4 132 | 13 3 | 13 33 |
| 8 Ceres | 2.77 | 57 | 4 223 | 10 17 | 12 52 |
| 9 Pallas | 2.77 | 57 | 4 225 | 34 37 | 12 49 |

* *Zjawiska w r. z. w Warszawie uważane.* D. 22 sierpnia roku zeszłego, uważano podczas dnia w tutejszém obserwatorium astronomiczném, zakrycie przez księżyc gwiazdy pierwszej wielkości (*alpha*) w konstellacyi *Byka*. Zakrycie przez jasny brzeg księżyca, nastąpiło o 9 godz. 21 min. 25,31 sek. z rana, podług obserwatora J. B.; a o 26,24 sek. podług obserwatora A. P. Zakrycie to uważane w innych miejscach, posłużyć może do oznaczenia różnicy długości geograficznej tych miejsc, podobnie jak zaćmienia słońca.

* Dnia 3 października r. z. przy lekko zachmurzoném niebie, słońce i księżyc przed wieczorem szczególne zjawisko optyczne przedstawiały. Już w południe słońce otoczone było kołem białém, ale o 4 godz. po południu, najpiękniejszy widok oku się przedstawił; nad słońcem bowiem wznosił się słup świetny, przez którego górny koniec przechodził łuk biały, wklęsłością na dół obrócony. W miejscu gdzie się łuk schodził ze słupem, wychodziły dwa łuki wyżej wznoszące się bardzo świetne, mające brzegi czerwonawe od strony słońca, osobliwie tam, gdzie się łuki łączyły. Zjawisko w téj postaci trwało do godziny 5 z południa; potem koło wielkie znikło, i tylko słup i łuki świetne pozostały do 6 godziny, 45 min. w. I księżyc tegoż dnia z wieczora blisko pierwszej kwadry będący, przedstawiał piękny widok; przez niego bowiem, osobliwie przez jego różki, przechodził słup albo raczej wstęga świetna koloru blade-różowego. Zjawiska podobne, zwykle zapowiadające zmianę stanu atmosfery, są skutkiem łamania się promieni światła w nadzwyczaj drobnych igielkach lodu, unoszących się w górnych strefach atmosfery, jakie niekiedy w porze zimowej w dniu pogodnym w czasie wielkich mrozów spadające z powietrza widzimy. Rozmaite postaci i barwy, jakie przedstawiają zjawiska światła w atmosferze ziemskiej, zależą od kształtu igielek i drobnych kryształków lodu, od ich większego lub mniejszego zbioru w górnych krainach, nadto od położenia słońca i księżyca względem poziomu, a osobliwie od niskiego stanu temperatury w górnych warstwach powietrza. Znakomity fizyk francuzki Bravais, jeden z członków należących do wy-

prawy naukowej na północ, ogłosił ważną rozprawę, w której tłumaczy wszystkie zjawiska optyczne w atmosferze dostrzegane (*).

* *Zorza północne.* Dzień 19 października r. z. odznaczył się osobliwym stanem powietrza, rzadko u nas w tej porze zdarzającym się. Dzień był tak ciepły, jak w lecie; po południu termometr wskazywał 16,2 stopni ciepła. W wieczór różne zjawiska się pokazały. O kwadrans na szóstą wieczór, w stronie północno-zachodniej dał się słyszeć grzmot kilkakrotnie wśród błyskawic, potem o trzy kwadransy na siódmą wieczór, padał deszcz chwilowy, przy silnym wietrze zachodnim. O 8 godzinie po ustąpieniu chmur, zorza północna w postaci łuny blade-różowej z kilku słabymi słupami, oświetliła północną część nieba przy poziomie, gdzie także i kometa Enkego znajdowała się wtenczas. Kilka świetnych gwiazd spadających przebiegło północne niebo, następnie po 9 godzinie wieczór chmury jednostajnie zakryły niebo. Podczas zorzy, termometr pokazywał 10 stopni R. ciepła; barometr stał wysoko na 27 c. 5,12 linii paryzkich, przy wietrze zachodnim.

* Dnia 23 października roku zeszłego między 10 i 11 godziną wieczór, pokazała się także zorza północna w słabym świetle.

* Dnia 17 listopada r. z. od godziny 7 w wieczór, prawie przez całą noc w różnych przerwach świetna zorza północna jaśniała. Najprzód jasność biała w postaci odcinka koła, znaczną część nieba północnego przy poziomie zajmowała; i ta w stronie północno-wschodniej była tak wyraźna, iż zdawało się, jakoby wschód słońca miał nastąpić. Z tego odcinka, świetne wstęgi blade-różowe do góry się wznosiły, a po ich zniknięciu, w tej stronie niebo przybierało piękną barwę purpurową. Jasność biała przy poziomie i gra kolorów, zwolna posuwały się od wschodu ku zachodowi. Wśród tego zjawiska, kilka gwiazd przelatujących przebiegło niebo; podczas zorzy,

(*) *Mémoire sur les Halos et les Phénomènes Optiques qui les accompagnent, par M. A. Bravais. Journal de l'École Royale Polytechnique. 31 Cahier. Tom XVIII. Paris, 1847, in 4to.*

wiatr mierny wiał od zachodu. Barometr, który ciągle opadał, wskazywał 27 cali 7,38 linij par.; termometr pokazywał 4,21 stopni R. zimna. W niektórych miejscach uważano szczególnie wpływ i działanie téj zorzy na telegrafy elektryczne; i tak: w Pizie godz. 9 $\frac{1}{2}$ wieczorem, na stacyi kolei żelaznej, w biurze telegrafu, zdziwiono się niemało, widząc że telegraf elektryczny przestał ruch odbywać, chociaż poprzednio przez cały dzień jak najlepiej znaki przysyłał; toż samo postrzeżono na stacyi kolei żelaznej we Florencyi. Starano się maszyny telegrafu w ruch wprowadzić, już to przez powiększenie siły prądu elektrycznego, już przez działanie na maszyny i jej części; wszystko jednak okazało się bezskuteczném, uważano także, iż atrament przyłgnął do elektro-magnesów. Działanie to zorzy na telegraf elektryczny, które się daje także postrzegać podczas wielu grzmotów, dowodzi, że zorza północna jest zjawiskiem elektrycznym.

* Dnia 21 listopada r. z. między 7 i 10 godziną w wieczór, pokazała się znowu zorza północna, najprzód w smugach białych, a potem kolorowych. O 7 godz. 33 min. szeroka wstęga różowego światła jaśniała przez chwilę w stronie północno-zachodniej, a potem w kilka minut powstały trzy oddzielne zbiory smug, piękném światłem jaśniejących, jakby trzy wysokie i szerokie wstęgi: jedna w stronie północno-wschodniej, druga na północy tuż pod gwiazdami Niedźwiedzia Wielkiego, trzecia w stronie północno-zachodniej. Po ich zniknięciu, niebo pokrywało się barwą purpurową.

* Dnia 25 listopada r. z. o wpół do jedenastej w wieczór, pokazała się zorza północna w postaci białej łuny przy poziomie.

J. B.

FIZYKA.

O wzajemném działaniu na siebie czynników natury, czyli sił fizycznych, p. Grove ().* Dostrzegłszy po raz pier-

(1) Jestto treść lekcyj, wykładanych przez Grove w instytucie królewsko-londyńskim.

wszy, jakikolwiek fenomen w naturze, skutkiem szczególnego usposobienia naszego umysłu, usiłujemy to zjawisko podciągnąć, odnieść do innych poznanych już dokładnie zjawisk. Zdaje się, że nasz umysł skłonniejszy jest do rzeczy przeszłych, i że z trudnością graniczącą nawet z niepodobieństwem przychodzi mu wyprzedzić, przyswoić myśl lub zjawisko zupełnie nowe. Nawet, po wykryciu związku nowych z dawniej poznaneimi fenomenami, niekażdemu dozwalamy wprost uderzyć na sankcjonowane w nauce ogólne pojęcia, i naturalizowane teorye. A jeżeli nowo wykryte fakta wiodą do innéj teoryi, to i wówczas jeszcze wymagamy, aby te nowe teorye były sformułowane przez osoby, które wykryły piérwsze fakta, zasady; lub téż przez ludzi, którym ówczesna epoka największą przyznaje naukową powagę. Każdy inny albo nie śmieć, albo odważywszy się, zwykle naraża się na zapomnienie.

Piérwsze teorye w podobny sposób poczęte, sprawiają żywe w umysłach wrażenie; niepodobieństwo sprawdzenia ich, osłabienia za pomocą doświadczeń, przykry zawsze stan niepewności, i żądza przyczyn, są powodem, iż przyjmujemy te teorye za rzeczywiste i poczytujemy je za nabyte dla nauki prawdy. Tym sposobem wiele myśli, teoryj, przechodzi jak podanie z ojca na syna, i powoli zajmują miejsce w edukacyi.

Następne pokolenia, których umysł i sposób pojmowania zjawisk, ukształconym jest według dawnego punktu widzenia, jeszcze niechętniej porzucają istniejące teorye. Przyswoiły je bowiem w skutek powagi ludzi, którym téj powagi zaprzeczać nie myślą, i w skutek wiary, której zmiana zmusiłaby ich do odnowienia i przewrócenia wszystkich swych idei i pojęć; — a to jest praca, której publiczność uważana za jedno ciało, nie chce i nie może przedsiębrać, chyba bardzo rzadko.

Takie usposobienie umysłu ludzkiego, zdaje się przyjaznym stanowi społeczności. Łatwość w częstém przyswajaniu nowych teoryj i pomysłów naukowych, sprawiłaby tylko zamęt i wieczne rewolucye naukowe. Lecz z drugiéj strony, nie można nie przyznać, iż ta, jakby obojętność, nieruchawość usposobienia ogółu, bywa powodem pomimowolnego trzymania się

uparcie teoryj piérwszych, zwykle niedokładnych. Na to moglibyśmy wiele, wiele przytoczyć przykładów; dość wspomnieć na systemata astronomii.

Przytoczywszy te trafne uwagi, Grove, sławny angielski fizyk usprawiedliwiając się ze swój śmiałości w sądzeniu o autorach, mających przyznaną powszechnie powagę w nauce, kończy tym zwrotem: że karzeł umieszczony na barkach olbrzyma, chociaż widzi dalej od niego, nie przestaje jednak być karłem.

Następnie autor ocenia krytycznie różne pomysły i subtelności metafizyczne, do których wiodło badanie związków i własności, jakie posiadają ciała zwane powszechnie w fizyce *nieważkami*. Poczytuje on Bakona za piérwszego reformatora w naukach fizycznych.— Starożytni mało lub wcale nie śledzili fenomenów, nie porównywali między sobą faktów; lecz dopuściwszy istnienie pewnych prawd oczywistych za pomocą wywodów syllogistycznych, dochodzili do coraz więcej złożonych wniosków prawd, najczęściej niepojętych. Piérwszy Bakon sprowadził zasadę, że w umiejętnościach fizycznych, nie rozumowaniem, ale tylko drogą doświadczeń wykryć można pojedyncze fakta, zasady, pierwotne przyczyny, z których następnie powstają różne zjawiska. Te pierwotne przyczyny Bakon nazwał *formami*.

Drugi sposób zapatrywania się na zjawiska natury, zwany metodą analityczną, polega na śledzeniu tego, co się wydobywa, co się pozostaje, co się dodaje, co się osadza i t. d., podczas przemian, na jakie ciało wystawiamy. W tym razie przypuszczamy, że każdy fenomen ściśle wiąże się z innym, ten z następnym i t. d.; idziemy więc w ślad za zjawiskiem aż do miejsca, w którym natrafimy na przyczynę podrzędną, wynikającą bezpośrednio z piérwszój przyczyny faktu. Dziś ten sposób badania powszechnie jest przyjętym; wszędzie natrafiamy na mniemanie: „badaj skutki, chcąc dojść do przyczyny.”

Lecz celem nauk fizycznych nie jest badanie piérwszych przyczyn (*form*), jak raczej odszukiwanie faktów i ich związków między niemi. Zresztą, jeżeli chcemy używać tego pojęcia „przyczyna,” należy mu w tych naukach tylko względne znaczenie.

Nie należy w żaden sposób utrzymywać, że jeden fakt jest bezwzględnie przyczyną drugiego. Nadużycie wyrazu „przyczyna”, było źródłem zamieszania w teoriach fizycznych. Rażący przykład podaje nam elektryczność i magnetyzm. Zaraz po odkryciu elektromagnetyzmu przez Oersteda, powszechną była opinia między znakomitemi uczonemi, że te dwa czynniki natury, są w stosunku jak przyczyna do skutku, czyli, że elektryczność jest przyczyną, a magnetyzm skutkiem. A ponieważ magnesy istniały bez przyczyniania się działania elektryczności, przeto dla ocalenia powyżej przywiedzionej zależności tych sił, wymyślono strumienie elektryczne hypotetyczne. Dziś po odkryciu Faradaya, z równem prawdopodobieństwem możemy magnetyzm uważać za przyczynę, a elektryczność za skutek; a idąc tą samą drogą, wolnoby strumienie elektryczne pożytywać jako powstałe z linii nateżeń sił magnetycznych, ale hypotetycznych. Lepszy jeszcze przykład zamętu w pojęciach wynikającego z błędnego pojmowania „przyczyny” natrafiamy ogrzewając kawałek bizmutu i antymonu w miejscu ich spojenia; wtedy, jak wiadomo, powstaje strumień elektryczny, i drut zamykający obwód tego stosu znacznie się ogrzewa. Zwykle mówimy, że w tym razie ciepło jest przyczyną elektryczności, a ciepło w drucie jest spowodowane przez elektryczność, i to w znaczeniu względném ma miejsce; lecz czyż podobna ztąd wnieść, że ciepło było pierwotną przyczyną elektryczności, lub elektryczność ciepła? W takim bowiem razie, skutek stając się przyczyną, wywołałby przyczynę przyczyny. Z tych i wielu podobnych przykładów przekonać się można o trudnościach natrafianych w ocenianiu przyczyn zjawisk fizycznych; i dlatego umysł nasz pomimowolnie przyjmuje przekonanie, że pojęcie bezwzględnych przyczyn podrzędnych nie istnieje, i że odszukiwanie przyczyn pierwotnych jest czężą rzeczą.

Wychodząc z tego stanowiska, Grove rozwija myśl, że ciała zwane nieważkami (cieplik, światło, elektryczność, magnetyzm), nadto ruch, powinowactwo chemiczne, sąto siły współistniejące, posiadające wzajemną między sobą zależność taką, iż np. cieplik może pośrednio lub bezpośrednio wywołać elektry-

czność, a elektryczność ciepłik; lecz że żadną z tych sił nie może być poczytywaną za *pierwotną* przyczynę innych.

Przeliczmy pokrótce z tych czynników.

Ruch. Od czasu Newtona powszechném jest inniemanie, że ciało wruch wprowadzone, biegłoby ciągle z tąż samą chyżością, gdyby inne ciało oporem, lub inna siła swém działaniem, nie wstrzymały jego biegu; jak również utrzymujemy powszechnie, że skoro bieg widoczny ustaje przez dotknięcie lub opór innego ciała, wtedy ruch ginie, a siła która go sprawiała, ginie. Grove twierdzi, że siła nigdy nie ginie i że przy pozorném nikieniu, siła rozdrabnia się lub zmienia co do kierunku lub formy. Na poparcie cytuje różne przykłady. Itak: machnąwszy ręką, ruch w ręku wprawdzie, ustaje, ale natomiast przechodzi do powietrza, którego fale łamiąc się o ściany i inne ciała, sprawiają w nich ruch. Tylko z powodu grubości naszych zmysłów, nie jesteśmy w stanie dotykalnie dowieść stopniowego udzielania ruchu coraz słabszego, bo rozdrobnionego. Ruch przez machanie ręką sprawiony, nie daje się czuć osobom, na stóp kilka oddalonym; lecz ruch takiéjże saméj ilości powietrza, skierowany w jednym głównie kierunku, np. za pomocą tłoka w walcu, może być widzialnym nawet o kilkanaście prętów, a ruch powietrza przez wiatrówkę wzbudzony, może być rozpoznany nawet o kilkaset sążni, przez doniosłość wyrzuconéj kuli.

Skoro ruch ciała wstrzymany jest przez przeszkodę, wtedy wynikły ztąd spoczynek ciała, *zwykle* uważamy za brak zupełny ruchu, a siłę za zniszczoną. Spoczynek ma miejsce, gdy obserwujemy przenoszenie się ciał z miejsca na miejsce; lecz siła wtedy nie ginie, ale objawia się w innéj formie, bo zamiast formy ruchu, ma formę ciepła. Ciepło powstające przez tarcie, uderzenie i t. p. uważać można za dalszy ciąg, lecz zmienionéj już siły poruszającéj. Natężenie tego ciepła jest zmienném, stosownie do ilości ruchu pierwotnie udzielonego ciału, stosownie do twardości ciał uderzających lub trących i t. d. Według tego sposobu pojmowania, wszelkie rodzaje tarcia nie są przeszkodą ruchu, gdyż wywiązujące się ciepło podczas tarcia, jest dalszym ciągiem tegoż ruchu. Śledząc ciała uderzające się pod względem ich jakości, przekonywamy się, że

dwajednorodneciała zawsze tylko ciepło wywoływać mogą; trące się lub spotykające ciała, różnorodne ciepło i elektryczność sprawiają. Zdaje się rzeczą prawdopodobną, że ciepło i elektryczność są sposoby objawiania się ruchu; ruch widzialny ustając, rozdziela się w kształcie różnych fal lub drgań cząstek ciała, i wywołuje objawienie się ciepła lub elektryczności. Od elektryczności do magnetyzmu przejście jest bardzo blizkie. Że światło i powinowactwo chemiczne jako dalszy ciąg ruchu uważane być mogą, o tém świadczy światło przy tarcu, lub iskry elektryczne przy działaniu stosem Volty. Odwrotnie, ruch może być wywołany przez wszystkie przywiedzione siły, np. ruch słomek w elektrometrze, obrót koła elektrycznego, zбочenie igły i t. d.

Ciepło biorąc za punkt wyjścia, wiemy, że ruch głównym jest ciepła objawem, np. rozszerzanie się ciał, tworzenie się par i t. d.

Zjawiska znane pod tytułem cieplika utajonego, jak wiadomo, główną są podporą teoryi poczytującej cieplik za materją subtelną. Lecz ta hipoteza materji utajonej, zbyt jest niebezpieczna; ma ona wiele podobieństwa do teoryi flogistonu, jest to jakaś subtelność, żadnym nie dająca się pojąć zmysłem, bardzo podejrzana, i jako taka, tylko w ostatecznej potrzebie przypuszczaną być winna. Podobne hipotezy, na nieszczęście zbyt często przyjmowane, dokładają ciągle nowe nielogiczności do całego rusztowania hipotez, i dlatego wypadaloby ich używać z wielką ostrożnością, przynajmniej w pierwszych chwilach odkryć. Przykład takiej hipotezy stawia Grove w niedawno wynalezioném w Niemczech *świetle niewidzialném*, dziwnej i niestosownej nazwie, służącej do tłumaczenia zjawisk, mających analogią z fenomenem światła.

Uważając cieplik za materją, potrzeba przypuścić, że ta materja w zjawiskach cieplika utajonego, jest sama utajoną, śpiącą w materji ciała, niezdolna działać i nie mogąca być wykrytą, póki sama materja ciała trwa w swym stanie nieporuszenie, i dopiero wówczas objawiająca swą bytność, gdy ciało przemienia swój stan. Zdaje się, że daleko łatwiej i logiczniej fenomena tu należące wyjaśnione być mogą za pomocą stosunków dynami-

czynnych, to jest uważając ciepłik za siłę mechaniczną. Według Grove, chcąc oddalić od siebie cząstki ciała stałego np. lodu, za pomocą ciała płynnego cieplejszego, np. wody gorącej, potrzeba iżby ciało cieplejsze straciło ilość siły ściśle równą sile koniecznej na utrzymanie cząstek ciała stałego w stanie płynnym. Ciepło obudza elektryczność. Z ciepła powstaje światło, i te dwie siły tyle przedstawiają analogii, że można je pożytywać za modyfikacją jednej siły, jak o tém świadczą zjawiska ciepłika promieniejącego i światła, tożsamość praw, którym podlegają odbijanie, załamanie, podwójne załamanie, polaryzacja i t. d.

Co się tycze powinowactwa chemicznego i magnetyzmu, zdaje się, że jedyny dotąd, przynajmniej znany sposób wzbudzenia ich za pomocą ciepła, jest przez pośrednictwo elektryczności.

Elektryczność, jestto własność materji lub pewna modyfikacja siły, która najjawniej wskazuje związek między wszystkimi czynnikami natury. Elektryczność uważana jako siła, wzbudza naprzód ruch, np. przez przyciąganie, odpychanie, zboczenie igły w galwanometrach; objawia ciepło, np. rozpalanie drutów za pomocą stosu Volty; daje początek światłu, np. w łuku galwanicznym; wzbudza magnetyzm we wszystkich ciałach zawierających żelazo; nakoniec jest powodem do wzbudzenia powinowactwa chemicznego, np. doświadczenia Dawy nad alkaliami.

Światła stosunek do innych czynników, dotąd najmniej został zbadanym. Grove podczas prelekcji następne urządził doświadczenie, dla wskazania związku między światłem i pozostałymi siłami fizycznymi. Tafle przygotowaną do dagueryotypu, umieścił w pudełku napełnioném wodą, i mającém jedną ścianę boczną ze szkła. Ta ściana była pokrytą zasłoną. Między szkło i tafle, wstawił kratę ze srebrnych drutów. Samą tafle za pomocą drutów złączył z galwanometrem, a kratę z termometrem Bregueta. Skoro słońce lub płomień palącego się wodorodu wywarł swe działanie na tafle, skazówki termometru i galwanometru okazały zboczenia. Tu więc ze świa-

tła uważanego za siłę początkową, otrzymujemy działanie chemiczne na tafli daguerotypowej, elektryczność w drutach idących do galwanometru, magnetyzm w igle galwanometru, ciepło w spiralnej Bregueta, a ruch w skazówkach.

Grove utrzymuje, że zgodniej z faktami uważać można światło jako powstające nie tak z drgań eteru przenikającego wszystkie ciała, jak raczej z drgań cząstek samej materji, w podobny sposób, jak się rozszerza głos przez drganie cząstek drzewa lub wody. Jako dowód cytuje, że przezroczystość lub nieprzezroczystość ciał całkowicie zależy od układu cząstek; np. szkło przestaje być przezroczystym, skoro zwolna stygnie. Podobnie ciała krystalizowane, stosownie do swój odmienniej budowy wewnętrznej, rozmaicie działają na światło. Grove poczytuje hipotezę eteru za zbyt śmiałą; sposobność tego subtelnego płynu zmieniania swój sprężystości stosownie do różnej budowy ciał, przenikanie w pory ciał, o których istnieniu nie posiadamy żadnego dowodu, i t. p., wiele mają osłabiać prawdopodobieństwo tej teorii.

Magnetyzm. Faraday odkrył, że ta siła może obudzać inne, z tą tylko odnianą, że będąc z natury swój statyczną, potrzebuje być kombinowaną z ruchem; magnetyzm jest siłą kierującą, nie zaś motorem. Wzbudzając elektryczność, można przez jej pośrednictwo wywołać wszystkie inne siły, które z elektryczności powstają. Stan statyczny magnetyzmu podobnym jest do stanu równowagi, jaki w innych siłach obserwujemy, np. do napięcia różnorodnych elektryczności na ścianach butelki lejdejskiej, lub równowagi ciężarów położonych na ramionach szalki. Lecz ponieważ istnieje ścisła zależność między materją i ruchem, tak, iż niepodobna wyrazić sobie coś zupełnie i trwale nieruchomego; przeto Grove sądzi, że i magnesy nie mogą trwać w stanie bezwzględnie statycznym. Myśl tę potwierdzają ogólne obserwacye osłabienia magnesów przez czas; jednak sam autor potwierdzenia swój myśli szuka raczej w przekonaniu moralnym, opartym głównie na stanie dynamicznym całej natury.

Powinowactwem chemicznym zwiemy siłę, usiłującą łączyć między sobą ciała różnorodne, i tworzyć z nich ciała zło-

zone. Dotąd zdołaliśmy o tej sile utworzyć sobie najmniej dokładne pojęcie. Zdaje się, że najwłaściwiej pojmujemy tę siłę, zbliżając ją lub biorąc za jednoznaczną z *ruchem molekularnym*, który dopiero przez nieskończoną liczbę siłek wywołuje wypadkową, zdolną i wielkie masy poruszać. Powinowactwo chemiczne bezpośrednio wzbudza elektryczność. Davy wyrzekł, że ta ostatnia siła jest tylko powinowactwem chemiczném, działającym w oznaczonym kierunku wskrós przez szereg cząstek; lecz dodaje przytém, że niepodobna w żaden sposób określić dokładnie związku zachodzącego między powinowactwem chemiczném i elektrycznością. Pomimo bowiem zależności ścisłej, elektryczność może tam istnieć, gdzie powinowactwa chemicznego niéma. Stos Volt-y, podał sposób mierzenia związku powinowactwa z elektrycznością. Ilość elektryczności w strumieniach, mierzy się przez ilość materyi, na którą elektryczność wywarła swe działanie, i jest proporcjonalną do wzbudzonego działania chemicznego; a natężenie strumieni jest proporcjonalném do natężenia powinowactwa chemicznego.

Ciepło, magnetyzm, ruch, mogą być wzbudzone przez strumienie elektryczne, a strumienie przez powinowactwo; przeto trzy pierwsze uważać należy jako powstające, chociaż niebezpośrednio, z powinowactwa chemicznego. Zresztą i bezpośrednio działanie powinowactwa objawia ciepło, jak to wskazały prace Graha, Hessa, Andrews'a; równie jak i światło, np. palenie się fosforu w kwasorodzie, w forforescencyi i t. d.

Wykazawszy szczegółowo wzajemną zależność czynników natury, Grove nasuwa niektóre myśli, służyć mogące do rozwiązania wielkiego zadania, mającego na celu sprowadzenie działań tych różnych sił do téjże samej jednostki. Między ciepłikiem i powinowactwem chemiczném (według prac Dulonga Petita, a następnie Neumana), istnieje ważny stosunek polegający na tém, że ciepłiki gatunkowe różnych ciał, pomnożone przez ich ekwiwalenty chemiczne, wydają na iloczyny zawsze stałą liczbę. Podobnie, że wiele ciał łączą się chemicznie w różnych objętościach, to jest proporcjonalnie do swych ciężarów gatunkowych. Pierwsze prawo okazuje stosunek powi-

nowactwa z ciepłikiem, a drugie powinowactwa z siłą ciężkości. Jeżeli te prawa okażą się obowiązującymi w całej naturze, wtedy przybędą nam wyrażenia liczebne na trzy czynniki natury: ciepłik, ciężkość i powinowactwo chemiczne. Także między elektrycznością i magnetyzmem, wykryto już związki wyrażone w ilościach; będzie więc można dojść do wskazania ich zależności liczebnie.

P. S.

CHEMIA.

Obecność cukru w wątrobie. PP. Bernard i Barreswil znaleźli w wątrobie ludzkiej i zwierzęcej, dosyć znaczną ilość cukru. Po zafermentowaniu otrzymano z tego cukru wyskok, którego próbę, przedstawił p. Pelouze akademii umiejętności paryzkiej. Żadnym z znanych sposobów nie udało się im otrzymać z wątroby cukru krystalicznego, ale tylko melas nasycony solami. W skutku powtarzanych doświadczeń przekonali się, że cukier znajdujący się w bardzo znacznych ilościach w tkance wątrobianej, w zwyczajnych okolicznościach nie przytrafia się w żadnym innym organie, i że przez to wątroba odróżnia się chemicznie od wszystkich innych trzewów. Okazali nadto, że wątroba zawiera zawsze tenże sam znaczny stosunek cukru, nawet u zwierząt zupełnie pozbawionych istot cukrowych lub mączkowatych, i karmionych przez długi czas samém jedynie mięsem. Zakończają zaś tym wnioskiem, że obecność cukru w wątrobie jest zjawiskiem fizyologiczném zupełnie niezawisłym od natury pokarmu. Powyżsi uczeni w ostatku zawiadamiają, że nateraz zajmują się doświadczeniami dla dojścia, jakim sposobem i za jakich ciał pośrednictwem, tworzy się cukier w zwierzętach. (L'Institut z 15 Novembre 1848).

* *Skroplenie gazu niedokwasu piérowszego saletrorodu.* Szczegóły niniejsze udzielone zostały akademii umiejętności paryzkiej przez p. Dumas.

P. Natterer kazał w Wiedniu zrobić pompę tłoczącą dla skroplenia gazów; za jój pośrednictwem z łatwością można było

otrzymać kwas węglowy i niedokwas 1y saletrorodu w postaci cieczy. P. Dumas używając powyższej pompy, i chcąc przez nią skroplić niedokwas 1y saletrorodu, przekonał się, że potrzeba zachować wiele ostrożności, dla otrzymania ciągłego jak najlepszego skutku.

Ponieważ przez niedokwas 1^{sz}y saletrorodu skroplony, można utworzyć nadzwyczajne zimno, i gdy roboty z nim łatwo się odbywają, p. Dumas przeto podał następane ogólne o nim spostrzeżenia:

„Pod względem urządzania zbiornika: w Wiedniu niedość mocno go zbudowano. Kazałem go powlec żelazem kutém, przez co uzdatniłem go do wytrzymania 800 atmosfer. Oprócz tego tak rzeczy urządziłem, aby zbiornik był otoczony lodem, pompa ciągle oziębiana przez krążenie wkoło niej wody, a nawet aby pręt kłapy nieustannie był skrapiany wodą zimną. Tym sposobem uniknęło się zepsucia skór kłapy, coby nastąpić musiało przez ciepłik wywiązany z gazu uciskanego, i przez działanie tegoż gazu jako ciała palnego.

Przy powyższej ostrożności, można wcisnąć w zbiornik w dwóch godzinach 200 kwart gazu, a dwudziesta część tego, już wystarcza do utworzenia ciśnienia, wyrównywającego 30 atmosferom, w którym zaczyna się skrapianie. Pozostała ilość gazu tworzy ciecz. 100 kwart mogą wydać jój około 200 gram. Gaz ma być zupełnie suchy i czysty, a wtedy dopiero doświadczenie udać się może. Otrzymuje się go z saletranu amonii jak zwyczajnie, i przepuszcza, po poprzedniém wysuszeniu, w zbiorniki metalowe szczelnie zbudowane, z kąd znowu wchodzi w pompy. Kilogram saletranu amonii na doświadczenie wystarcza. Gaz skroplony może się przechować przez dzień lub dwa w zbiorniku. Za otwarciem kruczka od zbiornika, gaz uchodzi; zamraża się w części, a później jako ciecz wypływa. Część zsiadła ma podobieństwo do śniegu roztopia się pod ręką, paruje gwałtownie, przyczém mocno parzy. Cieczy powyższej odrazu można otrzymać 40 do 50 gram; po wlaniu jój w kieliszek, może ona pozostać w nim przez pół godziny lub więcej, przy przystępie powietrza. Dla łatwiejszego jój oważania, wlewa się ją w rurkę otwartą,

wstawioną w naczynie, na którego dnie znajduje się pumex zwilgocony kwasem siarkowym. Tym sposobem zachowuje ona przez długi czas swą przezroczystość.

Niedokwas 1^{szy} saletrorodu ciekły, jest bezbarwny, bardzo ruchliwy, zupełnie przezroczysty. Każda kropelka sprawia na skórze mocne sparzenie. Gaz wydobywający się bezustannie w czasie wolnego zagotowania, ma wszystkie właściwości niedokwasu pierwszego saletrorodu. Metale zamoczone w tej cieczy wydają taki szum, jak żelazo czerwone zanurzone w wodzie. Żywe srebro zaraz potem krzepnie, tworząc ciało twarde, kruche i białe jak srebro. Potas pływa po powierzchni cieczy, bez zmiany swój. Węgiel, siarka, fosfor, jod, także w niej nie ulegają zmianie. Węgiel zapalony pływa po powierzchni cieczy, i płonie częstokroć bardzo jasno, aż do zupełnego zniknięcia. Kwas siarkowy zwyczajny, kwas saletrowy steżony, natychmiast zamrożone zostają. Eter, wyskok, mieszają się z nią, lecz nie marzną. Woda natychmiast marznie, ale wtedy część rozcieku gwałtownie paruje, tworząc pewien rodzaj wystrzału, a nawet mogłoby wyniknąć niebezpieczeństwo, gdyby wiano naraz kilka gramów wody, do powyższej gazowej cieczy." (*Tamże*).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

W ciągu lata 1846 r. Alexander Nordmann powynajdował w Rosyi południowej obfite składy kopalnych kości. Poszukiwania te ledwie rozpoczęte, wykryły już 5,600 sztuk pojedynczych kości, między którymi 114 szczęk i 2,230 osobnionych zębów, które do 160 indywiduów ze 27 oddzielnych gatunków należą. Miejscami znajdowania się są: głęboki wąwóz nad kwarantanną w Odessie, wieś Nierubaj muszłowy wapień Odeski, wapień pod Kiszyniewem w Bes-

sarabii, trzeciorzędowy wapień pod Kerysz nad morzem Azowskiem, i południowa strona Podola. Pomiędzy wynalezionemi resztami, znajdują się kości następujących tęgokórnych: *Elephas*, *Mastodon*, *Rhinoceros*, *Equus*, *Hippotherium*; z przeżuwających: *Bos*, *Cervus*, *Ovis*, *Antilope*; z mięsożernych: *Ursus*, *Hyaena*, *Canis*, *Felis*; ze szcurowatych: *Lepus*, *Castor*, *Spalax*, *Mus* i *Arvicola*; z wielorybnych: *Ziphius* czyli *Cetotherium* i *Dugong?* (*Fror. Not.* 1848 nr. 92. z *Institut* 1847 nr. 720).

* Dr. Meigs uważa, że w piśmie Owena o rozwijaniu się Kangura, równie jako i w pracach Milne-Edwards'a i Puszeta, wiele jeszcze pozostaje do rozjaśnienia, czego sam usiłuje dokonać. Mniema, że już nie można dawać nazwiska płodu i embryona młodemu kaletnikowi (*Didelphys*), kiedy się w worku matki znajdują; bo wtedy organa oddychania i trawienia są już tak czynne, jak u zupełnie rozwiniętego zwierzęcia ssącego: i zdaje się, że żaden z pomienionych autorów nie uważał najwcześniejszego stanu młodych, o czém tylko domysły i wiadomości niedokładne istnieją.

Dnia 18 lutego 1847 spostrzeżono na śniegu (w Ameryce) ślady dwóch kaletników (*Didelphys virginiana*), które prowadziły w wypróchniałe drzewo; znaleziono w tém drzewie dwa dojrzałe zwierzęta, samca i samicę, które, wyjąwszy czas parzenia się, rzadko przy sobie bywają; samica zdawała się być ciężarną. Dr. Meigs otrzymał je dnia 27 lutego, i po najtroskliwszém obejrzeniu worka (*Marsupium*) nie dostrzegł żadnego śladu rozwinięcia się gruczołów piersiowych przy podstawie delikatnych brodawek. Było tak aż do 2 marca; 3go gruczoły piersiowe stały się widocznymi, można je było i dotykaniem rozeznąć: odtąd prędko się powiększały, i już 5go tegoż miesiąca stały się twarde i nabrzmiały: następnego dnia, w którym autor nie mógł sam zwierzęcia uważać, służący jego zaglądał do worka, i jeszcze żadnego młodego u brodawek nie znalazł. Rano dnia 7 marca, autor otworzył worek i znalazł młode zwierzątko u brodawek wiszące.

Potrzebne więc do przyjęcia młodych przygotowanie worka, odbyło się w przeciągu dni 4, tojest od 3 do 7 marca, a mniemanie, jakoby embryon zupełnie tam gdzie się u skóry worka zawiesza, brodawki ssaniem wyciągał, okazało się bezzasadném; rozwijają się one *pierwój*, zupełnie jak u każdego innego zwierzęcia ssącego.

Ciężarność macicy doszła zapewne do końca w nocy z 6 na 7 marca, a więc w 17—18 dni od odbytego parzenia się, które pewnie aż do 18 lub 19 lutego trwało; lubo poczęcie mogło już o kilka dni wcześniej nastąpić.

Według profesora Owena, ciężarność macicy kangura, trwa dni 39; nie zważał on na poprzedni stan brodawek piersiowych. Kangur jest zwierzęciem wielkiem, kiedy kaletnik rzadko nad 15 do 16 funtów waży.

Wielce to był przyjemny widok, mówi autor, ujrzyć za otworzeniem muskułu zamykającego, wewnątrz worka 13 młodych kaletników, silnie do tyłu brodawek poprzyczepianych i z chciwością ssących; wszystkie one miały jednakową wielkość, były gołe i ciemno-czerwonego koloru, poruszały przednimi nogami, łapkami i głową całkiem dobrowolnie. Autor odjął jedno od piersi, u której było tak uczepione, że prawie bał się, ażeby go nie rozerwać; nie okazało się wszakże żadne nabrzmienie na końcu brodawki za miejscem ssania młodego. Odtęczenie nastąpiło bez skaleczenia, przynajmniej nie można było odkryć śladu krwi ani na pyszczku młodego, ani na brodawce matki. Ważyło zupełnie $3\frac{1}{2}$ granów, a od mordki do ogona było $\frac{8}{10}$ cala długie. Włożone w szkło od zegarka, czołgało się w niem naokoło i przewracało się z jednego boku na drugi. Przez lupę można było widzieć, iż oddychało przez obydwa nozdrza i pyszczek; zmarło w godzinę i 29 minut po odjęciu od macierzyńskiej piersi. Autor je anatomizował.

Język zwierzątka $\frac{1}{3}$ długości głowy wynoszący, był mleczno-biały i pół-walcowato sklepiony, ażeby mógł brodawkę objąć i do podniebienia przycisnąć; pyszczkiem był otwór tylko przez lupę wyraźnie widzieć się dający; jama pyszczka obszerna; przepona bardzo naciągnięta. Serce odziane wor-

kiem serdecznym, było wielkie i silne, również bardzo wielka wątroba. To co wypełniało żołądek, przez mikroskop badane, okazało się kulkami mléka; w zakrętach kiszek było mléko i chyl, tu i owdzie przez żółte żółto zafarbowane; nawet pęcherz moczowy cieczą był wypełniony. Obydwa płuca składały się z samych drobniutkich, przezroczystych pęcherzyków. Sznurka pępkowego żaden ślad, nawet przez lupę, nie dał się znaleźć.

W pięć dni później, 12 marca, odjął autor drugie od macierzyńskiej piersi; to ważyło 12 granów i 32 razy na minutę oddychało. Dnia 18 marca odjął trzecie, które 18 granów ważyło, a ogon miało już tak mocny, że nim uchwycić mogło. Autor wpuścił je do spirytusu, w którym dopiero po 16 minutach żyć przestało.

Tym sposobem, wnioskuje autor, młode kalefniki prowadzą w worku swojej matki zupełnie to samo dobrowolne życie, i opatrzone są całkiem temi samemi środkami do niezawisłego istnienia: układem trawienia, oddychania i nerwowym, co młode innych zwierząt ssących podczas ssania.

Prof. Owen oświadcza się w piśmie późniejszym, przeciw utrzymywaniu autora, jakoby stan brodawki piersiowej podczas ciąży kangura nieuwagą pominął, przytaczając miejsca z swojego pisma dawniejszego, w których jest, że najwyższa brodawka na prawej stronie u samicy kangura, była w użyciu i miała blisko dwa cale długości, gruczoł młeczny był mocno nabrzmiaty, gdy trzy inne nieużywane brodawki, były tylko na $\frac{1}{2}$ cala długie, a ich gruczoły młeczne nie dały się widzieć. Piętnastego dnia ciąży (11 września) żadna jeszcze zmiana nie dała się dostrzedz; w 34 dniu brodawka młeczna znacznie się zmniejszyła, bo młode od niej zmarło; trzy inne jeszcze 38 dnia nie zapowiadały bliskości porodu, a jednakże nazajutrz znalazło się nowonarodzone młode, u górnej brodawki przez wcześniejsze młode opuszczonej; ta tylko zawierała mléko, gdy inne nie były nabrzmiate.

Dr. Meigs, uznaje za niepodobne do prawdy to, ażeby ssące zwierzę, które oddycha, w którym krew krąży i któ-

re trawi, mogło się rozwijać niezależnie od łożyska (*placenta*); lecz prof. Owen zwraca uwagę na zmiję, która rodzi płód żywy, a ten lubo jest także trzema powyższemi funkcjami obdarzony, rozwija się jednak bez łożyska. Ta okoliczność zdaje się mu nawet nie być tak istotną, bo ptaki, u których oddychanie i krążenie żywszém jest jeszcze niżeli u zwierząt ssących, bez łożyska się rozwijają. Lecz bardzo ważném jest podług niego, oznaczenie przez Meigsa zakresu trwania ciąży u kaletnika, tylko szkoda, iż Dr. Meigs uważając odziwki embryonalne i ich przysadki u młodych kaletników, nie zwrócił zarazem uwagi na macicę matki podczas ciąży i zaraz po rozwiązaniu: badanie, które byłoby mogło od razu rozstrzygnąć pytanie, czy jest czy nie ma łożyska. U kangura, podług Owena, niema łożyska. (*Id. nr. 100 z The Annals of nat. hist. nr. 134. 1847*).

* W Wellington na Nowej Zelandyi, pomiędzy kośćcami moy (1), znalazł Walter Mantel skorupy jaj potłuczonych. Należą one do rozmaitych jaj, przeto do odmiennych moy gatunków; w ogólności są podobne do jaj strusich, na zewnętrznej jednak powierzchni skorupy, zamiast drobnych okrągłych kropek, mają również drobne, przerywane, króskowate dołki, które u różnych gatunków, rozmaicie są ułożone. Skorupa stosunkowo cieńsza jest niż na jajach strusim, ale wnosząc z jej mniejszej sklepistości, jaje musiało być większe od strusiego. P. Mantel zebrał znowu 700 do 800 kości rozmaitych ze szkieletu tego olbrzymiego ptaka; udało mu się nawet wynaléć kilka zuchw, których jeszcze dotąd nie miano. Zbiór jego jest już w drodze do Anglii. (*Id. nr. 94. z The Annals of nat. hist. nr. 133. 1847*).

* W zbiorze p. Darter Marsh w Greenfield w Massachusetts, znajdują się niezmiernéj wielkości ornitotychnity (2), to jest wyciski śladów ptaka olbrzymiego. Znalazły

(1) Zob. Bibl. Warsz. z r. z., tom II, str. 203; tom III, str. 199.

(2) Zob. Bibl. Warsz. z r. z., tom III, str. 196.

się one w licznych okazach nad rzeką Connecticut, w głębokości 30 do 40 stóp wynoszącej; odległość jednego od drugiego śladu 7 stóp wynosi, a długość palców 18 cali. Według tego ptak musiał mieć wielkość prawdziwie olbrzymią, a mianowicie bardzo długie nogi, kiedy takie potężne kroki stawiał. Zalecają jeszcze ten zbiór wyciski stóp ptaków mniejszych, nader pięknie dochowane skielety ryb kopalne, i jedna z pierwszych monet amerykańskich z r. 1652. (*Id. nr. 97 z The literary Gazette. 1847, nr. 1600*).

* W Nowej Południowej Walii, wszędzie pomiędzy krzakami znajduje się niesłychana moc mniej lub więcej jadowitych węzów, a jednakże, rzecz osobliwsza, rzadko tam kto ukąszonym przez nie bywa. Najmniejszy, znany przesyłającemu gatunek, jest około 8 cali długi, grubości piszczałki, a głowę ma podłużną i przyplaszczoną; przeciwnie wąż dyamentowym zwany, który się w wodzie utrzymuje, niezmierniej dochodzi wielkości. Przed kilku laty znaleziono pod mostem Paramatta takiego, który miał 27 stóp długości. Pośredni między niemi jest wąż czarny, który na 3 do 7 stóp bywa długi, a którego ukąszenie jest śmiertelnym, wszakże jadowitszym ma być jeszcze wąż brunatny, który tylko 4 stopy długości miéwa. Inny piękny, długi ale cienki wąż miedzianego koloru, jest mniej pospolity, lecz czy jadowity, przesyłający nie może oznaczyć. Oprócz tego znajdują się różne inne, szare, żółte, zielone i pręgowane gatunki, i ledwie przejdzie lato, a już odkrywają się nowe, jeszcze nieznanne. Wędownik jeden więcej nad 20 gatunków naliczył. Zwykle za zbliżeniem się człowieka uciekają, niekiedy jednak groźnie mu się stawiają, tak iż nie wiadomo jeszcze, czy istotnie boją się człowieka. Przyjaciel przesyłającego, przez czarnego węza, którego na gnieździe napadł, ścigany był aż w ulicę, i byłby niezawodnie został ukąszony przez niego, gdyby się nie był odwrócił szybko i goniącego z rusznicy nie zastrzelił. Wzrok człowieka ostro na węza zwrócony, zdaje się mieć wielki wpływ na niego i hamować jego napad. (*Id. nr. 94. ex. eod.*)

* Skielet żaby samca, według F. Puszeła, znacznie się różni od skieletu samicy, a różnica ta rozciąga się nietylko do okolic miednicy, ale i w przednim końcu jest widoczną. Wiadomo, że samiec żaby, na 8 do 15 dni przed parzeniem się, z całą siłą obejmuje przednimi nogami samicę, i rzeczywiście cała budowa przodu samca, zdaje się być ku temu zastosowana celowi. Na różnicę pomiędzy samcem a samicą w budowie ręki, już przedtém wielu anatómów uwagę zwracało; u samca jest ona daleko bardziej rozwinięta, i ma nadliczbową, blisko wielkiego palca położoną kostkę. Mostek u samca jest krótszy ale silniejszy, na bokach lepiej rozwinięty; obojczyki także krótsze i silniejsze, więcéj do przyciągania ręki usposobione. Ale najważniejsze różnice zachodzą w budowie ramienia, które daleko dłuższe i silniejsze niż u samicy, na pierwszy rzut oka oznaczyć skielet dozwala; dwie listwy nadają mu wejście płaskie; przedni i górny z tych grzebieni niewiele jest więk­szy jak u samicy, ale grzebień od spodu i ku tyłowi leżący, $\frac{2}{3}$ kości zajmuje i daleko nożowato wybiega; służy on za punkt przy­czepienia muskułom zginającym, których działanie do powyższego przeznaczone jest celu. (*Id. nr. 108, z Comptes rendus, 22 nov. 1847, nr. 21*).

* W ostatnim tomie Biblioteki Warszawskiej z r. z. od str. 205 wyłożyliśmy treść pracy p. Robin w przedmiocie budowy i przeznaczenia osobnego organu u płaszczyk (*Raia*), odpowiedniego elektrycznemu u drętwicków (*Torpedo*) i innych ryb elektrycznych. Niezależnie z tą pracą, zajął się jój przedmiotem A. Retzius, z którego opisanie w Archiwum skandynawskich dopełnień do hist. nat. (Cz. 2, zes. 2, 1847), następujący wyciąg dziennik Froriepa umieszcza:

„Te godne uwagi organa postrzegł najpiérwszy Monro (1785); po nim badali je kolejną: Jacobson, Desmoulins, Mayer i Miescher. Monro opisał je krótko i niedokładnie; widział on tylko dwa z pomienionych organów, w które wchodziła para wielkich gałęzi nerwowych, a które z podskórnymi rurkami w związku zostawały; poczytywał je za organa do wyłączania śluzu, pod wpływem potężnych

nerwów zostające. Jacobson przyjmuje pięć takich organów po każdej stronie kręgosłupa; każdy, według niego, składa się z części najistotniejszej, środkowej, i z części obwodowej, to jest z podskórnej rurki. Część środkowa utworzona jest z włóknistej torebki, w której jamę wchodzi gałęzie piątej pary nerwów, dla połączenia się z mnóstwem drobnych, dętych, tępych, na końcu czterema lub pięciu pęcherzami opatrzonych stożkowatych ukształceń; w każdym z nich rozpościerają się, jakby wiotka błona, po wewnętrznej stronie gałęzie nerwowe. Ukształcenia te, są podług niego wypełnione przezroczystą cieczą, i w podskórne rurki przechodzą. Jacobson ukazał ten przyrząd również u żarłaczów (*Squalus*), jako i u elektrycznych płaszczyk, i dowiódł że nie jest ani organem wydzielania ani też elektrycznym, tylko właściwej rybom tego rodzaju formy narzędziem czucia, odpowiedniemi włoskom nozdrzowym (*vibrissae*) i wąsikom (*mystax*) zwierząt ssących i ptaków.

Zdaje się jednak iż to ciekawe przedstawienie Jakobsona całkiem zapomnieniu uległo, bo następcy jego powtórnie te same organa, i to tylko u płaszczyk, opisywali, nie istotnego nie dodając. Oprócz tego Desmoulins znalazł trzy tylko takie organów pary, uważając je wszakże za narzędzia dotykania: Mayer w idział, jak Monro, tylko ostatnią ich parę, i uznał ją za niezaprzeczony rudymet przyrządu elektrycznego. Miescher widział u płaszczyk cztery pary, a udowodnił obecność ich także u żarłacza i u drętwicka, uznał je wszakże za organa wydzielające.

Autor badał te organa u *Raja batia* i *Squalus acanthias*. U płaszczyki znalazł ich cztery tylko pary, sądzi więc że Jacobson ułudził się ich położeniem: ale dr. Karsch domyśla się, że para ku wierzchołkowi paszczy leżąca, u niektórych gatunków płaszczyk podwaja się, i dlatego Jacobson znalazł o jedną parę więcej. Pierwsza para leży według autora blisko paszczy, a ta jest najmniejsza; druga większa blisko pokrycia skórniego na spodniej stronie; para trzecia, kształtu i wielkości orzecha laskowego, leży bliżej strony

grzbietowej, pod chrząstkowatym wyrostem który organ widzenia chroni; czwarta, podobnego kształtu, ale nieco większa, leży zewnątrz wielkich masseterów, pomiędzy nimi a obok nich biegnącemi wielkimi płetw promieniami. U żarłaczów znalazł autor tylko najtylniejszą parę na bokach głowy, tuż pod skórą, zewnątrz na masseterach, bliżej ich tylnego brzegu. Do tych wszystkich par idą rurki skórne, ale najwięcej i najdłuższe do trzeciej pary. Trzy najbliższe przodu organów pary, przyjmują rurki od głowy, czwarta do reszty ciała należące rurki”.

Opisawszy dalej kształt i związek tych rurek z innemi organów częściami, autor mówi, że wszystkie nerwy do nich wchodzące, należą do piątej nerwów pary, i że już z tego samego wniesć należy, iż to są organa czucia, które do oczu i uszu przyrównywa. Popiera on tym sposobem i przyjmuje zdanie Jacobsona, zgadzając się z nim zupełnie, że wrażenia udzielają się galaretowatej cieczy wypełniającej rurki, a stąd do końców piątej pary nerwów przechodzą zupełnie tak, jak ta sama nerwów para odbiera wrażenia przez wąsiki i włoski nozdrzowe. (*Fror. Not.* 1848, nr. 92).

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1847.

KRAKÓW.

171. Rozpoznawanie zapaleń ocznych w ogólności, a w szczególności zapaleń ocznych samodzielnych. Napisał Ludwik Bierkowski profesor chirurgii, oraz dyrektor kliniki chirurg. w uniwersytecie Jagiellońskim. 32. Kraków. 1847. Druk Stanisława Gieszkowskiego. Str. XII i 143. Złp. 5.

1848.

WARSZAWA.

86. Pamiątka dla moich dzieci, przez Autorkę Powieści moralnych dla dzieci (M. Monikowską). 12ka. Warszawa. 1848. Nakład autorki, druk Orgelbranda. Str. 149. Złp. 4.

W I L N O.

87. Listopad, romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku, przez autora Pamiątek Starego Szlachcica Litewskiego. Wydanie nowe poprawne we 2ch tomach, ozdobione portretem na stali księcia Karola (Panie kochanku) Radziwiłła. Z godtami:

Nam cunctas nationes et urbes, singuli aut primores, aut populus regunt. Delecta ex his et consociata forma facilius laudari quam evenire, vel si evenit baud diuturna esse potest.

Cornelius Tacitus.

Fortuna variabilis, Deus admirabilis.

Słowa powiedziane Karolowi Gustawowi przy grobie królów polskich w Krakowie, przez jednego z kanoników.

Wydanie Adama Zawadzkiego. 2 tomy. 12ka. Wilno. 1848. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Tom I, str. XIX i 436. II, 491. Złp. 24.

88. Wędrówki oryginala, z rękopismu nieznanego autora, drukiem ogłoszone, przez Józefa Korzeniowskiego. 12ka. Wilno. 1848. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 357. Złp. 11.

1849.

WARSZAWA.

8. Kalendarzyk dla dzieci przez Stanisława Jachowicza na rok 1849. Rok drugi. Warszawa. W drukarni Stanisława Strąbskiego. Str. 72. Złp. 2 gr. 10.

9. Pamiętnik domowy, Kalendarz i rachmistrz dla wszystkich stanów, na rok 1849. Ułożył i własnym nakładem i drukiem wydał J(an) Glücksberg, księgarz szkół publicznych w król. polskiem. Rok czwarty. 8ka. Warszawa. 1849. (Druk J.Glücksberga). Str. XLVII, 322, i 18. Złp. 2 gr. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Znany powieściopisarz Józef Dzierzkowski wydał nową powieść p. n. „Szpicrut honorowy”. w jednym tomie.

Tom pierwszy zapowiedzianego dzieła R. Swierzbńskiego: „Historya cywilizacyi rzymskiej”, już opuścił prasę drukarską.

Wyjątek z listu J. Krasz. do T. z d. 3 grud. 1848.

....Zdrowie moje dziś trochę lepsze, ale niezupełnie; zdrowie to jeszcze łatane. — Sprzedałem moję wioskę i drugą szukam. Piękny mój Gródek przy swoim wdzięku miał tę wadę, że nie dawał pieniędzy, a bez pieniędzy i na wsi trudno. Dla mnie one między innymi reprezentują: książki, których potrzebuję, sztuchy, w których się kocham, i spokój który cenię. — Moje życie splywa mi cicho i jednostajnie przy rysunku, malowaniu, za stolikiem i z książką. — Piszę niewiele teraz i cały czas zajmuje mi mój: „Słownik artystów” i: „Ikonotheka Polska”, które wykończam. — Z nowości piśmiennych mamy tu lub raczej mieliśmy: Władysława Grozy *Gwiazdę*, *Lewiatana*, *Pieśni nasze Ruszejki* (Ad. Pieńkiewicza); prenumerowaliśmy także na *Skelety Sowy*, ale jeszcze nie wyszły. — Athenaeum moje lub będzie wychodzić z nowém życiem i wysiłkiem, lub je zakończę.

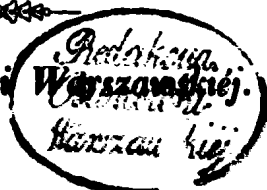
Z listu p. Z. z Wołynia.

....„Szczególniej zajmują dziś u nas dwa pisma wychodzące w Kijowie: *Gwiazda*, wydawana p. Benedykta Dołęgę i *Lewiatan* p. Alberta Gryffa. Oba te pisma mają wychodzić i na rok 1849. Prócz tego pan J. J. P. znany zaszczytnie ze swych poezyj zamieszczanych w Athenaeum i *Gwiazdzie*, przygotował do druku swe prace: „Oto są grzechy mojego żywota, księga pieśni” i „Faktorstwa sądowe, kronika współczesna”, tomów 2. Wydaniem powyższych dzieł, przysłuży nam się nateraz Kijów”.

J. Pietraszewski dr. filoz. i profes. języków wschodnich żyjących przy uniwersytecie w Berlinie, ogłosił w Tygod. Petersb. przedpłatę na: *Opisanie podróży i pożycia w ośmioletnim pobycie na Wschodzie, w trzech tomach, w 8ce.* Jestto opisanie topograficzne, etnograficzne, estetyczne i statystyczne państwa tureckiego, wraz z jego rządem i bezrządem miast, wiosek i t. p. Przedpłata wynosi 36 złp. włącznie z kosztami przesyłki.

Zapowiedziana mapa do art.: „O znaczeniu Zaporozia” będzie zamieszczona w następnym zeszycie Biblioteki.

Redakcja Biblioteki



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Listopad 1848.

Lutopad 1848.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18^o41'25,45 na wschód

astronomiczném Warszawskiem.

go szerokość geogr. 52^o13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,
zględem południka paryzkiego.

| Dnia | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 ^o | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|------|--|-----------|-------------|-------------|---------------------------|-----------|-------------|-------------|--|------------|-------------|--------------|--------------|-----------------|---------|---------|---------|--|-------------|
| | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | dé- szczy | śnie- gu |
| | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | | dz. rano | god. rano | godz. wiecz. | godz. wiecz. | god. r. | god. r. | god. w. | god. w. | | |
| 1 | 738.21 | 738.72 | 739.58 | 741.61 | + 8.5 | + 8.8 | + 9.6 | + 6.7 | 97.5 | chmurny | dészcz | dészcz | pochmurny | Z. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | 10.0 | |
| 2 | 744.13 | 746.01 | 746.92 | 747.66 | + 4.8 | + 5.9 | + 4.0 | + 1.8 | 88.0 | chmurny | chm. podz. | pogodny | pogodny | Z. | Z. | Pd. | Pd. | | |
| 3 | 747.40 | 747.83 | 747.08 | 746.96 | + 1.8 | + 4.7 | + 6.8 | + 2.7 | 96.7 | chmurny | chm. podz. | pogodny | pogodny | PdW. | PdW. | PdW. | - | | |
| 4 | 744.02 | 742.16 | 736.50 | 731.72 | + 0.4 | + 3.7 | + 7.4 | + 8.4 | 92.5 | chmurny | pochmurny | napót pog. | mgła | PdW. | PdW. | Pd. | Pd. | | |
| 5 | 731.60 | 733.46 | 736.88 | 737.89 | + 5.2 | + 3.8 | + 2.0 | + 0.1 | 83.0 | a grub. | napót pog. | pochmurny | pochmurny | PdZ. | Z. | Z. | Z. | 7.32 | |
| 6 | 738.24 | 738.16 | 736.44 | 736.06 | - 1.0 | + 1.5 | + 2.7 | + 2.0 | 87.7 | chmurny | pochmurny | napót pog. | pogodny | PdZ. | Z. | Z. | Z. | | |
| 7 | 737.88 | 738.08 | 737.29 | 739.95 | + 4.6 | + 5.7 | + 6.9 | + 5.0 | 87.2 | pogodny | pogodny | pochmurny | dészcz | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | 6.0 | |
| 8 | 744.82 | 747.18 | 749.27 | 751.26 | + 1.8 | + 4.1 | + 4.5 | + 0.5 | 85.2 | chmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Pd. | PdZ. | Z. | Pd. | | |
| 9 | 750.95 | 751.89 | 753.17 | 756.54 | + 1.5 | + 3.8 | + 4.0 | + 0.6 | 90.0 | pogodny | pr. pogodny | napót pog. | pochmurny | Pd. | PdZ. | Z. | Pd. | | |
| 10 | 757.92 | 757.94 | 756.65 | 756.81 | - 1.3 | - 0.5 | - 0.2 | - 0.5 | 95.7 | chmurny | mgła | pr. pogodny | napót pog. | W. | W. | PnZ. | Pn. | | |
| 11 | 757.67 | 758.02 | 757.84 | 757.92 | - 0.2 | + 1.1 | - 0.3 | - 1.5 | 96.7 | chmurny | pochmurny | śnieg | pochmurny | Pn. | PnW. | PnW. | Pn. | 6.0 | |
| 12 | 757.63 | 757.45 | 757.45 | 756.36 | - 3.8 | - 1.6 | - 0.7 | - 1.8 | 96.0 | chmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnW. | PnW. | PnW. | W. | 0.2 | |
| 13 | 752.09 | 751.14 | 745.94 | 743.76 | - 2.5 | - 2.0 | - 1.0 | + 0.6 | 96.7 | pogodny | pogodny | smugi | pogodny | Pd. | Z. | PdZ. | Z. | 6.4 | |
| 14 | 738.50 | 734.80 | 731.51 | 735.64 | + 0.8 | + 0.5 | + 0.6 | + 0.9 | 98.5 | chmurny | pochmurny | śnieg drob. | śnieg drob. | Pd. | Pd. | PdZ. | Pn. | 4.8 | |
| 15 | 742.89 | 745.15 | 747.45 | 751.31 | - 0.9 | + 0.7 | - 1.5 | - 3.4 | 95.0 | chmurny | śnieg | śnieg | pochmurny | Pn. | - | Pn. | PnZ. | | |
| 16 | 752.39 | 751.44 | 744.07 | 740.23 | - 6.3 | - 1.3 | + 0.6 | + 0.1 | 98.2 | chmurny | śnieg drob. | śnieg gęsty | pochmurny | PdZ. | - | Pn. | PnZ. | | |
| 17 | 747.62 | 750.05 | 749.83 | 740.30 | - 2.7 | - 2.2 | - 3.2 | - 0.3 | 94.0 | pogodny | pochmurny | śnieg | śnieg | Pd. | Pd. | Z. | Z. | 2.4 | |
| 18 | 737.80 | 737.70 | 737.14 | 738.27 | + 1.2 | + 2.2 | + 2.8 | + 3.4 | 94.0 | chmurny | pr. pochm. | napót pog. | pochmurny | Pn. | Pn. | PnZ. | PdZ. | | |
| 19 | 736.99 | 736.98 | 738.34 | 743.16 | + 2.2 | + 2.6 | + 4.1 | + 3.1 | 93.5 | chmurny | pochmurny | pochmurny | chm. podz. | Z. | Z. | Z. | Z. | 4.0 | |
| 20 | 751.67 | 755.63 | 756.92 | 755.82 | + 0.4 | + 0.1 | - 0.9 | - 1.3 | 91.0 | chmurny | dészcz | pochmurny | pochmurny | Pn. | Pn. | Z. | Z. | | |
| 21 | 752.87 | 752.67 | 750.72 | 751.37 | - 2.1 | + 0.9 | + 1.4 | - 0.6 | 86.0 | chmurny | pogodny | pr. pogodny | pogodny | Z. | PdZ. | Z. | Z. | | |
| 22 | 751.27 | 753.78 | 752.72 | 751.97 | - 1.1 | + 0.8 | + 1.4 | - 1.6 | 92.7 | mgła | pogodny | pogodny | pogodny | Z. | Z. | PdZ. | PdZ. | | |
| 23 | 750.32 | 750.06 | 748.38 | 748.02 | - 2.7 | + 0.5 | + 3.0 | + 0.9 | 90.2 | pogodny | smugi | pogodny | pogodny | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | | |
| 24 | 746.81 | 747.37 | 747.13 | 747.54 | + 0.2 | + 2.5 | + 3.6 | + 1.5 | 91.7 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PdZ. | PdZ. | PdW. | PdW. | | |
| 25 | 747.19 | 748.30 | 751.03 | 754.81 | + 2.0 | + 4.5 | + 2.4 | + 1.0 | 93.7 | pogodny | pogodny | napót pog. | pr. pochm. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | Z. | | |
| 26 | 757.84 | 759.37 | 759.87 | 759.42 | - 0.5 | + 0.5 | + 0.1 | - 2.8 | 97.5 | chmurny | napót pog. | pochmurny | napót pog. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | Z. | | |
| 27 | 755.21 | 754.38 | 751.30 | 750.70 | - 2.7 | + 1.6 | + 2.8 | + 2.7 | 94.5 | pogodny | pochmurny | mgła | pogodny | PnZ. | Z. | PdZ. | PdZ. | | |
| 28 | 748.84 | 751.27 | 752.41 | 752.10 | + 4.8 | + 6.2 | + 6.4 | + 6.1 | 97.7 | chmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdZ. | PdZ. | Pd. | PdZ. | 2.8 | |
| 29 | 749.47 | 749.34 | 744.86 | 745.95 | + 5.6 | + 6.1 | + 7.5 | + 8.4 | 88.2 | chmurny | dészcz pada | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | Z. | PdZ. | | |
| 30 | 745.68 | 746.52 | 743.66 | 746.22 | + 7.9 | + 8.9 | + 8.6 | + 6.8 | 87.5 | chmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | Z. | Z. | 1.8 | |
| Śre. | 747.194 | 747.729 | 746.938 | 747.311 | + 0.88 | + 2.48 | + 2.85 | + 1.76 | 92.5 | | | | | | | | | 31.92 | 19.8 |

| | mm. | c. | l. |
|---|------------|------------|-------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 747.293 | 27 | 7.272 |
| Najwyżej dochodził — d. 26 o g. 4 w. | 758.02 | 28 | 0.848 |
| Najniżej — — d. 14 o g. 4 w. | 731.60 | 27 | 0.275 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 5.45 | | 2.42 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 10 r. | 18.65 | | 8.27 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | 3.358 | | 1.488 |
| Średnia temperatura Listopada wynosi + i ta jest wyższą o od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | 750.651 | 27 | 8.760 |
| Największe ciepło dochodziło d. 1 o g. 4 w. | + 10.96 C. | + 10.57 R. | |
| Największe zimno dochodziło d. 16 o g. 6 r. | 0.56 „ | 0.45 „ | |
| (Termometrograf wskazał Maximum: + 8.° R. d. 1 i 30 Minimum: — 6.° R. d. 16). | + 1.40 „ | + 1.12 „ | |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | + 9.6 „ | + 7.7 „ | |
| Największa zmiana dzien. d. 4—5 o g. 10 w. | — 6.3 „ | — 5.0 „ | |

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 92.5, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 4.70 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest większa o 3 setne niż zwykle.

- Dni pogodnych było 4; napót pogodnych 11; pochmurnych 15.
 — deszczu 9 (d. 1, 5, 7, 18, 19, 25, 27, 28, 30.)
 — śniegu 9 (d. 6, 7, 10, 11, 13, 14, 15, 16, 18).
 — mgły 4 (d. 4, 9, 13, 26).
 — błyskawic bez grzmotów 1 (d. 18).

Wody z deszczu spadło 31.92 millim. czyli 14.15 linii paryzkich z śniegu 19.8 millim. czyli 8.78 lin. paryz. razem wody z deszczu i śniegu 51.72 millim. czyli 22.93 lin. paryz. to jest o 7.74 lin. par. więcej jak zwykle.

Wiatry panujące były: zachodnie i południowo-wschodnie.

Wichrów było 5 to jest: Z=2; PnZ=1 i Pd=2.

Listopad r. z. co do temperatury i stanu nieba był zmienny i wilgotny, w ogóle jednak pogodniejszy i o pół stopnia cieplejszy jak zwykle. Pierwsze cztery i ostatnie trzy dni miesiąca były ciepłe; przeciwnie ośm dni t. j. od dnia 10 do 18 i cztery dni 20, 21, 22, 26 były mroźne. Dészcz i śniegi były częstsze niż lat innych. W dniach 13, 14, 15, 16, śnieg spadł tak obfity, iż sankami jeżdżono, po kilku jednak dniach śnieg stopniał. Pierwszy mróz tej jesieni 1 stop. R. wynoszący, był d. 1 nad ranem i pierwszy śnieg pruszył d. 4 z rana. Elektryczność atmosferyczna dodatna czyli szklana była widoczną w dniach 6, 20, 23, 24, 27; bardzo stałą d. 14, 17, 22, 24, w innych dniach śladu jej nie dostrzeżono.

D. 8 w wieczór obręcz biała otaczała księżyc.

D. 17 w południe koło białe otaczało słońce.

D. 17, 21, zorza północna w świetnych kolorach.

D. 25, zorza północna słaba w postaci tony białej.

D. 17, 23, plamy na słońcu były widzialne.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY PO KRAJU,

odbytej przez 8 uczniów Instytutu Agronomicznego
w Marymoncie, pod przewodnictwem Wojciecha Ja-
strzębowskiego, w czasie wakacyj, t. j. w miesią-
cach lipcu i sierpniu 1848 r.

W najodleglejszej starożytności już uznano podróże, jako bardzo potrzebny i skuteczny środek wykształcenia ludzkiego; bo też rzeczywiście w żadnej szkole nie da się nagromadzić tyle i tak różnorodnych wiadomości, ile ich podróżując zebrać można. Lecz nietylko ta jedna korzyść ztąd wynika: widzimy w historii, że wszystkie narody odbywające podróże, są zawsze najoświeceniwsze, najbogatsze i bardzo możne: np. Fenicyanie, Grecy, Kartagińczycy, narody niewielkie, przodowały jednak w cywilizacji innym ludom dawnego świata, nieporównanie od siebie większym i liczniejszym. W średnich wiekach miasta włoskie, a z nich szczególniej rzeczpospolita wenecka, zakwitła i wzniosła się do najwyższej potęgi i sławy tymże samym sposobem, dopóki jej w późniejszych czasach Anglia nie zastąpiła. Prze-

ciwnie zaś Chiny, państwo może najdawniejsze i niemal najrozleglejsze, 6 razy większe od Francji, a mające więcej ludności jak cała Europa, jest jednak bezsilne, i że tak powiem przestarzałe. Przemysł i nauki są tam na bardzo niskiej stopie i w zupełnym letargu, z którego się nie przebudzą, póki ten kraj będzie tak w sobie zamknięty.

Najoczywistszy zresztą dowód użyteczności z podróży naukowych, widzimy w dzisiejszych najwyżej oświeconych krajach, jak w Niemczech, Francji, Anglii i t. p., gdzie ludzie wszelkiego stanu po ukończeniu nauk, które ich sposobią do właściwego im powołania, zwykle naukową podróż odbywają; i gdyby tylko jeden nowy i pożyteczny szczegół w każdym miejscu dla siebie przyswoili, to po zwiedzeniu kilkudziesięciu lub więcej miejsc, nagromadzą sobie piękny zapas wiadomości, którychby może w żadnej książce nie znaleźli. To jest też jedną z głównych przyczyn tak prędkiego tam wzrostu i szybkiego postępu wszelkich sztuk i umiejętności.

Jednak każdy, nim zamierzy sobie zwiedzić obce kraje, powinien swój własny wprzód dokładnie poznać; i przeciw temuto zgrzeszyło już wielu, którzy przejąwszy się najlepszymi i najpożyteczniejszymi nawet zagranicznymi zasadami gospodarskimi, nie mając przytém własnego doświadczenia, chcieli je żywcem przyswoić na swój rodzinnej ziemi, nie zważając na różność klimatu, gruntu, ceny produktów, miejscowości i t. p. Naturalnie że tacy tracić muszą, lecz tylko z własnej winy, a nie przez podróże, które szczególniej po własnym odbywane kraju, są dla gospodarzy bardzo potrzebne; przedmiotem ich bowiem najgłówniejszym jest uprawa i polepszenie ziemi, której jeżeli nie znają, nie będą mo-

gli odpowiedzieć zamierzonemu sobie celowi. Przez zwiedzenie kraju, poznają oni różne gatunki gruntu, różne systemata jego zagospodarowania; jedném słowem, rozmaite nowe ulepszenia w gospodarstwie, z których później korzystać potrafią.

W naszym kraju, piérwszy a zarazem jedyny człowiek, który z młodzieżą odbywa gospodarskie podróże, jest szanowny Wojciech Jastrzębowski, professor nauk przyrodzonych w Marymoncie. Onto prowadzi co rok niemal po kraju, piechotą, młodzież pragnącą nabycia nowych wiadomości, nie zważając ani na swój wiek, ani na trudy, znoje i częste niewczasy; onto z młodzieńczą siłą i zapalem wiódł nas to do najbliższych gospodarstw, to na najwyższe góry: sam zawsze naprzód, zagrzewając swym przykładem ducha naszego, osłabionego niekiedy, znużeniem, a uprzyjemniając całą naszą podróż swemi nauczającemi rozmowami. Pragniemy téż publicznie złożyć mu nasze winne podziękowanie za tyle poświęcenia się jego dla wykształcenia młodzieży; bo prócz niego, nikomuby się może nie chciało, i rzadko kto byłby w stanie tak korzystnie odbywać takie podróże z młodzieżą jak on; bo obok swoich obszernych wiadomości we wszystkich naukach, a mianowicie w przyrodzonych, zwiedzając nasz kraj przez 20 przeszło lat, poznał go w szczegółach najdrobniejszych tak pod względem klimatologicznym, geograficznym, geologicznym, mineralogicznym i zoologicznym, jak pod względem znajomości miejsc pięknych i ciekawych w naszym kraju.

We wtorek dnia 5go lipca zebraliśmy się w Marymoncie, lecz że było niesłychanie gorąco, przepędziliśmy ten dzień wesoło na pożegnaniach, a dopiero o 6tej wieczorem, wyszliśmy ochoczo, pełni zapału poznania jak

najprędzej wzorowych gospodarstw, odprowadzeni od naszych kolegów, którzy życzyli nam dobrej podróży, a może i zazdrościli tak miłej i nauczającej. Pod Żeraniem przepawiliśmy się przez Wisłę, a obrawszy sobie kierunek północno-wschodni za główny, udaliśmy się przez niziny, które czasem zalewowi Wisły podpadają, do Białoleki. Wójt gminy tamtejszej pan Bachiński, ofiarował nam swój dom na nocleg, przyjął nas gościnnie, i bardzo uprzyjemnił nam ten wieczór swemi zajmującymi i nauczającymi rozmowami.

Nazajutrz wstawszy bardzo rano i nacieszywszy się zajmującym widokiem, jaki zawsze sprawia miłośnikowi wsi rozpoczynający się dziwny ruch życia wiejskiego, zwłaszcza w porze sianobrania i żniw, puściliśmy się, po pożegnaniu z uprzejmym gospodarzem w dalszą podróż. Minąwszy wsie Grodzisk i Marki, zatrzymaliśmy się dla posiłku w Kobyłce, dobrach pana Pieniążka, gdzie nas uderzył piękny lecz podupadły kościół, założony przez Marcina Załuskiego, biskupa drazneńskiego, suffragana płockiego, dla zakonu Jezuitów, do którego sam wstąpił i ustanowił missyą jezuicką 1763 roku, której był sam przełożonym. W kilkanaście lat po zniesieniu Jezuitów, kościół ten przeszedłszy różne koleje, oddany został w zarząd OO. Bernardynom, a dziś jest pod tytułem Śtój Trójcy. Od wielkich drzwi po prawej ręce, wznosi się wieża o 5 piętrach, ozdobiona malowidłami i figurami drewnianemi; na lewej stronie stoi druga wieża, lecz niedokończona. Wnętrze kościoła jest również w smutnym stanie, bo większą część obrazów i innych ozdób, czas i wilgoć zniszczyły; środek kościoła i sufit zachował jedynie wiele świeżości i wdzięku, cechującego rękę biegłego mistrza. Niedaleko wielkiego ołtarza,

schodzi się po wschodach do ogrójca i do wielkich podziemnych sklepów, gdzie są ślady katakumb w posadze, bez żadnego jednak napisu umieszczonych. Roku 1766 miały tu być wielka biblioteka i domy do rekolekcyi czyli do ćwiczenia duchownego, osobny dla mężczyzn, a osobny dla kobiet; lecz z nich śladu już niema. Za Stanisława Augusta Kobyłka słynęła wielką fabryką pasamoniczą i mydlarnią, które cały kraj w bogate pasy, jako też i w mydło zaopatrywały, lecz dziś nie mogliśmy się nawet o te budynki dopytać.

Po skromnym lecz zdrowym posiłku, puściliśmy się dalej; zostawiliśmy na boku Lipiny, lecz w Krzywicach, zastanowiły nas pięknie zbudowane domki włościańskie, z izbami wysokimi i o dużych oknach; opodal od mieszkań stały nowe, kształtne, małe stodołki, śpichlerze, a nawet i wozownie. Droga przez wieś idąca, dosyć prosta i dobra, była wysadzoną drzewami, i co wszystko razem miły urok na przechodniu sprawiało; a że upał był nieznośny i tłumoczki nasze trochę zanadto nas obciążały, więc wstąpiliśmy do jednego domku, w którym wszystko czystością i porządkiem tchnęło. Skrzętna gospodyni wyniosła nam zaraz ze zwykłą włościan naszych gościnnością śmietany i jagód świeżych, i od niej dowiedzieliśmy się, że tę wieś Andrzej hr. Zamojski oczynszował już od czterech lat, licząc po 6 złp. od morgi roli ornój. Podziękowawszy życzliwej gospodyni za posiłek, poszliśmy do Tuła.

Dziedzic tych dóbr pan Kurella, przechodzi dopiero z gospodarstwa trójpolowego na płodozmiennie, zaprowadzając kolój 9ciopolową. Włościan swych poczynszował, dając każdemu po 28 morgów roli i 3 morgi łąk, i pozwalając im mieszkać w dawnych do nich na-

leżących chałupach przez 3 lata, poczem obowiązani są czynszownicy swoim kosztem popostawiać sobie domy, wieś drzewami wysadzić i płacić z morga po złp. 3 gro. 10. Dla zachęcenia zaś swych włościan do polepszenia hodowli koni, zaprowadził pan Kurella wyścigi konne, wyznaczając pewną nagrodę koniowi wygrywającemu: pierwszego roku niewszyscy włościanie chcieli posyłać swe konie, lecz teraz oczekują już dnia tego z upragnieniem, a kilku ponabywali już lepsze konie.

Ztąd puściliśmy się prosto do Jadowa, lecz przechodząc już zmrokiem przez wieś Miąsse i nieco zmordowani, zostaliśmy zaproszeni na nocleg przez pana Górskiego, właściciela téj wsi, w którego towarzystwie przepędziliśmy bardzo przyjemnie ten wieczór.

W samym Jadowie, należącym do hr. Andrzeja Zamojskiego, owiec i krów niéma, tylko młoda jałowizna, a wołów i koni tyle, ile tego gospodarstwo wymaga. Panowie Teraskiewicz i Tomorowicz, byli uczniowie Instytutu agronomicznego w Marymoncie, którzy się tu bardzo gorliwie zajmują gospodarską praktyką, powiedzieli nam, iż przyczyną tego jest to, że te dobra miały być puszczone w dzierżawę, więc resztę inwentarza przeprowadzono na inne folwarki. Nawóz rozpościerają na duże gnojowisko wybrukowane, gdzie również warstwami kładą się liście, chwasty z pielenia, śmiecie i błoto. Na pole wywozi się nawóz po większej części w zimie, układa się w wielkie kupy pięćdziesięciosurowe, które okładają się ziemią, aby utrudnić ulotnienie się jego; jeżeli się nawóz pali, wtedy przerabia się go wraz z ziemią, ustawia w podobną dużą kopę, i jak piérwój ziemią się okłada.

Rządca tych dóbr pan Prusiecki, gospodarz bardzo oświecony, obwiał nas po polach, i widzieliśmy z przyjemnością ogromne łany, równém i gęstém zbożem okryte. Grunt tu jest żytni, po większej części Iszej klasy, lubo miejscami są i mniej urodzajne kawałki. Kolój płodozmianu jest 6polowa, a mianowicie: 1) ziemniaki na nawozie; 2) jęczmień z koniczyną czerwoną i branką; 3) koniczyna z dwoma pokosami; 4) jeden pokos koniczyny, pół nawozu i ozimina, a mianowicie żyto (pszenicy bowiem niewiele się sieje); 5) rośliny strączkowe, np. groch, wyka, soczewica i t. p.; 6) owies.

Roboty gospodarskie załatwiają się najwięcej czeladzią i najemnikami, bo włościanie są po większej części okupnicy. Płacą oni dziedzicowi za każdy dzień ciągły 1 1/2 złp., za pieszy po gr. 20, a za dnię dodatkowe do żniwa po złp. 1; im zaś płaci się za dzień do żęcia oziminy od 50 gr., do 1 1/2 złp. do żęcia jarzyny 40 gr., a do koszenia owsa i grochu od 50 gr. do 2 złp.; do grabienia siana, do kopania ziemniaków i do tym podobnych robót gospodarskich, dostają za dzień od 20 do 30 gr. Co rok każdy włościanin oświadcza się, że będzie opłacał lub też odrabiał. Włościan pańszczyznianych jest już tylko kilku.

Do uprawy ziemi używają się: socha, radło, brony żelazne, płuzki angielskie do oborywania ziemniaków i t. p.; młocka odbywa się na dużej młocarni, połączonej z młynkiem i siewkarnią; koniczynę, rzepak i tym podobne drobnoziarniste zboża, sieją siewnikiem ręcznym Thaera; wszystkie zaś te narzędzia i maszyny gospodarskie, sprowadzane są ze Zwierzyńca z fabryki ordynackiej, zostającej pod kierunkiem pana Platte.

Przed wschodem słońca ruszyliśmy w dalszą drogę; minęliśmy Zawiszyn, Łochów, między Baczkami a Wieliczną przeszliśmy z powiatu stanisławowskiego do siedleckiego, a doszedłszy do Stoczka, opuściliśmy główną drogę, i wzięwszy przewodnika, przedarliśmy się przez gęsty las dążąc do huty szkła, leżącej wśród ciemnego boru o pół mili od Stariej Wsi. Tamtejszy sekretarz, bardzo grzeczny człowiek, pokazał nam najprzód skład szkła, gdzie z przyjemnością ujrzeliśmy niektóre piękne wyroby; następnie obejrzelśmy samą hutę, gdzie z zadziwiającą prędkością fabrykanci wydymali wśród duszącego gorąca karafki, szklanki, dzwony, i t. p. duże i małe, grube i cienkie; nakoniec zwiedziliśmy szlifiernią, gdzie machina parowa z fabryki p. Steinkeller o sile 8 koni, mnóstwo obracała kamieni i kół piaskowych, jako też kręgów drewnianych, przy których 8 fabrykantów naraz szkło szlifować mogą. Podziękowawszy uprzejmemu sekretarzowi za pokazanie tych szczegółów, poszliśmy do Nowej Wsi, minawszy Majdany, Kalenczyn, Miedzyles, Wrotnów i Chruszczówkę.

Właściciel tych dóbr p. Kuszel, oprowadził nas po polach, gdzie ujrzeliśmy troskliwą uprawę ziemi, bujnym wynagrodzoną plonem. Gospodarstwo jest czwórpolowe, to jest: 1) pszenica; 2) ziemniaki albo buraki; 3) jarzyna; 4) ugor. Buraków cukrowych uprawiają tu rocznie 15 morgów, i odstawiają je do Sokołowa o 3 mile, biorąc zwykle za korzec złp. 4. Do okopywania ziemniaków i buraków, zalecał nam p. Kuszel gracę swego pomysłu. To narzędzie, zbliżające się swym kształtem do motyki, tém się od niej różni, że się kończy gracą z zagiętymi pod siebie bokami, w kształcie cieślicy; jest ona na stopę szeroka, a na pół stopy wysoka i zastrzona ró-

wno od spodu. To narzędzie tém głównie się zaleca, że oszczędza nam robotnika, który w gospodarstwie jest najkosztowniejszy: bo dwoma poruszeniami téj gracy, z dwóch stron można nietylko cały krzak dobrze ziemią okryć, ale jeszcze i chwasty wydostaną się lub przynajmniej poprzecinają.

Przed wieczorem, gdy promienie słoneczne mniej dopiekały, odesłał nas ten gościnny obywatel do miasteczka Sterdyń, należącego dawniej do Ossolińskich, następnie do Krasińskich, a dziś jest własnością pana Górskiego, od którego pan Chudzyński trzyma je obecnie w dzierżawie. Ten obywatel przyjął nas ze staropolską gościnnością; oprowadzał nas po polach, gdzie pomimo trójpolowego gospodarstwa, ma urodzaje bardzo dobre. Przez długoletnie swoje tutaj gospodarowanie, podniósł dobra te z zaniedbałego do bardzo wydoskonalonego, z bezkorzystnego do wielę czyniącego stanu; przekonał nas bowiem autentycznymi rejestrami, że wydobywa teraz czystej intraty dwa razy tyle tysięcy złp. ile dobra te w latach 1829, 1830, 1831 i kilku następnym przynosiły.

Główne roboty gospodarskie obrabia pańszczyzna, której ma: sprzężajnej 32,997, a pieszej czeladniej (to jest takiej, gdzie wychodzą tylko młode dziewczęta lub chłopaki) 37,035 dni. Inwentarze ma piękne, szczególnie konie cugowe, pochodzące z prawdziwej dawniej polskiej rasy tykocińskiej Potockich, która w stanie czystym jest już niezmiernie rzadką.

Zabudowania gospodarskie utrzymują się w dobrym stanie; na szczególną uwagę zasługuje ogromna stodoła litewska na sochach. Rachunkowość gospodarska jest bardzo porządnie prowadzona.

Samo miasteczko Sterdyń jest niewielkie; ma jednak piękny kościół duży murowany, i pałac gustownie wewnątrz urządzony z ogrodem.

Niedaleko ztąd, schodzą się trzy tak zwane puszcze: sterdyńska, ceranowska i kielpieniecka, mające 300 włók obszerności, a w których ma być kilkaset sarn i do sta dzików.

Ztąd udaliśmy się w południowym kierunku do Sokołowa, niewielkiego lecz handlowego miasta, które jednak jest dosyć starożytne, bo na początku XVgo wieku bywa już w historii wspominane. Za czasów Zygmunta Augusta należało ono do zamożnego domu Kisków; delegowani z miasta Rygi, wykonali tu w r. 1581 przysięgę na przepisane im w Drohiczynie ustawy, mocą których uznali nad sobą zwierzchność króla polskiego. W roku 1764 ustanowiono w tém mieście, należącym do Ig. Ogińskiego marszałka W. L. jedną z trzech kadencyj sądów ziemskich, przez dwie niedziele odbywającą się; otwarcie zaś ksiąg ziemskich, poprzedzać powinno rok dwoma tygodniami, i tyleż trwać po ich ukończeniu. W r. 1775 znajdowało się tu 230 domów i miasto zakwitło i wzbogaciło się przez handel i fabryki, mianowicie: jedwabne, płócienne, kobierców, kapeluszy, drutów i t. p. lecz z przyczyny wielu klęsk, miasto to później bardzo upadło, i do tego czasu nie podźwignęło się jeszcze; dziś ma ono 3,200 mieszkańców.

O małe ćwierć mili ztąd, udaliśmy się piękną szeroką drogą, wysadzoną drzewami, do Przedziatki, należącój również jak i Sokołów do p. Hirszmanna. Dobra ta nabył on przed 6 laty niezmiernie zaniedbane, lecz przez ciągłą pracę, skrzętność i umiejętne gospodarowanie, oraz wielkie nakłady, podniósł je niezmiernie. Dziś

wszystko tu tchnie największym porządkiem, czystością i akuracją.

Dążąc z Sokołowa do Przedziatki, najprzód ujrzeliśmy dosyć duży ogród angielski, zakończony gustownym pałacem, w którego dolnej części jest kąpiel parowa, a później roztoczyły się przed naszymi oczami różne zabudowania gospodarskie, po części nowe i symetrycznie porozstawiane. Inwentarze mają być liczne i bardzo wysoko poprawne, lecz ich nie widzieliśmy, bo były daleko na pastwisku. Nawóz ze wszystkich stajen przerabia się na kompost na dużych gnojowiskach, i miesza się z chwastami (które starannie i ciągle p. Hirszmann każe wycinać przy drogach i na innych miejscach), z zielnikiem pochodzącym z pielienia, z wiórzyskiem, torfem i t. d., i to wszystko polewa się gnojówką z kwasem siarkowym. Prócz tego, robią się komposta sztuczne, przez zmieszanie popiołu i proszku węgla zwierzęcego, pochodzących z cukrowni tamże będącej; oraz z soli glauberskiej, kwasu siarczanego, chlorku wapna, i tym podobnych pozostałości z jego fabryki wyrobów chemicznych w Warszawie.

Z kolei wyszliśmy w pole, gdzie piękne urodzaje przedstawiły się oczom naszym; dwa łany żyta szczególnie zwróciły uwagę naszą, przez wielki wzrost swój i znaczne rozkrzewienie, bo z każdej kępy 20 i więcej słom wyrastało; również przez swe ogromne kłosa pełne ziarna. P. Hirszmann powiedział nam, że sprowadzwszy przed dwoma laty 4 łuty żyta amerykańskiego, otrzymał z tego przeszłego roku 4 garnce, a z 5 łutów żyta holsztyńskiego, zebrał 6 garncy; i te to dwa gatunki żyta tak nas zachwyciły. Oprócz wielu innych ulepszeń gospodarskich, zajmuje się czynnie p. Hirszmann mar-

glowaniem; do tego czasu umargłował już 500 morgów, na co wydał 12,000 złp.

Z narzędzi gospodarskich widzieliśmy tam: sochy, pługi, radła, płuzki do oborywania ziemniaków, do wyorywania tychże, extyrpatory, znaczniki, brony, siewnik ręczny Thaera, siewnik jednokonny Albana, młocarnią zwyczajną konna z młynkiem, sieczkarnią i t. d., lecz prócz tych wszystkich, pokazano nam jeszcze młocarnią ręczną z dwiema korbami, którą dwoje ludzi obraca, a która ma wymłacać, według zapewnienia właściciela, 12 kop oziminy, a 15 jarzyny; p. Hirszmann pierwszy z Anglii ją sprowadził, a pp. Lilpop i Zakrzewski w Warszawie, od niego dopiero model wzięli.

Pokazawszy nam rolne gospodarstwo, oprowadzono nas i po fabrycznym; widzieliśmy porządne browary, w których wyrabiają porter zwyczajny i dubeltowy, piwo angielskie, bawarskie i t. d., gorzelnia, młyn z manezem, cegielnia, w której prócz cegły robią białe, bardzo trwale dachówki; nakoniec o wiorstę dalej, weszliśmy w obszerne gmachy cukrowni i rafinerji, i wtedyto żalowaliśmy, że nasza podróż wypada w tej chwili, w której gorzelnie, browary i cukrownie spoczywają: widzieliśmy więc tylko rafinerję cukru szczegółowo. Cukrownia ta i rafinerja będąca jedną z największych w naszym kraju, należy do spółki, której p. Hirszmann jest członkiem; lecz w kontrakcie zawarował on sobie, że buraki, drzewo i t. p. produkta gospodarskie, których cukrownia potrzebuje, od niego kupowane być mają; gdyby dopiero on nie dostarczył ich tyle, ile potrzeba, może je spółka zkażinąd kupować; buraki też tu obywatele o mil kilka nawet przywożą, sprzedając je korzec po złp. 4.

Ztąd puściliśmy się do Kupiętyna, dóbr hr. Szydłowskiego. Zastanowiła nas tu świeżość i nowość budynków; dowiedzieliśmy się, że one powstały na miejscu niedawno zgorzałych. Olój zapaliwszy się w browarze, był przyczyną wielkiego pożaru, który pochłonął tenże browar, fabrykę krochmalu i kilka innych budynków.

Inwentarze widzieliśmy piękne, lecz owce grają tu główną rolę i są wysoko poprawne. Grunt jest żytni lszej klasy, tak, jak w całej tutejszej okolicy; gospodarstwo ośmiopolowe, t. j.: 1) ozimina na świeżym nawozie; 2) ziemniaki, zbywający zaś grunt pod groch i wykę; 3) jarzyna z koniczyną; 4) koniczyna skoszona, potem pastwisko; 5) pastwisko koniczynowe; 6) ozimina na małym pognoju; 7) jarzyna; 8) ugor.

Ztąd zwróciliśmy się napowrót w kierunku północno-wschodnim do Jabłonny, należącój do pani Bienieckiej. Droga prowadząca tu, szeroka i równa, jest wysadzona czterema rzędami topól, po większej części kanadyjskich, co bardzo miłe i uprzedzające sprawia wrażenie. Dwór i wszystkie zabudowania gospodarskie bardzo porządnie rozłożone i wybudowane, są opatrzone gromochronami (konduktorami); gospodarstwo jest czteropolowe, pszenicy sieją tu już blisko tyle co żyta, bo pierwszej 300 korcy, a drugiego 400. Rachunkowość gospodarska bardzo porządnie jest utrzymywana.

Po południu, gdy skwar słoneczny zmniejszył się nieco, a my o utrudzeniu naszym zapomnieli, puściliśmy się w kierunku południowo-wschodnim do Gródka. Na wpół drogi ujrzeliśmy trzy stosy kamieni polnych, mających kształt ostrokągu ściętego, a wysokości człowieka, oddalonych o parę staj od siebie; sąto smutne pamiątki wojny szwedzkiej w roku 1657, w której Ka-

rol Gustaw całą tę okolicę ogniem i mieczem zniszczył, a polegli w obronie, zostali w tych trzech mogiłach pogrzebani.

W Gródku, p. Chojecki okazał nam swe zabudowania gospodarskie, jak: obory, owczarnie, śpichlerz dwupiętrowy, stodoły litewskie na sochach i t. p., które są murowane, prócz stajni, która jest drewniana, pobielana; każdy zaś z budynków, opatrzony jest gromochronami. Z narzędzi gospodarskich, najwięcej na uwagę zasługuje młocarnia Ewansa, młócząca dziennie 30 kop. Gospodarstwo jest 4polowe.

Dobra te mają czarujące położenie: oddaliwszy się o kilkadziesiąt kroków od dworu, wybudowanego na znacznej wyniosłości, znaleźliśmy się na rozległych a wysokich dosyć górach, stanowiących brzegi koryta rzeki Bugu, wijącego się siną wstążką u ich stóp; ten mszcząc się za swe poniżenie, raz roztrąca z łoskotem swe nurty o twarde ich brzegi, to znowu cofa się zapieniony z jękiem, a jaskrawe słońce zatapiając swe rozkoszne promienie w jego bystrych falach, odbija się w tysiącznych tęczyowych kolorach.

Zachwyceni pięknnością tych okolic, postępując ciągle nad Bugiem, przyszlśmy na noc do Korczewa. Floryan z Gąsiorowa Kuczyński dostawszy w r. 1429 te dobra od Witolda W. ks. litewskiego, upiększył je wspaniałemi gmachami, i do dziś dnia są one w posiadaniu Kuczyńskich. Teraz stoi tu jeszcze wielki pałac z ogrodem.

Nazajutrz przed wschodem słońca, poszliśmy do Ruszkowa. Droga prowadząca do dworu jest wysadzona ślicznemi staremi jarzębinami, które swym mnogim a wązkim liściem, jako téż czerwonemi jagodami, mile nęcą i piezczą wzrok przechodnia. Pau Bądryński oka-

zał nam dobre zabudowania gospodarskie, a mianowicie olejarnią obracaną manezem i inwentarz piękny; gospodarstwo jest trójpolowe. Na uwagę zasługuje tu kościół starożytny, zbudowany na wysokim pagórku za Jana Albrechta, teraz już chylący się ku upadkowi, lecz myślą o jego naprawie, na co jest przeznaczone 18,000 złp. Dawniej były tu zbory luterskie.

Ztąd ruszyliśmy do Konstantynowa, dawniej Kozierady zwanego. Karol hr. Odrowąż Siedluicki wojewoda podlaski i podskarbi w. k., porządnie miasto to zabudował i okazały postawił pałac. W r. 1775 było tu 189 domów, dziś jest ono dosyć porządne i handlowne, i ma przeszło 2,000 mieszkańców. Nieco dalej za miastem, prowadzi szeroka droga do dużego ogrodu angielskiego, porządnie ogrodzonego; za bramą wybiega gościnną i ładną ulicą, między dwoma rozległymi a zielonemi kobiercami murawy, ubranymi niby od niechcienia w rozrzucone piękne klomby, i zapraszająca do dworu obszernego i miłego, złożonego z korpusu i dwóch skrzydeł. Dziedzic tych dóbr hr. Alexandrowicz, gospodarz umiejętny i czynny, obywatel gościnny i uprzedzający, dołożył wszelkich starań, aby nam swoje wzorowe gospodarstwo we wszystkich szczegółach okazać, nie zważając ani na swe utrudzenie, ani na duszący skwar lipcowego słońca, za co mu publicznie podziękować mamy sobie za obowiązek.

Zabudowania gospodarskie są tu bardzo porządnie murowane, lecz szczególnie na uwagę zasługuje duża stodoła litewska na sochach leżących, z podmurowaniem i słupami murowanymi. Takie stodoły dlatego pierwszeństwo mają przed innymi, że w nich dużo zyskujemy na miejscu.

Z inwentarza, główną rolę grają owce; jest ich 3,600, te są w ogóle bardzo wysoko poprawne, a zupełnie

szlachetnych czystej krwi, znajduje się około półtoraasta. Każda owca ma numer na uchu; parzenie odbywa się z ręki, a rodowód owiec, szczególnie szlachetnych, utrzymuje się z największą akuracnością w osobnych rejestrach, podług których można odrazu dowiedzieć się, kto był ojcem, matką i t. p. owcy oznaczonej tym lub owym numerem. Kotelnica tu jest letnia; ma ona te głównie zalety, że jest mniej kosztowną, bo przy zimowej, tak maciorom jak i jagniętom trzeba dawać najlepsze siano i nieco owsa. Prócz tego, podczas letniej kotelnicy, owce wychodząc zaraz na żyzne ścierniska, wyrabiają w sobie więcej i pożywniejszego mleka; jagnięta przeto tak dla obfitości pokarmu, jak dla sprzyjającego ciepłego powietrza, odchowują się jeszcze przed nadejściem zimy, wyrastają większe, mocniejsze, niepodległe tylu chorobom, a szczególnie biegunce krwawej i kurczowi kołowatemu, na które choroby często jagnięta zimowe zapadają. Przy tych wszystkich sprzyjających okolicznościach, jagnięta wyrastając spore i silne przed nadejściem zimy, nie narażają gospodarza ani na tyle strat, bez jakich zimowy kot rzadko się obejść może (jak zmarznięcie, wyżej wymienione choroby i t. p.), ani wymagają tyle starań i troskliwości. Co się zaś tyczy matek, te po okoceniu się mają jeszcze dosyć czasu do następnej strzyży, żeby się podźwignąć z utraconych sił. tak w czasie brzemienności i porodu, jako też podczas karmienia jagniąt, a przeto wełna przyszłej strzyży zyskuje wiele tak na jej przymiotach, jak i na wadze.

Zarzuty przeciw letniemu koceniu się są głównie te, że parzenie wypada w miesiącu lutym i marcu, to jest wtedy, kiedy owce objawiają mało popędu płciowego, i stąd wiele pozostaje owiec jałowych, szczególnie

w początku przejścia z kotelnicy zimowej do letniej. Obok tego, kot letni wymaga utrzymania letniego owiec w owczarni, albo blisko położonych pastwisk, bo inaczej ssanie jagniąt nie mogłoby być regularne, a mleko zbyt długo zatrzymywane przez matki, nie byłoby ani tak zdrowe, ani bardzo obfite (1).

Dla wyższego uszlachetnienia owiec, sprowadzają tu barany corocznie z najlepszych owczarni, a młode tryki swego chowu, sprzedają po cenie od 100—220 złp. i więcej.

Bydło jest bardzo piękne; kilka krów i buhai jest czysto tyrolskich, reszta krów, wszystkie ślicznej wiśniowej maści, uszlachetniają się tyrolskimi buhajami. Mleko miejscowy pachciarz zakupuje, płacąc w lecie po 14 gr. garniec, a w zimie po 16 gr. Konie tak cugowe jak i fornalskie są jak najlepiej utrzymywane; między stadniną widzieliśmy kilka dwu i trzechlatków po ogierach rządowych z Janowa, zapowiadających wcześniej najpiękniejsze konie.

Z budynków fabrycznych oglądaliśmy gorzelnię i browar.

Z dóbr tych zdjęto 5 mapp dużych, bardzo dostatecznie i pięknie odrobionych, a każda przedstawia inny folwark. P. Alexandrowicz kazawszy zaprządź, obwoził nas wszędzie około nich, i widzieliśmy we wszystkich folwarkach wielki porządek i czystość, a uprawę mechaniczną roli jak najtroskliwszą; lecz téż za to urodzaje były do pozazdroszczenia, a przychód roczny z dóbr, jakieśmy się o tém sami z rejestrów wieloletnich przekonali, podniósł się niesłychanie.

(1) Chów owiec, przez M. Oczapowskiego. tom VIII.

Gospodarstwo przed pięciu laty było tu po większej części czteropolowe; p. Alexandrowicz dopiero objąwszy je na siebie, zaprowadził koleje płodozmianu, stosownie do gatunku i jakości gruntu. Na najlepszym kolój jest 8polowa, dążąca do wyprodukowania jak najwięcej ziarna i roślin okopowych, na lżejszym zaś 10 i 16polowa, w których systemata pastwiskowy z odłogami mają przewagę.

Okazawszy nam wszystkie ciekawe szczegóły swego gospodarstwa, zawiózł nas ten obywatel do Janowa, miasteczka odległego o milę, dla ułatwienia nam obejrzenia ogierów i stadniny królewskiej. Pana Eberhardta podinspektora stada rządowego nie zastaliśmy, ale i tak tamtejsi panowie urzędnicy grzeczni, okazali nam najprzód ogiery stacyowe, to jest te, które corocznie rozsyłane bywają w marcu na całe królestwo, a wracają dopiero w czerwcu. Te konie mieszczą się w dwóch dużych drewnianych stajniach, przedzielonych ujeżdżalnią, a są porozstawiane według swój klasy uszlachetnienia, których jest 3; prócz tego każdy koń stoi w osobnej klatce, na której z przodu u góry napisane jest jego imię, rok urodzenia, imię ojca i rassa z jakiej pochodzi. Widzieliśmy tu bardzo piękne ogiery różnej maści, najwięcej z rassy angielskiej; lecz są i arabskie, tureckie, a nawet dwa małe, grubo-płaskie koniki, należące do IIIciej klasy. O małe ćwierć mili za miastem, jest osada, że tak powiem końska, zwana Wygodą, dla ogierów celnych, klacz stadnych i źrebiąt; szosa do niej wiodąca, wysadzona wybiegłymi drzewami, wijo się między zielonemi łąkami i polami, okrytymi dużemi łanami owsa. Będąc jeszcze dość daleko od Wygody, zostaliśmy uderzeni pięknym widokiem zabudowań, podobniejszych do pa-

łaców, niż do stajen, w których arystokracja konńska zamieszkuje. Najprzód zwiedziliśmy tu ogiery celne, których było 16; każdy z nich, podobnie jak ogiery stacyjne, stoi w osobnej klatce, lecz piękniejszej, a zamiast drabinki drewnianej na siano, ma każdy osobną kratkę żelazną, zgiętą w półkole, za którą pasza się zarzuca. Bardzo miłe i silne wrażenie zrobił na nas widok tylu doborowych koni, u których głowę, oko, szyję, nogę, tylko podziwiać można. Najpiękniejszy koń w tém stadzie jest Chester, ogier angielski, wzrostu dobrego, skaro-gniady, który chociaż już niemłody, jednak tak przez zachwycającą swoją powierzchowność, jako téż i wysoką stałość rodową, najpierwsze trzyma tu miejsce. Żaden z tych ogierów celnych nie chodzi na stacye, lecz zawsze pozostaje w Janowie; właściciele zaś klaczy chcący z nich użytkować, muszą wprzód o to podawać prośbę do Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych, ta odsyła ją do J. O. Księcia Namiestnika Królestwa, a ztąd bywa ona wracaną do pana Eberhardta podinspektora tego stada, który zazwyczaj przyjmuje prośbę za opłatą 200 złp. od każdej klaczy. Następnie obejrzelśmy klacze i ogiery, które na wiosnę zaczęły być tresowane do wyścigów, a ztąd zaprowadzono nas na obszerne pastwiska, w ogóle bardzo dobre, zaraz za zabudowaniami rozciągające się, na których przez cały dzień paszą się klacze stadne ze źrebiętami, nieużywające się już do żadnych robót; sąto młode kobyłki i młode ogierki, niemające więcej jak trzy lata. Pastwisko to, jest podzielone na obszerne kwadraty, porządnie poprzegradzane, w których osobno stadka każdego rodzaju się paszą. Wszedłszy w przegrodę klaczy stadnych ze źrebiętami, byliśmy nieco

zdziwieni łaskawością i śmiałością tak matek, jako i źrebiąt, które nietylko że przed nami nie uciekały, ale jeszcze same do nas przychodziły i odbiegały w figlarnych skokach i wybrykach, jak gdyby chciały nas przekonać o swjej zwinności, zgrabności, ręczności i lekkości. Wśród nich znajduje się ciągle człowiek, mający na sobie zawieszony koszyk z owsem; ten podając im go z ręki, głaszcząc i karesując je, obłaskawia młode źrebięta, które napiwszy się mleka macierzystego, uszczknawszy choćby dla żartu kilka źdźbłów trawy, a potem przegryzłszy to owsem, wyrastają wczesnie na dobre, rosłe i silne konie. Niewątpliwą bowiem jest rzeczą, że w hodowli koni najważniejszym zadaniem jest dobre utrzymywanie koni w 1szym roku ich życia, bo wtedy przyrost ich ciała wynosi 15 cali, w 2gim już tylko 5 cali, w 3cim 3 cale, w 4tym $\frac{1}{2}$, a w 5tym na koniec zaledwie $\frac{3}{4}$ cala. Jedną też z najgłówniejszych przyczyn upadku koni w naszym kraju, jest to tak ogólne złe utrzymywanie stadniny do 4go roku; w lecie bowiem zostawiamy je zazwyczaj na pastwisku, a w zimie na sieczcze, sianie, plewach i tym podobnych karmach, a rzadko kiedy dajemy im ziarna; dopiero gdy koniem pracować zaczniemy, wyznaczamy mu należyty obrok, czasem nawet zbyt, myśląc, że przez to poprawi nam się, lecz to już niewiele pomoże. Wśród tych ogrodzonych pastwisk, znajduje się 10 małych, zgrabnych stajenek, zaopatrzonych każda na 4 konie w obrok i wodę, w które chronią się one przed zbyttem upałem słonecznym, i podczas letnich nocy.

W ogóle zakład ten pod troskliwym kierunkiem p. Eberhardta, jest w kwitnącym stanie, i składa się z 700 koni. Nad korzyściami jakie stado tutejsze sprawia

w kraju, rozwodzić się nie potrzebuje; każdy obywatel zna je doskonale.

Po tak szczegółowém obejrzeniu wszystkich ciekawości janowskich, odwiózł nas p. Alexandrowicz nazad do Konstantynowa, zkąd po miłym wypoczynku, był łaskaw zawieźć nas jeszcze o 1 1/2 mili do Wolki Nosowskiej, będącej własnością p. Ign. Wężyka, a ztąd do wsi Kornicy, niedaleko od piérwszej położonej, a należącej do starostwa łosickiego, dla pokazania nam kopalni wapna. W obu tych miejscach, wypalają dobre wapno z węglanu wapna ziemistego, leżącego od 1 — 3 łokci pod powierzchnią. Według podania miejscowego, bardzo dawno wykopują tu już wapno, i rzeczywiście można śmiało to potwierdzić, patrząc na wiele dużych i dość głębokich jam i lochów, w kilkudziesięciu miejscach porobionych. Wapno to ziemiste, należące do formacyi kredowej, znajduje się tak głęboko, że spodu jego nie dokopano się; największą do tego przeszkodą jest woda, zalewająca głębsze jamy, i koszta wydobywania go z większej głębokości. Ze skamieniałości, znajdują się tu tylko belemity czyli tak zwane strzałki piorunowe, w znacznej ilości, które przy wypalaniu, na doskonałe wapno zamieniają się. Dzierżawca kopalni w Wolce Nosowskiej, płaci rocznie 1200 złp., a w Kornicy 666 złp. 20 gr.

Wróciwszy do Konstantynowa, zwiedziliśmy dokładnie ogród angielski, który jest obszerny i utrzymywany czysto i gustownie. Przebiegłszy kilka ulic szerokich, wijących się między pięknymi trawnikami i klombami, dużemi i małemi, z drzew i kwiatów, weszliśmy raptem do małego sklepienia podziemnego, zkąd wyszedłszy, oczy nasze zmroczone ciemnością jaka w niem panowa-

ła, zostały olśnione blaskiem światła i ślicznością miejsca, które nam się z tej przyczyny urocze wydawało.

Drugiego dnia pobytu naszego w tém miejscu, gdy słońce schyliło swe ogniste promienie ku zachodowi, odesłał nas ten gościnnie obywatel do Białej, stolicy powiatu tegoż nazwiska, handlowego i porządnego miasteczka, mającego 3450 mieszkańców, a leżącego o 2 mile od Konstantynowa; ztąd rozstawnemi końmi, pojechaliśmy do małego miasteczka Łomaz, jeszcze o 2 mile dalej.

Ztąd ruszyliśmy do Jabłon, dóbr p. Strzyżewskiego, a zarządzanych przez p. Nozdrowicza, bardzo umiejętnego gospodarza, który przychód roczny z tych dóbr podwoił, lecz téż wszędzie panuje tu porządek z akuracnością połączony. Z zabudowań zasługuje na wzmiankę nowy gustowny pałacyk, będący już na ukończeniu, za którym rozpościęra się piękny ogród angielski; budynki gospodarskie są po większej części murowane, śpichlerz o piętrze, stodoły litewskie na sochach; słowem, wszystko okazuje stan kwitnący i porządne prowadzenie gospodarstwa. Owiec jest 3000 wysoko poprawnych; bydło krajowe, uszlachetniane jest szwajcarskiemi buhajami, konie zaś tak cugowe jak i fornalskie, są piękne, rosłe i tłuste. Grunt tu jest jęczmienny 1szój klasy; łąki i pastwiska aż zbyt obszerne (1).

Dotąd mieliśmy czas bardzo sprzyjający; wprowadzie często skwar lipcowego słońca zbyt dotkliwie dawał nam się we znaki, ale za to staraliśmy się południową godzinę przepędzać albo na oglądaniu gospodarstwa do-

(1) Nie wspomniałem jeszcze niektórych ciekawych szczegółów Konstantynowa, Janowa i Jabłonia, dlatego, że je już opisał mój kolega K. Świeżyński, w Bibliotece War. r. 1848, styczeń.

owego, lub téż na spoczynku, a rankami i wieczorami najwięcej podróżowaliśmy, robiąc od 3 — 4½ mil dziennie; lecz ztąd zaledwo wyjechawszy, spotkaliśmy się z nawalnym deszczem, który uradowany z naszego towarzystwa, odprowadził nas wiernie aż do Horostyty, dóbr p. Szlubowskiego. Grunt tu jest żytni; gospodarstwo trójpolowe. Z fabryk zasługuje na wspomnienie cukrownia, założona na małą skalę, wyrabiająca 4000 korcy buraków; cała fabryka kosztowała trzydzieści kilka tysięcy, same zaś aparata sprowadzone z fabryki Bankowej na Solcu, 25,000 zł. Zamiast pras hydraulicznych do wyciskania soku z buraków, używają tu pras śrubowych po 1200 złp. każda, i wyrabiają dziennie 40 kor. Batardy robią miejscowi ludzie (1), mączkę zaś wyrabia ta fabryka głównie dwojaką: t. j. brunatną, i piękną białą; obiedwie sprzedają do rafinerji sokołowskiéj, pierwszój funt po 26 gr., a drugiej po 40 gr.

Widząc, że się na dłuższą słotę zanosi, wyjechaliśmy w dészcz, zaledwie osuszeni z pierwszego przemoknięcia. Zatrzymaliśmy się we wsi Brus; p. Jasiński dla słotnej pory, pokazał nam tylko zabudowania gospodarskie, które są murowane i w porządnym stanie. Gorzelnia jest dosyć obszerna, stodoły litewskie na sochach, a młocarnia ze sieczkarnią połączona, jest całkiem z drzewa zrobiona, niezmiernie uproszczona i na wyłączną zasługuje uwagę: para bowiem dobrych, a cztery gorszych koni obraca manéz, a machina wymłaca do 20 kóp. Przyćém jest ona bardzo tania, i według wzoru może być zrobioną przez każdego dobrego rzemieślnika.

(1) Batardy, sąto wielkie naczynia, kształtu głów cukrowych, w których oczyszcza się sok cukrowy.

Tu dopiero przeczekaliśmy już niepogodę, a przed wieczorem, odwieziono nas do Hańska, ogromnej, ale bardzo biednej wsi. Wszystkie budynki tak dworskie jak włościańskie stare i zbutwiałe, mimo ciągłych i mnogich podpierań, gwałtem dążą ku upadkowi. Zrażeni biednym wsi widokiem, a nie będąc zmęczeni, ruszyliśmy niebawem do wsi Łowczy na nocleg, będącej na granicy dawnej gubernii podlaskiej i lubelskiej. Podlaskie, a przynajmniej jego strona wschodnia, t. j. okolice nadbużańskie, które zwiedziliśmy, jestto kraj dosyć bogaty i za-
możny; grunt po większej części żytnej Iszej klasy, urodzaje dobre, szczególnież żyta i jęczmiona udały się tu w tym roku pomyślnie w Lubelskiem, zaś w Sandomierskiem i Krakowskiem, widzieliśmy lepsze pszenice i owsy; łąki i pastwiska bardzo obszerne, lecz często błotniste; lasów nareszcie i zwierzyny jest jeszcze dosyć, a obywatele gościnni. Mylna też bardzo opinia jest, jakoby Podlaskie było niejako wygnaniem Polski, a potwarzają tylko: „co las to leszczyna, co wróbel to zwierzyna, ryby, to karaski, oto szlachcic podlaski.” Ten tylko tak może mówić, co tu nigdy nie był, a ci co tak utrzymują, nie wiedzą zapewne, że Podlaskie jest główną spizarnią Warszawy. Stosowniej byłoby powiedzieć o tej okolicy: łąka, mąka, ryby, grzyby. Jedni chyba włościanie mogliby być powodem tej obmowy Podlasia, są oni bowiem wszyscy wysocy a kościści i chudzy, twarzą długiej, ściągłej, policzków wystających, cery żółto-śniadój, spojrzenia dosyć jeszcze dzikiego, włosów długich i oczów czarnych. Ubiór ich składa się ze sukmany zwykle krótkiej ciemno-kasztanowatej lub brunatnej, obcisłych spodni, kurpi i czapki czworograniastej sukienniej, czarnej z barankiem tegoż koloru. Wyznania trzymają się unickiego, a mię-

dzy sobą mówią narzeczem (dyalektem) będącém mieszaniną dawnego języka Jadźwingów, polskiego i mało-ruskiego. Obok tego są dosyć nieporządni, ponurzy i podejrzliwi.

Dotąd szliśmy przez równiny jednostajne i grunta po większej części żytne Iszej klasy; teraz dopiero dążąc z Łowczy do Stawu w ziemi Chełmskiej, spostrzegliśmy małe pagórki i grunta tęgie rędzinne, od tamtejszych mieszkańców borowiną zwane, w których składzie glina, wapno i czarnoziem mają przewagę i które ciągnąc się rozległe ku południowi, stanowią sławne swemi urodzajami ziemie hrubieszowską, a dalej wołyńską. Tutaj ujrzeliśmy po raz pierwszy osty olbrzymie, przez tamtejszych mieszkańców bodziakami zwane, kapustę wschodnią (*Brassica orientalis*), *Euforbia platefilla*, *Euforbia segetalis*, *Euforbia Exigua*, *Caucalis daucoides*, *Bupleurum rotundifolium*, *Teucrium chamaedris*, *Adonis autumnalis*, *Melampyrum arvensae*. Te wszystkie rośliny oznaczają grunt niezmiernie żyzny i tęgi; to też wegetacya tu różni się od podlaskiej nie tylko jakością roślin, ale jeszcze mnogością tychże i ciemno-zieloną barwą. Osty zwyczajne wyrastają tu dwa razy tak wysoko, jak gdzieindziej.

Pola są tu zasypane skamieniałemi muszlami, zamienionemi w krzemionkę; czasem zdarza się widzieć duże nawet kamienie, składające się z samych muszli, co bardzo piękne sprawia wrażenie; są one raz białawego koloru, raz czerwonego, a jako krzemionkowe, są niezmiernie twarde i dobre do wysypywania dróg bitych. Panująca tu formacya jest trzeciorzędna kamienia piaskowego, gruboziarnistego, pod którym spoczywa formacya krédowa, składająca się z opoki krédowej, uży-

wanej do budowli, z kamienia zwanego siwakiem, który daje po wypaleniu dobre wapno, i z właściwej krędy, znajdującej się w ogromnych pokładach pod miastem Chełmem.

Dochodząc do Stawu, przeszliśmy około Dziewiczej góry, składającej się z piaskowca gruboziarnistego, z którego wyrabiają corocznie wiele kamieni młyńskich. Ludowe podanie opowiada nam następującą powieść, o szczególnej nazwie tej góry: Na niej miało stać dawniej zamożne miasto Szczekot; Szwedzi podczas najazdu, zabrawszy parę tysięcy panien, zamknęli je tutaj; lecz pobici później przez Polaków, nie chcąc im oddać żywego łupu, pomordowali wszystkie panny.

W Stawie, należącym do pani Cieszkowskiej, gospodarstwo jest trójpolowe; grunt w ogólności pszenny, łęgi, czarny, zwany tutaj borowiną, jest jednak bardzo niejednostajny, tak, że na jednym poletku znajduje się kilka zupełnie odmiennych jego gatunków; pomimo tego, żyta sieją tu tyle tylko, ile na śpizarnią potrzeba. Główny dochód jest z pszenicy, którąśmy też bardzo piękną widzieli. Jęczmień i owies, z przyczyny utrudnionej na wiosnę uprawy i zanieczyszczenia ziemi owsikiem (*Avena fatua*), rzadko się tu udają. Zabudowania gospodarskie i inwentarze, utrzymują się w dobrym stanie.

Ztąd pojechaliśmy w kierunku południowo-zachodnim do wsi Stołpia, leżącej nad szosą. Naprzeciw porządnej karczmy, z drugiej strony szosy, wznosi się trzypiętrowa wieża w kształcie równego czworoboku, wysoka około 60 stóp, a każdy jej bok jest szeroki na dwa łokcie przeszło. Cała ta budowla stoi na kopcu, wysokim na parę sążni, od którego ciągnie się jeszcze kawał muru; jeden bok tej wieży, wystawionej z pia-

skowca, już pękł, lecz mimo tego może ona jeszcze bardzo długo stać, gdyż przy jej rozbijaniu, kamienie prędzej pękają, a wapno nie puszcza. Jedni utrzymują, że ztąd śledzono dawniej obroty nieprzyjacielskie, i razono go nawet przez ciskanie z góry ciężarów; drudzy się domyślają, że to jest budynek z czasów przedchrześcijańskich, może świątynia na cześć jakiego bożka; tém bardziej, że w bliskości znajduje się kilka czystych krynic (warunek konieczny u pogan obok ich świątyń); inni na koniec twierdzą, że Szczek książę Czerwonój Rusi, kochający się bardzo w polowaniu, wystawił tu wśród lasów tę wieżę, a obok niej kapliczkę pogańską, którą potem zamieniono w klasztor; lecz nie widzieliśmy już żadnego śladu budynku. To ostatnie domniemanie jest najpodobniejsze do prawdy; bo dziś jeszcze lasy i góry pobliskie zowią się Szczekotem, albo Szczekawicą.

Od Stolpi do Chełma, jechaliśmy przez las po większej części dębowy, doskonałą szosą, wyłożoną piaskowcem muszlowym (należącym do formacji trzeciorzędnej molassu) skamieniałym, którego obfite łomy znajdują się w górze lasem zarostłej, o kilkaset kroków od drogi.

Na ćwierć mili przed Chełmem, rozciąga się obok szosy, lecz po prawej stronie, między lasem zielona, zachwycająca, choć niewielka dolina, przez którą sący się przezroczysta krynica. Woznica nasz powiedział nam, że to jest *Kumowa dolina*, a przeżegnawszy się, taką nam legendę o niej opowiedział: „Przed dawnymi bardzo czasy, kumowie idąc do kościoła z dzieckiem ażeby je ochrzcić, zatrzymali się w tém miejscu, które wtedy było wielkim gąszczem, dla jakichś złych zamiarów; lecz ich ziemia żywcem pochłonęła, a nazajutrz

widziano tu już źródł mrużący, a w miejsce gąszczu tę dolinkę."

Wjeżdżając do Chełma, zostaliśmy przerażeni widokiem obszernych pogorzeliisk domów, nędzą mieszkańców i w ogóle opłakany stanem tego miasta. Od burmistrza tamtejszego bardzo uprzejmego, dowiedzieliśmy się o przyczynie i wielkości pożaru, a zarazem byliśmy przez niego oprowadzeni po głębokich podziemiach, wydrążonych pod tamtejszemi domami w skale krédowej. Całe miasto Chełm zbudowane na górze, od wschodu ku zachodowi skłaniającej się, spoczywa na obfitym pokładzie krédy; a że już od bardzo dawnego czasu każdy mieszkaniec wydobywał krédę z pod swego domu, więc potworzyły się przez to ogromne podziemne sale, z których po wschodach schodzi się do drugiego, a nawet i trzeciego piętra niższego; wszystkie zaś są w czystej krédzie wyrobione. Do drugiego, a tém bardziej do trzeciego piętra niebezpiecznie jest wchodzić, z przyczyny duszącego kwasu węglowego, którego téż tamtejsi mieszkańcy *dusielem* zowią. Teraz jest już wzbronione wszystkim mieszkańcom wydobywanie krédy, bo takie podkopywanie miasta, groziłoby mu niebezpieczeństwem.

Chełm, leżący nad rzeką Uher, nazwany od wysokiéj, wznoszącej się pośród niego góry, należy do najstarszych miast, bo w roku 1101 Włodzimiérz Wielki, miał tu już kościół drewniany wystawić. Do ozdób miasta tego należą: katedra unicka, w której godzien jest uwagi główny ołtarz z obrazem Najświętszej Panny Maryi, malowany przez śgo Łukasza, również antepedium srebne z wyobrażeniem zwycięstwa Jana Kazimiérza, odniesionego pod Beresteczkiem w roku 1651. Przy kate-

drze jest seminarjum dla księży Bazylianów. Kościół OO. Reformatów, wybudowany na początku XVIIgo stulecia, jest dość wspaniały i piękny, i w nim znajdują się groby wielu znakomitych mężów, jak Wacława Rzewuskiego, kasztelana krak. zmar. w Siedliszczach w r. 1779 i wielu innych; nakoniec kościółek śgo Ducha, który się już ku upadkowi skłania. Całe miasto było dawniej umocnione i murem bardzo szerokim otoczone, którego ułamki do dziś dnia widzieć się dają; lecz te są tak mocne, że kamienie pękają przy rozbijaniu, a wapno nie puści. Na stronie północno-wschodniej od miasta, wśród bagien i trzęsawisk, wznosi się podobna do wyżej wspomnianej starożytniej budowli w Stolpiu; lecz jedna strona téjże jest już całkiem rozwalona, a drugiej połowa.

Ztąd poszliśmy przez miasteczko Rejowiec (które było założone w roku 1574 przez Mikołaja Reja) do Niedziałowic. P. Zgliczyński okazał nam zabudowania dworskie, będące w dobrym stanie, i oprowadzał po polach, gdzie pomimo trójpolowego gospodarstwa, widzieliśmy śliczną pszenicę i bardzo piękne owsy, a mianowicie węgierski i olbrzymi; piérwszy zalecający się plennością i kępiastém rozkrzewieniem, a drugi swym nadzwyczajnym wzrostem; lecz ponieważ z każdego ziarna jedną tylko słomę wypuszcza, wymaga przeto gęstego siewu. Ziemiaki, buraki i tym podobne rośliny okopowe, wymagające głębokiego gruntu, nie udają się, pomimo żyźnej ziemi (borowiny); bo na 9 — 12 cali pod warstwą rodzajną, znajduje się już opoka wapienna, łupiąca się łatwo w piękne tafle, i używająca się korzystnie do murowania. W kilku miejscach wydobywają tu siwak wapienny, z którego przednie wapno wypalają.

O ćwierć mili ztąd na górze stromiej, wśród lasów do dóbr Krupe należących, wznosi się starożytna budowa przez ludzi miejscowych Grobiskiem zwana, której dawności wystawienia nikt z pewnością nie wie. Jestto budynek czworograniasty, wysoki około 20 łokci, a którego każdy bok ma 24 stóp szerokości; na tych ścianach spoczywa piramida mogąca mieć 30 łokci wysokości, zakończona kamieniem ciosowym. Wewnątrz są sklepienia z arkadami, już na kilka stóp od ziemi zasypane. Ten budynek jest wymurowany z cegły bardzo twardej, z takiej, jakiej już teraz nie widać, i z opoki wapiennej, a może jeszcze długie lata przetrwać. Miejscowi ludzie powiadali nam, że to jest dawny grób aryński, i że lochy podziemne ztąd prowadzą do starego zamku we wsi Krupe, o pół mili dalej będącego. Część tego zamku była wystawioną w roku 1375 przez Krupskich herbu Korczak, którą Samuel Zborowski odnowił i wzmocnił przez opasanie potrójnym wałem, potrójnemi przekopami wodą zalanemi; jego następcy w roku 1608 przybudowali tu drugą część zamku, jak o tém świadczą napisy dużemi literami na ścianach, nad pierwszym piętrem. Dziś jeszcze widzieć można ogromne ściany, gdzieniegdzie nawet sklepienie i jedną wieżę; a sądząc po tych zwaliskach, było zamek nietylko obronny, ale nawet bardzo obszerny i wspaniały.

Dążąc do Kłemensowa, przeszliśmy w kierunku południowo-wschodnim, przez miasteczka Krasnystaw, Izbicę i Tarnogórę. Dochodząc do Krasnegostawu, stolicy powiatu tegoż nazwiska, przeszliśmy po porządnym, dużym moście, wystawionym na rzece Wieprzu, który o milę poniżej pod wsią Stężyczką zaczyna być splawny. Kazimierz W. miał kazać wykopać duży staw w tém

piękném miejscu, i od tego pochodzi nazwisko tego miasta. W roku 1569 miało tu już być 205 domów; dziś jestto miasto pięknie zamurowane i wesołe, ma przeszło 3000 mieszkańców, a ozdobione jest wspaniałym kościołem katedralnym pojezuickim, drewnianym kościołem i klasztorem ks. Franciszkanów i Bonifratrów, i dwiema cerkwiemi unickimi. Z dawnego zamku tu-tejszego widzieliśmy tylko szczątki.

Izbica jestto małe miasteczko, mające 1700 mieszkańców, a zamieszkałe głównie przez żydów, podobnie jak i Tarnogóra, która była założona przez Jana Tarnowskiego kasztelana krakowskiego, hetmana W. koronnego w roku 1570; miasteczko to wkrótce zakwitło i posiadało do 230 domów, dziś jednak znacznie upadło. Oba miasteczka oblane Wieprzem, rozpościerają się wśród żyznych gruntów, obszernych łąk i pięknych widoków.

W Klemensowie wznosi się obszerny pałac wśród rozległego i pięknego ogrodu, zbudowany przez Teresę z Michowskich Zamojską wojewodzinę lubelską, w roku 1750, i od jęj syna Klemensa nosi swoje nazwisko; dziś wraz z dobrami należy do ordynacyi Zamojskiej, od której Andrzej hr. Zamojski trzyma je w dzierżawie. Obok pałacu stoi wspaniała oranżerya; posiada ona bardzo wiele kwiatów i drzew rzadkich, jednak najbardziej zwróciły naszą uwagę olbrzymie drzewa cytrynowe, jakie w naszym kraju rzadko widzieć można. Ogród dzieli się na angielski i owocowy; obydwa są obszerne i piękne, każdy w swoim rodzaju; lecz ostatni jest szerokim i wysokim murem opasany, przy którym wije się kręto wino, a morele i brzoskwinie hojnym corocznie oarywają się plonem. W samym Klemensowie niéma nic

do uważania pod względem gospodarskim, bo tu jest tylko pałac i ogród; poniżej dopięro w dolinie poza Wieprzem, rozpościérają się obszernie zabudowania gospodarskie. Włościanie tu są już oczynszowani od 12 lat, podług tabeli prestacyjnej, rachując dzień pieszy po gr. 15, a ciągły złp. 1; mieszkają oni w porządných chałupach, i są w dość zamożnym stanie.

Rządca tych dóbr p. Łączkowski, gospodarz bardzo oświecony i czynny, również p. Brandt jako i p. Tomorowicz (były uczeń Instytutu Gosp. Wiejs. i Leśn. w Mar.) którzy się zarządem tych dóbr bardzo gorliwie zajmują, dołożyli wszelkich starań, ażeby to gospodarstwo, należące słusznie do najwzorowszych w naszym kraju, we wszystkich szczegółach nam okazać. Dobra te składają się z trzech folwarków, a na każdym zaprowadzone jest inne zmianowanie, zastosowane do gatunku ziemi.

Na folwarku Michałowskim kolój jest dziewięciopolowa, t. j.: 1) na świeżym nawozie buraki, ziemniaki, brukiew, rzepa, marchew i t. p. w rzędowej uprawie; 2) pszenica jara albo jęczmień z koniczyną; 3) koniczyna skoszona i pastwisko; 4) koniczyna na paszę; 5) pszenica i owies naprzemian; 6) wyka na nawozie; 7) pszenica ozima; 8) wyka i bobik; 9) pszenica lub żyto. W Deszkowicach gospodarstwo jest siedmiopolowe, a mianowicie: 1) na nawozie bobik; 2) pszenica ozima, w tę sieje się na wiosnę koniczyna lub marchew, i zabronowyywa się; 3) i 4) koniczyna; 5) owies; 6) wyka na nawozie; 7) pszenica. W Górach zmianowanie jest dziewięciopolowe. Grunt jest średniej dobroci, miejscami trochę sapowaty; w Górach jest najlepszy glinkowaty. Uprawa ziemi w ogóle jest bardzo dobra, pola

wyglądają niemal jak ogrody, a koszta łożone na uprawienie ziemi, zwrócą się hojnie obfitemi plonami, które nas aż zadziwiły. Z narzędzi i machin gospodarskich, widzieliśmy: pługi kształtne z żelaznemi odkładnicami, radła zwyczajne, radła calcami zwane, służące do kruszenia ziemi pod warstwą rodzajną będącą, pługi angielskie do oborywania ziemniaków, inne do wyorywania tychże, extyrpatory większe i mniejsze, znaczniki, brony żelazne i drewniane, sieczkarnią angielską krającą bardzo szybko buraki, ziemniaki i t. p. na paszę dla inwentarza; młynki rozmaite do wiania zboża, do gniecenia ziarna na osypkę; siewniki różne, młocarnią czwórkonną przewozową, którą 6 wołów wraz z manezem przewieźć mogą, a która jednak mało miejsca zajmuje; sikawki dogodne nie tylko w czasie pożaru, ale i do ogrodu, a nawet do mycia owiec, podług nowój metody; kadzie z przedziałami do karmienia wieprzy, i bardzo wiele jeszcze innych narzędzi, których wyliczenie zanadto czasu zabrałoby.

Inwentarze są bardzo piękne; główną jednak rolę grają konie. Przed kilkoma laty, p. A. Zamojski sprowadził z Anglii ciemno-kasztanowatego ogiera Recovery (pochodzącego z matki po Rubens-Mare, a z ojca po sławnym Emiliusie, który jest potomkiem sławnego Eclipse'a) i 4 klacze gniade angielskie czystej krwi. Ogier wyżej wspomniany kosztował 30,000 złp. (mimo tego, że miał gdy go sprowadzono już 16 lat), a każda z klaczy po 10,000; ale co téżto są za konie, a szczególniej Recovery! Oko wielkie jaskrawe, ciska błyskawice na wszystkie strony, głowa mała i sucha, nozdrza ogromne, zdaje się, że ogniem płoną, noga cienka, lecz muskularna; słowem, każda część ciała jakby utoczona,

mogłaby służyć za wzór dla malarzy (1). Obok rączności i szybkości jego, bo w Anglii stawał on w szrankach koni wyścigowych i chwalebnie z nich wychodził, i obok nadzwyczajnej ognistości, jest jednak dosyć łagodny. Obywatele chcący go używać do swych klaczy, opłacają po 400 złp., lecz to nie jest zbyt wielka suma, zważając, jak ten koń przelewa wiernie swoje przymioty na potomstwo, tak, że go można odrazu poznać we wszystkich źrebiętach; za jego ojca Emiliusa, płacono w Anglii po 100 dukatów z górą od klaczy.

Oprócz wyżej wspomnianych 4 klaczy czystej krwi, widzieliśmy jeszcze 7 innych pół krwi, wszystkie zaś razem nie pracują nic, tylko chodzą w lecie ze źrebiętami po pastwisku. Całe stado składa się z 72 koni, a każdy stoi w osobnej klatce; hodowla źrebiąt jest tu wzorowo prowadzona, a do wyścigów przeznaczono 7 koni, które małe żokieje z trenerem co dzień ujeżdżają. Ogólnym zawiadowcą tych koni jest p. Messenger; dostaje on rocznie 4,200 złp., a trener bierze 2,000 złp. i ordynaryą, wynoszącą do 1,000 złp., Oprócz tych dwóch jest jeszcze wielu małych żokiei; lecz też za to każdy koń ślicznie wygląda, każdy jest w miarę tłusty, lśniący łagodny, chociaż ognisty z przyrodzenia. Wreszcie, co jest rzeczą dosyć rzadką, fornalki nawet tutejsze są tak piękne, tłuste i dobrze utrzymane, jak nam się w całym kraju podobnych widzieć nie zdarzyło.

Bydło dawniej było żuławskie, teraz uszlachetnia się szwajcarskimi buhajami. Niedawno sprowadzono z Szwajcaryi ogromnego buhaja i śliczną krowę, oboje

(1) Widzieliśmy w Klemensowie pięknie wykonany rysunek tego konia, załączony do dzieła angielskiego, opisującego jego rodowód i biografią.

pstrokate, za 3,100 złp. Wsszytko było ślicznie wygląda; bo od młodości będąc doskonale karmione, wyrasta większe i silniejsze, a później daje więcej i tłuszcieszego mléka. Krowy dostają w zimie siano, ziemniaki i osypkę, jałowizna mieszankę z brukwią, a woły gnieciony bobik. Z wszystkiego mleka wyrabia miejscowa Angielka doskonale sery szwajcarskie, holenderskie, angielskie i t. p., przez co dochód z każdej krowy przeszło 100 złp. wynosi.

Jak końmi i bydłem, tak téż i owcami celuje gospodarstwo klemensowskie; są one po większej części czystej krwi, a w zimie dostają prócz siana, surowe ziemniaki w wodzie moczone.

Po półtoradniowym miłym i niezmiernie nauczającym tu pobycie, ruszyliśmy już prosto w Sandomiérskie, przez Szczebrzeszyn, Zwierzyniec, Frampol, Janów, Modliborzyce, Zaklików, Irene i Borowę do Zawichostu.

Szczebrzeszyn nad rzeką Wieprzem, handlowe i starożytne miasteczko, jest o pół mili od Klemensowa odległe. Należy ono do ordynacyi Zamojskiej, a odznacza się swoim licznym gimnazyum, pięknym murowanym kościołem farnym i ogromnym klasztorem Panien Miłosiernych, który jednak bardzo opustoszał. Mieszkańców tu jest 4,000.

W Zwierzyncu, wsi do ordynacyi należącej, byliśmy zbudowani mnogością i różnaitością zakładów różnych, tak technologicznych, jak i rzemieślniczych. Między pierwszymi odznaczają się obszerne gmachy gorzelnicze z dystylarnią i browary, w których wyrabiają porter dubeltowy i zwyczajny, jako téż piwo angielskie, bawarskie i t. p. P. Neill wydzierżawił od ordynacyi te zakłady, i płaci z nich 10,000 złp. rocznie. Pod temi zabu-

dowaniami, rozciągają się obszerne piwnice, zaopatrzone sownie w krocie butelek, i mnóstwo oksestów napełnionych trunkami.

Opodal od browarów, mieszczą się obok siebie różne warsztaty rzemieślnicze, wyrabiające narzędzia i maszyny gospodarskie; można tam widzieć stolarzy, stelmachów, kowali, ślusarzy i t. p., a wszyscy wykonywają swoją czynność z wawo i biegle. Onito zaopatrują znaczną część kraju we wzorowe młocarnie i siewkarnie, doskonałe pługi, radła i t. d. Dążąc ze Zwierzyńca do Frampola, widzieliśmy łomy pięknego ciosowego kamienia przy wsi Trzęsinach, należącego do formacji trzeciorzędnej. Odtąd przechodziliśmy aż do byłej gubernii sandomińskiej, przez grunta mniej więcej równe i piaszczyste; tu już nie widzieliśmy tych pięknych widoków, jakie nas począwszy od Chełma ciągle zachwycaly.

W Janowie godny zwiedzenia jest klasztor OO. Dominikanów, którego fundacyą Jan Zamojski wojewoda sandomiński zatwierdził w roku 1660. W roku 1780 było tu 290 domów; dziś to miasto podnosi się przez swoje znaczne fabryki sukna.

W Irenie zatrzymaliśmy się dla zwiedzenia znakomych zakładów żelaznych rządowych. Dla braku rudy żelaznej, sprowadza się ją o milę, z Ostrowca. Najgodniejszą uwagi jest ogromna pudlingarnia, mająca dwie maszyny parowe; corocznie wykuwają tu bardzo wielką ilość szyn różnego rozmiaru. Patrząc na te ogniste piece, wśród hałasu i pisku nasunęły mi się te wiersze mimowolnie:

Te dymne budy,
Te czarne ludy,
Te lawy wrzące,
Tych kół tysiące,
Bicie, łamanie,
Darcie, stapanie;

Tych miechów wycie,
Tych młotów bicie,
Grzmoty, piszczenie,
Ze aż sklepienie
Niebiosów pęka,
A ziemia stęka.

Lubelskie w ogóle jest bogatą i żyzną prowincją, jednak jego część północna i wschodnia słynie urodzajnością ziemi, gdy tymczasem okolice południowo-zachodnie są nieco piaszczyste; przytém część ta Polski będąc wyżej położoną od Podlaskiego, nie ma już tyle bagien, i z tego powodu łąki i pastwiska, których jest dosyć, są doskonałe. Na lasach téż nie zbywa, i drzewo jest tanie, a idąc ze Zwierzyńca do Frampola, widzieliśmy w lasach do ordynacyi należących piękne buki. Włościanie mówią czystą, do piśmiennój zbliżoną polszczyzną, i mają się nieźle; szczególnie w ordynacyi, gdzie od kilku lat będąc oczynszowani, co dzień stają się zamożniejsi.

(Dokończenie nastąpi).

SZEKLERY I ICH KRAINA.

(Z ANGIELSKIEGO).

Opuszczając Klausenburg, zwróciliśmy naszą drogę do wschodnich i południowych stron Siedmiogrodu, do dwóch dystryktów, zamieszkałych przez Szeklerów i Sasów. Gdy Madziarowie przybyli do Węgier, zastali już Szeklerów w terażniejszych ich siedzibach; a ponieważ bardzo podobny mają z nimi język i pochodzenie rodowe, otrzymali od nich liczne przywileje, jakich nie dano innym pierwotnym mieszkańcom tego kraju. Szeklery otrzymali zupełną swobodę, pod warunkiem strzeżenia wschodniej granicy.

Szeklery utrzymują, że pomiędzy sobą od najdawniejszych czasów wszyscy byli równi, wszyscy wolni, wszyscy szlachtą. W początkach nie było stanów uprzywilejowanych; jedna tylko pomiędzy nimi była różnica, a ta powstawała z nierówności majątków; i dlatego bogaci dostarczali więcej uzbrojonych ludzi na wojnę, ubodzy zaś stawali sami pod chorągwie konno lub pieszo. Ale w ciągu tak wielu wieków niemało zaszło u nich zmian; zwolna zaprowadzili bogatsi i potężniejsi mieszkańcy w swych posiadłościach systemat panujący w in-

nych częściach Siedmiogrodu, i teraz znajdujemy w kra-
inie Szeklerów chłopów i właścicieli ziemskich; później
rozdano hojnie po całym kraju tytuły i dyplomata szla-
chectwa, a od pewnego czasu uważają mieszkańcy za
ujmę, kto je nie posiada. Płacenie podatków wywarło
wielkie zmiany na stosunki socyalne, jak i systematy-
czne strzeżenie granicy, w miejscu pierwotnie ledwie
znaczącej służby. A że wszystkie te zmiany były zapro-
wadzone bez ich zezwolenia, uważają je Szeklerowie
jako nieprawne, i z téj przyczyny stanowią oni w Sie-
dmiogrodzie ludność najwięcej nieukontentowaną.

Od rzeczy byłoby rozbiierać ich prawa i ustawy, po-
nieważ najsłynniejsi u nich uczeni wyznają, że wśród
téj gmatwaniny, nie rozumieją je nawet sami dobrze.
Ile mi wiadomo, utrzymują, że każdy Szekler rodzi się
szlachcicem, a tém samém gdyby miał zachowane wszel-
kie przywileje, nie płaciłby podatków, ani pełniłby słu-
żby wojskowej prócz w wypadkach, kiedy całą szlachtę
zawezwie król do pospolitego ruszenia. Wiadomo mi
nadto, że są pomiędzy niemi hrabiowie i baronowie,
mieniący się magnatami; dalej, że jest szlachta z dyplo-
matami i ludzie wolni bez tychże, a nadto straż grani-
czna i chłopci; że wolni ludzie i szlachta, którzy mają
tylko dwóch chłopów, płacą podatki, chociaż z innéj
strony mają prawa równe z istotną szlachtą.

Nie wiedzieliśmy o tém wszystkiém, gdyśmy z Klau-
senburga wyjeżdżali. Rozmawiając z Węgrami, zawsze
opowiadali mi oni, że cała ludność Szeklerów składa
się ze szlachty; wjeżdżając więc do tego kraju, rozumie-
liśmy, że się będziemy znajdować w narodzie mającym
równe prawa i przywileje, gdzie niemasz ucisku wła-
ścicieli ziemskich, gdzie nikt nie płaci podatku. Taki

stan wystawialiśmy sobie, i nasza ciekawość rosła w miarę zbliżania się do tego kraju; chcieliśmy uważać wpływ takich urządzeń na stan ludzi. Poznawszy jednakże istotne położenie rzeczy, przekonaliśmy się, że Szeklery aczkolwiek mogli być wszyscy równi i szlachtą, i że chociaż teraz roszczą sobie do tego prawo, takiego jednak stanu rzeczy niema już u nich, nie wiem od jak wielu wieków.

Jechaliśmy po jednej z najciekawszych części ziemi siedmiogrodzkiej, przez tak zwany *Mezöség*. Jestto kraina znacznej rozległości, nadzwyczajnie żyzna, a pomimo tego z niezmiernie nędznymi mieszkańcami. Ludność składa się po większej części z nieoświeconych Wołochów, których ubiór, domy, są gorszymi aniżeli innych mieszkańców Siedmiogrodu. Pogląd na przyrodę w *Mezöség* równie jest szczególnym, jak i na stan jego ludności. Jestto bowiem jedyna kraina górzysta, niemająca ani jednej malowniczej okolicy. Jechaliśmy ciągle z góry na dół i znowu na górę; co krok natrafialiśmy na okolicę okrytą brunatną paszą, spaloną od słońca, bez drzewa coby cień dawało, i bez wody. W tym kraju tak ubogim w powaby przyrody, domy wiejskie bardzo są rzadkie, i zdaje się, że *Mezöség* jest kraina zapomniana od przyrody i ludzi. Wiele jest jednakże podobieństwa, że wkrótce zostanie więcej poznany; po zaprowadzeniu bowiem poprawnego chowu owiec, rozległe jego pastwiska nabierają coraz większej wartości, a nadto odkrycia w różnych stronach węgla kamiennego (?), otworzą przewidującemu spekulantowi obfite korzyści.

Drugiego dnia w samo południe, przybyliśmy do *Maros Vasarhely*, stolicy kraju Szeklerów, i wprost udaliśmy się do profesora Dosa, przyjaciela naszego towa-

rzysza podróży barona W....s, który z wielką uprzejmością ofiarował nam się za przewodnika. W mieście małe domy a szerokie ulice, nie nadają mu wspaniałego wejrzenia; Maros Vasarhely jest jednakże ważnym punktem, w zimie bowiem zbierają się tu licznie okoliczni obywatele. Katolicy i protestanci mają tutaj oddzielne kolegia czyli szkoły; do nich pierwszych uczęszcza 300, drugich 800 uczniów. Zakłady te naukowe, nadają zebranemu towarzystwu pewną barwę literacką. Maros Vasarhely jest stolica najwyższego sądu siedmiogrodzkiego, tak zwanego *stołu królewskiego*, przy którym jest najwyższa szkoła prawa krajowego. Każdy prawie młodzieniec szlachecki, zamierzający nieść usługi krajowi, jak i wszyscy prawnicy, którzy ukończyli zwyczajne kursa prawne, muszą tutaj aplikować w sądach, i tych nazywają zwykle *juratami*.

Miasto to szczyli się głównie piękną biblioteką, założoną przez kanclerza Teleki, od którego nosi swą nazwę; zapisał ją familii swojej z warunkiem, aby ciągle stała otworem powszechności. Biblioteka ta składa się z 80,000 tomów, ustawionych w bardzo pięknym budynku, z wzorowym porządkiem. Jest w niej nieustannie otwarta sala, gdzie przychodzić może czytać każdą żadaną a znajdującą się książkę. Dla utrzymania biblioteki w stanie przyzwoitym, złożone są osobne kapitały; familia ta ciągle powiększa zbiór ten, w miarę swój możności. Zdobi ją głównie szczególnie bogaty dobór klasyków greckich i łacińskich, w których szczególnie kochał się kanclerz, mąż pełen rozległych a obszernych wiadomości. Zaczął ją zbierać nie mając więcej jak lat 20, i to w czasie wolnym od zatrudnień urzędowych.

Pomiędzy osobliwościami bibliograficznymi, pokazywano nam biblię łacińską z licznymi obrazkami i winietami, pisaną na liściach. Niéma wątpliwości, że ta materya nie była papirusową; mnie się zaś wydawało, że to jest bardzo cienki papier welinowy. Znajdowała się téż kopia z manuskryptu Serwatusa, dotąd nieogłoszonego dzieła; spostrzegliśmy jednakże, obróciwszy tytułową kartkę, przytoczenie z dzieła drukowanego w Londynie, tegoż autora. Widzieliśmy piękny rękopism Tacyta, pochodzący z biblioteki Macieja Korwina, w pysznej oprawie, jak wszystkie książki z biblioteki tego króla.

Oprowadzono nas potem po kassynie, które wydawało się nam w stanie kwitnym, jako dobrze urządzone zakłady; liczy ono dwieście członków. Ponieważ wielka liczba uczniów nie jest majątną i nie może opłacać składki, a profesorowie życzą sobie, aby ci jak najwięcej mieli sposobności uczęszczania tutaj, dla obznajmienia się z pożytecznością podobnych zakładów; otworzony został wolny wstęp miesięcznie sześciu uczniom, do którego dobrodziejstwa przypuszczeni, zmieniają się kolejno.

Pokazując nam professor stary gotycki kościół, stojący w samym środku twierdzy, dodał, że za panowania Maryi Teresy kościół ten prawie zupełnie niszczał, ponieważ wtedy niewolno było naprawiać świątynie protestanckie. Józef II dopiero przełamawszy przewagę stronnictwa bigotów, dał pozwolenie protestantom w Vasarhely pokryć dachem ten kościół.

Następnego dnia przejeżdżaliśmy po kraju górzystym, dość pięknym, obsianym licznymi wioskami, zupełnie do siebie podobnymi, aż do *St. Gegorgy*, wioski leżącej nad *Kis Kükülle* czyli mały Kokel, rzeką, o której już

dawniej slyszeliśmy, bo na jój brzegach rosna wyborne wina. Powiadano nam, że tam będzie karczma, w której znajdziemy czém nakarmić konie i sami się posilimy.

Zastaliśmy wprawdzie karczmę, ale biędna gospodyni oświadczyła, że nie ma nic więcej prócz suchego chleba, a co gorsza, nie było owsa dla koni. Służący pomimo tego wyprzęgli konie, a gdym się pytał, coby to znaczyło, zatrzymywać się przed domem, w którym niema nic ani dla ludzi, ani dla koni; uśmiechnęli się i odpowiedzieli: że trzeba sobie radzić, jak można najlepiej. Na końcu wioski stał wielki dwór; nasz stangret udał się prosto do niego z prośbą do zarządcy, by odstąpił nieco owsa. Po drodze dostrzegł Miklosz parę kur chodzących, i wróciwszy, przyniósł je wraz z ich jajami. Szczęśliwy traf chciał, że nasza służba znała się na sztuce kucharskiej; i gdy jeden robił omlet, drugi sporządzał zupę jajkową i parę smażonych kur. Niema lepszego obiadu, jak kiedy trzeba kontentować się tém, co jest. Ciekawy jestem, jakby sobie pomógł doskonały angielski kamerdyner w tak trudném położeniu?

Według następnego planu ułożyliśmy sobie zwiedzić kraj Szeklerów: najprzód zamierzaliśmy poznać kopalnie soli przy *Szowata*, potem przez *Udvarhely* udać się do dóbr naszego przyjaciela, ztamtąd zrobić małą wycieczkę do sławnej jamy w pobliżności leżącej, a dalej wjechać do kraju Sasów i obejrzyć tam dwa wielkie miasta: *Kronstadt* i *Hermanstadt*.

Trzymając się wytkniętego planu, udaliśmy się ponad małym *Küküllo*, prawie aż do jego źródła, piękną a dobrze uprawianą doliną, której ziemia chociaż z przyrodzenia nie jest żyzną, wydaje jednakże dobre plony. Szeklery zamieszkują kraj górzysty, i dlatego są ubodzy; je-

dnak łatwo było dostrzedz, że są czynniejsi od wszystkich narodów siedmiogrodzkich. Rozważając to wszystko, com słyshał o ich charakterze, znajdowałem, że najwięcej mają podobieństwa do Szkotów. Taż sama dumna, toż samo ubóstwo, ten sam duch przedsiębiorstwa, i jeżeli jest prawda, odznaczają się tą samą interesownością. Mówią narzeczem madziarskiem, mało co odmiennem od zwyczajnego języka, którym mówią Węgry; ale właściwie przeciągają w wymawianiu. Podobnie jak Szkoci, nie mają ani wykształconych, ani wytworniejszych obyczajów; w czem nawet bogatsza klasa nie odznacza się. Równoważą jednakże tę ujemną stronę obszernie wiadomości, i zamiłowanie swych zasad politycznych. Podobnie jak Szkoci, starannie wychowują swe dzieci; mało jest wiosek bez szkół, i mało Szeklerów nieumiejących czytać i pisać. Chociaż należą do rozmaitych wyznań, każde trzyma się nader ściśle swych zasad (1); unicy stosunkowo są najliczniejsi, bo mają w krainie Szeklerów około 100 kościołów. Z wyjątkiem żydów i Greków, wszystkie wyznania mają jednakowe prawa.

Nad wieczorem przybyliśmy do Szovata, a że tutaj nie można było przenocować, kazaliśmy szukać przewodnika, aby obejrzyć cokolwiek, zanim się zciemni. Niemało trudności trzeba było pokonać, tém bardziej, że tutaj pojawiła się właśnie cholera, a pierwszą jej ofiarą był jeden z celniejszych włościan téj wioski. Przybyliśmy więc niechęć na pogrzeb, a ponieważ obyczajem jest u Szeklerów upijać się przy podobnych obchodach, by utłumić smutki, zastaliśmy całą wieś w niezwyčajnym sta-

(1) Katolicy są podwójni: ormiańscy i greccy.

tyle jest soli, że przez kilka tysięcy lat możnaby nią całą Europę zaopatrywać.

Gdyśmy się przybliżyli, widzieliśmy rosnącą kukurydzę na skale z soli, której łodygi i kicie były tak piękne, jakby rosła na najlepszej ziemi; nie mogliśmy także dostrzedz widocznej różnicy pomiędzy roślinami rosnącymi na soli, i na zwyczajnej ziemi. Oglądaliśmy kilka sterczących skał arcy pięknych; na niektórych porobił dęszcz rowki, a z nich sterczą ostre słupy, okryte białymi świecącymi kryształami soli, mające podobieństwo do małych minaretów w gotyckich świątyniach. Na drugiej stronie góry, opowiadano nam, że się znajdują nierównie wyższe a piękniejsze skały; ale do tego potrzeba było godzinę czasu, a już się zciemniło. Następnego dnia zamierzaliśmy je zwiędzić, ale tak mocny dęszcz padał, że tego niepodobna było wykonać.

W czasie nieobecności naszej, dowiedzieli się właścianie o nazwisku jednego z naszych przyjaciół i towarzyszu podróży, którego Szeklerowie namiętnie kochają. Wróciwszy do wioski, z największą trudnością udało się nam wyjechać; ci gościnni ludzie prawie nas zmuszali do zostania, zapraszając do domu właśnie co zmarłego, i do jego opuszczonego łóża.

Nie wiem istotnie, jakie pojęcie mają Szeklerowie o wygodnej karczmie; jednakże to mam przekonanie, że to zupełnie coś innego znaczy, aniżeli u reszty cywilizowanego świata. Omyliliśmy się dnia dzisiejszego dwa razy: rano dowiedzieliśmy się, że wygodna karczma znaczy pusta izba, w której niema nic do jedzenia. Wszyscy opowiadali, że w Parayd zastaniemy wyborne przyjęcie, dlatego więc łóża zmarłego nie przyjeśliśmy, i z największą pewnością udaliśmy się ku

wymienionemu miejscu. Niestety sroga była omyłka, zastawszy próżną izbę i alkierzyk! Jeszcze nie wysiedliśmy gdy nam oświadczono, że pokój jest zajęty, i tylko alkierzyk jest do oddania. Siedział w nim szczęśliwy posiadacz pokoju w rogu przy stole, i właśnie według naszego domniemania, kończył swoją wieczerzę, składającą się z kawałka chleba z sérem owczym. Nieznajomy ofiarował nam uprzejmie za pierwszém powitaniem większy pokój. Był to stary oficer straży granicznej szeklerskiej, który powiadał, że w komórcie się zmieści; a gdyśmy się o wieczerzę pytali, potrząsł głową i wskazując na sér, chléb i butelkę bladego wina, pewnie kwaskowatego, zawołał: *Miseria cum aceto!* i nic więcej. Tyle można powiedzieć o wygodnej siedmiogrodzkiej karczmie.

Nie wątpię, że Szeklerowie obok tylu wybornych przymiotów, nazywają to, co my rozumiemy wygodą, przesadzonym zbytkiem, i inne o niej mają pojęcie. W domach mniejszej szlachty, widać mało zamięłowania wygod i ochędóstwa, Nieraz pochodziło to może z ubóstwa, a natenczas nie można przeciw temu nic powiedzieć; ale często widywałem mnóstwo świecideł wśród brudu i niedbalstwa.

Ile było można unikaliśmy domów prywatnych, bo W* również wielki miał wstręt jak my do szukania gościnności u nieznanym osob, a do tego większa część Szeklerów mówi tylko po madziarsku: ztąd téz nie mogliśmy się z nimi bliżej rozmówić, ani czegokolwiek dowiedzieć i zabawić się. Pomimo tego, nieraz byliśmy do tego zmuszeni, i jeden z takich przypadków opiszę. Otoż raz zaprowadzono nas do wielkiego i pięknego domu; pokój gościnny i buduar były przepelnione mo-

dnemi meblami; pani domu ubrana pięknie a nawet pysznie; całe urządzenie domu odznaczało się starannością, tak rzadko przytrafiającą się w tych górach. Jednak z pokoju przeznaczanego nam na nocleg, powzięliśmy inną wyobrażenie o wewnętrznym zarządzie domu; pół tuzina szyb w pokoju było wytłuczonych, meble najmizerniejsze, podłoga do najwyższego stopnia brudna; a co do łózek, nie zachodziła najmniejsza wątpliwość, że prześcieradeł oddawna nie zmieniano. W obrzydził je sobie tak dalece, i tak był rozjątrzonem, iż tym sposobem przyjmowano obcych, że niemało mieliśmy pracy, aż się dał namówić abyśmy przenocowali. Po uspokojeniu się, kazał zdjąć brudną pościel, wyrzucić ją z pokoju i pościel naszą własną przynieść; dopiero rano wymogliśmy na nim przyrzeczenie, że nie wyłaje gospodarza, za tak nieczystą gościnność. Lecz wróćmy do Parayd.

Ta niegościnność w oberży, nie zmieniła wszakże wesołego usposobienia umysłu, i z niezmiernym apetytem połykaliśmy czarny chleb z terpentynowatym serem; tutaj bowiem obwijają go w korę świerkową, dla dodania mu przysmaku terpentynowego; a gdy Mikloszowi przyszło do głowy, że mieszanina wódki zwyczajnej krajowej z cukrem i gorącą wodą, może odpowiedzieć napojowi angielskich majtków, który grogiem nazywają, i gdy radując się nad szczęśliwą myślą, przybył z wielkim dzbanem dobrze pachnącego, według jego zasad złożonego płynu, wraz z tureckimi fajkami; prawie w nas wmówił, że nasza szeklerska karczma jest wyborną. Tymczasem większą część stogu siana zniosła służba do izby, i całą podłogę okryła warstwą siana; na to ułożyła poduszki i okryła prześcieradłem. Nim wypaliliśmy

fajki, nietylko byliśmy nasyceni, ale nadto otwierała się nadzieja wygodnego noclegu. Nic nie może się równać z wesołą myślą, dobrém zdrowiem i służącym umięjącym grog sporządzać!

Następnego poranku zwiedziliśmy kilka kopalń soli, o których nie mogę powiedzieć nic ciekawego; w tych kopalniach tylko pracują w zimie, i to w małej rozległości. Ponieważ kopalnie w *Maros Ujwar* leżą nierównie dogodniej dla spławu soli, bo nad rzeką *Marosz*, dobywają jój tutaj małą ilość dla najbliższych okolic, Ten pokład soli ma być jeszcze potężniejszy, anizeli znajdujący się w *Szowata*; jednakże okrywa go grubsza ziemia. Niéma tu jednakże tój białej, pięknej soli, którą wczoraj widzieliśmy; kolor jój jest ciemno-zielonawy. Nawet aż do tych stron przemycają sól z *Mołdawii*, i po kraju sprzedają, pomimo że tu wszystka ziemia składa się prawie ze soli; zapewnili nas o tém ludzie dobrze znający tutejsze stosunki.

Co krok spotykaliśmy się z cholerą. Jeden z naszych koni stracił podkowę, a zanim ją przybito, trzeba było czekać kilka godzin; właśnie zachorowała żona kowalowi i nie chciał jój opuszczać, aż się nie poprawi stan jój zdrowia. Lecz to nie było największą nieprzyjemnością; kilka osób naszego towarzystwa uczuło się tego rana jakoś niezdrowo, i obawialiśmy się, czy się to nie zmieni w cholereę. Nie przypuszczając że jest zaraźliwą, wiadomo nam było bardzo dobrze, że również jak i mieszkańcy kraju tego byliśmy na nią wystawieni, a w podróży dla przyjemności odbywanėj, sama myśl o niej była nieznośną; i dlatego posuwaliśmy się prędzej, anizeli wypadało czynić w tój pięknej krainie.

Chcieliśmy zanoćować w Udwarhely, największém miasteczku Szeklerów, ale nader nędzna karczma, a samo miasto mało powabne, były powodem, że pokarmiwszy konie, pojechaliśmy prawie 4 mile dalej do *St. Pal*, wioski naszego towarzysza podróży. Udwarhely nie jest wszakże zupełnie bez osobliwości. Zjechawszy z drugiej góry, u stóp której wybudowane jest to miasto, zapowiadały wiele godnego widzenia trzy kościoły z podwójnymi wieżami, zapadnięty zamek, wielkie białe kolegium i piękny ratusz; jednakże karczma z brudnymi pokojami i z oknami bez szyb, zubożyła nas na wszystko. W czasie popasu koni, zaprowadził nas W* do jednego z swoich przyjaciół. Był to mały, wesół korszennik, jeden z tych ludzi, co lubią dobre obiady i długie rozmowy. Zaprowadził on nas na zamek; było to kiedyś najznakomitsza twierdza tego kraju; nieraz staczały tutaj zawzięte boje austriackie i siedmiogrodzkie wojska. O północy przybyliśmy do *St. Pal*, a chociaż dwór właśnie był wyporzadzony i kilku robotników w nim mieszkało, dostaliśmy dobre pokoje, jakich nie mieliśmy od Klausenburga.

Kilka dni zostaliśmy w *St. Pal*, w części by W* załatwił swoje domowe interesa, w części by dać koniom wypoczynek. Pierwszego dnia wyszliśmy na polowanie kuropatw, na bagna słone, rozciągające się tuż przy samej wiosce. Jeszcze bowiem i tutaj ciągnie się kraina soli, a chociaż nie widać jój pokładu, to przecież bardzo słone strumyki, źródła, bagna, a nawet rośliny, jawnie jój bytność zaświadcują. Kilka mil trzeba posyłać po słodką wodę; mieszkańcy jednakże piją słoną, i to nie wywiera na nich żadnego szkodliwego skutku.

Na dzień następny, zaprosiliśmy małego korzennika, by nam towarzyszył do jamy leżącej w okolicy. Jeszcze rano, przybył z pochodniami i kilkoma końmi sąsiada, dla okazania cudów Almaszu. Ponieważ ta jama dosyć jest oddaloną od St. Pal, wysłano rano dwóch chłopców z wozem napełnionym żywnością, a myśmy później wyruszyli w wielkiem towarzystwie, składającym się z korzennika, proboszcza, zawiadowcy, nas trzech i dwóch służących; ostatni towarzyszyli nam dlatego, ile mogłem dorozumieć się, by było komu fajki nakładać i wypalać je. Jechaliśmy górami i lasami, czasem przez dobrze uprawioną dolinę z pięknymi wioskami. Wieś *Homorad Almasz*, którą przejeżdżaliśmy, była najpiękniejsza i najzamożniejsza, jakąśmy tylko poznali w Siedmiogrodzie. Położenie jej było nader zdrowe, a wokół role bardzo żyzne, tak, że się nam zdawało, że jesteśmy wśród ogrodu; mieszkańcy czerstwi, domy obszerne i czyste, a przecież nigdzie bardziej nie srożyła się cholera, jak tutaj. Cmentarz wydawał się jakby złożony z samych nowych mogił; nawet wiele było grobów świeżo wykopanych, dla przyjęcia nowych ofiar.

Wyszedszy z wioski, spostrzegliśmy jawne dowody zabobonu, chociaż nie spodziewaliśmy się znaleźć go w miejscu, gdzie wychowanie tak jest ogólnem. Pomiedzy dwoma drzewami, rozciągnięto sznur, a na nim nad samą drogą wisiał kawał płótna, podobny do spodni. Mieszkańcy wierzyli bowiem, że w jamie Almasz, którą mieliśmy zwiedzić, znajdują się dwa zaklęte nagie duchy, które płaczą i narzekają nad nieszczęsnym losem, i wyjść ztąd nie mogą; często słychać jak jęczą w ciemnej dolinie Almasz, mianowicie gdy wiatr mocno dmie. Według wieśniaków tutejszych, cholera ma pochodzić

od złośliwości tych dwóch zamkniętych duchów. Aby je przebłagać, wywieszają dla nich suknie; na jednej stronie wioski wisi para spodni, na drugiej zaś koszula; którą więc stronę obiorą do wyjścia, będą mieli gotowe ubiory, przygotowane do przebłagania ich. Opowiadał to zawiadowca, któremu więcej szło o to by mnie przekonać, że on uważa to wszystko za nierozsądek, głupie zabobony, aniżeli aby zaspokoić moją ciekawość.

Na pagórku panującym nad tą doliną, albo raczej nad parowem, bo nierównie jest głębszą jak szeroką, spotkaliśmy nasz wóz z żywnością; przy nim palił się wielki ogień, a służba zabięrała się do gotowania. Jęj oddaliśmy konie pod dozór. Trzymając się drzew rosnących na boku góry, zesliśmy do doliny, przez którą strumyk płynie, a-który nieco dalej wpada do otworu w skale, i tym sposobem ginie; kilka mil dalej, na drugiej stronie góry, znowu ma wypływać. Spoglądaliśmy ztąd na pyszny obraz, leżący przed nami. Wszystko odznaczało się szczególnością; strome skały wapienne, wiszące na nich lasy, mały strumyk z łozem kamienistém, otwory trzech czy czterech niezmiernych jam, jakby ku nam zwróconych z obudwóch stron: nadawały całemu temu obrazowi charakter tajemniczój piękności, i nie ma dziwu, że lud wiele powieści opowiada o téj dolinie. Żale owęj uwięzionej kobięty wtedy najlepiej słyhać, gdy wiatr zacznie dąć w owe ciasne szczeliny i zapadliny.

Pominąwszy mniejsze jamy niezbyt głębokie, postępowaliśmy po trudnej do przebycia kamienistój ściesce, aż do drugiego końca doliny. Na téj drodze schwytaliśmy ptaka, nazywanego tutaj *Czaszar madar* (Gelinotte), rodzaj jarząbka bardzo pospolitego w górach sie-

dmiogrodzkich. Tak był oswojony, że podlatywał parę łokci i w małych odległościach dosiadywał, jak się zdawało bez najmniejszej obawy. Widać, że tutaj nie żyje jeszcze wiele ludzi.

Otwór wielkiej jamy, wznosi się znacznie nad poziom doliny, i wejść do niej tylko można po drewnianych schodach, urządzonych przez dawniejszych podróżnych. W połowie zasłania ją gruby mur, teraz znacznie rozpadły, postawiony oczywiście w zamiarze bronięcia się przeciw nieprzyjacielowi. W czasie powstania Wołochów pod przewodnictwem Hory i Kłoski, chowali się w niej Szeklery; oprócz tego jednakże, nieraz stan Siedmiogrodu zmuszał spokojnych mieszkańców chronić się przed okropną srogością tak zewnętrznych, jako i wewnętrznych nieprzyjaciół, że trudno powiedzieć, kiedyby jej nie było potrzeby. Część ta kraju, dla bliskości granicy, bardzo często ucierpiała od obcych napadów, i nie trzeba się dziwić, że się mocno obwarowano przed napadami Tatarów i Turków; pierwsi mordowali każdego, kogo schwytali, drudzy o tyle szanowali człowieka, o ile był zdatnym na niewolnika (1). Nawet dom mojego przyjaciela w St. Pal, aczkolwiek nie był nigdy przeznaczony na miejsce obronne, miał jednakże ślady niektórych środków ostrożności. Pod mieszkaniem stajnie tak są jeszcze urządzone, że z pokojów można zejść do nich skrytymi drzwiami, po krętych schodach, i w razie napadu na dom plądrującej bandy, nimby wyrąbali dębowe drzwi

(1) Betlen Gabor za pomocą wojska tureckiego, został obrany na tron siedmiogrodzki, a chociaż wojsko to nie miało obowiązku popierać bronią jego sprawy, ale li tylko popierać stronnictwo Betlena i tak pokonać bez walki słabego Bathory Gabor; pomimo jednak tego, z wyprawy wychodzący Turcy, zabrali 80,000 jeńców siedmiogrodzkich, których zaprowadzili w niewolę.

i okna, można mieć dosyć czasu dla rodziny wsiąść na konie, i uciekać podziemnymi korytarzami, prowadzącymi na pola.

Wstęp do jamy jest obszerną salą, z piękną gotycką powalą, z której na obie strony wychodzą dwa ciemne korytarze, prowadzące do wnętrza góry. Rozpoznawszy starannie plan jamy, gdy zapalono pochodnie i stanęliśmy w porządku do wstąpienia, nie chciał żaden z wieśniaków przewodniczyć, i nasz mały korzennik musiał na siebie wziąć obowiązek przewodniczenia. Niemalą to było trudnością znaleźć dobrą drogę; liczne bowiem były otwory, łatwo można było się zmylić, i nasz kórzennik musiał natężyć pamięć, przy całej swjej znajomości i doświadczeniu. W miejscu gdzieśmy wstąpili, jama ta jest prawie na ćwierć mili długą, i składa się jużto z wielkich sal, jużto z ciasnych korytarzy, przez które za ledwie przecisnąć się można. Niektóre sale bardzo są wysokie i ozdobione stalaktytami. W jednej zwiesiła się potężna masa skalna, podobna do niezmiernej brodawki, i zajmowała przestrzeń od wierzchu aż do spodu, nie dotykając się jednakże ziemi. Postępując dalej, na nową natrafiliśmy zawadę; prócz zbłąkania, mieliśmy przed sobą ze 20 sążni długie bagno, jeżeli tak nazwać można gęstą glinę, podobną do rozrobionego wapna, przyrządzonego do murowania.

Opowiadano nam, że w samym końcu jamy miała się znajdować żyła pełna drogich kamieni, i niemało byliśmy zdziwieni, spostrzegając jamę ze ścianami glinianymi, niemającą innego wejścia, prócz małej dziury, przez którą dostać się, wydawało się wszystkim niepodobnym. Mały korzennik wszakże nie dał się odstraszyć, i utrzymywał, że drogie kamienie są za ową dziurą; po-

łóżył się więc na ziemi, zaczął się czołgać jakby robak zagrzebujący się w nią, i w końcu zginął nam z oczu; ale wkrótce wyszedł i zapewniał nas, że dotarł do drogich kamieni, i taką wzbudził ciekawość we wszystkich, żeśmy się także przeciskać zaczęli. W samej rzeczy ciekawy to utwór! Szczelinę na sążen szeroką, wypełniały piękne minerały kwarcowe; byłyto po większej części zaokrąglone ułamki, prawie wielkości grochu, pospolicie bardzo gładkie i szczególnej piękności. W istocie zapomniałem już, jak się nazywały te wszystkie minerały tam znajdujące się, a ile sobie przypominam, byłyto mniej drogie kamienie: jaspisy, krwawniki, agaty i t. d. Dla geologów zapewne ciekawą będzie ta żyła. Ze płynące wody zaniosły te kamienie, niéma wątpliwości; a ponieważ ta żyła leży teraz przynajmniej sto stóp nad poziomem doliny, z tego wynika, że musiała być jeszcze przed powstaniem doliny, to jest wtedy, gdy jeszcze wody wznosiły się nad temi górami. Krzemienie te pozostały się z sobą do tego stopnia, że musieliśmy je młotem odbijać. Gdy się w téj części jamy zgęszczać zaczęło powietrze, trzeba ją było opuścić, bo zaledwie można było oddychać. Poznaliśmy dotychczas dopiero część jamy, ale nad nią rozpościęra się druga część, również obszerna; jój otwór znajduje się w innym boku góry, do którego dostęp nierównie trudniejszy, bo po drabinie trzeba do niego wchodzić; ale ponieważ nasza ciekawość zaspokoila się, nieobejrzawszy jój wróciliśmy do domu.

Chłopi tymczasem przygotowali nam dobry obiad, taki nawet, że jednozgodnie oddawaliśmy pochwały ich sztuce kucharskiej. Nim się zciemniać zaczęło, wsiadłszy na nasze rumaki, wróciliśmy najkrótszą drogą do

St. Pal. Najbliższy punkt był *Keszdi Vasarhely* (1), a chociaż prawie zupełnie leży na wschód od St. Pal, trzeba było znacznie zboczyć ku południowi dla ominięcia pasma gór, dzielącego dwa te miejsca. Moje notatki z tego dnia nie zawierają nic godnego, oprócz, że spaliśmy na stołkach i stołach, a na wieczerzę trzeba się było kontentować małemi pstragami, po które wyszedł gospodarz z wędką. Wstydzę się istotnie zajmować czytelnika szczegółami tyczącemi się wygody; czynię to jednakże li dlatego tylko, że to daje lepsze wyobrażenie o stanie kraju, aniżeli obszernie opisy. Cóż może np. obcego więcej obchodzić, jak przypadek, który się nam wydarzył dnia następnego. Wkrótce po wyruszeniu z miejsca, jechaliśmy przez małą wioskę, w której zamierzaliśmy się zatrzymać. Tu dostrzegł Miklosz w domku rolnika świeżo zabite cielę, zeskoczył więc i wrócił z potężnym kawałem cielęciny, aby mieć co na obiad.

Zanim przybyliśmy do *Foldwar*, uczuliśmy zmianę temperatury, i trzeba było wyjąć nasze kożuchy. Przyczynę tego poznaliśmy jeszcze tego samego poranku; obfite śniegi spadły na górach, a białe ich szczyty wdali odbijały się dziwnie przy jasnym oświeceniu słońca, od pól okrytych żółtym zbożem i zielonemi łąkami.

Do *Szepsi St. Gyorgy* zajechaliśmy na obiad z naszą cielęciną. Nie było wioska, ale porządne miasteczko, mające piękne domy i wielkie publiczne gmachy, które dziwnie odbijały od tej dzikiej okolicy. *Szepsi St. Gyorgy* jest główną kwaterą huzarów szeklerskich, którzy mają za obowiązek strzedz granicę. W jednym wielkim bu-

(1) *Vasar* znaczy miasteczko, *hely* plac; nazwa ta bardzo często powtarza się w Siedmiogrodzie.

dynku jest szkoła dla wychowania dzieci huzarskich, bardzo porządnie utrzymywana.

Przed wieczorem dotarliśmy jeszcze do Keszd Vasarhely, a chociaż nam oświadczone, że tam niema karczmy, dostaliśmy przecież wyborne mieszkanie u piwowara Francuza, który ożeniwszy się z węgierską panną, zamierzył tutaj dokończyć resztę dni swoich. Byłto poczciwy człowiek, i niemało ucieszył się, że nas mógł podejmować w swym domu; obiecał przygotować wieszczkę, któraby wynagrodziła nam za poprzednie posty. Rozumié się samo przez się, że nas oprowadził po całym zakładzie i pysznił się niemało z niego; browar jego aczkolwiek niezbyt doskonały, odznaczał się nadzwyczajnym porządkiem. Niemało uskarżał się na sąsiadów, płatających mu wszystkie możebne figle z nienawiści, że nie był krajowcem; wierzę chętnie temu, bo Węgrzy wyrobili sobie teorią, że każdy szeląg, który obcy sobie zarobi, wypada odebrać jego dzieciom. Nasz biédny Francuz uskarżał się także na wysoką cenę chmielu; zmuszonym był sprowadzać go z Czech, a i tam najlepszy sobie zostawiają.

Mieliśmy dosyć czasu zwiedzić szkołę wojskową, w której wychowują chłopców do piechoty szeklerskiej. Założył ją cesarz Franciszek I; w części utrzymuje się z zasiłków pochodzących od króla, w części od Szeklerów. Rząd prowadzi jój zarząd. W zakładzie tym są chłopcy od 6 do 18 roku; w nim żywią ich, uczą bezpłatnie i ubierają. Jeżeli niewszystkie miejsca zajmą pensjonarze, wtedy mają obcy do niój wstęp, za opłatą miesięczną po 8 reńskich (34 złp.), i ci używają tychże samych korzyści, co pierwsi. Po ukończeniu

nauk, wchodzą uczniowie do pułków, i posuwają się nawet na stopnie oficerskie. Kurs naukowy obejmuje czytanie, pisanie, arytmetykę, geografią, matematykę, rysunek sytuacji i język niemiecki; prócz tego odbywają ćwiczenia ciała, mające styczność z wychowaniem wojskowym. Widzieliśmy ich pisma i rysunki, i muszę im przyznać niemałe pochwały. Zakład ten posiada małą biblioteczkę, składającą się z książek bawiących dzieci. Książki te bywają uczniom wypożyczane, aby w czytaniu nabrali smaku. Wszystkie przedmioty wykładają po niemiecku, wszystkie książki mają w tym języku, i to głównym jest powodem, że o téj szkole wspominają Szeklery z najwyższym wstrętem.

Gdzieś w tych górach ma być wielka jama, o której opowiadano nam szczególniejsze rzeczy. Ile się dało, wypytywaliśmy się o nią w Keszd Vasarhely, ale nikt nie umiał powiedzieć coś pewnego o odległości, ani o drodze, którą trzebaby się do niej udać. Wszyscy powtarzali jednoznacznie, że trzeba jechać przez *Torya*, wioskę leżącą u stóp gór, prawie 2½ mili odległą, którą zdaleka widzieliśmy; tam znajdziemy kogo według wszelkiego prawdopodobieństwa, co nam da bliższą o niej wiadomość. W téj nadziei wyjechaliśmy; szczęśliwym sposobem przypomniał sobie W* nim przybyliśmy do wioski, że w *Torya* mieszka dobry jego znajomy Szekler, i że to musi być też sama *Torya*. Pierwszy wieśniak któregośmy spotkali potwierdził to domniemanie, i zaprowadził nas do dworu. Barou A. właśnie był w domu, i niezmiernie ucieszył się, widząc u siebie przyjaciela. Na nieszczęście nie rozumiał baron ani słowa po niemiecku, i rozmowa nasza odbywała się z nim za pośrednictwem W*. Jeżeli mam prawdę wyznać, sędzę,

że gdyby nawet baron umiał ten język, nie mówiłby nim, dla wstrętu panującego tutaj ku Niemcom.

Odbywszy pierwsze powitanie po poznaniu pana domu i całej familii, poważyl się W* objawić życzenie nasze, aby o ile być może najspieszniej zwiedzić jamę. Mówię poważyl się, bo dopiero po wielu znakach uczynił to wbrew swęj woli; wiedział bowiem dobrze, jak wysokie wyobrazenie o powinnościach gościnności mają Szeklery, i niemało trudności upatrywał w tém jak się usprawiedliwimy, że całego dnia nie przepędzimy u niego. Dowiedziawszy się baron o naszym zobowiązaniu w inném miejscu, i niepodobieństwie zostania u niego, przyzwolił wreszcie na to; obiecał nam dać stosowniejsze zaprzęgi do tutejszych dróg, sam nawet przyrzekł towarzyszyć do jamy. Zanim przybyły konie, co nierównie dluzęj trwało anizeli było powinno, oglądaliśmy nieco urządzenie domowe szlachcica szeklerskiego. Jak zwyczajnie, dwór nie był o piętrze; różnił się tylko obszernością od wokoło stojących domów włościańskich. Wielki niebrukowany dziedziniec, obwiedziony stajniami i wozowniami, dotykał drogi publicznej; z drugiej strony stały zabudowania gospodarskie, a za nimi ogród warzywny. Wnętrze domu było skromne, prawie ubogo umeblowane; stosunki bowiem majątkowe barona nie były świetne, chociaż należał do najdawniejszych familij, i co do drzewa genealogicznego, nikt z nim nie mógł się równać: kilka tylko starych portretów, nadawały pokojom rodzaj godności, zresztą wszystko było na wygodę obrachowane, a porządne.

Nietylko tutaj, ale i w całym kraju Szeklerów miałem sposobność poznać, jak nadzwyczajnie kochają i czczą barona Wesseleny Miklosz. Jego portret wisi w każdym domu, wszyscy o nim mówią. Szeklerowie patrzą na niego, jako na obrońcę ich praw i swobód.

Gdy wreszcie konie nadeszły, wydała się przyczyna tój zwłoki. Baronowa postanowiła nie puścić nas przed obiadem; a chociaż przybywając była dopiero dziewiąta, a teraz jedénasta, zawiadomiła nas, że dano do stołu, — „i zanim konie nakarmią i zostaną zaprzężnięte, cośkolwiek raczycie panowie przekąsić.” — Wyruszyliśmy wreszcie; przez trzy godziny ciągnęła się nienajlepsza droga długą, wąską doliną; nieraz trzeba było jechać korytem rzeki; dalej zupełnie znikła. Wstępując na górę, pokazał nam baron kilka źródeł mineralnych, a odtąd na milę drogi stanęliśmy przed jamą *Büdös*, czyli jamą śmierdzącą, przed zamierzonym celem naszej wycieczki. Wyszedszy na wierzchołek góry niemało nas zdziwiło, widząc trzy czy cztery dosyć dobre drewniane chałupy, pełne słomy i drzewa spalonego, jak gdyby je właśnie porzucili ludzie. I tak było w istocie: pomimo, że nic o tém nie wiedzieli mieszkańcy w Vasarhely. Źródła w *Büdös* są bardzo używane i uczęszczane przez wieśniaków. Przybywają oni tutaj latem, stawiają sobie chałupki z gałęzi, pokrywają je słomą, i w nich mieszkają, opatrzeni obficie w żywność na 4 lub 6 tygodni. Nie zabawiając się dłużej źródłami, poszliśmy do jamy.

W boku skały dolomitowój jest znaczniejszy otwór, mogący obejmować około dwunastu ludzi; spód jego widocznie pochyła się ku wnętrzu. Przed kilkoma laty jama ta nierównie była większa, ale pozapadała się znacznie podczas mocnego trzęsienia ziemi. Jój spód

i boki okryte są cienką żółtawą skorupą siarki, osadzonej przez gazy, dobywające się z bocznej szczeliny. Wstąpiwszy głębiej do jamy, uczuliśmy swędzące gorąco; uczucie niedające się porównać z żadnym mi wiadomym, zaczynające się od dolnych części ciała, a które coraz bardziej wznosiło się, w miarę zniżania się jamy. Przyczyna tego pochodzi od coraz bardziej stężonego gazu kwasu węglkowego (pomieszanego z małą cząstką wodorodu siarkowego), który się dobywa z otworu znajdującego się w spodzie jamy, i podnosi się poziomo do wysokości jego. Temperatura we wszystkich częściach jamy była jednakową; przekonywałem się o tém ręką, którą zanurzałem w otworze i wyciągałem do góry, nie doznając żadnej różnicy; lecz w kilka sekund, gdy ją gaz obwiał, dało się uczuć swędzenie. Zanurziliśmy się tak głęboko, że gaz sięgał brody, i ręką zbliżałem go do warg i smakowałem jego kwaskowatość. Utrzymują powszechnie, że rozrzedzony kwas węglkowy zabija życie wchodząc do płuc; ale tym gazem niepodobna było oddychać; drażnił bowiem kanał oddechowy tak silnie, że się ściągał konwulsyjnie, a śmierć nastąpiłaby bezpośrednio przez uduszenie. Najmniejsza część tego gazu dostawszy się do oczu lub nosa, sprawiała ból gwałtowny. Włóścianie krzesząc ogień, mają znak jak daleko można zstępować z pewnością; kiedy już iskry nie spadają, wtedy jest kres, za który przestąpić nie godzi się.

Zabawiliśmy się przez pewien czas w jamie, uważając, jakie wywióra uczucie. Jak się spodziewać należało, jestto wyborna kąpiel powietrzna, znana dobrze włóścianom okolicznym, którzy corocznie przyjeżdżają gromadami aby jój używać. Używający téj kąpeli, udają się zazwyczaj rano do jamy, i zanurzają całe ciało w ga-

zie, dopóki obfite poty nie wystąpią; następnie udają się do zimnej kąpieli, którą na wstępie poznaliśmy. Też same gazy nasycają te wody, lecz zawierają zapewne więcej siarki. Kąpiele w Búdös szczególnie leczą zadawniałe reumatyzmy i skomplikowane cierpienia merkuryczne. Wieśniacy tak mało są oględni na swe życie, że corocznie ginie ich kilku w jamie. Tego roku już wydarzyły się dwa podobne przypadki. Pospolicie nazywają tę jamę morderczą (Gyilkostynk).

Wracając, okazywano nam jeszcze kilka źródeł mineralnych, tryszczących ze wszystkich stron tej góry.

Obejrawszy górę Búdös, zamierzaliśmy zwiedzić ruiny starego zamku, kiedyś mieszkania poprzedników barona A*, a następnie mieliśmy się udać do odległego o milę jeziora Św. Anny; ale wieczorem tak się dęszcz rozpadał, że nie chcąc spać pod gołym niebem, zaniechaliśmy to przedsięwzięcie. Ma to być małe jezioro na samym szczycie góry; niektórzy twierdzą, że to jest krater wypalonego wulkanu. Pospieszywszy pożegnać barona w Torya, wróciliśmy do wygodnego mieszkania u Francuza.

Dnia następnego pożegnaliśmy kraj Szeklerów, przebywszy poprzednio część zwaną *Harom Szek*, jedną z najpiękniejszych okolic na świecie. Cały ten obwód jest równiną nieco wzgórkowatą, wśród najpiękniejszych pól; pokazują się na niej tu i owdzie bogate wioski, zroszone wodami wijącej się *Aluty*. Z dwóch przeciwnych stron, ciągną się dwa najpiękniejsze łańcuchy gór. Co krok zatrzymywaliśmy się, aby napaść oczy tym cudownym krajobrazem. Ileż niezbadanych skarbów przyrody, ileż wspaniałych krajobrazów nie mieszczą te góry! Opowiadano nam o nieprzeliczonych ja-

mach, skałach, ruinach, wrzących cieplicach, wyziewach nafty czyli skalnego oleju, i nie wiem o czém jeszcze więcej; lecz każdy utrzymywał, że prócz jukasów czyli pasterzy owiec, cudów tych nikt nie zna nawet z imienia.

Znajdowaliśmy w ogólności w całym kraju Szeklerów lepszy stan rolnictwa i wyraźniejsze dowody pilności, aniżeli w większej części Siedmiogrodu; a najwyższy stopień doskonałości, zastaliśmy w *Harom Szek*. Narzędzia rolnicze mają wprawdzie proste, systemat uprawy niedostateczny, a pomimo tego jednak ogólny pogląd na ten kraj dowodził, ile pilność i przemysł zastępują brak wiadomości i kapitałów.

Własność jest tutaj prawie równo podzielona, i dlatego ludzie są bardziej czynni, i wydają, ile mi się zdaje, więcej produktów, aniżeli w innych okolicach, w których chociaż ich pracę umieją stosowniej użyć, przecież wielkie posiadłości wyradzają w massach ludności lenistwo i obojętność.



O ZŁOCIE.

PRZEZ

Jana Althiewicza.

(Dalszy ciąg).

Ameryka. W końcu XV wieku upowszechniło się mniemanie, że *Ophyr* Salomona, o którym mówiliśmy wyżej, znajdował się nad brzegami Gangesu. W téj-że epoce, nadzwyczajnie zajął wyobraźnię znakomitych żeglarzy i podróżników tajemniczy kraj *Chryse*, nader obfity w złoto, który podług jednych miał stanowić oddzielną wyspę, a podług drugich byłato część *Złotego Chersonesu*, o którego bajecznych skarbach jeszcze za czasów Ptolomeusza wiele rozmaitych chodziło wieści. Obfitość złota, którego wyspy w tych strefach położone, Borneo i Sumatra, dostarczały zapewne niemało, przyczyniła się do utwierdzenia opinii o istnieniu kraju *Chryse*. Wielu uczonych przypuszczało, że drugi również mało znany kraj, lecz bogaty w złoto i korzenie, *Zipangu* (Japonia), był tém samém co *Chryse*. Krysztof Kolumb podzielał zdanie swego wieku o istnieniu niewiadomego złotodajnego kraju, a co więcéj, osobiście przywią-

zywał wielką moralną i religijną wartość do złota: „ponieważ, mówił on, ten, który posiada złoto, może dostąpić wszystkiego na tym świecie, otworzyć nawet raj dla wielu dusz” (1). Krysztof Kolumb założył więc sobie odkryć kraj Chryse, albo Zipangu, przypuszczając, że nim jest obszerny ląd stały, tworzący przedłużenie starego czyli azyatyckiego, czyli Indyj za Gangesem; ale nigdy nie sądził, że istnieje nowy, zupełnie oddzielny. Według mniemania, a raczej wewnętrznego przekonania Kolumba, to przedłużenie Indyi zagangesowój, nie miało być bardzo oddalone od Hiszpanii, i właśnie, jak mówi Humboldt, ta największa geograficzna omyłka, spowodowała największe w świecie odkrycie. I Krysztof Kolumb i Ameryk Wespucyusz zmarli z tém przekonaniem, że przybyli do brzegów Indyj, do półwyspu gdzie się znajduje *Cattigara*; dlatego też nie powstał nigdy pomiędzy nimi spór o sławę odkrycia lądu nowego, a zapewne od tego mylnego, lecz początkowo upowszechnionego wyobrażenia, Ameryka zachowała dotąd, chociaż mniej już używaną nazwę Indyów Zachodnich. Jakkolwiekbydz, te poetyczne i genialne pomysły, wytrwałość i nieugięta moc charakteru Kolumba, wskazały Europejczykom drogę do Ameryki, a odwaga, śmiałość i złoto, znalezione przez towarzyszy Kolumba u dzikich amerykańskich wyspiarzy, spowodowały dalsze odkrycia i podboje téj części świata.

Kolumb będąc już na wysokości wysp Bahama czyli Lukajskich, blisko celu swoich życzeń, mówił do prze-

(1) A. Humboldt: *Sur la production de l'or et de l'argent, considérée dans les fluctuations*; rozprawa wydrukowana w *Journal des Economistes*. 1848. Mars, nr. 76, fol. 366.

straszonego nieogarnioną przestrzenią oceanu i rozpaczającego ekwipażu, kiedy ten targnął się na życie nieśmiertelnego żeglarza: „Proszę o trzy dni cierpliwości; jeżeli w przeciągu tego czasu nie pokaże się ziemia, poddam się waszej zemście”; a Kortez zachęcając swoich żołnierzy do podbicia Meksyku, odezwał się do nich: „Przed wami to, czego szukamy: wielkie niebezpieczeństwo i wielkie bogactwa”.

Krysztof Kolumb z nędzną flotą, złożoną ze trzech starych okrętów, których wartość nie przenosiła 100 tysięcy franków i z 90 majtkami, którzy stanowili cały jego ekwipaż, dnia 3 sierpnia 1492 roku zaszczycony tytułem admirała i wice-króla wysp i krajów, które może odkryć; opuścił brzegi Hiszpanii, a w miesiącu październiku tegoż roku, wylądował na jednej z wysp *Lukajskich*, *San-Salvador* przez niego nazwaną. Tam uszczęśliwieni marynarze, z radością ujrzeli gościnnych dzikich wyspiarzy, którzy podostatkiem mieli na sobie rozmaitych złotych świecideł, i chętnie obdarzali drogim kruszczem nowo-przybyłych gości.

Rozpoznawszy niektóre sąsiednie małe wyspy, Kolumb popłynął dalej, i przybył do północnego brzegu wielkiej wyspy, nazwanej przez krajowców *Haiti*, a przez niego *Espagnole*, później *Saint-Domingo*, w tém zawsze przekonaniu, że to jest ląd azyatycki. W czasie jednej z późniejszych swoich wypraw, Kolumb z téjże samej wyspy (*Haiti*) pisał do papieża Alexandra IV: „To jest *Tarsis*, *Ophir* i *Zipangu*. W czasie drugiej mojej wyprawy, odkryłem 1400 wysp i ląd 333 mil rozległości, należący do stałego azyatyckiego lądu (*de la tierra firme de Asia*). Ten indyjsko-wschodni *Zipangu*, produkuje

kawałki złota (*pepitas de oro*) 8, 10 i do 20 funtów wążące”.

Na wyspie, ekwipaż Kolumba za czerwone czapki, perelki, dzwonki, spilki i noże, z łatwością dostawał od krajowców żywność i złoto.

Uradowany Kolumb, zostawiwszy w Haiti niewielką osadę, udał się napowrót do Hiszpanii, z kąd przed siedmiu miesiącami odplynął. Za przybyciem przedstawił Ferdynandowi i Izabelli sprowadzonych ze sobą wyspiarzy, złoto w kawałkach, ptastwo kolorów jaskrawych, w Europie nigdy niewidziane, bawełnę i inne przedmioty, których rzadkość i nowość, czyniły je nader drogiemi i ciekawemi.

Zapał obudzony przez Kolumba w Hiszpanii, był godnym wielkości odkrycia genialnego żeglarza, który niebawem odplynął napowrót do Ameryki.

Godłem Nowego Świata stały się poezya, namiętność i bogactwa, o których towarzysze Kolumba zdziwionemu ludowi opowiadali, a które później w połączeniu z dogodnościami i rozkoszą, jakie międzywrotnikowe kraje przedstawiają, wabiły ze wszystkich stron pirenejskiego półwyspu ochotników. Hiszpanie, pomiędzy któremi duch bohatera Lamanszy, właściwy owemu czasowi, i *farniente* awanturniczego życia były w modzie, ze wszech stron zbięrali się; lud wszelkich stanów od najwyższej do najniższej klasy, wszelkiego rodzaju i przemysłu, awanturnicy, zbrodniarze, rozbójnicy, próżniacy, a nakoniec zapaleńcy, którzy marzyli tylko o sławie: wszyscy z największym zapałem, pełni nadziei i fantastycznych urojeń, udawali się do nieznanéj, nowo odkrytéj części świata.

Niesłychany ten zapal przybyłych do Ameryki Europejczyków, żądza złota i duch rycerski, rozszerzyły odkrycia i podboje nowych krajów. Do tego przyczyniła się nadzwyczaj wiele namiętność amerykańskich kobiet, które opuszczały swoich mężów, dzieci, rodziny, i towarzyszyły zwyciężkim hufcom; one wskazywały im tajemne drogi, wykrywały miejsca gdzie żywność była przechowywaną, ułatwiały sposoby opanowania opór stawiających punktów, i podzielały z zapamiętałością trudy i niebezpieczeństwa swoich oblubieńców. Najznakomitsza ze swojego pochodzenia, piękności, urody i przygód kobieta, której historia zachowała imię, nazywała się *Dona Marina*; przez szczególne wypadki swego życia, dostała się ona do Tobasco, zobaczyła tam Korteza, namiętnie w nim się pokochała i wzajemnie była od niego kochaną. *Dona Marina* wkrótce wyuczyła się doskonale kastylskiego języka, i służyła nietylko za tłumacza Kortezowi, lecz śmiało i rozumnie radami, stała się główną sprężyną podbicia Meksyku.

Prywatni, sami przez się własnym kosztem, bez wiedzy i pomocy rządu, a czasami łącznie z wojskiem koronnym, robili wyprawy na wyspy i w kraje stałego lądu amerykańskiego.

Z takimi hufcami Ferdynand Korteza w r. 1519 wylądował na brzegi meksykańskiego państwa, gdzie znaleźli nie ubogich i dzikich wyspiarzy, lecz bogatych osiadłych mieszkańców, kraj żyzny, malowniczy, uposażony we wszelkie dary natury i uorganizowany. Hiszpanie w domach mieszkańców i w świątyniach, widzieli obfitość złota; kruszec ten błyszczał na broni Meksykańczyków na ich domowych meblach, na ubraniu; wszędzie

oczy ich napotykały złota podostatkiem, a to właśnie najwięcej podniecało ich chciwość.

W Meksyku panował wtenczas Montezuma, który chcąc pozbyć się nieproszonych gości, posłał Kortezowi wspaniałe podarunki, niesione przez stu Indyan.

Pomiędzy innemi drogiemi przedmiotami, znajdowały się dwie okrągłe tace, jedna całkiem złota wyobrażająca słońce, a druga srebrna wyobrażająca księżyc; oraz wiele pierścieni, naszyjników, bransoletek i innych cacek z czystego złota, wszystko razem wartości 162,000 *pesos de oro*, czyli przeszło 81,000 czerwonych złotych. Sama taca srebrna, podług B. Diaz de Castillo, miała kosztować przeszło 10,000 dukatów (1) w zlocie. Hiszpanie po długich krwawych walkach podbili Meksyk, stolicę i cały kraj złupili. Bogactwa znalezione przez nich, a których część została zrabowaną, można porównać z tradycyjnemi skarbami Szczęśliwej Arabii i starożytnych azjatyckich monarchów. „Oprócz wielkiej massy złota i srebra, mówi *Conquistador* w swoim pierwszym liście do cesarza Karola Vgo (2), przedstawiono mi złote i srebrne wyroby, oraz przedmioty tak drogie, że nie chcąc dać je przetopić, oddzieliłem z nich część przeszło na sto tysięcy dukatów, dla złożenia w darze Waszej Cesarzkiej Wysokości. Przedmioty te były rzadkiej piękności, i wątpię, aby którykolwiek monarcha na ziemi mógł kiedy posiadać podobne. Żebyś zaś Wasza Cesarzka Wysokość nie sądził, że przytaczam tutaj rzeczy bajeczne, oświadczam, że wszystkie płody ziemi i oceanu,

(1) The history of America by William Robertson D. D. London, 1837. Notes, str. 1054.

(2) Essai politique sur le Royaume de la Nouvelle Espagne, par A. Humboldt. T. III, str. 116.

o których król Montezuma mógł mieć wiadomość, kazał on naśladować ze złota, srebra, drogich kamieni i z ptasich piór, z taką doskonałością, że zdawało się jakby były naturalne. Chociaż większą część dano mi dla złożenia Waszej Cesarskiej Wysokości, kazałem wszelako krajowcom wykonać wiele innych robót ze złota podług moich rysunków, jakoto: obrazy świętych, krucyfiksy, medale i naszyjniki. Ponieważ *quinta* czyli podatek od srebra, który się płaci Waszej Cesarskiej Wysokości, czyni przeszło sto grzywien, rozkazałem ażeby złotnicy krajowi przerobili je na półmiski rozmaitej wielkości, łyżki, kubki i inne naczynia do napoju. Wszystkie te wyroby naśladowane z największą dokładnością." Czytając ten wstęp, jak mówi Humboldt, zdaje się, jakbyś słyszał opowiadanie ambasadora europejskiego, wysłanego do Chin lub Japonii. Trudno jednak byłoby posądzić generała hiszpańskiego o przesadę, kiedy się zważy, że cesarz Karol Vty własnymi oczyma mógł sądzić o wytworności lub niedokładnym wykonaniu przedmiotów, które były mu przesłane.

W kraju tak jak Meksyk politycznie urządzonym, złoto uważano i używano jako drogiego metalu i jako pieniądź (1); lecz dzicy wyspiarze, przed przybyciem Hiszpanów mało szacowali ten kruszec. Służył on im więcej jako cacko do ozdoby prostych ich ubiorów, i nie

(1) W *Tenochtilan*, najwięcej targowym placu w Meksyku, do przybycia Europejczyków, oprócz worków kakao, z których każdy powinien zawierać 24,000 ziarenek, małych sztuczek bawełnianego płótna i niektórych innych przedmiotów, *złoty piasek* stanowił najlepszy środek zamiany, dla kupna wszelkiego rodzaju towarów i produktów. Dlatego zwyczaj wymagał, aby taki złoty piasek znajdował się w piórkach wodnych ptaków, i żeby pióra były przezroczyste, a to aby lepiej widzieć ilość metalu, wielkość ziarenek i ich gatunek.

przywiązywano do niego żadnej szczególnej wartości; żelazo zaś, stal i inne metale oprócz miedzi, pomimo ofitości kruszców tych w Ameryce, ludziom amerykańskim przed przybyciem Europejczyków wcale nie były znane.

Hiszpanie opanowawszy Meksyk, z całą zaciętością i chciwością gromadzili zewsząd złoto, dopuszczając się wszelkiego rodzaju bezprawiów i okrucieństw. Jednego razu, kiedy wążąc złoto sprzeczali się pomiędzy sobą, jeden młody kacyk wyrócił szalę, przemawiając z pogardą: „Dlaczego się klóćcie za rzecz tak małą i nieznaczącą? jeżeliście opuścili ojczyznę dla tego bezużytecznego kruszcu, i dla niego mordujecie tyle ludów, wskażę wam kraj, gdzie ten kruszec tak jest powszechny, że go używają na najpospolitsze sprzęty”. Zapytany o dalsze szczegóły, kacyk zapewniał, że niedaleko od oceanu, który omywa Daryanę, jest drugi ocean, prowadzący do owego bogatego kraju. Byłyto pierwsze wiadomości, jakie Hiszpanie powzięli o Peru. Wyprawa natychmiast została przedsięwzięta. Działo się to 1 września 1513 r., lecz dopiero w końcu 1532 r., zajmwszy peruwiańskie miasto Caxamulca, w dniu 16 listopada z rana, kiedy Inka Atahualpa ze świetnym orszakim wystąpił przed Hiszpanów, niesiony na tronie, złotem, srebrem i drogiemi kamieniami suto ozdobionym, w celu porozumienia się z nimi; Pizaro, główny dowódca, poduszczony przez fanatycznego księdza Wincentego Valverde, zdradziecko napadł na Peruwianów, którzy wcale nie spodziéwali się bitwy, wymordował mnóstwo ludu, samego Atahualpę wziął do niewoli, zabrał jego naczynia złote i srebrne, i całe miasto opanował, mordując i rabując gdzie tylko była nadzieja zdobycia złota.

Inka Atahualpa uwięziony był w obszernym pokoju, mającym 22 stóp długości, a 16 szerokości. Dręczony niewolą, spostrzegłszy w Hiszpanach szczególniejszą chciwość złota, Atahualpa zaproponował Pizarowi dać za oswobodzenie swoje z niewoli tyle złota, ile obszerny pokój w którym był uwięziony, może zmieścić do wysokości, jak ręką dosięgnie. Propozycja została przyjęta i Inkas rozkazał zbierać z całego kraju złote sprzęty i naczynia, jakie się gdziekolwiek znajdowały. Ze wszystkich stron zaczęto znosić złoto do miasta, lecz nie odbywało się to z pośpiechem, dogadzającym życzeniu Hiszpanów; gdyż większa część skarbów na ten cel przeznaczonych, znajdowała się w *Cuzco* o 140 mil od *Caxamalca* odległym; komunikacje były przecięte, uzbrojone bandy przebiegały kraj i rabowały złoto gdzie tylko je znalazły, bez względu do kogo należało, lub jakie miało przeznaczenie. Zniecierpliwiony Pizaro, kiedy prawie połowa umówionego okupu była zebrana, kazał oddzielić dla cesarza przedmioty szczególniejszego wyrobienia, a resztę przetopić. Massa przetopionego metalu czyniła blisko 1,996,648 *pesos duros*, czyli przeszło 998,324 czerwonych złotych, albowiem po potrąceniu *quinty* na podatek skarbu (184,074 (1) dukatów), wydzielił żołnierzom przybyłym pod dowództwem Diego Almagro 50,000, wziął dla siebie i swoich podwładnych

(1) *Quinta* czyli podatek skarbowy, policzony był od srebra 30,000 grzywien czyli 110,000 czerwonych złotych, a od złota 120.000,000 *maravedis*, czyli przeszło 184.074 czerwonych złotych; a ponieważ w stosunku, summy przez Pizaro dla siebie zatrzymanej i Almagro wydanej, *quinta* powinna wynosić 203,621 czerwonych złotych, a wynosiła tylko 184,074, z tego wnosić wypada, że przedmioty które nie były przetopione, wartowały 19,547 czer. zł.

764,250 (1) dukatów w złocie, samego zaś Atahualpo, znalazłszy ku temu pozór, oddał pod sąd, który zawyrokował spalić go żywcem.

Wielu Hiszpanów znajdowało wyrok ten niesprawiedliwym i nadto okrutnym, i dlatego ksiądz Valverde stwierdził go swoim podpisem. Przed exekucją, kiedy Atahualpo przyjął chrzest święty, Valverde wyrobił to, że poprzednia kara śmierci została zamieniona na inną niemniej okrutną. Inkę przywiązano do słupa i sznurkiem zaduszono.

Po zdobyciu miasta Cuzco w prowincyi Quito, Hiszpanie więcej złota i srebra zabrali, aniżeli dostali za okup Atahualpy. Według Herrera, na każdego żołnierza których było 480, przypadło po 4,000 pesos czyli przeszło po 2,000 czerwonych złotych, co uczyni 960,000 dukatów w złocie, nie rachując działu dla oficerów i dowódców, a który zapewne był daleko większy.

Te czyny dostatecznie objaśniają systemat ówczesnego postępowania Hiszpanów w nowym świecie. Dalsze odkrycia i podboje krajów przez Hiszpanów, Portugalczków i inne narody, rozszerzały się stopniowo; znikła już poezya i duch rycerski, a niepohamowana chciwość i fanatyzm religijny, były głównym bodźcem następnych działań.

Przerażony lud amerykański, którego całe plemiona ginęły z rąk straszliwych Europejczyków, stawiał jak mógł opór; widząc zaś, że złoto ściągało na niego tak okropne nieszczęścia, starał się wszelkimi sposobami pozhawiać się lub ukrywać je przed swemi prześladow-

(1) Diego Almagro miał z sobą przy początku wyprawy 70 żołnierzy, a Pizaro w czasie ataku Inki Atahualpy 180, z których 36 było jezdnych.

cami. Ogromne massy złota zatopiono w wodzie lub zakopano w ziemi. W tych czasach, zaginął łańcuch zrobiony z rozkazu Inkasa Huayna Capac, na pamiątkę urodzenia Inkasa Huescar, znany więcj pod imieniem łańcucha Montezumy, który, jak opowiadają, tak był długi, że kilkaset osób mogło tańczyć w jego okręgu, a który podług podania narodowego, wraz z innymi niezliczonemi skarbami, został wrzucony w jezioro *Chuquito* czyli *Titicaca* (jezioro ołowiane), znajdujące się w Kordylierach (1). Do tój równie epoki, jak się zdaje, należy odnieść zatopienie skarbów w prowincyi Bogota w jeziorze *Gwatawito* (złote jezioro). Legenda obiegająca w narodzie o tём ostatniem, brzmi, że kacyk Manalapa Hgi ożeniwszy się ze słynną z piękności *Ramą*, miał z nięj syna; ten prowadzony przez mamkę na przechadzce wpadł w rzeczkę *Magdaleny* koło miasta płynącą, i zniknął: mamka napisawszy na korze o wypadku który spotkał dziecko, z rozpaczj rzuciła się za niem i utonęła. Rama nie miała już potém dzieci, przeto Manalapa ządał rad od uczonych i kapłanów słońca, na przywrócenie płodności żonie, lecz wszelkie rady były bezskuteczne. Jednego razu zgłosiła się do niego banda koczujących Indyan, znanych w kraju jako kapłani nieba; oni poradzili Manalapie, aby codziennie o samęj północy jak zajaśnieją gwiazdy na niebie, Rama trzy razy zanurzała się w jeziorze *Gwatawito*; ażeby zaś środek ten był skuteczny, Manalapa połowę swoich skarbów powinien był poświęcić opiekuńczemu bóstwu jeziora. Manalapa usłu-

(1) Jezioro *Chuquito* czyli *Titicaca*, ma w obwodzie 240 mil angielskich i 480 stóp głębokości; jezioro to łączy się podziemnym kanałem z jeziorem Parya, a to ostatnie pod Kordylierami z morzem.

chał rady, dopełnił ściśle co mu powiedziano, i wrzucił w jezioro niezliczone mnóstwo drogich kamieni, złota, srebra i innych kosztowności. Jakoż piękna Rama uszczęśliwiła wkrótce kacyka wydaniem na świat drugiego syna.

Pogłoska o tych bogactwach tak była upowszechnioną, że nawet obrachowano wartość ich na tysiąc milionów piasstrów; do tego twierdzono, a to jakby na zasadzie urzędowych dokumentów, że hiszpańscy gubernatorowie Don Ferdynand Peres de Kesada i Antonio de Supelveda, przesłali do Madrytu wydobyte z jeziora 850 tysięcy piasstrów w monecie, oprócz brylantów i innych drogich kamieni. Pomiedzy niemi miał się znajdować jeden szmaragd, który szacowano 200,000 piasstrów. Wiadomości te do tego stopnia uchodziły za pewne nawet w Europie, że w Londynie w 1820 roku utworzyła się kompania dla osuszenia i przepatrzenia jeziora *Guatawito*. Kompania uzyskawszy od rządu kolumbijskiego pozwolenie, do którego wtenczas prowincya Bogota należała, rozpoczęła swoje roboty, i wkrótce wydobyła z wody niejaką ilość złota i drogich kamieni, z czego się przekonano, że narodowe podanie nie było bezzasadne. Roboty trwały przez kilka lat z jednakowym natężeniem, lecz utrzymywanie przez kompanią żołnierzy na brzegu jeziora, dla obrony poszukiwanych skarbów przeciwko krajowcom, którzy ciągle czynili napady; a z drugiej strony mała ilość wydobytego złota, nieodpowiadająca łożonym kosztom, wyczerpały zasoby kompanii; roboty więc do dalszego rozstrzygnięcia akcyonaryuszów zostały wstrzymane. Na początku roku 1825, bogaty londyński negocyant *Robert Dybson*, bawiący za handlowemi interesami w Bogocie, już na

wyjezdném, przechodząc jednego razu ponad brzegiem jeziora, spostrzegł gałąź palmowego drzewa wysuniętą z wody; wyciągnął ją i ku zadziwieniu swemu znalazł pomiędzy gałązkami oblepioną mułem złotą figurkę, dobrze zachowaną. Uradowany z niespodziewanego wypadku Dybson, gdy wróciwszy do miasta, pokazał zdobycz swoim rodakom, ci opowiedzieli mu z najszczerzą wiarą o niezliczonych skarbach w jeziorze zatopionych. Agenci nieczynnej kompanii, korzystając z zapалу jaki okoliczność ta wywarła na Dybsona, namówili go, aby dalej prowadził osuszanie jeziora. Dybson niebawem odpłynął do Londynu, spięniżył cały swój majątek, i wróciwszy do Bogoty, rozpoczął roboty na własny rachunek, które trwając przez dwa lata, nie odpowiedziały uludnym nadziejom i rojeniom nieszczęśliwego przedsiębiorcy. Dybson utopił cały swój majątek w jeziorze, i zaprzestał roboty nazawsze; naraziwszy się zaś na liczne procesa z wierzycielami pierwszej kompanii, straciwszy zięcia swego, który również postradał swój majątek i z rozpaczcy zabił się, a w końcu żonę i córkę, które w obłąkaniu wkrótce żyć przestały, sam w 1831 r. uległ podobnie obłąkaniu, i w końcu 1843 r. umarł w Londynie w Bedlam.

W miarę podbijania nowo odkrytych krajów, Europejczycy zaprowadzali w nich swoje urządzenia i czynili poszukiwania drogich kruszców, do czego ułatwiały im sposobność, powiastki krążące pomiędzy ludem. Często nawet sami krajowcy wskazywali miejsca, w których się znajdowało złoto i srebro; podobnie jak w syberyjskich tajgach (1). Tunguzy i inne *jasaczne* (2) narody,

(1) Tajga znaczy obszar pokryty lasem, w którym ludzka noga nie postęła.

(2) Jasak znaczy podatek, który płacą niektóre narody skórąmi drogich zwierząt, jakoto: soboli, czarnych lisów i t. p.

zpośród których biorą się zwykle przewodnicy wypraw, czynionych dla wynalezienia kopalń, najczęściej miejsca te wskazują. Czasami téż Europejczycy sami wynajdywali bogate kopalnie: Francuz *Laborde* około 1760 roku, odkrył jedną z najbogatszych w świecie kopalń w *Zacatecas Veta Grande*. Niektórzy Indianie wiedzą miejsca, w których wydobywano szlachetne kruszce za czasów Inkasów, i podania o tych skarbach, jako tajemnicę, zachowują w swoich rodzinach. Mówią, że wiadomość o nich przekazują w puścizmie następcom, aby kiedyniekiedy mogli w koniecznej potrzebie brać po kawalku złotego kruszcu, a jak nastaną lepsze czasy i powróci panowanie *czerwonnych skór*, ażeby mogli swobodnie się z bogacić. Czasami Indianie, powodowani wdzięcznością ku jakiemu białemu, dają mu w podarunku złoto i srebro, które dobywają z tajemnych źródeł; lecz nigdy ich nie wyjawiają. Doktor *Tschudi* opowiada wiele powieści przez siebie zebranych, o podobnych tajemnicach przez krajowców przechowywanych. W Peru zdarzył się następujący wypadek: jeden zakonnik żył w przyjaźni z Indianinem; dostawszy od niego w podarunku sztukę szlachetnego kruszcu, prosił Indianina, aby mu wskazał miejsce, z którego sztukę tę przyniósł. Indianin przyrzekł to uczynić, i w nocy przyszedł z dwoma swojemi przyjaciółmi; zawiązali chustką oczy zakonnikowi i zanieśli go na plecach w góry. Tam zdjęli zawiązkę; zakonnik ujrzał się w jakiejś studni, na dnie której ślepiły oczy jego bryły drogich metalów; nabrał więc pożądanego kruszcu tyle, ile mógł z sobą unieść w worku. Kiedy napowrót Indianie odnosili go w taki sam sposób, w jaki przynieśli, przezorny zakonnik rzucał po drodze paciorki ze swego różańca,

w nadziei, że one później doprowadzą go do zachowanych skarbów. Zakonnik już był pewny owoców swojego fortelu, gdy po jego przybyciu do mieszkania, w kilka godzin wchodzi Indyanin i przynosi garść paciorków, mówiąc, że są z różańca, i że je zakonnik na drodze pogubił.

Przez cały północno-amerykański ląd, zaczynając od 57° północnej szerokości, dalej bowiem ku arktycznemu czyli Północnemu oceanowi, miejscowość nie jest zbadaną; ciągnie się wzdłuż Wielkiego oceanu nieprzerwany łańcuch gór, znany pod ogólnym nazwiskiem *gór skalistych* (*Monts rocheuses; rocky mountains*), a który w rozmaitych krajach zmienia swoje nazwisko, i łączy się z drugim nieprzerwanym łańcuchem, *Kordylierami*, przecinającym południową Amerykę w kierunku od północy ku południowi, aż do samej Magiellańskiej cieśniny. Łańcuchy te stanowią jakby jedno pasmo gór, mające od 10 do 30 mil szerokości.

Na prawo od tego najdłuższego w świecie pasma, czyli od strony oceanu Atlantyckiego, w północnej Ameryce, pomiędzy 32° a 48° szerokości północnej, ciągnie się drugi główny łańcuch *Aleghany*, z kilkoma znacznymi odnogami, stanowiącemi jedną grupę.

W południowej Ameryce, od strony oceanu Atlantyckiego, przecinają ląd dwa systemata gór: *Parymeński*, który się ciągnie od brzegów rzeki Orenoko ku Atlantyckiemu oceanowi, łącząc się z kilku innymi łańcuchami, z których główniejszy *Siera-Parime*, znajduje się pomiędzy 5° północnej szerokości a równikiem; i drugi *Brazylijski* systemat, złożony również z kilku łańcuchów, a ciągnący się od 4° południowej szerokości na południe do Montevideo, czyli do 35 stopnia.

Góry amerykańskie w ogólności obfitują w rozmaite minerały, lecz szlachetne kruszce dotąd wykryte zostały w północnej Ameryce, w południowej części Stanów Zjednoczonych i w Meksyku; a w południowej, w Nowej Grenadzie, Peru, Boliwii, Brazylii, Rio La Plata i w Chili.

W Stanach Zjednoczonych zaczęto poszukiwać złota od r. 1814, a produkować je dopiero w dziesięć lat później. Gałąź głównego łańcucha Aleghany, znana pod nazwiskiem *gór Niebieskich* (Blue-Ridge), pomiędzy 40° a 34° szerokości północnej, zawiera złoto; znajduje się ono również w złotodajnych rozsepach, mniej lub więcej obfitych na całej przestrzeni, zawartej pomiędzy wspomnianem ramieniem i wypływającą z niego rzeką *Potomac*, wzdłuż oceanu Atlantyckiego aż do rzeki *Alabama*, wpadającej do zatoki Meksykańskiej i początku rzeki *Tennessee*, wpadającej w Ohio.

Kopalnie tego kruszcu są rozrzucone w prostej linii na przestrzeni 180 mil polskich; wnioskuje także, iż złotodajne pokłady przechodzą na północ i na lewą stronę *Potomac*, lecz w tej części Zjednoczonych Stanów niema niewolników, i dlatego ręka ludzka jest obrócona do innych robót; wydobywaniem zaś złota wcale się tam nie zajmują. W New-Jersey długo wyrabiano kopalnią miedzi, spodziewając się znaleźć złoto, na ślad którego trafiono.

W Wirginii znajduje się złoto przy źródłach rzeki *Rapahonock*, a nawet przy ujściu jej znaleziono raz w łóżysku znaczny kawał czystego kruszcu. Początek zaś złotodajnego rozsep, wykryto w długim, wązkim powiecie, w okręgu *Spotsylvania*, którego wyżej wspomniana rzeka stanowi północną granicę. Rozsep ten ciągnie się w kierunku południowo-zachodnim, i wchodzi

w terytoryum *północnej Karoliny*, gdzie znowu ciągnie się wzdłuż południowego spadku *gór Niebieskich (Bleu-Ridges)* w kierunku południowo-wschodnim, przez okręgi: *Lexington, Salisbury, Concord, Laurenceville, Wadesbourg, Charlotte*; potem zmienia kierunek w prostą linię ku zachodowi, przez okrąg *Rutherfordton*, północną część *południowej Karoliny*, następnie przez okręgi *Clarksville*, *Gainsville* i *Canton* w *Georginii*, nakoniec w kierunku północno-wschodnim przez *Alabamę* gubi się w *Tennessee*.

Trzy są najbogatsze kopalnie w północnej Karolinie: *Anson-Mine* w okręgu *Wadesbourgh*, niedaleko zatoki *Richardsona*, stanowiącej odnogę *Rocky-River*; *Read's-Mine*, na odnodze téjże ostatniej rzeki w *Cabarus* (okręgu *Concord*), gdzie czasami trafiają się kawałki czyli samorodki znacznej wielkości, pod pierwszą powłoką ziemi (1); i *Parker's-Mine*, znajdująca się na strumieniu w odległości czterech angielskich mil od rzeki *Yadkin*.

W amerykańskim dzienniku (*American journal of science, 1845, April*), donoszą, że w obudwu Karolinach w r. 1843 wydobyto złota za 272,000 dolarów, czyli około 367,000 rub. sr. Tamże piszą, że piasek rzeki *Catawba*, wpadającej do rzeki *Centree* (2), został wydzierżawiony przez spekulanta *Gibson*; używa on płaskich czółen czyli łódek, które są na środku rzeki do palów przywiązane: na każdym takim czólnie znajduje się przynajmniej trzech ludzi, którzy czerpią piasek ze dna

(1) Często trafiają się w tych okolicach kawałki złota, 400, 500, a czasem 600 *penny weights* ważące. Jednego razu, na kilka cali głębokości murzyn znalazł samorodka, który ważył 28 funtów (*Avoir du pois*).

(2) Rzeka *Centree* wpada do zatoki Meksykańskiej.

rzeki kublami na długich kijach przywiązanemi, i zbierają potem złoto za pomocą amalgamacji z żywem srebrem. Piasek można zawsze czerpać stojąc na jednem miejscu, ponieważ rzeka ciągle go przynosi, a nie będąc splawną, żadnych przeszkód robotom nie przyczynia. Złoto to, jak się zdaje, pochodzi ze złoza (*Gang*) brunatnego hematytu, który się znajduje w powiecie Centreville, niedaleko źródeł Catawby, w okolicy kopalni węgla kamiennego (1).

Olmsted, professor w Ameryce, który w roku 1825 wydał opis złotodajnego pokładu północnej Karoliny, mówi, że część kraju, przez którą ciągnie się ten pokład, jest bezpłodna i dzika, a mieszkańcy w ogólności biedni i mało oświeceni (2). Chociaż od tego czasu krajowcy dużo pod względem oświaty zrobili postępu, i chociaż daleko więcej otworzono nowych kopalń, lecz wyrób złota w ogólności zmniejszył się; albowiem w kopalniach koło małego miasta *Charlotte* w południowej części. w r. 1828 pracowało 20,000 robotników (3), a produkcja złota wynosiła rocznie od 4 do 5 milionów dolarów (blizko 6,750,000 rub. sr.), teraz zaś cała produkcja roczna Stanów Zjednoczonych, nie wynosi jednej czwartej części téj summy.

W Georginii w okolicach miast *Habersham* i *Hall* (w okręgach *Clarksville* i *Gainsville*) są kopalnie, które uchodzą za najlepsze, lecz w ogólności niebogate. Wielu tamecznych właścicieli posprzedawali swoje grunta cząstkowo spekulantom za bardzo wysoką cenę,

(1) Froriep's Neue Notizen, 1846, nr. 808, str. 248.

(2) Commercial Statistics by John Macgregor, VIII, str. 372.

(3) Précis de la Geographie Universelle par Malte-Brun, T. XI str. 244.

a w niektórych powiatach właściciele ziemscy po kilka razy się zmieniali; roboty prowadzą cztery główne stowarzyszenia. Na brzegach rzeki *Chestetee* w powiecie *Cherokee*, odkryto również ślady złota, gdzie zaraz rzuciło się do 5000 awanturników i skopali ziemię na znacznej przestrzeni, bez odniesienia jednak spodziewanych korzyści. W *Alabamie*, jak widać z ostatniego sprawozdania komitetu rolnictwa, znajduje się pięć głównych i kilka mniejszych kopalni złota i srebra w powiecie *Randolph* (M. C'Donald okrąg), których produkcya roczna wynosi do 125,000 dolarów. Od 300 do 500 robotników stale tam pracuje. Znajdują się również bogate kopalnie złota w *Tallaposa*, (okręgu *Dodeville*), a nadto znaleziono rodzime złoto w *Coosa*, *Talladego* i *Chambers* (1).

Podług obrachowania *Chevaliera*, produkcya złota w Stanach Zjednoczonych wynosi w przecięciu rocznie 1800 kilogramów, czyli 6,199,000 franków. Cała zaś produkcya od początku do 1 stycznia 1846 roku, czyni 18,525 kilogramów czyli 63,810,000 franków (2).

W *Mexyku* na całej przestrzeni pomiędzy zatoką *Mexykańską*, od ujścia rzeki *Missisipi* a brzegami *Wielkiego oceanu*, od równoleżnika pod 30° szerokości północnej aż do cieśniny *Panamskiej*, rozrzucone są drogie kruszce, w większej lub mniejszej ilości. Kraj ten szczególnie obfituje w nader bogate kopalnie srebra; złoto zaś w części wydzielają ze srebra, a w części wypłukują z piasków.

(1) *Coosa*, stolica okręgu *Rockford*; *Talladego*, okręgu tegoż imienia, a *Chambers* okręgu *Lafayette* (*Commercial Statistics* by *John Macgregor* T. III, str. 850).

(2) *Revue de deux Mondes*, 1847, artykuł: *Des mines d'argent et d'or du nouveau Monde*, str. 1027.

Od *Veracruz*, w prostym kierunku ku zachodowi do miasta *Colima*, ciągną się szczyty wulkaniczne. Jeżeli poprowadzimy przez nie prostą linią, która przypadnie pod 19° szerokości, i przetniemy ją drugą pod kątem 45° , któraby przechodziła przez miasta *Guanaxuato* i *Guadalupe-y-Calvo*: to na téj linii i na przedłużeniu jęj pomiędzy równoleżnikami od 20° do 30° szerokości północnej, będzie główny i najbogatszy pas metaliczny, dość wązki, który obfituje w drogie kruszco i inne minerały. Pas ten ciągnie się wzdłuż gór *Skalistych*, znanych w Meksyku pod nazwiskiem *Sierra Verde* i *Sierra Madre*, po ich zachodniej stronie; wschodni zaś spadek, mniej jest, jak się zdaje, w szlachetne kruszce obfity, i dotąd same tylko kopalnie *San - Luis Potosi* stanowią wyjątek od téj zasady. Srebro wydobywane z kopalń *Catorce*, *Zacatecas* i *Tasco*, zawiera najmniej złota (1): zaś kopalnie *Guanaxuato* i *Guadalupe - y-Calvo*, najwięcej go wydają.

Od źródeł rzeki *Delquerte*, wpadającej w zatokę Kalifornii, ciągnie się mniejsza odnoga *Sierra - de Madre*, która niedaleko miasta *Durango*, styka się z główném pasmem.

Pomiędzy więc tą odnogą a zatoką Kalifornii, na północ od miasta *Mazatlan*, na przestrzeni od 23° do 30° szerokości północnej, a szczególnie w prowincjach *Sonora - et - Sinaloa*, rozrzucone są najbogatsze w Meksyku złotodajne piaski. Hiszpanie osiedli w *Sonora - et - Sinaloa*, będąc często niepokojeni przez dzikie indyjskie pokolenia, przedsięwzięli przeciwko nim wojnę, która trzy lata trwała, i roku 1771 ostatecznie ich pod moc

(1) *Catorce* i *Zacatecas* znajdują się na wschodnim, a *Tasco* na zachodnim spadku *Sierra - Verde*.

swą podbili. W ciągu téj wyprawy Hiszpanie zwiedzi-
li część kraju, w której nie postali dotąd, i w *Cineguilla*
(w prowincyi Sonora) odkryli równinę 14 mil angielskich
przeźreni, na której prawie na powierzchni, bo
na 16 cali głębokości, znaleźli nadzwyczajną obfitość sa-
morodnego złota. Często trafiały się kawałki ważące
dziewięć grzywien, a wkrótce nie mając nawet czasu do
przeplukiwania piasków, zebrali tysiąc grzywien złota
w ziarnach. Osoby wiarogodne, szacowały bogactwo te-
go rozsepu na milion *pesos*. Z końcem 1771 r. blisko
dwakroć sto tysięcy osób osiadło w *Cineguilla*, w ce-
lu poszukiwania złota; później zaś w obudwóch prowincy-
ach *Sonora* i *Sinaloa* wykryto nowe rozsepy, nieustę-
pujące swojém bogactwem złotodajnym piaskom *Cine-
guilli*. W kopalniach *Oaxaca*, gdzie Hiszpanie zaraz po
podbiciu kraju rozpoczęli roboty, oraz w *Villalpando*
niedaleko *Guanaxuato* są rudy skalne, z których teraz
dostają złoto przez odłączanie go od srebra. Za czasów
zaś Inkasów, jak utrzymuje Korteż w opisie historycz-
nym swojej wyprawy, mieszkańcy *Tzapoteca* i *Miatecu-
pan* (1) wypłukiwali tam złoto z piasków.

W najnowszych dziennikach amerykańskich czytamy,
że w Kalifornii na brzegach rzeki *Sacramento* i wpada-
jących w nią rzeczek, odkryto w roku 1848 nowe roz-
sepy tak bogate, że mieszkańcy téj prowincyi opuszczą-
ją roboty rolnicze, a rzucają się do płukania złota, i że
jeden człowiek wypłukuje czasami za 100 i 200 dolarów
szlachetnego kruszcu dziennie. Rzeka *Sacramento*, której

(1) Trudnili się tém szczególnie mieszkańcy starożytnych
miast *Huacryaca* (*Oaxaca*). *Cojotapan Atlaeuechahuayan* (*Essai
politique sur le Royaume de la Nouvelle Grenade*. T. III str. 115
A. Humboldt).

źródła dotąd niewiadome, wypływa jak wnoszą z jeziora *Tympanagos*; toczy się przez dziki kraj, zamieszkały koczującemi narody nowój Kalifornii, i wpada do zatoki świętego Franciszka, tworząc najlepszy port Wielkiego oceanu. Tak zwane jezioro *Tympanagos* stanowi masę mniejszych jezior, bagien i wysp, na których, według zapewnień, bywają wezbrania podobne do morskich; leży ono pod 39^o szerokości, a 120^o długości. Rzeka Sacramento i wpadające w nią strumienie, zajmują przestrzeń pomiędzy równoleżnikami 30^o a 40^o szerokości północnej, zatem nowo odkryte złotodajne rozsepy, położone są w tej samej strefie, w jakiej leżą naj słynniejsze ze swego bogactwa od niepamiętnych czasów rozsepy na obydwóch spadkach Bolorskich gór, w środkowej Azji rozrzucone.

Produkcya złota w Meksyku od czasu podbicia, do końca 1845 r. podług obrachowania Chevaliera, wynosić może włącznie z ilością potajemnie z kopalń wyprodukowaną, 379,221 kilogramów czyli 1,306 milionów franków; co z porównania produkcji srebra w meksykańskich kopalniach w przeciągu tegoż samego czasu wyrobionego, daje stosunek co do wagi jak 1:160, a co do wartości, jak 1 frank do 10 fran. 34 centymów (1).

Produkcya tę z powodu wojen domowych, które trwały od r. 1810 do końca 1825, trzeba podzielić na trzy peryody. W pierwszym czyli od czasu podbicia Meksyku do 1810 roku, to jest w przeciągu 290 lat, wyrobiono złota. 254,476 kilog.

(1) Produkcya srebra w tymże samym peryodzie, bez aliażu wynosi 60,782,917 kilog. czyli 13,507 milion. fr. wartości w monecie.

Z przeniesienia 254,476 kilog.

W czasie wojen od 1810 r. do 1826,

czyli w przeciągu lat szesnastu. 22,185 kilog.

Od r. 1826 do 1845 włącznie, czyli

w przeciągu lat dwudziestu 102,560 kilog.

Razem 379,221 kilog.

W późniejszych zaś czasach, do ostatniej wojny ze Stanami Zjednoczonymi, produkcya złota czyniła rocznie tylko 2,958 kilogramów, czyli 10,200,000 franków. Stosunek jego do srebra pod względem wagi był jak 1:135, pod względem wartości jak 1 frank do 8 fran. 50 centymów.

Pomimo tego mniej w ostatnich latach pomyslnego skutku, z porównaniu powyższych liczb wypada, że produkcya złota w każdym peryodzie powiększała się znacznie, a to w stosunku jak: 0,8 : 0,13 : 0,51, produkcya zaś srebra wzrastała słabiej, a mianowicie jak: 173 : 236 : 359. A ponieważ w porównaniu ze srebrem, stosunek wyrabiania złota jest znacznie większy, jakiegoby spodziéwać się można tylko przy wszelkiém możliwém udoskonaleniu środków odłączania go od srebra: wypada przeto przewyżkę tę odnieść na rachunek złota wylukiwanego z piasków, a ztąd wnosić można, że jeżeli kopalnie żylne, z których drogie kruszce są wydobywane, zmniejszyły się lub zubożały przez ciągły ich wyrób, zlotodajne rozsepy meksykańskie przedstawiają przeciwny wypadek; i niéma wątpliwości, że w pustyniach *Sonora*, *Texasa* i *Kalifornii*, na spadkach *Sierra de San Saba* lub przy początkach rzék *del Norte*, *Plata* i *Arkansas*, a szczególnie pod tą strefą na zachodnim spadku *Sierra-Verde*, wykryją nowe rozsepy takie bogate, jak syberyjskie lub Azji środkowej.

W Stanach skonfederowanych środkowej Ameryki znajduje się najbogatsza kopalnia złota w prowincyi *Honduras* w *Del corpus* i *Tabanco*, tudzież w górach *Merendon*, pomiędzy *Chiquimula*, a północnymi brzegami nadmorskimi. W prowincyi *Costa Rica*, są kopalnie drogich metali w łańcuchu *Sierra Aquacante*, również jak i w prowincyi *San Salvador*, która obejmuje kraj zwany przez mieszkańców do tego czasu *Cuscatlan*, co znaczy kraj bogactw.

W Ameryce południowej, złoto znajduje się po większej części na zachodnich spadkach Kordylierów, w znaczniej zaś mniejszej ilości na wschodnich. Łańcuchy gór systematu brazylijskiego, a mianowicie: *Serra de Espinhaco*, *Serra de Montequiera* i *Cordeliera Aimores*, dla przyczyn dotąd niewyjaśnionych, przedstawiają takż sam wypadek.

Dawne wice-królestwo *Grenady*, później rzeczypospolita kolumbijska, od roku 1830 rozdzielone na trzy oddzielne pomniejsze rzeczypospolite: *Nowa Grenada*, *Venezuela* i *Ecuador*, od początku XVII wieku wydawały drogie metale i prawie wyłącznie złoto. Terytorjum terazniejszej Nowej Grenady, dostarczało szlachetnego kruszcu poprzednio i teraz go najwięcej dostarcza. Z początku złoto wyplukiwano z piasków, a teraz z rud zaczęto je wyrabiać.

Na międzymorzu Panamskiém, w prowincyi *Veragua*, zaczęto wyrabiać złoto jeszcze za czasów Krysztofa Kolumba, lecz głównejsze kopalnie i rozsepy Nowej Grenady, z których teraz produkują złoto, znajdują się na zachodnich spadkach trzech łańcuchów, znanych pod nazwiskiem *Kordylierów Choco*, *Kordylierów zachodnich*, i *Kordylierów wschodnich*.

Pomiędzy Kordylierami Choco a Wielkim oceanem, najbogatsze kopalnie istnieją w prowincyi *Choco*, pod miastem *Quibdo*, i w prowincyi *Pasto*, w okręgu *Barbacaos*. W zachodnich Kordylierach, w prowincyi *Anti-oquia*, niedaleko miasta *Santa-Rosa-de-Osos*, są bardzo bogate złotodajne rozsepy, lecz z powodu nadzwyczaj trudnych i niebezpiecznych związków przez góry, i braku rąk, bardzo się mało z nich wybiera. Prowincye *Mariquito* i *Popoyan*, również są znane z bogatych rud i rozsepów. We wschodnich Kordylierach, prowincye *Pomplona*, *Socora*, niedaleko miasta *Velez*, jak niemniej okrąg *Neyba*, obfitują w złoto. Tam gdzie się łączą pasma wschodnich i zachodnich Kordylierów, stanowiących główny łańcuch *Kordylierów środkowych*, wypływa rzeka *Magdalena*, wpadająca w morze Antylskie. U źródeł rzeczek wpadających w *Magdalene*, pomiędzy równoleżnikami, pod 2° i 6° szerokości północnej, oraz w dolinie *Rio-Cauca*, w ostatnich czasach odkryto najwięcej złotodajnych rozsepów, które pod względem geograficznego położenia, odpowiadają rozsepom afrykańskiemu, znajdującym się w Gwinei czyli Złotym wybrzeżu, a w Azji, znakomitym niegdyś rozsepom Chersonesu Złotego. W piaskach rzeki *Rio Hacha*, wypływającej z gór *Sierra Nevada de Santa-Marta* i wpadającej w morze Antylskie, niemniej w rzece *Rio-Zulia*, która wpada do jeziora *Maracaybo*, odkrywają się często ślady złota.

Terazniejszą roczną produkcją złota Nowej Grenady, rachują na 4,954 kilog. (17,062,000 fr.) wartości; cała zaś produkcya od czasów jak wybierać zaczęto, do 1845 r. włącznie, podług Chevaliera wynosi 556,840 kilog. czyli 1,918 milionów franków wartości.

W Rzeczypospolitej *Ecuador*, na zachodnich spadkach środkowych Kordylierów, niedaleko Wielkiego oceanu, w okręgu *Loxa*, miasto *Zaruma*, mające do sześciu tysięcy mieszkańców, znane jest ze swoich bogatych kopalń złota. W téjże samej prowincyi za *San Jean de Bracamores* i *San Francisco de Boria*, małemi miasteczkami, które jakby zaginęły w pustyniach, ciągną się obszary mało jeszcze znane, zamieszkałe przez dzikie indyjskie pokolenia. W tych osadach, u źródeł rzek wpadających w rzekę Amazonkę, znajdują się złotodajne rozsepy, których wydajność, z powodu zaciętej nienawiści krajowców ku Europejczykom, dotąd nie jest oznaczona; lecz w ogólności, piaski te słyną jako bogate.

Kończąc o dawném vice-królestwie Nowej Grenady, nie od rzeczy będzie wspomnieć o Rzeczypospolitej *Venezuela*, jako stanowiącej niegdyś część pomienionego vice-królestwa. Terytoryum nowej Rzeczypospolitej *Venezuela*, położone pomiędzy równoleżnikiem pod 2 stopniem szerokości południowej a morzem Antylskim, pokrywa tę samą geograficzną strefę, którą w środkowej Afryce zajmują złotodajne rozsepy na obydwóch spadkach gór *Kong* i *Dżabel-al-Kamar* czyli *Księżycowych*, i w pustyniach podrównikowych; a chociaż dotąd *Venezuela* nie liczy się do krajów słynnych z bogactw metalicznych, jednakże obszerne jej pustynie w XVIym wieku dały początek powiastce, która tyle zajmowała geografów, o kraju *Eldorado*, nadzwyczaj bogatym w złoto, w stolicy którego, zwanój *Monoa*, świątynie i pałace miały być tym drogim metalem pokryte. P. Julian de Blosseville w artykule swoim: „*Explorations de l'Amérique*” pisze o *Eldorado* jak następuje:

„W obszerniej części Ameryki, leżącej między rzeką Amazonką, Orynoko, Kordylierami i oceanem Atlantyckim, powinien się znajdować początek najstawniejszej baśni geograficznej o kraju Eldorado — niewyczerpanym źródle bogactw. Po odkryciu tej części Ameryki, Peruwianie i Indyanie z Bogoty i Venezueli, jednocześnie o niej wspominali. Wyszukanie tego kraju wzbudziło zapalę chciwości w umyśle niektórych ludzi przedsiębiorczych, a odkrycia przez to spowodowane, zrobiły go ważną epoką w historii geografii. Wszystkie raporta zgadzały się na to, że kraj ten był położony w środku Guyany (1). Ze strony Venezueli podejmowano się największych starań, i wysłano najznakomitszą wyprawę pod wodzą niemieckiego kawalera Filipa von Hütten, który z nielicznym oddziałem Hiszpanów doszedł z nadbrzeża *Caracas* aż do okolic jeziora *Parime*, niedaleko miasteczka należącego do *Omagasów*, którego ważność przesadził. Druga mniej szczęśliwa wyprawa, była wysłana w tę bogatą stronę pod wodzą *Pedra Malaver de Silva* we 20 lat później. W r. 1586, *Antonio Berrio y Oruna*, złudzony tą samą nadzieją, zeszedł z Kordylierów *Bogotskich* na płaszczyznę wschodnią, zatrzymał się nad brzegami rzeki *Orynoko*, i założył miasto *San-Thome*, inaczéj *Vieja-Guyana* zwane. Później *Walter Raleigh*, człowiek uczony, zdolny i znany przez swój nieszczęśliwy zapalę do odkrywania krajów zapomnianych, kopalni i do rozszerzania handlu, przedsięwziął wyszukać El-

(1) Niewiadomo kto puścił wieść o istnieniu Eldorado w Guyanie, lecz to pewna, że kiedy *Laravardiere* tam osiadł, łatwo było przekonać się, iż żadna część Ameryki nie była mniej bogatą w złoto jak Guyana, i że w ogólności góry jej zawierają mało metaliów. *Malte-Brun, Géographie, T. XI, str 703.*

dorado; w r. 1695 i 1696 zwiedził nadbrzeża Guyany i bieg Orynyko, ale wiadomo, że głową przypłacił swoje usługi. Nadzieja odkrycia tego ponętnego kraju spowodowała wyprawę Soarresa do prowincyi Charkas, i ona to sprowadziła Federmana z Venezueli do Santa - Fe de Bogota. Nareszcie by uzupełnić spis tych bezskutecznych wypraw do celu urojonego, należy jeszcze wspomnieć o Antonim Santos, który w roku 1780 wyjechał z San-Thome, spuszczając się na dobrą wiarę mniemanego Indianina z Parymy. Gdy już 500 mil francuzkich drogi odprawił, przewodnik go opuścił, towarzysze poginęli, a on sam wpadł w ręce Portugalczyków."

Dawne vice-królestwo *Peru*, teraz podzielone na dwie rzeczypospolite: *Peru* i *Bolivia*, początkowo ze wszystkich hiszpańskich osad w nowym świecie, najobficiej dostarczało drogich metali; i chociaż później Meksyk wydawał dwa razy więcej bogactw, jednak peruwiańskie zostały nazawsze w podaniu ludów najpiérwszemi w świecie.

W Peru tak jak i w Meksyku, srebro stanowi główny produkt, z tą tylko różnicą, że w Meksyku wypłukują złoto w części z piasków, co do Peru zaś, nigdzie nie znajdujemy wzmianki o złotodajnych piaskach, które tam bez wątpienia istnieją. Peruwiańskie złoto pochodzi z rud i z odlączenia od srebra.

Kopalnie peruwiańskie drogich metalów, znajdują się w departamencie *Ayacucho*, w miastach *Huancabelica* i *Lucanas*; w departamencie *Puno*, w okolicach miast *Puno*, *Lampa* i *Cailamos*; w departamencie *Arequipa* wśród pustyni w bliskości miasta *Huantajaya* i portu Wielkiego oceanu *Iquique*; w departamencie *Juin*

w *Pasco* v. *Lauricocho*, i w departamencie *Libertad* w *Mecui-pampa*.

Najsłynniejsza, chociaż rzeczywiście nie najbogatsza w świecie kopalnia *Potosi*, leży w departamencie *Potosi*, w teraźniejszej rzeczypospolitej *Boliwijskiej*, gdzie również jak i w departamencie *Oruko*, w powiecie tegoż nazwiska, tudzież we wszystkich prawie dolinach *Jungas*, w nizinach rzeki *Tipuani* wpadającej w rzekę *Bini*, i w dolinach otaczających jezioro *Titicaca*, i w departamencie *La-Paz*, znajduje się kilka innych bogatych kopalń. W górach niedaleko brzegów oceanu, wykryto także złoto, lecz wydobywania go dotąd nie rozpoczynano. Pomimo tego, że Meksyk wydał w dwójnasób więcej drogich metali aniżeli Peru łącznie z Boliwią, kopalnie jednak tych ostatnich bogatsze są co do wydajności, a nawet peruwiańskie są łatwiejsze do wyrobki; lecz że mniej wydały, należy to przeszkodom fizycznym przypisać. Kopalnie peruwiańskie leżą na takiej wysokości, że ziemia zawsze prawie jest tam zamarzła, drzewo nie rośnie, i człowiek niechętnie osiada. W *Pasco*, *Huanca-belica* i *Mecui-pampa*, osady ludzkie dotykają wieczystych śniegów; jestto północna Syberya podrównikowa, Syberya ze straszliwemi uraganami stref gorących, Syberya bez lasów tak użytecznych przy pracach metalurgicznych, i bez spławnych rzek, któreby ułatwiały handel i dostawę żywności, w peruwiańskich kopalniach niewypowiedzianie drogićj.

Roczną wyróbkę Peru w ostatnich czasach obliczano na 708 kilogr. złota, wartości 2,439,000 franków, a Boliwii na 444 kilogr. czyli 1,529,000 franków; stosunek zaś złota do srebra, co do wartości, wynosi w Peru 1: 10, a w Boliwii 1: 7.

Całą wyrobkę złota tak w Peru jak w Boliwii, podług Chevaliera, od początku podbicia do 1 stycznia 1846 r. obliczono na 337,725 kilogr. wartości 1,163 milionów franków; a stosunek całej wyrobki obudwu metalów wynosi: 1 kilogr. złota na 170 kilogr. srebra, czyli 1 frank złota na 11 franków srebra.

W porównaniu z wyrobką Meksyku, Andy peruwiańskie od rozpoczęcia poszukiwań, po koniec 1845 r. wydały blisko jeden miliard mniej drogich metalów, to jest srebra łącznie ze złotem.

Dalój ku południowi, pomiędzy Kordylierami a Wielkim oceanem, istnieje *rzeczypospolita Chili*. Chcąc dostać się do niej z Peru, trzeba się przedziierać przez puste i nieplodne góry, wieczne śniegi i okropne otchłanie. Natura oddzieliła od reszty ziemi ten kraj malowniczy, żyzny i zdrowy. Potęga Inkasów wdarła się jednak do niego wprzód, nim wojsko hiszpańskie; lecz ani jedna, ani drugie nie zdołały podbić zupełnie tej ziemi wolności. Wiosna tam panuje od miesiąca września do grudnia; czas, w którym zwykle rozpoczynają się lata w krajach półkuli południowej. Nadbrzeże składa się z wązkiej płaszczyzny, za którą kilka rzędów gór nagle się wznosi. Wierzchołki Andów, na których z pośród mass śniegu wybucha dwadzieścia wielkich wulkanów, upiększają ten uroczy widok. Wnętrza gór zawierają w obfitości złoto, srebro, miedź i żelazo; znajdują się tam całe góry magnesowe. W okolicach *Guasco*, *Coquimbo* i *Quillosa*, ziemia zdaje się być nasiąkniętą materiami metalicznymi.

Niewielki oddział Hiszpanów, pod dowództwem Almagro, po raz pierwszy ukazał się na wyżynach chilijskich w 1535 r., gdzie zebrał znaczną ilość złota, któ-

re tam znajdowało się w wielkiej obfitości prawie na powierzchni ziemi. Od czasu podbicia Chili, płukano tam złoto z piasków; później zaś, a szczególnie od r. 1830, wyrób srebra wziął przewagę. Główniejsze kopalnie złota, znajdują się na północ od Santjago w małych miasteczkach *Lingua* i *Petorca*; kopalnie te podobne do peruwiańskich, leżą już w śniegowym pasie. Góra *Upsalata*, zawiera nader bogate drogie kruszce, których centnar wydaje 60 grzywien czystego metalu. W prowincyi *Colchagua*, miasto *Curico* słynie również ze swojej bogatej kopalni złota. W prowincyi *Coquimbo* czyli *la Serena*, w *Copiapo*, *Chanareillo* i *Huasco* (v. *Guasco*, v. *Santa-Rosa*), i w prowincyi *Aconcagua* w *San-Filipe-el-Real*, są najbogatsze kopalnie srebra, z którego odłączają złoto. Niektóre rzeczki toczą także obficie w piaskach swoich szlachetny kruszec.

Wydajność złotonośnych piasków w Chili jest nader bogata. Domeyko oblicza ją w przecięciu: lepszego gatunku na 0,000 078 080; podlejszego na 0,000 009 760. Żwiru zaś, mającego wydajność 0,000 001 000 wcale nie płuczą (1). Piaski Renu, Elder, a nawet stepów kirgizkich w Syberyi, są nieporównanie uboższe. W ogólności ziarna złota w Chili i Syberyi, są o 200 do 400, a nawet często o 1000 razy większe, od ziarn znajdujących się w Renie lub w Elderze (2).

Produkcya złota w Chili podług Humboldta, z początkiem XIX wieku wynosiła w przecięciu 2,807 kilogr. rocznie, a teraz obliczają ją tylko na 1,071 kilogr. Cała produkcya złota, od początku do 1846 r. podług Che-

(1) *Annales des mines*, 4 série, T. VI, str. 170.

(2) *Annales des mines*, 4 série, T. X, IV livraison, 1846.

valiera, czyni 248,000 kilogr. (854 milionów franków) wartości, stosunek zaś jęj do sřebra pod względem wagi, jest 1 kilogram złota na 4 prawie sřebra, a co do wartości: 1 złota na 0,19 sřebra.

W stanach skonfederowanych *Rio de la Plata*, w prowincyi *San-Juan*, przy mieřcie *Jacha*, istnieje znakomita ze swego bogactwa kopalnia złota, która podług M. Nunez przynosiła rocznie 80,000 piastrów. Dalej ku północy, w terytoryum tęjże prowincyi, w górach *Famatena*, dobywają również złoto. W prowincyi *Tucuman* są dwie kopalnie złota, w prowincyi *Iwojuj*, w bliskości miasta tegoż nazwiska, wyniosłości okoliczne a nawet całe pasma gór sąsiednich, zawarte pomiędzy *Rio-Grande* i *Rio-Vermejo*, obfitują w ogólności w drogie metale.

Istnieją nadto w niektórych miejscach obszernego terytoryum Stanów La Plata, inne jeszcze kopalnie sřebra, a zapewnie i złota; lecz w ogólności kraje te są mało znane.

Produkcyja złota tak Rio La Plata, jak i niektórych stanów środkowej Ameryki, nie jest stanowczo oznaczoną; Chevalier w artykule swoim: „*Mines d'argent et d'or du Nouveau Monde*”, oblicza ją w przecięciu na 500 kilogr. czyli 1,722,000 franków wartości rocznie.

Po Meksyku i Nowej Grenadzie, obszerne cesarstwo *Brazylijskie*, dostarcza z całej Ameryki najwięcej złota; i nięma wątpliwości, że góry brazylijskie zawierają nader wielkie skarby dotąd niewykryte, a które człowiek potrafi z czasem opanować. Dotąd, jak mówiliśmy wyżej, wyrabinią złoto w górach: *Serra de Araras*, *Serra de Taugatinga*, *Serra de Espinhaco*, *Serra de Montequiero* i *Cordiliera Aimores*.

Znakomitsze kopalnie znajdują się w prowincyi *Goyaz*, pomiędzy łańcuchami gór *Cordiliera Grande*, *Serra Araras* i *Serra Taugatinga*, w bliskości miast *Conceicao*, *Natividade*, *Cavalcante*, *Pilar*, *Aquaquenta* i *Oiro-fino*. tudzież na południowym spadku urwistych skał, niedługo łańcucha *Pyreneos*, niedaleko miasta *Santa-Cruz*.

W prowincyach *Minas-Geraes* i *San-Paulo*, cała środkowa wyżyna, zaczynając od miast *Cidade-de-Auro-Preto* (dawniej *Villarica*) i *San-Paulo* aż do brzegów rzeki *Yetenes*, zawiera w obfitości, jak się zdaje, złoty kruszec; lecz większa część kopalń na téj przestrzeni znajdujących się, dotąd jest nietknięta, a złoto którego *Brazylia* dostarczyła *Europie*, pochodzi z rzek wypływających z gór, a przeryzujących te prowincye. O 5 mil francuzkich, w stronie południowo-wschodniej od miasta *San-Paulo*, istnieją dawne, najpierw odkryte kopalnie *Jurugua*, już przed dwoma wiekami znakomite, które w owym czasie nazywano brazylijskiem *Peru*. Otwory z których wydobywano kiedyś piasek do płukania, mają czasami od 50 do 100 stóp średnicy, a od 18 do 20 głębokości. Złotodajne pokłady często tam znajdowano tuż przy korzeniach trawy. Produkcya tych kopalń, podług wiarogodnych podań, wynosiła blisko $5\frac{1}{2}$ milionów piastrow, lubo *Humboldt* o $\frac{1}{5}$ mniej ją szacuje. Wydobywanie z tych kopalń było już zaniechaném, lecz około 1807 roku rozpoczęły się prace na nowo, a teraz (1844 r.), jak świadczy p. *Kidder*, nie prowadzą robót regularnie. Znakomitsza w tych okolicach kopalnia złota z żył, znajduje się na północ, o 10 dni drogi od *Rio-Janeiro*, w *Congo-Soco* (1), i wydobywa z niej kompania

(1) *Corgo-Secco* na niektórych mappach.

angielska. W początku 1829 r. odkryto tam nową żyłę, tak bogatą, iż w pierwszych dziesięciu dniach wydała 344 grzywien czystego metalu; później w tymże przeciągu czasu, to jest co dziesięć dni, wydawała ona regularnie od 200 do 480 grzywien. Wartość złota w sztukach, z Rio-Janeiro do Anglii przez kompanią przesłanego, a pochodzącego z wyrobu pierwszego półrocza 1829 r. od 1 stycznia do 1 lipca, wynosiła 4,166,000 fr.

Słynne niegdyś kopalnie w okolicach *Villarica*, które miastu dały początek, są teraz wyczerpane; kopalnie także założone w pobliżu miast: *Antonio-Pereira*, *Inficignano* i *Catas-Atlas-de-Mato-Dentro*, niegdyś tak bogate, dziś prawie zupełnie zubożały. Inne kopalnie, chociaż bogate, wszelako mniej niż powyższe, znajdują się w prowincyi *Mina-Geraes*, w okręgach i w pobliżu miast: *Paracatu*, *Sabara*, *San-Joao d'El Reg*, *San-Jose-Campanha* (bardzo bogate), *Santa-Barbara*, *Agna-Suja*, *Fanado* (Minas Novas), *Villa de Principe* i *Cahyte*. W łózysku rzeki *Jegitonhonhu* v. *Jiquitonhonhu*, zbierają złoto i dyamenty.

W zachodniej Brazylii, w prowincyi *Mato-Grosso*, źródła wpadające z jednej strony w Paragę, a z drugiej do rzeki Amazonek, toczą w piaskach swych złoto. W okolicach miasta *Cujaba*, od roku 1718 wydobywają złoto, a roczna produkcya téj kopalni wynosi 20 arobes, po 32 funty każda. Osada *San-Pedro-del-Rey*, 20 mil francuzkich od *Cujaby* na południo-wschód odległa, liczy teraz przeszło 2000 mieszkańców, z których znaczna część zajmuje się wyrobem złota w okolicach.

W prowincyi *Rio-Grande-do-Sul* czyli de *San-Pedro*, w lasach na brzegach rzek ją przerzynających, niedawne-

mi czasy rozpoczęto nowe zbiory złota, które wypłukują z piasków.

Produkcya złota ze wszystkich kopalń brazylijskich, wynosiła w połowie XVIII wieku, podług urzędowych doniesień, rocznie od 6,500 do 8,500 kilogramów, łącznie zaś z kontrabandą, pokryjomu z kraju wyprawianą, obliczają ją na 12,000 kilogr. Teraz Brazylia znacznie mniej wyrabia rocznie, bo tylko 2,500 kilogr. czyli około 8,610,000 fr. wartości. Cały zaś wyrób złota, od początku do 1 stycznia 1846 r., wynosi do 1,334,400 kilogr., wartości 4,596 milionów franków. Srebra w Brazylji wcale nie wyrabiają.

Co do wysp amerykańskich na archipelagu Kolumbijskim, podług dawnych historyków, wyspa *Kuba* słynęła ze złota; a chociaż teraz kraina ta wcale nie szczyci się wydawaniem tego metalu, mieszkańcy jednak mają ogólne przekonanie, że wyspa ich leży na pokładzie złotym, którego jeszcze dotąd nie odkryto.

Chęć i nadzieja odkrycia kopalni złota lub srebra, zajmuje najwyższą władzę miejscową do tego stopnia, że prawem postanowiono: iż jeżeli kto z Hiszpanów wynajdzie na wyspie kopalnię złota lub srebra, zostanie wynagrodzony tytułem księcia; każdy krajowiec będzie miał szóstą część w wyrobie; niewolnik otrzyma wolność i 10tą część wyrobu, każdy cudzoziemiec ma prawo do $\frac{1}{3}$ części, z tym nadto warunkiem: że rząd we wszystkich powyższych wypadkach przyjmuje na siebie wszelkie koszta prowadzenia robót (1). Długi czas na wyspie niejaki *Watchinango*, krajowiec z pokolenia me-

(1) *Trent huit jours dans les savanes de l'île de Cuba, par J. Tolmer.*

zykańskiego, który prowadził dziwaczne życie i rzadko pokazywał się ludowi, miał w posiadaniu, podług powszechniej wieści, kopalnię złota, którą przed wszystkimi ukrywał. Po śmierci jednak Watchinango, który tragicznie zginął w spotkaniu się z podróżującymi, odkryto, że on rzeczywiście posiadał skarb złożony z grubo wylanych sztab złota, które znalazł w czasie swoich dzikich wycieczek korsarskich, a któryto skarb był przechowywany w skalach *de Boca-Grande*.

Na wyspie Haiti (St-Domingo), Hiszpanie po przybyciu swoim znalazłszy, jak już wyżej powiedzieliśmy, wielką obfitość złota, ogłosili wyspę za należącą do korony hiszpańskiej, i zaraz włożyli na mieszkańców obowiązek dostarczania złotego kruszcu. Osada, którą zwycięzcy założyli w południowej części wyspy, pod imieniem *Santo-Domingo*, dała nazwisko całej wyspie. Podług *Herrera*, kopalnie *Vega* i *Buenaventura*, wydawały rocznie 460,000 grzywien złota; w ostatniej z tych kopalni znaleziono sztukę, która ważyła 200 uncyj. W późniejszych czasach wyrób złota w Haiti znacznie się zmniejszył. Czy teraz istnieją tam prawidłowe kopalnie, o tém nie wiadomo; wszakże *Negrykaszta*ny z *Giraba* otrzymują jeszcze niewielką ilość szlachetnego kruszcu w ziarnie.

Na wyspie *Porto-Rico*, gdzie Hiszpanie początkowo zakładali osady umyślnie w widoku kopalni złota, metal ten stał się bardzo rzadkim.

Wszystkie powyższe wyspy archipelagu kolumbijnskiego, najwięcej znane z wydawania złota, leżą pomiędzy równoleżnikami pod 17 a 23 stopniem szerokości północnej, i odpowiadają co do geograficznego położenia strefie, pod którą leżą złotodajne pokłady w Afryce,

w górach *Alaki* czyli *Oalaki*, pomiędzy Nilem a morzem Czerwoném, niegdyś nader bogate.

Wyliczyliśmy znakomitsze miejsca, w których w Ameryce wydobywają złoto; jednakże w porównaniu z ogromną rozległością téj części świata, stanowią one nadzwyczaj małą przestrzeń. Mając wzgląd na położenie amerykańskiego lądu, trudno przypuszczać, aby obszary Wenezueli, Ecuador, Urugaj, Paraguaj, Patagonii, stanów środkowej Ameryki mało zbadane; w północnej zaś téj przestrzeni, gdzie się zaczyna pasmo gór *skalistych* wcale nieznane, nie zawierały w ogólności bogatych pokładów kruszcu, a pomiędzy nim drogiego, który powinienby zapewniać utrzymanie się terażniejszej produkcji na długi przeciąg czasu.

Zresztą teraz w niektórych krajach, nawet mennice mających, ilość wyrabianych drogich metalów nie jest obliczona. Wiadomo naprzykład, że mennica Guatimalaska w latach 1820 i 1821, przerabiała rocznie na monetę krajowego srebra 9,046 kilogramów czystego metalu, nie rachując niewielkiej części złota. W 1824 r. w téjże mennicy wybito złotój monety z krajowego kruszcu 106 kilogr. Wyżej zaś wspomnieliśmy i o innych krajach, których nie można wykazać produkcji. Chevalier oznacza ją w ogólności na 500 kilogr. złota rocznie, 1,722,000 franków wartości.

Porównywając liczby produkcji każdego kraju o którym mówiliśmy, ogólna produkcya roczna na całą Amerykę (1) wynosi 14,934 kilogr. czyli 51,434,000 franków, a mianowicie (2):

(1) Oprócz wysp archipelagu kolumbijskiego.

(2) Wypadki produkcji tak rocznej jak ogólnej, niżej wykazanej, wzięte są z artykułu Chevaliera: *Mines d'argent et d'or du Nouveau Monde*; w *Revue de deux Mondes*. 1846, T. VIII. str. 1033, 1034.

| Stany Zjednoczone Ameryki | Kilogr. | Wartość. |
|---|---------|----------------------------|
| • północnej | 1,800 | 6,199,000 fr. |
| Mexyk | 2,957 | 10,184,000 — |
| Nowa Grenada | 4,954 | 17,062,000 — |
| Peru | 708 | 2,439,000 — |
| Boliwia | 444 | 1,529,000 — |
| Chili | 1,071 | 3,689,000 — |
| Brazylia | 2,500 | 8,610,000 — |
| Różne kraje, których pro- dukcyja niewymieniona. . | 500 | 1,722,000 — |
| Razem | | 14,934 51,434,000 — |

W porównaniu ze srebrem, stosunek jęj co do wagi jest 1 : 41 $\frac{2}{14}$, a co do wartości 1 frank złota na 2 fran. 65 centymów srebra (1).

W początkach XIX wieku Ameryka wyrabiała złota rocznie 14,000 kilogr.; wyrób więc jego nieco się powiększył, gdy wyrób srebra zmniejszył się o $\frac{1}{4}$.

Całą produkcją złota w Ameryce, od podbicia jęj do 1 stycznia 1846 r., Chevalier tak oblicza:

| Stany Zjednoczone pół- nocnej Ameryki. | Kilogr. | Wartość. |
|---|-----------|--------------------------|
| | 18,525 | 64 milion. fr. |
| Mexyk | 379,221 | 1,306 — |
| Nowa Grenada | 556,840 | 1,918 — |
| Peru i Boliwia | 337,725 | 1,163 — |
| Chili | 248,000 | 854 — |
| Brazylia | 1,334,400 | 4,596 (2) — |
| Razem | | 2,874,711 9,901 — |

(1) Ameryka produkuje srebra w przecięciu rocznie 614,641 kilogramów, wartości 136,476,000 franków.

(2) Wyspy archipelagu kolumbijskiego, jakoto: Kuba, Haiti Porto-Rico i niektóre inne pomniejsze kraje, o produkcyi których szczegółowo nie wspominaliśmy, do obliczenia powyższego nie wchodzą.

Liczby te chociaż nie są niemyślne, zawsze jednak mogą służyć za podstawę do wniosków dość ścisłych i pewnych, pod względem handlu, statystyki i ekonomii politycznej.

Wielkie to wprawdzie bogactwa, ale nie mniejszemi są skarby zawarte w wnętrzach gór syberyjskich, a może nawet je przewyższają. Syberya od początku poszukiwań po koniec 1846 r. w przeciągu lat 132, wydała 16,389 (1) pudów, czyli 268,332 kilogr. złota, wartości 917,392,148 franków, a Ameryka od początku po 1 stycznia 1846 r. w przeciągu 326 lat, na 9,952 milionów franków, t. j. przeszło 10 razy więcej. Pomimo to, produkcya złota w Syberyi w ostatnich sześciu latach, od czasu odkrycia złotodajnych rozsepów we wschodniej Syberyi, czyli od r. 1841 po koniec 1846, w przecięciu wynosi 22,800 kilogr. (2); o 7,866 kilogr. czyli przeszło o 25 milionów franków wartości więcej, niżeli terażniejsza produkcya roczna Ameryki; chociaż produkcya gór Rossyi azyatyckiej nie doszła jeszcze do najwyższego normalnego stanu, Ameryka zaś przeszła takowy. W Syberyi produkcya złota powinna się

(1) Produkcya Syberyi podług obrachowania naszego (Biblioteka Warszawska z czerwca 1848 r., zeszyt XC, str. 443, od r. 1704 po koniec 1846 r. wynosi 14,489 pudów, 27 funtów, 93 zolotn. 92 dole. Do téj ilości potrzeba dodać złoto wydzielone z attajskiego srebra od 1726 po 1835 r. 1,900 pudów (Annuaire des mines Russie 1835, f. 101, 1836, f. 135), co uczyni razem 16,389 pudów, 27 funtów, 93 zolotn. 92 dole. wartości 229,348,037 rub. sr. czyli licząc dla równego rachunku 1 frank za 25 kop. sr. 917,392,148 franków.

(2) Syberya od r. 1841 po koniec 1846 r. wydała 7,549 pudów, 27 funt. 82 zolotn. 86 doli; czyli rachując jeden funt rossyjski = 0,409,356 kilogr., będzie 133,603 kilogr.; rocznie zaś w przecięciu uczyni 1258 pud. 27 funt. czyli 22,800 kilogr.

z przeciągiem czasu powiększać, gdy w Ameryce dość, jeśli się na dotychczasowej stopie utrzyma, i to przypuszczając odkrycie nowych bogatych kopalń, dawne bowiem znacznie już są wyczerpane.

Tyle co do złota; lecz Ameryka ma i będzie miała przewagę nad Syberyą w produkcji srebra, w które góry amerykańskie najwięcej obfitują.

Oceania. Przeszliśmy stale lądy obu półkuli i wskazaliśmy główne punkta dotąd znane, w których się znajdują pokłady lub rozsepy szlachetnego kruszcu: pozostaje jeszcze jeden zakątek lądu, czyli raczej wspaniałe odłamki starożytnego, dawno zaginionego w falach oceanu świata. Przerwane miejscami siłą działaczy wewnątrz ziemi zawartych, te same pasma gór, które formują morze Śródziemne europejskie i przeryniają stary ląd azyatycki od Czarnego do brzegów mórz Chińskiego i Korejskiego, zgubiwszy się w przepaściach oceanu, wychodzą znowu na powierzchnię jego, w miarę ubytku wód na wschodnich brzegach stałych lądów, i tworzą niezliczoną liczbę wysp: od granic południowej Azji, w kierunku południowo-wschodnim, ku przylądkowi Horna. Wśród *Wielkiego* oceanu, na przestrzeni przeszło 2,100 mil polskich, ciągnie się w tym kierunku labirynt wysp, archipelag bez granic, zawierający kilkanaście wielkich lądów, z których najgłówniejszy co do obszerności wyrównywa Europie (1).

Ogromną grupę tych wysp, geografowie nazwali *Oceanią*, która stanowi piątą część świata. Wschodnią część

(1) Spojrzawszy na mapę zdaje się, że *Australia* czyli *Nowa Holandia* wraz z wyspami Sonda, składały niegdyś część stałego azyatyckiego lądu, od którego zostały oderwane, jak kiedyś może się oderwać Ameryka południowa od północnej, połączonej z tą nader wązkim pasem gór, stanowiącym międzymorze Panama.

Oceanii, większość głosów uczonych nazywa *Malezyą*, środkową *Australią*, a zachodnią *Polinezyą*.

Natura nadała téj części świata szczególnież wybitny i właściwy charakter. Nigdzie na całej kuli ziemskiej, powierzchnia jéj nie jest tak usianą nierównościami, nigdzie, oprócz Ameryki, szczegółowe pasma gór, nie mają tak wyrazistego kierunku od północy na południe i tak widocznej *polarności*; łańcuchy te tworzą w środku wielkie wysoki od zachodu na wschód, w głównym kierunku wysp na archipelagu rozsianych.

Znając dotychczas bardzo mało wnętrza największych lądów Oceanii, nie można z dokładnością opisać bogactw jéj pod względem minerałów; lecz podania wielu uczonych podróżopisarzy zgadzają się, że na wielu wyspach Oceanii, są bardzo szacowne kopalnie drogich kamieni, i nader obfite pokłady rozmaitych metali, a w téj liczbie i złota, które mogą się równać najcenniejszym kopalniom na kuli ziemskiej.

W *Malezyi*, z tak zwanych *Wysp Sondu*, najbliższym od Azji wielkim lądem jest wyspa *Sumatra* (1), znana już nieco Ptolomeuszowi. Trzy czwarte części téj wyspy, pokryte są nieprzebytym lasem. W górach które wzdłuż przecinają wyspę, Holendrzy w swoim terytorium odkryli kopalnie złota, lecz górnicy niemieccy posłani do *Sillidi*, znaleźli rudę niedość bogatą w kruszec i wyrób trudny. W kraju *Menangkabu* (*Menangkabau*), który stanowi obszerną dolinę otoczoną pagór-

(1) Już mówiąc o Azji i archipelagu Indyjskim, wspomnieliśmy ogólnie między innymi o Sumatrze, Borneo, Celebes i t. d.; ponieważ zaś wyspy te podług podziału geograficznego należą do Oceanii, zatem właściwiej tu wypada szczegółowo zastanowić się nad każdą.

kami, rachują 1,200 kopalni złota. Malajczycy z tego kraju i z *Padangu*, sprzedają rocznie z piasków przez siebie wyplukanego metalu w ziarnach od 10 do 12,000 uncyj (1). Złoto z kopalni *Sipini* i *Caye*, jest 18to lub 19to karatowe. W królestwie *Achem*, zajmującym północną część wyspy, i w sąsiednim mu kraju *Battak* czyli *Battas*, znajduje się także złoto w piaskach. Crawford podaje produkcją roczną tych dwu ostatnich krajów na 35,530 angielskich uncyj (2).

Na wyspie *Sumbava*, w okręgu *Bima*, są kopalnie złota, a płuczą je i z piasków; stanowi ono jeden z głównych artykułów handlu krajowców.

Na wyspie *Tymor*, niektóre rzeki toczą w piaskach złoto, lecz wyrób jego nie jest znaczny.

Na wyspie *Celebes*, w jej północnej części, od międzymorza aż poza obręb okręgu *Bulan*, znajduje się wiele kopalni złota. W okręgu *Ankahulu*, kopalnie położone niedaleko holenderskiej osady *Gorontalo*, wydają złoto już 21karatowe, już 18karatowe. Kruszcę znajduje się gniazdami na kilka stóp głęboko pod powierzchnią ziemi, i zwykle mu towarzyszą pokłady miedzi. Pan De Rienzi zapewnia, że w niektórych dolinach złotodajnych kantonów *Celebes*, znajdują kawałki w złożu (*Gang*) od 4 do 12 funtów wagi. Kopalnie *Totok* dostarczają rocznie Holandyi 200 realów czyli uncyj złota, które krajowcy wyrabiają także w okolicach *Keme*. Roczna produkcją wysp *Celebes* i *Tymoru*, obliczają blisko na 30,000 angielskich uncyj.

(1) 16 uncyj czynią 1 funt, który równa się 0.494090 kilogram.

(2) 16 uncyj czynią jeden funt *avoir du poids*, czyli 0,453544.

Celebes oprócz metalicznych bogactw swoich, sławny jest z najjadowitszych w świecie roślin. Drzewo *Upas*, o którym na wyspie Jawie krąży tyle powieści, rzeczywiście rośnie na Celebes. Makassarczycy napuszczają pugiwały okropną trucizną, którą z niego wyciskają.

Na wyspie *Borneo*, złoto rozsiane jest zaraz pod powłoką ziemi. Główniejsze kopalnie są: *Montrado* (*Montradok v. Tradok*), *Mandur*, *Lemdak*, *Ambauwang*, *Borneo* i *Bandjer - Massing*. Z nich najbogatsze na całej wyspie leżą w okręgu *Mumpawa* w *Montrado* i *Mandor*. W kopalniach *Montrado* pracuje stale blisko sześć tysięcy Chińczyków, a cały obwód tegoż nazwiska, zamieszkały jest prawie wyłącznie przez kolonistów chińskich, którzy formują kastę stałych krajowych górników. Produkcją roczną kopalni *Montrado* obliczają na 88,362 angielskich uncyj.

• *Wyspy Filipińskie*, odkryte przez Magellana w r. 1521, zajmują geograficzną strefę międzyzwrotnikową, pomiędzy 5° 32' a 19° 38' szerokości północnej.

Mineralne królestwo na wyspach Filipińskich (1) jest bogatsze, niż w jakimkolwiek innym kraju świata. Są tam szczególnie w obfitości dwa metale najpotrzebniejsze człowiekowi: złoto i żelazo.

Bardzo mało jest prowincyj, które nie wyrabiają złota, ponieważ prawie wszystkie rzeki toczą je w piaskach, z których się wyplukuje. Prowincje *Caraballo*, *Camarines*, *Misamis*, *Caraga*, *Nueva-Ecija* i *Gapan* najwięcej go mają. Najbogatsze w złoto miejsca są: *Ben-*

(1) *Les Philippines. Histoire, géographie, moeurs, agriculture, industrie et commerce des Colonies Espagnoles dans l'Océanie*, par J. Mallat. Paris, 1846. T. I, str. 94, wyjęto dosłownie.

guet, *Suguk* i *Apayao* w prowincyi *Caraballo*; *Paracole* i *Mumburao* w *Camarines*; *Pilao* i *Pijoluan* w *Misamis* i w górach *Caraga* i *Cebu*. Na wyspie *Mindanao* złoto jest tak powszechne, że krajowcy zwykle noszą przy sobie sakiewki z piaskiem i ziarnkami złotem, których używają nietylko do płacenia, ale i na zakłady w *hitwach* kogutów, które oni lubią namiętnie. Wchodząc na widowisko, natychmiast wydobywają sakiewkę, i wyjmują z niej szczyptę złotego kruszcu mniejszą lub większą, stosownie do zakładu, jaki stawić lub otrzymać zamierzają. Z pewnością twierdzą, że na każdej wyspie do grupy wysp Filipińskich należącej, znalazłoby się złoto. Wszystkie niezawisłe nomady, a szczególnie w *Mindanao* wyrabiają złoto. Mieszkańcy gór, którzy są jeszcze w stanie dzikim, jakoto: *Igorroty*, *Montescos*, *Tingusane*, dostarczają złota i sprzedają je po główniejszych miastach kraju. Złoto z *Gapan* uważane jest za najczystsze; bywa ono zwykle 22karatowe.

Bardzo rzadko zdarza się znaleźć w handlu złoto w kawałkach nieco większych; krajowcy są tak opieszali, że tylko wtedy płuczą złoto, gdy je koniecznie potrzebują, ponieważ wiedzą, że niebawem mogą znaleźć taką ilość kruszcu, jaka byłaby potrzebna na wyżywienie ich familij przez dni kilka. Istotnych prawidłowych kopalń złota dotąd jeszcze nie wykryto, lecz Francuz *Oudan de Virilis*, osiadły na Filipinach od dawnego czasu, natrafił na kilka żył w górach *Caraga* (na wyspie *Mindanao*), gdzie sam mieszka wśród dzikich wyspiarzy, których przejął zwyczaje i wyuczył się języka. Złoto sprzedaje się zwykle po 22 *pesos* za *tael*. Głównie używają je na ozdóbki do stroju, a resztę sprzedają Chińczykom i *Metisom*, którzy prowadzą niém handel. Złotodajne

rozsepy filipińskie zajmują tę samą geograficzną strefę, co afrykańskie pokłady w Senegambii.

Na wielu innych grupach archipelagu Oceanii, jak na przykład w *Nowej Kaledonii* i innych, wykryto w górach metaliczne pokłady, lecz mało jeszcze rozpoznane. W Australii (Nowej Holandyi) wyrabiają nadzwyczaj bogaty miedziany kruszec; w 1844 r. rozeszła się w Londynie pogłoska, jakoby przysłane z Australii dla rozpoznania kawałki rodzimój miedzi, okazały się być czystym samorodnym złotem; lecz później okoliczność ta poszła w niepamięć, i nie wiadomo do jakiego stopnia się sprawdziła.

Produkcji złota w Oceanii nie można podciągnąć pod wyrachowanie; lecz wyrób jego na wyspach Sondu, jakoto: Sumatry, Borneo, Celebes, Timor i innych miejsc Malezyi, oprócz wysp Filipińskich, podają na 4,700 kilogr. wartości 16,189,000 franków (1).

Objasniwszy miejscowe położenie główniejszych punktów, w których rozrzucony jest na kuli ziemskiej złotodajny kruszec, w następnym artykule będziemy mówili o geografii złota, czyli o ogólnym położeniu złotodajnych pokładów. Porównywając je, z zadziwieniem spostrzedz musimy, że zajmują strefy pod jednakowemi szerokościami geograficznymi nie tylko na stałych lądach obudwu półkuli, ale nawet i na wyspach w przestworach oceanów zagubionych. Przejdziemy potem do

(1) P. Crawford podaje powyższą produkcją na 154,865 uncyj, wartości 2,980,000 hiszpańskich piastrów, czyli na 4.700 kilogr. 16,189,000 fr. wartującą. Toż samo obrachowanie przyjęto i w artykule: „*Production et valeur relatives de l'or et de l'argent à différentes époques*. Magasin Pittoresque. Aout, 1848, str. 270 i w *Univers pittoresque: Océanie, T. I.*

statystyki złota, czyli oznaczymy przypuszczalną ilość wydobytego metalu w całym świecie od najdawniejszych do naszych czasów; powiemy ile rachują go w wyrobach zamkniętych w skarbcach, ile w wyrobach w handlu, ile w obiegu, i gdzie mogła podziąć się reszta jego; w końcu zastanowimy się nad znaczeniem złota pod względem handlowym, moralnym i politycznym.



EMERYT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Józefa Karczeniowskiego.

I.

Na Lesznie przed kościołem Karmelitów, między jedenaściami i dwunastą z rana, siedziały dwie baby, które dla zaokrąglenia sumki dzisiejszego zarobku, oczekiwały na pobożnych, mających wyjść z kościoła przed jego zamknięciem. Obie w łachmanach, nacechowane tą szpetnością, jaką starym kobietom daje nędza, żebractwo i ślady niegdyś złych obyczajów; poglądały i na siebie z zazdrością, i na pustą ulicę z pewnym rodzajem gniewu i zniechęcenia.

— Djabli cię tu przynieśli—rzekła jedna, poruszając plecami i poprawiając na głowie jakiś wypłowiały gałgan, z pod którego wyglądała pomięta szlarka starego czépka i wypadały kosmykami siwe włosy.

— Wolno mi tu siedzieć, jak i tobie—odpowiedziała druga, i zasadziwszy rękę za dziurawy kaftan, także widząc w celu naturalnej obrony swojego ciała, nienawistnie na sąsiadkę spojrziała.

— Gdybyś poszła gdzieindziej, byłoby i tobie i mnie, a tak obie pomrzemy z głodu.

— A jak siedziałam na Krakowskim - Przedmieściu przed Karmelitami, toś i ty tam przyłaziła, i ja ci nic nie mówiłam.

— Bo wtenczas odpust był; chyba o tém zapomniałaś stara czarownico!— rzekła pierwsza. Nie dała długo czekać na odpowiedź druga, i pokazawszy kilka dolnych i chwiejących się zębów, przymrużywszy prawe oko zasze plesnią, podniosła ku niej pięść i rzekła:

— Tyś sama czarownica i jeszcze coś—tły!

Porwała się pierwsza z miejsca i podniosła do góry krzywą laseczkę; ale wtém obie postrzegły idących trotoarem dwoje młodych ludzi, obie więc westchnęły, i pierwsza zaczęła mówić głośno: Zdrowaś Marya! a druga zanuciła chrypliwym głosem: Kyrye elejson, i dalej śpiewała litanią do Najświętszej Panny.

Przybywający oboje byli młodzi, a świeże ich twarze, piękne rysy, oczy pełne wyrazu i wzajem w sobie tonące, strój czysty i pełen gustu; stanowiły dziwny kontrast z pomarszczoną i żółkłą twarzą, z małemi oczkami, obwiedzionemi czerwoną obwódką i z łachmanami pełnemi brudu i nędzy starych żebraczek.

Oboje szli bardzo zwolna, jak gdyby chcieli dać sobie więcej czasu czy do zabrania znajomości, czy do pożegnania się. Nie patrzyli na ulicę, zdawali się nie widzieć, co przed nimi; jednakże panienka oglądała się kiedyniekiedy, jakby ją jaki ogarniał niepokój— i wówczas śliczne jój lice okrywał rumieniec, a oczy duże, błękitne, z czarnemi rzęsami, schylały się ku ziemi. Wówczas także poprawiała jedwabną chusteczkę na piersiach, których formy kształtne i dorodne były wyraźne pod

szlafrockiem, z ładnego płócienka zgrabnie i gustownie przykrojonym. Z całego jój ułożenia, z jój ubioru, z jój kapelusza słomkowego, z parasolika który miała w ręku, i z rękawiczek ciemnych, widać było wyższe ukształcenie, skromność obyczajów, lecz oraz mierny dostatek.

Kawaler zdawał się mieć więcej śmiałości, więcej lat, więcej doświadczenia i pieniędzy. Tuzurek jego, chociaż podróżny, był bardzo elegancki, kamizelka aksamitna, lakierowane bóty, laseczka ze złotą gałką, kapelusz nowiuteńki i rękawiczki jasno-żółte, tylko co wzięte ze sklepu. Ale dwie okoliczności pokazywały, że to nie był stały mieszkaniec Warszawy, piastujący tu jaki urząd, lub zajęty jakim zyskowym przemysłem. Wielkie wąsy, ładnie podstrzyżona czarna broda, tudzież kocznyk podróżny, zaprzężony dzielną trójką w krakowskich chomątach, który szedł zwolna ulicą, dowodziły, że to był obywatel ze wsi, który na niejaki czas tylko do miasta przyjechał, oporządził się i do domu powracał. W rzeczy samój, ów młody człowiek, p. Roman Wyżopolski mieszkał w Gostyńskim, a owa panienska, znana na Żytniej ulicy pod nazwaniem Professorówniej, była rzeczywiście córką zacnego emeryta, niegdyś nauczyciela łacińskiego języka, i wraz z ojcem na téjże ulicy mieszkała.

Ponieważ zaś postanowiliśmy rzecz tego opowiadania prowadzić poprostu, bez żadnych poetycznych ogródek, powiemy więc odrazu, jak się ci młodzi ludzie poznali.

P. Roman przed tygodniem przyjechał do Warszawy, i przywiózł z sobą maleńką siostrzenicę Helunię, dla ulokowania jój na pensyi. Właśnie na drugi dzień po swoim przybyciu siedział na krześle w ławialnym pokoju pani S*, ochmistrzyni znanego zakładu naukowe-

go, a ona obok niego na paradnej kanapie ułożywszy się z dystynkcyą i powagą. kończyła z nim układ, gdy drzwi się otwały i weszła śliczna i wysmukła panienska, zupełnie tak poprostu i tak czysto ubrana, jakieśmy ją dziś widzieli. Ta tylko była różnica, że kapelusik swój słomkowy miała w ręku, w których także trzymała parasolik, i przez to odkryła czoło jasne i czyste jak kość słoniowa, i włosy kasztanowe lśniące, bujne i dziwnie ładnie przyczesane.

Pan Roman uderzony tym widokiem przestał mówić, patrzył z uwagą na twarz nadobną, na figurkę zgrabną i giętką, na rączkę, która trzymała kapelusz i na nóżkę małą i czystą, która lekko wysuwała się z pod sukienki i eicho spadała na gładką posadzkę. Poczawszy się pod okiem nieznanego mężczyzny, panna żaczerwieniła się, i ze spuszczonei oczami przeszedłszy zwolna przez cały salon, zbliżyła się do p. S* i pocałowała ją w rękę. Poważna matrona pogładziła ręką jej twarz i włosy i rzekła:

— Siadaj Kasiu! a ojciec zdrów?

— Zdrów, kazał ucałować rączki pani — odpowiedziała panna, i pan Roman znalazł, że głos odpowiadał twarzy i postaci. Był miękki, wyrobiony, nienadto cichy, nienadto ostry; słowem, wpadł odrazu mile w jego uszy, jakby jaka muzyka, jak echo czegoś już znanego, co się słodko wspomina. Gdy Kasia usiadła, pani S* zwracając się do p. Romana, odchrząknęła i wzięła się do wytłumaczenia mu, jak kosztowném jest utrzymanie w Warszawie, jak wiele musi płacić za lokal, jakich porządków i expensy wymagają od niej rodzice i t. d., a to wszystko dla przekonania młodego obywatela, że jeżeli

żąda sto dukatów na rok za edukacją jego dziesięcioletniej siostrzenicy, to żąda wcale niewiele.

P. Roman, który piérwój ostro się targował i dawał tylko siedmdziesiąt, ni ztąd ni zowąd zmiękł odrazu, i chociaż nie słuchał wcale dowodzenia p. S*, patrząc gdzieindziej, niby ku oknu, niby ku drzwiom, którędy weszła p. Katarzyna, odpowiedział niedbale:

— Dobrze, niech będzie jak pani każesz, mniejsza o trzydzieści dukatów.

Zmiana ta była tak niespodziéwaną, ustępstwo które zrobił raptem tak wielkie, że sama p. S*, która spodziéwała się, że może krakowskim targiem odtarguje tylko połowę zaprzeczanój sobie kwoty, zaczęła się dziwić mocy i gruntowności swojój wymowy. Wszakże p. Roman wcale inne miał powody. Gdy p. S* mówiła, on poglądując na cudne lice siedzącej naprzeciw niego panny, myślał sobie: że ta śliczna istota musi być albo krewną, lub przynajmniej poufałą w tym domu; że tu będę ją mógł widywać; że może się jój podobam, i że- bym się podobał, zacznę zaraz od tego, że się okażę wspaniałym, niedbającym o piéniądze, a zatém bogatym. Tak pomyslawszy postanowił odrazu, aby siostrzenica jego na pensyi u pani S* została, i dlatego zgodził się na proponowaną placę.

P. S* widząc, że obywatel tak nagle skruszał, postanowiła także korzystać z niespodziewanego rozmiękczenia jego serca, i ściérając chusteczką kurzawę na brzegu stołu, niby od mechcenia, a właściwie dla pokazania, że lubi porządek, dodała:

— Oprócz tego otrzymam od pana dobrodzieja, łyżkę, widelec i nóż srebrny. Także obrus i sześć serwet,

— Dobrze — odpowiedział p. Roman patrząc gdzieindziej.

— Zwykle rzeczy te — rzekła znowu p. S* — zostają w zakładzie naukowym, gdy panna w nim przebędzie dwa lata. Ale ponieważ panowie — dodała ze znaczącym uśmiechem — często bez przyczyny odbieracie nam uczennice, ja mam zwyczaj kłaść za warunek, aby odrazu były własnością mojej pensyi.

— Dobrze — odpowiedział znowu p. Roman, zawsze patrząc gdzieindziej.

— Ale półroczne zechcesz pan dobrodziej zapłacić mi przy spisaniu kontraktu — mówiła prędko p. S*, sądząc, że powinna pospieszać i korzystać z dobrego usposobienia młodzieńca, na którego przekonanie tak mocno działała.

— Dobrze — odpowiedział jeszcze p. Roman i rzucił nieznacznie okiem na twarz panny, która jakby uczuła to spojrzenie, nieznacznym zapłonęła rumieńcem.

Tu p. S* umilkła i zamysliła się; pan Roman był także roztargnionym, a panienska siedziała milcząc ze spuszczonej oczami. Pani S* namysliła się coby jeszcze zaproponować, żeby sobie nie mieć do wyrzucenia, iż nie korzystała z tak dobrej zręczności, i po chwili odchrząknąwszy i poprawiwszy się na kanapie, rzekła:

— Zapewne pan dobrodziej będziesz sobie życzył, żeby siostrzenica jego miała w porządku wszystkie książki, sexterna i karty geograficzne, tudzież żeby występowała w sukience mundurowej, jaką wszystkie panienski u mnie mają; na to zechcesz mi pan zostawić dwadzieścia dukatów, z których rachunek panu dobrodziejowi złożę.

żąda sto dukatów na rok za edukacją jego dziesięcioletniej siostrzenicy, to żąda wcale niewiele.

P. Roman, który piérwój ostro się targował i dawał tylko siedmdziesiąt, ni ztąd ni zowąd zmiękł odrazu, i chociaż nie słuchał wcale dowodzenia p. S*, patrząc gdzieindziej, niby ku oknu, niby ku drzwiom, którądy weszła p. Katarzyna, odpowiedział niedbale:

— Dobrze, niech będzie jak pani każesz, mniejsza o trzydzieści dukatów.

Zmiana ta była tak niespodziéwaną, ustępstwo które zrobił raptem tak wielkie, że sama p. S*, która spodziéwała się, że może krakowskim targiem odtarguje tylko połowę zaprzeczanój sobie kwoty, zaczęła się dziwić mocy i gruntowności swojój wymowy. Wszakże p. Roman wcale inne miał powody. Gdy p. S* mówiła, on poglądując na cudne lice siedzącej naprzeciw niego panny, myślał sobie: że ta śliczna istota musi być albo krewną, lub przynajmniej poufałą w tym domu; że tu będę ją mógł widywać; że może się jój podobam, i że bym się podobał, zacznę zaraz od tego, że się okażę wspaniałym, niedbającym o piéniądze, a zatém bogatym. Tak pomyślawszy postanowił odrazu, aby siostrzenica jego na pensyi u pani S* została, i dlatego zgodził się na proponowaną płacę.

P. S* widząc, że obywatel tak nagle skruszał, postanowiła także korzystać z niespodziéwanego rozmiękczenia jego serca, i ściérając chusteczką kurzawę na brzegu stołu, niby od niechcienia, a właściwie dla pokazania, że lubi porządek, dodała:

— Oprócz tego otrzymam od pana dobrodzieja łyżkę, widelec i nóż srebrny. Także obrus i sześć serwet,

— Dobrze — odpowiedział p. Roman patrząc gdzieindziej.

— Zwyczaj rzeczy te — rzekła znowu p. S* — zostają w zakładzie naukowym, gdy panna w nim przebędzie dwa lata. Ale ponieważ panowie — dodała ze znaczącym uśmiechem — często bez przyczyny odbieracie nam uczennice, ja mam zwyczaj kłaść za warunek, aby odrazu były własnością mojej pensyi.

— Dobrze — odpowiedział znowu p. Roman, zawsze patrząc gdzieindziej.

— Ale półroczne zechcesz pan dobrodziej zapłacić mi przy spisaniu kontraktu — mówiła prędko p. S*, sądząc, że powinna pospieszać i korzystać z dobrego usposobienia młodzieńca, na którego przekonanie tak mocno działała.

— Dobrze — odpowiedział jeszcze p. Roman i rzucił nieznacznie okiem na twarz panny, która jakby uczuła to spojrzenie, nieznacznie zapłonęła rumieńcem.

Tu p. S* umilkła i zamyśliła się; pan Roman był także roztargnionym, a panienska siedziała milcząc ze spuszczonej oczami. Pani S* namyśliła się coby jeszcze zaproponować, żeby sobie nie mieć do wyrzucenia, iż nie korzystała z tak dobrej zręczności, i po chwili odchrząknąwszy i poprawiwszy się na kanapie, rzekła:

— Zapewne pan dobrodziej będziesz sobie życzył, żeby siostrzenica jego miała w porządku wszystkie książki, sexterna i karty geograficzne, tudzież żeby występowała w sukience mundurowej, jaką wszystkie panienki u mnie mają; na to zechcesz mi pan zostawić dwadzieścia dukatów, z których rachunek panu dobrodziejowi złożę.

Dobrze — odpowiedział jeszcze p. Roman, a p. S* aż podniosła się na miejscu, na którym siedziała, tak ją zbudowała łatwość i zaufanie młodego obywatela. Ale chcąc rzecz doprowadzić do zupełnego skutku, zawsze w tym celu, żeby sobie nie mieć nic do zarzucenia, dodała jeszcze:

— Zapewne Pan Bóg nas zachowa od takiego zmartwienia, ale ponieważ ludźmi jesteśmy, a siostrzenica pana dobrodzieja także, więc na wypadek choroby, zechcesz pan dobrodziój zostawić mi dziesięć dukatów na doktora i aptekę, z których także rachunek jak najskrupulatniej panu dobrodziejowi złożę.

— Dobrze—odpowiedział i tą razą p. Roman, i postrzegłszy, że Kasia nie wiedzieć dlaczego zapłonila się znowu, spuścił oczy, i dla kontenansu, podniósł kapelusze i zaczął go ręką oglądać. Pani S* zdało się, że już chce wyjść. Postanowiła więc dać pokój dalszym propozycjom, i przestawszy rozumnie na tyłu koncessyach, jakie już zrobił, zamierzyła utkwic mu je bardziej w pamięci, co się jój tém potrzebniejszym wydało, że to *dobrze*, którym na wszystko się zgadzał, z widocznym wymawiał rozlagnieniem. Powstawszy więc z miejsca, rzekła:

— Pozwoli pan dobrodziój, że ja te wszystkie warunki, na któreśmy się zgodzili, zapiszę. Notatka ta przyda się panu dobrodziejowi przy sprawdzeniu kontraktu, który tu spisać każe u siebie.— Potem obracając się do Kasi, mówiła:—Moja droga! zabaw tu w mojem miejscu pana dobr., ja za chwilkę służyć będę. Jestto moja krewna i uczennica — dodała rekomendując. Słowa te, po których wyszła, wymówione były po francuzku *dobrze* i czysto. Pani S* użyła tego języka raz z przyzwyczajaje-

nia ochmistrzyni, a powtóre dla pokazania p. Romanowi, jak sama mówi po francuzku; że zatém nie powinien żałować swojej powolności, gdyż i siostrzenica jego także tak mówić będzie, jeżeli do skończenia edukacyi na jej pensyi pozostanie.

Gdy p. Roman został sam na sam z panienką, której uroda i ułożenie tak mocno mu się podobały, zmieszał się i sam nie wiedział od czego zacząć. Wyprowadziła go z tego ambarasu p. Katarzyna, zapytując, jak dawno przybył do Warszawy?

— Przyjechałem wczoraj — odpowiedział — A pani zapewne mieszka w tym domu?

— O nie — odpowiedziała wdzięcznym głosem — przebyłam tu lat kilka, gdym się znajdowała na pensyi, a teraz mieszkam przy ojcu.

P. Roman czekał, czy nie doda gdzie mieszku, na której ulicy; ale Kasia umilkła, a spytać jej o to nie śmiał. Żeby się więc rozmowa nie przerwała i żeby pokazać, że umie ją prowadzić, chociaż mówi z osobą nieznaną; że zna Warszawę, chociaż ją tylko kiedyniekiedy odwiedza, podniósł głowę, uśmiechnął się zawczasu mając powiedzieć coś zręcznego i uderzającego; ale wtém postrzegł, że oczy p. Katarzyny na niego patrzyły, że oczy te były błękitne z długimi czarnymi rzesami, że było w nich pełno wdzięku i wyrazu: zapomniał więc co miał mówić, spuścił wzrok ku ziemi, i gładząc ręką kapelusz, rzekł z determinacją:

— Jak dziś gorąco!

Uśmiechnęła się nieznacznie Kasia i odpowiedziała:

— Tak, w mieście między murami, zwykle bywa goręcej, niż na otwartém powietrzu. Państwo zapewne na

wsi nie doświadczać takiego upału, jaki my tu czasem miewamy od rozpalonych kamieni.

— My mamy drzewa, mamy ożywiający ich cień— rzekł p. Roman przychodząc prędko do siebie i patrząc już śmieliej na te oczy, które i teraz były błękitne, i teraz były piękne, ale już go nie tak mieszały swym cudnym promieniem.— A przytém, dodał, mieszkanie moje na wsi ma z jednej strony las, z drugiej rozległe łąki, przez które przechodzi rzeczka, która po pod samym ogrodem przepływa i daje nam kąpiel wyborną. Ale, dodał poprawiając się na krześle, nic tak w lecie nie zabezpiecza pokojów od gorąca, jak markizy. To téż kazałem je tak urządzić, szczególniej w dwóch salonach wychodzących prawie na południe, że mam w nich zawsze tyle chłodu, ile potrzeba.

To powiedziawszy umilkł p. Roman; a chociaż czuł, że niewszystko co powiedział, było bardzo potrzebném i zręczném; kontent jednak był, że jój dał cokolwiek poznać swoje wieś i swój dom: bo pomyślał sobie w duchu, dobrze niech i to wieć. Gdy Kasia milczała, rzekł znowu:

— A pani lubi wieś?

— Nie znam wcale wsi — odpowiedziała z prześlicznym uśmiechem, który odkrył ząbki białe i równe, który ułożył jój usta w tak rozkoszne kształty, że się p. Roman znowu zmieszał; ale szczęściem tą razą nie miał nic do powiedzenia.— Urodziłam się i wychowałam w mieście — mówiła dalej Kasia — jednak zdaje mi się, ile z usposobienia mego wnosić mogę, żebym wieś bardzo polubiła.

P. Roman ucieszył się widocznie posłyszawszy te wyrazy, a Kasia znowu postrzegła się, że były niepotrzebne,

że mógłby sobie Bóg wie co pomyśleć, i zawstydzila się biedna, ale tak jęj z tém było ładnie, że już teraz p. Roman poczuł jakby jakieś wzruszenie, jakąś nieodpartą chęć zbliżenia się i dotknięcia téj białej rączki, która trzymała chusteczkę, i wyrzeczenia czegoś, coby nie było ani wyrażeniem uczucia, ani zimnym komplementem, ale coby trzymało ów wygodny we wszystkiém środek, z którego i naprzód pomknąć się można, i nazad wycofać się łatwo. Wszakże nie przyszło do tego, gdyż pani S* weszła i przyniosła owę notatkę warunków, które na roztagonionym młodemu człowieku wymogła. Wziął je p. Roman nie czytając i schował do kieszeni. Gdyby był je przejrzał, znalazłby, że pani S*, rozmyśliwszy się w ciszy swego gabinetu i śmielsza z piórem w rękę, dodała jeszcze, że na rozmaite, mogące się zdarzyć na pensyi fety, jakoto: na imieniny jęj samęj i guwernantek, tudzież na jałmużny dla ubogich, dla przychodzących kwestarek i t. d. potrzeba będzie na składki pięć dukatów rocznie, które z góry mają być złożone.

P. Roman pożegnał uprzejmą gospodynią, skłonił się pannie i wychodząc rzekł:

— Jutro o téj porze będę pani służył z moją pupilką, którą opiece pani oddam.

— Będę pana oczekiwać—odpowiedziała pani S*— a ja tymczasem każę spisać kontrakt.

— Dobrze—rzekł znowu p. Roman patrząc gdzieindziej, i gdy oczy jego w téj wędrówce zbiegły się na mgnienie z błękitnymi oczami Kasi, powtórzył z pewnym przyciskiem, jakby chciał być dobrze rozumianym: — Jutro więc, o téj porze—i jeszcze raz skłoniwszy się, wyszedł.

Gdy się drzwi zamknęły, pani S* uśmiechnęła się, i pomyślawszy sobie w duchu: co to jest jednak dar mówie-

nia! poszła na chwilę zobaczyć, co panny robią. Kasia została tymczasem w salonie, wzięła leżącą na stole robotę, ale wkrótce opuściwszy ją na kolana, oparła piękne swe czoło na dłoni, i tak siedziała zamysłona. A p. Roman? — P. Roman szedł zwolna ulicą, dawał się potrącać przechodzącym, i tylko co nie wpadł pod dyszel doróżkarza, który zwyczajem warszawskim mocniej zaciął konie i ruszył z kopyta wtenczas, gdy niespodzianie z jednej ulicy zawracał na drugą.

Czy p. Roman zakochał się odrazu w pięknej Kasi, i to na dobre, tak, jak to czynią wszyscy moi bohaterowie, z wielkiem zgorszeniem krytyki, która im tych raptusów darować nie może; czy tylko podobała mu się tak sobie, nawiasowo, i miał względem niej jaki obywatelski planik, o tém jeszcze zdecydować mi tu niewolno. Dostyc będzie powiedzieć, że do Marego (który jeszcze wówczas kwitnął) nie poszedł; że do hotelu w którym stał, kazał sobie zwyczajny przynieść obiad, i milcząc zjadł go razem z zapłakaną Helunią; że całe poobiedzie z krawcem się swoim nie widział, na balencie okropnie ziewał, i spał jak najgorzej. Biegli czytelnicy niech z tych symptomatów wniosą o stanie serca i umysłu p. Romana.

Nazajutrz ten sam koczyk, któryśmy już widzieli na Lesznie, wiozł p. Romana i strwożoną Helunię ku pensyi pani S*. Właśnie była umówiona godzina jedenasta. Dom, w którym się mieścił zakład naukowy, już był niedaleki. Biedna dziewczynka, ofiara oświecenia i dobrej pronuncyacji, patrzyła na wszystkie strony, i co moment zapytywała wujcia, czy jeszcze daleko? Ale wujcio nie odpowiadał, oglądał się na prawo i na lewo, jakby chciał kogoś obaczyć, jakby się spodziewał, że na téj ulicy, o téj godzinie, przed samym domem pani S*

lub gdzieś niedaleko, ujrzy płócienkową sukienkę i słomkowy kapelusz.

Zkąd i dlaczego mógł mieć taką nadzieję? tego ani on sam nie wiedział, ani nawet ja nie wiem; a przecież coś mu szeptało, że to niepodobna, aby ich znajomość była tak krótką, tak przelotną, aby się skończyła na jedném wczorajszym widzeniu się, aby już nigdy nie zajrzał w te błękitne oczy, które tak wiele mówiły i nie usłyszał tego głosu, który tak miłobrział w jego uszach. Jednakże napróżno patrzył. Wprawdzie widział wiele płócienkowych sukienek, ale te były jaskrawe i zmięte; wiele ocz poglądało na niego, ale wszystkie były czarne lub siwe; wiele głosów pięknych Warszawianek dochodziło do niego z trotoaru, ale te wszystkie były lub chrypliwe jak rozbite dzwonki, lub ostre jak szydła. Straciwszy więc nadzieję, tak bez żadnej zasady powziętą, stanął przed mieszkaniem p. S*, wysiadł, wysadził Helunię, i już miał wchodzić w bramę podjazdową, gdy raz jeszcze spojrzawszy wzdłuż ulicy, ujrzał na przeciwnym trotoarze idącą spiesznie osobę, która mu dokładnie przypominała tę postać, o której całe poobiedzie myślał i całą noc marzył. Zatrzymał się więc przy drzwiach bramy, przytulił do siebie Helunię, i tak czekał dokąd się uda. Rzeczywiście byłato Kasia. Zrównawszy się z bramą domu, stanęła, przypatrywała się stojącemu przed nią koczycowi, i na jej licu był jakiś wyraz niepokoju i wahania się. P. Roman stanął tak, żeby go nie widziała, i zdało mu się, że czyta wyraźnie w jej pięknej twarzy chęć wejścia do Pani S*, gdzie była pewna, że go zastanie, i obawę spotkania się z nim znowu. Mocno go to ucieszyło i skłoniło do czekania cierpliwie, póki się nie zdecyduje. Nareszcie panienska potarła ręką

czoło, potrząsała głową, jakby chciała powiedzieć: nie, nie trzeba — i poszła dalej.

Wtenczas p. Roman mocno się zmieszał. Przez chwilę sam nie wiedział co zrobić; ale wkrótce rzucił się na krok stanowczy, zapomniał o p. S*, jój przekonywającej wymowie i ładnej francuzkiej pronuncyacji, wsiadł napowrót do koczka z Helunią, i kazał zwolna jechać w tym kierunku, w którym panna poszła szybko, jakby sama przed sobą uciekała.

— Więc już nie pojedziemy na pensyą? — rzekła uradowana Helunia. — O! jakże to dobrze!

— Chciałem ci jeszcze jedną rzecz kupić — odpowiedział p. Roman — żebyś miała pamiątkę odemnie.

— Mój dobry wujciu! jak ty o mnie tylko myślisz, — powiedziała dziewczynka i rękę jego całować zaczęła. Ścisnął ją za rączkę p. Roman i zacerwienił się, że skłamał przed dzieckiem. Bo on nie o nią myślał i gdzieindziej patrzył.

Byli na Krakowskiem - Przedmieściu. Przypadkiem p. Katarzyna obejrzała się, postrzegła koczka i w nim młodego człowieka, który ją ścigał wzrokiem. Przez chwilę zastanowiła się, jakby się namyślając, co zrobić; potem zwróciła się na lewo, i weszła do pierwszego magazynu, który był obok. P. Roman, którego już determinacya nie opuszczała, wyskoczył z koczka, wziął za rękę Helunię i wszedł także.

Nic nie może być piękniejszego, jak twarz piękna młodej dziewczyny, kiedy się na nią w cudnych farbach wymaluje razem radość i bojaźń; razem to przekonanie, że się podobała temu, któremu chciała się podobać, i ten kłopot dziewiczy, aby skłonności jój nie dostrzegł, aby nie usłyszał mocniejszego bicia jój serca.

P. Roman wyczytał te uczucia na jój licu, i przystąpiwszy do niej niezupełnie śmiało, rzekł drżącym głosem:

— Dobry dzień pani! Jak wdzięczny jestem temu przypadkowi.... — chciał coś jeszcze powiedzieć, ale czując że zaczął od nieprawdy i bojąc się, aby się większym kłamstwem nie skompromitował, dał pokój i umilkł.

— Tam zapewne pani S* pana czeka—odpowiedziała ze spuszczonei oczami panienka, jakby mu chciała przypomnieć, co powinien był zrobić.

— Tak—rzekł znowu—pamiętam o tém i już byłem przed jój bramą, ale przypomniawszy sobie, że miał zostawić mojej siostrzenicy jaką ładną pamiątkę, wróciłem tu.

— To siostrzenica pana?—mówiła ośmielając się Kasia—jakie ładne dziecko! Będzie jój tam dobrze; możesz pan być spokojnym. Pani S* kocha uczennice swoje, jak matka.

Helunia stojąc przy kantorze, na którym było tyle ładnych rzeczy, i trzymając na nim obie rączki w rękawiczkach obciętych po palce, przechyliła główkę i spojrzała na obcą sobie twarz p. Katarzyny. Wówczas Kasia nachyliła się, i wzięwszy jój rączkę, pocałowała ją w czoło. Pocałowanie to było dość serdeczne. Zkąd się zaś wzięło i dokąd było adresowane, to Bóg raczy wiedzieć.

— Dziękuję pani—rzekł wówczas ośmielony i uradowany p. Roman—że się moją siostrzenicą interesujesz. Ona biédaczka bardzo się boi téj pensyi.—Podziękuj i ty Heluniu, dodał biorąc drugą rękę dziewczynki, która tym sposobem służyła za przewodnika pomiędzy temi sercami, które się ku sobie pociągać zaczynały. Helunia, mając jedną rączkę w rękach p. Katarzyny, a drugą

w ręku wujaszka, dygnęła, a p. Roman dodał:—Niech pani będzie łaskawa pomoże mi co ładnego dla niej wybrać.

Zaczęli więc wybierać to na sukienkę, to na mantylkę, to wstążeczki, to chusteczki; przypatrywali się wzajem różnym rzeczom; w tém przypatrywaniu się zbliżyły się mimowolnie twarze, spotykały się oczy, lekko dotykały się ręce. Było o czém mówić, i nie można było tak prędko się zdecydować, bo i Helunię pociągali do rady, i jak tylko się jój co niebardzo podobało, szukali czego innego. Tak więc wybierali długo, a tymczasem minęła już i dwunasta, a pani S* niecierpliwiąc się, czekając i obawiając się, czy ją nie ubiegła pani P* jój najzaciętsza rywalka, myślała sobie: Otóżto jak nasi panowie cenią wymowę i pronuncyacyą! A zdawał się tak mocno przekonany! Ale jeżeli do tamtej pójdzie, sparzy się niezłe. Niech wreszcie sobie i idzie—dodała chodząc po pokoju.—Co mi to szkodzi, że siostrzenica jego będzie mówić po francuzku jak kucharka.

Już sprawunki były zapakowane i panna Katarzyna spojrzawszy na zegar sklepowy zaczerwieniła się, że bez żadnej potrzeby więcej niż godzinę tam przebyła; gdy p. Roman przystąpił do niej, i obcierając ręką kapelus, rzekł nieśmiało:

— Miałbym panią o wielką łaskę prosić!..

— O cóż idzie?—odpowiedziała zmieszana temi słowy, w których przecież nie nie było, coby zmieszać mogło.

— Mam dosyć długi rejestr sprawunków kobięcych dla mojej siostry, dla mojej matki i innych pań z sąsiedztwa; nie mam tu żadnej mi znajomej damy, któraby mi pomogła. Czy nie raczyłabyś pani poratować mię w tym kłopotcie?

— Kiedyż ja tak mało znam się na tém—odpowiedziała Kasia mocno zaambarasowana.

— Przepraszam, pani tu wybrałaś rzeczy takie ładne. Nie odmawiaj mi pani téj łaski — dodał błagającym tonem, a oczy jego jeszcze wyraźniej prosiły. — Zaraz ztąd odwożę Helunię do pani S^a i jutro będę już zupełnie swobodnym. Gdybyś mi pani raczyła wskazać swoje mieszkanie, przysłałbym konie i czekałbym panią o dziesiątą tu lub u Szlenkera.

— Ponieważ pan koniecznie chcesz — odpowiedziała stłumionym głosem— przyjdę o dziesiątej do Szlenkera.

Domyślił się p. Roman, że mu nie chciała powiedzieć gdzie mieszka. Uradowany więc, że otrzymał więcej niż się mógł spodziewać, nie nastawał, ale ukłoniwszy się uprzejmie i spojrzawszy tak, aby oczy powiedziały jój to, czego nie mówiły usta, wyszedł. Za nim wyszła i Kasia, a schyliwszy piękną główkę i trąc palcami czoło, weszła do Rezlera kamienicy. Tam w sieniach, oparłszy się o schody i cisnąc ręką bijące mocno serce, postąpiła z kilka minut, i potem poszła Miodową ulicą, ztamtąd na Długą, potem na Leszno i wreszcie na Żytną, gdzie mieszkał jój ojciec, który czekając na córkę z obiadem, dla rozrywki wyszedł na dziedziniec, usiadł na ławeczce przed domkiem, i czytał rozprawę jednego Niemca: „De Particula *Quum* — ad obtinendum gradum Doctoris Philosophiae.”

Źle spał téj nocy p. Roman, a Kasia jeszcze gorzej. Czuli ona, że te sprawunki są pretextem widzenia się, zbliżenia się do siebie, pomówienia z sobą. Gorzkie sobie czyniła wyrzuty, że i dziś poszła; postanawiała jutro zostać w domu, i wśród tych wyrzutów, wśród tych zbawiennych postanowień, myślała oraz, jakiby

sobie wymyślić interes, aby jutro znowu starego ojca opuścić i pobiedz daleko, w upał, gdzie ją ciągnęło serce, gdzie ją myśli porywać zaczynały. W takim pasowaniu się ledwie nad ranem zasnęła, a gdy otwarła oczy, już słońce było daleko, i przy łóżeczku jej stał ojciec, w kwiecistym ale wysiedzianym szlafroku, z czapką na głowie, z okularami na nosie, a w ręce drżącej, i założywszy jeden palec w to miejsce gdzie czytał, trzymał ową rozprawę: *de Particula Quum*.

— Napiłbym się już kawy moje dziecię — rzekł stary łagodnie.

— W ten moment, ojciec—odpowiedziała córka; zerwała się z łóżeczka, odpędziła krzyżem wszystkie mary, które ją trapiły, i odziewszy się prędiutko, zajęła się gospodarstwem. Ale już była ósma. Trzeba było i ojca nakarmić, i obiad zadysponować, i przycesać włosy, żeby były gładkie i lśniące, i odziać się porządnie, żeby z sukienki widać było gust i prostotę, i przebiedz taki kawał z ulicy Żytniej na Senatorską, aby o dziesiątej być na umówioném miejscu, aby młody człowiek nie czekał i nie dręczył się czekając. Bo ona to czuła dobrze, że się będzie dręczyć gdyby nie przyszła, i dlatego ten raz, ten raz ostatni przewycięży swoje skrupuły, swoje obawy i pójdzie. Ale więcej już nigdy, to sobie święcie przyrzekła.

Kto się przypatrzył działaniom kobiet, kiedy czego mocno chcą, kiedy postanowiły sobie zrobić coś prędko; kto uważał tę zadziwiającą energią, jaka się w nich wówczas rozwija, tę trafność rozporządzeń, przez które skracają czas i zbliżają się prosto do celu; ten dziwić się nie będzie, iż chociaż p. Katarzyna późno wstała, że i ojciec miał dobre śniadanie, i interes był wymyślony

ny, i obiad zadysponowany, i w pokojach sprzątnięto, i włoski były ładniej zaczesane niż zwykle, i sukienka wyprasowana i opięta leżała na niej zgrabniej, i miała pozór daleko większej elegancyi i gustu, niż w każdym inném zdarzeniu. Przedział nawet między ulicą Żytną i Senatorską jakoś się skrócił, tak, że gdy stanęła przed ratuszem i podniosła oczy na zegar, jeszcze pięć minut brakowało do dziesiątej.

Nie będę nudził czytelników moich opisaniem drugiego ich spotkania. Dosyć powiedzieć, że już dwunasta wybiła, a jeszcze mało co wybrali; że nazwisko, kolor materyi i jej rozmaite gatunki, podawały ciągle przedmioty do mówienia to o tém, to o owém, do długiego naradzania się, a zatém do patrzenia sobie w oczy, do dotykania ręką ręki, do przelotnego, mimowolnego ściśnienia paluszka, po którym całe ciało zadrzało i twarz oblewała się rumieńcem. Gdy się przyszło rozstać, pokazało się, że z długiego rejestru sprawunków danych p. Romanowi, ledwie dwa czy trzy artykuły zostały zaspokojone; że zatém konieczność wymagała, aby naza jutrz o téjże porze, p. Katarzyna przyszła do Sztumera, gdzieby resztę dokupić można.

Takimto sposobem, mimo świętości pierwszego postanowienia, mimo wyrzutów, które sobie czyniła po pierwszym widzeniu się, mimo łez, które tajemnie wylewała po drugim; widywali się co dzień przez dni pięć, chodzili po rozmaitych magazynach, i kupiwszy tu i owdzie cokolwiek, po godzin dwie lub trzy przepędzali z sobą na rozmowie pełnej czarów, pełnej rozkoszy, pełnej słodkich nadziei. Widzieli oni oboje jak im było dobrze razem, jak miło i prędko płynie czas, lecą godziny; a jednak pewien rodzaj nieśmiałości, zrodzony

przez szacunek, jaki powziął dla dobrej, pięknej i rozumnej pani, trzymał na wodzy język p. Romana. Sto razy miał już na ustach: —kocham cię szczerze, serdecznie — a przecież nie wymówił tego słowa. I ona go nie czekała, nie pragnęła nawet, przeczuwając, że tak jest niezawodnie; wiedząc, że gdyby to słowo wymówił, musiałaby także odpowiedzieć tak, lub nie; i wówczas, kto wie, czyby się nie rozbiło jej szczęście obecne o ten próg pewności, za który przestąpiwszy, idzie kobieta albo do ołtarza, albo do hańby. Dziś jej szczęście było pół prawdą, pół marzeniem; dziś ona jeszcze bujała w krainie poetycznej, gdzie jej wolno było wyobrażać się jego panią, jego żoną, jego królową; gdyby wyrzekła tak, zstąpiłaby na ziemię i możeby została tylko jego niewolnicą.

W wilią wyjazdu p. Roman żegnając się z nią na Śto-Jerskiej ulicy, wziął jej rękę i rzekł drżącym głosem:

— Panno Katarzyno! ja jutro muszę już jechać. Czy przyjdiesz pani o dziesiątej do ogrodu Krasińskich?

— Jutro już pan jedziesz? — odpowiedziała nie cofając rączki, i po chwili dodała: — dobrze, przyjdę — i prześliczne jej oczy zabłysnęły jakby łzą, w której złamał się promień słońca i błękit ich podniósł. P. Roman postrzegł jej wzruszenie i byłby jej do nóg upadł; lecz nie mógł tego zrobić, gdyż dużo przechodziło żydów, którzy ich potrącali.

Właśnie po tej ostatniej przechadzce w ogrodzie, gdy się już na długo rozstawali, rzekł p. Roman:

— Czy nie otrzymam od pani nic na pamiątkę tych kilku dni szczęśliwych? Może nieprędko tu będę, bo mam wielką podróż przed sobą.

— Pan jedziesz w wielką podróż? — odpowiedziała patrząc nań z żalem i miłością — weź pan tę książeczkę.

Od kilku lat ciągle się na niej modłę. Tam na każdej literze spoczywały tyle razy moje oczy, ona tyle westchnień moich słyszała, tam nie na jednej karcie znajdziesz pan ślady i łez moich. Może panu przyniesie pokój, bezpieczeństwo w drodze—i kiedykolwiek wspomnienie o mnie.

Wziął p. Roman rozrzewniony drogi ten podarunek, przycisnął jej rękę do ust, i poszli ku bramie, gdzie stał już jego powóz gotowy do drogi.

— Pozwól mi pani— rzekł jeszcze pan Roman— odprowadzić się do domu.

— Odprowadź mię pan tylko do kościoła na Lesznic. Tam już pójdę sama.

Chcąc niechcąc musiał się zgodzić i poszli zwolna trotoarem, rozmawiając jeszcze, żegnając się; widząc to we wzajemnym spojrzeniu, słysząc w głosie, że się kochają, ale nie czyniąc sobie żadnych oświadczeń, żadnych przyrzeczeń.

Gdy się zbliżyli do owych dwóch żebraczek, od których się opowiadano to zaczyna, jedna z nich wyciągając rękę i przerywając litanią, rzekła:

— Łaskawi państwo! na kawałek chleba! Zlituj się panienko nad starą sierotą—i odebrawszy jałmużnę, dodała:— Jesteś młoda i piękna, będziesz szczęśliwa!

— Opatrz biędną żebraczkę moja panienko!— rzekła druga, przestawszy mówić Zdrowaś Marya, i znowu po odebraniu jałmużny dodała:— Ale strzeż się! strzeż się! boś młoda i piękna.

— Czemu ją straszysz, stara— odezwała się pierwsza— czy nie widzisz, że aż pobladła.

— Bo i ja byłam taka, jak ona—odpowiedziała druga.— I mnie ostrzegali; alem nie słuchała. A teraz widzisz czém jestem.

Drżenie jakieś mimowolne ogarnęło p. Katarzynę. Rzeczywiście mocno pobladła, kolana ugiwały się pod nią; i gdyby jój był p. Roman ręki nie podał, byłaby nie wstąpiła na schody. Gdy weszła do kościoła, upadła na twarz przed pierwszym oltarzem, łzy puściły się z jój oczu, a słowa zebraczki brzmiały w jój uszach i okropny jój obraz snuł przed myślą zatrwożoną.

II.

Niejeden zapewne z czytelników moich nie był na ulicy Żytniej. A przecież to ulica szeroka, długa, niebrukowana, ma parę murowanych domów, kilkanaście drewnianych dworków, i dochodzi do samych wałów miasta. Te jój zalety, mogłyby się wydać niebardzo pociągającymi dla prawdziwych Warszawianów, którym potrzeba koniecznie bruku, kamiennych trotoarów, ciągnących się rzędem kamienic, i co trzeci dom kawiarni lub cukierni; mogłyby niebardzo zachęcić do jój odwiedzenia prawdziwe piękne Warszawianki, którym potrzeba koniecznie Krakowskiego-Przedmieścia, Nowego-Świata i ścisku algierek, zdolnego ocenić ich wejście, ich chód elastyczny, ich mantyle i kapelusze. Ale jabym chciał zniewolić dla ulicy Żytniej te dusze czule i melancholiczne, które mogą się obejść bez szyneczku i bawarskiego piwa, które lubią trawę pod nogami, parkan dla oparcia się i odpoczynku, których serce rozrzewni się widokiem kur grzebiących na śmieciach dzielników, których oko zajrzawszy przez szpary parkanów otaczających ogrody, spocznie z rozkoszą na zwiążujących się główkach kapusty, na dojrzewających jagodach agrestu,

i na rumieniących się, jak lica dziewic, wiśniach i malinach.

Otóż w jednym z tych dworków, gdzie był dziedziniec obwiedziony parkanem, gdzie był ogród warzywny i fruktowy, najmował sobie trzy pokoje z kuchenką p. Cypryan Ambrożyński, niegdyś nauczyciel łacińskiego języka w szkole powiatowej, a od czterech lat emeryt, pobierający całkowitą wysłużoną pensją. Niewielki miał on wprawdzie fundusz, ale mu wystarczał, gdyż to był człowiek, który bardzo mało potrzebował. Rano szklanka kawy, dwie lub trzy potrawy na obiad, przed wieczorem wlecie szklanka chłodnego mleka z chlebem, zimą kiedyniekiedy, gdy się czuł niezdrowym, szklaneczka herbaty: oto było wszystko czém karmił i utrzymywał swoje ciało. Tak skromny sposób życia czynił go zdrowym, lekkim do pracy, i nie wycieńczał jego szczupłych dochodów. Proporcjonalnie więcej daleko konsumował jego nos, niż on sam; gdyż ze wszystkich części ciała, to była jedna, której dogadzał i którą pieścił. W jego szafce podręcznej, gdzie na jednej półce znajdowały się same łacińskie grammatyki, na drugiej same dykcyonarze i wypisy, stały na trzeciej słoiki szklane z tabaką rozmaitego gatunku. Począwszy od petersburskiej mocnej i zielonej, stały jedna za drugą: holenderka, st. omer, maroko, francuzka ośmio i dziesięciogroszowa, nie mówiąc już o albance miałkiej i grubiej, która częścią za licencyą, częścią kontrabandowym sposobem wchodziła do szafki. Te słoiki, zamykające czysty i oryginalny kordyał, stały się fundamentem następnych, odznaczonych etykietkami innego koloru, i w których znajdowały się rozmaite mieszaniny poprzednich. I tak: petersburska z holenderką, petersburska z francuzką, st. omer z francuzką, holenderką

z albanką grubą, z albanką miłą i t. d. Słowem, ile z pierwiastkowych gatunków można było zrobić kombinacji, biorąc po dwa lub trzy do jednej, wszystkie były zrobione, w oddzielnym zamknięte słoiku, stosowną oznaczone etykietką, i systematycznie na półce ulokowane. Wiele sobie zacny emeryt nałamał głowy, nim doszedł do trzydziestu słoików, to jest do liczby dni w miesiącu, aby na każdy dzień nos jego miał rozmaite pożywienie i jednostajnym pokarmem się nie znudził. Wprawdzie niektóre miesiące, mające po dni trzydzieści jeden, ambarasowały go cokolwiek; ale go salwował miesiąc luty, z którego mu zostawało dwa słoiki, któremi zapelniał ten niedostatek, ratując się w innych miesiącach to dyetą, to resztkami z każdego dnia, które z tabakierki w osobny słoik zsypywał, i tym sposobem sumaryczną jakąś mieszaninę ze wszystkich gatunków i ze wszystkich ich kombinacji formował.

P. Ambrożynski celował także w sposobie zaprawiania tabaki, że była miękka, zimna, ani zbyt wilgotna, ani zbyt sucha, ale właśnie taka, że lechtała przyjemnie każdy nos, znajdujący się na przymiotach takiego przysmaku, przylegała rozkosznie do ścian jego, ani lecąc do gardła, ani wypadając na ziemię. Sekret ten przyrządzenia jej tak umiejętnie, stanowił jedyną próżność tego zacnego człowieka. Można mu było powiedzieć, że nie wie jak się tłumaczy popolsku imiesłowy na *rus* i *dus*, że nie potrafi dobrze użyć *Gerundivum* i nie zna rzędu słowa *jubeo*; w takim razie uśmiechał się tylko ironicznie doświadczony pedagog, ale się nie obrażał bynajmniej. Lecz kiedy kto brał niedbale tabakę z jego tabakierki, kiedy połowę zażył a połowę wysypał, lub zażywszy dobrze, nie posmakował, nie wykrzyknął *a!* i jeszcze o jedną

szczytę nie poprosił; od takiego stronił, dąsał się, tracił do niego ufność, a gdy miał jaki interes, przystępował z wielką nieśmiałością i z żadną prawie nadzieją skutku.

P. Ambrożynski był wysoki, chudy, cokolwiek przygarbiony, miał długie ręce i stopy, które stawiał niezgrabnie, zakrzywiając więcej do środka, i nosząc buty z nadzwyczajnie długimi nosami, wprzód jeszcze, nim moda spowodowała ten wygodny krój obuwia. Chustkę zawsze nosił białą; wprawdzie najczęściej ona była przybrukaną, zawsze jednak podnosiła kolor oliwkowy jego twarzy ściągłej i dość przyjemnej, oznaczonej wystającym i charakterystycznym nosem, czołem wysokim, łysym i pełnym pokoju. A chociaż włosy już siwiejące, z tyłu głowy zaczesywał na łysinę, i zawsze w kamizelce miał grzebyk rogowy; najczęściej jednak spadały one napowrót, buntując się przeciw temu zmuszonemu kierunkowi, rozrzucały się nieporządnie i całej głowie jego dawały filologiczny pozór. Od tego czasu jak otrzymał emeryturę, nosił ciągle długi tabaczkowy surdut; gdyż oko jego, przywykłe do wpatrywania się w tabakę przy częstym jej zażywaniu, przy kombinowaniu rozmaitych jej gatunków i zaprawianiu skombinowanych, polubiło ten kolor i raziło się innymi. Czasem tylko i to w dni wielkiej uroczystości, naciągał dawny, granatowy wice-mundur, z manszestrowym, wypłowiałym kołnierzem i z herbowymi guzikami, i wówczas także brał białą kamizelkę, niezawsze wprawdzie wolną od plam tabaczkowych i ziarn tabaki, sterczących gdzieś między fałdami i zagięciami, zawsze jednak, jak na filologa, dość czystą.

Umeblowanie mieszkania zacnego emeryta było skromne i odpowiednie jego funduszom. Pierwszy pokój był razem salą jadalną i bawialnym salonem. Dla odpowiedzenia temu podwójnemu przeznaczeniu, miał między oknami kanapę długą, pokrytą perkalem w kwiaty, przed którą stał stolik okrągły, mały i mający na środku wrobioną szachownicę; pod ścianą zaś był stół okrągły, z wiszącymi kłapami, obok którego stała kredensowa szafka, a między nią i piecem wisiał zegar z wagami, który dość chrapliwie, ale głośno i regularnie wybijał godziny. Administracya tego pokoju należała do p. Katarzyny. Tu mogła ona sprzątać bezkarnie, ile się jój podobało, i nawet z myciem podłogi nie doznawała wielkiego kłopotu.

Wcale inaczéj rzecz się miała z drugim pokojem, który był właściwém mieszkaniem zacnego emeryta, gdzie było jego łóżko, jego szaragi, na których wisiał płaszcz, szlafrok i surdut tabaczkowy; gdzie stały jego buty z długimi nosami, a przy nich szczotki; gdzie były jego półki, na których we wzorowym nieporządku leżały książki w dość znacznej liczbie, wcale dobrze dobrane, ale uszkodzone przez pożyczki, defektowe co do liczby tomów, i mające na sobie odwieczną kurzawę, która wpila się w papier i nawet kolor okładek pozmieniała. Na dolnej półce leżała masa seksternów i innych papierów. Byłyto studia grammatyczne naszego pedagoga i ćwiczenia uczniów, których kilka z każdej klasy zatrzymywał zawsze u siebie, i od roku 1820 z zanotowaniem daty i nazwiska, na pamiątkę postępu uczniów chował. Przy stole jego długim, pokrytym zielonym suknem, pełnym także kurzawy, dziur i atramentu, stała wspomniana już wyżej szafka z doborem grammatyk

łacińskich, dykcyonarzów, wypisów i ze stoikami tabaki. Ta miała zaszkłone drzwiczki i była zawsze starannie zamknięta. Do tego pokoju p. Katarzyna wchodziła tylko ukradkiem ze ściereczką i szczotką. A chociaż stary nie gniewał się złapawszy ją na gorącym uczynku, bo gniew był uczuciem zupełnie obcym sercu tego człowieka, ale widziała, że go to martwiło, że z roztargnieniem i nie smakując wcale zażywał tabakę i rozsypywał ją po ziemi; że już z mniejszym apetytem jadł obiad, chociaż był barszcz różowy i wonny; że cały dzień unikał swego pokoju, jakby ten stracił już dla niego swój powab, że był wyprzątnięty i czystszy. Bolała nad tём dobra i delikatna córka, i dlatego tylko kiedyniekiedy pozwalała sobie koniecznego uporządkowania, nie myśląc już wcale o wymyciu tam podłogi, która od lat kilku pokrywała się coraz grubszą warstwą brudu, tak dalece, że oko najwprawniejszego naturalisty nie byłoby w stanie dojrzyć słoju drzewa, z którego była zrobiona.

Z tego pokoju były wprawdzie drzwi do pokoju Kasi, ale prawie zawsze na klucz zamknięte. Co dzień jednak dobry ten ojciec otwierał je, wchodził do mieszkania córki, i wówczas serce jego radowało się widokiem dorodnej panny, cieszyło się czystością i elegancją jęj sprzączików, jęj strojem zawsze pełnym skrzętności i gustu, jęj ciągłym zajęciem to robotą i igłą, to książką i piórem, to kwiatkami, które zdobiły jęj okno, to modlitwą przy łózcisku panięjskim, przy którym ją czasem na kolanach zastawał. I wówczas nie wchodził wcale, postać tylko, popatrzył, niekiedy łza zakręciła się w jego oku, i cicho drzwi zamknąwszy, do siebie powracał. Bo też rzeczywiście miło było wejść do tęg stancyjki, gdzie wszędzie jaśniał porządek, gdzie wszyst-

ko było białe i czyste, gdzie łóżeczko było tak zastane, jakby na niem nigdy nikt nie spał, gdzie każdy mebel, każdy gracik tak się świecił, tak uśmiechał, jakby dopiero co przyszedł od rzemieślnika i ze sklepu. Urok dziewictwa leżał na wszystkiem co się tam znajdowało, a cisza jaka tam panowała, świadczyła jak skromném, jak cichém było to serce, którego pokoju i swobody dotąd nie zamieszało.

Przywyklszy do ciągłej pracy, do ustawicznego zajęcia przez lat trzydzieści pięć nauczycielstwa, p. Cypryan Ambrożynski, doczekawszy się wysłużonego odpoczynku, nie próżnował wcale. Z nałogu, z przyzwyczajenia, ciągle i zawsze myślał tylko o łacinie, i radby jój nauczać. Gdy rano wstawszy skończył paciérz, gdy już sobie przyrządził i napelnił tabakierkę z tego słoika, jak z kolei na ten dzień przypadał; wtenczas przeglądał grammatyki łacińskie, porównywał jedną z drugą, notował gdzie to lub owo prawidło łatwiej lub trafniej wyrażone, gdzie przykład do prawidła lepiej dobrany. Czasem brał w rękę jakiego autora, ale jedynie w tym celu, aby w nim znaleźć i podkreślić frazes, który się do jakiego trudniejszego miejsca grammatyki stosował. Szczególniej lubił imiesłowcy, *gerundia* i *supinum*, i składnią ich ze wszystkiemi szczegółami i wyjątkami znał na palcach. Także *Ablativus consequentiae*, zwykle zwany absolutnym, wielką miał u niego łaskę, a całą metafizykę partykuły *quum* znał bardzo dobrze, usunąwszy właśnie teraz ostatnie wątpliwości, jakie mu w téj zawilętej materji pozostały, tą rozprawą, *ad obtinendum gradum Doctoris Philosophiae*, z którąśmy go już poprzednio widzieli.

Nałóg jest drugą naturą. To téż czasem wartując swoje grammatyki, wyobrażał sobie, że się gotuje na lekcję. A gdy wybiła ósma na zegarze, po której zwykle wychodził, żeby się nie spóźnić na dziewiątą, zawiązywał czémprędzej chustkę, wołał o kawę i naciągał na siebie wice-mundur, szykując tę lub owę książkę, jaką miał wziąć z sobą. Dopiero gdy weszła Kasia niosąc mu śniadanie, gdy zapytała dokąd się tak rano wybiera, przypominał sobie, że zawód jego skończony, uśmiechał się ze swego roztargnienia, i kiwnąwszy ręką dodawał czasem: — Szkoda! a miałem właśnie świeże przykłady, któreby chłopcom dobrze wyjaśniły użycie słów: *interest* i *refert*. Siadaj Kasiu! powiem ci to, ho to ciekawe i nie w każdój grammatyce to znajdziesz.

Siadali więc oboje; on pił kawę, i trzymając w ręku umoczoną bułeczkę, objaśniał córce ten szczegół grammatyki. Słuchała go panna z uwagą, i choć niezawsze i nie wszystko rozumiała, dla uciechy ojca zagadnęła go czasem tą lub ową kwestyą. Wówczas radość błysnęła w oczach emeryta, zapal pedagogiczny objaśniał jego wysokie czoło, a postęp córki w takich trudnościach, pod któremi nie jeden chłopak szkolny upadał, był jego prawdziwym i niewinnym tryumfem. Nie była téż Kasia tak zupełnie obcą w łacinie, jak są inne panny. Ukończywszy nauki u pani S*, częścią dla zabawy, częścią dla ucieśnienia starego ojca, którego nad życie kochała, nauczyła się w sekrecie deklinacyj i koniugacyj słów foremnych, i ten zapas nowych wiadomości, przyniosła mu raz na wiązanie w dzień jego imienia prosząc, aby ją wyexaminował. Rozplakał się stary, uściskał i pobłogosławił córkę, i odtąd, gdy go napadała niepowściągniona chęć uczenia, sadzał ją obok sie-

bie i z zamiłowaniem i gorliwością wpajał w nią *rudimenta* téj mowy, którą Horacy pochlebiał Augustowi, którą Wirgiliusz pieścił uszy miękkiego faworyta, którą Cycero grzmiął z mownicy i, przygotowanemi dobrze improwizacyami, zbawiał Rzym i siebie pod niebiosa wynosił.

Wszakże niekiedy, gdy go sumienie dręczyło, że męczył dziewczynę rzeczą, która się jój na nic przydać nie mogła, choć czuł zbliżający się paroxyzm pedagogiczny, nie wołał jój do siebie, ale brał się do poprawiania dawnych ćwiczeń, uśmiechał się niekiedy ze swoich własnych poprawek w pierwszych latach nauczycielskiego zawodu czynionych, porównywał je z późniejszymi, i tak swój własny postęp kontrolował.

Póki był w czynnej służbie, szanowali go zwierzchnicy, kochali koledzy i uczniowie. Wszakże nieraz się zdarzało, że młodsi i mniej ochoczy do uczenia towarzysze, nadużywali jego dobroci i gotowości. Byle go który poprosił, byle zażył ze smakiem i pieśczołą jego tabaki, byle nie odgadł mieszaniny, z której była złożona, czując się niższym do zgłębienia takiego sekretu, zastępował ich z ochotą, tak, że mu po trzy i po cztery godziny lekcyj na tydzień przybywało. Dobroduszny i szczéry, gotów i innemi sposobami przysługiwać się kolegom, wierzył każdej prośbie, i pożyczał ile mógł; wierzył oraz każdej exkuzie, i albo nie śmiał upomnieć się, lub zapominał o długu, jeżeli zręczny dłużnik tłumacząc się z niemożności, delectował się jego tabaką, i chwalił jój wzorową przyprawę.

Takim był ten szanowny człowiek, którego życie upływało dziś w ciszy i nałogowém zajęciu; o którego ograniczonych potrzebach pamiętała skrupulatnie najle-

psza córka, którego sercu i oku starała się przynieść tyle pociechy, ile tylko mogła, któremu umiarkowanie dało zdrowie, a pokój wewnętrzny, cisza i praca, dały humor wesoly i jednostajny. To też odmówiwszy paciérz i uściskawszy córkę zasypiał spokojnie, koniugując sobie w myśli jaki trudny *Deponens*, lub szykując prawdziwą *de consecutione temporum*, i spał cicho do piątój, o której zwykle wstawał. Czasem tylko jaki sen przykry, co się i najcnotliwszym zdarza, mieszał ten błogi odpoczynek. Niekiedy mu się przyśniło, że słowa *utor* użył z przypadkiem czwartym; że kazawszy któremuś malcowi deklinować *epulum*, *i*, dopuścił, że ten w liczbie mnogiej mówił *epula*, *orum* i nie poprawił go wcale; że gdy przyszło do wytłumaczenia składni *Supinum*, zapomniał jak *venio salutatum amicos* powiedzieć siedm razy inaczej, i chociaż go uczniowie o to pytali, wytłumaczyć im tego nie umiał. Zdręczony i zimnym potem obłany budził się wówczas, siadał na pościeli i opamiętawszy się, zegnał się i dziękował Bogu, że to był sen tylko.

To były jedyne zmartwienia, których doznawał. Zasłużył on swoim usposobieniem, swoim charakterem, swoim sercem kochającym ludzi i naukę, aby nie doznał innych, aby dni jego dopłynęły w téj ciszy, w tym pokoju do téj mety, gdzie cisza wieczna i pokój niczém niezmiészany; aby wprzód jeszcze obaczył i pobłogosławił szczęściu tego dziecka, które tak kochał, i które tak na miłość jego zasługiwało. — Ale życie ziemskie musi wziąć swoje i nie przepuści nikomu. Dogała ono i tego starca nad grobem z gorzką swą czarą, zmusiło go wypić ją do dna, aby przeszedłszy tam, gdzie niéma goryczy i cienia, mógł powiedzieć: i ja żyłem, i ja wiem co to ziemia.

I zaraz w kilka dni po wyjeździe pana Romana, postrzegł nasz emeryt, że córka jego zesmutniała, że roz-targniona, że ani w jój zachodzie gospodarskim, ani w uporządkowaniu pokoików, ani w jój ubraniu niema tego zajęcia, tego oddania się zupełnego robocie, przy którym ona jedynie postępuje i przynosi ulgę i rozkosz. Dawniej sprzątając, prasując swoją sukienkę, podlewając i oczyszczając kwiatki śpiewała sobie, jak ptaszek swobodny, pewny, że ma dość nieba do lotu, dość ziarna na polu do dziennego pożywienia. Od kilku dni ani jedna nuta nie zabrzmiała na jój ustach, ani razu nie przemówiła do ojca sama, ani razu nie przyszła do niego z prośbą o objaśnienie jakiego frazesu z Eutropiusza, który stanowił całą jój łacińską lekturę, którego gdzie-niegdzie umyślnie czasem nie rozumiała, żeby ucieszyć starego nauczyciela, dając mu powód do długiego tłumaczenia i delikatnych objaśnień. Z początku udawał on, że nie uważa téj zmiany, częściej tylko zachodził do jój pokoiku i starał się zdaleka i nieznacznie postrzeżenie swoje sprawdzić; ale gdy ją raz zszedł na kolanach gorzko płaczącą, zmartwił się seryo i nie mógł zbyć z myśli tego widoku, na który serce jego ojcowskie zabolalo. Wprawdzie Kasia postrzegłszy, że ojciec widzi już jój smutek i obserwuje zmianę jój humoru i twarzy, prędko otarła łzy, umyła oczy zimną wodą i przyszła do niego tegoż wieczora z Eutropiuszem; lecz stary odłożył na inny czas objaśnienie trudności grammatycznych, a posadziwszy córkę koło siebie, zaczął ją badać i wypytywać. Ale ona zbyła go to tém, to owém; upewniała, że jój tak jakoś smutno się zrobiło, że sama nie wie jakaby mogła być przyczyna téj zmiany jój humoru, że się czuła cokolwiek niezdrową, ale że to już

przechodzi: i zmuszała się biedna do uśmiechu, do wesołości, do rozmowy obojętnej, która nie płynęła z jej serca i której dusza jej nie słyszała wcale. Uspokoilo to cokolwiek ojca; jednak gdy sobie powiedzieli dobranoc, długo jeszcze chodził po pokoju, a leżąc już po odmówieniu pacierza, zamiast innych części mowy trudniejszych i zawilszych, gdy mu się nawinęła mimowolnie prosta deklinacya *filia lacrimans*, przeszedł w myśli przez obie liczby i wszystkie przypadki, i poczuł doprawdy łzę, która się przez zmrużone jego powieki przeciskała.

Wszystkiego początki są słabe, nawet biedy i klęsk, które spotykają pojedynczych ludzi i całe narody. I te właśnie, które ze słabych początków rosną, rozwijają się i wzmagają do nieskończonej nędzy, są najgorsze, są nieuleczone jak choroby chroniczne, jak suchoty, które trawią ciało, wyniszczają życie, póki śmierć nie położy końca i nie da ulgi. Klęski gwałtowne, niespodziane, są jak burze, które mogą złamać; ale gdy nie złamią, przydają świeżości i mocy; są jak zapalenia, które jeśli nie zabijają, podnosi się z nich ciało prędko, i odnowioném niejako tchnie życiem. Ale to, co powoli zabija i kaleczy, zabija dobrze, kaleczy zawsze śmiertelnie.

Pierwsze to bolesne wrażenie, sprawione przez smutek i tajoną boleść córki, zatarło się prędko: gdyż Kasia czując, że nie powinna być powodem niepokoju dla człowieka, który przez trzydzieści pięć lat gorliwie pracował na to, aby miał pokój i odpoczynek, całą siłą woli i miłości utaiła w sobie, co czuła; wróciła do dawnego trybu postępowania, i pracą i zajęciem odpędzała te chmury, jakie nasuwały się na jej piękne czoło, gdy weszła w swe serce, gdy widziała, że tam się usadowiło uczucie silne i może daremne, że tęsknota niewysłowiona

ciągnęła jój myśli za obrazem, za uśmiechem, za głosem młodego człowieka, który może dla igraszki zajął się nią przez chwilę, a teraz oddalony zapomniał, i wkrótce zapewne całkiem zapomni. W nocy tylko pozwalała sobie gorzkich myśli, i często dziewiczą poduszkę, na której głowa jój dotąd tak cicho, tak smacznie odpoczywała, zlała obfitemi łzami, które przynosiły jój ulgę i sen przywoływały.

Odwiedzała także kiedyniekiedy pensją pani S*; każdą razą szła pomiędzy panienki, bawiła się to z tą, to z ową, kończąc zawsze na Heluni, którą przyciągała do siebie, tuliła w swém objęciu, i całując jój oczki i buzię, nieraz czerwieniła się od wstydu i rozkoszy. Dziewczynka przywiązała się do niój serdecznie; nie wiedzieć dlaczego nazywała ją ciocią, i wówczas Kasia drżała od radości i coś prorockiego słyszała w tym niewinnym głosie, i w tém nienauczoném nazwisku. Ale gdy wracała do domu, tém boleśniej dręczyły ją niepewność i niepodobieństwo, aby się ta szczęśliwa wróżba kiedykolwiek ziściła. Owszem, ile razy przechodziła przed kościołem na Lesznie, stawał przed jój myślą obraz owój baby w łachmanach, i słowa jój: „i ja byłam taką, a teraz, patrz czém jestem” rozlegały się w jój sercu i wszelką głuszyły nadzieję.

Często więc postanawiała sobie nie iść więcej do pani S*, lub przynajmniej nie widzieć i nie pieścić téj dziewczynki, która była powodem ich poznania się, i stała się niejako ogniwem między ich sercami. Ale próżne były obietnice, które sama sobie czyniła. Napadały ją chwile niewymownej tęsknoty, i wówczas biegła do domu dawnój swojej ochmistrzyni, prędko, nie patrząc na nic, jak gdyby się na lekcję spóźniła, i skoro tylko mogła bez

widocznego narażenia się na jakieś posądzenie dopaść gdzie Helunię, tysiąciami okrywała ją pieścizotami. Raz w takim usposobieniu przyszedłszy, zastała panienkę płaczącą. Nie śmiała zrazu spytać jęj o powód łez, ale dziewczynka sama ją uprzedziła:

— Ciociu Kasiu! — rzekła — patrz, odebrałam list od wujcia. Wujcio pojechał daleko, bardzo daleko, gdzieś na jakieś Pobereze; i czy ja wiem gdzie to Pobereze? To musi być gdzieś na samym brzegu świata, a ja tu zostanę, i nikt po mnie nie przyjedzie.

— Czyż na tak długo wujcio pojechał? — zapytała p. Katarzyna blednąc i siadając, gdyż nogi pod nią drżęc zaczęły.

— Ach! na bardzo długo. Pisze wujcio, że nie wróci aż za rok, albo i później. Patrz ciociu Kasiu! przeczytaj ten list, a obaczysz sama, jaka ja nieszczęśliwa.

P. Katarzyna wzięła, przeczytała; słowa były obojętne, zimne, w żadnym z nich ani śladu żalu, niepokoju, z żadnego ani domyślic się nie można było, iż się spodziewał, że może i ona je przeczyta, że okiem i duszą wygrzebywać w nich będzie jakiegokolwiek wzmianki o sobie, jakiegokolwiek wspomnienia na dni razem spędzone. Zamykało się w nich proste tylko doniesienie, że jedzie i nie wróci aż za rok, albo i później; upomnienie, żeby się uczyła, żeby była posłuszną, że matka chora i odwiedzić jęj prędko nie może i na wakacye nie weźmie.

Drżącą ręką oddała p. Katarzyna list Heluni, i poszła nie pożegnawszy się nawet z zadziwioną dziewczynką. Chodziła długo myśląc nad sobą, walcząc z bólem, któremu na chwilę mężne jęj serce uległo. Ale jak się często zdarza, że złe gdy przyjdzie, gdy stanie przed

oczami w formach wyraźnych i skończonych, nie tak silnie uderza, nietylko przynosi spustoszenia, a zatem nie tak strasznym się wydaje, jak wówczas, gdy się dopiero przybliża i w groźnej i niepewnej postaci nasuwa; to też i w duszy heroiny naszej znalazło się więcej mocy, niż sama się spodziewała. Nie obeszło się wprawdzie bez zamyślenia w samotności, bez łez przy modlitwie, które skrapiały książeczkę do nabożeństwa, przypominającą jej każdą razą tę, którą oddała na pamiątkę, a zatem i wszystkie przechadzki i wszystkie rozmowy, i cały urok pierwszej miłości: ale powoli, stopniami zaczęła się oswajać z tą myślą, że wszystko to było snem, bańką, która pękła, chmurką w cudne formy ukształconą, którą wiatr rozegnał, żadnego śladu nie zostawivszy. Takie uważanie wypadku, który zakłócił jej pokój, poczytywała za święty swój obowiązek; rozsądkiem i perswazyą zaszczebiała w sobie, że tak powiem, zapomnienie owęj szczęśliwéj chwili, i gdy pamięć uparta wraca do niéj, gdy to lub owo nasuwało na myśl, jakby drażniąc, słodkie mamidła, odpychała je od siebie pracą, ciągłym zajęciem koło domu, koło kuchni, koło garderoby swojéj i ojcowskiéj, wynajdywaniem nawet zatrudnień, któreby koniecznie pochłonięły w sobie całą jej uwagę. Tymto sposobem przeszła od Eutropiusza do Korneliusza Neposa, przygotowała się do wytłumaczenia życia Anibala, wyszukała w dykeyonarzu wszystkie wyrazy, których nie wiedziała, łamała sobie głowę aby dojść z nich sensu i myśl autora wyczytać. Do téj ostatniéj pracy miała i ten powód, żeby ucieszyć ojca i zatrzeć bolesne wrażenie, jakie na sercu jego jej smutek, jej bladość, i cała raptowna zmiana jej wewnętrznego bytu sprawiły.

Tak święte postanowienia, tak rozumnie obrane do tego środka, przyniosły pożądany owoc. Kasia uspokoiła się, wróciła prawie do dawnego stanu, a stary pedagog, gdy pierwszy raz usiadł do tak pożądanej dla niego lekcji, gdy zażył tabaki, jak dawniej sztukał parę razy tabakierką o stolik dla obudzenia uwagi, i poprawiwszy okulary, zaczął: *Hanibal, Hamilcaris filius Carthagenensis* i t. d. nie posiadał się z radości i zapomniał o wszystkich gorzkich myślach, jakie go przez kilka tygodni dręczyły.

W takim stanie były rzeczy, gdy nowy wypadek wpłynął stanowczo na życie jego, i poplątał znowu ten regularny tryb, jaki sobie ułożył i na którego stałość miał prawo rachować, wysłużywszy trzydzieści pięć lat w mołotnym stanie nauczycielskim.

P. Cypryan Ambrożyński miał dawniejszego kolegę, znacznie młodszego wiekiem, ale z którym razem w jednej szkole nauczał. Nazywał się on Marek Wielowiedzki. Nazwisko zdaje się być i jest rzeczywiście czémsiś zupełnie przypadkowym, i nie powinno by mieć żadnej konsekwencji; historia jednak i życie prywatne dowodzą przeciwnie. Nie mówiąc już o nazwiskach, do których przywiązany urok zasług i chwały, i które wkładają na człowieka pewne obowiązki; ale najpospolitsze i zupełnie nowe, wpływają czasem na powołanie, kierunek umysłu i tryby charakteru. Znałem jednego, który był przeznaczony na księdza, ale że się nazywał Schabowski, został traktyernikiem. Młody jeden chłopak nazwiskiem Kopytnicki, oddany do wojska, uciekł z pułku i przystał do szewca. A chociaż schwytyany był i dostał plagi, nie to nie pomogło; wykrcił się jakoś od ka-

rabina i wrócił do kopyta, do którego go nazwisko jego ciągnęło. Takich przykładów możnaby wiele naliczyć. Do jednego z nich należy i pan Marek. Już najprzód przez ten wzgląd, że mu dano imię Marek, był próżny jak Marek Tuliusz, krzykliwy jak on, i wszystko co się tylko robiło w sferze jego działania, sobie jedynie przypisywał. Każda jego rozmowa zaczynała się zawsze od *ja*, kończyła się na *ja*, a i w środku te *ja* stały od siebie gęsto w równych odległościach, jak koły w płocie, które go utrzymują. I rzeczywiście, wszystko co mówił na tém się opierało. Gdzie nie było można wtrącić *ja*, lub do niego rozmowy naciągnąć, tam p. Marek nie umiał się już tak dobrze znaleźć i nie był tak wymownym i tak pewnym tego, co mówił. Chociaż w ogólności nie można mu było zaprzeczyć nauki, gdyż i samo nazwisko jego powoływało go do uczoneści; chociaż dobrze umiał po łacinie, czytał po francuzku i cokolwiek po niemiecku, a w młodości przetłumaczył jedną georgikę Wirgiliusza, jakąś tragedią z francuzkiego, i pisywał niegdyś ody i listy wierszem trzynastozgłoskowym; ale było, że się tak wyrażę, literat zastygły, jakich mamy jeszcze rzadkie z dawniejszych czasów exemplarze. On uczył się i pracował do roku 1821. Co do téj pory w literaturze naszej zrobiono, o tém wiedział i to cenił. Ale na tym punkcie zatrzymał się i zastygł; a jakkolwiek kierunek i lot wzięła potem poezya, cokolwiek pomysłano i napisano, to już nie przystało do jego głowy i serca, to uważał za nic, nie czytał wcale, i gdy mu o nowych i celujących uczuciem i imaginacją płodach mówiono, ruszał ramionami, śmiał się ironicznie, i odwołując się do lekyi L. Osińskiego, do tłumaczeń tragików francuzkich, przechodził naturalnie do Wirgi-

liusza i jego georgik, a nadewszystko do owój tragedyi, którą sam przełożył i całą dysputę kończył na ja, w czém już trudno go było przeprzeć i przegadać. Pan Marek prędko porzucił stan nauczycielski, przeszedł do innej służby, i trafiwszy przypadkiem na zwierzchnika, który pozwalał sobie zamydlać oczy samochwalstwem, który uwierzył, że w biurze jego wszystko się robi ręką i głową p. Marka, dość wysoko się pokierował. Człowiek tak próżny i tak pełen siebie, jest naturalnie egoistą i w innych względach: bo miłość własna, która jest zasadą próżności, rozciąga to zamiłowanie siebie nietylko do jakiegoś przymiotu umysłu lub ciała, ale i do całej osoby, do całego życia i wszystkich jego stosunków. Zład więc ludzie tacy żądają wszystkiego od innych, sami nic nie dając; pragną przysług, do jakich nie są gotowi, jak pragną pochwał i admiracyi, której sami nie mają dla nikogo, tylko dla siebie.

Przypadek zdarzył, że biedna familia przysłała p. Markowi jednego ze swych członków, aby mu dał jakikolwiek kierunek na świecie i kawałek chleba zapewnił. Chociaż on takich komisów nie lubił, i nikim ze swoich krewnych nie zajmował się wcale, tą razą jednak, czyto z pobudek sumienia, czy z innych jakich tajemnych powodów, postanowił popchnąć młodzieńca, który go jakoś więcej niż inni krewni zajął. Gdy go jednak wyexaminował, gdy się pokazało, że nic nie umie, że źle czyta i pisze, że tabliczka Pitagoresa równie mu obca, jak lira tego filozofa i jego złote wyrzeczenia, chciał go zrazu oddać do blacharza lub do lakiernika; ale młody człowiek objawił stanowczo, e amż tylko chęć do stanu uczonego, i sam p. Marek zastanowił się i w sercu swoim poczuł, jakby głos własnej

krwi, który szeptał, aby jój nie poniżał rzemiosłem. Przyszło mu więc na myśl przygotować młodzieńca, aby jako tako zdał examen na nauczyciela szkoły elementarnej, a potem używszy wpływów osobistych i obcych protekcji, wyrobić mu zyskowną posadę. Lecz sam zając się nim nie chciał, bo raz, że uczyć nie lubił i dlatego stan nauczycielski porzucił, a potem żeby to było zajęcie za niskie dla człowieka, na którego barkach stało biuro całe, i który jako literat pamiętał o tém, że chodził na lekcye Ludwika Osńskiego, że przetłumaczył jedną georgikę Wirgiliusza i jedną tragedią francuzką. Myśląc więc komuby powierzyć wyrostka, żeby się nim zajął gorliwie i umiejętnie, przypomniał sobie dawnego swego kolegę, terazniejszego emeryta, którego namiętność pedagogiczną znał i pewnym był, że właśnie teraz, gdy nie ma dla niej pokarmu, wdzięcznym mu będzie za taką pracę, i zajmie się jego pupilem z całą gorliwością.

Widował czasem p. Marek naszego pedagoga w ogrodzie Krasnińskich, gdzie się wieczorem oba przechadzać lubili. Zawsze sam go zaczepiał i do rozmowy zaciągał, zwłaszcza wtenczas, gdy nie miał innej kompanii, gdy nie było przed kim wygadać o herkulesowych trudach, jakie w biurze swoim podejmował, o téj zadziwiającej sprężystości, z którą całą nawę, powierzoną stérowi swemu prowadził, o tém niedbalstwie i niedołęźności podwładnych, za których wszystko sam robić musiał. Wszakże nieraz wpadali i na inny dyskurs. P. Marek, który lubił imponować i tém chętniej i głośniej perorował, im pokorniej i z gorętszą wiarą go słuchano, chętnie wszczynał i rozmowę literacką z człowiekiem popularnym, na wszystko przystającym, z człowiekiem staréj daty, który w kwestyach literatury i krytyki żył tylko

wspomnieniami młodości. Śmiech czasem brał przechodzących, gdy w roku od narodzenia Chrystusa pana 1847, slyszei pochwały gładkiego wiersza Świątyni Weneri w Knidos, lub stanowcze decyzyc p. Marka, któremi rozstrzygał spór o klassycznosci i romantycznosci.

Fatalność jakaś, która przywiązała się do stóp naszego emeryta jakby go ścigając z tém postanowieniem: otóż nie będziesz miał pokoju, choć pracowaleś na to całe życie, choć jesteś bez zółci i bez żądła, choć nikomu nie umiesz wody zamącić, ja ci ją zamączę; sprowadziła i tego dnia p. Cypryana do ogrodu Krasińskich, i zetknęła z p. Markiem właśnie w téj chwili, gdy go ten szukał i wyglądał.

Po przywitaniu się i zażyciu tabaczki, p. Marek, który do wszystkich ludzi skromnych i potulnych przystępował hardo i z wyrazem swojej wyższości, odrazu powiedział p. Cypryanowi o nowym do domu swego przybyżu, o swoim wylaniu dla krewnych; i wyłożywszy dalsze swoje względem tego młodzieńca widoki, zaproponował p. Cypryanowi, aby się przygotowaniem go do examinu zajął. Jałym to sam najlepiej i najprędzej zrobił, dodał puszac się, bo ja do czego się wezmę, to idzie; ale ja nie mam czasu, ja robię za wszystkich. Niedawno odebrałem pochwałę na piśmie od naszego zwierzchnika za moję sprężystość. Ty masz czas, dla ciebie to będzie zabawka.

Nie potrzebował tych dowodów stary nauczyciel, i przystał na propozycyą z największą ochotą.

Pozegnali się więc, tą razą nic nie mówiąc o literaturze, i umówiwszy się, że młody człowiek nazajutrz rano do p. Cypryana przybędzie, każdy poszedł w swoje stronę. P. Marek obejrzał się jeszcze po ogrodzie, czy

nie znajdzie kogo z podwładnych, aby się przed nim pochwalić z dobrodziejstwa, które dla dawniejszego kolegi zrobił, i aby ztąd wykazała się działalność jego nietylko w biurze, ale i w ogrodzie Krasieńskich, nietylko oficjalna, ale i moralna; zaś emeryt nasz poszedł do domu, kontent że będzie uczył i tego tylko żałując, że to nie po łacinie. Ale przyjdę ja i do tego, rzekł sobie pocichu i z uśmiechem, jeżeli tylko chłopak zdatny i ochoczy.

Gdy wrócił do siebie, nic nie powiedział córce, co go spotkało i jaki zrobił układ. Chciał on jój zrobić siurpryzę niespodziewaném zjawieniem nowego ucznia; a chociaż go świeżbiał język, zacięrał tylko ręce, i na twarzy jego widoczne było ukontentowanie. Postrzegła Kasia ten niezwykły stan ojca i zapytała o przyczynę; wówczas stary pogładził ją po twarzy, uśmiechnął się i rzekł: Obaczysz jutro.

Nazajutrz koło godziny dziewiętej chodził już p. Ambrożyński niespokojny po pićrwszym pokoju, i wyglądał nowego swojego ucznia. Niecierpliwość malowała się na jego twarzy: jużby chciał go mieć przy sobie i przynajmniej przeexaminować, dla dowiedzenia się co umie i jakiej użyć metody i pedagogicznych sposobów. Ale młody człowiek nie przychodził. Dla skrócenia więc czasu czekania, zawołał córkę, kazał jój usiąść z robotą w rękę, i że jedno drugiemu nie przeszkadzało, powtarzać koniugacją *volo, nolo, malo*, w których, pomimo pozornego podobieństwa, subtelne pokazywał jój różnice.

Wśród tego mechanicznego zajęcia, Kasia cokolwiek zdziwiona i roztargniona niepokojem ojca, wyjrzała oknem, i postrzegła w otwartój bramie dziedzińca tę samą żebraczkę z Leszna, której zbyć z myśli nie mogła. Stała obdarta i przygarbiona baba na samym progu bra-

my, oparta jedną ręką na laseczce, a drugą pokazywała ich mieszkanie, kiwając tak, jakby wyraźnie mówiła, że z sieni trzeba iść na prawo. W twarzy jój był jakiś wyraz szyderstwa, i uśmiech złośliwy wykrzywiał to lice pomarszczone, poźółkłe i pomięte, w którem nie było żadnego śladu owój piękności, o której sama mówiła. Przy niej stał młody człowiek wysoki i pleczysty, w surduciku wytartym i ciasnym, w żółtych pluderkach wązkich i brudnych, które nie zakrywały zupełnie cholew jego butów, zdradzających wyraźnie wiejskie swe pochodzenie. Czerwonawą jakąś chusteczkę miał na szyi, a na głowie czapkę szarą z daszkiem, także widać zszarzaną i niedbale na tył głowy spadającą. Twarz jego była przystojna, biała i rumiana, oczki siwe i bystre, włosy niezmiernie jasne, ręce duże i czerwone; ale w całym jego ułożeniu i ruchach było coś rubasznego, co zdradzało wychowanie we wsi zagonowój szlachty, tchnęło karczemką i fuzyjką, było razem hardém i głupowatém.

Zadrżała heroina nasza na ten widok mimowolnie, nie mogąc zdać sobie sprawy dlaczego. Ta postać złowrogiej żebraczki, która ją tak mocno strwożyła, niespodziewanie zjawiona; ten młody człowiek, który widać o nich się dopytywał; ten domysł, że zapewne żebraczka zna ją i może dla jakich widoków ma ją na oku; to oczekiwanie ojca, jego wczorajszy misterny uśmiech i ta obietnica „obaczysz jutro”: wszystko to wprowadziło ją w takie roztargnienie, że nie słyszała wcale charakterystyki czasu przyszłego w trybie oznajmującym, odróżniającej go tak wyraźnie od czasu teraźniejszego w trybie łączącym, którą jój ojciec właśnie w téjże chwili wykladał. Już ją chciał stary upomnieć, że nie uważa, i trzymając w ręku tabakierkę, spuścił ją trzy razy pionowo

ku ziemi dla uderzenia niby w stół, którego wszakże pod ręką jego nie było; gdy drzwi się raptem otwarły, potem zamknęły się z trzaskiem, i ów młody człowiek, którego baba zainformowała, stanął przed niemi. Rzucił on bystro okiem naokoło, posunął prawą nogą w tył, i machnąwszy czapką, którą w mgnieniu oka w trąbkę skrzył i w obie wziął ręce, rzekł:

— Upadam do nóg. A to zapewność tu?

— Co tu? — zapytał stary.

— A jużci zapewność tu mieszka pan professor — mówił zerkając na Kasię — bo mi to baba powiedziała.

— Któż ty jesteś? młody człowieku! — zapytał znowu zdekoncertowany trochę pedagog.

— Ja? oho! — odpowiedział uśmiechając się — żebym to ja wiedział kto jestem? ale ja sam nie wiem. A nazywam się Marcin Wiedzki, co to mnie tu do pana profesora JW. referendarz przysłał, żebym się uczył. Bo ja chcę się bardzo uczyć. — *Avidus scientiae!* — rzekł sam do siebie p. Cypryan, któremu w téjże chwili przyszła na myśl składnia *Genitivu*, i przez cały ciąg téj rozmowy snuła mu się po głowie. — A co blacharzem albo lakiernikiem to nie będę wcale, żeby mi tam nie wiem co zrobili — mówił dalej młody człowiek. — Wolę drugich rozumu uczyć.

— A, więc to ty? młody człowieku!

— A ja sam, jak mnie p. professor widzisz — odpowiedział kłaniając się niezgrabnie.

— A cóż ty umiesz?

— Ja? proszę pana profesora, oho! ja umiem do celu strzelać doskonale; ja umiem obertasa dobrze...

— Ale mój kochany tu nie o to idzie — zawołał zmieszany pedagog. — Czy umiesz ty czytać, pisać, rachować?

— Rachować? ale! rachować umiém doskonale—odpowiedział uśmiechając się i poglądając na Kasię. — Jak bywało, wujaszek, pan Bartłomiej Siechurski, pan wie, ten, co to jego wszyscy bali się we wsi jak ognia, wywiózł pociemku z lasów rządowych furę łąt, to zawsze mnie kazał przerachować; i choć była noc, że oczy wykól, to ja przecież nie omyliłem się i porachowałem wszystkie. Ale takich rachunków, o jakie mnie już JW. referendarz pytał, to takich nic nie umiém.

— To źle—rzekł zazywając tabakę pan Ambrożyński, i dodał ciszej -- *rudis literarum*.

— Eh! nic to—odpowiedział chłopak machając czapką—ja taki będę miał rozum, i jak zechcę, to się wszystkiego prędko nauczę; bo ja...

Gdy to mówił, zwrócił znowu oczy na p. Katarzynę, i postrzegłszy, że jakby z trwogą na niego patrzyła, spuścił wzrok ku ziemi, zaczerwienił się i umilkł.

Kasi dziwnie się jakoś zrobiło. Wstała i wyszła; a młody człowiek prowadził za nią wzrokiem, póki drzwi nie zamknęła, i potém obracając się i widząc, że stary przechadzał się zamyślony, odwrócił się jeszcze raz ku drzwiom i rzekł pocichu; — Oj! oj! jakaż ona śliczna! niechże ją djabli wezmą.

Taki był uczeń, którego p. Marek koledze swemu, w widoku dobrodziejstwa narzucił. Jakie było jego wychowanie, jak się później rozwinął, jakiej zmianie uległa głowa i serce tego nieuka i zaściankowego gburra, jak jego zjawienie się związało się z dalszemi losami naszego emeryta i jego córki: to się w następném rozwinięciu tego opowiadania pokaże.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ku ziemi dla uderzenia niby w stół, którego wszakże pod ręką jego nie było; gdy drzwi się raptem otwały, potem zamknęły się z trzaskiem, i ów młody człowiek, którego baba zainformowała, stanął przed niemi. Rzucił on bystro okiem naokoło, posunął prawą nogą w tył, i machnąwszy czapką, którą w mgnieniu oka w trąbkę skrzył i w obie wziął ręce, rzekł:

— Upadam do nóg. A to zapewnoś tu?

— Co tu? — zapytał stary.

— A jużci zapewnoś tu mieszka pan professor — mówił zerkając na Kasię — bo mi to baba powiedziała.

— Któż ty jesteś? młody człowieku! — zapytał znowu zdekoncertowany trochę pedagog.

— Ja? oho! — odpowiedział uśmiechając się — żebym to ja wiedział kto jestem? ale ja sam nie wiem. A nazywam się Marcin Wiedzki, co to mnie tu do pana profesora JW. referendarz przysłał, żebym się uczył. Bo ja chcę się bardzo uczyć. — *Avidus scientiae!* — rzekł sam do siebie p. Cypryan, któremu w téjże chwili przyszła na myśl składnia *Genitivu*, i przez cały ciąg téj rozmowy snuła mu się po głowie. — A co blacharzem albo lakiernikiem to nie będę wcale, żeby mi tam nie wiem co zrobili — mówił dalej młody człowiek. — Wolę drugich rozumu uczyć.

— A, więc to ty? młody człowieku!

— A ja sam, jak mnie p. professor widzisz — odpowiedział kłaniając się niezgrabnie.

— A cóż ty umiesz?

— Ja? proszę pana profesora, oho! ja umiem do celu strzelać doskonale; ja umiem obertasa dobrze...

— Ale mój kochany tu nie o to idzie — zawołał zmieszany pedagog. — Czy umiesz ty czytać, pisać, rachować?

— Rachować? ale! rachować umiem doskonale—odpowiedział uśmiechając się i poglądając na Kasię. — Jak bywało, wujaszek, pan Bartłomiej Siechurski, pan wie, ten, co to jego wszyscy bali się we wsi jak ognia, wywiózł pociemku z lasów rządowych furę łąt, to zawsze mnie kazał przerachować; i choć była noc, że oczy wykól, to ja przecież nie omyliłem się i porachowałem wszystkie. Ale takich rachunków, o jakie mnie już JW. referendarz pytał, to takich nic nie umiem.

— To źle—rzekł zażywając tabakę pan Ambrożyski, i dodał ciszej — *rudis literarum*.

— Eh! nie to—odpowiedział chłopak machając czapką—ja taki będę miał rozum, i jak zechcę, to się wszystkiego prędko nauczę; bo ja...

Gdy to mówił, zwrócił znowu oczy na p. Katarzynę, i postrzegłszy, że jakby z trwogą na niego patrzyła, spuścił wzrok ku ziemi, zaczerwienił się i umilkł.

Kasi dziwnie się jakoś zrobiło. Wstała i wyszła; a młody człowiek prowadził za nią wzrokiem, póki drzwi nie zamknęła, i potem obracając się i widząc, że stary przechadzał się zamyślony, odwrócił się jeszcze raz ku drzwiom i rzekł pocichu; — Oj! oj! jakaż ona śliczna! niechże ją djabli wezmą.

Taki był uczeń, którego p. Marek koledze swemu, w widoku dobrodziejstwa narzucił. Jakie było jego wychowanie, jak się później rozwinął, jakiej zmianie uległa głowa i serce tego nieuka i zaściankowego gburra, jak jego zjawienie się związało się z dalszemi losami naszego emeryta i jego córki: to się w następném rozwinięciu tego opowiadania pokaże.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZNACZENIE I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michała Głuszczyńskiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Step.— Stepowa wojna.— Reduty i figury.

Nowo-rossyjskie stepy nie miały jeszcze historyka, chociaż w każdym względzie godne są pióra tak mistrzowskiego i szlchetnego, jak pióro Coopera, poety - malarza i kronikarza stepów amerykańskich.

Widok stepów nowo-rossyjskich robi dziwne wrażenie na człowieku, co je pierwszy raz ogląda, a wrażenie to nigdy się już nie zaciéra. Postać ich urocza, szczególnie pod wieczór lub w znojnny dzień letni, swoją wielkością i niezmiernością, jakąś tajemniczą ciszą, równie głęboko działa na wyobraźnię wędrowca, jak widok bezbrzeżnego i niezmiernego oceanu na majtku, co to jeszcze nie przywykł do wiatrów i burz. I teraz jeszcze

przybliżając się od Dniestru lub Kodymy ku nowo-rosyjskiemu krajowi, stepy te nie bacząc na tysiące ich mieszkańców, na wielość sioł i bliskość Odessy, teraz jeszcze wydają się głuchą pustynią. Mieszkaniec północnej lub południowej Rosyi, wstępując na nie, spogląda w te niezmierzone równiny z jakąś zadumą; myśląc, że się nazawsze rozstaje z zamieszkałym światem. Ale czémże były owe stepy na dwa wieki przed nami? a nawet w połowie przeszłego wieku, kiedy były w posiadaniu Zaporozców i nazywały się poetycznym mianem: „Dzikim polem” u Polaków, a „pustynią” u obcych (les déserts Zaporosiens, solitudo)? Ciekawaby była i zajmująca historia, albo przynajmniej opisanie stepów i stepowego bytu Zaporozia, w owój odległej epoce, kiedy krom uzbrojonych zaporozkich komend, krom ukrytj w trzcinie rusznicy hajdamaków, niezliczonych stad i tabunów, gdzieś bielejącej się chaty zimownika, nie więcej nie napotykał śmiały podróżnik. Dróg nie było, prócz odwiecznych szlaków, po których ciągnęły karawany po sól do Krymu, po ryby na Don i na Zaporozie albo ze zbożem i towarami do Oczakowa. Tę drogę, nazywano u nas Czarnym szlakiem, a to z przyczyny niebezpieczeństw, jakie spotykały na nim podróżnych i handlarzy, a podobno więcej dlatego, że tym szlakiem najczęściej Tatarzy spadali na Polskę. W języku ludu ukraińskiego, szlak ten nazywał się Szpakowym, od nazwiska przywódcy hajdamaków Szpaka (1), co to umiał doskonale prowadzić czumackie karawany po prześlicznych

(1) Szpakowy szlak albo Czarny, można widzieć na mappie Rizzi-Zannoni; nazywa się on po turecku Kerman-Joli „karawana droga”, a po polsku napisano „droga niedojrzana”, a dalej ku północno-zachodowi „zły krok”.

dolinach i w bliskości wody, nie czepiając wsi, i nie wystawiając na niebezpieczeństwo czumaków w dzikiej pustyni.

Droga ta przechodziła prawie po tej samej linii, co i dzisiejszy handlowy trakt z zachodnich gubernij do Odessy; zaczyna się ona na Wołyniu, dochodzi do Humania, a ztąd skrytymi ścieżkami, głębokimi bezdrożami, po brzegu stepowych rzeczek, dochodziła naprzód do Bałty, potem do Olwiopola, a nakoniec do przeprawy Nikityna na Dnieprze. Druga handlowa droga po stepach, nazywała się „Murawskim szlakiem”, od wyrazu murawy, trawy. Ciągnęła się ona, tak jak i pierwsza, z głębi Małorossyi przez wschodnie stepy Zaporozża; przebywszy wierzchołki Worskły, aż do źródeł rzeczki Berestowaty, wpadającej w Samarę. szła na południe przez wszystkie prawie zaporozkie pałanki do granicy, czyli do Końskich-Wód, i tu przechodziła do ziemi krymskiej. Jakbyto ciekawy był sumienny dziennik takiej podróży po stepach, pełnej niezliczonych niebezpieczeństw, przykrości i niewygód! Zaporozkie stepy nie były wcale podobne do stepów nogajskich lub uralskich.

Na Zaporozżu czumak albo polski kupiec, znajdował obronę od hajdamaków, schronienie w białej chacie zimownika, zwykle stojącej na brzegu głębokiej rzeczki, w rozpadlinach gór, albo przy wykopanej studni, wyłożonej kamieniem, z przywieszionem wiadrem i żłobem, dla napojenia i nakarmienia ludzi i zwierząt. Gospodarz zimowiska zaporozki Kozak, zwykle był i szynkarzem (traktyernikiem); a zatem bezpieczeństwo czumackich junaków, było dla niego nie tylko obowiązkiem, ale i źródłem dochodu i zysku. Znał on dobrze, że sława dobrego zimownika szybko się rozszerza nie tylko na

Ukrainie, ale i poza granicą. Dlatego też, wyjąwszy rzadkie rozbójnicze napady hajdamaków, pilnujących bydła, karawany mogły być spokojne na Zaporozu, jak w domu. W razie krzywdy każdy wiedział, że albo pan pułkownik pograniczny, albo patrolujące komendy, albo nawet wojskowa starszyzna strasznie ukarze kijami wi chrzyciela lub grabieżcę. Ale przeszedłszy za Dniepr przy Nikityna przewozie, czumak moczył swoje odzież i koszulę w dziegciu, dla zabezpieczenia się od dżumy i robactwa; nabijał rusznicę, dobywał z wozu pikę, i na piersi zawieszał haman (ładownicę), w której chował drukowany bilet z urzędową pieczęcią i podpisem pogranicznego rosyjskiego urzędnika, z tłumaczeniem tureckim tego żelaznego listu. Na nogajskich stepach nie było już ani siół, ani zimowników: dobrze jeszcze było, jeżeli trawa się zrodziła, a woda w polnych rzecz-kach nie powysychała; inaczéj nigdzie nie było można dostać ani pokarmu, ani wody. Od zaporozkiej grani- cy aż do Perekopskiej Baszty, nie widzieli już nic, krom tabunów albo stad tatarskich, cały rok błakających się z czabanami (pilnującemi trzód, pastuchami), równie dzikiemi jak ich konie, wiecznie z berdyszem lub no- zem za pasem.

I to za szczęście uważało się, jeżeli w jakim aule (wiosce), aga lub murza jaki mieszkał: bo wtedy ruski jarlik (paszport) bronił czumaków od ucisku i grabieży. Ale na gołym stepie, daleko od aul, Nogajcy nie bali się nikogo, i niczém dla nich było, zabrawszy im wprzód bydło i zboże, zarznąć dwóch lub trzech kupczących śmiałków. A ileż oszukaństw przy słonych jeziorach, ile krzywd w Baszcie od wszelkiego rodzaju dyzdarzy, imanów i kajmakanów (urzędnicy tatarscy)!

Ale ktośto odważał się na takie podróże? ktoś mógł albo chciał opisywać sumiennie i zimną krwią, takie wcale nieturystowskie wojaże? Jakież podróznik nie kusi się upiększyć wymysłami opowiadania swojego, przerażony niebezpieczeństwem, albo podżegany miłością własną? A wieleżto było takich, co widzieli sicz, albo step zaporozki? Zaporozcy sami pieśni tylko składali, a czumaki wiedzieli tylko, gdzie zimowniki, gdzie dobra trawa, woda, gdzie łoboda, kiedy trawy brakowało, gdzie mogiła, od której trzeba zwrócić na prawo lub na lewo, albo na jakiej rzece bród pewniejszy dla jego wołów. Polacy często przyjeżdżali do syczy z listami od gubernatorów, albo dla handlu; ale nie umieli rozmyślać o tém co jest, ani pamiętali o przekazaniu czasów swoich i faktów w piśmie dla potomności.

Z rosyjskich uczonych i urzędników, o ile mi wiadomo, tylko astronom Euler, asauł generalny artyleryi małorossyjskiej Kologrywy (1768 r.), i generał porucznik Bibików (1760 r.) co to jeździł dla rozgraniczenia Polski od Zaporozja, byli w syczy i całe Zaporozie wszérz przejechali. Ich uwagi i postrzeżenia byłyby nieocenionym materiałem dla historii kozackiego bractwa. Ale czy który z nich pisał je? Albo jeżeli pisał, to gdzie są te pamiętniki? kto odziedziczył papiery tych gości Zaporozja? Jeden tylko historyk Müller pisał dobrze i prawdziwie o Kozakach; szukał on ich historii w archiwach. Sami Zaporozcy chwalili jego dzieło, z którego wyjątki, to jest tłumaczenie, posyłali posłowie kozaccy w Petersburgu, jako nieocenioną rzecz do kosza. Ale historia Müllera leży jeszcze w archiwach, i na wstyd i żal nie doczekała się druku. Zaczny i prawy zkądinąd autor Historji Małorossyi D. J. Bantysz Kamiński, który miał

sposobność widzieć utwór Müllera, i odzywający się wszędzie z szacunkiem i bezstronnością o Ukrainie, o pierwowzorach kozactwa, to jest o Zaporozcach; mimo to jednak, poumieszczał w swoim dziele wiele obelg na Kozaków, jakie na nich nieprzyjaciele ich w XVIII wieku powymyślali.

Trzeba więc znowu zwrócić się do kozackich siczowych archiwów, i szukać w nich śladów o stanie stepów zaporozkich w dawnych czasach.

Najlepszym dokumentem na to jest opisanie granic jednej części Zaporozia w r. 1764, zrobione przez wojskowego starszyne Andrzeja Porohnę, z wybranymi do tego starcami, a to podług ustnych podań i uroczysk, samym Zaporozcom wiadomych. Tutaj napotkamy obraz stepowego życia na każdym wierszu tego pomnika: „Od ujścia rzeczki Oreli (sąto słowa tego aktu), *Łysój górki*, aż do *mogiły komisarza Szujałkowskiego*, że na niej ów komisarz, w czasie kiedy Zaporozcy Lachów z Samary wygnali, był zabity (1635); od *Riastkich mogiłek*, aż do *mogiły Gromowój*, a teraz nazywającej się *Majdaniec*, która dla téj przyczyny gromową się nazywa, że Kozaka na niej grom zabił z koniem. Od téj zaś *mogiły*, aż do *mogiłek Trzech braci* nazwanych, która dlatego nazywa się „trzej bracia”, że przy niej dawnymi czasy trzej bracia od napaści tatarskiej się odbijali, z których jednego zabito, a dwóch żywcem wzięto. Od *Chraszczowatěj mogiły* do *Dunajskiego bajraku* (małego lasku), w uroczysku *Brzoza*, w którémto uroczysku w bajraku, siedział zimownikiem Kozak lewaskowskiego kurenia, Sidor Dunaj, dawnymi czasy tam napadłszy na niego horda porąbała go, i dlatego nazywa się *Dunajski-Bajrak*”.

„Między Bykiem i Dobrowkami mogiła usypana. Od tych zaś uroczysk, na wiérzchołku rozpadliny Gryszyńowej, mogiła usypana, i tam Kozak kurenia dońskiego Grysza, dawnemi czasy przez Tatarów zastrzelony, i dlatego ta szczelina nazywa się Gryszyńową i t. d.” W tym dokumencie, obraz całego bytu Zaporozia odbity jak w zwierciadle.

Dla odznaczenia granic brano nie sioła ani drogi, ale żywe uroczyska, kurhany, rozpadliny i rzeki. Nazwiska tych uroczysk, są razem ich kronikami: jestto i wojna z Tatarami, i ich napady, bójka z Polakami, życie w zimownikach i pograniczna służba.

Po tychto pustych i niezmiernych a żyznych pustyniach, siedzieli wojacy zaporozkiego towarzystwa od początku XVI do końca XVIII wieku, a nawet i pierwej, jak mówili Zaporozcy.

Miłość i upodobanie Kozaka w stepie nie do opisania. Ileżto bitew, najazdów, zwycięstw i klęsk przeszło ponad temi milczącemi równinami, a historia nic nie wie o nich! Ileżto bohaterów pustyni legło tam w mogiły, nieznanym i obcym bratnim swoim sąsiadom! Ileżto świetnych czynów, miłości kraju, męstwa, wierności swojej chorągwi i religii tam się dokonało, a nikt o nich nie mówi, nie było komu zapisać je i podać potomności!

Nie wspomnę tu nic o nader ważnym, ale więcéj znajomém opowiadaniu Boplana w jego opisanii Ukrainy, znajomém mu bardzo blisko, gdyż tak żywo i najsprawiedliwiej nakreślił byt kozactwa, jego zapasy z Tatarami, jego bójki z Polakami; ale nie mogę nie przytoczyć wyjątków z innych źródeł, mniej znanych, a równie pewnych.

W jednej niewydanej jeszcze kronice, a znaniej Bantyszowi Kamińskiemu (1), taka jest wzmianka o stepowych wojnach zaporozkich Kozaków. „W r. 1690 wielu dobrawszy sobie za ochotników zaporozkich Kozaków albo miastowych, i uczyniwszy się watażkami (rodzaj stepowych śmiałków, żyjących napadami na karawany tatarskie), bez pozwolenia, z własnej ochoty, kwoli obrony chrześcian od napadów bisurmańskich, i kwoli obrony granic na dzikich stepach po obu stronach Dniepru, powracających Tatarów z ludźmi w Polsce i Rosyi do niewoli zabranemi, rozbijali, odbierając im konie i broń dla siebie, a chrześciańskich niewolników uwalnając i ojczyźnie ich powracając”.

„Hulając zaś po tych pusto-szérokich stepach, gdzie nie było ani jednej ścieszki, ani śladu jak na morzu, jednak owe śmiałki dobrze znając przechody, jakby na znajomych i bitych drogach, z wielkiem niebezpieczeństwem aby gdzie nie napaść na tatarską zasadzkę, jeździli, nie mając przez cały miesiąc lub dwa miesiące ognia, a tylko raz na dzień twarde pożywienie, trochę sucharów tłuczonych zjadłszy, nie pozwalali zarzćc nawet koniom; jakby dzikie zwierzęta w krzakach ciernistych i kamyszach kryjąc się, z wielką obejrzałością dróg swoich w różnym kierunku harcując po stepie, znajdowali

(1) Exemplarz téj kroniki w Odessie należy do urzędnika Filipowicza, i ma następujący tytuł: „Krótkie opisanie Matorossyi, jak ona po czasie panowania Wielkiego ks. Włodzimierza była pod polskim rządem, i jak nieprędko potem, po wygnaniu z niej Lachów przez hetmana Bogdana Zenobiusza Chmielnickiego przywiedziona pod panującą rękę błogostawionój i godnej wiecznej pamięci Wielkiego monarchy cara i Wielkiego ks. Alexieja Michajłowicza samodzierzcy wszech Rossyj, jacy potem byli hetmani i czyny ukraińskie, poczęte w roku od narod. Chr. 1340”.

się na umówioném miejscu. Poznawali na tych dzikich stepach drogę swoją w dzień po słońcu, po najmniejszych wypukłościach ziemi, po mogiłach, a nocą po gwiazdach, wiatrach i rzeczkach; i tak Tatarów wypatrzywszy, niespodzianie napadali i małą liczbą wielkie ich kupy rozbijali, i niewolników do Polski lub Rosyi, jak trzeba było odprowadzali, odbierając za to względy monarsze”.

Ale stojąc piersią na straży od muzułmańskiej przodowej straży, mieli Zaporozcy sprawę z równemi sobie synami stepu, Krymcami i Nogajcami, potomkami strasznych napaśników całej Europy. Dlatego hytrość i przebiegłość z obu stron były równe, w otwartém polu równa waleczność, równa bystrość w napadzie, a w razie potrzeby równa szybkość i sztuka w ucieczce od wrogów. Dwie jednak ważne przewyżki mieli Kozacy nad Tatarami: 1) lepszą broń, bo umieli równie dobrze używać broni palnej jak władać orężem i piką; 2) przywyknienie do karności i ładu wojennego, którego wyuczili się od Polaków swoich dawnych hetmanów, a który najpilniej był w wojsku przestrzegany. Dlatego téż bardzo podobnym do prawdy jest opisanie przez Korzę najazdów tatarskich na Zaporozie, i owych ostrożności, jakich nie zaniedbywali nigdy Kozacy przeciw odwiecznym wrogom swoim. „Dzi- cy Nogajcy, mówi on, podobni byli wtedy do drapieżnych ptaków wysoko w górę podlatujących, dlatego, żeby prędzej dojrzyć zdobycz i uchwycić ją. Tak i oni, aby napełnić swoje krwi chciwe ręce grabieżą i mordem, zawsze według obyczaju swego wjeżdżali na wysokie mogiły czyli kurhany, po sześciu lub dziesięciu ludzi razem, i przeglądali, gdzie pasą się stada i gdzie ludzie na robocie; wtedy napadali na nich, zabierali do niewoli i po-

rywali bydło. Te napady były bardzo częste, a gromada grabieżców rzadko była liczniejsza jak 20 ludzi na doborowych i wyprobowanych koniach; dlatego zapewne wkradali się w tak małych bandach, aby łatwiej im było uciekać, gdyby się napad nie udał. Tym samym sposobem i zaporozcy beketowi, to jest patrolujący Kozacy, dla ostrożności wjeżdżali na kurhany i ztamąd przeglądali okolice, czy gdzie nie pokażą się tatarskie hordy. Ale do wszystkich redut wydawano rozkazy, aby z liczby patrolujących beketowych Kozaków, zawsze jeden tylko wjeżdżał na kurhan, a nigdy dwóch, trzech lub więcej; aby naród zaporozki znajdujący się na stepie, mógł odróżniać nieprzyjaciół od swoich Kozaków”.

„Było to ogłoszonem po całym Zaporoziu, po wszystkich pałankach, slobodach i zimownikach, a przez to łatwo można było uprzedzić najazdy, bo Zaporozcy ujrawszy nieprzyjaciela, zawsze zachowywali tę ostrożność, że się w kupy zbierali, na dany znak robili tabory z wozów, i połączonemi siłami razili nieprzyjaciela wystrzałami, a często i w niewolę zabierali, bo każdy osadnik jadąc na step, miał na wozie w zapasie rusznicę. Nogajcy zaś strzelali tylko z łuków, i broni palnej nie mieli, a kiedy wypotrzebują wszystkie strzały, wtedy zwykle są już nasi”.

Trudniej było Zaporozcom bić się z podjazdami polskiej szlachty, która po odpadnięciu od Polski Kozaków, nudząc się pokojem, corocznie zapędzała się na Zaporozie pod pozorem ścigania hajdamaków i swoich dezertarów; ale o tém, jak równie o podróży polskich konfederatów po zaporozkich stepach w XVIII wieku, powiemy niżej.

Same nawet uroczyska, wzmiankowane w jarlikach hańskich, w pismach nogajskich i oczakowskich seraskirów, i w papierach polskich kancelaryj: sąto piękne i wymowne wspominki o zaporozkich stepach, i o ciągłych na téj bezludni walkach. Itak: blisko Oczakowa jedno uroczysko na odnodze Bohskiej, nazywało się Urus - Giazdydy, tojest *Ruski bród*, dlatego, że tamtédy Kozacy i ruskie wojska chodziły wojną do Oczakowa. Niedaleko od dzisiejszegoOlwiapola była mielezna na Bohu, która się nazywała *Ruską - kosą*.

Ujście rzeki Siniuchy, czyli Sinéj-Wody, było miejscem zkąd się zaczynał Czarny szlak albo granica tatarska, tak nazwany dlatego, że nim czarne nieszczęście przychodziło: mordy, grabież, pożogi i czarna śmierć dzuma; a na Wizie, Taśminie, Tykiczu i innych rzecz-kach znajdziecie niejedno uroczysko, które naród nazywa Tatarską drogą „gdzie Tatarzy nogajscy przeprowadzają się”. I u nas w XVII i XVIII wieku bardzo długo był wyraz czumbuł w użyciu, i w całej zachodniej Ukrainie; a cóż on znaczył? oto napad nagły i niespodziany, rozbój, mordy i pożar, czyli słowem: działanie po czambułsku, tojest jak horda dzambuńska. Patrzcie, pod wieczór na stepie, szybkim kłusem, mknie się jaki oddział Zaporozców, z pikami w rękach, z uchem i okiem wszędzie i ciągle przytomném; na przodzie doświadczony śmiałek z dwoma jeźdzcami, na wszystkie strony posyłając oko i ucho, szybuje w prawo i lewo, po polach, kurhanach i wierzchołkach rozpędlin. Na przodzie oddziału chorąży z jasną chorągwią, za nim pułkownik z piernaczem w ręku; oddział zmęczony, konie całe w potcie i kurzu, biegną jednak szybko a cicho po stepie.

Byłto podjazd; bo luna od palącej się figury dała znać, że wrogi zaleciały na zaporozkie stepy.

Zranajeszcze dostrzegli Zaporozcy taśmę (ślad) nogajską, i to dosyć liczną; trawa na wielu miejscach zdeptana, a starsi doświadczeni Kozacy wnet zrozumieli, że z poza Dniepru Edyczkały, albo z poza Bohu Edysańcy przebrali się na step, i porwali pewno jaki tabun koni.

Spojrzenie na bok, ot leżą napół ogryzione kości zabitego konia: to Nogajcy tam obiadowali; tam dalej na drugiej taśmie krew. Asuł, starzec kurenia zchodzi z konia, przypatruje się uważnie i poznaje, że to krew ludzka; idzie po téj taśmie, i znajduje w jarze trupy dwóch zarzniętych pastuchów zaporozkich, co pilnowali stad sąsiednich zimowników. Podjazd zatrzymuje się, zaczynają się wypytywania: czy zna kto z Kozaków zabitych ludzi?—Zna. Czy dawno widzieli ich żywemi?—Trzy dni temu rano na czertulskim stepie, kiedyśmy jeździli z sianem do zimownika.

—Tak więc, mówi pułkownik, i ludzie zabici i konie porwane nie wcześniej jak wczoraj, lub pozawczoraj. Nasze konie choć zmęczone, dobiegną jeszcze na rano do rzeczki. No bratczyki, pojedziemy.—Zuchy wskazują z ochotą na konie, które jakby ożyły i nowych sił nabrały, poleciały wichrem, i jeszcze zorza nie zaświtała, kiedy już stały nad rzeczką; ale nieszczęściem, i tak zapóźno już było. Tatarzy byli już na drugiej stronie, resztę już koni związanych ogonami, ostatni Nogaj przepędzał przez wodę; ale na szczęście bystre oko Kozaka poznało plemię grabieżców, i pułkownik ma nadzieję, że przez kosz odzyska stratę.

Takie i tym podobne sceny odnawiały się bezprze-
stannie, a w obrazie króciutkim który dopiero co nakrę-

śliłem, może niechcący powtórzyłem tylko jaki raport pułkownika, albo wyrazy opowiadającego czabana, co uciekł od niewoli i śmierci. Wspomniałem tylko w owym obrazku trzy wyrazy: beket, reduta i figura, techniczne stepowe wyrazy, które objaśnić trzeba.

Nie wdając się wcale w etymologiczne wywody, bo oczywiście pierwszy jest tatarski, dwa ostatnie z Polski tam zaszły; przytoczę dosłownie jak Korz, naoczny świadek je objaśnia: „Raduty i figury, sąto własne jego wyrazy, były stawiane po lewój stronie Dniepru, od północno-wschodniej strony hetmańszczyzny, zaczynając od rzeczki Oreli, aż do Końskich-Wód, granicy tatarskiej. Tuż ponad samym Dnieprem, około wody, budowano rodzaj zajezdnych domów, karczem, które się nazywały radutami (reduta, szauciec), tak, że jedna od drugiej była o 10, 20 lub 30 wiorst, stosownie do położenia miejsc więcej odsłoniętych, lub więcej zakrytych; mimo to zawsze tak, żeby jedna drugą mogła widzieć. Każda reduta była budynkiem obszernym, szerokim, podobnym do koszar, lub do siczowych kureni, bez żadnych wewnątrz przedziałów, z sienią i komórką co służyła na skład. Pokryte były jak zwykle trzciną, a gdzieniegdzie mchem; miały około siebie obszerny dziedziniec opasany zwykle parkanem, i wewnątrz stajnie dla przybyłych koni. W każdej reducie było po 50 ludzi, którzy się zmieniali corocznie. Kozacy ci stali po redutach na to, aby odbywali bekety, to jest patrole, podjazdy i inne stepowe służby, w razie napadów nieprzyjacielskich. Około każdej takiej reduty były figury stawiane cudnym sposobem, na odległości pół lub ćwierci wiorsty od reduty, a to dla ostrożności od ognia. Każdą figurę stawiali z 20 beczek smołowych,

tym sposobem: z samego początku robili osnowę czyli fundament figury z sześciu beczek, które przewróciwszy na sztorc, stawiali na ziemi cyrkularno, ściśle jedną przy drugiej, nakształt kuczek hetmańskich (1), które obsadzają drzewami na szlakach, ale zawsze tak, że miejsca między beczkami zostają próżne; beczki te ustawiane tak wkółko, wiązali mocno zesmołowanemi linami. Trzeba dodać, że beczki wszystkie miały tylko spodnie dno. Na wierzchu tych sześciu beczek stawiali znowu równie wkółko pięć beczek, powiązanych podobnie jak pierwsze sześć. Trzecie piętro beczek składało się tylko z trzech, czwarte z dwóch, a na samym wierzchu zamiast dachu, stawiali jedną beczkę, nie mającą ani wierzchu, ani spodniego dna, i ta kończyła figurę. W tej figurze na samym wierzchołku w bezdenną beczkę, zrobiona była zapewne żelazna przegroda z blokiem, na którym zawieszony był sznur tak długi, że oba jego końce leżały na ziemi. Jeden koniec wisił zewnątrz zrzucony wzdłuż figury swobodnie, a drugi spadał wewnątrz figury, i do tego ostatniego przyczepiony był żelazny drut, z wielkim pękiem pakuł, namoczonych w saletrze”.

„Trzeba jeszcze wspomnieć, że w każdej reducie nad hetmańskimi i zaporozkimi Kozakami, był postawiony jaki najstarszy asauł, który dowodził lub rozporządzał, żeby u figury byli zawsze strażnicy, trzech lub czterech ludzi, a z reszty Kozaków robiono bekety lub oddziały do podjazdów. Kozacy byli zaopatrzeni w najlepszą amunicją, bo każdy miał muszkiet, szablę, cztery pistolety

(1) *Kuczami hetmańskimi* nazywały się ogrodzenia około drzew, zasadzonych po obu stronach dróg pocztowych w Małorossyi.

i pikę. Oddziały składały się z pięciu do 10 i więcej Kozaków, i jeździły na doborowych wierzchowych koniach od reduty do reduty, każdy po swojej stacy (stаницy), równie i na stepach, gdzie żniwa i sianokosy bywały; niektóre oddziały zapędzały się do samej granicy, i wypatrywały nieprzyjaciela, z której strony przybędzie. Bywało, że jak tylko nasze oddziały lub bekety zobaczą gdzieniebądź horde przybliżającą się do granic Zaporozia lub hetmańskich, natychmiast Kozacy pędzą do najbliższych redut i biją na trwogę, że nieprzyjaciel blisko. Wtedy asaul pędzi z Kozakami do figury, i zapalają ją za pomocą sznura, piérwój już opisanego. Kiedy figura rozgoreje, to tém samém ostrzega i inne reduty. A tak w bardzo krótkim czasie, bo prawie w jeden dzień, wszystkie figury przy redutach zapalają się, i wszyscy mieszkańcy okolicznych miejsc w stepach, lasach i przy splawach zajmujący się robotami, mogli schronić się ze swojemi stadami i chudołą do słobód i ocalić życie. Po tych znakach trwogi, wszystkie pułki z pałanek zaporozkich zbierały się w jedno miejsce, bili się z nieprzyjacielem, zwyciężali i wypędzali precz poza swoje granice”.

Owoż jak prosto i razem jak malowniczo opowiada Korż o stepowém życiu swych braci Zaporozców, on, także Zaporozec i naoczny świadek.

Z naszej strony uczynimy jeszcze niektóre uwagi. Komuż nie wiadomo, ile to tam znajduje się kurhanów, które naród ukraiński nazywa mogiłami, a czasem majdanami. Stepy Wołynia, Ukrainy i Podola, a szczególniej noworossyjskie i bessarabskie na całej przestrzeni od Kremeńczuka do brzegów Dunaju, do Czarnego i Azowskiego morza, pokryte są także kurha-

nam. Dawno już szukają znaczenia tego wyrazu kurhan, tego mitu noworossyjskiego kraju i jego historii.

„Jeden Kozak, pisze p. Skalkowski, powiadał mi, że kurhan jest wyraz ruski, w narzeczu ludu zepsuty, *krugan* (krug, koło). Być może, że to od swojej krągłej (okrągłej) formy. Nazywa się zaś mogiłą wtedy, kiedy jest cały, a majdanem, kiedy rozkopany jest we środku; zapewne dla straży, albo schronienia hajdamaków. W podolskiej gubernii widziałem dwa czy trzy takich majdanów, a lud nazywał je kutołowami”.

Ale czas zacięra pomału dawne pamiątki; jest to smutna, ale konieczna jego powinność. To i teraz, kiedy ludność urosła tam w owych krainach, a rolnictwo kwitnie; kiedy nowe miasta i wsie podnoszą się ciągle: to powtarzam i liczba kurhanów znacznie się zmniejszyła, a i te co pozostały, straciły wyraz swój, i mało kto teraz rozumie ich mowę. Ale przedstawmy sobie step, kiedy Korz był jeszcze młody, a było to około r. 1730—1750, albo wcześniej jeszcze w XVII lub XVIII wieku; wtedy cała jego dzika piękność z porozstawianemi gdziegdzie redutami, figurami, patrolami, podjazdami i krwawą bójką, stanie nam żywo przed oczy.

Kto wie, czy i inne ludy co żyły na téj ziemi przed Zaporozcami i Tatarami, a których imiona ledwie do nas doszły, nie sypały owych kurhanów na tenże sam cel, aby wśród nich stawiać i bronić swoich koczowisk.

Jeszcze niedawno na wysokich mogiłach znajdowano dziwne i grubo wyciosane bałwany, które lud przezwał *babami*. Może to były nimfy stepowe, nieznane jeszcze znawcom starożytnéj mitologii; może to bóstwa opiekuńcze granic, koczujących legowisk, a może téż to ofiary (*vota*), symbola czci i uwielbienia, dźwignione przez owe

narody duchom obrońcom ich życia i stad. Cokolwiek bądź, wdzięczni być winniśmy stuletniemu starcowi, co zachował w swęj pamięci i opowiedział nam to oryginalne opisanie obrony granic Zaporozża. I w samęj rzeczy, jako malowniczy obraz tych redutów wiecznie stojących na straży, w kraju pustym, niezakrytym i nieobronnym z natury; tych figur z nagła płomieniem gorejących na znak niebezpieczeństwa, i zanoszących wieśniakom nowinę straszną, że nieprzyjaciel tuż, i że trzeba szukać schronienia w pałankach albo w znajomych im tylko kryjówkach. Na ten znak ognisty Kozak wskakiwał na konia, brał pikę lub rusznicę w rękę, i leciał harcować za Tatarami, równie dzielnymi synami stepu.

Żał, bardzo żał, że takich powieści ustnych, takich podań historycznych tak mało, a i te co są, niedawnych sięgają czasów! Cobyto za prześliczna, silna i poetyczna zarazem była historia z takich podań złożona!

Na zakończenie tego krótkiego rysu stepowego życia, owęj kozackiej drużyny powiem słów kilka o beketach (pikietach), stanowiskach zajmowanych przez Kozaków dla obrony granic i wnętrza Zaporozża.

O takich stanowiskach czyli pikietach, jest wiele urzędowych akt, między innemi przytoczę jeden. Jestto rozkład tych stanowisk, zrobiony na rozkaz hr. Panina, dla uważania obrotów nieprzyjacielskich podczas zimy, 28 listopada 1767 r.

1) „Przy rzece Kamionce. Od tego stanowiska komendy zjeżdżać się będą na prawo w Saksaganie przy wielkich cierniach, a na lewo po Dniestrze do uroczy ska Skołozubowego”.

2) „W dół po rzece Dnieprze, niedaleko od rzeczki Kamionki, która płynie na samęj granicy.

3) Naprzeciw zaporozkiej siczy, od tatarskiego stepu o wiorstę, przy uroczysku *Ciennem*.

4) Nad rzeką Dnieprem w uroczysku *Łysój Górki*.

5) W uroczysku *Horodyszczce* nad Dnieprem.

6) W uroczysku *Gołej przystani* nad Dnieprem.

7) W uroczysku *Tarasowskiém* nad Dnieprem.

8) W uroczysku *Bielinki* nad Dnieprem.

9) Na wyspie Chortym na Dnieprze.

10) Na wyspie Dębowej na Dnieprze.

11) W kadackiej pałance.

12) Z téj strony Dniepru, w Samarze, o sześć wiorst od staro-samarskiego retranszamentu.

13) Z téj strony Samary w uroczysku *Sadkach*.

14) Przy uroczysku *Wolnem* i *Zajmach*, na téj stronie Samary, na bekiecie przy rzece niższej Tersie.

15) Przy uroczysku *Łuczynie* z téj strony rzeki Samary.

16) Tamże przy uroczysku *Zukowskiém*.

17) Przy Samarze w uroczysku *Bogdanowem*.

18) Między Samarą i Orelą, do samej linii ukraińskiej.

19) Przy protowczańskiej pałance.

20) Przy samarskiej pałance.

A razem na 20 stanowiskach było:

Wojskowy starszyzna. 1.

Pułkowników. 20.

Pułkowej starszyzny 43.

Kozaków parokonnych. . . . 2844.

„ pieszych. 800.

Razem 3708.

Co wynosi z starszyzną i prostemi Kozakami czwartą część całego uzbrojonego towarzystwa.

Zwrócić tylko uwagę na nazwiska tych stanowisk: wyjąwszy trzy pałanki, co przywodzą na myśl ludzkie

mieszkania, wszystkie inne sąto tylko rzeczki i uroczyska, które jasno powiadają, że wszędzie gdzieindziej był pusty bez końca step, rozgraniczony jedynie rzekami lub innymi żywymi uroczyskami.

Rizzi Zannoni geograf króla sycylijskiego, członek akademii królewskiej nauk w Getyndze i Altonie, wydał r. 1772 mapę Polski, pod tytułem: *Carte de la Pologne divisée par provinces et palatinats et subdivisée par districts, construite d'après quantité d'Arpentages d'observations et des mesures prises sur les lieux.*

Mapę tę składającą się z 24 oddzielnych kart, poświęcił Józefowi Alexandrowi Jabłonowskiemu wojewodzie nowogrodzkiemu, a w dedykacyi swój powiada wyraźnie, że pracę tę wykonał wsparty rękopismami samego Jabłonowskiego, owocem dwudziestoletniej jego pracy będących; które Rizzi może uporządkował, dopełnił, a potem wydał w systematyczną całość ułożone. Mapy te tytuły mają po polsku i po francuzku, ale nazwiska wszystkich miejsc, rzek, granic i t. d. są po polsku spisane, co im tém większą czyni zaletę.

Ostatnia karta obejmuje granice Polski zacząwszy od Balty, aż do rzeki Sina-Woda; obejmuje slobody Kozaków hetmańskich i zaporozkich, stepy Tatarów oczakowskich, bessarabskich i nogajskich z ich ordami, jak je w roku 1767 han krymski poosadzał. Znajduje się tu jeszcze dalsze wyciągnięcie Bohu i Dniestru, i Dniepr także od porohów aż do wpadnienia w morze Czarne.

Kto był i co robił w Polsce Zannoni, czy gotową pracę Jabłonowskiego przerobił, czy i co swego dodał? należałoby wyświecić. Bentkowski nic o tém nie wiedział, i przyznał się wyrażnie; Rastawiecki powtórzył do słowa, co było w Bentkowskim, ale także nic nowego i pe-

wnego o geografie polsko-sycylijskim nie wynalazł, co w takim dziele jak Mappografia trzeba było zrobić. Nie należało to do mojego przedmiotu, ale ów nadpis jego pracy, że na miejscu wszystko widziano i mierzono, pod względem Zaporozża niezupełnie jest pewnym.

Dlatego tutaj wypada wspomnieć o owych niedorzecznościach, jakie on poumieszczał w swojej mappie Zaporozża. Służą one za dowód, na jakim stopniu stały wiadomości i pojęcia o geografii Zaporozża i południowej Rosyi w owym czasie. Geografowi temu i innym uczonym, znajoma była tylko zachodnia część Zaporozża, to jest chersońska gubernia, i ta część jekaterynosławskiej, która się na prawym brzegu Dniepru znajduje. Cała zaś wschodnia połowa wolności zaporozkich, najlepsze ich sioła i zimowniki w pałankach: samarskiej, protowczańskiej i orelskiej, nie mówiąc już nic o kalmiuskich stepach, zupełnie były im nieznanymi. Ale i o zachodniej połowie, udzielano uczonemu światu równie dziwaczne i niebywale nazwiska i wiadomości, jak np:

A. Po całej granicy oznaczonej pokojem belgradzkim, na mocy traktatu zawartego na Wielkim Jagulu 4 listopada 1740 r. oznaczone są na owej mappie następujące twierdze, zaczynając od ujścia Suchego Taszlika w Boh. 1) Taszlik; 2) Michajłowska; 3) Stepanowska; 4) Geromaklejewska przy ujściu Gramokleja; 5) Jen (nowa) Serbia; 6) Nikolska; 7) Wasilkowska; 8) Piotrowska; 9) Andrejewska; 10) Ingulska; 11) Dmitriewska; 12) Aleksiejewska; 13) Antonowska; 14) Iwanowska, na końcu granicy przy samym Dnieprze, niedaleko od ujścia rzeki Kamionki. Nazwiska te i twierdze w sa-

mój rzeczy nigdy nie istniały, ani nawet projektów do ich wystawienia w żadnym archiwum śladu niema.

B. Cały step dzielił się podług mapy Zannoniego na cztery główne części: 1) step umarłych; 2) step boński; 3) step ingulski; 4) pagórki piaszczyste. Leżały one podług Zannoniego: pierwszy między Czarnym Tazlikiem i rzeką Martwe-Wody, to jest w teraźniejszym bobryńskim, chersońskim i części ananiewskiego powiatu chersońskiej gubernii, a ostatnie w teraźniejszym jekaterynosławskim powiecie, który w dodatku pokryty jest przez Zannoniego nigdy nieistniejącymi lasami.

C. Dalej nazwiska miejsc i żywych uroczysk, niesłychanych i niewidzianych nigdy na Zaporozu, jakoto: Drogo niedojrzana, której jedna część nazywa się „Zły krok” a druga już w Nowej Serbii nazywa się Czarnym Szlakiem; pustelnie świętego Samuela, świętego Zacharyasza, świętego Eliasza, świętego Jeremiasza, świętego Bazylego, świętego Pawła, świętego Hilarego, świętego Grzegorza. Jeziora świętego Konstantyna i Bożydara; sęto imiona czcigodne wprawdzie, przywołujące na pamięć życie pustelnicze w Egipcie w III i IV wieku chrześcijaństwa, ale szkoda, że o nich zaporozcy właściciele i gospodarze swych ziem nic nie wiedzieli. Dalej idą: „Boguchwała, Czyste źródło, Martwe jezioro, Białe jezioro czyli Juga, Piękne źródło, Dziki dół, Wielki dwór, Piękne miejsce, Grób Pawłuka, Ciemna dolina, Piękna łąka, Belweder, Piękna góra, Dolina złodziejów, Mazepycop (łańcuch); na koniec Skok konia białego, Skok włczy, Skok koguci, Skok owczy i t. d.

Samo z siebie nasuwa się to pytanie: czy te wszystkie wymyślone nazwiska, znakomity geograf Polski i Turcyi w swój głowie potworzył, aby dopełnić karty stron i ziem zupełnie mu nieznanym? Nie myślę tak, ale przypu-

szczam, że w XVIII wieku tak mało jeszcze ludzi zwiedzało zaporozkie stepy, a ci więcej myśleli o swoim bezpieczeństwie, aniżeli o opisanu miejsc, które przebywali; że tym sposobem i niewiadomość Zannoniego bardzo wytłumaczona. A jak już wyżej powiedziałem, Zaporozcy nie radzi mówili o rozległości, ludności i położeniu swoich wolności, jak to widać z pozostałych papierów i odpowiedzi na zapytania i odezwy mało-rossyjskich i wielko-rossyjskich władz (1).

(Dalszy ciąg nastąpi).



(1) Na zapytanie kijowskiej metropolii: wiele na Zaporozżu cerkwi, duchowieństwa i dochodów cerkiewnych; kosz w ogólnikach bardzo zgrabnych odpowiedział: „że cerkwi jest dostateczna liczba, że duchowieństwa niezawsze jednakowa liczba, raz więcej kiedy Kozacy stoją na miejscu po domach, drugi raz mniej, kiedy są na wyprawie, a dochody zależą od łaski wojska” i t. d.

ROZMAITOŚCI.

Wyciągi z rękopisu 1749 r.

Mając świeżo pod ręką księgę *in fol.*, zawierającą 352 liczbowanych stronnic, pisaną w klasztorze miechowskim, znalazłem w niej wiele ciekawych szczegółów, kraju i miejscowości dotyczących się (1). Tytuł rękopisu brzmi: *Acta seu gesta historica regni et conventus generalis Miechoviensis, scripta per Jacobum Radliński S. T. Doc., Ord. Canoniorum regularium, Custodum S. Sepulchris, Praepositum generalem Infulatum, inchoata ab A. D. 1748 a mense octobri, et finita in decembri 1749.* Nim podam niektóre ustępy z tego stuletniego zabytku, wypada nieco powiedzieć o autorze, który w spokojnym ustroniu kręśląc dla siebie i dla swoich współbraci zapiski, po większej części zakon swój obchodzące, nie silił się ubarwić stylu wygładzonym piórem, lecz wyrażał się dobrodusznie i po prostu.

Ks. Jakób Radliński, proboszcz glny, czyli generał Kanoników Regularnych, Stróżów grobu Chrystusa w Miechowie, autor wielu dzieł, zwłaszcza po łacinie i treści duchownej, niepoślednie między uczonymi swego wieku zajmo-

(1) Właścicielem tego rękopisu jest p. Antoni Paretti.

wał miejsce (1). Poważali go i przyjaźnią swą zaszczycali, żarliwi rozkrzewiciele przygasłego światła w narodzie dwaj bracia Załuscy, o czém kilkakrotnie w niniejszym rękopiśmie zachodzą wzmianki, a między innemi czytamy: „R. 1748 wydrukowałem książkę *in laudem publicae Bibliothecae Zaluscianae, cui titulus: Corona urbis et orbis, gloria et gemma regni Poloniae, universitas scientiarum, publica, amplissima et celeberrima bibliotheca Zalusciana, sermone ligato erecta*”. Z dalszego ciągu okazuje się: że 600 exemplarzy przesłał obu Załuskim, z tych Jędrzej biskup krak., dziękując mu uprzejmie, pisze: „Dależ dowód, że *spiritus scientiae nunquam senescit*, gdy poetyczna wena w wieku W Pana podeszłym, *juvenili erumpit impetu*”. Józef zaś referendarz K., tak list swój kończy: „Przez rekognicyą wdzięczności starać się będę, aby *per exterarum regiones divulgare* godną pracę Wmę P., która mu u potomnych wieczną przyniesie sławę”. Nie ostygła jeszcze i w lat kilka później poetyczna wena w Radlińskim; gdy bowiem 1753 r. ogłosił Józef Załuski: „iż w wigilią Niepokalanie Poczętej N. Panny odprawi się w Warszawie trybem włoskim akademika, czyli akt krasomówstwa i rymopistwa, na którym wolno będzie każdemu literatowi czytać swoje lukubracoye o chwale nieskończonej N. Bogarodzicy Maryi,” nadesłał i Radliński swój wiersz, który za najlepszy uznanym został, czyli jak wyraża ówczesne doniesienie: *obtinet palmam* (2)

Przystępujemy do podania zapowiedzianych wyjątków z tych, że tak nazwę pamiętników klasztornych.

(1) Biblioteka główna Okręgu Nauk. Warsz. posiada 24 pism przez Radlińskiego wydanych, w téj jednak liczbie nie znajduje się dzieło poniżej przytoczone, i *Godzinki o Zwiastowaniu N. M. Panny* 1746 r., o których mówi autor: „a że ta książeczka już wyginęła tak, że jęj i sam nie mam. więc ją tu wypisać umyśliłem”. Jakoż, całkowicie pobożne te pienia i modlitwy zamieścił.

(2) Ob. w Bibl. Warsz. 1846 r. T. I, str. 471, artykuł mój: Czasy Augusta III, wystawione w piśmiennych z owéj epoki zabytkach.

„*Hoc anno 1749* przyjąłem *aliquos nobiles* do konfraternii zakonu naszego, *et ad participationem meritorum ordinis*. 1mo: WJmć P. Jana Gołębowskiego komornika sieradzkiego; 2do WJmć P. Lubienieckiego *medicinae* doktora; 3tio Jmć ks. Jana Krośnickiego plebana buszoczyńskiego na Węgrzech będącego; 4to Wmć P. Franciszka Nakwaskiego podkomorzego wyszogrodzkiego, radzikowskiego i kęnlowskiego starostę”.

„*Die 9 augusti* w nocy, miasto Warszawa w wielkiej było trwodze, gdy przy straszliwych grzmotach, *circiter* o godzinie 11 piorun uderzył w wieżę ratuszną, gdzie zaraz kopuła palić się poczęła. Ogień coraz dalej się szerzył, zegar i dzwony *per flammam* zrujnowane były, *tandem* dach i wyższa kondygnacya *sensim* poszły *in favillam*. Kupcy towary swoje ze sklepów około ratusza wyratowali, lubo nie bez szkody; p. podkomorzy K. (1) prezencją swoją i przezorną dyspozycją, do ugaszenia ognia *contribuit*, i ludzie od gwardyi koronnej wiele dopomogli”.

„Najjaś. królowna polska, Augusta III córka, a teraz Delfinowa francuzka (2), oddała *in mense augusto votum* złote do obrazu N. Panny Częstochowskiej”.

„*Miraculum Providentiae Divinae, seu praeconisatio Adami Komorowski in Archiep. Gnesnensem et Primatem regni*”. Uważa Radliński za cudowne zrządzenie, że na tę wysoką godność, nie biskup, ale proboszcz katedry krak. wyniesiony został. Mianował go król na początku lipca 1748 r., potwierdził zaś Benedykt XIV d. 22 września 1749 r., z wielkiem podziwieniem całego kraju, a nadto dozwolił mu i następnym prymasom używania sukni purpurowej, podług wzoru i kroju kardynałom właściwej. „*Dum haec nominatio subsecuta fuit, totum regnum obstupuit. Contra istam nominationem Regis, multi se Epi-*

(1) Kazimierz Poniatowski, brat starszy Stanisława Augusta.

(2) Marya Józefa Karolina nar. 4 listopada 1731 r., zaślubiła 10 stycznia 1747 r. Ludwika, syna najstarszego czyli *Delfina*, Ludwika XV i Maryi Leszczyńskiej.

scopi et Senatores opposuerunt, et expeditionem Romanam pro Archiepiscopatu impediabant, et plus quam per totum annum variis modis literas Apostolicas retardabant" (1).

„Taxa mularska *ecclesiae Miechoviensis combustae* (2).
 My niżej podpisani magistrowie mularscy starsi przysięgli m. stol. Krakowa, od najprzewiel. ks. Jakuba Radlińskiego proboszcza glnego *ordinis Canoniorum S. Sepulchri*, na taxowanie kościoła miechows., jak wieleby jego reedyfikacya kosztowała, zaproszeni, zeznajemy: że nam to jest wiadomo i całemu Wtwu krak, że konwent na gruncie swoim nie może mieć wapna, ani dachówki, ani ziemi dobrej do robienia cegły, a naostatek i piasku do wapna, ale go z wielką pracą i kosztem z ziemi głęboko wykopywać muszą. Zaczém wszystkie materyały do fabryki należące, musi z Krakowa wozić własnymi podwodami, który jest odległy pięć mil. 2re zeznajemy: że konwent nie ma wiele poddanych, ale musi kupować konie i wozy, któremiby pomienione materyały były z Krakowa wożone. 3cie zeznajemy: że konwent nie ma lasów takich, z którychby drzewa mógł zażyć do fabryki, ale wszystkie musi o kilka mil sprowadzać. 4te w okoilczności nigdzie nie masz kamieni sposobnych do palenia wapna, ani ziemi do robienia dachówki. Te wszystkie okoliczności położywszy za fundament, teraz do taxy kościoła, wieleby jego reedyfikacya kosztować mogła przystępujemy, to dodając: że *architectonica* kościoła *certo* przechodzi pięćset lat.

Kamienia do fundamentów i na utwierdzenie wewnętrznych murów, osobliwie filarów przez ogień bardzo potrzebaskanych, potrzeba tysięcy 80, jeden tysiąc rachując z łamaniem i zwożeniem zł. 18, czyni zł. 1,440.

(1) D. 28 października t. r. odprawiła się w Krakowie w koś. P. Maryi konsekracya Komorowskiego, o czém nasz autor szeroce się rozwodzi, przytaczając nawet miane mowy.

(2) Wspaniały kościół z klasztorem, stał się pastwą płomieni 1745 r. Opis Miechowa ob. Starożytną Polskę T. II, str. 154.

| | |
|--|-------------|
| Cegły, miarkujemy 600,000, za którą | zł. 20,800. |
| Cegły zaś krakowskiej do zasklepienia kościoła, kaplic, grobów i t. d. koniecznie potrzeba 300,000 | 10,800. |
| Za wapna skrzyń 1125 z Krakowa | 18,000. |
| Za piasku skrzyń 8,000 | 4,000. |
| Gipsu bęczek 400 z Krakowa. | 4,800. |
| Dachówki płaskiej 200,000; za tysiąc w Krako- wie należy <i>ordinarie</i> zł. 50, albo z respektu zł. 45, z odwiezieniem zaś. | 14,400. |
| Za ankry potrzeba koniecznie. | 17,000. |
| Posadzki na całego koś. pawiment wyndzie kop 130 białego i czarnego marmuru. | 9,268. |
| Grobsztynów, albo kamieni marmurowych do grobów potrzeba 6 | 648. |
| Gradusów marmurowych przed ołtarze, łokci 208 | 2,496. |
| Odrzwi marmurowych 2 | 1,600. |
| Kamieni płaskich na gzems, za | 950. |
| <i>Capitella requirunt</i> 34, wynosi | 3,672. |
| Pedestały i bazy pod pilastrami. | 3,672. |
| Kamieni kwadratowych na Iszy rząd, łokci 150 | 600. |
| Na ołów do gradusów, do grobów, do starych filarów, do ankiei zalewania | 500. |
| Za kamienie na mensy, których powinno być 7 | 432. |
| Drzewo potrzebne na zbudowanie <i>ascensus</i> , <i>vulgo</i> rusztowanie, <i>item</i> tarcice, kłamry, liny, drą- gi, piły, młoty, taki, kary, i t. d. rachując i kowala | 13,000. |
| Cieśli 2, dla tych najmniej potrzeba wydać . . . | 1,800. |
| Ponieważ kościół, osobliwie z téj racyi we- wnątrz ze wszystkim zgorzał, że wszystkie ołtarze były drewniane; zaczęm teraz dla uchronienia się niebezpieczeństwa, będą z gipsu robione. Ołtarzy tedy 6 z gipsu, oprócz wyłocenia i malowania, je- den rachując po 4,000, wielki zaś ołtarz 10,000 <i>plus vel minus</i> , uczyni | 34,000. |
| Robota mularzów około kościoła i wieży pryn- cypalnej, potrzebować będzie | 40,000. |

Dzwonnica tak jest od ognia przepalona, że ją trzeba rozrzuć; sama robota mularska z materiałami, kosztować będzie zł. 6,000.

Oprócz tego zostają się do taxowania organy, które były wspaniałe i miały kosztować 30,000 zł. *Item* zostają się do taxowania *stalla* wspaniałe, które tyleż miały kosztować. *Item* ambona, ławki, *baptisterium*, konfessyonały *et chorus communis*, okna, drzwi, dzwony, zegar *et alia requisita*; ale, że te do naszego konsztunie należą, dlatego od tych taxowania supersedujemy. Rewidowaliśmy też i konwent, którego reedyfikacya, lubo już jest przed dekretem *S. sedis Apostolicae* zaczęta, dlatego: że po pogorzelisku, ani *Rms Generalis*, ani kanonicy jego nie mieli miejsca, gdzieby głowę skłonili, i musieli mieszkać *extra conventum*; jednak zważywszy to, co jest *reaedificatum* i to, czego jeszcze niedostaje, pomiarkowaliśmy: że na dokończenie reedyfikacyi konwentu *et officinarum ejus*, najmniej *requiruntur* 70,000 zł. Naostatek dodajemy: że długość kościoła, z małym i wielkim chórem, ma łokci pols. 81½, oprócz grubości murów; szerokość z filarami i kaplicami łokci 41, oprócz grubości murów; wysokość łokci 41½. Przyłączona wieża, wysokości w samych murach ma łokci 72; wewnątrz i *ab extra* od ognia bardzo przepalona i zrujnowana. To wszystko, według sumienia z należyłą pilnością otaxowawszy, dla lepszej wiary rękami własnymi podpisujemy się i pieczęcią cechu naszego ztwierdzamy. Działo się w konwencie glnym miechowskim d. 25 września r. P. 1749. Dominik Pucek magister murarski, podstarszy cechu murars. krak. Wojciech Pucek *senior* cechu murars. krak. Maciej Cepigowski czwarty starszy cechu murars. krak”.

„Taxa ciesielska. My niżej podpisani cieśle i magistrowie i t. d. zaproszeni na taxowanie roboty ciesielskiej, takową uczyniliśmy taxę:

Na belcosy albo balki na wierzch kościoła, wynidzie drzewa 61; belcos albo balka jedna kosztować będzie zł. 24, wynosi zł. 1,464.

| | |
|--|------------|
| Drzewa na wiązanie trzeba kop 8 | zł. 3,200. |
| Na kaplice belcosów 90 | 1,440. |
| Na też kaplice drzewa na wiązanie i insze <i>requi-</i> <i>sita</i> kop 8 | 3,200. |
| Za łaty rżnięte pod dachówkę kop 100 | 2,000. |
| Za gwoździe | 1,200. |
| Za większe gwoździe | 400. |
| Na sygnaturę w pośrodku dachu, oprócz blachy miedzianej | 4,000. |
| Od roboty ciesielskiej dachu na kościele i kapli- cach, trzeba będzie dać rzemieślnikom | 5,500. |
| Miarkując wieżę pryncypalną, od roboty ciesiel- skiej, za drzewo i gwoździe, nie rachując blachy miedzianej, potrzeba będzie wydać | 28,000. |
| Za drzewo i wiązanie do dzwonicy | 2,000. |

To wszystko według sumienia i t. d. (Data, co wyżej).
Jakób Nowerkowicz magister krak. podstarszy. Jan Nowa-
kowski trzeci starszy cechu ciesielskiego, trzy krzyżyki
kładę”.

Z obu tych oszacowań li tylko samego kościoła dotyczą-
cych, wykazuje się przeszło 300,000 zł., a że Mikołaj Dem-
bowski biskup kamieniecki, świecki czyli komendataryjny
proboszcz miechowski, niedostateczny udzielał zasiłek, cią-
gnęła się z nim przeto długo sprawa; wchodził następnie
biskup w różne układy, zesłał budowniczego, majstra mular-
skiego i ciesielskiego, którzy oszacowali roboty na 170,000
zł., na co Radliński nie przystawszy, obstawał za ustąpie-
niem trzeciej części dochodów z dóbr całego probostwa,
a przynajmniej o klucz miechowski. Gdy zaś biskup żadną
miarą na to nie zezwalał, odniósł się Radliński do Rzymu,
przesyłając obie powyższe taksy. Czynny i troskliwy prze-
łożony zakonu, zajmował się tymczasem podźwignieniem
klasztoru, i w miarę swych funduszków inne podejmował
prace, jakoż czytamy:

„Mularze stanęli do roboty *in mense aprili*. Naprzód
zaczęli robić około okien na dormitarzu *ex opposito* zamku,

it. d. Ludwisarz z Węgier przyjechał do konwentu *die 17 octobris*, i zaczął robić *ab hoc mense*".

„Zerwanie trybunału w Piotrkowie (1). P. Poniatowski podkomorzy K., który przed kilku laty zabił w pojedynku Adama Tarłę wojewodę lubelskiego, spodziewał się być marszałkiem trybunału za promocją domu Czartoryskich. O czém dowiedziawszy się dom Potockich, onemu przeszkadzał, a kogo innego promowywał. Gdy tedy obadwa domy chciały swego dokazać, deputatów do przysięgi nie przypuszczono, do szabel się porwano, *et toti progressui trybunału przeszkodzono*. Co tedy od początku królestwa nigdy nie było, teraz się przytrafiło, i sprawiedliwość zatomowana".

„Jaki był rok 1749. Rok ten był *in multis fatalis*, na-przód złąd: że szarańcza na wielu miejscach zboże pożarła, ale, że do Miechowa nierychło przyleciała, więc tylko owson, tatarkom, prosom i łąkom szkodziła. 2do był *fatalis ex eo*: że był bardzo suchy, zaczęm wszystkie jarzyny popalone zostały od zbytniego gorąca. 3o był *fatalis ex eo*: że oziminy, lubo się udały, jednak są nieplenne i ziarno w nich bardzo małe; zboże jednak jest tanie, że go nie można i sprzedać. 4o, że jako przedtém, tak i teraz było prawie wszędzie odchodzi. 5o, że trybunał zerwany, i *hactenus vacat*. 6o, że hajdamacy na Podolu grasują: miasta, wsi, dwory najeżdżają, rabują, szlachtę i księży zabijają. 7o, że *in multis locis* były znaczne *incendia*. 8o, że *in mense augusto*, zjawił się niejaki Pecherzowski najeźnik, który zebrawszy sobie swawolne kupy, najeżdżał dwory, plebanie, karczmy, i rabował; kupców na drogach rozbijał, i wszędzie wiele wiolencyi robił. W lasach niedaleko Pińczowa i Ś. Krzyża, swoje założył *domicilium*, i ztamtąd wypadał na różne miejsca. Które rabunki, gdy coraz *invalescebant*, tedy JW. Józef Potocki kaszt. krak., hetman W. K. wysłał przeciwko niemu różne chorągwie, i tak się przecie trochę

(1) Na początku października.

uspokoilo. *Ad finem decembris* ów Pecherzowski złapany i do więzienia w Poznaniu oddany, który ma być sądzony *post festum Trium Regum*".

Dawszy poznać więcej zajmujące wyciągi z tego rękopisu, dodać należy: że zawiera on korespondencye ks. Radlińskiego ze stolicą apostolską i odpowiedzi na nie, dokumenta różnych uposażeń kościelnych, fundacye świątyń, a nadto liczne wiadomości zagraniczne, żywcem z gazet wypisywane, mianowicie o Turkach, Algierczykach, o ich utarczkach z kawalerami Maltańskimi, i t. p.

Tymoteusz Lipiński.

Wiadomość o pomiarach geodezyjnych, wykonywanych w królestwie Polskiem.

Kommissya Rząd. Przych. i Skarbu, zostająca w r. 1828 pod przewodnictwem ks. Lubeckiego, powzięła zamiar dokładnego zmierzenia dóbr górniczo-fabrycznych w królestwie Polskiem położonych. P. W. Niemyski, któremu powierzona została ta ważna praca, chcąc korzystnie użyć pojedynczych, poprzednio już wykonanych pomiarów, przedstawił Kommissyi potrzebę założenia sieci trygonometrycznej, w której wzmiankowane szczegółowe pomiary stosownie pomieściłyby się dały. W skutek tego wezwanym został p. Armiński dyrektor Obserwatoryum Warsz. do oznaczenia astronomicznie głównego punktu tryangulacyi. Po wzajemném porozumieniu się, obrano metodę współrzędnych, wierzchołek góry zwanój Łysicą (1) za początek współrzędnych, a południk i równoleżnik tego punktu za

(1) Łysica albo góra śtój Katarzyny, najwyższy punkt w królestwie Polskiem, stanowi krańcową wyniosłość gór ciągnących się przez dwie mile w kierunku którego azymut 71° 51' 50".

Ze znanych nam rezultatów geodezyjnej niwellacyi, wykonywaney dla głównych punktów sieci (1), przytaczamy następujące:

Wierzchołek Łysicy wzniesiony jest na 1882 stóp paryzkich nad morze Bałtyckie.

Grunt kościoła ewangelickiego w Warszawie na 338,2 stóp paryzkich nad morze Bałtyckie.

Zero podziałki służącej do zapisywania (od 1798 r.) wysokości wody na Wiśle pod Warszawą, wzniesione jest na 237 stóp paryzkich nad poziom morza Bałtyckiego. Spadek koryta Wisły między Nową-Alexandryą (Puławy) a Warszawą, wynosi 11 cali angielskich na wiorstę, a między Warszawą a Gdańskiem, tylko 8 cali angielskich na wiorstę. Ta ostatnia pochyłość jest jeszcze prawie podwójną względem spadku koryt Dniestru i Dniepru. Dniepr między Kijowem a morzem Czarnym, Dniestr między Mohilewem a morzem Czarnym, mają spadku 4,6 cali angielskich na wiorstę.

Wspomnienie o Łukaszu Gołębiowskim.

W dniu 7 stycznia h.r. przeniósł się do wieczności jeden z najstarszych literatów naszych Łukasz Prawdzie Gołębiowski, w 80 roku życia, uczony erudyta, i nader łagodnego charakteru. W młodym wieku sekretarz Tadeusza Czackiego, w jego towarzystwie i przy Poryckiej bibliotece, której następnie był zawiadowcą, usposobił się przy dokładnej znajomości języków łacińskiego, francuzkiego, niemieckiego, rossyjskiego, na badacza historycznego.

Po zgonie Czackiego, gdy biblioteka Porycka przeszła do Puław, przeniósł się za nią i Gołębiowski jako jej zarządca. W r. 1818 wstąpił do służby rządowej jako członek towarzystwa do ułożenia książek elementarnych, a obok tego jako członek czynny i sekretarz b. Towarzystwa Warszaw-

(1) Podobna niwellacya w pracach wykonanych w Rosyi, zostających pod przewodnictwem generała Szuberta, wcale nie była odhywaną.

skiego Przyjaciół Nauk. W r. 1832 opuściwszy służbę publiczną, spędził resztę dni swoich w skromnym ustroniu wiejskim osady Kazimirówki w Hrubieszowskim, na łonie własnej rodziny, i mimo podeszłego wieku, zajmując się ciągle robotami naukowymi.

Pisma jego drukiem ogłoszone są:

1) *Karita i Polidor*, przez J. J. Barthelemy, tłumaczenie z francuzkiego. Warszawa, 1804.

2) *Podróż młodego Anacharsysa do Grecyi*, przez J. J. Barthelemy, przełożył z francuz. Tomów 7. Wilno, 1819—1825.

3) *Wiadomości z historyi polskiej, dla pensyj i szkół płci żeńskiej zastosowane, z 4ma mappkami*. Warszawa, 1827. 2gie wydanie tamże, 1830.

4) *Ubiory, Lud Polski, Domy i Dwory, Gry i Zabawy w Polsce*. Warszawa. 1830 — 1831, 4 tomy z dodaniem spisu alfabetycznego do wszystkich czterech tomów.

5) *Dzieje Polski za panowania Jagiellonów (Dzieje Władysława Jagiełły, Władysława III, Kazimiérza, Jana Olbrachta i Alexandra)*. Warszawa. 1846 — 1848, 3 tomy.

6) *Opis historyczno-statystyczny miasta stołecznego Warszawy; (w Kalend. Politycz. Netto na r. 1826. 2gie wydanie wyszło osobno, Warszawa. 1827).*

7) *Opisanie historyczne i statystyczne województwa krakowskiego* przez Ł. G. (w Kalend. Politycz. na r. 1827).

8) *Opisanie historyczne i statystyczne województwa plockiego*, przez Ł. G. (w Kalend. Politycz. na r. 1828).

9) *O Dziejopisach polskich, ich duchu, zaletach i wadach (w Pamiętniku umiejętności, sztuk i nauk na r. 1825 i 1826. Wyszedł oddruk osobny).*

10) *O Marynarce Polskiej (w Przeglądzie Naukowym na r. 1843, tom I — II).*

11) *Do Gabinetu medalów polskich hr. Edw. Raczyńskiego, dostarczył Gołębiowski text objaśniający do tomu IVgo.*

Prócz tego wiele jest pism Gołębiowskiego, które w Rocznikach b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk i w różnych dziełach peryodycznych drukowane były, i później zapewne uzupełnione będą.

X. J.

WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Wielka luneta w obserwatoryum w Cambridge. William Mitschel ogłosił wypadki postrzeżeń astronomicznych, wykonanych w dniu 15 września r. z. wielkim refraktorem, znajdującym się w Cambridge, które tu w krótkości podajemy. Narzędzie spoczywa na podstawie wybudowanej z kamieni granitowych, która u dołu ma 20, u góry 10 stóp angielskiej szerokości, i wysoka jest przeszło na 40 stóp. Na wierzchu tej podstawy jest właściwa podpora, czyli statywa, z jednej sztuki granitowej starannie obrobiona, ważąca blisko 26 tysięcy funtów angielskich. Służy ona do utrzymywania przyrządu, nadającego ruch lunecie w kierunku obrotu dziennego. Przyrząd ten mosiężny wraz z rurą lunety, waży blisko 8 tysięcy funtów. Mechanizm jego jest tak dokładnie wykonany, iż dziecko byłoby w stanie nadać ruch lunecie, i w każdym kierunku na niebo ją naprowadzić. Szkło przedmiotowe ma 15 cali średnicy, długość lunety wraz z rurą oczną, wynosi 24 stopy. Wymiary te w porównaniu ogromnej wielkości teleskopu Herschla, a bardziej jeszcze nowego teleskopu lorda Rossa, zdają się być małemi; jednak pamiętać o tém należy, że wspomniane narzędzia są teleskopami zwierciadlanemi,

odbijającymi promienie od powierzchni metalicznej, gdy przeciwnie narzędzie w Cambridge jest właściwą lunetą, czyli refraktorem, łamiącym promienie przez soczewkę przechodzące.

Wiadomo, że dokładne odlanie i obrobienie soczewki achromatycznej, takiego wymiaru jak powyższa, jest nader trudnym zadaniem techniki optycznej; zadanie to najprzód szczęśliwie Fraunhofer rozwiązał. Sławny refraktor obserwatorium Pulkowskiego, jest téjże samej wielkości; szkło jednak przedmiotowe lunety w Cambridge, podług zdania znawców, którzy obie te soczewki obok siebie widzieli, i zdaniem samego artysty jest lepszym, a nawet najlepszym, ze wszystkich dotąd znanych. Podpora jest opatrzona mechanizmem zegarowym, który podług obrotu dziennego obrachowany, całe narzędzie w pewnym kierunku na gwiazdę skierowanym utrzymuje. Inny układ kółek, reguluje obrót narzędzia, podług biegu słońca i księżyca.

Noc dnia 15 września r. z. szczególnie była przyjazną postrzeżeniom, gdyż niebo było zamglone. Autor tego artykułu naprowadził najprzód lunetę na planetę Wenus, która pogrążona w blasku wieczornej zorzy, gołym okiem nie była widzialną, i wzniesiona tylko na 14 stopni nad poziomem; jednak pomimo mglistej atmosfery, planeta w połowie swęj tarczy oświetlona, wyraźnie się pokazała. Autor dla uważania księżyca, nie mógł się dłużej nad planetą zatrzymywać.

Pierwszy przedmiot na powierzchni księżyca, który oko postrzegacza uderzył, była ciemna i głęboka przepaść *Endymion*, po obu stronach jasnym i ogromnym wałem otoczona. Góry przedstawiły się w zarysach wielkich, rzucające cienie; cała rozległość jaką oświetlona część powierzchni przy linii odgraniczającej część ciemną zajmowała, przedstawiała szczątki wulkanicznych działań. Luneta ustawiona była do biegu księżyca; autor przeświadczył się mimo krótkiego czasu postrzeżeń, o bytności szarego światła uważanego przez Schrötera, które atmosferę księżycową ma oznaczać.

Gwiazda podwójna γ (*gama*) Korony, była poprzednio przy 720 razy powiększeniu uważaną. Struwe, który ją wielką lunetą w Pulkowie postrzegał, uważa ją za najtrudniejszy przedmiot niebieski do widzenia. Lunetą w Cambridge, widać obydwie gwiazdy wyraźnie z wielką łatwością. Herschel w swoim teleskopie, widział zawsze jedną tylko gwiazdę bez towarzysza.

Również słaby punkt biały, przy gwiazdzie α (*alfa*) Koziorozca położony, z łatwością był widziany.

Gwiazda podwójna η (*eta*) Korony, która zawsze służyła ze miarą do oceniania dokładności lunet, pokazała się tu wyraźnie, chociaż przedział między gwiazdami wynosił tylko $\frac{1}{3}$ sekundy w łuku.

Potém obłoczek obrączkowy między gwiazdami β i γ (*beta* i *gama*) Liry, wzięty był pod uwagę. W lunetach zwyczajnych obłoczek pokazuje się jak wieniec gwiazdowy, w środku którego nie widać żadnej gwiazdy. Luneta w Cambridge pokazuje pierścień z miejscem w środku już nie wolném, ale zapelnioném mnóstwem drobnych, słabo świecących, jednak wyraźnych gwiazd; gdy przeciwnie wielki teleskop Rossa, w środku pierścienia mglistość tylko białawą pokazuje.

Gwiazda podwójna δ Łabędzia, sławna w historii dochodzeń paralary gwiazd stałych, nad którą Bessel tak wiele postrzeżeń czynił, była następnie uważaną; autor zdziwił się niemało, widząc małe, wyraźne, okrągłe tarcze dwóch gwiazd.

Potém lunetę skierowano na obłoczek mglisty, na pierśsiach Lisa położony; autor jak tylko lunetą spojrzął zaraz postrzegł, jak mglistość rozdzieliła się na drobne, wyraźne, obok siebie położone oddzielne gwiazdy. Dwie osoby przytomne téj obserwacyi toż samo widziały. Teleskop Rossa, każe się wprawdzie gwiazd pojedynczych domyślać, jednakże rozdzielić ich nie potrafił.

Najbliższy potém przedmiot badań, był piękny zbiór gwiazd w Herkulesie; nie jednak w nim szczególnego nie

dostrzeżono, był tylko co do blasku i wyraźnego tła znacznie powiększonym.

Świetna gwiazda α (*alfa*) Liry, lubo jeszcze nie przysłała na południk, blask jój był tak silnym, iż za ledwo oko znieść go mogło.

Użyte powiększenia przy powyższych postrzeżeniach, były od 250 do 750 razy; mogą jednak jeszcze być posunięte do 2000 razy.

Do odkryć, których się po tak wybornym refraktorze spodziewać wypadało, należy postrzeżenie krążących planet około gwiazd stałych, które w lunecie jako punkta białe się pokazują, a których autor przy zbiorze gwiazd α (*alfa*) Liry 23 naliczył, wprawniejsze zaś oko pomocnika 35 ich dostrzegło.

Późniejsze dostrzeżenia i wymiary tém narzędziem, każą się wiele jeszcze świetnych odkryć dla umiejętności spodziewać. (Froriep Notizen nr. 94. Januar, 1848).

J. B.

FIZYKA.

Peytal w następnym sposobie za pomocą działania elektryczności tłumaczy ukazywanie się trąb napowietrznych. Samo zjawisko przyrównywa do kondensatora elektrycznego, w którym chmury stanowią wyższy, a ziemia niższy krążek; różnica na tém ma tylko polegać, że w naszych metalowych kondensatorach elektryczności przeciwnego imienia łączą się z sobą odrazu przez metale, będące dobrymi przewodnikami, a w trąbach rzecz ma się przeciwnie.

Wiadomo, że główną przyczyną istnienia elektryczności dodatniej w atmosferze, jest parowanie wody z roztworu solnego (morza). Jeżeli powstająca elektryczność nie rozproszy się w przestrzeni, wtedy pozostaje nagromadzoną w chmurach. Przypuściny, że wiatry z różnych stron pędzą

chmury naelektryzowane ku jednemu miejscu, wtedy to miejsce będąc mocno obładowane elektrycznością, swoim wpływem obudzi w wodach poniżej się znajdujących, stan przeciwnéj elektryczności. Przynajmniej jednak znaczna część elektryczności chmury przechodzić musi do stanu swobodnego. Skutkiem tego powstają dwa zjawiska: błyskawice elektryczne wynikające z przepływów elektryczności z wyższych części chmury, i nadzwyczajna gęstość chmury. Przyczyną zwiększonej gęstości chmury są pęcherzyki wodne, które składając chmurę naelektryzowaną, odpychają się wzajemnie w skutek swéj elektryczności swobodnéj jednoimiennéj; jeżeli jednak ta siła odpychająca zmniejszy się przez rozproszenie się, wtedy czyto ciśnieniem wiatru, czy działaniem ziemi, odbywającéj w tym przypadku funkcją dolnego krążka kondensatoru, chmura się zgęszcza. Chmura zgęszczona, a przynajmniej naelektryzowana, mocno kierowana w swym biegu wiatrem, usiłuje przyjść ku tym punktom ziemi, które pod nią najmocniéj się elektryzują. Wzajemne dążenie ku sobie elektryczności chmury i ziemi, objawi się przez ciągły strumień elektryczny, pędzący z góry ku ziemi lub z ziemi ku chmurze, stosownie do tego, czy chmura lub ziemia w tém miejscu są mocniéj obładowane. Jeżeli elektryczność płynie z chmury, co i najczęściej się trafia, wtedy cząstki elektryczności z różnych punktów chmury dążąc ku temu miejscu ziemi, w którym przypada wypadkowa wszystkich cząstkowych działań ziemi na chmurę, przybiorą kształt ostrokągu przewróconego. Przeciwnie, jeżeli bieg elektryczności następuje z ziemi ku chmurze, ostrokąg ma kształt przeciwny. Przy tym ruchu, ciała znajdujące się na kierunku strumieni i mogące się naelektryzować, zostaną z wielką siłą pociągnięte ku punktowi, w którym elektryczność ziemi; i chmury zobojętniają się. Stosownie do tego, czy ten punkt leży pod powierzchnią, czy nad powierzchnią ziemi, statki na morzu bywają pochłonywane lub stawy wysuszane, drzewa wyrwane, łamane i w powietrze unoszone.

Naturalną jest rzeczą, że podobny gwałtowny przepływ elektryczności, musi unosić pęcherzyki wodne ku ziemi (które już straciły część siły odpychającej); ztąd wynika bardzo gęsty dészcz, zawarty w granicach wspomnionego ostrokręgu, wylewający na ziemię potoki słodkiej wody, zdolne niekiedy zatapiać okręta.

Głos towarzyszący tym zjawiskom, dobrze się tłumaczy przez drganie powietrza, niezbędne przy takich gwałtownych wstrząśnieniach płynu elektrycznego i ciała. Wiatry wciągające i unoszące ciała stałe w środek trąby, wyjaśnić się dają przez czczość, jaka powstawać musi po gwałtowném skroplaniu pary i zamienieniu się w dészcz ulewny, w którą z przyległych stron dążą strumienie powietrza. Bieg wirowy obserwowany w trąbach, powstawać musi z uderzeń wiatrów poziomo z różnych stron w jedno miejsce płynących.

W końcu opat Peytal tłumaczy, dlaczego strzałami armatniami można niekiedy przerwać trąbę. Na to przywodzi dwie przyczyny. Kula szybko przebijająca trąbę, sprawia w niej gwałtowne wstrząśnienie, rozchodzące się po całej massie, zbliża przez to pęcherzyki wodne, już i tak mocno zgęszczone, a ztąd powoduje raptowne skroplenie. Powtórę, że kula przechodząc szybko, pozostawia za sobą puste miejsce, w które natychmiast wpływa elektryczność wolna trąby, a podobne oddzielenie się elektryczności, musi być przyczyną zapadnięcia się całego zjawiska (*L' Institut.* 762).

S. P.

CHEMIA.

Na posiedzeniu akademii umiejętności paryzkiej, przedstawił p. Regnault pracę p. Saint-Evre, tyczącą się nowych ciał utworzonych z jodoformu.

Przepuszczając w nadmiarze strumień sinnika (cyanogenium) do roztworu wysokowego jodoformu, ciecz się

rozgrzewa, później przybiera barwę fioletową, coraz ciemniejszą. Zostawwszy to wszystko w spoczynku, niebawem tworzą się w niej kryształy pryzmatyczne, żółto-żółtego koloru, uszykowane na podobieństwo winnego liścia. Płuczając je powolnie zimną wódką, wydzielają się dwa szczególne ciała, w wysokim stopniu posiadające połysk metaliczny: jedno fioletowe, drugie koloru złotawo-zielonego. Z tych pierwsze zawiera w sobie jodoform i sinnik, czyli w liczbach okrągłych ma 87 na 100 jodu, gdy jodoform posiada tego pierwiastku 97 części. Drugie ciało jeszcze mniej zawiera jodu. Oprócz tego powyższe dwa ciała, a nawet i sam jodoform z rozmaitemi odczynnikami, jak kwasem saletrowym dymiącym, roztworem wyskokowym amonii i siarczku wodorodnego amoniaku, tworzą nowe istoty, któremi nateraz p. Saint-Evre się zajmuje. (*L'Institut* z 22 Nov. 1848).

* *O nawozach najwłaściwszych dla winorośli, przez dr. Verdeil.* Stosownie do nowych widoków chemii zastosowanej do rolnictwa, p. V. zastanawiał się, jakie są istoty zabrane ziemi przez winorośl, i jakimi nawozami ubytek ten zastąpiony być może. Uprawiający zabięra co-rocznie z winnicy: 1) winogrona, 2) łodygi i liście. Wino zawiera w sobie węgiel, wodoród, kwasoród, i nieco wianianu potażu: w lagrze oprócz tego, znajduje się cokolwiek saletrorodu: w wytłoczynach znaleziono wiele potażu, z małą ilością innych soli. Oto więc są ciała, które winorośl ciągnie z powietrza i ziemi. Liście i łodygi winogrodu zawierają w sobie ogromną ilość potażu; nie wspomina się zaś tu o kwasorodzie, wodorodzie i węglu, jako istotach składających drzewo. Mówiąc więc ogólnie, winorośl wyciąga z ziemi potaż, nie zaś fosforany, jak zboża, lub krzemionkę, jak rośliny trawiaste. Należy więc wyszukiwać nawozów zawierających dużo potażu.

Na poparcie swęj teoryi, p. V. przytacza pewną winnicę nad Renem, w której zagrzebują w ziemię liście i łodygi winne, i przez to płodność nie wyczerpuje się, chociaż wcale

inaczej jej nie nawożą. Oddając więc w części ziemi to co się jejabrało, a ma być bezużytecznie zniszczone, oczywiście oszczędza się nawozu.

Ponieważ jednak do wydania wina potrzeba i saletrorodu, należy więc cokolwiek umierzić winnice i gnojem z obór, pamiętając na uwagę Liebiga, że gnój krwi najwięcej zawiera w sobie potażu, a uprawiający wino nad Renem, doświadczeniem o tém się przekonali. (Treść z pisma *Bibliothèque Universelle de Genève. Novembre, 1848*).

* *O gazach w wodzie studni artezyjskich w Wenecyi.* Dawniejszemi czasy Wenecya opatrywaną była w wodę słodką częścią z 144 publicznych, częścią z 1990 prywatnych zbiorników, w których zbierano wodę deszczową, a częścią z kanału Brenty. Od roku 1825 do 1830 rząd austriacki starał się bezskutecznie o zaprowadzenie tam studni artezyjskich; dopiero w roku 1846 p. Dugousée z Paryża po sześciomiesięcznej pracy wydobyl wodę z głębokości 61 metrów, a dzisiaj jest już tam 6 artezyjskich studni ukończonych, a trzy rozpoczęte. Woda wytryskająca zawiera w sobie gaz wodoród-węglowy i kwas węglowy; skoro jednak przez pozostawienie w powietrzu, te gazy z niej ujdą, zupełnie jest zdatną do picia i innych domowych użytków. (*Annalen der Physik und Chemie v. Poggenorff nr. 7 z r. 1848 w treści*).

* *Berberyn w korzeniu rośliny Columbo.* P. Bödeker robiąc doświadczenia z korzeniem rośliny Columbo, używanej w sztuce lekarskiej, spostrzegł, że tenże zawiera w sobie w znacznej ilości pierwiastek zwany berberynem, otrzymywany jak wiadomo z berberysu pospolitego. (Wiadomość z pisma *Annalen der Chemie und Pharmacie v. Wöhler und Liebig. Juni, 1848*).

* *O kwasie zawartym w liściach ostokrzewu paragwajskiego* (*Ilex paraguayensis*). Liście te znane są pod nazwiskiem herbaty paragwajskiej. P. Stenhouse okazał, że ciało kryształiczne w nich znajdujące się, jest takie samo, jak teina i kafeina.

Rochleder świeżo badał kwas organiczny, zawarty w powyższych liściach, i przekonał się, że on posiada takie same własności, co kwas kawo-garbnikowy (*caféannique*), wynaleziony w kawie. (*Bibliothèque Universelle de Genève. Octobre, 1848*).
 J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Felix Dujardin, w swoim podaniu o oczkach (*stemmata*) czyli pojedynczych oczach zwierząt stawowatych (unie-szczoném w *Comptes rendus* nr. 20 z 15 listopada 1847), dowodzi, że oczy wszystkich zwierząt stawowatych: równie pajaków i czerwiów jako i owadów, uskuteczniają widzenie zupełnie tak, jak oczy zwierząt kręgowych; bo równie każde pojedyncze jako i każde osobne oko składanego oka, złożone jest z optycznego przyrządu, który nakształt soczewki w kamerze ciemnej, rysuje na końcu nerwu przewrócony obraz zewnętrznych przedmiotów. Oko takie przedstawia zawsze środek łamiący, który jest ograniczony powierzchnią wypukłą na jednej tylko, albo téż i na obu stronach, i działa jak soczewka, ażeby promienie na całą jej powierzchnią od zewnętrznych przedmiotów rzucone, w leżącym za nią ognisku, na przyrząd czucia zkoncentrować, i skrzyżowanie się wszystkich do obrazu należących promieni ułatwić. Liczne jednak spostrzegamy odmienności, tak w kształcie i w składzie tego przyrządu łamania, jako téż i w sposobie jego użycia względem przedmiotów rozmaitego oddalenia. U niektórych stawowatych zwierząt, znalazł autor stałą, płasko-wypukłą, u innych dwuwypukłą, tylko z błonki rogowej (*cornea*) utworzoną soczewkę, która jeszcze daleko mniejszą soczewką, wyobrażającą *lens crystallina* zwierząt kręgowych, wzmocniona była; przeciwnie inne miały cienką, jednostajnie grubą, jak szkło zegarkowe sklepioną korneę, w której wtedy zamknięta ciecz, jako so-

szewka zbierająca na nerwy widzenia działała. Co się zaś tyczy rozmaitego użytku oka do wyraźnego widzenia mniej lub więcej oddalonych przedmiotów, takowy zależy: 1) na krzywiznie samego środka łamiącego, jeśli długość kamery optycznej jest niezmienna, albo 2) jeśli ta długość jest zmienna, na ściągłości szklonego ciała, które w nowszych czasach nie trafnie soczewką kryształową nazwano, albo na koniec 3) na ściągłości ścian kamery ciemnej, jeżeli, jak u owadów muchowatych, ciecz tylko zawiera. W przypadku tym, sam nawet nerw widzenia jest połączeniem ściąganych nitek czyli zakończeń swoich, ażeby tym ostatnim należyta odległość nadać.

Żeby tedy optyczne własności tych małych oczek wy badać, dochodził autor odległości ich ogniska mikroskopnym mierzeniem, przybliżając aż do $\frac{1}{100}$ milimetra, do czego używał śruby mikrometrycznej, której głowa drobną podziałką opatrzona była. Przy tych wszakże doświadczeniach, nie należy spuszczać z uwagi środka, w którym łamiące ciało jest częściowo lub całkowicie zanurzone. Soczewka oka owadowego, widziana w powietrzu, ma nierównie bliższe, a całkiem w cieczy leżąca nierównie dalsze ognisko. Ażeby naturalne stanowisko takiego oka o ile można przywrócić, trzeba tylko ażeby wewnętrzna jego powierzchnia wypełniona była cieczą podobną do cieczy wewnętrznej zwierzęcia, podczas gdy powierzchnia zewnętrzna wystawiona jest na powietrze; trzeba prócz tego, ażeby się obraz nie z przodu, ale z tyłu téj małej soczewki odmalował. Autor za pomocą kropelki *serum* albo roztworu białka, przytwierdził badane oko wewnętrzną powierzchnią na cienką szklą tabliczkę, którą naodwrot pod soczewkę przedmiotową mikroskopu wstawił, podczas gdy zwierciadło promienie od oddalonego przedmiotu idące, prawie równoległe, rzucało w oś narzędzia i tym sposobem tworzył się obraz pomiędzy ciałem łamiącym (okiem owadu), a przedmiotową soczewką. Podobne doświadczenia z kropelkami oleju w wodzie, albo z bańkami powietrza w cieczy, które dzia-

ły jak dęte soczewki, lub z kuleczkami flintglasu, dały dla odległości ogniska podług promienia krzywizny i skazownika refrakcyi, zupełnie ten sam stosunek, co dopiero wspomniane drobne soczewki z oczu. Obraz który rysowały, był nadzwyczajnie wyraźny, a jego odległość od ogniska niezmienna; co stosuje się tak do oczu owadów muchowatych i motylowatych, których cienka, sklepista *cornea* łamiącą ciecz zawiera, jako też i do oczu chrząszczowatych, których płasko-wypukła albo dwuwypukła *cornea* zastępuje miejsce ściągającego ciała szklistego. Ale oczy wielu innych, mianowicie pszczołowatych, równie jak *stemmata* pajaków i owadów, przedstawiły autorowi odłomność, która go wiele utrudziła, niżeli zdołał sobie wyjaśnić ich budowę robieniem poprzecznych przecięć tych oczu w rozmaitych kierunkach. Oczy te, zamiast mieć jeden tylko główny punkt ogniskowy, jak w kulistej soczewce, mają ich tyle, ile się da naznaczyć warstw w sklepieniu ich powierzchni, tak, że najrozmaiciiej oddalając od nich przedmiot, idące od przedmiotu promienie światła, zawsze trafiają na jaką warstwę ocznej krzywizny, która wyraźny obraz na retynie wyrysować może. Pokazuje się tedy, że soczewka złożona z warstw spółśrodkowych, których krzywizny promień staje się tém mniejszy, im jest bliższy środka, musi mieć tyleż ognisk co warstw, i że tym sposobem retyna, przyjmując ją za niezmienną, jest zbiorem ognisk dla tylu różnie oddalonych przedmiotów, ile się warstw znajduje.

Ale mógłby kto mniemać, że rozmaite obrazy dalszych warstw, mogłyby szkodzić wyrazistości obrazu warstwy pojedynczej. Autor kazał sobie urządzić lupę złożoną z warstw spółśrodkowych i przedstawił ją akademii na próbę. Daje ona cztery osobne, rozmaitej wielkości obrazy przedmiotu, w miarę jak się ją ku niemu zbliża lub oddala. Można zatem przyjąć, że przy wielkiej takich warstw liczbie, następowanie wyraźnego obrazu nie dozna przeszkody znacznej ze strony środkujących niewyraźnych. I w rzeczy

samój, obraz który malują *stemmata* pajaków i owadów, w rozmaitych odległościach zawsze jest wyraźny, lubo nie ma świetności obrazu soczewki z jedným ogniskiem. Łamiące ciała tych stemmatów, według dalszych autora badań, nie mają wpływu na polaryzujące światło, i tém różnią się od soczewki kryształowej, składem zaś chemicznym, równie od błonki rogowej (*cornea*) zwierząt kręgowych, jako i od okryć owadów, lubo zdają się być przedłużeniem tych ostatnich.

Naostatek nie można, jak sądzi autor, z Müllerem i Brantzem uznawać obecności kulistój, odosobnionej krystalicznej soczewki za każdą szczególną, wszędzie jednostajnie grubą błonką rogową (*cornea*); bo właśnie środkowe grubienie wszystkich na sobie leżących warstw tej błonki jest tém, z czego powstaje ciało soczewkowane, od zewnątrz do odcinka kuli, od wewnątrz do prostój lub ukośnej paraboloidy podobne. Tym sposobem *stemmata*, jak dostatecznie okazaliśmy wyżej, urządzone są, nie jak mniema Müller, do widzenia tylko blizkich przedmiotów, ale, jak już sama krzywizna ich łamiącego środka okazuje, zdolne są widzieć we wszelkich odległościach.

Do tej pracy Dujardin'a, przyłącza się ocenie jej przez dra S. Pappenheim, w nrze 22 *Comptes rendus* z r. 1847 ogłoszone.

Podług Pappenheima, pojedyncze oczy owadów składają się z oddzielnej dla każdego błonki rogowej (*cornea*), i z dwuwypukłej soczewki krystalicznej; ostatnia swoją spółśrodkową pręgowatością różni się od przezroczystej kornei. Soczewka krystaliczna daje się odosobnić i zdaje się mieć jeszcze nakrywkę, czego wszakże autor, dla niedostatku materiału do badań, nie mógł należycie zgłębić: odosobniona, zupełnie świeża krystaliczna soczewka, z którą żadne jeszcze dalsze przygotowania przedsiębrane nie były, miała kształt eliptyczny.

Odosobniona soczewka krystaliczna pajaka, okazała tak na polaryzującym świetle dzienném, jako i przy świecy, bar

dzo wyraźne zjawiska, a najpiękniejsze, gdy się widoczna blaszeczka w środek wstawiła.

Mimo wszelkie usiłowania i mimo najwyborniejszy mikroskop, nie mógł autor znaleźć ściągального ciała szklitego chrząszczowatych; również się mu nie powiodło z wynalezieniem ściąganych nerwów Dujardina, a te nadto, ażeby jak Dujardin sądzi, działać mogły, musiałyby chyba poznaniem być obdarzone, któreby im oznajmiało że zbliżają się ku ognisku, lub oddalają od niego. U owadów tylko ze składanemi oczami, nerw optyczny dzieli się, według Pappenheima, na wiązki, z których każda ma swoją oddzielną pochwę, a niekiedy i pigment. Wiazki te otaczają większą lub mniejszą ilość nader delikatnych nerwów pierwotnych, które są delikatniejszymi jeszcze od stożków przez J. Müllera odkrytych. Wiazki te okrywa siatka dychawek, przez co tém niepodobniejszą do prawdy rzeczą autorowi się zdaje, ażeby ściąganie się początkowych włókien nerwowych widzianém być mogło.

Co się zaś tyczy ścian źrenicy, te u owadów są tak twarde, że tylko znacznemu ciśnieniu pod mikroskopem ustępują, i nie żeby się przedłużyć, tylko żeby się popsuć: nie może przeto autor przypuszczać w nich ściągłości na korzyść władzy widzenia.

Nakoniec Pappenheim uważa jeszcze, jak niedokładne rozmiary daje śruba mikrometryczna, jak więc oznaczenia podobne małej są wartości.

* Zeszłego lata, w okolicy Romney-Moores w Anglii, widział W. Allen gościniec w długości kilkomilowej zasiany niezmierném mnóstwem biedrzonek (*lady-birds*), które nadewszystko sterczące przedmioty, jakoto słupy szosowe i płoty okrywały. W największej liczbie zbierały się na stronie chronionej od wiatru, który podczas tego wiał od wschodu i od północo-wschodu. Według *Times*, widziano we czwartek wieczór, pomiędzy 4 a 6 godziną, z wysokości Ramsgate i Margate, długi, na kilka mil od południa rozciągający się obłok, który w kierunku Calais i Ostendy ku południowemu brzegowi Anglii żeglował, podobny słupowi

dymu z parostatka, podczas spokojnego powietrza. Około 10 godziny wieczorem, z powszechném zadziwieniem przechadzających się, wszystko było biedrzonkami okryte, same nawet osoby, tak, iż ich odzież do czerwonych pancerzy stała się podobną. Nazajutrz cały brzeg ukazał się niemi zasiany; od tawy portowej do Margate, zgarnięto ich do 5 korcy (*Scheffel*). Zkąd przybyły? nie wiadomo. W Brighton zjawily się w sobotę i w niedzielę, i tysiącami rozgmatano je na wielkiej paradzie i na sąsiednich ulicach; domy równie jak suknie przechodzących całkiem niemi okryte były. Podobny rój nawiedził miasto przed 7 laty, a trzema laty wcześniej w mniejszym stopniu. W Southend powstał taki rój, najmniej z 5 gatunków biedrzonek złożony, w piątek: na miłę zdawało się, że brzeg nawiedzony jest rojąciami się pszczołami. Krocie ich pochłoneło morze, a jednak wszystkie przed wiatrem zastonięte przedmioty, były niemi jakby farbą powleczone. Zwierzęta przybywały w nocy z wiatrem wschodnim, i radośnie witane były przez wieśniaków, jako wytępiacze mszyc, najszkodliwszych owadów dla węgietacyi. (*Fr. Not. nr. 91 z The Zoologist 1847, nr. 58*).

* Po sześciomiesięcznej suszy spadł 8 sierpnia przeszłego (1846) roku w Broadstairs, na wyspie Thanet, trwały deszcz, po którym nazajutrz mocny wiatr południowy nastąpił, i przyniósł taką mnogość biedrzonek (*Coccionella*), że w ciągu trzech dni wszystko w okolicach najbliższych miasta, okryte niemi było, i że się gromadziły do wszelkich zagłębień, schronienia szukając. Biedrzonek tych trzy były gatunki: najliczniejszy *Coccionella septempunctata* Ill. rzadszy już *C. bipunctata*, a najrzadszy z 9 kropkami. Na dniu 12 znowu wiatr południowy zerwawszy się, porwał wszystkie biedrzonki i zahiósł je do Margate; ztamtąd przeniesione zostały zakrętem wiatru, do Ramsgate; 13go były w Southend i Londynie, a 14 i 15 w Brighton (*Id. nr. 122 z Annals and Mag. of. nat. hist. Sept. 1847*).

* Jużto dawno entomologowie postrzegali, że samice wielu owadów, a osobliwie nocnych motylów, tylko co wy-

szedłszy z poczwarki, a zatém wcale nie zapładniane, niosą jednak jaja, z których wylęgają się gąsienice. Świeżo nad tём zastanawiał się p. Boursier, i przedstawił Akademii (*Comptes rendus*, 20 sept. nr. 12) swoje w tój mierze mniemanie. W doświadczeniach jego, samica jedwabnika zaraz po wyjściu z poczwarki wspięła się do góry po oknie, i wystawiona przez dłuższy czas na słońce, zносиła potём w cieniu dużo jaj, z których następnie wylęgały się gąsienice. P. Boursier tём spowodowany, przedstawił Akademii swoją myśl: czyto nie światło i ciepło słoneczne zapładnia?

Akademia, przez swoich komisarzy do odpowiedzenia na to wyznaczonych, nie mogąc zjawiska wytłumaczyć na zasadzie, której nie doszła jeszcze nauka, poprzestała na przytoczeniu wielu znanych przykładów w zwierzęcém i roślinném królestwie, rodzenia bez poprzedniczego zapłodnienia (mszyce podług Leeuwenhoecka, rozwielitki podług Jurine, konopie i t. p. podług Spallanzanego i t. d.), obok czego przywiodła myśli mogące dopomóc temu, ktoby chciał na drodze postrzeżeń i rozumowania śledzić naturę w mowie będącego zjawiska. Wspomniała więc o poczwarkach jedwabnika i rozmaitych innych owadów, które przez 2 do 3 lat w stanie gąsienic zostawały, potём się zwolna rozwinęły, dla rozmnożenia gatunku swojego. Wspomniała, że niektóre indywidua okazują niezaprzeczone cechy prawdziwego hermafrodytyzmu, będąc z jednej strony męzkami z drugiej żeńskimi, co się nawet okazuje z kształtu i stosunku ich rożków, z ubarwienia ich skrzydeł, które często u odmiennych płci bardzo rozmaite bywa. Naostatek i tę dołączyła uwagę, że w przypadkach, w których większość pewnych samicznych owadów, dobrowolne rodzenie się miała, większość ta nawet przez kilka lat w stanie gąsienic zostawała. Tak długie ich istnienie, jako tёż wylęganie się w czasie, w którym samców nie ma, zdaje się mieć za cel utrzymanie rodu, który inaczéj przez przypadkowe zdarzenia łatwoby mógł zaginąć.

* F. Pouchet, *Przyrząd trawienia u komara (Culex pipiens)*. Przyrząd trawienia u tego owada, jest bardzo za-
wikłany: pyszczyk składa się ze dwóch żuwaczek, osadzo-
nych szeregiem tęgich, nieruchomych włosków, i dwóch
szczecinkami opatrzonych szczęk, które są jak ramiona wa-
chlarza ruchome, i do uchwycania pokarmu służą. Naokoło
kiszki są ośm drobnych, jajowatych, pęcherzykowatych żo-
łądków, symetrycznie ułożone; każdy połączony z nią krót-
kim kanałem. Te ośm czczoci nie mogą być porównywane
z organami opisanymi przez niektórych autorów, jako pęche-
rze do wciągania powietrza u wielu owadów muchowa-
tych i motylowatych, bo one mniej lub więcej napełnione
są takimi materiami pokarmowymi, jakie się w kiszce
znajdują; a prócz tego, w przedziałach czasu od 25 do 30
sekund, widać ściąganie się tych pęcherzy i posuwanie się
tego co jest w kiszce. A jeśli się włoży zwierzę do wody
zafarbowanej karminem lub indychem, to już w pół go-
dziny widzieć można te pęcherzyki wypełnione materiami
farbnymi; sąto więc prawdziwe żołądki.

Jakkolwiek Swammerdam i Leon Dufour i między owa-
dami ukazali przeżuwające, zdaje się jednak autorowi po-
równanie to co do komara niezupełnie trafne, lubo i bu-
dowa i fizyologiczne znaczenie, a nawet rozwinięcie żołąd-
ków, przypominają żwacz i drugi żołądek przeżuwających.
Wewnętrzna błona tych małych worków jest, jak u wiel-
kich przeżuwających zwierząt, nakształt plastra pszczelnego,
jednak nader delikatnie rozwinięta; pokarm równie i w nich
zatrzymuje się czas niejaki, doznaje pewnego gatunku tra-
wienia i znowu tą samą rurą, którą się do żołądka dostał,
wraca się w kiszkę. Pokarm wszakże nie dochodzi aż do
pyszczyka, ulega raczej już w tych pęcherzykach żołądko-
wych potrzebnej przemianie; odsyłane przez nie do kiszki
materie, zawsze są daleko drobniej podzielone, niżeli te,
które pozostają w nich jeszcze. Jak przeżuwające w pierw-
szym życia swojego okresie karmią się mléką, a akt prze-
żuwania rozwija się w nich dopiero później, bo dwa pierw-
sze żołądki ich są jeszcze stosunkowo za małe; tak i młode,

dopiero co z jaja wyklute gąsienice komara, żywią się także z początku tylko ciekłymi materyami, bo również ich żołądki są dopiero rudymmentarne i jeszcze do sprawy trawienia niezdatne, a nawet tułów, który je otacza, jest znacznie mniejszy, niżeli w stanie dojrzałości dalszej.

Mimo niezmiernie wielką systematyczną odległość tych muszek od zwierząt przeżuwających, jest wszakże jakieś fizyologiczne podobieństwo między urządzeniem tych pęcherzyków żołądkowych, a dwóch pierwszych żołądków w rzędzie *Ruminantia*. Z drugiej strony, rzeczony pęcherzyki, równie co do swojego kształtu i położenia, jak i co do zachowania się podczas postrzeżeń, podobne są pęcherzykowatym żołądkom poligastrycznych wymoczków, które tak pięknie Ehrenberg opisał. (*Fr. Not. nr. 94 z Comptes rendus 1847 nr. 17*).

* Gąsienice muchowatych, które liście roślin wydrażają, podług Goureaux, znajdują się licznie; ukazują się one na powierzchni liści w kształcie białych plamek, które trzymając naprzeciwko światła, widzieć można w środku tkanki liścia małą, uzbrojoną szponem gąsieniczkę, która z zadziwiającą szybkością liść toczy. Na polu zasianém lucerną, znalazł autor prawie $\frac{1}{3}$ wszystkich liści przez nie popsutą; mogą się stać przeto nader szkodliwemi. Autor nazbięrał ich z wielu roślin i dociekl, że każda z nich przemieniła się w inny gatunek muszki. Z tęg która była w liściu wiciokrzewu (*Caprifolium*), rozwinęła się *Phytomyza obscurella*, z lucerny zaś, *Agromyza nigripes* i t. p. Gąsienice za pomocą szponów, które im także jako organa poruszenia służą, budują sobie mieszkania w liściach; ale się nigdy w nich nie przemieniają w poczwarkę, lecz w tym zamiarze wkopują się w ziemię. Większa ich wszakże część jeszcze przed tą przemianą ulega zniszczeniu, częścią od niepogód, częścią od gąsieniczników. (*F. N. nr. 107 z Bibl. univ. de Genève r. 1847 nr. 22*).

* W hiszpańskim dzienniku *La Facultad* z roku 1847, p. Guzman Librero opisał dwa swoje postrzeżenia w przedmiocie pasożyta, którego gatunek podciągnął pod nazwisko *Furia infernalis*, lecz którego owadem nazywa: 1) U pe-

wnego dwuletniego dziecka, ukazał się (1806) w trzeciej części dolnej lewego uda, liszajowaty wyrzut, a gdy p. Librero należycie chore miejsce zbadał, ujrzał pomiędzy skórą a tkanką komórkową ciała, owad (?) do góry i na dół się wijący. Kazał przeto matce mocno przycisnąć palcem na górną część kanału w którym się poruszało zwierzę, a sam położył wielki palec u lewej ręki na dolną część kanału, tak, iż zwierzę zastanowione było. Wtedy ciął lancetem i wyciągnął końcem jego owad wielkości i kształtu wszy świnięj. Rana potem łatwo się zgoiła. 2) W kwietniu 1813 r. udał się do niego po radę 50letni pastérz kóz z wrzodem na lewej ręce. Opowiedział, że w listopadzie r. 1812 dostał nagle w tém miejscu nieznośnego palenia, i już w kilka godzin wyskoczyła pomiędzy wielkim a wskazującym palcem bolesna krosta. Odtąd, mimo wszelkie środki zapobiegające, ciągle się wrzód powiększał. P. Librero kazał pacjentowi rękę kilka razy wymyć, poczem ujrzał przy mocniejszym oświeceniu, kanały między tkanką komórkową a tłuszczową, i w tych trzy zupełnie wyżej opisanemu podobne, owady. Po wydobyciu ich, rana się zagoiła (*Id. nr. 110 z Gazette méd. de Paris 15 janv. 1848*).

* J. B. Schnetzler ogłosił w *Bibliothèque universelle de Genève, nr. 20* r. 1847, anatomiczne i fizyologiczne postrzeżenia nad wrytnicami (*Nais*), uzupełniając prace dawniej w tymże przedmiocie podejmowane przez Trembleja, Bonnetta, O.F. Müllera, i Szmida. Wrytnicę wężykowatą (*Nais serpentina*) znalazł w maju na rzesie, której korzenie okręcała, i zaraz zwrócił uwagę na układ krążenia u niej. Długie, przy grzbiecie ciągnące się naczynie, z szeregu ściąganych fałd złożone, porusza się biciaми postępującemi od tyłu końca ogonowego, do przodu głowy. Z tego naczynia krew, przez gatunek połykowego pierścienia, ze dwóch silnych gałęzi naczyń złożonego, przechodzi do weny brzusznej. Nader ściągalne, znajdujące się pomiędzy arterią grzbiętową a weną brzuszną węzółki, zastępują niedostającą pulsacyą tamtych. Liczne, mianowicie w okolicy kanału pokarmowego, rozgałęzienia żyłek, łącząją te dwa wielkie układy

krążenia. U daleko większej *Nais linearis*, krążenie jeszcze łatwiej uważać się daje. Wena brzuszna rozsyła na bok rozgałęzienia do skóry, mianowicie w ogonie bardzo liczne i łączące się przez podniesione gałęzie, z naczyniem grzbietowym. Leżące na tyle rozgałęzienia, odnoszą nakonec krew wenalną do arteryi grzbietowej, i tym sposobem dopełniają układu krążenia.

Trawienie skutecznia się w długim kiszkiowym kanale, który w swoim biegu liczne fałdy tworzy. Pyszczyk leży u obudwu wspomnianych gatunków wrytnic od spodu; za nim następuje bardzo długi, białawą pęcherzykową materią otoczony kanał pokarmowy. Właściwy kanał kiszkiowy nie okazuje żadnego w sposób oznaczony urządzonego żołądka, i w największej rozległości swojej otoczony jest, równie jak i większa część naczynia grzbietowego, brunatno zafarbowaną warstwą pęcherzyków. Pęcherzyki te służą zapewne do przemieniania wyrabiającego się w kiszce soku pokarmowego, jako téż do wessania i przeprowadzenia go w jamę brzuszną, gdzie jasną, przezroczystą, ziarnkowatą kuleczką zawierającą ciecz przedstawia. I ten chyl okazuje pewny gatunek krążenia, pociągany pulsacją naczynia grzbietowego, tudzież ściąganiem się kanału kiszkiowego i mięśniów brzusznych; oblewa on najistotniejsze części układu naczyniowego, jest przez niego wciągany, i bierze potem udział w jego prawidłowym krążeniu. U *Nais serpentina* widzieć można przez całą wewnętrzną powierzchnię kiszkiowego kanału, bardzo żywy ruch drgający, niezależny od woli a nawet od życia zwierzęcia, i długo jeszcze trwa na małym, odłączonym od zwierzęcia płatką kanału. Układ nerwowy przedstawia u wrytnic kształt wstęgi, od której ząbkowanego brzegu rozchodzą się nitki nerwowe; zajmuje on całą długość strony brzuchowej, i tworzy pierścien wokół pokarmowego kanału. Prządki muskularny jest bardzo rozwinięty; ściany ciała opatrzone są silnymi, ściągającymi mięśniami podłużnymi; dwie tych wiązek biegną na boku przez cały odwłok; poruszają one boczne szczeciny, które u *Nais linearis* tworzą często wiązki wień-

cowatych, jakby rośliny rozgałęziających się nitek. Korzenie tych szczecin otacza pewien gatunek cebulek. Oprócz tego liczne muskuły przytwierdzają kanał kiszkowy do ścian jamy brzusznej; inne przymocowane do ścian odwłoka, otaczają i zcieśniają wpoprzek kanał kiszkowy i naczynie grzbietowe.

Przedewszystkiem jednak rozmnażanie się godne jest uwagi: nowa wrytnica, równie przez dzielenie jak i przez zetknięcie się jaja z zapładniającą cieczą, powstać może. Dzielenie może znowu być dobrowolne lub sztuczne. Pierwsze O. F. Müller przy rodzaju *Stylaria* (*Nais proboscidea*) bardzo pięknie opisał. Młoda wrytnica składa się, według niego około ze 16 pierścieni jednakowej wielkości; pierścień tyłowy wkrótce się jęj przedłuża, po kilku już dniach okazuje 10 do 12 poprzecznych pasków; powstają na nich szczeciny, a nakoniec na przedniej części starego tyłowego pierścienia, oczy w kształcie kropeczek i ryjek, i odłąd młoda wrytnica jest gotowa.

Dzielenie sztuczne w ścisłej jest z poprzedzającym zależności. Pomiedzy pierworodną córką a jęj matką, tworzą się często 3 do 4 innych młodych, z których najmłodsze zawsze matczynego indywiduum jest najbliższe. Córki odłączają się zwolna od matki lub od swoich sióstr młodszych, i same powtarzają to dzielenie. Jeżeli które w miejscu zrastania się dwóch indywiduów zostanie przecięte, wkrótce ujrzyć można, że oboje żyją. Nie należy jednak temu dobrowolnemu dzieleniu zbyt wiele ceny przyznawać, bo częstokroć przypadkowe przecięcie zwierzęcia na kilka nierównych kawałków, z każdego wyprowadza indywiduum osobne. Na jednym ze środka ciała od *Nais serpentina* wziętym kawałku, ze trzech pierścieni złożonym, przez kilka dni postrzegał autor wszelkie oznaki życia; ciągle się w nim odbywało krążenie krwi a z nięm oddychanie, czucie, ruch i t. d. W chwili przerznięcia zamknęły wyżej wspomniane muskuły tak kanał kiszkowy, jako i wielki pień naczyń; i tym sposobem przeszkodziły wypłynieniu żywiącego soku; zwolna przywróciły się związki pomiedzy

naczyniem grzbietowém a weną brzuszną, i z oderzniętego kawałka stało się nowe indywiduum.

Z tego zdaje się wynikać, że chemiczne i fizyczne siły, które określają widocznie zjawiska życia istoty, we wszystkich pierścieniach wrytnicy mają prawie jednakowe natężenie, tak, iż całe zwierzę jest niejako zbiorem utajonych w niem indywiduów.

Następnie zastanawia się autor nad organami rozkładania u wrytnic. Piérwszy O. F. Müller odkrył jajeczniki, lecz które dopiéro Dugès z dokładnością opisał, czyniąc zarazem wzmiankę i o organach męzkich, lubo nie wszystko w składzie tych ostatnich z równą oznaczył pewnością. Autor wszakże odkrywa zupełną pewność nawet w tém co Dugès miał za wątpliwe, i szczegółowo opisuje tę część organizacyi u gatunku *Nais filiformis*. W organizacyi téj przyrząd żeński leży bezpośrednio za męzkim. W składzie piérwszego zasługują na uwagę kanały, w których widzieć się daje żywy ruch drżący. Drzenie to zachodzi w pewnych włoskach tych kanałów, dostrzeżonych najpiérwszy raz przez Schmidta, który z powodu pomienionego ruchu, uznawał je za części przyrządu oddechowego, czemu i autor nie śmie być przeciwnym, zważając, że drgające kanały ciągną się przez te nawet pierścienie ciała, które przechodzą zakres siedliska organów płciowych. Wnosi, że zapewne uskutecznia się niemi wprost wciąganie kwasorodu, i że dlatego może wrytnica bezustannie porusza ogonem, tak pełnym rozgałęzionych naczyń, gdy przeciwnie przód ciała, w którym drgające kanały całkowicie już nikną, w głąb dna wody zapada. Wszakże Ehbrenberg liczy je do przyrządu rodneho (*F. N. no. 91*).

* Ludwik Agassiz, który się teraz w Ameryce znajduje, pisał z Bostonu, pod d. 30 września 1847 r. list do Aléxandra Humboldta, treści ogłoszonej w wyjątkach w *Comptes rendus* nr. 19 z 1847 r. Mówi najprzód o rozwijaniu się członków u ukwiałów (*Actinia*) i symetryi w organach tych zwierząt. Młode ukwiały, które z jaj wychował, były aż do nogi którą się ujmują, pięcioboczne, i tylko 10 czułek miały. Główna część ich ciała, podzielona była

10ciu prostopadle ustawionemi przegrodami, żołądek znajdował się nad tą czczością i długim łączył się z nią otworem. Młody ukwiał podobny jest wtedy do spianu (*Alcyonium*), z tą tylko różnicą, że zamiast 8 prostopadłych pasów, ma 10 szyb głęboko wewnątrz wchodzących, odpowiadających 10ciu czułkom na obwodzie. Rzezione szyby są muskularne; określają one razem z kolistemi włóknami powierzchni, rozliczne dobrowolne przemiany kształtu tych zwierząt. Jajeczniki i jądra, które są u tych szyb zawieszane, wczesnie się rozwijają; nowo odtąd powstające czułki, ukazują się najprzód jako zfałdowanie się obwodu przed i pomiędzy już będącemi; tak poczęte, przedłużają się w prostopadłym kierunku jeszcze dalej, tworząc wyskok, z którego staje się blaszka. Nowo wynikłe czułki okazywały, równie jak całe młodociane zwierzę, wyraźne fałdy i mięśnie, z których ściągnięcia się powstały. Główna czczość ciała wypełniona jest wodą, która się dostaje do niej pyszczkiem i licznemi, mikroskopnie małemi otworami, których prostopadle szeregi biegną po ciele, i przez też otwory albo przez czułki znowu się precedza. Strawione materye mieszają się z tą wodą, a że gęba, żołądek i czułki mogą się według upodobania zamykać, dłużej przeto we czczości ciała pozostać są zdolne, póki z wodą wyrzucone albo przez wodę nową rozcieńczone nie zostaną. Czczość przeto ciała zastępuje tu przyrząd krążenia i oddychania. Tenże sam ukwiał (*A. duevisii*) zniósł jaja, lecz też niekiedy i żywy płód wydawał, podobny z jaj wylęgłemu. Widać że wszystkie ukwiały jednocześnie jaja i żywy płód wydają.

Dalej donosi autor, że widział świetlę (*Lucernaria*) z 8 oczami, podobnemi zewnętrzną budową do oczu szkarłupniów i chełbi. Oczy te leżały w wycinkach, pomiędzy wiązkami czułków.

Niżej zastanawia się autor nad kamienistą tabliczką (*) u rozgwiad (*Asterius*), i mniema, że wykrył jej cel i budowę.

(*) Wiadomo że u tych tak osobliwych zwierząt morskich, leży w pośrodku ciała na zewnątrz, nieco na boku, kamienista tabliczka.

Chcąc on zrozumieć krążenie u jeżowców i sposób jakim się dostaje woda do czczości ich ciała, gdy przeglądał wszystkie dotychczasowe prace w tym przedmiocie, postrzegł że już Tiedemann dociekł układu wodnego który otacza pyszczek i jest w połączeniu z położonemi wewnątrz pęcherzykami czyli skrzelami i ze smoczkami u czulków, ale nie wskazał otworów przez które ten wodny układ przyjmuje wodę zewnątrz. Przy nastrzykiwaniu od serca naczyń czyli zatok, które się wzdłuż kamienistej tabliczki znajdują, zaraz postrzegł autor, że główny pierścień pyszczkowy (*anneau buccal principal*) nie był napelniony, że raczej na końcu kamienistego kanału znalazła się skórkowata banieczka zdająca się być w związku z kanałem. Nastrzykując ją autor, ujrzał że kolorowa masa wciska się nietylko w naczynie pyszczkowe, ale i w pęcherzyki leżące wewnątrz ciała, a nawet w czułki nóg wszystkich. Autor z równym powtarzał skutkiem nastrzykiwanie od górnej strony kamienistego kanału, przyczém postrzegł, że mikroskopne dziureczki, któremi kamienista tabliczka jest zasiana, dochodziły do kanału kamienistego i tym sposobem tworzyły sitko, przez które tylko najczystsza woda w ten kamienisty kanał i skórkowate naczynia do wody pyszczek otaczające, a tém samém do pęcherzyków i do czulków nóg, dostawać się mogła. Muskularna budowa ścian naczyń, objaśnia ciągle postępowanie wody w całym jéj obiegu. Członkowate, od kamienistej tabliczki do ujściowej banieczki idące wapiaste kanaliki u rozgwiazd, zdają się być przeznaczonemi tylko do chronienia skórkowatych rurek, które bez nich, mogłyby przy tak zmiennem ciele tych zwierząt, łatwemu uszkodzeniu podległy. Niéma ich u jeżowców, u których dziurki sitka prowadzą bezpośre-

ka (*une plaque pierreuse* Cuv. *Mudreporenplatte* Tied.), której wewnątrz odpowiada kanał wypełniony materją wapienną, co uważano, podobnie jak znajome kamyki w rakach, za zapas materji na części state zwierzęcia, ale nie rozumiano całkowicie tego szczegółu organizacyi rozgwiazd.

A. W.

dnio od kamienistój tabliczki do skórkowatych, nieopatrzonych stałem przyodzianiem rurek.

Dostająca się w czułki do poruszeń służące woda, może być wypuszczona przez smoczki u nich. Ta woda rozlewa się tu i owdzie przez kolejne kurczenie się muskularnych ścian czulków i wyżej wzmiankowanych pęcherzyków w ciełe będących. Ułożeniem włókien mięśniowych, pęcherzyki te podobne są do moczowego pęcherza.

U jednego gatunku jeżowca z rodz. *Echinarachnius*, znajdującego się nad brzegami Massachusetts, a na którym autor powyższe postrzeżenia czynił, między tabliczkami pól nogowych, już przy sześciokrotném powiększeniu, widać prócz tego bardzo dobrze, w prawidłowe szeregi zebrane otwory, z któremi wewnątrz zostają w związku skórkowate, jak smoczki wysuwalne rurki, które się przedziurawionemi banieczkami kończą. Otwory te ze swojemi rurkami są mianowicie w polach nogowych i nad obwodem liczne, a zaś w polach międzynogowych tylko na obwodzie. Kiedy się te rurki całkowicie rozpostrą, wtedy przewyższają kolce na skorupie; są one w niezmiernój liczbie po całym obwodzie szyby rozstawione, i już przez swoją rurkowaną budowę różnią się od czulków nogowych, ale więcęj przez to, że wewnątrz ciała wiodą. Tysiące tych otworków, odpowiadających szeregom dziurek u ukwiałów, prowadzą wcdę do środka ciała i napowrót, a tym sposobem tak u jeżowców jako i u rozgwiazd postrzegamy dwa niezależne od siebie wodnych naczyń układy: jeden ma swoje otwory w kamienistój tabliczce i tylko do niej należące części opatruje wodą; kiedy otwory drugiego, rozszerzając się po całym ciełe, zapatrują nią wielką czczość ciała. U *Echinarachnius* dopiéro wspomniane rurki, służą właśnie cudownym sposobem jako organa poruszeń, gdy czułki nóg nigdy nie dosięgają obwodu.

Im bliżej poznawał autor anatomią zwierząt promienistych, tém więcęj spotykał podobności nawet we zworzech tak różniących się jeszcze postacią zewnętrzną. U rozgwiazd, znalazł on przyrząd podobny latarni głowowej jeżowców;

wracają tu nawet te same mięśnie i ścięgna; cały wszakże przyrząd jest tak ruchomy i tak przezroczysty, że łatwo go weźmiemy za jedno ze ścianami połyku. (*Fror. Not.* 1848 nr. 98).

* Przy drugiej połowie, to jest przy 8ym tomie dziennika naukowego *Annales des sciences naturelles* z roku 1847, znajduje się kilka tablic rycin, których artystyczne wykonanie usadziło się ażeby wyrównać zamiłowaniu i mistrzowskiemu podołaniu umiejętności tak trudnej, jak jest anatomia niższej organizacyi zwierząt. W przeszłym wieku podziwiano cierpliwość i talent Lyoneta, patrząc na te liczne wizerunki przy jego wiekopomnym traktacie, tworzącym grubym tom in 4to o anatomicznej budowie jednej tylko gąsienicy. Czémże one są obok wizerunków przy wielu dzisiejszych zoologicznych książkach? Ażeby to porównanie uczynić, dosyć jest zobaczyć w rzeczonym 8ym tomie *Annales des Sc. natur.* pierwsze cztery tablice rycin, należące do rozprawy genialnego i pracowitego Milne-Edwardsa, o krążeniu krwi u zwierząt miękkich. Pierwsza i druga przedstawiają anatomiczną budowę słuchoty (*Halyotis*) i czaszki (*Patella*), do których badania powiodły autora dawniejsze postrzeżenia (1), sprawdzane potem przez innych badaczy, że u niektórych niższej organizacyi zwierząt (zachw (*Ascidia*), sprzągli (*Salpa*), węp (*Aeolidia*) znaczna część systematu naczyń zastąpiona jest czczościami w ciele, któremi krew krąży (2). Tu on przekonywa się, że u wszystkich zwierząt miękkich niéma znacznej części naczyń krwionośnych, lecz je zastępują proste między niektórymi organami odstępy czyli komory. Za pomocą umiejętnych wtryskiwań zafarbowanej masy w naczynia słuchoty (*Halyotis*), doszedł on, że równie u tych miękkich zwierząt jako i u sepij, wielka czczość, zawarta pomiędzy okryciami głowy, mięśniami połyku i początkiem kanału pokarmowego, wchodzi w skład przyrządu cyrkulacyjnego, z tą różnicą, że u słuchoty czczość ta należy do układu ar-

(1) Zob. Bibl. Warsz. 1846. tom II od str. 208.

(2) Zob. Bibl. Warsz. 1848, tom I od str. 669.

teryalnego, kiedy u pławów (*Cephalopoda*) jest częścią wenalnego. To samo znizienie arteryalnego układu znalazł autor i u czaszolek (*Patella*), czyniąc preparaty swoje wtryskiwaniem do rozgałęzień arteryalnych cieczy czerwonej, do wenalnych niebieskiej, równie dokładnemi i jasno nuczającemi, jak milemi oku i ozdobnemi w wizerunkach po mistrzowsku wykonanych. Porównywa on w dalszym swojej rozprawie ciągu i wiele innych miękliwych rodzajów pod względem téj saméj budowy, już prostując już uzupełniając to, co inni zootomowie podali o nich. Sledzi układ cyrkulacyjny u czernitwy (*Thethys*) z uwagą na sposób w jaki tłumaczył go Delle Chiaje, i u szoldry (*Pinna*) którą już przed nim zajmował się Poli: tamtéj przepyszny wizerunek na tab. 3, téj na tab. 4 tomu 8go wystawiając. We wszystkich tych wizerunkach, przedstawiających się na tle czarném, ciało zwierzęcia białe zdobią rozliczne aż do najdrobniejszych rozgałęzienia czerwone naczyń arteryalnych i niebieskie wenalnych, tak, że te wizerunki nietylko wzorem są, jak przedstawiać niemi najdrobniejsze szczegóły budowy w ciele najwątleszych istot morskich, ale nawet jak uprzyjemnić naukę do której się odnoszą. A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

WARSZAWA.

89. Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów aż do 1847 roku, skróślony przez F. Max. Sobieszczańskiego. Z ryciną. 8ka. Warszawa. 1848. Druk Strąbskiego. Kart 2 i str. 499. Złp. 13 gr. 10.

90. Tygodnik lekarski wydawany pod redakcją DDr. A. Le Bruna, A. Helbicha i L. Natansona. Rok drugi. 1848. Styczeń do Grudnia. 4ka. Warszawa. 1848. Nakładem H. Natansona, druk Strąbskiego. Kart 3, nrów 52, zawierających str. 416. Złp. 24.

L I P S K.

91. Marja, powieść ukraińska, przez Antoniego Malczeskiego. 16ka. Lipsk. 1848. Str. 88. W oprawie złp. 6 gr. 20.

1849.

WARSZAWA.

10. O własności, przez Adolfa Thiers, autora Historji Konsulatu i Cesarstwa. Przekład z francuzkiego. Część I. Warszawa. 1849. 12ka. Nakład G. L. Glücksberga, druk. St. Strąbskiego. Kart 2 i str. 209. Z pren. na część II, złp. 10.

11. Pamiętniki pogrobowe Chateaubrianda. Tłomaczył Leon Rogalski, Tom 1, 12ka. Warszawa. 1849. Nakład G. L. Glücksberga, druk St. Strąbskiego. Str. 196. Z pren. na 3 tomy złp. 15.

12. Pamiętniki pośmiertne Chateaubriand'a, przełożył O. Stanisławski. 12ka. Tom 1. Warszawa. 1849. Nakładem i drukiem S. Orgelbranda. Str. 278. Z pren. na 3 tomy złp. 10.

13. Powołanie kobiety. Przekład z języka angielskiego (p. P. Dubrowskiego). Z godłem:

„Si le sort ne nous donné le talent pour être célèbres,
il est presque toujours possible de fire (sic) un travail qui nous rende utiles”.

12ka. Warszawa, 1849. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 182. Złp. 5.

14. Źródło wiadomości dla dzieci polskich, czyli abecadnik powszechny ułożony sposobem postępowym: od poznania liter do pierwszych zasad główniejszych naukowych przedmiotów. W dwóch częściach, przez starego przyjaciela dzieci. Podarunek i nagroda dla chłopczyków i panienek. Dzieło ozdobione (4) rycinami. 8ka. Warszawa. 1849. Druk Strąbskiego. Nakład J. Bernsteina. Str. 139 i rejestru kart 2. Złp. 6 gr. 20.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Historya Literatury polskiej Jana Majorkiewicza, drugie wydanie, wkrótce wyjdzie z pod prasy z drukarni Józefa Unger. Ostatni okres opatrzone jest przypisami i dodatkami wydawcy.

W Wilnie ma się drukować rękopis Juliana Bartoszewicza, wielce dzieje nasze obchodzący, p. n. „Królewicze biskupi. Żywoty czterech kapłanów”.

„Dzwonu Literackiego” oddział 2gi, tom pierwszy, już wyszedł z pod prasy. Tomy następne w oznaczonym okresie wyjdą.

Józef Korzeniowski wykończył dramat p. n. „Autorka”.

Dramat Gutzkova „Pierwsze wystawienie Świętoszka Moliera”, przełożonym został na język polski przez jednego z naszych literatów.

Przy drugim tomie „Album Literackiego”, pod redakcją K. Wł. Wojcickiego, zamieszczone będą facsimilia kalendarza ściennego z 1532 roku, wraz z obszerną wiadomością o kalendarzach polskich.

Wyjątek z listu M. Gr.

„Teraz przynajmniej jestem pewny, że mój rękopis „O Sztuce” stanął w Warszawie (u Orgelbranda). . . Datem także do druku dzieło: „O ukraińskich mogiłach.” Tablice zawierające plany takowych i rysunki przedmiotów w nich znajdujących, będą ciekawe i niejaka wartość mojemu dziełu nadadzą”.

„Teraz zacząłem pisać rys piśmiennictwa polskiego, a raczej literackiego ruchu w Polsce od r. 1832 do 1848. Lubo przez cały ten przeciąg czasu zostawałem w największym oddaleniu od wszelkich głównych ognisk literatury, wszelako ściągałem z nich wiadomości starannie, śledziłem za niemi, i starałem się mieć jasne pojęcie fizjonomii ludzi i rzeczy. Jeżeli to potrafię dokładnie wyłożyć, nie będzie bez interesu, a w każdym razie pochwalam sobie, że to nie będzie tak sucha i jednostronna nomenklatura, jak mniemane historye literatury polskiej W. D. i M. Powziąłem myśl tego pisemka, upatrując że w tych szesnastu latach piśmiennictwo nasze odbyło cykl zupełny, i posiada swoją historyę; fakt z faktem ściśle związany, i jeden od drugiego zawisły. Wszelako tu się kończy także niniejszy okres; ten, który po nim nastąpi, musi być zupełnie odmienny. Nie wiem czy to dziełko wydaję, ale starać się będę koniecznie je napisać”.

Autor *Soplicy, Listopada, Zamku*, występuje w nowym zawodzie—w zawodzie polityczno-filozoficznym. Ta nowa strona nie-

wyczerpanego daru rozwinęła się w nim skutkiem spóczesnych wypadków europejskich, które uważa z właściwem sobie natchnieniem, zasobem wielostronnych wiadomości, i z tego *udzielnego* stanowiska, na jakim nawet w najdrobniejszych utworach swoich zwykł przebywać... Utwor ten, złożony z listów oddzielnych, wyczerpujących po kolei prawie wszystkie zagadnienia moralne i polityczne, wiążące się ze spóczesnemi wypadkami, przeznaczony jest do Tygodnika, i będzie naprzód ogłoszony w felietonach tej gazety, nim zostanie osobno wydany. (Tygodnik Petersburski).

W Wilnie miały wyjść przed N. Rokiem następne dzieła, które dotychczas nie znamy jeszcze w Warszawie:

1) Rocznika literackiego na rok 1849 tom IVty, pismo zbiorowe, ozdobione portretami, wydane przez *Romualda Podbereskiego* (r. sr. 2).

2) Pamiętnik naukowo-literacki, pismo zbiorowe na rok 1849, pod redakcją *Romualda Podbereskiego* (r. sr. 1 k. 50).

3) Przygody człowieka nierzucającego cienia, powieść fantastyczna w 1 tomie (r. sr. 1).

4) Aerolit, przez *Ludwika Podbereskiego* (r. sr. 1).

5) Przy kominku, gawędy szlacheckie (r. sr. 1).

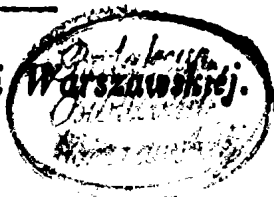
6) Msza święta, wierszami, z klasycznych poetów polskich objaśniona. Ze wstępem o duchownej poezji polskiej. (Dochód przeznaczona się na rzecz Dobroczynności Wileńskiej).

Zeszyt piérwszy dzieła p. n. „Przekłady poetów łacińskich epoki Zygmunto-wskiej,” obejmujący poemata Klemensa Janickiego, przekładu Władysława Syrokomli (pseudonym), już wyszedł z drukarni J. Zawadzkiego w Wilnie.

J. Kremer w Krakowie wygotował „Encyklopedyą nauk filozoficznych”; za parę miesięcy zamierza wziąć się do druku. „Listy z Krakowa” ma następnie ukończyć.

M. Wiszniewski siedzi w Genui i podobno zupełnie zdziwaczał; trudni się handlem.

† W końcu zeszłego 1848 roku, zmarł *Kajetan Kielecki* znany a talentowany rytownik. Jako uczeń budownictwa w b. uniwersytecie Alexandryjskim w Warszawie, zachecony od Jana Piwarskiego, u niego sztuki rytownictwa nauczył się, a sposób i metodę jego przejął. Później robił w sposobie nieoczonego naszego rytownika *Marcina Płońskiego* głowy starców, żydów, ubiory ludu i widoki miast; szczególnie atoli w ryceniu dawnych pieczęci zyskał sobie w kraju i za granicą niepospolitą sławę.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Grudzień 1848.

Grudzień 1848.

Dostzeżenia w Obserwatorium
 Miejsce dostzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
 czyli w Juku 18041'25,"5 na wschód

Astronomiczném Warszawskiem.
 jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7
 względem południka paryzkiego.

BAROMETR

w milimetrach sprowadzony
do 00

TERMOMETR

stopniowy

| Data | BAROMETR | | | | | TERMOMETR | | | | | cz. sredn. dzienna | WILGOTNOŚĆ NA 100 |
|-------|----------|---------|---------|---------|------|-----------|------|------|------|----|--------------------|-------------------|
| | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | | |
| 1 | 748.58 | 749.70 | 747.88 | 747.94 | 30.8 | 50.3 | 40.6 | 40.1 | 92.7 | | | |
| 2 | 748.42 | 750.46 | 748.59 | 746.74 | 2.5 | 4.4 | 2.8 | 2.4 | 94.1 | | | |
| 3 | 744.14 | 745.19 | 744.06 | 746.95 | 0.8 | 1.8 | 2.7 | 2.1 | 97.5 | | | |
| 4 | 747.34 | 749.50 | 750.64 | 750.21 | 0.8 | 2.0 | 1.6 | 1.4 | 95.5 | | | |
| 5 | 747.33 | 747.11 | 744.44 | 743.64 | 2.7 | 0.7 | 0.5 | 2.3 | 90.8 | | | |
| 6 | 744.07 | 745.58 | 745.85 | 740.54 | 1.4 | 1.4 | 1.6 | 0.3 | 91.2 | | | |
| 7 | 744.46 | 744.07 | 745.79 | 750.15 | 0.6 | 3.6 | 5.3 | 5.3 | 94.2 | | | |
| 8 | 749.61 | 750.70 | 751.21 | 753.17 | 5.4 | 8.7 | 9.4 | 9.2 | 96.0 | | | |
| 9 | 754.61 | 755.50 | 755.30 | 757.38 | 9.1 | 9.2 | 8.8 | 8.3 | 97.7 | | | |
| 10 | 756.08 | 756.95 | 754.98 | 755.23 | 8.1 | 7.7 | 7.5 | 9.2 | 92.7 | | | |
| 11 | 754.61 | 755.57 | 755.27 | 753.65 | 8.7 | 7.0 | 6.5 | 6.1 | 91.0 | | | |
| 12 | 753.23 | 752.42 | 753.12 | 754.16 | 3.8 | 4.7 | 7.7 | 6.8 | 91.9 | | | |
| 13 | 754.94 | 755.37 | 754.39 | 755.45 | 5.6 | 5.6 | 6.1 | 5.9 | 94.0 | | | |
| 14 | 755.85 | 756.41 | 754.81 | 753.68 | 5.6 | 5.5 | 5.0 | 4.8 | 100. | | | |
| 15 | 752.43 | 752.36 | 754.23 | 752.10 | 4.0 | 5.0 | 5.0 | 3.7 | 100. | | | |
| 16 | 752.73 | 753.53 | 751.20 | 748.03 | 2.3 | 1.8 | 4.0 | 5.5 | 99.2 | | | |
| 17 | 745.51 | 745.03 | 741.32 | 743.01 | 5.8 | 6.4 | 7.2 | 3.0 | 92.0 | | | |
| 18 | 745.55 | 751.48 | 752.62 | 753.02 | 3.3 | 2.7 | 2.4 | 1.8 | 91.2 | | | |
| 19 | 754.48 | 755.48 | 757.69 | 760.15 | 5.8 | 7.6 | 11.6 | 12.5 | 99.0 | | | |
| 20 | 760.95 | 763.37 | 765.90 | 768.67 | 14.1 | 9.2 | 11.6 | 14.5 | 100. | | | |
| 21 | 769.00 | 769.31 | 766.78 | 763.98 | 14.5 | 12.2 | 9.2 | 6.6 | 100. | | | |
| 22 | 765.36 | 764.32 | 766.50 | 767.12 | 4.2 | 2.6 | 2.8 | 3.0 | 99.6 | | | |
| 23 | 767.91 | 768.43 | 766.86 | 765.86 | 3.6 | 2.9 | 1.9 | 1.8 | 97.0 | | | |
| 24 | 764.03 | 764.03 | 762.82 | 756.56 | 2.1 | 1.4 | 1.3 | 1.7 | 97.0 | | | |
| 25 | 755.08 | 754.41 | 753.57 | 758.27 | 0.5 | 1.0 | 0.5 | 0.5 | 95.0 | | | |
| 26 | 761.91 | 764.03 | 765.15 | 766.72 | 2.1 | 1.5 | 1.3 | 1.3 | 92.7 | | | |
| 27 | 766.75 | 767.42 | 766.16 | 765.84 | 2.9 | 2.3 | 3.2 | 4.5 | 91.7 | | | |
| 28 | 764.75 | 766.04 | 764.96 | 765.05 | 4.8 | 4.8 | 5.4 | 5.0 | 96.0 | | | |
| 29 | 764.89 | 766.04 | 765.18 | 765.04 | 3.6 | 4.1 | 5.7 | 7.0 | 94.0 | | | |
| 30 | 764.11 | 764.25 | 762.52 | 760.91 | 7.5 | 6.9 | 5.9 | 4.5 | 100. | | | |
| 31 | 759.27 | 760.51 | 762.18 | 764.06 | 5.6 | 7.8 | 11.0 | 18.2 | 99.5 | | | |
| Śred. | 755.502 | 756.238 | 755.883 | 756.090 | 0°09 | 0°64 | 0°60 | 0°23 | 95.6 | | | |

STAN NIEBA

KIERUNEK WIATRU

| Data | STAN NIEBA | | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|-------|-------------|------------|-------------|---------------|------|-----------------|------|------|------|------|----------------------------------|-----|
| | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | | |
| 1 | połny | połny | połny | połny | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | 0.2 | |
| 2 | pr. pochm. | połny | połny | połny | Z. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | 2.4 | |
| 3 | połny | pr. pochm. | połny | pr. pochm. | Pd. | Pd. | Pd. | Pd. | Pd. | Pd. | | |
| 4 | połny | dészcz | połny | dészcz | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 5 | połny | połny | połny | połny | PdW. | Pd. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 6 | połny | chm. podz. | smugi | połny | Pd. | PdZ. | Pd. | Pd. | Pd. | Pd. | 4.2 | |
| 7 | połny | połny | połny | połny | PdZ. | Pd. | PdZ. | Z. | Z. | Z. | 2.6 | |
| 8 | połny | połny | połny | dészcz | PdZ. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | 7.6 | |
| 9 | dészcz | połny | dészcz | dészcz b. dr. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | 0.2 | |
| 10 | połny | połny | połny | dészcz drob. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 11 | dészcz | połny | połny | smugi | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | 1.2 | |
| 12 | połny | połny | połny | połny | Z. | PdZ. | Z. | PdZ. | Z. | PdZ. | | |
| 13 | połny | połny | połny | połny | PdZ. | PdZ. | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 14 | mgła grub. | mgła grub. | mgła | mgła | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 15 | mgła poch. | połny | połny | pr. pochm. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | 4.0 | |
| 16 | połny | połny | połny | połny | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | 2.4 | |
| 17 | połny | dészcz | połny | dészcz | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | 4.0 | |
| 18 | połny | połny | połny | połny | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | | |
| 19 | połny | połny | połny | połny | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | 0.1 | |
| 20 | połny | chm. podz. | połny | połny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 21 | pr. połny | chm. mias. | śnieg drob. | połny | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 22 | połny | chm. podz. | połny | połny | PdZ. | Pd. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | 0.2 | |
| 23 | połny | chm. podz. | połny | połny | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | | |
| 24 | połny | połny | połny | połny | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 25 | śnieg drob. | połny | połny | połny | PdZ. | Pd. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | PdZ. | | |
| 26 | połny | połny | połny | połny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 27 | połny | połny | połny | połny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 28 | połny | połny | połny | połny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 29 | połny | połny | połny | połny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 30 | połny | połny | połny | połny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 31 | połny | śnieg pr. | połny | połny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| Śred. | | | | | | | | | | | 24.8 | 4.3 |

| | mm. | c. | f. |
|--|-------------------------|----|-----------------------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 755.928 | 27 | 11.099 |
| Najwyżej dochodził — d. 21 o 10 g. r. | 769.31 | 28 | 5.032 |
| Najniżej — — d. 17 o g. 4 w. | 741.32 | 27 | 4.624 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 3.56 | | 1.58 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 17—18 o g. 4 w. | 11.30 | | 5.10 |
| Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających | 4.274 | | 1.895 |
| Średnia temperatura Grudnia wynosi: | 751.654 | 27 | 9.204 |
| i ta jest wyższą o | + 0 ^o .23 C. | + | 0 ^o .18 R. |
| od stanu normalnego z 21 lat poprzedzających | 2.74 „ | | 2.19 „ |
| Największe ciepło dochodziło d. 8 o g. 4 w. | — 2.51 „ | — | 2.01 „ |
| Największe zimno d. 31 o g. 10 w. (Termometrograf wskazał Maximum: + 8. ^o R. d. 8 w. Minimum: — 14. ^o R. d. 31 r.). | + 9.4 „ | + | 7.5 „ |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | — 18.2 „ | — | 14.6 „ |
| Największa zmiana dzien. d. 18—19 o g. 10 w. | 2.46 „ | | 1.97 „ |
| | 14.3 „ | | 11.4 „ |

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 95.6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 5,24 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z deszczu spadło wysoko na 24.8 millim. czyli 10.99 linij paryz.; z śniegu 4.3 millim. czyli 1.91 lin. paryz.; razem wody z deszczu i śniegu 29.1 millim. czyli 12.90 lin. paryz. to jest o 2.55 lin. par. mniej jak zwykle.

Dni pogodnych było 2; napót pogodnych 9; pochmurnych 20.

— deszczu 11 (d. 1, 4, 7, 8, 9, 10, 11, 13, 16, 17, 18).

— śniegu 3 (d. 19, 21, 25).

— mgły 4 (d. 14, 15, 16, 24).

— szronu 1 (d. 30).

Wichrów 1 PuZ.

Wiatr panujący Zachodni.

Grudzień był słotny, wilgotny, przeszło o 2 stopnie R. cieplejszy jak zwykle, deszcze były częste, ale nie obfite; śnieg trzy razy tylko pruszył i to w małej ilości. Wilgotność powietrza jest blisko o 2 setne większa jak w stanie normalnym; wyjąwszy dzień piąty i trzynaście dni ostatnich, inne dni były ciepłe i powietrze było łagodne. Pod względem stanu powietrza Grudzień był więcéj jesiennym niż zimowym miesiącem.

D. 2 i 11 wieczorem, koło białe otaczało księżyc.

D. 6 między godziną 6 i 7 w wieczór zorza zwierzyńcowa świeciła w stronie zachodniej.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY PO KRAJU,

**odbytej przez 8 uczniów Instytutu Agronomicznego
w Marymoncie, pod przewodnictwem Wojciecha Ja-
strzębowskiego, w czasie wakacyj, t. j. w miesi-
cach lipcu i sierpniu 1848 r.**

(Dokończenie).

Z Ireny poszliśmy już prosto do Zawichostu przez grunta mniej więcej piaszczyste i lesiste. Na wstępie w Sandomiérskie zachwyciliśmy się wspaniałym widokiem Wisły, téj matki rzék naszych, wijącej się szeroką taśmą po wschodniej stronie dopiero co wspomnionego miasta, które zabudowane w części domami drewnianemi, a w części murowanemi, oraz pięknemi kościołami i licznemi śpichlerzami, liczy obecnie 2,600 mieszkańców. Zawichost jest miastem dosyć starożytném, bo jeszcze Bolesław Wstydlivy założył tu w r. 1258 klasztor dla zakonnicy stéj Klary, których przełożoną była sta Salomea, wdowa po Kolomanie królu halickim, córka Leszka Vgo i Grzymisławy księżnej ruskiej, a siostra Bolesława Wstydliviego; lecz dla częstych napadów tatar-

skich, te panny zakonne przeniosły się najprzód do Skąpy, a nakoniec do Krakowa.

Tu zaczyna się glina tak zwana sandomińska, powszechnie sławna nawet za granicą ze swęj urodzajności, a składająca się głównie z gliny, drobnęj krzemionki, wapna i małej ilości wodoru żelaza, któryto tęg ziemi jęg żółtawy kolor nadaje.

O znacznym stosunku krzemionki wchodzącęj w skład ziemi sandomińskieję, zapewnia sama dość wyraźnie dającą się czuć jęg ostrość pomiędzy palcami, a o bytności wapna, udzielającęgo tęg ziemi własności marglu glinianego, przekonać się można z burzenia, jakie daje się na nięg postrzegać, kiedy ją polewamy jakim kwasem, a nawet mocnym octem.

Ziemia sandomińska odznacza się tą własnością, że potoki wody śniegowęj i deszczowęj, łatwo wydrążają w nięg głębokie parowy, których pochyłości porastając potem esparcettą, macierzanką i innemi pastewnemi oraz lekarskiemi roślinami, stają się nietylko pożytecznemi dla zwierząt i ludzi, ale jeszcze miły czynią widok dla oka podróżującęgo, jaki zawsze okolice wzgórzyste nam sprawiają. Wyrwana ziemia przez pomienione potoki, niesioną bywa do Wisły i nadaje jęg znaną płową barwę, a osadzając się podczas powodzi na niskich jęg brzegach pod imieniem *mułu* czyli *mady*, udziela im swojęj żyzności, jakięj przykład przedstawiają nam na znaczną skalę pola sieciechowskie, żuławskie i wszystkie tak zwane Powiśla. Ziemia o której tu mowa, nie samym tylko okolicom Zawichostu i Sandomierza jest właściwą: bo także większa część lubelskiego, krakowskiego a nawet płockiego, oraz ziemi dobrzyńskieję i chełmińskieję, jęg winne są swą żyzność. Pozbawiona ona jest,

mianowicie w południowych okolicach naszego kraju, prawie całkowicie zwyczajnych kamieni polnych i żwiru, w skutku czego właśnie daje tak łatwo w sobie wydrążyć przez potoki, pomienione głębokie wąwozy i parowy; ale nierzadko natrafiają się w niej kości olbrzymich zwierząt przedpotopowych, które wraz z kamieniami polnemi, jakie się szczególnie w okolicach północnych na polach w tej glinie znajdują, przez wodę (na krach lodu) z północnych okolic w nasze strony, kiedy te jeszcze były zajęte morzem, przyniesione zostały.

Ziemia sandomińska, wraz z innymi gliniastymi i piaszczystemi pokładami, stanowi tak zwaną *formację potopową*, która spoczywa bezpośrednio na *formacji krédowej*, jak to uważaliśmy w samym Zawichoście, gdzie właśnie opiera się ona bezpośrednio na krédzie chlorytowej czyli żelaznej opoce krédowej, zafarbowanej tém samym połączeniem chemiczném (1), które nadaje zwyczajnemu szklu butelkowemu zielonawą barwę. W innych miejscach, wspomniona formacja potopowa spoczywa na *formacji gliny plastycznej* czyli garncarskiej, i na tak zwanych *skałach trzeciorzędowych*: co w wielu miejscach na urwistych brzegach Wisły, jak np. koło Warszawy, Płocka i Dobrzynia widzieć się daje.

Co do wspomnionych wąwozów, które woda wydrąża w glinie sandomińskiej, wypada tu uczynić uwagę, że w niektórych miejscach używają już oddawna przeciwko temu złemu bardzo prostego i skutecznego środka, jakim jest grodzenie poprzecznych chruścianych płotków w tychże wąwozach, i zasadzanie ich wierzbiną lub

(1) Krzemionkan potażu i żelaza.

innemi drzewami; przez co nietylko zapobiega się dalszemu wrywaniu z nich ziemi, ale jeszcze otrzymują się tym sposobem piękne gaiki, które zwłaszcza w tak bezleśnych okolicach, jakimi są sandomiérskie i krakowskie, stają się, a przynajmniej stać się będą mogły kiedyś bardzo użytecznemi i miłemi.

Wśród gór i wąwozów, między zielonemi dolinkami i złotemi łąkami słynnej tutejszej pszenicy, poszliśmy do Sandomiérza. Na małe ćwierć mili przed tém miastem, zatrzymały nas godne widzenia tak zwane *góry Pieprzowe*, wznoszące się przy lewym brzegu Wisły. Należą one do formacyi przechodowej, a składają się z łupku tromatowego czyli szarowakowego, który się tu piętrzy w dość wysokie strome skały, złożone z warstw prawie pionowo nad powierzchnią ziemi, siłą ognia podziemnego wystawionych. Lecz nie pożałuje swych trudów, kto się dostanie na najwyższe szczyty tych gór; wnet bowiem odstąpią mu się miasteczka i wsie na mil kilka nawet odległe, obszerne bory wydadzą się tylko jak gaiki, pola jak ogrody, łąki jak trawniki, rzeki jak srebrne wstęgi; jedna Wisła, posuwając się wolnym krokiem u ich podnóza, usiłuje utrzymać swoją wielkość prawdziwą, lecz i ta coraz bardziej się zwęża, maleje i znika nareszcie.

Sandomiérz zdaleka uważany, do dziś dnia zachowuje pozór starożytnego miasta: zbudowany jest bowiem na wzgórzu dość wyniosłym, stanowiącém część lewego brzegu Wisły. Ma 5 kościołów wraz z kilkoma klasztorami, nad któremi wznoszą się drugie tyle wyniosłych wież i ostatki zczerniałego muru, postawionego przez Kazimiérza Wielkiego. Przytém jest tu zamek zbudowany przez tegoż króla, a odnowiony przez Zygmunta Igo,

i ratusz z wieżą, co wszystko przekonywa nas o dawniej wielkości, zamożności i kwitnącym stanie tego miasta. Dziś ono już znacznie podupadło; wszystkie dawne budynki, szybkim bardzo krokiem dążą ku upadkowi: mur otaczający miasto, jako też i bramy (których ma 4 główniejszych), są w oplakany stanie, nawet bruku nie ma w znacznej części miasta! Godną zwiedzenia jest tutejsza katedra wspaniała i okazała, w której wiele pięknych ozdób widzieliśmy; szczególnież zasługują na wspomnienie obrazy dawnego już bardzo pędzla, a przedstawiające męczeństwa poniesione w Sandomierzu w czasie pierwszego napadu Tatarów r. 1241 (1). Obecnie znajduje się tu 630 domów i 3000 mieszkańców.

Koło Sandomierza, a szczególnież ponad stromemi brzegami Wisły, w bliskości kościoła katedralnego, znaleźliśmy bardzo rzadkie i prawie nigdzie w kraju nieznające się rośliny, znane w Botanice Opisowej pod nazwiskiem: *Sisymbrium tenuifolium*, *Zygophyllum fabago* i *Xanthium spinosum*.

Opuściwszy piękne brzegi Wisły, których trzymaliśmy się od Zawichostu, puściliśmy się do Ossolina, dóbr hr. T. Potockiego, których zarządem trudni się gorliwie p. Zimmerling b. u. I. G. W. i L. w M. Niedaleko za dworem wznosił się zamek sławny przepychem i bogactwami swemi, zbudowany w r. 1636 przez Jerzego Ossolińskiego; zwaliska jego wznoszące się od fundamentu na skale krzemionkowej (kwarcowej), należąc

(1) Jeden z dotąd żyjących legionistów wysłanych na wyspę San-Domingo, pułkownik W., zapewniał, że widział w pewnym kościele na wyspie Kubie kopią tych obrazów.

do formacyi przechodowój, przypominają jeszcze świetność téj budowli.

W Pęchowie, dobrach p. Piątkowskiej, gospodarstwo znacznie się podnosi; grunt tu jest doskonały, pszenny. Iszej klasy, tak jak wszędzie w okolicy; podstawą pól jest tu formacya krédowa, a na niej dopiéro spoczywa glina urodzajna.

Dążąc ztąd do Plant, dóbr p. Łempickiego, zatrzymaliśmy się w wiosce Ujazd, dla podziwienia olbrzymich zwalisk zamku tutejszego, zbudowanego przez Krysztofa Ossolińskiego wojewodę sandomińskiego, w r. 1631. Zamek ten należał do najpiękniejszych w Polsce, i do dziś dnia jego gruzy są pomnikiem dumy i bogactw założyciela. Przez 30 lat tłumy jeńców i niewolników pracowały nad wystawieniem jego, a koszta budowy 5 milionów wynosić miały. Zamek ten szczylił się groźnie 4 basztami na pamiątkę 4 pór roku; sal w nim było tyle, ile miesięcy; pokoi, ile tygodni; a okien, ile dni w roku. Gród ten stoi na wzgórzu skalistém (formacyi przechodowój), niedaleko lasu; dawniej był wałami i fosami otoczony, a w środku miał studnię kamienną, w której znajdowała się obficie woda źródłana bijąca, lecz teraz jest już w części zasypaną. Po moście spuszczanym wchodziło się do bramy zamkowej, gdzie wyrobione są z kamienia w dużym kształcie po prawej stronie topór, a po lewej krzyż; sąto herby założyciela, od których téż cały gmach nosił nazwisko *Krzyż-topór*. Zamek ten miał aż trzy piętra, a przepych jego miał być nadzwyczajny i to we wszystkich szczegółach; bo żłoby nawet w stajni miały być marmurowe, a przed każdym koniem we framugach, które jeszcze dobrze znać, miały się znajdować zwierciadła.

Dziś jest już wszystko w ruinach, lecz te ruiny nawet wprowadzają każdego w podziwienie dawniej wielkości i sławy tego zamku, i nakazują niejako poszanowanie dla jego starości pełnej pamiątek.

O patrz! bezsilny starzec jak dumnie wznosił czoło,
Choć mu je troską zorał nieprzyjazny los,
Patrz, jak dumnym wzrokiem spogląda wokół,
Choć może czas, ostatni wnet mu zada cios (1).

Obok tego zamku stało wiele jeszcze budynków, lecz ręka czasu zniszczyła już wszystkie; zostały tylko zwaliska jakiegoś budowli, które miejscowi ludzie za dawną pralnię podają.

W Kobylanach, dobrach p. Rudnickiego, byliśmy zbudowani porządkiem i akuratnością, panującą w najmniejszym zakątku, oraz pięknnością budynków gospodarskich, posuniętą aż do zbytku. W stajni i w oborze, przedzielonych od siebie ścianą, porobione są u góry małe otwory skośno w odległości kilku stóp od siebie; takie otwory znajdują się i w innych ścianach, równie ukośnie prowadzone, lecz idące od wschodu ku zachodowi, tym bowiem sposobem deszcz, śnieg i t. d. nie mogą dostać się tak łatwo wewnątrz budynku, a przewietrzenie jego odbywa się jak najlepiej; przytém powietrze obudwóch stajen miesza się, i wywiera przez to zbawienny wpływ tak na bydło, jak i na konie. Bydło jest krajowe, uszlachetniane szlaskimi buhajami; każda krowa stoi na łańcuchu w czystości, i przynosi 60 złp. czystego zysku za mléko, zakupywane od miejscowego pachciarza. Chociaż cały inwentarz jest piękny i dobrze utrzymany, jednak owce grają tu główną rolę, tak przez swoje wysokie uszlachetnienie, jako téż i przez znaczną

(1) Przez M. G.

liczbę; wszystkie są znaczone na uchu, a parzenie odbywa się od ręki. Gdy się jagnię urodzi, zapisuje się w regestr numer, który mu na ucho przyciśnięto, jako też numer ojca i matki; przez co rodowód owiec każdemu może być okazany, a owczarnia taka nie może jak tylko podnosić się ciągle, tém bardziej, że nowe tryki bywają corocznie sprowadzane, dla wyższego uszlachetnienia stada.

O stodołach, kurnikach, które są na piętrze, i innych budynkach gospodarskich, nie mogę nic więcej powiedzieć, jak żeby mogły służyć za wzór do naśladowania; tak w każdym miejscu jest coś nowego do nauczenia się, co i pożytek przynosi, a oko zatrzymuje i pieści. Przed 15 laty, były tu między zabudowaniami gospodarskimi góry i doły przykre; p. Rudnicki dopiero zniwellował to wszystko i zrównał z wielkim kosztem na dwa równe dziedzińce, z których jeden o wiele niżej leży od drugiego.

Gospodarstwo jest czwórpolowe, a uprawa mechaniczna gruntu bardzo staranna.

W Opatowie zatrzymaliśmy się dla obejrzenia starożytnej wspaniałej kolegiaty; szczególniej zdoła ją wiele malowideł *al fresco*, wyobrażające różne wypadki z pisma świętego; również godne zwiędzenia w tém miejscu są okazałe groby Szydłowieckich, dawnych posiadaczy tego miasta. Jedna część Opatowa zamieszкана jest tylko przez chrześcian, i w téj części miasta jest dosyć obszerny rynek; żydzi mieszczą się w znacznej odległości w kilku ulicach niebardzo porządných. W ogóle jednak miasteczko to jest bardzo handlowne, ma 480 domów i 2000 mieszkańców.

Dążąc ztąd do Brzostowy, wsi należącej do dóbr Ćmielów, spostrzeżliśmy mnóstwo esparcetty dziko rosnącej, oznaczającej bytność wapna w gruncie.

W Brzostowej, p. Ostromecki okazał nam tamtejszą cukrownią, założoną w roku 1840, a urządzoną przez p. Clemandot, dyrektora téj cukrowni; kosztowała ona 60,000 złp., a przerabia rocznie około 8,000 korcy buraków, wyciągając 9 funt. cukru z każdego korca. Ponieważ tu nie ma rafineryi, więc wyprodukowany cukier odstawia ta cukrownia do Szymanowa, sprzedając po 28 gr. funt; koszta zaś dostawy każdego centnara cukru wynoszą złp. 4.

Niedaleko ztąd, w rozległej nizinie, leży niewielkie miasteczko Ćmielów, mające 180 domów, położone nad rzeką Kamienną, w którym znajduje się fabryka porcelany i fajansu. P. Weis dyrektor tych zakładów, zaprowadził nas do głównego składu, gdzie widzieliśmy mnóstwo przeslicznych wyrobów porcelanowych i fajansowych, mogących walczyć z zagranicznymi o pierwszeństwo; lecz że tego dnia było święto, więc w samej fabryce nie byliśmy.

Trzymając się brzegów rzeki Kamienny, doszliśmy obok jéj łożyska do Bodzechowa, gdzie są znaczne zakłady żelaza, a mianowicie piec wielki i parę fryszerok. Znajduje się tutaj kilka gatunków rudy żelaznej, z których ruda ilasta płowego koloru, jest najlepsza; składa się ona z niedokwasu czerwonego żelaza, jako téż z kwasu węglowego i krzemionkowego. Wszystkie maszyny obraca wyżej wspomniana rzeka, będąca tu koloru brudno-żółtego i bardzo mętna.

Jeżeli dalej jeszcze pójdziemy za biegiem téj rzeki, dojdziemy wkrótce do miasteczka Kunowa, sławnego

według podań dawnych pisarzy z kopalni marmuru różnokolorowego, a szczególnie czerwonego i zielonego, którego tu teraz ani śladu nawet niema. Miasteczko to jest małe; prócz kościoła murowanego, ma same drewniane domki, a nawet nie jest brukowane, pomimo obfitych łomów kamienia piaskowego, znajdującego się za miastem. Większa część ludności tutejszej składa się z kamieniarzy i rzeźbiarzy z ojca, dziada i pradziada; przed każdym też domem można widzieć ogromne głazy, już to nieobrobione jeszcze, już to w kształcie kamieni młynskich, nagrobków, różnych świątyn i t. d.

Łomy piaskowca w tém miejscu są bardzo obfite; góry piętrzą się obok siebie, przedzielone tylko głębokimi wąwozami, na dole których mruczy kryształowy strumyk, pieniąc się po kaskadach, a każda góra błyszczy doskonałym kamieniem. Na wierzchu znajduje się najczęściej formacja piaskowca białego, współczesnego formacji krédowej, przykrytego warstwą ziemi urodzajnej.

Ztąd udaliśmy się pięknymi okolicami wśród wąwozów i gór, zawierających dopiero co wspomniany piaskowiec, do Garbacza, dóbr p. Gołuchowskiego, a w których p. Ablamowicz b. u. I. G. W. i L. w M. gorliwie się zajmuje gospodarstwem. Inwentarze utrzymane są tu w dobrym stanie, a zabudowania gospodarskie są bardzo porządne. Na uwagę zasługuje duża stodoła murowana, długa na 132 łokcie, a 32 szeroka; gorzelnia jest również murowana i w niej znajdują się: manez obracany kołmi, który porusza stępy do tłuczenia gipsu (jestto pomysł właściciela), młynek do mielenia ziemniaków, walce do gniecienia słodu zielonego, przytém jest pompa sprowadzająca wodę rurami o wiorstę na drugie piętro budynku; znajduje się tam również kiszka 40 łokci dłu-

ga, która w czasie pożaru łatwo może być zastosowana do sikawki.

Grunta są tu podzielone na urodzajne i na mniej żyzne. Na pierwszych zmianowanie jest 9polowe, a mianowicie: 1) ziemniaki na świeżym nawozie; 2) jęczmień z koniczyną; 3) i 4) koniczyna; 5) pszenica; 6) owies z koniczyną; 7) koniczyna; 8) pszenica; 9) owies. Na gruncie mniej żyznym, zaprowadzona jest kolej 4polowa, to jest: 1) żyto; 2) owies z koniczyną; 3) koniczyna; 4) ugor. Dawniej było tu dosyć, szczególnie na wzgórkach, tak zwanéj *bielicy*; jestto margiel gliniasty, na którym nie się rodzić nie chciało, i z téj przyczyny znaczna część gruntów spoczywała bez żadnego prawie użytku. P. Gołuchowski uważając, że *esparcetta* (*Hedysarum onobrychis* v. *Onobrychis sativa*) wszędzie sama wyrasta obficie, sprowadził nasienie takowéj z Wiednia, i zaraz obsiał część pomienionych nieużytków. W pierwszym roku *esparcetty* prawie nie było znać, w drugim bardziej się już zazieleniła, w 3cim znacznie się podniosła i była koszoną, a w 4tym, 5tym, 6tym i 7mym była ogromna, ciemno-zielona i dwa razy do roku się kosiła. Po upływie tego czasu pole to zostało zaorane, a *esparcetta* tak poprawiła ziemię swemi korzeniami, które w niej pozostały, że cała kolej płodozmianu bez nawozu doskonale się udała; poczem znowu uprawia się *esparcettę*. W téj kolei dwa razy zasiewa się z wielkim korzytkiem pszenica na tak użyznionej ziemi, na której dawniej, to jest przed uprawą *esparcetty*, nawet owies nie udawał się. Wielka szkoda, że wspomniona pastewna roślina jest jeszcze tak mało rozpowszechniona w naszym kraju; tém bardziej, że się krzewi bujno na najgorszym nawet gruncie, na suchym, na płytkim, wszędzie,

byleby warstwa dolna była wapienną: a jednak rolę na której rosła użyźnia, daje siano najlepsze ze wszystkich roślin pastewnych, schnie bardzo prędko, w stanie zielonym spożyta nie odyma bydła, trwa na jedném miejscu bardzo długo, i nakoniec daje kilkakrotny obfity pokos do roku. Oprócz tak korzystnej uprawy esparcetty w dobrach garbackich, zasługuje tu jeszcze na wzmiankę ta okoliczność, że na jednym pognoju sadzą tu często dwa razy i to tuż po sobie ziemniaki; drugi plon jest wprawdzie mniejszy od pierwszego, ale zawsze tak znaczny, że się uprawa należycie opłaca. Koniczynę gipsują tu z wielkim skutkiem; pokazano nam kilka zagonów, umyślnie niegipsowanych, które się bardzo nędznie wydawały, obok ogromnej ciemno-zielonej gęstej koniczyny posypanej gipsem.

Widzieliśmy w dobrach tych ogromne łomy piaskowca czerwonego, używającego się do budowy i na kamienie młyńskie, a należącego do formacji piaskowca czerwonego, spoczywającego bezpośrednio na skałach przechodowych.

Ztąd odesłano nas do Nowej Słupi, miasteczka leżącego u podnóża góry Śto-Krzyżkiéj, a mającego już znaczne wysokie położenie. Droga ćwierć milowa ztąd na wierzchołek dopiero co wspomnionéj góry, była dla nas niezmiernie utrudzająca i przykra, ponieważ koń z bryczką, ciągnący nasze podrózne rzeczy za nami, ustał na samym wstępie, byliśmy przeto zmuszeni wciągać sami bryczkę po bezdrożach i urwiskach, bo prostéj drogi niéma; jednak rozweselała i rozśmieszała nas myśl porównania naszego przypadku z przeprawą Annibala lub Napoleona przez Alpy. Po drodze widzieliśmy z kamienia niekształtnie wykutą klęczącą osobę znacznie już uszkodzoną, i kilka ka-

pliczek murowanych. Góra ta zowie się Śto-Krzyżką od małego kawałka drzewa z krzyża Chrystusa Pana, który śty Emeryk królewicz węgierski miał z natchnienia Boskiego darować kościołowi znajdującemu się już podówczas na wierzchu téj góry; dziś jest ona po większej części zarosła gęstym lasem, jednak znajdują się tu w kilku miejscach wielkie łomy skały krzemionkowej (kwarcowej), niezarosłe lasem, bo tam kamień leży na kamieniu. Takie miejsca zowią tu *łysicami*, a nawet całe pasmo gór dostało od nich nazwisko *Łysych*; na tychto łysicach, według ludowego uważania, mają czarownice swoje harce i tany na miotle odprawiać.

Góra Śto-Krzyżka wznosi się dziś na 1882 stóp nad poziom morza, lecz zdaje się, że musiała być wyższą kiedyś, czego domyślać się można z tego, że od dołu do góry ciągle się zwięzając, kończy się nagle równiną dosyć wielką; przytém widzimy u wierzchu szczególniej rozburzone skały (zapewne skutkiem trzęsienia ziemi), które formują łysice, i które zasypawszy całą górę, zatrzymują się dopiero u jéj podnóża. Na szczycie téj góry znajduje się starożytne opactwo Benedyktynów, założone w r. 1008 przez Bolesława Chrobrego; w roku 1447 i 1459 z przyczyny wielkiego pożaru, musiało być drugi raz odbudowane; nakoniec w r. 1777, okropny ogień jeszcze raz ogarnął te mury, które się od niego tak porysowały i popekały, że je musiano rozebrać i zupełnie nie wykończono tego opactwa aż w roku 1806. Klasztor tutejszy jest już nieco opustoszały, a kościół chociażby równie potrzebował reperacyi, jest jednak jeszcze bardzo wspaniały. Wyłożony jest on kamieniem ciosowym z piaskowca kunowskiego, bo skała krzemionkowa z przyczyny niekształtności swych łomów i tru-

dnosci z jaką się obrabia, jest mało zdalna do budowy; wewnątrz zaś kościół ozdobiony jest 7 ołtarzami z takąż liczbą obrazów, przez Smuglewicza po mistrzowsku wykonanemi. W wielkim ołtarzu zwraca uwagę śliczny obraz wystawiający Tróję Świętą, na ścianach zaś po 3 z każdej strony uderzają następujące obrazy: 1) sty Benedykt, zatrzymany pomimo swój woli późno w noc wraz z kilku zakonnikami w mieszkaniu swój siostry świętej Scholastyki przez ogromną burzę, sprowadzoną na modlitwę téjże świętej, która chciała się cieszyć dłużej rozmowami duchownemi swego brata (1); 2) Zwiastowanie N. P. Maryi; 3) ofiarowanie krzyża złotego z częstką drzewa z krzyża Jezusa, tutejszemu klasztorowi, przez śgo Emeryka syna Gejzy króla węgierskiego (któryto krzyż tu się znajduje); 4) sty Benedykt umierający; 5) znalezienie krzyża Jezusa Chrystusa; 6) śmierć śgo Józefa (2). Przymót zdołają jeszcze ten kościół piękne grobowce Oleśnickich, znajdujące się w ich kaplicy, i wieża bardzo wysoka, z której uroczy i zachwycający jest widok na kilkanaście mil w około; ogromne lasy rysują się tu jak klomby angielskiego ogrodu, wsi i domów dokładnie rozeznacć nie można, a góry sąsiednie dosyć nawet wysokie, znacznie maleją.

Zszedłszy z téj góry drogą przykrą wśród łomów skały krzemionkowej, wstąpiliśmy do wsi Krajna dla obejrzenia znakomitej owczarni rządowej, mogącej się liczyć do najpiérwszej w naszym kraju, zkad ruszyliśmy prosto

(1) Reguła tych zakonników nakazuje im noc koniecznie w klasztorze przepędzać.

(2) Dlatego wyliczyłem te obrazy szczegółowo, że należą słusznie do arcydzieł znakomitego naszego malarza F. Smuglewicza.

na szczyt góry Śtėj Katarzyny, u podnóža której widzieliśmy pogorzeliſko kościoła z klasztorem PP. Bernardynek, założonego za panowania Kazimiérza Jagiellończyka, który się spalił dopiero w roku 1847.

Wejście na górę Śtėj Katarzyny od strony klasztoru jest równie dosyć utrudzające; jest ona, tak jak góra Śto-Krzyżka i wszystkie okoliczne gęstym lasem zarosła, w którym znajdują się głównie buki, jawory, świerki i jodły, a niedaleko wierzchołka natrafiliſmy na kilka obszernych łysic ze straszliwych łomów skały krzemionkowej, wśród których znajdują się drobne kryształy górne na niektórych łomach. Kryształ górny jestto krzemionka krystaliczna, mająca zazwyczaj postać graniastostupa sześciobocznego, zakończonego piramidą także sześcioboczną. Wchodząc na tę górę, byliſmy okrażeni tak gęstą mgłą, że trudno było dostrzedz jakiegokolwiek przedmiotu, kilkanaście kroków odległego; lecz gdyſmy się już znaleźli na jėj szczycie, wznoszącym się na 1962 stóp nad powierzchnią morza, znaleźliſmy się wśród najpiękniejszėj pogody, a mgła, przez którą nie mogliſmy przedtém dobrze patrzeć, była to chmura, na którą teraz dumnie patrząc, widzieliſmy, jak pod naszymi nogami przechodziła. Ztądto spostrzeegliſmy, że całe pasmo tych gór rozgałęzia się na dwa ramiona: jedno ciągnące się z zachodu na wschód od Miedzianėj góry ku Opatowu, odznacza się głównie górą Śtėj Katarzyny i Śgo Krzyża; drugie zaś ramię idzie w kierunku południowym od Śgo Krzyża, między miastami Łagowem i Kielcami.

Opuściwszy góry Łyse, udaliſmy się w Krakowskie ku Kielcom.

Sandomiérskie, a przynajmniej jego południowo-wschodnia część którą zwiedziliśmy, jest żyzną i bogatą krai-
ną; ziemia sandomiérska słynie nawet za granicą ze
swój pszenicy, a bliskość Wisły sprzyja bardzo handlo-
wi. Lasów, prócz w wyżej wymienionej ziemi, jest jeszcze
dosyć, brak zaś lasu w téj okolicy ztąd pochodzi, że na
tak dobrym gruncie zboże nierównie większy dochód
przynosi niż drzewo. W powiecie opatowskim wyrabia-
ją wielką ilość żelaza, góry Kunowskie zaopatrują znaczną
część Polski swemi kamieniami budowlanemi i rzeźbiar-
skimi, lud nakoniec jest wesoły, ochoczy, zdrow i silny.

Kielce jestto miasto starożytne, bo za panowania Ka-
zimiérza II Sprawiedliwego założono tu już kolegiatę.
Należało ono do biskupów krakowskich, którzy tu lubi-
li przebywać; jeden z nich wybudował na wzgórzu za-
mek, który połączył z kolegiatą. Starowolski twierdzi,
że w bliskości miały tu być kopalnie złota, srebra, mie-
dzi i lazuru, z których biskup pod miastem, a król pod
Chęcunami pobierali dochody. Dziś miasto to jest pię-
kne, ma 360 domów po większej części murowanych
i 4,400 mieszkańców chrześcian, a ozdobione jest wspa-
niałą kolegiatą N. P. Maryi; znajduje się tu również
szkoła wyższa realna, seminaryum, obszerny szpital dla
chorych, i piękny ogród spacerowy publiczny.

Nająwszy sobie konie, ruszyliśmy ztąd przez Chęciny
do Jędrzejowa. Ujechawszy ćwierć mili, byliśmy na-
przeciwko dość wysokiej góry *Karczówki*, leżącej jednak
w znacznej odległości w bok od głównego traktu; na téj
górze wznosi się kościół z klasztorem OO. Bernardy-
nów, wydający się uroczyście zdaleka. W połowie dro-
gi między Kielcami a Chęcunami leży Białogon, sławny
fabrykami swemi żelaznemi, w których wyrabiają wszel-

kie maszyny a szczególnie gospodarskie, żelazne balkony i t. d.; lecz że tego dnia było święto, więc nie wstępowałyśmy tam, dopiero w Chęcinach zatrzymaliśmy się trochę, dla zwiedzenia zwalisk starożytnego zamku, będącego na wysokości górze, u podnóża której osiadłe jest samo miasto. Dawniej było ono zamożnym, miało bowiem kopalnie srebra, lazuru, ołowiu i marmuru; dziś jednak miasteczko to bardzo podupadło, nie ma nic prócz dobrego marmuru, z którego miejscowi rzeźbiarze wielką część Polski swemi wyrobami zaopatrują, a zamieszkałe jest w większej części od 2,900 żydów, trudniących się troskliwie handlem.

Wejście na górę zamkową jest dosyć strome i utrudzające, ale widok jest zachwycający na kilka mil wokoło. Zczerniałe ostatnie szczątki tego starożytnego grodu, są jeszcze bardzo mocne, szerokie i wiele lat przetrwać mogą z pewnością. Zamek ten zbudowany jest na pokładach wapienia przechodowego (marmuru) siniego i paskowanego, wznoszących się prawie pionowo nad powierzchnią ziemską; przyczyna zaś tego pionowego kierunku pokładów, o których mowa, jest ta sama, jaką wymieniliśmy, mówiąc o górach Pieprzowych, znajdujących się pod Sandomierzem.

Jędrzejów jestto wesołe miasteczko, mające 1,500 mieszkańców samych chrześcian; jest ono ozdobione dawnym kościołem farnym, a teraz znacznie się podnosi przez dwa walne jarmarki na konie: jeden na Śty Jan, a drugi na Śty Michał, na które obywatele zjeżdżają się o kilkanaście mil nawet.

Ćwierć mili za miastem, rozpościera się starożytne opactwo Cystersów, otoczone szerokim murem, a zało-

żone w roku 1140; było ono dawniej bogato uposażone, do niego należało miasto Jędrzejów i wiele dóbr ziemskich, lecz teraz dochody jego są niezmiernie zmniejszone. Klasztor tutejszy jest nieco opustoszały i podupadły, również jak i kościół, który jednak pomimo tego jest jeszcze bardzo wspaniały; sławne są jego organy, które mają być największe w Polsce, lecz podczas ostatniego pożaru, część ich ogień zniszczył. W tym kościele leżą szacowne zwłoki wielkiego kronikarza naszego Wincentego Kadłubka, który będąc biskupem krakowskim, porzucił infułę, przenosząc ubogi habit Cystersów, nad bogactwa i honory swoje poprzednie; zasnął ten święty człowiek w Bogu roku 1223.

Na milę od tego miasteczka, rozkładają się wśród pięknych widoków w powabnym miejscu dobra Zagaj, własność p. Chwaliboga. Grunt tu jest dobry pszenny Iszej klasy, lecz trochę zaciężki i pracowity, bo do pług mniej jak sześć wołów zaprządzić nie można, a obok tego grunt ten ma i tę niedogodność, że gdy tylko susza dłuższa nastanie, to zaraz ziemia bardzo stwardnieje, a nawet i popęka, i wtedy żadna już uprawa jej mechaniczna jest niepodobną. Urodzaje widzieliśmy tu piękne, szczególniejszej pszenica była śliczna. Ponieważ w dobrach tych brakuje łąk, więc sieją tu wiele roślin pastewnych, które sownie siano zastępują, czego najlepszym dowodem jest pięknie wyglądający tutejszy inwentarz.

Ztąd odwieziono nas do miasteczka Pinczowa, położonego w pięknej okolicy nad Nidą, a zamieszkałego po większej części przez żydów; posiada ono 620 domów i 4,100 mieszkańców, ma obszerny rynek, w środku którego była niegdyś fontanna. Znajduje się tu kilka kościołów, z których najznacniejszy jest klasztor OO. Refor-

matów, a całe miasteczko było dawniej mocnym murem opasane. Od północnej strony miasto osłonięte jest górami dość wyniosłemi, w których są łomy kamienia wapiennego grubo-ziarnistego, należącego do tak zwanej formacji 3cio-rzędnej, doskonałego do budowl i na rzeźby, bo wyjęty z łona góry, jest dość miękki, później zaś twardnieje i jest bardzo wytrzymały na wpływ powietrza. Na jednej z tych gór stał wielki obronny zamek, zamieszkały najprzód przez Oleśnickich, następnie przez margrabiów na Mirowie z Gonzagów Myszkowskich, którzy tu ordynacyą założyli, a nakoniec po wygaśnięciu tej rodziny, przeszła ordynacya w ręce hr. Wielopolskich, którzy się tytułują margrabiowie z Wielopolskich Gonzagi Myszkowscy.

W okolicy tego miasta widzieliśmy mangan w stanie ziemistym.

Dążąc ztąd do Buska, natrafiliśmy na kilka skał gipsu blaszkowatego, który się tu w obfitości znajduje, a w wielu miejscach stanowi wraz z gipsem zbitym, łupkowatym, podstawę gruntów ornych, często tak płytko pod powierzchnią ziemi znajdującą się, że ją lemieszem dosięgają. Grunt wszędzie jest bardzo tłusty, ciemno-żółty, a miejscami zupełnie czarny, pszenica też w tych stronach doskonale się udaje; lecz mieszkańcy muszą używać do orania najmniej 6 wołów, a nawet często zmuszeni są 8 zakładać. Tu widzieliśmy także dość często anyż i koper włoski na polach uprawiane. Góry tutejsze obfitują w kamień wapienny doskonały do murowania, bo jest twardy, a łupie się w cienkie tafle.

Busko jest niewielkie, lecz porządne, czyste, a w lesie wesole miasteczko; dawniej było całkiem drewniane, lecz teraz ciągle się wznosi i corocznie prawie powię-

ksza się nowemi budynkami murowanemi. Gustowny piękny kościół i ogród spacerowy będący w środku miasta, jako téż inny spacerowy z owocowym połączony, znajdujący się zaraz przy mieście, są głównemi jego ozdobami.

Ćwiercio-milowa ulica, piękna i szeroka, czwórma rzędami drzewek wysadzona i drobnym żwirem wysypana, prowadzi ztąd do źródła i łazienek. W drugiej połowie przeszłego stulecia, była w tém miejscu znaczna warzelnia soli, lecz że ta fabrykacya nie przynosiła należytego zysku, więc ją zaniechano, a natomiast wymurowano okazałe łazienki, takie, jakie dziś widać. Dobrana, huczna muzyka rozweselała przez cały poranek licznie zebranych gości ze wszystkich części Polski, którzy tu bawiąc się zdrowie odzyskują.

Przechodząc przez wieś Skorocice, zostaliśmy zdziwieni ogromnemi skałami gipsu blaszkowatego; tworzą one tu piękne grotty, lochy podziemne i pieczary, szkoda tylko, że głębiej nieco są wodą zalane.

W dobrach Zagość, warstwa rodzajna ziemi jest bardzo płytka, bo opoka wapienno-gipsowa znajduje się zaraz od kilku, do kilkunastu cali pod wierzchem; z téj téż przyczyny drzewa tu rosnać nie mogą, nawet rośliny okopowe, jak ziemniaki, buraki i t. p., niebardzo dobrze się udają. Niedaleko wsi płynie rzeka Nida, która chociaż dosyć szeroka, jest jednak w tém miejscu bardzo płytka.

Dobra Złota, położone w powiecie miechowskim, należące do hr. Wodzickiego, noszą słusznie to nazwisko od doskonałej, że tak powiem złotodajnej ziemi. Kminek czyli karolek (*Carum carvi*) rośnie tu dziko w wielkiej obfitości. Zboża wszystkie, a szczególnie pszenica,

udają się bardzo dobrze, a przytém grunt tu jest znacznie lepszy i pod uprawę mechaniczną zdatniejszy, niż około Buska. Zabudowania gospodarskie są bardzo porządne, gospodarstwo płodozmienne jest oddawna zaprowadzone, jeszcze przez ś. p. wojewodę Stanisława Wodzickiego uczonego botanika. Szczególniej spodobał nam się tu żywy płot z głogu, zasadzony z dwóch stron drogi, blisko rowu, który tak się rozkrzewił gęsto i szeroko, że żadne zwierzę domowe przez niego przedrzećby się nie mogło.

Przechodząc przez Pełczyska, weszliśmy na górę zwaną Olbrecht, na której dawniej stał zamek obronny; lecz już z niego nawet szczątków trudno dopatrzeć. Przed kilku laty wykopano na téj górze tak wiele brakteatów cienkich, że ich było pełna taca z górą; opisem ich miał się zająć uczoney Strzelecki. Dobra te porządne mają zabudowania gospodarskie, a z fabryk zasługuje na wspomnienie cukrownia. Ziemia tu jest doskonała, i ma w sobie znaczny stosunek marglu.

W Wielkiej Kaźmierzy, dobrach hr. Łubieńskiego, oblanych rzeką Nidzią, zatrzymaliśmy się dla obejrzenia cukrowni i całego gospodarstwa, które ma być wzorowe; lecz że nie zastaliśmy właściciela, musieliśmy poprzestać na samém obejrzeniu budynków, które są w pięknym stanie.

Przebiegłszy wsie Radziemice, Łętkowice, miasteczko Słomniki, Iwanowice, Rzeplin, Smardzewice, i Cianowice, zatrzymaliśmy się w uroczym, zachwycającym Prądniku Czajowskim.

Wszystkie dopiero co wspomniane wsie, leżą w rozkoszném położeniu; wyniosłe wzgórza mijają się naprzemian z zielonemi dolinami, a rzék i szumiących

strumyków, nigdzie nie brak. Grunt, szczególnie między Szałbmierzem a Słomnikami jest bardzo żyzny, bo obok pewnego stosunku gliny z piaskiem, zawiera jeszcze w składzie swoim znaczną ilość wapna i czarnoziemu, i onto stanowi owę sławną proszowską ziemię. Niedaleko wsi Iwanowic, zaczyna się formacya krédowa, łącząca się z formacyą wapienia Jurajskiego, składającego wszystkie skały w Ojcowie, około Krakowa i przedłużającego się przez Pilicę, Częstochowę i Wieluń aż ku Sieradzowi.

Minąwszy wieś Cianowice, zeszliśmy niespodzianie z obszernej równiny, między coraz głębszemi wąwozami i parowami w głęboką, długą, lecz wąską dolinę, umajoną kwiecistą murawą, a otoczoną sinemi skałami, piętrzącemi się groźnie w różnych kształtach: raz okropnych, przerażających, to znowu powabnych, zachwycających. Tu zdaje się, jakoby blade i nagie skielety olbrzymów natrzęsały się szyderczo i chciały nas zasypać swemi gruzami, wiszącemi pochyło nad naszą głową; tam znów cudownie ubarwiona nieznaczną pochyłość, okolona jakby chórem aniołków, wyciągających ręce i uśmiechających się ku sobie, wydaje się przełktemu wzrokowi cudowną, jak wstępem do rajy, i wprawia w obłęd zachwycenia...

U podnóża wyniosłej góry, na przykrój dosyć spadziści, stoi skromny lecz gościnny domek Indykowej, ośmdziesięciokilkoletniej staruszki, która jednak mimo podeszłego swego wieku, jest zupełnie zdrowa, silna, chodzi z wielką łatwością po przykrych górach, wszystkie zmysły ma jeszcze żywe, i jest lekarką całej okolicy. Pod jéjto miłą strzechę i myśmy przyszli odpocząć po tylu różnorodnych wrażeniach, a przez cały trzech-

dniowy u niój pobyt, przekonała nas ta młoda, że tak powiem staruszka, o swój uprzejmości, gościnności i bezinteresowności.

Niedaleko téj chatki, sterczy wysoko szeroka, śniada skała, zupełnie prostopadła i na piérwszy rzut oka nieprzystępna; z drugieój jednak strony, można choć z wielką trudnością wejść na jój wierzchołek. Z niego widok, szczególnieój podczas wschodu i zachodu słońca jest uroczy, porywający myśl, czucie, duszę ku Stwórcy naszemu, który tak cudowne rzeczy jedném słowem wyprowadził z niczego. Wykuwszy w tém miejscu otwór w twardym głazie, osadziliśmy dość duży krzyż dębowy, przepasany cierniową koroną, któregośmy sami zrobili i tam wciągnęli, na miejsce dawnieój tu istniejącego.

Najwyższym szczytem z całego pasma jest góra Chełm, cała zarosła lasem. Jużeśmy byli na jój szczycie, gdy słońce ubarwiło dopiero niebo czerwoną zorzą, która zaczęła się nieznacznie złocić, aż nareszcie cała ognista kula wybiegła, i oblała lśniącemi promieniami całą przyrodę, budzącą się dopiero z uśpienia. Rzuciwszy dalej wzrokiem, ujrzeliśmy świetne baszty i wieżycy starożytnego Krakowa, za którym bielilo się jakby chmurki i obłoczki całe pasmo Karpat. Zmroczeni tak wzniosłym widokiem, spuściwszy oczy, spostrzegliśmy, iż stojemy na urwisku zawieszoném nad bezdenną przepaścią, którą słońce dopiero co rozjaśniło; cofnąwszy się prędko z miejsca tak niebezpiecznego, poszliśmy obejrzeć grootę tak zwaną *Królewską*.

Bez przewodników zaopatrzonych w łuczywo i kagańce, niepodobna jój zwiędzić, a nawet trudnoby ją znaleźć: bo się ukrywa wśród lasu, a otwór jest zasłonięty chrustem i kilkoma wyniosłemi głazami, które podobnie

jak Cerber pilnują wejścia do téj czarnej otchłani. Zapaściwszy się w jéj wnętrze, zostaliśmy zdziwieni jéj obszernością; ma bowiem 140 łokci długości, 35 szerokości, i 10 łokci a miejscami i więcej wysokości; z téj sali zeszlśmy po drabinie do drugiej, odznaczającej się nie tak długością, jak raczej głębokością i szerokością, wyrównywającą długości. Z tych dwóch pieczar przechodzi się do innych, lecz już mniejszych, które giną gdzieś w ciemności. Okropne, lecz zarazem zdumiewające wrażenie sprawiają te grotty; są one chłodne wilgotne i tak okopcone od kagańców, że się całkiem w czarną szatę przybrały, a przytém są nasrożone mnóstwem sopli czyli nacieków (stalaktytów), od kilku do kilkunastu cali długich.

Druga pieczara godna widzenia zwana *Jaskinią ciemną*, jest z wielu względów podobna do poprzedzającej, lecz jest okrągła, ma 40 łokci długości i szerokości, i będąc krótszą od pierwszej, jest od niéj dużo wyższą. Oprócz tych dwóch grot, znajduje się tu jeszcze wiele innych, lecz dużo mniejszych. W tychto naturalnych podziemnych sklepieniach, ukrywał się Władysław Łokietek, będąc poszukiwany i śledzony od wojsk króla Wacława; a że nieszczęśliwy król tułacz najwięcej przebywał w grocie najpierwéj opisanéj, jako w najobszerniejszéj, więc od tego wypadku przewano ją *Królewską*.

W krwawych walkach Łokietek o prawa korony,
 Tu się krył, z tronu Piastów po trzykroć strącony;
 Ztąd po trzykroć niezgięty najtwardszemi kłęski,
 Oręż w murach Krakowa zatykał zwycięzki.
 Przemogła los stateczność, i słuszności sprawa,
 Odzyskał król z naddziadów spływające prawa.
 A gdy go przeznaczenia niepozbędne siły,
 Z tronu do grobu ojców przenieść się zagnaliły;

Syn pomny doli jego i losów przemiany,
Ku czci ojca drogiego wznosił Ojcowskie ściany (1).

O pół mili dalej, w najpowabniejszym położeniu, na wysokości prawie niedostępnej górze, spoglądał warowny zamek Ojcowski na otaczające go olbrzymie skały, w najdziwaczniejszych i najróżnorodniejszych kształtach. Wystawił go Kazimierz Wielki, i na pamiątkę tułactwa swego ojca w tych stronach, nazwał zamek Ojcowem. Mikołaj Koryciński kasztelan sądecki i starosta tutejszy, poniósł znaczne koszta na jego odnowienie; przed niedawnymi dopiero czasy, rozburzono jego groźne mury, będące świadkami tylu wypadków, a zostawiono tylko wysoką ośmio-boczną basztę z ciosowego kamienia, zbudowaną jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, która, chociaż już pięć wieków przetrwała, będzie jeszcze przez wiele lat swym wierzchołkiem chmury roztrącać, urągać się wściekłościom burz i nawałnic, wyciom wichrów, hukom grzmotów i piorunów.

Zniknąłeś pyszny zamku!... smutne twe zwaliska,
Zalegają minionej świetności siedliska;
Wzniosłe wieże, co niegdyś roztrącały chmury,
Szczętami zasypały wierzch skalistej góry.

Żaloba i smutek blady,
Siadły na miejscu gmachu ostatniego Piasta;
Już wszystkie jego zatarty się ślady,
I wszystko chwastem zarasta! (2).

Franciszek Węzyk zostawił nam piękny wiersz na ścianie wieży Ojcowskiego zamku, napisany do Kazimierza Wielkiego założyciela tych murów:

O największy z monarchów! ty, którego zwłoki,
Zbyt rychło duch opuścił, pojmany w obłoki,
Twa dłoń straszna dla zbrodni, dla cnoty łaskawa,
Dała nam: przemysł, miasta, rękodzielnie, prawa;

(1) Fr. Węzyk, Okolice Krakowa, str. 39.

(2) Przez Julię Grabowską.

Pokój wam i cześć wieczna, drogie dla nas kości!
 Możnaż winić twą czułość, dziwiąc się wielkości?...
 A łzy, które po tobie lud wylewał cały,
 Są najpiękniejszą częścią nieśmiertelnej chwały!

Idąc z Ojcowa do Pieskowej Skały, przechodzi się na wpół drogi około Grodziska czyli Pustyni stój Salomei. Jest tu kościółek wystawiony na wysokości spadzistej górze i domek, w którym ta święta mieszkała. Do dzisiaj pokazują tu ołtarzyk, przy którym święta Salomea się modliła, łóżko kamienne na którym bez pościeli sypiać miała, i wiele innych tym podobnych ciekawości. Koło ołtarza wyryte są na kamieniu następujące słowa: „Salomea, córka Leszka Vgo, urodzona w r. 1202 dnia 6 maja, zmarła roku 1268 dnia 17 listopada, żona Kolumana halickiego, pochowana u OO. Franciszkanów (w Krakowie), uświęcona roku 1662”.

Pierwotnie był tu obronny gród czyli zamek, i do dzisiaj są wydatne ślady dawnych okopów; dopiero później Bolesław Vty Wstydlivy przerobił go na klasztor, obsadził Franciszkanami, sprowadzonemi z Zawichostu, które bogato uposażył; lecz gruzy tego klasztoru już dawno się zatarły, a na ich miejscu stoi dziś skromny kościółek z wieżyczką. Obok niego mieszkał s. p. pustelnik Sobionowski, który był piérwój żołnierzem, poetą i urzędnikiem; o nimto napisał ktoś na murze w Grodzisku następujące wiersze (1):

Patrz na ten domek skromny, tam mieszkał mąż święty,
 Któren posługami w ojczyźnie zajęty,
 Zanosił przed tron Boga swój trzodki ofiary,
 Ściągał na okolice wszelkie niebios dary;
 Wspiérał nieszczęście, ślubne poświęcał ogniwa,
 Owoce roczne, polne błogosławił żniwa.
 Uczył cnoty, hodował w ubóstwie człowieka,
 Przewodniczył wszem życiu, chwala go więc czeka!

(1) Delila, Ziemiaństwo.

Mężny w boju, a na pustyni sługa czysty,
 Prawdziwy byłto ojciec; jak wiąz rozłożysty
 Sto lat przeżył, gdy pod nim lud się rozweselał
 I sto lat mu swych cieni, pomyślnych udzielał.
 Któreż nieszczęście uszło jego rąk cnotliwych?...
 Bóg tylko wie, ilu uczynił szczęśliwych!....

Przez całą dwumilową dolinę Ojcowską, która się wije kręto między dwoma blademi ścianami skał, wznoszących się w wysokie piętra, u nasrożonych tysiącem fantastycznych postaci, pędzi rozhukana rzeka Prądnik; raz roztrąca ona z łoskotem swe kryształowe wody o sterczące skały, raz się zakręca, lecz zaraz rozwija, to znów huczy, wre, pieni się, kipi i pryska, póki dalej nieco nie uspokoi się. A patrząc wtedy na ten płytki potok przezroczysty, zawracający się w mały wir, trudnooby uwierzyć, że o paręset kroków, rozpocznie on znowu swoje szalone skoki i pląsy. Prądnik, chociaż jest małą rzeczką, jednak w swym gwałtownym pędzie porusza koła wielu młynów, tartaków, papierni, a przytém żywi w sobie mnóstwo żarłocznych pstrągów (*Salmo fario*) i małych brzydkich rybek o dużych głowach, zwanych przeto głowaczami albo pałozami (*Cottus Gobio*).

Dolina Ojcowa jest bez wątpienia najpiękniejszém ustroniem w Polsce, w którém przyroda hojnie rozacza swe wdzięki bez żadnej pomocy człowieka, upajając go tylko swemi rozkoszami, zadziwiając wielkością dzieła i śmiałością wykonania.

Co duszę zachwyca i co oko pieści,
 W dolinach Ojcowa, wszystko się to mieści.

Wstydem byłoby, gdyby kto chciał szukać za granicą pięknych widoków, nie poznawszy wprzód téj lubéj krainy!

Niech dziwi Szwajcarya Alpami swojemi,
 Mnie miłszy Ojców, bo na mojej ziemi.

Roślinność jest bardzo urozmaicona w téj stronie, i znaleźliśmy tu wiele rzadkich roślin, na które drugi raz natrafić już nie mogliśmy; lecz tutaj spostrzegliśmy pierwszy raz, że na małych spadzistych poletkach, zdobytych przez człowieka u stóp wysokich gór, nać ziemniaczana w części, lub zupełnie poschła, i odtąd ten smutny widok ciągle nam towarzyszył we wszystkich wsiach i dobrach. W skałach zaś tutejszych, składających się z wapienia Jurajskiego, widzieliśmy kilka krzemieni wydających się jakby wrosłe.

Droga z Grodziska do Pieskowej Skały byłaby bardzo zajmującą, bardzo piękną, gdyby nasz wzrok nie był świeżo zepsuty cudownemi obrazami; bo i tu piętrzą się skały w kapryśnych kształtach, lecz już nie tak śmiało, nie tak hardo, nie tak groźno!

Zbliżywszy się do Pieskowej Skały, spostrzegliśmy najprzód ogromną nagą skałę, pionowo stojącą i poszczerbioną; ma ona u dołu około 18 sążni, a u góry do 30 sążni obwodu. Jestto tak nazwana maczuga Krakusa, albo skała Sokoła, lub nareszcie pałka Herkulesa, strzegąca niejako wstępu do ogromnego zamku Pieskowej Skały, który stoi na wysokiej górze, tak, że gdy się spojrzy z jego okien w głęboką równinę, przerzniętą Prądnikiem, rzeka ta wydaje się tylko jakby sina wstęga. Zamek był dawniej bardzo warowny; w chwili gdyśmy go oglądali, był na nowo odnawiany i będzie mógł jeszcze bardzo długo przetrwać. Posiada on przeszło 100 pokoi, przytém godną zwiedzenia jest kapliczka bardzo piękna, studnia w skale wykuta nadzwyczajnej głębokości, i loch ciemny zwany Dorotką, do którego miano wtrącać dawniej przestępców, skazanych na umorzenie głodem; lecz loch ten musiał być

później zasypany, bo jest teraz bardzo płytki, o czém przekonaliśmy się naocznie.

Niedaleko za zamkiem, rozpoczyna się ogromna wieś Sułoszowa, jedna z największych w całym królestwie, bo składająca się z 386 domów i ciągnąca się blisko na milę wzdłuż; lecz jakże to przykro było naszemu wzrokowi, przywyktemu do powabnych i wesołych obrazów, patrzeć na tyle zebranych razem chat dymnych, z małemi zakopconemi okienkami! Z końcem téj wsi, zaczynają się ogromne zsepki piasków, wśród których brnęliśmy przez wsie Kosmołów i Olelin do Olkusza. Miasto to należało dawniej do bogatszych, bo jego kopalnie, rozciągające się na milę pod ziemią, dostarczały corocznie 600 grzywien srebra i 50,000 centnarów ołowiu. Za panowania Jana Kazimierza ucierpiało ono wiele od Szwedów, którzy roznosząc śmierć i pożogi po całym kraju, i to miasto znacznie zniszczyli; zabrali wszystko srebro które znaleźli, ołów, gleitę, wszelkie narzędzia górnicze, jako téż i samych górników, również jak i ich konie, za pomocą których wyciągano z podziemnych kopalni wodę, która się tam ciągle sączyła. Lecz mylnie utrzymują niektórzy, co podają, że kopalnie olkuskie ustały od wojny szwedzkiej z Karolem Gustawem, będąc wtedy zatopione; gdyż w roku 1659 wydobyto tu srebra i ołowiu wartości 489,284 zł. starych, czyli terazniejszych złp. 1,956,136 (1). Lecz później kopalnie te ciągle upadały, a woda coraz więcej szkód robiła; w r. 1673 wyciągnięto z kopalni tych srebra i ołowiu za 1,356,685 złp. terazniejszych. W roku 1702 Karol XII król szwedzki zniszczywszy całą okoli-

(1) Górnictwo w Polsce przez H. Łabęckiego, str 251.

cę i z Olkusza wszystko co mógł zabrał, a resztę zrujnował, i z téj przyczyny nie robiono nic w kopalniach przez trzy miesiące, gdy tymczasem woda coraz bardziej je zalewała i piaskiem zasypywała: i to było może główną przyczyną, że w r. 1712 główne sztolnie się zapadły, i już więcej nie można było wydobywać rud kruszcowych.

Z upadkiem źródła bogactw, upadło téż i miasto Olkusz; teraz pozostało tu tylko pełno zwalisk z ogromnych dawnych budynków, przekonywających jeszcze o dawnym zamożnym stanie tego miasta. Obecnie trudnią się mieszkańcy tutejsi najwięcej kopaniem galmanu czyli rudy cynkowej.

Niedaleko od Olkusza, stoją na wysokości górze w części zarosłej drzewami, gruzy zamożnego niegdyś zamku Rabsztyńskiego, okolonego obszernymi równinami piaszczystymi.

Minąwszy Bydlin i Złożeniec, zaczęliśmy znowu napotykać urocze widoki; najprzód wzgórze zaczęły się mijać z dolinami, aż póki tych nie zastąpiły wyniosłe sine skały, nasrożone kilkopiętrowemi szczytami, przerażające urwiska i przepaści, lub rozkoszne pochyłości; wśród takich obrazów doszliśmy do Smolenia, wioski leżącej na pięknej, wysoko położonej równinie. Obok ogrodu, zaraz za dworem, piętrzył się na prawie niedostępnej, wysokości górze skalistej obronny zamek; dziś wyszczerbione jego gruzy, posiwiałe i mchem porośłe, wprowadzają jeszcze w zadziwienie, jak człowiek mógł wystawić w tém miejscu tak ogromne mury, które jeszcze niejedno pokolenie przetrwają. Wstęp na tę górę jest niezmiernie przykry, a do zamku niepodobna się dostać, jak za pomocą długiej drabiny, którą tu w tym

celu postawiono; lecz kto pokonawszy wszystkie trudności, dostanie się na sam wierzch, ten będzie bojnie wynagrodzony wzniosłym i uroczym ztamtąd widokiem, rozciągającym się na blisko 10 mil wokoło. Godną zwiedzienia jest wykuta studnia niezmiernie głęboka, której używają teraz do robienia szrótu.

Droga ćwiercio-milowa ze Smolenia do Pilicy jest bardzo pośpieszna, bo ciągle prawie idzie się z góry; lecz zaraz po deszczu jestto przykry zjazd, bo grunt będąc glinkowaty, jest dosyć śliski.

Pilica jest niewielkiem, trochę nieporządnem miasteczkiem, mającém 1000 mieszkańców. Tutaj stał niegdys̄ okazały zamek, należący do rodziny Pileckich, z której Elżbieta, wdowa po Granowskim kasztelanie nakielskim, poszła za Władysława Jagiellę króla polskiego. Na miejscu zamku, powstała z jego gruzów duża budowla zwyczajnego kształtu; poniżej téj budowli, wypływa z góry obfite źródło, uważane za początek rzeki Pilicy.

Ztąd ruszyliśmy do miasteczka Koniecpola, leżącego na granicy Krakowskiego i Kaliskiego, przeszedłszy przez wsie Pradła, miasteczko Lelów i Drochlin. Grunt wszędzie tu jest lekki piaskowaty.

W Pradłach są znaczne zakłady górnicze żelazne, lecz je nie oglądaliśmy, bo były w spoczynku.

Lelów jestto upadające miasteczko, mające 800 mieszkańców; dwa kościoły stojące przy sobie, w opłakanym są stanie. Dawniej jednak kwitnęło ono handlem i przemysłem, było możne, bogate i obronne; gruby mur wystawiony przez Kazimierza Wielkiego opasywał to miasto naokoło, a nad wszystkimi budynkami wznosił się warowny zamek.

Krakowskie jest w ogóle bogatą i żyzną krainą. Grunt jest po większej części doskonały, gliniasty, pszenny, czyli jak go tu nazywają rędzienny. Proszowska ziemia słynie ze swęj urodzajności; część tylko południowo-zachodnia, to jest Olkuskie, ma pola w ogóle piaszczyste i wiele skał. Brak lasów w wielu miejscach daje się czuć dotkliwie, co ztąd pochodzi, że dobry grunt na polu użyty przynosi większy zysk niż las. W górach tutejszych znajduje się różnego rodzaju kruszec, i tak: w Miedzianęj górze niedaleko Kielc, wydobywano niedawno miedź i mangan; koło Kielc jest ołów; w Olkusz kopia rudę ołowianą; pomiędzy Olkuszem i granicą szlązką wydobywają obficie galman czyli rudę cynkową, ruda zaś żelazna znajduje się w wielu miejscach w wielkich pokładach; w Chęcinach i we wsi Słopiec w powiecie kieleckim, są łomy marmuru sinego i różnokolorowego; we wsi Szklarach w powiecie olkuskim, marmur jest czarny; w Dąbrowie spoczywają obfite pokłady węgla kamiennego, a we wsi Mierzęcicach, blisko Siewierza, kopia glinę ogniotrwałą, używaną głównie na musle czyli piecyki do wytapiania galmanu czyli cynku i t. d.

Krakowskie z przyczyny swego wzgórzystego położenia, napełnione jest mnóstwem zachwycających widoków, z pomiędzy których okolice Ojcowa można słusznie nazwać Szwajcaryą polską. Rzeki Wisła, Nida i Pilica, ułatwiają przemysł i handel, który jednak z drugiej strony jest ścieśniony przez złe drogi. Co się tyczy ludu, ten jest wesoły, nizki, krępy, lecz dorodny i żywy. a przytęm ubiera się gustownie, szczególnięj w święta.

W Koniecpolu, gniaździe sławnęj rodziny Koniecpolskich, godny zwiędzenia jest kościół, wystawiony z kamienia ciosowego w kształcie krzyża, przez wiekopomnęj

pamięci Stanisława Koniecpolskiego kasztelana krakowskiego, wielkiego hetmana koronnego, zmarłego w Brodach, dnia 26 marca 1646 roku. Miasteczko to, należące teraz do hr. Potockiego, ma 1500 mieszkańców, jest dosyć porządne i wesołe, i ma wiele fabryk, z których znaczniejsze są: fryszerka i pudlingarnia żelaza, równie jak i fabryka i walcownia żelaza i miedzi. O małe ćwierć mili ztąd leży wieś Chrzastów, stanowiąca jedną całość z Koniecpolem; jest ona ozdobiona okazałym pałacem, przerobionym z obronnego dawniej zamku, jako też dużym i gustownym ogrodem. Inwentarze są liczne, dobrej rasy i pięknie wyglądające; budynki gospodarskie utrzymują się w doskonałym stanie, a sama wieś jest bardzo dobrze i porządnie zabudowana.

W dobrach tych zrecznie jest urządzona pralnia dla owiec poniżej młyna; woda ze stawu przypływa do rynny umieszczonej nad pralnią, rynna zaś ta ma umyślnie porobione w sobie otwory, i przez nie wylewa się do pralni strumieniami, pod które podstawiają się owce; brudna zaś woda ma wolny odpływ na łąkę.

Przed kilku laty p. Potocki sprowadził irrygatora z Hanoweru, który mu przez parę lat urządził nawodnienie łąk; część ich nawodniona jest sztucznie czyli w zagony, a część dziko. Wprawdzie nawodnianie jest rzeczą bardzo kosztowną, szczególnież sztuczne, bo wydatki jednego morga mogą wynieść do 600 złp., dziekie zaś od 100 do 200 i więcej złp. w miarę mniej lub więcej sprzyjających okoliczności; ale jakże sownie wrócić się gospodarzowi te nakłady! bo łąki, które się raz tylko kosiły, mogą się kosić trzy razy; mchy, skrzypy, sitowie, wełnianki, tużyce i t. p. mniej użyteczne rośliny wyginą, a natomiast puści się delikatna, jedwabista tra-

wka z koniczyną i innemi doskonałemi pastewnemi roślinami, które niesłychanie podwyższą wartość siana. Łąki nawet torfowe i błotne, gdzie trudno było przystąpić, przemieniają się w doskonałe. Lecz ponieważ przez nawodnienie wszystkie rowy trochę się zamulają, a szczególnie rowki skrapiające czyli rozlewające, przeto osobny człowiek jest przeznaczony do tych łąk, który je pilnuje od szkód i rowy czyści.

Grunta orne podzielone są na żyzniejsze i chudsze, i w miarę ich dobroci i siły, zaprowadzone już są od dawna stosowne koleje płodozmianu. Uprawiają tu z wielkim pożytkiem żyto egipskie, wyrastające wysoko, krzewiące się kępiasto i mające duże kłosa; jedno ziarno tego żyta wydaje zwykle do 30 słom, i z téj przyczyny sieje się zazwyczaj niezmiernie rzadko.

W cukrowni tutejszej wyrabiają cukier za pomocą maceracyi czyli wymoczenia. (Opis téj cukrowni jest w Rocznikach Gospodarstwa Krajowego tom IV, nr. 1 z roku 1844, przez T. P.). W roku 1844 cukrownia ta wyrabiała 39,000 funtów cukru; wartość jego wynosiła przeszło 40,000 złp., a przy fabryce było 23 ludzi zatrudnionych (1).

Okazawszy nam swoje wzorowe gospodarstwo, odwiedził nas p. Potocki do Maluszyna, dóbr hr. Ostrowskiego, lecz przejeżdżając koło łąk do tychże dóbr należących, a które niwellowano i w których rowy kopano, ażeby mogły być nawodniane, zatrzymaliśmy się, aby je lepiej obejrzyć. Mnóstwo ludzi pracowało tu nad zdzieraniem darni, którą przewracano korzeniami do góry,

(1) Patrz w Kalendarzu Powszechnym na rok 1846: „Wykaz cukrowni w królestwie Polskim, na zasadzie statystycznych wiadomości z roku 1844.”

jako téż nad zniżaniem wzgórków, a zasypywaniem dolin, którąto czynnością kierował irrygator, według planu swego niwellacyjnego; dalej nieco, kopano według poprzedniego zaznaczenia rowy i t. d. Bez wątpienia, jestto praca bardzo mozolna, i pewnie każdy zniechęciłby się nią, ktoby był tylko przy robieniu nawodnień; lecz przebieżmy kilka staj dalej w to miejsce, gdzie łąki od kilku lat już nawodniane, schodzą się z łąkami nienawodnianymi, cóżto za różnica niezmierna! Na jednakowym gruncie, o kilka łokci odległe od siebie łąki, a jedna jest mchem zarosła i małą poźółkłą trawą, druga zaś ciemnozielonój barwy, okryła się ogromną, chociaż delikatną trawą, między którą wzrastają najlepsze pastewne rośliny.

Inwentarz cały jest bardzo piękny i troskliwie pielęgnowany; owce szczególniej są bardzo wysoko poprawne, a nawet znaczna ich ilość jest zupełnie czystój krwi.

Z fabryk gospodarskich zwiedziliśmy cukrownię; jestto porządny budynek, w którym wyrabiają z wielką korzyścią cukier przez wyciskanie soku, czyli przez wytłaczanie.

O trzy mile ztąd jest folwark zwany Bąkowa-góra, należący jeszcze do Maluszyna; porządne zabudowania folwarczne rozpościerają się tu na znacznej już wyniosłości, na szczycie zaś góry, gęstym lasem zarosłej, sterczą czerniałe zwaliska obronnego, jak się zdaje, choć niewielkiego zamku, w którym mieszkała rodzina Bąków.

Z Maluszyna odesłano nas do Chełmna, dóbr p. Skórzewskiej, których zarządem trudni się p. Borkowski b. u. I. G. W. i L. w M.

Gustowny pałac okazale wewnątrz przybrany, stoi tu wśród ładnego w dawnym guście pozostawionego ogrodu, pełnego pięknych drzew i kwiatów, między którymi jest nawet wiele rzadkich.

Chociaż cały inwentarz jest bardzo ładny i wzorowo utrzymany, jednak owce grają tu główną rolę; są one po większej części zupełnie czystej krwi, a przed parą laty, owca z tutejszej owczarni otrzymała nagrodę na wystawie zwierząt w Warszawie.

Okolice tutejsze są piękne, pełne ładnych obrazów i wyniosłych wzgórków; nad wszystkiemi jednak panuje opiekuńczo wysoka i gęstym lasem zarosła góra Chełm, mająca w swém wnętrzu łomy piaskowca, podobno do trzeciorzędnej formacyi należącego. Górę tę liczą nasi geografowie do rzędu najwyższych w kraju, a z jój wierzchołka, równie jak ze szczytu Bąkowej-góry, uroczy na wszystkie strony rozwija się widok.

Z dóbr tych odwieziono nas do miasteczka Radomska, z którego koleją żelazną wróciliśmy do Warszawy d. 14 sierpnia 1848 roku.



Zamierzwszy sobie zwiedzić część Mazowsza, Podlaskie, Lubelskie, Sandomińskie i Krakowskie, nie mogliśmy się nigdzie zatrzymać jak tylko bardzo krótko, mając tak wielką drogę przed sobą. W przeciągu więc naszej 40dniowej podróży, nie byliśmy w stanie poznać dokładnie tylu wzorowych gospodarstw i różnych w nich ulepszeń, nie mogliśmy zgłębić należycie systematu ich zagospodarowania, własności gruntu, miejscowości, i wielu ważnych szczegółów. Jeżeli więc niedokładnie opisałem te gospodarstwa, które zwiedziliśmy, jeżeli nawet pobłądziłem w ich skróceniu, na to tłumaczę się krótkością czasu (bo wakacye się kończyły) i różnorodnością celu naszej podróży, w której nie pod samym tylko gospodarskim względem staraliśmy się kraj poznać, ale i pod wszystkiemi w ogóle.

Wacław D.



O POWOŁANIU LEKARZA.

Wyjątek z listu pierwszego (*)

Dra Ferdynanda Dworzaczka.

Rzadko sąd o lekarzach jest sprawiedliwy; jedni zbyt pochlebnie ich sądzą, drudzy nawet wyjątków w niekorzystném ich ocenianiu nie przyjmują; dla jednych lekarze są ludzie uczeni a przynajmniej naukowi, dla drugich lekarz jest prostym rzemieślnikiem, nie umie czego się nauczyć był powinien, jest rutynistą, a nadewszystko grubym materyalistą, — człowiekiem bez religii i poezyi, zbyt oswojony z cierpieniem, aby to do jego serca trafiło, zbyt oswojony z trupem, by uczuł całą uroczystość konania i uczcił tajemnicę śmierci. Nie podejmuję się z tych zarzutów uniewinnić lekarzy, nie podejmuję się ich bronić; stanąć jednak muszę w obronie nauki, i nie

(*) List ten napisałem z powodu okoliczności, o której tu dlatego nie wspominam, ażeby się komuś nie zdawało, że go zaczepiam; jestem nieprzyjacielem wszelkiej polemiki, i ani jój lubię wywoływać, ani dam się do niej wciągnąć.

dozwolę aby skalaną została grzechami tych, którzy się za wyznawców jój, za jój kapłanów ogłaszają.

Nauki lekarskie nikogo nie upoważniają, aby człowieka zbezczeszczył, by jego organizm za nic innego, jak za zbiór organów uważał, a życie za bieg maszyny, za grę organów, za mechaniczne, fizyczne i chemiczne działanie.

Gdyby nożem i szkiełkiem można przedrzeć się do tajemnic organizacyi; gdyby nożem i soczewką można wysledzić wszystkie kryjówki materyi; gdyby drobiąc, niewęcząc można ją przymusić, aby nam wydała swoje tajemnice; gdyby w grobie zamiast trupa można znaleźć źródło życia: — nauka fizyologii, nauka o życiu inneby już dzisiaj zajmowała stanowisko. Wyroki, które się na świadectwie samego tylko noża i szkiełka opierają, tak mało zasługują na zaufanie, jak te, które się opierają na zeznaniu w torturach męczonych, którzy się do wszystkiego przyznawają o co ich oskarżono.

Jacyto ludzie ścignęli na lekarzy tę obelżywą w oczach rozumnych opinią, która tylko nieoświeconym poleciłoby ich mogła jako uczonych, że oprócz materyi nic innego nie przyjmują? Jacyto ludzie dobijają się jakby o sławę, by o nich powiedziano, że w nic nie wierzą?

Czyto byli ci, którym nauka lekarska winna swój wzrost i swoje świetne stanowisko, na jakim ją teraz widzimy? Czyto byli tacy, których za reprezentantów medycyny zgodzono się uważać? Tacy nareszcie, którzy u prawdziwych znawców, przed właściwymi sędziami, nabyli prawa wyrokowania w sprawie tak uroczystej, żywotnej?

Wszystkie nauki, wszystko co należy do umysłowego i duchowego życia człowieka, wspólny łączą węzeł; z jednego czerpają źródła swoje życie i swój wzrost,

i do jednej dążą prawdy. Nauka, która zamiast przykładania się do wzrostu i kwitnienia wspólnego wszystkich nauk, zamiast wyrabiania w sobie elementów żywotnych dla całego życia duchowego ludzkości, wyrabia truciznę dla niego, jest albo fałszywą nauką, albo też w złych rękach zdziczałe drzewo, które zamiast zdrowego, trujący niesie owoc. Bieda kto się na niem nie pozna!

Medycyna nie może się przyznać do tych, którzy na jej kapłanów ściągnęli opinią, że są ateistami, którzy religijność ich podejrzaną uczynili.

Lekarz mógłby powiedzieć jak Newton: „ja więcej znam Boga i silniej w niego wierzę, bom się lepiej przypatrzył jego dziełu”. Nikt też gorliwszego i czystsze świadectwa nie składał o Bogu, jak wielcy lekarze wszystkich wieków: bo potrafili się uchronić więcej jak inni od bezbożnego wpływu późniejszej filozofii. Ciągłe ona wprawdzie spogląda swoim pożądliwym, zyzowatém spojrzeniem na nauki lekarskie; przymilania jej obłudne nie zdołały ulaskawić i ugłaskać nieubłaganą i surową loikę nauk ścisłych, nie udało się jej infiltrować się do nich, aby zwolnić ich szczelność i treściwość, aby im udzielić swojej własnej elastyczności, i rzucić tym sposobem w objęcia sofistów. Wszakże niezawsze z takim wstrętem medycyna odpychała filozofią, niezawsze tak bojaźliwie wszelkiego z nią unikała zetknięcia; nieufność tę wywołało wiarołomstwo filozofii. Któż pierwszy zerwał ten świetny związek, który obiedwie te nauki uzupełniał? który medycynę, jak mówi Hippokrates, zrobił boską?

Filozofia zniecierpliwiona powolnym i ostrożnym postępem obserwacyi, zniecierpliwiona kontrolą, którą do-

świadczenie nad nią rozciągnąć chciało, zniecierpliwiona czekaniem na nowe fakta, które miały zappełnić przestrzeń rozdzielającą już wiadomych, aby je tém samém lepiej objaśnić i żywotnym węzłem związać; wyrwała się z więzów materyalnych, porzuciła towarzystwo faktów, wyszydziła leniwe doświadczenie, ze wzgardą pożegnała rozsądek, ogłosiła się wyzwoloną, samodzielną, i wyprowadziła myśl z tych ciasnych zmysłowych granic, za towarzyszkę jój dając obłudną i nader elastyczną dyalektykę. Odtąd nic dla niój nie było tajnego, myślenie samo sobie chciało wystarczyć; a czerpiąc w nieskończonóm źródle przypuszczeń, tworzyła światy, wynajdywała prawa i prawdy, orzekła naturę Boga, jeżeli raczyła go przypuścić. Rozwód ten dla obudwóch nauk był fatalny; filozofia błąkała się w krainie marzeń, a medycyna wolała wpaść w gruby materyalizm, wolała w le-targu zasnąć, jak przyjąć jarzmo filozofii, jak wyrzec się doświadczenia, wyrzec się faktów, które filozofią obrażały i jój wyrokom stały na przeszkodzie. Lecz ten le-targ zagrażał śmiercią, bo duszą każdój nauki jest myślenie; myślenie wiąże w jedną ożywioną całość doświadczenia zasoby i nabytki, empiryzm prosty, to grób nauki. Choroba nie odbiera zupełnie nadziei wyzdrowienia, choroba jest zawsze życiem jeszcze, które zręczny lekarz na drogę prawidłowości sprowadzić potrafi.

Filozofia w swojej chorobliwój zarozumiałości twórcza, w swoim własném łonie szukała i wynajdywała prawa życia; nie pytając wiele o doświadczenie, wysnuła sama z siebie *a priori* naukę fizyologii i patologii, tak dalece, że żadnego nie było ze starożytnych filozofów, zacząwszy od Talesa do Arystotelesa, któryby o fizyologii i patologii nie rozprawiał. Powodzenie swoje, swój

wzrost w najświetniejszych dla Grecyi czasach, filozofia ani swojej treści, ani swojej wewnętrznej winna była budowie; kwitła tylko potęgą gieniuszów ożywiona, żyła tylko jako własność, jako systemat pojedynczego człowieka; najczęściej od mistrza tylko zrozumiana, smutnego doznawszy po jego śmierci osierocenia, zepchnięta ze swego tronu, aby innemu systematowi miejsce ustąpić, posłużyła tylko jeszcze za kamień grobowy najczęściej niezrozumianego filozofa.

Taki był jej los w Grecyi, nie innego doznała losu i później. Filozofia nie zdołała dotychczas wznieść się na stanowisko katolickie (powszechne), jest ona dotychczas niczem więcej, jak systematem indywidualnym, jak opinią pojedynczego mistrza i w niego wierzących uczniów. Filozofia nie mogąc znaleźć dla siebie własnej podstawy, na którejby swoją budowę oprzeć mogła, zasadę, z którejby swoją treść wysnuć zdołała; oddawna dostrzegając, że nagość jej przed oczami jaśniej widzących, źle zakrywają wielkim mozołem zebrane pompatyczne niezrozumiałe słowa, urzędowe, że tak powiem, formuły i poetyczne wykrzykniki, że jej czczość i ubóstwo wszędzie przebija: rzuciła się trapiąca i niepokojona głodem na wszystkie strony, gdzie dla myśli spodziewała się znaleźć pokarmu.

Ta potrzeba treści, ten powrót filozofii do nauk zasadniczych, do nauk doświadczenia, to pojednanie myśli z materją, świetną obiecywały przyszłość umysłowemu życiu człowieka, i łatwiejsze wyzwolenie jego ducha; lecz niestety, filozofia nieszczerym pocałunkiem przy mierze zawarła. Nieumiarkowana w swojej zarozumiałości, despotycznie chciała panować, wymarzone swoje

prawdy rozumowi i naukom bezwarunkowo narzucić, albo też wszelką zapomniawszy godność, dała się bezwstydnie użyć na posługę zabobonów i dumie, złej woli i złej chęci; zamiast prawdzie, służyła fałszowi, zamiast człowieka oświecić, pomogła go w błąd wprowadzić. Jakże usprawiedliwi filozofia swoje względem teologii i religii zachowanie? Czy strzegła, aby nieskalaną była idea Boga, aby zachowana była w całej swojej czystości? czy nauczyła ludzi szanować tajemnice Boskie? czy dostatecznie stanęła w obronie nieograniczonej mądrości, dobroci i wszechmocności Boga? Niebaczna! kiedy w swojej zarozumiałości człowieka aż do Boga wzniosła, nie dostrzegła, że naokoło niej Boga do rozmiarów człowieka sprowadzono, i to jeszcze do jakiego człowieka! człowieka, któryby w czystej nauce ewangelii znalazł swoje potępienie, człowieka, którego się rozum wyrzeka. Naprózno filozofia wyliczać nam będzie swoich męczenników; całe pogaństwo oskarża ją przed obliczem Boga prawdziwego, że zbyt spokojnie i obojętnie przypatrywała się bachanaliom na Olympie; oskarżać ją będzie chrześcijaństwo, że niedosyć strzegła czystości nauki ewangelii, że dozwoliła pogaństwu i zabobonowi zaszcześcić się w czystym łonie Chrystusowego kościoła; a cała ludzkość oskarżać ją będzie, że miasto przyspieszyć, opóźniła wschód prawdy, której promienie z trudnością przedzierają się przez czarną mgłę, która z różnych jej nieprzyjaznych źródeł pochodząc, na ich drodze się nagromadziła. Człowiek lubo w uroczystym milczeniu, lecz gotów do nowych wysiłków i nowego poświęcenia, ciekawym obejmuje okiem cały horyzont, azaż gdzie nie dostrzeże nową dla siebie gwiazdę, nowych promieni, oznajmujących, że bliską już jest chwila,

w której się mają spełnić proroctwa jego serca. Lecz niestety! ileżto razy zawiedzionym został w swoich nadziejach, i głos radości ileżto razy zamienił się w krzyk boleści!

Czyż filozofia jest bez winy, że wizerunek który na waszych piersiach wisi, że ołtarz na którym podwójna spełniła się ofiara, na którym ludzkość ofiarowała Bogu co w niej jest Boskiego, na którym Bóg ofiarował ludzkości co w nim jest człowieczego, bo skonało u jego stóp pogaństwo, które swoich bohaterów bogami, a swoich bogów ludźmi robiło; że krzyż, na którym Chrystus za ludzkość umierał i w swoich mękach przebaczył swoim prześladowcom, zesechł i zbutwiał na gruncie suchym i nieczystym waszego serca? Zniknęły z niego wszystkie ślady dla ludzkości na nim przelanej krwi, od czasu, jak przestało zamieszkiwać w waszych piersiach, od czasu, jak przechodząc przez wasze usta skonało, straciwszy dźwięk i moc, słowo ewangelii. Księgę, którą w waszych rękach trzymacie, a której litery zamazała krew przez tę samą rękę przelana, wypalił ogień stosów przez tę rękę podłożony, wyplukały łzy waszych ofiar. To nie jest ani krzyż, ani księga chrześcian; nasz krzyż jest wizerunkiem życia, odkupienia i przebaczenia; wasz jest symbolem samej tylko męki i śmierci; w naszej księdze są słowa łaski, pociechy i przebaczenia grzesznikom, słowa miłości bliźniego; a w waszej tego wszystkiego być nie musi, bo tego nie ma ani w waszych wyrokach, ani w waszych czynach.

W Warszawie, dnia 30 stycznia 1848 r.



ZNACZENIE I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michała Głiszczyńskiego.

(Ciąg dalszy).

V.

Religijność i urządzenie cerkiewne na Zaporożu.

Wpośród krwawych walk i zaciętych prześladowań, jakie wywołała reformacya w całej zachodniej Europie, w żadnym na świecie, oprócz Polski narodził się, nie wiedziano i nie chciano wiedzieć, co to jest tolerancya. U nas tylko miała ona schronienie, a nawet prawem była zabezpieczona. „Tu bowiem, mówi p. Wiszniewski (1), przy granicy samym środkiem kraju idącej kościoła zachodniego i cerkwi wschodniej, umysły do różnic w religii już oddawna były przywykły. Tu Rusin po rusku, a Ormianin po ormiańsku się modlił; tu żyd

(1) Hist. Lit. Pol. T. VI wstęp.

talmudzista żył spokojnie obok karaity, a Tatarzyn litewski swobodnie w koranie czytał”.

Wszystkie opinie i sekty religijne mieściły się w Polsce, a jednak nigdy do krwi rozlewu nie przyszło. To też dopóki szła ona w polityce swojej za rozsądkiem naturalnym, charakterem wysoko tolerancyjnym, który jej tak świetne imię w dziejach tamtego wieku zjednał; dopóki monarchowie aż do Zygmunta III włącznie, pojmujący dobrze narodowość i stanowisko polskie, nic im przeciwnego nie stanowili, owszem zawsze w tym duchu działali: toć też Ukraina i Zaporozże sercem i duszą lgnęły do Polski. Już gdzieindziej powiedziałem, że wszystkie królewskie przywileje nadawane tamtej krainie, zawsze zapewniały jej mieszkańcom swobodne wyznawanie wschodniej wiary. Kazimierz W. zawładnąwszy Czerwoną Rusią, zrównał zaraz tamtejszych Greko-Rossyan z katolikami we wszystkich prawach i przywilejach, a Władysław Jagiełło, Władysław Warneńczyk, Kazimierz IV, Alexander, Zygmunt I stary i Zygmunt August, za zgodą wszystkich stanów rzeczypospolitej, nadali także same przywileje Ukraincom i Zaporozcom, w których równając ich z Polakami, zapewniają im zupełną swobodę w wyznawaniu ich greko-rossyjskiej wiary. Henryk Walezyusz potwierdził te prawa i przywileje, a Wielki Batory, najuroczyściej je odnowił, rozszerzył i umocnił, zabraniając wszystkim urzędnikom mieszać się w sprawy i sądy cerkiewne, i zabezpieczając swoim królewskim przywilejem, równość zupełną i opiekę prawa katolikom i Greko-Rossyanom bez żadnej różnicy. To też zarobił sobie Batory na piękną i rzewną dumkę zaporozką, w której między innemi Kozak śpiewa: „Służylib' jemu, korolu Polszczy po wiry i po prawdy, jak Bogowi, szczo

żywie wysoko na niebi i wo wiekib' wiczny, nie złom a dobrom, ta molitwaju swoho Pana wielkaho korola Polszczy, jak Boga'b szanowali" (1). Ale wnet czarne

(1) Kozak dowiedziawszy się, że Batory nowe urządzenia i przywileje ma nadać Kozakom, śpiewa: „Stużylibyśmy jemu, królowi Polski, wiarą i prawdą jak Bogu, co żyje wysoko na niebie, na wieki wieczne, nie złém, a dobrém i modlitwą swojego pana, wielkiego króla Polski, jak Boga czcilibyśmy”.

W rozdziale o dumach i pieśniach zaporozkich, całą tę dumę o Batorym umieszczę, jako żywy i niezaprzeczony dowód miłości, jaką miał u Kozaków, i obejrzałej roztropności we wszystkich jego urządzeniach.

Przykro dlatego i boleśnic jest czytać, kiedy o takim mężu, pełnym prawości i godności historycznej, uprzedzenie, zawziętość, a może gorzej jeszcze niezrozumienie tego, co to jest prawdziwy historyk, kiedy powtarzam o takim człowieku, w tym czasie, kiedy historia powołaną jest za nauczycielkę ludów, i na boginią prawdy, spotykamy wyrazy pełne żółci, szkalowania, a nie obwijając w bawełnę, najzupełniej niegodziwe; którym na szczęście prawdziwie oświeceni nie uwierzą, a plama ztąd niezmazaną zostanie na autorze. Tak opisał Batorego Sołowief, w wydany przez siebie zarysie historyi Małorossyi, umieszczonym w Ojczystych Pamiętnikach z 1848 roku w nr. 11. Oto są jego wyrazy: „Niéma może ani jednéj historycznej osoby, któraby obok pozornego blasku i wielkości, miała tak czarne znaczenie w historyi narodów, jak Stefan Batory. Państwu Moskiewskiemu odebrał przybaltyckie prowincye, a tém samém przeciął mu drogę do połączenia się z zachodnią Europą. Do Polski i Litwy wprowadził Jezuitów, i tym sposobem w świecie słowiańskim był największym przytłumicielem oświecenia”.

W kilku tych wierszach, prawie co wyraz to błąd, lub przekręcenie. 1) Historia i potomność bezstronna nasza i obca nawet, osądziła już Batorego i przyznała mu rzeczywistą wielkość, a nie pozorną; dlatego właśnie, że nic w nim czarnego nie dojrzała, a wszędzie prawość, męstwo i sprawiedliwość. Dla nas jest on największym monarchą, a dla obcych znamienitym mężem, i sławy téj p. Sołowief swojemi bezstawnemi wyrazami nie zachwieje, a tém mniej nie zniszczy. U nas jest przysłowie: porwał się jak z motyką na słońce. 2) Wojnę o Inflanty zastał już Batory zaczęta; przyczyna jój wiadoma, a zdobycze wojenne przez Stefana poczynione, wcale go nie zaczerniają. 3) Nie zna p. Sołowief nic a nic historyi polskiej, kiedy sprowadzenie Jezu-

widmo, w czarnej rogatěj czapce, w czarnej sukni, zwichnęło narodowy rozsądek, skrzywiło łagodny i nie a nie niesfanatyczny charakter Polaków, a mając za sobą nieprzeniknioną chytróść, wywołało owe nieludzkie prześladowanie ludzi, co ze wszystkich swoich pierwiastków życia, najwięcej szanowali uczucie swe religijne, co całą duszą do swego prawosławia byli przywiązani. Byłoto więc nie po ludzku i niepolitycznie drażnić Kozaków z těj strony, i gdyby ówczesni przodkowie nasi, chociaż trochę lepiej znali byli wewnętrzne życie i pojmowali lepiej znaczenie kozaczyzny, nie daliby się byli nigdy uwieść zgubnym podszeptom jezuickim. Ale myślano u nas za Szweda, że Kozak, to bagatela, fraszka, chłop; zapomniano tak długiego braterstwa i razem dokonanych czynów, a powstanie przeciw tak srogiemu uciskowi przewano buntem, i na sejmie 1638 r. postanowiono, że: „Kozacy zaporozcy *pro rebellione* wszystkie swoje prawa, przywileje, starszyznę i dochody i inne *decora in perpetuum* utracają i w chłopów są obrócenii”.

Cerkiew zaporozka była zupełnie niezależną od żadnej hierarchicznej władzy greko-rossyjskiej, była pod władzą i rozrządzeniem kosza; a kiedy Kozacy zaporozcy nie chcieli przyznawać zwierzchnictwa swych metropolij, tém mniej zapewne chcieliby zależeć od katolickich, a bardziej jeszcze katolicką lub uniacką wiarę

itów do Polski na Batorego kładzie, bo my tu wiemy dobrze i zapisane mamy w księdze, (o czém p. Solowief nie raczył się przekonać), że Jezuitów do Polski sprowadził Hozyusz 1566 r., a do Wilna biskup Protasewicz 1569; to oczywiście jeszcze było przed Batorym. Przystajemy na tém cośmy powiedzieli, zostawiając czytelnikom Biblioteki, uczynienie sobie w niosków o zdolnościach historycznych i krytycznym zapatrywaniu się autora.

przyjmować. Nigdy też żadne nowatorstwo nie wkra-
dło się między Zaporozców i Ukraińców. Krwawa wal-
ka przeciw unii i samojodpadnięcie kozactwa od Polski,
są na to rażącymi dowodami.

Powiedziałem już gdzieindziej, że zaporozkie towa-
rzystwo, najważniejszym warunkiem istnienia swego
uważało prawosławną wiarę; tak dalece, że nikt nie
mógł być przyjętym w jego liczbę, jeżeli się nie ochrzcił
gdy był niechrześcianinem, lub jeżeli nie przeszedł, gdy
był inną religii, na prawosławną greko - rosyjską
wiarę.

Oprócz przywiedzonego już w rozdziale III rozpo-
rządzenia z r. 1767,^f przytaczamy tu jeszcze słowa kijow-
skiego metropolity Timofeja Szczerbackiego, z listu jego
pisanego do naczelnika siczowych cerkwi, Makarego,
w którym między innymi pisze on, że prośbę jego i ata-
mana koszowego Daniela Stefanowa „o przysłanie ole-
ju świętego dla chrzczenia i namaszczenia nowo tam przy-
bywających i żądających przyjęcia prawosławnej wiary,
heretyków i różnych języków ludzi” spełnia (1754,
9 lutego). Różnowierców Zaporozcy tak nie cierpieli,
iż gdy się o ich osadach w swych granicach dowiedzieli,
to w rozporządzeniu posłom swym w Petersburgu da-
nym, poruczyli im, aby prosili rządu o oddalenie owych
różnowierców: „dlatego, że w wojsku zaporozkiem taka
jest ustawa, żeby w całej zaporozkiej ziemi nie było,
i nie żyło ani jednego różnowierca”.

Cerkiew tedy zaporozka była cerkwią greko-rosyjską i nie miała od ogólnej innej różnicy, jedno oddziel-
ne, i że tak się wyrażę oryginalne urządzenie.

W ułamkach znalezionej przez pana Skalkowskiego
kozackiego zaporozkiego archiwum, udało się mu od-

szukać kilka dokumentów oryginalnych i w kopiach, dających pewniejsze wiadomości o urządzeniu zaporozkiej cerkwi. Te dokumenta tak są ciekawe i tak mało znane, że je dosłownie ztamtąd przepisuję, i do wiadomości podaję. Dokumenta te bardzo ciekawe dla przedmiotu samego, są jeszcze niezbitym dowodem na to, że cywilizacja i język polski znacznie się już były na Zaporozu i Małorossyi rozszerzyły, bo wszystkie te odezwy z kosza do Kijowa posyłane, pisane są, jak to zaraz zobaczymy, po polsku, a gdzieś tam tylko ruski pozostał wyraz; tak, że bez tłumacza nieznający języka polskiego, nicby dziś w nich nie rozumiał. Część tych dokumentów pochodzi ze zbioru aktów pod tytułem: „Kopie listów najprzewielebniejszego moskiewskiego i wszech Rossyi i wszystkich północnych krain patriarchy Joachima, i innych małorossyjskich przewielebnych archierejów. Także i od dawniej byłych Ich Miłości panów sławnego wojska zaporozkiego koszowych atamanów, i od całego tegoż wojska zaporozkiego towarzystwa w Kijewo-Międzygorski monastyr przysłanych uniwersałów, wiernie w tę księgę wpisanym, i z oryginałami porównanych, dla wiecznej i niezatartej każdemu pamięci i wiadomości”.

Przy samym początku obejrzenia urządzeń cerkiewnych na Zaporozu, spotykamy dwie ważne okoliczności:

1) Żądania i pretensye kosza zaporozkiego do niezależności ich cerkwi i duchowieństwa od ogólnej rosyjskiej cerkwi i hierarchii, czyli poprostu od kijowskiego i małorossyjskiego metropolity. Służy to za nowy dowód ich zakonnego sposobu bytowania, bo równie i klasztory katolickich zakonników Śgo Benedykta, Śgo Franciszka, Śgo Bernarda i każda inna reguła, miała

swego oddzielnego generała, to jest duchownego naczelnika, z członków tegoż zakonu wybranego, bez którego woli i wdania się, żadne rozporządzenia papieży wykonane w zakonach być nie mogły i nie mogą; w rycerskich zaś zakonach, wielki mistrz był takim generałem duchownym.

2) Szczególne poszanowanie kijowskich świątyń, a największe ku „wielkiemu kijowo-międzygórskiemu święto-Przeobrażeńskiemu monasterowi”. Ta okoliczność zasługuje na najstaranniejsze zglębienie, bo w niej tkwi najpewniejszy dowód na to co powiedziałem, że Kozactwo wypłynęło z południowej Rusi.

Co się tyczy cerkiewnych stosunków, pozostało w archiwum wyżej napomnioném kilka listów wzajemnych prawie układów, a w nich wyraźnie widzimy, że sicz zaporozka ze swojemi posiadłościami, od dawnych czasów należała, jako parafia do międzygórskiego-kijowskiego monastera, który od samego tylko patriarchy wszech Rossyi zależał. Kosz zaporozki w pismach monasterskich nazywano „Kytorem” (1).

Zaporoże przyjmowało do swych cerkwi duchownych pasterzy nie innych, tylko mnichów należących do owego klasztoru, i do siczy, i do samarskiego monasteru, i do święcenia świeckich duchownych w pałankach. Jak to było w pierwszych chwilach nastania Kozaków, nie wiemy, ale w końcu XVII wieku znajdujemy na to oryginalne dowody. I tak: sławny ataman koszowy Iwan Dymitryewicz Sierko, pisał 1676 r. do opata międzygórskiego klasztoru: „Powtórna naszą z czolobitnością zanosim prośbę, za radą i uchwałą (sic) całego wojska, racz

(1) Ktitor, syndyk, kollator, opiekun kościoła lub klasztoru.

(sic) nam Przechacność Wasza, naradziwszy się (sic) z bracią, przysłać jaką osobę na pełnienie służby Bożej, gdyż panowie (sic) diaki świeccy do tego niesposobni; choć jacy i są, to nie umieją sobie cenić (kosztowaty) łaski wojskowej, i chleba spokojnie pożywać (używaty)”.

„Owoż tak całe wojsko obradziło (sic), żeby jego dochód na klasztor śty szedł, gdzie za całe wojsko zaporozkie Boga miłosiwego błagają, i tam był szpital wojskowy. O to powtórnie (sic) i po dziesięć razy prosząc, modlitwom świętym waszym siebie poruczamy. Pisano w siczy nad Czartomłykiem, 16 maja 1676 r.”

Po siedmiu latach później, to poddanie siczy klasztorowi międzygórskiemu, dopełniono następującymi wzajemnymi listami czyli umowami:

(1) „Grzegorz Iwanowicz ataman na tot (ten) czas koszowy, Grzegorz Mieczenko sędzia koszowy, Leonty Konstantyjewicz pisarz, Mateusz cesarski asaulo, i my atamani wszystkich kurení, na imię Wasil Oleksienko ataman kurenia krylewskiego: Jakób ataman kurenia ireklewskiego, Jan Stagajło ataman kurenia koreniewskiego, Paweł ataman kurenia kooryłowskiego jako i wsia (wszystka) atamania kurenna w tym roku iduczym (idącym) niżej opisanym, tak i całe towarzystwo kurenne, nizowe wojsko Jój Carskiej Prześwietłości zaporozkie, oznajmujemy tém pisaniem naszym teraz, i na potomne czasy, iż nam wsiemu (wszystkiemu) wojsku zaporozkiemu bili czołem na piśmie, nasi duchowni ojcowie, czestny (przechacny) pan ojciec Teodozy Bańkowski opat kijowski i międzygórski, z całym soborem swoim, z bracią swoją, żebyśmy na potomne czasy i la-

(i) Dosłownie w oryginale ten dokument przywodzę, dodawszy w nawiasie tłumaczenie wyrazów czysto ruskich.

ta potwierdzili pisaniem naszym wojskowym to, żeby tiepier (teraz) i zawsze z ich monasteru międzygorskiego i kijowskiego, a nie z innéj jakiej obiteli (świętyni) świaszczenniki (księża) przysłani z monasteru, służyli Bożą służbę w cerkwi Opieki Przenajświętszej Boga Rodzicy naszej zaporozkiej, i wszystkie prawidła potrzebne do spasionia (zbawienia) wojska odprawowali, i duchownemi ojcami towarzystwu byli. A tak my całe wojsko widząc przez czas niemały, ojców międzygorskiego i kijowskiego życie inoczeskoe (zakonne) przystojne, gościnne i czyn ich monasterski pochwały godny, na zbawienie ludziom polezny (pożyteczny); uważając ich przysługi niemałe w wojsku naszym i w cerkwi naszej, i widząc cerkiewny porządek w cerkwi Pokrowskiej siczowej stateczny, i odprawianie w niej służby Bożej po monastersku, i z tego wszystkiego ciesząc się: tedy my wojsko całe, jednostajnie poradziwszy się z sobą dobrze, tę czolobitność ojców wyżej pomienionych przyjęliśmy i do skarbnicy wojskowej schowali, i na ich żelanie (żądanie) pozwoliliśmy to, aby cerkiew święta Pokrowska nasza zaporozka i cała parafia zawsze przy nich była, żeby na potomne czasy zawsze nieodmiennie z monasteru międzygorskiego kijowskiego przy świętej cerkwi naszej Pokrowskiej służbę Bożą odprawowali, a wojska zaporozkiego ojcami duchownemi byli. To sobie jednak warujemy, aby z monasteru na to święte dzieło przysyłano ludzi sposobnych, statecznych, świaszczenników dwóch, diakona i ustawnika, które to nasze uzwolenie wojskowe jednozgodne, tém naszym pisaniem wojskowym przy pieczati (pieczęci) wojskowej stwierdzamy teraz, i na potomne czasy, zawsze. I chcemy i prosimy, aby téj woli naszej wojskowej, która za

wolą Bożą stała się, i naszego postanowienia tego, nikt teraz i na potomne czasy nie kasował i nie odmieniał, żeby wojskowe słowo, zwłaszcza nie przeciwne woli Bożej, owszem sławę Bożą pomnażające, było zawsze poważane, stateczne, i jak skała nie podwizne (niewrzuszone). Działo się w koszu wojska zaporozkiego nizowskiego, r. 1683, października 4 dnia”.

Nie bacząc na tak jawne żądanie całego wojska i dawne obyczaje Zaporozców, zapewne nie chciało się kijowskiemu duchowienstwu ustąpić jednej ze swoich świątyń zaporozkiej owczarni, słynnej ze swojej szczodrobliwości ku cerkwiom, bo znajdujemy, że w roku 1686, kijowski metropolita Gedeon polecił cerkwie nizowego wojska poddać pod władzę jego katedry. Międzygorski monaster był posłusznym, odwołał przez naumyślnie posłanego do siczy mnicha Tarasia, znajdujących się tam braci, a tymczasem zaniósł do patriarchy wszech Rossyi skargę przez posłów swoich Irodiona, diaka Gabryela i mnicha Filareta.

Zaporozcom nie spodobały się wcale takie rozporządzenia metropolity, i koszowy Fedor Iwanika tak odpowiedział opatowi monasteru międzygorskiemu Teodorowi, na jego żądanie: „Nie mogliśmy wydziwić się takiej niełasce i niemilości Przewielebności Waszój, że zostających braci u nas chciała Przewielebność Nasza przez wysłanego ojca Tarasia do świątyni swojej ze wszystkim zabrać. Może Nasza Miłość ku świątyni międzygorskiej nie jest wdzięczna? Boża i nasza cerkiew między koczowiskami agoryńskimi zostająca, nie podlega władzy JO. księcia metropolity kijowskiego, bo nie w małorossyjskim znajduje się horyzoncie, ale za granicą, w polach tatarskich, na pomnożenie czci Bożej, a na

duchowną wojskową potrzebę, jako prawosławnych chrześcian, w którejto cerkwi i my modląc się Panu Bogu, całości ojczyzny naszej przestrzegamy, krew naszą przelewając. Jako wierni ojczyźnie naszej i życzliwi synowie znajdujemy się, jako z wierném poddaństwem monarsze Jego Carskiej Prześwietnej Wielkości, tak i z należném dobrodziejowi naszemu Jaśnie Wielmożnemu Jego Miłości panu hetmanowi uszanowaniem i będziemy wielkiemu monarsze i patriarsze i Jego Miłości panu hetmanowi dobrodziejowi naszemu czolobitnie zasylać, ażeby za pokorną naszą prośbą, łaska i przychylnie było zezwolenie, międzygorskiej świątyni i naszej cerkwi wojskowej, do której i dawniej byli świętej pamięci Jaśnie w Bogu Oświeceni metropolity nie interesowali się, tedy i teraz nie należy Jaśnie Ośw. księciu metropolicie kijowskiemu w niepotrzebne się wtrącać. Nie będzie cerkiew Boża i nasza oddzielona od monasteru międzygórskiego, dopóki w Dnieprze wody, i naszego wojska zaporozkiego stanie. W siczy, 29 maja 1686 roku”.

Tutaj trzeba zrobić uwagę, że osoby duchowne, podobnie jak wszystkie inne stopnie i wydziały w koszu, mogły pełnić swój obowiązek tylko przez jeden rok, a potem zastępowane były przez inne, albo dawne zostawały na swoich miejscach, jeżeli na nowo przez wojsko były wybrane i potwierdzone z łaski wojskowej. To nazywało się „zwyczajną przemianą”. Zwykle we wrześniu przybywali z międzygórskiego monasteru zakonnicy, a zostawali do jesieni następującego roku. Jeżeli dawniejsze duchowieństwo podobało się Zaporozcom, to je zostawiali, a w razie przeciwnym, przemieniali na nowoprzybyłych. W tymże samym czasie zbierali dla monasteru bo-

gate jałmużny w całym wojsku, i kilkanaście wozów nalożonych rybami, solą, futrami i winem, na ofiarę braci świętego zakonu, a czasem bydło i konie posyłał w podarunku.

Tym sposobem Zaporozże, aż do chwili nieszczęśliwego swego upadku i przejścia pod turecką władzę, roku 1709, miało swoją oddzielną cerkiew, należącą nominalnie do patriarchy moskiewskiego, a w samej rzeczy podległą zupełnie koszowej władzy. Kiedy na Zaporozżu pobudowano siola, a w nich powystawiano cerkwie, to świeckie duchowieństwo postrzygał albo naczelnik koszowych cerkwi, albo przybywało ono z innych miejsc, i wykonawszy przysięgę koszowi, dostawało od niego przychody w pałankach.

W r. 1734, jak tylko Zaporozcy otrzymali przebaczenie od cesarzowej Anny Joanowny, a nowy kosz w bliskości starej swój siczy założyli, to natychmiast udali się do „świętego miasta Kijowa” po błogosławieństwo. Ale teraz widać już bardzo blizki wpływ na sprawy zaporozkie rosyjskich wojennych władz. Kijowski wojenny gubernator hrabia von Wejsbach, był pośrednikiem między kijowską katedrą i zaporozkim wojskiem. Sama nawet starszyzna zaporozka przemówiła językiem więcej pokornym dla cerkiewnej hierarchii. Za pośrednictwem owego gubernatora, metropolita kijowski Rafael, posłał swoje pasterskie błogosławieństwo „na założenie kosza”. to jest nowój siczy na rzece Podpalnej, i wybudowanie w niej podług starego obyczaju nowój cerkwi Opieki Matki Boskiej (1734 r. 3 kwietnia). Dowiedziawszy się o tém były międzygórski opat, a potem biskup czernichowski i nowgorod-siewierski Irodyon Żurachowski, pisał do koszowego Jana Małaszewicza,

prosząc razem z braćmi dawnego swego zgromadzenia „aby według dawnego zwyczaju, wojsko znowu ich za duchownych sobie przewodników przyjęło.” Na to kosztowy 23 grudnia 1734 roku odpowiedział biskupowi i prosił: „Raczie międzygórskim zakonnikom objawić, żeby oni raczyli w nadziei przebywać, że my ich, za radą naszych wojskowych, kurennego atamana i innych starców nie unikamy, i życzymy sobie za duchownych przewodników sobie wziąć, niech tylko do wiosny poczeka-ją. dopóki my na tém naszym terazniejszym mieszkaniu, pod Jego Cesarskiej Wielkości potężną władzą nie ustalimy się.” Tym sposobem międzygórski monaster wszedł w dawne swoje prawa, i stale co rok posyłał jak dawniej do „rycerskiego wojska zaporozkiego, dawnych swoich dobrodziejów” mnichów do siczowych cerkwi, i do odnowionego w tym czasie Pystynno-Mikołajewskiego monasteru, zdawna wybudowanego przez Zaporozców na rzece Samarze. Piérwszym naczelnikiem cerkwi w nowój siczy był od biskupa Irodyana jeromonach (1) Paweł Markiewicz, z najpochlebniejszym dla wojska zaporozkiego zatwierdzającym pismem.

Ale powtarzam, że bez względu na głęboki szacunek kozactwa dla kijowskich świątyń i w ogóle dla duchowienstwa, zawsze jednak władza koszowa uważała samą siebie tylko głową wojskowej cerkwi, a nawet przewodnikowi swemu międzygórskiemu monasterowi w tym przedmiocie nic a nic nie była podległą. Owoż przykłady tego i tamtego:

(1) Jeromonach, znaczy w porządku hierarchii cerkiewnej zupełnie to samo, co nasz zakonnik, mogący mszą odprawiać, ksiądz mszalny; świaszczennik jest ksiądz niezakonnik.

W roku 1769 nie bacząc na rozkaz Rumiańcowa, kosz nie chciał się zgodzić na to, ażeby będący na wyprawie przy wojsku jego trzej jeromonachowie, byli poddani pod władzę ober-świaszczennika czynnej armii. Również kiedy kijowski metropolita Gabryel żądał w roku 1774 od naczelnika siczowych cerkwi jeromonacha Włodzimierza, aby przesłał do konsystorza wykaz statystyczny o liczbie zaporozkich cerkwi, duchowieństwa, jego dochodach, przywilejach i t. p. koszowy sam w imieniu wojska odpowiedział: „że ponieważ cerkwie zaporozkie, od dawnego czasu wprowadzonym porządkiem budowane były przez wojsko, utrzymywane przez nie, pod główném i zupełném zawiadowaniem wojska znajdują się, to uważa za niepotrzebne tym przedmiotem zajmować metropolią”. Oto znowu list w tym samym duchu koszowego Kałniszewskiego, do rządzącego w koszu sędziego Mikołaja Tymofiejewicza, 1773 r. 3 lipca: „Odebraliśmy wiadomość, że z kijowskiego międzygórskiego monasteru przysłani zostali jeromonachy, jak w sicz, tak i do samarskiego monasteru, gdzie jeromonach Herman postanowiony, a on tak dobrze jest wyuczony, że może i kazania mówić. A takich kaznodziei brak jest w siczowej cerkwi, to ojcu naczelnikowi siczowych cerkwi Włodzimierzowi raczcie powiedzieć, żeby jego, Hermana, zaraz do siczcy na ciągły byt przysłał, a tam do Samary z siczcy któregokolwiek jeromonacha posłał. A że jak wiadomo w samarskim monasterze przysłany tam jeromonach Koszman, ten co to już w siczcy był, i obok postępków nieczystych, albo nieczynnych, odjazd do Kijowa tak nieporządny zrobił (wyjechał bez pozwolenia kosza), i dlatego i dla innych przyczyn nie zasługuje na to, ażeby gdziekolwiekbądź w zaporozkich granicach się znajdował, dla-

tego raczcie ojcu naczelnikowi oświadczyć, żeby tego Koszmana rozkazał nie zatrzymując w Samarze i nigdzie w zaporozkich granicach, zaraz do Kijowa do międzygórskiego monasteru odprawić."

Ale za to nabożność i religijność Zaporozców była nadzwyczajna; oto kilka na to przykładów:

„Zaporozcy, co dotąd, jak z oburzeniem mówi Skalkowski, słynęli dzięki bezstronności historyków, jako hajdamacy lub dzicy rozbójnicy, niby Nogajcy. mieli jednakże 14 cerkwi stałych, a dwie ruchome; niebardzo mała liczba". O liturgią i duchowne nauczanie wojska władze kozowe tak bardzo się troskały, że nawet przy wyprawianiu na granicę czasowych oddziałów do pałanek ingulskiej i bohogardowej, razem z niemi wyprawiano i cerkiew. Dla utrzymania téj cerkwi, oddzielano część dochodu pałanki, tojest: podatek od przewozu, dochód z ryb i część zdobyczy na polu bitwy. I tak: w r. 1772, są dwa kwity ktitorów owych cerkwi, na odebranie przez nich, raz 20 maja z gardowych dochodów na cerkiew 90 rub. i 40 kop.; drugi raz ze zdobyczy zabranéj pod Oczakowem 73 rub.

Ciekawa jest bardzo skarga lisiczników i bazarników z całym towarzystwem, na bohogardowego pułkownika w r. 1758: „Wielmożności Waszój donosimy na pułkownika, że podawali Kozacy na Gardową cerkiew na-przód 14 ziarn pereł i przedane te perły za 15 rubli; potem dali Kozacy kielichów (sic) srebrnych pozłoconych trzy, z tych jeden z przykrywką i krzyżem, i materyi różnego koloru, i groszy trzy kopy, a nie wiedzieć gdzie on to podział. Waszój Miłości pokornie prosimy, ażeby kogo tam z waszój komendy wyznaczycie, tego my będziemy słuchać, a pisarz i asaул zdadzą się nam tak-

że. A my was najpokorniej prosimy, żebyście wy nam przystali na pułkownika Trofima Szczerbinowskiego, a ten pułkownik niechaj przyjdzie wojsku dziękować, a kto u nas będzie pułkownikiem, to niechaj temu pułkownikowi nie daje nic, póki on rachunków nie złoży. On zaś Trofim nie prosi się do nas, ale wojsko bohogardowe jego do siebie prosi, a Waszój Wielmożności pokornie prosimy, żeby Trofim był nam panem nieodmiennie”.

Dziwna mieszanina pokory i imponującego tonu; ale służy to za jasny dowód znaczenia wojska, i wpływu towarzystwa na swoje sprawy.

Cerkiew na Gardzie często była niszczona przez Tatarów i Polaków, po oderwaniu się Kozaczyzny, ale nie bacząc na to, wielu mnichów, szczególnie z zagranicy, tojest z prawosławnej południowej Polski i Mołdawii, przybywało tam po jałmużnę. Z tego powodu pisał raz koszowy 1772 r. do tamtejszego pułkownika Suchina: „Dowiedzieliśmy się, że bez paszportów włóczące się mnichy i zakonnicy i inne duchowieństwo, służbę czynią i kazania powiadają i inne potrzeby pełnią bez pozwolenia kosza, czego im czynić nie wypada. To też polecamy wam zaraz brać ich, i do tego nie dopuszczać, i kazać bezpaszportowym odchodzić do ich klasztorów. Za tém baczyć i doglądać winien bohogardowy jeromonach ojciec Wikon, któremu na jego doniesienie, to pisanie czynimy”.

Korż wspomina tylko o dziewięciu cerkwiach zaporożkich: w siczy, w samarskim monasterze, w Nowosielicu, w Nowym i Starym Kadaku, i w siolach Karnachowie, Romanowie i Mochilewie. Znajdujemy, że oprócz tych były jeszcze następujące: jedna w Kamion-

ce na samej granicy, druga w kałmiuskiej pałance, trzecia w Nikitynie, której szczątki w r. 1835 widział p. Skalkowski, czwarta w 1774 r. wybudowana była w Kottowku, piąta w Łyszkowku i t. p. W zaporozkich zaś siedzibach czyli zimownikach, gdzie cerkwi nie było, stawiano bóżnice, to jest małe drewniane budynki, w których zawieszano obrazy, i palono lampy. Że tak było, mamy dowód w skardze pułkownika perewiezkiego Dymitra Stigajły, w której między innymi powiada, „że Tatarzy napadli na zimownik Kozaka Gardieja Połozy przy rzece Ingulcu, i zabrali bóżnicę, i obraz malowany na płótnie, a wyobrażający Zbawiciela Jezusa Chrystusa, poszarpali, podeptali nogami i na ziemię rzucili” (1759 11 maja). Szczodrość Zaporozców w upiększaniu świątyń pańskich i w świadczeniu dobrodziejstw klasztorom była powszechnie znaną. Koszowy Piotr Kałniszewski, gdy jeździł z pisarzem Głobą na oddanie pokłonu do Kijowa, na własny rachunek wybudował kamienną cerkiew w międzygórskim monasterze, pod wezwaniem śgo Piotra i Pawła, a drewnianą w mieście Romnie na Ukrainie. Oprócz tego dużo pomagał do wykończenia soborniej cerkwi śgo Mikołaja w mieście Łochwicu, której dożywotnim ktitorem był wojskowy sędzia Mikołaj Kosap.

W roku 1768 tyle mnichów przybyło do sicy i na Zaporozie po jałmużnę dla prawosławnych klasztorów kijowskich, wielkorossyjskich, ukraińskich i greckich, że kosz przymuszony był na dwa lata zakazać dawanie jałmużny, żeby mógł własne swoje cerkwie poprawić i upiększyć. Tej szczodrości w jałmużnach podajemy kilka przykładów:

W roku 1768 metropolita kijowski Arseniusz, dziękując koszowi za jego dobre chęci dla cerkwi, prosi, aby podług dawnego zwyczaju dozwolił posłanemu od siebie katedralnemu mnichowi zbierać jałmużnę, na wielką kijowską świątynię Śtėj Zofii. W tymże roku Piotr Kalniszewski pisał do Jefrema świętego patriarchy Śgo miasta Jerozolimy i Palestyny: „Podług mego przyrzeczenia, posyłam dla cerkwi przy grobie Zbawiciela dwa kielichy i dwie patyny i gwiazdę srebrne wyłancane, i błagam najpokorniej, aby je raczył przyjąć, i na nich służbę Bożą odprawiał”. Opat Grzegorz ze świętėj ateńskiej góry, pisze do kosza z podziękowaniem za jego liczne łaski i zawiadamia, że on na świętą górę przybył, i w wybudowanym przez siebie ruskim klasztorze z bracią znajduje się, i za wojsko się modli (1767 r.) Konstantyn archimandryta carskiego i patryarszego greckiego zgromadzenia, dziękuje wojsku za przysłanie monasterowi, oprócz cerkiewnych aparatów i innych cerkiewnych rzeczy, pieniędzy w summie 2,500 rs. Byłato dosyć znaczna wtedy summa, sądząc z tego, że całe wojsko brało z kassy cesarskiej żołdu tylko 6,000 rs.

Równie ciekawy jest list założyciela Mołdawo-wołoskiego zakonu Dragomirny, jeromonacha Paisiusza, pisany do kosza 2 czerwca 1768 r., w którym między innymi powiada: „Monaster nasz nazywający się Dragomirną, przybyłym nam z pięćdziesięciu braćmi od Śtėj ateńskiej góry, wydzielony jest od szlachetnego hospodara mołdawskiego i przewielebnego metropolity w najzupełniejsze posiadanie, z należącemi do tego monasteru dobrami. Bracia-że nasi, jak ci, co przyszli z nami ze Śtėj ateńskiej góry, tak ci, co już tu z nami się połączyli, których wszystkich jest teraz 150 liczba, żyją spokojnie,

cicho, posłuszni przykazaniom Chrystusa, z których większa część jest rossyjskiego rodu, a najwięcej z prawosławno-znamienitój zaporozkiój krainy.”

I władze duchowne czasem okazywały swoje życzliwe usposobienie dla starszyny zaporozkiój. Tak w r. 1756, w czasie przebywania w Petersburgu Daniela Gładkiego i innych deputatów, najświętszy synod darował dla siczowój Pokrowskiój cerkwi biblią nowego przekładu, czém nadzwyczajnie zachwycił i udarował całe wojsko. W r. 1772 Gabryel metropolita kijowski posyłając do wojska po jałmużnę dwóch mnichów, posyła zarazem wojsku zaporozkiemu swoje pasterskie błogosławieństwo, a sędziemu wojskowemu na znak wdzięczności za pomoc do wystawienia cerkwi Pantelimonowój, święty obraz.

Zaporozcy szczególnieć lubili upiększać swoje cerkwie, i utrzymywać swoje duchowieństwo jak najprzyjstojnieć. Oprócz zwykłych ofiar, zawsze przy rozdzielaniu żołdu, prowiantu i dochodów z karczem, szynków, sklepów, z polowania i rybolówstwa, a nawet wojennój zdobyczy, wojsko jedną część, zwyczajem uprawnionym oddawało na cerkiew, a drugą na szkołę będącą przy cerkwi. Kozacy, jako ludzie bezzenni, umierając, chociaż oddawali swoje mienie krewnym albo kurennym towarzyszom, zawsze jednak przekazywali jakąś część na cerkiew i dla duchowieństwa. Chociaż najbiédniejszy, każdy Kozak chciał być pochowanym uczciwie, i zostawiał na to największą część swego mienia (1).

(1) Oto przykład, który wykazuje zarazem i dbanie Kozaków o pogrzeb przystojny dla siebie, i ich szacunek dla duchowieństwa, a nadewszystko rzuca światło na obrządki pogrzebowe

W r. 1775 wysłanemu po żołąd pułkownikowi, polecono zamówić w Moskwie srebrny świecznik, ważący 5 pudów, a na dwa arszyny wysoki. Nie mogąc skutecznie tego polecenia w stolicy, Kozacy poruczyli wykonanie jego w Głuchowie majstrowi Köppen (Carl-Gustaw) za 3,000 rub. sr. W roku 1774 na prośbę wojska i za wstawieniem się Potemkina, cesarzowa mianowała naczelnika siczowych cerkwi Włodzimierza Sokalskiego archimandrytą. Kosz ze swęj strony, oprócz tego, że mu sprawił w Moskwie bogaty krzyż na piersi i mitrę, naznaczył mu na ogólnej radzie 300 rub. sr. pensyi, summę dla nich bardzo znaczną. W r. 1775 koszowy Kałniszewski pisał do archimandryty kijowskiej pieczerskiej ławry, Zosima, że „wojsko ma to życzenie, żeby w siczowej cerkwi Opieki Matki Bogarodzicy były złote naczynia duchowne, takie, jakie najpiękniejszej i najwspanialszej roboty są w kijowskiej pieczerskiej ławrze, i dlatego podług tu ich wzoru zamierzeli bardzo zrobić swoje. Dlaczego przez panów starszyn, którzy teraz po

u Kozaków. W r. 1772 w miesiącu lipcu, znajdujący się w stobodzie Ciernowce, dla wyleczenia się z choroby Kozak zaporozki z kuszczewskiego kurenia Grzegorz Pokityło, umarł, rozdawszy testamentem całe swoje mienie, i gotowizną 9 rs. naznaczył na pogrzeb swój. Summa ta była użyta jak następuje: 1) na wspominki: gorzałki za rs. 3 kop. 50; chleba za kop. 36; ryb za kop. 25; grochu za kop. 10; ogórków za kop. 15. 2) Na podzwonne dano 25 kop. 3) Na obicie trumny dano 30 kop. 4) Na stawnik (świecznik) o dwóch kurkach (świecach woskowych) i za sukno 17 kop. 5) Za 10 ewangelij odczytanych 1 rs. 6) Diaczkom za pogrzeb 10 kop. 7) Za ewangelie diaczkom 20 kop. 8) Ponamarowi za pogrzeb 15 kop. 9) Księdzu za pogrzeb 50 kop. Pozostały jeden rubel polecono oddać babie, u której Kozak mieszkał, i która go leczyła, a służącemu swemu 80 kop. które on użył na nabożeństwo za swego pana, i na obiad biednym. Dwa swoje konie oddał: jednego z kulbaką dobrą i całym przyborem cerkwi Cudotwórcy Mikołaja, a drugiego księdzu.

zold do stolicy posyłają się, do Kijowa złoto przysłane będzie.” Prosił on zarazem o wskazanie, komu by wykonanie téj pracy poruczyć można było. Ten pomnik nabożności Zaporozców, pisany był 1 maja 1775 r., to jest na kilka dni przed upadkiem samym kosza, o którego bliżkiem zniesieniu, sławne wojsko zaporozkie ani pomyślało kiedy.

W każdym razie, szacunek głęboki dla cerkwi i duchowieństwa wyraźnie się objawił. Jeszcze jeden na to dowód: W r. 1768 wojskowy asaut Sidor Biały, z obowiązku swego objeżdżając pałanki, przyjechał do Nowosielca, gdzie zwykle samarska starszyzna mieszkała, i ztąd napisał do kosza: „Dowiedziałem się ja, że przybyły z Jerozolimskich krajów z klasztoru śgo Jana apostołskiego jeromonach Neofit, mając przy sobie święte relikwie, w Nowosielcu za zbieraniem jałmużny już od dwóch lat siedzi, a nie bywając jak to jest jego powinność w cerkwi, siebie w bezprzestanném wielkiém pijaiństwie nurza, a święte relikwie w poniewierce zostawia. Dlatego ja sam personalnie zobaczywszy, że w saméj rzeczy tak jest, tego jeromonacha dopóki nie wytrzeźwieje pod dozór, a święte relikwie do nowosielskiej cerkwi wziąć rozkazałem.” Potém tego zakonnika z całym jego mieniem, a święte relikwie w umyślnie na to przygotowaném schowaniu, odesłał do siczy. Kosz widząc, że mnich miał paszport od Serafina patriarchy konstantynopolitańskiego i od rosyjskiego feldmarszałka hrabiego Buturlina, jak również i formalne pozwolenie od wojska na zbieranie jałmużny, na schadzce postanowił wypuścić go, wyprawić do jego ziemi, dawszy mu przytém fundusz na drogę.

Drugi przykład jeszcze lepiej i żywiej potwierdza ów głęboki szacunek Zaporozców dla cerkwi i ich namiętność ku upiększaniu cerkwi i okazałości w odprawianiu służby Bożej. W r. 1769 przybył do siczy z Kijowa za najwyższym zezwoleniem Anatoliusz biskup Miletu, który przebywał w Petersburgu i ztamtąd powracał; wojskowa starszyna, a jeszcze więcej towarzystwo, które nigdy nie widziało, jak taki archirej odprawia służbę Bożą, tak się zachwyciło nim, że zaprosiło biskupa do pozostania nazawsze w siczy, do przyjęcia pod swój zarząd nizowej owczarni, i w tym celu sprawiło bogate naczynia cerkiewne i wszystko, co do nabożeństwa było potrzebne. Wiadomość o tém wkrótce doszła do Kijowa i do Petersburga. Najświętszy synod przez hetmana Razumowskiego natychmiast zawiadomił kosz, że chociaż biskupowi Anatoliuszowi, dla niektórych politycznych przyczyn dozwolono mieszkać w siczy do pewnego czasu, ale mu, jako odłączonemu od ruskiego kościoła, nietylko archirejskie, ale nawet każde inne odprawianie służby Bożej jest wzbronione. Wojsko nadzwyczaj się zmartwiło tym rozkazem, ale natychmiast wyprawiło biskupa z siczy, zasypawszy go gościńcami i pismami, a donosząc hetmanowi o jego odjeździe, nie mogło powstrzymać się, aby nie wynurzyć uczuć swoich i nie uczynić uwagi, że „widokiem odprawiania służby Bożej przez archireja, całe zaporozkie nizowe wojsko bardzo było rozradowane. Że zaś to miasto (sicz) leży blisko granicy, to też przez wielość przybyłych obcego narodu ludzi, chwała Boża wielką korzyść przez to miała.” (Raport kozowego Aleksieja Bielickiego, zdany hetmanowi d. 24 grudnia 1759 r.).

Korz w swoim opowiadaniu, wspomina także o zaporozkiej cerkwi. Oto kilka wyjątków z jego ciekawej opowieści: „Między zaporozkimi obyczajami, były także i nabożne obrzędy, odnoszące się do chrześcijańskiego zakonu i różnych cnót, albowiem między Kozakami wielu było nabożnych, nadzwyczajnie lubiących chodzić do cerkwi: upiększali cerkiewne obrazy, sprawiali (sic) bogate chorągwie, krzyże, zbogacali różne sprzęty, i potrzebne do służby Bożej narzędzia w cerkwi, zwykle drogimi kamieniami wysadzać i wspaniale wyrabiać kazali, tak, że w całej Rosyi zaledwie gdzie była zaopatrzona która cerkiew lepiej od zaporozkiej; szczególnie pod względem dostatku cerkiewnego, to jest piędziężnej kasy, z tej przyczyny, że Zaporozcy byli bezzenni, mieli wiele tysięcy piędzi, wiele bydła i koni po zimownikach. Wrazie śmierci Kozaka, cały jego majątek przechodził na cerkiew siczową i na monaster samarski. Cerkwie klasztorne i siczowa były drewniane bez ogrodzenia. Przy ostatniej znajdowała się wielka i wysoka dzwonnica z czterema oknami, w których stały armaty tak dla obrony od nieprzyjaciół, jak i dla strzelania w czasie wielkich cerkiewnych świąt, szczególnie w dzień Wielkiej Nocy, w dzień Trzech Króli, w dzień założenia cerkwi d. 1 września i t. p. W czasie święcenia wody d. 6 stycznia, Kozacy ze wszystkich kureni i z pobliskich pałanek i zimowników, konni i piesi, w zupełnym uzbrojeniu, w najlepszych sukniach, zbierali się podług kureni naokoło cerkwi, ze swojemi chorągwiami, na koniach żywemi i bogatemi farbami umalowanymi, i artylerya kozacka była tam także. Kiedy zbiorą się w cerkwi, to takie wielkie mnóstwo narodu bywa, że zajmuje nietylko całą przestrzeń miejsca około cerkwi, ale i cały obszer-

ny miejski rynek. I stoi całe wojsko, konnica i piechota w ścisłych jak mur szykach, z odkrytą głową aż dotąd, dopóki się liturgia nie skończy. Po jej skończeniu, proboszcz jako główna osoba, wychodzi z cerkwi z krzyżem, za nim wszyscy zakonnicy i księża parami, i z obrazami, i świecami szli na Dniepr odprawiać Jordan. Całe zaporozkie wojsko, wolnym krokiem podług kureni szło za nimi, i rozkładało się po brzegach rzeki. Kiedy proboszcz zanurzał krzyż w wodę, to wszystkie armaty i wszyscy mający broń palną dali trzykrotny wystrzał, a po skończeniu ceremonii długo jeszcze strzelali, jak się komu podobało, i wtedy wracali do siebie." Bardzo właściwem jest wspomnieć tu o jednym jeszcze religijnym zwyczaju u Zaporozców, to jest: o wypominaniu umarłych i poległych na polu bitwy. Zapewne w Pokrowskiej cerkwi była na to osobna tablica, bo są w archiwum dwie wzmianki o takim wypominaniu. Pan Skalkowski szukał ich w tej cerkwi w r. 1845, ale ani ksiądz, ani starostowie cerkiewni nic o tém nie wiedzieli. W r. 1770 z pochodnego kosza przysłany był spis zabitych w bitwie pod Oczakowem „za wiarę i ojczyznę” Kozaków, z poleceniem umieszczenia ich w listę wypominanych, i odprawienia w siczowej cerkwi za nich nabożeństwa (panichidy), i także nabożeństwo odprawiać we wszystkich zaporozkich cerkwiach. Potem do wszystkich komend posłano polecenia, żeby o wszystkich Kozakach poległych, także same spisy i na tenże sam cel przesłane były do sicy. W r. 1773 naczelnik siczowych cerkwi Włodzimierz, pisał do wojskowego pisarza Jana Głoby: „Za ś. p. Jana Burnosa byłego wojskowego sędziego, i zmarłego na wyprawie, nabożeństwo odprawione, i dzwonili, i psal-

terz czytali szkólnicy, i w tablice na coroczne wypomnienie, nazwisko jego wpisane.”

Jeszcze jeden rys religijny Zaporozców leży w tém, że lubili namiętnie śpiew kościelny. Ponieważ pochodzili w zawiązku swoim z słowiańskiej krwi, to téż lubili pieśni kobzarzy i lirników, śpiewane przy dźwiękach bandury lub cymbałów; ale śpiew kościelny sprawiał im najwyższą radość. Kiedy mówić będę o zwyczajach i obyczajach domowych na Zaporozu, wspomnę, że kiedy kozowy i starszyzna znajdowali się 1771 r. w Kodaku, i zostali zaproszeni w gości do jednego świaszczennika, to autor dziennika pochodnego zrobił uwagę w opisanu przyjęcia, jakiego doznał kozowy i starszyzna, że jego wielmożność „i przez śpiewaków był hawiony”.

W siczy przy świętej Pokrowskiej cerkwi „na monasterskiém podwórzu” była szkoła, gdzie ochotników, szczególniej dzieci uczyli pisać i czytać. W niej był wyłączny oddział dla śpiewaków, zostający pod dozorem duchowieństwa.

Podług opowiadania naocznych świadków, znajdowało się tam zawsze około 30 dorosłych Kozaków, którzy poświęcili się w zawód posług cerkiewnych, to jest ustaników, zakrystyan, diaków, i czasem zostawali i dyakonami. Oprócz tego było w siczy 50 szkolników, mających swój osobny kureń, swojego osobnego atamana kurrennego i swojego kucharza. Zapewne przyjmowano tam dzieci Kozaków, przeznaczonych do wojska, i te nieszczęśliwe chłopaczki, których Kozacy porywali katolikom i żydom, żeby ich potem przechrzcić na prawosławną wiarę. Między innemi przywilejami, mieli oni wyłączne prawo kolendowania, to jest śpiewania hymnów świętych pod oknami siczowego towarzystwa, roznosić

zboże z powinszowaniem na Nowy Rok (1), a jaje w Wielką Niedzielę, dzwonić w dzwony, a czytać psalterz za umarłych i poległych w bitwie, przedawać kurki (świeće) i t. p., za co dostawali mnóstwo rozmaitych zapasów żywności, a przytém i pieniądze, które składały ogólną szkolną kasę, pod zarządem atamana. Ale ponieważ ci chłopcy chowani byli zawsze obyczajem żołnierskim, jak to zobaczymy z podziału corocznego żołdu cesarskiego, z którego widać, że i oni dostawali ołów i proch, jak i inni na stopie wojennej będący: mogli dlatego wchodzić w towarzystwo, szczególniej jako pisarze.

Najprzewielebniejszy Gabryel, teraz arcybiskup chersoński i taurycki, w swoich pamiętnikach o samarskim Pystynno-mikołajewskim monasterze, wydanych w Odessie 1838 r. opowiada bardzo szczegółowo jego początek, przemiany i całą historją. Mówi on, że w tym klasztorze za naczelnictwa księdza Teofana, przebywali zastarzali z zaporozkiej starszyny: były koszowy Filip Fedorów, były wojskowy tłumacz Jan Szwydki i inni. W r. 1735 mieszkał w tymże klasztorze i umarł wojskowy pisarz Dymitry Romanowski, i pochowany był tamże sędzia Mojżesz Suchy, i wiele innych ze starszyn.

Kończąc to krótkie obejrzenie stanu i życia religijnego Zaporozców, nie mogę nie zrobić jednej jeszcze uwagi: gdzie się podziały te cerkiewne bogactwa po zajęciu i zniesieniu siczy, która przecież wzięta była pod przywództwem prawosławnych naczelników, przez rossyjskie

(1) Ten zwyczaj kolędy zależał na Zaporozu na tém, że dzieci zamiast słownego powinszowania, rozsypywały w domu różne zboże pomieszane, mówiąc przytém: „Na szczęście, na zdrowie, na Nowy Rok, niech Bóg rodzi żyto, pszenicę, i wszelaką pasznicę” (paszę). Zapewne byłto zabytek słowiańskiego obrzędu kolady.

regularne wojsko? Pan Skalkowski widział opisanie zostających ciągle przy Potemkinie sprzętów, zabranych w siczowej cerkwi; ale opis ten mieści same tylko lichy szczątki, niepodobne wcale do szcudrze okazałych darów, jakie na ofiarę Bogu znosiło ciągle do swój cerkwi prawosławne zaporozkie wojsko.

VI.

Sądownictwo i sądowe obyczaje Zaporozców.

Przedewszystkiém trzeba zrobić tu uwagę, że wszystkie pozostałości piśmienne sądowe po Zaporozu, tyczą się samych spraw kryminalnych; z cywilnych zaś tak mało się pozostało, że z nich możemy tylko ten wniosek prawdopodobny uczynić, że ich wcale nie było, że sprawy cywilne odręcznie i ustnie rozsądzano, sposobem, jaki nam Korz w swoich opowiadaniach zostawił. Powtarzam więc, że dokumentów spraw cywilnych, to jest: tyczących się praw osobowych, praw własności, szkody, umów, pretensyj i t. d. bardzo mało pozostało, a i te są bardzo nowe, prawie wczorajsze, chociaż w formie swój są zajmująco-oryginalne. Najlepszym pomnikiem dotąd znajomym było opowiadanie Korzy, i dlatego w zupełności je tu powtarzam, chociaż żadnym innym współczesnym dowodem historycznym sprawdzić jego wiarogodności nie można. Dosyć jest przypomnieć sobie to, com powiedział o składzie wojska, jego duchu, pochodzeniu i działalności cywilnej, żeby przestać się dziwić, dlaczego niéma u nich sądowych rozpraw pod względem osobowości i stanu. Nikt nigdy na Zaporozu nie pytał się nikogo o akta urodzenia, chrztu i śmierci;

nikt nie przynosił z sobą i nie nabywał nieruchomości własności. Nie było sprzeczek granicznych wewnątrz kosza, bo w zimownikach „siedzieli” nad rzeczkami i razem posiadali niezmierne pola i łąki. Sprawy handlowe, o długi, o zabranie osobistego mienia albo zdobyczy na polowaniu i rybołówstwie, były zapewne, ale jak już powiedziałem, rozsądzone były poprostu, zdrowym rozsądkiem, słownie, jak to zobaczymy na przykładach, które tu przytoczę.

I. Sądownictwo cywilne.

1) *Sprawa o niesłuszne domaganie się pieniędzy*, zaczęła się w r. 1745. Były wojskowy pisarz, a potem właściciel ziemski w Małorossyi i towarzysz wojskowy (1) Aleksiej Pietrusza, będąc jeszcze pułkowym starszyną i pisarzem kałmuskiej pałanki, za karę za jakieś przewinienie zabrał Kozakowi mińskiego kurenia Stefanowi Czarnemu, co siedział w zimowniku na rzece Jełancyku, bydło i inne jego mienie. Kozak przybył ze skargą do pałanki, ale pisarza już nie zastał, bo ten pojechał na radę do kosza; dlatego obyczajem zwykłym, ów Kozak wzajemnie w jego mieszkaniu zabrał także bydło, oprócz tego rubel i 50 kop. pieniędzmi, burkę, i t. p. rzeczy. Po upływie kilku lat, kiedy Pietrusza opuścił wojsko i zamieszkał w Małorossyi, przez różne nieszczęśliwe okoliczności zubożał, a wtedy przyciśniony potrzebą, wspominał sobie Kozaka Czarnego, i za pośrednictwem hetmańskiego zarządu, zajął zadostyczenia od Czarnego, który wtedy był żonatym, i jako

(1) Co znaczył towarzysz wojskowy, obszerniej o tém mówiłem w art. „O hetmanach małorossyjskich” w Bibl. Warsz. z r. z.

pospolity człowiek mieszkał w samarskiej pałance, we wsi Czernieczomie. Wezwany do kosza Czarny, objaśnił jak się ma rzecz, i został uznany za niewinnego i wypuszczony; ale z rozkazu atamana koszowego Grzegorza Fedorowa, z uwagi, „że Pietrusza znajduje się w dokuczliwej nędzy i biédzie, z uwagi na jego dobrowolną i płaczącą prośbę”, dał mu 40 rub. sr. i wziął od niego własnoręczny na to rewers 2 czerwca 1756 r. w którym powiedziano: „Gdy Stefan Czarny dał tłumaczenie i uniewinnił się, to od pana koszowego przykazano ze wszystkiej mojej pretensyi (sic) 146 rub. sr. i 80 kop. zapłacić mnie (Pietrusze), tylko 40 r. sr. I że wyżej wzmiankowaną summę 40 r. sr. pieniędzy ja od niego otrzymałem, i na niego, Czarnego, nigdzie i w żadnym sądzie i prawie skarżyć nie będę (nie będę czołobitnik), w pałance samarskiej, przy pułkowniku Piotrze Szabelniku ze starszyzną, ten rewers mój ja dałem, i na nim się podpisałem”.

Zdawało się, że sprawa już zupełnie skończona; ale uparty Ukraińiec nie był zadowolony z 40 rub. sr. i przez małorossyjską wojskową kancelaryą znowu domagał się nietylko pozostałych pieniędzy, ale i ukarania Stefana Czarnego. Kosz po drugi raz ściągnął pod strażą oskarżonego do kosza, i trzymał go kilka lat to w turmie, to za poręką na wolności; nakoniec widząc jawne ze strony Pietruszy krętarstwo, wydał następujący ostateczny wyrok:

„R. 1764, 22 lipca, na skargę wojskowego towarzysza Aleksiego Pietruszy, Kozak i mieszkaniec samarskiej pałanki Stefan Czarny, ściągnięty był przez rozkaz i konwojowany (sic) do kosza, i oprócz tego wzywano go jeszcze pod strażą do kosza razy kilka, który przed

sądem wojskowym był, i na doniesienie byłego atamana koszowego Grzegorza Fedorowa, że oni piérwój między sobą zupełnie się pogodzili (sic), tak, żeby już do Czarnego, za odebraniem przez Pietruszę 40 rub. sr. rzekł się wszelkiój pretensyi, i żeby się na to podpisał, jako od niego nic więcéj żądać nie będzie; ale że on, Pietrusza, na tém nie przestając i nie wytrwawszy w słowie i w daném piśmie, jego, Czarnego turbuje (sic) niewinnie, kosz utrudza napróžno, bez najmniejszój przyczyny. Dlatego żeby na przyszłość, jeżeli Pietrusza znów sprawę wytoczy, po Czarnego więcéj nie posyłać, i zupełnie Pietruszę odsunąć z żądaniem: to dla wiadomości na wieczny czas do sprawy ich zapisano i podpisano, roku, miesiąca i dnia jak wyżej napisano". Tu następuje podpis pisarza wojskowego:

„Z rozkazu pana koszowego atamana Filipa Fedorowa, i wyżej wzmiankowanego byłego koszowego atamana Grzegorza Fedorowa, wojskowy pisarz Jan Głoba".

2) *Wyrok w sprawie o dług.* „Rozkaz kosza, samarskiemu pułkownikowi Karpowi Hurtowemu z starszyszną. Kozaka i mieszkańca samarskiego Hryskę Białego, wprowadzona o niezaplacenie sprawa z mieszkańcami samarskiemi: Charkim Próznym i Janem Syczkiem, przez nas przejrzana. A po przejrzeniu okazało się, że oni Charko Prózny, i Jan Syczek, powinni zapłacić jemu, Białemu, pieniędzy 46 rub. i 67 kop., jakie pieniądze Charko Prózny zaraz 23 rub. i 33½ kop. zapłacić powinien, a Syczek za powrotem z Krymu w dom swój takowąż część, bez żadnego opóźnienia, zapłacić jemu Białemu ma. O czém do was, dla wypełnienia tego piszemy" 1772 r. grudnia 7.

3) *O wyprowadzeniu śledztwa.* Rozkaz (order) kosza, do wojskowego asaula *Teodora Zawieziona.* „Na skargę Kozaka i mieszkańca zarządu protowczańskię pałanki, wioski Bajbakówki, *Jakóba Głuchego,* na byłego atamana tamtejszego *Prokopa Samarskiego,* mając my za odebraniem tego zjechać do oznaczonej slobody Bajbakówki zaraz, i na skargę jego, *Głuchego,* z przeciwną stroną zrobić, podług samej sprawiedliwości dojrzałém okiem rozbiór; a kto się pokaże winnym, temu bez niczego rozkazać, pokrzywdzoną stronę zaspokoić, tak, żeby więcej o tém žaloba (skarga) nie dochodziła do nas”. 1772 r. 8 grudnia.

4) *O dawności posiadania (przedawnienie).* „Rozkaz wojskowemu starszynie *Andrzejowi Porochnie.* Ze *Samary* wdowa *Hanka Silicha* skarży się, że jęj mąż mając potrzebę ogrodu, zajął na to miejsce w *Panczowem,* gdzie zasadził czarne i rodzące fruktowe drzewo, rozporządzając niém przez 13 lat swobodnie. Teraz zaś wy ją od tego odsuwacie, i jeżeli do tego dojdzie, że ją odsuniecie, to ona bardzo pokrzywdzona będzie, dlatego, że jest wdową i bez pomocy żadnej. Że zaś z tego przedstawienia pokazuje się, że jęj mąż z nią tam przez 13 lat rozporządzał i zagospodarował swoją pracą, to i rekomendujemy wam, żebyście wy żalując się *Silichie,* w posiadaniu przez nią tego ogrodu nie przeszkadzali, i bez niczego powrócili. Jeżeli zaś tego miejsca potrzebujecie, to możecie wybrać tam, gdzie można, i zgodnie z porządkiem” 1774 r. grudnia 10.

5) *O umowach.* „Rozkaz wojskowemu starszynie *Lucyanowi Wielkiemu.* Wdowa *Popadia Nowa-Kodacka Akalina* skarży się do kosza, że ona dłużne wam 500 rub. zupełnie oddała, na co i kwit na papierze dostała od was.

Nie bacząc na to, wy żądacie jeszcze jakichś tam procentów, i za nie zabraliście jój bydło i konie. Ona przedstawwszy wam kwit, dowodzi: że wy idąc na wyprawę dali jój 2000 rubli, pod tym warunkiem, żeby ludziom je wypożyczać, a o procentach umowy nie było. Ona wypożyczyła z waszych pieniędzy 500 rub. i odebrała tylko 200, a 300 przepadło; dlatego ona swojemi pieniędzmi tę stratę zapłaciła (sic) i prosi, żeby koszt rozkazał bydło jój powrócić. inaczéj ona zupełnie zrujnowaną będzie. My rozpatrzywszy jój zażalenie i kwit wasz w oryginale, w którym napisano 1774 r. kwietnia 27: „Ja niżej podpisany dałem ten kwit, mieszkance Nowo-Kodackiéj Akulinie, ojca Wasilia nieboszczyka żonie, na to, że ona mnie winna była 500 rubli. To ona mnie ich wszystkie zupełnie oddała, wyżej wspomniana Akulina. Na co się i podpisuję własnoręcznie krzyżem. Kozak kurenia diadkowego, Lucyan Wielki”; znajdujemy, że ona, Popadia, nie jest wam nic dłużną, i dlatego niesłusznie zatrzymujecie jój bydło i konie: to téż rozkazujemy wam, abyście wy nie podawając na uniewinnienie żadnych wymówek, za odebraniem tego pisanja zaraz zatrzymywane przez was bydło i konie jój Popadii Akulinie powrócili”. 1774 r. grudnia 8.

6) *O nierówném rozdzieleniu kary.* „Rozkaz wołoskiéj slobody (1) naczelnikowi. Wołoszyn Atanazy skarżył się, że z niego były pułkownik w Kodaku Popowicz wziął pieniędzy 16 rubli za to, że jego kozy w bajraku na tę summę narobiły szkody (sic), a kozy były nie jego

(1) Wołoska sloboda powstała z osiadłych na zaporozkiéj ziemi Wotochów i Mołdawian, a wziętych w niewolę przez Tatarów i odbitych przez naczelnika zaporozkiéj flotylli Daniela Trzeciaka r. 1733. Istnieje ona dotąd pod nazwiskiem Wołoskich hutorów przy mogile niewolnika, o 21 wiorst od Jekaterynosławia.

samego, ale i innych Wołochów: Jana, Dymitra, Eustachego i Wasila, a prosił, żeby i ci Wołosi byli pomocnikami w powróceniu jemu skarżącemu się Atanazemu w tę liczbę pieniędzy, wiele z nich na każdego i na Atanazego przypadnie, podług rozkładu; dlatego rozkazujemy, żeby ze skarżącego się, obiałowane i pretendowane pieniądze 16 rub. sr. na równe części podzieliwszy, ściągnąć i oddać skarżącemu się za kwitem, jeżeli tak się rzecz ma jak on przedstawił” 1774 r. grudnia 3.

Z tych sześciu przykładów wywiedziemy prawdopodobne, a nawet pewne wnioski:

1) Widać jasno z tych spraw i sposobu ich rozstrzygnięcia, że wyroki kosza były w ostatniej instancji, bez apelacji. Wnet za wydanym wyrokiem, przychodziły do kosza doniesienia z pałanek, albo raport asaule wojskowego, że rozkaz kosza wykonany został. Jak już powiedziałem wyżej, asaul wojskowy był podług naszego sposobu wyrażenia ministrem policji i sprawiedliwości na Zaporozu, i ciągle znajdujemy dawane mu poruczenia, albo wyprowadzić śledztwo na miejscu, albo wykonać wyroki rady, albo ścigać zbrojną ręką złodziejów, hajdamaków i grabieżców. W tych działaniach asaul miał sobie dodanego do pomocy wojskowego dobosza, którego znaczenie jest bardzo podobne do byłego w zachodniej Europie *Prevost*, urzędnika przytomnego zwykle przy wykucjach; czasem téż bywało przy asaule po kilku atamanów kurennych.

2) Nasuwa się tu zaraz bardzo naturalne pytanie, na czém zasadzało się sądownictwo i wyroki kosza? Powiedziałem już, że wyjąwszy pisarzy zaporozkich, żaden Kozak, nawet koszowy ataman nie był i nie mógł być piśmienny, jak mawiano na Zaporozu, czyli nie był nau-

kowo wykształcony; następnie nie było, bo nie mogło być praw zasadniczych pisanych, a wszystko opierało się na prawach zwyczajowych, podawanych tradycyjnie od niepamiętnych czasów i na zdrowym rozsądku. W tym względzie nikt tu na nich nie wpływał, ani Polska, ani Rosya. Niema najmniejszego śladu, aby coś z praw dwóch tych po kolei nad Zaporozem stojących państw przeszło do Kozaków. Kosz powiada poprostu: „my rozpatrzyli. my tak postanowiliśmy”. Wyraz ten, tak święty na Zaporozu „*stary obyczaj*” miał tak ogromne znaczenie i powagę, że nawet w aktach urzędowych Polski i Rosyi do niego się odwoływano, i mówiono: „aby w tym, lub owym razie postąpić podług starego obyczaju”. Co się tyczy samego wykształcenia się pojęć prawnych na Zaporozu, oczywiście pokazuje się z przytoczonych wyżej przykładów, że:

1) Dowody piśmienne w sprawach bardzo były szanowane w koszu.

2) Że znajome już było także przedawnienie (*praescriptio*) i prawo pierwszego posiadania (*jus primi occupantis*).

3) Sprawiedliwość w wyrokach była zadziwiająca. Naumyślnie przytoczyliśmy sprawy samych prostych Kozaków, wytoczone przeciw starszyźnie wojskowej, a kosz zawsze wyrokował na stronę pierwszych.

4) Że nakoniec, chociaż w kancelaryjnym języku sądowym używano języka bardzo do polskiego zbliżonego, jak to na samych przytoczonych dokumentach widzieliśmy, ale mimo to pierwiastek prawa i sądu, był zawsze swój, przyrodni, patryarchalny. Zawsze jednak, chociaż zaledwie dojrzane, są ślady i tu wpływu Polski na Zaporozie. Dwa wyrazy „żałobliwy i obżałowany”, zamiast

ruskich *istec*, powód i *otwietczyk*, pozwany, są wzięte zupełnie z dawnego sądowego polskiego języka, ale dwa te wyrazy używane były w całej Małorossyi, kiedy do tamtéj krainy w XV wieku wprowadzony był spolszczony statut litewski.

Jakąż tu rolę grał piérwszy urzędnik w Zaporozu, po koszowym? wojskowy sędzia. Ze wszystkiego się pokazuje, że on rozbiérał sprawę, objaśniał ją i rady prawne podawał; koszowy decydował, a asał wykonywał. Tyle o sądownictwie cywilném. Teraz przejdziemy do sądownictwa kryminalnego, już wybitniejszego, i obejrzymy je tymże samym sposobem.

II. Sądownictwo kryminalne.

Przytoczę najprzód kilka przykładów spraw kryminalnych, a potém zrobię kilka uwag nad jego duchem, i znaczeniem.

1) *Sprawa o obelgi*. „Rozkaz samarskiemu pułkownikowi. Mieszkanka samarska Anna Perechrystka, jak nam przedstawicie, przez Kozaka kurenia kaniowskiego Teodora Malara zelzona o „nieprzystojność”; a ponieważ ten jój występek nietyle do niéj, Perechrystki, ale raczej ku zbezsławieniu całego wojska zaporozkiego się tyczy, to wy go wygnali aż do powrotu naszego z Kodaku, dlatego wam pułkownikowi z starszyną rozkazujemy, owego Malara wyszukać i żeby drudzy takich nieprzystojnych złości robić nie odważali się, na strach innym, publicznie (sic) na bazarze kijami ukarać, i o wykonaniu tego zaraz nam raportować”. 1772 r. grudnia 7.

2) *Sprawa o napomnienie przestępców.* Wyjątek z sądowego śledztwa i inkwizycyi, wyprowadzonej ze Stefana Czarnego.

„On Stefan Czarny, połączył się 1745 r. z dowódcą hajdamaków lewaszkowskiego kurenia już umarłym Achtirą, i z nim będącemi trzynastoma ludźmi, z niemi niemały czas przeżył, przestając na chwytniu bydła tatarskim czabanom. Gdy posłani od kosza do wspomnianego dowódcy i jego towarzyszy umyślni (po wielu na wielkich zagranicznych stepach szukaniach ich i niezalezieniu), żeby po stepie przestali się włóczyć i Tatarom krzywd czynić, i jeżeliby przyszli na dobrowolną pokutę w sicz bez niebezpieczeństwa, i na to, że włóczyć się i kraść nie będą w siczowej cerkwi wykonali przysięgę, to dlatego będą mieli przebaczenie w koszu. Wtedy on z przywódcą i innemi towarzyszami zaraz pojechali do siczy, i za przyjazdem, po dostatecznym wtedy byłego atamana koszowego i starszym ustnem napomnieniu, w cerkwi na nieczynienie już w przyszłości żadnych samowolności, przysięgli, od wszystkich w koszu rządowych i całego towarzystwa wojskowego, za wszystkie ich przestępstwa, ze względu na dobrowolne ich zdanie się na pokutę, zyskali przebaczenie... a on Czarny zaczął żyć w Samarze, to jest w siole Nowosielicy na rzece Kilczynie i t. d. 1756 r. 2 czerwca”.

3) *Sprawa o zuchwałstwo przeciw pogranicznym władzom.* „W roku 1763 zażądani byli i wyprawieni do twierdzy stój Elżbiety trzej zaporozcy starszyna, dla oznaczenia granic i rozstrzygnięcia mogących powstać granicznych sporów. Jeden z nich, pułkowy starszyna i pisarz Andrzej Semionów, a po nazwisku Towstik, zauważywszy wiele nadużyć przy rozgraniczeniu, przeciwnych

duchowi najwyższych poleceń cesarzowej, protestował (sic) bez odwołania się do swoich starszych towarzyszy, i w przytomności generał-porucznika Melnugowa rzekł: „Czyż tu takie miejsce, że wszystkich gwałtem obdzierają?” Obrażony generał, nie chcąc sam być sędzią obwionego, odesłał go do kosza. Starszyzna wojskowa, żeby okazać bezstronność swoją ku takim nieprzystojnym postępkom, osądziła Towstika: „przy zebraniu całego kosza ma być surowo naganionym, i podług *abyczaju* ma być przywiązany publicznie na bazarze do armaty przez cały tydzień.”

4) *O karach.* a) *Przez odjęcie części ciała.* „Włóczęcy się po Zaporozu najemnik (najmit) Hrycko Kapusteńko, mający 25 lat życia, znajdując się na łowieniu ryb w kałmiuskiej pałance, służył przy zakładzie zaporozkiego Kozaka, korsuńskiego kurenia, Demka Kumpana. Dnia 24 marca wieczorem napił się pijany (upił się), i pokłóciwszy się o fajkę tytoniu z Zaporozcem Nikitą Taranem, uderzył go nożem. Widząc zaś, że go mocno ranił, przeląkł się, zaczął uciekać, ale ponieważ noc była bardzo ciemna, nie mógł nigdzie uciec. Przybiegłszy do rybackiego zakładu, ze strachu ukrył się był w rybną beczkę, ale na gwałt (sic) Tarana, zbiegli się drudzy Kozacy, i ujrawszy co zaszło, zaczęli czynić poszukiwania, a znalazłszy go w beczce, zrewidowali, i znaleźli w odzieniu nóż cały skrwawiony; wzięli go i trzymali całą noc pod strażą, a tymczasem dali znać jego gospodarzowi Kumpanowi, który dostawił go natychmiast do kałmiuskiej pałanki, a potem odesłano go do kosza i t. d.” Wyrok 1767 r. 8 sierpnia, ukarany na schadzce odcięciem jednej nogi.

b) *Kijami.* „Kozak płatnirowskiego kurenia Iwan Pastryda służył w różnych zimownikach, i przy łowieniu ryb w Gardzie uczciwie aż do 25 kwietnia 1767 r., jadąc zaś do noworossyjskich słońód, zatrzymał się na noc w zimowniku na rzece Czarnym Taszliku, u zaporozkiego Kozaka. Tutaj z drugim upiwszy się (napiwszy się pijany), stracił zupełnie pamięć, i służącego tegoż zimownika, co poszedł ku jego wozowi, kułakami i duhą tak silnie bił, że ten trzeciego dnia umarł.” Wyrok d. 8 sierpnia 1767 r. na schadzce: ukarany okrutnie kijami i na pokutę oddany.

5) *Zmniejszenie kary.* Pewien mieszkaniec zaporozkiej wsi Łiebiedynki, w protowczańskiej pałance, będąc obwiniony przez jakąś kobietę o grzech, który najsrożej karany bywa na Zaporozu, podpadł ciężkiej odpowiedzialności; mszcząc się za to, nie tylko ją zabił, ale nawet tyrańsko nożem pokrajał i w pałance do téj zbrodni przyznał się. Wzięty pod areszt i dostawiony do siczy, oddany został pod sąd. Oto wyrok kosza, udzielony wojskowemu starszynie Porochnie, dowodzącemu w zadnieprowskich pałankach: „Przysłany przy waszym raporcie w kosz, z zarządu protowczańskiego, wioski Łiebiedynki, mieszkaniec Wasil Burkut, chociaż za jego w zabójstwie cudzej kobiety winę, podlegał karze śmierci... ale że ma u siebie małoletnie dzieci i żonę, i żeby one nie zostały się bez wyżywienia, po roztrząśnieniu jego sprawy w koszu, zamiast takiej przypadającej na niego za to kary śmierci, był tu okrutnie ukarany kijami, i odesłany do dawnego mieszkania na pokutę” i t. d. 1767 r. 8 sierpnia.

Zasługuje tu na uwagę ta okoliczność, że kiedy jeszcze wyrok kosza nie był wydany, kosz rozkazał woj-

skowemu asaule pojechać do wioski Liebiedynki, i zabrawszy bydło zabójcy, rozdzielić je, podług *obyczaju*, na trzy części: jedną dla kosza, jedną dla starszyny wojskowego Porochny, jako głównego miejscowego naczelnika, trzecią zaś część bydła, i cały ruchomy majątek winnego, który przypadł głównej starszynie w siczy, został oddany żonie jego na jej utrzymanie i dzieci jej.

6) *Kara pod szubienicą i poręczenie*. Zaporozki Kozak kurenia połtawskiego Maksym Szulga, kilka lat ciągle hajdamaczył, szczególnie zaś zajmował się kradzieżą koni w Polsce i Budżaku, ale w jednym szynku na rzece Solance, gdzie się on ukrywał, został przez wojskowego asaula pojmany, i do siczy przywieziony. Oto wyrok na niego: „Po dostatecznym ukaraniu kijami pod szubienicą, przez wojsko i świąszczenników wyproszony, i wypuszczony za poręczeniem 3 stycznia 1759 r”. Następnie zaraz poręczenie jego brata i innych towarzyszy, następującej treści: „Że jego, Szulgę, wzięli na poręczenie, że napotem kraść nie będzie, my w tém obowiązujemy się, i powinniśmy odprowadzić go do monasteru podług jego przyrzeczenia. Jeżeli zaś on, Szulga, znowu kraść zacznie, i na niego pretensya dojdzie, to my pokrzywdzonych wynagrodzić i jego wyszukawszy do kosza dostawić mamy”.

7) *Kara za sodomski grzech*. Wyrok na Kozaka, co się shañbił tém przestępstwem (który prawda natychmiast żałował za niego, i sam się do niego przyznał) był następujący: „Na schadzce przy przegierzu postawiony, i kijami na śmierć zabity. 1758 r. 16 lipca”.

8) *Przegierz*. Ten słup stał przy samej dzwonnicy siczowej Pokrowskiej cerkwi, a kara skazująca na stanie

przy nim w obecności całego wojska, była najsromotniejszą dla Kozaka. Oto przykłady téj kary:

„W 1758 roku 11 czerwca, Kozak Gerwazy Roby za pobicie w pijaństwie poczynione, ukarany przy słupie kijami, i tam umarł.—Kozak paszkowskiego kurenia, Teodor Litwin, za ukradzenie drugiemu Kozakowi konia, do słupa w siczy był przywiązany”. Taż sama kara wyznaczona była na deztererów, którzy w czasie wojny samowolnie od swoich proporców (sic) uciekali na step, pod pozorem prac gospodarskich. W r. 1770 koszowy pisał do wojskowego sędziego: „Deztererów zbiegłych z ekspedycyi (wyprawy) ukarawszy na bazarze kijami, trzymać u słupa aż do powrotu mojego do siczy”.

9) *Kara śmierci.* Mówiąc o składzie i rządzie wojska zaporozkiego, powiedziałem, że koszowy był głównym sędzią i najwyższym naczelnikiem wojska, tak, że jego wyroki nawet skazujące na śmierć, bez żadnej apellacyi wykonywane były. Odwołać się od nich nie można było nigdzie, ani nawet do najwyższej władzy, a tém mniej do hetmana małorossyjskiego, który we wszystkich stosunkach Kozaków zaporozkich z Polską a potem z Rosyą, był jedynie tylko pośrednikiem, a i to w niektórych tylko razach: bo kosz zaporozki zawsze sam w imieniu swoim bezpośrednio przez posłów swoich z Polską i Rosyą się znosił.

Rossya wprawdzie chcąc na swój ład przekształcić pomału Kozaków, surowo rozkazywała, szczególnież ukazem z dnia 13 marca 1749 r. aby takie wyroki posyłano do potwierdzenia do wyższych władz; ale mimo to trwały one aż do końca istnienia Zaporozża.. Pan Skalkowski w odszukaném przez siebie archiwum kozackiem, o którym tyle razy już mówiłem, znalazł cały spis urzę-

dowy, przedstawiony przez kozowego Pawła Kozielowskiego granicznej kommissyi ustanowionej w Bachmucie, dla rozstrzygnięcia sporów dońskiego i zaporozkiego wojska, 17 listopada 1747 r. w którym wykazano, że:

1) Kozak Iwan Pokutiło w 1744 r. został powieszony przy siczy.

2) Kozak Suchy, za kradzież kijami na śmierć w Samarze 1746 r. był zabity.

3) Kozak Paweł Szczerbina w tymże samym roku w samarskiej pałance był powieszony, a trzech innych w siczy także powieszono.

W roku 1770, ponieważ armia rosyjska była obecna w Zaporozżu, i głównie dowodzący nadzwyczaj pilnie strzegł wszelkich ruchów zaporozkich, to więksi przestępcy byli już wysyłani przez pograniczny rosyjski zarząd na Syberję, to jest do robót w kopalniach lub fortecach. Mimo to w 1770 r. 11 sierpnia Piotr Kalniszewski ataman kozowy, pisał z kosza pochodnego do sędziego Brzuchowieckiego o Kozaka złodzieja Zimę: „Ponieważ on Kozak Zima zasłużył na karę śmierci, rozkazać podług ogólnego wyroku, obwiesić w protowczańskiej pałance na rzece Orelu, gdzie on przestępstwa czynił.”

10) *Ciekawy wyrok o poręczeniach.* W liczbie wyroków kryminalnych, znajduje się jeszcze jeden następujący, bardzo oryginalny pomnik, który wydał mi się tak ważnym, że go w całości wypisuję: „W 1755 roku 29 września, od nas niżej podpisanych atamana kislakowskiego kurenia, Samuela Szczerbiny z towarzyszami, dane to w kosz wojska zaporozkiego niżowego atamanowi kozowemu Grzegorzowi Sierce pismo, że przyjęliśmy my Kozaka kurenia kislakowskiego Kiryła Piśmiennego,

trzymanego w prochowni pod strażą, za jego z przyczyny hajdamactwa przestępstwo, na swoje utrzymanie, za naszym poręczeniem, i że on podług potrzeby i wezwania dostawiony przez nas będzie, a najwięcej, że on odąd kraść już nie pójdzie, i nigdzie ze złodziejami współnictwa żadnego mieć nie będzie, w tém obowiązujemy się. Jeżeliby zaś nad spodziewanie i przez naszą nad nim nieopatrność w jakim podejrzeniu mógł się znowu ukazać, wtedy my niżej podpisani podlegamy wojskowemu sztrofowi (sztrof, kara pieniężna), i za niego Piśmiennego odpowiadamy. Choć za jego winę wypadałoby go pod strażą w prochowni z innemi przestępcami trzymać, i podług wojskowego obyczaju sztrofować (karać), jak to nawet przez wojskową starszyznę postanowione było; jednakże, jako on Kozak Piśmienny wielu Kozakom i postronnym ludziom na niemłą sumnę pieniędzy zadłużył się, to Kozacy zaporozcy wedle obyczaju swojego, a raczej z jakiejś ku niemu złości, zamierzają zebrawszy się, jeżeli on do prochowni oddany będzie, jego jako złodzieja na śmierć zabić. A gdy zabity będzie, to kureniovi naszemu płacić za niego pieniędzy na niemłą sumnę przyjdzie napróżno, i dla téj bardzo ważnej przyczyny, aby na niego taka śmierć nie przypadła, uprosiliśmy my Jego Miłość atamana koszowego Fedorowa i starszyzny wojskowej, pod wyżej opisaném zobowiązaniem się, na poręczenie nasze, jego, Kozaka Piśmiennego wypuścić, i wypuszczono; i według obyczaju naszego, jako starszyźnie wzmiankowanemu panu koszowemu Fedorowi, przyjąwszy do rąk wyżej pisanego złodzieja, iż ataman z towarzystwem, daliśmy za jego trudzenie się jednego czerwonce, i daliśmy go nie ze złodziejskich, a z kurenych pieniędzy, i za to, jeżeliby mogła

jaka turbacya wyjść, my sami odpowiadać będziemy." Następuje podpis.

Z przywiedzionych dotąd przykładów kryminalnego sądownictwa i wyroków kosza w Zaporozu, widać, że postępowanie prawne było proste i bardzo krótkie. Prześcęgę trzymali w prochowni lub więzieniu, i przyprowadzali do badania, dopóki nie przyznał się do winy. Prochownia było pewny rodzaj piwnicy, gdzie przykuty do armaty przestępca, uważany był jako w „sekwestrze” (nie na wolnej nodze), i czekał tam gorzkiej swęj doli. Po-wiadam gorzkiej, nie bez przyczyny, bo aresztanci musieli w wilgotnej owęj piwnicy nacierpić się głodu i zimna, tak, że wielu z tego umierało, jak to w aktach ich sprawy zapisywano. Jeżeli przy badaniu napomnienie nie skutkowało, obwiniony szedł na tortury. Oto przykład takich tortur i pożytku z nich:

W roku 1774 jakiś mołodik Nikon chwalił się przed Kozakiem Borysem Szewcem, że on dostał spadek, za który postanowił sobie i jemu koni kupić, żeby na kampanię być gotowym, bo, dodał mołodik „jeżeli na wyprawę nie pójdziemy, to ponieważ panów wybijać będą, żeby i nam śmierć przez zabicie nie przytrafiła się.” Widać, że podobny zamysł już w 1768 r. kłut się na Zaporozu, bo Kozak Borys Szewc upiwszy się w Nowym Kodaku, rozpowiedział to w karczmie; starszyzna wzięła Kozaka w sekwestr i wprzód poprostu badała, a potém przez tortury, a na wyroku wydanym na niego, znajduje się następująca uwaga:

„7 kwietnia, tego Szewca gdy piérwszy raz badali batogami, to powiedział, cośmy wyżej przytoczyli (powtórzył co słyisał od mołodika); kiedy go przyprowadzili do naocznęj konfrontacyi z mołodikiem i znów pytali, to nie-

szczęsny nie bacząc na batogowanie, rzekł: „że ja to ze swego strachu takie wyznanie zrobił, gdyż nic takiego nigdy nie było”; trzeci raz pytany (na tortury brany) powtórzył to samo, to jest, że on nic nie wie: od których to trzech tortur „on Szewc po czterech dniach i umarł w jamie” naiwnie dodaje wyrok.

Kiedy przestępca przyznał się do winy, to starszyzna na schadzce wydawała wyrok, który wojskowy pisarz w akta śledcze wpisywał; i takięto wpisy przytoczyłem wyżej oznaczonemi liczbami. Wykonanie sentencji (sic) wykonywał wojskowy doboż publicznie na bazarze, przy szubienicy albo u pręgierza, albo partykularnie na schadzce, podług wielkości przestępstwa.

Jak w sądownictwie cywilném i jego charakterze, widzieliśmy zupełnie oryginalne postępowanie i rysy rodzime, tak samo i w sądownictwie kryminalném i jego charakterze tenże sam rys wybija i prostota: żadnych formułowych i długich przewodów, żadnych obron i wykręcań nie widać tu, bo nie było prawa pisanego, a tylko prawo zwyczajowe, prawo rozsądku naturalnego, w którego naturze już leży to, że nie podpada żadnemu przekręceniu pod karą głupstwa i najobrazliwszój nielogiczności. Same nawet tortury nie znaczyły u Kozaków żadnych wyszukanych męczarni, a poprostu bicie; boby sprzeczném było, gdyby u ludzi sądzących się obyczajem przodków, obyczajem starym, obyczajem rozsądku, były męczarnie jak u zupełnie dzikich, albo u obłąkanych teoryami scholastycznemi; Kozacy ani tém, ani drugiem nie byli. Prawda, że kary ich kryminalne mają na sobie jakiś charakter grubości i brak uczucia człowieczeństwa; ale nie trzeba zapominać, że wypłynęły z charakteru i sposobu życia Kozaków, i dla-

tego téż i zgwałcenie wszelkiej reguły kozackiej, nie mogło tam za małą rzecz być poczytane, boby podkopywało towarzystwo, stojące tém jedynie, że się silnie w jedności w sobie trzymało. Dlatego zapewne wszelkie występstwa przeciw ogólnej kozackiej regule, wszelkie podburzania i bunty, karano u nich najsurowiej i najskryciej, zwykle w nocy, a ci nawet co wiedzieli o wypadku i o karze, nigdy o tém nie rozmawiali; udawali jakby nic nie wiedzieli, w tym celu zapewne, „aby zły przykład dalej się nie szerzył”, jak mówi Starowolski (1).

Przy takim natężoném uczuciu religijném, jakie na Zaporozu miało miejsce, wszystko inne przed niém ustępowało; nawet badania i wyrokowanie sądowe przerywano w pewnych dniach na praktykę religijną szczególnie poświęconych, chociaż nie byłyto uroczyste święta. W roku 1762, w kodackiej pułance przyaresztowano dwóch młodzików, podobno za zabicie jakiegoś mieszkańca. Na zapytanie pułkownika kodackiego, jak postąpić z aresztantami, kosz wydał następujący rozkaz: „A jako w terażniejsze postne dni, przy nastąpionėj piérwszej siedminy (tygodniu), śledztwa uczynić nie należy i nie można do końca tych dni, a przytrzymanych ojcowie żyjący w Kodaku są ludzie osiadli: dlatego rozkazujemy, obwinionych ojcom ich, aż do mającego w ich sprawie rozbioru, za pismem oddać na porękę, z tém, żeby oni na wezwanie gdzie będzie potrzeba, ich dostawili.” 1762 r. 21 lutego.

Przykłady spraw kryminalnych przytoczone przeze mnie, mógłbym w liczbie bardzo jeszcze powiększyć, aleby to nic nie dodało jasności przedmiotowi, a jedno-

(1) Institut. Rei militaris. L. III, C. 25.

stajnością znudziłoby i zmordowało; i te co dotąd wyliczyłem, bardzo dostatecznie wyobrażają obyczaje sądowe Zaporozża. Na zakończenie wypiszę jeszcze to, jak **Korż** w swoim opowiadaniu przedmiot ten wystawia: „Prawa i zakony zaporozkie, mówi on, podług których oni sądzili i rozstrzygali między stronami spornymi, są następujące”:

„Kiedy się trafiło, mówiąc dla przykładu, że dwa Kozacy między sobą pokłóć się, albo pobiją, albo jeden drugiemu po sąsiedzku szkodę uczynią, to jest: swoim byłem potrątują zboże lub siano, albo inną jaką krzywdę jeden drugiemu przyczyni, a między sobą nie mogą się pogodzić: to oba oni, kupiwszy w bazarze po kołaczu, idą pozywać się w pałankę, do której należą, i położywszy kołacz na stole, stawają przy progu, kłaniają się niziutko sędziom i mówią: „Kłaniamy się panowie chlebem i solą”. Sędziowie zaczynają się rozpytywać: „Jakie wasze dzieło (sprawa) panowie mołojcy?”. Wtedy pokrzywdzony mówi piérwszy, ukazując na swojego towarzysza: „Ot panowie, jakie nasze dzieło: ot ten mnie pokrzywdził, ot tyleto szkody swoim byłem zrobił, a nie chce mi zapłacić, co wypada za wypaszenie siana i za wybój zboża”. Sędziowie zwracając się do oskarżonego: „Nu bratczyku, czy prawda to, co na ciebie towarzysz każe? (powiada)”, na co oskarżony odpowiada: „To co że panowie to wszystko prawda, że ja szkodę zrobił swojemu sąsiadowi i nie odrzekam się, ale nie mogę go zadowolić dlatego, że on zadużo odemnie żąda, a szkody nie ma tyle”.— Wysłuchawszy ich, pałanka posyła od siebie Kozaków dla obejrzenia szkody; po ich powrocie, jeżeli skarga okazała się sprawiedliwą, sędziowie mówili do oskarżonego: „No i coż ty bratczyku, czy zga-

dzasz się zapłacić szkodę swojemu sąsiadowi, czy nie?" Wtedy ten, co szkodę zrobił, kłania się znowu sędziom i odpowiada: „No cóż państwo, kiedy za dużo odemnie żąda; ja nie zgadzam się na zapłacenie, w woli waszej”. Sędziowie długo obie strony namawiają do pogodzenia się; jeżeli strony sporne godzą się, to sama pałanka sprawę ich rozstrzyga i odsyła do domów, jeżeli zaś oskarżony uprze się i nie pogodzi się w pałance, to ich odsyła do siczy”.

„Kiedy prawujący się przyjdą do kosza, to jeden drugiego się pyta: „A co, do czyjzegoż kurenia naprzód pójdziemy?” Poszkodowany mówi zwykle: „Chodźmy bracie do naszego kurenia”. „Nu, dobrze i do naszego kurenia” odpowiada pozwany. Wszedłszy do kurenia przedstawiają się atamanowi kurennemu i mówią mu: „Bądź zdrów bat'ku!” „Bądźcie zdrowi panowie mołojcy—odpowiada ataman—siadajcie”. „Taj nie, bat'ku, niema czasu siedzieć, my mamy dzieło (interes) do ciebie”. „No, mówcie jakie wasze dzieło”, pyta się ataman, a wtedy znowu poszkodowany opowiada cały wypadek, i swoją krzywdę, i jak się już sądzili w pałance. Ataman wysłuchawszy go pyta się oskarżonego, jakiego on kurenia, a dowiedziawszy się, woła chłopców (posługujących): „Pójdźcie zaraz, takiego kurenia atamana poprosić do mnie”. Kiedy ten ataman przybędzie i usiądzie, to pierwszy ataman pyta się go: „Czyto waszego kurenia Kozak?” Drugi ataman wypytawszy się o to Kozaka, otrzymuje odpowiedź: „Tak bat'ku, waszego kurenia”. Poczém znowu sprawa opowiada się, a ataman mówi jeden do drugiego: „No, co bracie będziemy robić z temi Kozakami?” A drugi ataman obraca się do nich: „Tak was już bratczyki i pałanka sądziła?” „Sądziła bat'ku”, odpo-

wiadają oni, i kłaniają się. Atamani namawiają prawujących się: „Pogódźcie się bał'enki, zadowolnijcie tu jeden drugiego, i nie morzcie (morzyć, męczyć) władzy”. Kiedy zaś oskarżony odpowie: „A cóż bał'ki, kiedy on za dużo wymaga”, to atamani widząc jego upór, mówią do obu Kozaków: „No, terazie bratczyki pójdziemy wszyscy czterej do sędziego, co jeszcze powie sędzia?”. „Dobrze — odpowiedzieli Kozacy — poczekajcie tylko bał'ki, pójdziemy na bazar i kupiemy kołaczy”. Tym sposobem wszyscy czterej udają się do sędziego. Naprzód wchodzi atamani, kłaniają się i mówią: „Bądź zdrów panie dobrodzieju!” Sędzia odpowiada: „Zdrowi bądźcie i wy panowie atamani! proszę siedzieć”. Potém przychodzi prawujący się Kozacy, kłaniają się sędziemu, kładą kołacze i mówią: „Kłaniamy się wam dobrodzieju chlebem i solą”. „Dziękuję, panowie mołojcy za chleb i sól” odpowiada sędzia, i obracając się do atamanów, pyta się ich: „Coto są u was za Kozacy i jakie dzieło mają?” Jeden z atamanów rozpowiada po szczególe całą sprawę, wyrok pałanki i ich własny. Wtedy sędzia obraca się do oskarżonego: „Tak ty bratczyku, poszkodowawszy tego Kozaka, kiedy was już sądziła i pałanka, i atamani, i ja rozsądzam, abyś zadowolnił poszkodowanego, a ty nie chcesz tego zrobić z uporu, chociaż ze wszystkich stron jesteś winien”.—Ale trafia się, że oskarżony nie chce przystać na ten wyrok, stoi na jedném upornie, i powtarza to, co i piérwój: „Ta cóż, dobrodzieju, kiedy zawiele odemnie żąda”. „Tak ty nie zgadzasz się bratczyku? „Nie dobrodzieju”. „No, teraz wy panowie atamani idźcie z nimi do koszowego, tam będzie im już ostateczny sąd i wyrok; idźcie z Bogiem panowie atamani, a wy bratcy zabierzcie z sobą i wasz

chléb i sól". „Da nie, pańie dobrodzieju, my sobie kupimy inny na bazarze". „Zabierzcie, zabierzcie! — z gniewem powtarza sędzia — i nie zatrzymujcie atamanów, bo nie wasza jedna sprawa dla nich". Nakoniec zabrawszy swoje kołacze, Kozacy z atamanami idą do kurenia koszowego, wszyscy kłaniają się, mówiąc: „Zdrowy bądź wielmożny panie!" Kozacy położywszy kołacze, dodają: „Kłaniamy się wielmożnemu panu chlebem i solą" i zatrzymawszy się u drzwi, jeszcze raz się kłaniają, na co koszowy odpowiada: „Zdrowi bądźcie panowie atamani! Dziękuję mołojcy za chléb i sól; cóżto panowie atamani za Kozacy?". Atamani znowu rozpowiadają całą sprawę po szczególe. Koszowy zamyśliwszy się nieco, obraca się do oskarżonego i mówi mu: „No, jakże ty bratczyku myślisz skończyć z tym Kozakiem? Was sądziła pałanka, was sądzili atamani, was sądził i sędzia wojskowy, a teraz sprawa doszła i do mnie, a ja rozsluchawszy się, przyznaje, że pałanka sądziła waszę sprawę dobrze, co ja także potwierdzam; znajduję cię we wszystkiém winnym. Tak, cóż ty mi powiesz? czy ty zgadzasz się na wynagrodzenie pokrzywdzonego?" „Nie, wielmożny panie! zawiele żąda". — Koszowy powtarza głośno i z gniewem: „Tak ty bratczyku nie zgadzasz się?" „Tak, wielmożny panie, nie zgadzam się. U woli waszój". „No, dobrze" wstawszy i wychodząc z kurenia, mówi koszowy. Atamani i Kozacy wychodzą także, i kłaniając się, mówią mu: „Bądź zdrów wielmożny panie!" „Bądźcie zdrowi panowie atamani, i panowie mołojcy bądźcie zdrowi, a o nas nie zapominajcie" mówi koszowy, a wyszedłszy z kurenia zwołuje swoją dwornię: „Stróże, kijów". Sługi biegną i przynoszą kije w wiązkach. Wtedy wielmożny mówi: „No, kładź się,

już my ciebie nauczymy, jak prawdę robity i panów szanowaty". „Pomiłuj, wielmożny panie!" krzyczy wtedy Kozak nie swoim głosem. „Nie, bratczyku, niéma już pomilowania, kiedyś ty taki uparty. Kozaki! na rękach i na nogach siadajcie! Stróże! bijcie go kijami dobrze, żeby znał dlaczego klótnia zła". Kiedy kije zaczną między sobą rozmawiać, po téj i owéj stronie, winny Kozak milczy, a słucha co powiedzą. I kiedy winnego już dobrze ucześnieją, to jest 50 albo 100 kijów dadzą, wtedy kozowy krzyknie: „Dosyc". Stróże trzymają kije swoje na ramionach, stoją jak żołnierze z bronią na straży, ale Kozacy przytrzymują jeszcze winnego, czekając ostatniego zasądzenia. Kozowy znowu obraca się do obwinionego; „Posłuchaj bratczyku, jak ciebie pańska osądziła, i ile poszkodowany żąda, zapłać mu, nie odkładając, natychmiast zapłać, przy moich oczach". Wtedy obwiniony odpowiada: „Czuję, wielmożny panie! czuję i gotów jestem wszystko wypełnić, co rozkażesz". Kozowy mówi dalej: „A chociaż cię wybili, to znoś to zdrów, żebyś ty nie dużo mędrkował i nie upierał się. A może ci jeszcze dołożyć co kijów?" Ale winny z krzykiem i jękiem odpowiada: „Będzie tego dla mnie dysyc, do śmierci nie będę przeciwic się, będę szanować państwo". Wtedy nakoniec kozowy hamuje się i rzeknie Kozakom i stróżom: „No, będzie, wstawajcie, a Kozaka na wolą puszczajcie, a kije na potém schowajcie".

Naumyślnie zachowałem sposób opowiadania Korzy przysłowiowy, bo jest charakterystyczny i bardzo malowniczy; a przytém widać jasno z niego prostotę i patryarchalność całego postępowania sądowego w Zaporozu. Żadnych nigdzie pism, żadnych skarg, żadnych obron,

żadnych wywodów i badań piśmiennych; wszystko ustnie i wszystko od ręki, prędko i wcale niekosztownie.

Oprócz owego przykładu kłócących się dwóch stron, Korz opowiada także jakie były główne kryminalne kary na Zaporoziu.

1) *Szubienica (szybienica)*. Były one stawiane w różnych miejscach nad większemi szlakami (drogami), prawie w każdej pałance. Przestępcy, doprowadziwszy go wierzchem (na koniu) pod szubienicę, zakładali węzeł na szyję i uderzywszy konia, wypędzali go, a nieszczęśliwy tym sposobem zawisł na sznurze. Czasem wieszali do góry nogami, czasem za zebro na żelaznym haku; i wisiał tak przestępca, dopóki i kości jego nie rozsypią się na przykład i strach drugim, i nikt go ztamtąd zdjąć nie śmiał pod karą śmierci.

2) *Ostry pał*. Byłto drewniany słup, wysoki na sześć arszynów i więcej, z żelaznym ostrém zakończeniem u góry, na dwa arszyny długim. Na ten pał wbijali osądzonego tak, żeby ostry koniec na pół arszyna wystawał plecami, i siedział na tym pału nieszczęśliwy dotąd, dopóki nie wyschnie i nie wykruszy się jak uschła ryba, tak, że kiedy wiatr powieje, to on kręcił się wkółko, i grzechotały wszystkie jego kosteczki.

3) *Kije*. Kije i to niebardzo grube, i podobne do biczu u cepów, które zboże młóca, dębowe albo z innego jakiego mocnego drzewa. Przestępcę przywiązywali albo przykowali do słupa w siczy lub pałance na rynku, wokoło słupa stawiali rozmaite napitki: wódkę, miód, piwo i brańę, wiele kołaczy, a zaraz obok tego i całe wiązki kijów. Osądzonego przymuszali do jedzenia i picia. Nakoniec każdy Kozak brał kij, i wypiwszy kielich (korak) gorzałki lub miodu, powinien był uderzyć przestępcę, dodając: Oto tobie wraży synu, żebyś nie kradł i nie rozbijał, my wszyscy za ciebie całym kurenim płacili” i takim sposobem osądzonego bili, dopóki na śmierć nie zabili.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PODHALE I PÓLNOČNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW,

CZYLI

TATRY POLSKIE.

PRZEZ

Ludwika Lejznera.

(Dalszy ciąg).

Mur. Naprzeciw Młota Poroniskiego, na drugiej stronie rzeki Poroniec, widać skupione domy wioski Mur, zamieszkałej przez bogatych soltysów, słynnych z tego na całym Podhalu; do tej zamożności stosuje się wiersz ich piosnki: „Bo murzańskie dziewczki siadają w pokojach.” Więcej jak ćwierć mili ciągnie się ta długa wioska środkiem wąskiej a głębokiej doliny; rzecz dziwna, że w niej nie masz ani jednego domu murowanego, chociaż nazywa się Murem. W końcu tej wioski nagle zwraca się droga na przeciwny bok góry, która tak nadzwyczajnie wydaje się pochyłą, iż zdaje się, że na nią niepodobna wjechać. Bez wątpienia konie z równiny nie wyciągnęłyby na nią nawet lekkiej bryczki, gdy tymczasem krępe koniki góralskie, wstępują pod górę z zadziwiającą łatwością, jakby ich to nic nie kosztowało; nie widać nawet na nich jakiegokolwiek zmęczenia.

Bukowina. Wstąpiwszy na obszerną, jałową, nadzwyczajnie pustą wyżynę, pokazuje się rozległa wioska Bukowina, około 3000 stóp nad poziomem morza wyniesiona. Wielka ta dziedzina (1), składa się z licznych kupek domów po różnych stronach rozrzuconych; jedne stoją na bokach zasłoniętych od wiatrów wyższym brzeżkiem, drugie chowają się pod dołach. Tylko owsy i ziemniaki uprawiają tu mieszkańcy, ale pierwsze są nadzwyczajnie biedne, tak, że trudno pojąć, jakim sposobem zwraca się zusiów. Ziemniak (grul) Podhalanina jest tutaj tą błogą nieporównaną rośliną, od której zawisł był człowieka i zaludnienie tych gór. Na drodze prowadzącej do Morskiego Oka, niedaleko Leśniczówki, wybudował właściciel Bukowiny p. Homulacz karczmę, w której znajdzie podróżny kilka porządných pokoi, i pierwsze potrzeby do życia. Miejsce to ze wszęch miar dogodne jest dla zwiedzających Morskie Oko, bo najbliżej leży przy tém jeziorze; tutaj wreszcie najmują się wprawni przewodnicy do téj wyprawy, znający wszystkie zakątki tych części gór; tu się wreszcie najmują także konie i wózki, zdatne do podróży po drogach Tatrowych, które należą do rzędu najgorszych.

Własnymi końmi ani powozami nie można się puszcząć do Morskiego Oka, kto nie chce być wystawionym na nieprzeliczone trudności. Bukowianie znają dobrze potrzeby podróżnych, są nader usłużni, a do tego ze wszęch miar pewni. Chociaż Morskie Oko od Bukowiny jest na 2½ mili odległe, jednakże do wygodnego odbycia téj podróży tam i napowrót potrzeba 15 godzin. Jeżeli widok na wioskę Bukowinę nie ma nic ponętnego,

(1) Tak nazywają Podhalanie swe wioski.

to przeciwnie widok na Tatry jest nader okazałym. Naprzeciw sterczą najwyższe wierzchołki, wznoszące dumnie swe szczyty w krainę obłoków, i widać długie grzbiety od nich wyskakujące, przedzielone głębokimi dolinami; ze wszystkich odznacza się dolina Spicmana ostremi turniami, i zdaje się, że wszystkie jej wierzchy są zbiorem samych skalistych iglic. Bardziej dziko-malowniczej doliny nie znam w tém pasmie. Obraz ten niemało podnosi czarny las świerkowy, rozpościérający się przed nią. Przy skrócie na południe, ciągnie się droga bujnym lasem świerkowym umajona, ale ten krajobraz nagle się zakrywa, i trudy po drodze nierównej czuć się dają dotkliwie, bo z jednego wału na drugi trzeba zjeżdżać. Wreszcie, gdy zstąpimy do doliny Białki, witają nas obszerne majowej zieloności polany. Dolina ta już jest w samym łańcuchu Tatrów, i ma wszystkie charaktery i fizyonomią Alpejską; niemasz tutaj obszernych błoń, tylko same łąki, lasy, skały, pomiędzy któremi przedzierają się szumiące strumienie. Na samym wstępie stoi na obszernej polance kilka szałasów; pasterze zazwyczaj oczekują tu na podróżnych, ofiarując co mają najlepszego w tych górach, t. j. kwiaty i poziomki. Owoc ten dojrzewa tutaj w lipcu i sierpniu, i tak jest doskonały, że większych a smaczniejszych nie widziałem nigdzie. Za temi polanami otwierają się najpiękniejsze widoki: na przeciwniej stronie Białki, wznoszą się ostrokręgowate siwe skały, ozdobione jakby dla odjęcia im dzikości grupami świerków, tu i owdzie pozaczepianych; dalej widać na bokach tych gór ślady niezmiernego pożaru, który przed kilkoma laty zniweczył gęsty las, i dotąd jeszcze czernią się opalone pnie. Posuwając się w górę nad rzeką Biał-

ką, odgraniczającą Węgry od polskich krajów, a która niezmiernie wartko i prawie w samych małych wodospadach płynie, droga ciągnie się gęstym borem i staje się coraz dzikszą; gdy jeszcze nagle otworzy się przed nami równina kamienista, mamy przed sobą obraz największego zniszczenia, bo przed nami leży obszerna równina, okryta samemi białemi zaokrąglonemi głazami granitu, środkiem których płynie mała rzeczka Roztoka, biorąca początek w wysoko położonych jeziorach, nazywanych Pięć Stawy.

Poglądając w czasie posuchy na ten mały strumyk, nie można pojąć, jakim sposobem taka ilość tak wielkich kamieni tu się zwała; ale o gwałtowności jego przekonujemy się, gdy mały deszczyk spadnie w tych górach; wtedy strumień ten niezmiernie wzbięra, i podobny jest do wielkiej rzeki. Roztokę dobrze znają mieszkańcy i wiedzą, jak jest niebezpieczną; przezorny Podhalaanin nie przejeżdża po wezbranej, i czeka aż wody jęj spłyną. Niejeden zuchwały goral zginął w jęj nurtach z końmi i wozem, i zaledwie daleko znalazła go żona w Białce albo Dunajcu. Od doliny Roztoki pogorsza się niezmiernie droga; nieustannie trzeba się wspinać pod górę, która w kilku miejscach tak jest stromą, że się wydaje, iż niepodobna na nią wjechać; ale co jest niepodobieństwem dla zwyczajnych koni, to pokonywają koniki goralskie, i wyciągają wózki z pośrodku zwałonych granitów, tworzących tę szczególną drogę. Wzniósłszy się jeszcze na trzy stopnie wyżęj, świérki widocznie karłowacieją, a na gałęziach osiadają szarawo-niebieskawe mchy, 3 do 4 stóp długie, nadające tym drzewom cechę zgrzybiałości.

W bliskości Morskiego Oka, powszechnie zatrzymuje się podróżna karawana, przy źródle płynącym z gruzu granitowego, dla orzeźwienia się źródlaną wodą. Do najwyższego stopnia zmęczeniu wśród ogromnego upału, przybyliśmy tutaj, i tak została nam ta woda w pamięci, że mówiąc o pięknościach Morskiego Oka, ciągle wspominali towarzysze o źródle. Dwa razy mierzyłem jego temperaturę, i prawie jednakową znalazłem, to jest:

16 sierpnia 1839 r. + 4^o, 15 C.

7 września 1844 4 25.

Morskie Oko czyli *Rybie*. Odtąd jeszcze jest dobre ćwierć mili nader mozolnej drogi do naszego jeziora, stanowiącego granicę dla drzew; wyżej bowiem przestają rosnać. Wstąpiwszy na mały pagórek, nagle otwiera się nader wspaniały widok na Morskie Oko; Podhalanie właściwie nazywają je Rybie jezioro, albo przez skrócenie Rybie, od licznych pstrągów żyjących w jego wodach.

Szczególna nazwa Morskie Oko, powtarza się w kilku miejscach w Tatrach i w innych im przyległych górach, i zdaje się być raczej nazwą zbiorową, aniżeli jakiego pojedynczego jeziora. Jeziora mające ciemne, prawie czarne wody, zdają podobne do oka, zwykli tak nazywać mieszkańcy obdarzeni bujną fantazyą. W Tatrach zachodnich pod górą Raczkowa, już Liptowie, na pochyłości południowej, małe jeziorko nazywają Morskie Oko; podobnie mają nazywać jedno jezioro przy Styrbie na Spiżu. W niskim pasmie, bardziej południowym, rozciągającym się pomiędzy Przeszowem a Tokajem, którego południowy koniec nazywa się Hegyallya, znajduje się także Morskie Oko.

Widok na to jezioro jest nadzwyczajnie pięknym i uroczystym; umysł przejmuje zadziwienie. W zwierciadle modrych jego wód przegładają się nagie skały sterczących wirchów granitowych, przeszło 3000 stóp od niego wyższych, a których szczyty gubią się w eterycznych wysokościach; bok góry naprzeciwległej przepasują białe wstęgi śniegu, miejscami widać na nim i większe płaty, które ciągle topniejąc w czasie lata, zasilają spadające kaskady. Bok wschodni nie jest tak stromy; oddziela go potężny próg, na którym jest inne jezioro, zwane Czarny Staw; dalej dopiero wznoszą się znowu wyniosłe szczyty. Bok zachodni nie jest ani zbyt stromy, ani skalisty; okrywają go krzaki jasno-zielonej kosodrzewiny, jakby dla odjęcia dzikości temu krajobrazowi. Na pierwszy rzut oka wydaje się to jezioro niezbyt wielkiem; jednakże rozpatrzywszy się dłużej, oceniamy dopiero jego wymiary, gdyż np. ludzi na drugim końcu chodzących zaledwie można poznać, i długo trzeba się wpatrywać, aby ich odkryć pomiędzy skałami. Według pomiaru nadleśniczego Kleina z Bukowiny, Morskie Oko zajmuje przestrzeń 56 włók i 441 kwadratowych sążni wiedeńskich; obwód jego wynosi 4200 kroków, szerokość 400 do 500 kroków, a długość 1600 kroków. Obwód jego jest dosyć foremnie owalny. Wody jak łąza przezroczyście nie powleka żadne obce ciało, żadna wodna roślina; zbliżka mają ów precudny kolor zielono-szmaragdowy, a zdala ciemnoniebieski jak powierzchnia morza; w szklance też sama woda jest jak łąza przezroczysta, i nie ma ani śladu zieloności lub błękitu. Błękitny kolor jest zapewne przyczyną, że upatrywano w tém jeziorze podobieństwo do morza, i wysnuto owe powieści daleko i szeroko opo-

wiadane po polskich krajach. O Morskiem Oku czyli Rybiem, z którego Białka bierze początek, opowiadają Podhalanie następującą powieść: „Jakiś pan płynąc okrętem na morzu Adryatyckiem, w czasie okropnej burzy rozbił się; sam ledwie życia nie stracił, a wszystkie jego kosztowności potonęły w głębinach morza. Smutny szukał nad brzegiem długo szkatułki pełnej drogich kamieni, ale nadaremnie. Podróżując po świecie, zwiedził Tatry i głośnie Morskie Oko, i jak zwyczajnie czynią podróżni, płynął pełcią (tratwą) na niem urządzoną. Wtém nagle ujrzał różne kawały okrętu na powierzchni jeziora; zwinne johasy złowili prędko te przedmioty, i z niemalém zadziwieniem przekonał się, że tutaj znalazła się jego szkatulka, która utonęła w morzu Adryatyckiem. Była ona wcale nienaruszoną, bo zawierała wszystkie kosztowności, i dodają zwyczajnie, że pod ziemią z morza tu przyplęła”.

Jak dalece ta baśń wiarę znalazła po całym kraju, opowiem co mi o tém udzieliła osoba godna wiary. Za panowania Stanisława Augusta przysłano temu królowi z Morskiego Oka części tego okrętu, rozbitego na morzu Adryatyckiem, i dla osobliwości, te wielkie belki zostały w tutejszym zamku zawieszzone, i były przystępne każdemu dla obejrzenia.

Wszystko to co prawią o połączeniu tego jeziora z morzem, o szkatułkach i częściach okrętu z niego dobytých, jest piękném zmyśleniem; podobne bowiem połączenie jest wprost przeciwne zasadniczým prawom fizyki. Według ścisłych obserwacyj barometrycznych, wyniesienie tego jeziora jest 4200 stóp paryzkich nad poziomem morza. Gdyby się to jezioro łączyło istotnie z morzem podziemnymi kanałami, musiałoby z niem mieć

jeden i tenże sam poziom, gdyż według praw fizyki, płyny znajdujące się w rurkach spółkujących, a za takie uważałyby wypadało morze i w mowie będące jezioro, układają się do równowagi, czyli przybierają jeden i tenże sam poziom. Wysokość do której się wznosi płyn w jednej rurce, jest też sama, co i w drugiej. Wreszcie mierzyłem bezpośrednio głębokość tego jeziora i przekonałem się, że dno wszędzie można dotknąć; tylko rozmaita jest jego głębokość w różnych stronach: największa okazała się w okolicy skały zwanój Mnich, wznoszącej się naprzeciw szalasu, gdzie dochodzi do 151 stóp paryzkich. Nawet można się przekonać z pewnością z czego się składa jego dno; w tym celu spuszczały ciężarek przytwierdzony do liny a obłany łożem, nabierał wyciski od mniej więcej grubego żwiru. Wreszcie wody Morskiego Oka nie są wcale słone; owszem, jestto napój, jaki tylko natrafiamy w wysokich górach. Z tego jeziora wypływa znakomita rzeka Białka, w której żyje zwyczajny pstrąg, właściwy słodkim wodom. Rozpoznawał go p. Ludwik Agassiz z Neufchatelu, niepospolity znawca ryb żyjących i skamieniałych, i uznał go zupełnie podobnym do żyjącego w strumieniach lepiej poznanych części Europy, a mianowicie na wyspach Wielkiej Brytanii, w Skandynawii, w całych Niemczech, Szwajcaryi i Francyi, w Tybrze i wodach przerywających Lombardją. Jestto zwyczajny pstrąg łososiowy (*Salmo Fario*, *Lachsforelle*). W Morskiem Oku żyje jeszcze inny mały pstrąg odmienny od zwyczajnego, wraz z wielkimi dotąd niepoznanymi rybami. Te małe pstrągi porównywałem ze znajdującymi się w zbiorach zoologicznych w Berlinie i Mnichowie, i znalazłem je odmiennymi od dotąd znanych; wszelkie jest prawdopodobieństwo,

że to jest nowy, Morskiemu Oku właściwy gatunek ryby. Stojąc na pełci (tak nazywają Podhalańskie tratwę z okrągłaków zbitą), widać na dnie mnóstwo snujących się wielkich ryb, 4 do 6 i więcej stóp długich. W tej zupełnie przezroczystej wodzie, mianowicie kiedy jej powierzchnia jest spokojną, można rozróżnić przedmioty aż do głębokości 20 do 30 stóp, które szczególnie stają się wyraźnymi, gdy pada na nie promień słońca; wtedy widać każdą bryłę granitu, a między niemi żwiry i te wielkie ryby. Życzyłoby należało, aby jaki miłośnik rzeczy ojczystych, zajął się zbadaniem tych ciekawych jestestw. Niemaloby potrzeba będzie pokonać trudności w ułowieniu tych ryb, gdyż woda zupełnie jest przezroczysta, a za najmniejszym poruszeniem, spłoszone kryją się w głębiach jeziora. Ale na wszystko znajdą się środki, byleby były chęci. Johasy paszący owce nad tym tajemniczym jeziorem, opowiadają o pokazujących się w czasie burzy strasznych potworach; bez wątpienia te wielkie pluskające się ryby, zwiększone w bujnej fantazyi górali, są temi mistycznymi istotami.

W miesiącach letnich, odwiedzają liczni podróżni to ze wszech miar ciekawe jezioro, słusznie uważane za najcelniejszy punkt w całych Tatrach. Nieraz wielkie zbierają się towarzystwa z 20 do 30 osób złożone, i ożywiają nagle te samotne ustronia; wtedy wzbudzone echa przez liczne wystrzały z moździerzy, odbijające się od potężnych ścian skalistych, sprowadzają z przyległych szałasów pasterzy, którzy witają podróżnych, przynoszą im w darze kwiaty z najwyższych szczytów, mléko i sery, i opowiadają liczne szczegóły o sobie i o potworach Morskiego Oka. Aby podróżni mieli jakąkolwiek ochronę, wybudował właściciel tej doliny i jej lasów p. Ho-

mulacz obszerny dom drewniany, zawierający wielką izbę dla gości, a kuchnię i sień dla służby. Prócz ścian, nie zostanie tu podrózny nic innego jak drzewo na opał, które sobie ściąć musi, czyste powietrze, wyborną wodę, cudne widoki i niezmierny apetyt, który własnymi zapasami musi zaspokoić. Obok domu, wystawił jeszcze p. Homulacz pomnik z żelaza lanego, wyobrażający popiersie p. Taffe, gubernatora Galicyi, na pamiątkę, że raczył odwiedzić te strony.

Niémasz wątpliwości, że najwspaniałej przedstawia się Morskie Oko wczasie jasnego dnia, kiedy promień słońca przyświeca, a przezroczyste jest powietrze; ale również zajmujące są zmiany przed nastąpić mającą burzą. Opowiem com doznał przy tém jeziorze wśród ciepłego dnia sierpniowego. Poprzednio przez kilka dni najcieplejszą była pogoda; rano, kiedyśmy się przebudzili w Młocie Porońskim z pierwszym brzaskiem, niebo było zupełnie czyste, nie pokazywała się najmniejsza chmurka, i cudnie pięknie wschodziło słońce z poza Tatrów, przyświecając w ciągu całej podróży do Morskiego Oka. Gdyśmy opływali po jeziorze, zaczęły się na szczytach pokazywać jakby różczką czarodziejską wywołane białe mgławce obłoczki, podobne do welonu unoszonego przez wiatry; obłoczki te bezustanku pojawiały się i znikaly, każdy późniejszy widocznie większą miał objętość, aż wreszcie znaczniejsze łączyć zaczęły się z sobą z sąsiednich szczytów, a zarazem spadły na nas zostających na jeziorze, wielkie pojedyncze krople. Jednakże wkrótce wystąpiło słońce w całej świetności, znowu spoglądaliśmy na te niebotyczne szczyty, gdy wtém grozący jakiś mrok coraz bardziej szerzył się po całej dolinie, jakaś nieodgadniona cie-

mnosć zwiększała się co chwila a chociaż słońce jeszcze świeciło, widocznie zciemniało się wokóło, chociaż za ledwie była 1 po południu. Zbliżające się chmury sprawiły to zaciemnienie widokregu; wkrótce mgła do dymu podobna wypełniła dolinę, i okryła wszystkie przedmioty, wreszcie na szczyty nasunęły się ciemne obłoki, i odrazu spadły z nich wielkie krople, tak, że ledwie mieliśmy dosyć czasu zdążyć do szałas; krople coraz się mnożyły, aż wreszcie spuścił się ulewny dęszcz, kilka godzin trwający, wśród okropnych piorunów. Ile razy zdawało się że dęszcz ustaje, tyle razy wracał z nową gwałtownością. Uderzenia grzmotów są tutaj prawdziwie przerażające, bo trzaski ich przez odbijające się echa nie mają końca; nieraz zdawało się, że się skończyły, aż znowu dały się słyszeć, jakby z odległej doliny przybyły.

W przeciwieństwie z tym obrazem dziennym, opiszę dwie nocy w tém szczególniejszém ustroniu. Nocując w szałasie nad tém jeziorem, począł w nocy padać niezmierny dęszcz, a gdy po kilku godzinach zmniejszył się, wśród zupełnej ciszy nagle dały się słyszeć zdala niezmierne huki, tak, że przebudziły nas ze snu. Bryły odrywającego się granitu od ścian prostopadle sterczących nad Czarnym Stawem, sprawiły te huki, i kilka razy potem powtórzyły się ponure, przytłumione trzaski. Wreszcie muszę wspomnieć o jednej nieporównanej nocy, jakiej doznałem nad Morskiem Okiem. Byłoto już na początku jesieni w dniu 7 września 1844 r. Gdy poznikały mgły oblegające wirchy, pokazały się wieczorem gwiazdy, a nad ranem wystąpiła wązka kosa księżyca. Niebo było nadzwyczajnie czystém, bo zdawało się, że gwiazdy były jeszcze raz tak wielkie jak zwy-

czajnie; wydawały one cudnie piękne, spokojne światło. Zrazu gdym wyrztał, sądziłem, że ogromna góra wznosząca się z drugiej strony jeziora, tuż jest przy szalasię, że znikła przestrzeń, którą oddziela jezioro. Ten szczególny widok, przy doskonałej ciszy, przerywany tylko szmerem wlewającej się wody do Białki, niewymownie miłe zostawił wspomnienia. Nie wątpię, że podobne nocne widoki, mogą nadać umysłowi zwrot ku mistycyzmowi.

Czarny Staw. We wschodnim boku zagłębionej doliny Morskiego Oka, na progu około 500 stóp wyżej położonym, rozpościera się inne jezioro, zwane Czarny Staw. Niktby nie sądził spoglądając z szalasu Morskiego Oka, że się tam mieści na obszerniej przestrzeni znaczniejsze jezioro. Droga do niego nader jest utrudzającą; potrzeba się więcćj jak pół godziny wspinać w górę na stromy, skalisty bok, na którym gdzieniegdzie rosną trawki. Niektórzy uważają Czarny Staw za właściwe Morskie Oko; nic tego wszakże nie usprawiedliwia, i jak wyżej wspomniałem, nazwa ta zbiorowa odnosi się do Rybiego jeziora. Wszyscy Podhaleanie zawsze to wyższe jezioro nazywają Czarnym Stawem. Okropność jest jego charakterem; zdaje się, że tutaj życie zupełnie ustało, że tu dziedzina martwej natury. Oko nie spotyka tu nic innego, jak szare ściany granitu, gubiące się w obłokach, i czarną wodę jeziora. Woda ta właściwie nie jest czarną, gdyż podobna jest do zwyczajnej; tylko spód torfowy nadaje jej tę ponurą barwę. Czarny Staw ma postać podłużnego czworoboku, i jest nieco mniejszy od Morskiego Oka; zajmuje przestrzeń 37 włók i 1481 sążni □. Na prostopadłych ścianach szarego granitu, wznoszących się nad tém jeziorem, widać tu i ówdzie żółte plamy; odmienny ten kolor pochodzi od odrywających się brył

od ścian. Skąły te odpadają najczęściej na wiosnę, bo woda wcisnąwszy się pomiędzy szczeliny granitu, przez zamrażenie powiększa swą objętość, rozsadza je, a gdy na wiosnę wraca do stanu płynnego, oddzielone skały odrywają się, i z hukiem wpadają do jeziora, zostawiając żółte ślady. A tak praca przyrody nieustannie zrównywa nierówności.

Dawniej aż do wysokości tego jeziora, to jest do wału wystającego nad niem, rosły drzewa, jak to świadczą białe sucharze (tak nazywają mieszkańcy Tatrów stojące pnie zeschniętych drzew); drzewa te musiały oddawna umrzeć, bo nie mają na sobie ani śladu kory, z czego można wnosić, że tutaj dawniej panował cieplejszy klimat. Prawie na wierzchu wału, blisko kaskady, która odlewa wody Czarnego Stawu do Rybiego, wystawił biskup tarnowski Grzegorz Ziegler krzyż z lanego żelaza, z napisem: „*Hic non plus ultra, non supra nisi in cruce D. N. J. Christi. 1823.*” Krzyż ten jednakże nie sprawia najmniejszego wrażenia, gdyż zupełnie ginie, jakby drobnostka wśród tych olbrzymich szczytów.

Granica drzew przy Morskiem Oku. Szalás Morskiego Oka ważnym jest dla geografii roślin: leży bowiem na granicy drzew Tatrowych, to jest świerków, jodeł i buków. Nasza sosna zwyczajna nie znosi ostrości klimatu, panującego na tych wyniesieniach; po ostatni raz spotyka podróżny to dobrze znane w Polsce drzewo w dolinie Dunajca przy Ludzimiérzu, gdzie wielkie a bujne lasy sosnowe, znaczniejsze przestrzenie okrywają. Przy szalásie o którym mowa, właściwie nie jest granica dla drzew Tatrowych, wznosi się ona jeszcze 150 do 200 stóp wyżej, a w innych częściach tego łańcucha, dochodzi aż do wysokości 4600 stóp. Przyczyna

tego zniżenia, pochodzi zapewne od zbytniego zacieśnienia doliny Morskiego Oka. Wśród świerków i jodeł, pokazują się tu po raz pierwszy rośliny znoszące jeszcze zimniejszy klimat; pomiędzy niemi odznaczają się krzaki do sosnowych podobne kosodrzewiny, tak zwanéj od jéj łukowatych gałęzi do kosy podobnych. Botanicy nazywają kosodrzewinę *Pinus mughus* (Wahlenberg). *Limba* u Podhalan, u botaników *Pinus cembra* (Linneusz) dochodzi w Tatrach aż do wysokości 4800 stóp (1). Z wejżenia drzewo to jest bardzo podobne do naszej zwyczajnej sosny, ale bliżej przypatrzwszy się, wiele spostrzegamy różnic; i tak: śpilki ma wysmuklejsze, a w małych pochwach przy osadzie zawiera ich pięć, gdy tymczasem sosna tylko dwie; szyszki zaś są bardzo odmienne w dwóch tych drzewach: limbowe mają wielkość pięści dorosłego człowieka, a w nich zawarte nasiona podobne są do jąder laskowego orzecha, i równie jak te są smaczne. W ogólności limba rzadkiem jest drzewem w Tatrach; pospolicie stoi pojedynczo, tylko czasem kilka tych drzew rośnie obok siebie, nie okrywając jednakże znacznych przestrzeni, jak to bywa w Alpach. Drzewo limbowe należy do najlepszych w naszym pasie ziemi, gdyż nietylko nadzwyczajnie jest ściśłem, ale nadto przejęte wonną żywicą, odstrasza robaków. Dobrze zna jego własności Podhalanin, i dlatego staje się coraz rzadszém w Tatrach, tak, że zachodzi obawa, że kiedyś zupełnie zginie, i tylko wiadomość, pozostanie o niém, że kiedyś tu rosło.

Okolica za Mnichem. Naprzeciw szalasu Morskiego Oka, sterczy skała zwana Mnich, która nawiasem

(1) Wahlenberg, *Flora carpathorum principalium*. Goettingae. 1814, str. 309.

mówiąc, nie ma i najmniejszego podobieństwa do postaci ludzkiej; ostra ta piramidalna skała ma około 300 stóp wysokości.

Za Mnichem, na godzinę drogi ku południowi, rozdziela się okrągła, zagłębiona dolina, prawdziwe morze kamienne, składające się ze samych zaokrąglonych potężnych brył granitu. Uroczystej ciszy tutaj panującej, nie przerywa żaden głos, tylko czasem daje się słyszeć mała piskliwa ptaszyna, gnieździąca się w kosodrzewinie, lub świstak (Marmotte), albo dziki kozioł, mieszkaniec tych wysokich dziedzin. Dalej postępując ku grzbietowi, rozdziela się drugie kamieniste zagłębienie do pierwszego podobne, a w samym końcu widać zmałą grzbiet Tatrowy, do niskiego wału podobny, który dzieli Polskę od Węgier. Niktby nie sądził spoglądając się ztąd na niego, że się wznosi przeszło 6000 stóp nad poziom morza.

Kopalnia na Spisglancu. Na północnej pochyłości tego grzbietu, jest zarzucona kopalnia zwana Spisglanc, do której wiedzie nader stroma droga, obok smugi śniegu około 300 kroków długiej, a 10 szerokiej. Kto chce obejrzeć tę kopalnię, musi mieć wiele wprawy do chodzenia po niebezpiecznych górach, nie doznawać zawrotu głowy, bo łatwo może życie postradać. Pokład ten metaliczny jest zapewne żyłą przerzynającą granit, ale o tém nie można się teraz przekonać, bo kopalnię zaważyły nieprzeliczone bryły kamieni.

Z ułamków z niej wydobytych i jeszcze teraz leżących, widać, że wydobywano tutaj minerał zwany panabazem, zawierający w sobie miedź i srebro, a zapewne i części antymonu, od którego pochodzi nazwa Spiessglanz. Sądząc po rozrzuconych ułamkach zdaje się, że ten pokład

nie był obfitym, i dlatego wkrótce opuszczony został; gdyby w tych wysokościach był nawet bogaty kruszec, trudnoby przewidzieć, czyby się kopalnia mogła korzystnie utrzymać, albowiem niezmierne przeciwności trzeba pokonywać, aby się koszta nakładu wróciły. Już sama odległość od miejsc zamieszkałych, niemało stawia trudności dla górników, a w zimie dostęp do niej zapewne jest niepodobnym dla ostrości klimatu, i niezmiernych śniegów, zalegających po dolinach. Sprowadzenie materiałów potrzebnych do odbudowania kopalni, stawia także nieprzebite trudności; drzewo tu już nie rośnie, i przytém nawet niema jakiegobądź drogi dla pieszych.— Im większe są trudności, tém większą mają ludzie wiarę do przedmiotów niedających się osiągnąć: to zapewne jest przyczyną, że Podhalanie opowiadają sobie obszernie i szeroko o niezmierności skarbów w ich górach zawartych, o sterczących mnichach z litego złota, o corocznie przychodzących w te strony Niemcach, Czechach, Włochach, którzy przez kilka tygodni tutaj kopią skarby, a potém wychodzą niezmiernie obładowani. Nikt ich zejść nie może gdzie pracują; tylko przybywających niekiedy dostrzega zbłąkany pastérz. Nawet pisma o tém krążą pomiędzy niemi, wskazujące, jak się dostać do tych nieprzebranych bogactw, i niemałego pozyskać potrzeba zaufania, aż je udziela. Aby mieć wyobrażenie o tym cudownym utworze góralskim, daję odpis z rękopisu, pochodzącego bez wątpienia z przeszłego wieku, który pisał człowiek obznajmiony z alchemią, nieraz bowiem są do niej czynione alluzye:

Trakt, którędy Włoszy idą in secreto w góry krakowskie zwane Tatry. „Od miasta grani-

cznego Białą (1), do Kuperszadów (2), wzdłuż wody, która na Białą ciecze, gdy przyjdiesz na wierzchy, zostanie woda w dolinie po lewój, a na prawej ręce ujrzysz szales na strzelenie do zachodu. Idź za chodnikiem łąkami, między dwa wirchy do doliny, a tu będą trzy wirchy, turnie wysokie; idź tą doliną, z której woda ciecze na Białą i Kiesmark, a tu jest do Zielonego plessa (3); a gdy przyjdiesz łąkami między dwa wirchy ku jednemu korytu albo wałowi, ztąd idź chodnikiem aż do Czarnego-lasu.”

„W tym lesie jeden potok na krzyż, który ciecze około owego plessa. Idź tedy chodnikiem na dwa strzelenia z chakawnic, a wychodząc z lasu, wnijdiesz na drugi szales podle chodnika, zwany pod Uplazem, nad Jaworowemi sady; gdy potem wychodząc z lasu i nie dochodząc szalasu, ciecze drugi potoczek krzyżem od lewój ręki; z doliny małej, obróć się do tego szalasu na lewą rękę potoczkiem do góry od doliny, a tak zostawiwszy szales na prawej, przyjdiesz chodnikiem do kosodrzewiny, gdzie na lewój stronie na dwa strzelenia ujrzysz Kołowe plesso. Idź kosodrzewiną wyrąbanym chodnikiem na sam rygiel, tam ujrzysz przed sobą opodał przed doliną, na drugiej stronie jeden szales; patrz dalej, ujrzysz przed sobą blisko jedną łączkę, po téj idź przez kosodrzewinę, aż przyjdiesz między rygiel; zostanie łączka na lewój, a po prawej wyżej ciebie są spady wysokie, z których woda ciecze do plessa trzeciego od Pol-

(1) Miasto na Spiżu, przy wpływie Białki do Dunajca.

(2) Góry zwane teraz Koperszady.

(3) Plesse, jest wyraz słowacki, znaczy *jezioro*. Zdaje się, że to Zielone jezioro leży na stronie węgierskiej, i nazywa się *Grüner See*.

skiego plessa; ten spad dalej w lewo będzie, który jest fałszywy; tym się wielu uwodzi, którzy nie mają prawdziwego opisanja, (opis, wyrażenie goralskie). Na tym spadzie są znaki, tych się masz trzymać, to jest: głowa, ręka, krzyż, sześć gwiazd wyciosanych na gładkiej skale. Na drugim spadzie te znaki: 3 ręki, 3 krzyże, 12 gwiazd, słońce, litery: T. M. W. P. Z. Z. Z. G. N. W. Ale się tego waruj wyjawić każdemu, boby każdy znalazł to miejsce; potem się obróć na dół, idź nad wodę, aż ci zostanie po lewej ręce lasek podle wody; opodal znajdziesz ognisko przyprawione, kędy my legamy, gdy niepogoda na nas przyjdzie. Idź w lewo na dwa strzelenia; po prawej ujrysz przy samym schodniku jeden świérk, na nim wyrąbany taki znak W^w; idź przecie dalej, aż na jeden rygiel będzie chodnik, ujrysz między dwoma ryglami jedną wymulę, którądy woda schodzi podczas powodzi; obróć się w prawo rygłem na górę, idź jakoby na dwa strzelenia z procy; na prawej ręce idź chodnikiem wyrąbanym w kosodrzewinie, a gdy się straci, idź na zachód, na ciśnienie kamieniem, ku jednej skale, która jest jak kopa siana. Na tej skale znajdziesz wiele znaków, miarkuj sobie gdy przyjdiesz do domu, abys trafił; najciężej przyjdzie na dwóch miejscach wleźć w górę; a ujrysz dziwnie maluczką łączkę, na niej pagórek, gdzie cudzoziemcy wypoczywają i pokarmem się posilają. W lewą łączkę schodzi się ryglów siedm, a ty będziesz na boku, a między końcem tych ryglów jest Zabie jeziorko, gdzie się rygle w jedno schodzą. Pierwszy rygiel od Zielonego plessa; drugi od Polskiego plessa; trzeci od Małego Kolbaczk; czwarty od Wielkiego Kolbaku; piąty od Wołowego plessa; szósty od Czarnego plessa; siódmy od Jaworowych sadów. Uj-

rzysz na zachód jedne wrota, albo fórteczkę wysoką jak dwa słupy, a tak spuścić się możesz; przykro się widzi, ale dobrze iść nią, bo się zda, że nie znijdziesz; dlatego z siedmiu tysięcy ludzi, ledwie jeden obierze tam iść, ale i stary człowiek tam iść może. Jest tam wyrąbany chodnik, to sobie miarkuj, gdzie ujrzysz jedną wodę, a to jest Żabie jeziorko; będziesz nad niém patrzeć, ale wtedy wniść do niego nie możesz, ale musisz około pójść. Jest tam blisko wysoka turnia, a na niéj mnich, jakoby go bardzo misternie wyciesał; a koło gardła jakoby złota pacęta, a to jest najwyższy znak od Pana Boga postanowiony; słońce skoro wyniędzie, najpiérw mnicha oświeca. Pod tą turnią wysoką jest druga turnia wyższa, trzecia jeszcze wyższa, każda opodal od siebie, a na jednym ryglu stoją rzędem. Jestto dolinka Żabiego jeziorka najskrytsza. Pójdiesz chodnikiem prosto na dół ku jednéj skale na jedno strzelenie po lewéj, a gdy ku niéj przyjdiesz, stań sobie, a patrz pilnie. Ujrzysz pod sobą turnie, miarkuj sobie, jest jeden szeroki kamień, położony przy skale przez rozpadliny, a na nim głowa człowieka wyrobiona, a na drugiéj stronie dołu jest most wyrąbany; po tym przeszedłszy, puść się na dół niedaleko rozpadliny, a ta rozpadlina będzie tobie po prawéj; dobrze poznasz któredy tam ludzie przechodzili. Przeszedłszy, ujrzysz kamień jeden szeroki czarny, na którym sobie cudzoziemcy ogień zakładają; pod tym kamieniem znajdziesz czekan, i gracę, i złoto jako groch i orzechy włoskie i większe, z wierzchu czarna łuszcza, a wewnątrz czyste (1); jeżeli tego nie chcesz brać, idź

(1) Zapewne kule siarczku żelaza, czyli pirytu.

przeciwko temu turniejowi, kędy mnich stoi, ujrysz dobrze, już cię tak uczyć nie trzeba, a tak idąc prosto ujrysz lepiej jak woda spada, a dzieli się na dwie części; wyższy spad mały, niższy zaś większy, a trzeci największy, które spada tak wysoko, jak trzy lub cztery wieże kieszmarskie. Największy i najprzedniejszy spad jest jakoby pod się zawieszony, a przez to zawieszenie idź u samego spadku; pod tém zawieszeniem jest dziura albo rozpadlina, a tu woda wpada albo do Żabiego jeziora, to jakoby koryto, podobne siennemu wozowi mało większe, jakoby je naumyślnie cesał, a obok niego skały dziwne jak piece, a widzi się, jakoby miały upaść; między temi skalami jest wiele dziur małych, większych i wielkich. A gdy tam przyjdiesz klęknij na kolana, a podziękuj Panu Bogu, iż ci tam dał dojść, i prosz, abyć dopomógł w zdrowiu wyniść, a używać i chwalić swoje Boskie sprawy i ubogim dobrze uczynić; a potem bardzo patrzaj, ujrysz tam jedną dziurę, jest na łokieć od ziemi, do której najciężej wniść; znajdziesz garnek złoty, jako wina beczka, brunatny, jako szkarłat, a gdy odetchniesz, mieni się jako miódz najczerswieńsza. W tym garnku siedzi drogie kamienie *Carbunculas*, a ziarna są jak bób, groch i jako laskowe orzechy, jak gołębnie jaja, jak kokosze i gęsie; a gdy siekierą odetniesz, tak się wyłupi kamień jak orzechy, ale daj kamieniom pokój, bobyś musiał z niemi chodzić do Wenecyi. Nabierz raczćj złota coć Pan Bóg dał, na tym przestań. Potćm idź pod spód do ziembka, skrzysz tam ognia, potćm kochać czekaniem albo siekierą, gdzie będzie bębnito otwórz, albowiem mocno bardzo zaprawiona dziura; wleż tam, znajdziesz po prawćj ręce garnek złoty, jako piwna beczka, nakrapiany drogiemi kamieniami, którego jedno noszenie na

200,000. Co w nim jako groch, temu daj pokój; potem patrz, po prawej ręce jest tam drugi garnek złoty, jak winna beczka, ten rąb, a wynieś co możesz; tam sobie miarkuj, ujrysz wyżej dwanaście stopniów wyrąbanych, wleź w górę, tam słup złoty stoi jako żywy, i w środku tego cmentarzyka, od tego słupa albo mnicha ciągną się promienie i odnogi złota na wszystkie strony przez te siedm rygle, jako od lasu odrastają młodniki i zaś wychodzą; tam jest słup srebrny albo matka drogiego kamienia karbunkuły; tam siedzi król Gregorius. Będzie świecić koroną swoją, która jest ze złota, srebra, karbunkułu (1), szafiru, dyamentu, rubina; to z drogiego kamienia, masz dosyć, nabierz, a Panu Bogu daj chwałę żeć dał takowe dary. Widzieć dalszy w tej rozpadlinie cmentarz, alem ja ku niemu dalej nie chodził; tam drugi mnich złoty wielki, a kolo niego znajdziesz nakształt kury, gęsi, kaczk, orły, jastrzębie, wszystkie ze złota szczeręgo ptastwo, przyrodzenie siedzące na jajcach złotych, a to jest matka pomiędzy temi jajcy; znajdziesz i wiele jajec z drogiego kamienia; to wiedzieć masz, jeżeli dojdiesz cmentarza, nie bądź łakomy, abys znać matki której z jajec nie chciał wziąć, nie czyn tego, bobys zgrzeszył mając dosyć co innego brać, a ułakomiłbys się na wielkie dziwy Boskie, które Bóg sobie ku czci i chwale zostawił i stworzył; albobyś z tego miejsca nie wyszedł, albobyś nigdy nie przyszedł, albobyś wpadł w wielkie nieszczęście; ale możesz wziąć z pod matki jajec co, a zostawić, niewszystkie zabrać, a gdy przyjdiesz znowu w rok, to wszystkie zastaniesz, bo ten tam skarb nigdy nieprzebrany; a to pisanie nazad do Żabięgo jezior-

(1) Dyament.

ka przyszedłszy spał, albo je mocno zachowaj, ażeby do rękę złych ludzi nie przychodziło”.

Pięć Stawy. Dwie drogi prowadzą z Morskiego Oka do najwyższych jezior Tatrowych, nazywanych od liczby, Pięć Stawy: jedna przez grzbiet dzielący doliny Morskiego Oka i Roztoki; druga doliną Roztoki, od wyżej wspomnionego ujścia kamienistego téj rzeki. Droge ostatnią obierają pospolicie podróżni, albowiem jest wygodniejszą a bezpieczną; mianowicie dla mniej wprawnych w chodzeniu po górach. Od Pięciu Stawów obierają podróżni pospolicie pierwszą, bo bliżej do Morskiego Oka.

Już była spóźniona pora roku, gdyśmy się dnia 6 września 1844 roku puścili do Pięciu Stawów doliną Roztoki. Pogoda nic nie zostawiała do życzenia, a powietrze nadzwyczajnie przezroczyste, podstaniało nieprzeliczone wirchy, cudnie oświetlone; w pobliskich odróżnialiśmy każdy najdrobniejszy załamek. Za każdym krokiem na téj drodze, bogate różnaitością przedstawiały się widoki, jeden od drugiego cudniejszy.

Właściwie w téj dolinie niemasz drogi, tylko nieco szersza ścieżka, po której idą owce i konie obładowane sérami i mléczywem; prowadzi do szałasów stawiar-skich, znajdujących się na kamienistój równinie Pięciu Stawów.

Ta nadzwyczajnie dzika dolina, przedstawia obraz walczących pomiędzy sobą sił przyrodzonych. Boki jój nadzwyczajnie wysokie, wznoszą się od spodu parę tysięcy stóp wyżej: środkiem płynie w nieustannych spadkach szumna Roztoka, unosząc niezmierne kupy potężnych głazów; gęste lasy wypełniają całą dolinę, i wzno-

szą się na bokach do pewnej wysokości; wyżej sterczą skały całkiem nagie.

Dolina ta bardzo jest nierówna, bo składa się z samych wałów, tak, iż każdy następny jest nieco wyższy, i tym sposobem podnosi się zwolna w górę.

Prawie w połowie drogi widzieliśmy, że rozpoczęto te niezmierne lasy użytkowywać, przez zwęglanie je na miejscu; węgiel odwożą do huty żelaznej Zakopanego. W innych miejscach napotykalibyśmy dawniejsze poręby, a nieprzeliczone pnie okrywające boki gór, odbijały dziwnie od poważnej zieloności świerków.

Po wyrąbaniu lasów w Tatrach, jakby siłą czarodziejską wywołane, puszczają się zwykle na nowinie krzaki malin; czasem zastępuje je poziomka. Miłe te owoce dojrzewają dopiero w połowie lipca, i trwają często do końca września; nieraz na śty Michał przynoszą je pasterze zwiedzającym tę dolinę. Poziomki te szczególnie lubią rosnać na wywrotach, na gliniastej ziemi, i odznaczają się słodyczą i wielkością nieznaną na równinach.

Co za przyczyna wywołuje do życia dwie te rośliny, zapytywano się nieraz, a chociaż przyczyna ta wydaje się nieodgadnioną, w istocie bardzo jest prostą. Nasiona malin mogą leżeć bardzo długo w ziemi, i dopiero gdy nastąpią sprzyjające im okoliczności, to jest otwarte powietrze i promień słońca, zaczynają puszczać kiełki i rozwijają się bardzo szybko. Łatwo można się o tém przekonać, wzięwszy nieco ziemi z gęstego lasu Tatrowego, gdzie od niepamiętnych czasów nie było śladu maliny lub poziomki, gdyż po dostatecznym jój wypłukaniu, znajdą się zawsze te nasiona w mniejszej lub większej ilości.

Postępując wyżej, przerzedzają się gęste świerki, i jak przy Morskiem Oku, wieszają się na nich siwe warkoczowe właściwego nitkowatego mchu. Pochyłe płaszczyny okrywa trawa świeżej zieloności, jak nasze łąki na wiosnę, a miła ta barwa odbija dziwnie od potężnych ścian, najeżonych licznymi skałami, które noszą miano Szczoty, zapewne od podobieństwa do szczotki.

Nie dochodząc do Pięciu Stawów, pokazuje się szczególny wodospad. Z potężnej ściany skalnej, wydającej się prawie prostopadłą, na znaczniejszej wysokości, płyną równoodległe pasy wody, rozczepiające się widłowato, i następnie gubiące się odrazu w boku góry; nie widać nawet, gdzie się podziękują te strumienie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że woda dobywa się ze skały; ale bliżej przypatrzwszy się owej ścianie, spostrzegamy mały ustęp, gdzie właśnie zbierają się wody w pewnym rodzaju małego morskiego oka, z którego wypływa ten również szczególny jak malowniczy wodospad, niemogący się jednak równać co do ilości wody i wspaniałością z wodospadem, biorącym początek w Pięciu Stawach, znanym pod nazwiskiem Siklawej wody. Strumień ten, 4—6 stóp szeroki, jest 150 stóp długi, i w wierzchniej części dzieli się na dwa ramiona, ale w $\frac{1}{3}$ wysokości łączą się i spadają prosto na dół jako jeden potężny pas, rozbijający się w pianę. Siklawą wodą jest najcenniejszym wodospadem Tatrowym, sownicie wynagradzającym wszystkie doznane znoje, które wypada ponosić przybywając do niego. Walka przeciwności z rozkoszami, nadaje właśnie podróżom po górach ten niewymowny urok, te właściwego rodzaju przyjemności.

Wodospad ten równa się tylko z najświetniejszymi w Alpach i Pireneach, albo z owym licznie odwiedzanym

Staubach w Szwajcaryi, lub z wodospadem przy St. Martin w Sabaudyi.

Siklawą wodą jest początkiem rzeki Rostoka. Mały ten strumyk w czasie pogody powiększa się zadziwiającym sposobem, przez najmniejszy deszczyk. Z rozległych płaszczyn na których leżą Pięć Stawów, i z potężnych boków tej doliny, spadają zewsząd wody, i wtedy z niewymowną nagłością wzbięra, porywając ogromne bryły granitu i z pędem niesie je do rzeki Białki, okrywając niemi znaczniejsze płaszczyny.

Od spadku Siklawej wody do płaszczyny Pięciu Stawów najtrudniejszy jest dostęp; trzeba się wspinać na górę po nagiej skale, obok smugi śniegu. A gdy wreszcie po cztero-godzinnéj mozolnej podróży, dostaniemy się na obszerną dolinę Pięciu Stawów, zawiedzeni jesteśmy w oczekiwaniu, bo widok na nią nie ma nic zachwycającego, i nie może iść w porównanie z powabami doliny Rostoki. Na obszernej kamienistej płaszczynie, świecą w pewnych odległościach okrągłe stawy, 6121 stóp nad poziom wysoko położone, nad którymi niema śmiało wznoszących się wirchów; zmały bowiem podobnie jak przy kopalni na Spisglancu, i wydają się jak niepozorne kopce, kilkaset stóp wysokie. W tej dolinie widać tylko tu i owdzie kupy kamieni, lub płaszczynę zieloną: tylko przy pierwszym jeziorze, z którego wychodzi wodospad, rośnie kosodrzewina, odejmując tym sposobem w części posępność tej wyniosłej doliny. I tutaj nadzwyczajna panuje cisza, przerywana czasem piskliwym głosem ptaszyny, mieszkańca wysokich okolic. Aby krajobraz wzbudzał miłe uczucia, potrzeba nietylko skał uderzającej postaci, ale i bujnej roślinności: tego wdzięku życia, co tajemniczo

przemawia do duszy. Tego wszystkiego niemasz przy Pięciu Stawach, a przecież widok nań ma w sobie coś co przyciąga ujemnymi zaletami, jeżeli się wolno tak wyrazić, bo wywołuje smętne uczucia.

Najwyższy staw tuż przy samym grzbiecie, jest najmniejszy, i kształt ma kulisty. Często jeszcze w lipcu nie topnieją na nim zimowe lody, i dlatego nazywa się Zmarzły, okolice zaś do Zmarzłego.

Drugi staw jest owalny, małego większy od pierwszego.

Trzeci jest podłużny, tak szeroki jak pierwszy, ale nierównie dłuższy.

Czwarty większy od poprzednich, ma nieforemną, podłużną postać.

Każdy z tych stawów leży wyżej jeden od drugiego wśród niezmiernych kup głazów granitowych, a z jednego do drugiego ściekają wody w małych kaskadach.

Piąty staw najniższy jest i zarazem największym. Według wspomnianego nadleśniczego Klejna, zajmuje przestrzeń 64,080 kwadratowych sążni wiedeńskich. Z tego stawu wypływa strumieniem 10 do 12 stóp szerokim, najwspanialszy wodospad Tatrowy, zwany Sikława woda.

Zdawałoby się, że pomiędzy temi głazami tylko martwa panuje przyroda: tymczasem nawet tutaj są szalasy, nazywane Stawiarskie, w których stoją owce przez 4 do 6 tygodni, pasząc się po najwyższych szczytach, pokrytych wonnemi ziołami; z ich mléka wyrabiają najlepszą bryndzę góralską.

Chętnie opuściliśmy tę straszną, głuchą pustynię, aby się udać do Morskiego Oka, drogą trudną do przebycia, miejscami nawet niebezpieczną. Nieraz mówiłem z oso-

bami, które ją odbyły, a te zawsze wspominały o niej z uczuciem zadowolenia, że miały tyle odwagi przejść po tych trudnych miejscach. Pokonanie bowiem niebezpieczeństw ma zawsze coś ponętnego, i w miarę większych trudności, jest bardziej przyciągającym.

Na drodze do Pięciu Stawów świeciło właśnie słońce z całą wspaniałością, i ciepło było nawet nieznośne, ale przybywszy pod Sikławą wodę, od czasu do czasu poczęły przeciągające mgły zakrywać słońce, osiadać na stawach i otaczających je wirbach, pomiędzy którymi odznacza się tak zwany Hruby wirch. Lecz wkrótce rozdarły się mgły, a widok był tém ponętniejszy, że nagle poodślaśniały się różne części tego obrazu, i zdawało się, że spadła zasłona. Wśród téj walki ciemności ze światłem, gdy rozproszyły się mgły zupełnie, przewodnicy nasi osądzili, że możemy się udać na noc krótszą drogą do szłaśu Morskiego Oka, przez dwa strome grzbiety Kopy i Świstówkę. Przeszło pół godziny z prawdziwą pracą trzeba się było piąć na grzbiet Kopy. Tymczasem zwolna zakrywało się słońce, a gdyśmy byli na przeciwnym brzegu, coraz gęstsze mgły napływały od północy, zakrywając odleglejsze wirchy, potem bliższe, aż wreszcie nie mogliśmy odróżnić przedmiotów, nawet na kilka kroków przed nami. Zimno i wilgoć dały się uczuć dotkliwie. Przewodnicy zaczęli się pytać o drogę, widocznie się wahali, a na domiar wszystkiego złego, ścieszka ciągnęła się po niezmiernych kupach kamieni i tak była mylną, że i najwprawniejszy mógł pobłądzić. Szczęśliwy traf chciał, żeśmy pozostali na dobrej drodze i stanęli na Świstówce, gdy mgły zmieniawszy się w wielokroplisty dęszcz, opadły i zmaczały nas do nitki; ale

zawsze było nam jakoś raźniej, bo rozpoznawaliśmy otaczające przedmioty. Lecz nowa powstała trudność przy schodzeniu, bo trawy stały się nader ślizkimi, i ledwie można było postępować: wtedy przewodnicy musieli nas za rękę prowadzić, i niemało czasu kosztowało takie zstępowanie. Tymczasem mrok zapadł; szczyty były wprawdzie jeszcze dosyć jasnymi, w dolinie jednakże już noc panowała. Zupełnie było ciemno, gdyśmy przybyli do szalasu Morskiego Oka, i niemało było nasze zdziwienie, gdyśmy się znaleźli zupełnie suchymi. Sprawia to znakomicie rozrzedzone powietrze; warstwa bowiem o 4000 do 5000 stóp mniej ciężka, przyspiesza i ułatwia parowanie. Nieraz błota w tych stronach bywały niezmierne, w parę dni jednak wysychały, a często nawet niewiele trzeba było godzin, by poznikały.

Droga na doliny Jaworynę Rusinową i Filipkę. Wracając z doliny Roztoki do Młota Porońskiego, obrałem inną drogę, nie przez Bukowinę, ale idącą u stóp Tatrów albo na ich pierwszych wyskakujących grzbietach, okrytych gęstemi, często nieprzebytymi lasami świerkowemi, czyli smerkowemi, mówiąc narzeczem podhalańskim. Właściwie nie jestto droga, ale licha, często gubiąca się ścieżka, na której trudno konno przejechać. Kto chce tędy wędrować, niechaj będzie przygotowany na mozolną podróż pieszą, o której mało co godnego jest wspomnienia, bo wiedzie bujnemi lasami, w których nie postać siekióra od niepamiętnych czasów.

Wyszedłszy na grzbiet dzielący dolinę Roztoki od doliny Spiecmiana, można widzieć, ileto przewaliła burza owych lasów dziewiczych. Na znaczniejszej płaszczyźnie leżą powalone w najdzikszym nieładzie niezmierne pnie 40 do 50 stóp długie. Trudno sobie wystawić stra-

szniejsze zniszczenie. Niektóre pnie już zbutwiały, a rozsypując się w próchno, dały materiał bujno z nich wyrastającym roślinom i licznym kwiatom, które odznaczają się żywą a piękną barwą. Wymienię tylko bardziej uderzające, jakoto: *Aconitum cammarum* i *świecznik* czyli *Gentiana centaurium* Linneusza, z kwiatem okazałym pięknego niebieskiego koloru, który się rozwija w połowie sierpnia. Inne pnie powlekają mchy zielone, przez co wydaje się, jakby kobiercem były powleczone. Ledwie przechodzić można w pośrodku tych wywrotów, uginających się gałęzi i puszczałej młodzi.

Dolina Filipki. Tak postępując wśród gęstych lasów, mile witaliśmy obszerniejszą równinę, okrytą świeżą zielonością; byłato równina Jaworyna Rusinowa, a za nią zaraz druga znaczniejsza zwana Filipką. Na tej rozległej przestrzeni stały w środku biedne szałas, których nadzwyczajna nędza, dodawała im właśnie wdzięku. Trudno ujrzyć coś bardziej malowniczego nad te domki, które zdaje się, że co chwila upadną. Środkiem Filipki płynie potok w nieprzeliczonych wodospadach, wpływający do doliny przy skałach czerwonego marmuru. Filipka nie należy do rzędu dolin głównych, lecz do pomniejszych; nie opiera się bowiem o grzbiet granitowy, ale o niższy wapienny. Ze wszech stron otaczają ją mniejsze góry wapienne, okryte bujnemi lasy, i to jest właśnie powodem, że jej krajobrazy mają w sobie coś nader przyciągającego, jakiś tajemniczy i miły urok.

Ten obraz odznaczający się bogactwem roślinności, bujnemi trawy i drzewami, stoi w dziwnym przeciwieństwie do owych strasznych widoków Pięciu Stawów. Rośliny wywierając czarodziejski wdźwięk na człowieka, wywołują w duszy lubie uczucia pokoju. Połamane ska-

ły i zwalone ich kupy, zdaje się, że wyziębiłyby i najgwałtowniej bijące serce.

Szałasy Filipki zamieszkują dziewczki, paszące krowy po przyległych lasach i górach. Każdy właściciel wysyłając krowy do hól, dodaje do nich, stosownie do ilości, jedną lub dwie pasterki, które je doją, chowają mléko we własnych naczyniach, i robią z niego sery i masło. Od czasu do czasu przybywają do nich gazdowie z żonami, dla zabrania nabiału do domu, a zarazem przywożą mąkę i grule czyli ziemniaki. Te szczególne karawany, ciągnące się często w długim rzędzie po wązkich ścieszkach, bardzo charakteryzują Tatry, i są im wyłącznie właściwe. Krowy zostają pospolicie w holach 10 do 12 tygodni.

Aby dokładniej poznać dolinę Filipki, trzeba wstąpić na przyległą górę Przystóp, bezpośrednio nad nią wzniesioną, a ta mała podróż wynagrodzi się sownicie. Wchodząc na tę górę, nie mogłem dosyć nacieszyć się bujnymi bukami, bo nigdzie w Tatrach, a zapewne i gdziekolwiekbądź, niéma bardziej okazale wyrosłych. Zapewne na to wpłynęła wapienna skała, na której rosną i właściwy klimat. Wyżej przeważają świerki, a jako osobliwości, pokazują się pomiędzy niemi pojedyncze jawory, *Acer occidentalis*. Drzewa te jednakże mają tutaj chorobliwe wejrzenie; powszechnie zwracają się w jedną stronę ich konary, a przeciwną okrywają zielone mchy, co się niemało przyczynia do nadania im wejrzenia zgrzybiałości.

Spoglądając ze szczytu Przystopu, wydaje się dolina Filipki nader małą. Zagrodzone polany, a na nich szalasy leżą przed nami, jakby na planie doskonale wykonanym; ludzie zaś są jakby kropki, i to przekonywa, ja-

kie przestrzenie dzielą widza od tych miejsc. Dalej rozpościera się wyżyna Tatrowa, poprzerzynana dolinami i rzekami, wraz z licznymi siołami, którą odgraniczają wyższe grzbiety Bieskidów, a z tych odznacza się, dobrze nam znana skalna masa Babięj Góry.

Widok na to, co jest rozległém, ma jakiś niewymowny powab; szczegóły giną, a ogół ogarniamy, i to jest przyczyną tego zadowolenia, którego doznajemy bawiąc na wysokich szczytach.

Droga z doliny Filipki ku Młotowi Porońskiemu, odznacza się wielką różnaitością. Za skałami czerwonymi, stojącemi jakby na jęj straży, wypływa rzeczka zwana Złoty-Potok. Jaka przyczyna tęg nazwy, trudno powiedzieć. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zawiera złota, albowiem metal ten zwykł się znajdować w Tatrach tylko w granitach, a nigdy w wapieniu, z którego płynie nasz Złoty-Potok, połączywszy się przy wiosce Ciche z rzeczką tęgże nazwy, wypływającą ze wschodnich pogórków. Potok ten odtąd zwany Ciche, łączy się następnie z wartko płynącym Porońcem, i już jako znaczniejsza rzeka płynie pomiędzy Murem a Młotem Porońskim.

Wioska Ciche leży ze wszech miar malowniczo, gdyż na kraju długiej a wzniesionej równiny, ciągnie się szereg domów, które z doliny wydają się, jakoby stały na grzbiecie wzniesionym.

Młot Poroński leży prawie naprzeciwko dolin mających liczne jeziora, a położonych na zachód od doliny Pięciu Stawów, mianowicie naprzeciw potężnej góry, zwanęj W̄axmudzką, podobnej do ogromnego wału, a która dla znacznych wymiarów, widziana jest prawie na całym Podhalu. Aby zwiedzić z Poronina te części Tatrów,

weszliśmy na małe wzniesienie, na którym ciągnie się długa wioska Sicha. Za nią rozpościęra się prawie pół mili dalej nader powoli wznosząca się płaszczyna. Pod samemi stopami Tatrów, jest płaszczyna nader kamienista; wydaje się, jakby zsypane były kamienie, pomiędzy którymi rosną rzadkie krzaki jedliny. Weszliśmy wylomem w wapieniu do doliny Skalnite, nazywanej od wirchu tegoż imienia. Z jednego jej boku tryszczy mnóstwo bardzo obfitych źródeł (bo więcej jak dziewięć ich narachowałem), zwane Wywierzyskami, od wydobywającej się gwałtownie wody, co tak szczególnie nazywa Podhalanin *wywieraniem*.

Kópka i Kopa. Z góry Skalnite wstąpiliśmy na smukłe, do stogów siana podobne trzy góry, zwane Kopy, a jedna za drugą coraz wyżej wzniesionych. Pierwszą nazywaną pospolicie Kópka, okrywają drzewa, a dwie drugie, nierównie wysmuklejsze, ubarwiają kobierce trawy. Trzy te góry połączone są chodnikami nader szczególnymi; zdaje się, że są sztuką wyrobione, i jakby posypane drobno potłuczonymi kamykami; jednakże pochodzi to od rozsypującej się łupkowej skały, z której składają się boki tej góry.

Góry Kopami zwane, w porównaniu do przyległych szczytów, są nadzwyczajnie małe; jednakże uważane same przez się są wyniosłe, bo średnia Kopa wznosi się 4127 stóp, a tylna Kopa, czyli jak ją nazywają mieszkańcy Zadnia Kopa, 4303 stóp. Z Kóp postępując lasami, stanęliśmy na równinie Waxmudzkiej, z której wstąpiliśmy na rolę téjże nazwy. Widoki z tego podłużnego grzbietu nie są bez wdzięku: u stóp leżą wyniesienia gęstemi lasami okryte, dziwnym sposobem zmalale; ku

południowi zaś odsłaniają się nieprzeliczone szczyty, jedne od drugich wyższe i bardziej dzikie.

Grzbiet Waxmudzki ciągnie się ze wschodu na zachód, a z części nagle zwróconej na południe, wyskakuje szczyt zwany Nad Zielonym, 6737 stóp wysoki, sterczący nad jeziorem Zieloném. Wymierzyłem tu granicę drzew, i znalazłem, że się rozpoczyna na wysokości 4528 stóp, a zatem wznosi się wyżej, aniżeli przy Morskiém Oku, bo téż boki téj góry zewsząd są otwarte.

Widok z Nad Zielonego jest obszerniejszy od poprzedniego. W stronie południowo-wschodniej nieprzeliczone wirchy jeden za drugim wyskakują, a dolina Pięciu Stawów leży jakby u stóp: z przeciwnéj strony rozciąga się jeziorzko, co dało temu szczytowi nazwę. Podhale przedstawia się ztąd jako równina poprzerzynana srebrnymi wstęgami, nad któremi widać długie, rozciągle wioski.

Aby zmierzyć barometrem wirch Nad Zielonym, potrzeba się było nieco dłużej zatrzymać na wierzchu téj góry: tymczasem stan nieba nie sprzyjał wcale temu przedsięwzięciu. Od zachodu ku wschodowi pociągały pojedyncze chmury na rozległym widokręgu niebios, a z wysokości można było widzieć ich przebieg i zmienną pogodę w różnych stronach. Tam świeciło słońce, tu ciemne pasy znaczyły spadające deszcze; czasem równiny mocno się zakurzyły, i w miarę jak spadał dészcz, przeciągały się owe pozorne tumany, niebędące niczém inném jak wilgocią, unoszącą się przy powierzchni ziemi. Przez dwie godziny byliśmy widzami w różnych stronach spadających deszczów, gdy nagle chmura wyszła z poza Babiéj Góry i wprost ku nam zmierzała, jakby przyciągana igłą magnetyczną. Lunął kroplisty dészcz, i zmo-

czył nas do nitki, ale właśnie skończyły się obserwacje; znaleźliśmy wysokość tej góry 6.737 stóp.

Po zmoczonych kamieniach ostrożnie trzeba było zstępować. Mrok zaczął zapadać, a gdyśmy się zbliżali do szałasu Waxmudzkiego, była noc ciemna. Uprzejmie przyjął nas baca, tak nazywają naczelnika pasterzy owiec, częstował wszystkiém, co miał najlepszego w swoim letniém gospodarstwie: żętycą czyli słodką serwatką z owczego mléka, po której pływają płatki séra, słodkiém i kwaśném mlékiem i tą serdecznością, co z serca płynie.

Właśnie z nami przyszły owce na noc. Dójki w oddzielne miejsce zapędzone wydoili pasterze. Następnie zlano mléko do kotła i zagotowano; przez dodanie zapuszczki z żołądka cielęcego zwarzyło się, a sér odcedzał baca od żętycy. Po całodziennych trudach znużeni johasy wieczerali, bawiąc się wesołemi dowcipami, i tak byli rozochoceni, jak gdyby w to wszystko opływali, co daje życiu przyjemność. Dym powstający z palącej się kosodrzewiny niezmiernie nam dokuczał; oczu nie można było otworzyć, tak był gryzący. W wysokich szałasach, wzniesionych nad granicę drzew, a do tych należy Waxmudzki, nie palą niczém inném jak temi krzakami, a johasy tak się do niego przyzwyczaili, że im nie czyni żadnej przykrości.

(Dokończenie nastąpi).



EMERYT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Józefa Horzeniowskiego.

(Ciąg dalszy).

III.

Jeżeli któremu z czytelników naszych zdarzyło sięjechać traktem do Łomży, którego biała linia sunie się nad malowniczymi brzegami Narwi, ten pamięta zapewne okolice niezłą, lesistą i dosyć smutną, co się poewej stronie traktu za Pułtuskim zaczyna, i poza Sieluń ku Ostrołęce ciągnie. Tam o małą milę od Sielunia, na pochyłości przytykającej z jednej strony do wielkich lasów rządowych, a z drugiej do lasów także niegdyś wielkich, a dziś najeżonych tylko spruchniałemi pniami i gęstwiną drobnych sosenek, rozlega się ku dolinie i rzeczce wieś szlachecka, nazwiskiem Siechurska Wola. Jestto główna siedziba Siechurskich, Wielowiedzkich, Małowiedzkich i poprostu Wiedzkich, bez żadnego przyrostka wielość lub małość wiedzy oznaczającego. Z téjto wsi wyszedł nasz p. Marek, którego matka, z domu Siechurska, ciągle tam w biednym dom-

ku swym mieszkała i tamże przed dziesięciu laty umarła; w téj wsi także urodził się i wychował nasz Marcin Wiedzki, *vulgo* Marcinek, z niewiadomego ojca i krewnej p. Bartłomieja Siechurskiego, którego, jak sobie to czytelnicy przypominają, nazwał swoim wujaszkiem.

Matka łotra Marcinka, jak go tam powszechniej, zwłaszcza gdy podrośł, nazywano, kobiéta młoda, przystojna i po urodzeniu tego chłopca zawsze smutna, płacząca i chora, mimo gwałtowności charakteru p. Bartłomieja u którego mieszkała, i różnych podstępów, jakich używały sąsiadki i krewne, żeby z niéj wydobyć sekret który tała, nie dała się skłonić do żadnych wyznań, i wołała cierpieć prześladowanie, a niekiedy i szturchańce znosić, niż zdradzić nazwisko człowieka, którego widać szczerze pokochała.

Gdy wszakże przykrości, wymówki i szyderstwa doszły do ostatnich granic; gdy p. Bartłomiej podpiwszy sobie raz we własnej karczmie, gdzie i żonę zaciągnął i także spoił, wrócił do domu w błogiej niepamięci rzeczy terażniejszych i przyszłych, i postrzegł Maryannę Wiedzką siedzącą na ganeczku i oczekującą ich powrotu; zamiast być wdzięcznym za czujność nad domem opuszczonym przez gospodarza i gospodynię, napadł na nią że ich szpieguje, że krzywdzi ich dom, że nie tylko ją, ale jeszcze nie wiedzieć jakiego jéj chłopca karmić muszą, i chwyciwszy po brutalsku za kosę bujnych jéj włosów, chciał ją obciąć, jako niewłaściwie zdobiącą jéj głowę.

Wyrwała się z rąk jego nieszczęśliwa kobiéta, wbiegła do izby, i wzięwszy na ręce dwuletniego wówczas Marcinka, o godzinie dwunastéj w nocy, innemi drzwiami przez ogród uciekła. Krzyk i przeklęstwa pijanej pa-

ni Siechurskiej ukazały mężowi drogę, której ofiara jego gniewu zemknęła. Rzucił się za nią także p. Bartłomiej z nożycami w rękę, chcąc koniecznie swego dokazać i zdjąć z téj zniekanéj głowy ozdobiący ją warkocz; ale nogi mu nie służyły, oczy zachodziły mgłą, plątał się między grządkami, zawadzał o kapustę i buraki, i nareszcie zaczepiwszy się o wasy ogórków, upadł w głęboką bruzdę i uderzył się łbem zamroczonym o brzuch potężnej dyni, która w łożu tém spokojnie sobie leżąc i oczekując porannejrosy, tak gwałtownego ciosu się nie spodziewała.

Uwolniona tym sposobem od pogoni Maryanna, przełaziła przez oryny ogradzające ogród, i tuląc w swém objęciu płaczące i przestraszone dziecko, poszła gdzie ją oczy niosły.

Dom p. Bartłomieja Siechurskiego był na brzegu wsi. Zaraz za jego ogrodem leżało niewielkie pole, zasiane żytem, którego kłosa można było policzyć; a dalej były krzaki jałowcu i mieszające się z niemi krzaki sośniny, coraz gęstsze, coraz dziwniejszych form, coraz smutniejszy widok całej okolicy dające. Gdziekolwiek tylko sterczał pień dawno już ściętego drzewa, dogniwały pod nogami wióry i gałęzie, a tu i owdzie podnosiła się wysoko sosna koślawa, niezgrabna i podcięta, tak, że tylko na wierzchu zostawiono jéj czub gałęzi, aby miała czémkolwiek nagość swą osłonić.

Noc była ciemna, krzaki smutno szeleściły, wokoło leżała pustynia głucha i posępna, z gęstwiny niewyraźnie ograniczonej, wymykające się wysokie i nagie drzewa dziwaczne przybierały postaci; a jednak, mimo trwogi, jaką biedną kobietę ta pora i ta okolica przejmowały, szła ona coraz dalej, coraz prędzej, nie wiedząc dokąd dąży i gdzie odpocznie.

Nareszcie gdy minęła wyniszczony las, należący do szlachty Siechurskiej i obaczyła się przed potężną ścianą puszczy rządowej, gdy zajrzała w ciemne jęj łono i usłyszała nad głową swą szum olbrzymich drzew, jakby głos zapytujący: po co tam wchodzisz? gdy się obejrzała wokoło i obaczyła się samą wśród nocy, w miejscu dzikiem i odludném, taki strach ją ogarnął, że z całej siły zaczęła biedz napowrót. Ale wkrótce pozbawiona wszelkich sił usiadła pod pierwszym drzewem, ułożyła płaczącego chłopca na kolanach, a gdy się utulił i zasnął, gdy i ją pierwsza trwoga ominęła, zakryła twarz rękami, i myśląc nad położeniem swoim, gorzko płakać zaczęła.

Sen nie przyszedł ulżyć jęj troskom i dać chwilowe ich zapomnienie; bo sen, choć niezawsze trzyma z fortuną i często panów unika, ale przyjaciel pokoju i pracy, ucieka także od wielkiego nieszczęścia, zwłaszcza gdy to jest skutkiem własnej winy, jakby nie chciał przeszkadzać sumieniu w jego robocie i czuwania jego przerywać. Przesiedziała więc tak biedna kobieta do dnia samego. Dopiero gdy słońce zeszło, gdy ranek odświeżył całą naturę, gdy się obudziły wesole ptaszki i śpiewać zaczęły, oschły jęj łzy, opadło cokolwiek ciężaru z jęj serca, i widząc przed sobą wszystko tak zieloném, tak świeżém, tak pełném życia, nabrała odwagi, postanowiła radzić sobie jakkolwiek, i nie oddawać się rozpacz. Ale gdy pomyślała, że wkrótce zapewne umrze, że dziecię jęj zostanie sierotą, znowu serce jęj zwątlało i słabnące siły odebrały odwagę. Przyszło jęj także na myśl, że nie ma ani odzienia, ani grosza przy duszy, ani żadnego świadectwa; że jeżeliby nawet odważyła się zebrać przed znalezieniem gdzie służby, wziętoby ją za

włóczęgę, odprowadzonoby do wsi, i wróciłaby z podwójną hańbą tam, z kąd teraz przed wstydem i urąganiem ucieka. Te gorzkie myśli skłoniły ją uciec się do ostatniego środka, który i dawniej już przychodził jej do głowy, ale którego dotąd chwycić się nie śmiała. Wzięła więc śpiące jeszcze dziecko na ręce i poszła na powrót do wsi, ale kołując zdaleka od domu krewnego, przed którego gwałtownością uciekła. Na drugim końcu wsi był domek Wielowiedzkiej. Tam udała się biedna Maryanna. Stała z pokorą, ale z rezygnacją przed matką p. Marka, i upadła jej do nóg, wyznała przed nią swą winę i wyjawiała ten sekret, który przed całą wsią i innemi krewnemi z takim uporem tajiła.

Zasmuciła się staruszka, gorzko zapłakała, ale litując się nad biednemi sierotami, utuliła płaczącą Maryannę, pocałowała ładnego chłopca, i wzięła pod swoją protekcją matkę i syna.

Wszakże nie na długo posłużyła Maryannie dobroć zaniej kobiety, i nie mogła jej osłonić przed impetem szlachcica, który chociaż po trzeźwemu miał popędy szlachetne, i prosty, nieuczony, ale bardzo zdrowy sąd o rzeczach, stawał się burdą gwałtownym i na nic nie uważającym, gdy dobre serce swe w wódce skąpał i jasny rozum swój zalał.

Gniwał się p. Bartłomiej na siostrę, że przyjęła do domu swego Maryannę i przestał do niej chodzić. Ale raz dobrze pijany, gdy wracał z sąsiedniej karczmy z kilku towarzyszami i mimo mieszkania jej przejeżdżał, Marcinek właśnie wylazł na ulicę i za wrotami się bawił. Nastraszyło się dziecko krzyczącą i pijaną zgrai i mocno płakać zaczęło. Matka przełknięta płaczem chłopca, nie zważając kto jedzie, wybiegła za wrota. Ale za-

późno się postrzegła. Jeszcze nie doszła do płaczącego syna, gdy p. Bartłomiej zeskokczył z wózka, schwycił ją za włosy i tarzając nieszczęśliwą po ziemi, bił okrutnie i nogami deptał. Próżny był płacz dziecka, próżne krzyki siostry, która z izby wyszła. Dopiero gdy Maryonna bez zmysłów upadła, opamiętał się trochę pan Bartłomiej, a koledzy chociaż także pijani, pochwycili go bezsilnego prawie i na wóz wsadzili.

Okropny ten wypadek, którego sam p. Bartłomiej darować sobie nie mógł gdy się wytrzeźwił, zniszczył do reszty zdrowie znękaną moralnie kobiety. We trzy miesiące potem Maryanna umarła, a Marcinek został sierotą na łasce matki p. Marka. Nie było mu tam źle wcale; owszem, pieściła go i psuła przywiązana starszka, odejmując sobie, żeby miał dobrą stawę i odzienie; łając jedyną sługę i parobka, gdy przyprowadzili chłopca do płaczu, gdy mu odmówili jakiego zachcenia, lub za jaką psotę i swawolę skarcili. Tym sposobem Marcinek doszedł do lat dziesięciu, nic nie umiejąc, niczem nie chcąc się zająć, rumiany, ładny, z jasnemi jak len włosami, ale bujny swawolnik, kłócący się zęb za zęb ze starszemi, a z rówiennikami stający zaraz do bójki i kulaków, gdy go słuchać nie chcieli, gdy nie przystawali na jego łotrowskie pomysły, gdy nie pozwalali aby im rej wodził, i we wszystkich grach, we wszystkich psotach i figlach przewodził.

Zaraz po śmierci Maryanny i w pierwszym jeszcze żalu, napisała Wielowiedzka do syna, uwiadamiając go o zeznaniu nieboszczki, określając jej żal, jej boleść i smutną utratę zdrowia i życia, oraz donosząc mu o swoim biednym położeniu, i prosząc na wszystko, aby do niej przyjechał.

Ale p. Marek, który już wówczas porzucił był stan nauczycielski i właśnie był na drodze skarżenia sobie ufności zwierzchnika, którego biuro brał na swoje barki, wymówił się obowiązkami nowego urzędu, przysłał matce kilkaset złotych, a o zmarłej i o jej dziecku nie wspomniał ani słowa.

W przeciągu następnych lat ośmiu, kilka razy jeszcze pisała do syna Wielowiedzka, przychodząca do coraz widocznieszego upadku i w siłach i w nędzném swém gospodarstwie, wspominując o swojej wielkiej biędzie, i o potrzebie pomyślenia o edukacji i kierunku chłopca, któremu już rady dać nie mogła; ale p. Marek zawsze nie miał czasu, za każdym listem posyłał jej po kilkaset złotych, o chłopcu zaś, jakby nie rozumiał o czém mowa, żadnej nigdy nie czynił wzmianki.

Tak doszły rzeczy do roku 1837. Staruszka znużona niedostatkiem, wiekiem, troską o dalszy los chłopca, do którego się najserdeczniej przywiązała, a nadewszystko niewdzięcznością i zapomnieniem własnego syna, który rosnąc w honory i zamożność, zbywał ją lichym datkiem, a zdawał się wstydzic zagonowej szlachciance, z której wziął życie; ciężko zachorowała, i przy braku zupełnym lekarskiej pomocy i wygod, widziała się blizką śmierci.

W tak smutném znajdując się położeniu, chociaż żałona na brata za gwałt, jakiego się w jej oczach dopuścił, chociaż od czasu téj haniebnej sceny nie widziała go wcale, posłała jednak powiedzieć mu, że umierając pragnie się z nim widzieć i z nim pomówić.

P. Bartłomiej Siechurski, znacznie młodszy od siostry i mający dla niej mimowolny szacunek, gdyż w całej wsi była poważaną, a żalując przytém oddawna swojego

postępu, i wyrzucając sobie skutki tak zwierzęcej gwałtowności, czekał tylko podobnego wezwania, i nie zwlekając poszedł, skoro je odebrał.

Gdy stanął przy nędzném łóżku stariej kobiety, zmieszany i przejęty bolem zagryzł wąsy, miał żylastą ręką poły szaraczkowej kapoty, którą miał na sobie, pobladt widocznie, i przyciskał powiekami oczy, jakby chciał wepchnąć nazad łzy, które się mimo jego woli wydobywały.

Długa była między niemi konferencya. Dowiedział się w niej widać p. Bartłomiej o wszystkiém, obowiązał się zapewne do sekretu, gdyż powróciwszy do domu smutny i mocno zalterowany, nie nikomu o treści rozmowy nie mówił. Wieczorem był znowu u siostry; i przez trzy dni, które jeszcze przebyła na ziemi w męczarniach konania, prawie jój nie odstępował.

Gdy umarła, sprawił jój pogrzeb jak mógł najporządniejszy; biędny jój i walący się domek zamknął, a ubogi dobytek i Marcinka, zabrał do siebie. Ta zmiana tém bardziej dziwiła sąsiadów, a szczególnie żonę, że w czasie pogrzebu siostry ukląkł na grobie Maryanny, bił się mocno w piersi i płakał; że dał na mszę żalobną za jój duszę, a chłopca, którego widoku dotąd unikał, dlatego, jak mówił gdy był podpiły, żeby się nie unieść i kości mu nie połamać, nietylko do domu przyjął, ale jeszcze pieścił i karesował.

Takim tedy sposobem Marcinek znalazł się pod opieką p. Bartłomieja, przypatrywał się coraz bliżej jego obyczajom, i jego sposób życia, a nawet wyrażenia przejmował.

Z początku bał się on niezmiernie swojego nowego wujaszka; ale wkrótce oswoił się z jego djablami, któ-

re p. Bartłomiej zawsze liczył na krocie, nauczył się unikać pierwszego impetu jego gniewu; a gdy postrzegł w ręku jego kij lub polano, widła lub cep, a nawet nóż lub topór, gdy nadto dojrzał nad gestami brwiami jego rumieniec i plamę czerwoną na lewém policzku, wtenczas zmykał jak sarna, sadził przez płoty i kłody, i nie wprzód przyszedł do domu, aż miarkował, że się wujaszek wyspał i do zwyczajnego stanu powrócił.

Nie gniwał się o tę ostrożność p. Bartłomiej; gdyż od czasu pobicia słabój i bezbronnój kobiety, co sobie zawsze wyrzucał, wdzięcznym był każdemu, kto jego gwałtowności unikał. Owszem, chwalił potém śmiejąc się zreczność chłopca, polubił go za śmiałość i przytomność, a Marcinek ozuchwalony taką pobłażliwością trzeźwego p. Bartłomieja, i czuwając tylko nad tém, aby pijanemu nie wpadł w ręce, rósł jak źrebiec na stepie bez hamulca i wędzidła, bujał po wsi, tysiączne robił psoty, upędzał się za dziewczętami, zaglądał już czasem do karczemki, zaprzyjaźnił się z lasowemi w puszczy rządowój, i wykradłszy wujaszкови schowaną dobrze fuzyjkę, puszczał się z nią w las, i często dopiero drugiego lub trzeciego dnia wracał.

Tak doszedł do lat siedmnastu; zmężniał, rozwinął się fizycznie, nauczył się dobrze strzelać, na wszystkich uroczystościach pierwszym był tancerzem, silny i z dzieciństwa przyuczony do kułaczków, nikomu z drogi nie ustąpił, a mając za sobą powagę i potężne ramię p. Bartłomieja, często nawet i starszym śmiało postawił czoło i ostro odburknął.

Jednakże trzeba mu i tę oddać sprawiedliwość, że z wielu względów był p. Bartłomiejowi użytecznym.

P. Bartłomiej był gospodarzem wiejskim; ale szczupłe pola które posiadał, nie wystarczały na jego utrzymanie. Radził więc sobie jak mógł: skupował drzewo i sprowadzał je do Narwi; podejmował się dostawy różnych produktów do miasteczek, gdzie bywały jarmarki; a nawet najmował się furmanką i woził do Pultuska a czasem i do Warszawy to jakiego panicza, który dążył po fortunę, to jakiego żydka, który wioził cichaczem przemycone towary pruskie. Otóż równie w gospodarstwie, jak i w tym przemyśle, przydał się p. Bartłomiejowi Marcinek, gdyż miał ten przymiot, że co mu powiedziano odrazu pojął, co mu kazano zrobić, to zrobił dobrze i prędko, a to zawsze z tój pobudki, aby naznaczonego sobie *pensum* zbyć się jak najrychlej, aby znowu być swobodnym i pobujać według woli i zachcenia.

Rok za rokiem Marcinek stawał się nieodłącznym towarzyszem swojego wujaszka we wszystkiém, co zysk przynosiło, gdzie potrzeba było dozoru, śmiałości i zachwalstwa. Najkapitalniej usługiwał mu w expedycjach nocnych po drzewo, dla dopełnienia skupionego w części materiału przedsiębranych, już jako przyjaciel stróżów rządowego lasu, już jako znający dobrze wszystkie jego ścieżki i drożyny. Na jarmarkach, przy najmie koni i furmankowaniu, służył czasem za woźnicę, i śmiałą postawą, gburowatym pozorem i słowem odstraszał każdego, ktoby chciał albo nadużyć koni, albo umniejszyć co z ceny, albo jakimkolwiek sposobem wykręcić się od umowy.

Za takie przysługi był tóż towarzyszem p. Bartłomieja i w tém, co tenże uważał za ulgę po pracy i konieczną dla gospodarza rozrywkę. Prowadził go więc z sobą do karczemki, pozwalał wypić kieliszek jeden i drugi,

póki był jeszcze trzeźwym; ale gdy sobie sam podochocił, nie tylko do większej liczby zachęcał, ale często zmuszał chłopaka iść z sobą na wyścigi, kto kogo przepije. Podobuło się to szermierstwo Marcinkowi, i wkrótce nie tylko z p. Bartłojem i z jego upoważnienia, ale i z innymi i bez jego wiedzy szedł tym sposobem o lepszą, i dobijał się wygranej. Na ucztach w niedziele i święta, na które zgromadzały się do karczmy i kobiety, rej wodził. Lubiły one łotra Marcinka, bo był swawolny i śmiały, bo za jego staraniem miały często muzykę, bo w pierwszą parę w Krakowiaku on zawsze stawał i nie zająknął się nigdy, gdy przyszło dwuwiórsz zabawny zaśpiewać; a w obertacie tak tancerkę swoją unosił, tak nią obracał, tak trzymał doskonale w silnym ramieniu, że się jej w głowie przewracało, a nogi prawie ziemi nie dotykały.

Do nauki nie miał Marcin wielkiej ochoty, chociaż miał zdolność i nie był tak zupełnie *rudis literarum*, jak to p. Cypryan wyrzekł. Był we wsi jeden chłopak chorowity i ułomny, który w szkółce parafialnej sąsiedniej znajdował się lat kilka; wyuczył się doskonale czytać, pisał bardzo dobrze i niezłe rachował. Niedoleżność fizyczna była powodem, że rodzina do której należał, uwolniła go od wszelkiego cięższego zatrudnienia, i pozwalała zajmować się książką i piórem. Chociaż młody, bo ledwie liczył rok ośmnasty, był już niezmiernie poważny i zupełnie spokojny sensat. Starsi lubili go za chętną usługę, gdy trzeba było któremu list napisać, lub prośbę skoncypować, lub skargę na sąsiada ułożyć i czytelnie przepisać; ale rówiennicy, że się z nimi nie wdawał, do ich gier i swawoli nie należał, nazywali go rabinem garbatym i rozmaicie prześladowali. Marcin Wiedzki, który przy całej bujności obyczajów, gwałtowności i zu-

chwalcie charakteru, miał dobre serce, ni ztąd ni zowąd uzalił się nad prześladowanym garbusem, i stanął w jego obronie, tak skutecznie, iż objawiwszy kolegom, że łeb rozwali każdemu, kto choć palec zakrzywi na garbatego notaryusza Siechurskiej Woli, odstraszył wszystkich i zjednał kaléce zupełny pokój.

Wywdzięczając się za taką przysługę, garbusek ofiarował się uczyć Marcinka. Że ta propozycja zrobiona była p. Bartłomiejowi samemu, że ją stary szlachcic z wdzięcznością przyjął i wychowawca swego do przyjęcia jęj zobowiązał, dla ucieszenia więc opiekuna swego wziął się Marcinek ochoczo i do tęg pracy, i w przeciągu kilkunastu miesięcy nauczył się niezle czytać, pisał dość zgrabnie, rachował jako tako; słowem, okazał i w tym względzie i wielkie zdolności i to mocne postanowienie, że gdy czego chciał, tego pewnie dokazał. Byłby może wkrótce nauczycielowi swemu wyrównał, ale garbusek zachorował, umarł, i tak edukacja Marcinka na rok prawie przed przybyciem jego do Warszawy przerwała się zupełnie.

Takim był ów uczeń p. Cypryana, który mu się nie-szczególniej, ale stosownie do tego wychowania, jakie w Siechurskiej Woli odebrał, zaprezentował. Wdaliśmy się cokolwiek może zadługo w szczegóły tyczące się jego dzieciństwa i młodości, za co najmocniej czytelników naszych przepraszamy, upewniając oraz, że im się to przyda w dalszym ciągu tęg historii, jeżeli ją czytać zechcą, i jak sobie pochlebiamy, zajmą się losem naszego Emeryta i jego pięknej córki.

Marcin Wiedzki byłby może dotąd zostawał w rodzinnęj swęj wiosce i tam po dawnemu bujał, ale następujący wypadek skłonił p. Bartłomieja do pozbycia

się téj prawej swojej ręki, i do pozbawienia Siechurskiej Woli jéj lwa i najznakomitszego tancerza.

P. Marek, czy ulegając jakiej pokusie łakomstwa, czy chcąc tylko zaimponować w miejscu swego urodzenia podpisem: Referendarz Stanu Marek Wielowiedzki, czy z innych jakich powodów, przypomniał sobie w lat blisko dziesięć, że matka jego umarła, że taż matka miała dom i dobytek, i napisał dość ostro do p. Bartłomieja, że doszło do niego, iż wuj wszelką pozostałość po siostrze zabrał, a zatem że powinien, jeżeli nie zwrócić, to przynajmniej z niej się wyrachować, i o przekaz legalny na siebie prawego właściciela poprosić.

P. Bartłomiej przesyllabizowawszy i wyrozumiawszy ten list, krzyknął z gniewu tak, że się dom zatrzęsł; pochwylił się za wąsy jakby je chciał z korzeniem wyrwać, i tak w osłupieniu i namyśle stał na środku izby, nie wiedząc zrazu co począć.

W téj chwili wszedł Marcinek, i zadziwiony taką frasobliwą i gniewną postacią wujaszka, wiedząc oraz, że dziś jeszcze w karczmie nie był, zatrzymał się przy drzwiach i myślał, coby to znaczyć mogło.

Podniósł wówczas głowę p. Bartłomiej, spojrzął na swego wychowawcę, i uderzając się ręką w czoło, zawołał:

— Aha! poczekaj ty Jaśnie Wielmożny! oddam ci, oddam do kroćset tysięcy djabłów, com zabrał.

Tém postanowieniem wzmocniony, wziął czapkę, nasunął ją na prawe ucho, i narzuciwszy na ramiona szarackową kapotę, poszedł prosto do karczmy.

Marcin postrzegł list, który wujaszek rzucił, przeczytał go jak mógł, i domyślając się, że to właśnie musiał

być powód jego gniewu, bojąc się oraz, aby ze złości nie zrobił jakiej burdy, pobiegł za nim także.

Zastał go już za stołem u przyjaciela propinatora, człowieka biegłego w swoim rzemiośle, tak dalece, że arędując od szlachty siechurskiej ich karczmę za kilkaset złotych, nietylko że im nic nie płacił, ale jeszcze od nich to fantami, to gotówką, to różnemi produktami do kilkuset złotych rocznie wybierał.

Gdy Marcinek usiadł naprzeciw wujaszka i oddając mu rzucony list o powód gniewu zapytał, nastąpiło objaśnienie, za tém poszły odgrazania się p. Bartłomieja, że się da we znaki siostrzeńcowi swemu choć on Jaśnie Wielmożny, i wreszcie zrobiona została Marcinowi propozycja, aby się udał do Warszawy, i tam się do czego sposobił.

Z początku Marcinek zmieszał się i zafrasował. Żał mu się zrobiło Siechurskiej Woli, téj długiej, szerokiej i piaszczystej ulicy, po której pelzał jak dziecko, po której swawolił z innemi chłopcami jak niedorostek, na której już dużym będąc chłopakiem tyle dziewcząt nastraszył i wyściskał, tyle klótni przebył, tyle kułaków rozdał, tyle zwycięstw odniósł; żał mu się zrobiło téj świeżej i czystej rzeczki, gdzie się tyle razy kąpał, gdzie zakradłszy się w krzakach łożyny wypadał nagle, zabiérał odzienie kąpiących się kobiet i dopiero nadrożywszy się z niemi dobrze, oddawał; żał mu było i lasów rządowych, gdzie tyle wiewiórek grochem wystrzelał, i koników p. Bartłomieja, i nawet psa Kruczka, słowem wszystkiego na co spojrzał, wszystkiego o czém tylko z różnych epok życia wspomniał.

Postrzegł p. Bartłomiej żał chłopaka i łzy które się w oczach jego kręciły. I jemu żał się zrobiło wycho-

wańca, którego polubił, który był wiernym jego towarzyszem i przy ekspedycjach nocnych i przy plugu i kosie, i przy kieliszku i burdach, nieodłącznych od tych gęstych libacyj. Byłby może odstąpił od tego przedsięwzięcia, natchnionego pierwszém uniesieniem gniewu; ale Marcinek otarł łzy, nalał sobie kwaterkę wódki, połknął ją duszkiem, i pomyślawszy że obaczy Warszawę, że jak mu się tam nie podoba drapnie sobie jak nic, i powróci do Siechurskiej Woli, zawołał:

— Eh! cóż robić! Niech się dzieje wola Boża i wujaszkowa; gdy tak trzeba, pojedę.

Tu dopiero zaczęli nawzajem wynurzać sobie przywiązanie, zegnać się i całować. Każdy wyraz miłości, wzajemnych przysług, i każde pocałowanie polewali kordyałem, którego im propinator dostarczał; a gdy na końcu wspomnieli sobie, p. Bartłomiej siostrę rodzoną, Marcinek pierwszą opiekunkę i dobrodziejkę swoją i swęj matki; wtenczas rozwodząc się nad jęj biędnym stanem, nad jęj chorobą, nad jęj śmiercią i zapomnieniem niewdzięcznego syna, wśród ubolewań i płaczu tak się spili, że gdy nazajutrz p. Bartłomiej otworzył oczy, obaczył się na ławie propinatora, a Marcinek gdy się przebudził, zdziwił się, że był ubrany i na stole w karczmie oparty.

Nikogo to zapewne nie zastanowi, że tak ważne postanowienie dojrzało w karczmie i przy kieliszku. Kto zna nasze dzieje i obyczaje, ten wie dobrze, jaką rolę grał i gra kielich we wszystkich aktach naszego dawnego i terażniejszego życia, we wszystkich naszych radościach i smutkach, we wszystkich nadziejach i planach. Brzęk jego, czy się on napelnia wódką, czy miodem, czy szampanem, miesza się z krzykiem dziecka przycho-

dzącego na świat, z płaczem poetycznym młodej piękności, gdy podaje rękę kochankowi i spieszy przed ołtarz, z ponurym odgłosem dzwonów, i towarzyszących umarłym na cmentarz. Kielich u nas to dawca kredytu, to protektor suplikantów, to pochodnia rozjaśniająca zawiąklane sprawy, to bęben, który budzi odwagę, to zorza, której promienie oświecają chmurną naszą przyszłość. Wszakże nietylko u nas tak się dzieje. Jestto wszędzie i było zawsze. Józef Lemaistre, ów rzadki pisarz, którego gieniusz i nauka nietylko że jego samego postawiły na czele autorów naszego wieku, ale wystarczyły jeszcze do wykarmienia kilku znakomitości literatury naszej, z właściwego sobie stanowiska mówi o tym przedmiocie. Ciekawych dowiedzenia się, jak filozoficzno-religijne miały i mają znaczenie uczyty w życiu społeczności, odsyłamy do drugiego [tomu jego Wieczorów. My wspomnieliśmy o tém nie dlatego, aby się popisać, żeśmy także Lemaistra czytali i znamy źródło, z kąd mądrość czerpać można, ale żeby choć w części wytłumaczyć p. Bartłomieja i jego wychowawca Marcinka, że ulegli słabości, która jest wrodzoną naturze naszej, i której cała ludzkość od wieków ulegała i ulegać będzie.

W kilka dni po przespaniu się w karczmie, wychodził z Bednarskiej ulicy na Krakowskie-Przedmieście p. Bartłomiej w nowój szaraczkowój kapocie, w granatowych spodniach, w wysokich aż do kolan bótach, w nowój czapce zawieszisto ku prawemu uchu pochylonój, pogładając śmiało na przechodzących, gładząc kiedyniekiedy siwe i duże wąsy, i podnosząc plecy szerokie okazałej swój i dość imponującej postaci. Z jego ruchów i wejrzenia widać było, że mu Warszawa nie obca, że go ani algierki paniczów, ani salopy i kapelusze pań nie

zadziwiały, ani ruch i wrzawa miejska nie trwożyły. Rumieniec nad brwiami jeszcze nie miał, plamy czerwonej na lewém policzku jeszcze nie było; widać więc p. Bartłomiej był trzeźwym, ale oko jego jaśniało, i jaśniało zapewne tylko postanowieniem rozmówienia się z siostrzeńcem, jak na to zasługiwał.

Za nim szedł Marcinek w tym samym ciasnym surduciku, w żółtych pluderkach, czerwonej chustce na szyi i czapce szarej na tył głowy spadającej, w których jużemy go widzieli. Gapił się on ogromnie. Bawiły go beczki malowane na szyldach szynków przy rogu ulic; śmiał się z kielbasek drewnianych, które wisiały nade drzwiami sklepów z mięsiwem; rachował okna kamienic i doliczyć się nie mógł; chciał zaczepiać przechodniów i pytać co to, a co owo; pokusa go brała otrzeć się o jaką dziewczynę, przebiegającą z koszykiem; a gdy wpadł w tumult przed pocztą, zagłuszony hurkotem karęt, koczów i dorożek, brzękiem przeraźliwym wozów wiozących próżne beczki; odurzony ścisaniem przechodzących, to panów, to żydów, to wystrojonych dam, to żebraczek w łachmanach; zmieszany nagłym wrzaśnieniem chłopca, wołającego: piasku!; popchnięty przez woźnego z plikiem aktów, nie mógł się wstrzymać, żeby nie zawołał:—Aj! aj! co tu ludzi! Niechże ich wszyscy djabli wezmą!

Gdy stanęli na Długiej ulicy przed kamienicą, w której p. Marek mieszkał, p. Bartłomiejowi jakoś markotno się zrobiło. Na czczo źle przystępować do tak ważnego interesu, pomyślał sobie; obejrzał się więc na prawo i na lewo, i postrzegłszy w oknie niedaleko ładne, białe, przezrocyste butelki z różnokolorowym płynem, splunął, pogładził wąsy lewą ręką, i wszedł

z determinacją. Tam wypił sporą lampeczkę anyżówki, Marcinka poczęstował tylko małym kieliszkiem słodkiej i różowej wódki, i tak umocniony na duchu, wszedł do sąsiedniej kamienicy pod bramę, przypatrzywszy się wprzód dobrze numerowi na niebieskiej tabliczce wypisanemu, i porównawszy go z notatką, którą miał w zanadrzu.

— Czy tu mieszka p. Marek? — zapytał stróża, który z wielkim kluczem w ręku siedział sobie na przymurku, nigdzie nie patrząc, i założywszy pracowicie nogę na nogę.

— Jaki pan Marek? — odpowiedział po niejakiem czasie stróż, zmiarkowawszy, że do niego mówią.

— Jaśnie Wielmożny referendarz — rzekł uśmiechając się ironicznie p. Bartłomiój.

— Wielowiedzki?

— Tak, Wielowiedzki.

— Aha! słyszałem — odpowiedział stróż nie zmieniając pozycyi, kiwnąwszy tylko parę razy nogą, która była oparta na drugiej.

— Którędyż nam do niego? — mówił zniecierpliwiony szlachcic.

— Nie wiem — odpowiedział stróż, odwracając się — bo ja tu dopiero tydzień. Ale może na pierwszym piętrze.

Marcinek miał już wielką ochotę poczęstować zuchwalego niedbalca po swojemu, ale widząc, że pan Bartłomiój się nie uniósł, i sądząc, że to tak w Warszawie być powinno, dał pokój i poszedł za wujaszkiem na wschody.

Na pierwszym piętrze stanęli przed drzwiami, do których przybita była tabliczka, i na niej złoconemi literami napis. P. Bartłomiój zaczął syllabizować, a Marcinek

wyczytał, że to były drzwi referendarza Wielowiedzkiego. Pociągnął p. Bartłomiej za rączkę na grubym drucie wiszącą, i wewnątrz odezwał się dzwonek.

— Ehe! a to dzwoni—zawołał Marcinek.

— Bo drzwi zamknięte—odpowiedział p. Bartłomiej ze znajomością rzeczy.

— A na cóż oni się zamykają? chyba że tu dużo złodziejów.

— Nie odzywaj się z niczém—rzekł p. Bartłomiej—bo to miasto, a tyś jeszcze tu nie był i nic nie wiesz.

— Aha! rozumiem—odpowiedział chłopak machnąwszy czerwoną ręką—ale zmiarkuję ja tu wszystko prędko.

Otwarły się drzwi i wyszedł lokaj w kurteczce w paski, w ciemnych szarawarkach, w trzewikach i z serwetą w ręku.

— Czego?—zapytał mierząc zuchwale wzrokiem szlachcica w kapocie i jego towarzysza w biédnym surduciku.

— W domu p. Marek?—rzekł burząc się już p. Bartłomiej.

— Jaki pan Marek?

— P. referendarz Wielowiedzki, do wszystkich diabłów—krzyknął p. Bartłomiej. — Idź mu powiedz, że Bartłomiej Siechurski tu jest i chce się z nim widzieć.

— A to mi wielka persona!—rzekł rejterując za drzwi lokaj, i mając zamiar zamknąć je prędko. Ale żylasta ręka p. Bartłomicja już była na klamce i drzwi stanęły murem, i ruszyć się z miejsca nie dały. Zmieszał się cokolwiek sługus, jednakże nie tracąc fantazyi, przybrał oficjalną minę i rzekł: — JW Pan zaraz wychodzi

do biura i nie ma teraz czasu. Jeżeli macie interes to idźcie tam.

— Idź ty do diabła Niemcze trzewiczkowy! — zawołał gniewny p. Bartłomiej, odepchnął lokaja i weszli oba z Marcinkiem, którego już język i ręce świerzbiały, ale milczał dlatego, że mu wujaszek nie kazał się odzywać.

Byłoto między dziewiątą i dziesiątą z rana. P. Marek rzeczywiście wychodził do biura, chcąc dać przykład akuratności i złapać na uczynku którego z opóźniających się podwładnych, aby mu zmyć dobrze głowę, i aby się okazała ta zadziwiająca sprężystość, o której i sam zawsze mówił, i za którą niedawno odebrał pochwałę w osobnym na to reskrypcie.

Usłyszawszy wrzawę, która go cokolwiek zadziwiła brakiem uszanowania, wyszedł do przedpokoju z sali bawialnej w kapeluszu na głowie, z laską w ręku, i ze wstążeczką w pętlicy.

Za pierwszym rzutem oka nie poznał p. Marek swojego wuja. Jeszcze był wówczas młodym nauczycielem, gdy jedne wakacje w Siechurskiej Woli u matki przepędził, gdzie właśnie Georgiki Wirgiliusza tłumaczył, i tłumaczenie swe Maryannie Wiedzkiej, często wówczas u matki jego przesiadującej, czytywał. Ale od dwudziestu trzech lat w rodzinnej wiosce swój nie był, i nikogo z krewnych swych nie widział.

Dumnie spojrzawszy na zagonowego szlachcica, który się tak zuchwale do domu jego wdziérał, rzekł p. Marek:

— Co to za śmiałość, mój kochany, czego tak hałasujesz? Kiedy ci mówią, że nie mam czasu, to muszę być zajęty. Ja mam niejedno na głowie.

— Ja mówiłem, że Jasny Pan wychodzi do biura; ale on pchnął mnie i wszedł gwałtem — rzekł lokaj.

— Gwałt w moim domu?—zawołał pan Marek—czy wiesz, czém to pachnie? Takiego burdę potrafimy tu prędko ukrócić.

— Wielka mi osoba, jakiś pan Bartłomiej Siechurski — rzekł znowu lokaj, ośmielony obecnością i hardą postawą pana.—Nie widzieliśmy takich Bartłomiejów—patrzaj!

— Bartłomiej Siechurski! — wybąkał zmieszany cokolwiek p. Marek, i obracając się do lokaja, dodał: —Idź do roboty.

Spojrzał lokaj na pana, rzucił okiem na szlachcica, który stał wyprostowany, milcząc i poglądając tylko wąsy, i ruszywszy ramionami, wyszedł.

— Więc to p. Bartłomiej Siechurski?—rzekł wówczas p. Marek łagodniejszym tonem.

— Brat rodzony twojej matki, p. Marku, który przyszedł tu zdać ci sprawę z sukcesyi, jaką wziął po niej, i zwrócić ci, co zabrał do siebie—odpowiedział p. Bartłomiej zagryzając wargi, i mnąc ręką połę kapoty, na której się zwykle pastwił, gdy wybuchnąć nie mógł lub nie chciał.

— Czyż ja tego seryo chciałem!—mówił dalej referendarz poglądając na Marcinka, którego rysy obudziły w nim dawno zatarte wspomnienia.

— Już czy seryo, czy żartem, to mnie nic do tego—rzekł chmurząc się p. Bartłomiej.—Ale ja, choć nie Jasnie Wielmożny i nie referendarz, choć nieuk i hołysz zagonowy, choć mnie mają za burdę i pijaka, jestem przecież uczciwy szlachcic, i chcę się z tobą mój Jasny Panie porachować sumiennie, aby nic twego przy mnie zostało.

— Co mi tam—odezwał się krzepiąc się p. Marek, ale zawsze poglądając na barczystego chłopaka, który

stanowił potężny odwód p. Bartłomieja. — Ja o takie głupstwo nie dbam. Napisałem, bo mi się tak podobało, a teraz mówię: posiadaj sobie p. Bartłomieju coś wziął, jak posiadałeś, i dajcie mi pokój. Ja nie mam czasu. — To powiedziawszy ruszył ku drzwiom, chcąc wyjść czém-prędzej z domu.

— Nie masz czasu mówić z bratem twojej matki—rzekł podnosząc głos p. Bartłomiej i stając ode drzwi—i nazywasz go p. Bartłomiejem, i spieszysz się tak że z nim gadasz w sieniach i z nakrytą głową, jak gdybyś miał wróble pod kapeluszem. Jeśli nie masz innej izby, gdziebyśmy mogli swobodnie pomówić, to mniejsza o to, i tu jest stolec, ja sobie i tu usiądę; mnie twarda ława nie zastrasza. Ale szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, a cóż dopiero referendarzowi. Kiedy tobie kapelusz do łba przyrósł gdy mówisz z wujem rodzonym, to i wuj może także nakryć siwą choć pustą głowę, i tak z tobą pogadać. To rzekłszy usiadł, nałożył czapkę i nacisnął ją mocno na prawe ucho.

Postrzegł p. Marek, że to nie przelówki, że łatwiej w biurze buszować, gdzie podwładni radzi nie radzi muszą znosić przymówki, tolerować przechwalania się i pokornie patrzeć na pompatyczne miny zwierzchnika; że szlachcic, który nie ma nic do stracenia nie da sobie za imponować, tém, bardziej, że ma za sobą chłopaka, którego twarz, jakby jaki *corpus delicti* do niego przemawiała. Zdjął więc kapelusz p. Marek, obejrzał się czy go lokaj nie podsłuchuje, i rzekł ciszej:

— No, no, niech się wuj nie gniewa! Chodźmy tam; tam nam będzie wygodniej.

— Chodźmy, jeżeli chcesz i zmiarkowałeś się trochę—odpowiedział szlachcic podnosząc się i zdejmując

także czapkę. Potém obrócił się do Marcinka, który został na miejscu, mnąc swoje czapkę, i dodał: — Chodź i ty chłopcze z nami, bo tu najwięcej o ciebie idzie.

Tylko, tylko co p. Marek nie zapytał wuja, coto za chłopak; ale spojrział raz jeszcze; twarz jego ocknęła znowu wspomnienie, które chciałby zatrzeć w pamięci, zawstydzil się więc i zamilkł.

Gdy weszli do salonu, ubranego przyzwocie i nawet ze zbytkiem, p. Marek posadził wuja i wziął się do zażywania tabaki, gdyż nie wiedział od czego zacząć. Wyprowadził go z ambarasu p. Bartłomiej, i oglądając się po pokoju i gładząc wąsy, rzekł:

— Pięknie tu u ciebie, p. Marku, bogato, czysto, słowem po pańsku.

— Cóż to dziwnego — odpowiedział p. Marek. — Pracuję lat tyle, mam znaczenie i ufność mojej władzy, dość wysoki urząd i niemałą pensyą. Ale bo też ja robię za wszystkich, i żeby nie moja sprężystość... tu chciał już wpaść na ulubioną materyą z której trudno go było zepchnąć, ale prosty zagonowy szlachcic pierwszą tylko część jego odpowiedzi zrozumiał, i kładąc ciężką swą rękę na jego ramieniu, skonfundował go tym rubasznym gestem i odrazu zatrzymał.

— Nic to prawda dziwnego — rzekł potém — że masz dostatek, że u ciebie bogato i ładnie, kiedy masz wysoki urząd, dobrą płacę, i kiedyś nie hultaj i nie pijak taki, jak ja. Ale to dziwna, że już oddawna nie jesteś w biędzie, że już oddawna miałeś więcej niż ci było potrzeba, boś sam i nieżonaty, a twoja matka umarła w nędzy, a ja, hołysz i burda, zamknąłem jój powieki, zimne jój ciało obwinąłem w łachmany, włożyłem między gołe cztery deski, i nikt z blizkich nie szedł za tą

trumną, tylko ja i ten chłopak, i nikt za nią nie płakał, tylko ja i ten chłopak; to źle mój Jasny Panie, to dziwna, że ci pan Bóg wszystko dał, tylko pamięci nie dał.

To powiedziawszy powstał, przeszedł się po pokoju, i połą od kapoty otarł łzy, które mu się w oczach zakręciły.

Nigdy p. Marek bardziej pomieszanym i zawstydzonym nie był. Kurs wymowy, którego niegdyś nauczał, wyleciał mu z myśli, i cała sprężystość, za którą niedawno reskrypt pochwalny odebrał, nagle go odstąpiła. Chciał się tłumaczyć, chciał się wymawiać brakiem czasu, zajęciami urzędu, posyłaniem zasiłku matce; ale p. Bartłomiej mocniejszy dobrą sprawą, uzbrojony prostym, szlacheckim rozumem, który tylko przed wódką ustępował, przerwał mu:

— Daj pokój p. Marku, bo będziesz musiał łąać, a to brzydko na referendarza. To uszłoby w karczmie takiemu pijakowi, jak ja, gdyby miał potrzebę wykryć się, że zapomniał o gnieździe z którego wyszedł, że zapomniał o piersi, co go wykarmiła, i dał jój zeschnąć w bolu i niedostatku. Ale my prości ludzie tego nie umiemy. U nas po pijanemu zrobi się burda, a czasem i coś takiego, co człowiekowi całe życie siedzi, jak ćwiek w głowie, jak robak w sercu; ale po trzeźwemu brat nie wstydzi się brata, syn matki, ani ojciec dziecka. To tylko u was się praktykuje, kiedy uczony rozum siądzie na miejscu prostego, chłopskiego rozumu; kiedy ot taki kusy fraczek zepchnie z pleców szlachcica siwą kapotę, a kapelusik ściśnie głowę, któraby powinna pod czapką ołyścić i posiwić. To tylko wam się zdarza, co nie pijecie wódki, ale wino, gdy was przypadek, lub jakie lichy spanoszy. A wiesz czemu p. Mar-

ku? Oto temu, że kiedy sowa zkogucieje, to wyżej szkoła lata i zapomina głupia, że była sową.

— Panie Bartłomieju!—zawołał zniecierpliwiony p. Marek i powstał z miejsca.

— Nie nazywaj mię panem Bartłomiejem, do kroćset tysięcy djabłów!— krzyknął rozgniewany szlachcic i położył obie ręce na ramionach referendarza.

Siadł referendarz na krześle, jakby antabą przymocowany, a p. Bartłomiej odgarnąwszy z ust wąsy, żeby mu nie zawadzały, tak dalej mówił:

— Siedz i słuchaj. Wywołałeś mię sam z legowiska; teraz masz tu Siechurskiego niedźwiedzia, który ryknie po swojemu do twojego pańskiego ucha. Chciałeś, żebym się wyrachował z tego, com wziął po twojej matce. Oto jest wszystko, co twoja matka zostawiła: chałupę walącą się z dziurawym dachem, przez który woda ciekła na jej siwą głowę; z pobitemi oknami, przez które wiatr świstał koło jej uszów; z wygniłą podłogą, z pod której wylaziło różne robactwo, gdzie legły się myszy i harcowały szczury, nie dając jej zasnąć i zapomnieć o nędzy. Tę chałupę zamknąłem; przez lat dziesięć dowalała się ona do reszty, dogniła do szczętu, i możesz sobie wziąć co jeszcze stérczy, jeśli odważysz się tam zajrzeć. Zabrałem skrzynię z rzeczami i bieliną twojej matki. Skrzynia była bez zamka, i znajdował się w niej stary kaftanik, parę podartych czépców i trzy dziurawe koszule. Łachmany te, z innemi drobniejszymi, leżą tam dotąd. Możesz je obaczyć, jeżeli zechcesz; ale ci ich nie oddam. Weźmiesz za nie nowe i całe. Tamte zostaną u mnie na pamiątkę biędzy mojej siostry i serca jej syna. Zabrałem dwie krowy, które już zdechły, i parę koni, które ją wywiozły na cmen-

tarz. Za ten dobytek otrzymasz inny, bo ja twojego nie chcę. Nareszcie p. Marku, wzięłem tego sierotę, którego ci oddaję. Twoja matka kochała go, jam go wychował; więcej on pewnie szanuje jęj pamięć, niż ty. Wolalby zostać przy mnie, niż u ciebie. Ale ja go zatrzymać nie mogę; weź go, weź go sobie.

Tu umilkł p. Bartłomiej wysiłony temi słowy i żalem głębokim, Marcinek płakał rzewnie i głośno; a p. Marek, jak winowajca, któremu czytają wyrok, siedział z zakrytą twarzą i czuł w głębi duszy każde słowo, co go jak ostrze zakłuwało. Nareszcie nie mogąc znieść tego stanu porwał się z miejsca, spojrzał na płaczącego chłopca, i przybliżając się do p. Bartłomieja, rzekł stłumionym głosem:

— Dosyć wuju! dosyć! Źle się stało, to prawda; za późnom się opatrzył, ale tamtego naprawić już nie można. Wuju—dodał odprowadzając go na bok —kto jest ten chłopiec?

— Pytasz mnie o to? — rzekł marszcząc brwi p. Bartłomiej.

— Czy on wie wszystko? — dodał jeszcze ciszej pan Marek.

— On nic nie wie, ja wiem wszystko—odpowiedział szlachcic odwracając się.

— Cicho, wuju, choćże ze mną.—Prędko poszedł do gabinetu p. Marek; szlachcic patrzył za nim przez chwilę, pokiwał głową, ale wreszcie wszedł także i drzwi się za nimi zamknęły.

Marcinek został sam w pokoju. Stał z początku zamysłony, kiedyniekiedy jeszcze łzy ocięrał; ale że drzwi ciągle były zamknięte, znudził się swoim smutkiem, zaczął się przypatrywać różnym rzeczom, przyglądać obra-

zom, dotykać palcami bronzów, i nareszcie usiadł na miękkim krześle, poprawił się, rozparł, i rzucając okiem wokoło, rzekł półgłosem:

— Jak tu ładnie! niechże go djabli wezmą!

Blisko pół godziny trwała rozmowa p. Marka z wujem, której nikt nie słyszał, której treści wszakże domyśleć się można, przypomniawszy sobie zwłaszcza Wirgiliusza i tłumaczenie jego Georgik. Gdy wyszli z gabinetu, p. Marek był niezmiernie blady, krzepił się jednak i udawał spokojność; cała zaś postać p. Bartłomieja wyrażała dumę i radość, że dokazał swego, i powinności, która mu dawno ciążyła na sercu, dopełnił.

Marcinek obaczywszy ich, powstał z krzesła, a p. Bartłomiej rzekł:

— Chodź tu chłopcze! pocałuj w rękę i upadnij do nóg JWielmożnego referendarza, który cię bierze pod swoje opiekę i wyprowadzi na ludzi, jeżeli będziesz pilny i posłuszny.

Marcinek zdziwiony tą zmianą mowy i głosu wujaszka, sam nie wiedział co zrobić; ale postrzegłszy marsa na jego brwiach, przystąpił prędko do p. Marka, nachylił się do jego kolan, a gdy ten go podniósł i pocałował w głowę, popatrzył mu chłopak w oczy, zamyslił się trochę, i potem tkliwiej jakoś i szczerzej rękę jego uściskał.

Takim sposobem Marcin Wiedzki dostał się do domu p. Marka. Nazajutrz pożegnał się on z swoim kochanym wujaszkiem, który podpił sobie na walczę, płakał i ścisnął płaczącego także od żalu chłopca, i upominał go ciągle, aby bron Boże nie pił, aby się uczył i słuchał, aby po mieście nie biegał, żadnej psoty nikomu robił, i żadnej burdy nie wszczywał; oświeciwszy go, że co

miasto to nie wieś, że tam wójtowi można było pogrozić, a tu wezmą i skórę wygrzmocą. Nadewszystko polecał mu, aby o téj rozmowie, którą słyszał nikomu nie rzekł, aby p. Marka szanował i nigdy do niego inaczej nie mówił, jak JW Paniel co JW Pan każe? a przed innemi nie nazywał go inaczej, jak JWielmożny referendarz.

Upadł do nóg p. Bartłomieja rozrzewniony chłopiec, gdy ten już miał siadać na wózek; przyrzekł że wszystkiego dopełni, jak mu polecił; kazał raz jeszcze pokłonić się Siechurskiej Woli — i pobiegł, oglądając się za odjeżdżającym swym dobroczyńcą.

Po takiéjto scenie, po takiéj rozmowie p. Marek w kilka dni po wyjeździe wuja wrócił do dawnéj spokojności i dawnego zamiłowania siebie. Serce jego, które energiczne choć proste słowa szlachcica wyciągnęły jak na torturach, zbiegło się znowu do swéj skurczonéj egoizmem postaci, jak guma elastyczna, gdy ją ręce ciągnące odpuszczą. Chciał on co prędzej pozbyć się z domu chłopca; i gdyby mu był Marcinek nie objawił wręcz, że się chce uczyć, że jeżeli ma być blacharzem lub lakiernikiem, to wróci do Siechurskiej Woli do pługa i do cepa, byłby może p. Marek tę pierwszą myśl swoją przeprowadził do skutku.

Teraz wiemy już jaki mu przeznaczył zawód, jak go ulokował i jak się chwalił dobrodziejstwem, które i krewnemu i dawnemu koledze zrobił.

Wróćmyż więc na Żytną ulicę, a znając już lepiej Marcinka i jego antecedenecye, obaczmy jak będzie korzystał i z gorliwości zacnego Emeryta, i z towarzystwa jego pięknej córki.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Wędrowki Oryginała, przez J. Korzeniowskiego. Wilno.

1 Tom. 1848.

Od dwóch lat i nasze peryodyczne codzienne pisma zaczęły częstować swych łaskawych prenumeratorów romansami w felietonach. Dotąd obyczaj ten praktykował się najszczęśliwiej w samym Paryżu; inne stolice, które w ślad za nim poszły, naśladownictwa téż odniosły owoce: felietony ich były blade, wymuszone i ciche; tak, że zaledwie właściciel pisma wiedział o tym dodatku. My, przyznać to sobie możemy, szczęśliwsi i zręczniejsi jesteśmy w naśladowaniu francuzczyzny: przez wprawę nawet doszliśmy do téj doskonałości, że naśladowując umiemy być oryginalnemi. Stosując rzecz do felietonów naszych, nie stoimy niżej od Paryżan; tam Dumas i Sue okraszają dzienniki olbrzymiemi romansami, tu Rzewuski, Szyrmer i Korzeniowski; Rzewuski i Szyrmer w Tygodniku Petersburskim, Korzeniowski w Gazecie Warszawskiej.

Tym sposobem ukazał się najprzód Listopad w felietonie Tygodnika, a następnie Zamek Krakowski. Poważna iręść Listopada uwalnia nas od wszelkich uwag, które mogłyby stanowić przedmiot do oddzielnój krytyki; pod względem jednak formy i artystycznego wykończenia uczuciowój mianowicie strony, niech nam będzie wolno choć nawia-

sem tu wspomnieć, że tak Listopad jak Krakowski Zamek wiele do życzenia zostawują.

Mamy mówić o Wędrówkach Oryginała; zdawać się komu może, żeśmy odbiegli od przedmiotu; bynajmniej. Listopad i Wędrówki są dziełami znamienitych w literaturze naszej autorów; oba ukazały się najprzód w felietonach gazet polskich, a potem wyszły w oddzielném wydaniu. *Wędrówek* strona artystyczna jest stroną główną, w *Listopadzie* i *Zamku Krakowskim* jakkolwiek stanowi to drugiego rzędu przymiot, znalazła jednak rozgłosną krytykę równie ustną jak pisaną o artystyczném swém wykończeniu, której my zdania w zupełności dzielić nie możemy, i w dalszych ustępach zwrócić się jeszcze będziemy musieli ku tej artystyczności, dla wykazania jój braków.

Poznaliśmy talent powieściarski Korzeniowskiego niedawno; bo pierwsze w tym rodzaju płody, dopiero przed trzema ukazały się laty, i bez ubliżenia prawdzie oświadczyć możemy, że te płody należą do najcelniejszych w naszej literaturze. *Spekulant* i *Kollokacya* są dzisiaj powszechnie znane. *Spekulant* nawet w ciągu dwóch lat drugiego potrzebował wydania, tak był poszukiwany i tak ogólniej stał się przedmiotem sympatii. O wartości *Kollokacyi* zdania są podzielone; większość skłania się do *Spekulanta*, może dlatego, że czytelnikami najserdeczniejszymi romanów są kobiety, które rade widzieć zdradzieckich kochanków na cel wzgardy wystawionych, a może dla powszedniejszej a tém samém przystępniejszej treści, Co do nas, kładziemy bezwarunkowo *Kollokacyą* na pierwszym miejscu, tak dla treści, jak dla artystycznego wykończenia.

Wędrówki Oryginała przypominają łatwością pióra, zręcznością dyalogów, autora obu wspomnianych powieści; różne są wszakże w treści i celu. *Kollokacya* i *Spekulant* były pisane pod wpływem innych pojęć, w sferze innych obyczajów; *Wędrówek* miejscem rodzinném jest Warszawa. Biorąc treść do powieści z życia towarzystw Wołynia lub Podola, prawie niepodobna wyminąć się z klasą tak zwaną obywatelską, czyli, że musimy pisać powieść szlache-

cką, szlacheckie obyczaje malującą; tam bowiem dwie są tylko wyraźniejsze warstwy w społeczności: szlachecka i kmieca. To też *Spekulant* i *Kollokacya*, szlachetczynię dzisiejszą i przeddzisiejszą doskonale przedstawia. U nas w mieście, które możemy już wielkiem nazwać, różnorodniejsze są pokłady towarzystwa, różnorodniejsze ich obyczaje i życie; przedmiot więc do powieści może być niekoniecznie szlachecki. *Wędrówki Oryginała* dotyczą w wykazanych nam dotąd obrazach klasy najliczniejszej i najrozmaitszej. Początkowe rozdziały pisane są jeszcze w znaczeniu zwyczajnym *wędrówek*, bo jeszcze autor, widać w przeglądzie swym, nie przyłgnął więcej do jednej jak do drugiej okolicy. Oko jego zatrzymuje się na wszelkich spotykanych obrazach i serca ich dotyka. Im dalej, tém widoczniej *wędrówka* *oryginała* staje się podróżą, podróżą specjalną. Autor wybiera sobie jedną klasę towarzystwa, klasę artystowską, i nad jęj życiem równie wewnętrznem, jak zewnętrznem czuwa.

Nie podamy tu materialnej treści dzieła, to jest nie przytoczymy osnowy, która ogranicza się zwykle na intrydze miłosnej. Prózneto wyciągi z rozmaitych stosunków kochanka do kochanki, kombinacyj przeszkód i pomocy, kończące się na ślubie lub śmierci kilku osób; czasem tylko ani na jednem, ani na drugiem. Nam idzie więcej o treść myślową romansu i o kształt budowy, w której duch jego mieszka. W *Wędrówkach* forma opowiadania w początku zbliża się do pamiętników; tak nawet autor sam ją nazywa, podstawiając w miejscu swoim istotę moralną, wzbogaconą praktyką życia, poglądem zdrowym i trafnym na rzeczy i ludzi. W nazwaniu tej istoty *oryginałem*, jest pewien rodzaj ironii; postępowanie bowiem jego nie ma w sobie nic na dziwaczność zakrawającego. Widzimy go owszem takim, jakim każdego widzieliśmy chcieli. Każdy krok obmyślony, przewidziane jego następstwa, uczciwość prosta bez pretensyi, dobroczynność cicha, z zastanowieniem sprawowana i rzucana na serca gotowe jeszcze przyjąć wszelkie dobre ziarno. Jakaś wszakże tajemniczość spokojną

i surową postać jego okrywa, i to zapewne dodaje zajęcia i uroku fizyonomii zkadinał zimnej. Zdaje się, że autor nie bez celu nazwał człowieka rozumnego i szlachetnego oryginałem, to jest rzadkością między ludźmi. Może jesteśmy zepsuci trochę cudownościami dzisiejszych powieściopisarzy francuzkich, ale wolelibyśmy w oryginale wędrującym widzieć istotę więcej excentryczną, więcej wzniesioną nad pospolitości ziemskie. Duch jego wyższy, imaginacja ognistsza, odbiłaby się w wyraźniejszych rysach od tłumy zwyczajnymi drogami chodzącego. Wzniesiony nad pospolitość, w rzutach i poglądach na ludzi, obejmowałby wydatniejsze tylko skrzywienia i ułomności towarzystwa; mniejsze musiałby pomijać, patrząc z wysokości swego gieniuszu. Nie chcemy przez tę uwagę poprawiać kreacyi autora, przyjmujemy ją owszem w warunkach danych; taka nam wszakże mimowoli nastęczyła się myśl, takie wreszcie dręczyło nas przeczucie biorąc książkę do ręki. Oryginał p. Korzeniowskiego jest istotą praktyczną, i ma cel najwyraźniejszy wpoić w nas zasady praktycznego życia, których nam bez wątpienia bardzo brakuje. Wszystkie błędy i ich następstwa w naszym życiu pochodzą nie z braku zdolności, bo tych mamy pewnie nie mniej od najzdolniejszych, ale z braku praktyczności. W tę to stronę słabą społeczności autor uderza i silnemi często razami pragnie wzbudzić krążenie zastygłej krwi, popchnąć do działalności leniwego ducha. Tak z początku wprowadziwszy nas do salonu niby literackiego, wskazuje, że towarzystwo nasze nie umie i nie chce zająć się czémkolwiek poważniejszym w chwilach niby wypoczynku, na tak zwanych wieczorach; że wszelka refleksyi potrzebująca rozprawa nudzi je i rozgania; że do rozrywek godnych człowieka, rozrywek umysłowych, skwapliwsza u nas płeć piękna: czyta i lubi czytać. Z pociechą spotkaliśmy się z tą prawdą; a żałujemy, że w zbyt szczupłych ramach obraz zamknięty. Za to, nie dzielimy bezwarunkowo zdania autora co do usposobień naszej powszechności dla dzieł dobrych w literaturze. Obojętności przyczyn szukać trzeba w źródle, a nie w skutkach. Jeżeli znamienitego pisarza lub jego

dzieło spotyka czasem wzrok zimny lub chwilowa obojętność, pochodzić to może z wielu bardzo, napozór białych, ale w gruncie sprawiedliwych przyczyn względnie do tego, który patrzy zimno i obojętnie. Raz obojętność jest tylko formą, pod którą ukrywa się zazdrość; tej nieoszczędzą półautorowie, półtalenci, półfilozofy, słowem, głowy napół uorganizowane. Czyż reszta towarzystwa za jednego lub dziesięciu może odpowiadać? Drugi raz obojętność jest formą osłaniającą głupstwo, najlepszym zresztą sercem i chęćmi obdarzone. Wtenczas objawiają się wymagania bez granic, pretensye bez granic; wtenczas żądają gwałtem, aby autor tak widział i tak sądził, jak każdy przypadkowy czytelnik i wszyscy razem widzą i sądzą; żeby naraz wszystko widział i wszędzie; słowem, niewolno mu widzieć i patrzeć po swojemu. Takie wymagania nie mają i nie powinny mieć wartości sądu, jak świadectwo nieletnich nie ma siły dowodu, a błąd dziecka nie jest publicznie karogodnym. Idąc dalej i śledząc przyczyn przekonaliśmy się, że wina nie leży w massie, ale w wyjątkach; że massa zawsze ma instynkt zdrowego sądu, że tém samym za massę nie można uważać ani Rawy, ani Płocka, ani Warszawy, ani Łodzi, ale wszystkie razem miasta i wsi z ich rozsądnymi i wykształconymi czytelnikami. Zdania tedy gorzkie o naszym ogóle nie dadzą się usprawiedliwić, i zapewne w dalszym ciągu *Wędrowek* autor choć w części je odwoła.

Po tych obrazach towarzyskich, gdzie opowiadania autora, przepłatają pamiętniki Oryginała, gdzie poznaliśmy na samym wstępie dwie główne osoby powieści: Julisję i pana Kazimiérza, i przeczuli z wybornie urządzonej ekspozycyi, że te istoty zajmą nas szczególnie, choć je autor z niechcenia tylko nazaczył; po tych tedy przytoczonych obrazach, wchodzimy w szereg scen, bez przerwy zajmujących, i z nadzwyczajną tkliwością skręślonych. Chwila zjawienia się młodego wiolonczelisty, pana Karola, a wkrótce potem Marty czulej, niewinnej i nieszczęśliwej, jest górującą w powieści. Odtąd cztery tylko osoby składają dramat tkli-

wy a często rozdzierający; tak są pełne prawdy, uczucia i dobrze pomyślanego efektu. Karol i Marta, Kazimiérz i Julisia, grają wszystkimi uczuciami na bolesną nutę. Karol artysta, pełen zapалу do sztuki, z imaginacją gorejącą, którą podnosi jeszcze dokuczliwa nędza i uczucie talentu; Marta piękna i skromna, której serce całym bogactwem, a miłość nieograniczona jedynym przewodnikiem głowy. Kazimiérz młody, bogaty, jednak wolny od wad, jakimi majątek i imię odziedziczone oblega tę klasę ludzi; Julisia podobna do Marty z położenia, ale wyższa od niej umysłem, nauką wzmocnionym. Marta i Julisia potrzebują walczyć ze skłonnościami serca; Marta, dla której całym skarbem uczucie i przewodnikiem uczucie, poddając się jego władzy, pociąga za sobą Karola, jako ofiarę poświęcenia do ołtarza. Julisia wyższa rozumem, uczucie silne poświęca dla obowiązków wdzięczności, i do poświęcenia równego skłania Kazimiérza. Oryginał zdala czuwa nad temi istotami; żaden krok, żaden czyn wyraźny z jego strony nie wspiera ich w téj trudnej walce obowiązków i uczucia. Zdaje się tylko, że szlachetny jego duch raduje się w ciszy nad tryumfem wielkiej cnoty, na największe wystawionej próby.

Jak w 1szej części Wędrówek do zjawienia się Karola, zmieniają się obrazy obyczajowe, krytycznym o nich poglądem Oryginała oświecane, tak tu w drugiej części, wybrańce tego opiekuna serc prawych, wolne od jego wpływu, same na świat namiętności puszczone, żyją własném życiem, pod wodzą wrodzonego dobrego instynktu. Ta część nie jest już obyczajową, ale uczuciową. Piérwsza dla tak wprawnego pióra, dla takiej znajomości ludzi, jakiej p. Korzeniowskiemu trudno zaprzeczyć, była igraszką, wypożyczkiem przy pracy nad Wędrówkami; druga przeciwnie wymagała oprócz znajomości serca młodego, żywości kolorów, śmiałości rysów, a nadewszystko ciepła, którego zdaje się, młodość tylko może być właścicielką. A przecież ta druga część jest piękną, pełną i żywą, jest nieskończenie wyższą od piérwszej. W tém miejscu, właściwie możemy uczynić zwrot do romansów autora Pamiętników Starego

Szlachcica, a mianowicie do ich uczuciowej strony. Jakież tam język tych kochanków, do czego podobna ich miłość!? Jaki dyalog! w każdym miejscu można go przerwać bez szkody dla całości, a nieraz opuścić z prawdziwą korzyścią dla dzieła i autora. Kochankowie w chwilach zapалу sercowego wyglądają jak owi starzy aktorowie, co niegdyś grywali role bohaterów i po dwudziestoletniej przerwie, w zastępstwie znowu czasem adonisów udawać im każą. Z musu więc powtarzają za sufferem leniwo bystro wyrazy miłości, z niewłaściwemi do tego przestankami; kobiety znowu, kiedy chcą być bardzo czule, wpadają w nieprzyzwoitość. Dla sprawdzenia, radzimy ciekawym przejrzeć troskliwie trzeci tom Listopada, ostatnie kilka rozdziałów. U Korzeniowskiego dyalog jest naturalny, łatwy, a jak najkrótszą drogą zbliżający do celu. W Wędrówkach Oryginała szczególnie ujmuje nas ten dyalog, wdziek słowa serdecznego, boleści nieudanej, rezygnacyi wzniostłej i tej harmonii i pełności obrazów. Najpiękniejszą jest postać Karola artysty, z losem, narzuconą kochanką i sztuką walczącego: słabiej odznaczonych rysów i bez ruchu jest fizyonomia Kazimierza, przy której szlachetna Julisia tém wyraźniej z obrazu występuje. Charakter artysty, życie jego wewnętrzne, doskonale oddane: obraz nieprzesadzony a poetyczny; życie zewnętrzne w stosunku do naszej społeczności, uchwycone w najprawdziwszych i najwydatniejszych chwilach. Karol, to artysta, który nie otrzymał u nas prawa obywatelstwa, bo artyści wszyscy muszą z gotowemi przyjeżdżać wieńcami; my tym wieńcom przypatrujem się tylko z podziwieniem, ale ich nie dajemy. Prawda ta niestety, aż nadto często przykładami stwierdzona. Obce tylko imię ma dla nas urok, swoje, nie sympatyą obudza, ale coś zimniejszego od obojętności. Pod wpływem takiego przekonania, autor przedstawił nam koncert Karola w rozdzierających nagą prawdą wyrazach. Scenę tę liczymy do najlepszych, i w ogóle wszystkie, wielkie troski lub rezygnacyą malujące. Nie powinniśmy może dodawać, że obrazy te są ciągle zajmujące i w miarę postępu silniejsze budzą uczucie; bo

scena żadna nie zrobi wrażenia, jeżeli nie jest dobrze przygotowaną i w harmonii koniecznej z następnymi. Moglibyśmy zarzucić autorowi, że zbyt ponure dał tło całej tej powieści od zjawienia się Karola; raz naciągnięta struna smutku lub bólu, brzmi w różnych kombinacjach i sile to wzrastającej, to malejącej aż do końca. Ton taki trudno utrzymać, jakkolwiek jest z wielką sztuką utrzymany; wrażenie tém silniejszym się staje, im rozmaitszych strun naprzemian dłoń artysty dotyka. Zamało powiedzieliśmy o Marcie, która bez zaprzeczenia do bardzo szczęśliwych kreacyj należy. Szczególnie piękną jest jako żona Karola; pierwój miłość kochanki prowadziła ją ślepo, teraz miłość żony równie nieograniczona, ale bardziej święta przerodziła ją w istotę wzniosłą, rozumną, gotową na wszelkie ciosy. Przedtém słowa jój proste traciły swój urok, gdy je nad stan i pojęcia swe bujniejszymi przeplatała; teraz po ciężkich próbach serca, duch jój wzmocnił się, przejrzał i prawdziwą boskością zajaśniał. Wolimy ją w tej epoce, i pewnie sam autor dumniejszym okiem na Martę jako żonę Karola pogląda. Gdyby pierwsza epoka życia Marty była tak szczęśliwie skręśloną jak druga, dalibyśmy jój pierwsze miejsce przed Julisią, nawet przed Karolem, i do najpiękniejszych kreacyj jego policzyli, nie wyłączając ani dram, ani powieści. Dla losu tych trzech istot: Karola, Marty i Julisi, w sercu czytelnika przechował się zapewne najżywszy interes i niecierpliwość do dalszych części Wędrówek Oryginała. Inne drugiego rzędu indywidua, pomocnicze do uwydatnienia pierwszych, jako: kasztelan, kasztelanowa, ich wnuczka Ewunia i siostra Oryginała, mają wszystkie cechy prawdopodobieństwa i żyją własnym życiem. Tak całej powieści treścią jest walka z życiem na wszystkich stopniach towarzystwa; na wyższych dobrowolna, na coraz niższych coraz więcej konieczna, od losu nieodłączna i coraz sroższa.

L. E.



ROZMAITOŚCI.

Pieśni ludu weselne.

(Ciąg dalszy).

S.

Z powiatu łukowskiego. Od miast: Żelechowa, Adamowa, Baranowa, Końsko-Woli, Puław, Bobrownik, Steżycy i Maciejowic. Wsie: Ostrozeń, Gończyce, Sokół, Sobolew, Kaleń, Korytnica, Dutki, Kloczów, Okrzeja, Rososz, Ryki, Moszczanka, Pogonów, Zyrzyn, Zagrody, Osiny, Wola Osińska, Wronów, Gołąb Banów i t. d.

Ceremonie i śpiewy weselne tych stron podobne są do poprzedzających, jako i do tych, które z powiatu opoczyńskiego dawniej już opisane zostały. W poniżej zatem umieszczonym zbiorze, okażą się tylko wzajemne ich różnice.

W dzień na zmówiny przeznaczony, zbierają się parobcy i dziewczęta do domu rodziców panny-młodej lub do karczmy. Wtenczas to pośród mnóstwa na beżennych miotanych przycinków, przy obieraniu drużby weselnj między młodzieżą, śpiewają dziewczuchy następną pieśń:

150. Hej poszły były panny panienczki — do kalinecz i —
lnianki rwać,
Lnianek nie wyrwały — stłukły i stargały — nic nie
znać.

- I napotkały Oleksego Wawrzka—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na myszy—ledwie pod nim dyszy—on jedzie.
- I napotkały Wojtka Michałowój—i zobaczyły—on jedzie:
Ou jedzie na szczurze—uwiązł mu łeb w dziurze—on jedzie.
- I napotkały Jaśkowego Juzwę—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na kocie—z nosa mu parkocze—on jedzie.
- I napotkały Stefanowój Leona—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie se na psie—a pies szczeka zawsze—on jedzie.
- I napotkały Matysowój Maćka—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na suce—pięścią w tyłek tłuce—on jedzie.
- I napotkały Jakubowój Franka—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na świni—trzyma się szczeciny—on jedzie.
- I napotkały Benedyktowego—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na wieprzu—szuka w tyłku pieprzu—on jedzie.
- I napotkały Wincentowego Piotra—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na pliszce—pod ogon ją iszcze—on jedzie.
- I napotkały Mikołajowój Bonka—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na wole—pod ogon go kole—on jedzie.
- I napotkały Marcinowój Grzełę—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na ośle—woła bodajś oślepl—on jedzie.
- I napotkały Kacprowego Tonika—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na słoniu—szuka w tyłku tytoniu—on jedzie.
- I napotkały Balcerowój Stacha—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na smoku—o kosmatém oku—on jedzie.
- I napotkały Adamowój Walka—i zobaczyły—on jedzie:
(pan młody) dzie:
Jedzie na koniku—w granat-żupaniku—on jedzie.

Rozchodząc się do domu, nucą tego dnia:

151. Oj kowalu, kowalu—da zróbże mi klódeczkę,
Da żebym zamykała—da do ślubu wstążeczkę.
Oj kowalu kowalu—da zróbże mi zameczek,
Da żebym zamykała—da do ślubu wianeczek.

Przy rozplecinach śpiewają tu: (porównać z nr. 5, 32 i 51).

152. Nie żałuj-se moja Kasiénku zaplakać,
 Kiedy będą złoty warkocz rozplatać.
 Braciszku który—choć i nierodzony,
 Rozpleć mi warkocz, będziesz zbawiony.
 Chodzi braciszek po sieni,
 Trzyma szczoteczkę w kieszeni.
 A ja warkoczku bratek twój,
 Rozczesę, rozpletę warkocz twój.
 Ty warkoczku ognisty,
 Bywałeś na plecach zdobnisty,
 Ty warkoczku mój złoty,
 Z wodą popłyną twoje uploty.

Po wydaleniu się pana-młodego z drużbą, druchny' nuca
 na dobranoc (patrz nr. 9):

153. Wyszła na pole—staęła sobie,
 pod jaworem w chłodzie;
 I wyglądała—swego Jasiénka,
 z którój strony pojedzie.
 Jedzie Jasiénko—jedzie najmilszy,
 po zielonój dąbrowie,
 Rozprószył-ci te—strusie pióreczka,
 konikowi po głowie.
 Nie tak-ci mi żal—strusich pióreczek,
 com je sobie rozprószył,
 Ale mi cię żal—dziewczyuo moja
 com cię marnie opuścił.
 Puścił konika—na pastewniczek,
 z uzdeczką hej z uzdeczką,
 Już ja nie będę—miły Jasiénku,
 już u ciebie dziewczeczką.
 Koniczek lata—koniczek płasa,
 na cugle następuje,
 Kasiénka płacze—Kasiénka krzyczy
 i rączki załamuje.
 Kasiénku nie płacz—Kasiénku nie krzycz,
 nie psujże sobie główki,
 Weź se chusteczki—z méj kieszoneczki,
 i utrzyj sobie oczki.
 Teraz chusteczka—i ta jedwabna,
 i ta nic nie pomoże,
 Mojój urody—mojój swobody,
 pożał się mocny Boże!

Żebym ja wiedział—dziewczyno moja,
 żeś moja być nie miała,
 Stawiałbym stolki—kopałbym dolki
 da żebyś kark złamała.

Nazajutrz przed wybraniem się do kościoła, następujące bywają tu nucone pieśni: (patrz nr. 35 i 90, śpiewana i nad Bugiem).

154. W polu ogródeczek—w polu malowany,
 • Któż go pomalował—Jasieńko kochany,
 A w tym ogródeczku—zakrzciały gwoździki,
 Zaprzęgaj Jasieńku-te wronie koniki i t. d.

Zamiast nr. 36, 57, 71, 89, 114 i 129.

155. Po cożeś mnie moja matko za mąż wydała,
 Kiedy ja się w gospodarstwie nie zaumiała;
 Bo za chłopem trzeba robić,
 Mało kiedy pięknie chodzić
 matulu moja.

Zaprzęgajcie kare konie pod te karoce,
 Niech pojedę, niech zobaczę jego pałace;
 Bywajże mi zdrowa matko,
 Chowalaś mnie zawsze gładko
 bywaj-że zdrowa.

Zamiast nr. 13, 37, 58 i 72, pod Maciejowicami:

156. Siadaj-że siadaj Maryś kochanie,
 • Już-ci koniki pozaprzęcane.
 Już koniki stoją w wozie,
 Już nama płacz nie pomoże
 Maryś kochanie.

Jakże ja z wami będę siadała,
 Kiedym się z tatulem nie pożegnała:
 Zostań z Bogiem i ty ojcze,
 Bywały tu za mnie goście,
 teraz nie będą.

Siadaj-że siadaj i t. d.

Jakże ja z wami będę siadała,
 Kiedym się z bratem nie pożegnała:
 Zostań z Bogiem i ty bracie,
 Bywałam ci na zawadzie
 teraz nie będę.

Siadaj-że siadaj i t. d.

A zostańcie i wy okna,
 Com bywało warkocz plotła,
 teraz nie będę.

A zostańcie i wy progi,
Com zwijała o was nogi,
teraz nie będę.

Dwa warianty melodyi powyższych pieśni, umieściłem pod nr. 157 i 158.

Zamiast nr. 91 i 117:

159. A z góry z góry—jadą Mazury;
Jedzie, jedzie Mazureczek,
Wieżie, wiezie mi wianeczek
z dalekiej strony.
Przyjechał w nocy—przed moje oczy,
Stuku, puku w okieneczko:
Otwórz, otwórz kochaneczko,
wody koniom daj.

Również:

160. Wyjechał w pole—krzyknął na konie;
Obejrzyj się kochaneczko czy wszystko twoje.
Wszystkoć to moje—co w karabonie,
Tylkom sobie zapomniała wianka na stole.
Czyli się wrócić—czyli nie wrócić,
Czyli swojej matuleńce serca nie smucić.
Wyrzekł: dalipan—wrócę ja się sam,
Nieszczęśliwe słowo jego, złamał nóżkę koń.

Przed samym kościołem (zobacz nr. 116 i 132):

161. Pod borem sośna—pod nią topola,
Ożeń się mój Jasieńku, bo ci niewola i t. d.

Wracając od ślubu, po przegraniu marsza weselnego (patrz w nutach nr. 162):

163. Uciekła mi przepióreczka w proso,
A ja za nią nieboraczek bosy,
Trzebaby się pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę schwytać.

Kiedy zasiądą do obiadu (urządzeniem którego zajął się wybrany podczaszy), tak śpiewają sadzając państwa-młodych na przedniejszym miejscu:

164. O da, prosimy, panie podczaszy—o tę pannę młodą—
prosiemy,
O da, niechże ją za cisowym stołem — niechże ją wi-
dziemy.
O da, prosimy, panie podczaszy — o pana młodego —
prosiemy,
O da, niechże go za cisowym stołem — niechże go wi-
dziemy.

O da, prosimy, panie podczaszy — o białą gołąbkę do
stoła,
O da, prosimy, panie podczaszy — i o wdzięcznego so-
kła.
Już nam idzie, panie podczaszy—wianek ruciany —już
idzie,
Już nam idzie, panie podczaszy—i Jasio kochany—już
idzie.

Przy daniu na stół ryb i kapusty, starszy družba śpiewa:

165. A kiej będziemy tego karpia zażywać,
A raczcie go nam, Panie Jezusie, Najświętsza Panno,
przeżegnać;
A przeżegnaj go, Panie Jezusie, Najświętsza Panno,
przeżegnaj,
A daj dolę tym dwojgu ludziom—dolę daj.

*

Niechże się po rzebie wszystko wiedzie,
Stulichna (*kapusta*) po wszystkim obiedzie;
Jak stulichnę zjemy,
To podziękujemy.

Powstawszy od stołu śpiewają chórem (patrz nr. 22 i 135):

166. A dyć były stoły—to wszystko cisowe,
• Podziękujmy Panu Bogu i gospodarzowi z jego miłą go-
spodynią po obiedzie—po dobrym. •
A dyć były łyżki—to wszystko cynowe.
A dyć były miski —to wszystko gliniane.
A dyć były obrusy—to wszystko niciane.
A dyć była cebula—to wszystko z Torunia.
A dyć były przyprawy—to wszystko z Warszawy.
Podziękujmy Panu Bogu i gospodarzowi z jego miłą go-
spodynią po obiedzie—po dobrym.

Oczepiny odbywają się nazajutrz, przyczém śpiewają zóją-
wszy wianek z głowy panny młoděj (p. nr. 26):

167. Zrobiłam ja matuleńce uciechę,
Wsadziłam ja swój wianeczek pod strzechę.
Niechże będzie matuleńce uciecha,
Niechże chodzi w moim wianku i strzecha.
Miło było matuleńce i miło,
Jak chodziła Kasineczka po bydło,
Jeszcze będzie matuleńce i milěj,
Jakci będzie w kolébeczce li li li.

Kładąc czépiec, na który zawijają chustkę:

168. Matulu moja—dodaj zawoja;

- Zawój gotowy—stary nie nowy,
Pięknie zwinięty—w skrzynię zamknięty.
Braciszek skoczył—zawój roztoczył,
Siostrzyczkę zawił—pobłogosławił.
Braciszek idzie—zawojem wieje,
Jego siostrzyczka—od żalu mgleje.

W czasie oczepin, daje się słyszeć przegrywka na skrzypcach (patrz w nutach 169). Prócz tego śpiewają:

170. Oj plakała ja wczora—da i będę i dziś,

- Oj nie mogę ja wianka—z drobnój rutki uwić.
- Oj nie mogę go uwić—nie mogę go złożyć,
- Da muszę swój wianeczek—w kolebeczkę włożyć.
- Oj chodziłam w wianeczku—chodziłam w rucianym,
- Da teraz i w czépeczku—teraz i w nicianym.

Po oczepieniu następują tańce i wrzawa powszechna. W jednym z dni weselnych następnych, śpiewają: (p. nr. 124)

171. O Boże, Boże! co mnie mąż bije,

- Niéma takiego, co pożałuje;
- Przyjdź, przyjdź matuleńku — przyjdź, przyjdź naj-
kochańsza, ty pożałujesz.
- Matula jedzie—w te nowe wrota,
- Trzyma chusteczkę z szczérego złota,
- Bij, bij, zięciu dobrze — aż się na niej skóra odrze,
zła panną była i t. d.

K. W. Wójcicki w swoim zbiorze Pieśni Ludu Tom II, str. 67, podaje pieśni weselne z Lubelskiego, które w okolicach Lublina i Piasków w taki sposób bywają śpiewane. • Druchny przy robie niu wianka (p. nr. 103):

172.

- Wiła Marysia wianeczek,
- Z drobnój ruteńki serdeczek (*korona kwiatu*),
- Z swemi druchnami go wiła.
- Jedna ruteńkę szczypała,
- Druga równianki (*girlandy*) równiała,
- Trzecia snopeczki (*bukiety*) wiązała.
- Wyszła Maryś do ogroda,
- Rumiana kieby jagoda;
- Z ziółkiem tak się rozmawiała:
- Nie będę cię przesadzała,
- Zimną wodą podlewała.

Jest-ci tutaj młodsza siostra,
Jeszcze ona nie dorosła,
To cię będzie przesadzała,
Zimną wodą podlewała.

Przy rozczesywaniu kosy (*warkocza*) pannie młodej siedzącej na dzieży:

173. • W kalinowym lesie—woda kamień niesie,
Maryś na nim stała—swe kosy czesała,
Co włoszek upadnie—to woda zagarnie.
Płynięć moje włosy—do matki wrakoszy!
Jak tam popłyniecie—przed wroty staniecie,
Pytajcież odemnie—nie tęskniąż bezemnie?

Drużbowie jadąc konno z panem młodym:

174. • Spieszmyż swacia—bracia!
Jedźmyż żywo po nią,
Po dobrą gosponią!

Za przybyciem pana młodego (p. nr. 125):

175. Znasz-ci Jasieńka—chłopca dziarskiego?
Znasz-ci miłego—co po cię jedzie?
Ojca przeprosił—koniam osiodłał,
Ubrał się pięknie—zaraz tu będzie.

W czasie zabiérania się gromady do wyjścia:

176. • Klaniaj się Marysiu—klaniaj się młodo,
Padnij raz i drugi—rodzicom do nogi.
Po cóż mam się klaniać—za co mam dziękować,
Kiedy mnie rodzeni—nie chcą u się chować?

Przy błogosławieństwie rodziców na progę:

177. • Przepróś Marysiu—swoję matkę,
w czemeś ją przegniewała;
Jak nie przeprosisz—jak nie przebłagasz,
nie będziesz doli miała!
Mój tatusiu! mój rodzony—nie daj mnie od siebie,
Niechże schodzę, te zamszowe trzewiczki u ciebie!
Moja córuś! moja rodzona—jużeś się u mnie nabyła,
Jużeś nie jedne takie trzewiczki—u twych rodzonych
schodziła.

Już słoneczko za sadami,
Młoda Maryś jedźże z nami!

Proszę ja was o to—żebyście mnie poczekali,
Niechże ja się przejdę—do rodzonych na poradę,
Jeśli każą to pojedę.

Jużeśmy u nich byli—już nam cię pozwolili.

Wybierając się do kościoła:

178. • A już idźcie—poganiajcie,
z mojej matenki domu!
Niech ja nie widzę—niech ja nie słyszę,
mojej matenki żalu.
Boć to matenka—boć to kochana,
tak płacze, tak żałuje;
Jako kukułka—jako kukułka,
w zielonym gaju kuje.

Gdy marszałek weselny oddaje druchnie ślubne pierścienie:

179. • Pośród pola—kuźnia stała,
A w tej kuźni—dwaj kowalczyki.
Łado! Łado!
Biją młoty—w pierścień złoty,
Z młodym Jasińkiem—ku ślubowi,
Łado! Łado!

W czasie jechania do kościoła:

180. • Od terema—do terema (*bezdroże tu izba*),
My do ślubu dziś jedziema.
Wié to pan Jezus—Matka Najświętsza,
Czy go weźniema.
Od Boga ślub,
Od ludzi sąd,
Od matenki wesele.

Powracając z kościoła:

181. • Pod czereśniami—pod kalinami,
barwinek zielony;
Spiesz się matenko,
już Jaś ożeniony.
Od terema do terema,
jużeśmy po ślubie,
Wzięty on według zakonu.
Od Boga był ślub,
Od ludzi jest sąd,
Od matenki będzie wesele.

Przed domem:

182. • Czas! czas! godzineńka schodzi,
Matka niech z chaty wychodzi.
Zkądżeście dwór najechali?
Cisowe wrota złamali,
Zielone podwórze zdeptali,
Łado! Łado!

Nie frasuj się matuniu,
 Jutro rano przyjedziemy,
 Waszą szkodę naprawiemy,
 Łado! Łado!
 Otwórz mateńko, otwórz,
 To twoja córeńka,
 Łado! Łado!

Przy nakrywaniu stołu:

183. Roztaczajcie bielone obrusy na stole,
 Rozstawiajcie misy i talerze.
 Nie ubędzie tych sprzętów na stole,
 Bośmy uczciwi goście w tym domie.

Gdy przy końcu uczyty družba z palmą w rękę błaznuje,
 mówi:

184. Zdaleka ci goście byli,
 Dobrze oni jedli, pili;
 Ni na stole skóreczki,
 Ni pod stołem kosteczki.

Po uczcie:

185. Powstańcie panowie—powstańcie swatkowie
 Dziękujcie za ucztę—Bogu i mateńce.

Gdy panna młoda na klęczkach podaje wianek matce (p.
 nr. 103, 104):

186. Marysiu! weź wianek w dłonie,
 Oddaj go matce w pokłonie:
 Moja mateńko! moje kochanie,
 Przyjm ten wianek córki w danie.
 Matka wianka nie bierze,
 Bo od żalości nie zdoła;
 Serceż moje, żalość moja,
 Czemuż ty mi nie zapłaczesz?

W czasie oczepin (p. nr. 168):

187. Matuniu moja—ćodaj zawoja!
 Matka do skrzynie—zawój rozwinię.

Kładąc czépiec, zawój i zawijkę:

188. Marysiu! koraliku mój złoty!
 Gdzieś działa pozłociste uploty?
 Dałam ich matuleńce schować już,
 Bo mi czas gospodynią zostać już.

W czasie oczepin:

189. Przykryło się niebo obłokami,
 Przykryła się Marysia rąbkami;

Okrył się jawór zielonym listerńkiem,
Młoda Marysia bielonym czeperńkiem.

Po oczepinach:

190. Zakukała zyzuleńka za borem,
Zapłakała Marysieńka za stołem!
Nieszczęśliwa godzineńka i chwila:
Jużci ona kawalerom niemiła.

Po oczepinach:

191. Zima, zimeńka—bardzo bieleńka
czy rano nas napadniesz?
Pytam cię się—młoda Marysiu,
do kogo ty przystaniesz?
Przystalabym ja—do mojej matenki,
do siostrzeńki i do tateńka,
Ale nie chcą mnie zimować—dłużej w chacie chować.
Przystańże do Jasieńka,
On cię będzie zimował—na wiek u się chował.

Po wzięciu ślubu (p. nr. 11):

192. Prowadzili bratkwie siostrę ze dwora,
Nie wiedziała którą dróżenką iść miała.
Stała jak biała lilija przy drodze,
Patrzała któredy rodzina jej pójdzie.
Rodzina jedzie—białą liliją mija,
Ona wstała—zapłakała
nie wzięć ją!
Młody Jasienko jedzie—białej lilii nie mija
Ona wstała, rozśmiała się—
wziął—ci ją!

Przy końcu wesela:

193. Ej! na weselum była—nicem nie użyła,
Trzewiczki zdarła—głodu się namarła.
Oj wesele, wesele—było i nie będzie,
Była ci Maryś bięda—jeszcze większa będzie.
Wesela godzina—biędy wiek!

Przytaczam tu (nr. 194 i 195) marsza weselnego i przegrywkę w czasie oczepin z okolic Markuszewa. Także taniec zwany *powolnym* (nr. 196) zbliżony bardzo do poloneza, i drugi taki (nr. 197) z okolic Słężycy i Bobrownik nad Wieprzem.

D.

Od Jasła, Krosna, Biecza i Górlie. W jednym z naszych pism czasowych (Prz. L. rok 4, tom 2) umieszczono opis obrzędów i pieśni śpiewanych w czasie wesela w tamtych stronach. Że opis ten jak najwierniej skręślony, doskonały przedstawia obraz zwyczajów ludu w obwodzie jasielskim, przytaczam go w całości, jako ważny i pełny kłos do ogólnego snopa pieśni weselnych wniesiony.

„Dawnyto obyczaj, że się ludzie zwykle pod jesień żenią i weselą. Wypływa to z istoty życia rolniczego ludu. Jesień jest niejako spoczynkiem rolnika, całorocznej pracy nagrodą. Kiedy więc pola zasiane, brogi pełne, gumna zamknięte, śpichrze i komory ładowne, kiedy bydło na zimowej stanęło okole, a w chacie przy wieczorowém ognisku miło i potulnie; wówczas zaczynają się snuć z *zalotnikami dziewczosłębymi* pod strzechy, kędy sobie obmyśleli dziewczkę. Na dziewczosłębów upraszają sobie zalotnicy ludzi trzeźwych, ucziwych, wiekiem nieco podeszłych a wymownych. Zazwyczaj żenią się parobcy aby mieć pomoc w domu, wyręczenie za domem; ale nierzadko miéwa i serce swój udział w téj sprawie; często w tych serdecznych stosunkach silne i niezwykle budzą się namiętności, które wychodząc ze zwyczajnych kolei sielskich, tragiczny biorą koniec”.

„Od *zalotów* i *zmówin* bierze swój początek ono zbliżenie się dwojga ludzi wzajemne. Kiedy dziewczosłab z zalotnikiem w dom przybywa, przynoszą z sobą gorzałkę i przypijają naprzód do rodziców, potem do dziewczyny. Jeżeli dziewczyna kubek przyjmie, jestto znakiem, że się zalotnik podobał, a na ich związek zezwalają ojcowie. Jeżeli zaloty pomyslny skutek wzięły, idą nazajutrz narzeczeni z rodzicami i z pokłonem do księdza plebana na pacierze. Ksiądz przedstawia obowiązki przyszłego stanu. Gdy się sprawią z nauki i słowa Bożego, wychodzą opowiedzie w następną niedzielę. Po dwóch opowiedziach z ambony, poczyna młody z drużbą spraszać gości na wesele. Przyjeżdżają naprzód do narzeczonej, którą już odtąd *młoduchą* zowią. Młoducha przybiéra pana młode-

go, daje mu białą chustkę, którą przez ramię przewiesza, i przypina mu do magierki wstążkę i snopeczek ruty. Podobnie przystraja družbę, poczem oba kolejno krewnych, sąsiadów, przyjaciół, dwór i plebana na wesele proszą. Družba miewa oracyą do każdego, i musi do każdego przypijać z osobna; ztąd przysłowie:

Oj družba, družba,
Ciężka twoja służba!

Tym sposobem odprawują także mieszczanie wesela swoje, z tą różnicą, że się mieszczki w jupkach i czółkach, a mieszczanie w żupanach i kontuszach noszą, do którego stroju *trzcina* przystoi.

Kiedy więc do młoduchy družba z młodym przychodzi, przystraja ona także i ich laski, wiążąc do gałki rutę i wstążkę. Przez cały zaś przeciąg wesela, mają mieszczanie obok rznietej muzyki i dętą *kapelę*. Zaprosiny na wesele odbywają się po mieście pieczo.

Oracya družby:

198. Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Przychodzimy tutaj z prośbą, a niesiem ukłony;

Jak Bóg rozesał na ucztę po świecie narody,

Tak też wysłali nas, prosić na weselne gody.

A proszą przez nas rodzice młodego i młodej:

A naprzód prosi pan ojciec, potem pani matka,

A potem ten tu pan młody i młoducha gładka.

A potem krewni obojga, tę wszystką rodzinę,

Na poniedziałek, na szóstą godzinę.

Do aktu weselnego,

Do kościoła Bożego! (*klania się*)

Gdzie się chrzcą ludzie, przy chrzcie mianują,

I sakramenta wszelkie przyjmują, (*klania powtóre*)

A zaś z kościoła Bożego

Proszą do domu swojego, (*klania potrzecie*).

A proszą przez nas uczciwie,

Wszystko co żywie! (*klania poczwarte*).

Na wódki baryłkę, na jedną i drugą!

I na stós kołaczy, i jeden i drugi!

I piwa beczułkę i jedną i drugą,

I sera gomółkę i jedną i drugą!

I na te cietrzewie, co siedzą na drzewie,

I na te łabędzie, co siedzą na grzędzie,
 Na te kuropatwy, co połów ich łatwy,
 I na te to dziki, co ryją trawniki,
 I na tego tura, co to z niego rura,
 I na te główeczki, co tulą listeczki,
 I na te świece, co dają Gorlice.
 Na barana białego,
 Na koguta czubatego,
 Na skrzypka wesołego,
 Na beczkę wina starego,
 Na pieczywo chleba z nieba
 I na miskę kaszy naszej. (*klania popiąte*).
 Toć na parę tych zajęcy,
 Przytém może na co więcéj,
 Co Bóg zdarzy,
 Kucharz zwarzy,
 Prosim szczerze i uczciwie,
 Wszystko co żywie!
 A będziemy jedli, pili,
 I pospołu się cieszyli,
 I weseli do niedzieli,
 Jak w niebie anieli!

Amen. (*klania po szóste*).

Kiedy już cała sproszona drużyna, drużba z muzyką idzie do domu młodego, ztamtąd do młoduchy, przygrywając wszystkim pode drzwiami. Poważnym starożytnym tańcem poczyna się każde przygrywanie, a kończy się wesoło i skoczno.

Po wyjściu trzech opowiedzi, przychodzi całe wesele do dworu, i młoducha oddaje *kołacz* dworowi, podobnie jak korowaj na Rusi. Od poniedziałku zaczyna się wesele, a trwa trzy dni; u ludzi zasobnych i tydzień cały.

Dnia tego, kiedy ślub być ma, odbywają się w domu rodziców młoduchy *rękowiny* czyli *zrękowiny*. Jestto obrząd z pogaństwa idący (?), który śluby w kościele czynione poprzedza. Tamto przyrzekają sobie młodzi nawzajem, jako się już nie odstąpią do śmierci; podobnież poręczają się za nich ludzie stateczni, jako młodzi dotrzymają przyrzeczenia tego, a że oni sami przestrzegać będą w przyszłości spraw wszystkich stadła tego, i nakłaniając go do uczciwego pożycia z sobą, do bojaźni Boskiej a miłości ludzkiej. Pan mło-

dy przynosi z sobą na ten obrząd pierścionki, a młoducha daje dwie białe chustki. Pierścionki zakładają się wówczas młodemu na palce, a ręce ich wiążą chustkami i zwą to *ręko-waniem*. Chwilę jedną mają młodzi powiązane ręce na znak utraty wzajemnej wolności, co krewni i rodzice widzą, żalą się i płaczą nad nimi. Starościna zawiązuje ich ręce, a chustki te chowają się całe życie, i kładą się do trumny dopiero obojgu pod głowę. Po tym obrzędzie, następują *blogosławieństwa* i *przeprosiny*, to jest, po odebraniem błogosławieństwa rodziców i krewnych, przepraszają młodzi przytomnych za wszystko, czém się tylko kiedykolwiek im narazić mogli, a swacia poczyna pieśń *przeprosin* i pożegnania domowych progów:

199. Przepraszam was moje ściany—ciebie piecu polewaany,
 Któż was bielić będzie—kiedy mnie nie będzie?
 Przepraszam was drzwi cisowe—i was stoły jaworowe:
 Któż was myjać będzie—kiedy mię nie będzie?
 Przepraszam was miski, łyżki — wszystkie moje towa-
 rzyski;
 Któż was sprzątać będzie—kiedy mię nie będzie?
 Przepraszam was wszystkie progi—co chodziły moje nogi,
 Któż tu chodzić będzie—kiedy mię nie będzie?
 Dziękuję wam pani matko—żeście mnie chowali gładko,
 I wam panie ojczy—żeście mnie wydali.
 Dziękuję ci ogródeczku—com chodziła w twym wianeczku.
 Któż cię pląć tu będzie—kiedy mnie nie będzie?
 Dziękuję ci rozmarynie—i goździku mój na grzędzie;
 Któż cię sadzić będzie—kiedy mnie nie będzie?
 Dziękuję ci drobna rutko—już ci mię tu niedługutko;
 Któż cię nosić będzie—kiedy mię nie będzie?

Kiedy już całe wesele do kościoła ma wyruszać, wówczas zachodzą wozy i konie, i rzecz się takim ładem odbywa: Na koniu, z białą chorągwią jedzie przodem starszy družba, którego na ten raz *stanowniczym* zowią. Za nim i po bok wozów jadą *swatowie poddružbowie*, chłopaki z konia furmanią zasłane drabiniaste wozy, które po jednej i drugiej stronie grabin weselna zajmuje družyna. Na pierwszym jedzie muzyka, na ostatnim młoducha, młody, z niemi starostowie. Po złotém czółku poznać starościnę, po wieńcu z ruty młoduchę,

po różdże starostę; trzyma on ją poważnie dla pogrozy na dzieci. Każdy družba, swat i przydaniek, ma przez ramię białą lub kolorową chustkę przewieszoną, u czapki rutę i wstążkę, u boku rutę i barwinek. Szumno i dworno, śpiewający, trzaskający, staje swacia przed kościołem. Po ślubie zaprasza starościna wszystkich na śniadanie do gospody. Zanim tam staną, potrzeba się wprzód woźnicom opłacić; zajęchawszy w jarugę lub przekopę, zdejmują bicz z biczyska, i poczynają wiókać, jakoby zagrzęźli. Drużbowie śpiewają wówczas:

200. A jakże ja ztąd wyjadę— a jakąż mi dacie radę?
 Albo źleście na śród błota— albo dajcie koła z płota.
 Zleźlibyśmy, tu nieładnie— dalibyśmy, tu nie składnie!
 Wio podsobny, jabłkowity— bo już lżej o talar bity.

Tu podaje družba woźnicy w czapce złożone pieniądze; on zakłada bicz i jedzie dalej. Zazwyczaj dwa razy powtarza się ta sama swawola. W gospodzie zastaje już družyna na stołach zastawione śniadanie. Gody te trwają do późnej nocy. Kiedy się kończą, bierze starszy družba na znak powagi różgę z rąk starosty i wyprasza gości z poza stołu do tańca, poczem znowu różgę oddaje staroście. Dopiero poczyną się wesolść, a wśród przelicznych podjazdowych krakowiaków i mazurów, śpiewają pieśń o wianeczku troistego ziele. Troistém tém zielem jest *ruta*, *rozmaryn* i tak zwany *goździk szlachecki*.

201. Wianuszk, wianuszk troistego ziele,
 Nie będzie, nie będzie bez ciebie wesela!
 A cieszą się, cieszą moje przyjaciele,
 Że ja ostawiła, wianuszek w kościele.
 W kościele, w kościele mój wianuszek świeci,
 Na srebrnym łańcuszku, na jedwabnej wici.

Późno w nocy dopiero odprowadza starościna z nieliczném gronem niewiast i bez muzyki młoduchę do domu młodego. Skoro zaświtez, ucieka młoducha do matki, w pogoń za nią przybywają tam družbowie i przydankowie, śpiewając pieśń pastępną:

202. Uciekła mi przepióreczka w proso,
 A ja za nią nieboraczek bosy;

Trzeba będzie pani matki pytać,
Czy pozwoli przepióreczkę chwycić.
Ej, chwytaj ją mój Jasińku w sidła,
Tylko z piórek nie oberwij skrzydła.

Młoducha płacze, tuli się do matki i nie chce iść z niemi; uprowadzają ją gwałtem. Kiedy jedni jęć uprowadzeniem są zajęci, chwytają inni po sieniach i dziedzińcu kury, kaczkę lub króliki, żeby przyszedłszy z młoduchą do domu młodego, mieli się z czém postawić, i mogli dać jemu dowód szczérości. Wtenczasto odsyłają rodzice wiano młoduchy; muzyka gra na dworze, a niewiasty sadzają młoduchę na środku izby na jęć skrzyni posażnej, i zaczynają ją czepić. Swatowie zaś idą i spraszają gości. Jedni są wysłani od rodziców młoduchy, drudzy od młodego, a jak jedni, tak drudzy ubiegają się o to, ażeby jak najwięcej gości na swoją stronę sprosilili. Są też i dnia tego dwie muzyki, z których jedna tu, a druga tam przygrywa. *Czepiny*, w innych stronach *oczepianami*, *czepczy-nami* zwane, poczynają się tém, że starościna z jedną szwaczka wieniec młodej odejmuje, włosy rozczesuje i we dwa warkocze spleta, które dokoła głowy potem wiążą. Jedna z nich jeden, a druga drugi warkocz plecie. Młoducha siedzi i płacze. Na splecione warkocze kładzie starościna czépiec, siatkę na sposób koronki tkaną, potem wiąże głowę długą białą chustką, i przypina do niej wstążki. Przytomni kładą na czépiec młoduchy pieniądze. Rozczesując włosy, poczynają niewiasty czepiny starożytną i najwięcej między ludem powszechnioną pieśnią o chmielu:

203. Oj chmielu, chmielu! szerokie liście,
Moją panienkę, oczepiliście.

Potém śpiwają:

204. Na krakowskim: moście—panny Boga proście,
Żeby się zjeżdżali—do jęćności goście.
U dziewczyny w sieni—stokroć się zieleni,
Cóż mi po stokroci—kiej dziewczynę wzieni.

Dalój:

205. Toczy się wianuszek—toczy po ulicy,
Gdzież się podzieli—moi zalotnicy;

Jeden poszedł na łów—drugi na zające,
Trzeci wołki pasie—na zielonój łące.
A żal to im patrzeć—na oczy młoduchy,
Bo wianek jój biorą—a stroją w rańtuchy.

Następnie:

206. Zielona rutka, jałowiec,
Lepszy młodzieniec niż wdowiec,
Boby mi wdowiec wymawiał,
Lepszą ja tamtą żonę miał;
Dzieciby na mnie płakały:
Lepszą my tamtą mać miały.

W czasie kiedy tę pieśń niewiasty śpiewają, wpadają drużbowie z przydankami do czeladniej izby, tłuką garnki i rozwalają piece. Z urzędu broni im tej swawoli kucharka, i piec czasem uchroni, ale garnki zazwyczaj potłuką. Po oczepinach wchodzi muzyka z gośćmi do izby, a starościna poczyna taniec z młoduchą. Przetkańcowawszy z nią, oddaje ją młodemu; wówczas to udaje młoducha kulawą, i krzywi się w tańcu i utyka. Starościna wkłada jój na głowę czapkę młodego i przychwala, że jój to z tém bardzo pięknie; lecz ona ciska czapkę o ziemię. Trzy razy powtarza się to samo, a każdą razą po zrzuceniu czapki, bierze znowu starościna młoduchę w taniec. Ze starościna tańcząc nie utyka, a po trzech razach tańczy już i z mężem. Wówczas przyspiewuje starościna do młodego:

207. Daję ci ją z dobrą sławą,
Młodą, zdrową, niekulawą;
Panujże z nią, panuj,
Szanujże ją, szanuj.

A młody staje w tańcu i oddając starościnie pocziwość, klania się nisko, dziękuje za żonę i przyrzeka, że ją będzie szanował. Skoro pierwszy taniec dokoła z młoduchą obejdzie, zasiada ona między niewiastami na ławie, a drużbowie śpiewają: (p. nr. 154).

208. W polu ogródeczek—w polu ogrodzony,
Któż mi go ogroził—braciszek rodzony.
A w tym ogródeczku—czerwone goździki,
Zaprzęgaj Jasiętku—cisawe koniki.
Jak ich mam zaprzęgać—kiedy się targają,

A żal to dziewczynie—iż ją za mąż dają.
 A dają ją dają—pojadę ja za nią,
 I będę też patzał—czy jej ładnie panią.
 A siadła zasiadła—między imościami,
 A ocięra oczka—złotemi piórkami.

Około południa, zbiera się cała weselna drużyna z obu domów do młoduchy, a pod wieczór zasiadają *do obiadu*. Po obiedzie znowu muzyki, śpiewy i tańce. Kiedy już do upadłego szaleć przychodzi, wówczas to wyprowadza starszy družba kucharkę, która obiad wydała, i śpiewa:

209. Ejże dała, dała, dała,
 Bodaj zawsze tak dawała!

Puszcza ją w kolęj. Taniec ten kolejny zwą *kucharzem*. I wówczas to już śmieją się, i są podług słów družby: weseli—jak w niebie janieli.

(d. c. n.)

O. K.

Dawne pismo wójta warszawskiego z r. 1459.

Jak w poznawaniu wszechświata każda roślina drobnowidzowa, każdy pyłek na skrzydłach motyla, poucza cierpliwego badacza o skrytych prawach przyrodzenia, częstokroć nawet na równi z tém, co mu objawiają wielkie zjawiska przyrody; tak w pięknej a obszerniej dziejów umiejętności, najmniejszy pomnik ubiegłych czasów równie obchodzić powinien ciekawego badacza, jak całkowite dziejów księgi: bo on go objaśnia a częstokroć poucza o zdarzeniach, drobnych okolicznościach, lub o zwyczajach tych minionych czasów. Ztąd każdy wyrwany niepamięci zabytek, bezwarunkowo jest zajmującym, a tym ciekawszym się staje, im dawniejszych lat sięga. W tém przekonaniu uważam za pożyteczne podać do wiadomości starożytników następny rękopis z roku 1459 dan w Warszawie, jeszcze więc za panowania Bolesława IV ks. warszawsko-zakroczymskiego,

zmarłego bezpotomnie w r. 1492 (1). Pisanym on jest w języku starodawnym niemieckim; umieszczam go tu całkowicie z zachowaniem ówczesnej pisowni, i łączę obok dosłowny przekład polski:

(Na wierzchu).

Den Erzâmen vnd wol wey-
zen h'ren burg'meijst' vnd
rotma' czu toren vnsern gut-
ten gön'ern

ader wo ma' kölmisch racht
fint.

Unsern frütlichn' (*) grus
mit merûge alles gutt' czu al-
zer czeyt czu vor wysentlich
sey euch erzame' vnd wey-
zen h'ren vnd vns befûden
gutte gon'er wye das czu vns
eyne zache entstanden ist
czwoschin czvehen brudern
wye des eyn' den andern vor
gerichte geladen hot vmb ey-
ne sum'e geldis alz vmb sum-
czig schok halbe g' alzo is
dêne í dem scheppin buch ge-
schrybn' stet von worte czu
warte vnd lawt alzo It' Alhy
ist kom'en vorgehegt ding(2)
Johaês foyt geborner bruder
andr'foyt' vnd alzo hot der

Poważnym a mądrym mężom:
burmistrzowi a rajcom To-
runia, nam dobrze życziwym

abo gdzie się rządzą prawem
chełmińskiem.

Nasze przyjacielskie pozdro-
wienie, a pomnożenie wszel-
kiego dobra po wszystkie
czasy. Niech to wam bę-
dzie wiadomo poważni a mą-
drzy mężowie, a zawsze nam
dobrze życziwi, iż u nas
niejaka sprawa zaszła, po-
między dwiema bracią, a ja-
ko jeden drugiego przed są-
dy pozwał o niektórą liczbę
pieniędzy, jakoby o 50 kop
połowicznych groszy, a to za
się zapisano jest w księdze
ławniczój, a brzmi tak słowo
w słowo. Item stanąwszy
przed sądy gajone Jan Wójt,
rodzony brat Andrzeja Wój-

(1) Patrz tabl. genealog. ks. Mazow. w dziele: Rys. Hist. Stat. M. Warsz. p. F. M. Sobieszczańskiego, 1848, str. 16.

(*) Litery z daszkiem oznaczają skrócenia.

(2) Sąd zagajny, sądy gajone *iudicia legitime vel ex formula indicta* (Cnapius Th.). Gajny v. gajony, prawnie otworzony, rozpoczęty, *gesetzlich eröffnet oder gehegt*. „Któryby majster rzemiosło utracił, taki do gaynego cechu chodzić nie może”. (Szczerbica. Saxon. 183). Obacz Lindego Słow jęz. pols.

vor gesprochen' Johaës bekât des h' schuldig ist seynem brud'andr' fûczig schok halbe g' off der ganczen fotey i der staß worschaw vnd d' vor genâte Johaës zal gebn' vnd bezalen czins alle Jar Jarlich iij schok von dem gelde alzo lange his h' dy fumczig schok bezalet áno dni m^occcc^oxl qrtó (3) vnd off des scheppet andr' foyt vnd sprach lybn' h'ren des sey euch i dechtnis des dy fumczig schok vorschrybn' sint vor vnser teylûge Vnd do stût sey' bruder Johaës des gleich vnd scheppet (4) vnd sprach lybn' h'ren lot des auch i dechtnis sey' des dy fumczig schok sint vorschrybn'

ta, pomieniony Jan zeznaje winnym być bratu swemu Andrzejowi 50 kop połowicznych groszy, na całym wójtowstwie w mieście Warszawie, a jako pomieniony Jan, ma dawać a płacić czynszu rok rocznie 3 kopy od onych pieniędzy, potąd aż wypłaci przerzeczony 50 kop. R. P. 1444. A na to rzecz uczynił Andrzej Wójt a powiedział: Mili Panowie, niechto będzie w pamięci waszój, że te 50 kop, zapisane są przed działem naszym. A na to powstawszy również brat jego Jan, a rzecz czyniąc mówił: Mili Panowie, niechże to będzie w pamięci, że one 50 kop zapisane były przed podziałem; i za-

(3) W Główném Archiwum krajowém, w księgach miejskich miasta Starój Warszawy, wójtowsko-tawnicznych, nr. 525 fol. 163 znajduję oryginał tego zeznania po łacinie, w te słowa: *Item veniens ad iudicium bannitum Johannes Advocatus frater germanus Andree Advocati recognovit praedictus Johannes quod tenetur fratri suo Andree quinquaginta sexagenas de mediis grossis super Advocatia in Civitate Warschoviensi et praedictus Johannes debet dare et pagare tres sexagenas annuatim ab eisdem pecuniis tam diu donec eisdem quinquaginta sexagenas non exsolveret, sept. est A. D. 1444.* Jestto jeszcze jeden dowód na poparcie zdania tych, którzy utrzymują, że język niemiecki miał użytek bardzo ograniczony w kraju tutejszym, i że więcj do korespondencyi lub aktów za granicę idących, niż do sądownictwa wewnętrznego był używanym.

(4) *Recht sprechen, schöpfen, beschliessen* — *schaffen, schöffen, schöpfen* quod est statuere. decernere. (Christ. Gottl. Haltavs. Gloss. Germ. Maedii aevi. Lipsk, 1758. pag. 1643).

vor der teylüge Vnd dornoch stüt Johaës foyt vnd sprach ey' entwort lybn' h' ren h' richter vnd lybn' scheppen dy fumczig schok noch des buches lawt dy hab ich ym lange beczalet vnd genug der vor gethon vn' wyl des beczewgen mit dem scheppen buche vnd begere des buches czu lesen alzo fonde wurde auch sey' zache geschrybn' dy lawt von worte czu worte alzo It' alhy seynt komen dy vorsichtign' mane vorgehegt ding Andr' foyt mit sey'n' gebornes wast' dorothea vnd lorencz kurschner mit sey'n' tochter vnd habn' offenkant des yn der vorsichtyge Johaës foyt genug hot geton vor dy gütter vaters vnd mutter, mit zolcher weyse des Johaës foyt zal von yn ewygen fride habn' i allen seynten güttern vnd i der ganczen föteye act' scia sexta p' festu scii andree Anno dni m. cccc^o xl sexto (5) vnd i dem

się powstawszy Jan Wójt rzekł odpowiadając: Mili panowie, panie sędzio i mili ławnicy, one 50 kop wedle słów księgi dawno już jemu zapłaciłem i zadosyć uczyniłem, a chcę dowieść tego księgą ławniczą, i żądam księgi by przeczytać. A jakoż znaleziona jest sprawa jego zapisana tak słowo w słowo. Item stanąwszy przed sądy gajone, przezorni mężowie Andrzej Wójt ze swoją rodzoną siostrą Dorotą i Wawrzyniec Kuśnierz ze swoją córką, [zezna]li, że im przezorny Jan Wójt zadosyć uczynił z majątku ojca i matki w taki sposób, że Jan Wójt ma mieć od nich wieczysty pokój we wszelkim majątku swoim i w całym wójtostwie; działo się w szóstą niedzielę po świętym Andrzeju. R. P. 1446. I w tém poróżnili się między sobą. My zasię pytaliśmy się ich obie stronie, ażali chcą poprzestać na na-

(5) W tychże jak wyżej księgach miejskich nr. 525. fol. 211, pod r. 1446 czytamy w oryginale zaspokojenie o którym mowa, w tych słowach: „Causa Johannis Advocati”. „Item venientes ad Judicium bannitum providi Viri domini Andreas Advocatus cum sorore sua germana Dorothea, et cum Laurentio Pellifice et filie sue (sic) recognoverunt publice quod providus Johannes Advocatus ipsis satisfecit pro bonis Patris et Matris tali modo, quod jam Johannes debet habere ab ipsis pacem aeviternam in suis bonis et in tota Advocatia”.

worden sy ezwetrachtig vnder eylander vnd do frogete wir sy von beyden toylen ab seyn wolden lossen genügen an vnsern kölmisch rechte do vorlybeten sy is von beyden teylen czu dem ersten mole czum andern czum dritten vnd czum furdē mole vnd do lis wir is i vns buch schreybn' vnd alzo noch in wykör vnd noch vnserm rachte wolde wir yn ey' ortel fonden habn' vnd alzo warff sych andr' foyt aus vnserm stat racht vnd warff sych an furstliche macht vnd an den rot des landes vnd lude sey' brud' Johaês i des lant racht wed' ir ir beyder wykör Vnd do dy h'ren des landes vnd des fursten rot ir beyder zache vorhorten alzo noch der ausschrift des buches do toten sy alzo edele weyze vnd cluge h'ren vnd goben dy zache wed' i vnser stat racht vnd sprochn' sint dem mole des sinicht wellen gefollig sey' dem stat rechte vnd ir beyder wykör so sint dy zache ken dem kolme ad' wo

szém chełmińskim prawie, a oni z obu stron zgodzili się na to, po raz piérwszy, po drugi, po trzeci i po czwarty raz, a naonczas kazaliśmy to zapisać w naszą księgę i zasię znowu do wielkierzy (6), a wedle prawa naszego chcieliśmy im sąd wynaleźć. A oto Andrzej Wójt zrzucił się z prawa naszego miejskiego, a poszedł do mocy książęcój. a do rajców krajowych i zapozwał brata swego Jana do praw krajowych, przeciwko wielkierzowi własnemu, ich obu. A wysłuchawszy panowie krajowych sądów, a rajcy książęcy, rzecz ich obu i wypisy z księgi, tak uczynili oni szlachetni, mądrzy a rozważni mężowie, a odesłali sprawę napowrót do naszych miejskich praw, a powiedzieli, że naonczas jeżeli oni nie zechcą poddać się miejskiemu prawu, i wielkierzowi ohoicznemu, niech sprawa idzie do Chełmna, albo tam gdzie przodem inszych chełmińskie prawo zachowują; a na to zasię zgo-

(6) *Wielkierz, wilkierz*. Miasta osadzone na prawie magdeburskim miały wolność czynienia uchwał wielkierzami od słowa niemieckiego *Willkühr* zwanych (Czacki pr. I 279). Wilkierz dlatego tak jest rzeczony, iż wiąże tylko tych, którzy nań zezwalają (*Szczorb. Sax. 47. Croi. Obrz. 20*) (patrz *Linde'go Słow. Jęz. Pols.*).

kolmisch recht vorleget ist vnd dorczu vorwylkorten sy aber des gefollig czu sey' vnd do is weder gmaine ô (?) des statracht do stut' Johaês foyt vnd fordert noch ey' vrteyl vnd sprach h' richt' vnd scheppen ich frogo noch ab mey' bruder sey' zache vorlorn hot ad' was ey' racht sey sint dem mole des sich mey' brude hot aus dem stat racht geworffen vnd hot sich î des lantrecht geworffen vnd hot weder sey' eygen wykor gethon vnd wir wolden off des key' vrtel sprachn sint dem mole des dy h'ren des landes si an kolmisch racht geweyset habn ken dem kolme ad' wo man das oberste rach findet vnd dorûme so bit wir euch alzo erber vnd weyse h'ren geruchet vns czu vnderweyssen durch ewer schrift welcher sey' zache gewõnen hot des stet vns kegen ewer erberkeyt czu czu vorschuldin mit dem seyt gote bevolen & gegeben' czu worschawe an der metwoche noch der heyiligen drey konigen tage anno dni m^occcc^ol^oix^o vnder vnser stat igeigel

foyt vund scheppen der stat
Warschau ew' gutten
frunde czu aller czeit.

dzili się oni posłusznemi być, a tam jest znowu zwyczajne i (?) miejskie prawo. Więc stanąwszy Jan Wójt żąda jeszcze jednego sądu, a prawi: Panie sędzio a ławnicy, pytam zasię, czy mój brat przegrał sprawę swoją, a co za prawo jest natenczas, iż mój brat miejskiego się prawa odrzekłszy, krajowego prawa się jął, a uczynił przeciwko własnemu swemu wielkierzowi? A my na to nie chcieliśmy sądu czynić, abowiem rajcy krajowi odesłali ich do prawa chełmińskiego do Chelмна, abo gdzie się najwyższém prawem sądzą. Prosiemy tedy was poważni a mądrzy mężowie, raczcie nas nauczyć przez pismo wasze, który z nich sprawę swoją wygrał, a za to my przeciwko waszym miłościom obowiązani będziemy. Z tém polecamy was Bogu i t. d. Dan w Warszawie, we środę po Trzech Królach Roku Pańskiego M.CCCC.L.IX. pod pieczęcią miasta naszego

Wójt i ławnicy miasta
Warszawy, wasi dobrzy
przyjaciele po wszystkie czasy.

Ciekawy ten rękopis pisanym jest staro-niemieckim charakterem, na papierze szmatowym, wielkości średniej kwadratowej (13 $\frac{1}{2}$ i 14 $\frac{1}{2}$ cali warsz.). Znak wodny w papierze przedstawia bawołą głowę, między jej rogami wznoszące się ostrze, które na wierzchołku swém utrzymuje siedmiolistną różę. Podobne znaki wodne w kilku odmianach znajdują się stale na wszystkich prawie papierach w księgach Metr. Wójtowsko-lawnicznych i t. p. z drugiej połowy XV wieku w aktach Starój Warszawy (7).

Oprócz zajęcia, jakie obudza niniejszy rękopis, przedstawiając sposób wywodzenia spraw jeszcze tak prosty i pierwotny, niemało téż objaśnia i potwierdza domysły o stosunkach, jakie zachodziły pomiędzy sądownictwem krajowém a miejskiem czyli chełmińskiem, które książęta mazowieccy nadawali oddawien szczególnym osobom, a później, tojest w r. 1413 i całemu miastu Warszawie. Nadto okazuje, iż pomimo to, prawa krajowe (a raczój zwyczajne *Consuetudines*) miały swoją appellacją i moc, i że jeszcze w tym czasie powaga odwoływania się do miast niemieckich, naprzykład Chełmna, była we zwyczaju w Mazowszu, kiedy jak świadczy niniejsze staropismo (*Archeotyp*), jeśli nie po wyrok, to przynajmniej po radę tam się udawano urzędownie, gdy tymczasem w Polsce od r. 1356 Kazimierz Wielki ustanawiając appellacją do Krakowa, odwoływania się do miast niemieckich zakazał. „Kiedy do nas przechodziły osady niemieckie, powiada Czacki, przechodziło z nimi i prawo magdeburskie, które dawało wolność osobistą i prawidła w sprawach, a karało występnych srogością dla dzikich Saksonów przepisaną. W XIII wieku za Bolesława Wstydliwego, po wprowadzeniu prawa magdeburskiego do Krakowa (w r. 1257), podział osad był widoczny, na prawo polskie i na prawo niemieckie. Przenoszenia do prawa niemieckiego liczne mamy przykłady. W tym samym

(7) Obacz rysunki tych znaków wodnych, czyli filigranów w licznych odmianach, w dziele Bibliogr. ksiąg. dwoje, tab. XVII, a mianowicie nr. 44 i temu podobne.

wieku Krzyżacy w Prusiech porządkowe ekonomiczne przepisy od Flamingów, a prawo z Magdeburga brali (bardzo wszakże złagodzone, winy przez połowę mniejsze pisano; patrz Dogiela: Cod. Dip. passim). „Pozwalało aż do Kazimierza Wielkiego panowania appellować w sprawach do Magdeburga”; a dalej znowu mówi w przypisku. „1356 r. wystawiwszy Kazimierz W. nieprzyzwoitość appellacyi do władzy obcej, zdzierstwa sędziów w Magdeburgu, znosi tę appellacyą i stanowi wielkorządowe sądy, i w ciągu tego urzędzenia mówi: *„Itaque cum Reverendis Episcopis, nec non Abbatibus, Praepositis Decanis, Archidiaconis, caeterisque Praelatis, et Canonicis, tam Cathedralium, quam Collegiatarum, et aliarum Ecclesiarum Capitularibus et Beneficiatis, tam saecularibus, quam regularibus exemptis, et non exemptis, Magnificis Castellanis, Palatinis, Camerariis, Succamerariis, Judicibus, Subjudicibus, Baronibus, Militibus, Nobilibus, Consulibus, Advocatis, Scabinis, Juratis, Civitatum Scultetis, et Officialibus villarum et locorum, singulorum universis, synodum Consilium, et conventionem celebramus”*. (Stat. Łask. fol. 169 in vol. L. I, p. 146. Dług. T. I, edyc. lipsk. pag. 1106) (8).

Lecz i z innego jeszcze względu, zabytek ten na uwagę zasługuje; po złożeniu papiéru w sposób i dziś używany, i po przedziernięciu paskiem na składzie, zapieczętowanym był na laku zielonym, miejską pieczęcią Warszawy. Pieczęć ta dotąd znajdowała się przy staropiśmie, lecz czas odlepil ją od papiéru; pozostała więc w Berlinie w zbiorze p. Vossberg, znanego badacza dawnych monet i pieczęci. Samo zaś oryginalne pismo znajduje się obecnie w Warszawie w posiadaniu gorliwego starożytnika P. K. Beyer. Pieczęć sama znajoma już z opisu p. Vossberg w czasopiśmie Köhne'go (9), uważaną była dotąd za najdawniejszy

(8) Czacki. O Litewsk. i Polsk. Pr. Edyc. 1sza. T I, str. 26.

(9) Zeitschrift für Münz-Siegel und Wappenkunde v. B. Köhne. Berlin. 3 Jahrgang. 1843. pag. 383—wyobrażona tamże na Tabl. XII, fig. b.

śląd pieczęci miejskiej warszawskiej; wszakże wyobrażenie jej w czasopiśmie Köhne'go jest dopełnione, albowiem wedle opowiadania P. K. Beyer, który ją świeżo w oryginale w Berlinie oglądał, bez porównania gorzej jest zachowaną, gorzej nawet aniżeli dawniejszy jej odcisk z r. 1422 d. 8 maja, a wiszący wraz ze stu przeszło innymi pieczęciami przy traktacie pokoju pomiędzy Władysławem Jagiełłą a Pawłem de Rusdorf, W. M. Krzyżackim, znajdującym się w tutejszém Główném Archiwum krajowém, a o której wiadomość umieszczoną została w jednym z poprzednich zeszytów Biblioteki Warszawskiej.

Cóżkolwiekby z wdzięcznością wspominać winniśmy i na tak źle zachowany sfragistyczny zażytek, albowiem on to najbardziej zachęcił do dalszego badania różnych przemian godła Warszawy.

Pisałem w Warszawie d. 7 lutego 1849.

B. Podczaszyński.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Jeżeli rurę od organów zanurzymy w wodzie i w otwór jéj puścimy wodę z ciągle wzrastającą prędkością, wtedy rura wydawać będzie szereg tonów, z których główny odpowiada długości kolumny wody. G. Wertheim, któremu winniśmy powyższe odkrycie, użył tego sposobu do śledzenia szybkości rozchodzenia się głosu w cieczach. Wypadki ztąd otrzymane są następujące:

Szybkość głosu w ograniczonej kolumnie powietrza jest takąż sama, jak i w massie jego nieograniczonej, i szybkość tę można oznaczyć za pomocą tonu fundamentalnego rury z organów. W cieczach za pomocą jednéj rury można wydawać nie tylko główny, ale i wiele innych tonów harmonijnych, byle tylko otwór był stosownie zmieniany. Szybkość głosu w massie nieograniczonej cieczy, z szybkością głosu w ograniczonej kolumnie téjże cieczy jest w stosunku $\sqrt{\frac{2}{3}}$: 1. Drgania kolumny cieczy są isochroniczne z drganiami jakie wydawałaby sztaba z ciała stałego téjże długości, i którego by materiał posiadał ściśliwość jednakową z cieczą.

Wypadki na szybkość głosu w wodzie, znalezione za pomocą tonów wydawanych przez rurę od organów, zanurzoną w wodzie, zgodne są z doświadczeniami wprost wykonanemi na jeziorze genewskim przez pp. Colladon i Sturm. (*Annales de Physik Gay Lussac* 1848).

* W następny sposób Scott. Russell tłumaczy różnicę głosu, jakiej doświadczają dwie osoby jedna obok stojąca, druga szybko przez lokomotywę unoszona w kierunku ciała dźwięk wydającego. Głos gwizdawki maszyny parowej stałej na linii kolei umieszczonej, słyszany jest przez podróżnego wziętego pociągiem według nuty odmienniej, aniżeli przez osobę przy maszynie stojącą. Ton dźwięku muzycznego oznacza się liczbą drgań, jakie ucho w jednej sekundzie doświadcza; 32 drgania na sekundę rury od organów, daje ton główny; większa lub mniejsza ilość drgań sprawia wyższy głos. Te drgania przechodzą jak wiadomo z prędkością 1024 stóp ang. na sekundę. Jeżeli więc obserwator na wagonie umieszczony, zbliży się z prędkością około 4000 metr. na godzinę ku przedmiotowi dźwięk wydającemu, wtedy w jednej sekundzie po drodze spotka większą liczbę fal głosowych, aniżeli gdyby stał w miejscu; przeciwnie, jeżeli oddała się od przedmiotu głos wydającego, natrafi stosunkowo na mniejszą liczbę drgań powietrza. W pierwszym razie usłyszy o pół tonu wyższy, w drugim o pół tonu niższy głos, aniżeli osoba stojąca w jednym miejscu. Jeżeli lokomotywa świst wydająca i obserwator oboje są w ruchu i zbliżają się ku sobie, stosunek zmiany tonu wzrośnie podwójnie, podczas wzajemnego zbliżania się o dwa półtony wyżej, a podczas oddalania o tyleż niżej. (*L'Institut* 1848 Sept.).

* Grove dostrzegł, że drut platynowy rozpalony przez strumień elektryczny, znacznie się oziębia skoro zostanie zanurzonym w atmosferze gazu wodorodnego. Rury mające w swym środku druty platynowe, złączone z stosem, napełniał różnemi gazami, jakoto: wodorodem, kwasorodem, azotem, kwasem węglowym i t. p., i wstawiał w wodę, w której były umieszczone delikatne termometry. Po pewnym czasie trwania strumienia elektrycznego okazało się, że druty mocniej były rozgrzane we wszystkich innych gazach, aniżeli w czystym wodorodzie. Fakt ten trudny do wyjaśnienia, ma miejsce tylko w mniejszym stopniu i w innych gazach, w których skład wchodzi wodoród i węgiel.

CHEMIA.

Na posiedzeniu akademii umiejętności paryzkiej w dniu 4 grudnia r. z. zawiadomił p. Dumas w imieniu kommissyi złożonej z niego, oraz pp. Thénard, Pelouze i Regnault, do badania papierów i atramentów bezpieczeństwa, o najwłaściwszym sposobie wyrabiania tego rodzaju papieru.

Jakkolwiek przedmiot powyższy tylko w części należy do dziedziny chemii, z powodu jednak nadzwyczajnej jego ważności, obszerniej się nim podług dziennika *L'Institut* z 6 *decembre* 1848 r. zajmiemy; odwołując się do wiadomości z tą rzeczą związek mających, umieszczonych w Chemii policyjno-prawnej, wydanej w r. 1844 przez Radę Lekarską królestwa polskiego str. 434, gdzie jest mowa o śledzeniu pism pofalszowanych. W następnych słowach sprawozdawca swój raport przedstawia:

„Od kilku lat wezwani przez rząd do udziału w kommissyi badającej administracyjnie powyższą okoliczność (papierów i atramentów bezpieczeństwa); członkowie téjże kommissyi szli krok w krok za rozwijaniem się niniejszego przedmiotu w rękach biegłych artystów, nim się zajmujących. Nie zaniedbali niczego do podbudzania ich gorliwości, do dopomagania im w usuwaniu trudności, ale jednocześnie niczego także nie szczędzili, stawiając różne przeszkody przy zastosowaniu praktycznym, aby nie skrzywić głównej zasady, zatwierdzonej jeszcze przed dziesięciu latami przez akademią. Sądzą że dogodzili życzeniom akademii, gdy wszelkie przeszkody tamujące postęp najlepszego podług niej sposobu, zostały przezwyciężone, i gdy doświadczenie przekonało, iż jedynie na téj drodze można dojść do pewności. Byłato długa i mozolna praca: jeszcze bowiem pod dniem 13 lutego 1826 r. minister sprawiedliwości zasięgał zdania akademii, jakieby mogły być środki użyć się dające przez administracją dla przeszkodzenia licznym nadużyciom wynikłym z zafalszowania pism publicznych lub prywatnych, a tém samém zastonięcia skarbu publicznego

od strat ponoszonych w skutek wywabiania pisma z papieru stęplowego.

„Po długich poszukiwaniach, kommissya przeznaczona do rozpoznania tego ważnego przedmiotu, w zdaniu sprawy z dnia 6 czerwca 1831 r. zawiadomiła, że są dwa sposoby zarówno dobre, aby nie można było wywabić pisma z papieru stęplowego: a z tych jeden przynajmniej utrudza nadzwyczajnie falszowanie tegoż pisma.

„Akademia dzielając zdanie swój kommissyi, radziła administracyi zastosowanie atramentu niedającego się wywabić, przez co postawionoby zawadę falszerzom i wywabiaczom pism. Atrament ten przystępnej ceny, robi się z tuszu chińskiego rozartego w wodzie zaostrzonej kwasem solnym do ciężaru gatunkowego 1,010: bardzo dobrze on opiera się wszystkim działaczom chemicznym, a nawet czysto mechanicznemu wycieraniu, jeżeli pismo stosownie wpoilo się w papier. Uznając jednak z drugiej strony jak trudno jest, ażeby wszyscy mogli używać wskazanego atramentu, głównie do pisania na papierze stęplowym; akademia doradzała wydrukować atramentem zwyczajnym, dającym się wywabić, w środku każdego arkusza papieru stęplowego winietę, która by zniknęła za usiłowaniami wybielenia do powtórnego użycia, pomienionego papieru.

„Wnioski te ze względu na ich zastosowanie były głęboko rozważane przez administracyą. Światłe uwagi pp. Colmont inspektora dochodów skarbowych i Cordier inspektora dóbr pod d. 18 lipca 1836 r., podane ministrowi skarbu, okazały, że łatwą jest rzeczą zastosować winietę zrobioną atramentem dającym się wywabić, tak, jak to radzi akademia, używszy do tego deski drewnianej, na której rysunek wryto wypukło, lub téż za pośrednictwem zwyczajnych czcionek drukarskich.

„Okolo tegoż czasu, tak rząd jako téż i akademia zastanawiali się, czyliby nie można było używać papieru, którego miazga zawierałaby w sobie niewidzialne odczynniki, farbujące się od działaczy służących do wywabiania atramentu i zdolnych pod ich wpływem mocny przybiierać ko-

lor. Również radzono, aby każdy arkusz papieru złożyć z dwóch jakby tabliczek cienkich, a pomiędzy niemi w środku dać winietę odbitą atramentem zwyczajnym, ta niekiedy natychmiast z piśmem, za użyciem środków zwyczajnych wybielających, lub wywabiających”.

W dwóch nowych sprawozdaniach z r. 1837 przyjętych przez akademię, okazano, jakie były wypadki prac kommissyi, wynikłe z badania powyższych sposobów.

„Papiéry napojone odczynnikami chemicznymi, nie odpowiadały celowi zamierzonemu przez kommissyą. Wiele bowiem tych papierów, a nawet i później wyrabianych, zawierają sinki żelaziste; wprawdzie przez to nabywają znakomitej czułości na zwyczajne odczynniki, używane do bieleńia i fałszowania pisma; skoro jednak sinki żelaziste są nierozpuszczalne, można wynaleźć środki zniszczenia pisma, bez zmienienia koloru świadka ukrytego w papierze. Gdy sinki żelaziste są rozpuszczalne, można nasamprzód zabrać odczynnik, a dopiero wtedy wywabić pismo, poczem znówu papier napoić tymże czułym odczynnikiem.

„Oprócz tego, ponieważ zdarzyć się może, że odczynnik pod wpływem powietrza mniej więcej wilgotnego zmienia cokolwiek papier, a chociażby zaś to odbywało się powoli, po znaczniejszym jednak upływie czasu, własności tegoż mogą mocno być nadwerżone. Należałoby więc przed doradzaniem użycia którego odczynnika, zapewnić się przez długie doświadczenie, że nie posiada pod tym względem skutków szkodliwych.

„Wreszcie sinki żelaziste, będące najczulszemi, a zatem i najdzielniejszymi odczynnikami, użyte nawet w małej ilości, tak zwiększają palność papieru, że tenże częstokroć płonie naksztalt hubki.

„Z tychto powodów kommissya nie zaleca używania tych rodzajów papierów z roku 1837. Odtąd pomimo rozlicznych usiłowań robienia papieru na powyższej zasadzie, nikt nie potrafił usunąć ciężkich zarzutów, dopiero co wyszczególnionych.

„Wtedy także kommissya udzieliła niekorzystne zdanie o papierze złożonym z dwóch arkuszy, mającym w środku winietę dającą się wywabić. Okazało się bowiem, że ten papier daje się rozłupać, już to dobrowolnie, już téż przez zastosowanie łatwych środków mechanicznych, a pismo może być z powierzchni wywabione, bez nadwzięcia winiety wewnątrz. Łatwo zaś fałszować go zwyczajnymi sposobami litograficznymi. Wreszcie kommissya nie była przekonana, ażeby papier tak przyrządzony posiadał warunki trwałości, wymagane od papieru stęplowego.

„Od tego jednak czasu papier z wewnętrznymi winietami wszedł z korzyścią w użycie towarzystw i domów handlowych, którym nie szło o powyższe względy, ani o to, czy to papier był klejony krochmalem czy téż galaretą, albo czyli był cieńszy lub grubszy, mniej więcej klejony, i mocniejszy lub słabszy.

„Papier powyższy w bardzo cienkich arkuszach i słabo klejony, łatwiej przesiąka atramentem, i utrudnia fałszowanie. Sposób jednak jego wyrabiania, nie da się zastosować do papieru stęplowego; rząd zaś słusznie utrzymuje, że powinien mieć papier mocny, od ręki wyrabiany, klejony galaretą, i zdolny przez długie lata do przechowania dowodów na nim napisanych.

„Poszukiwania kommissyi wyznaczonój przez akademią, przypadły jednocześnie ze zmianami zaprowadzonemi w wyrabianiu papieru, ta zaś okoliczność stanowi pozorną sprzeczność we wnioskach pierwszego jój raportu z następnymi. Wyjaśnia się zaś to w sposób następujący:

„W czasie, gdy pierwsze sprawozdanie kommissyi zatwierdziła akademia, papier w handlu znajdujący się, po większej części był jeszcze dawnymi sposobami wyrabiany, czyli robiono go od ręki i klejono galaretą. Taki papier od tuszu chińskiego zakwaszonego, z łatwością i głęboko jest przesiąkany i pismo ztąd powstałe nie daje się wywabić; słusznie więc zrobiła akademia, polecając go do używania. Wkrótce jednak zaczęto robić papier za pośrednictwem machin, kleić go krochmalem i żywicą, a niska cena usunę-

ła pierwszy z handlu; ten drugi papier z trudnością od tuszu zakwaszonego jest przesiakany, a ztąd pismo z łatwością przez płukanie i środkami mechanicznymi z niego zniszczone być może, chociażby nawet opierało się działaniu odczynników chemicznych. Napróżno starano się zaostrzyć ciecz przez alkali, zamiast przez kwas, do rozcierania tuszu; obadwa te atramenty, okazały w użyciu, że nie mają pierwszeństwa przed atramentem zwyczajnym. W skutek więc zmian zaszytych w papierniach, porzucono myśl używania atramentu niedającego się wywabić.

„Pozostało przeto przekonać się o stopniu pewności z zastosowania zewnątrz winiety dającej się wywabić; sposób bowiem ten zdawał się dotąd najlepszym. W tym celu ówczesny minister skarbu p. Lacave-Laplagne wyznaczył zadanie do nagrody; w skutku nadesłanych prac, pp. Zuber, Knecht i Beurges otrzymali zachęcające pochwały, ale kommissya sądziła, że zadanie jeszcze nie zostało rozwiązane. Wśród jednak tego czasu, gdy minister odesłał do akademii pracę pp. Colmont i Cordier, p. Grimpé powziął myśl szczęśliwą zmienienia jednego z warunków akademii, nie ubiegając się o wyznaczoną nagrodę. Znakomity ten artysta, wchodząc w myśl akademii, starał się przez zastosowanie winiety dającej się wywabić położyć tamę tak wywabianiu pisma, jako też jego falszowaniu. W tym celu usiłował zrobić winiętę mikroskopową, którąby cała powierzchnia papieru złożona z linii cienkich, trudnych od ręki do naśladowania była pokryta; te linie robione są atramentem dającym się wywabić wszystkimi odczynnikami niszczącymi pismo, a nie mogą się przywrócić najbieglejszą ręką, ani żadnym sposobem przez wyciskanie.

„Pierwsze próby p. Grimpé, zyskały zupełne zadowolenie kommissyi. W dalszym ciągu pracy swój, tenże wynalazca korzystał z wszystkich rad i spostrzeżeń, do polepszenia, a nawet odmieniania swego wynalazku. Sposób jego polega na powleczeniu papieru rysunkiem czyli winiętą ogólną, odbitą za pośrednictwem walca na każdym jego boku, atramentem dającym się wywabić. Jaki być ma

rysunek i sposób wyrobienia go na walcu, również jaki skład atramentu, papieru: od lat jedénastu stanowiło to przedmiot ważny rozważania i rozpraw członków kommissyi.

„Na powierzchni płaskiej lub walcowatej można rysować znaki cienkimi liniami, dające się na papierze odcisnąć, a to albo za pośrednictwem tokarni do zaokrąglonego rycia (tour à guillocher), bądź też używając różnych znanych machin do rytowania, albo naostatek przez zastosowanie pół-walca (mollet) stalowego z rysunkiem, któryto rysunek przez mocne ciśnienie odbija się na walcu miedzianym.

„Ten ostatni sposób, podług którego tworzy się zawsze rysunek jednakowy, przyjęty został przez p. Grimpé. Od jedénastu lat, kommissya zastanawiając się nad powyższym przedmiotem, daje mu dotąd przed innymi pierwszeństwo.

„Stosując rozmaite kształty geometryczne do powyższych winiet, kommissya dała pierwszeństwo gwiazdkom mikroskopowym, jako najtrudniejszym od ręki do naśladowania.

„Że te gwiazdki robią się zupełnie jednakowe, pochodzi to ztąd, iż są utworzone za pośrednictwem pręcika stalowego, który na końcu ma jedną taką gwiazdkę, wyrytą przez najbiegłego artystę, najściślejszymi sposobami mechanicznymi. Powyższym pręcikiem zahartowanym, wybija się gwiazdka w różnych miejscach obwodu walca stalowego niehartowanego; ten pierwszy walec dobrze zahartowany, mocno ściska się z walcem stalowym nie zahartowanym, i tym sposobem tworzy się na nim rysunek, którym pokryć można całą jego powierzchnią. Ostatnie te walce znowu z kolei zahartowane i ściskane z walcami miedzianymi, pomnożyć mogą do nieskończoności obraz pierwotny, pokrywając je gwiazdkami jednakowymi, łatwymi do porównania i zupełnie zdatnymi do wyciskania na papierze.

„W pierwszych doświadczeniach p. Grimpé, walce przeznaczone do wyciskania, ryte były wklęsto, dzisiaj ryją je wypukło. Jakkolwiek różnica ta zdaje się mało znaczącą, zasługuje jednak na wytłumaczenie, bo pociąga za sobą najważniejsze skutki.

„Kommissya akademii zawsze utrzymywała, że papier zabezpieczający z winietami, takimi winietami powinien być powleczoney, aby ich nie można było naśladować od ręki; te zaś musiałyby być wyrobione atramentem zupełnie podobnym do atramentu zwyczajnego; a wtedy wszelkie usiłowanie sfalszowania winiety zaraz się okaże, gdyż nie można będzie naprawić rysunku zepsutego lub nadwerżonego.

„Różnych prób robionych we względzie papieru bezpieczeństwa, wynikł następny wniosek, który zapewne w przemyśle znajdzie wielkie zastosowanie:

„Odciskanie rysunku cienko-linijnego może być uskutecznione atramentem wodnistym tylko wtedy, skoro rysunek zrobiony będzie wypukło; w przeciwnym razie do podobnego rysunku zrobionego wklęsło, używa się farby tłustej.

„Dokąd więc p. Grimpé używał walców rytych wklęsło, brał do nich atramenty wywabić się mogące, zagęszczone lakierami, i przez to różniące się od atramentu zwyczajnego piśmiennego. Skoro zaś zastosował rysunek wypukły, mógł bez żadnej trudności robić odciski atramentem zwyczajnym. Życzenie więc kommissyi zostało spełnione.

Niektórzy członkowie kommissyi po dojrzałej rozwadze, sądzili, że możnaby doradzić administracyi papieru stęplowego, ażeby tenże tylko od ręki arkusz po arkuszu wyrabiano, aby klejono go galaretą; z tychto powodów papier powyższy bywa nieco nierówny i chropowaty.

„Długo p. Grimpé czynił nam pod tym względem szczegółowe zarzuty, ale te nie potrafiły zachwiać naszego przekonania. Dzisiaj p. Grimpé wybija papier stęplowy równie dobrze lub lepiej jak papier bez końca. Jego powierzchnia chropowata nie stanowi żadnej rzeczywistej przeszkody, a jeżeli wktadanie arkuszy pod walec pociąga za sobą jakie koszta, których uniknęłoby się biorąc papier bez końca; korzyść jednak ze zbywania papieru, trwać przynajmniej przez cztery wieki mogącego, zasługuje na wzgląd. Tak przeto spełnione zostało życzenie nasze, do którego z usil-

nością dążyliśmy: aby bez zmiany natury papieru, powlec jego obiedwie powierzchnie rysunkiem od ręki naśladowac się nie dającym, niemogącym być przeniesionym na kamień, do sfalszowania niepodobnym, i napisanym atramentem takim samym, jak atrament zwyczajny do pisania.

„Sposób zalecany przez p. Grimpé i następnie ulepszony, posiada wszystkie powyższe korzyści.

„Ale z swój strony i litografia stanęła do walki, i niemało wpłynęła na podanie sposobów do zwalczenia stopniowo wszystkich trudności. Trzech dobrych artystów pp. Knecht, Quinet i Lemercier, podawali rządowi i kommissyi ciekawe wypadki swych dociekań, częstokroć godnych zachęcenia.

„Dokąd litografia poprzestała na używaniu swych zwyczajnych sposobów postępowania, musiała używać farby tłustej lub też lakieru (wernixu), czyli atramentów różnych od zwyczajnego. Skoro zaś zaczęto używać kamieni wypukło-rytych, mogła i ona zastosować do swych wyrobów atrament zwyczajny do pisania.

„Tak więc litografia może utworzyć na jakimkolwiek papierze rysunek z bardzo cienkich linii, który odbić można atramentem wodnistym pisma zwyczajnego. Ale nieznanne są jeszcze litografii sposoby mechaniczne, za pomocą których można otrzymywać do nieskończoności też samą figurę na kamieniu. Musi ona użyć pomocy machin do rytowania, które wykonywają robotę w liniach zaokrąglonych, narysowanych punktem ostrym na lakierze pokrywającym kamień. Powszechnie wiadomo jak jest trudno z zupełną pewnością za pośrednictwem powyższych machin kilkakrotnie też samą figurę uskutecznić.

„Ale za pośrednictwem litografii odbić można tanim kosztem na papierze, rozmaite rysunki handlowe, odznaczające się tak pięknnością wykonania, i obejmujące tak wiele szczegółów, że trudno je ręcznie sfalszować. Kupcy przeto bardzo wiele zyskaliby bez kosztu, przyjąwszy winiety litograficzne, robione atramentem dającym się wywa biał.

„Rozważając tę okoliczność, trzech członków z wyznaczonój kommissyi, przeznaczonych do nowego rozbioru po-

wyższego zadania, takie wynurzyli zdanie w swych następnych, wnioskach podanych ministrowi skarbu.

„Członkowie oddzieleni z głównej kommissyi do papierów stęplowanych, którym polecono było wybadać sposoby pp. Grimpé i Lemercier, po uskutecznieniu potrzebnych doświadczeń i porównań, oświadczają:

1) „Że nowe zbadanie rzeczy, utwierdziło ich przekonanie, iż zdanie wydane przez akademią umiejętności i poprzednio wyznaczoną kommissyą było ugruntowane. Uważają oni sposób tego artysty jako szczególnie dobry do przeszkodzenia wymycia papieru stęplowego, a nawet w najczęstszych razach i sfalszowania cząstkowego.

2) „Muszą także zwrócić uwagę na dokładne postępowanie i wypadki otrzymane przez p. Lemercier. Szczęśliwe pomysły pozwoliły mu za pośrednictwem litografii, oszczędnie, z pewnością i prędko otrzymywać papiery, które chociaż nie zalecają się dokładnością papierów p. Grimpé, mają jednak ważne korzyści, których handel użyć może dla zapobiegania fałszowaniu pisma.

3) „Członkowie powyższej oddzielnej kommissyi oświadczają, że pewność papierów p. Grimpé polega: 1) Przeciw cząstkowemu sfalszowaniu: na nadzwyczajném utrudzeniu w naśladowaniu ręcznym rysunku przyjętego przez tego artystę; 2) przeciw całkowitemu sfalszowaniu: na niepodobieństwie przeniesienia go na kamień litograficzny; 3) a co się tyczy naśladowania: na pewności, że piętno (type) pierwotne nie da się naśladować.

„Akademia pojmuje powody wstrzymujące kommissyą od przedstawienia licznych prób, na których zdanie jój jest ugruntowane. Mielśmy obowiązek sprawdzić wszystkie znane sposoby fałszowania pisma, ulepszyć je, wynaléć nowe na przypadek potrzeby. Tego wszystkiego dopełniliśmy, i mamy w ręku niewątpliwe dowody, że każdy stępel lub rysunek dotychczas znany, może być sfalszowany lub podrobiony. Lecz również jest naszym obowiązkiem zachować o ile to było w naszej mocy tajemnicę tych szkodliwych prób, udzielając o nich wiadomości jedynie rządowi. Oto

są powody wzbraniające nam przedłożyć akademii wypadków naszych doświadczeń, i dla których ograniczyć się musieliśmy na prostém zawiadomieniu, obejmującym twierdzenia i wnioski czysto osobiste.”

* W dniu 18 grudnia r. z. p. Saint-Preuve czytał w akademii umiejętności paryzkiej rzecz o papierach bezpieczeństwa. Poleca on do powyższego celu papier potrójny, złożony z arkusza wewnętrznego stosownej grubości, i z miazgi dobrej wyrobionego: na tym arkuszu skutecznie trzeba rysunki atramentem dającym się wywabić; dwa arkusze zewnętrzne mają być nadzwyczajnie cienkie i wyrobione z miazgi przegniłej. Wynalazca sądzi, że na tym papierze fałszować będzie nadzwyczajnie trudno, zwłaszcza skoro do jego cech wewnętrznych doda się znaki zewnętrzne, słusznie zalecone przez akademią. (*L'Institut* z 20 Decembre 1848).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

W amerykańskiej gazecie Cincinnati, czytamy następującą ciekawą wiadomość o obyczajach zwierząt menażeryjnych: autor jój zwiedzał o północy w towarzystwie przewodnika menażeryą Raymonda i Warrynga. Słoń nie spał, jak książki uczą, stojąc, tylko leżąc; inne zwierzęta spoczywały w najwzdzięczniejszych, często klassycznych postawach. Lew i tygrys, lampart i pantera uprzejmie pozawijały na siebie łapy. W każdej klatce która kilkoro zwierząt obejmuje, prawem jest bezwyjątkowém, jak przewodnik zapewnia, że jedno zwierzę czuwa, podczas gdy inne śpią; ta straż jeżeli nie w oznaczonym czasie, to jednak regularnie się zmienia; wchodzi ona i zchodzi, i troskliwie unika hałasu mogącego obudzić śpiących; czasem się i położy, ale zawsze obliczem do frontu klatki zwrócona; nigdy jednak

nie zaśnie nim złózowaną nie będzie. Tomasz Cart, najstarszy w Stanach Zjednoczonych zwierząt obłaskawiacz, i również długoletni właściciel menażeryi, zapewniają, że zwyczaj ten nigdy się nie nadweręza. Dwa słonie potrzebują dziennie 500 funtów siana, gatunki drapieżne 100 do 120 funtów mięsa, a mały, ptaki i drobne zwierzęta wielkich ilości owoców, kartofli i warzyw. (*Frör. Not. nr. 125 z The literary Gazette nr. 1614, 1847*).

* D. 15 lutego 1846, rewirowy leśniczy Marz, w szwabskich alpach zastrzelił rysia samca, pięknie upstrzonego i wążącego 44 funty. Według dra Jaeger, od końca XVI wieku nie ubito w Wirtemberskiém rysia. (*Id. nr. 132 z Würtemb. naturwissen. Jahreshfte 1846, Ht. 1*).

* Żaden nowy dla historii naturalnej przedmiot nie zastanowił tyle w chwili ukazania się swojego, ile dziobak (*Ornithorhynchus paradoxus*), wkrótce po odkryciu przez Cooka piątą częśći świata, poznany na jój wielkiej wyspie, dziś Nowej Holandyi nazwisko noszącej. To czworonożne i siercią pokryte zwierzę, a dziób wodnego ptaka mające, do tego stopnia dwoistą zapowiadało naturę, że gdy jedni znakomici zoologowie (1) odmówili mu wcale organu do karmienia dzieci; drudzy (2) zaledwie mogli przekonać, że ten organ u dziobaka jest niemniej wyraźny jak u wszystkich zwierząt ssących. Ztądto przyszło do owój powszechnie znanój. pamiętnej sprzeczki między Ryszardem Owenem zootomem angielskim, a Stefanem Geoffroy Saint-Hilaire zoologiem francuzkim, z których pierwszy ogłosił to zwierzę za najrzeczywiście żyworodne, gdy drugi zacięcie obstawał przy zdaniu swoim, że dziobak jest jajorodny. Wyznać wszakże potrzeba, że ostatni uwodzić się musiał doniesieniami kilku wędrowników, a w szczególności p.p. Garnot i Lesson, przez których rozgłosiło się po Europie, że osadnicy Nowej Holandyi sądzą, iż dziobak jaja niesie. Podobne doniesienia zadaleko nawet poprowadziły niektó-

(1) Blumenbach, Stefan Geoffroy St.-Hilaire.

(2) Blainville, Richard Owen, G. Bennett, Meckel i t. d.

rych pisarzy: do liczby takich należy bezimienny autor podania umieszczonego w *Antologii florenckiej*, gdzie jest powiedziano, iż dziobak niesie w gniazdo dwa jaja białe mniejsze od kurzych, i że samica długo je wysiaduje, jak ptaki. A jakkolwiek nierównie później uczony zoolog angielski Bennett, sam śledząc gniazda dziobaków, znajdował w nich młode, tylko co urodzone (2 cale długie), a obok nich nie dostrzegł śladu skorup: jakkolwiek chowając w izbie inne młode (10 cali dług.) wraz z matką, wyciskał z jej brodawek do karmienia pewną, lubo bardzo małą ilość mléka, nie było wszakże dostateczne jeszcze pobudki dla uczonych europejskich, do bezwarunkowego uznania dziobaków za jajorodne zwierzęta (1).

W *Comptes rendus* (nrze 7 z r. z. *Fror. Not. nr. 128*) znajduje się najświeższa w téj mierze wiadomość, udzielona przez J. Verreaux, podług którego dziobak jest zwierzęciem w Tasmanii, a mianowicie nad rzeką New-Norfolk, w spokojnych zatokach bardzo pospolitým. Pływa on i nurza się nader szybko, żywi się wodnymi owadami i zwierzętami miękkimi, i zresztą nie jest wcale zwierzęciem nocnym, lubo woli w nocy być czynnym. Verreaux chował wiele tak starych jako i młodych, i uważał na sposób ich ssania. Ilekroć matka wyszła na miejsce miąłkie pomiędzy roślinami wodnymi, albo gdzie żadnego pędu nie było, młode tuliły się do niej, i tym sposobem wyciskały mléko, które, na wodzie pływające, chciwie polykały wśród nieustannego kręcenia się wkoło. Co dzień i co noc powtarzała się ta scena. Młode umęczone się, wlażyło na grzbiet matki, która wychodziła na ląd i rozpoczynała z nióm pieczęty.

* Podług prof. W. Rapp, płód przeżuwających zwierząt, przez żaden układ naczyń nie łączy się z matką: tworzy on

(1) Bennett chował te ostatnie przez 5 tygodni, a nie pisze czyli i jak karmiła je matka. Może téż to była epoka w której przestawały ssać, co zdaje się potwierdzać bardzo mała ilość mléka w karmiącym organie samicy znalezionej. A. W.

kręć sam sobie, ale otrzymuje od macierzyńskiego organizmu potrzebne mu do wykształcenia się materje. Płodowi zwierząt workowatych nie dostaje łożyska, a jaje nie jest do macicy przytwierdzone. Zwierzęta z rodz. jelenia mają ze wszystkich przeżuwających najmniej łożysk, t. j. około 10, ale za to najlepiej rozwinięte; owca ma ich około 50, a koza 100. Liczba ich i wielkość odpowiadają talerzykowatym gruczołom dwurożnej macicy. U wielbłąda i lamy, cała powierzchnia jaja naczyń pełna, zastępuje miejsce łożyska; to samo jest i u tęgoskórnych. Z ukośnych rurek złożone gruczoły macicy przeżuwających, wyłączają nieprzezroczystą, białą, do mleka podobną, a jak się zdaje, w białko obfitującą ciecz, którą naczynia krwiste łożyska wsysają, i ona służy na pożywienie płodowi. Weny łożyska w rodz. jelenia, kłap nie mają; wtryskiwanie zupełniej się udaje przez nie, niżeli przez arterye. (*F. N. nr. 130 z Würtemb. naturw. Jahreshfte. 1845 Heft 1*).

* Czytamy uwagę w *The Gardner's Chronicle* (nrze 50 z r. 1847), że bojaźń przed człowiekiem zdaje się dopiero zwolna i niejako dziedzicznie wchodzić w ptaki. Odkrywcy nowych wysp zastali na nich ptaki tak niełkliwe, że łatwo kijem lub kamieniem zabić się dawały, gdy potem nauczyły się zwolna w człowieku nieprzyjaciela swojego poznawać i uciekać przed nim, a ta obawa przeszła dziwnym sposobem i na ich młode, które go nigdy nie widziały. Dzik i domowa kura nie różnią się zworzowo, a jednak kurczęta piérwszej z kurczętami drugiej przez jedną kurę wysiedziane, uciekają przed człowiekiem, gdy kurczęta swojej kury nic o téj obawie nie wiedzą (1). (*Fror Not. nr. 123*).

(1) Ta różnica jeszcze się lepiej wykazuje, gdy z wielu kaczętami domowemi wylęgnie się jedno dzikie, z jaja kaczki dzikiej, podłożonego pod domową na swoich siedzącą. Za zbliżeniem się człowieka ku stadku, w którym na oko nie daje się rozpoznać dzikie, wnet samo się ono wyda, uciekając wtedy na stronę i dążąc do kąta, gdy inne pozostają na miejscu.

A. W.

* W *Comptes rendus* (nrze 7 z r. 1848) czytamy uwagę p. Jobard, podług którego nie tak jest jak prawie powszechnie sądzą, że ledwie widoczne wahanie skrzydeł, kołyszącego się w powietrzu ptaka, trzyma na jedném miejscu, lecz nagłe wypływanie ogrzanego powietrza z otworów na spodniej stronie skrzydeł leżących, a które środek ciężkości utrzymuje. Rybacy z Ostendy pędzą nieraz przed sobą całe stado mew, które, po przewierceniu im kości udowej, ledwie usiłowanie robią do lotu, zupełnie jak machina parowa, która, gdy rura przy niej stanie się nieścistą, traci parę a z nią i siłę. (*Id. nr. 127*).

* Zwyczajne sowy, brunatna i biała (1), wcale nie są tak szkodliwe, jak wielu jeszcze mniema; owszem słusznieby mogły być oszczędzane i utrzymywane, ponieważ głównie żywią się myszami i szczurami, i tylko w rzadkich przypadkach porywają mniejsze ptaki i ryby. Dwa te gatunki zdają się w nieprzyjaźni żyć z sobą, bo cztery białe sowy z którymi do wspólnej klatki jedną brunatną wpuszczono, z wściekłością uderzyły na tę ostatnią i wkrótce ją zatłukły. (*F. N. no 119 z The Gardner's Chronicle no 46, 1847*).

* Tak nazwany słowik wirgiński (*Coccothraustes indica cristata*), podług Fanny Roy, niesłusznie to nazwisko otrzymał, bo jego śpiew jednostajny i najmniej przyjemny, nie wyrównywa nawet śpiewowi ludarki albo skowronka. Ptaszek ten zdaje się być oprócz tego bardzo lęklwym i trudnym do oswojenia, lecz uderza na pierwsze spojrzenie wspaniałością swojego pierza. Najulubieńszém pożywieniem jego jest proso. John Abbot potwierdza to samo zdanie, mówiąc, że jego śpiew niezły jest wprawdzie: jest nucący, bardzo głośny, ale jednostajny; powtarza tę samą nutę częstokroć ośm do dziesięciu razy, nim do innéj przejdzie. Śpiewa przez ośm miesięcy w roku, i nie dałby się wcale z naszym słowikiem porównać. (*Id. nr. 120 ex eod. nr. 49 et 50, 1848*).

(1) Zapewne *Strix aluco* i *S. nyctaea*.

* W dziele o ptakach Jamaiki (*Birds of Jamaica*) przez p. F. H. Gosse, czytamy następujący opis, ściągający się do długoogoniastego kolibra na tej wyspie (1). „Niższy las składa się po większej części z krzewu należącego do rodziny trędownikowatych, którego kwiaty wprawdzie nie są piękne, ale dla długoogoniastego kolibra wiele mają powabu. W każdej porze roku krzew ten i kwitnie i szkarłatne rozwiesza jagody; dlatego rzadko się tam miłego ptaszka napróżno szuka. Najliczniej jednak znajduje się w marcu, kwietniu i maju. Nieraz przed południem po sto ich na tym miejscu widywałem. Zresztą, nie żyją one towarzysko, lubo może się zdarzyć że 3—4 razem wokół kwiatów tegoż krzaka bujają; każda wszakże ptaszyna sobą jest tylko zajęta i wyłącznie własną powoduje się skłonnością. W tych wyższych okolicach daleko więcej bywa samców, kiedy w nizinach samice są liczniejsze. W marcu znajduje się wiele indywiduów z ubarwieniem dojrzałego samca, ale bez długich piór w ogonie; u innych charakterystyczne pióra już dłuższe są, już krótsze. Sąto, według mojego zdania, samce z przeszłorocznego wylęgu. Często także zdarzają się z jedným ogonowým piórem daleko krótszým od drugiego, co tak możnaby wytłumaczyć, że krótsze wyrasta na miejsce utraconego przypadkowo. W czasie walk, które ptaszki w powietrzu z sobą staczają, jedno pióro niekiedy wypada. Gdy pewnego razu dosyć zgromadziło się tych ptaszków młodych, starty bój z sobą; co odbyło się tak głośno, jak podczas zwady wróblów. Kolibry niesłychanie szybko uwijały się wśród tej rozprawy, ale nie mogłem dojść właściwego powodu tego zakłócenia.

Autor nadaremnie przedsiębrał wielorakie usiłowania, chcąc oswoić te kolibry i żywe do Anglii przywieść. Długo uczył się łapać je bez uszkodzenia. Raz ułowił siedmiu w niczém nienadwerżonych.

„Te wkrótce oswoiły się zupełnie, i muszę namienić, że co do temperamentu, okazały się wielce odmiennymi: nie-

(1) Zapewne gat. długostérny *Trochilus polythmus* Lin. (*Ornismya cephalatra* Lesson).
A. W.

które były leniwe, inne bardzo bojaźliwe; inne zaraz po złapaniu bardzo łaskawe. Dla przyzwyczajenia, ich do izby i dó karmienia, użyłem bardzo prostego sposobu. Gdy otworzył kosz w którym się znajdowały, najwięcej ich fru-nęło ku jego przykrywie a nie ku oknu, i nie trącając się, w bliskości przykrywy bujały. Tykały jój tylko niekiedy zlekka dziobem lub piersiami, i zaraz odlatywał nazad. Zmęczwszy się tym sposobem, usiadały, a wtedy można je było zwykle podejmować, wsuwając im łagodnie palec pod piersi, którego uchwycały się nogami. Gdy ptaszek na palcu usiadł, przybliżyłem dziobek jego między moje wargi, mając w ustach nieco rozpuszczonego cukru. Niekiedy natychmiast chciwie ssać zaczynał; często wszakże musiałem pierwej dziobek wprowadzić, niżeli kolibr cukier uczuł. Jeśli jednak raz z ust się nassał, już go więcej nie trzeba było nakłaniać do tego; sam ich potem szukał. Wyuczysz-ty je tym sposobem i przyzwyczaiwszy, ażeby podczas ssania na wyciągniętym sznurku siadały, podawałem im syrop ze szklanką, co gdy się kilkakrotnie uczyniło, wiedziały już drogę do stojącego na stole naczynia z syropem i odtąd można je było za oswojone uważać. Bujały szarpliwym lotem wkoło izby i usiadały na sznurku. Nacierają często w powietrzu na siebie i wykonywały najprzyjemniejsze obroty, przyczem długie ich styrówki w szczególny poruszały się sposób. Te zbliżania się były zupełnie przyjazne, a ptaki nigdy się wśród nich nie trąciły. Dłużej i dokładniej uważając je, przekonałem się, że tylko dla złowienia drobnych owadów tak niestęchanie szybko przerzynały powietrze. Że nieraz za przedmiotem goniły, można było wnieść z ich poruszeń, a lubo owady zwykle były tak małe żem ich dojrzyć nie zdołał, słyszałem jednak kłapanie dziobem a po wielekroć wyraźnie widziałem, że muszki drobne chwytały. Często tylko na 1 lub 2 stopy odlatywały od sznurka i znowu nań powracały, zupełnie jak czynią prawdziwe muchołówki. W przecięciu każdy kolibr łapał przynajmniej trzy drobne owady na minutę, a to, z wyjątkiem

kilku przerw, przez cały dzień, od rana do wieczora". (*F. N. no 121 z The Athenaeum, nr. 1060*).

* P. Stanisław Kurnatowski, który zwiedził roku zeszłego Szkocją, otrzymał tam przez pośrednictwo dra Charltons trzy okazy jaj szkockiej pardwy (*Tetrao scoticus, Ang. Red Grouse*), i niedawno znajdując się w Warszawie oddał je do rozrządzenia mojego. Są one najpodobniejsze do jaj naszego cietrzewia. Wielkość jaja nierównie znaczniejsza jest niżeli ta, w której Thienemann je przedstawia; wszystkie trzy mają jednakową, ale co do ubarwienia każde jest odmienne, i zdaje się że dr. Charltons tym niedoborem trojga wyrazić chciał główne odcienia odmian. Ubarwienie jednego zgadza się zupełnie z figurą Thienemana (II na tab. XII). Ale drugi okaz ma na tle żółtawo-białém daleko rzadsze plamki i kropki, tak iż przybliża się raczej do fig. 4 tab. XIV w dziele Thienemana, przedstawiającej jaje siewki. Ostatni okaz najmocniej się od-dwóch innych różni plamami wpośród kropek bardzo wielkimi, jakich przykład u Thienemana tylko jaje alki lotnej (*Alca torda, fig. ostatnia w dziele*) przedstawia. Jaja naszego cietrzewia ulegają także niestałości ubarwienia, lubo nie w tym stopniu. Pardwa szkocka jest ptakiem, którego poza granicami Szkocji rzadko jedynie znajdowano, a nigdy go nie znaleziono poza granicami W. Brytanii. Jaja, które p. Kurnatowski od dra Charltons otrzymał, pochodzą z hrabstwa Northumberland w północnej Anglii. (*A. W.*)

* U kajmana szczupakowatego (*Alligator lucius*) znalazł Edward Fry znaczne w układzie krążenia różnice od tego co dotąd podawano. U jaszczurkowatych bowiem lewa komórka serca z lewym łukiem aorty tworzyć ma jeden pień wspólny, który się na dwa ramiona dzieli, zaopatruje przednią część ciała, i już *arteria innominata*, już *subclavia* i *carotis* nazywany bywa. Autor zaś, badając 5 stóp i 4 cale długiego kajmana, znalazł u niego dwa bocznie od prawego łuku aorty z opuszki (*bulbus*) lewej komórki wybiegające pnie, z których jeden bezpośrednio szedł do przednich członków, a drugi do góry, i ten wkrótce wydawszy

znaczną gałąź, t. j. lewą arterję podobojczykową, ciągnął się dalej po obudwu stronach wzdłuż dolnej powierzchni spodniej strony kręgow, i przez wyżłobienie w mięśniach, aż do kanału powietrznego dochodził, dosięgał tylnych nozdrzy, rozdzielał się w tém miejscu, posyłał gałęzie do strony dolnej mięśnia skroniowego, i równie dolną szczękę jako i boki głowy w krew zaopatrywał. Ta jedyna arterja, podług swojej funkcji, zastępuje karotydy, gdy swoim początkiem, rozchodzeniem się i końcem podobna jest raczej dolnej arterji polykowej (*arteria pharyngea*). Ponieważ żadne kręgowie zwierzę, o ile autorowi wiadomo, nie przedstawia nic podobnego, a w Müllera *Archiv.* tom 1 str. 174, Baly opisał krążenie u szczupakowatego kajmana, powyższy przypadek zdaje się być odstępianiem od normy. (*F. N.* nr. 113, z *The Annals and Mag. of nat. hist.* 1847 nr. 136).

* Na dwóch świeżych okazach jutrzniny dwutaśmowej (*Python bivittatus*), z których jeden prawie 5 metrów miał długości, badał Poelmann przyrząd trawienia. Żołądek nie tworzy tu, jak u innych węzów jednego nieprzerwanego kanału z gardzielem, ale przecięśnieniem odłączony jest od niego; składa się on z właściwego worka żołądkowego i rury odźwiernikowej. Kanał kiszkowy jest krótki, wszakże dłuższy niżeli u położów i wielorako pogięty. Kiszka cienka w niektórych miejscach okazuje zwężenia, i opatrzona jest wewnątrz kosmkami i nader małemi fałdkami. Kiszka ślepa krótka, oznacza początek grubiej, którą znowu dwie klapy od kloaki odłączają. Poelmann w wielu miejscach nie to pisze co Duvernoy, który także dwutaśmową jutrznę badał, i musiał ją zapewne z jakim położem pomieszać. Osobliwe ułożenie kanałów żółciowych, które Duvernoy u gatunków z rodz. *Trigonocephalus* odkrył, Poelmann znalazł i u jutrzniny; był i pankreatyczny gruczoł, ale brakowało śledziony. (*F. N.* nr. 115 z *L'Institut* 1848 nr. 734).

* Węże w okolicach podrównikowych nowego świata, nie są, podług hr. de Castelnau, liczniejsze co do indywidualów, niż w naszych umiarkowanych stronach, ale co do gatunków, jest ich daleko więcej: wszakże nierównie mniej

jadowitych, niżeli nieszkodliwych. Podczas 4½letniej podróży swojej w tych okolicach, widział on tylko 91 węży, które do 64 należały gatunków, i to 53 nieszkodliwych, a 11 jadowitych. Liczba indywiduów z pomiędzy ostatnich, wynosiła 21. W bardzo gorących okolicach Rio de Janeiro aż do Santa Cruz de la Sierra, znalazł 48, z tych 11 jadowitych; w Boliwii i Peru, w górzystych, często zimnych okolicach tylko 7; z tych jednego jadowitego w jednej gorącej dolinie Andów, inne zaś wśród powrotnej podróży przez Ucujale do rzeki Amazonki. Węże rzadko zachodzą wyżej nad 2000 metrów; dwa tylko indywidua znalazł nierównie wyżej: lecz obydwa były małe i całkiem nieszkodliwe. (*Id. nr. 112 ex eod. nr. 733*).

* Najpóźniejsze postrzeżenia w przedmiocie świerzbowego ocieklinka i choroby którą on sprawia (1), czynił we Francji dr. Bourguignon (*Gazette méd. de Paris, 11 mars, 1848*), i podług niego ocieklinek w nocy tylko ze swoich podkopów pod skórą wychodzi, zkąd wynika, że zarażenia we dnie, mimo ztykania się z chorym, są tak rzadkie. Podług dr. Bourguignon, świerzba nie ma żadnego związku i zależności z wewnętrznym organizmu stanem; zarażał się on dobrowolnie tą chorobą przez przesadzenie na siebie ocieklinka, i przekonał się, że tyleż ma do niej usposobienia co każdy inny człowiek. Materya świerzbowa z wrzodu, nigdy nie zaraża, jeśli się z nią ocieklinka nie przeniosło: zdaje się jednak, iż autor nie wiedział o ciekawém doświadczeniu Hartwiga, że samiec przeniesiony, zaszczepia wprawdzie chorobę, ale ta nie rozszerza się na ciało dalej za punkt w którym ten samiec siedlisko sobie obrał. (*F. N. nr. 117*).

* Powietrzne worki u owadów skrzydlatych, według Newporta, powstają w okresie przejścia od poczwarki do owadu dojrzałego, z rozszerzenia się tchawic, skrzydła zaś z fałd nowo ukształconej skóry pod starą. Tak nazwane żyłki skrzydeł, nie są, podług niego, czém inném jak prze-

(1) Porówn. *Bibl. Warsz. r. 1846 tom IV, str. 438, 440.*

dłużeniami wielkich pniów tchawic ciała. John Hunter domyślał się, a Newport podziela jego domysł, że te powietrzne worki, których żaden bezskrzydły owad równie jak i żadna gąsienica nie ma, służą do zmieniania według woli gatunkowego ciężaru podczas lotu; nie można zaś porównywać ich z pęcherzykami w organach oddychania u zwierząt kręgowych, ale raczej z jamami powietrznymi u płatków, które także po całym rozciągają się ciele. Nawet autor utrzymuje, że dostrzegał wzmocnionego oddychania u owadów przed ich wzniesieniem się na skrzydła: niejako rozdymają wtedy ciało nabraniem powietrza w te worki, przez co i gatunkowy ciężar i potrzebna do lotu siła mięśni dowolnie się reguluje. (*Id. nr. 117 z The Gardners Chron. no 51, 1847*).

* Na posiedz. Tow. Linneuszowskiego, d. 2 listop. r. z. czytał Newport o anatomii i rozwijaniu się pewnego gatunku majówki (*Oil Beetle*), ucząc, że zewnętrzne pokrycie ciała u niej, tworzy się najprzód i bezpośrednio z błony zarodowej (*blastoderma*), której komórki w najmłodszym stanie podobne są bardzo młodym komórkom u roślin. Zmiany kształtu embryona, są zupełnie od rozwijania się tej tkanki zależne. Pokrycie rośnie w skutek dzielenia się jej jąder komórkowych, które się stają nowymi i większemi komórkami i znowu jądra rozwijają, a te dzielą się nanowo; i tak, gdy wokoło jąder komórkowych nagromadza się zwolna materij ziemistych, powstaje skórnny szkielet w sposób podobny do kostnienia pacierzy u zwierząt kręgowych. Włoski i kolce powstają według niego, ze środkowego punktu pokryciowej komórki, i te są tylko nadmiarowemi rozwinięciami tej komórki. Zewnętrzny układ oddychania rozwija się w tém pokryciu w odstępach, pomiędzy komórkami skóry w ziarnistej tkance na boku ciała leżących. Zewnętrzne ujścia tego układu są z początku bardzo podobne do szparowatych otworów u roślin. Rogowa błona oka tworzy się u młodej majówki z warstw komórek skórných, które są bardzo podobne komórkom ogólnego pokrycia głowy, ale ustawione wokoło jednej, na środek błony rogowej (na

oś widzenia) przypadającój, dwa razy od innych większej. (*Id. nr. 121 ex eod. nr. 45, 1847*).

* Wiadomo, że mszyca chmielowa (*Aphis humuli*) rodzi skrzydlate i bez skrzydeł indywidua. Według Walkera, zjawisko to zostaje w związku ze zmianami miejsca pobytu i pożywienia. Mszyca chmielowa, która na tarninie z jaj się wylęże, rodzi drugie pokolenie które na krzak chmielu przechodzi, a tamże trzecie i czwarte pokolenie żyje. Odtąd zmniejsza się ich liczba; opuszczają chmiel i na tarninę wracają. (*Id. nr. 122 z Bibliothèque univ. de Genève, nr. 24, 1848*).

* Polujące mrówki Afryki zachodniej, które Westwood *Anomma arcens* nazywa, długie bywają na 1 $\frac{3}{4}$ do 5 linii, i tylko się wielkością pomiędzy sobą różnią. Ich państwo, jak domyśla się Savage, złożone jest z wojowników, które wędrującą armią zasłaniają, z robotników które grunt oczyszczają, a w środku kolumny mają staranie o indywiduach żeńskich, najmniej licznych, o jajach i o młodém potomstwie. Tylko w nocy albo w dni dżdżyste wychodzą ze swoich kryjówek, bo światło słoneczne wprost działające, jest zabojezem dla nich; niekiedy nawet za pomocą cieczy którą z siebie wyłączają, budują kryte przechody, któremi zchronione przed słońcem, za zdobyczą gonią. W dni pochmurne wojownicy tak ustawiają, że tworzą z ciał swoich sklepienie chroniące robotników, ale dlatego na najmniejszy szelest gotowe są do napadu i po odniesioném zwycięztwie wracają znowu do pochodowego porządku. Nie budują one właściwego gniazda lecz żyją w pulchnym gruncie spadzistych pagórków, pod rozkruszonemi skałami, i w zawalonych dolach. Nawet ogniem nie można ich całkowicie wytepić, ponieważ co żywo uciekają od niego i osiadają w sąsiedztwie. Wszystkie są bezskrzydłe. Wojownicy napadają i zdobywają łupy, które robotnicy do kryjówek zawlócą; tylko gdy znaczne niebezpieczeństwo zagraża, biorą i one udział w walce. Jeśli wypadnie przez strumień się przeprawić, wtedy największe indywidua ścisnąwszy się, tworzą most, przez który cała kolumna przechodzi. W po-

rze deszczów, kiedy często na długi czas w swoich podziemnych zamykać się muszą, staczają się niekiedy w wielkie kule, biorąc w środek indywidua samicze z jajami i gąsienicami, i tak powierzają się pędowi strumienia który je na brzeg zanosi. Długo głód znosić umieją i mają w ogólności wytrzymałe życie; narzędzia żyrowe odłączonej od kadłuba głowy, poruszają się jeszcze przez 24 godzin, a również długo i krew utrzymuje się w obiegu. Są odważne i silne, napadają i mordują wielkie zwierzęta, przy tém wszystkiém jednak zdają się być zupełnie ślepymi, bo śladu nawet organów widzenia dopatrzeć się u nich nie można. (*Id. nr. 118 ex eod. nr. 24, 1848*).

* *Anguinaria spatularia* Ellis, uważany dotąd za rzadki zwierzokrzewów gatunek, w mnóstwie znaleziony został przez Buska w zatoce Swanage, razem z *Notamia bursaria*, w głębokości 3 do 10 sążni morskich pod wodą. Otwór z którego polip wynikał, nie leży, jak dotąd mniemano na boku, ale raczej na wierzchołku; otwiera się on i zamyka kłapkę z téj saméj co polip substancyi. Na polipie wyraźnie widać z ukosa ciągnące się włókna mięśniowe, którym on swoją dobrowolną ściągalsność winien. Cały polip podobny jest, jak już nazwisko jego oznajmia, z głowy i ciała do węża; dolna tylko część jego rurki jest najozdobniej obrączkowana. Każdy polip złączony jest z drugim przez zbiegające się u dołu gałęzie, do których się najrozmaitsze gatunki inorszczyń przyczepiają. (*Id. nr. 123 z The Gardner's Chron. nr. 52, 1847*).

* Nicolet, *Organizacja i rozwijanie się słończyków* (*Actinophrys*), rodzaju polipowatych wymoczków. Ciało takiego zwierzątka składa się ze środkowego, kulistego jajecznika ze skórkowatą powłoką, która początki jaj, jakby drobne kulki otula; z warstwy śluzowato-ziarnistej, otaczającej jajecznik, której ziarna może także do rodnego przyrządu należą, i z drugiej, białej, przezroczystej, komórkowatej warstwy bez ziarek. Ta ostatnia tworzy zwierchnią skórę zwierzęcia; w niej się rozwijają przestrzenie próżne, które czynność trawienia przyjmują; z niej się także roz-

chodzą promieniste rozszerzenia, do uchwycania zdobyczy służące.

Co pewny czas nabrzmiewają pęczorzowate nabrzmiałości na powierzchni ciała, które stawając się cieńszymi, tworzą pomiędzy sobą rowki, a do tych pokarm się prowadzi i następnie trawi, lubo nigdzie na obwodzie ciała nie powstaje otwór. Słończyki mnożą się z jaj i z dzielenia się dobrowolnego. Jaja w liczbie 50 do 60, wychodzą pewnie skutkiem rozpęknięcia się macierzyńskiego zwierzęcia; wylęgającym się z nich młodem, jest *Halteria grandinella* Duj. jedyny gatunek tego mniemanego rodzaju. Zachowuje ona swój kształt, aż póki nie urosnie pięć razy większą niż z początku; wtenczas rzęsy jój stają się coraz słabszymi, przylepiają się nawet do spodniej strony ciała, promienie rozchodzą się we wszystkie kierunki, i słończyk jest ukształcony.

Autor uważał jeszcze rozwijanie się tego zwierzęcia z zarodków, które w wymoczku *Rotator inflatus* przedistnieją już w kilka godzin po jego śmierci, widąc jak powstają w nim wewnątrz drobne kuleczki; mnożą się one i powiększają, a po jakimś czasie ciemnieją. Wkrótce zwłoki wymoczka całe napętniają się nimi; każda kulka tworzy na nich brodawkowaty wyskok. Z powiększaniem się tych kulek, postać zwłok staje się coraz niemierzytelniejszą. Jeżeli się otworzy je w tym czasie, widzieć można jak każda kulka zmieniała się w ślepą, niemierzytelną, rozmaicie ukształconą rurkę, napętnioną cieczą ziarnistą. Na obwodzie zwłok, rurki te rozgałęziają się kolczysto, i znowu inne wejście całości nadają. Koniec każdego kolca otwiera się później i wypuszcza z siebie to co było w środku jego; z tego zaś na każdym punkcie końcowym rozwija się kuliste, ruchomemi rzęsami pokryte ciało i odplywa zwawą halterją, która skoro należycie podrośnie, w słończyka się przemienia. Może ten słończyk z niewiadomych autorowi przyczyn, już w ciele rotatora całkowicie się ukształca. Gdy rurki w jeden tylko przedłużają się kolec, a tém samym jedno tylko wypuszczają zwierzę, powstaje *Actinophrys pedicellata* Müllera. Jeżeli zaś

wynikają kolce rozgałęzione, a u nich wiele zawiesza się zwierzątek, całość tworzy rodzaj Ehrenberga *Dendrosoma*, z jednego tylko złożony gatunku.

Właściwe jaja słończyka są istotnie odmienne od zarodków w rotatorze; z tych ostatnich Haltery są zaraz całkowicie rozwinięta wychodzi, i zaledwie 16 godzin na dalszą jej przemianę potrzeba, gdy słończyk z jaja powstający kilku dni do wykształcenia się wymaga. (*ib. z Comptes rendus, nr. 3, 1848*).

* W *Literary Gazette*, w nrze 1615 z r. z. ogłoszone są doniesienia z podróży okrętu Samarang, prowadzonego przez kap. Edwarda Belcher, w których autor, p. Arthur Adams. taki obraz fauny Indyjskiego archipelagu skreślił:

W rozległych lasach środkowego Borneo, znajdują się niezmiernie wielkie prostoskrzydłe owady, szarańcze większe od wróbla, ciężkie i niezgrabne, na głuchych ciemnych placach poskakujące. Ich długość 4 cale przenosi, ich skakalne nogi są mniej rozwinięte, różki długie i nitkowate, a kolor zwierzęcia to czysta jednostajna zieloność trawy. Zwierzę przypada pomiędzy rodzaje *Steirodon* a *Phylloptera*, i przez autora nazwane zostało *Megalacris Brookeri*.

Zpośród innych prostoskrzydłych na Borneo, odznaczają się jeszcze: jeden gatunek *Gryllacris*, z ciemno-kasztanowato-brunatnymi pręgami na pokrywach i pomarańczowem ciałem; po nim drugi, który jak nasz podjadek, ma axamitne na ciele pokrycie; piękny gat. *Phylloptera* z połyskującymi, żółto-zielonemi, przezroczystemi skrzydłami, głową i tułowem drobnymi krostami okrytym; złoto-brunatna, wspaniała *Acheta*, która niezmiernie skoki wykonywa; osobliwa *Cyphocrania*, u której wierzch głowy w róg jest przedłużony, z długimi, wółprzezroczystemi, brunatnymi skrzydłami; nowy gatunek z rodz. *Blepharis*, żółkły liś naśladowujący, z krótkim lotem, podobny do rozgrozy (*Empusa*). Zdaje się że w okolicach podrównikowych chrząszcze gnojowe mniej są użyteczne ztąd że gnój uprzątają, niż że go roznoszą po ziemi; zbierają go najprzód ażeby weń jaja

zniosły, ale go potem rozłaczają nogami tylnymi, i tu i owdzie wkopują.

Z jedyne go okazu poczwarki od ćmy z rodz. *Sphinx*, który podróżujący na Borneo znalazł i najtroskliwiej chował, wyszły z wielkiem zmartwieniem jego, dwa okazy dziwnej postaci pszczołowatych, do *Evania appendigaster* podobnych. Chrząszcze gnajowe i ścierwowe, kąsawcowate (*Staphylinidae*), omarlicowate (*Silphidae*) i szczypawkowate (*Carabidae*) na Borneo znajdują się mniej licznie; zastępują je krocie termitów, mrówek i innych owadów, które powierzchni ziemi oczyszczają z przedmiotów gnijących. Listkorożne (*Lamellicornia*) i inne roślinami żyjące, niemniej są liczne; w towarzystwie niezliczonych koników, żywią się one bogatą roślinnością, przyodzieżającą wszystkie lasy téj wspaniałej wyspy.

Ogromne motyle dzienne rozpościerają w cieniu lasów długie i szerokie skrzydła, i ulatują ponad niskimi chrósty; nie są wszakże tak liczne jak w Ameryce zwrotnikowej. W lasach Santubońskich znalazł podróżujący rzadkie gatunki z rodz. *Pycnum*, jakoto *P. amethystinum* Fabr. z błyszczącemi, smaragdowo-zielonemi pokrywanii, z ciałem ozdobioném po obudwu bokach naprzemian czarnemi i żółtymi pręgami; owad ten, podobnie jak złoty bogatek (*Buprestis chrysis*) i wolek dyamentowy (*Entimus imperialis*), tu i owdzie od pokoleń indyjskich używany bywa do strojów. Na wyspach Filipińskich stroją się pięknym, błyszcząco-zielonym gatunkiem rodz. *Stephanorhina* i przepysznym *Caryphocera*, którego pokrywy są czarno-plamiste. Jednym z najpospolitszych pluskwowatych, których niewiele Borneo przedstawia, jest gat. z rodz. *Catacanthus*, z błyszcząco-żółtym tułowem, dwiema czarnemi na każdéj pokrywie plamami i z czarno obwiedzionym odwłokiem. Jest także piękny gatunek z rodz. *Callidea*, błyszczący, złoto-zielony, z wielkiemi, okrągłemi, czarnemi plamami, w lasach Sarawaku bardzo liczny. Ale jednym z najprzepyszniejszych téj okolicy owadów, jest gatunek świetlika: każdy dział jego ciała rozjaśniony jest trzema świecącemi pasami; świecące

miejsca grzbietu leżą na pośrodkowej linii tylniej części działów, gdy plamy boczne znajdują się bezpośrednio pod otworami tchawic. Podróżujący znajdował ten przepyszny owad podczas zmroku, na ciemnych, liśćmi pokrytych drogach w lesie łączący; przyłożony do palca, równa się on najpiękniejszemu brylantowemu pierścieniowi.

I tu umieją pająki dla bezpieczeństwa i utrzymania się sztucznie zakładać sieci; łapią w nie, lubo same bez pomocy i bez oręzia, nierównie większe, silne i należycie do obrony przygotowane zwierzęta, które gdy do sieci wpadną, naderemnie uwolnić się z niej usiłują. Lasy na Borneo, Mindanao, i Celebes, bogate są w kunsztowne i najrozmaitsze tkaniny pajęcze, o nitkach jużto białych, już brunatnych, już złotych. Sieci wielkiego gatunku z rodz. *Nephila*, porozpóścierane się od krzaka do krzaka, są nieraz wielką dla przechodzącego przeszkodą; gdy fantastyczne kształty pajaków, twarędem pokryciem ciała opatrzonych, *Acrosoma* nazywanych, wprawiają go w największe zdumienie.

Przy wylądowaniu na wyspę Mayo, ujrzeli podróżujący rafami otoczone, gołe skały okryte łąkotkami (*Chiton*), rozdepkami (*Nerita*), i innymi ślimakami (*Littorina*); wielkością odznaczające się zmykacze (*Grapsus*) (1), na wszystkie strony pierzchały. Wdzierając się na pewien przykry pagórek, zestrąszył podróżujący dłuższą niż 5 stóp jaszczurkę z rodz. ostrzegaczów (*Monitor*) południowego wczasu używającą: straszliwie ona po kilkakroć ohejrzawszy się na prześladowcę który ją ścigał, pospieszyła do góry na urwisko skały, i znikła w strumieniu źródła, wytryskującego pod smagłemi drzewami pochutniku (*Pandanus*). Znajdujący się w Muzeum brytańskim okaz jaszczurki *Hydrosaurus giganteus*, z północnego brzegu Nowej Holandyi, ma 78 cali długości. Niektóre afrykańskie gatunki, jakoto *Regenia albogularis* i *Monitor niloticus*, podobnież do niezmierniej

(1) Raki morskie, pospolite pod zwrotnikami, na dzień zgromadzające się zwykle pomiędzy kamienie, urwiska skał i t. p., ale jak kto przybliża się do nich, natychmiast uciekają do wody. spruwając wielki łoskot uderzaniem kleszczy. A. W.

dochodzą wielkości. Na tych ciemnych bagniskach leśnych pod zwrotnikami, sądzimy się być mimowolnie przeniesionymi w wieki dzieciństwa naszej ziemi, kiedy bagniste brzegi morza roily się ogromnemi jaszczurkowatemi płazami. Na skałach słodkiej wody w Mindanao widać te jaszczurki wodne w niezmierniej liczbie, a pomiędzy niemi dwuprężnego *Hydrosaurus salvator*, i inny mniejszy, całkiem ciemno-brunatny gatunek. W rzęce płynącej przez wieś Anjer na Jawie, widział podróżujący podobne, jednak wolniej poruszające się jaszczurki, *Uranus heraldicus* i pokrewne z tym gatunki. Skaleczone silnie się bronią, zresztą są całkiem nieszkodliwe; można je łatwo zastrzelić, ale trudno złapać żywcem.

Perły i bezoary u mieszkańców Sulu wysoko są cenione: pierwsze co do wielkości i koloru rozmaite bywają; szoldry (*Pinna*) są czarne i czerwone; olbrzymia przydacznia (*Tridacna gigas*) bywa ciemna, nieprzezroczyście-biała; wypłóczka płaskata (*Placuna placenta*) koloru ołowianego; prawdziwa muszla perłowa (*Meleagrina margaritifera*) w półprzezroczyście, słomianego koloru perły wydaje. Dalrymple mówiąc o połowie pereł w Sulu, podaje że w tych perłowych muszlach mieszka zwykle para czerwiów rakowatych, takich jak pagur biernanek (*Pagurus bernhardus*), jak strzeżniki (*Pinnotheres*) i t. d.; piękne, przezroczyście ciało ich samca jest czerwone, samicy biało-plamiste; ostatnia nosi jaja pod brzuchem i ogonem. Każdy gatunek perłowej muszli, ma właściwego sobie raka, przez co Dalrymple, który sądzi że widział przez mikroskop młode muszle perłowe w jajach raków, wnosi że pierwsze są plodem drugich. To samo krajowcy utrzymują. W wielkim perłopławie (*Avicula*), który się w tamecznych wodach obficie znajduje, podróżujący znaleźli nowy gatunek strzeżnika (*Pinnotheres orientalis* Adams et White).

Wody Sulu, może dlatego że spokojne i w ciepłej atmosferze, w ogólności bogate są w organiczne istoty, ale też równie bogate i w węże wodne; te przy spokojności powietrza, zwijając się w pierścienie, wypływają nad po-

ziom wody, jednak nie wytykając z niej głowy, ani się wynurzając. Skoro im zagrozi niebezpieczeństwo, idą na dół; lecz nie zdają się być lękliviemi. Posuwają się naprzód z umiarkowaną szybkością; Malajczycy zowią je *Ular gerang*. Pęz dwufarbny (*Pelamys bicolor*) pospolity jest w chińskich i indyjskich morzach; autor widział je w wodach Mindoro i Sulu tysiącami pływające. Gdy niema wiatru, przesiadują nadewszystko w wirach i pędach wody, gdzie zaniesionemi tam rybami i chęłbiami żyją. Płuca ich są raczej powietrznym pęcherzom ryb, aniżeli organom oddychania gadów podobne; ich rozczepany język jest biały, gdy u innych węzów zwykle bywa czarny. Obydwa końce języka, do samej podstawy są wysuwalne i okryte dwiema rogowatemi pochwami, które podczas linienia jak łuski z oczu, zchodzą. Niektóre gatunki, jak np. *Hydropis*, mają drobne kły jadowite, inne są nieszkodliwe, jeszcze inne (pęzy), przy podstawie obudwu przednich podniebieniowych zębów, przedstawiają dwa otwory, które są może siedliskiem jadu. Podług dra Castor, wszystkie bez wyjątku węże morskie są jadowite: to samo powiada i Schlegel w swojej Fizyonomii węzów; Hiszpanie poczytują ich ukąszenie za koniecznie śmiertelne. Murzyn jeden z osady okrętu, ukąszony przez nie, umarł pomimo wszelkie zabiegi i lekarskie ratunki.

W wodach Sulu wielokrotnie postrzegał autor owo zjawisko, któreto najpięrszą pobudkę dało do cudownych powieści o wielkim wężu morskim: 70 do 100 yardów długie szeregi toczących się morsunów (*Delphinus phocaena*); oneto, w szeregu już zanurzając się już znowu wypływając, poruszeniami temi sprawiały, że części ich wynurzone za grzbietowe wygięcia potworu brano.

Lecz widział autor i prawdziwe, pięknie pręgowane węże wodne, grubości uda ludzkiego, na gładkiej powierzchni morza spokojnie rozciągnięte, albo téż wolném, falistém poruszaniem się w strony, pod wodę idące. A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

WILNO.

Do nr 150 kroniki z r. 1847.

92. Mastologia czyli historia naturalna zwierząt ssących, obejmująca opisy ich rodzajów, gatunków i odmian; z dodaniem nauki wyrazów zoograficznych i wiadomości o szczątkach zwierzęcych kopalnych, dzieł PP. Cuvier, Geoffroy Saint-Hilaire, Pallas, Illigera, Desmarest, Temminck'a, Lesson, oraz innych znakomitych tegoczesnych naturalistów zebrana, i podług najnowszej metody ułożona przez Gustawa Belke... Tom II (z 5 tablicami). 8ka. Wilno. 1848. Druk J. Zawadzkiego, nakładem autora. Str. VIII i 578. Z prenumeratą na tom 3ci. Złp. 64.

1849.

WARSZAWA.

15. Kalendarzyk polityczny na rok 1849, wydał Fr. Radziszewski. Rok siedmnaście. 16ka. Warszawa. (1849). Druk Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Kart 3. i str. 584, rejestru karta 1. Złp. 6 gr. 20.

16. Kazania postne, z niemieckiego przepolszczone przez X. P. Winnickiego. 12ka. Warszawa. 1849. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 3. i str. 194. Złp. 6.

17. Poradnik dla płci pięknej, albo hygiena piękności przez Deboy. Tłumaczyła z francuzkiego J. R. 12ka. Warszawa. 1849. Nakład i druk J. Glücksberga. Napisów kart. 2 str. 151, i rejestru kart 2. Złp. 6.

18. Podarek dla płci pięknej, przez Karola Jackowskiego. 12ka. Warszawa. 1849. Druk strąbskiego. Kart 2 i stron. 106. Złp. 3.

19. Przewodnik Praktyczny do pisania prośb i listów urzędowych i prywatnych w języku rossyjskim, z dołączeniem: Postanowień odnoszących się do każdego rodzaju pism urzędowych, wzorów różnych pism, listów handlowych prywatnych i t. p. oraz nowo-zebranych wyrazów, służących za dodatek do Słownika polsko-rossyjskiego, administracyjnego i sądowego i tłumaczenie wyrazów rossyjskich na polskie, w tymże słowniku zawartych, przez P. Dubrowskiego. 8ka. Warszawa. 1849, Nakładem J. Bernsteina, druk Strąbskiego. Kart 4 i str. 120. Złp. 3 gr. 10.

W I L N O.

20. *Hersylja*, powieść obyczajowa przez Ewę Felińską. 2 tomy, 12ka. Wilno. 1849. Nakład i druk T. Glücksberga. T. I, str. 245. II, str. 264. Złp. 13 gr. 10.

21. *Podróż do Rzymu* X. M. Józefa Geramb'a opata i generała zakonów Trapistów. Z drugiego wydania w języku francuzkim tłumaczona przez X. S(tanistawa) S(narskiego) D(ominikana). 2 tomy. 12ka. Wilno, 1849. Nakładem Rubena Rafałowicza, druk M. Zymelowicza. Tom I kart 3, str. 174 i rejestru kart 2. II, str. 142 i rejestru karta 1, Złp. 10.

22. *Pamiętnik Jana Chłopickiego Porucz. 7 półku ułanów wojsk francuzkich, z czasów kampanij Napoleona*. Spisany z ustnych opowiadań przez jego syna. Z portretem autora. Ozdobiony winjetami Horacego Werneta. Wydany staraniem i kosztem Romualda Podbereskiego. 8ka. Wilno. 1849. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Kart 2. str. VI i 80. Złp. 6 gr. 20.

23. *Rocznik literacki. Pismo zbiorowe. Rok czwarty. Z portretem St. Moniuszki i winietami Wincentego Smokowskiego. Tuzdzież z widokiem chatki syberyjskiej i wnętrza świetlicy ruskiej. Pod redakcją Romualda Podbereskiego*. 8ka. Wilno. 1849. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. XXIII i 205, rejestru karta 1. Złp. 13 gr. 10.

*Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

Księgarnia S. Orgelbranda wkrótce wyda ostatnie poszyty dzieła: „*Starożytna Polska*”. Poszyty te uzupełnią tom 3ci i zakończą to dzieło niemałej wartości.

Taż księgarnia wydaje swoim nakładem: „*Mój dziennik; wypadki z roku 1815, przez Ludwika Filipa Orleańskiego, byłego króla Francuzów*”, we dwóch tomach, przekład S. P.

Tom trzeci dzieła „*Historja zgromadzeń zakonnych*” przez ks. Benjamina prowincyała zgromadzeń OO. Kapucynów, już znajduje się pod prasą drukarską. Będzie jak poprzednie ozdobiony rycinami kolorowemi.

W Wilnie w drukarni J. Zawadzkiego wyszedł: „*Pamiętnik Jana Chłopickiego porucznika siódmego pułku ułanów wojsk francuzkich, z czasów kampanij Napoleona*”; z portretem autora.

Zapowiedziane jest wyjście ważnego przyczynku do dziejów naszych, *Żagoty* O' Nacewicza, p. n: „*Krótki przegląd dziejów W. ks. Litewskiego od pierwszych początków aż do r. 1387*”.

S. H. Merzbach wkrótce ukończy z wydaniem 9 i 10 zeszytu zapowiedziane „Album malownicze” w edycji ozdobnej z rycinami, którego już wyszło poszytów 8.

W końcu marca ma rozpocząć się druk pierwszego tomu „Żywotów malarzy polskich” przez Edw. bar. Rastawieckiego, do którego przesłiczne wizerunki wykończył p. J. Piwarski. Dzieło to ma wyjść na najlepszym papierze w najzdobniejszém wydaniu, na jakie tylko drukarnie warszawskie zdobyć się będą mogły.

Romułd Podbereski, który wydawał Rocznik literacki w Petersburgu, osiadł w Wilnie i pisma swoje tam wydaje.

A. E. Odyniec napisał nowy oryginalny poemat treści religijnej, z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Józef Muczowski prof. i bibliot. uniwersytetu w Krakowie, przygotowuje 2gę wydanie swój Grammatyki. Jego „*Liber promotionum*” wyjdzie za kilka tygodni; ma mieć do 40 arkuszy druku.

Księgarnia J. Czecha drukuje „Historją Henryka Walezyusz”, przez Albertrandego.

Jan Nep. Deszkiewicz wykładał w Krakowie kilkanaście godzin, usprawiedliwiając swe zasady w Grammatyce objawione; z jakim powodzeniem? nie można powiedzieć.

Wydział lekarski w Krakowie zamierza wydać wszystkie kursa drukiem, aby dać uczniom w rękę książki, których się mają trzymać.

W Wieliczce znalazł p. Niedzielski obywatel z przyległej wioski nader ciekawego dukata, którego Władysławowi Łokietkowi przypisuje. Nie wiadomo jak dalece to oznaczenie jest prawdziwem; ale to pewna, że mu już za niego dawano 2000 złp. Byłaby to nader wielka osobliwość numizmatyczna.

W r. z. w lipcu zawiązało się w Berlinie towarzystwo geologiczne niemieckie. Z cudzoziemców zawezwało by do niego należeli: Eichwalda, Hoffmana i Kayserlinga w Petersburgu, i Ludwika Zejsznera w Krakowie.

Dominik Krysiński, b. prof. nauk administracyjnych w b. uniwersyt. warsz. ogłosił przedpłatę na „Naukę Ekonomii politycznej i finansów”. Dzieło to składać się ma z trzech tomów, a każdy tom ma zawierać 20 ark. druku. Cena pren. złp. 40.

W litografii H. Hirszel wyszły nowe Ćwiczenia (*Etudes*) przez O. Kolberga. Op. 20.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Styczeń 1849.

Styczeń 1849.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

| Dnia | Odmiany Księżyca | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR s t u s t o p n i o w y | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna |
|------|------------------|--|-----------|-------------|-------------|--------------------------------------|-----------|-------------|-------------|--|
| | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | |
| | | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | |
| 1 | ☾ | 763.12 | 763.33 | 760.61 | 759.25 | -18.0 | -17.5 | -14.2 | -13.7 | |
| 2 | | 758.65 | 759.71 | 759.92 | 760.30 | -14.1 | -13.9 | -14.9 | -16.9 | |
| 3 | | 758.98 | 759.47 | 756.04 | 751.84 | -17.4 | -15.1 | -14.1 | -16.8 | |
| 4 | | 747.28 | 745.27 | 743.04 | 744.52 | -14.9 | -12.0 | -10.5 | -7.0 | |
| 5 | | 747.00 | 749.51 | 748.59 | 743.43 | -4.8 | -3.9 | -7.4 | -11.5 | |
| 6 | | 742.28 | 743.34 | 744.44 | 744.09 | -11.6 | -8.5 | -6.7 | -5.6 | |
| 7 | | 740.94 | 743.21 | 747.45 | 747.92 | -4.6 | -4.7 | -9.4 | -11.6 | |
| 8 | | 747.09 | 750.09 | 751.86 | 753.12 | -11.4 | -13.3 | -16.5 | -18.9 | |
| 9 | ☺ | 753.41 | 753.83 | 752.69 | 752.62 | -18.9 | -15.0 | -12.4 | -18.4 | |
| 10 | | 751.16 | 751.34 | 748.88 | 745.46 | -18.0 | -18.3 | -18.9 | -24.3 | |
| 11 | | 744.02 | 744.62 | 744.51 | 745.42 | -25.1 | -22.0 | -17.7 | -19.4 | |
| 12 | | 747.68 | 750.39 | 752.88 | 753.47 | -18.4 | -16.1 | -17.3 | -12.0 | |
| 13 | | 754.75 | 753.75 | 754.32 | 750.65 | -8.4 | -7.3 | -7.8 | -10.5 | |
| 14 | | 744.36 | 743.32 | 736.78 | 727.83 | -7.6 | -5.8 | -3.8 | +0.8 | |
| 15 | | 728.17 | 733.02 | 741.43 | 742.47 | +1.0 | +1.6 | +2.0 | +1.6 | 86.7 |
| 16 | ☾ | 744.48 | 745.16 | 744.80 | 746.08 | +1.0 | +1.9 | +1.8 | +2.7 | 97.5 |
| 17 | | 749.39 | 750.81 | 748.88 | 746.77 | +1.4 | +1.5 | +1.5 | +2.6 | 97.5 |
| 18 | | 744.28 | 747.43 | 751.03 | 753.86 | +3.7 | +4.6 | +3.0 | +0.1 | 95.5 |
| 19 | | 750.54 | 750.98 | 751.57 | 752.80 | +2.2 | +4.4 | +5.0 | +4.5 | 96.7 |
| 20 | | 752.12 | 752.35 | 751.51 | 755.52 | +4.2 | +3.8 | +4.2 | +2.7 | 93.5 |
| 21 | | 762.60 | 763.04 | 762.45 | 755.46 | -1.5 | -1.1 | 0.0 | +1.5 | 94.2 |
| 22 | | 753.17 | 751.90 | 747.64 | 746.48 | +1.4 | +2.6 | +3.3 | +2.7 | 89.0 |
| 23 | | 746.59 | 745.93 | 743.84 | 740.65 | +2.5 | +3.4 | +3.0 | +1.1 | 90.5 |
| 24 | ☺ | 742.80 | 745.11 | 746.50 | 737.96 | +1.8 | +2.7 | +1.7 | +4.4 | 96.5 |
| 25 | | 736.00 | 739.02 | 740.71 | 742.28 | +5.0 | +4.9 | +4.6 | +2.0 | 97.7 |
| 26 | | 742.35 | 742.92 | 740.47 | 739.47 | +5.0 | +5.1 | +5.2 | +4.5 | 97.0 |
| 27 | | 739.52 | 740.58 | 745.02 | 747.11 | +2.3 | +1.8 | +0.6 | -0.1 | 100. |
| 28 | | 748.17 | 748.94 | 746.66 | 744.04 | -0.2 | +0.3 | -0.1 | +0.2 | 98.2 |
| 29 | | 742.20 | 742.86 | 742.69 | 743.62 | -0.5 | +0.3 | +0.2 | -1.5 | 96.5 |
| 30 | | 745.25 | 748.32 | 752.89 | 755.48 | -5.0 | -5.6 | -6.3 | -8.6 | 100. |
| 31 | ☾ | 754.24 | 752.43 | 749.08 | 745.79 | -10.1 | -10.7 | -9.9 | -11.6 | 100. |
| Śre. | | 747.825 | 748.875 | 748.490 | 747.605 | -5.77 | -4.93 | -4.87 | -5.72 | 95.7 |

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7 względem południka paryzkiego.

| STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|------------|--------------|--------------|--------------|-----------------|---------|---------|---------|--|-------------|
| 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | dé- szczy | śnie- gu |
| godz. rano | godz. rano | godz. wiecz. | godz. wiecz. | god. r. | god. r. | god. w. | god. w. | | |
| 1 | pogodny | pogodny | pochmurny | PnW. | PnW. | PnW. | Pn. | | |
| 2 | pochmurny | napół pog. | pogodny | PnW. | PnW. | PnW. | PnW. | | |
| 3 | pogodny | pogodny | pr. pogodny | Z. | Z. | Pn. | Pd. | | |
| 4 | pochmurny | pr. pogod. | napół pog. | Pd. | PdZ. | Z. | Z. | 0.2 | |
| 5 | pochmurny | pochmurny | smugi | PnZ. | PnZ. | Z. | — | | |
| 6 | pogodny | mgła | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 7 | pochmurny | pochmurny | napół pog. | Z. | Z. | Z. | Z. | 1.6 | |
| 8 | pochmurny | napół pog. | pogodny | Z. | Pn. | Pn. | Pn. | 0.3 | |
| 9 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Pn. | PdW. | — | — | | |
| 10 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | W. | W. | PdW. | PdW. | | |
| 11 | pogodny | smugi | smugi | W. | W. | W. | W. | | |
| 12 | napół pog. | smugi | pogodny | PnW. | W. | PdZ. | Z. | | |
| 13 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | Pd. | Pd. | 0.2 | |
| 14 | pochmurny | pochmurny | śnieg pruszy | Pd. | Pd. | Pd. | PdZ. | 7.2 | |
| 15 | dészcz | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | Z. | Z. | 0.8 | |
| 16 | pochmurny | pochmurny | dészcz | Z. | Z. | Z. | Z. | 2.8 | |
| 17 | pochmurny | mgła | pochmurny | Z. | Z. | PdZ. | PdZ. | | |
| 18 | dészcz | chm. podz. | napół pog. | Z. | Z. | Z. | Z. | 1.4 | |
| 19 | pochmurny | chm. podz. | pochmurny | PdZ. | Z. | Z. | Z. | | |
| 20 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | PnZ. | 1.2 | |
| 21 | pochmurny | mgła grub. | pr. poch. | PnZ. | Z. | Pd. | Z. | | |
| 22 | pochmurny | smugi | pochmurny | PdZ. | PdZ. | Z. | Z. | 2.8 | |
| 23 | pochmurny | pr. poch. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | PnZ. | 1.4 | |
| 24 | pochmurny | pochmurny | dészcz z śn. | PnZ. | Z. | PdZ. | Z. | 1.2 | 4.8 |
| 25 | pochmurny | dészcz | dészcz dr. | Z. | PnZ. | PnZ. | PdZ. | 2.0 | |
| 26 | dészcz drob. | dészcz dr. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | 3.0 | |
| 27 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | PnZ. | Z. | 0.3 | |
| 28 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | PnW. | W. | 0.3 | |
| 29 | pochmurny | smugi | pochmurny | PdW. | PdW. | PdW. | PnW. | 0.2 | |
| 30 | zadymka | zadymka | zadymka | PnW. | PnW. | PnW. | PnW. | 20.0 | |
| 31 | pochmurny | pogodny | napół pog. | PnW. | PnW. | PnW. | Pd. | 3.2 | |
| Śre. | | | | | | | | 16.6 | 38.3 |

| | mm. | c. | l. |
|---|-------------------------|----------|-----------------------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 748.198 | 27 | 7.673 |
| Najwyżej dochodził — d. 21 o 10 g. r. | 765.04 | 28 | 3.139 |
| Najniżej — — d. 14 o g. 10 w. | 727.83 | 26 | 10.644 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 5.56 | | 2.47 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 o g. 10 w. | 22.82 | | 10.12 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających | 3.205 | | 1.420 |
| Średnia temperatura Stycznia wynosi: i ta jest wyższą o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających | 751.403 | 27 | 9.093 |
| Największe ciepło dochodziło d. 26 o g. 4 w. | — 5 ^o .32 C. | — | 4 ^o .26 R. |
| Największe zimno d. 11 o g. 6 r. (Termometrograf wskazał Maximum: + 4. ^o 8 R. d. 19 i 25. Minimum: — 20. ^o 3 R. d. 11 r.). | 0.31 „ | | 0.25 „ |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | — 5.63 „ | — | 4.51 „ |
| Największa zmiana dzien. d. 13—14 o g. 10 w. | + 5.2 „ | + 4.2 „ | |
| | — 25.1 „ | — 20.1 „ | |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 3.40 „ | | 2.72 „ |
| Największa zmiana dzien. d. 13—14 o g. 10 w. | 11.3 „ | | 9.0 „ |

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 95.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 3,75 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 1; napółpogodnych 11; pochmurnych 19;

— deszczu 9 (d. 15, 16, 18, 20, 22, 23, 24, 25, 26).

— śniegu 11 (d. 4, 7, 8, 13, 14, 16, 24, 27, 28, 29, 30).

— mgły 2 (d. 6 i 17).

— gradu 1 (d. 23).

Wody z deszczu spadło wysoko na 16.6 millim. czyli 7.35 linii paryz.; z śniegu 38.3 milim czyli 16.97 linii paryz., razem 54.9 millim, czyli 24.32 linii paryz., co jest przeszło dwa razy więcej od ilości, która w tym miesiącu zwykle spada (25.7 milim. czyli 11.38 linii paryz.).

Wichrów było 6, t. j. Z=4; PnW=1; PnZ=1.

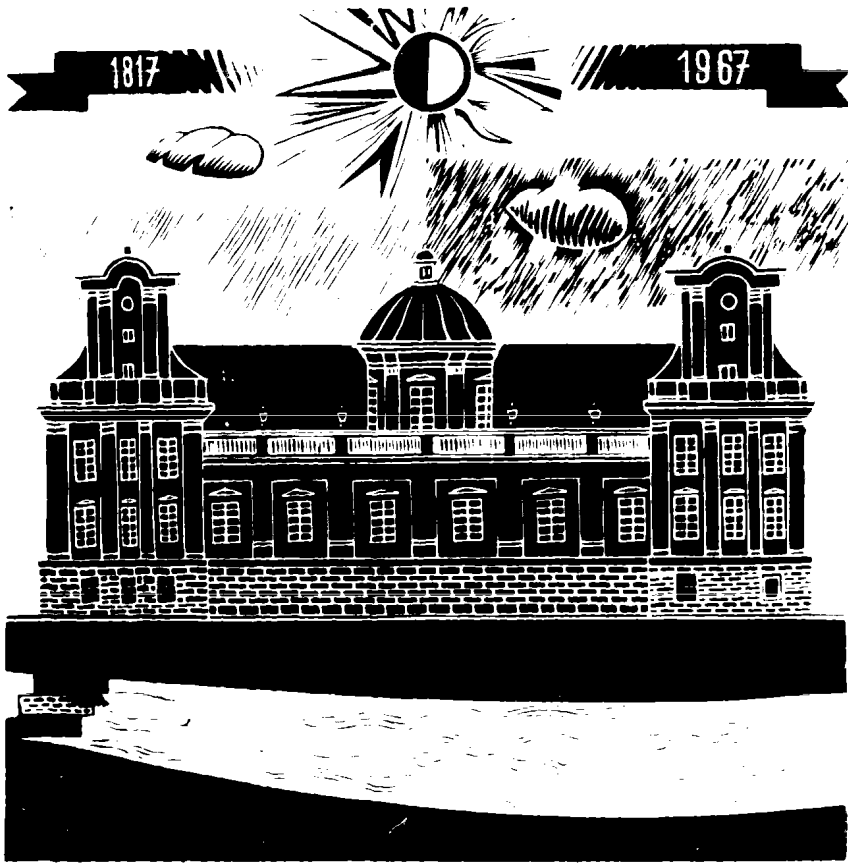
Wiatr panujący Zachodni.

Styczeń w r. b. znacznie się różnił od stanu normalnego. Miesiąc ten w pierwszej połowie był mroźny, suchy i pogodny; przeciwnie w drugiej połowie ciepły, wilgotny i słotny jakby w porze jesienną. Temperatura stycznia jest o 0.25 stopni R. wyższa od normalnej. Wilgotność była blisko o dwie setne większa niż w stanie średnim. W dniu 14 po mrozie dochodzącym z rana do —6^o.4 R. w wieczór nastąpiła zmiana temperatury 7 stopni R. wynosząca, a następnie odwilż. W dniu 29 nastąpiła powtórna zmiana stanu temperatury z dodatniej na odjemną. Wicher silny zachodni połączony z deszczem trwał ciągle przez pięć dni. to jest: d. 23, 24, 25, 26, 27. Przez noc d. 29 i dzień 30 była wielka zadymka śnieżna; w dniu tym spadło więcej śniegu niż innych lat w całym miesiącu. Woda stopiona ze śniegu spadłego wynosi 20 mill. czyli 8.86 linii paryz., co do wysokości. Zmiany temperatury i stanu atmosfery przypadły w dniach przejścia księżycy przez równik niebieski, to jest gdy księżyc przechodził z półkuli północnej na południową i przeciwnie. Największy mróz dochodził 20.3 stop. R. d. 11 z rana. Dni najcieplejsze były: d. 18, 19, 20, 25, 26. Najzimniejsze d. 1, 2, 3, 8, 9, 10, 11, 12.

Wisła pod Warszawą stała dnia 4; lody ruszyły d. 26; zamrażanie jej trwało tylko 22 dni.

D. 5 w wieczór koło białe otaczało księżyc.

D. 22 i 31 na słońcu wiele plam było widzialnych.



BIBLIOTEKA ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH PAŃ
W R O C Ł A W



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1849.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXIV.

WARSZAWA.

**W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.**

1849.

P
117152



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

KILKA SŁÓW

O KALIFORNII I STANACH ZJEDNOCZONYCH PÓŁNOCNEJ AMERYKI.

Sic transit mundus.

Podług urzędowych ogłoszeń francuzkiego ministryum rolnictwa i handlu, amerykańskie Stany Zjednoczone przez szczęśliwy wypadek ostatniej wojny z Meksykiem, powiększyły swoje terytoryum o 851,598 mil kwadratowych angielskich (218,005,088 hektarów), czyli o 389,294,800 morgów polskich, to jest prawie o $\frac{1}{3}$ więcej, aniżeli przed tą wojną wynosiło całe ich terytoryum, które, nie rachując Oregonu, obliczano na 527,250,423 hektarów czyli na 941,518,616 polskich morgów.

Podbite to utwierdziło tytuł własności Amerykanów nad terytoryum Texasu, Nowego Meksyku i Wyższej Kalifornii.

Texas przez sam czyn połączenia, należał już do Stanów Zjednoczonych, a orężem Amerykanie zdobyli Nowy Meksyk i Wyższą Kalifornią, i otworzyli dla swego niezmordowanego przemysłu ogromny obszar ziemi, pod najszcześniejszą strefą położonej i prawie jeszcze wcale nieznaną, a dla swego handlu morskiego przestrzeń na

brzegach oceanu Spokojnego przeszło 970 mil długości, zawierającą port San - Francisco, jeden z najlepszych w świecie.

Nowy Meksyk i Wyższa Kalifornia, jak dopiero powiedzieliśmy, mało zwiedzane i jeszcze mniej znane, były zawsze przedmiotem bajecznych opowiadań; jak prawie wszystko, czego nie oceniła jeszcze rzeczywistość i ścisła nauka. Nowe tedy terytorium stanie się bogatym plonem dla badaczy, którzy rozpoznawszy je, mogą okazać znakomite przysługi całej w ogólności cywilizacji.

Nateraz zajmują wszystkie umysły i wszystkim głowę zawracają metaliczne bogactwa Kalifornii. Pełno obiega ciekawych i nader rozmaitych powiastek; wszakże bytność w znacznej obfitości złotego kruszcu, srebra, platyny i merkuryusza nie podlega wątpliwości; wspominają nawet o bardzo bogatych pokładach wybornego węgla kamiennego, tuż przy brzegach rzeki Sacramento, co dla żeglugi parowej, dla prac metalurgicznych i w ogóle dla przemysłu, jest tyle ważne i użyteczne, jeżeli nawet nie więcej, jak samo wykrycie bogactw metalicznych.

Wydajność kruszcu z prób nadesłanych z rozmaitych miejsc Kalifornii do mennicy w Filadelfii, podług ścisłego rozbioru techników, jest bardzo znakomita.

Kruszec złoty: jedna uncya w przecięciu czyni 18 piastków 50 c. czystego złota.

Srebrny kruszec: ilość niewyznaczona jeszcze.

Platyna ma ciężkość gatunkową 10 na 100.

Cynober czerwony 33,35 na 100.

Cynober żółty 15,5 na 100.

Wiadomo przecież, że najbogatsze w świecie kopalnie merkuryusza w Hiszpanii, nie wydają więcej jak 10 na

100, i że z zyskiem jeszcze wyrabiają kruszec, który wydaje tylko 1 na 100.

Podług raportu pułkownika Masson z d. 17 sierpnia 1848 r., który oglądał na miejscu zakład merkuryuszu *Nowy-Almaden* nazwany, będący własnością angielskiego konsula w Tepic, p. *Alexandra Forbes*; kopalnia ta znajduje się o 12 mil angielskich od portu San-Francisco, w kierunku na południe od Pueblo de San-Jose, w górach wznoszących się przeszło na tysiąc stóp nad poziom zatoki San-Francisco. Gatunek okolicznych gruntów, czyni nadzieję wykrywania nowych kopalni tego kruszcu. Na czterech piecach naprędce i nader po gospodarsku urządzonych, w czasie obecności p. Masson, wyrobiono w przeciągu dwóch dni 656 funtów merkuryuszu, który się sprzedawał w Mazatlan po 1 dolarze 80 cent. czyli przeszło 16 złotych polskich za funt. Dyrektor zakładu p. *Walkinshaw* zapewniał, że żyła jest coraz obfitsza, a wydajność kruszcu taka, że pomimo nadzwyczajnej drożyzny i wysokiej opłaty robotników, zdoła nadal prowadzić roboty z odpowiednim zyskiem.

Pomimo jednak twierdzeń o bajecznych prawie bogactwach złota i innych drogich kruszców, pomimo to, że wiele osób w krótkim bardzo czasie porobiło tam znaczne majątki, wyplukując jedynie złoto, nie mając nawet do tego ani zamożnych środków, ani odpowiednich urządzeń; pozostaje jeszcze ważny obowiązek dla handlu i dla ludzi w swoim zawodzie praktycznych, ściśle i stanowczo oznaczyć, tak wydajność kruszców w ogólności, jak i rozległość kruszcowych pokładów, tudzież dojść w jakim stosunku koszta produkcji będą odpowiadały wartości wyrobionych metalów. Sądząc z początków, niema obawy co do ostatniego, kiedy te niezwykle

ceny jakie płać za przedmioty pierwszej tam potrzeby, jak na przykład za butelkę wódki 50 franków, za stary rydel 90 franków, funt mąki 12 fr., funt cukru 10 fr. i t. d. i wszelkiego rodzaju inne niedogodności, nie znie- wolily dotąd przybyłych do Kalifornii przedsiębiorców, do opuszczenia prac zamierzonych. Wypada więc wnio- skować, że trudy i niebezpieczeństwa, na które ciągle są narażani, obawa utraty zdrowia z powodu zbyt- nych upa- łów, wystawienia życia na łup zbrodniarzy i dzikich In- dyan, sownie zbieranym wynagradzają się plonem.

Dostarczanie żywności po cenach umiarkowańszych i zabezpieczenie pracy i życia od napadów i morderstw, nastąpi, skoro tylko powiększy się liczba pracujących, i co w Ameryce z niesłychaną szybkością postępuje, utworzą się stałe osady, a rząd obejmie w swoje posia- danie podbite kraje, do czego nawet już przystąpił. Po- wszechném jest życzeniem mężów stanu, publicystów i w ogólności ludu, który tam stanowczy wpływ wy- wiiera, aby rząd bez żadnych ograniczeń i uciążli- wych podatków, pozostawił zupełną wolność wyrabiania kruszców każdemu komu się podoba, za opłatą niewielkie- go premium lub stałego czynszu, stosownie do gatunku metali; bez wątpienia że to będzie środek w duchu czasu, odpowiedni wysokiéj cywilizacyi Stanów Zjednoczonych. Dla wewnętrznej zaś policyi i utrzymania porządku, doradzają w dzienniku *Washington-Union*, aby przemy- słowcy w Kalifornii urządzili z pomiędzy siebie towa- rzystwo *Stannaryuszów*, to jest rodzaj obywatelskiéj straży, przed kilku wiekami zaprowadzonéj w kornwal- skich kopalniach cyny w Anglii.

Ze wszystkich stron Ameryki i Europy wysiedla się tysiące ludzi do Kalifornii; nawet z Chin zaczynają się

poruszać: jedni aby szukać losu chwilowo, inni, a takich najwięcej, z zamiarem stałego tam zamieszkania. Teraz już obliczają ludność Kalifornii do 25,000, która w przeciągu roku może wzrosnąć do liczby nadzwyczajnej, dwóch albo trzechkroć stu tysięcy; coś podobnego wydarzyło się już w r. 1771, w prowincyi Sonora-et-Sinaloa, sąsiedniej z Kalifornią, dokąd także wabiło wynalezienie bogatych złotodajnych rozsepów. W Anglii (1), Francyi, Szwajcaryi i Niemczech utworzyło się kilka kompanij, częścią dla poszukiwania złota, częścią téż dla handlu w Kalifornii wszelkiego rodzaju produktami i towarami, nie mówiąc o Amerykanach, którzy posłali już mnóstwo i ciągle wyprawiają ze wszystkich portów okręty z osadnikami i towarami do portu San-Francisco. We Francyi zawiązało się z początkiem b. r. towarzystwo z kapitalistów i znawców przedmiotu, którzy zakupiwszy potrzebne maszyny i narzędzia, udają się do Kalifornii w zamiarze utworzenia zakładu handlowego i urządzenia w samych kopalniach probierni, nader tam potrzebnej, gdyż kilka domów z Nowego Yorku zostało w nieumiarkowany sposób oszukanych, gdy zamiast złota, nakupili w San-Francisco siarczku miedzi (2). Amerykańskie towarzystwo *New-York-Mining Compagny*, które za prawo należenia do stowarzyszenia pobiérało początkowo tytułem wkupnego po 350 dolar. (1855 fr.) od każdego

(1) Nowo utworzone główne angielskie kompanie są: *Californian-Gold-Coast; Trading Association; California Gold Mining; Streaming and Washing Company; California Steam Trading Company; California Gold and Trading Company; California Gold Mining & Trading Company* i kilka innych.

(2) Lut cynkowy *Spelter-Solder*, ad hoc przyrządzony, moczą w gorącej wodzie, w której on rozpada się na drobne cząstki

akcyonaryusza, sprzedaje teraz to prawo po 506 dolarów (2650 fr.) od osoby. Towarzystwo odplynęło już na miejsce, zabrawszy z sobą wszelkiego rodzaju żywności i zapasy na dwa lata, ładunki broni, bibliotekę z 3000 tomów składają się, a nawet i instrumenta muzyczne. Gazeta *New-York-Herald* donosi, że 28 podobnych towarzystw odplynęło do Kalifornii li tylko z portów *Nowej-Anglii*.

Amerykanie wszędzie gdzie tylko rzucają pierwsze początki nowych osad, wiozą do miejsc na ten cel przeznaczonych namioty, dla rozpoczęcia robót około budowli domów, w których mają mieszkać przyszli obywatele; zarazem przywożą z sobą i urządzają drukarnię, a od najpierw wybudowanego domu, rozpoczynają albo kolej żelazną, albo drogę bitą, albo kanał, albo téż inny jaki związek, ułatwiający handel. W tém właśnie jest tajemnica, dlaczego w Ameryce liczne, kwitnące i ludne miasta, powstają prędzej niż gdzieindziej małe wioski; albowiem Amerykanie zakładając osady i miasta, rozpoczynają dzieło od zaprowadzenia drukarni i związków, to jest — oświaty i przemysłu. Za ledwie wojna z Meksykiem zaczęła zbliżać się do końca, za ledwie powiększenie terytoryum Stanów Zjednoczonych zaczęto przewidywać, a już tworzyły się towarzystwa do rozmaitych przedsięwzięć handlowych w nowo przybranych krajach; po zawarciu zaś pokoju, żegluga parowa dla prze-

w kształcie łuszczyk albo zędry, i przybiera kolor i powierzchnią nadzwyczaj podobną do blaszek lub cząstek, w jakich zwykle samorodne złoto wyptukują. Takiego specyatu wyprawiono kilka beczek z Nowego Yorku i z Hartford do Kalifornii na sprzedaż spekulantom. Kilku z tych poczciwców dotkliwie się sparzyło; przybyli oni do kraju aby drugich oszukiwać, a tymczasem sami zostali oszukani. Jest to znowu inny rodzaj spekulacji, dogodniejszy aniżeli siarczyk miedzi.

wożenia listów i osób, najpierwsze między czynnościami zajęła miejsce. Od 1go stycznia b. r. krążą już w terminach stale oznaczonych pięknej, mocnej budowy i ogromnej siły statki parowe od Nowego Yorku i innych portów, do Chagres, *Via-Charleston*, Hawany i Nowego Orleanu. Chagres dotąd małe miasteczko, około tysiąca mające mieszkańców, na brzegu morza Antylskiego, stanowi nader ważny punkt z powodu rzeki Chagre, niewielkiej lecz splawnej, i która właśnie stanowi główny warunek we wszystkich projektach do połączenia oceanu Spokojnego z Atlantyckim, za pomocą kanału.

Z Chagres do Panama, można międzymorze w ciągu jednego dnia pieszo przebyć.

Od Panama znowu urządzone są dwie związkowe linie statkami parowemi: jedna *amerykańska*, to jest przez amerykańskie towarzystwo utrzymywana, na północ do Kalifornii i Oregonu, a druga *angielska* na południe, przez Ecuador, Peru, Boliwię i Chili do Valparaiso, pięknego miasta, które trzeba uważać jakby niedawno wybudowane, ponieważ ludność od czasu nowego politycznego urządzenia chilijskiej rzeczypospolitej, w krótkim czasie z 5,000 powiększyła się przeszło do 26,000, i miasto stało się główniejszym handlowym punktem na oceanie Południowym.

Oprócz wyżej wspomnianych dwóch linii żeglugi parowej, Amerykanie w bieżącym już roku zaprowadzili jeszcze dwie nowe: *jedną* przez zatokę meksykańską, pomiędzy Nowym Orleanem a Vera Cruz, a *drugą* przez ocean Atlantycki pomiędzy Nowym Yorkiem, Southampton, Hawrem i Bremą, a to niezależnie od kompanii angielskiej pana *Cunard*, która od kilku lat utrzymuje

regularnie związki pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Liwerpołem, i z którą właśnie nowa kompania amerykańska dla dobra ogółu współubiegać się będzie.

Dla połączenia niewielkiej przestrzeni przez międzymorze Panamskie, którą, jak wyżej powiedzieliśmy, w jeden dzień pieszo przejść można, od dawnego czasu zamysłano urządzić z początku kanał, a później kolej żelazną. Wiele w tym względzie przygotowań uczyniono; sporządzone nawet zostały z wielkim kosztem geodezyjne pomiary i ułożone kosztorysy, lecz zamiar był tylko projektem, dopóki północni Amerykanie nie zbliżyli go ku rzeczywistości. P. Bidlack pełnomocnik związku północno-amerykańskiego przy Nowo-Grenadzkiej Rzeczypospolitej, zawarł kontrakt na wybudowanie kosztem Stanów Zjednoczonych kolei żelaznej przez międzymorze Panamskie, zobowiązując się ukończyć ją w przeciągu lat dwóch. Kierunek tej drogi nie jest nam wiadomy; poprzednie towarzystwo doradzało przeprowadzenie kolei od Porto-bello do Panamy lub do Chorreri, zamierzając sobie korzystać z rzeki *Crucés* i zrobienie jej splawną, co z łatwością dałoby się było uczynić.

Bogactwa Kalifornii i świetna przyszłość, jaką ten kraj rokuje pod względem handlu, obudziły teraz na nowo dawną myśl połączenia międzymorza Panamskiego niezależnie od kolei żelaznej kanałem, czyli raczej połączenia dwóch oceanów.

Dla dopięcia tego celu, Alex. Humboldt znajduje pięć najdogodniejszych kierunków, z których trzy przez posiadłości Kolumbii, a dwa przez posiadłości Zjednoczonych Stanów Środkowej Ameryki i Meksyku idą. Kierunki te są następujące:

1) Międzymorze Tehuan-Tepec w meksykańskiej prowincji Oaxaca (szerokość północna 16—18°), pomiędzy

początkami rzek *Rio Chimalapa* i *Rio del Pasco*, wpadającej w *Rio Huasacualco* (Goazacalcos). Obliczono, że kanał ten skróciłby podróż morską z Filadelfii do Astoryi, przy ujściu rzeki Oregono (Kolumbii), albo do Nutki w angielskiej Ameryce na wyspie *Quadra-et-Vancouver*, o 15,000 morskich mil, uważając za drogę zwyczajną tę, którą potrzeba opływać przylądek Horna i nie rachując tego dobrodziejstwa, że się uniknie panujących w tych strefach strasznych burz, na które są narażone okręty z jednakowym niebezpieczeństwem, jak te, które muszą opływać przylądek Dobrzej Nadziei w Afryce. Najwyższy punkt kierunku na międzymorzu Tehuantepec stanowi góra *Pelado*, wznosząca się nad powierzchnią morza na 317 toazów czyli 1786,93 stóp polskich. Największe wzniesienie linii podziału wód pomiędzy dwoma oceanami, wynosi 210 toaz. czyli 1183,77 stóp polskich.

2) Międzymorze *Nicaragua* (szerokość północna 10—12°) w stanach środkowej Ameryki, pomiędzy portem *San Juan de Nicaragua* a ujściem *Rio-San Juan*, jeziorem *Nicaragua* i brzegiem zatoki *Papagayo*, niedaleko od wulkanów *Grenada* i *Bambacho*. Federacyjny rząd Guatimali traktował już z kapitalistami z Nowego Yorku o doprowadzenie do skutku tego pięknego przedsięwzięcia, lecz wewnętrzny stan polityczny kraju stanął temu na przeszkodzie. Najwyższa wzniosłość podziałowej linii wód, wynosi 21½ toaz. czyli 121,19 stóp polskich.

3) Międzymorze *Panama* (szerokość północna 8°, 15' do 9°, 38') pomiędzy *Porto-bello* a *Panama*. Góra *Maria Henriquet*, wznosząca się na 98 toaz. czyli 552.43 stóp polskich nad powierzchnią morza, stanowi najwyższy punkt tego kierunku. Geodezyjne jednak pomiary, usku-

tecznione z rozkazu Boliwara przez angielskich inżynierów, zmieniły zamiar ówczesnego rządu co do kopania w tym kierunku kanału; miano bowiem budować kolej żelazną, lecz i to z powodu wojny domowej do skutku nie przyszło.

4) Międzymorze *Darien* czyli *Cupica* (szerokość północna $6^{\circ},40'$ do $7^{\circ},12'$), pomiędzy *Rio-Atrato* i *Rio-Napiipi*; i

5) Na témże międzymorzu kierunek pomiędzy *Rio-Atrato* a *Rio San Juan de Choco*, przez tak nazwany kanał *Razpadura* (szerokość północna $4^{\circ},58'$ do $5^{\circ},20'$).

Za najdogodniejszy ze wszystkich powyższych kierunków, Alex. Humboldt uważa międzymorze *Nicaragua*, a następnie *Cupica*, gdzieby można wykopać wielki kanał, jak w Szkocyi *Kaledoński*, po którym na całej przestrzeni z łatwością pływają wojenne okręty, ponieważ na wschodnich morzach najmniejsze okręty trzymają zwykle od 300 do 400 beczek.

Ubolewać trzeba, że żaden z tych zamiarów nie został doprowadzony do skutku; przyszłość ta wszakże zdaje się być niedaleką, bo już pewny znaczny dom handlowy w Meksyku miał zawrzeć układy, o wybudowanie kanału dla połączenia obudwu oceanów.

Niemala wynikiem ztąd przysługa dla handlu w ogólności: ma się rozumieć, jeżeli kanał tak zostanie wybudowany, że zniesie wielkie okręty; oszczędzą się koszta przeladowywania towarów i komissowe, które kupcy dwa razy będą zmuszeni ponosić, to jest przy wejściu do kanału i znowu przy wejściu w ocean, a któreto koszta powiększając znacznie cenę towarów, uprawniają niejako zarzut pod tym względem i przeciwko kolei żelaznej: czyba, że taka stanie kolej, która będzie zabięrała całe

okrety z portu jednego oceanu, i przewoziła do portu drugiego, co przy śmiałym i nader przedsiębiorczym duchu Amerykanów, w wieku zadziwiającym olbrzymiemi robotami, nie jest wcale niepodobieństwem.

Popęd i ruch jakie nadały handlowi w ostatnich czasach nowo wykryte skarby w Kalifornii; zamiętanie w przygodach awanturniczego, pełnego poezji życia, do jakiego przywykli mieszkańcy północnej Ameryki; niewypowiedziany fatalizm, który co rok sprowadza z Europy ogromne masy przesiedleńców, z zapamiętałością cisnących się na los szczęścia do *far-west*, oddalonego zachodu, a nadewszystko rozszerzenie na olbrzymią skalę amerykańskiego handlu na oceanie Spokojnym, przynoszącego przeszło 100 milionów franków rocznego zysku, przy czém stale używają 1200 kupieckich okrętów i 800 statków do połowu wielorybów; nakoniec zadziwiający postęp handlowych działań, które coraz a coraz korzystniejszą przybierają postać na targach w Chinach i Indjach wschodnich: nadają terażniejszym pomysłom i przedsięwzięciom cechę zjawiska obudzającego podziwienie. To, co przed kilku laty byłoby policzone do urojeń, do niedorzeczności, teraz w Ameryce urzeczywistnia się. Podano kilka prośb o pozwolenie pod pewnemi warunkami rzucenia kolei żelaznej przez wierzchołki skalistych gór, pomiędzy Kalifornią a brzegami oceanu Atlantyckiego. Ze wszystkich tych projektów, najciekawszy i najgodniejszy uwagi doradza M. A. Whitney, który chce prowadzić kolej żelazną od zachodniego brzegu jeziora Michigan, to jest od równoleżnika pod 42 stopniem północnej szerokości położonego, na przestrzeni 3800 kilometrów, czyli 508 mil polskich, aż do pysznego portu *San-Francisco*. P. Whitney nie żąda żadnej zapomogi od skarbu, lecz wymawia dla swojej kompanii zbudwu

stron drogi przyległego gruntu na 80 kilometrów, czyli przeszło na 10 mil polskich szerokości. Sprzedaż tych gruntów, nateraz dzikich i bezludnych, których odmówić rząd nie ma żadnego powodu, zdolna będzie wrócić do kasy spółki cały koszt, a może i więcej, użyty na wybudowanie téj drogi, a który obliczono przez przybliżenie na 1744 milionów zł. pol. Jakkolwiek jestto olbrzymie przedsięwzięcie, wszakże nie jest niepodobne i wcale nieprzechodzi zakresu innych równych mu przedsięwzięć, już przez Amerykanów w wykonanie wprowadzonych.

Od kombinacyj istniejących od Nowego Roku parowych związków, przez towarzystwa prywatnych osób zaprowadzonych, przy rozumnej protekcji rządu, który jéj nigdy nie odmawia, oddalone nowopodbite kraje, na zachodnich brzegach amerykańskiego lądu położone, znane dawniej tylko z imienia, odtąd weszły w obręb handlowych i przemysłowych działań Stanów Zjednoczonych w takim stosunku, w jakim Anglia zostaje względem Ameryki.

Tam, gdzie poprzednio dla przewiezienia korespondencji i passażerów, tojest od portów Stanów Zjednoczonych do *Valparaiso* i *Oregonu*, lub do brzegów *Quadrat-Vancouver* i napowrót, potrzeba było 12 do 14 miesięcy; teraz dzięki nowym liniom związkowym, uskutecznia się wszystko we dwa miesiące. Angielskie towarzystwo *Peninsular and Oriental Company*, przewozi teraz listy z Chin, z Kantonu do Paryża i Londynu w 55 dni; amerykańskie kompanie w terażniejszym stanie parowej żeglugi, nie mogą jednak ubiegać się z Anglikami co do tego kierunku, bo do przebycia wspomnionéj przestrzeni, potrzebują 75 dni; lecz z urządzeniem kolei żelaznéj przez skaliste góry do *San-Francisco*, uczynią to, a może nawet i pod tym względem otrzymają nad

Anglikami pierwszeństwo. Są epoki, w których Anglia najrychlej odbiera swoje korespondencye ze Wschodu, a mianowicie z Egiptu i z Konstantynopola przez Warszawę; od czasu zaprowadzenia poczty kuryerskiej pomiędzy Warszawą a Odessą, korespondencya z Konstantynopola do Londynu przychodzi na 13ty, a teraz może przychodzić na 11 dzień, i właśnie przez tę drogę Anglia otrzymywała już bardzo ważne handlowe uwiadomienia. Jednak kierunek ten ma dwie główne niedogodności: pierwsza, że od Odessy do granic Królestwa niema bitej drogi, a więc w porze dżdżystej i niepogodnej, poczty znacznie muszą się opóźniać; druga, że od Odessy do Warszawy przewożą tylko same korespondencye bez passażerów: przyczyny, dla których trakt ten nie może być przyjętym za stały handlowy związek.

Szczęśliwy zbieg wyżej przytoczonych okoliczności, spowodował już znakomite wypadki pod względem handlowym; lecz jakim na przyszłość stanie się bodźcem, podniecającym przedsiębiorczy duch Amerykanów ku nieustannemu rozszerzaniu handlu i nowych stosunków z licznymi na oceanie Spokojnym wyspami: Sandwichskimi, Towarzyskimi, Australią i brzegami Chin, i jaki to wywrze wpływ na stan handlu europejskiego? niepodobna przewidzieć. Niekoniecznie trzeba być prorokiem aby przepowiedzieć, że czynność amerykańska pochłonie opieszałość europejską, wyłączając jednak nateraz z tej kategorii Wielką Brytanią, godną ze swoich działań i przedsięwzięć tego imienia, i małe królestwa: holenderskie i belgijskie; pierwsze z powodu wkorzenionej narodowej oszczędności, a drugie ze swego ruchu przemysłowego. Europejczyk, pogrążony w roztrząsaniach hipotez Proudhona lub w scholastycznych rozbiorach zasad nowych utopistów, ciągle uczący się teoryj

bez stosowania ich do praktyki, postępuje jakby mechanicznie, i trawi swoje życie bez przygód, energii, czynności, a nawet bez namiętności i poezji, które powinny cechować i stanowić życie godne człowieka. Jeżeli w ciągu swego jednostajnego zawodu, dojdzie do pewnego stopnia zamożności, odkąd Amerykanin zwykle podwaja swoją działalność; Europejczyk zwalnia ją, a często i zupełnie zaniedbuje lub opuszcza drogę, która go do pięknego stanowiska przywiodła. We Francyi zwraca on całą swoją dążność do kwestyj czysto-politycznych, i gubi się lub zupełnie znika w tych otchłaniach; w innych zaś krajach, ubieganie się za znaczeniem i godnościami, staje się koniecznym warunkiem mniej lub więcej zamożnego człowieka. Sąto piękne przymioty, i broń Boże, żebyśmy je ganili; jest pewna część ludzi, którzy mają za obowiązek postępowania tym torem, lecz są inne, niemniej ważne obowiązki dla innej części społeczeństwa: handel i przemysł. Wszędzie i często narzekają na złe czasy, na nieurodzaj; chociaż mówiąc nawiasowo, nasz kraj od tych nieszczęść jest wyłączonym, handel jednak i przemysł mało postępuje. W przeciągu 18 lat pokoju i pięknych urodzajów, co handel ten uczynił? Trudno nie wyznać, że gospodarstwo u nas postępuje, bo intraty majątkowe ciągle się powiększają, lubo nie wykrywamy żadnych nowych źródeł, a i to może z czasem nastąpić, lecz tylko przez polepszenie sposobu gospodarowania. Przemysłowe i fabryczne zakłady także w swoim zawodzie postępują, t. j. lepiej i taniej produkują; lecz środki produkcyi nie odpowiadają ilości spożycia, nie dlatego, aby te środki były zanadto zamożne, albo zawiele rozwinięte, lecz dlatego, że spożycie małe i kupujących niema, bo niema handlu. Taki nienaturalny stan czemuż należy przypisać,

jeżeli nie nieczynności handlu? Fabryki są, rolnictwo postępuje, są kapitały, są kupcy; brakuje tylko czynności i przedsiębiorczego ducha. Na takie zapytanie zwykła jest odpowiedź, że to mylne twierdzenie, bo kapitałów niema; powtarzamy, że one są, lecz używają się tylko dla eskontowania wexli, albo dla wypożyczania na hypoteki, a nie przykładają się wcale do przemysłowych lub handlowych przedsięwzięć. Oprócz kolei żelaznej i żeglugi parowej na Wiśle i niewielu innych szczęśliwych pomysłów, w części dla braku współdziałania do skutku niedoprowadzonych, wynajdywanych zawsze przez jedne i te same osoby, jakież przedsięwzięcia odznaczyły życie i czynność handlową, któreby stanowiły jakąś epokę w przemyśle krajowym? — Żadne. Taki stan odrętwienia handlowego postępu, stosuje się chociaż w mniejszym może rozmiarze i do całego stałego europejskiego lądu, wyłączwszy kraje o których wyżej wspomnieliśmy. Przed kilku laty Amerykanie straszliwe znieśli przesilenie handlowe, które zagrażało niebezpieczeństwem handlowi całego świata; lecz niepomowana czynność w krótkim czasie wybawiła ich z tego położenia, w którym inny naród zginąłby nazawsze.

Amerykanie chociaż oprócz Europy mają tyle źródeł dla swojego handlu i przemysłu, śledzą jednak nieustannie i wyszukują nowych na europejskim lądzie. Około 1843 r. gdy szła budowania kolei żelaznych ogarnął całą Europę, co zagrażało nawet niebezpieczeństwem, bo ogromne kapitały w te przedsięwzięcia włożone, odwrócone od innych przemysłowych gałęzi, narażały je na upadek, a nie wystarczając na ukończenie rozpoczętych dróg i nie procentując, spowodowały ogólną stagnacją interesów; Amerykanie nie opuścili sposo-

ności skorzystania i na tém. Anglia, która do tego czasu na wszystkie targi, gdziekolwiek zażądano, dostarczała swojego żelaza, bo produkowała rocznie przeszło 26,400,000 polskich centnarów, nie mogła już wystarczyć na potrzeby dla własnych kolei żelaznych, które budować miano. Przewidziano ztąd ogólny brak żelaza w Europie; w Stanach Zjednoczonych powstało wnet mnóstwo fabryk i hut żelaznych; w Pensylwanii wszędzie prawie raził ucho szum i zgiełk parowych machin, a w nocy cała prowincya zdawała się jakby królestwem Plutona, bo roboty w dzień i w nocy trwały nieustannie; w samej więc Pensylwanii w 1843 r. wyrobiono żelaza na sprzedaż do Europy i w miejsca do których dostarczano europejskiego żelaza 300,000 tonów czyli 6,600,000 polskich cent. W następnym roku produkcya doszła do 7,700,000 centnarów, a ponieważ Pensylwania sama dostarczała $\frac{3}{4}$ części całej produkcji Stanów Zjednoczonych, więc w r. 1845 Ameryka była w stanie wystawić na sprzedaż swój całoroczny wyrób żelaza, który wynosił przeszło 8,800,000 polskich cent. to jest o 440 do 660 tysięcy cent. więcej, aniżeli 580 wielkich pieców produkują rocznie we Francyi, a trzy razy więcej, niż wyrabiają w Belgii, i prawie $\frac{1}{3}$ część całej angielskiej rocznej produkcji.

W krytycznym 1846 r., kiedy w zachodniej Europie nieurodzaj spowodował okropne klęski, Rossya i Polska z europejskich krajów dostarczyły najwięcej na sprzedaż swojej pszenicy. Najglówniejsze w Europie składy zboża znajdują się w Nice, Genui, Amsterdamie, Roterdamie, Hamburgu, Gdańsku, Londynie, Liwerpolu, Glasgowie, Taganrogu, Rostowie, Maryupolu, Rydze, Marsylii i w kilku innych miejscach; oprócz tego Ale-

xandrya w Egipcie jest punktem dostarczającym do Europy bardzo wiele pszenicy (1).

Ze wszystkich wyżej wspomnianych punktów, najtańsze ceny były od 13 do 16 franków w Odessie i innych portach morza Czarnego; w Alexandryi od 12

(1) Dla ciekawości, wypisujemy prawie dosłownie urzędowe ogłoszenie francuzkiego ministra rolnictwa, w jakim miejscu i jakie ceny w owym czasie w miesiącach październiku i listopadzie 1846 r. panowały na pszenicę:

| <i>Miasta</i> | <i>Miesiąc</i> | <i>Cena hektolitru na franki.</i> |
|-------------------------|----------------|---------------------------------------|
| Roterdam | w październiku | 25 fr. 57 cent. |
| Berlin | — | 24 — 16 — |
| Lubeka | — | 21 — 62 — |
| Hamburg | — | 27 — 73 — |
| Szczecin | — | 22 — 64 — |
| Tryest | — | 18 — 47 — |
| Moguncya | — | 27 — 50 — |
| Genua | — | 21 — 53 — |
| Ankona | — | 16 — 78 — |
| Rzym | — | 19 — 38 — |
| Liworno | — | 19 — 4 — |
| Koruna | — | 19 — 46 — |
| Murcya | — | 23 — 43 — |
| Malaga | — | 19 — 68 — |
| Bilbao | — | 18 — 34 — |
| Kadyx | — | 24 — 26 — |
| Barcelona | — | 24 — 72 — |
| Kopenhaga | — | 18 — |
| Chrystyania | — | 24 — 44 — |
| Odessa: polska pszenica | — | 14 — 16 — |
| — bessarabska | — | 12 — 24 — |
| Petersburg | — | 16 — 80 — |
| Alexandrya w Egipcie | — | 12 — 50 — |
| Antwerpia | w listopadzie | 26 — 71 — |
| Gdańsk | — | 22 — 53 — |
| Brema | — | 22 — 72 — |
| Nice | — | 21 — 37 — |
| Neapol | — | 19 — 71 — |
| Londyn | — | 26 — 68 — |
| Nowy York | — | 12 — 9 — |

do 12 fr. 50 cen. za hektolitr, a w Ameryce w Nowym Yorku w téjże saméj epoce, pszenica stała na 12 fr. 9 cen. za hektolitr.

W Odessie trzeba było płacić za ubezpieczenie od $2\frac{1}{2}$ do 5%, komissowego i za naładowanie na okręt do $3\frac{1}{2}$ na 100 od hektolitra.

W Alexandryi cło wywozowe wynosiło 12% na 100; naładowanie na okręt od 25 do 30 centymów, ubezpieczenie $\frac{3}{4}$ na 100 i transport 2 fr. 75 cent. od hektolitra.

W Nowym Yorku zaś, wywóz wolny, a wszelkie inne koszta wraz z transportem do angielskich lub francuzkich portów, właśnie do krajów gdzie bięda najwięcej dała się we znaki, wynosiły od 3 fr. 50 cent. do 4 franków. A więc i dostawę pszenicy do Europy, Stany Zjednoczone mogły uskutecznić daleko taniej niż Rossya i Polska, które ten produkt najwięcej obchodzić powinny (1).

Gdzie tylko idzie rzecz o handel, Amerykanin zawsze i wszędzie uprzedzi Europejczyka. Syberya dotąd była dla mieszkańców Stanów Zjednoczonych *terra incognita*, i nie wchodziła w obręb handlowych ich czynności; lecz w końcu zeszłego roku niejaki *Aaron H. Palmer* wydał dzieło (2), opisujące kategorycznie zamożne syberyjskie środki i źródła dla handlu, widoki jakie przed-

(1) Nie będziemy wchodzić w dalsze szczegóły amerykańskiego handlu, lecz odsyłamy czytelnika do ciekawego dzieła w tym przedmiocie: „*Commercial Statistics by John Macgregor in London. IV* tomy, 1844—1848.

(2) *Memoir Geographical Political and comercial on the prescut state production, Resources and Capabilities for commerce of Siberia, Manshuria and the Asiatic Islands of the North Pacific Ocean, and the importance of opening commercial intercources with those contries. New York, 1848, 1 vol.*

stawiają w tym względzie Mandżurya i inne przyległe Syberyi obszerne kraje, i azyatyckie wyspy północnych stref oceanu Spokojnego, zachęcając swoich ziomków do zaprowadzenia w tych krajach towarzystw handlowych. Niéma wątpliwości, że jeżeli tylko Amerykanie usłuchają rad Palmera, rozległe i prawie puste obszary syberyjskie i Azji środkowej, w krótkim czasie ożyją i przybiorą inną postać.

Z Chinami Amerykanie są w dość dobrych stosunkach, z Japonią tak jak mogą, ale zawsze lepiej niż Anglicy lub Francuzi, którzy jedni tylko mogliby potęgę swoją równoważyć ze zbyt wielkimi wpływami amerykańskiego handlu na tych morzach. Chińczycy nawet wiele wyrabiają najnowszych gatunków jedwabnych materij dla Amerykanów, które ci w tym celu sprowadzają na wzór z Lugdunu, i później chińskie wyroby sprzedają o 20% taniej, niż Francuzi mogą sprzedawać swoje. Ta okoliczność przed kilku laty znacznie sparaliżowała jedwabny przemysł we Francyi, i stała się przyczyną upadku wielu fabryk lugduńskich. Z polepszeniem handlowych stosunków z Chinami, przemysł jedwabny w Europie jeszcze więcej może ucieść, a przynajmniej nie tyle się rozszerzyć, ile mu do tego nadają prawa: niepospolity gust i wytworność francuzkich wyrobów.

Najpowabniejszym przedmiotem handlu przywozowego dla Japończyków jest wieloryb, i chociaż to niewielu jest znanem, jest jednak istotną prawdą, że w północnych strefach oceanu Spokojnego znajdują się wieloryby daleko obficie, aniżeli w jakimkolwiek innem kuli ziemskiej miejscu. Niezła to będzie pomyślność dla przedsiębior-

stwa Amerykanów, którzy podobnych okoliczności nigdy nie zaniedbują.

Jeżeli więc Amerykanie, co wreszcie nietrudno odgadnąć, za pomocą czarodziejskiej łaski, podbiją pod swój wpływ i ten zakątek świata i zagarną go przez swój czynny i postępowy handel: jaki to wyrze skutek na handel Europy, a szczególnie w środkowych państwach? Zbawienny, jeżeli opieszala Europa zdoła stawić godny opór przez czynność i współbieganie się; obszerne kraje środkowej Azji ze swego geograficznego położenia, mogą być placem téj handlowej walki, na każdym zaś innym miejscu Amerykanie otrzymają zwycięstwo, chyba jakie szczególne, wyjątkowe *ad hoc* prawa w Europie, czego się spodziewać nie można, stały temu na przeszkodzie. Przeciwny zaś skutek nastąpi, jeżeli Europa zostanie jak dotąd pogrążona w teorii a nieczynna w praktyce; Amerykanie nie tylko mogą, ale i powinni z naturalnego biegu rzeczy otrzymać pierwszeństwo w handlu europejskim w samej Europie. Najglówniejszymi konsumentami surowych europejskich produktów są: Anglia i Francya, jako najwięcej ucywilizowane i stosunkowo najludniejsze kraje; przerobione zaś produktu, każdy kraj konsumuje u siebie, zbywając tylko ilość rozsyłając zewnątrz. Produkcją przerobionych towarów na zewnętrzną sprzedaż, znaczna część krajów europejskich niewiele może się chlubić, a więc trzeba poprzestać na wywozie pierwszych, czyli surowych produktów. Widzieliśmy zaś, że Amerykanie prawie wszystkich takich przedmiotów dostarczać mogą, i dostarczają do wszystkich zachodnich europejskich portów taniej, a często i w lepszym stanie, niż inne europejskie państwa. Welna, marzenie przyszłego źródła

dla intraty niejednego nadwiślańskiego lub naddnie-
strzańskiego obywatela, albo mieszkańca karpackich
krain, lub pięknych równin szlązkich, sprzedaje się
najwięcej do Anglii. Handel ten po części zбочzył
z właściwej drogi, bo przechodzi przez ręce nader
małej liczby komissantów, i nielitościwych *spekulan-
tów*. Zdaje się, że Amerykanie jeszcze nie dotknęli
tęj gałęzi w Europie, i pewnie jęj nie dotkną, bo
wiedzą dobrze, że Anglicy mają w Australii ogromne
owczarnie: tak, iż w porównaniu z niemi najbogatsze
węgierskie są niczém. W r. zeszłym zwiedzał Królestwo
jeden z Poznańczyków pan Sz., który kilka lat bawił
w Australii; opowiadał on bardzo wiele ciekawych szcze-
gółów o tamecznych osadach i zakładach. Angielskie
towarzystwo, u którego był w obowiązku przez cały
czas swego pobytu w Australii, zawiązane w celu hodo-
wania owiec, miało już 6,000,000 sztuk, a jeszcze po-
stępowe czyniło kroki, zamierzając doprowadzić owczar-
nię do ogromnej liczby 15 milionów. Nie jestto bajka
i niéma wątpliwości, że handel na wełnę z Anglią musi
z czasem uleść znacznemu ograniczeniu, a w końcu je-
śli Amerykanie spostrzegą dla tęj gałęzi przemysłu po-
myślne widoki, nie zaniedbają zaprowadzić u siebie
owczarń na skalę australijskich, w obszarach Oregonu
lub Texasu albo Kalifornii, za obrębem złotego okręgu
(*Gold district*).

Jak niegdys Fenicya i Kartagena panowały nad sta-
rożytnym handlowym światem, a Wielka Brytania pa-
nuje nad naszym; tak na przyszłość Stany Zjednoczone
północnej Ameryki ogarną cały handel na obudwóch
półkulach; jestto wyrok Opatrzności, wynagradzający ten

lud za jego pracę, czynność, praktyczne życie i dążność ku oświacie.

Okazaliśmy wyżej, że wykryte skarby w Kalifornii nadały w ostatnim czasie największy a przynajmniej najwidoczniejszy popęd handlowi, i dlatego zwrócimy się znowu do Kalifornii i jej bogactw.

P. *Pinkerton* opisując odkrycie Kalifornii przez *Drake*, który ją nazwał *Nowym Albionem*, opowiada, że *Sir Francis Drake* przed 250 laty utrzymywał „iż kraj ten obfituje w złoto i srebro, iż za najmniejszym poruszeniem gruntu rydlem lub oskardem, drogie te kruszce bardzo widocznie się okazują, pomieszane z czarnoziemem (*with mould*).” Terytoryum Nowego Meksyku leży z tyłu tuż za *Nowym Albionem*, po drugiej stronie wąskiej zatoki, i właśnie na tej przestrzeni znajdują się dawniej wykryte, jedne z najbogatszych kopuł srebra w *Santa-Fe*. Terazniejsze zaś odkrycia złotego kruszcu, ostatecznie przekonują o prawdziwości twierdzenia p. *Drake*, któremu w owym czasie mało wierzono.

Znakomity geograf p. *Wyld* sporządził niedawno mapę Wyższej Kalifornii, i oznaczył przestrzeń na której znajdują się nowo odkryte cenniejsze złotodajne rozsepy; podług tej mappy, złota strefa zajmuje pas długi na 600 i szeroki na 100 do 150 mil angielskich, to jest do 130 polskich mil na długość, i od 21 do 33 mil na szerokość. Widać, że ta przestrzeń obliczona jest do samej zachodniej pochyłości Skalistych gór, *Sierra - Verde* tam zwanych; lecz zdaje się, że i to obliczenie, jakkolwiek wielkie, jest jeszcze niedostateczne, bo podług wszelkiego prawdopodobieństwa, złotodajne rozsepy Kalifornii przechodzą na wschodnią stronę Skalistych gór na terytoryum, na którym biorą początek rzeki *del Norte Plate*

i *Arkansas*, a następnie, chociaż z przerwami, łączą się ze złotodajnymi pokładami w południowej części Stanów Zjednoczonych, pomiędzy lewym brzegiem Mississipi, a oceanem Atlantyckim rozrzuconemi. Takowy domysł znacznie powiększa ważność bogactw, które Amerykanie zdobyli w ostatniej wojnie z Meksykiem. Pomimo to, my zawsze obstajemy przy naszym początkowém zdaniu, że rozsepy syberyjskie są daleko obszerniejsze, i że wydajność syberyjskiego kruszcza nie jest uboższą, jak w Kalifornii. Przypuszczając jednak, że wyrób złota w Ameryce łącznie z kopalniami Kalifornii zrówna się z Syberją (1), to jest że produkcyja w samej Kalifornii będzie czyniła rocznie około 40 milionów franków wartości; pytamy, jaki wpływ może wywrzeć na stan handlu w Europie i w ogólności w całym świecie, ten niespodziany przyływ drogiego kruszcza? Czy sprawi to, co było w XVI wieku po odkryciu meksykańskich i peruwiańskich kopalni, że gdy szlachetne metale zanadto się upowszechniły, wszelkie inne produkta podniosły się w cenie, czyli raczej za towar, którego wartość wewnętrzna nie mogła się zmienić, dawano złota więcej niż poprzednio? Nam się zdaje, że ten przyływ złota, tylko dobre i pożądane przynieść może skutki. Za owych czasów, cały handel w Europie skoncentrowany był w rękę niewielu żydów i kilku innych zamożnych kupców Zachodniej Europy; kapitały były pozgromadzone bez ruchu w skarbcach królewskich i u feodalnych właścicieli dóbr; handel na Wschodzie był odosobnionym i tylko jakby wewnętrznym. Odbывał się za pomocą karawan, bo nie znano jeszcze

(1) Syberya wydała w 1846 r. 60,095 funt. złota, t. j. 94,190,304 franków wartości; roczna zaś produkcyja Ameryki w przecięciu wynosi teraz, bez Kalifornii, 51,434,000 fr.

ani żeglugi parowej, ani kolei żelaznych; polityczny stan całego świata był inny; nie było może okropnych chwilowych wstrząśnień, jakie cechują terazniejszą epokę, lecz niepewność stale ciążyła nad krajami i ludami, które nie obeznały się jeszcze z dobrodziejstwami ogólnego pokoju; w końcu Ameryka i Amerykanie, naród *par excellence* handlowy i przemysłowy, jeszcze nie istniał. Jeżeli teraz Stany Zjednoczone z samego tylko handlu na oceanie Spokojnym, mają przeszło 100 milionów franków rocznego zysku, cóż może zrządzić powiększenie o 40 milionów franków na całej kuli ziemskiej? Rocznią produkcją drogich kruszców na całym świecie obliczają:

złota na 172,195,000 fran.

a srebra na 167,043,000 fran.

razem na 339,238,000 fran.

a zatem powiększenie jój o 40 milionów, a nawet o dwa i trzy razy więcej, nie może i nie powinno zmienić dotychczasowego biegu interesów, chyba tylko miejscowo i chwilowo, jak to ma miejsce dziś w samej Kalifornii.

Podług formuły ekonomistów, wyłączając wypadki monopolu, wszelkie towary dążą do ceny, którą stanowią koszta produkcji, zwiększone zyskiem, jaki zwyczajnie odnosi każdy w ogólności rodzaj przemysłu w kraju. Zaczekamy więc, dopóki powyższa zasada nie zostanie zastosowaną do praktyki w Kalifornii, a dopiero wtenczas będzie można powiedzieć, jaką wyrażać może wartość złoto wydobyte na brzegach rzeki Sacramento.

Ostatnie burzliwe wypadki przekonały, że nie obfitość złota ani brak jego paralizuje handel i wpływa niekorzystnie na cenę produktów, lecz brak wzajemnego zaufania czyli kredytu, którego handel jest główną podstawą i żywiołem, a który nawet w czasach zamożności

i obfitości może nie istnieć, i istnieć w razie przeciwnym.

Jeżeli więc produkcyjne koszty dozwolą rozszerzeniu się w Kalifornii wyrobu drogich kruszców, czego się spodziewać należy, i jeżeli dalszy jego postęp przez długi szereg lat potrwa, to w takim razie może spowodować złe wypadki dla indywidualów, które przywykły mieć całe swoje majątki w brzęczącej monecie: bo one otrzymują swój zysk od procentów, a kapitały wtenczas będą daleko mniej procentowały jak teraz. Może oraz spowodować zmianę ceny złota w stosunku do srebra, co będzie zależało od dostarczonej do handlu ilości każdego z tych metali; lecz dla ogółu powiększony przyływ złota i srebra, dobre tylko spowodować może wypadki: zaludnią się pustynie Texasu, Oregonu, Kalifornii; obszary w południowej Ameryce, Afryce i Azji, pokryją się sieciami dróg żelaznych; powstaną liczne, piękne miasta; udoskonali się rolnictwo, polepszy się w ogólności gospodarstwo i byt narodów, zakwitną nowe gałęzie przemysłu, i cywilizacja przeniknie w najodleglejsze zakątki; tymczasem kopalnie w Kalifornii zubożeją, wszystko się zrównoważy, aż znowu wykryją świeże źródła bogactw w nowych krajach.

J. M.



ZNACZENIE I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michała Głiszczyńskiego.

(Ciąg dalszy).

VII.

Gospodarstwo wewnętrzne, dochody i powinności wojska zaporozkiego.

Zaporozcy, jako składający sobą wojenne i bezżenne bractwo, osiadłe na ogromnej rzece, władające niezmiernymi i żyznymi pastwiskami, oraz płodnorodną ziemią, mogli byli prowadzić życie w dostatku a nawet zbytku, gdyby umieli korzystać z darów ziemi, którą im na mieszkanie wygraniczyła Opatrzność, gdyby wiedzieli jak ich używać należy. Ale pierwsze chwile ich bytu, były ciągłą walką i wojną, a późniejsze, zamieniły już u nich w nałóg harce i bojki. Co więcej, odległość od wszelkiego ucywilizowanego świata, sąsiedztwo z zaciętymi i wiecznie napastniczemi wrogami, a co najważniejsze pogarda, a raczej usunięcie się od wszelkie-

go życia farnilijnego i stosunków rodziny, które tak ogromny wpływ wywierają na moralny charakter ludzi i ludów i każdego towarzystwa, położyły na ich istnienie oddzielne i wybitne znamię dzikości i prostoty, mężstwa i srogości; a chociaż byt ich pelen jest zajęcia i wewnętrznej godności, zadziwia jednak grubą i nieokrzesaną zewnętrznością swoją. Rys ten, owo znamię im samym właściwe, przebijał się wszędzie: w wojnie, w pokoju, w gospodarstwie, w prywatném życiu, w stosunkach z sąsiadami, z władzami i podwładnemi.

Podług możności, nakręśliłem już wybitniejsze odcienia owego rysu kozackiego życia; teraz przechodzę do więcej wewnętrznych, drobniejszych, dotyczących się uczuciowego i materialnego ich bytu. Jak tam, tak i tu w przeglądzie moim, nie mając żadnych pewnych dowodów historyczno-pragmatycznych z czasów dawniejszego bytu kozactwa zaporozkiego, bo nigdzie, wyjąwszy w Bopłanie i Starowolskim, żadnych wyraźnych śladów zaporozkich Kozaków nie znalazłem, a nie chcąc nic na domysł wnioskować, ani naciąganych wywodów za pewność podawać, wracam znowu do archiwum siczowego, które pan Skalkowski odszukał, bo ono jest bezstronnym świadkiem tych, co je po sobie zostawili, nie domyślając się nawet, że w niém złożyli poświadczenie i okaz całej swojej treści i znaczenia (1).

(1) Jak już wyżej raz powiedziałem, i nasi i rossyjscy, a tém więcej obcy historycy, pomieszali Ukraińców z Zaporozcami. Beauplan w swoim *Description de l'Ukraine*, i Starowolski w dwóch bardzo ważnych i rzadkich swoich pismach: *Instituto-ram Rei militaris*, i *Eques Polonus* zrozumieli i nakręśliли dosyć wyraźnie charakter Zaporozców; do nich więc dwóch, obok dokumentów rodzimych kozackich, w dalszym ciągu méj pracy odwoływać się będę.

1. Gospodarstwo wiejskie.

Obszerne i urodzajne łąny należące do Zaporozców, na przestrzeni kilkuset kwadratowych mil zamieszkałe przez ludzi nieprzemysłowych i przedsiębiorczych, nie przedstawiały też wcale widoku rozwiniętego, a przynajmniej ruchliwego gospodarstwa wiejskiego. Brak przemysłowego ducha, właściwy podówczas wszystkim plemionom słowiańskim, brak ten czuć się dawał jeszcze więcej na Zaporoziu, gdzie większa połowa mieszkańców nie składała nigdy broni, a druga połowa przekładała myśliwstwo, rybołówstwo, albo handel, nad przykre i ciągłe prace rolnika. Dlatego też zaporozki kraj, który dzisiaj składają dwie ogromne gubernie z półtora miliona mieszkańcami, wtedy był pięknym wprawdzie, ale pustym i głuchym stepem. Mimo to, było tam do 50, a może i do 100 tysięcy Kozaków, co żyć potrzebowali i zapewne nie mogli się obejść bez jakiegokolwiek zajęcia się uprawą roli, stosownego do ich pojęć i potrzeb. Musieli więc mieć swoje rolnictwo.

Rolnictwo, to jest uprawa ziemi i sianie zboża, istniało oddawna w Zaporoziu; ale nigdy nie zrobiło wielkich postępów do pierwszej połowy XVIII wieku, w której wielki z różnych przyczyn napływ mieszkańców, po większej części z klasy robotników, zaludnił zaporozkie stepy przy rzece Orelu i puszcze Samary. Znajome czytelnikom pałanki, pod względem rolniczym stały w następującym porządku: samarska, kodacka, orelska i protowczańska. Tam nie tylko rolnictwo, ale i inne gałęzie gospodarstwa wiejskiego kwitnęły. Wewnętrzne zaś stepy od Ingulca do bohogardowej pałanki, i zimowniki, przeznaczone były jedynie na chowanie bydła i stad,

i na pasieki; nakoniec, po granicy w stepach kałmiuskiej, perewieźkiej i bohogardowej pałanki, zupełnie rolnictwa nie było. Kozacy żyli po zimownikach łowiąc ryby, polując, albo zbierając sól na słonych jeziorach. Bardzo mała część ziemi wydzielona była na uprawę zboża; ztąd też niedostatek zboża czuć się dawał często w Zaporozżu, i był tak dokuczliwym czasami, że koszarowicz uważał to za wielką rzecz i za ważny artykuł w swoich urządzeniach, że pobierał żołdem od cesarzów rosyjskich mąkę i krupy, i że pozwolono mu swobodnie handlować zbożem z Polską i Małorossyą. Wśród tylu domagań się i prośb, jakie Zaporozżycy przedstawiali przez liczne swoje poselstwa do dworu petersburskiego, zawsze była wzmianka i o tém, aby zakonnicy z zakonu kijowsko-międzygórskiego przebywający w siczy, mogli dostawać corocznie zboże i krupy ze swego zakonu, dla ich własnego utrzymania. Zapewne i rząd rosyjski przez szpary patrzył na ów brak uprawy roli i niedostatek zboża, bo tym sposobem samém wyznaczeniem lub odmówieniem prowiantu, mógł trzymać burzliwą wolnicę w zależności i posłuszeństwie. Samo nawet pożywienie Zaporozżców, najwięcej składało się z kaszy, kuleszy, to jest: gryczanej, pszenicznej, lub jęczmiennej polewki, dotąd używanej w Małorossyi; mléka i ryb, z małym dodatkiem żytniego chleba, pszenicznych podpłomyków (paleni) i lepieszek, a bardzo rzadko mięsa. Starowolski powiada, że nigdy nie jedli chleba zwyczajnego, ale na razie robiony, tak nazwany podpłomyk (subcinericum). W czasie wojny tołokno, to jest gęsto zgotowana pszenna kasza i suchary, składały cały zapas prawdziwego Kozaka. Dlatego też po wsiach i zimownikach siali mało żyta i pszenicy, a najwięcej

prosa, owsa, jęczmienia, tataraki i grochu. Z roślin ogrodowych hodowali najwięcej: ogórki, kapustę, kawony i banie. Solone ogórki były ważną łakotką dla Zaporozia, i jest ślad, że wojskowy sędzia posyłał z siczy dla wojującego przeciw Turkom oddziału baryłki z ogórkami „dla stołu pana kozowego i starszyny”. Od Mołdawian przyjęli użycie mamalyki, to jest ciasta z kukurydzy, rodzaj naszej prażuchy; dlatego też sadzili kukurydżę w ogrodach, jak również czosnek i cebulę, którymi dzielili się z Tatarami, którzy kupowali od nich także i tytuń prosty, pochodzący z Małorossyi.

Takie było całe gospodarstwo Zaporozców. Ich sąsiedzi małorossyjscy czyli ukraińscy Kozacy, żyli także prosto, ale już daleko wygodniej, i gospodarstwo ich było także w lepszym stanie; więcej tam siano zboża i wypalano wódki, której ogromną ilość wyprawiano corocznie do Zaporozia.

Tatarzy, sąsiedzi z drugiej strony, żyli gorzej jeszcze niż Kozacy, a Nogajcy niczem prawie nie różnili się w pojęciach i sposobie życia od dzikich Amerykanów, do których nawet rysami dziwnie są podobni. Prawda, żeśmy w owym czasie stali niezmiernie wyżej w urządzeniach i obywatelstwie od Zaporozców i Ukraińców; prawda, żeśmy dużo wpływali na moralny rozwój Kozactwa, i przy innych okolicznościach, niepodobieństwem byłoby, aby cywilizacja polska tak już wtedy rozwinięta, nie miała przeniknąć w wnętrze Zaporozia; ale kiedy stosunki przyjaźni, związku i zależności między Polską i Kozakami pękły gwałtownie, i braci zamieniły na niepojednanych prawie wrogów: to też droga wykształcenia socyalnego i umysłowego, a nawet i materialnego, przeciętą nazawsze została z Polski na „Dzikie Pole”.

Najlepszym dowodem tój skąpości zboża i biédnego stanu rolnictwa w Zaporozżu, jest wstawienie się koczowego atamana Grzegorza Fedorowa do cesarzowej Elżbiéty Piotrownéj w 1755 r., aby raczyła powiększyć Zaporozcom zóld zbożowy (prowiant), bo podług słów jego: „Wojsko zaporozkie nizowe, od dawnych lat i teraz zboża nie sieje, a nawet w stepowych miejscach bardzo liche gatunek rodzi się”. Powiedziano to o terazniejszych noworossyjskich stepach, na których teraz rodzi się przeszło 3,000,000 korcy zboża, a więcej niż 1,00,000 wywozi się za granicę.

Bez porównania ważniejszą gałęzią gospodarstwa było *hodowanie bydła*: najważniejsze źródło bogactwa Zaporozia. Każdy Kozak w swoim zimowniku, każde sióło starało się o zaprowadzenie stada owiec, bydła i tabunów końskich; i nie było ani jednéj rzeczki, bałki i wykopanéj krynicy lub studni, gdzieby zpośródka wysokiéj trawy, nie czerniały pasterzy kosze, podobne do czarnych arabskich namiotów. Ale chociaż przyroda dała Zaporozcom bogate łąki i pastwiska, a na nich wybornéj rasy bydło i konie; nigdy jednak oni w niczém na ulepszenie tych darów sztuką lub staraniem nie wpływali. Rasa np. owiec w przeciągu wielu lat była zawsze taż sama; wiemy tyle tylko, że wołoskie owce, dziś tak rzadkie, były u nich bardzo zwyczajnemi. Bydło było rosłe, silne, chociaż nietłuste. Dotąd pozostało w prawie nazwisko czerkaskiego, to jest kozaczego bydła, dawane dobremu i zdatnemu do rzezi bydłu. Wtedy wszystkich Kozaków na północy nazywali Czerkasami (1). Sąsiedztwo z Krymem, ułatwiłoby zapewne Za-

(1) Patrz mój artykuł: „O hetmanach małorossyjskich” w Bibliotece Warszawskiej.

porożcom hodowanie owiec siwych, tak nazwanych krymskich, które tak namiętnie lubili Zaporozcy i Ukraińcy; ale Tatarzy bacznie przestrzegali tego, aby nikt nie wywoził żywych owiec za granicę Perekopskiej linii.

Konie ich musiały być doskonałej rasy, kiedy tak starannie poszukiwane były przez polskich, ruskich i krymskich kupców. W roku 1735 zaledwie Zaporozcy osiedli w nowym swoim koszu na rzece Podpołnej, wnet hrabia Wejsbach poruczył im zebranie koni: „zdanych do cugów i dla kawaleryi”. Żadnego milszego gościńca, tojest podarunku, nie można było zrobić hetmanowi albo panom petersburskim i moskiewskim, jak posłaniem dla nich konia, „cobyto, jak mawiał Potemkin, kozakować umiał”. Bardzo często posyłali Zaporozcy w darze konie wyższym urzędnikom państwa, Rumiańcowi, Paninowi, Woroncowowi, Potemkinowi, Trubeckiemu i Szachowskiemu; metropolitom i klasztorom kijowskim i moskiewskim. Nawet kilka razy mieli ten zaszczyt, że mogli przesłać w darze kilka swoich koni następcy tronu Pawłowi Piotrowiczowi.

Były przykłady, że zagraniczni oficerowie od remontu dostawali pozwolenie od dworu, do zakupywania koni dla swojej kawaleryi, jak to w r. 1768 pruski kapitan baron Lindener i inni. Przodkowie nasi, lubiący z natury namiętnie konie, i mający najpiękniejsze w Europie zakłady i stada, bardzo cenili stepowe zaporozkie konie. Krymcy także uważali za skarb nieoceniony, za bohaterski czyn, jeżeli kto z bronią w ręku odbił lub porwał Kozakowi tabuńskiego ogiera. Jak ogromne były te stadniny, można poznać z tego, że na początku wojny roku 1769, przez niespodziany napad Tatarów, Zaporozcy utracili wiele tysięcy sztuk bydła

w dwóch tylko pałankach. Oto szczegółowy wykaz owych strat: Ataman koszowy stracił tabun z 600 koni; waleczny pułkownik Kolpak stracił 1200 owiec, 127 koni i 310 sztuk bydła; Kozak szcerbinowskiego kurenia Aleksy Dudnik, stracił 250 koni i 70 wołów; na rzece Orel, Kozak popowiczowskiego kurenia Fedor Rudy stracił 5,010 owiec i 6 wołów; na rzece Byku, Kozak kaniowskiego kurenia Fedor Gołuch stracił 2000 owiec i 6 koni; także wielickowski Kozak Abram, stracił 200 koni i 50 wołów; na rzece Małej Cierniówce w zimowniku wojskowego pisarza Głoby, porwali 4000 owiec, 10 koni i 130 wołów;—a jednak te straty nie zachwiały szkodliwie ich gospodarstwa. W jednej pogranicznej kommissyi, zwykle corocznie odbywającej się dla rozstrzygnięcia sporów z wzajemnych nieprzyjacielskich napadów i grabieży, wynikłych między Kozakami i Krymcami, postawie zaporozcy ofiarowali naraz 2000 koni od wojska, żeby prędzej skończyć narady i układy. Nakoniec Zaporozcy wychowani od dziecka na stepowym koniu, bardzo byli cenieni przez naszych i Rossyjan, jako najlepsze konne podjazdowe wojsko. Nic u nich nie znaczyła rzeka, góra, przepaści; wszędzie się na koniu wdziérali. To téż Starowski powiada o nich: „A tak na równinie i na górzystém położeniu, za niewyciężonych są miani”. Zaporoziec, to znaczy jeździec konny, i inaczéj nikt go sobie nie wyobraża, chyba jeszcze na czajkach za progami: bo bez czajki swój na Dnieprze, na szerokiej jak morze odnodze dniewrowskiej i na kipiących wiosną progach, a bez konia na bezgranicznych stepach, cóżby zna-
czył Kozak ze swoją długą piką i grubego wyrobu ru-

sznicą? Ciekawa bardzo dlatego odpowiedź posła zaporozkiego Gołowatego, dana Potemkinowi w Petersburgu na jego zarzut, że niektórzy Kozacy, porzuciwszy na Dunaju swoje łódki, piechotą puścili się do Polski na grabież: „Choć oni i poszli, jak mówią, na grabitelstwo, to co oni piesi ztamtąd wyniosą?” Hodowanie bydła było podstawą wszystkich rachunków w Zaporozu; nawet sądowe sztrufy płacono wojskowemu sądowi końmi albo bydłem, a hajdamacy rzadko napadali na domy lub obozy z towarami, a najczęściej hulali ze swojemi śmiałkami po stepie, przestając na odbijaniu czabanom bydła.

Niemniej ważną gałęzią gospodarstwa, a raczej przemysłowości na Zaporozu było *rybołówstwo*. Można śmiało powiedzieć, że jedna połowa towarzystwa utrzymywała się z hodowania bydła, a druga z rybołówstwa. Powiedziałem już, że zwyczajem było nieodmiennym na Zaporozu, w Nowy Rok rzucać losy o rzeki i stepowe rzeczki, komu się miały dostać do łowienia w nich ryb. Ale niektóre nawet pałanki albo uzbrojone nawet stannice, pod dowództwem pułkownika i dwóch starszyn, naumyślnie stanowione były w oddalonych od siczy miejscach na granicy, albo już za granicą, żeby opiekowały się rybakami i utrzymywały między nimi porządek i karność. Takimi były ingulska, kałmiuska i bohogardowa pałanka, o czém już nadmienilem na swoim miejscu. Główne rybołówstwo odbywało się na odnodze Dnieprowskiej i Bohskiej, wtedy jeszcze należących zupełnie do Turcyi; na Bohu niedaleko ujścia do niego Siniej Wody; na Dnieprze powyżej i poniżej progów; na Azowskiem morzu nietylko z téj strony przy berdyńskim, białosarajskim i kałmiuskim koszu, ale ztam-

téj strony, przy odnodze Ejskiej i już w granicach czarnomorskich Kozaków, o co ciągle i zacięte spory wiedli z Zaporozcami Dońcy i Kubańcy (1). Ryby stanowiły główne pożywienie Zaporozców nie lubiących mięsa, a nawet były przedmiotem znacznym handlu wywozowego, o czém niżej. Niezliczone *tafy*, to jest mieszkania rybaków, zwykle rządzone przez doświadczonych kurennych Kozaków gospodarzami zwanych, a u niewodów znajdujących się, były ciągłym miejscem schronienia nie tylko dla Kozaków, ale i wszelkiego rodzaju włóczęgów, argatów (parobków), co nie chcieli zapisywać się w woj-

(1) „O tych nieskończonych kłótniach z Dońcami, Kubańcami o rybołówstwo od strony kalmiuskiej pałanki, możnaby napisać bardzo wiele stronic, niemniej ciekawych, jak opowiadanie Walter-Scota o rybołówstwie na Solwie w Szkocyi” powiada pan Skalkowski. Ale z kąd dostać mistrzowskiego i wymownego prawie pióra, tego natchnionego barda? Dlatego téż przestaję na prostém przytoczeniu kilku dokumentów i akt w tym względzie, które tu dosłownie wypisuje:

W roku 1743, kijowski generał-gubernator Leontiew, zakomunikował koszowi wiele skarg zanesionych przez atamana dońskiego Jefremowa, na pułkownika kalmiuskiej pałanki Kischeńskiego, który nie tylko że za granicą zaporozką do Miusu, Białego-Kamieńca i Temernika za łowieniem ryb dochodził, ale nawet mianując się miuskim pułkownikiem, pozganiał ztamtąd dońskich i ruskich przemysłowców, a szalasy i mienie ich zapalił, ale od pożaru sam Bóg uchronił. Ten swawolny pułkownik jakby na urągowisko Dońcom, przybywając do stolicy ich Nowo-Czerkaska, po szynkach i rynku zwoływał do siebie na towarzyszy zbiegłych Zaporozców i małorossyjskich ludzi, harcował wierzchem po ulicach w ciemną niedzielę, i kańczugiem bił kobiety i Kozaków z wielkim oburzeniem na to dońskiego wojska. Nakoniec zebrawszy sobie porządną komendę, siadł w łódki, przepłynął Azowskie morze, i na kubańskiej ziemi się rozłożył dla łowienia ryb i polowania. Leontiew surowo nakazał, aby Zaporozcy łowili ryby około Dniepru i na wpadających w Azowskie morze rzeczkach: Berdzie, Kalmiusce, Katce, Kafanczaku, nie docierając do cudzych siedzib. Ale wszystkie rozkazy władcy nie pomagały.

sko, żeby nie brać biletów czyli paszportów, i nie odbywać powinności. Kosz surowo zakazywał przyjmować takich ludzi, ale gospodarze niewodów mieli środki ukrywania swych robotników, kiedy przybył na rewizyą asaул, albo inna jaka objazdowa komenda. Niewody, to jest sicz i cały zakład rybolowczy, były ojczyzną i najprawdziwszym gniazdem hajdamactwa, bo podczas zimy niczém niezajęci, a do niebezpieczeństw i pijaństwa przywykli burlacy, przez rozpustę, potrzebę, albo namowę złoczyńców, puszcza li się oczekując wiosny, na życie tułackie, złodziejskie i zbrodnicze. Ale trzeba im oddać sprawiedliwość, że tam także kształcili się doskonali żeglarze i pływacze, z których w dawne czasy i teraz słynie Zaporozie. Między niemi woj-

We wrześniu 1758 r. nowo mianowany kubańskim seraskierem Saadel-Girej-Sultan, pisał do kosza, prosząc o cofnięcie Kozaków, którzy za łowieniem ryb aż do rzeki Ei i Złotej zapędzili się, bo te ziemie należą już do kubańskich Tatarów. Tymczasem w lipcu 1758 r. Kubańcy porąbali i rozpędzili rybaków co się na Ei znajdowali. Kosz nieraz nakazywał kalmiuskiej pałance, aby Zaporozcy na Kubań nie chodzili; ale tamtejsza starszyna odpowiadała, że rybacy ich nie słuchają, a nawet biletów koszowych na pozwolenie łowienia ryb brać nie chcą. Nakoniec po wielu bezskutecznych korespondencyach, kiedy i groźby hr. Rumiańcowa nie pomagały, kijowski nowy generał-gubernator Wajejkow, odebrawszy najwyższy ukaz cesarzowej z 18 sierp. 1767 r., rozkazał koszowi: „Wybrawszy ze starszyny wojska zaporozkiego zręcznego i zaufanego człowieka, z potrzebną do tego liczbą Kozaków, wysłać go do czaburskiego i eiskiego powiatu, i rozkazać natychmiast ziemianki, albo jakiegokolwiek bądź inne schronienia rybaków zburzyć do szczętu, zupełnie zniszczyć, a łódki i wszystkie stłki do łowienia ryb potrzebne skonfiskować, a Kozaków ztamtąd wysłać i na później nigdy na kubańską stronę Azowskiego morza nie puszczać”. Zdawałoby się, że potem zaporozcy rybacy powinni byli zniknąć na Kubaniu. Wcale nie. Znajdujemy ich znowu na zachodnich brzegach Azowskiego morza, nietylko do upadku samego kosza, ale nawet i wtedy, kiedy ich bracia zaporozcy Kozacy przenieśli się tam w r. 1790.

sko zbierało swoje piechotę na łódki, i tam znajdowało zawsze nieustraszonych rełmanów.

Polowanie. Pod tym wyrazem nie trzeba wcale rozumieć naszej zwykłej i okazałej zabawy, tak upowszechnionej w Europie, a która tak drogo kosztuje dwory i panów; wcale nie było podobne do polowania polskich panów, coto dzielili swe życie między wojnę, hulanki i polowania. Łowami na zwierza, zajmowała się w Zaporozu oddzielna zupełnie klasa Kozaków, którzy się nazywali Lisicznikami, mieli swojego atamana i swój kureń, i zwykle przebywali w bohogardowej pałance. Oni, jak mówiono na Zaporozu, lisili się cały rok, to jest: zajmowali się wyszukiwaniem i ściganiem w stepach lisów, których futra stanowiły ważną gałąź handlu z Krymem i główną część darów, posyłanych w różne miejsca. Płacili nawet dziesięcinę do skarbu wojkowego, dla cerkwi i pałance, lisami. Partya takich lisiczników, pod dowództwem doświadczonego myśliwca, wyprawiała się brzegami Bohu, ku znajomym sobie kryjóvkom lisów, kopała sobie tam ziemlanki, a mając z sobą zapasy na całą zimę, siedzieli tam aż dotąd, dopóki skóry lisów nie traciły na swęj wartości. Po wytepieniu zwierza, albo gdy już dostateczną liczbę futer zebrała, partya ta wracała do zimownika garbarza, gdzie wyprawiano skóry i potem dopiero dzieliła się niemi. Łowili także zajęce, wilki, a nawet jelenie, które aż do r. 1760 żyły w pięknych lasach zadnieprowskiego Zaporozia. Na polowanie, szczególnież na dziczyznę, nieraz przysyłano myśliwców od sąsiedzkich władz, a nawet i od dworu petersburskiego, którym gorliwie pomagali Zaporozcy, bo za sławę to sobie mieli, że tak ceniono „zaporozkie wolności”. Ale owém

polowaniem zajmowali się Zaporozcy jedynie dla futer i handlu niemi, a nie dla pożywienia: bo nawet sami lisiczniki, mający podostatkiem zwierzyny i dziczyzny, chętniej jedli kaszę i pastrydę (suszoną rybę), jak to przystało na prawdziwego Kozaka.

Pszczelnictwo. Tyle tylko wiemy o niém, że dla pasiek stawiano w Zaporozu oddzielne zimowniki, których nazwiska znaleźliśmy przy oznaczeniu granic zaporozkich. Pszczelnictwo, było także ważną gałęzią przemysłu Kozaków zaporozkich, bo miód i wosk, pomieszczone były między ważniejszymi przedmiotami ich handlu; ale sami nawet lubili jeść miód praśny a i pić warzony, i stawiać dużo świec przed ołtarzem Najwyższego w swoich świątyniach. Zrobimy tu uwagę, że tacy pasiecznicy uważani byli przez Zaporozców za ludzi bardzo mądrych, szanownych, za przepowiadaczy przyszłości, a nawet za znachorów, to jest czarodziejów. Jedni tylko młynarze w tym względzie mieli przewagę nad pszczelnikami.

Sady i ogrody. W archiwum z ostatnich lat zaporozkiego bytu (między 1762 i 1774 r.), znajduje się bardzo wiele praktycznych nadzwyczaj i rozsądnych rozporządzeń, które służą za dowód pieczołowitości kosza o lasy, gaje, sady, i jego troskliwości w rozmnażaniu drzew owocowych i ogrodów. Oto kilka wyjątków:

1) *Order* (rozkaz) pisarzowi i asaule kodackiej pałanki: „Wiadomém koszowi się uczyniło, że przy Dnieprze na wyspie nazwanój Monasterską, ponizój Połowicy (1), waszego okręgu obywatele nietylko mające się

(1) Wieś Połowica, teraz miasto Jekaterynosław, którego sady założone były przez Zaporozca Łazarza Głobę, który tam umarł już po „atakowaniu sicy”.

w niej różne drzewo wyrabali i zupełnie spustoszyli, ale i będące tam drzewa rodzące, gruszę i jabłoń i inne, nie bojąc się gniewu Bożego za wykorzenie drzewa onego, na korzyść ogólną corocznie dającego plód, nierozsądnie wyrabali i zupełnie pustoszą. A jako takie spustoszenie drzew a najwięcej owocowych, czynione przez obywateli, ogółowi są bardzo szkodliwe, to my wam rozkazujemy, ażeby na téj wyspie Monasterskiej, napóźniej drzewa nietylko owocowego, ale żadnego innego nie rąbano i nie pustoszo; wszystkim obywatelom żeby nań nigdy nie jeździli, pod surową odpowiedzialnością przeciwnika, rozkazać, i sami macie za tém baczenie patrzeć, aby ona wyspa, drzewem najwięcej owocowém, chociaż mało podrosłém opatrzoną być mogła, „dla ogólnego napotém pożytku”. 8 grudnia, 1764 r.

2) *Order kodackiej palancs.* „Staro-Kodacki mieszkaniec Fedor Szapował doniósł nam, że poniżej Starego-Kodaku na Dnieprze jest wyspa, nazywająca się Demeka. Na niej rosnące czarne drzewo (lasowe) i owocowe, rąbane na drwa, tak silnie się wyniszcza, że jeżeli temu nie zapobiegą, to w zupełne wyniszczenie przejść może. A ponieważ naprzeciw téj wyspy mieszka on Szapował, i że jemu dlatego sposobnie doglądać téj wyspy, aby bez wiedzy jego nikt nie śmiał pustoszyć różnego drzewa czarnego i owocowego, dlatego onę wyspę jemu, Szapowałowi, pod dozór odtąd oddajemy, aż do nowego naszego rozporządzenia, z tém, żeby na niej i on sam osobiście nie rąbał, i nikomu innemu jakimkolwiek sposobem pustoszyć nie dozwolił, aby tym sposobem do dawnego stanu onę wyspę przywieść dla ogólnego pożytku”. 6 grudnia, 1772 r.

3) *Otwarty list*. „Wszystkim komu o tém wiedzieć należy wiadomo się czyni: Kozakowi Panasowi Taranowi z kurenia płastuniwskiego, który się ożenił i mieszka we wsi Kaminskiej na rzece Łozowatce, która wpada w Saksagan, pozwoliliśmy na przyszłość do nowego rozporządzenia wybudować hutor, dla trzymania w nim bydła i gospodarstwa, i żeby w nim od nikogo żadna przeszkoda czyniona nie była, dlatego i ten list jemu, Taranowi, z kosza wydany”. 1772 r. grudnia 10.

4) *Cyrkularz (obiegnik) do pułkowników*. „Proszącym obywatelom miasteczka Starego-Kodaku, dozwoliliśmy na téj stronie Dniepru, gdzie było siolo Czaple i w innych tamtejszych miejscach, osiedlać się hutoremi; i żeby im w tém od nikogo żadna przeszkoda nie była, dlatego i ten otwarty order Wam, z podpisem i wojskową pieczęcią od kosza w miasteczku Nowym Kodaku dany, i oddamy na pochowanie atamanom Starego-Kodaku: kozackiemu i gromadzkiemu”. 2 grudnia, 1772 r.

Uwaga. Między kozackim i gromadzkiem atamanem była ta różnica, że pierwszy był jakby sierżantem nad siczowcami, tojest niezonatemi, żyjącymi w pałankach; a drugi był pewnego rodzaju naszym soltysem, był starszym nad gromadą, tojest nad zonatemi wieśniakami.

5) *Pozwolenie wystawienia mlyna* Klemensowi Rzeknikowi, kurenia kaniowskiego Kozakowi, w którym na końcu dodano od kosza „a pułkownikowi samarskiemu Danielowi Malinowskiemu polecamy, abyście nie robili przeszkody w rąbaniu potrzebnego mu drzewa, ale jedynie na wystawienie mlyna, i abyście mieli baczenie, aby zanadto drzewa nie wycięto”. 3 grudnia, 1774 r.

6) *Bilet na ochranianie sadów.* „Mieszkańcom trytuzyńskim, Iwanowi Złogozinowi i innym, wyspę między odnogą Dniepra i Dnieprem, a Sałomaską nazywającą się, niedaleko od siola Trytuzyna leżącą, do pilnowania od zniszczenia powierzamy, i rozkazujemy im i wszystkim najmniejszego tam spustoszenia nie czynić, ale przeciwnie sadzić drzewa czarne i owocowe, ażeby tym sposobem one przyszedłszy do dojrzałości, były pożyteczne dla wojska zaporozkiego, starszyn i Kozaków”.

Oto są szczegóły i oryginalne i zajmujące, dla poznania wewnętrznego gospodarstwa zaporozkich Kozaków. Czy tak było u nich w XVI i XVII wieku, trudno stanowczo powiedzieć, bo niema na to żadnych piśmiennych dowodów; ale jeżeli dowody z analogii czerpane, mogą być używane w badaniach historycznych, to możemy mniej więcej prawdopodobnie wniesić, że urządzenia gospodarcze i stan samego gospodarstwa niewiele był niższym w XVI i XVII wieku, kiedy w XVIII tak był jeszcze prostym i nierozumowanym.

O zimownikach i hutorach. Już kilka razy i pod różnemi względami wspominałem o zimownikach; jeden jeszcze raz pomówić o nich muszę pod względem gospodarczym i statystycznym. W archiwum kozackim znalazło się wiele danych do tego wykazu, ale na nieszczęście, wszystkie te spisy i wiadomości są niedokładne i nierówne; ale bo też trudno tam było żądać systematu rozumowanego od ludzi prostych, co się znali lepiej na koniu i czajce, niż na piórze i tablicy, chociaż mimo tego, wszędzie u nich przebija się zdrowy rozsądek w ich urządzeniach administracyjnych. Zebrawszy wszystkie owe dane w jakąś całość i porządek, taki będzie

statystyczny wykaz stanu pałanek; ale tych tylko, co miały wsie i hutory. Za wzór biorę jedną tylko, bo i drugie z bardzo małą różnicą też same liczby przedstawiają.

Protowczańska pałanka w r. 1770 miała:

| | | |
|--|--------|-----------|
| 1. Sioł i wsi | 24. | |
| 2. Hutorów | 10. | |
| 3. Mieszkańców: | | |
| a) żonatyh Kozaków | 363. | |
| b) ludzi pospolitych czyli poddaństwa. | 737. | |
| 4. Majątek ich w stadach: | | |
| a) koni kozackich | 611 | } 895. |
| — pospolitych | 284 | |
| b) rogatego bydła: wołów kozackich. . | 1,047 | } 1,851. |
| — — — — — pospolitych. | 804 | |
| rogatego bydła: nieroboczego kozac. | 1,854 | } 3,484. |
| — — — — — pospolitego. | 1,630 | |
| c) owiec kozackich | 10,114 | } 13,686. |
| — pospolitych | 3,572 | |

Dodaję zaraz, że wykaz ten statystyczny tyczy się samych żonatyh ludzi, to jest w siołach żyjących, bo majątku zimowników niepodobna oznaczyć, dlatego, że nawet koszt wiadomości o tém nie zasięgał i nie zbierał, a wymienił tylko uroczyska, przy których owe zimowniki leżały, a i to nie we wszystkich pałankach. Podług rozmaityh raportów, doniesień i innych wykazów, między latami 1750 i 1770 czynionych, oznaczam miejsce glówniejszych tylko zimowników:

1. W kodackiej pałance znajomyh zimowników było 88.

Znajdowały się w następujących miejscach:

- | | |
|---------------------------|---|
| 1. Na uroczys. Szcurowym. | 6. Na wyspie Szulajewie powyżej progu Nienasytnego. |
| 2. — rzece Samotkani. | 7. Na pachnącej rozpadlinie. |
| 3. — — Gruszowce. | 8. — Tatarczakowskiej wysp. |
| 4. — Surach. | 9. W Kochaniwsczyźnie. |
| 5. Poniżej rzeki Dniepru. | |

Z tych miejsc, najznakomitsze w r. 1750 było na Surach. Rzeczka Sura dzieliła się na wiele odnóg, które się nazywały: Mokra Sura, Sucha Sura, Okrągła Sura i t. d. a miejsce to w języku ludu nazywano „na Surach.” Tak na Mokrej Surze w r. 1755 było zimowników 52, które według obyczaju zaporozkiego zajmowały ogromną przestrzeń łąk i pastwisk.

2. W samarskiej pałance znanych zimowników było 253.

Znajdowały się one w następujących uroczyskach, których nazwiska przytaczam tu wszystkie, bo jedne z nich są jakąś pamiątką historyczną Zaporozża, drugie wybitnością prywatną, a dla dzisiejszych tamtejszych posiadaczy ziemskich, będzie to nieopisanie ciekawą i zajmującą rzeczą wiedzieć, jak się téż zwały za czasów kozackich teraźniejsze ich siedziby:

- | | |
|--|---|
| 1. Na rzece Samarze. | 18. Na Chaszczewa uroczys. |
| 2. — Wielkim Ługu. | 19. — Lisznój rozpadlinie. |
| 3. — Chorticu. | 20. — rzece Osokorowce. |
| 4. W Sroczych bajrakach. | 21. — — wyższej Osokorowce. |
| 5. Na rzece Moskowce. | 22. Na urocz. Chraszczewa. |
| 6. — — Wowczěj. | 23. Na Łuczynie. |
| 7. Przy ujściu r. Wiazywki. | 24. Przy ujściu Żukowėj. |
| 8. Przy ujściu r. Cierniowki. | 25. Niedaleko Birkuta. |
| 9. Przy uroczysku Bogdanowem. | 26. Na wyspie Kozłowėj, niedaleko progów. |
| 10. Przy Suchėj Czaplince. | 27. Przy ujściu rz. Swidyny. |
| 11. Na rzece Tersie. | 28. Na rzece Kilczenie. |
| 12. — — Wroniej. | 29. Na rzece Wielkiej Cierniowce. |
| 13. — — Byku. | 30. Na rzece Orłowszczynie. |
| 14. — — Protowczy. | 31. — — Omelintynie. |
| 15. — — Kaszugumie. | 32. — — Opalisku. |
| 16. Przy ujściu Konki. | 33. Nad r. Zbierewka. |
| 17. Na Dnieprze w Surdzukowym Urwisku. | |

- | | |
|-----------------------------|---|
| 34. Przy Dzwonieckim progu. | 43. W Koczerize. |
| 35. W Zającowych bajrakach. | 44. Przy ujściu r. Bobrowki. |
| 36. W uroczysku Kasance. | 45. Tam, gdzie Piaskowy bród, za mostem. |
| 37. W Przysciauku. | 46. Przy rzece Bogatěj. |
| 38. Przy progu Łochańskim. | 47. Przy rzece Łozowatěj. |
| 39. Przy rzece Ohytkowie. | 48. W Czaurzowce. |
| 40. Przy Wolnym progu. | 49. W Kruglikach. |
| 41. Przy rozpadl. Gryszyna. | 50. Nad Stonym ustępem. |
| 42. W Carskiej Dąbrowie. | |

W téj liczbie mieszczą się starożytne popieliska kozactwa, mianowicie ów *Wielki Ług*, to jest wyspa, którą tworzą dwie odnogi Dniepru i rzeki *Końskie Wody* i *Chortyc*; wyspa, na której jak niektórzy utrzymują pierwszy raz osiedli Nizowcy, chociaż Boplan już mówi o niej, jak o pustej i niezamieszkanjej wyspie.

3. W orelskiej pałance zimowniki znajdowały się na następujących uroczyskach:

- | | |
|-------------------------------------|---|
| 1. Przy odnodze Stoněj. | 9. Na rzece Oreli, tam, gdzie bród Steszyna. |
| 2. Przy Sroczej rozpadlinie. | 10. Na rzece Oreli w różnych miejskach. |
| 3. Przy Łuczynie. | 11. Na rzece Orelce. |
| 4. Przy rzece Gubinicha. | 12. Na rz. Małej Cierniowce |
| 5. Na uroczys. Czereśniach. | 13. W Dębowych wsiach, niedaleko rz. Samary. |
| 6. W Sroczych bajrakach. | 14. W uroczys. Pławincach. |
| 7. Przy źródle rzeki Wiczn- wki. | |
| 8. Przy rozpadl. Gniazdowce. | |

Ile tam było zimowników i hutorów, trudno oznaczyć; ale wiemy, że w r. 1767 Tatarzy spalili 21 zimowników, wzięli do niewoli 155, a zabili 25 Kozaków; widać więc, że było bez porównania więcej zimowników. Zimownik taki, nie byłato pojedyncza wieśniacza chata, ale raczej folwark, w którym jeden albo dwaj gospodarze z towarzyszymi, młodzikami i robotnikami mieszkali, i tém różnili się od siola, że między

niemi nie było ani kobiet, ani dzieci. Na przykład przytaczam spis urzędowy zimownika walecznego pułkownika zaporozkiego Atanazego Kolpaka, który wielkie straty poniósł od Tatarów 1769 r.:

„Niedaleko r. Oreli, przy ujściu rzeczki Bogatěj, będący pana pułkownika Atanazego Kolpaka zimownik, w którym było chat trzy, jedna z nich z komnatami i dwie komory z lochem i stajnią (sic) z drzewa rąbanego, zagroda, cztery dziedzińce częstokolne, z dobrego rzniętego drzewa, deskowe. A w bliskości tego zimownika młyn dwukolny, z całym do tego zapasem zboża. W owym zaś zimowniku różnej mąki gatunków 13 i pszenicy beczek 4. Żyta wielkich zasieków dwa, i ze wszystkimi ekonomicznymi narzędziami i rzeczami. Owiec 1200, koni 127, a z tych wierzchowych 12; kobył 85, nieuków różnoletnich 30; rogatego bydła, wołów 120, byków różnoletnich 120, krów lepszych 54, reszty bydła nie rachowano”.

Sądząc podług biletów wydawanych w koszu na zimownik, w każdym z nich, nawet u prostego Kozaka nie było mniej od 3 lub 4, a u pułkownika bywało po 5 i 6 Kozaków, a po 10 mołodików, a nad nimi jeden gospodarz, to jest rządca.

II. Gospodarstwo narodowe.

Dochody i powinności wojska zaporozkiego. Jestto przedmiot nadzwyczajnie ciekawy i bardzo mało, raczej wcale nieznanym, ale zarazem dosyć trudnym do oznaczenia: bo niektóre jego części mają z zupełną dokładnością podane liczby, a za to niektóre za ledwo wspomniane, mogą być tylko przez przybliżenie oznaczone, i w tych z wiel-

ką ostrożnością poczynąć sobie będą, aby jakiego grubego błędu nie zrobić.

a) Dochody skarbu wojskowego składały się: z

1. Najtaskawiej udzielanego corocznie pieniężnego żołdu.
2. Wyznaczonego prowiantu i krup } z kassy.
3. Prochu i ołowiu
4. Szynków w siczy, pałankach i zimownikach.
5. Podatku z chat po siołach czyli dymowego od pospólstwa.
6. Przewozów po rzekach i granicach.
7. Podziału ryb i zwierza upolowanego.
8. Sztrafów (kar) sądowych.
9. Zdobyczy wojennej.

Żold za czasów polskich pobierany przez wojsko zaporozkie był: 1 dukat na człowieka w rejestr wpisanego. Pod rosyjskim rządem do 1742 r., płacony im żold także rachowano na dukaty, ale dodawano im mniejsze futra i towary, i był on w r. 1708 dosyć znaczny. Ale po owych zajściach Rosysi z Mazepą, gdy i Zaporozcy także oderwali się od niej, za powrotem ich do nowej siczy, żold dawniej pobierany bardzo zmalał i w roku 1742 był stale oznaczony w rublach, i wynosił corocznie 4660 r. s. Z kassy pobięra wojsko: mąki 1,000 czetwierci i stosowną ilość krup, prochu i ołowiu 50 pudów. W latach 1759 i 1761 żold ten był trochę powiększony i ostatecznie oznaczony:

Pieniężnego żołdu 6,660 rub. sr.

Mąki. 1,300 czetwierci, z krupami w proporcji do 90 czetw.

Prochu. 50 pudów.

Ołowiu. 50 pudów.

Ten żold uroczyście na rynku siczy rozdzielany był między wojsko w następującym stosunku:

1. Żold pieniężny.

- | | |
|----------------------------------|-----------|
| 1. Koszowemu atamanowi. | 70 rubli. |
| 2. Wojskowemu sędziemu | 60 — |

| | | | |
|-----|---|-------|--------|
| 3. | Wojskowemu pisarzowi | 50 | rubli. |
| 4. | — asauiowi | 40 | — |
| 5. | Puszkarzowi i doboszowi | 3 | — |
| 6. | Wojskowym kancelarzynom | 12 | — |
| 7. | 38 kurennym atamanom po 27 rub. sr. na jednego | 1,026 | — |
| 8. | Na 38 kureni towarzystwa, po 140 rub. na jeden kureń | 5,320 | — |
| 9. | Naczelnikowi siczowych cerkwi | 5 | — |
| 10. | Jego pomocnikowi | 3 | — |
| 11. | Jeromonachom | 5 | — |
| 12. | Dyakonom | 3 | — |
| 13. | Ustawnikowi | 3 | — |
| 14. | Świeczkarzowi | 1 | — |
| 15. | Ktitorom | 4 | — |
| 16. | Szkolnikom | 3 | — |
| 17. | Na ponamarnią | 10 | — |
| 18. | Siedmiu służącym starszyny po | 7 | — |
| 19. | Kucharzom | 2 | — |

Podarunki.

| | | | |
|-----|---|----|---|
| 20. | Oficerowi temu, co kasę, pieniądze przy- woził | 5 | — |
| 21. | Podoficerowi przy nim | 2 | — |
| 22. | Żołnierzom | 6 | — |
| 23. | Atamanom, co z żołdem przybyli | 20 | — |

Razem 6,660 rubli.

2. *Mąka i krupy.*

| | Czterwier. | |
|---|--------------|------------|
| | Mąki | Kru- py |
| 1. Atamanowi koszowemu | 15 | 2 |
| 2. Wojskowemu sędziemu | 15 | 2 |
| 3. — pisarzowi | 12 | 2 |
| 4. — asauiowi | 10 | 1 |
| 5. Na wojskową kancelaryą | 10 | 3 |
| 6. Puszkarzowi i doboszowi | 6 | — |
| 7. Ojcu naczelnikowi cerkwi | 5 | — |
| 8. Na ponomarnią | 2 | — |
| 9. Na szkołę | 4 | — |
| 10. Ktitorom | 2 | — |
| 11. Stadnikom wojskowym | 2 | — |
| 12. 38 kureniom, na każdy po 32 czterwierci mąki, a po 1 czterwertaku krup | 1,216 | 70 |
| Razem . . . | 1,300 | 85 |

Po odbiór tego pieniężnego i zbożowego zółdu, corocznie wyprawiało wojsko deputacją, składającą się ze stoliczników (od stolicy), pułkownika, pisarza i asaula, i 17 kurennych atamanów, podług wyboru ogólnej rady. Ta deputacja jechała zwykle najprzód do Kijowa, a od r. 1750 do Głuchowa do hetmana, dostawała od niego list i progony, a ztamtąd do Petersburga, gdzie swoje pełnomocnictwo składała w senacie. Prawie zawsze ministerstwo, do którego przywoziła pisma od kosza i gościńce, przedstawiało deputacją cesarzową, a ta raczyła ją zawsze przypuścić do ucałowania ręki. Posłowie dostawali od dworu progony, pieniądze na życie podczas ich bytności w Petersburgu i podarunki: pułkownik 15 rub. sr.; pisarz 30; asaul 30; a każdy kurennny ataman 18 rub. Czasem dostawali honorowe kaftany, a nawet medale.

3) *Dochody z szynków.* Przedaż trunków, szczególnie wódki, na nieszczęście Zaporozża była niezmierna. Wszystko złe, nieporządki, zamieszki, kłótnie, rozboje wpływały ztąd, że Zaporozcy lubili niezmiernie pić wódkę; kiedy na wyprawie nie byli i siedzieli w domu, nie mając czém się zająć, żadnych stosunków uczuciowych, prawie mimowolnie musieli oddawać się pijanistwu. Chociaż jednak szynki stanowiły znaczny dochód wojska, mimo to kosz wszelkiemi siłami starał się zmniejszać ich liczbę, jakkolwiek byłoto bardzo trudném, a prawie niepodobném, przy nieunoszonej burzliwości Kozaków. W miastach i siolach, w których zonaci Kozacy i pospólstwo byli pod bardzo ścisłą karnością władz pałacowych, to chcąc nie chcąc wstrzymywali się od pijanstwa i szalonej swawoli; można téż było i pilniej doglądać szynkarzy i nie pozwalać im zdzierstw i nad-

użyć: ale któż mógł odkryć co się tam działo w osobnionych zimownikach, w zakładach rybołownych, w ukrytych szynkach, które, chociaż często bezskutecznie, najsrożej jako najgorsze hajdamactwo prześladował kosz, mówiąc, że one były „prawdziwą dżumą” i uczynkiem (oczarowaniem) Kozaków? Według rozmaitych rozrzuconych źródeł w całym archiwum kozackim z r. 1770, z następnych pięciu lat pokazuje się, że wtedy na Zaporozu było szynków:

| | |
|--------------------------------|----|
| 1. W siczy szynków i budek | 73 |
| 2. Na Nikitina przewozie . . . | 10 |
| 3. W ingulskiej pałance . . . | 8 |
| 4. W kodackiej | 74 |
| 5. W samarskiej | 83 |
| 6. W protowczańskiej | 78 |
| 7. W orelskiej | 45 |

Razem . . . 371.

Straszliwa liczba, jeżeli pamiętać będziemy, że trzeba tu jeszcze dodać przynajmniej 150 szynków, utrzymywanych w wolnościach zaporozkich przez niezonałych Kozaków w zimownikach; bo pozostał ślad, że w czasie zniesienia siczy, w jednej samarskiej pałance było szynków 20, utrzymywanych przez niezonałych Kozaków.

Utrzymujący szynki płacili do skarbu wojkowego dwa ruble i 50 kop. za prosty szynk czyli budkę, a od 4 do 5 rub. na rok, jeżeli w szynku był loch (piwnica) z lodownią, to jest, że sprzedawano w nim piwo i miód. Wszystkie szynki czyniły dochodu na rok:

1. W siczy r. sr. 204 kop. 50

2. Przy Nikitina przewozie . . — 25

Do przeniesienia . . . r. sr. 229 kop. 50

| | | | | |
|-------------------------------|--------|-----|------|----|
| Z przeniesienia . . . | r. sr. | 229 | kop. | 50 |
| 3. W ingulskiej pałance . . . | — | 30 | | |
| 4. W kodackiej | — | 205 | — | 70 |
| 5. W samarskiej | — | 327 | — | 50 |
| 6. W protowczańskiej | — | 190 | | |
| 7. W orelskiej | — | 120 | — | 50 |

Razem r. sr. 1103 kop. 20.

Summa ta rozdzieloną była następującym sposobem, na 45 części równych:

| | | |
|---|---|----------------------------------|
| 1. Koszowemu | } | każdemu po 24 r. sr. kop. 51. |
| 2. Wojskowemu sędziemu | | |
| 3. Pisarzowi | | |
| 4. Asałowowi | } | także po 24 rub. sr. kop. 51. |
| 5. 38 kureniom | | |
| 6. Na wojsko | | |
| 7. Na cerkiew | | |
| 8. Doboszowi i puszkarzowi po połowiu. | | |

Oprócz takiej opłaty od szynków, musieli jeszcze szynkarze, czyto z towarzystwa nieżonaci, czy żonaci lub z pospólstwa, dawać na korzyść starszyny pułkowej od każdej beczki wódki, piwa lub miodu, po kwarcie trunku, albo jej cenę pieniędzmi zastępować, i to nazywało się kufowym podatkiem.

IV. Podatki.

Tylko sami żonaci Kozacy i pospolicie ludzie, to jest poddani wojska, mieszkający w miastach i wsiach płacili podatki. Owoż podług tego cztery tylko pałanki: orelska, kodacka, samarska i protowczańska, jako mające miasta i sioła, obciążone téż były podatkami; drugie

cztery pałanki: ingulska, kałmiuska, prognoińska i bohogardowa, gdzie mieszkali po zimownikach sami niezomaci Kozacy, żadnych podatków nie płacili. Podatek ten był dwojaki: stały i czasowy; Iszy do r. 1758 wynosił jeden rubel od familii, a od r. 1758 dodano jeszcze, skutkiem postanowienia wojskowej rady 50 kop. Czasowy podatek, wynoszący od 300 do 500 rub. sr. z każdej pałanki, pobierany był w nadzwyczajnych przypadkach, jakoto: kiedy wysyłano gdzie jakie ważne poselstwo; kiedy przedsiębrano jaką ważną wyprawę i t. d. Ztąd stałego dochodu, rachując żonatyh mieszkańców, jak już w pierwszym rozdziale powiedziałem 3415 chat czyli familij, było corocznie rub. sr. 4122 kop 50. Czy ta summa, jak owa pierwsza, rozdzielaną była i między kogo? czy w skarbie się zachowywała? niema na to śladów.

V. Pobór, opłaty u przewozów.

Pobór ten na przewozach był bardzo ważnym źródłem dochodów zaporozkiego skarbu, sądząc z tego, że do Kodaku, do Samary i do Nikitina, oddzielnie starszyzna do odbioru owęj opłaty posyłaną była. Składała się ona, jak już wyżej powiedziałem, z szafarza czyli intendenta, z pisarza, podszafarzego i podpisarza. Ale ile ta opłata przynosiła na rok dochodu? nie wiadomo. Cokolwiek tylko szczegółów mamy o bohogardowęj pałance, a te są: W r. 1774 od czerwca do stycznia zebrano na przewozie w Gardzie 850 rub. sr., zatem mniej więcej 1000 rs. na rok, a Gardowy przewóz był najmniej znaczny, bo nawet swojego szafarza nie miał. Oprócz przewozów wewnątrz zaporozkięj wolności, były jeszcze mniejsze przewozy, utrzymywane przez Kozaków na róż-

nych rzekach już poza granicą w krymskiem haństwie, z których pobierano opłaty od handlarzy solą, lub kupujących innemi towarami z Krymem. Sądząc podług liczby podanej przy przewozie bohogardowym, ogólny dochód z przewozów wynosił rocznie do 4000 rub. sr.

VI. Podatki w naturze płacone, nawet przez Kozaków nieżonatych.

a) *Od rybołówstwa i polowania.* Wszystek nabytek uczyniony czy przy łowieniu ryb, czy na polowaniu, był własnością szczegółu; zawsze jednak pewną część tego nabytku musiał on na ogólną korzyść towarzystwa ustępować. Jestto rys, jakby zaczątkowego dopiero stanu społecznego naturalizmu, a chociaż u Zaporozców nie był on w swój pierwotnej sile, dowodzi jednak prostoty w ich wewnętrznym składzie i urządzeniach. I tak: w r. 1772 bohogardowy pułkownik zdaje raport, w którym powiedziano: że rozkaz kosza był czytany, i że podług niego „z tych ryb, co się w Gardzie na Bohu ułowią, trzy pierwsze dziesiątki dla pułkownika, pisarza i asauła, a 4 na starszyn wojskowych, koszowego, sędziego, pisarza i asauła dawać należy. Gdyby zaś taka liczba naznaczona ryb była sprzedaną, albo rybacy stracili ją, to podług rozrachowania, wziąć od nich cenę ryb pieniędzmi”. Główny rybak czyli dozorca rybołówstwa, nazywał się gardowniczy, a pod jego zarządem byli tarawnicy, zapewne z polskiego sterownicy. Z tego co ułowili, najlepsze ryby posyłano do kosza dla starszyny, szczególnie w czasie postu. Jak ogromną ilość ryb polowano, szczególnie na Bohu, można ztąd osądzić, że w r. 1771 od sierpnia do września, część ryb przypa-

dająca dla starszyny, wynosiła 4,380 sztuk czeczug (sterliad), których część posłano polskiemu gubernatorowi w Balcie, za pozwolenie wyrąbania w jego lasach drzewa na wybudowanie Gardu, a resztę po 9 kopiejek za sztukę sprzedano. Kiedy następowała jesień, to kosz rozkazywał zwykle odbijać Gard (zwijać zakład), a drzewo chować w suchém i wysokim miejscu, aby się nie psuło i żeby je woda nie zabrała. Co powiedziałem o rybołówstwie, to samo stosuje się do polowania. I tam, jak tu, oddawano pewną dziesięcinę do skarbu, cerkwi i starszynie w skórach, bo jak wyżej namieniłem, Zaporozcy zajmowali się myśliwstwem dla skór jedynie, a mięsa bardzo mało jedli.

b) *Podział wojennej zdobyczy.* Starowolski wyraźnie i w dwóch nawet miejscach powiada: „że zdobycz na wojnie uczynioną równo dzielili nietylko między tych, co się bili, ale i między tych, co wewnątrz obozu służbę czynili, aby przezto niesnasek i sporów uniknąć, a drugich na takie wyprawy łatwiej przywabić” (1). Z tych słów pokazuje się oczywiście, że zdobycz wojenną każdy musiał całkowicie składać do podziału. Pozostał w tym względzie bardzo ciekawy rodzimy zaporozki dokument, to jest przysięga, którą składał każdy Kozak przed wyprawą, że nic ze zdobyczy nie utai, i wszystko wierno odda do swego kurenia, do podziału między wojsko i towarzystwo. Przysięga ta była w następującej formie: „Ja niżej wymieniony przysięgam Panu Bogu na jego świętej Ewangelii, na to, że jeżeli ja będąc na te-
rażniejszą wyprawę z panem starszyną wojskowym Gołowatym i z innemi panami starszyną posłany za rzekę

(1) Instit. Rei milit. L. IV, c. 18 i L. VI, c. 14.

Bohem, coś ze zdobyczy nieprzyjaciela i gdzie się zdarzyło przezemnie zabraną utaił i onęj do ogółu dla podziału nie złożył, to skaraj mnie Boże w tém i przyszłym życiu”.

c) *Sztraf, czyli kary sądowe.* Że takie kary były, to już przy obejrzeniu sądownictwa zaporozkiego nadmienię, że płacono je na korzyść wojska, kurenia, lub pułkowej a nawet i wojskowej starszyny, i to pewna; ale jaka była wysokość tych kar, i czy w naturze lub pieniędzmi oddawaną była? niema na to pewnych danych, a zatem i oznaczenie ilości dochodów z nich jest niepodobnym.

Nakoniec trzeba cokolwiek o powinnościach członków wojska zaporozkiego nadmienić. I tu, jak i w podatkach, wielka była różnica między Kozakami niezonatemi a zonatemi i pospółstwem. Kurenie nie znały żadnych innych powinności, oprócz służby wojennej i kurennej wewnątrz. Na pierwsze wezwanie królów polskich, a potem monarchów rossyjskich, natychmiast zbierali się podług kuren, uzbrajali się, siadali na konie i wychodzili w pole. Ale niezawsze czekali na rozkaz, bo nie lubili pokoju; i jak mówi kronika: „Zaledwie w ich ziemi pokój ogłoszony będzie, to samowolnie idą na pomoc innym, i małej korzyści kwoli wielką pracę podejmują, morze przepływać ośmielają się i mnogo duszę swoją pogubiają”. Wojna więc i napady były główną powinnością Zaporozców. Wewnątrz u siebie, musieli należeć do objazdowych komend przeciwko hajdamakom, albo do stacyj pogranicznych, które były konne, piesze czyli na łodziach dla strzeżenia porządku, albo do oddziałów na stepie harcujących z Tatarami. Co się tyczy karności, to zupełnie podlegali kuren-

nemu atamanowi, i bez żadnej wymówki ślepo wykonywali co on rozkazywał; rozumie się tylko w czasie wojny lub rozjazdów wewnętrznych.

Kozacy żonaci i pospólstwo, mieli nieporównanie większe ciężary. Oprócz stałych i czasowych podatków, musieli dostawiać podwozy, robotników, zboże i inne zapasy na przypadek wojny, konferencyi lub przyjazdu posłów i posłańców wojskowych. W czasie wojny, przygotowywali siano i owies dla Kozaków, a w razie potrzeby, uzbrajali się na obronę kosza i siebie. Tak w roku 1770, w czasie tureckiej wojny, samarska pałanka dostawiła 417, kodacka 350, a protowczańska 214 konnych Kozaków pod chorągiew zaporozką.

Trafiało się jednak, że od tych podatków i powinności no jakiś czas lub nazawsze kosz uwalniał zasłużonych lub podupadłych Kozaków. Oto dwa przykłady takiego uwolnienia od podatków, allewiacy: „Wojska zaporozkiego nizowego, kurenia płatnirowskiego, towarzysz Aleksy Kumpan przedstawił do kosza, że on w siole Samarczyku na samarskiej pałance, przy końcu przeszłego roku ożenił się, i chce tam zupełnie zamieszkać, i prosił dopóki on w tém nowém przez swe ożenienie gospodarstwie nie poprawi się, a więcéj za jego mnogie w wojsku zaporozkiém uczynione niemałe służby, o uwolnienie od powinności. A ponieważ on, Kumpan, od małych lat w wojsku zaporozkiém aż do tego czasu służy, i w czasie tureckiej wojny we wszystkich pochodach, zinnemi zaporozkiego wojska znaczniemi Kozakami i towarzystwem się znajdował, i służył wiernie i ochotliwie, potem jako ataman w kureniu płatnirowskim zarządzając przebywał, i porządnie, uczciwie, posłusznie się sprawiał; potem widząc jego czyste bez potknięcia

się służby,znaczony był na pułkownika do Samary, gdzie będąc z obowiązku swego, we wszystkiem pełniąc wojskowe ordery, postępował dobrze i porządnie i t. d. to za jego służby rozkazaliśmy jego, Kumpana, od wszystkich kozackich ogólnonarodowych ciężarów, podatków i najmniejszych powinności na dwa lata uwolnić". 19 kwietnia 1764 r.

W drugim orderze (rozkazie) kosza, mieszkańca samarskiego Stefana Jakóbca, za dawne kozackie jego służby, a raczej dla jego starości i wielkiego ubóstwa, od wszystkich ogólnych kozackich i pospolitych ciężarów i trafiających się posylek, oprócz jednego wojskowego podatku (1 rub. sr. kop. 50) uwolniono.

VIII

Handel.

Geograficzne, a raczej hydrograficzne położenie Zaporozia było takie, że mimowolnie skłaniało jego mieszkańców do przedsięwzięć handlowych. Też same dogodności, jakimi cieszą się teraz wiele miejsc w Nowej Rosyi pod względem handlu i odbytu płodów, były otwarte i dla Zaporozców; ale niższe wykształcenie, a raczej zupełne oddanie się wojnie i walce, rozwijało także w mniejszym zakresie handel, i nie pozwalało ciągnąć z tak wybornego położenia tyle korzyści, ile ich tam teraz mają. To też kiedy przychodzi mówić o handlu na Zaporozu, nikt nie może spodziewać się jakichś obrotów rozumowanych kapitałami, ani przedsięwzięć wyrachowanych, a poprostu ledwie instynkt jakiś handlowy, handel prawie zamienny: bo handel nie był głów-

nym, a podrzędnym tylko celem i spojnią ich towarzystwa. Mimo to stara i nowa zaporozka sicz, leżąc na brzegach rzeczek, które wszystkie wpadają w Dniepr, miała otwarte stosunki po téj świetnej rzece aż do jój ujścia w ogromną odnogę, i aż na Czarne morze; nie mogła więc nie widzieć korzyści z owego położenia, i wewnętrzny jój zarząd i różne postanowienia administracyjne, które już opowiedziałem i które jeszcze przytoczę, świadczą, że Zaporozcy pojmowali dosyć dobrze handel i jego obroty: a chociaż go nie rozwinęli tak, jak to mogło nastąpić przy tak szczęśliwym zbiegu okoliczności, to nie dla braku pojętności, ale że nie mieli czasu na to, wpośród tak ruchliwego żywota i ciągłych bojek na wszystkie strony.

Dniepr, ów srebrzysty i ukochany Kozakom Dniepr, mamił ich za sobą do Czarnego morza, i pływali téż po nim na swoich czajkach aż pod Konstantynopol, a dla zabezpieczenia téj żeglugi, czyto na wojnę, czy po sól, futra i wino, stały komendy kozackie tam, gdzie teraz miasto Cherson, przy ujściu rzeki Kamionki; słowem, cała ingulska pałanka na ten cel ustanowiona była, aby broniła rybaków i po sól jeżdżących od Tatarów, co tamtędy mieli drogę od Kinburga, i od Turków, którzy siedzieli w sławnej oczakowskiej twierdzy. Z drugiej znowu strony, na brzegu drugiego morza, kałmiuska pałanka broniła zaporozkich handlarzy i przemysłowców na Donie, na ziemi Dońców i na Azowskiém morzu. Nakoniec na Bohu w owym sławnym Gardzie, stała znowu zaporozka komenda, dla utrzymywania w tak odległym stepie stosunków i handlu Polski z Zaporozem i Krymem.

Taki to położenie dwóch mórz dotykające, a w środku dwie wielkie rzeki mające, sprawiło, że Zaporozcy chociaż całą duszą oddani wojnie, polubili handel i żeglugę, i można powiedzieć, że cały handel Polski i południowej Rosyi w XVI, XVII i XVIII wieku, był w rękach Zaporozza, albo szedł przez ich ręce. Handel zaporozki dzielił się na lądowy i morski, na wewnętrzny i zagraniczny.

Morski handel prowadzili Zaporozcy z Turcyą tylko, bo do pokoju w Kujczukkajnardży, żaden statek na którymby flaga turecka nie powiewała, nie mógł się pokazać na Czarném morzu. Turcyja w tym względzie okazywała niezwykłą stałość i zrozumienie ważności tego punktu, kiedy belgradzkim pokojem wyraźnie zawarowano: „Handel między Rosyją i Turcyą będzie swobodny, ale Rosyjanie nie mogą inaczéj prowadzić go na Czarném morzu, jak za pośrednictwem tureckich okrętów”. Co więcéj, Polska nie miała już wtedy, a Rosyja nie miała jeszcze żadnego na południu handlowego punktu, oprócz siczki zaporozkiéj. Taganrog i Azowskie morze, rzeczywiście dopiéro w r. 1775 dostały się na własność Rosyi. Handel zaporozki morski z Turcyą prowadzono przez Oczaków, ale zawsze na tureckich lub greckich okrętach, które przywoziły towary do owéj twierdzy, i jeżeli dostawały od seraskiera-paszy jarłyk na wolny przepływ, to wpływały w odnogę i po Dnieprze do góry dochodziły prawie do saméj siczki, gdzie rzeka Podpolna nadzwyczaj głęboka, w odnodze swéj, która do dziś dnia nazywa się ustępem, służyła im za port. Jeszcze w r. 1775, Tekeli podczas atakowania siczki, znalazł zaporozką flotyllę w tém samém miejscu, zasłoniętém ze wszystkich stron od wiatrów, i zabez-

pieczoném od obrywów brzeźnych, silnym, palowym bulwarem.

Oto urzędowe doniesienie koszowego Wasila Grygorewa Sycza, na odezwę kijowskiego gubernatora Leontiewa, żądającego od kosza wiadomości: ile z Carogrodu statków do siczy zaporozkiej z winem i bakaliami przychodzi, gdzie właściwie kwarantannę odbywają, jak długo, i czy jakie cło opłacają? Koszowy donosi, że: „Statków do siczy niejednakowa liczba przybywa, czasem 5, czasem 8, a czasem i 10; że one zatrzymują się o wiorstę przed siczą, gdzie odbywają dwudziestodniową kwarantannę pod obserwacją ruskiego komendanta nowosicyńskiego retranszamentu; że cła żadnego od nich nie pobierają, i że nakoniec w 1746 r. przybyło do portu:

1. Grecki statek z Białego morza (archipelagu), na którym znajdował się szkiper Grek Manuel.

2. Grecki statek z Czarnego morza z miasta Messenbryi, szkiper Grek Cyryl.

3. Grecki statek z Czarnego morza z twierdzy Warny, szkiper Grek Jerzy.

4. Statek z Czarnego morza z twierdzy Warny, szkiper Dymitry Popowicz.

5. Statek także z tamąd, szkiper Grek Dementy.

6. Statek z Białego morza z miasta Stanker, szkiper Grek Ostap.

7. Statek z tamąd także, szkiper Grek Michał.

8. Statek turecki, szkiper Turczyn Achmet z Carogrodu.

Statki te przybywały do zaporozkiej siczy, jak to i pierwój bywało, z winem i bakaliami.

Trzeba tu jednak zrobić uwagę, że tu jest mowa o tych tylko tureckich statkach, które prosto do siczy przybywały, bo liczba tumbazów krymskich i oczakowskich, była bez porównania piérwój większą dlatego, że oczakowski pasza będąc w przyjaznych stosunkach z krymskim hanem, nie pozwalał tureckim statkom płynąć do Zaporozża, a zmuszał je ładować towary na swe łodzie i na nich przybijać do siczy. Trafiło się jeszcze oprócz tego, że han chcąc mieć po sobie agę janczarów, oddawał mu na odkup swoją kozłowską komorę graniczną, a wtedy wymagał, aby każdy statek, czy ruski płynący do Oczakowa dla przeładowania towarów na tureckie statki, czy grecki płynący z Czarnego morza, posyłał swoje towary ładem do Kozłowa, i aby same statki tamże dopływały dla opłacenia cła. Byłoto nadużycie ciężkie dla zaporozkiego handlu, i została w tym względzie ciekawa korespondencya z hanem i oczakowskim paszą. Oto jest pismo kosza Grzegorza Fedorowa do hana krymskiego, w odpowiedzi na jego jarłyk:

„Najświetniejszy i Jaśnie Wielmożny panie Krym-Girej han krymski, po sąsiedzku najmilszy przyjacielu nasz!”

„Pisanie Waszój Światłości, w którym racycie objawiać, że w nieprzepuszczaniu z Białego (archipelagu) i Czarnego morza do siczy zaporozkiej i do innych miejsc statków, Wasza Światłość nie przyczyną, a robi się to tak z rozkazu Porty, odebraliśmy. Ale ponieważ oczakowski pasza, pismem do kosza przysłałem, objawia, że Wasza Światłość żyjącemu w Oczakowie adze janczarów na odkup oddała kozłowską przystań, gdzie jak idącym do rosyjskich granic, tak i ztąd płynącym do Carogrodu statkom, przystań mieć i wozić towary i cła

pobierać Wasza Światłość wskazała, i przez Waszę Światłość tak wyraźnie rozkazano. A jako z tego widzieć można, że takiemu do Białego i Czarnego morza statków chodzeniu, przeszkoda nastąpiła w przeciwność wiecznym traktatom pokoju, i na wielką krzywdę rossyjskim kupcom i obustronnemu handlowi zastawa uczyniona, albowiem do Kozłowa z Oczakowa powracać z towarami kupcom zupełnie niewygodnie, i przez wszystkie czasy tego nie bywało i być nie może. Dlatego Wasza Światłość raczcie, w siłę wiecznej przyjacielskiej drużby, z Białego i Czarnego morza tutaj w rossyjskie granice, także i z siczy tam idące statki bez wylądowania, chociażby za opłatą cła w Oczakowie, przepuszczać po dawnemu bez zatrzymywania; a jeżeli Wasza Światłość tej kommersyi nie pozwolicie uczynić, i statki po dawnemu do Oczakowa przepuszczane nie będą, to żeby tutejsi kupcy, Kozacy, czumaki i przedsiębiorcy do Krymu z niczém i po nic wyprawy swoje przerwali i soli nie brali, a tylko przy siczy, przy granicy wszystkie towary sprzedawali i ztamtąd powracali do Polski lub Rosyi, równomiernie w koszu ma być uczyniono. A nawet i do najwyższych komend przedstawi się z prośbą, za naruszenie i paraliżowanie wiecznie pokojem zatwierdzonej kommersyi o satysfakcyą, a od prześwietnój Porty o zupełne dozwoleńie". 3 lipca. 1762 r.

Mimo to han postanowienia swego nie zmienił, i dopiero w 1765 r. za naleganiem konsula rossyjskiego Szestakowa, zniósł Girej-Han to ścieśnienie handlowe.

Handel Zaporozców z Turcyą zależał na tém, że wyprawiali tam swoje futra, skóry surowe, masło, ryby, kawior, małosyjski tytoń, płótna, a przytém polskie i rossyjskie rękodzielnicze wyroby, lub surowe płody;

przywozili wino, bakalie, bawełniane wyroby, broń, ołów, rzędy na konie i t. d. W te przedmioty zaopatrywała się nietylko sama sicz i cała ukraińska starszyzna przez sicz, ale i Polska Rosyja tą drogą dostawały ze Wschodu wszystko, co im ku wygodzie i zbytkowemu życiu było potrzebne.

Handel zaporozki lądowy był dwojaki: zagraniczny i wewnętrzny; zagraniczny z Polską, Krymem, Rosyją, Ukrainą, a od 1750 r. z Nową-Syberyą. Handel z Polską, przez samą zależność od niej Kozaków zaporozkich był dużo ułatwiony i nadzwyczaj dla nich ważny, przy takim stanie gospodarstwa wiejskiego na Zaporozu, bo od nas brali wszelkie zboże na wyżywienie potrzebne. Wiadomo, żeśmy oddawna posyłali zboże i inne płody Wisłą do Gdańska; część tylko południowa, jakoto: byłe braclawskie województwo i Humaniuszczyna, uzbrojonemi karawanami wyprawiały swe zboże przez Bałtę i stepy nogajskie do Oczakowa lub Akkermanu, a kiedy jeszcze Zaporozie Polski się trzymało, to do Gardu na Bohu, ztamtąd do siczy, a potem Dnieprem do Oczakowa lub Krymu. Za to próżne wozy czumackie corocznie tysiącami wyjeżdżały z Polski po sól do Krymu, albo po ryby na Niz lub Don, i te nie mogły już ominąć Zaporozia. To też pograniczni nasi starostowie zachodzili w przyjazne stosunki z koszem, i albo grzesznością, albo przyrzeczeniem ze swój strony równych korzyści handlowych, wyrabiali sobie opiekę Zaporozców nad swojemi karawanami nietylko w stepach zaporozkich, ale i w stepach tatarskich; bo chociaż Polska miała swojego ajenta przy hanie krymskim i często nmyślnych tam posyłała, niezawsze jednak zabezpieczało to handlujących Polaków od napaści i grabieży.

Kiedy owi czumacy dochodzili do zaporozkiej granicy, to jest do ujścia Sinych Wód w Boh, w miejscu gdzie Potoccy wybudowali miasto Bohopol, to ataman czumacki przychodził z pismem do ruskiego dowódcy, i prosił o pozwolenie udania się do Gardu i przeprawienia się przez Boh. Tam zapłaciwszy cło przewozowe, dostawali przewodnika i szli naprzód do rzeki Martwych Wód, przebywali całą ingulską pałankę, dobijali do Nikityna jeżeli mieli iść do Krymu, a do Kodaku, jeżeli mieli iść na Don. Za to płacili do skarbu kosza rub. sr. 8 do Nikityna, a 10 rs. do Kodaku, i dawali oprócz tego niewielki ralec (podarek) swoim przewodnikom. Podróż ta polskich przemysłowców przez zaporozkie stepy była nadzwyczaj bezpieczną, i dlatego nie w jednym miejscu o prawości Kozaków w tym względzie, i o ich uczynności pozostała wzmianka.

I tak: w Rusałce wydanej w Wilnie 1840 r. umieszczono ułomek z pamiętników litewskiego szlachcica, który opowiada podróż kilku Polaków posłanych od konfederacji barskiej 1768 r. na Zaporozie i Krym, dla podburzenia Kozaków i Tatarów przeciw Rossyi. Przebywszy oni granice bractawskiego województwa, weszli na zaporozkie stepy, i tak dalszą swą drogę opisują: „Od rzeki Koharłyka zwanój, przez dwa dni jeszcze szliśmy po otwartym stepie, nie widząc ani pagórków, ani drzew, tylko niezniersoną równinę, podobną do spokojnego morza. Czasem natrafialiśmy na kurhany, jakby w szyku jakim stojące: te mogiły służą Kozakom do ukrywania w nich swoich pikiet, czat, i dla rozeznania drogi podczas zamieci zimowych. Tym sposobem dobiliśmy po tej bezludnej pustyni do Gardu na Bohu, gdzie zaczynały się już posiadłości siczowych Kozaków.

Tam między skałami postawione były jazy, to jest kosze plecione (gard) do łowienia ryb; zastaliśmy tam asa-ula, dowodzącego w miejscu pułkownika, który pojechał do sicy. Przyjął on nas dobrze, dał nam na przewodnika swojego zaporozkiego Kozaka, któremu wręczył żelazną palicę (piernacz). Nasi (humanścy) Kozacy powiedzieli nam, że sam widok téj palicy, będzie dla nas najzupełniejszém bezpieczeństwem. i że chociaż Zaporozcy skłonni są do rozboju, ale podróż z taką palicą zupełnie bezpieczna, że kosz zawarł z humanśką i śmiłańską ekonomią przysięgą zatwierdzoną umowę, że od-tąd Zaporozcy na Polskę napadać nie będą, a im za to wolno będzie z paszportami kosza przybywać dla handlu do Humania i Śmiły i do innych dóbr Potockich i Lubomirskich, i że wzajemnie ludziom tych panów wolno będzie jeździć i handlować w sicy, i że przebywając Zaporozie, dostaną zawsze przewodników z takimi piernaczami”.

Kitowicz w swoich Pamiętnikach, chociaż niewiele pojmował w Kozaczyźnie i często ją przekręcał, mówiąc o sicy i jój stosunkach handlowych, oddaje jój zupełną sprawiedliwość. „Wódkę, piwo i miód sprzedawano w sicy swobodnie, mówi on, ale wódkę najbardziej lubili Zaporozcy. Każdy za swe pieniądze miał prawo pić ile mu się podobało, aby tylko nie zaniedbywał prawa powinności i nie obrażał przystojności, bo za to okropnie był karany. Dlatego, chociaż w sicy żyli ludzie wszelkiego rodzaju, zbiegi, apostaty od wszystkich religij i t. d., jednak taka skromność i takie bezpieczeństwo tam panowało, że przyjeżdżający z towarami, albo po towary, albo po innym jakim interesie, nie bali się i włoska z głowy utracić. Można było na ulicy

zostawić pieniądze, i nie hać się, aby je ukradziono. Każde przestępstwo siczowego mieszkańca przeciw czyjśkolwiek osobistości lub własności gościa, natychmiast śmiercią karano, a dlatego każdy, obawiając się, aby na niego nie padło podejrzenie, gorliwie się starał o wyszukanie złodzieja lub zabójcy, Ta sama opieka rozciągała się i na tych, co przedawszy w siczy towary, albo nakupiwszy tam świeżych, powracali do domów z paszportem kosza. Jeżdżący zaś do siczy i wożący tam swe towary, mieli zabezpieczoną najzupełniejszą spokojność, jak tylko dobili do granicy, gdzie się zaczynały zaporozkie stopy, to jest *puste pole*, które z zamieszkałej Ukrainy prowadziło do zaporozkiej siczy”.

Przejrzyjmy teraz kilka dokumentów korespondencji kosza z Polakami o interesach handlowych, zachowanych w kozackim archiwum.

W roku 1761 korsuński gubernator (rządca dóbr) Suchodolski, miał jakieś interesa pieniężne z Zaporozcami, których w żaden sposób piśmiennie ukończyć nie mógł. Za radą koszowego, postanowił sam pojechać do siczy; ale dla bezpieczeństwa pojechał naprzód do twierdzy Śtej Elżbiety na jarmark, a ztąd posłał do kosza swojego człowieka z prośbą, aby mu przysłano wojskowy piernacz. Koszowy natychmiast odpowiedział: „Na Waszę piśmienną odezwę posyła się Wam przy tém wojskowy piernacz, i raczcie bez żadnego wahania do siczy przybyć, bo my z Waszą Wielmożnością widzieć się chcemy”. Ostrożny Suchodolski wahał się jednak, i nie wprzód udał się do siczy, aż zatrzymał w twierdzy Śtej Elżbiety jako zakładnika tego Kozaka, co mu piernacz przywiózł. W drodze jednak przekonał się o nie-

slusznj swj podejrziwoŝci, bo wszędie, w najdzikszych nawet stepach i pustkowiach, gdzie tylko natrafili na zimownik lub na włóczących się Zaporozców, widok ŝwiętego dla nich klejnotu, był najpewniejszà dla podróŜującego obronà, chociaŝ to był Lach, jak mówili Kozacy. Zapewne przyjęcie i ugoszczenie równie przyjemne były Suchodolskiemu, kiedy powróciwszy do siebie, posłał w podarunku koszowemu „szyte koszule”, a dziękując za piernacz i goŝcinę, pisał, ŝeby Kozacy zaporozcy zachowali dla niego dobrà przyjaŝn i bywali na jarmarkach w korsuñskiej gubernii z koñmi i towarami, bez iadnej obawy. Drugi sąsiad, łysiañski gubernator Andrzej Krzymowski, zapraszajàc takŝe Zaporozie, aby przyjeŝdzali handlowaó do łysiañskiej gubernii, winszuje zarazem koszowemu Gregorowi Fedorowi tego, ŝe on potrafił swawolne hultajstwo surowo karaó i na wodzy trzymaó, a ztąd „polscy panowie ŝyjàc spokojnie, Pana Boga za niego proszà”. 1761 r. Ale najwaŝniejsze handlowe stosunki zachodziły międy humañszczyznà, jako graniczàcà z Zaporozem; to téŝ targowicki gubernator Jakób Kwiatkiewicz, był w najŝcisłejŝej przyjaŝni z zaporozkà starszyznà. Ŝwiadek naoczny humañskiej rzezi, Weronika Krebs, co to zostawiła tak ŝywe i poetyczne opisanie hajdamackich napadów na Humañ, gdzie ojciec jój Rafał Młodanowicz był gubernatorem, mówi, ŝe za jój czasów, Zaporozcy przyjeŝdzali do Humania z koñmi, rybami, solà, i wiele piędędzy zarabiali, ale co zarobili, to wnet tracili na hulanki, picie, muzykę i bandurzystów. Humañski dziedzic bogaty i dumny Franciszek Salezy hr. Potocki, co to odziedziczył wszystkie prawie ziemie znakomitych familij Kalinowskich, Sieniawskich, podług podanego planu przez Młodanowicza

i komendanta humańskiego pułkownika Gorzewskiego, odbudował nanowo to miasteczko, ufortyfikował, i zaprowadził jarmarki, które więcej niż przez pół wieku słynęły w tamtej stronie. Pojmując korzyści jakie miała Ukraina, a szczególnie jego włości z handlu z Zaporozcami, Potocki usiłował wejść w przyjazne stosunki z koszem, i dlatego posłał swojego urzędnika do siczy z podarunkiem i listem do koszowego Grzegorza Fedorowa. W tym liście powinszowawszy mu, że potrafił ukrócić bujność wojska swego i znieść hajdamactwo, tak dalej pisze o wzajemnych stosunkach handlowych: „Ponieważ w moich dziedzicznych posiadłościach Humaniu, za Najjaśniejszym królewskim zezwoleniem i za staraniem mojem targi i jarmarki znów odnowione, z zastrzeżeniem różnych korzyści handlującym jakiegobądź pogranicznej nacyi, dlatego proszę was, JW. Panie, abyście raczyli całemu koszowi ogłosić, aby Zaporozcy, którzy zwykle do Polski jeżdżą handlować koźmi, bydłem, woskiem, futrami i innemi towarami, przybywali za Waszemi paszportami do Humania na jarmarki, zkąd jeżeliby tu swoich produktów nie sprzedali, będą mogli z paszportami rządcy dóbr moich humańskich ciągnąć dalej jeszcze w głąb Polski.” 2 maja, 1762 r. Skalkowski nie przytaczając tego listu całego, powiada sam o nim, że wyluszczone w nim owe zastrzeżenia i zwolnienia dla handlujących z Humanem są nadzwyczaj ważne i dowodzą, że ten, co go pisał miał doskonałe i zdrowe pojęcie ekonomii politycznej. Szkoda, że nie wiemy, kto był rzeczywiście jego autorem!

Handel lądowy z Krymem, był równie bardzo ważny dla Zaporozza. Nie będę wcale wchodził w szczegóły, ani przytaczał urzędowych dokumentów, pozostałych w ar-

chiwum kozackiém, o wzajemnych stosunkach handlowych między Krymem i Zaporoziem, żeby czytelników nie znudzić, i ograniczę się na kilku ogólnikach.

Handlowali Zaporozcy z Krymem futrami, zbożem, od sąsiadów Polaków kupioném i masłem; towary rosyjskie, jakoto: żelazo, broń, a z Małorossyi gromady czumackie szły także do Krymu ze zbożem, płótnem, skórami, tytuniem i t. d. Z Krymu przywożono za to wino, siwe baranki, safiany, buty, safianowe meszty, jedwabne materye, orzechy włoskie i t. d. Ale najgłówniejszym przedmiotem handlu zaporozkiego z Krymem była sól, reszta była dodatkiem tylko, to téż cokolwiek więcej o tém nadmienię.

Zwykle na początku wiosny, kiedy lód i śnieg Dnieprem i Bohem uciekły już do Czarnego morza, kiedy drogi wyschną a stepy rozzielenieją trawą, niby rajske ogrody: wtedy gromady czumackich wozów z Polski i Małorossyi zaczynają ciągnąć długim rzędem ku Zaporozu. Wszystkie te wozy były próżne, przeprowiały się przez Dniepr i szły do Krymu po sól. Przybycie tych czumaków było nadzwyczaj pożądaném w Zaporozu, i stało się téż przysłowiowém, a raczój epoką chronologiczną roczną, jakby powrót bocianów na wiosnę do nas. W wielu miejscach w archiwum kozackiém znajduje się o tém wzmianka w wyrazach na formułę zamienionych: „wozów jeszcze niéma; zaczynają się pomału; wiozą zboże i wódkę; takie ich mnóstwo, że zapasy w siczy i u przewozu Nikityna podrożały” i t. p.

Ale i han krymski dbał równie o to, aby jak najwięcej soli brano od niego, boto był wielki i ważny dla niego dochód. To téż jak tylko słone jeziora perekopskie i prognoiańskie oschły, i sól w obfitych okazała się

osadach, han przez swego delegowanego do nadzoru handlu solą najgrzeczniej zawiadamiał o tém kosz, prosząc, aby uwiadomił o tém czumaków.

Jedno takie doniesienie z r. 1764, 25 lipca, przez Baka-Imana do koszowego Sierki pisane, przytaczam:

„Wielce szanownemu panu i głównemu dowódcy wojska zaporozkiego koszowemu, najmiłościwyszemu mojemu przyjacielowi i dobrodziejowi należny pokłon oddawszy, pytam się o jego zdrowie, a przytém donoszę Wam: dzięki Bogu, za jego świętém rozporządzeniem, w tym roku zrobiwszy już osad swój, sól pokazała się w obfitości, a nie tak, jak w przeszłym roku; jak zwykle osiadła dobrze. A przytém wody i trawy u nas w Krymie i wszędzie po drogach dostatek, że zupełnie teraz dla czumaków i dla bydła wystarczy; o czém, posłany przezemnie umysłoy Mustafa-basza zawiadomi Was. Posyłam Wam obok tego gościniec, jeden safian, i proszę mile go przyjąć. Jeszcze prosimy przysłać do nas dwa wozy dla Was, a biorę na siebie nakłaść na nie dla Waszego rozchodu najczystszej soli, a zarazem proszę jak najprędzej przysłać po sól czumaków”.

Wszystkie powózki czumackie, co szły po sól do Krymu lub po ryby na Don, musiały przebywać przez Zaporozę, i pierwsze przeprowaiały się przez Dniepr w Nikitynie, drugie w Kodaku opłacały małe cło przewozowe, a już w Krymie płaciły za jeziorną sól 5 rub. sr. od wozu, a 3 od pół wozu; oprócz tego, od każdej powózki przechodzącej przez perekopską basztę po 70 kopiejek. Cena ta soli i cła, zdawała się nieraz Zaporozcom zawysoką, i ciągle o zmniejszenie jój prowadzili z hanem korespondencye.

Często téż trafiało się, że i sami Zaporozcy i inni watażki, zebrawszy się w gromady na Dnieprze i Bohu, nie mając innych biletów jak te, co od kosza na wolne przebywanie w wolnościach zaporozkich dostawali, puszczali się do tureckiej i tatarskiej granicy za różnym przemysłem; wtedy tatarscy murzy, nie widząc formalnych biletów wydawanych w Nikitynie, wywiérali na nich całe swoje azyatyckie okrutne i fałszywe postępowanie, krzywdząc ich, obdzierając, a nieraz i w jassyr sprzedając do robót fortecznych. Kosz tém samym płacił zaraz hanom, i następowała wtedy wymiana jeńców.

Ale mówiąc o handlu lądowym, który bardzo słusznie karawannym nazwaćby można, nie mogę nie wspomnieć tutaj o klasie ludzi, których istnienie, życie i charakter w pieśniach nawet tamtej krainy pozostał, a bez których ów handel koniecznie upaśćby musiał, a nawet istnieć nie mógł; mówię o czumakach. Nazwisko to pochodzi od zwyczaju, jaki owi ludzie mieli, to jest: że przybываяc na step, przez ostrożność maczali koszule swoje w dziegciu. Czumak ze swojemi wołami, bo zawsze tylko niemi jeździli, w owych czasach pełnych niebezpieczeństw, na bezludnych, niezmiurzonych stepach, znaczył tyle, co wielbłąd na morzu piaszczystém Arabii. Któżby tam miał tyle cierpliwości i wytrwania, popędzać przez całe miesiące powolne woły, wystawiać się na tysiączne niebezpieczeństwa, znoje, niewygody i straty! A kiedy czumak stracił swoją chudobę, wtedy z czumaka stawał się burłakiem—bez domu. W dawnych czasach, czumaki składali oddzielną klasę ludzi, których wszyscy szanowali za ich prawość, nieustraszonosc i głębokie geograficzne wiadomości. Oni sami tylko znali wtedy sławny szpakowy szlak, czyli murawską drogę. Dopóki nie

dobili do granicy stepu, to hulali i bankietowali; ale raz przekroczywszy za tę *czarną kręśę*, czumak trzeźwiał i męźniał, bo się stawał bohaterem stepu, bo miał przed sobą nie lada fraszkę—bojki z hajdamakami, Tatarami, z dzumą, spieką, głodem i pragnieniem. Czumaki mieli zwykle w każdej gromadzie atamana, którego powózka szła na przodzie; on wskazywał drogę niedoświadczonym, on wyznaczał do bydła stróży nocnych i dziennych, i rozporządzał czasem jazdy i spoczynku. Jeden czumak był kucharzem, a na jego wozie widać było żelazny trójnóg i żelazny kocioł, jako zewnętrzne oznaki jego powołania. Czumak porządny miał zawsze rusznicę i spisek do bronienia się od wroga; na wypadek napadu Nogajców lub hajdamaków, czumaki formowali z wozów tabor, który tak trudnym był do zdobycia, jak ufortyfikowany obóz: wyuczili się oni tego obrotu wojskowego od Kozaków, którzy w nim w najkrytyczniejszym położeniu szukali ocalenia. Na wozie atamana znajdował się stary kogut, aby we właściwym czasie budził zmęczonych junaków, jak tylko słońeczko wyjrzy z tamtego świata.

Czytajcie tylko ukraińskie pieśni; na 100 dum, pewnie 80 będzie o czumakach, 10 o miłości, a 10 o hajdamakach.

Handel Zaporozża z Małorossyą i braćmi Ukraincami, ograniczał się na prostéj zamianie. Zaporozcy brali od nich wódkę, zapasy żywności, sieci do łowienia ryb, tytuń, płótno i t. d.; dawali za to sól, bakalie, wino i wełnę. Towary te przywozili do Zaporozża albo lądem czumaki, albo spuszczano Dnieprem od Perewołoczny, a nawet Kremenczuka do pierwszego progu. Tutaj dniewprowscy flisi zatrzymywali się, nie śmiejąc sami puszczać się po skalistych zaporach, i oddawali siebie i ładunek

swój w ręce zaporozkich retmanów, słynnych z odwagi, biegłości i gorliwości w przeprawach po Dnieprowych progach. Boćto oni wśród skał, kipiących wód rozhukanego Dniepru, z długim drągiem w rękach, przezegnawszy się, rzucali się w sam środek wiru, i jeżeli nie zginęli tam, to pewnie statki lub tratwy któremi oni kierowali, dopływały nienaruszone do siczy, która już za progami leżała. Trzeba było widzieć próg Nienasytiec przy końcu kwietnia lub początku maja, kiedy się piętrzy jakby wieżyca jaka, żeby pojąć śmiałość i poświęcenie tych zaporozkich majtków. Kosz dlatego najdzielniejszych wybierał Kozaków do służby wodnej na progach, i dopóki tam zostawali, uwalniano ich od wszelkich powinności. Najśmielsi między niemi mieszkali we wsi Kamionce, niedaleko od dzisiejszego Jekaterynosławia, a ztąd siedziba ich nazywała się Retmańską Kamionką.

Handel czysto wewnętrzny w granicach Zaporozża i na targach odbywany, nie jest nam dostatecznie wiadomy. Głównym targiem drobnego handlu było miasto, czyli bazar w siczy, to jest przedmieście samego kosza, gdzie był kramny rynek, to jest gościnny dwór i sklepy, należące do wojska i obcych. Nazywał on się Hassan-Basza, od bramy tegoż nazwiska. Każdy prawie kureń miał tam szynk swój i dom zajezdny, albo sklep wystawiony za kurrenne pieniądze, a z którego dochód szedł także do skarbnicy kurrenniej. Oprócz tego były jeszcze dwa takie targi, bazary znaczniejsze we wsi Kamionnej w ingulskiej pałance, przeznaczone dla zagranicznych ludzi, i w Nikitynie u przewozu. Mniejsze do sprzedaży ryb, były na rzece Kalmiusie i w Gardzie na Bohu. Tatarzy często aż do samej siczy docięrali, przywożąc na

targ oponcze, burki, wilczury, siodła, strzały, strzemiona, szable, wędzidla, i wszystko co Kozakowi do konia potrzebne, a za to brali stare konie do jada i bydło. Na bazarze w siczy, był zawsze przytomny dozorca miar i wag, wojskowy kantarzej (1), który naznaczał zarazem cenę, podług której napoje w siczy i poza jej obrębem miały być sprzedawane w szynkach, nie tylko przez obcych, ale i przez samych zaporozkich szynkarzy.

Tymczasem nowe postanowienie sparaliżowało mocno obroty handlowe Zaporozża, chociaż podług ówczesnego wyobrażenia o kredycie, uważano je za korzystne. Konsul rosyjski w Krymie doniósł rządowi, że z Zaporozża wielka liczba złotych i srebrnej monety wychodzi do Turcyi i Krymu, i zaprojektował zakaz wywozu szlachetnych metali. Kazano płacić Zaporozcom żołąd miedzią, a małosyjskim kupcom zakazano wozić na Zaporozże srebrne i przyjmować z Zaporozża miedziane pieniądze. To mogło być zabiciem zupełnie handel zaporozki, bo Tatarzy nie chcieli brać miedzianej monety, a Zaporozcy znowu Ukraincom nie za miedź sprzedawać nie chcieli. Zawiązała się kontrabanda pieniędzy, ale mimo to, r. 1760 i 1768 podawali oni najpoddanniejsze prośby do tronu o zniesienie tego postanowienia. Tymczasem wybuchła wojna; Zaporozcy wywołani do niej, złotem odebrali swój żołąd i to na chwilę podniosło ich kapitały obrotowe, ale wkrótce i Zaporozców i Zaporozża nie stało.

Przy tylu i tak różnorodnych stosunkach Zaporozża z Polską, Rosyją, Małosyją, Krymem i Turcyją, mu-

(1) Kantar, wyraz turecki, znaczy pewną wagę; w Małosyji kantar, chryń, znaczy to samo, co u nas przezmian.

siały być drogi komunikacyjne i poczty odpowiednio urządzone.

Kiedy jeszcze Zaporozie przyznawało zwierzchnictwo Polski, to rząd znosił się z niém przez starostę czerkaskiego lub czechryńskiego, a raczej przez ruskiego lub kijowskiego wojewodę, i tak było do r. 1650. Dopóki hetmańszczyzna nie oderwała się od Polski, to często przez hetmanów małorossyjskich dwór polski przysyłał także swoje rozkazy na Zaporozie. Tą samą drogą szły wszelkie wiadomości i listy z Polski na Zaporozie, za pośrednictwem umyślnych konnych gońców, którzy się rejterami u nas, a narocznymi u Kozaków nazywali.

Kiedy zaś Zaporozie do Rosyi już należało, to wtedy dwie główne były takie konne poczty: kijowska i głuchowska. Kijowska przywoziła co tydzień rozkazy dworu petersburskiego, rozporządzenia władz noworossyjskich i listy z Polski, Moskwy i Kijowa. Szła ona przez bohogardową i ingulską pałankę, a w każdym zimowniku zmieniał się goniec i koń, co między powinności zaporozkiego wojska rachowano.

Z Baturyna za czasów polskich, a z Głuchowa za czasów rossyjskich, przez ziemie połtawskiego pułku, przybywali gońcy z pocztą hetmańską i całej Ukrainy, przywożąc zarazem rozkazy najwyższe z Warszawy, potem z Petersburga. Ta poczta szła dawniej przez Perewołoczną, a od r. 1730 przez twierdzę Kozłów, a ztąd zmieniając konie w siołach i zimownikach, dobiegała do siczy.

Kiedy w r. 1768 poruszenia konfederacyj polskich i nieprzyjazne kroki ze strony Turcyi, zaczęły grozić Rosyi, okazała się téż potrzeba szybszych stosunków, i ajenty raz wraz do Bakczyseraju, Konstantynopola

i Warszawy pędzili. To téż żeby przyspieszyć jazdy kuryerów, rozkazem cesarskim stale na zawsze poczty w Zaporozżu postanowiono. Zaczawszy od Krukowa na Dnieprze w połtawskiej gubernii, aż do siczki zaporozkiej, było takich pocztowych stacyj 8, odległych jedna od drugiej w przecięciu wiorst 30, a na każdej było po 6 koni, 6 przewodników, a jeden dozorca. Kiedy zniesiono sicz i zajęto posiadłości Tatarów, wprowadziła nareszcie Rossya swój system pocztowy w swoje nowe posiadłości; mimo to jednak, dla niezmiernéj rozległości kraju i znacznej odległości od siebie zamieszkałych siedzib, przeprawy podróżujących są kłopotliwe i niewygodne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

—

—

O ZŁOCIE W KALIFORNII.

PRZEZ

J. P. Szymańskiego.

Powszechnie mówią i piszą wiele o bogatych złotych minach, niedawno odkrytych w Kalifornii. Obfitość tych min, podług amerykańskich i innych pism czasowych, jest tak wielką, ich odkrycie, jakkolwiek niedawno uczynione, wywarło tak ważny wpływ nietylko na Amerykę, ale i na Europę, że przedmiot ten zasługuje na bliższe z nim obznajomienie się.

Gdy jednak nie każdy z czytelników może mieć pod ręką mapę północnej Ameryki Fremonta, przeto należy zrobić naprzód pogląd na geograficzne położenie nowego Eldorado.

Kalifornia dzieli się na dwie części: na Wyższą czyli Nową, i Niższą czyli Starą; składa się z półwyspu Kalifornijskiego (Nowa Kalifornia) i wąskiego pasu ziemi, rozciągającego się od północnej części półwyspu wzdłuż brzegów oceanu Spokojnego aż do Oregonu, prowincyi Stanów Zjednoczonych (Stara Kalifornia). Kalifornia graniczy na północ z Oregonem, na wschód z ziemią

wolnych Indyan, na zachód i południe z oceanem Spokojnym. Niższa Kalifornia ma 230 mil długości; największa jęj szerokość wynosi mil 30, a powierzchnia 7,300 mil kwadratowych. Środek półwyspu, podług Humboldta, przerznęty jest łańcuchem gór, z których najwyższa *Cerro de la Giganta*, 3,000 stóp wysoka nad poziom morza, zdaje się być pochodzenia wulkanicznego. Grunt u podnoża tych gór jest piaszczysty i jałowy; a chociaż w niektórych miejscach skały pokryte są warstwą rodzajnej ziemi, ale też w skutek niepojętej sprzeczności natury, te tylko miejsca obfitują w wodę, gdzie sterczą nagie skały; przeciwnie, tam gdzie ziemia jest zdatna do ulepszenia i uprawy, prawie zupełnie niema wody. Brak lasów także czuć się daje w tej części Kalifornii. Klimat tu ciepły, powietrze czyste, błękitne niebo prawie zawsze jasne, słońce rzadko się kryje za chmury. Półwysep zamieszkują kreolowie i kilka plemion indyjskich. Ludność krajowców wynosi 4000. Zakonnicy którzy tu założyli kilka missyj, potrafili wielu z nich nawrócić do chrześciancezmu, jednakże dość znaczna liczba pozostaje dotąd w bałwochwalstwie.

Wyższa Kalifornia przedstawia zupełnie odmienny widok. Jestto, jakeśmy powiedzieli, wązki pas ziemi, ciągnący się między oceanem Spokojnym i górami *Sierra Nevada*, prawie równoległemi z jego brzegami. Ma 200 mil długości; największa jęj szerokość wynosi 10 mil, a powierzchnia 2,125 mil kwadratowych. Chociaz jest cztery razy mniejszą od Niższej Kalifornii, jednakże więcej jest ludną od tamtej. W 1824 r. miała 34,500 mieszkańców, to jest 31,340 krajowców i 3,160 kolonistów. Pewnych wiadomości o liczbie terażniejszej ludności w Kalifornii nie mamy.

Tak znaczna różnica co do ilości mieszkańców, daje się wytłumaczyć żyznemi gruntami Wyższej Kalifornii. Łańcuch niebardzo wysokich, okrytych lasami pagórków, oddziela ją od ziemi wolnych Indyan; kilka rzek przerzyna w rozmaitym kierunku bogate jej łany, plantacye bawełny (*Gossipium arboreum*) i łąki, na których pasą się liczne trzody. Obfituje w lasy, składające się z cedrów, sosen orzeszkowych (*Pinus pinea*), laurowych i innych drzew, pod których cieniem kryją się niedźwiedzie, pantery, jelenie, kozy i dziki. Kreolowie zaprowadzili w tej części Kalifornii liczną i dobrą rasę koni. W wielu miejscach uprawiają winną macicę i robią dosyć przyjemne wino; wysyłają ze swoich pięknych portów wiele naturalnych płodów już wyrobionych, lub też w stanie surowym zostających. Krajowcy dzielą się na kilka plemion, mówiących różnemi językami. Nawróceni do chrześcijaństwa zamieszkują wsie; inni prowadzą życie koczujące, nie mając stałego zamieszkania.

Podług *Alcedo*, pierwszym który zwiedził tę krainę, był *Hernan Korte*, a podług *Humboldta*, *Hernan de Grijalva*. Korte przybył tu w 1535 r. i obejrzał większą część zatoki, oddzielającej półwysep od lądu. W 1602 r. admirał hiszpański *Sebastyan Visken*, w zamiarze urządzenia przystani dla statków wracających z Manilli, znalazł tu bardzo przydatne do tego miejsce, które ochrzcił nazwiskiem ówczesnego wice - króla Nowej Hiszpanii *Monte-rey*. W 1697 r. jezuita *Salvalijerra* i misjonarz niemiecki *Kuno Kuchne*, założyli przydyum św. Dyonizego w miejscu, gdzie teraz leży miasteczko Loreto. Od tego czasu, dzięki czynności Jezuitów, Dominikanów i Franciszkanów, wsie i miasta zaczęły się mnożyć z nadzwyczajną szybkością. *La Perouse* zwiedził ten kraj w 1786 r.

Głównymi miastami Niższej Kalifornii są: miasteczko Loreto i byłe missye św. Anny i św. Józefa. W Wyższej czyli Nowej Kalifornii (la Nueva) miasto stołeczne San-Francisco, położone przy szerokiej zatoce tegoż nazwiska, ma 2,000 mieszkańców. Vancouver i Kotzebue uważają tę przystań za najlepszą w świecie. San-Carlos de Monterey, albo tylko Monterey, jest rezydencją rządu obudwóch Kalifornij.

Zatoka kalifornijska, nazywana również Czerwoném czyli Kortezowém morzem, rozciąga się między półwyspem i stałym lądem od 20° 55', do 32° 35' północnej szerokości; ma 294 mil geograficznych długości, a największa jój szerokość równa się 55 milom.

W środku téj zatoki wiele jest wysep; znaczniejsze z nich są: San-Ignatio, de Santa-Ines, de Tiburon, de San-Francisco, de Carmen, de Spiritu-Santo, de San-Joze i de Ceralvo. Zatoka ta obfituje w ryby i wiele różnokolorowych muszli. Dawniej na południowym brzegu zajmowano się poławianiem pereł, lecz dzisiaj przemysł ten ustał zupełnie.

Zatoka San-Francisco leży pod 38° północnej szerokości. Tu przybywają wszyscy Jazonowie po złote runo Kalifornii. Dwie wielkie rzeki wpadają do niej w małej od siebie odległości. Jedna z nich, San-Sacramento, bierze początek w górach Sierra Nevada (*), wraz z niezliczoném mnóstwem wpadających do niej rzek i strumieni. W połowie swój drogi, bliżej do ujścia, rozdziela się na dwie odnogi; z tych nazwana American-Fork, jest nowym Paktolom, grożącym zalać cały świat swém złotem. Zresztą, nietylko ta odnoga, ale téż i wszystkie inne po-

(*) Północni Amerykanie zowią te góry *Snowy Mountains*.

mniejsze rzeki i strugi, podsycające San-Sacramento, obfitują w szlachetny metal. Amerykanie sądzą nawet, że wiele jest złota i ze strony wschodniego łańcucha gór Sierra Nevady aż do Stonego jeziora, na brzegach którego osiadło teraz indyjskie plemię Mormonitów. Aż dotąd, sąto tylko w pewnym względzie zasługujące na wiarę przypuszczenia; dlatego zwrócimy uwagę jedynie na San-Sacramento.

Pierwsze szczegółowe wiadomości o odkryciu złota w Kalifornii, znajdują się w dziełach i raportach pułkownika Massona.

Pułkownik Masson, do którego doszła wieść o rzece San-Sacramento, postanowił osobiście przekonać się o cudach, jakie o niej opowiadano; 17 czerwca 1848 r. wyjechawszy z Monterey, 20 t. m. przybył do nadmorskiego miasta San-Francisco. Miasto to, przedtém kwitnące i ożywione, teraz było puste; prawie wszyscy mieszkańcy płci męskiej przenieśli się do kopalni. Pułkownik podróżował dalej przez Sonsoletę, Bodeca, Sonomę i przybył 2 lipca do Suter-Forth czyli Nowej Helwecyi. Jestto niewielka ufortyfikowana wieś, założona niedawno przez kapitana Sutura (*). Wszystkie młyny po dro-

(*) W 1830 r., po rewolucyi lipcowej we Francyi, Suter, porucznik królewskiej gwardyi Szwajcarów, uważając swój zawód w skutek wypadków politycznych za skończony, odpłynął do Ameryki, mieszkał przez lat kilka w stanach Missouri, potém zaś, chcąc probować szczęścia w stronach bardziej oddalonych na zachód, połączył się z karawaną, udającą się do Kalifornii. Przybywszy na brzegi San-Sacramento, do kraju górzystego, lecz żyznego, który mu przypominał jego ojczyznę, postanowił tu osiąść. Otrzymał od rządu prowincjonalnego meksykańskiego obszar ziemi, około trzydziestu mil kwadratowych wynoszący, opasany na zachód przez San-Sacramento, i ciągnący się po lewym brzegu tej rzeki aż do łąk Butes. Tę nową ojczyznę nazwał imieniem dawniej. Nowa Helwecya. Przez pewny jednak czas musiał tam wal-

dze stały bezczynne; na polach nie było widać ani jednego rolnika; domy, folwarki opustoszały zupełnie. Przeciwnie, w Suter-Forth życie objawiało się w całej swój sile. Ze statków wyladowywano na brzeg towary; wozy ze złotym piaskiem dawały się co krok napotykać; powstało kilka sklepów, znalazł się nawet hotel. Za jeden pokój płacono na dobę 100, a za domek bez piętra 500 dolarów (około 5000 złp.). Ślusarz i kowal, którzy służyli u kapitana Sutura, otrzymywali dziennie po 10 dolarów.

W odległości 5 mil geograficznych od Suter-Forth, w górę ujścia rzeki, znajduje się miejsce, teraz nazwane Niższą miną czyli kopalnią Mormonitów (Lover Mines or Mormon Diggings). Pułkownik ujrzał tu na pochyłości pagórka mnóstwo płóciennych namiotów, budek skleconych z desek, i około dwustu ludzi, zajętych przemysłem złotym, bez względu na nieznośny letni upał. Jedni odbywali tę czynność cienkimi prześcieradłami,

czyć przeciwko pokoleniom indyjskim, które chciały niszczyć jego zabudowania; lecz śmiałym postępowaniem umiał zawsze odpiąć ich zamachy. Powiodło mu się w końcu przywiązać ich do siebie i dać im zakosztować owoców cywilizacji, które przyniósł z sobą do tej dzikiej krainy. Zawiąawszy stosunki z naczelnikiem plemienia Mormonitów, mającym wielką wziętość u swoich, dostawał robotników, którym płacił w miarę ich zastug; niektórzy z nich mieszkali nawet przy nim. Wkrótce jego zakłady otrzymały większe rozwinięcie. Poświęcił się głównie uprawie roli, hodowli zwierząt domowych i przedsięwziął na wielką skalę polowanie na bawoły. Zawiązał potem stosunki handlowe z koloniami rosyjskimi Rossa i Bodeca, położonemi w stronie Nowej Kalifornii, nieco na północ pod 38°, i zakupił je wkrótce potem od rządu rosyjskiego za 30,000 dolarów. W 1842 r. posiadał już tysiąc koni i kilka tysięcy sztuk rozmaitego bydła. Odkrycie złota i okoliczności towarzyszące jego zbieraniu, jeszcze bogatszym uczyniły teraz kapitana Sutura.

inni gęsto uplecionemi koszami, lecz najwięcej za pomocą prostej maszyny, znanej tu pod nazwą kołyski. Kołyska ta wisi na słupach; ma od siedmiu do ośmiu stóp długości, ze spodu odkryta, a z wierzchu opatrzona grubym rzeszotem; jej dno jest zaokrąglone i pokryte niewielkimi, ukośnie wbitemi patyczkami (cleats). Do użycia tej maszyny potrzeba czterech ludzi; jeden kopie nadbrzeżny piasek, drugi nosi go do maszyny i sypie na rzeszoto, trzeci wprawia w ruch kołyskę, a czwarty polewa ją wodą z rzeki. Rzeszoto zatrzymuje na wierzchu kamienie, woda oczyszcza ziemię, gruby piasek spada na dno maszyny, złoto zaś pomieszane z drobnym czarnym piaskiem, zostaje za patyczkami. Złoto i czarny piasek zbierają do koszyków, suszą na słońcu, a nakoniec złoto oddzielają za pomocą zwyczajnego przewiewu. Czterech robotników w taki sposób zarabiają średnio do stu dolarów na dzień. Złoto najczęściej ma kształt niewielkich, błyszczących ziarenek.

Zresztą pierwsze złoto nie tu zostało odkryte, lecz o pięć mil wyżej, w górę ujścia rzeki, to jest o dziesięć mil geograficznych od Suter-Forth. Miejscowość tam więcej górzysta, dochodzi niekiedy do 1000 stóp wysokości. Oto w jaki sposób nastąpiło pierwsze odkrycie złota:

We wrześniu 1847 r. kapitan Suter zamierzył wystawić tartak na południowej odnodze rzeki San-Sacramento, zwaną powszechnie *Rio de los Americanos*. Robotę około niego powierzył mechanikowi, nazwiskiem James Marshall. Po zupełnym ukończeniu tartaku, zauważano, że kanał wykopany do przeprowadzenia wody na koła, okazał się niedostatecznie szerokim. Postanowiono więc usunąć tę niedogodność, lecz aby

to prędkiej dokonać i z małym kosztem, wpuszczono do pomienionego kanału wszystkę wodę, zebraną w wyższym rezerwoarze. Ten pośpiech spowodził zupełnie niespodziany wypadek: woda prędko wymyła koryto kanału i tam się pokazało kilka kawałków metalu, który niebawem przez obecnego inżyniera został poznany.

Te kawałki—były złotem! Metal okazał się w dość ścisłych massach, nie można było zatem powątpiewać o istnieniu w bliskości złotej żyły, albo téż piasku w znacznej ilości. Panowie Suter i Marshall starali się zataić przed innemi swoje odkrycie, lecz Indyanie (Mormonicy), których zmuszeni byli nająć do roboty tartaku, prędko roznieśli wiadomość o kosztowném odkryciu, które jednak z początku obudziło niedowierzanie i wątpliwość.

Powątpiewanie przecież Kalifornijczyków niezupełnie na pobłazanie zasługuje; wiedzano już bowiem w XVI wieku, że w téj dalekiej stronie świata jest złoto. *Sir Francis Drake*, zwiedzający Kalifornią w 1578 r., znalazł w niektórych miejscach jezuickie kolonie, bardzo przywiązane do zajętej przez nie miejscowości, z powodu dostrzeżonych mineralogicznych jój bogactw. Z téj to przyczyny naśladowcy Ignacego Lojoli starali się przekonać dwór hiszpański, z którym mieli ciągle stosunki, że zamieszkała przez nich ziemia jest zupełnie jałowa i niezdatna nawet do ulepszenia. W późniejszym czasie, po wydaleniu ztamtąd jezuitów, dwór hiszpański polecił don Jose Halvezowi ten kraj obejrzeć. Don Jose Halvez doniósł, że ziemia przedstawia wiele korzyści, i że w niej odkrył złote miny, z których się można wiele spodziewać.

Obojętność rządu hiszpańskiego, przesyconego, złotem meksykańskiem, była tak wielką, a Kalifornia wydawała mu się tak bajecznie daleką, nieplodną i bezludną krainą, że doniesienie Halveza nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia i prędko poszło w zapomnienie. Ale podania o Kalifornii przetrwały przez trzy wieki, i zaledwo teraz niespodziewany wypadek dowiódł ich gruntowności.

Więść o odkryciu Sutera i Marshalla rozbiegła się wszędzie z niesłychaną szybkością: kilka miesięcy temu, około 4,000 robotników już pracowało w minach. Niedaleko tartaku jest także złoto, i tam się znaleźli już przedsiębiorcy, z których każdy otrzymuje dziennie od jednej do trzech uncyj tego metalu. W wąwozach między górami i w korytach strumieni wysychających latem, znajdują także kawałki złota od czterech do pięciu uncyj, czasem mechanicznie połączone z kwarcem; co dowodzi, że złoto nie zostało tu naniesione przez prąd wody, lecz że pierwotne jego źródło znajduje się w pobliżu. Niewielkie rzeczki wpadające do San-Sacramento i sąsiednie doliny, również obfitują w kosztowny metal. Jest na przykład wąwóz, długi na 200, 4 szeroki, i 2 stopy głęboki, w którym dwóch przedsiębiorców, William Delly i Perry Mecocon, w przeciągu kilku dni zebrali złota na 17,000 dolarów. Według wszelkiej pewności, istnieje tysiące takich wąwozów, jeszcze dotąd nikomu nieznanych.

Pułkownik Masson opowiada, że rozmawiał z kilkudziesięciu ludźmi, którzy jednocześnie zapewniali go, że zarobkują dziennie po pięćdziesiąt dolarów, i pokazywali mu przytém dość znaczną ilość złota, która oprócz wynagrodzenia, była czystym ich zyskiem. Zresztą za naj-

lepszy dowód wielkości kalifornijskich bogactw, mogą posłużyć niesłychane ceny produktów, potrzebnych do utrzymania życia, które jednakże nikogo nie obciążają. Zdaje się, że przedsiębiorcy obawiają się tego tylko, aby, gdy się odkryje z czasem bardzo wiele złota, nie utraciło ono z tego powodu swojej wartości.

Pułkownik Masson wspomina tylko o trzech złotodajnych rzekach (o rzece Piór, Niedźwiedzi i Juba), w których sam widział złoto; lecz dodaje, że w górach leżących między temi rzekami, znajdują ten kosztowny metal w dosyć dużych kawałkach. Wielu z Amerykanów przemysłamiem złota zatrudniają od czterdziestu do pięćdziesięciu Indian, i płacą im towarami. Pewien nowosiadły na brzegu jednej z pobocznych rzek San-Sacramento, najmował 50 robotników, którzy nie mieli żadnych innych narzędzi, oprócz zwyczajnych koszyków z łoży plecionych, a którzy jednak w przeciągu pięciu tygodni przynieśli mu 16,000 dolarów czystego zysku.

Łatwo wyobrazić, jak wielkie wstrząśnienie we wszystkich stosunkach towarzyskiego życia musiała sprawić ta nowa gałąź przemysłowości. Biędni i nadzy Indianie, dotychczas z wielką pracą zarabiający na kawałek chleba, stali się teraz znacznemi ajentami najpiérwszych amerykańskich kupców. Codziennie, z różnych stron udają się do kopalni familie z całym ich ruchomym majątkiem; jedyny sklep, znajdujący się w Suter-Forth (Branpana i komp.), sprzedał od maja do grudnia r. z. za 36,000 dolarów (blizko 360,000 złp.). Najrozsądniej jednak ze wszystkich postępuje kapitan Suter; wtenczas, kiedy rolnicy i przedsiębiorcy opuścili swoje zwyczajne prace i udali się na poszukiwanie i zbieranie złota, kapitan Suter nie przestaje zajmować się na wiel-

ką skalę zasiewaniem pszenicy; a ponieważ teraz beczka mąki kosztuje tam około 50 dolarów, pewno więc nie poniesie bynajmniej straty. Należy się spodziewać, że zaczną dostarczać zboże z Oregonu i Chili, w przeciwnym bowiem razie, wszyscy ci bogacze zmuszeni będą umierać z głodu.

Pułkownik Masson ocenia dzienny dochód odniesiony przez kopaczy w lipcu r. z. od 30 do 50,000,000 dolarów. Do otrzymania tych bogactw nie potrzeba żadnego kapitału; dostatecznymi są: kosz i łopata, niektórym bowiem udawało się wydobywać kawałki złota ze skał za pomocą zwyczajnego noża. Masson usprawiedliwia swoje twierdzenie następującem dowodami:

„Pewien mieszkaniec w Monterey, mówi, człowiek prosty i uczciwy, nazwiskiem Dey, niedawno wrócił z nad brzegów rzeki Piór. Opowiadał mi, że towarzystwo do którego należał, mając do rozporządzenia 50 robotników, otrzymało w przeciągu 51 dni 273 funtów złota. Pokazywał mi przytém swoją część w tej zdobyczy, składającą się z 37 funtów. Nie spotkałem ani jednego prostego robotnika w kopalniach, któryby nie posiadał dwóch albo trzech funtów złota swojej własności. Jeden żołnierz tutejszego garnizonu zarobił przez jedenaście dni 1500 dolarów, a zatem daleko więcej, aniżeli by wysłużył przez lat pięć w swoim zawodzie, licząc w to gażę, wyżywienie i odzież. Wszystko to może się zdawać wątpliwém, a przecież jestto rzeczywista prawda”.

Domyślają się także o istnieniu złota w zachodniej pochyłości gór Sierra-Nevada; prawie wszyscy Mormonicy udają się z Kalifornii do Stonego jeziora; zapewne więc są przekonani, że tam się znajduje także ilość złota, jak w San-Sacramento. Kopalnia leżąca blisko missyi San-

Fernando, dawno już jest znana, lecz bardzo mało w niej pracują z przyczyny braku wody. Kopalnia ta znajduje się w téj saméj gałęzi Sierra-Nevada, gdzie odkryto niedawno nowe miny, a zatem można sądzić z pewnością, że na przestrzeni około 100 mil geograficznych, położonej między temi górami, jeszcze jest bardzo wiele bogactw. Złoto z min w San-Sacramento służy teraz tam za zdawkową monetę, po 16 dolarów za uncję: jako przedmiot handlu nie ma ono jeszcze stałej ceny. Niektóre partye przedawano mniej, aniżeli po 12 dolarów za uncję.

Prawie cała przestrzeń złotych min należy do Stanów Zjednoczonych, ale nie mają one jeszcze w tych miejscach dostatecznej materyalnej siły dla ochrony swojej własności, i dlatego każdy przybywający do kopalni, nie nie płaci za prawo zbierania złota. Pułkownik Masson radzi rządowi oddać koniecznie w dzierżawę te kopalnie, rozdzieliwszy je na części, albo téż sprzedać takowe przez publiczną licytacją. Dodaje przytém, że na przyszłość nie będzie można usunąć licznych przedsiębiorców z nieprawnie nabytych przez nich posiadłości.

Złoto zbierane w systemacie rzeki San-Sacramento, nie ustępuje pod względem próby najlepszemu amerykańskiemu. Łatwo pojąć, iż wszystkie wiadomości o obszerności kraju zawierającego w sobie złoto, nie są dostateczne lub zupełne; kalifornijska gazeta, wychodząca w San - Francisco, donosi, że przekonano się o istnieniu złota na przestrzeni ziemi, mającéj 20 mil geograficznych długości i 4 szerokości, i że 50,000 poszukiwaczy złota mogą pracować na téj przestrzeni, nie przeszkadzając jeden drugiemu. Ziemia ta należy do Stanów Zjednoczonych, ale podług słów gazety, prawo do niej może wywołać sprzeczkę. Mormonici już ogłosili,

że większa część złotodajnego okręgu należy do nich, i wskutek tego żądają pewnych procentów. Wprawdzie nie są oni dość liczni na brzegach San-Sacramento, ażeby siłą poprzeczyć swoje żądanie, lecz około Stonego jeziora znajduje się z 10,000 ludzi tegoż plemienia; do nich więc wysłano umyślnego z uwiadomieniem o stanie rzeczy w San-Sacramento. Obawiają się, ażeby te dziesięć tysięcy nie zjawilo się na miejscu pracy, i żeby wówczas nie przyszło do krwi rozlewu. Zresztą, może przypuszczenie pułkownika Massona, iż Mormonici znaleźli blisko Stonego jeziora daleko bogatsze kopalnie, sprawdzi się, a zatém pozostaną oni na miejscu.

W liście naocznego świadka, zamieszczonym w dzienniku *The Polynesian*, wydawanym na jednej z wysp Sandwichskich, powiedziano między innymi jak następuje: „Średni zysk, otrzymywany dziennie przez robotnika, wynosi 16 dolarów. Im głębiej rozkopują ziemię, tém ona staje się bogatszą. Jeden robotnik w kwadrans wydobyl złota za 30 dolarów. Przytomny temu stary górnik zapewniał, że robotnicy przez niedoświadczenie tracą połowę złota, i że gdyby do tego były użyte porządne maszyny połączone z doświadczeniem, wówczas możnaby było wydobywać dwa razy tyle tego metalu. Największy zysk dzienny, odniesiony dotąd przez jednego robotnika, nie przewyższał 200 dolarów. Ziarnka złota dość znacznej są wielkości; najcięższe wazą pół uncji. Góry były zbadane w różnych miejscach, i wszędzie znajdowano złoto. Zresztą, kraj ten obfituje nie w samo tylko złoto, gdyż znajdują tam wiele innych minerałów, jak na przykład w okolicy tartaku Sutera znaleziono rudę, która przynosi 85 procentów.”

Wszystkie tu dotąd przytoczone szczegóły nie są bynajmniej przesadzone; ażeby się o ich prawdzie przekonać, dosyć przeczytać opisanie Wyższej Kalifornii, umieszczone w *Geographical Journal* (Boston, November, 1848) przez Edwina Bryanta, dowódcy garnizonu w San-Francisco. Autor ten nie tylko potwierdza wszelkie wiadomości o poszukiwaniach złota, lecz nadto dodaje, że obszerna przestrzeń ziemi, leżąca między Sierra-Nevadą a brzegiem zachodnim, może się policzyć do najpiękniejszych i najobfitszych we wszystko okolic w świecie.

Nie dziw więc, że wiadomości o téj czarodziejskiej krainie, doprowadziły przedsiębiorczy duch północnych Amerykanów do jakiegoś gorączkowego stanu, i że przemysłowi ludzie napływają tu ze wszystkich krańców świata. Od lipca r. z. przesiedliło się z Anglii do Ameryki mnóstwo osób, a najwięcej Irlandczyków. Augsburska *Allgemeine Zeitung* donosi, że w Bremen przygotowano cztery transportowe statki, które z rozpoczęciem wiosennej żeglugi odplyną do Monterey i San-Francisco. Według ostatnich wiadomości z Bostonu i New-Yorku, 10,000 osób wyruszyło ztamtąd do Kalifornii; część ich udała się naokoło przylądka Horna, majątniejsi zaś wyjechali na parostatkach niedawno urządzonego towarzystwa do Chagres, przebyli międzymorze Panama na mulach, a siadłszy z drugiej strony międzymorza na inne parostatki, dosięgli Kalifornii. Za taką podróż, wyjąwszy przejazd lądem, płacą stosownie do miejsca, po 600, 350 i 160 dolarów. Ale ta nawet droga wydaje się za długą i zbyt ciężką: „Railroad to the Pacific!” (kolej żelazna do oceanu Spokojnego), oto jest powsze-

chne hasło, które, dzięki pociągającemu wpływowi kalifornijskich bogactw, bez wątpienia wkrótce przyjdzie do skutku; a tak niezadługo kolej żelazna przerznie między morze Panama i połączy dwa oceany. Emigracja Anglo-Saksonów do Ameryki, nada inną postać rzeczy nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale nawet w handlu całego świata. Dzienniki amerykańskie obliczają już z pewnością tę wielką katastrofę. „Handel ze wschodnią Azją, powiadają, był dotychczas w ręku Anglii, która zamieniała herbatę i towary jedwabne na swoje srebro i złoto. Wkrótce Anglia nie będzie w stanie wytrzymać z nami współzawodnictwa, dlatego, że kiedy ona z trudnością dobywa swoje złoto, wtenczas my będziemy je mieli prawie pod ręką; w tym celu potrzeba nam tylko skrócić drogę do Kalifornii. Teraz New-York tak jest oddalony od San-Francisco, jak i Liverpool; okręty bowiem odchodzące tam z obudwóch portów, zmuszone są odbywać tę niebezpieczną podróż koło przylądka Horna, lecz skoro tylko poprowadzimy kolej żelazną od Mississipi do Kalifornii, wówczas zamiast 19,000 mil, potrzeba nam będzie przebyć tylko 2,500 mil angielskich. Posiadając złoto Kalifornii, Stany Zjednoczone przy tak ułatwionej komunikacji, będą wspólnym Europy i Azji targowiskiem, a wszystkie narody całego świata staną się ich hołdownikami. Dowodzący w ten sposób, a liczba ich co dzień się powiększa, utrzymują, że kongres w Washingtonie powinien zająć się jak najrychlej urządzeniem wspomnianej kolei, ażeby jakie prywatne towarzystwo nie wzięło na siebie przedsięwzięcia, tak wielkie korzyści przynoszącego. Wydatki na kolej żelazną z Mississipi do Kalifornii obliczają na 60 do 70,000 do-

larów, lecz cóż znaczy ta summa w porównaniu do zysku, jaki się ma na względzie?”

„Urządźcie tę kolej! woła gazeta New-Yorkska, a wtenczas Kanton (w Chinach) będzie oddalony od nas o 30 dni drogi, kiedy dzisiaj potrzebujemy na podróż do tego miasta więcej jak cztery miesiące.”

„Kto w tych wyrazach dostrzega nietylko chwilowy wybuch entuzjazmu trans-atlantyckiego, dodaje swoją drogą *Allgemeine Zeitung*, z której wyjęliśmy powyższy ustęp, ten zgodzi się z nami, że odkrycie złotodajnych min w Kalifornii, wkrótce zajmie ważną kartę w historii całego świata.”

Dla powzięcia dokładniejszych wiadomości o terażniejszym stanie Kalifornii, przytoczymy kilka interesujących wyjątków z najświeższych zagranicznych dzienników.

„Kalifornia, mówi jeden z nich, ma przywilój zajmowania ciągle uwagi publicznej. Od ostatniego odbicia pocztowego okrętu *Europa* z New-Yorku, nie otrzymujemy żadnych ważniejszych wiadomości z nowego Eldorado. Okręty bowiem mogą przybijać do jego portów, ale z nich wydobyć się już nie zdołają, opuszczone przez ekwipaż, a często nawet przez samych kapitanów. Nowe dokumenta i listy, które dziś ogłaszają amerykańskie gazety, zasługują na największe upowszechnienie”.

„Ostatnie wiadomości z Kalifornii, piszą z Mazatlan w Meksyku, są zawsze pomyślne dla okolic złota. Ustały jednak na chwilę roboty w kopalniach, ponieważ cały kraj okryty jest na jedną stopę śniegiem. Wielu z szukających złota pobudowali sobie drewniane baraki na miejscu. Obfitość bogactw przechodzi wszystko, co dotąd

ogłoszono; teraz wynaleziono znowu złoto o 100 mil na południe od miejsca pierwszego odkrycia. Wielu ludzi od dawniejszego czasu zajętych zbieraniem złota, opuściło już lub chcą opuścić ten kraj złota; idzie tylko o środki przewozu. Niecierpliwszi udają się do Niższej Kalifornii, zkąd dostają się do Monterey. Tak tu, jak w San-Blas, poszukiwanie artykułów żywności i przedmiotów pierwszych potrzeb dla Kalifornii, podniosło ceny wszystkiego w zastraszający dla nas sposób”.

„Prawo jest tu tylko próżnym słowem, donoszą z Monterey. Kraj jest bez administracji, bez żadnego rodzaju rządu. Pułk ochotników przybyły z New-Yorku, rozbiegł się do okolic złota; dowódzca z resztą oficerów nie miał nic lepszego do uczynienia, jak udać się za nimi. Cały sztab główny składa się dziś z jednego oficera, a całe wojsko z piętnastu ludzi, chorych, rannych, kulawych, którzy zbież nie byli w stanie. Trudno sobie wystawić gorączkę złota i rewolucją, jaką działała pomiędzy nami. Odkryto znowu o sześćdziesiąt mil ztąd nowe obszary złota. W kopalniach sprzedają uncją (2 łyty) złota po 6 do 8 dolarów; tu (w Monterey) zapłacić trzeba za nią po 10 lub 11 dol., a w Stanach Zjednoczonych po 18 dol. uncją. Sądzisz bez wątpienia, że wszystko coś słyszał o obfitości złota jest przesadzonym; tymczasem mogę zaręczyć, że niewszystko jeszcze powiedziano. Waham się opowiedzieć co następuje, bo się zdawać będzie trudnym do uwierzenia, jednakże jestto rzetelną prawdą. Przyjaciel konsula francuzkiego, który właśnie doniósł o tém swemu rządowi, uzbierał w przeciągu czterech dni przeszło czterdzieści funtów złota. Kawalki wazące 1 do 2 funt. złota nie są rzad-

kie, a w San-Francisco znajduje się kawał, wazący blisko 25 funtów”.

„Niepodobna sobie wystawić terażniejszego stanu rzeczy w tym kraju; pisze jeden oficer marynarki amerykańskiej z okrętu liniowego Ohio, z Monterey. Pewien, który właśnie powrócił z kopalni złota, opowiadał mi, że opuszczając tamte miejsca, sprzedał lichą koldrę za 280 dolarów złotem, i kapelusz, który chciał porzucić jako niezdatny do użycia, za 64 dolary. Za funt mąki płać już tam po 4 dol., a za funt cukru 2 dolary”.

„Złotodajna ziemia rozciąga się na przestrzeni 400 mil długości, a 100 mil szerokości; utrzymują jednak, że złoto znajduje się jeszcze i poza temi granicami, ale dalej jeszcze nie szukano. Znane mi towarzystwo, które przepędziło w kopalniach cztery miesiące, uzbierało tyle złota, że po podziale przypadło każdemu członkowi po 1500 dolarów na miesiąc. Lekarze bez szukania złota szybko się tu z bogacają. W kopalniach nie pomaca ci żaden puls, za mniej, jak za dwa łuty złota. Są między niemi tacy, którzy mają dziennego dochodu przeszło 100 dolarów, bo na nieszczęście liczba chorych jest zawsze znaczna.

„Zważając liczbę szukających teraz złota, obliczają na dzień wartość jego około 400,000 dolarów (blisko 4,000,000 złp.), a wielu podaje daleko większe cyfry”.

Generał Smith, wysłany do Kalifornii z misją od rządu Stanów Zjednoczonych, pisał d. 7 stycznia r. b. z Panamy, gdzie oczekiwał na parostatek *Kalifornia*, który miał go przewieźć do San-Francisco: „Stan rzeczy w Kalifornii jest nadzwyczajny. Wszystko o czém pisano, nie zdaje się być przesadzoném, ale raczej niedostateczném. Dowódzca francuzkiego wojennego brygu

Génie, kapitan Langle, opowiadał mi, że w dwóch portach Valparaiso i Lima, otrzymano przeszło za 9,000,000 franków złota, nadesłanego z Kalifornii. Konsul angielski mówił mi, że ze swój strony wyprawił do Anglii 15,000 uncyj złota, a porucznik Wood, dowódca angielskiego parostatku *Pandora*, utrzymuje, iż wszystko co tam mówiono przechodzi nawet rzeczywistość. Niepodobna będzie przeszkodzić zbiegostwu żołnierzy, i nie będzie sposobu utrzymać w karchach mnóstwa awanturników, którzy zaleją Kolidornią ze wszystkich części świata”.

Ażebym dać poznać do jakiego stopnia może być wielkim wpływ z odkrycia kalifornijskiego złota na handel całego świata, przywodziśmy zdanie w tym względzie niektórych dzienników:

„Jeżeli kalifornijskie kopalnie, mówi pewne pismo francuzkie, ciągle będą dostarczać zapasy złota, nieodbitcie potrzebne dla cywilizacyi, niéma wątpliwości, że względna wartość tego metalu będzie zależeć od ilości zbieranej w Kalifornii, i wszystkie kopalnie innych krajów pójdą pomału w zapomnienie. Ale jaki wyniknie skutek z tej zmiany we względzie wartości złota, z tego ponizenia najdroższego z metalów: dobry czy zły?”

„Będzie złym dla tych, których majątek, albo téż większa część jego składa się z tego metalu; dla tych, których dochody mieszczą się szczególnie w określonej liczbie złota. Tak więc posiadacze wielu rzeczy z czystego złota, staną się biedniejszymi w porównaniu z niemającymi podobnych rzeczy. W takim razie Anglia, która bije monetę swoją prawie z jednego tylko złota, powinna koniecznie ponieść stratę; jej moneta nie będzie miała stałej wartości, a zatem mocarstwo to nie

będzie już w stanie zakupywać takiej ilości potrzebnych towarów, jaką zakupuje teraz”.

„Lecz jeżeli zmniejszenie wartości złota musi przynieść uszczerbek tym, którzy posiadają wiele złotych rzeczy; jeżeli z tego powodu ucierpi Anglia albo też inne państwo: wówczas trzeba przyznać, że takowa zmiana w wartości złota, uważana ogólnie, odbędzie się na korzyść cywilizacyi. Złoto nie straci najmniejszego z odznaczających przymiotów, które stawia je wyżej nad inne metale, i stanie się dostępniejszem dla większej części ludzi. Każdą zmianę w zwyczajnych warunkach przemysłu, ułatwiającą narodom i indywidualom nabycie przedmiotów koniecznych do utrzymania życia, trzeba uważać za szczęśliwy wypadek, bez względu, że takowa zmiana będzie czasowo przykrą dla pewnej liczby osób. Dodać nadto wypada, że ta zmiana nastąpi nie gwałtownie, lecz stopniowo, a zatem ci, którzyby mieli ponieść stratę, znajdą czas do wywikłania się z tej trudności.”

„Obliczono w roku zeszłym, są słowa innego dziennika, że Ameryka dostarcza za 163,000,000 franków drogich metalów; ilość ta musi koniecznie się podwoić. Sprawdzą się potem przepowiednie Humboldta, który, znając działalność przemysłowego narodu w Andyjskich górach, powiedział: że Europa będzie zależną, we właściwem znaczeniu tego wyrazu, kosztownymi metalami, jak tylko zaczną pracować w złotodajnych miejscach: Balanos, Batopilos, Rosario, Pachuca, Lultepec, Chihuahua, już znanych, lecz jeszcze nierozkopanych lub pominiętych bez żadnego powodu.”

„Co wtenczas nastąpi?—to, co było w Europie zaraz po odkryciu Ameryki: zupełna zmiana ceny wszystkich

rzeczy. Podstawa dochodów zmieni się. Wszystkie zawarte zobowiązania, wyrażone przez określoną liczbę pieniężną, staną się lepszymi dla dłużników, uciążliwszymi dla kredytorów. Mocarstwa z łatwością opłacą swe długi, które się znacznie umniejszą, ale z drugiej strony zmuszone będą podnieść podatki. Słowem, ta przemiana ze stratą kapitalistów, odbędzie się na korzyść klasy pracującej, rolników i właścicieli ziemskich.”

Zagraniczne pisma przy tej okoliczności napomykają o Syberyi, uważając Kalifornią za straszną dla niej współzawodniczkę. Zamiast odpowiedzi na to twierdzenie, trzeba wziąć na uwagę bogactwo miu syberyjskich i uralskich, nadzwyczaj wielką przestrzeń Syberyi jeszcze niepoznanej, nareszcie coraz wzrastający dochód, otrzymywanego z tamtąd złota.

W 1845 r. otrzymano w uralskich i sybirskich kopalniach złota. 1,371 pud. 31 funt. 84 zlot.

W 1846 r. 1,677 „ 21 „ 14 „

W 1847 r. 1,825 „ 37 „ 69 „

Powinniśmy nakoniec zastanowić się nad tém, że co do wewnętrznej wartości, złoto sybirskie wyżej stoi, aniżeli złoto innych krajów. Amerykańskie złoto nigdy nie miało wyżej nad 80¹/₂ próby, a uralskie z rudy miewa 88¹/₄, piaskowe zaś od 90¹/₂ do 92¹/₂ próby. W okręgach: tomskim, minusińskim i kanskim próba złota często dochodzi do 91¹/₂, a w okręgu jenisejskim podnosi się do 94¹/₃ próby, i dla przebiccia na monetę musi być sztucznie znizone do cyfry oznaczonej prawem. wtenczas, kiedy inne złoto ulega licznym zmianom, zanim się podniesie do próby, stale przyjętej za normalną w rossyjskim systemacie monet.



O PIORUNACH.

PODEJUG Fr. ARAGO.

PRZEZ

Josefa Sapalskiego.

(Ciąg dalszy).

O niebezpieczeństwach pochodzących z uderzenia piorunu.

Czy niebezpieczeństwa z uderzenia piorunu są tak wielkie, ażeby zwracać szczególną uwagę na środki poszukiwane dla uniknięcia ich? Zapytanie to wielostronne, można zastosować w szczególności do osób, do budowli i nakoniec do okrętów.

Zdaje się, iż mieszkańcy wielkich miast bardzo mało narażeni są na uderzenia od piorunu; *Lichtenberg* dodaje, że nawet są zapewnieni, ponieważ w przeciągu jednej połowy wieku, z całego miasta *Goettyngi* piorun raził tylko pięciu ludzi, z których trzech umarło. Powiadają, że w *Halli* od roku 1609 do 1825, czyli w okresie przeszło dwuwiekowym, piorun ranił tylko jedną osobę. W *Paryżu*, gdzie *tabelle* zejścia utrzymują z wszelką dokładnością, od bardzo znacznej liczby

lat znajdujemy, że piorun stał się przyczyną śmierci tylko kilku osób.

Wszelako wniosek powyższy nie można uważać za stanowczy, jak zaraz zobaczymy.

W nocy z 26 na 27 lipca 1709 r., piorun uderzył w teatr w mieście *Feltr*, zabił mnóstwo osób, a resztę mniej więcej pokaleczył.

W d. 18 lutego 1770 r. w czasie nabożeństwa w kościele w *Kewerne* (Cornouailles), piorun prawie wszystkich rzucił o ziemię bez zmysłów.

Roku 1808 w mieście *Capelle* (Bryzgowia), piorun dwa razy raz po raz uderzył w hotel, zabił cztery osoby i bardzo wiele zranił.

W d. 20 maja r. 1784, w *Mantui* piorun wpadł do sali widowisk gdzie było 400 osób, z tych dwie zabił, a dziesięć pokaleczył.

W d. 19 lipca 1819 r., w czasie nabożeństwa piorun uderzył w kościół *Châteaux-Neuf-les-Moutiers*; zabił 9 osób, a przeszło 80 zranił.

Pomimo tylu przykładów, spodziewam się iż nikt nie zaprzeczy, że dla każdego mieszkańca *Warszawy*, niebezpieczeństwo stania się ofiarą piorunu, bez porównania jest mniejsze, od niebezpieczeństwa utraty życia na ulicy w skutek spadnięcia na głowę z dachu murarza lub kominiarza, albo z okna wazonu z kwiatami. Trudno byłoby znaleźć chociaż jedną osobę, któraby wychodząc z domu, lękała się, iżby ją podobny wypadek grożący śmiercią spotkał. Jeżeliby kto przypuszczał, że wychodząc z mieszkania naraża się na utratę życia, przez spadnięcie kominiarza lub wazonu, ten niezawodnie w czasie burzy z grzmotami, lękałby się nie dłużej piorunów, jak 24 godzin w dobę.

Mieszkańcy po wsiach i na czystém polu, w czasie burzy zdaje się więcej są narażeni na postradanie życia od piorunu, jak w wielkich miastach. Dodać tylko potrzeba, iż dotąd nie mamy w tym względzie dokładnych i rzetelnych wiadomości, któreby mogły posłużyć za wskazówkę do oznaczenia różnicy, jaka zachodzi co do powtarzających się piorunów między jednym a drugim krajem, a nawet między jedną a drugą pewną przestrzenią (1).

Mieszkańcy rzeczypospolitéj *Nowej - Grenady*, nie chcą osiadać na stałe zamieszkanie w *el Sitio de Tumbabarreto*, blisko kopalni złota *Vega de Supia*, dlatego, że tam pioruny często bywają przyczyną śmierci. Lud tamtejszych okolic dotąd zachowuje w pamięci znaczną liczbę górników, zabitych od piorunu. Kiedy *Boussingault* w czasie burzy przebiegał *el Sitio*, piorun zabił negra który mu przewodniczył. *Loma de Pitago* (Popayan) ma taki sam smutny przymiot i sławę. Młody szwedzki botanik *Plancheman*, w chwili gdy niebo pokryło się chmurami, mimo przestróg tautejszych mieszkańców, chciał przebyć *Loma*, gdzie go piorun zabił. Jeśli w innych krajach, niekiedy całe lata upływają bez ofiar od piorunu, to w *Loma de Pitago* w pewnej porze roku, prawie każdego dnia, zdarzają się przykłady podobnej śmiertelności. I tak: w r. 1797 od 1 czerwca do 28 sierpnia, *Volney* naliczył w gazetach Stanów Zjednoczonych 17 osób zabitych, a 84 mocno zranionych na polach od piorunu. Tymczasem we Francyi w r. 1805

(1) Oddawna nie było tak częstych piorunów w królestwie Polskiem, jak w roku 1846 w miesiącu sierpniu. Ludzi zabitych zostało od piorunów 19, domów spalony pioruny 32 i stodoł 20. (*Biblioteka Warszawska* r. 1846, T. IV).

tylko jedna osoba stała się ofiarą piorunu; w r. 1806 dwoje dzieci; w r. 1807 dwie osoby; w r. 1808 jedna; w r. 1811 kilka, a w r. 1819 pięć.

Jeżeli, jak utrzymują, mało ludzi ginie od gromu w miastach wielkich, to bez wątpienia liczba budowli zniszczonych od piorunów, nierównie jest większa.

W nocy z 14 na 15 kwietnia 1718 r., piorun zniszczył 24 kościoły w okolicach między *Landernau* i *St-Paul-de Leon* (wzdłuż brzegów Bretanii).

W nocy z 25 na 26 kwietnia 1760 roku, w *Ham* w przeciągu minut 20, piorun trzy razy uderzył w kościół Najświętszej Panny Maryi, przez co do szczytu go zrujnował.

W d. 17 września 1772 r. w *Padwie* piorun zupełnie uszkodził cztery oddzielne gmachy.

W pamiętnikach *Hanleya* czytamy, że w *Londynie* r. 1773 w grudniu jednego dnia, myłę się, w jednej prawie chwili, piorun uderzył w kościół *Śgo Michała*, w obelisk *St-George's-Fields* w *Bridewell*, w dom *Lambetha* i w dom blisko *Waux-hall*, oraz w mnóstwo innych miejsc odległych od siebie; nakoniec w holenderski okręt stojący na kotwicy na *Tamizie* obok *Tour*.

Jeden z uczonych niemieckich w r. 1783 wyrachował, że w przeciągu lat 33 piorun uderzył w 386 kościołów i dzwonnice, i zabił przy nich 121 osób; liczba pokaleczonych miała być daleko większa (1).

W grudniu 1806 r. w czasie burzy, piorun w *St-Martin* (*Vitré*), w *Erbré*, w *Croisilles*, w *Etreilles*, kościo-

(1) Cyfry te zapewne nie zadziwią jeśli dodamy, że w d. 11 czerwca 1775 r., kiedy uderzył piorun w dzwonnice we wsi *Aubigny* we Francji, zabił 3 ludzi dzwoniących i czworo dzieci siedzących pod dzwonnice.

ły i dzwonnice zniszczył do szczytu lub znacznie uszkodził.

W d. 11 lipca 1807 r. powtórnie piorun uderzył w kościół w *St-Martin*, a przed pięciu dniami w *Guerche*; nadto około tego miasta na milę w promieniu zrujnował 10 kościołów i wiele innych budowli.

W d. 11 stycznia 1815 r. w czasie burzy, która zajmowała przestrzeń rozciągającą się między morzem Północnym a prowincjami nadreńskimi, piorun zapalił, uszkodził lub zburzył 12 kościołów.

W r. 1417 w *Wenecyi* piorun zupełnie spalił drewnianą piramidę na wieży przy kościele *śgo Marka*, a w r. 1480 odbudowaną, powtórnie w popiół zamienił. W d. 23 kwietnia 1745 r. na téj samej wieży kopułę już wymurowaną meteor do szczytu zrujnował. Odbudowanie jęj kosztowało 8,000 dukati.

W d. 20 maja 1711 r. w *Bernie* jedno uderzenie piorunu zniszczyło główną wieżę i spustoszyło około nięj 9 domów.

W d. 27 lipca 1759 r. w *Strasburgu* piorun spalił całą ciesielską robotę na dachu starożytnęj katedry, a w miesiącu październiku zniszczył na nięj wysoką wieżę. Szkody ostatnią razą wynosiły 300,000 franków.

W dniu 7 lipca 1847 r. w Anglii w *Greenwich*, w skutek uderzenia piorunu splonęło trzynaście domów.

W tym samym miesiącu i roku, w *Stambule* piorun uderzył w wieżę meczetu *Bajazeta* i cały meczet w perzynę obrócił; pod gruzami jego dwóch ludzi znalazło śmierć. Jestto trzeci meczet, który piorun zniszczył tego samego roku, a nawet kilka publicznych gmachów; i tak: rezydencją sultana w *Tscheraghan*, koszary artyleryi w *Pera* i bramę *adryanopolską*. Te jedne po drugich

wypadki w krótkim czasie powtarzające się, wzniciły między pospólstwem muzułmanów straszną trwogę.

Mówiąc o szkodach, jakie pioruny zrzadzają w różnych budowlach, niepodobna pominąć tych klęsk, które bywają przy uderzeniu meteoru w magazyny prochu.

W d. 18 sierpnia 1769 r. w *Brescia* piorun spadł na wieżę *St-Nazare*, i z tamtąd dostał się do magazynu prochowego, w którym zapalił 2,076,000 funtów prochu. Wybuch niezmiernéj téj masy prochu, szóstą część gmachów wielkiego i pięknego miasta *Brescia* obrócił w perzynę, resztę zaś tak mocno wstrząsnął, iż zagrażały upadkiem. Osób zginęło 3,000. Wieża *St-Nazare* wyrzucona w powietrze, tworzyła, że tak powiem, deszcz spadających kamieni, a szczątki z niéj znajdowano w znacznej odległości. Szkody wynosiły na dwa miliony dukati.

W tymże roku piorun spadł na magazyn prochowy w *Malaga*, przez co budowa do szczętu została zniszczoną. Szczęściem, że przed tym wypadkiem wyniesiono znaczną część prochu do magazynu więcéj oddalonego od miasta; w przeciwnym razie, miasto uległoby podobnemu zniszczeniu, jak *Brescia*.

Dnia 4 maja 1750 r. piorun spadł na magazyn prochowy w *Tanger*. Wybuch prochu domy przyległe zupełnie zrujnował.

Dnia 6 czerwca 1807 r. piorun uderzył w prochownię w *Luxemburgu*. Proch zapalony wysadził w powietrze budowę, która w dawnych czasach zbudowaną była na skale przez Hiszpanów. Obejmowała ona w sobie 13,000 kilometrów prochu. Osób zginęło przeszło 30, a ciężko ranionych było przeszło 200; dolna

część miasta zamieniła się w kupę gruzów. Na miłe od miejsca gdzie była prochownia, znaleziono ogromne kamienie z murów jej rzucone.

Dnia 9 września r. 1808, piorun spadł na magazyn prochowy w *Wenecyi*. Wybuch prochu wyrzucił go pod obłoki, przytém zrujnował kaplicę, rozległy mur w kształcie półksiężyca i kanonierskie koszary.

Wszelako bywały przykłady, że piorun uderzywszy w budowę gdzie proch w znacznej massie znajdował się, wcale nie zapalił go.

D. 5 listopada 1755 r. w *Maromme* blisko *Rouen*, piorun uderzył w magazyn prochowy, rozłupał jedną belkę na dachu, a w magazynie zdruzgotał dwie beczki z prochem. W téj chwili było tam 800 beczek napęcznionych prochem.

D. 11 czerwca 1775 r. w *Wenecyi* o wschodzie słońca, piorun uderzył w wieżę *St-Second*, wpadł do magazynu, powrywał deski i tylko powywracał skrzynie z prochem (1).

W okrętach niemniej znaczną szkodę zrządza piorun. Podług wykazów statystycznych o marynarce francuskiej, angielskiej i holenderskiej, liczba okrętów zupełnie zniszczonych od piorunu, lub zrujnowanych, albo nareszcie uszkodzonych w samych tylko masztach, ogółem wynosi od roku 1675 do 1733 siedmdziesiąt dwa (2). Każdy zatém w przybliżeniu może ocenić, jak wielką

(1) W r. 1769 w *Niënburgu* nad *Wezerą*, kiedy piorun trafił w nabitą strzelbę, rura na wierzchu została cokolwiek stopiona, jako téż i zamek na dole; u spodu rury w skrytce, stopił pięć kul i mocno opalił płatek barchanowy, znajdujący się pod kulami; jednak pomimo tego wszystkiego w lufie nabój prochu nie wystrzelił. (*Mag. Warsz.* część III, r. 1784).

(2) Wszystkie te okręty wyszczególnione są w rozprawie p. *Arago*: O piorunach.

stratę ponosi marynarka w okrętach uderzonych piorunem. Wartość niektórych okrętów była szacowaną na *pół miliona* franków, a same maszty na 5 do 10,000 franków.

Rozmaite sposoby zabezpieczające od piorunu.

Przystępując do wyszczególnienia sposobów używanych celem zabezpieczenia się od piorunu, nastrecza się ważne pytanie: czy mamy opisać historycznie wszystkie dotąd znane środki ochraniające w czasie burzy od gromu, lub podać tylko te, które uważamy za skuteczne?... Zapatrując się z punktu teraźniejszego stanu nauki, wiele nam znanych sposobów okaże się bezzasadnymi, a nawet niedorzecznymi; ale czyż mamy prawo je odrzucać?.. Oceniając podobne środki, którzyż z uczonych ośmieli się wydać stanowczy wyrok?... Zboczenia umysłu ludzkiego na drodze badań, postępują razem z najważniejszymi odkryciami. Nieraz przenikliwy wzrok mędrca, w popiele przesądów, domysłów i wniosków, odkrył iskrę prawdy; nieraz bezowocne usiłowania marzyciela, doprowadziły innych do wielkich i niezbitych prawd. Używane sposoby przez lud, chociaż w oczach uczonego częstokroć uchodzą za dziwaczne, zwykle jednak bywają ugruntowane na wierze i ustnych podaniach, a doszedłszy do naszych czasów, przeszły już ciężką kolej doświadczeń! Wprawdzie między nimi są wcale nieuzasadnione, wszelako i te mogą nam wskazać, jeśli nie prostą drogę, to przynajmniej uboczną, może nawet krótszą, która prędzej doprowadzi do pożądanego celu.

Literatura grecku i łacińska, dała nam poznać wyobrażenia starożytnych ludów o piorunach; ale pod względem uchronienia się od nich, znajdujemy tylko dwie lub trzy wzmianki bardzo ogólowe i niedokładne.

Herodot w księdze IV § 94 przytacza, że *Trakowie* w czasie burzy mieli zwyczaj wypuszczać strzały ku niebu, dla zagrożenia błyskawicom i grzmotom: „Dla zagrożenia” mówi autor grecki. Potrzeba na ten wyraz zwrócić uwagę, albowiem w dalszym ciągu niema nigdzie wzmianki o własności, jaką mogłaby mieć strzała dla odjęcia obłokom jakichkolwiek cząstek materii piorunowej, tak z powodu metalu, jako téż i z przyczyny zaostrego jój końca. I dlatego *Dutens*, ów znamienity zwolennik aż do przesady starożytnych pamiątek, cofnął się przed porównaniem strzał *Traków* do tegoczesnych konduktorów, i nie odważył się utrzymywać, że wynalazek *Franklina* sięga czasów *Herodota* (1).

Pliniusz (księga II § 56) powiada, iż *Etruskowie* posiadali sposób ściągania piorunów z nieba, że kierowali nimi według upodobania; umieli nawet dokazać, że piorun zabił potwór zwany *Volta*, który pustoszył okolice *Volsinium*. Dalej mówi, iż *Numa* posiadał podobną tajemnicę, i że *Tullus Hostylius* niedokładnie zachowując przepisy swego poprzednika, został zabity od piorunu. Co zaś do sposobów odwracania burzy

(1) Mamyż wierzyć, że był medal wyobrażający *Jowisza elizejskiego*, unoszącego się na obłoku, i *Etruska* puszczającego w powietrze latawca?

Duchul kazał wyryć medal *Augusta*, na którym widziano świątynię *Junony* bogini powietrza; szczyt téj świątyni uzbrojony był stożkowatemi słupkami. Czy medal ten jest autentycznym?...

(*Laboissière, Acad. du Gard.*)

z grzmotami, *Pliniusz* wspomina, że takowe ograniczały się jedynie na ofiarach, modłach i t. p. (1).

Starożytni utrzymywali (*Pliniusz*, k. II § 56), że piorun nie przenika ziemi głębiej nad 5 stóp. Ztąd jaskinie zdawały się im zupełnie bezpiecznym schronieniem. „Kiedy *August* spodziewał się burzy, mówi *Swetoniusz*, zwykle chronił się w podziemne sklepienia.”

W tym względzie starożytni mylili się, bo rurki piorunowe czyli *fulgaryty*, o których już mówiliśmy, częstokroć zagłębiają się w ziemię do 10 metrów. Dotąd nie wiemy z pewnością, w jakiej głębokości można być zupełnie zabezpieczonym od piorunu spadającego, a tém bardziej wznoszącego się, to jest uderzającego z ziemi do góry.

Koempfer zapewnia, że cesarze japońscy chronili się od piorunu w jaskiniach, a pomimo głębokości tych pieczar ze sklepieniami kamiennymi, nie uważając się jeszcze dość zabezpieczonymi, kazali urządzać nad niemi rezerwoary napełnione wodą.

(1) W dziele wydaném w *Krakowie* r. 1693: *Skład albo skarbiec znakomitych sekretów ekonomicznych*, powiada *Hauer* z pewnym przekonaniem, że w tym domu, gdzie będzie zawieszona lwia skóra, krokodyla, delfina morskiego, konia morskiego, tam nigdy piorun nie uderzy. Nie dotyka się także liścia bobkowego lub drzewa figowego, jak niemniej strusich jaj, i dlatego potrzeba, mówi, wieszać takowe u stropu albo przy sklepieniach. Są także, dalej pisze, sposoby duchowne, służące dla katolików, jakoto: poświęcane gromnice, ziela, wianki i kadzidla, oraz krzyżyki *śgo Piotra* zakonu Dominikanów na ścianach zawieszane, i ewangelie *człórech ewangelistów*. Niestety! ileto autorowie, ogłaszając swe mylne opinie światu, choćby zgodne z duchem wieku w którym żyją, narażają się w potomności na pośmiewisko!!!.

Wszakże i takie zapobieganie nie jest dostatecznym, albowiem w rozległych nawet jeziorach lub rzekach, ryby mogą być także rażone piorunem. *Weichard Valvasor* (*Philosophical Transaction* T. 16) powiada, że w r. 1670 po uderzeniu gromu w jezioro *zirknickie*, a mianowicie w miejsce tak nazwane *leisze*, wypłynęło na powierzchnię wody takie mnóstwo ryb śniętych, iż tamtejsi mieszkańcy napełnili niemi 28 wozów.

W d. 29 września 1772 r. w *Besançon*, kiedy piorun spadł na rzekę *Doubs*, w téjże chwili ukazało się na powierzchni wody mnóstwo ryb odurzonych i płynących z wodą.

W starożytności powszechnie mniemano, że osoby w łóżku leżące, nie powinny obawiać się piorunu. Mniemanie to, chociaż jest dziwaczne, jednak ma dotąd swych zwolenników. *Howard* naprzykład przytacza w podobnym rodzaju przykłady, z pewnym przekonaniem. I tak:

W d. 3 lipca 1828 r. w *Bridham*, blisko *Chichester*, piorun spadł na dom i uderzył w drewniane łóżko, które do szczętu połamał, a śpiącego w niem wyrzucił z pościelą na ziemię bez żadnego szwanku.

W dniu 9 lipca 1828 r. w *Great-Houghton*, obok *Duncaster*, piorun spadłszy na dom, uderzył w łóżko na którym spała pani *Brook*, i zerwał z niej kołdrę wcale ją nie zraniwszy (1).

Zdarzają się jednak przypadki zupełnie przeciwne i niemniej prawdziwe.

Samuel Kirkshaw (*Phil. Trans.* T. 63) powiada: „W dniu 29 września 1772 r. w *Harrowgate*, pio-

(1) Mówiliśmy już, że piorun na balu lorda *Tylney* w Neapolu, osmalił służącemu włosy na głowie nie zraniwszy ciała.

run uderzył w dom i zabił śpiącego w łóżku *Tomasza Hearthley*, żonę zaś jego która spała obok niego, nawet nie przebudził; a jednak po tym wypadku czuła ona przez kilka dni ból w prawém ramieniu.”

W d. 27 września 1819 r. w *Confolens* (*Charente*), kiedy piorun uderzył w dom, zabił kobietę w łóżku i od szyi do prawej nogi wypalił smugę na ciele.

Rzymianie utrzymywali, że skóry z cieląt morskich, są bezpieczną ochroną od piorunu, i dlatego robiono z podobnych skór namioty, pod które bojaźliwi w czasie burzy chronili się. *Swetoniusz* mówi, iż *August* obawiając się piorunu, ciągle nosił na sobie skórę z morskiego cielęcia.

W *Cévennes* (okolice pirenejskie), gdzie przez długi czas istniały kolonie założone przez Rzymian, pasterze starannie zbierali skóry z wyleniących węzów, i temi owijali swe kapelusze. Dotąd nawet dla zabezpieczenia się od piorunu, istnieje ten zwyczaj (*Laboissière Acad. du Gard*). Według wszelkiego podobieństwa, skóry te w wyobraźni ludów, musiały mieć tę samą własność, co niegdyś bardzo drogie i rzadkie skóry z cieląt morskich.

W istocie dziwny jest wybór *Augusta* we względzie zabezpieczenia się od piorunu; dotąd ani z doświadczenia, ani teoretycznie nie przekonaliśmy się o uchronnej własności skóry z cielęcia morskiego. Wybór pewnego ubioru podczas burzy, nie sprzeciwia się tegoczesnym wyobrażeniom o materji piorunowej; moglibyśmy nawet wymienić mnóstwo przykładów w których zdaje się, że rodzaj tkaniny na sukni w chwili uderzenia piorunu, dla jednych był środkiem ochronnym, a dla drugich przyczyną śmierci.

W dniu klęski w *Châteaux-Neuf-les-Moutiers*, o której już mówiliśmy, z trzech księży stojących przy ołtarzu, dwóch było mocno zranionych, trzeci zaś nie doznał najmniejszego szwanku; on jeden miał na sobie jedwabne kościelne szaty.

We wrześniu 1774 r. w *Swanboraw* (Sussex) piorun zabił pstrokatego wołu, na którym dostrzeżono z zadziwieniem, iż gdzie tylko była sierść biała, meteor zupełnie ją zniszczył; przeciwnie, kasztanowata nie doznała żadnej widocznej zmiany. *James Lambert* właściciel zabitego bydłęcia mówił, że dwa lata przedtém, taki sam wypadek miał u niego miejsce.

We wrześniu 1775 r. w *Glynd* piorun zabił konia maści jabłkowatój, na którym właściciel jego dostrzegł, że sierść biała odstawała od skóry, kiedy ciemna zachowywała naturalne połączenie ze skórą.

Według doświadczeń o których niżej powiemy, fizycy przyznają, że woskowa kitajka, jedwab', wełna, są gorszemi przewodnikami materji piorunowój, anizeli płótno lniane lub konopne, albo wszelka inna tkanina z włókien roślinnych. Nie zgadzają się jednak w tém: czy w czasie burzy odzienie przemokłe bezpieczniejsze jest od suchego? *Nollet* lęka się ubioru przemokłego, ponieważ woda nadaje mu taką własność, jaką sama posiada, to jest własność przyciągającą piorun, przed innymi ciałami. *Franklin* przeciwnego jest zdania: ubiór przemokły, twierdzi on, przeprowadza materją piorunową do ziemi.

Swetoniusz powiada, że kiedy zanosilo się na burzę, *Tyberyusz* wkładał na skronie wieniec laurowy, wnosząc, iż piorun nigdy w laur nie uderza.

Przesąd, jakoby w niektóre drzewa piorun nigdy nie uderza, dotąd jeszcze jest upowszechniony.

Hugh Maxwell pisał w r. 1787 do akademii amerykańskiej, że opierając się na własnym doświadczeniu i na powziętych wiadomościach od wielu osób, wnosi, iż piorun najczęściej uderza w wiąz, kasztan, dąb i sosnę; przeciwnie, rzadko kiedy spada na jesion, a nigdy na buk, brzozę i klon.

Kapitan *Dibden* nie przypuszcza tak stanowczej różnicy. W liście pisanym r. 1764 do *Wilsona*, powiada, że będąc w lasach Wirginii r. 1763 widział, że sosny lubo znacznie wyższe od dębów, rzadziej jednak uderzane były od piorunu, jak te ostatnie. „Nie przypominam sobie, dodaje on, ażebym dostrzegł zdruzgotaną gromem sosnę tam, gdzie rosły dęby”. Następujące przykłady usuną wszelką wątpliwość:

Starożytni mniemali, że piorun nigdy nie uderza w laur; wszelako znajdujemy w przypiskach *Poinsinet de Sivry*, jednego z tłumaczy *Pliniusza*, że *Sennart*, *Vicomercatus*, *Filips-Jakób-Sachs* przytaczają mnóstwo przykładów, że piorun uderzał w laur.

Maxwell mieści buk w rzędzie drzew, które piorun oszczędza. Rozprawa *Hericart de Thury* naucza nas, że w r. 1836 w stary buk znajdujący się wśród odwiecznej puszczy *Villers-Cotterets*, uderzył piorun i prawie ze szczętem go zdruzgotał.

Podług wniosków opartych na teoryi, piorun nie powinienby uderzać w drzewa żywiczne; jednak *Maxwell*, jak już mówiliśmy, kładzie sosnę w rzędzie tych drzew, w które najczęściej grom uderza. Nareszcie *de Thury* w rozprawie swój wymienia gatunki drzew uderzonych

od piorunu, jakoto: sosnę, jodłę, czereśnię, akacją, wiąz, dąb i topolę.

Częstokroć ludzie zabijani są od piorunu na otwartém polu, ale większe jest jeszcze niebezpieczeństwo, jak dowodzą liczne przykłady, szukać przed burzą schronienia pod drzewem. Doktor *Winthorp* utrzymuje, że dla uniknięcia gromu, najlepiej jest stanąć w małej odległości od wielkich drzew, mogących mieć od 5 do 12 metrów wysokości. *Franklin* potwierdza to zdanie. *Henley*, który także uważa je za gruntowne, oraz oparte na teorii i doświadczeniu, nie ogranicza się na powyższej przestrodze; dodaje on, iż należy stanąć w odległości od pnia na 5 lub 6 metrów, tak, ażeby stanowisko zajęte, było za obrębem linii poprowadzonej prostopadle od najdłuższej gałęzi, rosnącej w kierunku poziomym lub ukośnym.

Wielu fizyków opierając się na pewnych dowodach, przypuszczają, że piorun pomija szkło, z czego możnaby wnosić, iż schronienie całkiem szklane, zapobiegałoby od uderzenia piorunu. Schronienia takowe zalecano, co mówię, robiono je nawet dla tych, którzy nadzwyczajnie obawiali się grzmotów. Trudno jednak uwierzyć, ażeby szkło było środkiem zupełnie zabezpieczającym od uderzenia piorunu. Na dowód czego, przytoczymy tu kilka przykładów:

W d. 15 czerwca 1776 r. w okolicy *Ceneda*, piorun uderzył w pałac *Minuzzi* i wybił w oknach przeszło 800 szyb.

W *East-Bourne* r. 1780 piorun uderzył w dom; w skutek tego *James Adair* chociaż stał przy oknie opatrzoném szybami, rzucony jednak był gwałtownie o zie-

mię, a dwóch jego służących padło trupem; szyby zaś w oknach zamieniły się w pył. Ramy zostały wcale nietknięte.

Ściśle biorąc rzeczy, mógłby kto wnosić, że potłuczenie szyb na drobne cząstki, pochodzi od wstrząśnienia powietrza w skutek silnego huku gromu; przejdźmy zatem do zdarzeń mniej wątpliwych.

W d. 17 września 1772 r. w *Padwie*, piorun uderzył w dom na *Prato della Valle* i zrobił w szybie otwór, który zupełnie był okrągły.

W r. 1778, po uderzeniu piorunu w dom inżyniera *Casselli* w *Alexandryi*, spostrzeżono w szybach okien dziurki zupełnie okrągłe, bez popekania szkła.

We wrześniu 1824 r. w *Milton of Comage* piorun uderzył w dom *Williamy Bremmer*, zrobił w szybie otwór wielkości kuli karabinowej; szkło wcale nie było pęknięte.

Otwory okrągłe w szkłe bez pęknięcia szyby, nie mogą pochodzić od wstrząśnienia powietrza; są one raczej działane przez niezmiernie szybko przebiegającą materią piorunową. Nakoniec podobne otwory dowodzą, że szkło nie jest, jak wielu dotąd mniemało, nieprzebytą zaporą piorunu.

Tysiączne przykłady dowiodły, że piorun nigdy nie uderza w człowieka, nie dotknąwszy przedewszystkiém części metalicznych jego ubioru. Ztąd wypada wnosić, że podobne części muszą koniecznie zwiększać niebezpieczeństwo. Rozumié się, niebezpieczeństwo to jeszcze bardziej zagraża, jeżeli massa metaliczna przy ubiorze będzie znaczniejszą; na dowód czego przytoczymy tu zdarzenie, które miało miejsce w *Biberac*.

W dniu 21 czerwca 1819 r., kiedy piorun uderzył w dom więzienny i wpadł do sali wielkiej, wpośród 20 więźni, zabił tylko przywódcę zbójców, który był okuty w kajdany i skazany za wyrokiem na śmierć.

Trudniej usprawiedliwić wpływ piorunu na bardzo drobne cząstki metaliczne, wchodzące zazwyczaj w skład naszego ubioru; chyba, że uznamy za fakt nieomyślny ciekawe zjawisko, dostrzeżone w *Bréven* podczas burzy w r. 1767 przez *Saussur'a* i jego towarzyszy podróży.

Kiedy ci podróżni podnosili ręce z wyciągniętym wskazującym palcem, uczuli pewien rodzaj kłócia. „*Jalabert*, powiada *Saussur*, który miał u kapelusza złoty galon, wyraźnie słyszał około swój głowy przerażający brzęk; widzieliśmy przytém, jak z guzika przy galonie i ze skówki u laski, którą mieliśmy z sobą, wytryskały drobne iskierki (1).

Gdyby burza mocniejszą była, bez wątpienia galon złoty i guzik, stałyby się przy okolicznościach, jakie widzieliśmy w *Bréven*, powodem do uderzenia piorunu; a *Jalabert* byłby prędzej rażony, nizeli jego towarzysze, których kapelusze nie zdołał ani galon złoty, ani guziki.

(1) „Wiedziałem oddawna, są słowa p. *Arago*, z rozmaitych dostrzeżeń, że atmosfera kiedy mocno przesycona jest materją piorunową, w chwili gęsto spadającego śniegu, staje się nie do uwierzenia dźwięczną; ażeby wzniecié tony muzyczne, dosyć jest poruszyć szybko palcami. Ilekroć razy mówiłem o płomykach (*St-Elme*) ukazujących się w czasie burzy, nie miałem odwagi wspomnieć o szczególnych własnościach akustycznych, które jak mówiono, miały być skutkiem wyżej opisanego usposobienia powietrza. Przypisek *Brevstera* w *Encyklopedyi*, lubo niezupełnie usunął moją wątpliwość, jednak osłabił ją nieco, i ta jest właśnie przyczyna, że zwracam się do tego przedmiotu”. „*Panowie Tupper* i *Lanfer*, powiada znakomity fizyk edymburski, przy zejściu s *Étay*, niedaleko hotelu zwanego *Domem Anglików*, za-

Spodziewam się, iż następujący wypadek podany w r. 1794 przez *Constantini*, doprowadzi nas na téj drodze prościej do celu.

Pewna pani w czasie burzy podniosła rękę, ażeby zamknąć okno; wtém piorun uderzył w złotą bransoletkę, którą miała na rękę. Bransoletka zupełnie znikła, a właścicielka jéj tylko lekko została skaleczoną.

W *Rendsburgu* podczas nawałnicy, stanął oficer pod filarem bramy, nad którą w górze wmurowano dla ozdoby żelazną bombę. Wtém piorun uderzył i obalił go razem z sierżantem przy nim stojącym, ogłuszył obudwóch i na dwa kroki od muru odrzucił. W kwadrans, gdy przyszli do siebie, nie mogli nic mówić. Galony złote u munduru oficera po większej części zczerniały, złoto i srebro miejscami stopiło się, jako téż i guziki. W zegarku oficera nie można było dostrzedz żadnej szkody; ale od tego czasu szedł tak nieregularnie, iż nie można było temu zaradzić żadnym sposobem, aż nareszcie gdy wyjęto z niego perpendykuł, pokazało się, iż stał się zupełnie magnetycznym. (*Mag. Warsz.* z r. 1784, część III).

Bridon, znakomity podróżny opisał wypadek, jaki spotkał znajomą mu panią *Douglas*. W chwili kiedy

skoczeni byli nawałnicą śniegu, wpośród której uderzały gwałtowne pioruny. Za każdym podniesieniem ręki z wyprostowanym palcem, słyszeli jakby zwyczajny świst; poruszając zaś szybko palcami w rozmaitych kierunkach, powstawały różnorodne tony muzyczne, tak głośne, iż można je było słyszeć w oddaleniu na 40 stóp. „Wiém, dalej mówi p. *Arago*, że teoria akustyki stawia wielkie trudności w wyjaśnieniu podobnego fenomenu. Ażeby zgodne były tony muzyczne, powinny być pewne i regularne odstępy między spadającymi płatkami śniegu... Ale czyż daleko zajdziemy zaprzeczając wszystkie zjawiska, które nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć?...”

wyglądała przez okno podczas burzy, piorun zamienił w popiół kapelusz na jej głowie; ale tylko kapelusz. Według *Bridona*, meteor przyciągnięty był cienkim drutem otaczającym rondo kapelusza; radzi więc, ażeby kobiety unikały używania drutów w ubiorach; równie przeciwny jest upowszechnionemu zwyczajowi zdobienia i spinania włosów spinkami, lub złotymi i srebrnymi splotami (1). Nareszcie widać z obawy, by rady jego nie były odrzucone, zaleca kobietom nosić w czasie burzy, przynajmniej cienki i długi łańcuszek lub drucik, uciepiony do części metalicznych kapelusza, a wówczas materia piorunowa, zamiast przebiegać przez głowę i członki, spłynie do ziemi po łańcuszku albo druciku.

Słowem, zawsze jest lepiej podczas burzy nie mieć przy sobie żadnego metalu. Ale z drugiej strony, czyż warto myśleć, że pieniądze, kolczyki, zegarek, łańcuszki, igły i druty używane i noszone, mogą zwiększyć niebezpieczeństwo stania się ofiarą od piorunu? Pytanie to nie ulega ogólnemu rozbiorowi; każdy może zastosować się do rad podanych przez *Bridona*, o ile wzbudzają w nim obawę grzmoty i pioruny.

Kiedy piorun spada na ludzi albo w zwierzęta stojące lub idące rzędem, natenczas skutki są najszkodliwsze.

Wniosek ten zdaje się wypływać z wypadków, które poniżej przytoczymy. Łatwo pojąć, iż będziemy roztrząsać tu proste zadanie naukowe; przyczém, chociaż wskażemy stanowisko w chwili uderzenia piorunu mniej nie-

(1) *Kundman* powiada, że piorun pewnej panience stopił spilkę miedzianą we włosach. wcale ją nie zraniwszy.

bezpieczne, nie mamy jednak zamiaru radzić obierania go, celem uchronienia się od gromu; albowiem zmniejszając w podobny sposób swoje własne niebezpieczeństwo, naraża się przez to na nie drugich.

W d. 2 sierpnia 1808 r., w wiosce *Knouau* w Szwajcaryi, piorun uderzył w dom, w którym pięcioro dzieci siedziało rzędem na ławce; pierwsze z tych i ostatnie z rzędu padły bez życia, troje zaś środkowych, doznały tylko gwałtownego wstrząśnienia.

W d. 2 sierpnia 1785 r., w *Rambouillet* piorun uderzył w stajnię, gdzie rzędem stało 32 koni; pierwszy z brzegu padł nieżywy, a ostatni z rzędu został mocno pokaleczony. Środkowych 30 grom tylko powalił na ziemię.

W *Flavigny* (Côte - d'Or) piorun spadł na stajnię, w której z pięciu koni stojących rzędem, dwa pierwsze i dwa ostatnie zostały zabite od gromu, a środkowy ocalał; jak utrzymywali obecni temu zdarzeniu, dlatego, że był ślepy.

Przed kilkunastu laty, około miasta *Franche - Comté* (we Francyi), na czystém polu piorun uderzył w szereg pięciu koni; pierwszego i ostatniego zabił, a środkowe trzy nie były nawet zranione.

Za pierwszój rzeczypospolitój francuzkiej w roku IX, w *Praville*, blisko *Chartres*, piorun do szczętu spalił wiatrak. W chwili uderzenia meteoru, młynarz prowadząc konia i muła obciążonych zbożem, szedł między niemi we środku; zwierzęta padły nieżywe, a młynarz postradał tylko kapelusz, trochę włosów i cokolwiek został ogłuszony od silnego huk.

Opierając się na licznych przykładach, możnaby wnieść, że podczas burzy ludzie mniej są narażeni na ude-

rzenie piorunu, aniżeli zwierzęta obok nich znajdujące się. Na poparcie tego wniosku, przytoczymy kilka przykładów:

W d. 12 kwietnia 1781 r., *Aussac*, *Gauntran* i *Lavallong* byli rażeni piorunem blisko *Castres*. Trzy konie na których ci panowie jechali, padły na miejscu; jeden tylko *Aussac* został zabity.

W czerwcu 1826 r., obok *Worcester* piorun zabił zrebę; dziecka zaś które je prowadziło, nawet nie zranił.

W czerwcu 1810 r., kiedy piorun wpadł do mieszkania w którym obok p. *Cowens* leżał pies, zwierzę zostało zabite na miejscu; *Cowens* zaledwie uczuł lekkie wstrząśnienie.

W d. 11 lipca 1819 r. piorun zabił, jak mówiliśmy, dziewięć osób w kościele w *Chateaux-Neuf-les-Moutiers*. Obok tak wielkiego nieszczęścia, wszystkie psy które podówczas znajdowały się wewnątrz kościoła, zostały zabite. Zwierzęta te znaleziono nieżywe w tém samym położeniu, w jakim były przed uderzeniem gromu.

Wiadomo jest, że gdy piorun napotka w swym biegu pręt metaliczny, zrząda szkody tylko przy wejściu i wyjściu z niego; ztąd można wnosić, że tak samo dzieje się z ciałami innéj własności. Ale czy reguła ta może być rozciągniętą do zdarzeń, gdzie są znaczne przerwy? Czy 32 konie postawione w przedziałach jakie są zazwyczaj w stajniach, mogą być uważane w tym względzie za jedną masę nieprzerwaną, mającą początek i koniec? Trudno rozstrzygnąć owo zadanie... Jakąż więc inną położymy zasadę, ażeby wytłumaczyć ciekawe to zjawisko, któremu poświęciliśmy ten rozdział?...

Franklin wydał przepisy dla osób obawiających się piorunu, a mieszkających w domach nieopatrzonych konduktorami.

Zaleca on nie zbliżać się do komina. W rzeczy samej piorun częstokroć wpada kominem, ponieważ sadze mają taką samą własność przyciągania meteoru, jak i metale. Zaleca także oddalać się od zwierciadeł, jako polewanych metalem; niemniej od ozdób pozłacanych. Najlepiej stawać na środku pokoju, wszelako wtenczas, kiedy nie jest u sufitu zawieszony żyrandol lub lampa. Im dalej znajdujemy się od muru lub ziemi, tém bezpieczniejsi jesteśmy od piorunu. Dobrze mieć łóżko wiszące w środku pokoju na sznurach jedwabnych; w niedostatku takowego, nieźle jest położyć się lub usiąść na przedmiocie, który z trudnością przypuszcza materią piorunową; naprzykład można postawić krzesło na szkle, smole lub materacach.

Ostrożności dopiero wskazane, wprowadzie są środkami zapobiegającymi, jednak niezupełnie zabezpieczającymi. Mielśmy przykłady w których szkło, smoła, i grube materace przypuszczały materią piorunową; przytém nie ulega wątpliwości, że jeśli piorun wokoło pokoju nie znajdzie metalicznych części, a do tego jeszcze nieprzerwanych, któreby mogły mu nadać kierunek: natenczas może rzucić się z punktu wejścia na punkt przeciwległy, i trafić w swym biegu na osobę będącą na środku pokoju, chociażby w łóżku zawieszonym na jedwabnych sznurach.

Niektórzy meteorologowie, a mianowicie *Balitoro*, upewniają, że piorun nigdy nie uderza w stronę północną budowli. Według niego, obawiać się potrzeba piorunu nadewszystko od strony południowo-wschodniej.

Mniemanie to we Włoszech tak dalece jest upowszechnione, iż wiele osób podczas burzy chroni się do komnat położonych na północ. Jeżeli to prawda, zapewne okoliczność ta pochodzi z przyczyny, iż we Włoszech i Francyi zwykle w czasie nawałnicy wieje wiatr południowy. Obłoki posuwające się od południa, a przytém mocno przejęte materyą piorunową, jeśli wyładowują się, dają pierwszeństwo téj stronie budowli, ponad którą przebiegają. Nareszcie naturaliści dowiedli, że słupy zorzy północnej w nachyleniu swém, układają się równolegle do igły magnesowej; dlaczegoby zaprzeczano możności powszechnego kierunku pocisków piorunowych?

Podług *Nolleta*, przy jednakowych warunkach, szczyty wież pokryte łupkiem, łatwiej przyciągają piorun, aniżeli wieże budowane z kamienia ciosowego.

Nie potrzeba szukać przyczyny podobnego zjawiska we własności łupku lub kamienia ciosowego, ponieważ prędzej znajdziemy ją w wilgoci, którą nasiąkają w czasie deszczu łaty pokryte łupkiem, oraz w mnóstwie ćwieków użytych do przymocowywania na dachu tafel łupkowych.

Im większa jest ilość massy będącej dobrym przewodnikiem materyi piorunowej, tém większe jest niebezpieczeństwo w czasie burzy znajdować się blisko niej. Ponieważ człowiek w stanie żyjącym jest dobrym przewodnikiem piorunu, a więc czyż można odrzucać zdanie wielu fizyków (*Nolleta* naprzykład), że niebezpieczeństwo stania się ofiarą od meteoru, powiększa się w miarę wzrastającej liczby osób?

Liczny zbiór ludzi lub zwierząt, może w czasie burzy zwiększyć niebezpieczeństwo. Transpiracya ich zwilża

pewną przestrzeń otaczającej atmosfery; a wiadomo, że powietrze wilgotne daleko lepszym jest przewodnikiem meteoru, niż powietrze suche. Nie należy więc dziwić się, że piorun często uderza w stada owiec i od razu zabija po kilkadziesiąt sztuk.

W Ameryce powszechnie utrzymują, że stodoły (*barns*) napelnione zbożem lub paszą, częściej bywają uderzane od piorunu, niż inne zabudowania.

Wypadek ten przypisać można wznoszącemu się strumieniowi wilgotnego powietrza, którego źródło nietrudno wyśledzić, mając na względzie, że częstokroć składają zbiory do stodoł, nim takowe zupełnie wyschną.

Czasem wśród liczego towarzystwa, zabija piorun tylko jedną osobę. Stanowczęj przyczyny podobnego działania meteoru wyjaśnić niepodobna, jeżeli takowa nie znajdowała się w ubiorze rażonej osoby, to jest, jeśli osoba ta nie miała przy sobie metalicznych części więcej od innych, lub jeśli przedmioty otaczające nie stały się powodem wziętego przez meteor kierunku. W takim razie, przedmiot przyciągający piorun mógł być ukrytym; albowiem żelazo znajdujące się wewnątrz muru, taki sam wywiiera skutek, jak gdyby odkryte było.

Rzadko się zdarza, ażeby warunki stanowisk zajętych przez osoby rażone i ocalone, były jednakowe. W podobnych okolicznościach, ofiara piorunu mogła być więcej zbliżona do wody lub metali ukrytych, czyto pod posadzką, czy też za futrynami; a nawet w łonie ziemi, chociaż trudno było tego dostrzedz.

Zdaje się, że tą drogą ciężko dojsć do rozpoznania szczególnych usposobień téj lub owéj osoby we względzie przyciągania piorunu.

Wątpliwość ta może być wyjaśnioną za pomocą doświadczeń, które będą poniżej roztrząsane; poprzestaniemy tu tylko na przyznaniu, iż rzeczywiście istnieje różnica w usposobieniu ludzi; to jest: że w czasie burzy w dwóch miejscach zupełnie podobnych do siebie, jedna osoba z natury budowy swego ciała, może być więcej narażona na niebezpieczeństwo od drugiej.

Materya wytryskająca w iskierkach z konduktora maszyny elektrycznej, jest materyą piorunową, a zatem tak, jak i materya piorunowa, nie osłabiając się przebiega wszelkie masy metalów, wód i t. p.; z łatwością także przebiega szereg ludzi trzymających się za ręce i tworzących łańcuch. Są wszakże osoby, które nagle wstrzymują komunikacją, nie uczuwszy najmniejszego wstrząśnienia, wówczas nawet, kiedy zajmują środkowe miejsce w szeregu; podobne osoby nie są przewodnikami materyi piorunowej, należy je zatem policzyć do rzędu ciał zwanych złemi przewodnikami, które piorun ochrania, lub rzadko kiedy w nie uderza.

Różnica ta nie może istnieć bez pewnych odcieni. Im osoba lepszym jest przewodnikiem, tém większe jest podczas burzy dla niej niebezpieczeństwo. Ten człowiek, który jest tak dobrym przewodnikiem jak metal, mógłby być równie często uderzanym od piorunu jak i metal; ten zaś człowiek, który przerywa komunikacją w szeregu, nie jest więcej od szkła lub żywicy narażony na uderzenie gromu. Między temi ostatecznościami, znajdują się jeszcze osoby, w które piorun uderzyłby zarówno, jak w drzewo, kamień i t. p. Takim więc sposobem, kierunek materyi piorunowej niezawsze zależy od stanowiska zajmowanego przez indywiduum; budowa bowiem fizyczna jego, ma także w tém pewny swój udział.

Czy niebezpiecznie jest biedz podczas burzy?

Powszechnie utrzymują, że w czasie burzy niebezpiecznie jest biedz pieszo lub konno, nawet przestrzegają, ażeby nie iść przeciw wiatru i przeciw posuwającym się chmurom. Dwa te warunki gruntownie zbadane, doprowadzą nas do wniosku, że potrzeba unikać cugu powietrza.

Czy prąd powietrza rzeczywiście przyciąga piorun i nadaje mu kierunek? W braku stanowczych dowodów, powołują się na zwyczaj zamykania drzwi i okien, kiedy zanosz się na burzę; zwyczaj, jak mówią, oparty na doświadczeniu. Utrzymują, że wszystkie ludy, nawet starożytne, nie zachowywałyby tego zwyczaju, jeśliby nie przynosił żadnego pożytku. Rozumując w podobny sposób, niema przesądu, któryby nie dał się usprawiedliwić.

Zwykle w czasie burzy dęszcz pada i dmie wiatr, a zatém zwyczaj zamykania drzwi i okien, mógł łatwo powstać z potrzeby uchronienia się od wiatru i dęszczu; lecz z drugiej strony wiadomo nam, iż w niektórych krajach zwyczaj ten pochodzi z przesądów. W *Estlandyi* naprzykład, na *Ukrainie*, *Podolu*, *Wołyniu*, obawa ażeby *zły duch* ścigany od Boga piorunem nie wpadł do mieszkania, powoduje lud zabobonny do zamykania w chwili grzmotów najmniejszych otworów (1) (*Salverte, Des sciences occultes*). Czyliż nie jest godném uwagi, że wyobrażenia religijne spowodowały żydów w niektórych krajach czynić zupełnie przeciwnie, jak postę-

(1) Sam byłem świadkiem, jak w czasie burzy mieszkańcy *ukraińscy* i *podolscy*, kropią mieszkania święconą wodą. „dla wypłoszenia, jak mówią, djabła”.

pują ludy, o których dopiero mówiliśmy?. „Jeśli ukaza się błyskawice, powiada ksiądz *Dechman*, natychmiast otwierają żydzi drzwi i okna, ażeby *Messyas*, którego przyjdzie na poprzedzić burza, mógł wejść swobodnie do obranego przez siebie mieszkania”... Zresztą zbadajmy ten przedmiot, o ile nam stan dzisiejszej nauki dozwala.

Atmosfera stawia pewien opór przebiegowi materji piorunowej; podobnym więc jest do prawdy, że opór ten zmniejsza się stosownie do podwyższającej się temperatury i powiększającej się wilgoci, tak samo, kiedy zmniejsza się ciśnienie barometryczne. Wszystko zatem eo tylko zmniejsza gęstość powietrza w pewnym miejscu, ułatwia tym sposobem przebieg materji piorunowej; a więc człowiek biegnący podczas ciszy, zostawia za sobą przestwór czyli rozrzedzone powietrze. Przestwór ten niezawodnie będzie miejscem, w które piorun uderzy. Przytoczymy tu szczegóły podane przez admirała *Roussin*, chociażby je uważano za mniej sprzyjające przypuszczeniom, o których dopiero mówiliśmy.

Fregata *Junona* odbywając podróż do Indyj, dnia 18 kwietnia 1830 r. została napadniętą przez gwałtowną burzę w znacznej odległości od wysp *Kanaryjskich*, w czasie której pomimo konduktora piorun spadł na pokład.

Wypadek ten nie był wątpliwym, gdyż zaraz po wybuchu, rozszedł się po całym okręcie mocny wyziew siarczany, oraz widziano płomień spadający z łańcucha, służącego za przewodnik od konduktora. Płomień ten ukazawszy się między bocianiem gniazdem wielkiego masztu, a siatką poręczową, przebiegł na lewy bok okrę-

tu, gdzie wpadł do morza, gdy tymczasem koniec łańcucha zanurzony był w wodzie od prawego boku okrętu.

Po tém zdarzeniu przekonano się, że łańcuch z drutów miedzianych skręcony jak lina, mający średnicy jeden centymetr, nie był wcale zerwanym; jedynie został stopiony koniec konduktora na szczycie wielkiego masztu, który miał związek z pomienionym łańcuchem.

Bieg piorunu w linii ukośnej, poprowadzonej od konduktora do lewego boku okrętu, poznaliśmy we wszystkich szczegółach; pozostaje nam tylko wyjaśnić jego przyczynę. Pierwsza okoliczność, która przychodzi na myśl, daje poznać, że łańcuch był za cienki; nadto, czy nie możnaby przypuścić, a to dla dodania większej mocy zarzutowi, że w chwili uderzenia piorunu, koniec łańcucha nie był zanurzony w wodzie? Koniec ten zwykle przytwierdza się do łaty z blachy miedzianej, przybitej do dwóch lub trzech pierwszych podwodnych opasek okrętowego zrębu. Owa łata była przy prawym boku okrętu, w który jak widać z opisu, dął bardzo silny wiatr; można więc wnosić, że okręt chwilowo nachylony silnym wiatrem na lewy bok, odkrył łatę do której przytwierdzony był dolny koniec łańcucha. Szkoda, że nie wiadomo, o ile był podniesiony prawy bok okrętu, co właśnie zmniejsza wartość powyższego wniosku.

Obecni na pokładzie *Junony* byli tego przekonania, że piorun opuścił konduktor w skutek gwałtownego wiatru. Nie śmiemy twierdzenie to zalecać, lecz z drugiej strony, nie śmiemy je także uznać za zupełnie fałszywe. Z podwietrznej strony łańcucha, lin, masztów i t. d., powinno było zmniejszyć się atmosferyczne ciśnienie, czyli innemi słowy: w skutek zjawiska dobrze hydraulikom znanego, powinno się było utworzyć łącze-

nie się pobocznych ruchów, to jest pewien rodzaj próżni. A więc w ogólności zaprzeczać wpływu zmniejszonego ciśnienia na kierunek piorunu, byłoby wcale nielogicznie; tém bardziej w obec dostrzeżeń fizycznych, które wyjaśnimy, kiedy będziemy porównywać zjawiska elektryczności sztucznej ze zjawiskami piorunów.

Przejrzeliśmy rozmaite fakta, na których można ugruntować przestrożę, ażeby nie biedz w czasie grzmotu. Teraz wolno się zapytać, czy podczas burzy jest jakkolwiek korzyść pozostać w miejscu lub iść powolnie, i czy korzyść ta, dostatecznie wynagrodzi za przyjemność z przemoknięcia do nitki wśród ulewnego deszczu?...

Czy niebezpiecznie jest znajdować się wpośród chmur piorunowych?

Dotąd jeszcze skład obłoków nie jest tak dokładnie poznany, ażeby podług zasad teoretycznych można ocenić niebezpieczeństwo, jakiegoby doświadczano za zbliżeniem się do ogniska burzy. Pod tym względem powszechna opinia zdaje się prędzej pochodzić z natchnienia, jak z doświadczeń.

„Czarne obłoki nawet zdaleka rozsiewają zniszczenie, pożar i śmierć; a więc jak przerażające muszą być ich ciosy zblizka!” Takie mniemanie w ogólności panuje. *Volta* sam nie miał innego przekonania, albowiem w pamiętnikach swych o tworzeniu się gradu, uważał przebycie przez chmurę piorunową za niesłychane zachwalstwo. Jakkolwiekby, powyższe zadanie zasługuje na rozbiór.

Zachodzi najprzód pytanie: czy który z meteorologów mógł mieć nadzieję, wcześniej lub później zbadać pio-

run w krainie jego początku? Przymót dobrze byłoby ocenić, według istnej wartości niebezpieczeństwo, na które wiele osób bywa wystawionych na wysokich górach, gdzie burze tworzą się z nadzwyczajną szybkością, tak, że podróżni nie są w stanie uniknąć takowych. Co do nas, ograniczamy się na wyśledzeniu: czy znajdował się kto w czasie burzy wpośród chmury piorunowej, nie zostawszy ofiarą meteoru? W podobnych poszukiwaniach niemasz innego sposobu, jak tylko opierać się na dostrzeżeniach jasnych, wyraźnych i niewątpliwych. Wszystkie te przymioty, znajdujemy w opisie księdza *Richarda* autora *Historji o powietrzu i meteorach*.

W roku 1750 w końcu sierpnia, fizyk ten wjeżdżał powozem na niezbyt wysoką górę *Boyer*, rozciągającą się niedaleko od *Senecey*, między *Châlons-sur-Saône* a *Tournus*. W większej połowie téj góry zatrzymała się chmura piorunowa, w której po pewnych przerwach huczały grzmoty. Wkrótce ksiądz *Richard* dosięgnął ją, a odtąd huk grzmotów nie zdawał się być nagle i z wielkim trzaskiem przerywany, lecz podobny był do głosu toczącej się wielkiej ilości orzechów po tarcicy. Na wierzchołku góry podróżny znajdował się już wyżej chmury piorunowej, z której powtórnie dały się słyszeć potężne uderzenia grzmotów, połączonych z iskrzącymi błyskawicami.

Drugi przykład, nie jest wcale podany przez fizyka, co może będzie nawet korzystniejszej; przymót szczegóły są proste i nieliczne, a nadewszystko podane przez osobę, której wcale nie szło o zjednanie dla swego systemu zwolenników. Piszemy tu słowa siostry p. *Arago*: „Kilka lat temu, wyjechałam rano z dwiema moimi przyjaciółkami z wioski *Estagel* do *Limoux*. Ujechały-

śmy już znaczną część drogi krętą i przykrą w wąwozie *St. Louis*; nagle dolina pokryła się chmurami, z których ukazywały się jasne błyskawice i dawały się słyszeć silne grzmoty. Towarzyski moje i ja pragnęliśmy wrócić, ale woźnica był zdania przeciwnego. Byliśmy przejęte wielkim strachem: zamknęliśmy oczy ażeby nie widzieć błyskawic, i zakryliśmy uszy ażeby nie słyszeć grzmotów, i tak jechałyśmy dalej przez ćwierć godziny. Nareszcie woźnica oznajmił z wielką dla nas radością, że całe niebezpieczeństwo już przeminęło. W istocie chmury były niżej nas; błyskało w nich jeszcze i silnie grzmiało, lecz nasza niespokojność ustała, bo nad nami jaśniało pogodne niebo i piękne słońce.”

Peytier i *Hossard* francuzcy oficerowie, będąc w *Pyreneach*, także nieraz znajdowali się w ognisku chmur piorunowych podczas wielkich burz.

Na cyplu *d'Anie* o 2504 metry wyżej nad poziom morza; d. 15 czerwca 1825 r. i 20, 24 i 25 lipca 1827 r.

Dnia 15 czerwca burza trwała 6 godzin; włosy na głowie podróżnych najeżyły się, przytém słyszeli wyraźny świst około kończyn swych członków.

Na cyplu *Lestibète* o 1851 metrów także nad poziom morza; d. 4, 5 i 6 lipca 1826 r.

W czasie burzy d. 13 lipca, padał grad w kształcie gwiazdek, trzymających średnicy 3 centymetry.

Na górze *Troumouse*, wzniesionej nad poziom morza na 3806 metrów; d. 9 i 13 sierpnia 1826 r.

D. 9 burza trwała przez 24 godzin, grad padał z deszczem, grzmoty powtarzały się dość często; namiot pomimo tego, że był z płótna żaglowego, złożonego we troje, czasem ukazywał się jakby w płomieniach; na bronni nabitą *Hossarda*, postawionej dla ostrożności za na-

miotem, dostrzeżono nazajutrz w końcu lufy ślady stopienia. Mieszkańcy w dolinach z wioski *Heas*, widząc na górach burzę, która zdawała się im nadzwyczajnie gwałtowną, nie spodziewali się widzieć już więcej żyjących dwóch oficerów i ich przewodników.

U podnóża cypla *Baletous*, wzniesionego na 3146 metrów wyżej nad poziom morza; d. 25, 30 i 31 sierpnia 1826 r.

Dnia 31 sierpnia deszcz, grad, śnieg, błyskawice nadzwyczaj iskrzące połączone z grzmotami, przytém piorun uderzył w pardwę zawieszoną u końca długiego kija na szpagacie. Koniec tego kija został poczerwiony, a pierze na pardwie meteor wyskubał od głowy do ogona. Mieszkańcom z wioski *Arrens*, położonej w dolinach, zdawała się burza tak wielką, iż stracili nadzieję oglądać przy życiu podróżnych schodzących z cypla *Baletous*.

Dostrzeżenie bardzo ważne pod tym względem opisuje *Johanes Tobias Volkmar* w swój podróży do *Riesenberg*, bardzo wysokich gór między Szląskiem a Czechami. Kiedy mówi o piorunie, który uderzył w kaplicę stojącą na wyniosłej górze *Schneekoppe*, dodaje: „Pioruny uderzające na podobnej wysokości, są osobliwością; po większej części wypadają one z chmur, rozciągających się bez porównania niżej wierzchołka *Schneekoppe*. Jestto nader przyjemny widok stać na górze wśród pogodnego nieba i patrzeć na chmury bujające w dolinach, i widzieć uderzające z nich gromy na dół i do góry. Jednego razu znajdowałem się na *Riesenkoppe*, około południa w dzień bardzo ciepły i pogodny; ujrzałem z memi towarzyszami podróży, podnoszącą się z dołu mgłę i zgęszczającą się, która wszystko na dole zasłoniła i utworzyła chmury

coraz bliżej ku nam posuwające się, które nareszcie zupełnie nas otoczyły. Byliśmy więc w chmurach, jak wpośród nocnych ciemności. Przesuwały się one z wiatrem i szumem, który dla nas podobnym był do gwałtownego wiatru, a w uszach ludzi będących na dole, do straszliwych grzmotów. Lubo za każdym błysnieniem znajdowaliśmy się w samym, że tak powiem ogniu, przecież nie czyniło nam to najmniejszej przykrości (1). Chmury te nareszcie zatrzymawszy się nieco około nas, nagle zniżyły się ku ziemi. Nasze suknie jeszcze na drugi dzień było czuć nieznośnie siarką. (*Mag. Warsz. z r. 1784*).

*Czy można być rażonym od piorunu, nie widząc
wprzód światła?*

Wątpię, czyby który z fizyków na kilkanaście lat przedtém, odważył się publicznie ogłosić podobne zapytanie. Dawniej uczeni utrzymywali, że od światła nie przebiega szybciej. Dokładnie oznaczona szybkość światła, wynosząca na sekundę mil 80, zdawała się być dosyć zadziwiającą i cudowną; wszelako doświadczenia *Wheatstona* zmieniły powszechne mniemanie naturalistów. W rzeczy samej doświadczenia jego, nie powiem odkryły, ale przynajmniej podały możność przewidzieć jeszcze większą szybkość niż światła, szybkość materji (elektryczności), której tożsamość z materją piorunową,

(1) Gazety angielskie niedawnemi czasy, bo w roku 1848 piisały o dziwném uderzeniu piorunu. Wieśniak w czasie silnej burzy, szedł na targ z *Toddington*, wtém piorun uderzył prosto nad jego głowę, poczem czując ból lekki w głowie, dalej postępował spokojnie; jednak wkrótce poczuł zapach spalenizny, a kiedy zdjął czapkę z głowy, spostrzegł, że paliła się płomieniem.

wskazują liczne porównania. Powątpiewanie wyrażone na wstępie tego rozdziału, zasługuje na zgłębienie teoretyczne. Obok tego sędzę, że zadanie to dotyka także w kilku punktach i fizyologią. Nareszcie wiele osób bojaźliwych oswobodzi się zapewne od wielkiej trwogi, która ich przejmuje w czasie burzy, jeśli będzie udowodnioném, iż ta osoba, która ujrzała błyskawicę, nie ma potrzeby lękać się piorunu.

Dzierżawca w *Cornouailles*, *Tomasz Olivey*, którego w dniu 20 grudnia r. 1752 przerażające uderzenie piorunu rzuciło bez przytomności o ziemię, tak mało słyszał huk, tak mało widział światło błyskawicy z której meteor wypadł, że kiedy po upływie kwadransu przyszedł do siebie, pierwsza myśl jego była zapytać się: kto go uderzył.

Blizko *Bitsche* d. 11 czerwca 1752 r. człowiek został rażony od piorunu. Gdy po długim omdleniu przyszedł do siebie, ksiądz *Chappe* zapytał go, czy nie doznał jakiego wrażenia. Odpowiedź jego ograniczała się na tém: nic nie słyszał, nic nie widział!

Ksiądz *Antoni Willams* rektor w *Saint-Kevern* (*Cornouailles*), d. 18 lutego 1770 r. był dotknięty tym samym gromem, który spustoszył kościół. Kiedy przyszedł do siebie po długim omdleniu, oświadczył, że nie widział błyskawicy i nie słyszał gromu.

Jerzy Bratbury ogrodnik, który przeżył swego towarzysza wspólnie z nim rażonego piorunem i rzuconego bez przytomności o ziemię w domu wiejskim obok *Manchester*, zapytany przez *Howarda*, jakiego doznał wrażenia w chwili niespodziewanego wypadku? człowiek ten oświadczył stanowczo: że nie słyszał grzmotu i nie widział błyskawicy.

Dnia 11 lipca 1819 r. piorun spadł na kościół w *Château-Neuf-les-Moutiers*, w okręgu *Dign*, w departamencie niższych Alp, i zabił 9 osób a 42 zranił. Proboszcz należał do rzędu zranionych. Podniesiono go prawie nieżywego, a komiza na nim cała była w ogniu. Kiedy po wypadku we dwie godziny wrócił do przytomności, powiedział, że nic nie słyszał i nie wie co się stało.

Pan *Rockwell* rażony piorunem w sierpniu 1821 r., nie widział wcale błyskawicy i nie słyszał grzmotu.

W czerwcu 1829 r. na szczycie wieży w *Salisbury*, rzemieślnik *H. N. Reeves* padł bez zmysłów w skutek gwałtownego uderzenia piorunu. Gdy go ocucono po długim omdleniu, oznajmił, że nie widział wcale błyskawicy w chwili wypadku.

(Dalszy ciąg nastąpi).



EMERYT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Dramat i powieść sąto jedyne rodzaje poezyi, które czas, zmiana wyobrażeń o literaturze i stanie społeczności, a szczególnież powódź dziennikarstwa od zagłady ocaliły. Wszystkie inne rodzaje zaginęły nazawsze, a z nimi i formy tak rozmaite, niekiedy tak miłe i wdzięczne przypadły i powrócić już nie mogą. Życie dziś uchodzi tak prędko, tyle w niém porusza się kwestyj, że to, co najmocniej interesuje społeczność, nie mieści się już w owych kształtach udatnych, ale w drobnych lub wyszukanych; nie cierpi zwłoki omówień, figur i rymowania, ale musi być zamknięte w obrazach branych wprost z życia, mieć inne rozmiary, więcej wmieszczające ramy, i wyrażać się językiem tegoż życia, poprostu, jędrnie, jak mówi każdy człowiek, który się spieszy, którego czas rozliczony i zajęcie silne i stanowcze.

Coraz bardziej społeczność dzisiejsza zrywa z historją. Czyto lepiej dla niej, czy gorzej? inne to wcale i nie-

należące tu pytanie; wszakże fakt to oczywisty, który się i w literaturze odbija. Ztąd dramat i powieść obrabiają dziś prawie wyłącznie przedmioty współczesne, aby z nich lepiej i wydatniej wyszły na jaw te myśli i uczucia, które są codziennym pokarmem naszego ducha, które on łakomie chwyta, żuje i przeżuwa, bo ich jeszcze nie przetrawił i w krew krwi swojej nie przelał.

Rzeczy historyczne, jako przedmioty poezyi, są już za późne, lub jeszcze zawczesne. W tym tylko razie interesują one dzisiejszą społeczność, jeżeli ta, przebiwszy starodawną łupinę, może się dostać do świeżego i dzisiejszego ziarna, a zatem, gdy przeszłość jest niejako pokrywką teraźniejszości, i zamyka wyraźne i widne do chwili obecnej zastosowanie. Dla téjto przyczyny dramata i powieści historyczne tak rzadko się ukazują i tak źle się udają. Nie pochodzi to z braku talentu pisarzy, lub niedostatku w nich koniecznych do tego wiadomości, bo są tacy, którym i na tém nie zbywa; ale ztąd, że obecne życie nasze jest tak wyłącznym, tak ruchliwym, że owa *Magistra vitae* przestała być, nie wiadomo na jak długo, naszą nauczycielką, że trudno w niej wynaleźć skazówki, któreby mierzyły nasze gorączkowe pulsacye, trudno odkryć położenia i obrazy, któreby nas tak mocno zajmowały, jak nas zajmuje i pochłania to, co się dziś w nas i wokoło nas dzieje.

Jeżeli taki stan rzeczy jest z jednej strony niby ograniczeniem pola, na którym poezya niegdyś kwiaty swoje zrywała, z drugiej strony daje daleko poważniejsze stanowisko pisarzom, mającym dość siły i widoków do schwycenia najbardziej ożywczych momentów obecnego życia, dość talentu i imaginacyi do wystawienia ich w dramacie i powieści sposobem pociągającym i żywym.

Dlatego ci pisarze są dziś, że tak powiem, jedynymi reprezentantami tak zwanąj pięknej literatury, mając możność skoncentrowania w swoich płodach tego wszystkiego, co się dawniej w tragediach, komedjach, satyrach, bajkach i t. d. rozpraszało; mogąc złościć obrazami imaginacyi, zaprawiać interesem niezmiennych uczuć serca ludzkiego poważne, żywotne, choć może przemijające kwestye, mogąc nareszcie uderzać satyrą i śmiesznością wszystkie te szumowiny, które w dzisiejszém wrzeniu społeczności wyszły na wierzch, i jeszcze z łona jój występują.

Stan taki rzeczy nie przeszkadza wcale malowaniu indywidualuów i rozmaitych klass, do których one należą. Owszem, wprowadza na scenę nieznanę dotąd lub okrywane pogardą typy, i obrazem ich pozwala zajmować lub śmieszyć. A gdy gościnniejszemi się stały w dramacie i powieści uprzywilejowane niegdyś i panujące tam figury, dopuszczając do swojej kompanii i tych, koło których radzi nie radzi i w życiu ociérać się muszą; gdy dziś wszyscy wszystkich pilniej postrzegają i lepiej pojmują. dlatego każdy dla każdego stał się bardziej zajmującym przedmiotem.

Chociaż dramat i powieść owładnąwszy, całą dziedziną poczyti, dotąd jeszcze przyjazne podają sobie dłonie, gdyż czerpiąc z jednegoż źródła, co do treści i wrażeń jakię czynią, są jedném i témże samém; zdaje się wszakże/że powieść, nieznaną prawie w starożytności, długo poniewierana, jako najpośledniejszy z rodzajów, przeszedłszy pod piórem Waltera-Skota najwyższą fazę historyczną, do jakiej się już nie podniesie, zamknie w sobie z czasem wszystkie elementa poezyi, i nawet dramat zagłuszy i wyruguje. Ten wzrost, to rozszerzenie da jój forma pełna swobody, elastyczna i wszystko w sobie

wmieszczająca. Dramat zmuszony rozwijać się w oczach widzów, pozbawiony pomocy opowiadania, licząc tylko na terazniejszą chwilę i posuwając swoją treść jedynie przez rozmowę, porusza się w takiej ciasnocie, tak związany jest niedoskonałym mechanizmem sceny i jednostajnymi postaciami aktorów, że nie będzie mógł wyrazić tego wszystkiego, co wyraża i ogarnia powieść. Ustąpi więc miejsca swojej młodziej towarzysze, pełnej życia, pełnej sił, swobodnej w swoich ruchach, i ani miejscem, ani czasem nieskrępowanej. Przewaga ta powieści nad dramatem już się nawet zaczęła i szybko postępuje. Ztąd wszystkie prawie teatra europejskie przestają coraz bardziej być pokarmem dla myśli i uczucia, wyrzekają się coraz dobrowolniej wymownego i poważnego słowa, zamieniając się na miejsce zabawy dla oka i ucha — czemu też wkrótce zapewne wyłącznie poświęcone zostaną.

Taką jest rola, jaką grać będzie w literaturze ten rodzaj, którym się także i my zajmujemy, i który zapewne sam jeden przeznaczony kwitnąć na polu poezji. Zastanowi to może niejednego z czytelników, dlaczego pozwoliliśmy sobie tych kilku uwag, śmiało wywracających dawniejszą poetykę, nawet naszą własną, a nade wszystko przerywających bez widocznej konieczności ciąg naszego opowiadania. Na to odpowiadamy, że nas głównie do tego skłoniły ubliżające cokolwiek zajęciu naszemu rozmowy jednego z owych gieniuszów, jakich tu mamy, co sami nic wprawdzie nie piszą, ale jak wulkany, pełne wewnętrznego ognia, ciągle tylko dymią, grożąc wybuchem, który ma nas kiedyś oświecić. Nim to nastąpi, chcieliśmy tymczasem dać poznać, że się mylą, i również są niesprawiedliwi i ci, co przez dawniejsze

szkiełka patrząc na bieg rzeczy i nie umiejąc postawić się na nowém stanowisku, na którém wszystko stanęło, także lekce sobie ważą ten rodzaj poezyi, i nie mają za poetów tych, co mu się poświęcili; chcieliśmy ośmielić tych, co nie mogąc zdać sobie sprawy, dlaczego im się podoba powieść, którzy wstydzą się, że ją czytają z upodobaniem i czytają tylko ukradkiem, aby sobie pozwolili jawnie téj niewinnéj uciechy, w którój i ich rozum i głębsze zastanowienie znajdzie często pożywny pokarm; nakoniec chcieliśmy uprzedzić tych, którzy nic nie czytają, odkładając zajęcie się literaturą do tego czasu, aż się zjawią ważniejsze niby utwory poetyczne pod dawniejszemi ich formami, że oczekiwanie ich próżne, gdyż to nie nastąpi wcale, lub przyjdzie do nas w jakichś apokaliptycznych ciemnościach, których nikt nie zrozumie, a które będą znakiem końca wszelkiéj literatury.

Takie mieliśmy powody do téj, że ją tak nazwiemy międzymowy, którą nam czytelnicy wybaczą, jeżeli nie przez wzgląd na dobre nasze chęci, to przynajmniej przez ten wzgląd, żeśmy ich dotąd żadną jeszcze przedmową nie nudzili.

A teraz wracamy na Żytną ulicę, jak to na końcu poprzedzającego rozdziału zapowiedzianém było.

W téj części pierwszego pokoju p. Cypryana Ambrożyńskiego, która reprezentowała pokój bawialny, niedaleko od kanapy, przy oknie wychodzącém na dziedziniec, stał stolik, na którym znajdowały się książki do pierwiastkowego wychowania należące, a między niemi Kurs Pedagogiki, Grammatyka łacińska, Eutropiusz, Korneliusz Nepos, i początkowa geografia. Było tam także dużo sexternów ze wzorów kaligraficznych spisanych, rysowane od ręki karty Europy i innych części świata;

przyciem kałamarzyk mały z koreczkiem na łańcuszku, cyrkiel, linia i t.d. Wszystkoto leżało w porządku i okazywało, że właściciel tych przyborów szkolnych lubił ochędóztwo, był akuratywny i pilny.

Przy tym stoliku, który zdawał się należeć do jakiegoś ucznia klasy, co najwięcej drugiej, a zatem do chłopczyka z czerwonym kołnierzem u surduta, z rumianą i figlarną twarzą, z nożykiem w brudnej ręce, którymby krajał stół, lub psuł ołówek; siedział młody człowiek słuszny, pleczysty, z długimi jasnymi włosami, i oparłszy głowę na dłoń jednej ręki, drugą na leżącym przed nim arkuszu pisał dość zgrabnie i prędko: panna Katarzyna, Katarzyna, Kasia i t. p., powtarzając ten wyraz ustawicznie bez przecinka i przerwy przez wszystkie zmiany zdrobnienia i pieszczoty, dodając tylko do niego rozmaite przymiotniki, które malowały, jak piękną ta panna Katarzyna była w jego oczach i jak drogą jego sercu. Gdy tak zapisał cały prawie półarkusz, położył pióro, wziął się za głowę obiema rękami, i westchnąwszy głęboko, zawołał: A! niechże cię wszyscy.... Ale nie dokończył tego wykrzyknienia, które widać zwyczajnie jego wychowaniu, wyrwało mu się bez myśli, jako wspomnienie dawne i nałogowe; owszem, zaczerwienił się zawstydzony, że i tyle wymówił, oderzwał zapisany półarkusz od reszty czystego papieru, złożył go i schował. Potem obejrzawszy się na zegar, na którym dochodziła dziesiąta, wziął się do książki i zaczął pilnie powtarzać zadaną sobie lekcją.

Łatwo się każdy domyśli, że to był Marcinek z Siechurskiej Woli, którego już dobrze znamy. Nie chcieliśmy nudzić czytelników naszych szczegółami jego pier-

wszycy postępów i przekształcenia się; ale po ośmiomiesięcznej przerwie stawimy go przed ich oczy takim, jakim go wrodzone zdolności, niezmordowana gorliwość naszego emeryta, a nadewszystko miłość, która się w sercu jego dla pięknej heroiny naszej zajęła, uczyniły.

Marcin Wiedzki niepodobnym był już wcale do tego gburą i nieuka, jakim się z wujaszkiem swoim w Warszawie pokazał. Oczarowany wdziękami p. Katarzyny, ujęty potem jej dobrocią, gdy wyręczając ojca w drobniactwach takiego piérwiastkowego nauczycielstwa, przesłuchiwała go w czytaniu, uczyła temperować pióra, liniować sexterna i sama je po większej części liniowała; przejęty podziwieniem dla jej układu i obojętności się równie z sobą, jak i ze wszystkimi; nie mogąc się odsłuchać, gdy mówiła i delikatnych jej wyrażen i cudnej modulacji jej głosu; słowem, podziwiając każdy jej krok, każde ruszenie, poznał prędko całą swoją niższość, zawstydzil się jej, zrobił się bojaźliwym i nieśmiałym i postanowił koniecznie być takim, jak inni młodzi ludzie, których na ulicach Warszawy widział, którzy nie tak jak on wyglądali i mówili. Pracował więc dzień i noc, aby jak najwięcej postąpić. Po kilkanaście stronnic czytał głośno i póty, póki nie szło gładko i bez zająknienia; po parę arkuszy i więcej zapisywał co dzień w domu, oprócz tego, co miał napisać na lekcji. Ta praca szczególniej tém miłszą mu była, że piérwszy wiérsz, zwłaszcza na początkowych sexternach, miał sobie napisany ręką p. Katarzyny. Nieraz, gdy już sam był wprawniejszym, gdy oko jego przywykło uznawać co foremne a co niekształtne, wpatrywał się ze łzami w oczach w ten piérwszy wiérsz tak piękny, z takim pokojem i pewno-

ścią nakreślony, i siedział przy stoliku do dnia prawie, aby kopia nie była zbyt daleką od wzoru.

Nie obeszło się z początku bez wyrwania się z jakim ruchem rubasznym, z jakim słowem, zdradzającym dawniejsze nałogi i przywyknienia; ale gdy p. Cypryan, postrzegłszy dobrą chęć chłopaka, zajął się odrazu nie tylko jego instrukcją, ale i edukacją, gdy każde jego prostackie wyrażenie zgał i z łagodnością i pobłażaniem nauczył go, jak się to samo mówi sposobem delikatniejszym i okazującym dobre wychowanie; gdy często przy tych rozmowach obecną była i p. Katarzyna, i może mimowolnym nieraz uśmiechem zdawała się jakby szydzić z jego nieuctwa i nieobyczajności: wówczas wstyd oblewał twarz jego, ból jakiś niewypowiedziany napełniał serce, i postanowienie przerodzenia się, przekształcenia na człowieka, który byłby jej godnym, wrazało się głęboko w jego umysł, odejmowało mu sen i apetyt, podwajało nieśmiałość i pracowitość.

W takich zakątkach jak Siechurska Wola, jest wiele wad obyczajowych, ponizających niejako naturę ludzką. Niewiedomość, prostactwo, a nadewszystko pijatyku kazi szczególnież mieszkańców tych szlacheckich wiosek. Zawziętość, kłótnie sąsiedzkie rozwiązują ich usta, i wówczas lecą jak grad klątwy i wymówki, łajania i wymyślenia, bez hamulca i wyboru. W stosunkach kobiet i mężczyzn niema także tego oglądzenia, które podnosi ich powab, i równa niejako słabego z mocnym. Młodzież zwłaszcza, niezajęta całkiem kieliszkiem i pracą, jest względem kobiet swawolna; pozwala sobie żarcików i nawet ruchów niebardzo grzecznych i czasem obrażających. Ztąd i miłość rzadko się tam zjawia z oczarowaniem serca i głowy, z przepelnieniem duszy namię-

tnością gwałtowną i wyłączną. Ale téż w ogólności niéma tam i téj rozpusty enerwującej młodzież miejską, ponizającej ją moralnie, osuszającej wszystkie źródła, z kąd wypływa prawdziwa szczęśliwość, wysokie i pełne poświęcenia uniesienie.

Lubił i Marcin Wiedzki swawolę i sprzeciwiania się pięknościom Siechurskiej Woli, lubił pozartować z dziewczyną, uściskać ją, gdy mu się nawinęła, w tańcu i grach być faworytem i pożądanym od wszystkich bohaterem; ale w myśli jego nie tkwiły wcale brudzące ją obrazy, ale serce jego nie miało najmniejszego udziału w tych zabawkach, które niekiedy dochodziły trochę zadaleko, nie zostawiając jednak żadnego po sobie śladu, w mgnieniu oka zapomnialy się i nikły. Nowém więc było, pełném energii i siły i jego ciało i jego serce. A gdy go uderzyła zblizka piękność, jakiej jeszcze nie widział; gdy postrzegł ten odskok nadzwyczajny, jaki oddziela kobietę wykształconą od mężczyzny; gdy porównał wdzięk, słodycz, miękkość jakąś i czystość téj, z którą prawie po całych dniach się znajdował, z grubém, parobkowatém i małowóżnym od męzkiego ułożenia, ułożeniem i ruchami dawnych swoich towarzyszek: przejął się jakimś pobożnym uwielbieniem, rozbudził się z całą siłą dziewiczego serca i ciała, i korzył się w duszy przed tą postacią, co nim owładnęła, co ani w dzień ani w nocy, ani w czuwaniu ani w snach z myśli jego nie ustępowała wcale.

Przy takich okolicznościach nie dziw, że postępy jego były szybkie, nadzwyczajne i przekształcenie się we wszystkiém oczywiste. Nawet wyraz twarzy jego zmienił się zupełnie. A gdy p. Marek postrzegł, że prędkiej niż się spodziewał będzie mógł ułożony względem nie-

go plan doprowadzić do końca, i dawszy mu kawałek chleba, zaspokoić niejako swoje sumienie; gdy dla zachęcenia go, kazał mu z przechodzonych cokolwiek swoich sukien zrobić porządniejszą garderobę, dał swój kapelusz, którego na dęszcz używał i przybrukane cokolwiek darował rękawiczki: Marcinek wcale przystojnie wyglądał i coraz dorzeczniejszym i podobniejszym do wykształconego młodzieńca stawał się chłopakiem.

P. Cypryan pysznił się owocami swojej pracy, i nieraz przechodząc myślą najpilniejszych uczniów swoich od 1811 roku, których nazwiska zapamiętał, porównywał ich postępy z jego zadziwiającemi postępami. Jakoż już po kilku miesiącach Marcin Wiedzki czytał bardzo dobrze; pisał zgrabnie i prędko, choć jeszcze trochę krzywo, zwłaszcza gdy pisał bez linii, z arytmetyki już i regułę trzech pojmował, a podział wszystkich części świata, stolice państw, i granice wszystkich krajów europejskich tak znał doskonale, że nawet kartę Niemiec mógł spamiętać i bez myślenia narysować ołówkiem ze wszystkimi szczegółami. Sposobiąc się na nauczyciela, najwięcej wszakże przykładał się do pedagogiki, nad którą po parę godzin na dzień trawili. Posłużyła ona rzeczywiście do rozwinięcia umysłu i do ukształcenia młodego człowieka, gdyż stary i doświadczony pedagog nie uczył jęj z książki, ale rozmową, praktycznie, zastanawiając uwagę jego nad sposobami, jakimi sam z nim postępował, mówiąc mu o rozmaitych usposobieniach dzieci, jakie sam widział, wskazując drogi, jakimi zawsze trafiał do ich głowy i serca. Przy tych lekcjach bywała najczęściej i p. Katarzyna; a jęj czarowna obecność, jęj wzrok nieraz zwrócony na słuchającego młodzieńca, nietylko że mu nie przyczyniały roztargnienia,

ale owszem podwajały jego pojętność, mnożyły siłę jego ducha, który jak kwiat przy ożywym promieniu rozwijał się i dojrzewał. Bo właściwie miłość, miłość głęboka i tajona była jego nauczycielką, jego natchmieniem, jego światłem, i tworzyła w nim te wszystkie raptowne przemiany, te cuda rozwinięcia, które p. Cypryan w prostocie ducha sobie tylko przypisywał, którymi się cieszył, za które go już po upływie kilku miesięcy jak własnego syna pokochał. Przywiązanie to zacnego człowieka doszło prawie do słabości i zaślepienia, gdy oprócz zwyczajnych przedmiotów, dla początkowego nauczyciela potrzebnych, ochoczy młodzieniec wziął się jeszcze do łaciny i otworzył staremu pole do nowych pedagogicznych wawrzynów, którymi tak chętnie czoło swe ozdabiał. Powodem do tej nowej pracy, bez której mógł się obejść, było Marcinowi to, że język ten i p. Katarzynie nie był obcy, i że miał sposobność częściej ją prosić, aby go przesłuchała deklinacyj i koniugacyj, aby mu pomogła w tłumaczeniu Eutropiusza, aby patrzył na nią, gdy ślicznymi ustami wymawiała łacińskie wyrazy, i poił się muzyką jej głosu, który mu się nigdy piękniejszym nie wydawał i milój do ucha jego nie wpadał, jak wtenczas, gdy mówiła: *amarem, amares, amaret*.

P. Katarzyna lubiła go przez wdzięczność, że tyle pociechy przynosił jej ojcu, że zajęcie to dawało zdrowie staremu i nowym życiem go napępniało. Interesował ją także tak nagły postęp młodzieńca, taka zmiana i codzienne przeradzanie się z nieokrzesanego i gburowatego prostaka, na człowieka, który poczuwał w sobie myśl, którego dusza zaczynała pojmować piękność i przyzwoitość, którego oczy otwierały się na świat Boży i rozumieć zaczynały przeznaczenie bytu ziemskiego. Ale

ciesząc się tą bryłą, która przerabiała się pod jój okiem na ładny i pełen wyrazu posąg, nie wiedziała o tém, nie domyślała się nawet, że ona jest tym snycerzem, który ją ożywił i kształcił. Jój myśl była gdzieindziej, a przywiązanie jój do p. Romana było tak szczére, tak serdeczne, że jój wystarczało na czas jego nieobecności i jakby zapomnienia, i nie zostawiało chwili do zajęcia się innym przedmiotem, ani swobody do jakiegobądź chęci kokieteryi i przypodobania się. Prztém młody nasz kandydat do stanu nauczycielskiego, im bardziej się nią zajmował, im głębiej jój obraz wrażał w rozbudzającą się swą duszę, tém bojaźliwszym, tém skromniejszym się stawał. Cała jego namiętność leżała w głębi piersi, ale ani do ócz, a témbardziej na usta wystąpić nie śmiała. Upokarzające uczucie niższości więziło ją na dnie serca. Czuł on, jak bardzo jest jój niegodnym, czuł że nie potrafi wyrazić tego co czuje, i wolał tać i zamykać w sobie tę cześć, niż ją okazać sposobem jakimśiś koślawym i zrobić maleńkiem i drobném to, co w nim było wielkiem i nieskończoném.

Takim trybem na Żytnój ulicy przeminęło lato, skończyła się jesień i zaczęła się zima. Marcin przychodził co dzień o godzinie dziewiętej i siadał przy stoliku, który mu p. Cypryan przyrządził. Gdy zastawał w pokoju p. Katarzynę kończącą sprzątanie, klaniał się zdaleka, mówił dobry dzień, i stawał ze spuszczonei oczami przyrządzając sobie to książki, to papier, póki nie wyszła. Dopiero wtenczas odetchnął z głębi piersi, podnosił głowę i wpatrywał się w to miejsce, na którém ją zastał, jakby ją tam widział jeszcze, i śmielęj śledził jój wdzięczną postać i lice, o którém całą noc marzył. Na obiad wracał do p. Marka; po obiedzie znowu przybiegał.

Gdy przyszła jesień, czas słotny i zimny, p. Cypryan zostawiał go u siebie na obiedzie i nie pozwalał, aby ulubiony uczeń tak daleko chodził po błocie i niepogodzie. P. Marek domyślił się, iż mu nie wypada żądać, żeby biędny emeryt wychowawca jego darmo karmił w nagrodę niby za to dobrodziejstwo, że mu nastreczył daremne jego uczenie. Zdecydował się więc płacić za jego obiad; a gdy Marcin ze łzami w oczach uprosił starego, że przyjął ofiarowaną za jego wyżywienie płacę, zostawał już cały dzień u swego nauczyciela, szczęśliwy, że mógł być tak długo pod tym dachem, gdzie gospodynią była p. Katarzyna, gdzie siadał do stołu przez nią przygotowanego, karmił się potrawami, które ona przyrządzała, i delektował się kąskami, które nieraz wybierała dla niego i sama na taléż mu kładła. Potrzebował wielkiej siły energiczny młodzieniec, aby w takim razie ukryć co czuł, aby zamknąć w sobie tę szczęśliwość, co piersi jego zalewała i powstrzymał łzy, które się do ocz jego cisnęły. A przecież Kasia robiła to przez prostą jedynie przychylność, przez zwykłą u nas uprzejmość dobrej gospodyni, wreszcie przez miłość dla ojca, którego to widocznie radowało, gdy o ulubionym uczniu jego pamiętała. Czasem wprawdzie myślała sobie, jakby była szczęśliwą, gdyby mogła przy stole swoim mieć gościa, dla którego przyrządzałaby różne przysmaczki; ale ten gość inaczéj wyglądał niż biędny i rozkochany Marcinek. Czarne oczy tamtego śmielój i miłośniéj na nią poglądały, w układzie jego był wdzięk i łatwość dobrego wychowania, w głosie słodycz i harmonia, która miała echo w jéj sercu, a pod czarnemi wążami usta piękne, których uśmiéch rozumny świadczył o jego dobroci i otwartości charakteru. Ale tamte-

go nie było, i kilka upłynęło miesięcy, a żadna o nim wzmianka nie pocieszyła stęsknionój. Nawet Helunię odwiedzała bardzo rzadko, gdyż i do niój p. Roman nie pisywał.

Raz wszakże ożyło w jój sercu wspomnienie tych kilku dni, które jój tak rozkosznie z nim przeszły. W czasie świąt Bożego Narodzenia odwiedziła p. Katarzyna dawną swą ochmistrzynią. Helunia wybiegła do niój uradowana, rzuciła się jój na szyję, i zaczęła ją żywiój pieścić i karesować. Gdy się obie usunęły na stronę, szepnęła jój dziewczynka z jakimś figlarnym domysłem:

— Ciociu Kasiu! mam list od wujcia. Ale co tam wujcio pisze! obaczysz. — Zadrzało serce w piersiach p. Katarzyny, rumieniec oblał jój lice, z którego znikły już dawno żywe barwy szczęścia i pokoju, a Helunia patrząc na nią, jeszcze raz ją pocałowała i pociągnęła za sobą.

List ów datowany był z Kijowa, gdzie p. Roman dla interesów bawił. Zawierał on następujące wyrazy: „Dawno do ciebie nie pisałem moja droga Heluniu! tak byłem zajęty i zakłopotany. Wiém jednak żeś zdrowa, i że z ciebie na pensyi kontenci. Pewnieś podrosła przez te kilka miesięcy i sukienka ta, którąm ci kupił wtenczas, gdyśmy już do pani S* jechali, musi być krótka i ciasna. Możesz ją zszarzała i podarła. To źle moja droga Heluniu! powinnaś cenić ten podarunek odemnie, a zwłaszcza dlatego, że ja nigdy w życiu szczęśliwszym nie byłem, jak wtenczas, kiedym ci go robił. Jak wrócę do Warszawy, pojedziemy znowu do tego magazynu i wybierzesz sobie co ci się podoba. Radbym żeby to już nastąpiło

jak najprędzej, bo mię tu nudzą niemiłosiernie, a jabym pragnął jak zbawienia obaczyć jak najprędzej Warszawę i ciebie moja Heluniu uściskać! Tymczasem pamiętaj, abyś w tym nowym roku, który następuje, była jeszcze grzeczniejsza i zasłużyła na wszystkie siurpryzy, które ci zrobić myślę, jak tylko przyjadę”.

— Otóż widzisz, ciociu Kasiu!—zawołała dziewczynka, biorąc z drżących rąk p. Katarzyny swój list — widzisz, co tu ślicznych obietnic! Żeby tylko wujcio jak najprędzej przyjechał. Mama moja zawsze chora, nie może wyjeżdżać z domu, a nikt więcj tak mnie nie kocha, jak wujcio. Co ja od niego paradnych rzeczy dostanę! a!... Ale nieprawdaż ciociu Kasiu! i ty pójdziesz z nami do tego magazynu; bez ciebie wujcio nie potrafi dobrze wybrać.

Na to nic nie odpowiedziała p. Katarzyna. Utuliła tylko w objęciu dziewczynkę, i zapłonione swe lice odwracając od jój ciekawych oczu, pożegnała ją i poszła. Zimno było przykre, śnieg zasypywał jój oczy i padał na jój twarz, ale ona tego nie czuła; bo twarz jój rozjaśniała się słodkimi nadziejami i miłe wyrażała rojenia. Myślała sobie biedna panienska, że p. Roman widocznie pamiętał o niój; że Helunia musiała mu jaką wzmiankę zrobić o swojej cioci Kasi, i dlatego on przeczuwając, że jój dziewczynka list swój pokaże, taki mu dał obrót. Dlaczegożby inaczej pisał, że nigdy w życiu tak szczęśliwym nie był, jak wtenczas, gdy byli razem w magazynie? dlaczegożby jój pisał, że tak tęskni za Warszawą? że się gotuje nowe robić jój siurpryzy? Wszystko to dowodziło, że ani oddalenie, ani milczenie nie zmieniło go i nie wygładziło z jego serca jój obrazu, że zażem może czekać, cicho tęsknić i wiernie kochać.

Drobnato wprawdzie była radość, która spotkała heroinę naszą przy końcu starego roku, ale dała jój wróżbę, że nowy będzie szczęśliwszym, że co się w tamtym zaczęło i zawiązało, to się w tym dokończy, a przynajmniej rozstrzygnie, aby szczęście lub rezygnacya zastąpiły już miejsce oczekiwania i tak wątplych nadziei. W takich myślach, w takich prośbach do Boga i przy paciérzu i w kościele, doszła do połowy lutego.

W tym czasie nawiedziły biędną troski wcale inne; i właśnię gdy jój nie stawało cierpliwości do zniesienia serdecznego bólu, co ją trawił, zagroziło jój nieszczęście wielkie, prawdziwe, przy którém jój dawniejsze cierpicnia wydały się częmsiś tak nieznaczacém, tak mało godném uwagi, że je można było do przywidzeń i dobrowlnego trapienia się policzyć.

Jednego poranku, gdy weszła do piérwszego pokoju, usłyszała w drugim jęk bolesny i jakieś szamotanie się, któręgo sobie wytłumaczyć nie mogła. Przestraszona wpadła do pokoju ojca i zastała go na zicmi. Był niezmiernie blady, oczy miał zapadłe i zamknięte, a rękę bezsilną przysuwał do siebie krzesło, aby się na niém oprzcć i powstać. Krzyknęła biędna córka, rzuciła się do pomocy, i przyklęknąwszy przy zesłabłym starcu, głowę jego podnieść usiłowała.

Wówczas otworzył oczy, spojrział na miłą sobie twarz jedyneę dziecka, i łzy potoczyły się po jego twarzy.

— Co ci jest, ojczę drogi? — zawołała p. Katarzyna.

— Nie wiem moje dziećię — odpowiedział słabym głosem — ale bardzo mi niedobrze.

— O mój Boże! żeby cię położyć na łóžku.— Chciała go podnieść sama, ale nie mogła; więc pędem strzały wybiegła do kuchni, ale sługi już nie było, już poszła

do miasta; rzuciła się zatem do sąsiadki, której nie znała, tylko z widzenia; tam przecież znalazła pomoc. Dobra kobieta przybiegła natychmiast, przesłała łożko, położyły na niem starego i odcierać i ogrzewać zaczęły.

— Biegnij panna po doktora, a ja tu zostanę — rzekła sąsiadka. Kasia pocałowała ją w rękę, zarzuciła na siebie co miała pod ręką i pobiegła. Tymczasem śnieg sypał grubemi płatami, a dolatując do ziemi topniał; ślizgały się nogi, zimno wilgotne przenikało do kości, a biedna panienka w lekkich trzewieczkach, w rannej sukience, tylko z zarzuconą chustką na głowie, biegła nie wiedząc dokąd się udać i kogoby wezwać. Ale przestrach śmiertelny był w jej duszy i nie czuła wcale, co dręczyło jej ciało.

Téj saméj nocy Marcin pracował więcej niż zwykle, myślał ciągle o swoim kochanym nauczycielu, myślał o jego córce, i dopiero nad ranem, jak był ubrany rzucił się na swoje ubogie posłanie. Zasnął twardo i silnie. Gdy się obudził, serce jego biło gwałtownie, jakiś niepojęty niepokój go ogarnął i zdawało mu się, że zaspał, że się spóźni; nie spytawszy więc która godzina, nie przebierając się wcale, narzucił na siebie płaszczyk i bez śniadania pobiegł.

Za kościołem na Lesznie spotkał p. Katarzynę. Ledwie mógł oczom swoim wierzyć że to ona. Ale Kasia poznała go i chwytając obie jego ręce, zawołała:

— O mój drogi p. Marcinie! jakże to dobrze, że cię spotykam; biegnij tam, mój ojciec bardzo chory.

— Jezus Maryja! — krzyknął Marcin — ale dokądże p. Katarzyna?

— Idę po doktora.

— Po którego? gdzież on mieszka?

— Nie wiem — odpowiedziała zaciskając wargi i postrzegłszy dopiero, jak ciężko biednym na świecie. — Nie znam żadnego.

— Panno Katarzyno! — rzekł Marcin cisnąc do serca i ust jój zziębłe ręce — wróc do domu; przeziębiesz i sama jeszcze zachorujesz: ja prędej znajdę doktora. O! bądź spokojna, ja go na rękach przyniosę.

— Dziękuję ci, ale spiesz; tu gdzieś niedaleko szpital, może tam jest który.

Marcin już był od niój o kilkadziesiąt kroków, i obejrawszy się, że się zawróciła i poszła, puścił się pędem strzały. Piérwszego człowieka którego spotkał, zatrzymał.

— Gdzie dobry doktor mieszka?

— Dobry? nie wiem — odpowiedział przechodzień.

— Gdzie tu szpital? — zapytał drugiego.

— Jaki? — odpowiedział stary jegomość, podnosząc z flegmą okulary.

— Jakikolwiek — krzyknął Marcin zniecierpliwiony.

— Nie wiem — odpowiedział stary, ruszył ramionami i poszedł.

Nareszcie dowiedział się Marcin już na końcu Leszna, gdzie jest szpital. Zawrócił się, pobiegł, ale lekarza, pod którego dozorem ten piękny zakład, nie było. Tam mu wszakże powiedziano, gdzie mieszka. Za pół kwadransa stanął nasz młodzieniec na ulicy Długiéj przed jego mieszkaniem. Zapytuje stróża czy tu mieszka doktor.

— Ot, tylko co pojechał; to jego kocyk.

— O mój Boże! — zawołał chłopak zadyszany i puścił się jak chart za zwierzem uciekającym. Na jego szczęście zbieg bryk ładownych zwolnił bieg koni doktorskich.

Właśnie gdy furman widząc swobodniejszy przejazd miał je zaciąć, silna ręka schwyła za cugle i konie stanęły.

— Czekał — zawołał Marcin na woźnicę; potem zwracając się do zadziwionego lekarza, dodał z wyrazem rozpacz: — Panie! jedź pan ze mną, na miłość Boską.

— Cóż się stało? ja nie mam teraz czasu.

— Panie! panie! musisz mieć czas; ja cię nie odstąpię. To niedaleko.

— Ale o cóż idzie? mówże pan.

— Boże mój! wszakżeś pan doktor?

— Tak jest; czy kto bardzo chory?

— O, mój drogi panie! Najlepszy w świecie człowiek chory, i ona umrze jeżeli mu się co złego stanie. — Posuń się, chłopaku — zawołał potem do woźnicy, wskoczył na kozioł, usiadł, i nim się furman opamiętał, już lejce były w ręku Marcina, i zwrócone na Leszno konie, poczuwszy kierunek mistrza, pędziły rączym kłusem, tak, że wszyscy się oglądali. Młody i zacny lekarz, zmiarkowawszy, że ta ona musi być głęboko w sercu energicznego młodzieńca, uśmiechał się i rad był, że przyjdzie z pomocą tam, gdzie nietylko ciało cierpi i zamięra.

Choroba była ciężka i pomoc nagła i umiejętna była potrzebną. Gdy lekarz objawił p. Katarzynie, że się zaniesie na długie leczenie, gdy zaczął polecać największą pilność i dozór nieustający, załamała biedna ręce, spojrziała, jakby wyrażając niemą prośbę, na stojącego obok Marcina, i w téj postawie zwątpiałej, zbolalój i błagającej, tak była cudnie piękną, że młody lekarz wzruszony żywém współczuciem, wziął jęj rękę i rzekł:

— Bądź pani spokojną. Ja tu przyjeżdżać będę co dzień i mam nadzieję, że Bóg pocieszy serce pani. Co się tyczy pomocy w dozorze chorego, nie wątpię, że ten

pan, który mnie tu gwałtem przywiózł, nie odstąpi pani, i da dowód swojej troskliwości i przywiązania, które w nim już widziałem.

Kasia postrzegła w téj chwili w bladéj twarzy Marcina wyraz tak serdecznój, tak szczéréj boleści, tak nieograniczonego poświęcenia, że nie pomyślawszy nawet nad tém, co robi, i jak sobie jéj poruszenie obecni wytłumaczają, przybliżyła się do niego, podała mu obie ręce i rzekła:

— O! o tém ja nie wątpię — i ściskając drżącą rękę uszczęśliwionego młodzieńca, dodała z uczuciem:—Bóg widzi, że nie wątpię!

Gdy Marcin wyprowadził lekarza na dziedziniec, zapytał ten ostatni:

— Powiedz mi pan, czy mają oni na lekarstwa i na felczera, który będzie potrzebny?

— Wątpię — odpowiedział młodzieniec — p. professor ma niewielką emeryturę, a już połowa kwartału. Ale to nic — dodał pomyślawszy — może ja zkąd dostanę.

— Odzież się pan i siadaj ze mną — rzekł lekarz.

Wybiegł Marcin w swoim płaszczyku i z receptą w rękę, siedli i pojechali do szpitala. Tam młody doktor polecił felczerowi, aby się natychmiast udał do chorego, powiedziawszy co ma robić i rozkazawszy odwiedzać go dwa razy na dzień. W aptece miejscowój przyrządzono zaraz lekarstwo, nadal zaś dał do rąk Marciniowi kartkę, w której prosił w najbliższéj szpitala aptece o kredyt dla chorego na sumę 60 zł. za którą ręczył.

Choroba trwała kilka tygodni. Zaczny medyk, szanujący swoje powołanie, nie oglądając się wcale na to, że to ludzie biédni, odwiedzał naszego emeryta codziennie, a czasem gdy było jeszcze niebezpieczeństwo i po dwa razy na dzień. P. Katarzyna dopełniała swojej powinności

z gotowością i wytrwaniem, któremu się nikt nie dziwi; ale trudnoby skreślić całe poświęcenie, całe oddanie się na usługi ojca i córki, jakich dał dowód Marcin. Nie opuszczał on już wcale tego domu, który Bóg nawiedził; gotów na każde skinienie, biegł czy do apteki, czy do miasta, czy do felczera; gdy przyszła noc, nie pozwolił, aby p. Katarzyna przy ojcu ciągle czuwała, i nad ranem dopiero, jak był ubrany, rzucał się na kanapę i tak zasypiał. Wówczas p. Katarzyna nauczyła się jeszcze więcej cenić jego rozsądek, jego przytomność, jego szybkość w objęciu wszystkiego i wykonaniu; ale wówczas także otwarły się jój oczy i poznała, że ona była duszą tej działalności, że całe to cudowne przeobrażenie było skutkiem nieograniczonej miłości, którą mu nie chcąc i nie myśląc o tém natchnęła. To odkrycie zrobiła wtenczas, gdy ojciec był w największym niebezpieczeństwie.

Już trzynaście dni i tyleż nocy byli na nogach. P. Cyprian był w gorączce i bez przytomności; nic i nikogo nie widział i nie poznawał. Jedną z tych nocy, p. Katarzyna znużona i splakana usiadła na krzeselku w nogach jego, i patrząc na drogą twarz zanego człowieka, odpędzała od siebie wszelkimi siłami myśli sieroctwa i opuszczenia, które ją opadały. Marcin poszedł do apteki. Cichość w pokoju była zupełna; przerywał ją tylko prędki i mocny oddech chorego. W takich myślach, taki widok mając przed sobą, przymknęła zmęczone powieki i usnęła. Sen zupełnie inny przedstawił jój obraz. Zdało się jój, że się znajdowała na rozległych równinach Pobereża, że tam słońce cudnie świeciło, a błonia i sianożęci usłane najpiękniejszą trawą, ubarwione prześlicznymi kwiatami, rozścielały się pod jój nogą jak najpiękniejsze kobierce. Tam ona bujała lekka i szczęśliwa,

i widziała zdaleka ojca, który witał się z młodzieńcem urodziwym, i przyciskając go do piersi całował jego głowę ciemnymi włosami okrytą. Poznała ona zdaleka młodzieńca, chciała biedz ku niemu, ale czuła że jój nogi spętane, że kroku zrobić nie może. Wówczas obudzila się: ojciec leżał jak piérwój, ale jakież było jój podziwienie, gdy obaczyła Marcina, który klęczał przy niej, obejmował lekko jój stopę, którą na małym stoleczku trzymała, i przytykając do niej delikatnie swe usta, rzewnie płakał.

Trudno wypowiedziéć jaki ból przeniknął jój serce, gdy to postrzegła, gdy nagle przekonała się, że jój domysły są prawdą, że nieoceniony młodzieniec, którego od czasu choroby ojca pokochała jak brata, czci ją jak bóstwo i tak naprózno marnuje najpiękniejszy kwiat swego serca.

Nie chcąc dać poznać, że widzi co się dzieje, przymknęła napowrót oczy i po chwili dopiéro zaczęła się poruszać, jakby się z twardego snu budzić zaczynała.

Za piérwszém jój poruszeniem Marcin zerwał się z miejsca, odskoczył na bok, otarł prędko lzy i znowu był jak zwykle dalekim, bojaźliwym, choć gotowym na każde jój skinienie. Żadnym wybuchem namiętności, najwymowniejszym doborem słów któreby ją malowały, nie zdołałby tak ująć biédnej dziewczyny, jak tą delikatną powściągliwością, która świadczyła i o jego dobrej naturze, i o mocy i głębokiej prawdzie jego uczucia.

Następnój nocy przesilenie minęło szczęśliwie; lekarz za przybyciem oświadczył, że niebezpieczeństwo przeszło, i radość powróciła do tego domu, gdzie niedawno było milczenie rozpaczy i snuły się obrazy śmierci i żaloby.

Gdy zostali sami, Marcin pochwycił rękę p. Katarzyny, i całując ją w uniesieniu wołał:

— O mój Boże! mój Boże! jakżem szczęśliwy.

— Wierzę ci, mój drogi—rzekła Kasia wzruszona do głębi duszy—i kocham cię jak brata. Bo ty będziesz zawsze moim bratem, nieprawdaż?

— Bratem twoim, p. Katarzyno! — odpowiedział młodzieniec błędąc i drżąc—twoim bratem? —dodał cichszym głosem; potem puszczając jęj rękę i patrząc na nią z wyrazem nieograniczonego przywiązania i pokory, rzekł —Tak, będę twoim bratem, twoim bratem tylko.

Odwróciła się biedna, łzy żalu puściły się z jęj oczu a Marcin patrząc na nią zdaleka, stał nieporuszony z suchém okiem, z zaciśniętymi wargami.

W tym czasie skończył się kredyt w aptece, wyczerpały się także wszystkie zapasy, jakie p. Katarzyna na utrzymanie domu miała. Zdesperowany Marcin nie wiedział co począć i dokąd się udać. Po długim namyśle i wahaniu się, postanowił wreszcie odezwać się do serca p. Marka.

Poszedł więc do niego rano, gdy p. Marek na srebrnej maszynie robił sobie kawę, i paląc wyborne sygaro, przypatrywał się płonącemu spirytusowi. Od czasu choroby emeryta ledwie parę razy zabiegał Marcin do domu, aby zmienić bieliznę. Wiedział referendarz jako była przyczyna nieobecności młodego człowieka i był zupełnie o niego spokojnym. Teraz gdy go obaczył wchodzącego z twarzą wynędznioną od bezsenności, trudów, głodu i wewnętrznej walki z miłością, której wyjawic nie śmiał; gdy go ujrzał zupełnie przybitym i zękanym, pomyślał sobie: już chłopak dosyć przygotowa-

ny, a załém stary kolega niepotrzebay. Paszczając więc dym z ust kółkiem, któremu się przypatrywał, rzekł:

— Coś masz minę kwaśną, czy stary już umarł?

Zirno przejęło serce szlachetnego młodzieńca na widok takiej obojętności i głos zaparł się w jego piersiach. Stał on właśnie na tém miejscu, gdzie niedawno stał jego wujaszek z Siechurskiój Woli. Przypominał więc sobie żywo całą tę scenę, i wyrzuty prostego, ale dobrego szlachcica uprzytomniając się w jego pamięci, wydały mu się teraz dobrze zasłużonemi.

— Czemuż nie mówisz — rzekł znowu p. Marek podsuwając filiżankę pod robinet maszynki — Więc umarł p. Cypryan?

— Mój nauczyciel, JW. panie — rzekł wreszcie Marcin pocierając czoło — nie umarł. Ma się lepiej i żyć będzie.

— A... ma się lepiej?... to dobrze — dodał obojętnie p. Marek.

— Pan Bóg zmiłował nad nami — rzekł prędko młody człowiek.

— Nad nami? — zapytał p. Marek krzywiąc się i sądząc, że głupi chłopak w prostocie swego wdzięcznego serca w téj liczbie mnogiej i jego pomieścił. Biorąc więc to niejako za ubliżenie sobie, dodał: — Jakto nad nami?

— Chciałem powiedzieć nad córką jego — odpowiedział czerwieniąc się Marcin — a także nademną, bo on tylko jeden jest dla mnie ojcem prawdziwym.

— Aha! nad córką! prawda, zapomniałem, że on ma córkę — mówił p. Marek patrząc bystro na chłopaka i starając się wyrozumić z jego twarzy, czy te ostatnie słowa nie były przycinkiem z wiadomością rzeczy zrobionym. Ale Marcin miał wzrok spuszczoney do ziemi i twarz smutną; zapewne od przeczucia, że mu się za-

miar jego nie uda. Po chwili, popijając kawę, dodał p. Marek:— Więc ty teraz próżnujesz, i przez czas choroby p. Cypryana nic nie robisz? Jakże będzie z tym examinem? ja długo leżyc na ciebie nie mogę. Trzeba żebyś już miał swój własny kawałek chleba.

Odwrócił się młody człowiek, odszedł do okna i stanawszy za firanką zaczął płakać. Ból ciężki przeniknął jego serce. Porównywał on w myśli cnoty, dobroć, wylanie dla siebie obcego zupełnie człowieka z tym sposobem suchym, twardym i zimnym, z jakim go traktował ten, dla którego chciałby w sercu swoim czuć cześć i miłość. Bo Marcin domyślał się i prawie wiedział czém był dla niego p. Marek; bo biędny sierota im więcej się oświecał, im bardziej uzacniał, im wyżej się podnosił przez towarzystwo dobrych ludzi i miłość świętej w oczach jego kobiety, tém ciężej walczył z potrzebą kochania tego, co mu dał życie, i z niemożnością obudzenia w sobie dla niego czei i szacunku.

P. Marek słyszał, że młody człowiek płacze, ale że p. Marek lubił kawę gorącą, nie przerywał więc sobie śniadania. Gdy je skończył, powstał i idąc do swego gabinetu żeby się ubrać i wyjść do biura, rzekł:

— Czy ci tak bardzo żal straconego czasu, czy córeczki p. Cypryana, nad którą się litujesz? Nie lubię mazgajów; od ludzi na świecie nic nie wypłaczesz, a na mnie nie spuszczaś się zupełnie. Idź już sobie, ja wychodzę z domu.

— Idę już, idę— odezwał się nawpół z płaczem młodzieniec, i przechodząc mimo p. Marka, zatrzymał się, otarł łzy i patrząc na niego z wyrazem żalu i serdecznego wyrzutu, dodał:— Dziękuję JW Panu za to, com od niego otrzymał. Pójdę do tego dobrego człowieka, który choć

biędny i chory, nie wypędzi mię od siebie, nim sobie znajdę kawałek chleba, abym nie był nikomu ciężarem.

— Jak na sierotę, jesteś trochę za hardy—rzekł p. Marek.

— Wiém, zem sierota—odpowiedział z przyciskiem Marcin—ale sierota powinien więcej ufać Bogu i swoim siłom, niż kto inny; bo nie ma na kogo się spuszczać. I JW Panu już więcej uprzykrzać się nie będę, chociaż... ale JW Panu pilno, a i mnie także. Raz jeszcze dziękuję JW Panu. O! Bóg widzi, że dziękuję serdecznie!— To powiedziawszy chciał odejść, ale obrócił się, postrzegł że p. Marek stał na miejscu zamysłony, wrócił więc raptem i głośno płacząc rzucił mu się do nóg.

Przemogła natura i głos jój przebił skorupę egoizmu, to *triplex aes* którym próżność otacza serce samoluba. Podniósł p. Marek rozrzewnionego i ściskającego nogi jego młodzieńca, przycisnął jego głowę do piersi, i rzekł:

— No, no, uspokój się; nie będziesz sierotą, póki ja żyję.

— Ojcie mój!—krzyknął uradowany Marcin całując jego ręce.

— Cicho, głupcze!—rzekł p. Marek oglądając się, czy lokaj nie podsłuchuje—o tém ani słowa, to między nami, rozumiesz? Jestem z ciebie kontent, pracowałeś pilnie, postąpiłeś dużo. Dobrze i to żeś wdzięczny, tylko się nie kochaj, bo to się na nic nie zda. Piérwój trzeba myśleć o chlebie. Jak będziesz miał dobre miejsce, to cię ożenię, choćby i z córką p. Cypryana, jeżeli dobra gospodyni i panienska skromna i uczciwa.

Marcinowi w oczach się ćmiło; sam nie wiedział co się z nim dzieje; chciał wynieść pod niebo p. Katarzynę

przed odzyskaniem tak niespodzianie ojcem; ale radość, uszanowanie i wszystkie nowe uczucia, które nagle zwały się do jego serca, odebrały mu mowę. Tulił tylko do ust rękę p. Marka i szeptał cicho: Ojczy! ojczy mój, jakżem szczęśliwy!

Zostawił go tak p. Marek na środku pokoju, a sam wszedł do gabinetu. Po chwili wyniósł 200 złp. i dając je synowi, rzekł:

— Na, zanieś im to. Zapewne choroba ich wycieńczyła. Doktor i apteka kosztują. A przyjdę ja tam, przyjdę. Obaczę tę córeczkę, co ci głowę zawróciła. Tylko pamiętaj, jeżeli to jaka elegantka, to nic z tego nie będzie.

— Mój ojczy! to anioł w ludzkim ciele—zawołał Marcin.

— No, no, dla takich prostaków jak ty, każda Warszawianka wyda się aniołem.

— Przyjdź, przyjdź mój ojczy! i obacz— rzekł Marcin ściskając raz jeszcze jego kolana, i powstawszy przędko, pobiegł na Żytną ulicę. Nigdy mu się Warszawa nie wydała tak piękną, ludzie tak dobrzy i uprzejmi, śnieg tak białym, niebo zimowe tak czarującym. On miał w ręku zdrowie swojego dobroczyńcy, pokój kochanki, a w sercu odzyskał wdzięczność i cześć dla ojca, a dla siebie uczuł nadzieję, co go podnosiła od ziemi.

Gdy Marcin wyszedł, p. Marek spojrzął na zegar i mocno zadzwonił na lokaja. Potém zaczął się przędko ubierać, aby się nie spóźnić do biura, żeby nie powiedziano, że zmiękł i w sprężystości swojej osłabł.

V.

Nie masz chwili bardziej uroczystej dla rodziny, gdzie panuje zgoda i miłość, jak powrót do zdrowia ojca lub matki; jak te pierwsze chwile, w których serca dzieci zaczynają się z trwogi swój uspokajać, i pozbywać się myśli sieroctwa i obrazów żaloby. Wszystkie troski zewnętrzne, wszystko coby mogło drażnić próżność i upokarzać miłość własną, wydaje się dla członków takiej rodziny tak małym, tak lichym, że nie może zamieszać ich radości i zrównoważyć się z ich szczęściem. Nawet niedostatek traci wówczas swą postać ohydną, i choć zagłada do drzwi takiego domu, zastaje uśmiechające się twarze i serca gotowe do przyjęcia go tak obojętnie i mężnie, jak na to zasługuje.

W takim stanie znajdował się dom p. Cypryana na początku marca. Już zacny emeryt odzyskał zupełnie przytomność, już rozmawiał z córką i Marcinem, już ich klęczących przy łóżku swoim ścisnął, błogosławił i dziećmi swymi nazywał. Nawet co było najlepszym znakiem jego wyzdrowienia, zaczął już wspominać o swojej tabakierce. Wszakże gdy mu ją podano, nie śmiał zażyć, gdyż nie mógł jeszcze skombinować, czy tabaka wzięta z właściwego słoika, który rzeczywiście na ten dzień marca przypadła. Widać, że to było fałszywe zachcenie, które często miewają konwalescenci.

W tym czasie, jak to był obiecał synowi, odwiedził kolegę swego p. Marek. Stary uważał to za honor dla siebie, i ukontentowanie, jakie mu ta niespodziewana wizyta i rozmowa referendarza sprawiły, przyczyniło się jeszcze do jego wyzdrowienia. Mógł bowiem wynurzyć wszystko, co czuł dla swojego ucznia, mógł rozpuścić

się z pochwałą jego pilności i postępów, jego charakteru i dobroci serca.

— Kocham go, jak własnego syna — mówił z rozrzewnieniem, i w oczach jego błysnęła łza, tak piękna w oku; starém, gdy ją wyciska czułość, tak okropna i przenikająca w témże oku, gdy ją wyciska rozpacz.

P. Marek miał oko suche, bo p. Marek nie miał czasu do sentymentów, trzymając na barkach swych biuro; ale trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że się ucieszył pochwałą syna, że widział to sam, iż zasłużona, że się przypatrywał z interesem nadobnej Kasi, która jakby instynktem jakim ostrzeżona, jakby odgadła cel tej wizyty, zdrzała w głębi duszy, powitała go bladą twarzą, ze spuszczonej oczami, a gdy do niej przemówił, ledwie się zdobyła na krótką i jaką taką odpowiedź.

— Więc powiadasz p. Cypryanie — rzekł p. Marek, gdy Kasia znalazła pretext do wyjścia—że mój wychowaniec mógłby już odważyć się na examen.

— Choćby dziś, p. referendarzu—odpowiedział stary.—Więcej on daleko umie, niż wielu tych, którzy już od lat kilku uczą.

— To bardzo dobrze; pomyślmy o tém jak wyzdrowiejesz. Ale ja go wprzód wyexaminuję sam; i jak ja już powiem, że gotów, to pewnie gotów.

— Żeby mu tylko dobre miejsce dali — rzekł kiwając głową p. Cypryan, jakby o tém wątpił.

— To już moja rzecz. Pochodzimy, to będzie. Postaramy się, to się zrobi.

— Dałby to P. Bóg!—zawołał emeryt, składając ręce, jakby do modlitwy.

Uśmiechnął się p. Marek, patrząc na ten ruch kolegi, i wnosząc, że w tym ma interes nietylko Marcina, ale i swój, jako przyszły teść, dodał:

— Dziękuję ci, p. Cypryanie, że cię mój wychowawiec tak mocno obchodzi.

— Czyż nie mówiłem, że go kocham jak syna?

— A tak, słyszałem, i czy wiesz co mi przyszło do głowy?

— Cóż takiego?—zapytał stary trochę zadziwiony.

— Zdaje mi się—mówił p. Marek—żeś nie tylko ty wpływał na jego tak szybki postęp i tak korzystną przemianę. Bodaj, czyś nie miał p. Cypryanie pomocnika, który więcej zrobił od ciebie.

— Jako?—odpowiedział zasmucony stary.—Ja miałbym się wyręczać kimściś w tém, co mnie było powierzoném? Tegom nigdy nie czynił, i pókim był zdrow, pracowałem z nim z całą gorliwością.

— Ale któż o tém wątpi, stary kolego—przerwał p. Marek, postrzegłszy że go starzec nie rozumiał.—Znamy się oddawna i nie potrzebujesz mi mówić o swojej gorliwości. Gdybym ja miał w mojem biurze takich robotników jak ty, nie potrzebowałbym pracować za wszystkich. Ale ja muszę i robić i hałasować, żeby inni robili. Gdyby nie moja sprężystość, za którą otrzymałem niedawno reskrypt pochwalny od mojej władzy, nicby nie szło.

Tu p. Cypryan uśmiechnął się, widząc, że referendarz wsiadł już na swojego konika. Uśmiech ten, znaczniejszy i widoczniejszy na twarzy nędznej i zbolałej, niżby był na zdrowej, ostrzegł p. Marka i zwrócił go do dawniej rozmowy.

— Nie rozumiałeś mię p. Cypryanie—rzekł więc—gdym mówił, żeś miał pomocnika w wychowaniu Marcina.—Stary wypatrzył się i słuchał, a p. Marek uśmiechając się dodał: — Masz piękną córkę p. Cypryanie.

— A tak — odpowiedział dobrodusznie emeryt — kochane dziecko. Bóg mię nią pobłogosławił. Gdyby nie ona byłbym już w grobie.

— Ołóż bodaj, czy ona nie zrobiła więcej swojemi oczami, jak ty swoją głową i swoją gorliwością stary kolego?

— Moja córka, swojemi oczami? rzekł stary mocniej, jak gdyby był obrażony. Jaktó p. referendarz rozumiesz?

— Rozumiém poprostu, p. Cypryanie, że się Marcin zakochał w twojej córce, i żeby się jój przypodobać, pracował dzień i noc, co sam widziałem, i z takiego gbura i nieuka, zrobił się wcale dorzecznym chłopcem, z czego się bardzo cieszę.

— Serca ludzkie są w ręku Boga — odpowiedział odetchnąwszy emeryt. — Ja go kocham z całego serca, i jeżeli i córce mojej się podoba, a Bóg i starania p. referendarza dadzą mu kawałek chleba, nazwę go synem z największą radością.

— Pomyślmy i o tém — rzekł referendarz podając rękę staremu. — Tylko teraz p. kolego o tym naszym układzie sz! boby się chłopcu w głowie przewróciło i nie byłby w stanie zdać examinu. Jak się wszystko skończy, pomogę mu także. Choć to mój daleki krewny — dodał spuszczać oczy — ale mam obowiązki dla jego matki, i pamiętać o nim będę. A nawet podoba mi się coraz bardziej, zwłaszcza teraz, jak go widzę tak zupełnie przez was przekształconym. Nie psuję ja go oznakami przywiązania i pieśczoćkami, bo to nie jest w moim zwyczaju. Ja nikogo z podwładnych moich w biurze nie pieścę także, choć niektórych lubię, a za wszystkich pracuję. Gdybym też ich psuł i nie robił za nich, toby nic nie było. Ale boją się i muszą; znają moje sprężystość i zna

ją także władza, kiedy niedawno otrzymałem reskrypt... Tu p. Cypryan znowu się uśmiechnął i p. Marek zmiarkowawszy się powstał, podał rękę staremu i rzekł:—Ale co tam, jakoś to będzie. Odwiedzę cię jeszcze stary kolego, i pomówimy znowu o tém. Dzieci niech się tymczasem kochają, ale niech nic nie wiedzą. Zwłaszcza chłopiec niech tego nie zmiarkuje, żebyś mu chętnie oddał córkę. A ładna dziewczyna, dobrze ułożona i zapewne gospodarna! No, do widzenia p. Cypryanie.

Wyszedł p. Marek. Kasia siedziała z robotą, a Marcin stał zdaleka i nie śmiał na nią oczu podnieść. Referendarz przystąpił do niéj i rzekł:

— Ojciec ma się wcale niezłe; bardzo się cieszę. Panienska zawsze zatrudniona? to dobrze. Praca daje zdrowie i dobry humor. Ja nigdy nie próżnuję. Czy panienska i książeczkę lubi, czy zawsze tylko igłą zajęta?

— Uważam igłę za obowiązek dla ubogiej kobiety— odpowiedziała p. Katarzyna, podniósłszy nań piękne swe oczy — a książkę za rozrywkę, gdy zostaje czasu od piérwszój.

— Rozumnie—rzekł p. Marek spojrzawszy na Marcina, na którego twarzy błysnęła radość, jaką mu ta odpowiedź sprawiła.—Kto zna swoje obowiązki i pełni je, ten zawsze znajdzie czas na rozrywkę, którą lubi. Do widzenia panienko! przyjdę ja tu jeszcze, odwiedzę ojca.

— Dziękujemy p. referendarzowi za jego łaskę—odpowiedziała p. Katarzyna.

Wyszedł p. Marek, Marcin wyprowadził go, szedł przy nim przez dziedziniec i czekał, czy mu czego nie powie o p. Katarzynie. Ale p. Marek milczał. Gdy byli na ulicy dał mu znak, aby wrócił, i poszedł prostując się, aby przechodnie poznali, że to człowiek, na którego barkach leży biuro całe.

Zasmucony Marcin wracał zwolna z nachyloną głową. a Kasia po wyjściu z pokoju ich gościa, przysiadła tam gdzie stała, i cisnęła obiema rękami biędne swe serce, które dobrze to przeczuwało, że je czekały walki ciężkie i bolesne.

Zostawmy ich w takiém usposobieniu, w tój radości, jaką im dawały codzienne oznaki zupełnego powrotu do zdrowia ojca; zostawmy starego w tój myśli, którą mu p. Marek nasunął, a która go cieszyła; Marcina w tajemnych nadziejach, którym się oddać nie śmiał; i Kasię w tych trwogach, jakie szlachetnemu sercu kobiety daje widok miłości, której podzielać nie może, widok nieograniczonego poświęcenia, za które musi okazać się niewdzięczną, którego szczęściem i uniesieniem zapłacić niezdolna.

My udajmy się za p. Romanem, o którym jakbyśmy zapomnieli. Chociaż młody ten człowiek, dla którego wychowanie, majątek i położenie w towarzystwie wszystko zrobiło, nie ma tyle zasług, ile ich ma biędny Marcinek; przez to jednak, że obraz jego ani na chwilę nie wyszedł z serca i pamięci heroiny naszej, interesować nas powinien.

Pan Roman wiedział o tём, że ma wielką podróż przed sobą. Wspomniął nawet o niój p. Katarzynie, gdy się żegnali i z tego powodu otrzymał podarunek, który miał strzedz jego serca i przypominać kilka chwil szczęśliwych. Gdy powrócił do domu z głową rozmarzoną i wabający się czy jechać, czy nie na Pobereże, do ciotki bezdzietnej, po której spadała na nich znaczna sukcesya, zastał od tójże ciotki list jeszcze bardziej naglący, krésłony drżącą już ręką, w którym go zaklina aby spieszył, że mocno chora, że radaby go jeszcze przed śmier-

cią widzieć, że krewni męża gotują się z procesami i mogą ukrzywdzić tych, dla których w sercu i testamentie majątek swój przeznaczyła.

Matka p. Romana i siostra, po odebraniu tego listu przygotowały wszystko do jego podróży, tak, że gdy wrócił do domu, ledwie mu dały parę dni zabawić i wyprawiły w drogę.

Pojechał więc p. Roman daleko, nie wiedząc sam na jak długo, z sercem pełnym słodkich pamiątek o magazynach warszawskich, o Śto-Jerskiej ulicy, o ogrodzie Krasieńskich; modlił się w drodze rano i w wieczór na daną sobie książeczkę; czasem i przed południem brał się do modlitwy na stacyach pocztowych, czego dawniej nigdy nie robił; i myślał sobie ciągle, że p. Katarzyna miła, dobra, ukształcona panienka, że ani twarz, ani oczy, ani głos żadnej innej kobiety nie przylegały tak lubo, tak serdecznie do jego myśli, do całej jego istoty.

W takim usposobieniu pędził pocztą po piaskach Polesia od Brześcia do Łucka, tłukł się po grobelkach z okrągłych klocków ułożonych; a gdy czasem poczyliłion chcąc je wyminąć i spuściwszy się na letnie słońce, zagrzezał gdzie w bagnie, wtenczas p. Roman siedział sobie spokojnie w swoim koczku, marzył o Śto-Jerskiej ulicy i ogrodzie Krasieńskich, lub wydobywał z kieszeni książeczkę i czytał poranne modlitwy.

Gdy wyjechał za Łuck, gdy minął Dubno i Ostróg, już tam nie miał tyle swobody, tyle wolnej myśli. Droga bowiem była twarda, równa, gładka, konie dobre, żydki zręczne i zwinne, i p. Roman pędził szybkim, nieścignionym biegiem, a oko jego i myśl zajmując się pięknym krajem, przez który się przesuwiał, dziwiąc się rozłożystym łanom dorodnego zboża, zachwycając się łąkami,

które się rozlegały przed nim, to zielone jak aksamit, to ubarwione kwiatami, jak najcudniejszy kobierzec; admirując lasy dębowe, czyste, foremne, jakby je pędzel Ruisdała układał; widząc lud zdrowy, wesoly i uprzejmy; piękne dwory, rozzielenione sadami wioski, nie tak często już marzył o Śto-Jerskiej ulicy, i choć czasem wydobyl książeczkę, nie otwierał jej, bo mu raz to, znowu co innego przeszkadzało. Nie opatrzył się więc, jak jednego wieczora dojechał do Bykówki, wielkiej wsi swojej ciotki, między Tulczynem i Ładyżynem położonej.

Zastał on ciotkę swoją niebezpiecznie chorą i jeszcze zupełnie przytomną. Już tam gospodarowały dwie panie z familii męża, i jakiś jegomość, który przyjął p. Romana dość kwaśno. Nie zważał na to młody człowiek, i choć doświadczał trudności, dostał się przecież do pokoju ciotki, i upadłszy przy niej na kolana, ręce jej całować zaczął.

— To ty Romanie!—zawołała wstrząsnąwszy się starszka, która ciągle o nim marzyła, ciągle mówiła i teraz po łzach widać i serdeczném pocałowaniu poznała, choć w pokoju było prawie ciemno. Gdy się odezwał i potwierdził, zapłakała od radości. Wzruszenie to stało się zbawienném. Przybyły wkrótce lekarz kontent był ze stanu chorój, i zapowiedział prędkie jej wyzdrowienie. Jakoż w tydzień po przybyciu p. Romana, pani Winnicka siedziała już w łóżku, i dziękując uprzejmie paniom i owemu jegomości, którzy niby pilnowali jej w chorobie, za ich starania, prosiła, aby już sobie nie robili subjekeyi i wrócili do domu. Został więc p. Roman sam jeden, a jego zabiegi, jego prawdziwie synowska troskliwość, jeszcze bardziej przywiązały do niego starą

i bezdzietną kobietę, która mu zapowiedziała, że go już od siebie nie puści i tam go doskonale ożeni.

Pani Winicka miała już lat 67. Ale z natury żywa, czynna, mimo takiego wieku, zawsze jeszcze wysznurowana, obiecywała długie życie. P. Roman dobre miał serce, nie był wcale łakomy, miał swój własny dość piękny majątek, cieszył się więc szczerze wyzdrowieniem ciotki. Ale widząc wzrastające jój co dzień do siebie przywiązanie, i poznawszy jój słabość do żenienia i swatania nawet obcych i mniej znajomych, strwożył się, że się nieprędko wyrwie z Pobereża, i zląkł się, aby ciotka doprawdy nie wdała się w jakie dyplomatyczno-matrymonialne negocyacye, któreby go na prawdę splątały i przywiodły do przeniewierzenia się p. Katarzynie, której w tęsknocie podróży i w czasie modlenia się na jój książeczce, przyrzekł solennie szczęście i miłość.

Mąż pani Winickiej, oficer kawaleryi, po rozsypce w 1794 roku, został jeszcze parę lat w Warszawie. Znękany i ciężko ranny, długo się leczył i do zdrowia przyjść nie mógł. W tym czasie poznał dom rodziców przyszłej swojej żony. Doświadczył tam serdecznej gościnności, prawdziwie braterskiego współczucia, a ze strony piętnastoletniej, ślicznej jak róża Basi, tak tkliwych starań, tak naiwnego i czarującego nadskakiwania, że ją pokochał nad wszystko w świecie, choć był daleko starszy, ujął i wyprosił, a zapisawszy jój wówczas jeszcze bezwarunkowo cały swój majątek jaki miał i mieć mógł na przyszłość, ożenił się i z sobą na Pobereże wywiózł.

Nigdy kobieta nie była szczęśliwszą, jak ciotka p. Romana: taką miłością, takimi staraniami otoczył pieści-delko swoje stary kawalerzysta, którego wąż już siwić

zaczął, ale który przy młodziutkiej żonie odzyskał młodość i siły. Szczęście ich powiększyło się jeszcze, gdy im Bóg dał córkę. Dziecię to, na którym ich pociechy rodzicielskie skończyły się, stało się przedmiotem ich wyłącznej miłości, aż do zaślepienia posuniętej. Pieścili oni dziewczynkę i psuli jak mogli. Ulegając wrodzonej słabości polskiej, z której nas żadne klęski nie wyleczą, sprowadzali do niej nianki i bony Francuzki, to Szwajcarki, to Niemki, to Holenderki, jakie tylko wyszukać się dały. Gdy się zaburzenia krajowe uspokoiły, gdy p. Winicki mógł odebrać posag swojej żony i oczyścić nim Bykówkę, gospodarowali z całym natężeniem, z całą energią, aby ta jedynaczka, ten przyszły fenix Pobereża miała wielki posag, i ściągnęła jakiego księcia, hrabiego, albo co lepsza, jakiego świeżej daty ukraińskiego magnata, który chociaż wyszedł z solwarku, lub z kancelaryi prowentowego pisarza, rozłożył się z czasem we własnym pałacu i pożądanym był wszędzie gdzie były panny, gdyż zyskał pracą, industrią i oglądaniem się na przyszłość to, co historyczni panowie niedbalstwem, zamilowaniem obczyzny i rozrzutnością stracili.

Ale po dziesięciu latach szczęście to skończyło się i wielkie nadzieje spełzły. P. Winicki umarł, a panna Ełodya, ów spodziewany fenomen, wyrosła na pannę brzydką, kapryśną i źle wychowaną. Jakkolwiek wabiła posagiem, ale odstraszała szpetnością, wymysłami, a nawet kokieteryą, która tém gorzej się wydawała, że jej nie pomagały wdzięki, dla których wiele się przebacza. W tymto czasie, i z okazji potrzeby i chęci wydania córki za mąż, rozwinęła się w pani Winickiej owa żądza i namiętność żenienia, która stopniami przeszła i na obce jej zupełnie osoby. Nie widząc w swojej córce tych

wszystkich wad, dla których unikali jój młodzi ludzie, pewna była z początku, że byle który grzeczniej z panną rozmawiał, byle parę razy do domu przyjechał, że już jest pretendentem, że się stara, że się ożeni. Po stanowczej więc sessyi z panną Elodyą, która także z najpospolitszej grzeczności robiła afekt, podnosząc go nieraz do wysokich potęg namiętności; po zyskaniu jój słowa że pójdzie, rozgłaszała wszędzie o nowym konkurencie, rozpisywała listy, dodając, że dla jego miłości dwom lub trzem odmówiła. Dochodziło to z hoku do kawalera, który naturalnie ruszył ramionami i więcej się nie pokazał. Zdarzało się czasem, że się rozgniewał, że zrobił niegrzeczność, że publicznie je zapytywał, kiedy się oświadczał, zkąd taka bajka urosć mogła.

Wszystkoto nie zrażało ani matki, ani córki. Zawsze był jakiś konkurent pod ręką, taki, którego przyjmowano, i tacy, którym dla jego miłości odmówić musiały. A tymczasem rok za rokiem uchodził i p. Elodya przeszła za rok trzydziesty; coraz bardziej traciła nadzieję; coraz częściej narażała się na afronta tych, którym się bez ich wiedzy narzucała; coraz bardziej brzydła, robiła się wymyślniejszą, zjadliwszą i nareszcie z suchot umarła.

Tym sposobem p. Winicka, straciwszy czterdziestoletnią prawie córkę w stanie panięmskim, chociaż od dwudziestu kilku lat co roku wydawała ją za mąż, została bezdzietną i cały swój majątek przeznaczyła w zobałam swém sercu siostrze i jój dzieciom.

Gdy się uspokoiła w żalu, jaki jój dał tak gorzki zawód i tak bolesna strata, że czynny jój umysł potrzebował zajęcia i ruchu, wróciła do nałogowego zatrudnienia, i miała zawsze w sąsiedztwie to jaką pannę,

którą wydawała za mąż, to jakiego młodego człowieka, którego żeniła. Czasem się jój udawało, ale najczęściej gorliwe zabiegi, jeżdżenia na prawo i na lewo, perswazyje i namowy, to wprost, to przez różne osoby, rozległa i niez mordowana korespondencya, słowem, wszystko co czyniła, było bezskuteczne. Wszakże nic ją nie zrażało, ciągle o tém tylko myślała, i namiętność swatania i kojarzenia małżeństw rosła w niój z wiekiem.

Łatwo sobie wyobrazić ile nowój energii weszło do téj głowy i serca, na jak dyplomatyczne rzuciła się spsoby, gdy wyzdrowiawszy zupełnie, przypatrzyła się swemu siostrzeńcowi, gdy poznawszy jego charakter, dobre serce i ukształcony umysł, przywiązała się do niego wszystkimi siłami swojego ducha, który nic na działalności nie stracił.

Biedna p. Katarzyna nie wiedziała o tém, jakie sidła otoczą jój kochanka, i polegając na przechadzkach po magazynach, po Śto-Jerskiej ulicy i w ogrodzie Krasińskich, a szczególnie na téj książeczce, na której się sama tak szczerze modliła, kochała go cicho, statecznie, całym sercem, wszystkimi myślami.

P. Roman także był nią szczerze zajęty, zwłaszcza z początku, gdy się nudził w obcém sobie miejscu i przy chorój jeszcze ciotce. Ale gdy staruszka przyszedłszy do siebie, ustawiła wszystkie baterye, które postanowiła zdobyć serce młodego człowieka, i plan w czasie choroby jeszcze ukartowany przyprowadzić do skutku, miłość p. Romana wystawiona była na ciężkie próby.

Jest dziwna analogia we wszystkich tworach, mających pewną organiczną całość. Począwszy od człowieka do najpośledniejszej rośliny, wszystko ma jakiś punkt,

który jest niejako rezerwoarem życia, i z kąd się to życie do ostatnich krańców organicznego ciała rozchodzi. Tym punktem ożywczym jest głowa w każdym organizmie. A czy ona prosto podnosi się ku niebu, z kąd bierze swoje zapasy i dokąd należy, jak w człowieku; czy chyli się ciągle do ziemi, dokąd cała istota wróci, jak w zwierzęciu; czy silniej jeszcze związana z tą ziemią, chowa się w jej wnętrzościach, jak korzeń w roślinie: zawsze od niej wypływa wszelka siła, która istotę organiczną utrzymuje, przez nią też istota żyje, z jej uszkodzeniem lub odcięciem boleje lub umiera. Narody są także organicznymi całościami, mającemi każdy swoje głowę, swój rezerwoar myśli, dążeń i życia, z kąd wszystko dobre i złe, zbawienne lub odurzające rozchodzi się do najodleglejszych zakątów i wszystkie pulsa porusza. Taką głową każdego ludu jest zwykle największe jego miasto, siedlisko władzy, światła, przemysłu, gustu, elegancyi i t. d. Niedziw więc, że cokolwiek pochodzi z tego ogniska, gdzie się zbiegają wszystkie nerwy organizmu, jest tak szacowném i pożądaném w odleglejszych tegoż organizmu krawędziach; że każdy produkt np. Paryża, Petersburga, a nawet Warszawy ma w sobie coś dziwnie pociągającego dla dalszych zakątów kraju; że każda materya z tamtąd pochodząca lepiej okrywa, trzewiczek lepiej obuwa, koczyk lepiej nosi; że każda elegantka, na której błyszczy to, co leżało za szklami Zeltta lub Szlenkera jest przedmiotem admiracyi i zazdrości w Suwałkach lub Koninie; że każdy młody człowiek, który przechadzał się po Krakowskiem-Przedmieściu, jeździł wagonem do Skierniewic, widział Dwóch Złodziejów i Stradellę, który ma bóty od Müllera, a tużurek od Żygardłowiczu, jest

przedmiotem ciekawości i sympatyi równie dla panien z nad Rosi i Horynia, jak dla mężatek z nad Niemna i Prypeci.

Z tego powodu powszechnie znanego, i któremuśmy tu niepotrzebnie dali niby cokolwiek filozoficzną sukienkę, przybycie p. Romana rozgłosiło się prędko w okolicy, i p. Roman, przybywający zdaleka, przybywający z Warszawy, zapewne ozdobiony temi wszystkiemi przymiotami, których nabywa człowiek na wielkim świecie, zapewne sam przez się bogaty, a co najważniejsza przyszedł dziedzic bogatęj p. Winickiej, stał się wszędzie przedmiotem rozmów, ciekawości i zajęcia. Chociaż obywatele Pobereża i Ukrainy, zamożniejsi od wszystkich innych, mający zatém więcej niż inni środków materialnych do oświecania się, do nabywania książek, przedmiotów sztuki, do wymknienia się, choć na krótko, przez Odessę do Włoch i dalej, rzeczywiście stoją wyżej, ukształceni są wielostronniej, posiadają daleko więcej z tego wszystkiego, co ciekawe i interesujące z rzeczy swoich i obcych, niż obywatele innych zakątków kraju; chociaż wyrobili sobie w ostatnich zwłaszcza czasach pewną samodzielność w literaturze, pewne zrozumenie wyższości, a ztąd wzgardliwy cokolwiek pogląd na usiłowania w tój mierze innych prowincyj, a nawet lekceważenie Warszawy; nie przeszkodziło to jednak temu interesowaniu się, jakie p. Roman, zwłaszcza w kobietach obudził, i nie zdjęło z niego tój aureoli, jaką mieszkaniec prowincyi na mieszkańcu wielkiego miasta rad nie rad widzi.

Skoro więc p. Winicka wyzdrowiała, pod pozorem odwiedzenia konwalescentki i powinszowań z przyjścia jej do zdrowia, zaczęły się liczne odwiedziny sąsiadów,

nawet dość dalekich; zaczęły się te wszystkie zabiegi, pełne dyplomatycznej zręczności ze strony matek, które chciały wydać za mąż swe córki, zaczęły się śmielsze ataki, pełne strategicznej sztuki ze strony wdów i rozwódek, które chciały się wydać same.

P. Winicka znalazła się w swoim żywiole, i co dzień zajęta korespondencją, której przedmiotem był zawsze p. Roman, co dzień wysznurowana i gotowa do przyjęcia nowych gości, którym go rekomendowała, powróciła do dawniej działalności, odmłodziła prawie tym ruchem, tém postanowieniem, że siostrzeńcowi swemu, o którym wszystkim pisała i mówiła, jak o jakim fenixie młodzieży, wynajdzie żonę, którąby się poszczycić mogła. Wszakże dotąd jeszcze nie padł jój wybór na nikogo. Im więcej nadstawiało się partyj, tém ostrożniejszą się stawała, i nieraz nie śpiąc w nocy i przechodząc myślą przymioty i wady to téj, to owéj, podnosiła się na pościeli, wspierała na ręku zakłopotaną głowę i w takich myślach po godzinie i po dwie przesiadywała.

Już dwa miesiące pobytu p. Romana na Pohereżu upłynęło, już widział prawie wszystko z okolicy, co widzieć było można, już i sam był z odwiedzinami prawie u wszystkich sąsiadów, których poznał, wszędzie przyjęty z otwartymi rękami i fetowany, a jeszcze p. Winicka nie zrobiła żadnego wyboru, jeszcze p. Roman pamiętał dobrze o Śto-Jerskiej ulicy, o ogrodzie Krasieńskich, i co dzień rano i w wieczór na coraz miłszéj sobie książeczce pacierze odmawiał.

Jednego wieczora, gdy nie było nikogo z gości, siedziała p. Winicka w swoim krześle, a p. Roman, który właśnie tego rana dłużej i szczerzej modlił się niż zwykle, pełny wspomnień tych kilku dni dziwnego jakiegoś

szczęścia, za którym zaczął mocno tęsknić, przechadzał się smutny po pokoju i marzył o p. Katarzynie i przemysłował, jakby się co najprędzej wyrwać z Pobereża, a przynajmniej choć listownie dać jój o sobie wiedzieć, dać poznać, że myśli jego zawsze tam, gdzie z sobą chodzili, gdzie rozmawiali, gdzie, patrząc sobie w oczy, niemo i bezstawnie przyrzekali sobie miłość i szczęście.

— Mój drogi Romanie!—rzekła wówczas staruszka, która długo mu się przypatrywała — tyś smutny, ty się nudzisz, i słusznie. Serce nie może tak długo wahać się i bić się od jednej ściany do drugiej. Potrzebuje ono przyłgnąć stale i stanowczo do jednego przedmiotu. Cóż ja tu nieszczęśliwa pocznę? Kogo ci wybiorę? Jest dużo — *un vrai ambaras des richesses*—ale cóż? gdy idzie o ciebie, wszystko to nie takie jakbym chciała.

— Droga, kochana ciociu!—odpowiedział p. Roman, zatrzymując się w miejscu i budząc się niejako ze swoich marzeń— toż jest dobrowolny zupełnie kłopot. Myślałem wcale o czém inném, nie o małżeństwie. Co ma się stać droga ciociu, to się stanie. Pilnego nic niéma. A ponieważ widzę— dodał dla uspokojenia jój i zjednania sobie czasu— że to jest twojém gorącym życzeniem, abym się tu ożenił, nie jestem od tego; baw się tym projektem, droga ciociu! ale baw się spokojnie, swobodnie, żeby się to nie zamieniło dla ciebie na trud, na kłopot i przykrość.

Gdy to mówił p. Roman, dało się słyszeć klaskanie z bicza. Przybliżył się więc do okna i postrzegł ekwipaż, którego jeszcze u ciotki nie widywał. Pięć dzielnych siwoszów w krakowskich chomątach wbiegło silnym kłusem na dziedziniec. Powoził z kozła chłopak młody po krakowsku ubrany, karéta była błękitna niewielka, ele-

gancka, a za nią siedział lokaj także młodziutki i ładny, w niebieskiej liberyi z srebrnemi galonami.

— Kto to przyjechał, Romanie? — zapytała p. Winička nie ruszając się z miejsca.

— Nie wiem ciociu — odpowiedział p. Roman patrząc w okno. — Pięć przeslicznych koni siwych, krakowiaczek ledwie ośmnastoletni kieruje niemi dzielnie i śmiało. Błękitna karéta i błękitna liberya.

— To Krzysia! to pewnie Krzysia! — zawołała p. Winička, i klasnąwszy rękami, dodała: — że téż ja o niej zapomniałam.

Nie uważał tego wykrzyknienia swéj ciotki p. Roman, gdyż w téjże chwili lokaj otworzył drzwiczki, odrzucił stopnie, a z karéty pokazała się nóżka małeńka, delikatna jak u dziecka, w eleganckim trzewiczku, w przezroczystéj pończoszce, i tak przez chwilę leżała na progu drzwiczek, przechylając się i migocząc, stosownie do ruchów pani, która widać przechylała się także w karecie, może czego szukając koło siebie lub poprawiając swój ubiór.

P. Roman, chociaż był melancholicznie usposobiony, widział to jednak, że nóżka ta prześliczna, dziwnie kształtna, bardzo ładnie ubrana, i że właścicielka takiej nogi musi być niewielkiego wzrostu, zgrabna, żywa; musi mieć twarz pełną wyrazu, a kto wie, może i piękną, i ruchy pełne życia i powabu. Dla sprawdzenia tych przypuszczeń, zrobionych bystro i za piérwszym rzutem oka na tę cudną nóżkę, która w rozmaitych poruszeniach zyskiwała na formie i piękności, stał i patrzył z namiętnością, aż się ukaże osoba, do której takie cacko należy. Nagle mignęło coś przed jego oczami. Niewielka jakaś postać kobiety w gustowném ubraniu wyskoczyła

z karéty, nie tknęła prawie jéj stopni i przesunęła się jak widziadło od powozu do ganku. P. Roman widział tylko, że rzeczywiście wzrost téj pani niewielki, każdy ruch zgrabny i pełen wdzięku; że twarz musiała być świeża i foremna. Ale czyto dlatego, że z wielkiém natężeniem patrzył, czy że ruchy jéj były tak szybkie i błyskotne, ryśów jéj nie dojrzał. Chcąc więc prędko zaspokoić swoją ciekawość i sprawdzić koniecznie te przypuszczenia, na które naprowadził go widok téj nóżki, która jakoś została w jego myśli, odwrócił się od okna i patrzył ku drzwiom, ale z większém jeszcze natężeniem, niż piérwéj. Nareszcie drzwi otwarły się.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Nauka czytania i pisowni, wedle najgruntowniejszych zasad ułożona, podająca sposobność do poznania mechanizmu mowy polskiej i do uczynienia spieszego w niej postępu; z dołączeniem sposobu liczb pisania, krótkiej geografii, tudzież stosownych uwag nad językiem, dla poczynających uczyć się czytać, pisać po polsku i rachować, przez Stanisława Ko. Waśniewskiego, nauczyciela języka polskiego w gimnazyum drugim warszawskim.

Warszawa w druk. Józefa Tomaszewskiego, 1848.

Pod tym rozciąglým tytułem wyszedł zeszyt o 104 stronicach w 8ce, do którego należy inny z tyt. *Przypisy do nauki czytania i pisowni polskiej* o 76 takichże stronicach, obydwą w r. z. wydane. Ilekroć nam się zdarzy oceniać uwagi nad językiem ogłoszone pismem, staramy się najpierw i nadewszystko wybadać, jak dalece autor ich zna język o którym mówi: jużto bowiem stało się niemal prawdziem u nas, że ci piszą grammatyki polskie, którzy najjnniej umieją po polsku. P. Waśniewski więcćj może zna i miłuje swój język, niżeli ma wprawy w nieodzownie autorowi potrzebne myślenie i uwagę; ośmielamy się to powiedzieć po rozważeniu karty z jego dedykacją, zaraz po tytule następującej, na której może nie postrzegł, iż powiedział:

„Autor poświęca z najgłębszym uczuciem pierwszą tę pracę naukową szanownym ceniom przezacnych rodziców moich (sic), nigdy w sercu niewygasłej pamięci, ku czci ich i uwielbieniu.” Otoż własne autora wyrazy, które powtarzamy, żadnego nie zmieniając. Od uwagi na grammatykę, która tu wyciąga zaimka *swoich* nie *moich*, gdybyśmy się zwrócili do uwagi na logikę, wieleby może wypadło mówić o *najgłębszym uczuciu*, o *pamięci w sercu* i t. d. choć to tylko jeden okres ułożony po polsku i przez tego, który się zabiera do roztrząsania praw języka polskiego.

Jakkolwiekbydz, miło nam czytelników zapewnić, że p. Waśniewski w gruncie, nie rości sobie, jak liczni poprzednicy jego, prawa do nowych odkryć w języku, a przynajmniej takich, któreby bardzo terazniejszy porządek w jego grammatyce burzyły. Nie; on tylko pragnie ułatwić naukę tego, co znanem jest powszechnie, lub co jeśli nie jest jeszcze powszechnie przyjętém, to według niego zasługuje na przyjęcie. Jego długi przypisek, ciągnący się od str. 77 zeszytu pierwszego, aż do końca tego zeszytu, przez kart 11, i jego przypisy do nauki czytania, w zeszytcie oddzielnym, przedstawiają zbiór tego wszystkiego, co autor lub nauczyciel grammatyki ciągle winien mieć na pamięci, lub co głęboko rozważać mu trzeba. Dostyc zrozumiały wykład i jakikolwiek uporządkowanie tych uwag, nadawałyby pracy p. Waśniewskiego cechę niemałej użyteczności dla nauczycieli a nawet i uczniów, gdyby nie utrudzała czytania ich jedna z najdziwaczniejszych przyczyna, jaką p. Waśniewski sam wynalazł. P. Waśniewski bowiem postanowił odznaczyć jakimkolwiek sposobem te litery w abecadle naszym, które nie same przez się brzmią w zgłoskowaniu, tylko modyfikują brzmienie przyległych, czyli które nie literami są, ale raczej znamionami (oznaczeniami) liter. Czyby to ułatwiło rzeczywiście naukę czytania dla naszych potomków, o tém nie śmiemy wyrzec, bo dopiero praktyka zdoła to za pytanie stanowczo rozstrzygnąć. W braku doświadczenia mogłoby tylko zdawać się nam, że tak ta nowość, jako i odpowiednia jej dawność, równego wymagają czasu ze strony

ucznia czytać zaczynającego, równego mozolu do nabycia wprawy w pamiętanie brzmień *cz, dz, rz, sz, i t. p.*, téj wprawy, którą dziś my, umiejący już czytać, mamy, i nie pamiętamy jak i kiedy jéj nabyliśmy. Jeżeli p. Waśniewski nie zechce uważać na rzeczy zbyt drobne, niezawodnie sam się przekona, że przezorność jego wte dy tylko mogłaby mieć pewną wagę, gdyby głoski *cz, dz, rz, sz i t. d.* często w zbiegu tym musiały być wymawiane oddzielnie. Ale że się to w języku polskim prawie nie przytrafia, bo większa część przykładów jakimi autor pragnie (str. 28, 35, przyp.) udowodnić wątpliwe czytanie, tylko się z wad pisowni wyradza, zdaje się zatém, że o brzmieniu tych zbiegów dostatecznie oznajmia położenie względne znaków, co przodkowie nasi należycie rozważyli, i na czém my z wielu miar poprzestać możemy. Zawsze ten źle czyni, kto dla zniesienia małej niedogodności, sprowadza wielkie. Nigdy Niemiec łacińskimi literami piszący, nie troszczył się, że w wyrazach *heissen i Eisseen, Gräschen i Groschen* i t. p. inaczéj w jednym a inaczéj w drugim ten sam znak się wymawia. Czy zresztą p. Waśniewski zgodny jest sam z sobą? Jeśli on tak jest troskliwy o drobiazgi, że nie przestaje na *ich* i *moich* o jednym *i*, tylko się lęka opuścić w nich drugie choć nieczynne, i dlatego pisze *jich* i *mojich*: czemuż pomiędzy te zbiegi *bi, dzi* nie wbija swojego nowo-zaciesanego klinika tak, jak go wbił gdzieindziej? Wszak i tu nie jest *b* i *dz*, tylko *b̄* i *d̄z*. P. Waśniewski w osobliwszy z tego tłumaczy się sposób w 26 paragrafie (str. 75) swojej grammatyki, bo powiada iż dlatego nie kładzie pomiędzy *i* a spółgłoską miękką klinika, iż to *sprzeciwiałoby się zwyczajowi*. Czy może być zwyczajem co nie istniało nigdy? A jeśli autor taką zwyczajowi wagę nadaje, czyż nie sprzeczny jest z sobą, pisząc *mojich, jich, jimbryk*?

Nowe znaki które p. Waśniewski chce zaprowadzić, wybrane są najnieszczęśliwiej, bo najniezgodniéj z zasadą przyjętą w formie drukowych liter łacińskich. Forma ta jest tak prosta, że żadnych kręceń nie cierpi, a tak ujednostajniona, że zawsze ma cień pełny. P. Waśniewski jakby naumyślnie,

przeciw jednemu i drugiemu poszedł. Trudno wyrazić jak chorobliwie skręcone jest *z*, w wyrazach: *czytania* albo *przypisy*, na tytule jego książek. Jego nowe *i*, obrane za znak miękczenia poprzedzającej spółgłoski, ten klinik, ta część wtrącana między całości, jakże obrzydliwym czyniłaby nawet najnowszy druk, nadając mu postać druku najniełitościwiej zbitego!

Lecz zostawiamy p. Waśniewskiemu całą wolność głosu w sprawie udokładnienia języka i jego pisowni. Jeśli wszakże książka jego miała być elementarzem, należało mu przedewszystkiēm obrać za godło: *perite si non peringentiose*. Nie wiemy jak z tēj strony pracę p. Waśniewskiego ocenić; zdaje nam się wszakże, iż nie chce swoich uczniów prowadzić dalej jak do poznania liter, kiedy jē objaśniając nazwiskami przedmiotów, pod *Beczka* mówi, że to jest *naczynie do zachowywania rzeczy płynnych*, pod *Echo*, że *tak nazywają odgłos powtórzony*, zamiast głos powtarzający się, a pod *Festony* tłumaczy, że to są *firanki pięknie pozakładane i ozdobione kwiatami*. O! nie mieliśmy i nie mamy jeszcze dobrze napisanego elementarza. A. W.

Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. We Lwowie, tomy I—III w 8ce. 1846—1847.

W epoce w której wszystko ku wydoskonaleniu dąży, cōż chwalebniejszego być może, jak wzajemne porozumiewanie się przez posiedzenia i pismo publiczne obywateli prowadzących gospodarstwo gruntowe, tę tak rozkrzewioną czynność, której jedna tylko gałąź, rolnictwo, z ilużto dziś umiejętnościami najściślej się zrosła! O czēm niegdys z ustnej rozmowy dostatecznie mógł dowiedzieć się jeden od drugiego, to dziś do takiej ważności doszło, do rozdzielenia się na szczegōły tak mnogie a tak zawile w ogólny skład przedmiotu wplątane, że tylko w porządnēm przed-

stawieniu na piśmie, niekiedy nawet tylko w pamiętniku uczonym, da się należycie wyłożyć pisarzowi, a wyrozumieć, porównać, ocenić i zastosować czytelnikowi. Mijają czasy ślepej wiary w pismo: dziś tylko to przyjmujemy, co albo wyrozumowaném, albo docieczoném uznamy. I któżby dziś wątpił, że potrzebną jest nauka szlachetnemu powołaniu gospodarza wiejskiego, że nawet powołanie jego jest naukowém powołaniem, i że jak wszystkich stanów ono jest utrzymaniem i podporą, i rzecz sprawiedliwa ażeby wszystkie wzajem mu służyły, tak niema w tém żadnego przepelnienia miary, że szeroka rzeka gospodarowania przyjmuje w siebie strumyki od wszystkich głębi do których się spłynęły tak rozliczne wiadomości ludzkie.

Rolnik, którego sztuka jest główném, jak powszechnie mniemamy, źródłem gospodarskich dostatków, był kiedyś przedmiotem ponętnym dla marzeń, był ideałem poety; dziś rzeczywistość poznaje w nim najodpowiedzialniejszego mieszkańca w kraju, powszechnego wprawdzie darzyciela płodami jego, lecz który dla szanowności obowiązku znosi przymus nieruchomego mieszkańca, dźwiga najważniejsze ciężary, poddaje się najrozleglejszym troskom i jest poręczycielem strat ogólnych, któremu téż przez samą ludzkość i wdzięczność wszyscy najlepiej życzymy. Jak zatém kiedyś cieszyliśmy się widokiem, że jego zasiewy kwitną i dojrzewają, któżby się dziś nie przejął radością na widok, że jego literatura kwitnie i dojrzewa? Tak jest; wszystko co przybywa dla niej, zapowiada na przyszłość obfitsze plony, a z tą obfitością ową niepodległość ziemiańską, do której tak często wzdychamy, wymawiając coraz już obojętniejsze dla ucha te użalenia wyrazy: *nie popłaca! złe czasy!*

Tém mocniejszą ta radość stała się dla nas, na widok sprawozdania ze światłych narad, złożonego w mowie najzrozumialszej nam, bo naszej. Zadziwiliśmy się nad ważnością i rozmaitością treści tych roczników, a nadewszystko nad tém, że obydwa przymioty już w samym początku dzieła, zdołały ustanowić główną cechę jego. Chwała tym ośmielonym mężom, których tam imiona zapisane czytamy!

Piérwszym i najuczeńszym dla nas artykułem tego pisma, jest imienna lista założycieli jego, jako tych, którzy nauczyli że i najobfitsze zbiory są tylko pospolitą massą na strawienie, i najbogatsze skarby tylko kupą na wyprzątanie i zniknienie, jeśli przez nie i za nie nie nabędziemy tego światła, iż tylko pokoleniom przez pokolenia podawane dzieła ludzkie, godne są by za nie nabytemi były, bo trwalsze nad przyrodzoną znikomość naszą.

Piérwsze karty rocznika C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego, a który nosi tytuł Rozpraw tego towarzystwa, obejmują ustawy i protokoły czynności jego. Protokół czynności drugiego zgromadzenia, zagajony jest głosem prezesa, i przypomina nam wymowę dawną: jasność, zwięzłość wyrażień, a nadewszystko szczerłość i życzliwość, to jój ozdoby. Oto dobitna peroracya tego krótkiego przemówienia: „Świat, rzekł mówca, olbrzymim krokiem w oświacie i przemyśle postępuje; kto stoi lub tylko zwolna idzie, ten się w tyle zostaje! Nie dajmy się wyprzedzić, i dołożmy wszelkiej pracy i natężenia aby się na równi z innymi narodami utrzymać!” (tom I str. 28). Niemniej wymownemi, a co najmiłsza, wzorowej pilnującemi czystości języka, są w swoich rozprawach hrabiowie Tytus Dzieduszycki i Kazimiérz Krasicki. Piérwszy bardzo wybitny daje obraz statystycznego stanowiska Galicyi, uczennie się zastanawiając nad tém, czego wymaga terażniejszy stan gospodarstw w tym kraju, mianowicie ze względu na zależność pomiędzy uprawą gruntów a chowem inwentarza. „W monarchii austryackiej, mówi (ib. str. 36) Galicya po Węgrach jest największą prowincją, tak co do przestrzeni, jak co do ludności. Co większa, ze wszystkich państw europejskich w ogólności w liczbie 51, przewyższają nas co do ludności tylko 8, a co do przestrzeni tylko 11; wszystkie inne są mniejsze od Galicyi”. Hr. Dzieduszycki wniósł na tém posiedzeniu, ażeby Towarzystwo przedewszystkiem zajęło się gruntowném rozpoznaniem środków, mogących liczbę rogacizny w Galicyi pomnożyć, i gatunek jój ulepszyć, i pomogło sobie w téj mierze oddaniem przedmio-

tu pod roztrząśnienie znawców. Widzimy (str. 92), że Towarzystwo nie omieszkało zaraz pójść za tą radą i ogłosić publicznie zadania do nagrody, 1600 złp. lub odpowiedniego téj summie medalu złotego, ofiarowanej od dwóch gorliwych członków Towarzystwa, to jest samego hr. Dzieduszyckiego i Antoniego Mysłowskiego. Do téj szlachetnie poświęconej zachęty, inny znakomity obywatel, któremu nasze strony zawdzięczają tyle światła i podniety we wszelkich przedsięwzięciach przemysłowego gospodarstwa, Andrzej hr. Zamojski honorowy członek Towarzystwa, ważną dodał pomoc własnym trudem, bo napisaniem prawdziwie uczonój i obszernój rozprawy *O zasadach chowu bydła w Anglii* (tom I, str. 165). Gdzie tacy staną wodzowie i do takich poświęceń gotowi, tam ciągła wygrana koniecznie wywalczać musi tryumfy, i zamierzone zdobycze przywłaszcząć. Nie wiemy wprawdzie, jaki usiłowania Towarzystwa owoc w téj mierze odniosły, widzimy jednak że ten przedmiot ciągle je, chociaż szczegółowo zajmował (tom I, str. 75; tom II, str. 109, 126; tom III, str. 55).

Niemniej chwalebny czynności i gorliwości przykład daje w towarzystwie Kazimiérz hr. Krasicki, jużto jak referent jego (tom I, str. 28), już jako członek czynny, zastanawiający się nad wymiarem czasu i roboty dla robocizny ciągłej i pieszej to w Czechach (I, 150), to w Anglii (III, 66), to we Francyi (ib. 81), to naostatek w W. X. Poznańskim (ib. 85) i t. d. Ale Rozprawy galicyjskiego towarzystwa szczycą się jeszcze mnóstwem wypracowań uczonych i o przedmiotach prawdziwie użytecznych. Znadto one specyjalnemi są, ażebyśmy tu poważali się więcej nad tytuły ich przytaczać; powiemy tylko ogólnie, że składając trzy dotąd nam znane tomy, obejmują mnogość i różnorodność przedmiotów zdolnych powszechnie zająć, przedstawionych mile i jasno, a często nawet wytwornie; ze wszechmiar przeto czytania są godne. W tomie Iszym dr. August Kunzek zastanawia się nad podniesieniem uprawy roślin włóknistych i zaprowadzeniem szkótek przędzenia lnu w Galicyi (str. 43), a Maurycy Krański biegle jego wnio-

ski rozbióra (str. 67). Piotr Romaszkan pisze o chowie rogacizny w Galicyi (str. 75), a Wiktor Obniski rozważa potrzebę popraw w rozmaitych gospodarstwa gałęziach (str. 80). Ci zajmują się hodowaniem roślin użytecznych: Maxymilian Oborski uprawą turnepsu (I, 93, II, 81); osobny komitet uprawą lnu i konopi (II, 27); Ferdynand Stieber uprawą dzikiej rozspunki (*Valerianella locusta*), jako najwcześniejszej rośliny pastewnej (II, 95) i bulwy (II, 99); Roman Puzyna rozmnażaniem kartofli z gałązek (II, 104) i t. d. Inni chorobami, to roślin, jak Ferdynand Stieber (I, 96) i dr. August Kunzek (II, 168) chorobą kartofli, tudzież Julian Lubieniecki ocaleniem zchorzałych (I, 86); to zwierząt domowych, jak Leonard Błażowski (I, 158) i korespondent bezimienny (II, 108) i t. d. Inni za przedmiot rozważań swoich obierają pojedyncze gospodarstwa gałęzie, jakoto: pszczelnictwo ksiądz Jan Bielawski (II, 163, III, 63) i Wiktor Obniski (III, 59); inni ulepszenie różnych gospodarskich narzędzi, jak E. S. (I, 157) i Mikołaj Lipiński (III, 202), maszyny do żęcia zboża; Edward Dulski pługa (II, 28, III, 51), przedmiot który Towarzystwo do nagrody nawet podaje (III, 196); Ignacy Zaręba Skrzyński młockarni (III, 180) i t. d. Inni nakoniec biorą pod rozwagę rozmaite szczegóły gospodarskiego przemysłu: Seweryn Smarzewski karm' dla bydła (II, 123); ksiądz Leon Trzeszczakowski krów mléczność (III, 58) i t. d. Widzimy, że najlepsi pisarze galicyjscy przyjmują czynny udział w pracach Towarzystwa i jego rocznik wspierają, i że on i dla wyłącznych miłośników nauk niemało kart poświęca. Czytamy przy niektórych artykułach nazwisko Wincentego Pola (III, 21, 41). W tomie II (str. 128) znajdujemy opisanie gospodarstwa w Podhorodcach przez Konstantego Stan. Pietruskiego, i w niej mnóstwo szczegółów należących do fauny stron tamecznych. To zboczenie naturalisty od swojego przedmiotu, niechaj nikogo nie razi: w rolniczych dziennikach angielskich znajdujemy częstokroć obszerne rozprawy z dziedziny różnych umiejętności; nawet bardzo dalekiego zastosowania. I nie może

być inaczej z dziennikami, które nie stan gospodarowania przedstawić, ale postęp mu nadać za główny cel obrały. W rocznikach galicyjskich nie znać jeszcze przewagi z tej strony: niech jak najdłużej wydają je rolnicy z powołania, ludzie praktyczni a światli, przyjaciele nauk i umiejętności, ale nie dający się im od celu zamierzonego odwieść przez tę słabość, właściwą głęboko uczonym, którzy zbyt usiłują naukę swoją okazać, nie odstępując wtedy nawet od jej form, gdy nie są pewni jej niemyślności. Powiemy z całą otwartością przekonania, że te rozprawy galicyjskiego towarzystwa są całkowicie takimi, jakimi i dla nas i dla swoich czasów być powinny: ani zrażają uczonością, najeżając kolce erudycyi, którychby się skromny rutynista wiejski dotykać lękał, ani też przedstawiają się w kolorycie tak zaciemnionym niewiadomością naukową, jakby pragnęły wkraść się w zaszczyt przeszłowiekowego początku; a wiele już naszych krajowych płodów, przyzwyczaiło nas do porzucania tych fałszywych Vandyków i Rubensów, po pierwszym spotkaniu oka z nimi. Oprócz tego, wielce nas czytających te rozprawy, uderzało, że prawie żadna nie jest kompilacją; wszystko tam nosi cechę wyprobowania praktycznego, nie jest powiedziane, nie podane bez sprawdzenia na gruncie. Tylko też tym sposobem wiarę w pisana umocnić można w umyśle wielu gospodarzy nieufających jeszcze rozumowi w książkach. Towarzystwo, sposobem akademij uczonych, wybora na posiedzeniach swoich obrało zasadę; to roztrząsania kolegialnie najpilniejszych lub najważniejszych ze swojej dziedziny zapytań i ogłaszania potem ciekawego sporu przez rocznik (np. I, 31, II, 20, III od str. 33! i t. d.), to oddawania tak nadesłanych sobie artykułów jako i zadań własnych, pod rozpoznanie komitetu wyznaczonego z członków, działającego już bezpośrednio, już przez swoją deputacyą, którego zdanie również potem zamieszcza się w roczniku (T. II, str. 93, 104. T. III, str. 63, 183 i t. d.). W rzeczy samej, te przez wszystkie naukowe stowarzyszenia używane formy, dwojaką im korzyść przynosić muszą; bo i wszelkie możliwe drogi do prawdy odkrywają, i spr-

wozdania ich czynią ciekawemi dla czytelników, nawet najodleglejszych od ogniska działania. Należy nam wreszcie oddać sprawiedliwość Redakcyi pisma, mieszczącój się zapewne w łonie szanownego Towarzystwa, która z rzadką sumiennością wydaje tom za tomem: wyrządza te dzieci swoje w gościnę świata, po macierzyńsku dbając ażeby chędogi choć niebogaty ubiór miały, broniąc troskliwie piórka na nim, strzegąc niedopiętego guzika, a nadewszystko pilnując, ażeby domowego utkania i uszycia nieprzyjacielska nie zohydziła dziura. O! mile one będą przyjętemi wszędzie, każdego zobowiążą, i zewsząd otrzymają najchlubniejsze swojego serca, swoich zasług świadectwa. A. W.



ROZMAITOŚCI.

W drugiej połowie maja zaczynają objawiać się u nas chrząszczowate owady z rodz. Linneusza *Cantharis*, które to nazwisko Latreille odmienił na *Telephorus*, a Dejean znowu do niego powrócił. Największe tego rodzaju gatunki (*Cantharis antica*, *C. fusca*, *C. dispar* i t. p.) będąc oraz najpospolitszemi, z każdym dniem od ukazania się swojego, coraz częściej spostrzegać się dają, to na liściach roślin, to na płotach i ścianach, to naostatek pojedynczo przelatujące w powietrzu. W ostatnim przypadku, czerwoność górnej powierzchni ich odwłoka, odsłonięta przez rozpostarcie pokryw i skrzydeł, mami oczy entomologa pragnącego ujrzeć coś rzadszego nad te miękkawe, ptakom tylko niektórym ulubione chrząszcze, polujące zażarcie na wszelkiego gatunku inne owady. Nieraz, przelatujący rzadszy owad, przez to jedynie uszedł wzroku entomologa, że krzyżujący z nim swój przelot łakomy pożerca, na siebie całą uwagę zwrócił. To spowodowało nadanie rodzajowi polskiego nazwiska omomiłków, to jest mamiących oczy (1). Oddawna znane gąsienice omomiłków, płaskawe, koloru i powierzchni aksamitu czarnego, żyją w ziemi, a często natrafiane bywają pod leżącymi na niej przedmiotami znaczniejszej wielkości, pod korą drzew niedaleko od ziemi i t. d. Rzecz szczególna, że te gąsienice, czasem w zadziwiającej ilości, wśród zimy, spadały na zie-

(1) Zob. Słownik Lindego, pod wyr. *Omam*.

nię, burzą przyniesione. Biblioteka Warszawska donosząc niedawno (1) o zdarzeniu podobnym przy wsi Nöthen w Eifel (nad Renem), dnia 30 stycznia 1847 r. zaszłem, wspominała z téj okoliczności o takichże zdarzeniach dawniejszych. Najdawniejsze z wiadomych nam, zaszło r. 1672 w dniu 20 listopada w Węgrzech, opisane przez Raygera w *Ephemerides nat. cur.* na r. 1673 str. 8. Inne uważane było w styczniu r. 1749 w Szwecyi w Leufsta; inne jeszcze w 1799 r. przytrafione w nocy z d. 29 na 30 stycznia, w lasach Bingen w Darmstadtzkim, z najdrobniejszychemi szczegółami i przytoczeniem zeznań od naocznych świadków pobieranych, opisane przez Brahma, w dziele podówczas periodycznie wydawanem pod tyt. *Naturalista (Der Naturforscher)*, tomie 29 od str. 176. To samo zjawisko powtarzało się i w naszym wieku: r. 1806, 14 stycznia w Anspach, i r. 1811 w Saxonii, w lutym. Wszystkie te zdarzenia dowodzą, że zjawisko zachodzi wśród zimy i następuje podczas nagłego w téj porze złagodnienia mrozów i przypadnienia burzy. Ktokolwiek uważał tę czarną gąsienicę zbliżką, postrzegł, że natura ze szczególną troskliwością uzbroiła ją na dwa przypadki: wilgoć i zimno. Nagłe meteorologiczne zmiany w atmosferze zewnętrznej, pociągają za sobą w powietrzu podziemnym, w którym te istoty żyją, taką zmianę, że one na wierzch ziemi wychodzić muszą, do czego się zapewne i głód, który wtedy czują, przyczynia. Wtenczas burzą porwane, znówu ze śniegiem na ziemię spadają. Oken przypuszcza, że gwałtowne wichry, poprzedzające zjawisko, wywracają w lasach wiele drzew iglastych, zpod których korzeni wydobyte na wierzch gąsienice omomilka, wiatr porywa i do pewnej ztamtąd odległości zanosi. Zobaczmy zresztą jakie jest w téj mierze zdanie znakomitego naturalisty litewskiego, który nam następujący opis najświeższego z podobnych zdarzeń nadesłał (2).

(1) Tom III z roku zeszłego, str. 671.

(2) Redakcyja Biblioteki Warsz. żałuje, iż nie mogła w swoim piśmie dać bardzo pięknego i dokładnego tych gąsienic wizerunku, który, wraz z artykułem od Autora otrzymała.

*Wiadomość o robakach spadłych ze śniegiem w gubernii
Wileńskiej dnia 24 stycznia 1849 roku.*

Pod takiémto hasłem przysłano mi z folwarku *Posopowa*, o trzy mile od mieszkania mojego w powiecie wilejskim położonego, kilkaset gąsienic, żyjących, czarnych; z nadpisem, że w dniu 24 stycznia bieżącego roku, po dwudniowej burzy równo ze dniem postrzeżono na całej przestrzeni między budynkami folwarcznemi tudzież na przyległym polu, mnóstwo robaków zrzadka po śniegu rozsianych.

Lubo je otrzymałem w tydzień po znalezieniu, jednakże były pełne życia i ruchu; włożone do słoja w połowie wypełnionego ziemią ogrodową, natychmiast się zakopały i dotąd żyją.

Z miejscowego badania okazało się, iż na dni kilka przed znalezieniem gąsienic, panowała odliga i dżdże rzęsiste przechodziły, pędzone silnym zachodnim wiatrem; wtenczas termometr w Postawach okazywał 3—4° ciepła. Dwudziestego pierwszego stycznia niebo się wypogodziło, termometr zniżył się na 4° pod zero, lecz z wieczora znowu powstał wiatr z deszczem i śniegiem, burza trwała przez dni dwa, najgwałtowniejszą zaś okazała się z 23 na 24 stycznia: wyłamała i obaliła wiele przyległego do pola lasu jodłowego, i przez całą noc niosła śnieg w pole, w kierunku zachodnio-północnym. Dwudziestego czwartego przede dniem zupełnie się uciszyła.

O godzinie siódmej z rana, czeladź folwarczna dostrzegła na całej przestrzeni między budynkami, mnóstwo robaków czarnych, zrzadka po śniegu rozsianych; te w krążek zwinięte, martwe, po wschodzie atoli słońca nieco ogrzane ruszać się i pełzać poczęły, a wtenczas ze wszystkich stron nagromadzone wrony, sroki, wróble i ptastwo domowe z chciwością je pożerały.

Oprócz obszernego folwarcznego dziedzińca, nasyp gąsienic rozciągał się długą ławą w pole w kierunku wiatru

cała zaś przestrzeń niemi zajęta wynosić mogła mniej więcej do 180,000 łokci kwadratowych; na każdym kwadratowym łokciu naliczono od czterech do sześciu gąsienic, w miejscach zaś gdzie śnieg grubo namiecony został, jak przed parkanem i płotami, to i gąsienice gęściej nasypane leżały. Liczbę ich codziennie ptastwo zmniejszało, wszakże po upłynieniu tygodnia, znajdowano jeszcze po kilka kryjących się w zakątkach pomiędzy budynkami. Te które zachowałem, w stanie odrętwienia w ziemi spoczywają; wydobyte, skoro poczują ciepło dłoni, natychmiast się rozwijają i dosyć żwawo chodzą.

Sąto niezawodnie gąsienice owadu chrząszczowatego należącego do rodziny *świeltlikowatych* (*Lampyrides Latr.*) z rodzaju *Cantharis* Lin. (*Telephorus* Schaeffer).

Owad doskonały, *Cantharis fusca* Lin. (*Telephorus fuscus* Degée), omomilek szary (1), ma tył głowy, pochwy skrzydłowe, piersi i po części nogi czarne; inne części ciała żółtawo-czerwone, na gorsecie plama czarna. Długość 5'''—6'''. Wszędzie wiosną pospolity.

Gąsienica prawie walcowata, z obu końców cokolwiek zeszczuplona, dwunasto-obrączkowa, o sześciu nogach, z wierzchu aksamitno, ze spodu rudawo-czarna; przód głowy spłaszczony, lśniący. Szczęki silne, zębem pojedynczym opatrzone, czarniawe; różki i nogi krótkie, brunatne, długość 7'''—9'''. Mieszka w ziemi, przetwarza się pod koniec maja. Dosyć dokładny wizerunek tej gąsienicy, znajduje się w *Magazin de Zoologie* tab. 168, fig. 3 (2).

(1) Kluk go zowie *Śto-jańska mucha Brudek*. Żaden z naszych autorów o tém rzadkiem zjawisku nie czyni wzmianki. Żadnej popularnej tradycyi w tak krótkim czasie dopytać się nie mogłem.

(2) Małe zachodzą różnice między powyższą wymienioną figurą, a naszą gąsienicą; lecz znaczniejsze okazują się w dyagnozie pana Blanchard, loco cit. str. 7.

Dyagnoza p. Blanchard'a.

Dyagn. moja.

Larva unciam longitudinis *Larva, 7'''—9''' longitudinis.*
habet, corpus omnino nigrum *Corpore teretiussculo, molli, su-*
villosum fereque glabrum. Ca- *pra sericeo nigro, subtus ex ru-*

Wyraz grecki *Telephorus*, od niektórych entomologów do nazwania tego rodzaju użyty, znaczy *śmiercio-nośny* czyli śmierć zwiastujący owad, albo według tłumaczenia Latreilla, *daleko-nośny*, to jest zdaleka przyniesiony, i ten ostatni wywód znaczenia za właściwszy uważać wypada.

Już i w dawniejszych czasach wspomniano, że w Szwecyi, Węgrzech, a nawet i w północnej Francyi, okazywały się na śniegu w ogromnej liczbie żyjące tego gatunku gąsienice, stąd wnioskowano nie bezzasadnie, że porwane prądem silnego wiatru, razem ze śniegiem na ziemię spadać mogły; zwłaszcza po burzach, które u nas tak pospolicie sprawiają zamiecie. Owoż takiego bywa nastanie zjawiska, zwykle dżdżem owadów zwanego.

Degéer (*Histoire des insectes* tom III, str. 63) opisuje podobne zjawisko w r. 1745 i 1750, wnioskując, że te gąsienice ze śniegiem nawiane zostały. Lecz zdanie jego, zarówno przez Réaumura i Latreill'a podzielane, nie znalazło zwolennika w osobie p. Blanchard, który w *Mag. de Zool.* 1836 Cl. IX. str. 5., tak się wyraża: „Latreille mniema, iż zostały (te gąsienice) daleko wiatrem uniesione, lecz takie tłumaczenie rzeczy zdaje się być błędne, albowiem owady

| | |
|---|---|
| <p><i>put ejus quoque nigrum parvum est, fulgens, depressumque. Mandibulae robustae atque parum curvatae, fusco-nigro colore. Antennis fulvis, primi undecim annuli similes solus ultimus brevior. Pedes fusci et nonnihil longi.</i></p> | <p><i>fescente fusco, glabro. Annulis 12 gradatim a medio ad utrumque extremum tenuioribus. Capite parvo, depresso, anterieus splendente nigro. Mandibulis robustis, dente unico instructis. Antennis pedibusque brevis (?) brunneis.</i></p> |
|---|---|

Nadto w opisaniu jego, owe blade, podługne na każdej obrączce kreski, w naszej żyjącej gąsienicy nie dają się postrzegać; ledwo po kilkodniowym utrzymaniu gąsienic w spirytusie, okazały się być zmarszczeniem skóry, gdy wyjęte z płynu cokolwiek podeschły; jednoczasowie i barwa spodu ciała traci swą rudawość i całkiem czernieje; z czego wnoszę, że wizerunek z nieżywej gąsienicy musiał być zdjęty. Wreszcie i to być może, że u nas postrzeżone gąsienice, należą do jakiego innego gatunku tego samego rodzaju chrząszczowatego owadu.

te, żyjące we wnętrzościach ziemi, rzadko kiedy na powierzchni wychodzą zwykły; wszakże wątpić nie można, iż kiedy dżdże rześiste zaleją ich jamki, zmuszone są co najprędzej uchodzić ratując się od zatopienia. Toż samo powiemy i o śniegu, który pokrywając ziemię, zatamowałby im przystęp powietrza. Miałem, mówi dalej p. Blanchard, niejednokrotną zrzeczność sprawdzenia tego *factum*, wychowując niemałą liczbę gąsienic; te o których mowa, wydrążają sobie dziurki w ziemi zawsze pod małym kamyczkiem, dla ukrycia wnijscia, i tak w rozmaitym kierunku się zagłębiają. Wysuwając głowę nad otwór, czatują na zdobycz, nie przepuszczają żadnemu owadowi który im się tylko nawinie, i nawzajem się pożerają. Lecz w porze zimowej zdętwiałe, nie okazują znaku życia, dopiero za nadejściem wiosny znowu karmić się poczynają, aby doszły do zupełnego wzrostu, około 10 lub 15 maja mogły się przetrworzyć w poczwarki, zostawując na powierzchni ziemi otwór ułatwiający wyjście przyszłemu doskonałemu chrząszczykowi”.

Przeczące dowody p. Blanchard, do klimatu naszego ani trochę zastosować się nie dadzą. U nas, jak wiadomo, w grudniu, ziemia już głęboko zmrożona, śniegiem na cali kilka okryta bywa. W roku niniejszym rzeczywiście śniegu mieliśmy mało, ziemia jednakże na stóp trzy umarzała i w czasie odligi, chociaż śnieg stopniał, nie nie odpuściła; jakimże więc sposobem w zamarzelj, szronem zlodowaciałym okrytej ziemi, poczućby miały gąsienice kilkodniową zmianę temperatury, która nawet trzech stopni ciepła nie dochodziła, i to tylko w dzień, bo w nocy zawsze marzło? Czy nie wypadaloby raczej innéj szukać przyczyny, lub przypuścić że niekoniecznie te gąsienice kryjówki swe mają w otwartém polu?

Wiemy z doświadczenia, że lasy w niektóre lata napastowane bywają od różnego niszczącego iglaste drzewa owadu, tak dalece, iż pozbawione liści wysychać muszą. Nie raz postrzegałem pod odstającą korą takowych *sucho-stojów* mnóstwo drobnych owadów i poczwarek, a między niemi w wielkiej liczbie gąsienice omomiłka szarego: te za-

pewne nie pod korą się wylęły, lecz znęcone obfitym łupem, połowały na mniejsze gatunki; mogły więc, zachwycone wczesnemi mrozami tam zazimować, albo w czasie odligi zpod korzeni na drzewa wystąpić, a wtenczas porwane gwałtownym wichrem, mogłyby razem ze śniegiem spadać na przyległe pola.

Porównyując ten wniosek z opinią Degéera, więcej w nim prawdopodobieństwa znajdziemy, aniżeli w domysłach p. Blanchard'a, które się nie zgadzają ani z naszym klimatem, ani z okolicznościami jakie towarzyszyły spadowi gąsienic w Posopowie.

Podobne zjawisko, jak się później dowiedziałem, nietylko w Posopowie, lecz i o mil dwie dalej, między wsią Konstantynowem a wioską Łuhy zwaną, zauważone zostało na łąkach, polu i drodze, lecz w mniejszej ilości, także 24 stycznia.

Oprócz tego donieśli mnie jeszcze włościanie powracający z miasta Dyneburga (*Dünaburg*), iż w dniu 26 stycznia, przejeżdżając środkiem wielkiego Dryświatckiego (1) jeziora, widzieli nasypany czarnych robaków, rozsianych woprzek drogi, na obie strony rozległy jak tylko wzrokiem można było zasięgnąć.

To ostatnie zjawisko najlepszym będzie dowodem, że gąsienice zawsze są wiatrem naniecone, bo pewno nie z dna wody na powierzchnię lodu się wydobyły, a mając zwłaszcza wzgląd na jednoczasowość tych trzech faktów, postrzeżonych w znacznej od siebie odległości, łatwo się przekonamy, że i nazwisko *Telephorus* nie bezzasadnie od Schaeffera owadowi nadane zostało.

K. hr. Tyzenhauz.

W Postawach, 6 lutego 1849 r.

(1) Dryświatckie jezioro ma około siedmiu mil obwodu, leży o mil trzy od Dyneburga, a odległość jego od Posopowa wynosić może mil trzynaście w prostym kierunku.

Komu rzeczywiście należy się wynalazek suszenia i macerowania buraków cukrowych?

Pod napisem: *Sucre de betterave. Sur l'invention du procédé de la dessiccation des betteraves*, wyszła w Paryżu r. b. broszura, w której p. Kopczyński, tameczny chemik, udowadnia, że wynalazcą metody suszenia i macerowania buraków cukrowych nie jest, jak powszechnie sądzą, Niemiec Schutzenbach, lecz p. Nosarzewski, Polak od czterdziestu lat w Paryżu zamieszkały, który jeszcze w r. 1829 ogłosił tam rzeczony sposób wydaną u wdowy Huzard, przy ulicy *de l'Eperon nr. 7*, książeczką pod nap. *Améliorations à introduire dans la fabrication du sucre de betterave*. Wiadomo jak to ulepszenie jest ważnym: pociągnęło ono, mówi p. Kopczyński, zupełną zmianę w przemyśle cukrowym, stało się dobrodziejstwem dla rolników na mały rozmiar hodujących roślinę i sprawiło, że fabrykacya ciągnie się przez cały rok bez przerwy, gdy dawniej na sześć przynajmniej miesięcy, ze szkodą właścicieli fabryk, z nędzą robotników, zatrzymywać się musiała. P. Nosarzewski był tyle skromnym, że ogłaszając rzeczony postępowanie, nie wymienił się jego wynalazcą; wyznał tylko że pomysł swój winien właścicielom polskim, którzy w wielu okolicach Polski, suszą pod strzechą swoich chat brukiew, ażeby się w nią na zimę zaopatrzyć. Tymczasem, mówi p. Kopczyński, *Sic vos non vobis*: największa część znakomitych dzieł o chemii, przyznaje wynalazek p. Schutzenbach, który prócz tej chwały, używa praw patentu niemal we wszystkich Europy krajach. Ale to nie pierwsze, dodaje, przywłaszczenie sobie naszej chwały przez Niemców, i przytacza znajomy powszechnie spór co do rodowości Kopernika. Z pisemka p. Kopczyńskiego dowiadujemy się, że p. Nosarzewski ogłosił i więcej użytecznych wiadomości we Francyi, jakoto: O chowie pszczół w Polsce, O statku nieuległym zatonienu (*Vaisseau insubmersible*) i t. d.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

HISTORIA NATURALNA.

Omalius d'Halloy, *O geologicznych zmianach na okręgu ziemskim*. Wiadomo, że ziemia jest planetą, i krąży jak inne planety naokoło słońca; można przyjąć, że się ona składa z wewnętrznego jądra i trzech warstw spółśrodkowych. Najzewnętrzniejsza z tych warstw jest gazowa; stanowi ona atmosferę i składa się z wyziewów powietrznych i wodnych, obłoki, mgłę, deszcz, śnieg i grad tworzących. Według nowszych spostrzeżeń, które Bravais i Martins czynili, można przypuścić 115,000 metrów na grubość atmosfery; powietrze ulega prawu ciężkości; jest przeto tém rzadsze im się bardziej od powierzchni ziemi oddala. Woda, druga, wielorako poprzerwana warstwa tworzy morza, jeziora i rzeki, a w zimnych sferach śniegi i massy lodu. Woda okrywa więcej niż $\frac{2}{3}$ powierzchni ziemi; ję głębokość jest bardzo rozmaita, w niektórych miejscach nie dała się zgruntować. Autor rozróżnia trzy ję gatunki: słoną, słodką i mineralną wodę; ostatnia ze szczególnych tylko źródeł wynika. Trzecia i ostatnia warstwa jest stała i zdaje się całą ziemię okrążyć, chociaż w wielu miejscach pokryta jest wodą. W niej dają się dwa główne nagromadzenia rozróżnić: nagromadzenie ukształceń (formacyj) neplunicznych, uwarstwowane, i zazwyczaj mierzytelnie jak się z wód osadzały, jedno na drugim złożone, często

jednak skutkiem późniejszych podniesień i zawaleń, jedno przez drugie poprzerucane; jest ono bogatym w zwierzęce i roślinne szczątki najrozmaitszych rodzajów. Każdy wiek tych warstw neptunicznych właściwe sobie minerały przedstawia, odmienne według warstw tak między sobą, jak i w porównaniu z żyjącym dziś zwierzęcym i roślinnym światem. Nagromadzenie utworów plutonicznych leży najczęściej pod ukształceniami neptunicznymi; w wielu wszakże krajach występuje na wierzch i rzadko tylko bywa uwarstwowane, tworzy niezmiernie masy, których rozległość nie jest nam znana i najrozmaitszym sposobem masy neptuniczne przerywa.

Nie można wprawdzie dojść z pewnością, jaka jest grubość tej stałej warstwy ziemi; wszakże wiercenia, które pewno ledwie do głębokości 1000 metrów dochodziły, okazały powiększanie się temperatury z głębokością. Ale ta temperatura, nie wszędzie w jednakowej głębokości jest ta sama, lecz podług przewodnictwa ciał odmienna. Zdaje się przecieź, że w ogólności temperatura na 30 metrów głęboko, o jeden stopień Celsjusza podwyższa się; a zatem, jeśli to podwyższenie się zawsze ten sam zachowuje stosunek, w głębokości 200,000 metrów dochodzi ona do gorącości, która wszystkie stałe materje skorupy ziemskiej w roztopieniu utrzymuje.

Na tym wniosku opiera się przypuszczenie środkowego, ognisto-ciekłego, kulistego jądra ziemi, którego promień musiałby 6 milionów metrów wynosić. Wulkany dotąd jeszcze wyrzucające ognisto-ciekłe masy, które tężejąc, stają się głazami, a do tego kształt kuli ziemskiej przy biegunach spłaszczony, podpierają to mniemanie.

Ale póty rozciąga się granica dla geologa; astronomowie tylko dalej jeszcze zachodzą i stan gazowy za stan pierwotny ziemi przyjmują, z czegooby wypadało tłumaczyć, że sam jedynie ciepłik wywiązuający się przy przechodzeniu ze stanu gazowego w ciekły, sprawił tę wysoką temperaturę, która z początku była zapewne powszechną. Mniejsza gorącość przy obwodzie musiała ziębnienie powiększać i tworzyć zwolna stałą na powierzchni skorupę, zupełnie jak roztopiony metal przez promieniowanie ciepłika od powierzchni stygnie. Zja-

wiska meteorologiczne, podobnie jak burze, które powłokę lodową naszych mórz i jezior przełamują, porobiły przełomy albo wywyższenia tej skrzeplonej a po części osadami już okrytej skorupy ziemskiej, i tym sposobem powstały góry. Woda dotąd tylko w stanie pary będąca, stała się teraz kroplistociekła i żyjące jestestwa zaludniły ziemię. A lubo stygnięcie dopóty trwać musi, dopóki środkowy punkt ziemi nie dojdzie do tejże co jej skorupa temperatury, jednakże według praw fizycznych ziębnienie to następować musiało tém powolniej, im bardziej temperatura stałej powłoki na ziemi i temperatura atmosfery, do zrównania się zbliżały. Kiedy tak temperatura skorupy ziemskiej prawie się ustaliła, środkowe jądro codzien bardziej stygło i jak wszystkie ciała, ścigało się stygnąc; stopnie ostygania jądra a skorupy były bardzo odmienne; ztąd i zmiana w ich objętości niejednakową być musiała, przez co się znowu na skorupie tworzyć musiały fałdy, które częścią zwolna powstawały, częścią przy wielkiem wyężeniu nagle i gwałtownie rozerwane, spowodowały nowe zburzenia. Skutkiem tego gwałtownego tworzenia się fałd i rozedrzeń, powstały zapewne nasze wyższe góry, których porozpadana postać zgadza się z takowem mniemaniem. Jeśli zaś powstanie fałdy kolistej sferyczny kształt kuli ziemskiej nieco zmieniło musiało, to fałda następna prawie prostopadła do pierwszej, przywracała znowu kształt dawny, dogodniejszy obrotowemu poruszeniu; fałda trzecia szła znowu nie do drugiej ale do czwartej prostopadle i t. d.

Jednakże nasza znajomość skorupy ziemskiej nie postąpiła jeszcze tak daleko, ażebyśmy z pewnością mogli okazać rozmaite epoki tego powstawania fałd i podług nich zarysy gór rozgatunkować; wszakże Elias de Beaumont wskazał już w zachodniej Europie piętnaście następujących po sobie epok wyniosłości ziemskich. Do najstarszych z tych epok należy ósma, w której małe, od zachodu na wschód ciągnące się wzgórza koło Hainaut powstały. Jak wszystkie zfałdowania dawniejsze, tak i te nieznaczną mają wysokość, bo łatwo pojąć, że skorupa cienka jeszcze, musiała się daleko wcześniej zfałdować i wcześniej pęknąć, a tym sposobem pagórki tylko

utworzyć, gdy skurupa, która się grubszą stała, musiała stawić więcej oporu, tudzież otrzymać więcej rozległości a przez to znaczniejsze i gwałtowniejsze podniesienie sprawić, tak że najwyższe góry wyobrażają zarazem najmłodsze tego rodzaju utwory. Do takich należą wschodnie z Z. Półn. Z. na W. Połu. W. ciągnące się Alpy, ale nie góry Belgijskie. Rozległa dolina po której Sambra i Moza płyną, zdaje się od Maubeuge do Liège pochodzić z téj samej epoki, która wywołała Alpy wschodnie, jednakowy z niemi kierunek dzielące. Alpy zachodnie z Połu. Połu. Z. na Półn. Półn. W. biegnące, zdają się do wcześniejszój nieco epoki należeć; ich powstanie okazuje się jeszcze na brzegu Flandryi przez równoległe rzędy i od rozmaitych rzek zmoczone doliny, które, gdyby je wylew wody utworzył, nie biegłyby tak równoległe i prosto.

Która z tych epok wstrząśnień sprawiła wielkie, jako potop w biblii opisane, zniszczenie na ziemi, z trudnością oznaczyćby można, lubo wzniesienie się Alp należy zapewne do nierównie dawniejszych czasów, a przeciwnie niezmierny łańcuch Andów, prawie cały ląd stały Ameryki od północy na południe przerywający, według Eliasza de Beaumont, młodszego jest niż Alpy początku, i onto niesłychanem poruszeniem, które jego wystąpienie na wodę mórz wyrzucić musiało, potop mógł spowodować. Nawet co do możliwości przyszłych zburzeń na ziemi, domysły tylko tworzyć można: niektórzy geologowie chcą tę możliwość wyprowadzić z dotąd trwającego ziębnienia jądra ziemi, gdy inni każą się mniej lękać zburzeń silnych, nie przypuszczając nawet odłączenia się stygującego jądra od już ostyglój skorupy, a więc stałej kuli zewnętrznej częścią otoczonej, jak na Saturnie; zwłaszcza że takowe odłączenie, jak okazały czynne jeszcze wulkany i ziemni trzęsienia, dotąd nie nastąpiło. Gdy bowiem grubość teraźniejszój skorupy ziemi i jój stan licznymi trzęsieniami podmieniany, tworzeniu się wielkich fałd przeszkadza, coraz powolniej stygujące jądro ziemi mogłoby raczej pociągnąć zapadnienie, podobnie jak zapada się sklepienie, podczas czego w tym samym stopniu w jakim się łuk zwęża, niektóre kamienie sklepienia ulegają wypchnięciu; hipoteza, którą silnie

podpiera teraz jeszcze zachodzące powolne wywyższanie się rozmaitych krajów. Przez długi czas źle sobie tłumaczono to ostatnie zjawisko i uważano je za skutek ustępowania morza; gdy zaś poziom morza jest na wielu miejscach już od więcej niż 2000 lat w niczym niezmieniony, ustępowanie przeto morza w niektórych tylko zachodzących miejscach, nie mogłoby się pogodzić z prawami natury cieczom służącemi; oprócz tego wiadomo jest dzisiaj że postrzegane różnice, wynikają z wywyższania się rozmaitych części skorupy ziemskiej, a brzeg Skandynawii co wiek, przeszło na jeden metr się podnosi. Niektórzy geologowie porównywali to zjawisko z tworzeniem się fałd dawniejszych czasów przez które góry powstały, ale autor nie może zdania tego dzielić, bo te wznoszenia się nie idą długim ciągiem, lecz tylko na małych rozciągają się płaszczyznach. W Skandynawii zjawisko to ma swój najwyższy punkt wyniesienia w najpółnocniejszej części odnogi Botnickiej, i ztamtąd niża się zwolna ku południowi, a to w taki sposób, że na brzegu Skandynawii rzeczywiście znać zapadnienie: zjawisko, które daleko lepiej wytłumaczyć się daje zwężaniem się sklepienia, niżeli powstawaniem kolistej fałdy; a tym sposobem nie można zjawisk podwyższania się uważać za skazówkę poprzedniego wstrząśnienia ziemi, tylko owszem za znak ustalenia się skorupy ziemskiej.

Poczytano wprawdzie w nowszych czasach zjawiska lodnikowe za sprzeczne z teorią powolnego stygnięcia ziemi, lubo ciepło, jak wiadomo, nie tylko od równika ku biegunom ale i z wznoszeniem się nad poziom morza ubywa, tak że w pewnej wysokości kraina wiecznego śniegu powstaje. Zmiany temperatury pociągają tworzenie się na granicy śniegów niezmiernych mass lodu, które, jeśli grunt temu sprzyja, i pod granicą śniegów powiększają się, i niekiedy, jakoto w Alpach, aż do krainy lasów dochodzą. Na tych massach lodu zbierają się ułamki skał okolicznych które podczas topnienia lodu zamieniają się w guzowate wyrosty, w tak nazwane rumowiska (*moraines*). Lód topniejący od słońca, z piaskiem i żwirem zmieszany, wygładza i przeoruje massy skał po których się stacza, udzielając im przez to właściwego

wejrzenia, z czego, nawet gdy lodniki dawno już znikły, przeszłą ich bytność poznać jeszcze można. W nowszym czasie okazano że dawniej nierównie rozleglejszemi były lodniki, które całą Szwajcaryą dolną okrywały, a w Wogezach, gdzie teraz zupełnie znikły, niegdyś wysokie stogi tworzyły; sądzono nawet że możnaby ich ślady aż ku podnożu pasma wzgórzów Geldryi wykrywać, a ztąd wniesiono że między okresem tropikalnym, którego zwierząt i roślin szczątki w rozmaitych warstwach ziemi zagrzebane leżą, a terażniejszym, istniał okres zimny, w którym większa część ziemi lodem była okryta, lubo wszystkie jakie natrafić się mogą zjawiska, bez tej przymuszonej hipotezy dobrze wytłumaczyć się dają.

Temperatura powierzchni ziemi stosuje się, jak już powiedzieliśmy, do odległości miejsc od równika i do ich wyniesienia nad poziom morza; z czego muszą odmienne klimata wynikać. Europa zachodnia ma umiarkowańszy klimat, wyższe w przecięciu ciepło, aniżeli inne pod tą samą szerokością położone kraje, i zdaje się że ten cieplejszy klimat winna jest prądowi morskiemu, który gorące wody meksykańskiej zatoki na jej brzegi przypędza. Prąd takowy sprawia, jak się zdaje, międzymorze Panama; to zaś jest doliną wielkiego pasma Andów które, jak widzieliśmy wyżej, dopiero *po zachodniej Europie*, przez podniesienie powstało, a gdzie przedtem inny, nietyle co dziś łagodny klimat panował. Do tej przyczyny łączy się jeszcze zapewne ubytek wysokości gór naszych, bo masy, które przez podniesienie się i wyłamanie powstały, równie jak inne poruszone masy, mniej lub więcej długiego potrzebują czasu, ażeby się utłoczyć, czyli innemi słowy, zapaść.

Boussingault wnosi ze swoich nowych pomiarów, które porównywał z oznaczeniami wysokości, temu 30 lat przez Aleksandra Humboldta dokonanemi, równie jak i z upowszechnionego w kraju mniemania że wieczne śniegi zminiejszają się; iż Andy w Quito w historycznym czasie zwolna zapadły, a tym sposobem łatwo pojąć jak z powolnym ubywaniem wysokości gór, i temperatura ich łagodniejszą stawać

się, a granica śniegowa zawsze wyżej postępować musiała, chociaż w ogólności nie odmieniała się temperatura ziemi.

Nawet i rozproszenie narzutowych głazów Skandynawii nie dowodzi wcale, ażeby lodniki téj okolicy, od Holandyi dochodziły aż do stóp Uralu; prędzejby można przyjąć, że te głazy złożone zostały w czasie, w którym teraźniejsza powierzchnia ziemi wodą jeszcze była zalana, i że bryły lodu przybywające albo od lodników, wód, albo od brzegów Skandynawii, złożyły je na dnie morza, lub téż na południowe brzegi już istniejących krajów zaniosły, zupełnie tak, jak nasi żeglarze dotąd jeszcze nierzadko spotykają na morzach umiarkowanej strefy pływające lodu massy, które, podobnie tratwom, noszą na sobie ułamki skał z gór podbiegunowych. (*Fror. Not. nr. 128 z Bulletin de l'Acad. d. sc. de Belgique, 1847 nr. 12*).

* Desox, *O zależności pomiędzy zjawiskami narzutowych głazów w Europie północnej, a podniesieniem się Skandynawii*. Autor zwraca najprzód uwagę na własności narzutowych zjawisk północy, które się nie znajdują w Szwajcaryi. Są niemi: 1) znajdowanie się wygładzonych i wydrążonych powierzchni pod teraźniejszym poziomem morza; 2) obecność muszli morskich które się trzymają wygładzonych skał daleko od dzisiejszego poziomu morza; 3) znajdowanie się szczątków tychże skorup, w środku warstw potopowych, aż do wysokości 800 stóp; 4) ozary czyli wały z kamieni (1), zawierające muszle morza wschodniego.

Lubo tedy najmniejbtsze mamy dowody, że się Skandynawii ląd podnosi, są wszakże z drugiej strony fakta okazujące

(1) *Ozary* (Szw. *ösar*) sąto nagromadzone w kształt wału ułamki głazów, piasek, różne szczątki i t. p; na tych skałach Skandynawii, które potoki wód (może ze stopniałych kiedyś lodników pochodzące) powygładzały i poorały w epoce, jak wielu sądzi, tworzenia się głazów narzutowych. W przekładzie polskim geologii Beudanta, str. 279, dano im przez przybliżenie nazwisko *tam*, lecz niżej mylnie je nazwano *brózdami* i *zatamowanemi smugami* (?). Ozary na tych Skandynawskich skałach, są prawie tém co moreny (*rumowiskami* w pomienionym przekładzie nazwane), na lodnikach.

A. W.

zapadanie tegoż lądu. Znajdowanie się szczątków skorup do-
tąd jeszcze w sąsiedniém morzu żyjących pławów, a to w zna-
cznej wysokości albo niemalém oddaleniu od brzegu, jako
téz i nieskażone zachowanie się tych muszli, są ważnym do-
wodem i tego, że ląd się podniósł, i że te istoty leżą w miej-
scu dawnego pobytu swojego, bo zaniezione prądami i innemi
gwałtownemi środkami, byłyby pokruszone i porozrzucane.
Gatunki rurowek (*Serpula*) w Chrystyanii, i kaczennice (*Ana-
tifa*) w Uddewalla, które w znaczniém wyniesieniu nad mo-
rze skał się trzymają, czynią ten wniosek niewątpliwym
jeszcze.

Z drugiej strony, pąsy i brózdy, ciągnące się aż pod po-
ziom morza, wskazują niemniej pewno wyższe kiedyś poło-
żenie lądu, a nawet zwolennicy najrozmaitszych hipotez zga-
dzają się na to, że zjawiska narzutowe powstały w czasie,
w którym ląd był jeszcze przez morze zalany, bo lodniki mo-
gły się tylko nad powierzchnią morza formować. Postrzeże-
nia Martinsa okazują prócz tego, że lodniki na Szpicbergu
nie ciągną się pod wodą, że lód przy wyższej temperaturze
wody, jak daleko w zetknięciu z nią zostaje, raczój topnieje
i tym sposobem znaczną przestrzeń, wysokości wezbrania
odpowiednią, lodnik od powierzchni wody odłącza.

Jeżeli zaś, co autorowi zdaje się być należycie dowiedzio-
ném, wygładzone powierzchnie utworzyły się od niezmiar-
nych lodników, które narzutowe głazy daleko od Skandynawii
zanosły i dostarczyły materiałów na grunt potopowy i ku-
py kamieni, to i ląd musiał się tak wysoko nad wodę wzno-
sić, jak daleko zachodzą ślady wygładzenia i pocrania przez
lodniki. Gdyby się te zjawiska tylko w wysokości poziomu
morskiego okazywały, słuszenieby można nie wątpić, że Skan-
dynawia jest stałą; ale że one nad brzegami jej nieraz się
ciągną pod wodą, potrzeba koniecznie wnosić, że ten ląd
miał kiedyś większą wysokość. Znajdowanie się dobrze za-
chowanych muszli, wskazuje nam zarazem kolej tych wypad-
ków; kaczennice w Uddewalla na 200 stóp i rurówki w Chry-
styanii na 170 stóp wyżej powierzchni morza znajdowane,
okazują zbyt wyraźnie zapadnienie brzegów w tych miejscach;

okoliczność, że te zwierzęta na pooranych i wygładzonych skałach się zatrzymały, niemniej wyraźnie dowodzi, iż skały te, przed epoką stania się miejscem pobytu zwierząt pomienionych, były suche. Z tego autor wnosi, że 1) wygładzenie skał zaszło przed pojawieniem się na nich kaczennic i rurówek, i 2) brzegi Uddewalli i Chrystyanii, aż do rzeczywistej wysokości tych muszli, zapaść się musiały.

Ale pomienione muszle niejedynym są tego zapadnienia się dowodem; jeszcze w daleko znaczniejszej wysokości, nad pooranymi skałami w gruncie potopowym są łożyska muszli, których gatunki w ogółności należą do okolicy, i zapewne z dwoma tami spólcześnie żyły, świadcząc zarazem, że ląd wtedy najmniej o 800 stóp niżej leżał. To zamurzenie się musiało więc nastąpić pomiędzy epoką powstania brózd a ulawienia się gruntu potopowego. W czasie tym lodniki zeszły z płaskiego lądu, a przeniosły się w góry środkowe; morze zabrało niziny Skandynawii i przy murze jej gór obrało łożysko, którego granice możeby się dały oznaczyć w przybliżony sposób z ukazywania się potopowych muszli. Podobieństwo między narzutowymi głazami fińskimi a skandynawskimi, nastręcza przy tej okoliczności uwagę, że połączenie się odnogi Botnickiej z morzem Północnym wcześniej musiało nastąpić.

Przeciąg czasu, który upłynął między ustąpieniem lodników a zapadnięciem lądu morzem zalanego, nie da się oznaczyć; utrzymanie się zupełne gładkości pod gruntem potopowym, zdaje się jednak krótkość tego peryodu wskazywać. Nigdzie te doły i rysy wyraźniejszymi nie są jak tam, gdzie po oddaleniu się gruntu potopowego, na jaw wyszły i z pozakręglaniami, wpływem atmosfery rozłożonemi skałami, sprzeczność tworzą. Gdy zaś ten wpływ atmosfery nie był zapewne przedtem mocniejszy niż teraz, autor przeto wnosi z nieskażonego stanu wygładzonych powierzchni pod gruntem potopowym, że one przez krótki jedynie czas na atmosferę wystawione były. Wylew morza był zapewne jedną z czynnych, jeżeli nie stanowczych przyczyn zniknięcia wielkiego lodnika; potopowa fauna musiała przez to zimniejszy

przybrać charakter, bo lód topniejący ciepło wodzie koniecznie odbierał; powoli temperatura znowu się wzniosła, a z nią fauna wodna przyjęła nieznacznie terażniejszy umiarkowany charakter.

Na tę zalania Skandynawii epokę przypadać musi powstanie lawie mułu, piasku i żwiru: dowody przeszłego rozszerzenia się lodników. Siła bałwanów wywarła się na ten grunt ruchomy, szczątki żywych mieszkańców morza wyrzucone zostały na brzeg, gdzie się mieszały z potłuczonymi skał ułomkami i kwarcowymi kamykami; kamyki te, przez ocieranie się jeden o drugi, musiały się mniej lub więcej wygładzić, gdy tymczasem większe skał ułamki, jako cięższe, mniej się taczając, swój pierwotkowy stan lepiej zachowały. Że w Szwajcaryi, gdzie działanie wody było mniej natarczywe i mniej długie, znajdują się więcej zrysowane kamyki, temu dziwić się nie można.

Po téj zanurzenia się epoce, której trwania nawet w przybliżony sposób oznaczyć nie można, znowu się podniósł ląd Skandynawii. Brzegi wysokich okolic środkowych, doliny Szwecyi i Finlandyi, wynurzały się nieznacznie zpod wody i tenże sam muł i ten żwir potopowy, który im z lodników pozostał i który się ułożył w warstwy i ze szczątkami skorupowych zwierząt pomieszał, na powierzchnię wynosiły z sobą; tylko w dolistościach lądu pozostała woda; utworzywszy jeziora Szwecyi i Finlandyi razem z Botnicką odnogą. Ta ostatnia, przez wystąpienie środkującego lądu odłączona od oceanu, utraciła z czasem swą słoność, tak że jej fauna bardziej do lądowych wód niżeli do morza należy. Jeziora postradały zupełnie pierwiastek słony, a otrzymały wodę słodką. Niektóre ryby widać oparły się téj przemianie wody; łososiopstrąg (*Salmo trutta* L.) jezior szwedzkich, jest podług Esmarka, tylko podobnym łososiowi (*Salmo salar* L.) gatunkiem; a że łosóś nie wchodzi w jeziora, możnaby z tego wnosić, iż się ta ryba z odmianą miejsca mieszkania swojego aklimatyzuje. Podnoszenie się lądu, jak okazali Keilhau i Bravais pięknymi badaniami piasków morskich na Skandynawii brzegu, nie zawsze następuje razem. Wspomniane wyżej

ozary czyli wały z kamieni, które daleko na ląd zachodzą, naprowadzają na domysł, że dawniejsze brzegi zmieniały się jeden po drugim; Botnicka zatem odnoga była niegdyś rozleglejsza niż teraz, a wielki, dziś zamieszkały ciąg wybrzeżów, dopiero zwolna wzniósł się z wody.

Powolne ustępowanie wody należy po większej części do terazniejszej epoki, jak to okazują niezaprzeczone wewnątrz ozarów ślady istnienia człowieka. Prawdopodobieństwem jest nawet, że w okresie powolnego wznoszenia się, zamieszkiwał Skandynawia lud pierwotny, rasy całkiem, jak to widać z budowy jego kości, odmienniej, którezo szczątki, z kośćmi rozmaitych, w części wymarłych zwierząt, żubrów (*Bosurus*) i t. p. w pokładach torfu są zagrzebane.

Podniesienia się zatem Skandynawii, są okolicznością w badaniu narzutowych głazów bardzo ważną, tak jak znowu te ostatnie szacownych dostarczają oznak co do czasu i geologicznego stanu tych podniesień. Autor zarazem okazał, że te podniesienia nie do samego historycznego ograniczają się czasu, ale należą do daleko wcześniejszego potopowego okresu: że więc nie zachodziły nieprzerwanie, ale owszem w przerywany sposób, przyczem ląd zwolna podnosił się i znowu zapadał. Autor odróżnia trzy okresy główne: 1) epokę lodników, w której ląd wyższy był niżeli teraz; 2) epokę zapadnięcia równin Skandynawii, której skutkiem wystąpiło morze; i 3) okres podnoszenia się tych równin, który się jeszcze teraz ciągnie.

Każdy z tych okresów musiał mieć znaczną trwałość; z wolnego poruszania się lodników naszych czasów i z kilkuset milowego rozpostarcia się głazów i żwiru Norwegii, przypuścić można najmniej tysiącletni przeciąg téj lodnikowej epoki. I drugi okres niemniejszą musiał mieć trwałość, jak się to wniesć daje z istnienia, rozpostarcia się i zniknięcia innej fauny, której liczne szczątki znajdowały się na lądzie kiedyś zalanym. Okres trzeci obejmuje także i historyczną epokę, a w niej zamieszkiwało lądy obce pokolenie ludzi, których kości w torfowiskach zagrzebane leżą.

A zatem epoka lodnikowa nie do samego historycznego czasu naszej kuli ziemskiej należy, ale do długiego okresu, który jest pod względem geologicznym nader ważny, jako pośredni między przedpotopowym a historycznym czasem. (Ib. z *The Edinburgh new philosophical Journal. April to July, 1847*).

* Agassiz swój list do Humboldta pisany z Ameryki (z którego podaliśmy wyciągi w poprzedz. tomie Bibl. Warsz. str. 428), zakończy doniesieniem o swoich geologicznych tego kraju badaniach. Tak on jako i pan Desox z największą przekonali się pewnością, że stały ląd Ameryki, podczas narzutowych rozrzuć nie był wyższym jak teraz, i równie tu jak i gdzieindziej żadnego śladu warstw nie okazuje. Na ten grunt osadziła się później bogata w morskie minerały, uwarstwiana powłoka, w której jak w Uddewalla, prawie same nowe znajdują się gatunki; jeszcze później musiało trzęsienie ziemi fałowo poruszyć grunt, zamieszkały odtąd przez wielkie, dzisiaj wymarłe lądowe zwierzęta, *Mastodon giganteus* i t. p. Według tego narzutowe zjawiska należą jedynie do międzyaktu w długim szeregu przedhistorycznych wstrząśnięć ziemi, a więc mniema autor, że dalsze badania potopowego zalewu Ameryki, wyjaśnią kiedyś pierwsze wystąpienie rodu ludzkiego. (*Fror. Not. 98*).

Zoologia.

Dziennik *The Zoologist* z r. z. ogłasza nowo zdarzone ciekawe przykłady zmyślności psa domowego. W nrze 66 tego pisma, czytamy co następuje: Rodzina pewna z Quedgeley, o dwie mile od Gloucester mieszkająca, odpłynęła z Bristol do Nowego-Yorku, ażeby osiąść w zachodnich państwach Ameryki. Ludzie ci zabrali z sobą sukę z rasy jamników, która się w czasie podróży oszczeniła. Odległość od Quedgeley do Bristolu, wynosi mil 27; z Nowego-Yorku udała się rodzina na statku parowym Hudson, do Albany, mil 190; ztamtąd żelazną koleją do Shenectady, mil 15; a następnie gabarą do Syrakuz, mil 140. W tém ostatniem miejscu,

pies, z powodu nagłego odbicia od brzegu, zginął. Jeden z rodziny, skoro ta na miejscu przeznaczenia swojego stanęła, pisał do ojca w Quedgeley, donosząc mu o swoim przybyciu, a razem o stracie sukij, która gdy list czytano w Quedgeley, leżała tam spokojnie przed ogniskiem domu urodzenia i wychowania się swojego. Jakim sposobem wróciła, tego nikt nie doszedł. (*Fror. Not. 1848 nr. 145*).

W 64 nrze tegoż dziennika, opisane jest inne zdarzenie, o psie pewnego pastora w Anglii, usiłującym koniecznie wchodzić na kazalnicę za swoim panem, tak iż go musiano w niedzielę z rana zamykać do komórki, z kąd wszakże oknem wyskakiwał, a do kościoła i na ambonę przychodził. Z tego powodu zamknięto go jednej niedzieli do drwalni bez okna, tak iż nie mógł się ztamtąd, mimo wycie i skowyczenie wydobyć. Następnego tygodnia pies już w sobotę po południu zniknął. Pastor zakłopotał się jego zgubą, ale jakże się zdumiał, gdy nazajutrz wstępując na ambonę, postrzegł go przytulonego w jej kąci. Odtąd pozwala psu co niedziela do kościoła chodzić. (*Id. nr. 144*).

* Tamże znajdujemy przykład miłości macierzyńskiej szczura: samica straciwszy jedną łapę przednią w żelazie, drugą jeszcze trawę znosiła i zbudowała należyte dla swoich młodych gniazdo. (*Id.*)

* Tygrysy na Sumatrze, są najsilniejsze na świecie zwierzęta; gruchoczą z łatwością udowe kości konia i bawołu i nawet największą zdobycz bez utrudzenia w lasy zawłóczą. Z początku przestają zwykle na krwi zwierzęcia, które zamordowały, lecz za nadejściem nocy wloką je z sobą. Krajowcy umieją z okoliczności téj korzystać: narządzają przy zwłokach zwierzęcia mocny roztwór arszeniku; spragniony tygrys prawie zawsze się nim truje. Mieszkańcy Sumatry przypisują tygrysowi siłę czarodziejską, którą on swoją zdybacz więzi; jeśli przyjdzie pod drzewo, na którym wiele małp siedzi, tak się te zwierzęta popłoszą, że zamiast uciekać przed nim, spieszą lękliwymi skokami na gałęzie niższe, ażeby tym pewniej stały się łupem jego. Krajowcy niezmiernie się boją tygrysa; wierzą, że w nim przebywa dusza zmarłego czło-

wieka; podług nich istnieje osobne królestwo tygrysów; w bezludnej części Sumatry mieszka król, któremu każdy tygrys obowiązany jest od czasu do czasu o sobie i swoich czynach donosić. Pod noc widać wsie Sumatry otoczone wieńcem ogniów, bo wściekłość tygrysów, które już nieraz całe wioski wyludniły, jedna tylko obawa ognia hamuje. Łapią się te zwierzęta w doły zlekką nakryte, a na dnie ostremi kolcami najeżone: wpadają także w zastawione łapki, w których gniecie tygrysa spadający na niego ciężar. (*Id. nr. 144 z The Zoologist, nr. 66*).

* Jest pięć gatunków nosorożca znanych Chińczykom: jeden ma mieć trzy, drugi dwa, a trzy inne jeden tylko róg, lecz u wszystkich trzech w odmiennym położeniu: u pierwszego na nosie, u drugiego na czole, a u trzeciego na ciemieniu głowy. Jeden z tych jednorożnych nosorożców, od Chińczyków *ssa* nazwany, odznacza się błękitnawo-czarnym kolorem i głową kształtu siodła. De Paravey, który tej wiadomości udziela, sądzi, że Chińczycy rozumieją przez to zwierzę gatunek żyjący w Afryce, *Rhinoceros simus*, białawego koloru; i że o nim wiedzą tylko z powieści Arabów, albo téż z czasów, w których okręty chińskie odwiedzały jeszcze afrykańskie brzegi. Tém więcéj prawdopodobieństwa domysłowi temu nadaje następująca w starych chińskich książkach znaleziona, charakterystyka nosorożca, w ogólności zgadzająca się z opisem wrotosiercia (*Antilope oryx*), którego nazwisko to *oryx*, bywa tak często mieszane z *arisi*, znaczącém nosorożca etyopejskiego. W rzeczonyj charakterystyce, zwierzę ma kształt bawołu, głowę świni, ciało zsiadłe, tłuste, nogi krótkie, podobne słoniowym, stopy ze trzema kopytami. Język jest szorstki, skóra czarna i brodawkowata, z każdéj brodawki wyrastają trzy szczeciny. Zwierzę maćci nogami wodę, nim się jéj napije. (*Id. nr. 134 z Comptes rendus nr. 15, 1848*).

* W *Comptes rendus*, urze 8 z r. 1848 znajduje się skrócony opis badań p. Blanchard w przedmiocie organizacyi zwierząt miękkliwych ślimakowatych (*gasteropoda*), z rzędu *Opisthobranchii*. Co do organizacyi układu nerwowego

u zwierząt miękkich. nie okazano tu jeszcze téj jednostajności planu, która panuje w innych królestwa zwierzęcego grupek. Serres powołuje się wprawdzie na nią, ale dopiero gdy poznamy początek i bieg każdego nerwu z taką jak u czerwiów i owadów dokładnością, będziemy mogli coś stanowczego wyrzec w téj mierze. Według uowszych badań, przyjmujemy zwykle, że ślimaki mają 6 do 8 ganglionów wkoło pokarmowego kanału, lubo u innych nie znajdujemy więcej nad 2 lub 4.

U ślimaków z rzędu *Opisthobranchii* (*Nudibranchii*, *Inferobranchii* i *Testibranchii* Cuviera), środki nerwowego układu na czworo podzielić można: 1) mózg, albo gangliony mózgowce; 2) gangliony szyjowe; 3) gangliony okolicy brzusznej czyli nogowe, i 4) gangliony okolic serca i skrzel, *ganglia branchio-cardiaca*.

W rodz. *Gasteropteron*, należącym u Cuviera do oddziału *Testibranchii*, od mózgowych ganglionów nerwy idą tylko do przedniej części głowy, gdy trzy inne gangliony opatrują nerwami muskuły jój bocznej i górnej części; tak iż te trzy gangliony, możnaby nazwać dodatkowemi mózgowemi. U *Bullaea acera*, jeden jest tylko, a najwięcej dwa przydatkowe gangliony, bardziej już spływające się z sobą. U innych to spływanie się wyraźniejszem jest jeszcze: muskuły bocznej i górnej części głowy otrzymują nerwy pozornie wprost od mass mózgowych, w rzeczy samej zaś z ganglionów przydatkowych, które z tamtymi się spłynęły. Gangliony szyjowe, które zwykle nieco głębiej od mózgowych leżą, tworzą z obu dwu stron mocny, równoległy z kanałem trawienia, do dołu idący pień nerwowy, który z ganglionami okolicy serca i skrzel w związku zostaje. Gangliony szyjowe u ośad (*Aplysia*) znaczną mają wielkość i są słabo trzyklapkowe, przez co jeszcze oznajmiają połączenie trzech, w rodz. *Gasteropteron* rozłączonych.

U welp (*Aeolidia*) i pądrów (*Doris*) ześrodkowania nerwów nikną pozornie; staranne tylko śledzenie odkrywa ich ślady. Nerwy szyi i serca zdają się tu wprost z tylnej części ganglionów mózgowych wynikać; szyjowe gangliony tak wy-

rażnie u wielu ślimaków poroźlączone, tu więc z mózgowemi spłynąć się musiały.

Ześrodkowania nerwowe, uważane przez Cuviera jako gangliony nogi, u ślimaków z grzebieniastemi skrzelami, tworzą jedyną masę wpośród mięśniów nogi; w rzedzie *Opisthobranchii* mięśnie brzuchowe są mniej rozwinięte; i dlatego gangliony nogi mniej znaczne. W niektórych rodzajach (*Aplysia*, *Bullaea*, *Gasteropteron*) leżą one pod ganglionami szyi wyraźnie poroźlączone; u węp zbliżają się bardziej do ganglionów mózgowych; naostatek u tych, u których ześrodkowanie wyraźniejszem jest jeszcze, jak u pądrów, spływają się z ostatniemi.

Gangliony kanału pokarmowego, których nerwy do przyrządu trawienia idą, są już oddawna znane; autor jednak wskazuje jeszcze dwa inne, połączone z niemi przez delikatne nitki nerwowe; leżą one z obudwu stron aorty, i do niej samej rozpuszczają nitki. Nerwowy układ trzewiów jest tu więc taki jak u owadów, mimo niejednakowe położenie części oddzielnych.

Przyrząd wątrobowy u węp, pod względem rozporządzenia swojego, rozmaitym się okazał; niektóre nągoskrzelne zdają się wszelką wątpliwość rozwiązywać. Od wielkiej wątroby u czernitw (*Thethys*), ciągną się nader delikatne nitki do skrzeli; tu się już przeto zaczyna rozbieg wątrobowego układu, lubo jeszcze massa u większej części ślimaków zwyczajne zachowuje położenie. U dwuchlin (*Diphyllidia*), u których rozgałęzienia wątrobowe takie są jak u węp, już jedna część wątroby otacza kanał trawiący: dwuchliny tworzą więc drugi pośredni stopień.

Nawet i układ krążenia u węp, względem którego taka jeszcze różność zdań panuje, godzien jest nowego, o ile można dokładnego zbadania. Autor upewnił się przynajmniej, że arterye do rozmaitych rozchodzące się organów, są należycie rozwinięte. Wszystkie wtryskiwania, które z wielu gatunkami przedsiębrał, okazały, że się znajduje należycie rozwinięta przedkomórka i w mniejszej lub większej liczbie naczynia do skrzeli biegnące. Naczynia te są u niektórych gatunków tak

liczne, że tworzą prawdziwą siatkę; u wszystkich, które autor badał, gatunków, mają one osobne ściany, dają się nawet odosobnić; nie sątożatém proste kanały, jak u czernitw. U pądrów skrzela leżą z tyłu serca, przez co naczynia sercowo-skrzelowe mają mniejszą długość. Naczynia do skrzel prowadzące, są tu zawsze w bezpośrednim związku ze czczościami śród organów; nie mają nawet właściwych ścian, a jeśli, je mają to tylko w śladach; jednakże najpiękniej się rozgałęziają, i w wyrazisty ograniczone są sposób przez tkankę mięśniową lub inną. Wszystkie te zwierzęta miękkie są wien pozbawione; żywiący płyn, który arterye do organów ciała prowadzą, wylewa się, jak Quatrefages okazał, w ogólną jamę ciała; tym sposobem krew obmywa wnętrzości, wiska się w naczynia do skrzel wiodące, a ze skrzel, naczyniami skrzelo-sercowemi (*vasa branchio-cardiaca*) powraca nazad do serca. (*F.N.* 1848 nr. 127).

* Wszystkie ukwiały (*Actinia*), które Holland badał, miały 4 spółśrodkowe okręgi czulków; liczba czulków we dwóch pierwszych okręgach była równa, lecz podwajała się w trzecim, gdy znowu w czwartym była podwojeniem liczby trzeciego. Jeśli ostatni w środku okrąg miał np. 5, to i najbliższy otaczający go miał tyleż czulków, które się w odstępach pierwszego okręgu mieściły. Że więc powstawało dziesięć odstępów, trzeci okrąg miał dziesięć czulków, które znowu w swoje 20 odstępów przyjmowały 20 czulków ostatniego okręgu. Skoro zatém wiadoma jest liczba jednego jakiegokolwiek okręgu, można tém samém dojść liczby czulków w innych. Czulki najwewnętrzniejszego okręgu łatwo można porachować skoro się ukwiał rozwijać zaczyna; trzy następne okręgi rozwijają się kolejną, dopiero później. Liczba i umieszczenie czulków odpowiada zupełnie liczbie i rozkładowi komórek także naprzemian leżących, jak podobnież rozwijanie się czulków w ściślejsz zostaje zależnościami z ukształcającymi się zwołna rzędami komórek w jamie ciała. Pierwsze pięć komórek, jak wnosi autor z uważania rozwijającego się gatunku *Actinia pelucida*, powstaje z pięciu par przegród, jamę ciała rozdzielających; z górnej nakrywki tak utworzonych komórek roz-

wija się najwewnętrzniejszy okrąg czulków. W pięciu szero-
kich odstępach pomiędzy temi komórkami, ukazuje się nieco
później 5 nowych komórek, które znowu w 5 czulków prze-
chodzą. Komórki tych dwóch pierwszych szeregów są wielkie
i łatwo dające się poznać po mocy swoich przegród. Odstęp-
y dziesięciu już będących komórek, zwążają się, a w zwą-
żonych powstaje dziesięć par przegród, w które przypada
dziesięć nowych komórek, pomiędzy komórkami pierwszego
a drugiego utworu leżących, i te przedłużają się w trzeci
okrąg czulków. Między temi ostatniemi dziesięciu, a dziesię-
ciu dwóch pierwszych szeregów, znajduje się 20 odstępów,
w których powstaje 20 komórek ostatniego szeregu a z nie-
mi ostatni okrąg czulków. Komórki dwóch ostatnich szere-
gów są węższe, a nadto po mniej wyraźnych przegrodach
poznać się dające. Przegrody te nie są już w nich przy
podstawie zwierzęcia zupełne: raczej znikają, skoro wyjdą
z okręgu, gdy dwa szeregi utworzonych najpierw, nawet
przy podstawie aż do środka dochodzą. (*F. N. nr. 111 z L'In-
stitut 1847, nr. 730*).

* Członek Tow. entomologicznego francuzkiego, p. Hen-
ryk Jekel, mieszkający w Paryżu (Fontaine Molière, 20), w lu-
tym b. r. rozesał do kolegów swoich prospekt, którym za-
wiadamia, że podał do druku katalog chrząszczów wołko-
watyh (*Curculionites*), wymieniający wszystkie ich rodzaje
i gatunki opisane w wielkiem dziele Schoenherra i dodatkach
do niego, tudzież nowe rodzaje i gatunki wołkowatyh pro-
storoznych (*Orthocères*), jakie do chwili wyjścia katalogu
ogłosi dzieło pp. Labram'a i Imhoffa. Cena okazu téj nieodbi-
cie dla entomologów owady zbierających potrzebnej książki,
wyniesie na miejscu 3 fr.

W tymże prospekcie p. Jekel donosi, że zamierza niedługo
wydać książkę doręczną dla kurkulionistów (*Manuel du Cur-
culioniste*), w której będą monograficznie opisane rodzaje
i gatunki chrząszczów pomienionej rodziny. Opisy będą w je-
zyku łacińskim, w stylu Schoenherr'a: modyfikowane tylko
co do tych, które ostatni już opisał, a nowe co do tych, któ-
rych jedynie dyagnozę podał. Wiadomo, że liczba wołkowa-

tych, dziełem Schoenherra i dodatkami do niego objętych, dochodzi 7,500. Widać że p. Jekel, właściciel jednego z najbogatszych zbioru chrząszczów téj rodziny, opisze ich daleko więcej, kiedy w jego zbiorze liczba gatunków z samego rodz. *Hypsonotus*, dochodzi do 80, gdy Schoenherr tylko ich 43 wyliczył.

P. Jekel podejmuje się prócz tego, oznaczać w cudzych zbiorach gatunki téj rodziny, żądając 15 franków od oznaczenia stu gatunków: ułożyć je, nakleić drobne na papierkach, popodpisywać, ujednostajnić śpilki i t. p. ze ścisłością, jakiej przykład jego własny zbiór przedstawia.

Z prospektu p. Jekla, gorliwego jak widać, entomologa kolektora, dowiadujemy się, że liczba znanych po terażniejszy rok uczonym europejskim chrząszczowatych owadów, doszła już 25,000 gatunków. Wszelkie wyrachowania okazują, że wólkowate są zawsze szóstą częścią wszystkich, zatem powyższa liczba, może i powinna do dwojga tyle wzrosnąć! P. Jekel, biorąc na uwagę sprzedaże w ostatnich czasach, najznakomitszych zbiorów entomologicznych, jakoto Dejean'a, Reiche'go (którą kupił de la Ferté) bogatkowatych (*Buprestides*) p. Gory (także de la Ferté kupił), Dupont'a (z którego niedostawne (*Heteromera*) kupił de Brême, wólkowate sam p. Jekel, a całą resztę p. Mniszech) wyprowadza zład ciekawy i użyteczny dla entomologów wnioski, że owady w zbiorach, jakąkolwiek cechę zupełności i szacunku noszących, to jest, czyto zupełnych (jeśliby takie były), czy w zupełności jaką pojedynczą rodzinę przedstawiających, czy zbiór zupełny (najliczniejszy) gatunków jakiego kraju a nawet okolicy tylko obejmujących, a zawsze ściśle i naukowo oznaczonych, czy naostatek typy jakiego dzieła powszechnie znanego składających, bez krzywdy sprzedającego i kupującego, tak dziś cenione być powinny, ażeby za każdy gatunek przypadło po 2 franki. Według więc téj zasady, zupełny zbiór owadów chrząszczowatych, który, jak już powiedzieliśmy, 25,000 gat. wynosi, szedłby w cenie 50,000 franków.

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1847.

WROCLAW.

172. Jeografia powszechna Dr. C. G. D. Steina, według najnowszych zasad przerobiona, przez Dr. Ferdynanda Hörschelmann, przełożona dla użytku młodzieży polskiej z dwudziestego drugiego wydania niemieckiego, poprawionego przez Dr. Karola Wagnera. Z mapą. 8ka. Wrocław, 1847. Drukiem i nakładem Wilhelma Bogumiła Korna. Str. VI i 411. Złp. 7.

1848.

WARSZAWA.

93. Starosta Mitosławski czyli uczucie własnego honoru. Obrazek z czasów Jana Sobieskiego, oryginalnie skreślił Alfons Niżelski. 12ka. Warszawa. 1848. Nakładem autora. Druk Jaworskiego. Napisów kart 3, str. 274. i kart 7. Złp. 5.

1849.

WARSZAWA.

Do nru 10 Kroniki z r. 1849.

23. O własności, przez Adolfa Thiers. Część II, 12ka. Warszawa. 1849. Napisów kart 2, str. 241 i rejestru str. VI. 2 tomy. Złp. 10.

24. Siedm grzechów głównych przez Eugeniusza Sue. Tom IX X. Oddział 3. Gniew. (Pod drugim tytułem): Głównia piekielna, przełożył O. S. 12ka. 2 tomy. Warszawa. 1849. Nakład i druk S. Orgelbranda. T. I, str. 210. II, 179. Złp. 6 gr. 20.

25. Uwielbienia Maryi albo wykład antyfony Salve Regina, z dodaniem opisu główniejszych cnót Najświętszej Panny Maryi i modlitw przez niektórych świętych na cześć jęj napisanych, wyjęte z dzieł śgo Alfonsa de Liguori i dla użytku wiernych z języka francuzkiego na polski przetłumaczone. 16ka. Warszawa. 1849. Druk Ungra. Str. 366. (Z ryciną). Złp. 6 gr. 20.

26. Wiązanie dla moich wnuków. Pierwiastki czytania jako zachęta do nauki, przez T. Dziekońskiego, b. dyrektora gimnazyum. (Z 24 rycinami). 16ka. Warszawa. 1849. Druk Strąbskiego, nakład Merzbacha. napisów kart 4, str. 221 i rejestru karta 1. Złp. 8.

27. Wykład praktyczny chorób zębów i ich leczenia, przez Jana Anns. 8ka. Warszawa. 1849. Druk Strąbskiego. Str. 51 i rejestru karta 1. Złp. 1 gr. 20.

28. Wykład praktyczny języka francuzkiego, czyli najłatwiejszy sposób szybkiego nauczenia się mówić po francuzku. Wydał Alexander Matuszewski nauczyciel prywatny języka francuzkiego. Część pierwsza. 8ka. Warszawa. 1849. Nakładem wydawcy, druk Jana Jaworskiego. Str. 114. Złp. 3 gr. 10.

W I L N O.

29. Powiastki, Opowiadania i dwa fragmenta poetyczne, z przydaniem kilku poezyj wiejskich Józefa Korzeniowskiego. 2 tomy. 12. Wilno. 1849. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Tom I. str. 269. II, 275. Złp. 15.

*Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

Lamartina „Zwierzenia się”, przekład Leona Rogalskiego, wydrukowano tom Iszy, a Pamiętników Szatobryanda wyszło dotąd dwa tomy.

Druk dzieła M. Grabowskiego p. n. „Artykuły literackie, krytyczne i artystyczne” (dalszy ciąg Literatury i Krytyki, Korrespondencji i t. d.) wkrótce ukończony będzie nakładem i drukiem Orgelbranda.

Michał Wiszniewski autor Historji Literatury Polskiej, miał we Włoszech zupełnie wzrok utracić. Wykładał on aż do miesiąca maja 1848 r. w Jagiellońskim uniwersytecie w Krakowie literaturę polską; następnie wzięwszy uwolnienie, udał się do Medyolanu i Genui, gdzie dotąd przebywa.

We Lwowie Rusin Ustianowicz przełożył z polskiego dramat Józefa Korzeniowskiego Karpaccy górale, pod tytułem: „Werchowncy Beskiediw”. Wielu przyjaciół sceny stara się tam o urządzenie ruskich widowisk,

Józef Łukaszewicz pracuje nad dziełem: „Historja szkół w Polsce, aż do zawiązania się Kommissyi Edukacyjnej. Dzieło to, owoc kilkunastu lat pracy, ma zajmować około 60 arkuszy druku i wkrótce rozpocznie się druk jego.

Pierwszy zeszyt „Roczników Tow. naukowego krak.” już wydrukowany. Zawiera: Mowę Mayera; Jabczyńskiego, o synodach polskich; Mayera o terminologii lekarskiej, i Sztallera o wpływie sztuk pięknych na wychowanie. Drugi zeszyt zaraz wyjdzie.

Od roku 1847 wychodzi w Wiedniu zbiór pamiętników, umiejętnościom przyrodzonym poświęconych, pod przewodnictwem Hajdingera, p. t. *Naturhistorische Abhandlungen*. W tomie Iszym znajdują się liczne rozprawy, poświęcone mineralogii i paleontologii, a prócz tego są także geologiczne, zoologiczne i botaniczne. Pomiedzy ostatnimi odznacza się praca Jacentego Łobaczewskiego, p. t. *Muscorum frondosorum species novas halicienses*. Opisał on następujące gatunki: *Omalia Besseri*, z Lisienic pod Lwowem; *Hypnum politnechroon* z Żelaznej Wody pod Lwowem *Leskea Polenburgii*, w lasach bukowych Bieskidów stryjskich; *Hypnum intortoplicatum* z Lisienic; *Leptohyemium elaiochloron* w Bieskidach nad Stryjem i Latorczą.—P. Kner dał rozprawę: *Ueber die beiden Arten Cephalaspis Lloydii i Lewisii*, Agassiz, pochodzących z wapieniów przechodowych pod Zaleszczykami. Wreszcie znajduje się bardzo ciekawa rozprawa, objaśniona rycinami p. Joachima Barrande: „O skamieniałościach formacji przechodowej w Czechach.” Wypracowane są w niej muszle dwuskorupne, należące do rzędu *Brachyopodów*. W r. 1834 znany był tylko jeden gatunek z tego rzędu, a Barrande opisuje ich 175.

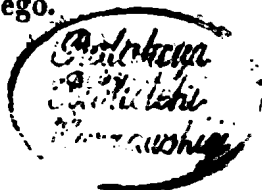
Dziennik *Słowenski Jug* wychodzący w Agramie, daje w feletonie jako nowość tłumaczenie Pana Podstolego. — *Narodne Novini*, dziennik wychodzący w Pradze, jest największy.

W Bochni wyszedł Iszy poszyt *Historji naturalnej*, i zaczyna się od mineralogii.

L. Zejszner pracuje nad Mineralogią, która zawierać będzie do 50 arkuszy druku.

Biblioteczny gmach w Krakowie już jest ukończony, i tego lata wprowadza do niego książki p. Muczkowski. Sale są przepyszne; trudno o coś ładniejszego. Szafy są zrobione w stylu gotyckim, a malowania odpowiadają im. Teraz trzeba będzie drugą połowę restaurować.

Naktadem księgarni Bernstejna, w litografii Hirszla, wyszły: *Dwa Mazury do śpiewu*, z komedyo-opery „Okreżne.” Słowa są Józefa Korzeniowskiego, muzyka J. Stefaniego.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Luty 1849.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7
względem południka paryzkiego.

| Data | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Stredn. dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | | |
|------|--|-----------|-------------|-------------|---------------------------|-----------|-------------|-------------|---|--------------|--------------|---------------|---------------|-----------------|---------|---------|---------|--|-------|------|
| | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | dé- | śnie- | |
| | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | | godz. rano | godz. rano | godz. wiecz. | godz. wiecz. | god. r. | god. r. | god. w. | god. w. | szczu | gu | |
| 1 | 743.87 | 744.17 | 743.53 | 746.88 | -10.9 | -6.6 | -1.6 | -1.2 | 100. | pochmurny | śnieg prusz. | śnieg b. gęś. | chm. podz. | Pd. | Pd. | Z. | PnZ. | | 4.4 | |
| 2 | 750.10 | 753.21 | 757.40 | 762.02 | -2.9 | -1.0 | -4.3 | -6.0 | 100. | pochmurny | pochmurny | pogodny | pochmurny | Pn. | Pn. | PnW. | PnW. | | | |
| 3 | 764.81 | 766.52 | 766.09 | 765.76 | -8.4 | -6.5 | -10.8 | -18.3 | 100. | pochmurny | pr. pochm. | pogodny | pogodny | PnW. | PnW. | Z. | Z. | | | |
| 4 | 761.32 | 762.36 | 757.18 | 751.62 | -18.4 | -11.2 | -3.6 | +0.2 | 100. | pogodny | pogodny | pochmurny | krupy i dész. | Pd. | Pd. | Z. | Z. | | | |
| 5 | 751.12 | 750.72 | 749.88 | 753.20 | +0.4 | +1.6 | +0.2 | -1.2 | 96.2 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pr. pogod. | Z. | Z. | Z. | Pn. | | 2.0 | |
| 6 | 757.77 | 759.07 | 761.36 | 763.06 | -2.9 | -0.2 | -3.6 | -9.5 | 94.0 | pogodny | pochmurny | pogodny | pogodny | Pn. | PnZ. | Pn. | - | | | |
| 7 | 761.78 | 761.46 | 758.39 | 757.23 | -9.9 | -3.3 | -1.0 | +0.5 | 99.5 | pochmurny | pochmurny | dészcz drob. | dészcz drob. | Z. | Z. | Z. | Z. | | 0.3 | |
| 8 | 755.12 | 755.45 | 755.08 | 754.82 | +0.6 | +1.3 | +0.7 | +0.9 | 95.7 | pochmurny | mglisto | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | | |
| 9 | 753.16 | 752.72 | 750.70 | 754.66 | +0.2 | +0.6 | +0.2 | -0.6 | 98.0 | pochmurny | pochmurny | śnieg gęsty | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | 2.4 | |
| 10 | 757.53 | 759.55 | 760.24 | 755.51 | -0.4 | +1.2 | +0.7 | +0.1 | 90.7 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | PdZ. | | | |
| 11 | 753.51 | 753.07 | 751.19 | 752.94 | +1.4 | +2.2 | +1.4 | +0.6 | 93.0 | dészcz | napót pog. | napót pog. | pr. pogodny | Z. | Z. | Z. | PnZ. | | 2.0 | |
| 12 | 754.68 | 755.81 | 756.14 | 757.52 | -1.9 | -0.4 | +0.8 | 0.0 | 95.0 | pogodny | pogodny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | PnZ. | PnZ. | PnZ. | | | |
| 13 | 758.20 | 759.57 | 759.37 | 759.14 | -1.1 | +0.1 | +0.2 | -0.8 | 96.2 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Pn. | PnZ. | Z. | | 0.2 | |
| 14 | 756.61 | 756.50 | 753.92 | 748.79 | -1.3 | 0.0 | +1.1 | +0.3 | 95.7 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | śnieg drob. | Z. | Z. | Z. | Z. | | 0.3 | |
| 15 | 744.40 | 753.86 | 746.48 | 748.67 | +0.6 | +1.0 | +0.6 | -0.2 | 97.2 | śnieg | pochmurny | pochmurny | pogodny | Z. | Z. | Z. | PnZ. | | 1.6 | |
| 16 | 742.68 | 742.82 | 744.95 | 753.60 | +2.7 | +3.7 | +5.0 | 0.0 | 87.8 | dészcz drob. | pochmurny | pr. pochm. | pogodny | Z. | Z. | PnZ. | Pn. | | 3.6 | |
| 17 | 755.15 | 754.31 | 750.95 | 754.27 | -2.1 | +0.2 | +2.4 | +1.8 | 86.7 | pogodny | mgła lek. | pochmurny | pogodny | Z. | Z. | Z. | PnZ. | | | |
| 18 | 754.80 | 752.37 | 747.74 | 745.31 | +1.0 | +2.2 | +4.1 | -2.9 | 95.0 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | dészcz | Z. | Z. | Z. | Z. | | 1.0 | |
| 19 | 748.28 | 749.69 | 742.74 | 740.18 | +2.5 | +3.4 | +3.9 | +4.9 | 100. | pochmurny | pochmurny | pochmurny | dészcz | PnZ. | PnZ. | PdZ. | Z. | | 6.4 | |
| 20 | 735.74 | 736.46 | 739.20 | 737.51 | +4.8 | +2.0 | +3.4 | +1.3 | 85.0 | pr. pogodny | napót pog. | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | PnZ. | Z. | | 1.6 | |
| 21 | 729.33 | 729.40 | 732.57 | 735.94 | +0.2 | +1.3 | -0.2 | -2.4 | 98.5 | śnieg drob. | pochmurny | pochmurny | pr. pogodny | Z. | Z. | Pn. | PnZ. | | 2.2 | |
| 22 | 738.11 | 737.91 | 735.50 | 729.57 | -2.7 | -0.6 | -0.5 | -0.8 | 98.7 | napót pog. | napót pog. | śnieg gęsty | pochmurny | Z. | Z. | PdZ. | Pd. | | 3.2 | |
| 23 | 727.17 | 729.57 | 738.78 | 742.18 | +0.8 | +1.4 | -0.2 | -0.7 | 89.7 | pochmurny | pochmurny | napót pog. | pochmurny | Z. | PnZ. | Z. | Z. | | 0.8 | |
| 24 | 744.60 | 745.77 | 744.38 | 741.35 | -0.8 | +0.7 | +2.2 | +1.5 | 91.2 | pochmurny | pr. pogodny | pochmurny | napót pog. | Z. | Z. | Z. | Pd. | | | |
| 25 | 741.04 | 742.85 | 744.23 | 744.96 | +2.3 | +3.1 | +3.3 | +1.1 | 75.7 | pochmurny | napót pog. | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | Z. | - | | | |
| 26 | 742.50 | 741.58 | 742.24 | 743.23 | +0.8 | +2.1 | +6.5 | +2.9 | 94.5 | pochmurny | dészcz drob. | napót pog. | pr. pogodny | PdZ. | PdW. | Z. | PdZ. | | 1.0 | |
| 27 | 742.60 | 743.64 | 746.88 | 751.43 | +3.3 | +6.5 | +2.3 | -0.2 | 86.2 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pr. pogodny | PdZ. | Z. | Z. | Z. | | | |
| 28 | 756.50 | 757.75 | 757.76 | 755.47 | -0.4 | +0.7 | +1.2 | -1.1 | 93.2 | pochmurny | pochmurny | napót pog. | pogodny | Z. | PdZ. | Z. | Pd. | | | |
| Sre. | 749.430 | 749.935 | 749.810 | 750.386 | -1.55 | +0.20 | -0.52 | -0.86 | 94.0 | | | | | | | | | | 17.9 | 13.1 |

| | mm. | c. | l. |
|--|------------|----------|----------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 749.891 | 27 | 8.424 |
| Najwyżej dochodził — d. 3 o 10 g. r. | 766.52 | 28 | 3.796 |
| Najniżej — — d. 23 o g. 6 r. | 727.17 | 26 | 10.351 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 5.70 | | 2.53 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 23—24 o g. 6 r. | 17.43 | | 7.73 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat | 0.734 | | 0.325 |
| poprzedzających | 750.625 | 27 | 8.749 |
| Średnia temperatura Lutego wynosi: | — 0°.42 C. | — | 0°.34 R. |
| i ta jest wyższą o | 2.84 „ | | 2.26 „ |
| od stanu średniego z 23 lat | | | |
| poprzedzających | — 3.26 „ | — | 2.60 „ |
| Największe ciepło dochodziło d. 26 i 27 o g. 4 w. i 10 r. | + 7.5 „ | + 6.0 „ | |
| Największe zimno d. 4 o g. 6 r. | — 18.4 „ | — 14.7 „ | |
| (Termometrograf wskazał | | | |
| Maximum: + 6.°0 R. d. 26 | | | |
| Minimum: — 15.°3 R. d. 4 r.). | | | |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 3.11 „ | | 2.49 „ |
| Największa zmiana dzien. d. 4—5 o g. 6 r. | 18.8 „ | | 13.4 „ |

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 94.0 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 4,95 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z deszczu spadło wysoko na 17.9 millim. czyli 7.94 linij paryz.; z śniegu 15.1 milim czyli 6.69 linij paryz., razem 33.0 millim. albo 14.63 linij paryz., to jest o $\frac{1}{3}$ więcej jak w stanie normalnym.

- Dni pogodnych było 0; napółpogodnych 12; pochmurnych 16:
 — deszczu 10 (d. 4, 5, 7, 10, 11, 18, 19, 20, 26, 27).
 — śniegu 10 (d. 1, 5, 9, 13, 14, 15, 16, 21, 22, 23).
 — mgły 4 (d. 3, 8, 17, 26).
 — krup 2 (d. 4 i 20).

Luty r. b. był ciepły, niepogodny, słotny, co do temperatury zmienny. Średnia temperatura miesięczna jest o 2.6 stop. R. wyższa od normalnej. Pierwsze cztery dni były mroźne i dwa dni 7 i 8; potem powietrze było łagodniejsze; osobliwie od d. 18. Stan powietrza przy częstych zmianach temperatury, częstych deszczach i wichrach był taki, jak zwykle u nas bywa w miesiącu marcu. W dziesięciu tylko dniach temperatura dzienna była niższą od zera, a przez 18 dni, termometr stał wyżej zera. Najcieplejsze dni były: d. 16, 18, 19, 20, 25, 26, 27; najzimniejsze d. 1, 2, 3, 4, 6, 7. Zmiana temperatury ośm razy miała miejsce, to jest: d. 5, 9, 10, 14, 21, 23, 24, 28. Dwa dni 20 i 21 odznaczały się silnym wichrem zachodnim, połączonym z gradem i śniegiem, który się kilka razy przez dzień ponawiał.

Wichrów było 7, to jest Z=3; PnZ=4.

Wiatr panujący Zachodni.

Dnia 18 i 27 widziana była zorza północna.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Luty 1849.

RYS HYDROGRAFII
KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Z WIADOMOŚCIĄ O SPŁAWACH.

SKRĘŚLIE.

Ludwik Wolski.

Wody, które będąc jednym z największych działaczy natury, tyle wpływają do jéj historyi, a w zastosowaniu do potrzeb towarzyskich, tyle nam pod rozmaitemi względami przynoszą usług; wody te, ze wszechmiar godne bliższego zastanowienia, dotąd nie są u nas szczegółowo opisane, nie mamy żadnego pisma, któreby dokładny zbiór wiadomości o nich obejmowało. Wprawdzie mamy mapy, lecz one pokazują nam tylko gdzie się wody znajdują, pokazują kierunek wód biegnących; ale nie pokazują stanu wód i tych usług, jakie pod rozlicznymi względami oddają lub oddawać mogą.

Akta władz właściwych są tu jedyném i obfitém źródłem; rozrzucone więc po nich wiadomości o wodach zebrałem w całość, i tam tylko, gdzie one niezupełnie rzecz wyjaśniały, lub nie obejmowały wiadomości, któ-

re zresztą dla władz mogły być obojętnymi, zamieściłem szczegóły wyjęte z pism drukiem ogłoszonych, lub otrzymane od osób miejscowość znających, a na zupełną zasługujących wiarę. Tym więc sposobem pismo to, gruntujące się głównie na źródłach urzędowych, jest pewne, a uważane jedynie tylko jako Rys, a nie dokładna hydrografia, sądzę, że temu dostatecznie odpowiedzieć może. Hydrografia wykazać powinna każdy nieledwie krok wody: wskazać jaka jest w każdym miejscu szerokość nurtu, głębokość, wysokość brzegów, obfitość wody; gdzie rzeka prosto płynie, a gdzie i jak zawraca się; jakie w każdym miejscu mogą być jej zastosowania, gdzie mianowicie wymaga uregulowania i jakiego, i t.d. Lecz takie zbadanie i wystawienie stanu wód, nie może być dziełem poszukiwań pojedynczej osoby; niniejszy więc Rys, chociaż jeszcze wymagający uzupełnień, ogłaszam drukiem w tym głównie celu, aby osoby posiadające bliższe w tej mierze szczegóły, raczyły poczynić stosowne uwagi dla uzupełnienia go. Tym tylko sposobem przyjść możemy do posiadania dokładnego opisu wód krajowych.

Rzeki, co na barkach swych tyle płodów przenoszą, nadają życie tylu zakładom przemysłowym, i te nawet, co oczekując jeszcze na przysposobienie do takowych usług, lub nie mogąc być do nich zastosowanemi, używiają grunta i niosą ochłodę zlanemu potem rolnikowi; wody mineralne, co tyle skutecznego wpływu na zdrowie ludzkie wywierają; jeziora i znaczniejsze stawy, co nas tak obficie płodami swemi zaopatrują; bagna i trzęsawiska, a naostatek szczegółowe wiadomości o spławach, wszystko to stanowić będzie przedmiot tego pisma.

Rzeki najwięcej przynoszą usług, zastosowanie ich jest najrozleglejsze, liczba ich samych największa: one więc najwięcej zajmą naszą uwagę. Dla dokładnego wystawienia korzyści z nich, wypadaloby obok wykazania użycia ich do spławów, wyliczyć i zakłady przemysłowe, jakim one nadają życie; lecz w takim razie pismo to odbiegłoby przeznaczenia swego, i byłoby także statystyką przemysłową: bo zbyt szczupła jest liczba takich zakładów przemysłowych, coby obejść się mogły bez pomocy wody, czyto w stanie naturalnym, czy w kształcie pary działania swe wywierającej. Ograniczymy się więc tylko na wykazaniu zastosowania rzek przy zakładach górniczych.

Przed przystąpieniem do opisu wód krajowych, wspomniemy pokrótce o wodach w ogólności i o położeniu kraju pod względem topograficznym. Położenie takowe wielki ma związek z przedmiotem pisma tego, bo od niego zależy prędkość biegu rzek, szerokość ich łoża, dogodność do spławu i t. p.

● wodach w ogólności.

Woda rozlana na powierzchni ziemi w niezmiernych massach, przez działanie atmosfery ustawicznie paruje z mórz, jezior, rzek, bagien, a nawet z całego przyrodzenia ziemnego. Tym sposobem ogromna ilość ulotnionej wody wznosi się w powietrze, w niem się rozpuszcza, przenosi się z wiatrami, studzi się, ulega wpływowi elektryczności, i w skutek tych rozmaitych wpływów, przechodząc ze stanu lotnego w ciekły, tworzy mgły, obłoki, chmury, które przesycone wodą, znowu ją ziemi wracają w postaci deszczów, nawałnic, ulew i t. p.

Spadająca woda w części sływa po powierzchni ziemi, tworząc strugi i potoki chwilowe, a w części wsiąka w przenikliwą powłokę ziemi, tę przenika aż do warstw nieprzepuszczających, i na nich zbiera się lub sływa kanałami podziemnymi, mniej więcej rozległymi, do samego morza, albo wydobywa się na powierzchnię ziemi, gdzie tworzy źródła i strumienie. Te łącząc się następnie, dają początek rzekom, które z kolei zlewając się z sobą, niosą ogromne masy wód morzom, albo zaparte niekiedy w swoim biegu, tworzą gdzieś ogromne jeziora, jak morze Kaspjskie, Martwe, Aral i inne.

Przenikając i przepływając różne warstwy mineralne i solne ziemi, woda przy wpływie temperatury wewnętrznej, bądź naturalnej, bądź wulkanicznej, rozpuszcza je w części i unosi z sobą; potem albo ukazuje się z nimi na powierzchni ziemi w postaci wód mineralnych i słonych, tyle użytecznych i zbawiennych dla człowieka, albo też nie znalazłszy nigdzie otworu, rozpuszczone w sobie części osadza, albo też podziemnymi kanałami prowadzi aż do samego morza. Woda w morzach tak obfitą w istoty mineralne, jak sól i inne podobne, tę swoją własność temu winna, że z morza zawsze paruje woda zupełnie czysta; w łożysku więc jego pozostają wszystkie istoty przez napływ wód ziemskich naniesione, a oprócz tego oplukuje ono także złożone na dnie swym ogromne masy istot mineralnych i te rozpuszcza.

Ileto dobroczynnego wpływu woda wywiera, ileto usług przynosi!

Wzbiwszy się nad ziemię w kształcie niedojrzałej pary, unosi się potem nad lądami w postaci obłoków, okrywa je swym cieniem, cieniem koniecznym potrzebnym dla swobodnego działania i rozwinięcia życia w isto-

tach organicznych; łagodzi palący wpływ promieni słońca, które chociaż ją same wzbudziły, jednak bez niej mogłyby zniszczyć całą organiczną przyrodę; udziela orzeźwiającej wilgoć powietrzu, spada słodką i dobroczynną kroplą płynu w postaci deszczu, zrasza całe roślinne królestwo, i wnet rozdziela się, że tak powiem, na dwie części: jedna z tych wchodzi w żyjące istoty i krąży w nich razem z krwią i sokami; druga wsiąka wewnątrz planety, tworzy podziemne strumienie i ogromne wodzbiory, a wydobyta na wierzch ziemi, czasem wynosi rozpuszczone w sobie środki lekarskie, a w ogóle wije się małym strumykiem i zasila roślinność, dostarczając jej wilgoci. Później stawszy się rzeką obszerną, znowu powraca do oceanu, by powtórzyć ten sam ruch, te same zmiany, toż samo dobroczynne działanie.

Jakże zbawienne jest działanie wody na całą roślinność, na całą przyrodę ziemską, a obok tego, ileto pod innymi względami przynosi usług! Zastępuje ona siłę tysięcy rąk, lub roznosi z kraju do kraju zdrowie, obfitość i bogactwo.

Wszakże jak wszystko użyteczne na ziemi stać się może szkodliwem, gdziekolwiek stawi się jakaś sprzeczność prawom przyrodzenia: tak i woda przy takich dobroczynnych działaniach wyrzuci śmierć z łona swojego, jeżeli prawa nieustannego ruchu, zakrészłone dla niej przez naturę, zostaną naruszone albo miejscowymi przeszkodami, albo niedbalstwem i ciemnotą mieszkańców ziemi. Przerwawszy wstrzymujące ją zapory, często wystawia nadbrzeżnych mieszkańców na ogromne straty, a stojąca woda, szczególnie w gorących klimatach, wpływając na rozkład istot organicznych, sprawia niezdrowe wyziewy, któremi napełnione powietrze, staje się zabójczem dla człowieka.

Zjawiska u nas rozlanéj wody w atmosferze, przedstawia Karta klimatologiczna m. Warszawy, ułożona przez profesora Wojciecha Jastrzębowskiego; tu przytoczymy z niej niektóre postrzeżenia, związek z wodami mające.

Ilość parującej wody. Ilość parującej wody zmienia się razem z temperaturą, to jest: największa jest w lipcu i w porze południowój, najmniejsza w styczniu i w porze porannej, pośrednia w kwietniu, październiku i w porze wieczornój. Średni jój stan roczny wynosi około 16 linij par.

Ilość wody w powietrzu. Powietrze najwięcej nasycone jest parą wodną w sierpniu, najmniej w styczniu, pośrednio w maju i październiku; a zatém fenomen ten klimatologiczny, spóźnia się po fenomenie poprzedzającym o miesiąc w porze wiosennój i letniój, a idzie razem z nim w porze jesiennój i zimowój; średni zaś stan jego roczny wynosi 30 decygrammów na $\frac{1}{2}$ metra kubicznego, czyli 6 grammów na cały metr.

Wilgoć. Najwięcej jest suchy m. maj; najwilgotniejszy listopad; pośredni marzec i wrzesień. Średni stan hydrometryczny wynosi 85^0 hydr. Saus. i jest taki jak w marcu i wrześniu, czyli w czasie porównań dnia z nocą.

Stan nieba, czyli stosunek czasu pogodnego, wątpliwego i słotnego. Średni stan roczny tego fenomenu klimatologicznego jest taki, że pogoda ma się do czasu wątpliwego i słotnego prawie jak 50:40:10, czyli jak 5:4:1, czyli jak 15:12:3. W sierpniu stosunek ten jest prawie jak 19:9:3, w listopadzie jak 9:17:4 i t. d. W ciągu dnia pogoda zmienia się podobnie jak temperatura i parowanie wody, a odwrotnie jak wilgoć; słońca

zaś jednakowy czas zabiéra w porze rannój i południowej, a przeszło dwa razy mniejszy w wieczornój.

Ilość spadającej wody z powietrza. Bezpośredni skutek słoty czyli obfitości dészczu i śniegu, raz jest większy, drugi raz mniejszy od ilości wody wysychającej; ale jednak w przecięciu z całego roku przewyższa ją o $\frac{1}{5}$, albowiem ma się do niej prawie jak 20:16 czyli 5:4.

Wezbrania Wisły, będące skutkiem fenomenu poprzedzającego, przypadają u nas w sierpniu, kiedy właśnie najwięcej spada wody z powietrza i najwięcej znajduje się w niém pary wodnej; najmniejsze powodzie mają miejsce w grudniu, czyli w miesiącu, w którym niewiele spada wody z powietrza, i woda ta po większej części jest w stanie śniegu, a zatem nie może spływać do rzék.

Wiatr czyli ruch atmosfery, bezpośredni skutek ciągłego powstawania pary wodnej nad morzem, a skraplania się jój w stosunku przemagającym nad lądem, wieje u nas najczęściej ze strony S. W. (południowo-zachodniej) ku stronie przeciwnój, to jest północno-wschodniej.

Ciśnienie powietrza czyli stan barometryczny. Zmiany jego są skutkiem zmieniającej się rozprężliwości i gęstości pary wodnej, a następnie prędkości i rzadkości powietrza. Ciśnienie to jest najmniejsze w kwietniu i z rana, największe we wrześniu i wieczorem.

WYKAZ LICZEBNY GŁÓWNYCH WYPADKÓW, SŁUŻACYCH ZA ZASADĘ DO POWYŻSZYCH TWIERDZEŃ.

| Miesiąc | Ilość średnia wody parującej w liniach par. (admedometr) | Ilość pary wodnej zawartej w 1 metrze kub. w grammach | Wilgoć średnia w stopniach hydrometru Saussura | Średni stan nieba | | | Ilość średnia wody spadłej w liniach par. (udometr.) | | | Wezbranie Wisły największe | Wiatr panujący | Ciśnienie powietrza średnie | | | |
|----------------------------------|--|---|--|-------------------|---------------|-------|--|----------|-------|----------------------------|----------------|-----------------------------|---------------|----------|-------|
| | | | | pogoda | czas wątpliwy | słota | z deszczu | z śniegu | razem | | | stóp par. | strona świata | cale | linie |
| | | | | | | | | | | | | | | paryzkie | |
| Styczeń | 3,1 | 3,42 | 90,9 | 11,3 | 17,0 | 2,7 | 4,5 | 5,7 | 10,2 | 11,8 | S. W. | 27 | 8,47 | | |
| Luty | 5,2 | 3,68 | 88,7 | 12,0 | 13,2 | 2,8 | 4,5 | 4,3 | 8,8 | 12,1 | S. | 27 | 8,28 | | |
| Marzec | 8,4 | 3,97 | 85,9 | 14,7 | 13,3 | 3,0 | 5,2 | 5,3 | 10,5 | 13,8 | S. | 27 | 8,23 | | |
| Kwiecień | 16,0 | 5,11 | 80,7 | 18,3 | 9,0 | 2,7 | 11,6 | 0,4 | 12,1 | 16,7 | S. W. | 27 | 8,05 | | |
| Maj | 26,3 | 6,63 | 77,5 | 18,7 | 9,3 | 3,0 | 24,0 | — | 24,0 | 9,2 | S. S. O. | 27 | 8,76 | | |
| Czerwiec | 32,0 | 8,35 | 78,7 | 18,7 | 8,3 | 3,0 | 30,9 | — | 30,9 | 10,4 | S. W. | 27 | 8,63 | | |
| Lipiec | 35,2 | 9,54 | 80,5 | 17,7 | 10,1 | 3,2 | 36,1 | — | 36,1 | 13,2 | S. W. | 27 | 8,27 | | |
| Sierpień | 30,0 | 9,81 | 82,3 | 19,3 | 8,7 | 3,0 | 39,4 | — | 39,4 | 19,3 | S. W. | 27 | 8,87 | | |
| Wrzesień | 20,1 | 8,28 | 85,6 | 18,0 | 9,3 | 2,7 | 23,6 | — | 23,6 | 14,4 | S. W. | 27 | 9,18 | | |
| Październik | 11,0 | 6,40 | 88,7 | 16,3 | 12,2 | 2,5 | 12,0 | — | 12,0 | 12,3 | S. | 27 | 8,66 | | |
| Listopad | 5,3 | 5,30 | 92,1 | 9,3 | 17,2 | 3,5 | 12,3 | 4,8 | 17,1 | 8,8 | S. | 27 | 8,74 | | |
| Grudzień | 4,0 | 4,00 | 91,6 | 9,6 | 17,7 | 3,7 | 7,5 | 6,2 | 13,7 | 8,2 | S. S. W. | 27 | 8,19 | | |
| Z rana | 9,2 | 5,72 | 91,3 | 14,1 | 12,4 | 3,6 | — | — | — | — | S. W. | 27 | 8,43 | | |
| Po południu | 26,5 | 5,60 | 75,7 | 15,9 | 10,6 | 3,6 | — | — | — | — | S. W. | 27 | 8,54 | | |
| Wieczorem | 13,3 | 6,26 | 88,6 | 15,6 | 13,1 | 1,6 | — | — | — | — | S. W. | 27 | 8,61 | | |
| Średnie wypadki roczne | 16,3 | 6,00 | 85,2 | 15,2 | 12,0 | 2,9 | 17,6 | 2,2 | 19,8 | 19,3 | S. W. | 27 | 5,528 | | |

Położenie topograficzne kraju.

Od najniższych brzegów Bałtyckiego morza, a zatém i od północnej granicy kraju, aż po ujście do Wisły rzek Pilicy i Wieprza, rozciąga się rozległa równina. Ta jest wszędzie samym tylko napływem różnego zwi-ru, glin, skorup, kamieni, kości, piasku, ilu, marglu, które pędem wód zkądinąd brane, zkądinąd przenoszone, tu składane były.

Tu jest pełno ostatków, ułomów różnego rodzaju i gatunku, z różnych krajów, różnych stref morskich i ziemskich roślin i zwierząt; są ostatki takich nawet zwierząt, których ani gatunku, ani rodzaju już niéma nigdzie na terazniejszym wierzchu ziemi.

Tu po tych zsepowych równinach leży niezmierne mnóstwo granitów, porfirów, gnejsów, wielkie składy bursztynów i drzew, których wierzchowiska pospolicie na północno-zachód są zwrócone; a w różnej głębi leżą także różnego rodzaju i gatunku dziastrwiny, płazy morskie, małże, których rodzaju ani gatunku niéma już w żadnym morzu, i takie, których gatunki mnożą się dziś tylko w morzach gorących stref.

Więc ta cała równin zsepna płaszczyna, zwracając uwagę na upłynione wieki, jest dawnych światów, poprzednich nas jestestw, rodzajów i gatunków pomieszaną zwałiną, smutnym grobowiskiem.

Przeszedłszy Pilicę, zmienia się ten cały poziom, zaczynają się ukazywać coraz insze ziemie, wcale insze świata wierzchy. Zdaje się, jakby jedna ciągła, niezmierna góra szła coraz wyżej, stopniami jedne po drugich sadziła grzbiety. Tak, gdy zero wodoskazu war-

szawskiego wzniesione jest na 237, to już grunt kościoła Ewangelickiego w Warszawie na 338,2 stóp par. nad poziom morza Bałtyckiego; miasto Kielce wzniesione jest nad tenże poziom na 830, m. Pilica 940, m. Olkusz 1200, Sławków 1220 stóp paryzkich.

W przestrzeni ziemi zawartej górami Tarnowskiemi w Szląsku, rzeką Pilicą i Wisłą, wznoszą się albo oddzielne grzbiety gór, jak pomiędzy Przedborzem, Małogoszczem, Chęcunami, Kielcami, Daleszycami, Łagowem, Opatowem, Bodzentynem, Małachowem, Niekłowem; lub grupy gór, stanowiące najwięcej wzniosłe położenie, przecięte mnóstwem przepaści, rzék i strumyków.

Linia idąca od m. Przedborza na Radoszyce, Końskie, Skarzyno Kościelne do Ostrowca, i po rzece Kamienną aż do ujścia jej do Wisły, dzieli tę krainę na dwie części: północną, po większej części równą, gdzie tylko same mniej znaczne wyniosłości spostrzegać się dają na płaszczyznach; i południową, pokrytą znacznymi górami, przechodzącymi po wznoszącej się miejscowości oddzielnymi łańcuchami albo gruppami gór, które łącząc się z sobą, nadają jej charakter górzystych okolic. Pierwszą przeryniają rzeki: Czarna, z wpadającymi do niej strumieniami; Drzewiczka, przyjmująca Węglankę, Brzuszną; Radomka, Kamienna. Nie przedstawia ona ani znacznych wzniosłości, ani głębokich przepaści. W drugiej, to jest południowej, liczne rodzą się rzeki; koryta ich po większej części wąskie, brzegi wzniosłe i kręte, bieg czasem bardzo bystry, rwący.

Tutajto znajdują się najwyższe, strome szczyty gór: Łysicy, u podnoża której klasztor Śtój Katarzyny, i Łysiej albo Śto-Krzykiój. Łysica, położona na północ Krajna w powiecie opoczyńskim, według obserwacji ba-

rometrycznych, wykonanych jednocześnie z astronomicznymi, wierzchołek swój wznosi na 1530,423 stóp par. nad poziom sali Obserwatorium warszawskiego, a 1961,82 stóp par. nad poziom m. Bałtyckiego. Łysa pod Słupią Nową w opatowskim, na 1813 stóp par. nad poziom morza wzniesiona, leży pod 50° , $53' 35''$, $28''$ szerokości geograficznej. Łańcuch gór, zaczyna się w południowej części powiatu opoczyńskiego dwiema nieznacznej wysokości gałęziami: jedna idzie od Miedzierza przez Pempicę, Bobrzę do Zagdańska; druga mniej wysoka lecz szersza, składająca się z osobnych wzniosłości, zaczynających się pomiędzy Małachowem i Wąsoszem, idzie na południe przez Kamienną Wolą, Rasiejówkę ku Zagdańskowi, gdzie łączy się z pierwszą. Obie gałęzie odtąd stanowią jeden łańcuch, ciągnący się na wschód na Krajno, Nową Słupię do Opatowa, nie dochodząc którego znacznie się zniża i ginie we wzniosłej miejscowości. Od tego łańcucha gór obok Kajetanowa, od góry Wiszniówki, oddziela się dosyć wysoka i kręta gałąź, idąca półkolem ku Bodzentynowi, gdzie znowu z nim połączywszy się, tworzy przeciętą kotlinę, całą prawie pokrytą lasem. Na północ między wsiami Skarżysko Xiążęce, Błoto i Łęczna, leży grupa znacznych wyniosłości, których część na południe wsi Mostki, tworzy w środku błotnistą kotlinę, zawierającą kopalnię żelaza. Ciągąc się na wschód i na północ, wzniosłość ta zniża się, a połączywszy się z gałęzią idącą od Małachowa do Zagdańska, ciągnie się do Końskich, Gielniowa, Szydłowca, gdzie już przedstawia tylko nieznaczne pagórki, zajmujące przestrzeń między Końskimi i Radoszycami.

Drugi łańcuch począwszy się od Przedborza, nieznaczniemi wzniosłościami ciągnie na Małogoszcz, Kielce,

Daleszyce, Bogoryą; ma kierunek piérwszego, od którego oddalony na 2—3 mil, tworzy wzniosłą równinę, przerniętą rzeką Czarną. Od Chęcín, góry te przernięte doliną rzeki Bobrzy i wpadającemi w nią strumieniami, w większej części swój rozległości pokryte są zasianemi polami; następnie między małemi strumykami, leży gruppa skał pokrytych lasami, idąca od Daleszyc; za nią zjawiają się znaczne wzniosłości także pokryte lasem aż do rzeki Czarnéj, odkąd znizywszy się, pokryte uprawną ziemią i łąkami, idą około Iwanisk, Bogoryi i giną we wzniosléj płaskości. Obadwa te łańcuchy gór zbliżając się do Wisły i rozszerzając w stronie południowo-wschodniéj, dają początek licznym rzekom wpadającym do Wisły, i tworzą nadzwyczaj przeciętą miejscowość, znaną pod nazwiskiem gór Sandomierskich.

W piérwszym łańcuchu, najwyzszy punkt góry przy Występie za Zagdańskiem leży na 1279 s. p. nad poziom morza; najwyzsza góra pomiędzy Zagdańskiem a Kielcami 1215; Miedziana góra 984; szczyt Kamiennéj góry około Miedzianéj 1225; wieś Zagdańsko 1025; Krajno 923; miasto Bodzentyn 893; m. Nowa Słupia 862; Łągów 922; wieś Miłków pod Ostrowcem 756; m. Opatów 615; wysoka, spadzista płaszczyna przy wsi Włostów około Opatowa 813; m. Klimontów 612 koryto rzeki Wisły pod Sandomierzem około 400 stóp.

Łańcuch drugi mniej jest wyniosły od piérwszego; największa jego wysokość na Zamkowej górze pod Chęcínami sięga 1135 stóp par. nad poziom morza; najwyzszy punkt na zamku chęcínskim 883; miasto Chęciny leżące w kotlinie gór, wzniesione jest na 861; m. Kielce na 830 stóp. par.

Idąc wierzchołkami samych litych gładów gór Sto-Krzyżkiej i Ś. Katarzyny aż do Kielc, nagle w okolicach tego miasta przy Chęcinach, Bolechowicach, Miedziankach, Miedzianej górze, spotyka się kresa, na której kończą się skały gładów, a poczynają opoki wapienne; od niej na południe poczynają się wszystkie nasze kopalnie miedzi, cynku, ołowiu i srebra. Żaden z tych kruszców kresy tej nie przekracza na północ, gdy przeciwnie ruda żelazna jeszcze i za nią ku południowi się przeciąga.

Zapewniwszy się z Łysiej góry na południe ku Rakowu, widać w okolicach Łagowa gęsty ślak kamiennych zlepów z drobnego gładu, jaspisu, kwarcu; spotykać się daje także mnóstwo krzemieni. Wnet znachodzi się kresa, co skały gładów od opoki wapiennej przedziela; zaczyna się z głębi ziemi wydobywać wapno warstwowe, czarny i szary margiel, a o pół mili dalej pod Rębowem, wszczyna się pas wielkiej płaszczyny piasków. Pas ten szeroki na mil 7, zachodzi aż po ujście Nidy; minawszy Staszów, przechodzi Wisłę i ciągnąc się potem między Zaklikowem, Sieniawą, Tomaszowem i Rawą, w okolicach Mostów przeprawia się przez Bug i chowa się w wołyńskim Polesiu. Ten wielki pas piaszczystego zamiecia, zdaje się być odnogą stepu tych niezmiernych piaszczyk, co od Olkusza nieprzerwanie ciągną podgórzem Szląska, a usypawszy Brandenburgią i Pomeranią, giną w morzu.

Od Nidy na zachód spotykamy drugą grupę gór, którą właściwie nazwać należy płaską wzniosłością. Ta na wschód zamknięta jest rzeką Nidą, Mierzawą i źródłami Pilicy, na zachód Czarną Przemszą i Wartą; południową jej część przecinają parowy i rzeki, płynące po głębokich, krętych dolinach. Zniżając się stopniowo

ku północy, wzniosłość ta ginie nareszcie z biegiem rzeki Warty.

Szczególniej wzniosły tu jest grzbiet idący od Krakowa na Skalę, Pilicę do Częstochowy; a przecięty licznymi parowami, przedstawia mnóstwo oddzielnych skał, znacznie wzniesionych nad poziom morza. Około Ogrodzienca, gdzie dochodzi najwyższej swęj wzniosłości, góra Podzamcze leży na 1,473 stóp ponad poziom morza; miasto Pilica 940; m. Żarnowiec 801; m. Olkusz 1200; szczyt góry przy wsi Krzykowa na północ Sławkowa 1220; wieś Niemce pomiędzy Sławkowem i Modrzejowem 957; koryto rzeki Przemszy w zlewie Czarnęj Przemszy z Białą 722; koryto Białęj Przemszy w Sławkowie 850; wieś Gołonóg na północ Będzina 982; szczyt góry Dorota przy wsi Grojec 1230; wieś Targomin przy Siewierzu 1294 stóp par. nad poziom morza.

Otóż mamy położenie ziemi zawartęj rzekami Przemszą, Pilicą i Wisłą. Jestto krajec ziemi najciekawszy u nas, tak ze względu swego położenia, jako i zabytków starożytności, i hojnie uposażony przez naturę. Z wierzchu obsypany jest w znacznej rozległości gliną marglową, rodzącą pszenicę; wewnątrz obficie złożone tu: żelazo, miedź, ołów, cynk i węgle.

Przecięcie kraju z lewéj strony Wisły w trzech kierunkach: od Krakowa do Warszawy, rzeki Brynicy do Krakowa i Kozichłów do Zawichostu, przedstawi mająca się późniéj dołączyć tablica.

Wspomnieliśmy już, że i po prawéj stronie Wisły kraj cały aż do rzeki Wieprza jest równiną; od téj dopiero rzeki idąc na południe, spotykamy małą wzniosłość, będącą krańcem pasma gór, które idąc od Wołoch

ku zachodowi, przechodzą około Zawałowa, Lwowa, Krynicy, Krasnegostawu, Goraja i Kraśnika, a między Zawichostem i Rachowem połączonemi wodami Wisły i Sanu przerwane, ciągną dalej na Sandomierz, Iwaniska i łączą się z górami Śto-Krzyżkiemi. Pasma to kilkadziesiąt mil długie, wszędzie jest wapienne, a okryte gliną zmieszaną z ziemią roślinną albo wapnem, rodzi pszenicę. Tu m. Lublin wzniesione jest nad m. Warszawę o 204,06 stóp par.; a że Warszawa leży na 351 stóp par. nad poziom morza, więc Lublin wzniesiony jest nad poziom morza 555,16 stóp par.

Tak spojrzawszy na powierzchnią kraju, przystąpmy teraz do opisu wód.

● rzekach.

Królestwo Polskie liczne posiada rzeki. Wszystkie czyto w dalekich stronach zrodzone, czyto téż tu w kraju swój początek biorące, pod rozmaitemi względami wielkie niosą usługi. Te, co zwiedziwszy miast i osad wiele, nie przestając na domowej zagrodzie, biegną w obce kraje, aby tam połączywszy swe wody z wodami morza, spełnić swe przeznaczenie: te na barkach swych przenoszą w dalekie zamorskie okolice tak wiele cenne płody naszego kraju. Inne skromniejsze w swych dążeniach, są tylko albo kanałami ułatwiającemi dostawę produktów dla pierwszych, albo są siłą nadającą życie zakładom przemysłowym, albo téż mierném zwilżaniem użyzniają grunta i przyczyniają się do obfitości plonów ciężkich prac rolnika.

Trzy rzeki: Wisła, Niemen i Warta, zabrawszy z sobą znaczną ilość wód z różnych stron, w różnych kie-

runkach do nich zlewających się, oddzielnemi korytami wpadają do morza. Wisła, ta królowa rzék polskich, która tyle wód i płodów naszych Bałtykowi składa, pierwsze zajmie w tym opisie miejsce; po niej opisemy cały jój zlew, i dopiéro w podobnym sposobie przystąpimy do rzék Niemna i Warty z ich zlewami. Tak więc przyjmujemy nastépnny porządek: I. Wisła. II. Rzeki spławne w zlewie Wisły. III. Inne rzeki spławne wpadające do Wisły wraz ze swemi zlewami. IV. Rzeka Niemen i jój zlew, V. Kanał Augustowski. VI. Warta i jój zlew; nakoniec VII: Ogólne uwagi o rzekach spławnych i o spławach.

Naturalnym porządkiem rzeki dzielą się na klasy: do piérwszój klasy policzymy rzeki wpadające do morza, tojest: Wisłę, Niemen i Wartę; do drugiój te, jakie wpadają do powyższych; do trzeciój klasy te, jakie wpadają do rzék klasy drugiój, i t. d. Dla ułatwienia poznania, którój klasy jest rzeka, nazwiska ich i liczby porządkowe, odmiennym według klasy podane będą drukiem, tak, jak tu zamieszczamy:

Rzeki klasy I. WISŁA. II. NIEMEN. III. WARTA.
 — II. PILICA, WIEPRZ, CZARNA PRZEMSKA i t. d.
 — III. Biebrza, Bug, Biała Przemka,
 Mierzawa i t. d.
 — IV, V i VI. *Bobrzyca, Biała, Zyrnica* i t. d.

Dla oznaczenia, z którego brzegu rzeka jaka wpada do innój, po jój nazwisku zamieszczać będziemy wyraz *prawy* lub *lewy*, jako skrócenie wyrażenia: wpada do rzeki..... z prawego lub lewego jój brzegu.

WISŁA I JÉJ ZLEW.

Dziwna, że we wskazaniu początku Wisły, ciągle w różnych pisarzach napotykamy sprzeczności. Długosz uważa ją za powstałą z połączenia Białki i Wisły; Święcki go powtarza; Rzączyński prostując błąd ten, źródło jéj pod górą Skalką, przy wsi Ustronie w ks. Cieszyńskiém naznacza, i nazwę od wiosła wyprowadza; Pasek naznacza źródło na północnym stoku Karpat we wsi Kamesznicy; Malchus pod górą Baranią obok wsi Wisły, atoli wyprowadzając ją z połączenia się: *Białej*, *Małej* i *Czarnej*, mija się z prawdą. Ostatecznie rozstrzygnął wątpliwość Tomkiewicz (1). Według niego zaczyna się ona w ks. Cieszyńskiém, w obrębie wsi Wisły, z zachodniego stoku góry Baraniéj, wzniesionéj na 3650 stóp paryz. nad poziom morza Bałtyckiego. Na miejscu tryska z piaskowca ośmiu źródłami grubości ręki, które zlewając się tworzą jeden strumień. Miejsce to zwą Wyrch (wierzch). Aż do wsi Ustronie ma ona nazwę *Wisetka*, odtąd zmienia ją na *Wisła*, i w dalszym biegu aż trzy mocarstwa przepływa.

W królestwie Polskiém od wsi Pobiednik w powiecie miechowskim, aż do miasta Zawichosta w Sandomiérskiém, odgranicza ona królestwo Polskie od Galicyi; dalej przepływa środkiem kraju, otaczając lewym swym brzegiem gubernie radomską i warszawską, a po prawym zostawując lubelską i płocką; pod wsią Osiekim za Nieszawą opuszcza królestwo, przepływa Prusy i trzema odnogami wpada do morza Bałtyckiego. Według Puscha (*Geognostische Beschreibung von Polen*.

(*) Hydrografia m. Krakowa.

1833), długość Wisły od punktu połączenia się z nią Czarną Przemą aż do ujścia do morza, wynosi mil $131\frac{3}{4}$, zaś od źródła do ujścia Przemą mil 11 czyli wiorst 77, a długość w królestwie Polskiem, według pomiarów zdziałanych w r. 1823 przez p. Koeppen inspektora generalnego budownictwa wodnego jest następująca:

| | | |
|---|--------|----------------|
| Od dawniej granicy okręgu miasta Krakowa do m. Korczyna | wiorst | 65,98 |
| Od Korczyna do Sandomierza | — | 89,95 |
| Od Sandomierza do Zawichosta | — | 18,62 |
| Od Zawichosta do Kazimierza | — | 70,04 |
| Od Kazimierza do Góry | — | 111,93 |
| Od Góry do Warszawy | — | 33,48 |
| Od Warszawy do Wyszogrodu | — | 63,13 |
| Od Wyszogrodu do Płocka | — | 39,13 |
| Od Płocka do Włocławka | — | 41,05 |
| Od Włocławka do Nieszawy | — | 18,43 |
| Od Nieszawy do granicy pruskiej | — | 13,77 |
| Calkowita długość Wisły | | wiorst 565,52. |

czyli mil 80,79, czyli prawie mil 81.

A więc z porównania tych podań wypada długość Wisły:

| | | |
|--|-----|--------------------|
| Od źródła jej aż do ujścia Czarną Przemą | mil | 11 |
| Od ujścia Czarną Przemą aż do miasta Krakowa | — | 12,125 |
| Od miasta Krakowa do granicy królestwa Polskiego | — | 5,79 |
| Odtąd do miasta Warszawy | — | 55,71 |
| Od Warszawy do granicy pruskiej | — | 25,07 |
| Nareszcie odtąd aż do ujścia | — | 33,06 |
| Razem | | mil 142,75. |

Niwellacya wykonana w 1826 r. pod kierunkiem rzeczonoego inspektora p. Koeppen, na przestrzeni od granicy okręgu m. Krakowa do granicy pruskiej, wykazała spadku Wisły stóp 458 cali 11; nadto według pomiarów wykonanych w obecnych czasach pod kierunkiem inspektora komunikacyj pulkownika Urbańskiego, długość Wisły w przestrzeni od Nowogięorgiewska do granicy pruskiej wynosi wiorst 149½, a spadek stóp 111 cali 5. Źródło Wisły wzniesione jest na 3650 stóp paryz. nad poziom morza, wysokość jęj zwierciadła przy połączeniu się z Przemszą wynosi 719, pod Krakowem 496, pod Warszawą przy wodoskazy warszawskim 237 stóp paryzkich. Stosownie więc do tego, na całkowitą długość Wisły od jęj źródła aż do samego ujścia, wypada spadku w przecięciu stóp 4 cal 1.

Spadek ten wszakże nie jest wszędy jednaki i wypada na przestrzeni:

| | Stopy | cali | linij. |
|---|--------|------|--------|
| Od źródła do punktu zejścia się z Przemszą, na długość wiorsty spadku . . . | blizko | 43 | |
| Odtąd do miasta Krakowa | — | 3 | |
| Od m. Krakowa do Zawichosta | — | 11 | |
| — Zawichosta do Kazimięrza | — | 9 | 5 |
| — Kazimięrza do Warszawy | — | 11 | 2 |
| — Warszawy do granicy pruskiej | — | 8 | 11. |

Stosownie do takowego spadku i prędkość wody jest odmienna; w ogóle jednak woda powodziowa przybywa z Krakowa do Warszawy w ciągu dni pięciu. A tak Wisła, która opuściwszy łono ziemi, pędzi po górach wartko, swobodnie, nie znając jeszcze celu swojego, bo biegnąc wprawdzie na północ, zawija się na południe

i wschód igrać po błoniach kwiatami zastanych; w dalszym dopięro swym biegu wzbogacona wodami strug, strumieniami rzék do nięj wpadającemi, poznaje swe przeznaczenie, coraz rozważnięj, wolniejszym krokiem postępuje ku nięmu, i pogrąża się nakoniec w falach morza północy. Prędkość jęj i masę przepływającą pod Warszawą poniżęj zobaczymy. Ponieważ Wisła w ogóle ma nizkie brzegi, szerokości więc jęj stale oznaczyć nie można: ta bowiem po największęj części zależy od stanu wód. I tak: gdy most warszawski długi jest na 260 sążni, w któręmto miejscu rzeka ujęta jest wysokiemimi brzegami, już o kilkadziesiąt sążni powyżęj szerokość Wisły jest prawie podwójną; podobnięj i przy moście płockim szerokość rzeki wynosi 360 sążni, późnięj zaraz się zmienia, dalęj w ogóle dochodzi ona do 500, a przy ujściu z granic kraju do 800 sążni.

W średnięm przecięciu Wisła zamarza najwcześnięj w pięrwszęj połowie miesiąca listopada, najpóźnięj około 10 stycznia; lody puszczają najpóźnięj w ostatnich dniach marca. Grubość lodów takowych dochodzi do czteręch stóp, jednak na dziesięć zim zwykle choć jedna przypada taka, w któręj woda na tęj rzece mało co, albo prawie nic nie zamarza.

Wysokość wody bywa rozmaita; z powodu jednak budowy statków wodnych, konieczna do spławu jest chociaż na dwie stopy wodoskazu warszawskiego. Wszakże bywa i niższa utrudniająca, albo zupełnie tamująca żeglugę, i wyższa sprawująca zalewy, a ztąd narażająca nadbrzeżnych mieszkańców na wielkie klęski.

Wezbrania zdarzć się zwykły na początku wiosny i w śródku lata. Zagęszczona w górach z chmur od morza naniesionych woda, podsycana topieniem się śnie-

gów, któremi góry są okryte, wzbiera, przechodzi koryta rzék, łamie lody, częstokroć tamuje sobie przejście, i sprawuje dłużej trwające wiosenne wylewy. W cieplej porze roku, obficie z morza wznoszące się w atmosferę wody, zebrane w chmurach i przez kilka lub kilkunastodniowy wiatr północny do gór dostarczających źródła przeniesione, zgromadzone i nagle naciśnione, spadają w deszczach ulewnych i strumieniach; gdzie-niegdzie w wyższych piętrach ukryty śnieg topią, a ogromne niekiedy ścieki wód w obszernych, na górach utrzymujących się jeziorach przerywając, zalewy letnie sprawują. Wiatr północny *morszczyzna* zwany, ważny tego fenomenu powód, ostrzega nas zarazem o jego zbliżeniu się; jakoż przed wezbraniem 1813 roku, już w dniach 24 i 25 sierpnia wiać zaczął w Gdańsku, Warszawie, i Krakowie. Nie można wszakże stanowczo twierdzić, aby wiatr ten wolny i poziomy, mógł dać opór biegowi rzeki; jakoż i rzezone wezbrania nastąpiły po nim, ale najprzód w Krakowie dnia 26, w Warszawie 29 sierpnia, a dopiero w Gdańsku 3 września.

Kronikarz Miechowita, Rzączyński (Historia Regni Polonia) i akta władz, następną podają nam wiadomość o znaczniejszych wezbraniach Wisły:

R. 1218 zalew Gdańska.

R. 1253 wylew trwał od świąt Wielkanocnych do 25 lipca.

R. 1270 od góry Lasoty wszystko woda pokryła.

R. 1403 wylew w kwietniu.

R. 1465 wylała około Zurücken aż do kościoła ś. Barbary.

R. 1475 wylew w lipcu.

R. 1486 zatopiła w Krakowie Kazimiérz, Stradom, tak, że ołtarze po kościołach pływały.

R. 1495; wylew jaki miał miejsce tego roku w lipcu, nazwano potopem.

R. 1515 w grudniu zalane Żuławy gdańskie.

R. 1526 i 1528 przy znaczném wezbraniu toczyła czarne bałwany.

R. 1540 we wrześniu, na mniejszój wyspie pod Gdańskiem 17 wsi zalała.

R. 1543 znakomity wylew.

R. 1593 powódź w lipcu.

R. 1621 w sierpniu zniszczyła wiele wsi, a w Krakowie w kościele ś. Katarzyny na 3 łokcie wody było.

R. 1635 dnia 13 czerwca.

R. 1646 koło Gdańska.

R. 1651 koło Malborga porobiła ogromne zniszczenia.

R. 1652 wylała pod Krakowem tak, że w kościele Cenob. Ord. Min. de Obser. na łokieć woda stała.

R. 1714 w marcu Nogat wezbrał nadzwyczajnie.

R. 1719 w marcu wezbrała około Gdańska.

R. 1731 d. 31 marca.

R. 1736 d. 25 lipca.

R. 1774 d. 27 lipca.

R. 1782 d. 9 marca.

W r. 1800 (7 kwietnia), 1806 (30 kwietnia), 1808 (12 kwietnia), 1814 (27 marca), 1827 (8 marca), 1830 (24 marca), 1834 (30 stycznia) wysokość wody pod Warszawą była 15 lub cokolwiek wyżej nad 15 stóp wodoskazu warszawskiego; w r. 1813 d. 29 sierpnia doszła stóp 21, następnego dnia spadła na stóp 16 cali 8.

R. 1838 d. 13 marca doszła do stóp 19.

R. 1839 d. 24 sierpnia stała na stóp 5 cali 1, a d. 28, to jest w dni cztery doszła do stóp 20 cali 8.

R. 1841 d. 25 marca doszła do stóp 18 cali 1.

R. 1844 d. 23 lipca stała na stóp 3 cali 6; w dniu 27, to jest w dni 4 doszła do stóp 22 cali 9.

R. 1845 d. 4 kwietnia stóp 18 cali 2.

Więc z naszych czasów najznaczniejszy był wylew w 1844 roku, a dopiero idą wylewy roku 1813, 1839, 1838, 1845 i t. d.

Zero podziałki służącej do zapisywania (od 1789 r.) wysokości wody na Wiśle pod Warszawą, wzniesione jest na 237 stóp paryzkich nad poziom morza Bałtyckiego.

Wisła obfituje w następujące gatunki ryb:

Boleń rzeczny, *Barbus fluviatilis*.

Białoryb świnka, *Leuciscus nasus*.

„ kleń „ albula.

„ jaź „ jeres.

„ płoć „ *Erythrophthalmus*.

„ rap „ *Aspius*.

Ciernik pospolity, *Gasterosteus aculeatus*.

Karpie gnieżdżą się po wiśliskach, jakoto:

Karp pospolity, *Cyprinus Carpio*. Z niego, według Rzączyńskiego, robiono trzonki do noży.

Karp lustrzeń, *C. regius*.

Karp karaś, *Corassinus gibelio*.

Karaś właściwy, *Corassinus chorax*.

Kiełb pospolity, *Gobio fluviatilis*.

Jazgarz rzeczny, *Acerina cernua*.

Na tarcie przyplływają:

Jesiotr właściwy, *Acipenser sturio*.

Łosoś, *Salmo*, Łososiopstrąg, *Salmo Trutta*.

Daléj stale znajduje się w Wiśle:

Leszcz podleszczyk, *Abramis Blica*.

Lipień właściwy, *Corygallus Thymallus*.

Lin, *Tinca*.

Miętus rzeczny, *Lota fluviatilis*.

Minog rzeczny, *Petromysoni fluviatilis*.

„ strumieniowy „ *branchialis*, ma do 50 gatunków; wszystkie znajdują się w Wiśle.

Okoń rzeczny, *Perca fluviatilis*.

Sliz właściwy, *Cobitis barbata*; czasem:

Sliz piskórz, *Cobitis fossilis*.

Szczupak, *Essox*.

Sandacz, *Schilus*.

Sum właściwy, *Silurus Clanis*.

Węgórz pospolity, *Muraena anguilla*.

Najkorzystniejszy jest połów ryb morskich, a mianowicie jesiotrów, które na wiosnę podczas tarcia się idą w górę, a w jesieni do morza wracają.

Lecz korzyści z rybołówstwa w Wiśle niczém są prawie w porównaniu z korzyściami, jakie otrzymujemy z jéj spławności.

Spław na Wiśle odbywa się następnemi statkami: berlinki większe, półberlinki, jadwiszki pomniejsze (większe nie kursują), małe baciki, kryptki, galary krakowskie różnej wielkości, a ztąd i różnego nazwiska: czwartaki, piątaki, dziewiątaki, galary ulanowskie, galary bużne, naostatek tratwy.

Prócz tego kursują po Wiśle dwa statki parowe, przez p. Edwarda Guibert inżyniera mechanika z Francji sprowadzone, i gabary tu zbudowane.

O wszystkich tych statkach szczegółową wiadomość podamy przy ogólnych uwagach o spławach w kraju.

W czasach kwitnącego dawniej handlu zbożowego, rzeka ta okrytą bywała kosztownymi statkami wodnemi, jakoto: skutami, łyżwami i t. p.; dzisiejsze galary mniej wprawdzie kosztują, ale też łatwiej ulegają rozbiciu.

Spław zwykle rozpoczyna się około 15 kwietnia, a kończy w ostatnich dniach października. Berlinki idą od Opatowca, Sandomierza; krypy i galary z pod Krakowa; tratwy przychodzą na Wisłę z rzek Dunajca i Sanu, a w królestwie z Kamionnej, Wieprza, Radomki, Pilicy, oraz z lasów nadwiślańskich. Spławianemi bywają na berlinkach w dół płody rolnicze, pod górę towary kolonialne; krypy i galary prowadzą produkta rolnicze, sól, wapno, owoce, jaja, garnki, kamień ciosowy; na tratwach składających się z budulcu lub drzewa opałowego, spławianemi bywają deski i bale, drzewo sążniowe, klepki, a niekiedy zboże, inne produkta rolnicze, kamień ciosowy i t. d.

Przy ogólnych uwagach o spławach kraju, podamy szczegółowe wiadomości o rodzaju i liczbie produktów Wisłą spławianych; tu tylko wspomnimy, że wartość wyprawdzonych z kraju przez tę rzekę produktów, do dziesięciu milionów rub. sr. dochodzi.

Znaczniejsze przystanie na Wiśle są: Opatowiec, Nowe Miasto Korczyn, Sandomierz, Zawichost, Rachów, Józefów, Kazimiierz, Nowa Aleksandrya (Puławy), Iwanogorod, Warszawa, Nowydwór, Wyszogród, Secymin, Kamień, Dobrzyków, Płock, Duninowo, Wistka, Włocławek, Nieszawa i Ciechocinek.

Wisła od wejścia w granice królestwa aż do miasta Warszawy. Długość i spadek w tej przestrze-

ni widzieliśmy. Koryto rzeki ogólnie mówiąc jest tu piaszczyste, a w głębokości od 3 do 18 stóp, osobliwie za Sandomierzem, znajduje się kamień wapienny; trafiają się jednak miejsca, gdzie dopiero w głębokości stóp 40 znajduje się grunt stały, składający się z opoki czyli wapiennika zepsutego, niepokrytego bynajmniej żadnym piaskiem. To trafia się w miejscach zwężonych koryta, przy skrętach rzeki, gdzie mocne lądy nie dają się podmulać. Głębokość takową napotykały poniżej Janiszewa, pod Wałowicami, Kaliszanami, Zastowem i t. d.

W czasie wód średnich, to jest wyższych nad dwie stopy wodoskazu warszawskiego, Wisła w przestrzeni tej może spławiać wszelkie statki ładowne, jako też i tratwy drzewa; lecz w stanie niższym, spław z wielką trudnością, znacznym niebezpieczeństwem i zmniejszonymi ładunkami odbywać się może. To głównie pochodzi od rozlania się koryta, które rzadko gdzie ścieśnione jest wysokimi brzegami, z rozgałęzienia się na wiele odnóg, nareszcie z zawałów drzewnych.

Główniejsze zawały znajdują się pod wsiami: Łęka, Pawłów, Parchocin, Oblekoń (w Stopnickim), gdzie przy szybkim pędzie wody znajdują się drzewa, przez które, w razie nieostrożności, statki ulegają rozbiciu; dalej pod wsiami: Opoka Duża, Świeciechów, Piotrowin, Kamień, Braciejowice, Wojszyn (około miasta Kazimiérza), Nasilów, Perchatka, Wólka Gołąbska, Regów, Ostrów, Tyrzyn, między Ryczywołem i Mniszewem, pod wsią Potycz, Radwanków, Moczydłów, Miedzeszyn, Opoka. Od Radwankowa ku Karczewowi znajdują się drzewa całkowite na dnie osiadłe, które szkodzą mianowicie galantom; od wsi Staszewa do Wólki Tyrzyńskiej, są w korycie pnie i inne zawały.

Zgola, koryto Wisły w tój przestrzeni pełne jest przeszkód, pochodzących z podmulania brzegów, a w okolicach lesistych i ze zwalania lub zatopienia całych sztuk drzewa. Teto sztuki drzewa zwane kijami, są najniebezpieczniejsze dla żeglarzy, i bardzo często narażają statki na rozbicie. Jednakże według wydanych rozporządzeń, na wszystkich miejscach niebezpiecznych dla spławu tak na rzece Wiśle, jako téż i na innych spławnych rzekach, wystawione być winny odpowiednie znaki ostrzeżenia.

Mielizny znakomitsze są: poniżej miasteczka galicyjskiego Baranowa, pod wsiami w królestwie: Piotrowice (za Zawichostem), Opoka Duża, Świeciechów, Słupia Nadbrzeżna, Piotrowin, Braciejowice, Zastaw, Łęka Bronowska, Regów, Ostrów, Wólka Tyrzyńska, pomiędzy Ryczywołem i Mniszewem, Radwankowem, Brzescami, Karczewem i wsią Miedzeszynem.

Z powodu po największój części niskich brzegów Wisły, okolice nadbrzeżne wystawione są na zalewy. Niziny takowe są następne na lewym brzegu: stopnicka, rozciągająca się od wsi Winiar do wsi Rybitwy; tursko-osiecka od Turska Wielkiego do Kępy Zaduńskiej; skotnicka, ciągnąca się pod miasto Sandomierz, i kozienicka, od Góry Puławskiej do wsi Swierze Górne. Od zalewu wód bronione są one wałami, wysokimi na stóp 20 — 24 nad najniższy stan wody, a szerokiemi w koronie na stóp 9 — 12. Wały te rozciągają się w następnój długości: w nizinie stopnickiej wiorst 47.

— Tursko-Osieckiej. . . — 15.

— Skotnickiej. — 6.

— Kozienickiej. — 100.

Ostatnią z nich, kozienicką, jako najrozleglejszą bliżej poznać należy.

Nizina kozienicka. Począwszy od Góry Puławskiej, aż do wsi Świerze Górne, rozciąga się ona obejmując 147 wiorst kwadratowych, czyli 29,852 morgi gruntu urodzajnego. Nizina ta, na której mieszczą się miasta: Gniewosów z Granicą, Sieciechów i Kozienice, tudzież obszerne włości, zalewaną była przy każdym wezbraniu Wisły, a szczególnie przy większym. Zalewy te zwykle co trzy lata powtarzające się, a czasem nawet po dwa razy na rok ponawiane, stawały się powodem znacznych klęsk, a czasem i zupełnego zniszczenia mieszkańców. Niziny takie ubezpieczone od zalewu, stanowią okolice najzamożniejsze, gdy przeciwnie ta, o której mowa, mimo uposażenia przez naturę w znakomitą urodzajność, w bardzo biednym znajdowała się stanie. Sam skarb królestwa, raz jako właściciel więcej niż trzeciej części obszerności niziny, bo posiada tam 11,488½ morgów gruntu, powtóre ze względu na zapewnienie regularnego wpływu podatków, na których stratę był narażanym, bo ta w przyznanych od 1837 do 1845 roku allewiacyach wynosiła 66,116 rub. sr., wielce jest tu interesowanym. Rząd więc, właściciele prywatni, a nawet sami włościanie, wchodząc w przyczyny ponoszonych strat, troszczyli się o zabezpieczenie téj niziny od zalewów. Już w 1786 roku wykonane tu były odpowiednie roboty wodne; te, następnych lat ciągle uszkodzane powodziami, ciągle téż reparowane były kosztem rządu jako i prywatnych osób. Przed rokiem 1830 rząd królestwa znacznie się przyłożył do ich trwalszego uporządkowania, lecz że robota prowadzona była z dołu niziny, to jest od Ryczywoła, zamiast z góry od wsi Góry Puławskiej, przeto nie mogła osiągnąć zamierzo-

nego skutku, bo woda idąca z góry wpadała w niziny tylne wałów i takowe ciągle niszczyła. Staraniom tylko i gorliwości prywatnych przypisać należy, iż one długo się utrzymywały w przestrzeni: od Wólki Tyrzyńskiej do Swierzów Górnych na rozległości wiorst 16, tudzież od Łojów do Wólki Tyrzyńskiej na wiorst 7.

Lecz gdy następnie wały te tak uszkodzonymi zostały, że już żadnej tamy rozlewającym wodom stawić nie mogły, w 1842 roku inspektor Komunikacyi pułkownik Urbański przedstawił wypracowany pod swoim kierunkiem z odpowiednią przedmiotowi temu dokładnością projekt, zupełnego obwałowania w mowie będącej niziny.

Projekt ten obejmował wały podłużne w kierunkach najwłaściwszych i najdogodniejszych, korzystając z linii dawnych wałów w tych tylko miejscach, gdzie te były w stosownych od Wisły odstępach i kierunkach dość prostych; przerwy zaś między niemi zapelniał nowemi wałami, w kierunkach najwłaściwszych dobrze rozwiniętemi.

Według niego, długość dawnych wałów podłużnych, podwyższyć się mających, wynosiła:

| | |
|----------------------------|-------------|
| sążni biegnących | 9,483 1/2 |
| długość nowych | 25,463 1/2. |

Razem sążni biegnących 34,947

objętości sążni sześciennych 265,520.

Uznany za zupełnie odpowiedni celowi, bo co do bezpieczeństwa i kierunku wałów był jak najwłaściwszym, projekt ten przyjęty został przez Zarząd Komunikacyj Lądowych i Wodnych; według niego roboty w 1845 rozpoczętemi, a w 1848 roku ukończonymi zostały.

Wał więc następnie został urządzonym:

| | |
|---|----------------|
| Góra Puławska; długość wału sążni bieg. | 2,062. |
| Broniewiec. | — — 2,648. |
| Klikawa. | — — 257. |
| Opatkowice. | — — 1,742. |
| Regów. | — — 4,061. |
| Sarnów. | — — 4,446. |
| Zbyczyn. | — — 3,362. |
| Głusiec. | — — 954. |
| Sieciechów, Słowiki i Staszów | — — 5,094 1/2. |
| Samwodzie. | — — 2,481. |
| Wólka Tyrzyńska. | — — 1,260 1/2. |
| Ekonomia kozienicka. | — — 5,134. |
| Piotrkowice. | — — 1,445. |

Długość więc całego wału sążni bieg. 34,947.

Oprócz tych wałów podłużnych nad brzegiem Wisły sypać się mających, plan obejmował jeszcze dwa wały poprzeczne, służyć mające do zabezpieczenia trzech głównych części niziny, na wypadek, gdyby w której z nich wał uległ uszkodzeniu.

Dla zabezpieczenia niziny od zalewu z występujących wód łąchami, czyli odnogami sieciechowską i kozienicką, projektowane były wały nad temi łąchami.

Nad pierwszą to jest sieciechowską, następnie:

| | |
|--|--------|
| Ekonomia Sieciechów, długość wału sąż. bieg. | 6,985. |
| Zbyczyn. | 855. |
| Miasto Sieciechów. | 430. |

Całkowita długość wału sąż. bieg. 8,270.

Drugi wał nad łąką kozienicką:

| | |
|---|--------|
| Ekonomia Kozienice, długość wału sąż. bieg. | 9,295. |
| Miasto Kozienice. | 1,400. |
| Piotrkowice. | 3,558. |

Całkowita długość wału sąż. bieg. 14,253.

W miejscach, gdzie wał główny zbliżony do rzeki na większe działanie wody jest wystawiony, zaprojektowane zostały wały oporowe w długości sążni bieg. 3,420; tam zaś, gdzie do Wisły wpadają wody powstające z mniejszych rzeczek i roztopów, projekt podawał pięć upustów: jeden na strudze Klikawce; drugi w wale podłużnym około przekopu pod Regowem; trzeci na łasze sieciechowskiej powyżej wsi Łoje; czwarty na strudze od jeziora sieciechowskiego poniżej wsi Łoje; piąty na łasze kozienickiej pod Swierzami.

Z upustów tych, trzy przypadają na gruntach dóbr rządowych Opatkowice i Sieciechów, jeden na gruncie dóbr prywatnych Regów, gdzie także dla odpływu wód bocznych zrobiony ma być rów odpływowy, piąty upust przypada na gruncie donacyi kozienickiej.

Całe więc roboty ziemne na wyrażonej powierzchni 29,852 morgów, według projektu obejmować mają sążni bieg. 61,155, co uczyni sążni sześciennych 397,341, licząc już w to wały podłużne z poprzecznymi, oporowe nad dwiema łachami, oraz rów odpływowy na gruncie dóbr Regowa.

Licząc na jeden sążeń kub. po dwa dni piesze lub jeden sprzężajny, w jednej połowie regulując robociznę pieszą, a w drugiej sprzężajną, do wykonania téj roboty, oraz budowy upustów wyliczono:

robocizny w naturze dni pieszych. 394,670
— sprzężajnych. . 197,600

a licząc prócz tego potrzebne do roboty narzędzia, majstrów, dozór i t. d., koszt robót tych wyliczonym został na gotowiznę rub. sr. 233,646.

Rada Administracyjna królestwa chcąc przyjść w pomoc mieszkańcom nadwiślańskim, którzy ciągle z wyle-

wów Wisły ponosili straty, a w ostatnich latach po kilkakroć nadzwyczajnej doznawali klęski, narażającą ich na niedostatek i nędzę, oraz łącząc z tym zamiarem i drugi cel, podania sposobu zarobkowania najuboższej klassie tychże mieszkańców; decyzją z d. 31 sierpnia 1845 roku poleciła wykonanie naglejszych robót około wałów ochronnych nad Wisłą, przeznaczyła na ten cel funduszu 40,000 rub. sr., a Kommissya Rządowa Przychodów i Skarbu z tytułu posiadania w nizinach dóbr, wyznaczyła także na te roboty rub. sr. 24,254 kop. 22½.

Zaraz więc przystąpiono do robót, których postęp był następujący:

| | | | | |
|-------------|----------|-------|-------|----------|
| w roku 1845 | wykonano | sążni | sześ. | 62,331. |
| — 1846 | — | — | — | 140,068. |
| — 1847 | — | — | — | 54,834. |
| — 1848 | — | — | — | 25,978. |

Razem sążni sześ. 283,211.

Koszta robót tych wynoszą:

| | | | |
|-------------|----------|--------|----------|
| w roku 1845 | rub. sr. | 22,962 | kop. 90. |
| — 1846 | — | 45,615 | — 49. |
| — 1847 | — | 24,756 | — 13. |
| — 1848 | — | 7,625 | — 94. |

Razem rub. sr. 100,960 kop. 46.

W ogóle zaś dla zastąpienia od zalewu nizin stopni-
ckiej, tursko - osieckiej, skotnickiej i kozienickiej, wy-
konano w ciągu od 1845 do włącznie 1848 roku robót
ziemnych sążni sześ. 474,503, przy kosztach rub. sr.
170,602 kop. 85; od tych liczb potrąciwszy powyżej
wykazane roboty w nizinie kozienickiej i ich koszta, wy-
pada na inne niziny robót sążni sześ. 191,292, których
koszta wynoszą rub. sr. 69,642 kop. 39.

W dalszej przestrzeni Wisły idąc ku Warszawie, brzegi piaszczyste, lotne, pędem chociaż małej nawet wody unoszonemi zostają z wielką szkodą nadbrzeżnych mieszkańców. Nizina nazwana Moczydłowską, rozciągająca się od miasta Góry Kalwaryi ku Warszawie w długości mil 4, jeszcze w 1825 roku przy znacznych kosztach rządu i prywatnych zasłoniętą została od zalewów wielkimi wałami mocno zbudowanemi, w przestrzeni wiorst 18, zaczynając od miasta Góry. Wały te jednakże nie były doprowadzone do takiej wysokości, ażeby nizinę od najwyższych zalewów ochronić mogły, a skutkiem kilkakrotnych powodzi tak dalece uległy zniszczeniu, że w r. 1845 prawie nanowo usypanemi być musiały.

Cała długość wału podzieloną została na dwa nadzory:

W pierwszym nadzorze robót od Góry Kalwaryi do Willanówki, długość zrobionych wałów po koniec 1848 roku wynosi sążni miary nowopolskiej 9,513 czyli wiorst 15 sążni 258, a kubeczność ich 39,399 sąż. kub.; zasłaniają gruntu morgów 4,953. Kosztorys na ich wykonanie przez Zarząd Komunikacyj Lądowych i Wodnych potwierdzony, wynosił 18,719 rub. sr. i kop. 52½. Na tę część wałów, udzieloną została interesowanym pożyczka rządowa w ilości rub. sr. 12,000.

W drugim nadzorze robót od Willanówki do granicy dóbr Willanowskich, usypano także wały w długości sążni 1,222½, to jest wiorsty jednej i sążni 605½; kubeczność ich wynosi 7,579 sążni kub. a osłaniają 6,490 morgów gruntu. Zatwierdzony na wykonanie ich kosztorys, obejmuje rub. sr. 3,600 kop. 2½.

Do obu nadzorów policzono papiernię Bankową, jako posiadającą 1,400 morgów gruntu.

Wały w obu nadzorach mają wysokości nad zero Wisły stóp 20 i sypane są kosztem właścicieli gruntów, które od zalewów starają się ochraniać.

Na terytoryum dóbr Willanowa, sypane są dalej ku Warszawie wały przez dziedzica tychże dóbr, w długości około 3 wiorst.

Nakoniec i w Warszawie nad Wisłą sypane są wały ochronne od magazynu solnego, aż do samego prawie mostu.

Na prawym brzegu Wisły w téj przestrzeni, lądy są dwojakiego rodzaju: jedne niskie od 8—12 stóp nad mały stan wody, które sama rzeka niszczy i napowrót tworzy, drugie wyższe nad wszelkie powodzie i niedające się ująć pędowi wody. Pierwsze możnaby nazwać powiślem, drugie są lądami stałemi.

Powiśle jest tu rozmaitéj szerokości:

Od granicy Galicyi do Rachowa w długości mili jednéj, średnia jego szerokość wynosi około 2 wiorst; dalej od Kamienia do Podgórze w długości wiorst 17, powiśle na którym położonych jest 28 wsi, szerokie jest na milę; od Parchatki do Nowéj Aleksandryi w długości 3 wiorst szerokość powiśla wynosi około wiorsty; od Wólki Profeckiej do ujścia rzeki Wieprza, powiśle średnio biorąc w długości wiorst 10 dochodzi do dwóch wiorst. Zgoła na téj przestrzeni Wisły do 80 wiorst dochodzącej, połowa prawie wypada na powiśle, a w drugiej niéma go wcale.

W części rzeki bez powiśla, gdzie woda ociera się o lądy stałe, wysokie, żadne podrywanie ich nie ma miejsca; w powiślach zaś, jako utworzonych z odsepisk rzeki toczącej się ze znacznym spadkiem, lądy przy gwał-

townych napływach wody, nie mogą być nigdy bezpiecznymi i dlatego ulegają częstemu przesypywaniu się.

Grunt powiśla utworzony jest przez osad wód, niosących z sobą piasek lub roztworzoną ziemię urodzajną, część marglu i wapna; w tym więc drugim razie jest bardzo urodzajnym, tak, że bez żadnego nawozu długo bujne wydaje plony. Dla téjto przyczyny bywa wielce ceniony, i każde takowe odsepisko Wisły, gdy już dojdzie do wysokości stóp 8 nad mały stan wody, co w przeciągu najdalej lat piętnastu skutecznić się może, nietylko bywa obsiewane, ale nadto wkrótce bywają na niém zakładane osady i wsie, jak tego mamy przykład pomiędzy Kamieniem a Podgórzem, gdzie założono 28 wsi, składających się z 686 dymów włościańskich i kilkanaście folwarków dworskich. Takie odsepiska Wiślane, na których się tak znaczna ludność mieści, połączone siłami nadbrzeżnych mieszkańców i pomocą przez rząd udzieloną, bronione są od podrywania wody lub doświadczanych zalewów.

Nizina Opolska, rozciągająca się od wsi Kamienia do miasta Kazimierza, broniona jest wałami, których wykonano już w długości wiorst 6.

Dalsza część tego brzegu Wisły, to jest od ujścia Wieprza aż do Warszawy, ma koryto piaszczyste, brzegi niskie i tak lotne, że ciągle unoszone bywają pędem wody. Powiśle z lotnych wzgórków gdzieś formujące się, mało gdzie jest od zalewów bronioném.

Wisła w przestrzeni od Warszawy do granicy pruskiej. Widzieliśmy już powyżej, że długość Wisły w téj przestrzeni wynosi mil 25,07, czyli wiorst 175 $\frac{1}{2}$, ze spadkiem 8 cali 11 linii na wiorstę. Ta pochyłość jest jeszcze prawie podwójną względem spadku

koryt Dniestru i Dniepru: Dniepr między Kijowem a morzem Czarném, Dniestr między Mohilewem a témże morzem, mają spadku tylko przeszło 4 cale na wiorstę.

Prędkość wody w czasie największego jój wezbrania, jak to miało miejsce w 1844 roku, wynosi tu u wierzchu stóp 8 na sekundę; przy średnim stanie wody około 4 stóp wodoskazu warszawskiego, prędkość jest 3—4, przy najniższym od 2—2½ stóp na sekundę. A ztąd massa wody przepływającej w pierwszym razie, to jest w czasie największych wezbrań, wynosi na sekundę 300,000 stóp kub., przy średnim stanie 36,000, a przy niskim 11,000 stóp kubicznych.

W przestrzeni od Warszawy do Nowogeorgiewska, najnieregularniejszy był bieg nurtu, bo woda łatwo podrywając grunt, przybrzeżny małą tu mający spojność, tworzyła sobie szerokie koryto, bardzo liczne odnogi, które podczas większych a nawet i średnich wód, nieprzestannie działały na zmniejszenie siły regulacyjnej. Oprócz tego znajdowały się tu zawały z drzew i kamieni. Zawały narażają statki na rozbicie, lecz przy ostrożności ominiętymi być mogą; pierwsze wszakże niedogodności, to jest zbytnie rozszerzenie się koryta, a ztąd mielizny, szkodzą całemu spławowi, bo go utrudniają albo czasem i przerywają; dlatego większej wymagają działalności do usunięcia ich. Przez wykonanie różnych odpowiednich robót, te przeszkody spławu w pewnej części usunięte zostały, chociaż jeszcze koryto rzeki w wielu miejscach nie przestało być niedogodnym dla żeglujących. Do czyszczenia koryta z zawałów, zbudowano statek mechaniczny. Rozpoczęta czynność statkiem takowym, w 1842 r. zbudowanym i zaraz w użycie wprowadzonym, odtąd ciągle od Warszawy z bie-

giem rzeki postępuje; po koniec 1848 r. wydobyto z koryta rzeki dawnych pali i innych zawałów z drzewa i kamieni sztuk blisko półczwarta tysiąca. Czyszczenie to posunięto za Nowogeorgiewsk aż pod wieś Smoszewo.

Dla zasłonięcia od zalewu traktów bitych w okolicy Warszawy od strony Pragi, to jest: brzeskiego, radzyńskiego i kowieńskiego, usypano dla dwóch pierwszych wały w przestrzeni od rogatek Moskiewskich aż do Goławka, a poniżej dla kowieńskiego od szanca Sliwickiego aż ku samemu Nowogeorgiewsku.

Zgola, od wejścia Wisły w granice królestwa aż do tego punktu t. j. do Nowogeorgiewska, ciągle regulowaném jest koryto rzeki; w przeciągu lat od 1841 do 1847 włącznie, wykonano tu w różnych miejscach 76,678 sążni sześć. robót faszynowych, a mianowicie:

W roku 1841 wykonano sążni sześć. 23,847.

| | | | |
|------|----|---|---------|
| 1842 | -- | — | 6,208. |
| 1843 | — | — | 5,580. |
| 1844 | — | — | 8,107. |
| 1845 | — | — | 10,929. |
| 1846 | — | — | 6,139. |
| 1847 | — | — | 15,868. |

Razem jak wyżej s. s. 76,678;

w którąto liczbę nie wchodzi roboty dokonane dla obwałowania nizin: kozienickiej, stopnickiej i t. d.

Pozostała nakoniec część Wisły od ujścia Narwi aż do granicy pruskiej, pozostawiona jest prawie zupełnie w naturalnym swym stanie bez żadnej pomocy sztuki. Tu właściciel dóbr Głuska i Małej Wsi na lewym brzegu Wisły, zabezpieczył część swoich gruntów przez usypanie własnym nakładem wału ochronnego. Pomiędzy wsiami Pieczyńska i Dobrzyków, na nizinie położonej po

lewéj stronie Wisły, wznoszony jest kosztem interesowanych wał ochronny w długości wiorst 20. Inne nizkie miejsca tego brzegu, wymagają także zabezpieczenia; bo co do prawego brzegu rzeki, ten w ogóle jest wzniesiony, a tylko przy saméj granicy nizki. Co się tyczy samego koryta, to w wielu miejscach zbyteńie rozszerzyło się; poformowały się tu odnogi, brzegi popodrywały się, pełno zawałów drzewnych i kamiennych, mianowicie: w powiecie gostyńskim naprzeciw dóbr Arciechów, wsi Pieczyska Łowickie, Łady, Januszew, przy kępie Brzezińskiej, naprzeciw wsi Troszyna, Suchodoła, kępy Panięską zwanéj, pod wsią Płoski i t. d.; w powiecie włocławskim: naprzeciw cegielni do dóbr Duninowa należącój, naprzeciw wsi Wistka Szlachecka, Wistka Królewska, kolonii Modzerowa, Gombinek, folwarku Kucierz, wsi Wolne, kolonii Siarczewo i t. d. Przy tak więc rozlanéj wodzie, tylu zavadach, spław wiele doznaje trudności; chociaż znowu są one tu mniejsze niż na wyższéj części rzeki, bo tu jest już bez porównania większa obfitość wód. Gdy zaś Wisła tutaj najważniejszą jest dla spławu, a dokładne zbadanie stanu rzeczy i obmyślenie zaradczych środków jest niezbędném, zarządzońo więc pomiar i niwellacyą Wisły na téj przestrzeni. Czynność ta, jakéśmy powyżéj widzieli, już ukończońą została pod kierunkiem inspektora Komunikacyj, pułkownika Urbańskiego, i obecnie nie pozostaje jak tylko na planach sytuacyjnych i niwellacyjnych wyciągnąć projekt poprawienia spławu, a po wyznaczeniu funduszu, stosowne roboty niezadługo mogłyby być rozpoczętemi.

Słowem, udogodnienie Wisły do spławu nietylko na téj przestrzeni, ale i w całej jéj długości nie uchodzi

baczności władz. Lecz ile czynność ta jest ważną dla spławu, tyle też przedstawia trudności do wykonania. Wyższa część rzeki aż do ujścia Narwi, napelniona piaskami, ma brzegi po największej części niskie; ztąd w czasie wezbrania równa się największym rzekom w Europie, płynąc szerokością kilkuset sążni; a znowu przeciwnie w czasie suszy ma może setną lub mniejszą część téj wody i ledwie dziesiątą część téj szerokości, jaką miewa w stanie wysokim. Zwięzienie więc tak zmiennój rzeki i należyte jój udogodnienie do spławu nie jest łatwém, i więcej nierównie może przedstawia trudności, niż innych wielkich rzék: Elby, Renu, Dunaju i t. p. Tu bowiem należałoby zamknąć drogi przez zatamowania, nie-raz do czterdziestu stóp głęboko pod wodę dochodzące, w miejscach gdzie rzeka zbyt jest rozlana, a obok tego utrzymać linią spławną w niezmienném położeniu.

Od ujścia Narwi już inny jest stan rzeki. Coraz mniejszy jój spadek, mocniejszy i mniej piaszczysty grunt, którym przechodzi dopływ wód Narwi, jednostajniejszy i obfitszy nawet w suchej porze roku, a mniej sprowadzający piasku; wszystko to czyni tę część rzeki dogodniejszą lub łatwiej mogącą być udogodnioną do spławu.

Do Wisły wpadają następane rzeki: 1) Czarna Przemsza, 2) Prądnik, 3) Dłubnia, 4) Szreniawa, 5) Nidzica, 6) Nida, 7) Czarna, pod Połańcem, 8) Koprzywianka, 9) San, 10) Opatówka, 11) Sanna, 12) Stróża, 13) Kamienna, 14) Hżanka, 15) Chodel, 16) Bystra, 17) Kurówka, 18) Wieprz, 19) Okrzejka, 20) Radomka, 21) Pilica, 22) Wilga, 23) Czarna, pod Górą, 24) Swider, 25) Jeziorna, 26) Narew z Biebrzą i Bugiem, 27) Bzura, 28) Motława, 29) Osetnica, 30) Skrwa, 31) Zgłowiączka, 32) Mień, 33) Tąrzyna, 34) Drwęca.

Z nich: Nida, San, Wieprz, Pilica, Narew, Biebrza i Bug są spławnymi.

Rzeki te wszystkie wyliczyliśmy porządkiem zlewania się do Wisły, bez żadnego względu na ich wielkość lub z której strony wpadają.

Tak rzuciwszy okiem na Wisłę, zobaczymy teraz rzeki spławne w jej zlewie; najprzód z lewego boku: Nida i Pilica, a następnie z prawego: San, Wieprz, Narew, Biebrza i Bug.

II. Rzeki spławne w zlewie Wisły.

A) Z lewego brzegu.

NIDA. Początek bierze w okręgu jędrzejowskim z różnych źródeł, które się około wsi Moskorzewa razem zlewają; pod Nowém Miastem Korczynem wpada do Wisły. Od wsi Borki, a raczej fryszerki tego imienia, w odległości od miasta Łagowa $2\frac{1}{4}$ mili, służy do użytku fabryk żelaznych, a od wsi Morawicy można ją uważać za sposobną do spławu. Dotąd płynie ona w gruntach piaszczystych, piaszczysto-rendzinnych, po większej części przez łąki. Od wsi Morawicy do Brzegów, w długości półtorej mili, służy czasami do przepławiania drzewa opałowego jako i pomniejszego budulcu; lecz to tylko w czasie wysokich wód, nie ma bowiem takiej obfitości wody, aby przy rozszerzonym i rozlaném korycie mogła służyć do ciągłego spławu, a prócz tego w wielu miejscach jest zarośniętą, pełną zawałów. Brzegi jej niskie, przy małych powodziach nawet bywają zatapiane.

Od wsi Brzegów, Nida idzie korytem krętym, płytkim, najczęściej pomiędzy piaskami. Nigdzie nie ma odpowiedniej szerokości; raz zbyt wązka, to znów zbyt rozlana, dlatego i głębokość niejednostajna, a obfitość wody w ogóle mała. Mimo to jednak wieś Brzegi można już uważać za początek splawności Nidy, dotąd bowiem czasami nawet berlinki dochodzą.

Zbliżając się do miasta Sobkowo, rzeka ta coraz więcej ma piaszczyste koryto; poniżej tego miasta brzegi są miernie wyniesione, koryto regularne, pełne; płynie dość kręto, nie przeszkadzając wszakże przechodowi statków. Prawie wszędzie grunt, przez który płynie, ma nadzwyczajną łatwość filtrowania; dla znacznych rzek, obfitych w wodę, okoliczność ta jest mniej ważną, dla Nidy jednak wiele stanowi, bo szczupłą jej wodę do reszty niszczy.

Dolina Nidy należy do najwięcej zachwycających okolic kraju; wszędzie spotykają się tu cudne widoki: to przepysznych łąk, to żyznych pastwisk, to niw bujnym plonem okrytych, a oprócz tego złożone są w okolicach tych bogactwa różnego rodzaju.

Drogi bite ułatwiły komunikacje; Nida więc nie tyle dziś ważną jest dla handlu jak w dawnych czasach, gdy przeprawa w tych stronach na kołach, połączona była z ogromnemi nieraz trudnościami. To też wartość transportowanych nią obecnie produktów ledwie do 100 tysięcy złp. dochodzi.

Począwszy od r. 1447, w którym pierwszy raz napotykamy w urządzeniach wymienione głównejsze rzeki krajowe, aż do ostatnich prawie czasów, Nida zawsze liczoną była do rzek splawnych; wszędzie ponawiane prawa po Wiśle, Warcie, Bugu i innych, zabezpieczały

na nią wolną od wszelkich przeszkód żeglugę. Jak na tamtych, tak podobnie i na téj zabronione było wyraźnie pod karą znacznych grzywien stawianie młynów, grobel i jazów, tudzież wybiéranie przez prywatnych opłat pod jakimkolwiek pozorem. To jawnie okazuje, że rzeka ta zawsze była sposobna do spławu, i że w tym względzie bardzo ważne musiała czynić przysługi. Jakoż o jedném jak i o drugiem wątpić wcale nie można, skoro się zważy jój stan i położenie, tudzież niewyczerpane zapasy owych szacownych płodów, które w podług jój brzegów leżą rozsypane, a które albo bezpośrednio, albo za krótkim przewozem lądowym staczane były do jój koryta, a niém do Wisły i w odległe krainy. Obecnie przystanie na Nidzie są: Wislica i Nowe Miasto Korczyn.

Wpadają do niej następane rzeki: 1) Lasocina, 2) Czarna Nida i 3) Mierzawa.

1) **Lasocina (l.)**. Początek bierze pod wsią Grzymalków w powiecie opoczyńskim, wpływa w powiat kielecki około wsi Korczyna, płynie dalej około Małogoszcza i pod Wymysłowem wpada do Nidy.

2) **Czarna Nida (l.)**. U Długosza Morawica, wypływa z pod Słupi Nowej, to jest z gór Śto-Krzyzkich, dalej wchodzi w p. kielecki, gdzie płynie około Daleszyc przez Słupiec, Marzysz, Tokarnią. Ujście pod Żernikami. Spławną być nie może.

Poza wsią Surowizna przyjmuje w siebie rzekę *Bobrzycę (l.)*, która powstaje ze źródeł około wsi Zagdańsk, w okręgu szydlowieckim. Główném przeznaczeniem jój jest nadawać ruch licznym zakładom żelaznym, nad jój biegiem położonym. Płynie około Szczukowic, Białogona, Biesaka i Murowanej Woli.

Do Bobrzycy pod Białogonem wpada strumień (*l.*) *Silnica* v. *Dąbrówka*, wypływający z pod wsi Dąbrowa; płynie on około Kiele. Pod wsią Murowana Wola wpada do Bobrzycy z prawego brzegu strumień *Dobrzączka*, biorący początek około wsi Szewce, w powiecie kieleckim.

3) *Mierzawa* (*p.*), bierze początek około wsi Potoka i Mierzawy w okręgu jędrzejowskim, jakkolwiek źródła jej dalej sięgają, i jedno z nich pochodzi ze wsi *Wierzbicy* na północ m. *Żarnowca*. Płyńie dalej około *Przyłęczka*, *Przyłęka*, *Konar*, *Niegosławic*, *Sędowic* i pod *Pawłowicami* w okolicach *Pinczowa* wpada do *Nidy*.

PILICA albo dawniej *PILCA*, początek bierze o 200 sążni powyżej m. *Pilicy* w powiecie olkuskim. W dalszym swym biegu około *Konieczpola*, *Przedborza*, *Sulejowa*, *Inowłódza*, *Nowego-Miasta*, oddziela gubernią *radomską* od *warszawskiej*, i pod *Mniszewem* wpada do *Wisły*.

Koryto jej w ogóle piaszczyste, leży na samym grzbiecie górzystości, przedzielającój *Wisłę* od *Warty*; ztąd wszystkie znaczniejsze rzeki, wytryskujące z pod jej boków, przechylają się do pierwszej lub drugiej, albo téż do *Bzury*. *Nida*, *Kamienna*, *Białka*, *Radomka*, zabrawszy wszystkie wody, tuż od ściany prawego jej brzegu wlewają się do *Wisły*; *Widawka* i *Ner*, wodami swemi wzbogacają *Wartę*, a *Rawka*, *Skierniewka* i inne od północy *Bzurę*. Z tych, które się do *Pilicy* staczają, znaczniejsze są: *Luciąża*, *Wolborka*, *Czarna*, *Drzewiczka*.

Zdroiska góry z której *Pilica* wytryskuje tak obfite wylewają wody, że te o sto kroków ztamtąd obracają

koła młyńskie, a na przestrzeni dwóch mil aż do Zarnowca, stoi mnóstwo młynów, tartaków, papierni i t. d.

Są też tu i zakłady żelazne: 1) Koniecpol, pudlingarnia wydająca do 60,000 cent. żelaza; ma 4 piece pudlingowe, i 2 wygrzewalne; 2) Chrzastów ma dwie kuźnie, które rocznie 2,500 cent. żelaza kutego wydają; 3) Tomaszów, wielki piec i trzy ogniska fryszerskie przy ujściu Wolborki; pierwszy wydaje 15,000, fryszerki 6,000 cent. żelaza.

Spadek począwszy od źródeł aż do Sulejowa wzdłuż mil 16 tak mało się zmniejsza, że tu jeszcze woda w sekundzie do 3 stóp ubiega. Wprawdzie dla mnóstwa młynów i licznych zawałów tamujących jednostajny odpływ, o którychto zawałach poniżej wspomnimy, szerokość koryta jest nierówna, bo w niektórych miejscach, jak pod Łęgonicami wynosi do kilkuset łokci, a gdzieindziej ledwo do 30 dochodzi; lecz na zwężonych cieśninach płynie głęboko, czasami do 2 sążni i ze znacznym pędem. Od Koniecpola do wsi Maluszyna, płynie gruntami ilowatemi, a od Ciemiętnik gdzie wpada rzeka Czarna, brzegi są wyższe i prostsze.

Rzeka ta przepływa okolice obfitujące w płody rolnicze, górnicze, lasy, wapno, marmur i kamień ciosowy; tak więc z powodu swój dogodności do spławu, jako też i potrzeby posiadania łatwej w tych stronach komunikacji, Pilica oddawna używaną była do spławu.

O znakomitym stopniu prowadzonego na niej handlu i przepływu płodów, można się domyślać częścią z kwitnącego dawniej stanu osad przyległych, częścią z podań niewątpliwych. Do połowy XVIgo wieku liczne statki okrywały jeszcze Pilicę; do téj epoki staczane ze wszech

stron towary i produkta na targi do miast nadbrzeżnych, utrzymywały w nich nieustanny ruch, a w przyległych włościach przemysł i pracę. Przy takiej sposobności, z jednej strony napływ potrzeb i obcych dostatków musiał zapomagać mieszkańców, a z drugiej odpływ miejscowych, podwajał w nich ochotę do obrabiania wszelkich źródeł dochodu. Żeby sobie wystawić, jak dalece spław i żegluga téj rzeki obchodziły dawniej przyległych obywateli, dosyć tu będzie przytoczyć ustawę roku 1589 wydaną w te słowa: „A iż województwo Sieradzkie na wyprawę rzeki Pilce (tak ją dawniej zwano) z dobréj woli swéj pozwala dać z łanu każdego po 4 grosze, tedy my im tego pozwalamy tak z naszych, jako szlacheckich majątności, i pod warunek i sposób wybierania poborów pospolitych, do rąk ur. skarbnika sieradzkiego oddać uchwalamy; o szluzach *prout supra* zachowując wcale konstytucyą.”

Warunek wzmiankowany względem szluz ściągał się do młynów, które za wyraźném dozwoleniem mogły być zachowane na rzece spławnej. Konstytucya tego samego roku na inném miejscu tak go objaśnia: „Aby każdy czyj młyn jest, powinien był instrumencie, powrozy i inne potrzeby do tego należące mieć i naczynie wodne, któregokolwiek stanu ludzie bez wszelakiéj szkody i trudności przeprowadzać przez te groble w górę i na dół idące. Szluzy, aby były równie naprawiane, a to pod winą sta grzywien”.

Te prawa, jak z jednej strony okazują ducha rządności i troskliwości o ulepszenie stanu ekonomii krajowéj, tak z drugiej dowodzą całej wówczas ważności spławu i żeglugi na Pilicy. Widać, że wszyscy w niej zarówno postrzegali przedmiot wygody publicznej, wszyscy na jég

urządzenie z ochotą poświęcali składkę, i nikt nie poważał się upierać, przy wyłącznych z niej użytkach. Jak na każdej innej rzece splawnej, tak i na tej właściciele ochronionych młynów poddawali się spokojnie pod obowiązki zakładania przy nich wygodnych szluz, przeprowadzania wszelkich statków i odpowiadania za szkody, jakieby tam żeglujący ponieść mogli. Znać, że wszystkie te ofiary nagradzały się sownie obywatelom, gdyż bez tego nie byłiby je pewnie poświęcali tak dobrowolnie.

Samo położenie Pilicy usprawiedliwia tę troskliwość, z jaką starano się zawsze o zapewnienie na niej splawu i żeglugi; rzeka w tym miejscu tak istotnie była potrzebną, że bez niej, na małyby się przydać mogły te płody, które w obfitych zapasach stanowią wyłączne prawie bogactwo kraju. Zdaje się, że troskliwa natura, nie chcąc w niczem uchybiać naszej ziemi, tam, gdzie niezmiennie prawidła zniewalały ją rozrzucić osobne źródła swych darów na pewne przedziały, starała się obmyślać środki ułatwiające wzajemne ich zbliżenie. Uposażywszy te okolice w niewyczerpane szychty rud i kopalń rozmaitych, ukazawszy tam wielką sposobność do zakładania fabryk, wyprowadziła Pilicę, dla zapewnienia najodleglejszym posadom ich użyteczności, za pomocą łatwego przewozu. Jak z jednej strony Wisła, tak z drugiej Pilica, bez trudności i znacznych kosztów splawiała do swoich i obcych krain nieprzebrane zasoby kamieni, marmurów, wapna, gipsu, ołowiu, miedzi, żelaza i innych płodów, rozsypanych po całej tej przestrzeni (*). Lecz zbieg następnie nieprzyjaznych przemysłowi okoli-

(*) Surowiecki: O rzekach i splawach.

czności spław przerwał, a rzeka sama sobie pozostawiona, coraz więcej dziką się stawała. Już przy jej ujściu przy Zagrobach, pod Nowém-Miastem, Łęgonicami, Dromanewicami, Inowłodzem, Sulejowem i Kurnędzem nie mogły statki przebywać, a nawet drzewo w pasach niewszędzie mogło bezpiecznie przechodzić.

W roku więc 1823, w owej epoce wznoszenia się fabryk królestwa, zwrócono szczególną na rzekę tę uwagę, jako na ważną linią komunikacyjną i zaraz przystąpiono do oczyszczenia jej koryta i uregulowania brzegów. Oczyszczoną więc została na całej długości z zawałów, których wydobyto: dębów sztuk 85, sosien 10, karpów i pni 355, zawałów mniejszych 521; uprzątniono młyny, jazy; ścieśniono tamami i pogłębiono koryto jej, szczególnie w nizinach gdzie zbyt rozlewała, jak pod Nowém-Miastem, Domanewicami, Łęgonicami, Rożniszewem i Mniszewem. W obecnych czasach, a mianowicie w r. 1842, 3, 4 i 5 także stosowne poczyniono pod Smardzewicami i Rożniszewem roboty, wynoszące sążni kub. 1838.

Skutkiem takowych robót, jako też i ciągłej troskliwości o stan tej rzeki, spław na niej jest jednym ze znakomitszych; nie można wszakże zamilczeć, że i obecnie jeszcze znajdują się na niej przeszkody spławu. Do samego Sulejowa przepływa ona okolicę leśną, dlatego z powodu karpin lub drzew całkiem zatopionych jest niebezpieczna dla spławu, szczególnie przy małej wodzie. Dalej od m. Sulejowa, lubo że przeszkody takowe nie mają już miejsca, jednakże z powodu niskich i piaszczystych brzegów, spław znowu napotyka trudności. A oprócz tego pod wsią Barkowice w Piotrkowskiem, z powodu złego urządzenia izbic, galary często ulegają rozbiciu; w łąkach nalejących do dóbr Białobrzegi w no-

wo zrobionėj przerwie znajdują się dwa dęby; w gminie Brzostów na prawym brzegu rzeki, naprzeciw młyna Borki, przy lewym brzegu, i w nowėj przerwie w gruntach ekonomii Inowłodz, wiele znajduje się zawałów drzewnych i kamiennych.

Splaw zaczyna się od Koniecpoła dla samego drzewa zbitego w tratwy, na których czasem bywają i ładunki, a od Przedborza i dla innych statków, mianowicie galarów. Splawianemi bywają: zboże, okowita, wapno, drzewo tarte i t. d.; wartość ich raporta władz gubernii warszawskiėj podają: w r. 1845 na rub. sr. 75,500; w 1847 r. rub. sr. 66,400. Przy większej wodzie, przestrzeń 36-milową od Przedborza do Warszawy, statki w ciągu 9—11 dni przebywają. Przystanie są: Sulejów, Przedborz, Bindugi, Maluszyn, Smorzewice, Białobrzegi i t. d.

Do Pilicy wpadają następane rzeki: Pradła, Zwleczka, Chotówka, Czarna pod wsią Taraska, Luciąża, Utrata, Wolborka, Czarna pod Piekłem, Drzewiczka z Węglanką i Brzuszną, i Mogielanka.

1) **Pradła** czyli Korytnica (*l.*), początek ma pod Samoszycami, ujście pod Szczekocinami; długa około 2 mil.

Nad rzeką tą jest wielki piec, wydający rocznie 15,000 cent. surowizny. Koło wodne porusza miechy skrzynkowe.

2) **Zwleczka** czyli Jeczowka (*pr.*), początek jój około wsi Zwleczka w okręgu jędrzejowskim; płynie około Secemina, ujście pod Maluszynem.

3) **Chotówka** (*pr.*), początek około wsi Ludynia w okręgu kieleckim, płynie około wsi Chotów, ujście pod Ciemiętnikami.

4) **Czarna** (*pr.*), początek pomiędzy wsiami Furmanów i Lelitków w okręgu szydlowieckim, ujście pod

wsią Taraska w p. opoczyńskim. Długa mil 9. W całej swój długości napęlnia stawy czynne przy fabrykach żelaznych, dlatego nie ma znacznej obfitości wody i do splawu użytą być nie może.

Szereg zakładów górniczych nad rzeką tą położonych, rozpoczyna fryszerka o jedném ognisku w Nieklaniu; idzie dalej fryszerka o dwóch ogniskach w Węglowie; walcownia żelaza w Nieborowie; fabryka i wielki piec w Czarnój; fryszerka o dwóch ogniskach w Janowie; o czterech w Małachowie, wydając rocznie 6,000 cent. żelaza kutego. Zgoła nad rzeką tą istnieje 39 ognisk kuźnic rządowych. W Sielpi przy młynach Dzibałtowskich, na pół drogi z Końskich do Radoszyc, istnieje pudlingarnia, której produkcya roczna obliczona na 36,000 cent. żelaza sztabowego. Obok takich zakładów rządowych, nad rzeką tą istnieją jeszcze następne prywatne:

Piece wielkie w Kuźnicy i Furmanowie, z fryszerkami w Kuźnicy, Ruskimbrodzie, Januchcie, Furmanowie, Wielkim i Małym Nieklaniu, Zdunowie, Węglowie.

W dobrach konieckich: wielki piec w Stąporkowie i kuźnice w Duranczowie, Błotnicy, Wąsoszu, Janowie, Czarnój, Piaskach i Szatnój Wsi. Piec wielki wytapia do 10,000 cent. surowizny z rud miejscowych, a fryszerki wykuwają do 7,000 cent. żelaza. Poniżej zakładów rządowych, są jeszcze następne prywatne:

W dobrach Fałków: wielki piec w Skórnikach i kuźnice w Kołonicu, Franciszku, Starzechowicach i Rudce. Produkcya roczna surowizny 12,000 cent., kuźnice zaś do 7,000 cent. żelaza przekuwają.

Płaskowice, wielki piec i fryszerka; Siedłów, kuźnica; Machory, wielki piec i kilka ognisk fryszerkich; dobra

Maleniec posiadają dwa wielkie piece, mogące wydać rocznie przeszło 30,000 cent. surowizny, tudzież pięć ognisk fryszerskich, wykuwających po 6,000 centnarów.

Taka więc jest ważność rzeki Czarniej przy zakładach górniczych.

5) **Luciąża (l.)** wypływa z błot grocholickich, niedaleko miasta Rozpry w Piotrkowskiém. Zabrawszy potok idący od Piotrkowa, płynie w długości blisko czterech mil przepyszną doliną aż pod Sulejów do Pilicy. Różnica wysokości jój spadku od źródła aż do ujścia, nie dochodzi stóp 30.

6) **Utrata (pr.)**. Pod wsią Wąwołem nad samym brzegiem Pilicy, płynie rzadkiej piękności strumień, do tego stopnia w wodę obfity, że w odległości 50 prętów wodościek od niego idący jest w stanie poruszać młyn na dwa koła pod Siekiernem. Strumień ten płynie w długości pół mili nad brzegiem Pilicy, do której wpada w bliskości nomenklatury Kulas, do wsi Białobrzegi należącój.

7) **Wolborka (l.)**. Początek jój pod m. Tuszynem w okręgu radomskim, następnie w biegu swym dwiema odnogami oblewa miasto Wolborz. Za wsią Nieborów w Piotrkowskiém wpada do Pilicy. Długa mil 5; szerokość koryta od 5—15, głębokość w niektórych miejscach od 3—4 łokci. Dno miejscami dosyć twarde, przechodzące przez żyły rudy żelaznej.

Zasilana przez różne strumienie, ma także i źródła obfite, ponieważ już blisko nich znajdują się młyny, a w Moszczenicach pomiędzy Piotrkowem i Wolborzem, znajdują się fryszerki.

8) **Czarna (l.)** poczyna się ze źródeł wytryskujących z trzęsawisk Kełpin, w lasach rządowych niedaleko Ła-

znowa w Rawskim. Płyńie z północy ku południowi samemi lasami aż do miasta Ujazd; pod Starzycami łączy się z małą strugą *Bielinką* i razem z tą wpada do Pilicy, niedaleko kopalni wapiennej zwanój Piekło. Długa mil 3, szeroka od 6—15, głęboka od 3—4 łokci; dno jój błotniste.

9) *Drzewiczka (p.)*. Początek pod wsią Ruskibród blisko m. Końskich, ujście pod wsią Czerwona Karczma w Opoczyńskim i Nowém-Miastem w Rawskim; długość mil 9. Aż do miasta Drzewicy, użytą jest ona do fabryk żelaznych, mianowicie: dobra Białaczew posiadają nad nią wielki piec w Rudzie i kuźnice w Petrykozach; dobra Gowarczów wielki piec w Józefowie i kuźnice w Morzywole i Szczurku; w Drzewicy jest wielki piec z dwiema fryszerkami, piec dostarcza 15,000 cent. surowizny, fryszerki wykuwają rocznie 2,000 cent. żelaza. Od miasta Drzewicy, rzeka ta przy ciągłej obfitości wody, za użyciem odpowiednich środków, mogłaby być przysposobioną do spławu tratw, gdyby młyny tu znajdujące się nie czyniły przeszkody.

Do Drzewiczki z lewego brzegu spływają:

1) *Węglanka*, poczyna się w okolicach wsi Bedlno i Kazanów na zachód Końskich, płyńie w długości mil 4, ujście pod m. Opoczmem. Małą ma obfitość wody, dostateczną wszakże dla kilku młynów nad nią stojących.

2) *Brzusznia*. Początek w okolicach wsi Kamiennój Woli w okręgu opoczyńskim; długa przeszło 2 mile. Pod m. Drzewicą rzuca się do Drzewiczki.

10) *Mogielanka (l.)*. Początek pod wsią Wilkowem w powiecie warszawskim; płyńie krętém korytem przez

Błędów, Mogielnicę, i przebiegłszy mil 4 wpada do Pili-cy pod m. Przybyszewem.

B) *Z prawego brzegu:*

SAN, wypływa z Galicyi austryackiej; na długość 12 wiorst przypiéra swym prawym brzegiem do gubernii lubelskiej, oddziela ją od Galicyi, gdzie poniżej Krzeszowa powraca, a naprzeciw Szczytnik, poniżej Sandomierza wpada do Wisły. Od m. Radymna w Galicyi, to jest w przestrzeni mil 15 od ujścia do Wisły, w dobrach prywatnych Wrzawy, spławny dla galarów ulanowskich i tratów. W łożysku swém ma przeszkody pochodzące z korzeni i drzew całych, po rozerwaniu brzegów zatopionych. Przeszkody te przy małej wodzie zwykle niebezpieczne dla żeglarzy, przy większej wcale spławu nie utrudniają; jakoż galary ulanowskie, z sześciu zbudowanych nad brzegiem téj rzeki obszernych spichrzy, sporą ilość zabiérają pszenicy, ładując od 500 — 600 korcy, stosownie do stanu wody. Prócz tego, spławiają Sanem inne produkta rolnicze, owoce, garnki, których ogólna wartość w r. 1844 wynosiła rub. sr. 90,000, a w r. 1845 rub. sr. 40,000. Przystań w Krzeszowie.

Wpadają do Sanu: 1) Tanew i 2) Bukowna. Piérwsza z rzeczkami: Lubienica, Sopot, Szum, Łada; druga, to jest Bukowna z rzeczkami: Rakowa, Branwica, Zajemna z Białą.

1) Tanew (p.) poczyna się w Galicyi w okolicach miasta Narola. Pod wsią Borowice wpływa w okręg tarnogrodzki; pod wsią Sierakowem powraca do Galicyi, a przepłynąwszy mil 6 $\frac{1}{2}$ wpada pod Ulanowem do Sanu. Nie jest ona spławną, lecz nią byćby mogła.

Przyjmuje w siebie Lubienicę, Sopot, Szum, Ładę.

1) *Lubienica* (p.). Ta poczyna się w okręgu tomaszowskim, w lasach pod wsią Hucisko, a przebiegłszy mil 2, wpada do Tanwi pod wsią Dorbozy.

2) *Sopot* (p.). Źródło jój pod wsią Majdan Sopocki w okręgu zamojskim, ujście do Tanwi pod wsią Kozaki. Długość mil 2.

3) *Szum* (p.). Źródło pod wsią Górniki w okręgu tarnogrodzkim; przyjmawszy do siebie dwa strumienie płynące z pod Józefowa, wpada do Tanwi pod wsią Szostaki. Ubiega mil 2.

4) *Łada* (p.). Źródło we wsi Łada w okręgu kraśnickim; płynie koło Biłgoraja, Biedaczewa, gdzie wpada strumień od Soli idący. Ubiegłszy mil 5 wpada do Tanwi pod Babicami.

Żadna z wymienionych rzeczek wpadających do Tanwi, nie jest i nie może być splawną.

2) *Bukowna* (p.) poczyna się w okręgu tarnogrodzkim z błot pod wsią Korytkowem. Płynie przez wsie: Uście, Momoty, Łązek, a przebiegłszy mil $3\frac{1}{2}$ wchodzi do Galicyi, gdzie wpada do Sanu. Nie jest ona splawną.

Wpadają do niej: Rakowa, Branwica, Zajemna.

1) *Rakowa* (p.). Źródło jój we wsi Kosudza w okręgu tarnogrodzkim; ujście pod wsią Uście; długość $1\frac{1}{2}$ mili.

2) *Branwica* (p.). Źródło pod wsią Branew w okręgu kraśnickim; ujście pod wsią Momoty; długość mil $2\frac{1}{2}$.

3) *Zajemna* (p.). Źródło pod m. Janowem w okręgu tarnogrodzkim; ujście pod wsią Łązek; długość mila 1.

Do niej pod wsią Gerlachy wpada rzeczka *Biała* (p.), biorąca początek w lasach powyżej wsi Godziszewa w okręgu kraśnickim. Długa mil 2; płynie przez m. Janów.

Jak sama rzeka Bukowna, tak i żadna z rzeczek wymienionych do niej wpadających, splawną być nie może.

WIEPRZ poczyna się w okręgu tomaszowskim we wsi Wieprzowe Jezioro; pod Iwangorodem wpada do Wisły. Płynie w gruncie łęgim, gliniastym; ma brzegi pewne, koryto niedzielące się na odnogi, szerokie normalnie około 10 sążni; głębokość na średni stan wody stóp 4, spadek na wiorstę długości wynosi przeszło półtoręj stopy.

Głębokość i szerokość téj rzeki od m. Kocka do ujścia, przedstawia następująca tabela:

| Wymienienie miejsc. | Szerokość | | | Głębokość | | |
|-------------------------|---------------|---------|--|-------------|---------|------------|
| | najmniejsza | średnia | największa | najmniejsza | średnia | największa |
| | prętów polsk. | | | stóp polsk. | | |
| Kock | 10 | 5 | W czasie wielkich wozbrań wychodzi z koryta i szeroko rozlewa. | 6 | 10 | 14 |
| Zakalew. | 14 | 18 | | 4 | 8 | 12 |
| Łysobyki..... | 8 | 11 | | 10 | 14 | 18 |
| Blizocin..... | 10 | 12 | | 8 | 12 | 16 |
| Drażgów..... | 11 | 15 | | 6 | 10 | 14 |
| Osmolice..... | 8 | 10 | | 8 | 12 | 16 |
| Korzeniów..... | 8 | 10 | | 8 | 12 | 16 |
| Karczma Koźmiańska..... | 10 | 20 | | 6 | 10 | 14 |
| Sadowice..... | 16 | 20 | | 6 | 10 | 14 |
| Bobrowniki..... | 18 | 36 | | 4 | 8 | 12 |

Największa woda na Wieprzu bywa z wiosny; zalewa ona wtedy niziny po obydwóch brzegach rzeki od jednej do dwóch wiorst szeroko. Zamarza średnio biorąc w końcu listopada, a puszcza w ostatnich dniach marca lub początkach kwietnia bardzo wolno i lody spokojnie odchodzą. Splawną jest od m. Krasnegostawu na przestrzeni 17 mil; całkowita jęj długość mil 27. Statki ze zbożem i wielki budulec okrętowy, wychodzące na wodę wiosenną, w krótkim czasie wypływają na Wisłę, a często nawet splawiane być mogą i podczas jesieni. Według rapor-

tów urzędowych z gubernii lubelskiej, rzeką tą w 1845 r. przeprowadzono płodów za rub. sr. 222,900, a w roku następnym za 520,000 rub. sr. Przystanie na niej są: Krasnystaw, Stężycą, Borownica, Gęsia Karczma, Łańcuchów, Łęczna. Rzeka ta byłaby jedną z najdogodniejszych dla spławu, gdyby jej nie przeszkadzały młyny źle urządzone, jak to ma także miejsce na Bugu. System budowli tychże, a szczególnie przepustów na statki, wypada koniecznie zmienić, gdyż przechodzące statki nietylko częstokroć się łamią, ale jeszcze przechyliwszy się zatapiają. Oprócz młynów, które spław na Wieprzu utrudniają, w najgorszym także stanie znajduje się ujście tej rzeki do Wisły, w przestrzeni pół mili. Brzegi nader piaszczyste i lotne w tém miejscu, stały się powodem wielkiego rozszerzenia koryta, a następnie mielizn, których w średnim nawet stanie wód niepodobna przebyć przy opadnięciu wody na Wiśle. Chcąc tę niedogodność usunąć, potrzebaby w całej tej przestrzeni łożysko Wieprza za pomocą tam ścięśnić, i samo jego ujście z dobrem spławu zamienić. Łądy rzeki Wieprza, oprócz ujścia, są tęgie, gliniaste, nieuszkodzane od pędu wody jak tylko pod Stężycą, Trawnikiem i Dobrzyniowem, gdzie nurt podchodząc pod wzgórze piaszczyste, około 40 stóp wysokie, obrywa je i grozi zerwaniem części wsi rzeczonych. W latach 1819 i 1820 wyczyszczono tę rzekę od Kocka aż do ujścia w długości mil 6.

Jakkolwiek w piśmie tém, nigdzie zupełnie nie wspominaemy o sposobach przepraw przez rzeki, gdy wszakże most arkadowy na rzece Wieprzu zbudowany, jest jedyny w naszym kraju, i pod wszelkimi względami ma wyższość nad mostami innego rodzaju, o nim więc pokrótce wspomnimy.

Most ten pod Kośminem, na tracie bitym lubelskim, w majątności p. Franciszka Miaskowskiego, zbudowany według projektu inspektora Komunikacyj Lądowych i Wodnych p. Felixa Pancer, na długość 270 stóp zawieszony jest u arkady, nad całą przestrzenią między dwoma brzegami rzeki wzniesionój. W środku nie ma on żadnego podparcia, a ztąd od wszelkiego działania wody i lodów jest zupełnie bezpieczny.

Co do swój budowy, różni się od innych mostów zwyczajnych i łukowych tém, że pokład czyli pomost jego wraz z belkami na których leży, zawieszony jest u wiązania, wzniesionego nad mostem i tworzącego łuk czyli arkadę; w tamtych zaś pomost znajduje się nad wiązaniem most utrzymującym. Arkada mostu tego składa się właściwie z trzech części czyli łuków, tworzących całość, to jest z dwóch po bokach i jednego w środku. Od każdego z tych łuków, idą do mostu pod nimi wiszącego rzędy belek pionowych czyli słupów wiszących, połączonych tak z temi łukami, jako téż z belkami mostowymi, za pomocą prętów żelaznych z niemi zaśrubowanemi. Pręty te i słupy utrzymują cały most i ciężary po nim przechodzące.

Każdy łuk składa się z 74 belek wyginanych, średnio po 21 łokci długich i przeszło po 12 cali w kwadrat grubych, złożonych z sobą dwoma rzędami po pięć belek jedna na drugiej i ściśniętych sworzniami żelaznemi, tak, że wszystkie stanowią jedną sztukę wygiętą czyli łuk, rozciągający się od jednego do drugiego brzegu.

Łuk taki trzyma 5 stóp szerokości, a przeszło 2 stopy grubości. Wszystkie trzy łuki połączone są z sobą belkami poprzecznymi i ukośnemi w sposób, że stano-

wią jedną całość, niepodlegającą żadnemu zboczeniu i usunięciu.

Pod temi wiązaniami, zostawione jest dostateczne miejsce do przejazdu pomiędzy łukami.

Łuki skrajne, wzmocnione są jeszcze zewnątrz wsporami ukośnemi, na skrzydłach murów przyczółkowych osadzonemi.

Końce łuków i skrzydeł umieszczone są w osadach z żelaza lanego, spoczywających wewnątrz przyczółków na massach murów z kamieni granitowych obrabianych, których warstwy układane są ukośnie do poziomemu, a prostopadle do kierunku końców łukowych, czyli co na jedno wyjdzie, do kierunku siły rozpierającej, do którego kształt łuku jest zastosowany.

Zresztą, mury przyczółkowe wzniesione są na fundamentach z pali. Zewnętrzne ich ściany wymurowane są z cegły wyborowej, narożniki zaś i komory obejmujące końce łuków, z kamieni ciosowych.

Moc tego mostu jest taka, że do zniszczenia go, potrzebaby 15 do 20 razy większej siły od téj, jakiej może ulegać w skutek działania ciężarów lub wiatrów, a nawet na nadzwyczajne wypadki, jakie w najgorszych razach mogłyby mieć miejsce, jeszczeby moc mostu przewyższała największe nań działanie siły 10 do 15 razy.

Koszt budowy mostu tego z przyczółkami murowanemi, obliczony jest na złp. 140,000, z czego na samą arkadę i wiszący u niéj pokład wraz z wszelkiemi żelaztami, wypada tylko około 60,000 złp. Taż sama budowa z przyczółkami drewnianemi, kosztowałaby około 100,000 złp.

Zwyczajny most na palach w tém samym miejscu, aby się mógł utrzymać, musiałby mieć przynajmniej 60

do 70 sążni długości, i kosztowałby wraz z izbicami 70 do 80,000 złp.; zaś z przyczółkami kamiennymi prawie tyleż co poprzedzający, nie mogąc się równać z nim co do bezpieczeństwa i trwałości.

Blizszy opis i rysunek mostu, znajduje się w Bibliotece Warszawskiej z r. 1842, tom III.

Na szerokość Wisły pod Warszawą podobnyż most o trzech arkadach drewnianych, z dwoma kamiennymi w środku rzeki filarami i takiemiż przyczółkami, kosztowałby około złp. 2,400,000 czyli rub. sr. 360,000. Takież most z żelaznemi arkadami, urządzony w sposób okazany na modelu, znajdującym się w zarządzie naczelnym Komunikacyj Lądowych i Wodnych, nie kosztowałby według przybliżonego wyrachowania więcej nad 4,500,000 do 4,800,000 złp.

Do Wieprza wpadają następujące rzeki:

1) Łabuńka, 2) Wolica, 3) Żółkiewka, 4) Gełczew, 5) Jagielna, 6) Bystrzyca z Czerniejówką, Czechówką, Kozą i Kozarem, 7) Tyśmienica z Piwonią, Bystrzycą i Stanówką.

1) **Łabuńka** (p.). Początek w błotach pod wsią Łabuńkami w okręgu tomaszowskim; pod Zamościem wpada do niej mały strumień; pod wsią Piaski ujście. Całkowita długość mil $3\frac{1}{2}$.

2) **Wolica** (p.). Początek pod wsią Majdan w okręgu hrubieszowskim; płynie przez miasto Grabowiec, ujście pod wsią Wólką Orłowską. Długość mil 4.

3) **Żółkiewka** (l.) poczyna się z błot pod wsią Żabno w okręgu krasnostawskim; pod Krasnymstawem, ubiegłszy mil 4, wpada do Wieprza.

4) **Gełczew v. Radomirka** (l.) wypływa z lasów wsi Gełczewa w okręgu krasnostawskim, płynie przez

wieś Stryjne, poniżej której wpada do niej strumień płynący od Olszanki i Policzny; dalej przez miasto Piaski, gdzie wpada do niej strumień płynący od Kozic. Przebiegłszy mil $5\frac{1}{2}$, wpada do Wieprza pod wsią Pelczynem za m. Biskupice.

5) Jagielna (*p.*) wypływa z błot wsi Tarnowa w okręgu chełmskim, płynie przez Brzeziny, gdzie łączy się z nią strumień idący z błot Kulika i od Stawka. Ujście pod Łęczną, długość mil 4.

Wszystkie te rzeczki nie są i nie mogą być splawne.

Dalej wpada do Wieprza:

6) Bystrzyca (*l.*). Źródło jej pod wsią Sutów w okr. kraśnickim, płynie następnie pod Wólką Rudaicką, gdzie przyjmuje strumień płynący od Rudnika, przez Kielczewicę, Bystrycę po pod Lublinem, gdzie wielki młyn obraca, a pomiędzy wsiami Spiczynem i Zawieprzycami, ubiegłszy mil $7\frac{1}{2}$, wpada do Wieprza. Od m. Lublina, to jest na rozległość dwóch mil, mogłaby być splawną, i tu przyjmuje:

1) Z prawego brzegu rzeczkę Czerniejówkę, powstającą ze źródeł we wsi Piotrkowice, długą mil 3.

2) Z lewego Czechówkę, poczynającą się powyżej wsi Sławinka w okręgu lubelskim, długą milę 1.

Powyżej Lublina pod Iżycami przyjmuje w siebie:

3) Rzeczkę Kożę (*p.*), powstającą ze źródeł we wsi Wola Gałęzowska, długą mil 2; ta zaś pod Bychawą przyjmuje w siebie:

Rzeczkę Kozar (*p.*), wypływającą z lasów wsi Kozarzewa, długą milę 1.

7) Tyśmienica (*p.*) poczyna się z wielkich błot wsi Rozkopaczewa w okręgu lubartowskim, zaraz wchodzi w powiat radzyński i tu płynie przez m. Ostrów; pod

Babianką tworzy się z niej staw siemiński 9 wiorst długi, a 1 szeroki, który połową prawie swęj długości rozgranicza powiat radzyński od lubelskiego i kończy się we wsi Siemień. Odtąd rzeka Tyśmienica idzie granicą rzeczonych powiatów, a powyżej m. Kocka pod wsią Górka wpada do Wieprza. Całkowita jęj długość ze stawem wynosi mil 7. Od wsi Siemień, na długości 3½ mili, splawną jest dla tratów. Przyjmuje w siebie rzeki: 1) Piwonią i 2) Bystrzycę.

1) *Piwonia* (p.) prawie cała błotnista, wypływa z błot wsi Hołowna; płynie około m. Parczewa, ujście poniżej stawu siemińskiego. Długa około 2 mil.

2) *Bystrzyca* (p.) wypływa z okolic wsi Zastawia na wschód m. Stoczka w powiecie łukowskim, przepływa pod wsią Borki w radzyńskim, i poza Starą Wsią wpada do Tyśmienicy. Długa mil 3; wązka, błotnista, do uszląwnienia niezdatna.

Bystrzyca przyjmuje w siebie:

Stanowkę (l.); ta zaczyna się powyżej wsi Domaszewice w powiecie łukowskim, płynie około Ulana i za Starą Wsią wpada do Bystrzycy, ubiegłszy mil 3.

Oprócz powyższych rzeczek, Tyśmienica przyjmuje w siebie kilka jeszcze strumieni.

(Dalszy ciąg nastąpi).



PLATON;

JEGO STOSUNEK DO SOKRATESA

I JEGO POJĘCIE PIĘKNOŚCI.

Na drodze ogólnego postępu ludzkości, podobnie jak w rozwoju wszelkiego organizmu, zauważyć można pewne ze stanowczym znaczeniem zwroty, do których wszystkie elementa życia dziejowo ciążą. W biegu znów każdego z takich zwrotów, dostrzedz się dają niemniej ważne, już to organiczne, już krytyczne momenta, służące ku wypośredniczeniu wielkiej doby.

Najważniejszą epokę w dziejach człowieczeństwa, stanowi objawienie Chrystusowe. Jest to niejako oś zwrotna całego rozwoju ducha ludzkiego, punkt wyjścia we wszelkich dalszych kierunkach działania tegoż ducha. W miarę zbliżania się do tej nowej doby, wyczerpywał się świat starożytny ze wszystkich sił żywotnych, kruszył w posadach społecznych, zużywał we wszech kształtach istnienia. Tak w samej rzeczywistości; na polu czynu, jak w każdej dziedzinie myśli, zupełne nastąpić musiało przeobrażenie. Ostatnie chwile potęgi państwa rzymskiego, wierny nam dają obraz ówczesnego stanu społeczeństwa. Wszelki zawiązek prawdziwego żywota rwie się i rozprasza, wszelki odgłos ludzkiego uczucia gubi

się i głuchnie, wśród nawału interesów ziemskich, wśród wiru skrzyżowanych dążeń. Długo przed grzmiotem uraganu pienia się wody morza; długo przed swym wewnętrznym, całkowitym odrodzeniem, jakby przemianą w duchowym organizmie burzyły się i szemrały namiętności człowieka. Sługa bożej myśli, bezwiedną żądzą gnany, torował ów gościniec dla stóp idącego pana. Zabłysnął nareszcie dzień prawdy; runęło stare społeczeństwo ustawiczną walką nekane, robakiem powszechnego zwątpienia stoczone. Ustalenie idei chrześcijańskiej, poprzedziła wędrówka narodów. Tak więc świat się przyodział w nową szatę, zanim wstąpił w nowe stadium życia.

Wszystko co się dopełniło na polu historycznych zdarzeń, to już pierwój przebiegło przez istotę duchów *indywidualnych*, i w dziejach myślenia wydatne zostawiło ślady. Bo zawsze myśl uprzedza *fakt* historyczny i wszystkie *fakta* wprzód istnieją w rozumie jako prawo, mówi filozof amerykański Emerson. Pomysły ludzkie są jako ziarna rzucone na niwę ogólnego dobra, i oczekujące tylko od czasu dostatecznego ciepła, ożywczych promieni, by zejść w rzeczywistym bycie, w historii świata.

Rezultaty więc dążeń ludzkich złożone w pasmie wypadków dziejowych, ukrywając w sobie znaczenie logiczne, znaleźć muszą odpowiednie miejsca w historii filozofii, jako obrazie konsekwentnego rozwoju myśli naszej. Przebieżmy wzrokiem pierwsze téj historii karty, a odkryje się nam, jak w starożytności stopniowe oznaczenie pojęć, blizkie już było całkowitej i najwyższej prawdy Zbawiciela.

Czasy przedchrześcijańskie przedstawiają nam dobę, w której duch ludzki zostaje na stopniu bezpośredniego

naturalnego bytu, i zaledwie się przedziéra przez warstwę materji do sfery czystego myślenia. Cały postęp filozoficznój idei jest tu bez przeważnego wpływu na życie praktyczne, bo objawienie prawdy nie zeszło jeszcze w łonie rodu ludzkiego, i wiedza o rzeczywistój wolności nie wyzwoliła była człowieka od więzów zmysłowych. Prawdziwą syntezą dla ducha świata czyli ludzkości, uważanej jako indywiduum, była wtedy dziedzina sztuki. W ogóle więc pogodzenie, wypośredniczenie *uniwersalnego* przeciwieństwa jakiém jest duch i natura, podmiot i przedmiot, wewnętrzność i zewnętrzność, odbyło się jeszcze w sposób absolutnie niedoskonały, bo wprost naturalny, jednostronny. Piękność pod panowaniem bezpośredniego uczucia, w którém się odbijały wszelkie przejawy społecznego życia, zajaśniać musiała w całym blasku i wpłynąć silnie na estetyczne wykształcenie duszy człowieka. Ztąd téż starożytność uważają za wiek naturalnego uobyczajania ludzkości.

Z chrześcijaństwem dopiero człowiek spowaźniał, wniknął w swoje jestestwo, przyszedł do siebie. Wewnętrzne poznanie obudziło refleksyą; refleksya sprowadziła rozdwojenie, sprzeczność z samym sobą, żądzę świadomości wszystkiego, przejęcia wszech rzeczy myślą. Piérwsze powawy tego ruchu refleksyi w duchu ludzkim, jeszcze przed chrześcijaństwem, dały początek umiejętności filozoficznój, która w ostatnich czasach do pełnego wykształcenia doprowadzoną została. Odtąd więc już nie dążenie do przedmiotowania swych uczuć, wewnętrznej istoty, ile chęć rozeznania zewnętrznego wniknięcia w przedmiotowość; słowem nie sztuka, ale myślenie, syntetycznie charakteryzuje drogę postępu. Starożytni oddając wszystko w formie uczucia, zostawiali na sto-

pniu szczegółów (partykularności) i przypadkowości. W świecie zaś chrześcijańskim, po zupełnym objawieniu prawdy, duch do tego tylko wagę przywiązuje, co jest koniecznością i nosi na sobie znamię ogólnej zasady. W starożytności myśl ludzka wydobywszy się za ledwie z materji, przejmowała wszystkie swe płody żywiołem téj poprzedniej sfery istnienia. Dlatego ogólny pogląd na świat był więcéj bezpośredni, *realny*, i przeważną cechę piérwszych pomysłów filozoficznych stanowi *realizm*. Idea chrześcijańska skierowała wzrok duszy ku niebu, i odrywając człowieka od natury, roznieciła w nim iskrę życia wewnętrznego, popęd do widzenia siebie wewnątrznie. Stopnie rozwijania się takiej samowiedzy ludzkiej, złożyły szereg systematów filozoficznych, które mimo to, że osięgają już w doskonaleniu się swoim punkt *kulminacyjny*, jednak względem całego *procesu* dziejów, co do treści swéj pozostają *abstrakcyjne*. Dlatego dzisiejsze ukształcenie filozoficzne, z przyczyny swéj idealności myślowéj, pokazuje się tak jednostronném, jak w starożytnym świecie estetyczne, z przyczyny swéj bezpośredniej naturalności. „Rozum u Hegla, mówi jeden z najsamodzielniejszych naszych myślicieli(1), jakkolwiek może się objawić najbardziej *objektywnym* i *absolutnym*, zawsze pozostanie tylko rozumem; dla filozofii jest on czémś najwyzszém, ale nie dla *absolutnego* ducha jako takiego”.

Gdy więc obecnie, z jednéj strony myśl znalazła się w sobie i filozofia organicznie pojętą została; z drugiéj strony w dziedzinie rzeczywistego bytu uderza największa nieodpowiedniość zdobytemu stanowisku wiedzy

(1) Cieszkowski: Prolegomena zur Historiosophie.

człowieka, jak np. w samym układzie stosunków społecznych. Umiejętność albowiem filozoficzna rozważała dotąd ducha w formie nadzmysłowej, *abstrakcyjnej*, nie zaś w pełni jego życia; a idea filozoficzna choć w istocie swój *konkretna* jako *spekulatywna* jedność przeciwnieństw, względnie do rzeczywistości była zawsze oderwaniem. Ztąd powstał przestwór trudny do wypełnienia między teorią, wiedzą świata, a żywotem praktycznym, pełnym energii, woli i uczynków jednających zasługę w pojęciu chrześcijańskim. Idealizm dzisiejszy, jakkolwiek *absolutny*, stawiając pojęcie bytu jako myśli, nie upoważnia człowieka do czynności zewnętrznej. Ztąd też bierze początek coraz silniejszy rozgłos *opinii* przeciwniej wszelkiemu filozofowaniu, a fałszywie nieraz uzasadnionej na niemożebności pogodzenia rozległej *inteligencji*, z życiem odpowiedniem wymaganiom towarzyskich stosunków.

W obecnym czasie, gdy myślenie w rezultatach swoich dowodzi szczytu potęgi w zakresie idealnego poznania, któż nie uzna gwałtownej potrzeby, że tak powiem wyczynienia się téj świadomości człowieka w rzeczywistym bycie? Filozofia jako umiejętność, pomimo całej siły twórczej, nie wyszła poza obręb prawodawstwa samej *inteligencji*, gdy tymczasem jako wiedza *absolutna*, obejmując i sferę praktyczną, winnaby być jeszcze prawodawczynią woli ludzkiej. „Tak jak kiedyś poezja sztuki, mówi wspomniany już pisarz, przeobraziła się w prozę myślenia; tak filozofia zstąpić musi z wysokości teorii, na pole praktyki. Praktyczna filozofia, albo właściwiej mówiąc filozofia praktyki, której *najkonkretniejszém* działaniem na życie i socyalne stosunki jest

rozwinięcie prawdy w *konkretnej* czynności, oto jest przyszły los filozofii". W ogóle więc przeniesienie świadomości ludzkiej w samo działanie, czyli czyn z wiedzą dokonywany, stanowi główny charakter dalszego postępu.

Żyjemy w czasach największego skrzyżowania się kierunków, prawie anarchii, zarówno na polu nauki bliżej z praktyką stykającej się, jak i w dziedzinie umiejętności ścisłych. Kiedyż panował większy, jak obecnie, rozbrat w okręgach religii, filozofii, w pojęciach najwyższych kwestyj? Coraz rozleglejsza krytyka w obszarze prawd żywotnych, coraz silniejszy pęd zaprzeczania, wątpienia (neokatolicyzm, neochryścjanizm).

Kiedy po przeciągłej pozornie stagnacji człowieczeństwa, postępową siłą czasu, zaszczepiwszy w rzeczywistości nową żywotną ideę, niby hasło do dalszego pochodu, wyrwie gwałtownie świat z objęć starego porządku; zawsze następuje chwila wielkiego przesilenia, pewnych przewrotów politycznych. Albowiem siła wsteczna, która utrzymuje organizm w całości, nie ginie za odcięciem kilku jego członków; ale raczej się wzmaga z odrostem tych niby głów u hydry, dopóki nowa prawda nurtując długo w głębi, nie wyrobi się we wszystkich elementach, do rzeczywistego bytu. Skutkiem uporczywej walki tych dwóch sił i przemiennych zwycięstw jednej lub drugiej, jest właśnie pewne pochylanie się na obie strony i wewnętrzne wstrząśnienie całego społeczeństwa. Pominawszy wszystkich jakimkolwiek interesem powodowanych, są jednakże umysły, co śród ustalonego biegu nowego ustroju, tęsknią jeszcze za dawną epoką, i często rozliczne starania łożą, by spruchniałe formy nowym tchnieniem ożywić. Historia świadczy, że jak każda płodna prawda, każda religia, miała swoich prze-

stańców; tak również na schyłku życia już będąc, znajdowała jeszcze gorliwych wyznawców i zwolenników. Ze tu napomknę tylko w odniesieniu do objawienia Chrystusowego, świetne zjawisko Juliana Apostaty.

Czyż więc dzisiaj to ciągle rozdrabianie się kierunków we wszystkich sferach życia, ta poligamia najróżnorodniejszych zasad i *opinij*, ta najokropniej natężona walka interesu osobistego z wyższém dążeniem, może być normalnym stanem w rozwijaniu się ducha? Charakter przyszłości odbija się przecież zawsze w wymaganiach czasu. Zapowiadają go wydatne przesłańce. Wedle tych przesłańców, po wielokroć usiłowano w ostatnim czasie oznaczyć główny nadal kierunek postępu człowieczeństwa.... Ponieważ urzeczywistnienie prawdy chrześcijańskiej, jakkolwiek rozmaicie pojmowane, jest przecież ostatecznym celem, do którego ród ludzki zmierza; a teoria z praktyką, myśl z bytem nigdy od siebie tak się nie oddaliły i w przeciwne strony nie rozbiegły jak teraz: oczywista więc potrzeba ich pojednania wszędzie się przebijać musi, i wszelki element mogący je zaspokoić, najbardziej jest pożądany. Z niedostatku w oznaczeniu tego elementu, wyrodziła się zaiste utopia, cechująca najświetniejsze pomysły w nowym układzie społeczeństwa. Każda prawda przejść musi kryzę burzliwój młodości. Utaarczka zdań jest dla niej ogniem czyscącym, który raz przebywszy, występuje w odpowiednich czasowi kształtach. Dzieła utopistów, przejdą więc do drugiej fazy, i oczyszczone z mrzonek i chimerycznych potworów, staną w rzędzie pierwiastków *gienetycznych* dla rzeczywistości.

Dopiero z przeprowadzeniem idei chrześcijańskiej, dotąd do wiedzy podnoszonej, w samo życie praktyczne,

w czyn, który jest najwyższą *manifestacją* ducha, nastąpi pojednanie Boga z człowiekiem. W miarę zbliżania się do tej przyszłej ery, dzieje ludzkie wychodząc zaczną z pod bezpośredniego wpływu bóstwa (ale nie z opieki); splatać je będą świadome czyny pojedynczych ludzi, do wolnej woli przychodzące narody. Wtedy zasadnicze przeciwieństwo zniesie się, czyli rozdwojone dotąd, a tém samym jednostronne kierunki organicznie się powiążą, dla wydania wyższej nad te, które dotąd same w sobie przedstawiały syntezy. Człowiek przejdzie do duchowego życia, gdy wszystko się w duchu i przez ducha jego uświećniać zacznie. Wyjście myśli z siebie do pojawu, piérwszy powrót od idealizmu dzisiejszego do *realizmu*, nie będzie cofaniem się, ale raczej zwrotem postępowym.

Zanim jednak ludzkość wstąpi na tę drogę wyższego swego udoskonalenia, znaleźć się musi w epoce przejścia, spóśredniczącej kierunek poprzedni dla przyszłego. Żadne gwałtowne przewroty zewnętrzne nie naruszają bynajmniej w istocie normalnego rozwinięcia się żywego organizmu. Każda chwila przejścia, łagodzi ostre przeciwieństwa dla wzajemnego przeniknięcia się. Wcałe sprzeczne dążności wyężdżając się do ostatecznych krańców swoich, są tém samym bliższe przesilenia i kolarzni. Krok do ważniejszej przemiany piérwej się jednak dokonać musi w *indywiduach* i narodach, niż w całej ludzkości; tak jak już rzekliśmy piérwej w dziedzinie myślenia, a lepiej w łonie istoty ludzkiej, aniżeli w rzeczywistości. Zawsze jednostka (indywiduum) jako podmiotowość, urzeczywistnia *substancyalność*. Stawszy się już pełną syntezą swego czasu, prześcignąć może bieg ogólny. Ważność indywiduów w roli przewodników, czy naródu, czy całego człowieczeństwa, tu się odnosi.

Wedle pewnych znamion już pochwyconych, pierwsze chwile przejścia świata starożytnego do wyższego przeobrażenia, nie mogą być bez znaczenia dla charakterystyki obecnej kryzy. Tę chwilę przejścia ze strony filozoficznej przedstawia nam świat grecki, ale tylko z tego względu, bo ogólnie z rzeczywistości należy on do czasów przedchrześcijańskich. U Greków właściwie rozpoczynają się dzieje filozoficznego myślenia, bo w tym narodzie obudziło się pierwszy raz uznanie się człowieka w swoim jestestwie, wyzwolenie z więzów natury. U Greków też szukać należy ogniwa wiążącego starożytność z chrześcijaństwem, w przedmiotowym świecie myśli. Otóż takim ogniwem, wyobrażającym zarazem całą treść świata dawnego, są dwa wielkie duchy, Sokrates i Platon; które choć na odmiennych drogach na uprawę ogólnego postępu wpływali, jednak tak są zawiśli od siebie uczuciem, myślą i dążeniem, iż aby ich należycie w pewnych względach zrozumieć, wspólnie o nich mówić wypada.

Wszystko to, cośmy dotąd o syntetycznym oznaczeniu dziejów świata, o obecnym *teleologicznym* stanowisku w drodze postępu ludzkości powiedzieli; zdało się nam być koniecznym do bliższego określenia naszych widoków Platonskiej filozofii, i okaże się w solidarnym związku z główną osnową dalszej rzeczy.

Sokrates i Platon świecą z pomroki wieków starożytnych w gronie tych gwiazd, co w bezmierną przestrzeń przyszłości dobroczynne ślą światło, i przenikając promieniami w łono niejednego narodu, zaszczepiają popęd w najrozmaitszych sferach życia i dziedzinach nauki. Zagłębmy bowiem myśl naszą w pogańskie czasy świa-

ta, a z łatwością dostrzeżem, że równie tu, jak w całym pasmie chrześcijańskich dziejów, wśród duchów wyższej doskonałości, jedne celują mądrością i potęgą myślenia w odkryciu prawdy, drugie promieniają niezwykłą energią woli i siłą wykonania. Jak jednych, tak i drugich używa Bóg za organ swój na ziemi, przez nie mówi do człowieczeństwa, rozwija wplecioną myśl w życiu pojedynczych narodów, nadaje barwę i kierunek powszechnej historii świata. Oni stanowią jak gdyby szczeble, po których ludzkość kierowała swe kroki ku osiągnięciu ostatecznych swych celów.

Otóż jak w rzedzie tych, co apostołską wytrwałością, nieprzełomnym oporem, zupełnym zaparciem się siebie, w życiu swoim dali bijący dowód przeczuwaną prawdzie, i niemało wpłynęli na jej zaszczerpienie w współczesnej społeczności, najświetniejsze miejsce zajmuje Sokrates; tak znów prawdziwym mędrcom, daleko prześcigającym myślą powszedni rozwój pojęć, i niby ogniskiem, w którym wszystko błyskało jasną wiedzą, co jeszcze na dnie serca człowieczeństwa bezwiednie spoczywało; był bez wątpienia uczeń jego Platon. Przeszło dwa tysiące lat dzieli nas od epoki tego ostatniego męża, a jeszcze znachodzą się tacy, co rozmiłowani w jego nauce, nieomal cały żywot doczesny, poświęcają ję badaniu. Czyż i to nie jest poniekąd dowodem potęgi jego gieniuszu i działania na daleką potomność? Jeżeli nowsza krytyka dośledziła, że zarodki prawd wypowiedzianych przez Platona, są w pewnym względie dziełem poprzedników; nie czyni to bynajmniej uszczerbku oryginalności i wzniosłości tego mędrca. Odróżnić bowiem wypada idee pierwotne od prostych szczególnych pojęć i następstw z rozwikłania zasady wynikłych. Idea

wielka, zasadnicza, rozwijając się przez siłę wrodzoną wewnętrzną, przyswaja sobie wszystko co było prawdziwego w poprzednich systematach i pomysłach, wyłania tak z siebie jednolitą całość, i przyodziewa w formę odpowiednią duchowi czasu, którego jest dzieckiem. W ogóle jednak zawsze myśl zaptadnia się myślą. Niekiedy nowe porody noszą wyraźne rysy rodzicieli. Dopiero w dobie ocknięcia się, jakby z letargu ludzkości; po rozszerzeniu sfery wiedzy w najrozmaitszych kierunkach; po przełomie granic dawnego świata, przez odkrycia Kolumba, Kopernika, Keplera, Galileusza, Bako-
na, zjawił się gieniusz Deskartes'a. Śnać zawsze świat albo wywołuje wielkiego człowieka, jękiem konania, wyczerpaniem zasobu życia, rozstrojem społecznym; albo też sposobi się do przyjęcia jego jakimś przyspieszonym dojrzewaniem. Zauważym ponizéj stan Grecyi przed pojawem Platona. Tradycye Wschodu, orfeizm, Pitagoras, Heraklit, a przedewszystkiéj Sokrates, odnaleźli się w utworach tego mędrca. Ostatniego nawet, jak gdyby on odziedziczył duszę.

Wszyscy znakomici myśliciele kilku następnych stuleci, zostawali pod bezpośrednim lub pośrednim wpływem Platona. Nawet i sam głęboki i tak samodzielny Arystoteles, nie byli ujęty jego wszechwładną siłą ducha? O ileż są w istocie większe jego zdobytki w dziedzinie czystego myślenia? Przeobraziwszy formę, nie ledwie że usubtelnił on tylko idee Platónskie (1). Prawda, wyłożył je dokładnie i rozwinął w porządku dydaktycznym, ukrytym pod wdziękami i ruchem niby dramatu w dyalogach poprzednika. Ale właśnie ten wykład

(1) Cousin.

rozszczególniony, to rozwikłanie ściśle porządkowe, oziębiło prawdę, odjęło jój prawie żywotne tchnienie. Tylko umysł spekulacyjny i w oderwaniu od rzeczywistości żyjący, przekładać może prace Arystotelesa nad Platónskie; człowiek z harmonijném rozwinięciem władz duszy, nie odświeży się w nich, nie podniesie. Im mniej Arystoteles tła wyobraźności w pomysłach swoich zachował, tém mniej téż jest przystępny i trudniejszy do zrozumienia. Tu nasuwa się kwestya, czy zarzuty tego rodzaju możebne są w rzeczy filozoficznój? Rozstrzygnięcie jój zawisłe jest od stanowiska, jakie się zajmie w poglądzie na ogólną formę, badań prawdy wyższej.

Mówiliśmy już, że z rozważnego zbioru najbardziej rozstrzelonych kierunków w pewném stadyum rozwoju idei, wynaleźć można pewne, ogólne oznaczenie epoki, i że tym sposobem wykształcone *antytezy*, dopełniają się w coraz wyższej syntezie. To się daje zastosować i do pochodzenia myśli ludzkiej, rozjaśnionego w szeregu systematów filozoficznych. Wiadomo, że każdy system późniejszy, jeżeli tylko w rezultacie swoim jest wyrazem świadomości czasowej i udowadnia ścisłość filozoficzną, ma już znamiona wyższości nad poprzednim. Jednostronność bowiem każdego zapatrywania się na kwestyą wyższej wagi, objawiwszy się najprzód w nieokreślonym niezadowoleniu spółmyślących czytelników, przechodzi potem w niepochlebny wyrok sądu ogólnego. To pobudza śmielsze umysły do napomknienia braków, które uwydatnione z postępem czasu, wywołać muszą koniecznie zaspokojenie w następnym poglądzie. Ztąd biorąc rzecz na obszerniejszą czasu skalę, dośledzić można nierzadko przechód z jednej ostateczności w drugą.

W takim przeciwstawieniu pryncypiów zasad fundamentalnych, w po sobie idących pasmach systematów, upatrują niektórzy normalny ruch postępowy ludzkiego umysłu. Najsprzeczniejsze elementa w ciągłym procesie zostając, przenikają się wzajemnie i układają w organiczną całość. Podobnie też najbardziej nieprzyjazne i wprost z przeciwnych punktów powzięte widzenia, pogodzić się z czasem z sobą mogą. Tak każdy przedmiot w dziejach, w miarę ogólnego postępu, otacza się coraz doskonalszym kręgiem światła. Jednostronne rozeznanie, łączą się w całkowitsze i wszechstronniejsze poznanie. — Przyznaliśmy, że odleglejsze konsekwencye ostatnich wielkich prac w dziedzinie filozofii, zdają się torować drogę do stanowczego zwrotu, a tém samym do innych stanowisk w zapatrywaniu się na cały organizm historii. Pewien charakter więcej odpowiedni wymaganiom czasu, jaki daje się pochwycić w nowszych pomysłach filozoficznych, niebędących bynajmniej pojavami sporadycznymi, zapowiada też nieco odmienne spojrzenie na dzieła mędrców greckich.

Nie przeczymy, że Arystotelesowski sposób przedstawienia dla swój ściśłej systematyczności i więcej umiejętnego rozumowania, wyżej stawic należy od Platońskiego; ale to zawsze względnie, bo pod światłem przemagającego kierunku myśli filozoficznej. Platońska forma wykładu, dla niejednego myśliciela przedstawiała wielkie niedostatki. To uwzględnienie strony wyobraźalnej w wiązaniu pojęć, uważali niektórzy nawet za skutek naturalnej niemocy myśli. Hegel, ten olbrzym w intelektualnej energii, Arystotelesem naszego wieku zwany, z prawdziwie mistrzowską w dyalektyce biegłością i ści-

słym technizmem naukowym, przedstawił nam filozofią Platona, mianowicie ze względu jęj znaczenia w systemacie wiedzy. Heglowskie ocenienie Platona na stanowisku spekulacyi filozoficznęj, zdaje się być wyczerpane i do doskonałości posunięte. Z tego stanowiska, forma dzieł ateńskiego mędrca zadowalać nie może; uważaną jest za nieczystą i nieodpowiednią naukowemu rozwijaniu wyższych pojęć. Takie jednakże pomieszanie prostych wyobrażeń o istocie, z pojęciowém poznaniem, w pierwszych początkach właściwęj umiejętności w jęj prawdziwych kształtach było konieczném (1). Arystoteles dopiero pierwszy dał systematycznie-umiejętne przedstawienie, i dlatego słusznie za istotnego założyciela filozofii jako teoryi, poczytanym został. W bliższe porównanie Arystotelesa z Platonem, tych trafnie od Hegla nazwanych nauczycieli rodu ludzkiego, zachodzić nie będziemy, bo to już dokładnie przeprowadzono. Namienimy tylko, z jakich względów, mianowicie dzieła Platónskie, nabierają więkšej wagi przy dziś coraz głośniej zapowiadany zwrocie filozofii. Tu i kwestya formy wykładu znajdzie poniekąd swe rozwiązanie.

Jeżeli zatwierdzimy to, co niemal w ogólne przekonanie zamienia się, że podział ubiegłęj drogi w postępie człowieczeństwa, na świat przed i po-Chrystusowy jest najwłaściwszy i że znajdujemy się niejako na stopniach pośrednich do doby, w której przejście prawdy z myślenia w czyn, z abstrakcyjnęj wiedzy w konkretną rzeczywistość ma być główném dążeniem; to strona praktyczna filozofii Platónskięj biorąc ją w rozległym rozumowaniu, obudzać w nas winna niemały interes. Ta prak-

(1) Hegel: *Geschichte der Philosophie*. Tom II.

tyczność uwydatnia się nie tylko w formie, jako rozwiniętej Sokratyce, ale także w kierunku i charakterze głównych pomysłów, choć te obciążone są zarzutami utopii. Filozofia dokonywając dziś misji swojej w zakresie czystego poznania, wszystkie elementa natury naszej wypełnić musi świadomością w duchu człowieka. Ze wszystkich sił duszy ludzkiej, rozum jeden wzięty psychologicznie (władze umysłu), pozyskał odpowiednie stanowisko w ogólnej harmonii istoty naszej; inne zaś warunki bytu człowieka, należycie uświetnionymi nie były. Jakkolwiek nie dzielimy przekonania z przeciwnikami zasług filozofii dla braku jej wszechstronności; to jednak za słuszne poczytujemy w ich zarzutach, co się ściąga do jednego z głównych celów prawdziwej nauki: mianowicie czynnego udziału w ogólnej uprawie ducha ludzkiego. Ten cel bez wątpienia zbyt był pominięty. Systemata filozoficzne dążąc jedynie do podniesienia w świadomości prawd żywotnych, zamykały się często w przeznaczaniu dla szkoły, dla garstki wybranych. Że na przyszłość takie ograniczenie nie będzie możebne, zaprzeczyć trudno. Albowiem dalsze pomysły w tej dziedzinie, mając usposobić już człowieka do przeniesienia prawdy w czyn, i w ogóle pośredniczyć prawdę więcej dla rzeczywistości, muszą też przyoblec trochę różną od poprzednich formę. Skoro filozofia wyzaje się z charakteru egzoterycznego i uczyni się przystępną dla wszystkich, to i tak zwany gmin emancypowany zostanie, i każdy człowiek nabędzie wtedy prawa obywatelstwa w państwie ducha. Osiągnąć to można, tylko przez zastosowanie się do wewnętrznej czynności człowieka w wyrabianiu pojęć, tylko przez ułatwienie mu całego procesu myśli w samym wykładzie prawdy.

Zwróćmy teraz uwagę na dzieje filozofii, a mądrość starożytna nastarczy nam wiele godnego zastanowienia. Szczególniej metoda Sokratesa i dzieła Platona, jako układ harmonijny wszystkich elementów téj mądrości, z niemałym występują tu dla nas znaczeniem. *Sokratyka* bynajmniej nie dlatego, iżby mogła zaspokoić wymagalność czasu co do formy przedstawienia myśli, bo to jest zupełnie niepodobnym; ale że udzielić może niejedną skazówkę w tym względzie. Ważność znów prac Platona leży w samym ich przedmiocie. Ta wszechstronność w jego dociekaniach, to objęcie myślą w wykładzie całej istoty człowieka jako człowieka: władzy wyobraźni fenomenów serca i całej cielesnej natury, co znika nieomal w dziełach późniejszych filozofów; ten nareszcie zwrot zastosowalności prawd zdobytych do życia społecznego, czyż to wszystko w obec nowego kierunku nie ma w sobie strony ciekawej i zasługującej na rozważenie? Dotychczas wielkość zasług Sokratesa i Platona stanowiła tylko ich, jeżeli nie inauguracya, to zapowiedź epoki refleksyi, wejścia w siebie. Widzimy z poprzedniego, że czas przyszły rzucić może jeszcze inne światło na te gieniusze starożytności. Wtedy téż niższość Platona w stosunku do Arystotelesa w sposobie wyłożenia myśli, nie okaże się tak bezwzględnie. Głębokie i szczytne myśli Platona, obrane z powłoki historycznej i uważane same w sobie, są ideami wiecznymi, nieśmiertelnymi. One unoszą się ponad wszystkie wieki, przebijają we wszystkich rozumowaniach późniejszych, byle te dotyczyły istoty rzeczy i wychodziły poza obręb czasowości (1). Filozofia jego nie wcieliła się

(1) Cousin.

w system, nie zacieśniła w ramki i formuły; ale przedstawia się nam jako sama czynność ducha, żywy ruch myśli w płodzeniu pojęć. Dlatego w Platonizmie, jak uważa Ast, znajdujemy zawiązki wszystkich niemal filozoficznych systematów, mimo że on żadnym z nich nie jest: „Podobnie jak z jednego źródła niebiańskiego światła, mówi tenże, nieskończone i różnobarwne płyną obrazy, i w tém samym świetle doskonalą się i upiększają; podobnie téż rozmaite systemy czasowo ukształtowanej filozofii, uważać trzeba za złamanie się promieni niebiańskiego światła prawdy. Chcąc zaś samą filozofią w jej czystości i doskonałości poznać; nie w pojedynczym systemacie, ale w jej idei, z której wszystkie systemata płyną, do której wszystkie dążą i w której się wyświetlają, szukać jej należy. Tę ideę albo filozofią, uważaną samą w sobie, nie znajdujemy w dziełach żadnego mędrca, ani nowego, ani starego świata, tak czystą, tak wolną od mgły czasowego oglądu rzeczy, jak w pismach Platona”. Niniejsze zdanie uczonego Asta, acz zbyt śmiałe, ma dużo słuszności za sobą.

Platon jedyny z mędrców, uczczony został mianem boskiego. I nie bez zasady. Czémże jest ten wyższy zapach, którym pismo jego nierzadko przejęte, ta bachi-czna furja od objaśniaczy wzmiankowana, jeżeli nie siłą pewnego natchnienia? Tok jego wykładu ma coś poważnego, podnoszącego; snąc osnuty jest na tle silnego przeczucia prawdy. Żadna filozofia starożytna nie posiada tyle charakteru religijnego, ile Platońska. Wszelka nauka religijna musi mieć swoje źródło w przedmiotowej prawdzie, bo ta tylko ją przyobleka powagą rzeczywistą. Taką właśnie prawdą przedmiotową dla Platona, była osoba Sokratesa. Stosunek tych dwóch wielkich

ludzi, jest rzadkim fenomenem w historii ludzkości. Śnać z rozwagi tego stosunku, wyrodziło się tylokrotnie dopatrywane podobieństwo platonizmu z chrystyanizmem. Namieniali dawno o nióm ojcowie kościoła. Jeżeli bowiem w duszy Platona nie weszło jeszcze wyraźne uczucie Chrystusowego objawienia w rozwoju dziejów człowieczeństwa; to przynajmniej dążenie jego o tyle się zbliżało do chrześcijańskiej nauki, o ile to było możliwe w świecie pogańskim. Nigdzie tyle wzniesienia się do pojęcia jedności Boga; nigdzie tyle pogardy dla rzeczy znikomych, a czci i hołdu dla wiecznotrwałych; nigdzie nakoniec tyle uświęcenia prawdy moralnej, ile w platonizmie. Zda się, że w nim tętni konieczne przecucie chwili wielkiej; że wschodzi jutrzienka uroczystego dnia dla ludzkości. Atoli co u mędrca ateńskiego szczytem myśli tylko, kresem jój dążenia, to w chrystyanizmie czynem, rzeczywistością; co u niego nauką zbawienią, to tutaj samém zbawieniem, krwią i męką Odkupiciela; co u niego wielością idei, to tutaj konkretną jednością osoby. Nigdy żadne porównanie tu miejsca mieć nie może.

Nim przejdziemy do bliższych zarysów platonizmu, rzućmy okiem na dzieła i żywot tego mędrca. Przy ocenianiu wielkiego wyrobu duchowego, uwzględnienie osobistości autora, jako też epoki społecznej, jest nieledwie konieczne.— Z dawniejszych biografów Platona, najważniejszymi są: Olympiodorus i Dyogenes Laeitius. Obydwaj wszakże na zupełną wiarę nie zasługują. Zmyślenia jak w jednym, tak i drugim są prawie oczywiste. Tego więc tylko radzić się nam należy, co nowsza krytyka z porównania ich z wyinkami z innych rękopismów,

za prawdziwe uznała. Bajeczne podania o tyle napomniemy, o ile one charakterystykę wyświecają.

Wszystkim wiekopomnym ludziom starożytność bozki rodowód naznaczała. I Platon więc wyłączeniu nie podległ. Podania ogłosiły go synem Apollona. Bożek muz zapewne nie powstydzil się swego potomstwa. Jednak wiarogodniejszém jest, że pokrewieństwo rodziców mędrca ateńskiego, sięgało króla Attyki Kodra i Solona prawodawcy. W ostatnich nawet związkach upatrują niektórzy przyczynę jego autorstwa *Rzeczypospolitéj* i księgi *Praw*, która wszakże mało ma autentyczności za sobą. Około roku 430 przed erą chrześcijańską, czyli 87 lub 88 Olimpiady, kładą biografowie chwilę urodzenia Platona. Piérwotnie zwać się on miał Arystoklesem, imieniem pradziada. Dopiero w późniejszym czasie od zbytnej szerokości piersi, lub według innych czoła, a może rozległej wymowy, Platonem mianowany został. Ognista wyobraźnia, silna uczuciowość, bystry i przenikliwy umysł, te trzy najwyższe dary, któremi Bóg ubłogosławił istotę człowieka, harmonijnie się w nim łączyły. Ztąd w budowie dyalogów taka twórczość formy, tyle wdzięków płynących z głębokiego poczucia sztuki pięknej, a czasem wprost z siły natchnienia. Ztąd takie poszanowanie wierzeń ludowych, gotowość do poświęceń dla dobra i prawdy w potoczném życiu, ciepło żywotne w oderwanych nawet pojęciach. Ztąd nareszcie i owa zastanawiająca subtelność w rozumowaniu, i tak godziwe użycie dyalektyki.

Wyrokiem powszedniego sądu, cała nauka Platońska uchodzi za czysty idealizm, albo raczej jakieś mrzonki napowietrzne, niepodobne do realizacyi. Dalecy jesteśmy od zupełnego przeczenia w tym względzie. Oczywiście, że

piastą téj filozofii, punktem ogniskującym promienie myśli, jest właśnie kraina *idei*; a przeto nazwa idealizmu niebezzasadna. Atoli usiłowaniem jest poniekąd naszym, wyświecić choć mimochodem, jak ta nauka mędrca ateńskiego wyłącza się z liczby systematów jednostronnych, jak nie snuje się nigdy z częściej igraszki wyrazów. Że zrozumiałe oznaczenia, żywa łączność pojęć i ich rozwój swobodny, a nie niewolniczy, silniej działa na rozbudzenie ducha, jak zawilość czysto-abstrakcyjna, i tylko dla spekulacyjnych umysłów przystępna, to nie podlega wątpieniu. Do metod więcéj odpowiednich naturalnemu ruchowi myśli należy ta, którą stworzył Platon w pismach swoich. Tu w dyalogu, w wzajemnéj wymianie wyobrażeń, odbywa się, że tak powiem, wewnętrzna praca ducha porządkiem przyrodzonym, a owoc jéj, pe-ryod prawdy, jawi się jakby poniewolnie. Autor nie wypowiada wszystkiego, ale utorowawszy drogę rozbudzonym siłom, -nietylko rozumu, lecz i wyobraźni każe pochwycić tuż leżącą prawdę. Trafnie porównano to płodzenie pojęć w umyśle człowieka, z *procesem* żywo-tnym. Już więc w zgodzie téj formy wykładu Platońskie-go z rzeczywistą czynnością myślenia, trzeba uznać jéj wyższość nad innemi, pod względem powszechnego użytku. Jak Platon na dróдке powszednich stosunków z ludźmi, dążył do urzeczywistnienia swych zasad, przekonają nas dalsze zarysy jego żywota.

Wedle ówczesnego trybu wychowania, piérwszą młodzieńczość spędził na nauce gimnastyki, grammatyki i muzyki; ostatnią nie należy brać w rozumieniu dzisiejszém. Muzyką, zwano wtedy wszelkie ćwiczenia duchowe, a raczéj całą prawie dziedzinę umiejętności, to- jest wszystko, do czego pojęcie harmonii naturalnéj lub

figurycznej zastosować się dało. Do niej liczyły się zwłaszcza: deklamacya, poezya, wymowa, mimika i taniec. Właściwą muzykę czyli sztukę toniczną, cenił Platon wysoko i należycie. Zdaniem jego, nowości zaprowadzone w muzyce, zdolne są nawet zachwiać i osłabić zasadnicze sprężyny państwa. W gimnastyce celował ten mędrzec do tego stopnia, że w pytyjskich i istmyjskich igrzyskach nieraz brał udział. Najulubieńszém jednak jego zajęciem w wieku młodym, było doświadczenie sił twórczości na próbach poetycznych. Ale i to zaniechał, skoro spostrzegł, że na zimno lane wiersze, o wiele nie dorównywały z ognia natchnienia płynącej poczyi Homera. W dramatyce zdawało mu się być szczęśliwszym; ale przeznaczeniem wszakże jego było, nie pod tą formą objawiać gieniusz światu, nie w tym kolorze przyświecać gwiazdą potomnej ludzkości. Już wykończona *tetialogia* wystąpić miała na teatralną widownię, gdy dziwną koleją losu, zawiązuje się znajomość Platona z Sokratesem. Wielki duch poznaje wielkiego ducha. Niechaj jako chcą dowodzą, zetknięcie się wewnętrzne, spółka duchowa, ma jeszcze wiele nierozjaśnionego. Przez tę tylko spółkę, ludzie bratają się myślą i sercem; zespalają technienia; oddziaływają na siebie siłą życia. Przez ten związek tajemny Sokrates i Platon zaprzyjaźniają się, spokrewniają uczuciem w jednej chwili; i ostatni udziela pierwszemu prąd życia, który pociągnie i skieruje jego myśli ku dziedzinie właściwej i odpowiedniej jego istocie.

Nadmienić tu wypada, że zdaniem niektórych, miał Platon już poprzednio stosunki z innymi filozofami mniej samodzielny, na jakich wtedy w Atenach nie zbywało.

Więcej pewnym, że u Kratylesa Heraklitejczyka uczył się początkowo.

Poprzedniej nocy przed wzmiankowanym zejściem się Platona z Sokratesem, ostatniemu taki się sen nawinął: Widział on, jak młody łabędź zerwał się z ołtarza Amorowi w akademii poświęconego, siadł mu na piersiach, i potem uleciał w górę z pełnym czarownej siły śpiewem. Nazajutrz, właśnie po opowieści tego snu uczniom, ojciec Platona Arysto przywiódł syna swego do akademii. Sokrates uderzony wnet widokiem niepospolitego ducha w młodzieńcu, ukazał nań, jako na łabędzią na jawie. Jakże wzniosłe, piękne i wiele mówiące było to widzenie! O zaiste, cóż mógł innego zapczyć ten ptak srebrno-pióry? Czy te skrzydła, które według innych podań, dopiero mu na piersiach Sokratesa podrosły, nie byłyto te wieczne prawdy, które czcigodny mędrzec w duszę Platona, że tak powiem, zatknął, zaszczerpił? a tym tajemnym popędem podrostu piór, nie byłoli to święte, nieskazitelne uczucie męczeństwa dla dobra, co skrzydłom ducha Platońskiego taką siłę i długo-trwałość nadały, że on się wzbił na nich daleko poza swój czas? Owym nakoniec głosem dźwięcznym i czarującym, nie byłażto niepojęta moc wewnętrzna słowa, która przez górę wieków przeciska się i dziś z poza pisma jeszcze tak nas porywa i unosi? Bez wątpienia, ktokolwiek głębiej zastanowi się nad żywotem Sokratesa i jego poglądem na świat, przyznać musi, że to on ukrzepił w Platonie wzniosły kierunek myśli, tchnął w niego całą potęgę przekonania. Sokrates, zdaniem Cycerona, filozofią z nieba sprowadził, i w życie domowe i publiczne wszczepił. Sokrates to, czynami swemi dał zatwierdzenie najwyższym prawdom, a spokojem duszy przed męczeń-

skim końcem chwil doczesnych, udowodnił nieśmiertelność istnienia człowieka. On jest najwspanialszym wzorem cnoty, jaki nam świat grecki zostawił; jedném z najświetniejszych zjawisk na widnokręgu pogańskich dziejów człowieczeństwa. Jakżeż więc Platon nie miał czczyć i szanować tak bijącego przykładu i świadectwa żywotności swoich *idej*? Dla niego Sokrates był istotą, w której filozofia ludzką postać przywdziała, w której więc to, co było najbardziej boskiem, urzeczywistniło się osobowo. Przejęty na wskrós pewną świętością wszystkich postępów swego mistrza i jego męczeństwa dla prawdy, głęboko on poczuł dług hołdu i zarazem wdzięczności ku niemu. Ilekroć przeto rozwijał jaką szczytną ideę, zawsze ją w usta Sokratesa wkładał, za plód jego ducha podawał. Ztąd w każdym dialogu Platonskim, Sokrates najwyższą gra rolę. Nieledwie we wszystkich utworach jest on organem prawdy, a pogromicielem zdań błędnych. To, co w Sokratesie drzymało w zarodzie, spoczywało na dnie uczuć, to nasz mędrzec podniósł do ideału, rozwikłał umiejętnie i przekazał potomności. Ziarna wiecznych prawd, wydobyte z duszy Sokratesa, rozsiane na polu nauki, wypielegnowane i rozbudzone życiodawczém tchnieniem wielkiego męża, strzeliły w bujne drzewa, których owocem ludzkość po dziś dzień się karmi.

W czasie gdy rozpieniona czerń bezbożnych sofistów wymogła już na sędziach wyrok na śmierć Sokratesa; Platon miotany niepohamowaném uczuciem sprawiedliwości, ośmielił się wystąpić, mimo licznych niebezpieczeństw, w obronie swego kochanego mistrza. Aczkolwiek ten wysiłek odwagi był bez skutku, zawsze jednak posłużyć może za dowód wielkiej siły moralnej w tym

mędrca; jeżeli biografom ten fakt przywodzącym damy pełną wiarę. Wkrótce po rozstaniu się z najdroższym sercu swemu przyjacielem, przedsiębrał Platon przegląd ojczystego kraju i podróże po obczyźnie. Ponieważ porządek takowych dotychczas należycie wyświecić nie zdołano, napomknim przeto o nich li ogólnie.

Najwięcej ponęt dla myślącego człowieka, poza granicami Grecyi miała Italia, owa pierwotna ojczyzna filozofii, słynna z żyzności i dziwotworów przyrody kraina. Do jęj więc wybrzeża najprzód zawinął Platon. Rozmaite cele naznaczają tęg jego podróży. Wszystkich tłem są domysły. Prawdopodobnég, że więcéj nim tu powodowała chęć korzyści umysłowych z obcowania z Pitagorejczykami, którzy piastowali wtedy ściślejsze umiejętności; jak potrzeba zachwytu serca widokiem czarownych obrazów, np. wybuchu Etny. Krom tego, poznanie ustroju państwa, stosunków społecznych, w końcu i samego wewnętrznego oblicza ludu, nie mogło być dla niego bez interesu. Po Italii Egipt nastęczał podówczas mnogie ciekawości. Jako kolebka heleńskięj oświaty, dawne z natury siedlisko rozległego handlu, kraj symbolicznych przedstawień i piérwszego rozkwitu sztuki, ze wszech miar był ponętny dla Platona. Tém bardziég, gdy lud tu zamieszkały i w wnętrzu swém pajęczyną odwiecznych przesądów osaczony, tak dobitnie różnił się od swobodnęg Grecyi. Niejeden szczegół, jak i z życia domowego Egipcyan dał się pochwycić, posłużył mędrcowi ateńskiemu za kaganiec w badaniach ciemnego i mitycznego pierwocia świata. Dziedzina astronomii, w czystém podniebiu egipskiém kwitnąca, zasilila jego rozległą wiedzę nową sferą wiadomości; tak, jak poznanie obrządków kapłańskich, rozszerzyło zakres

jego widoków w rzeczach religijnych. W obcowaniu z kastą kapłanów, mnóstwo nawet ku temu podejmować miał zachodów. W Fenicyi Magowie obeznali go jeszcze bliżej z tym przedmiotem.

Do mniej znakomitych wycieczek Platona, należą odwiedziny Euklidesa w Megarze i Teodora na afrykańskiej wyspie Cyrene. Tęj ostatniej celem była głębsza znajomość nauk matematycznych, które od niego wysoko były cenione. Jakoż potwierdzenie tego znajdujemy w następującem podaniu. Powiadają, że w powrocie z Egiptu nagabali Platona wysłańcy z Delos, i prosili by im rozjaśnił wątek słów wyroczni. Na pytanie mianowicie: jakiego fortelu jąc się ma Grecya, by ująć przed grożącemi plagami; otrzymano rozkaz podwojenia wielkości ołtarza Apollina w Delos. Podwojono w skutek tego każdą ścianę, a ołtarz oczywiście stał się ośm razy większym. Nie wiedziano więc dalej jak sobie postąpić. Platon podał im właściwy i jedyny sposób, który jako wynalazek podwojenia sześcianu przeszedł do historii nauki.

Podczas pobytu swego w Syrakuzie, filozof ateński zawiązać miał przyjaźń z Dyonem krewnym tamtejszego despoty Dyonizjusza. Pod przeważnym wpływem ducha Platońskiego, młody Dyon ujął wkrótce w kielzno rozuzdane swe namiętności. Przeciwnie, na umysł samego władcy Dyonizjusza nie miał wpływu, i oniemal krzewienie prawych zasad życiem nie przyplacił. Uratowany przez zabiegi przychylnych mu osób, dla grożącego ze strony rządu niebezpieczeństwa, nakłonił się do powrotu okrętem do ojczyzny. Atoli doszedł i o tém posłuch do uszu Dyonizjusza. Za pośrednictwem przekupstwa, udało mu się namówić właściciela okrętu, aby

Platona zgładził lub sprzedał jako niewolnika. Jakoż, mędrzec nasz kupiony został na nieprzyjazną Grecyi wyspę Eginę. Dopiero Anniceris z Cyreny oswobodził go i zawiózł do rodzinnego kraju.

Drugą podróż do Syrakuz przedsiębrał Platon li już na natarczywe błagania Dyona, gdy z przyczyny zmiany rządu, sposobniejsza się do działania chwila nastęrczyła. Przyjął go wprawdzie młody władca uprzejmiej od ojca; niedługo jednak dał się radom jego powodować. Uprzedzony bowiem o złowrogich knowaniach, wydalil natychmiast Dyona z kraju; Platon zaś po licznych dopięro zachodach uzyskał pozwolenie wyjazdu, i to z warunkiem powrotu, skoro Dyon odwołanym zostanie. Dionizyusz rumienił się zawsze dla miłkości umysłu w obec mędrca z Aten, ale i nieobecności jego na dworze swoim również znieść nie mógł. Wkrótce więc nastąpiły wielokrotne zaprosiny i odezwy. Platon obojętny był z początku na nie. Skoro go jednak przyjaciele upewnili o zmienionych wyobrazeniach i o jego zamiłowaniu głębszej rozwagi, widział się zagnalonym do nowej podróży do Syrakuz. Ale niebawem płonnnemi się okazały wszystkie nadzieje. Dionizyusz zawsze zatwardziały w charakterze, niedosyc że nie odwołał Dyona z wygnania, ale mając mędrca ateńskiego w swoim ręku, zagrabił jeszcze tamtego majątek. Platon wtrącony takim fatalnym zbiegiem okoliczności w niebezpieczne położenie, ukrywał się czas niejaki między najemnóm wojskiem. Zaledwie usilne orędownictwo za nim, przyjaciela Archytasa, wyjednało mu później wolny odjazd.

Powtarzamy, że w opowieści tych podróży najwięcej różnią się od siebie biografowie. Bardziej rzeczy głównej, anizeli szczegółów, dotknął niniejszy opis. Dopeł-

niamy go wzmianką, że wedle kilku świadectw, Platon prócz miejsc wyluszczonech, zwiedzał jeszcze Azyą, gdzie od Babilończyków zasięgać miał wiadomości w astronomii, a od Hebrajczyków w prawodawstwie i religii. Świadectwa te wszakże, albo mało mają powagi, albo niewyraźnie przedmiot określają.

Wnioskując z tego, jak w podróżyach do Sycylii ważną była dla Platona chęć przysługi nieszczęśliwemu przyjacielowi, nietrudno zatwierdzić powyższe zdanie: że mędrzec ateński w widokach potocznego życia, nie ograniczał się na bezpłodnej często teoryi, ale wyżej stawiał zasługę moralną, która w czynie tylko do rzeczywistego bytu przychodzi. Z podobnego snąc stanowiska zapatrywali się na niego wszyscy biografowie, którzy go chcą widzieć walczącym za kraj z Arystoksenesem pod Tanagrą, Koryntem, Delionem, co z kądinąd zarzutowi anachronizmu podpada. Przedewszystkiém jednak dbaliśmy o zastosowanie swój nauki, uczynili Platona ci, co go do Syrakuz wysyłają jedynie z zamiarem urzeczywistnienia idei o państwie, rozwiniętych umiejętnie w 12stu księgach o rzeczypospolitej. W sprawach swego kraju, nie brał nasz mędrzec żadnego udziału, gdyż te szły zupełnie nie po jego myśli. Wątpła budowa, zepsucie wewnętrzne w organizmie państwa, w połączeniu z wielu innymi względami, odstręczało go od wszelkich kroków w téj mierze.

Już po powrocie z piérwszej podróży, rozpoczął Platon krzewienie swój nauki w mieście rodzinném Atenach. Późniejsze okoliczności, jak widzieliśmy, zniewoliły go do zawieszenia takowego. Przerывał on teoryą, aby korzystać ze sposobności do czynu. Miejscem schadek słuchaczów był ogród obok akademii. Zakład tego

ogrodu uczyniono na cześć bohatera Akadema, ale Platon dopiero upamiętnił to miejsce. O sposobie udzielania nauki przez niego, mało mamy wiadomości. To jedno pewnym, iż nie ograniczał liczby swych uczniów i nie zamykał jak Pitagoras niektórych prawd tylko w tajemniczoném kółku. Trafnie zauważył Szlejermacher, że jeżeli mamy Platona posądzić o podwójny wykład ezoteryczny i egzoteryczny, to tylko względnie jasności, jaką w nas rodzi dyalog; lub też przez odniesienie mowy ustnej do pierwszego rodzaju, a pisma do drugiego. Co bowiem dla człowieka pracującego duchowo, z starcia się zdań samo wypłyne na wierzch, to dla bezmyślnego zawsze będzie mętną mieszaniną, czémścis ciemnym.

Według Olimpiodora, Platon pierwszy uczył bezpłatnie. Kobiety nawet w męzkim ubiorze uczęszczały na jego naukę. Nie należy wątpić, aby sposób wykładu różnić się miał wiele od Sokratesowego. Dowiadujemy się z Teagiesza, dyalogu przypisywanego Platonowi, że Sokrates właściwie nie miał uczniów i nie zakładał szkoły. Spółka duchowa była jedynym warunkiem i narzędziem jego wpływu na otaczających. Nie sama chęć korzyści wiedzowej, ale popęd wewnętrzny, którego żadna sucha doktryna nie zaszczepi, ogniwa serdeczne, wiązały słuchaczów cnotliwego męża; oni byli raczej jego przyjaciółmi jak uczniami. Budowali się już samym widokiem jego oblicza promieniejącego cnotą. Korzyść z nauki Sokratesa miała coś świętego, coś boskiego w sobie. Wybrani tylko w niej prawdziwie uczestniczyli. Nigdy wyraźny zamiar uczenia nie cechował jego mowy. Sam zeznawał, że nic nie wie, uczyć przeto nie może. Słowa w prostej pogadance udzielane, najwięcej owocowały. I zaiste,

tylko przez zespolenie takie w duchu, nauka rzeczywiście się krzewi. Bo jakże ziarno plon obfity ma wydać, kiedy ziemia nieuprawna? Jakże roślina ma się wkorzenieć, kiedy w gruncie zasiłku nie znachodzi? A cóż istotnie uprawia ducha, bo i w samej rzeczy go prawym czyni, jeżeli nie miłość? Wiele więc na tém zależy, by pierwój sobie zjednać spółczucie, ufność, zarobić na wiarę; słowem, podbić serce, chcąc wywrzćć wpływ na człowieka. Trzeba miłości powietrzem użyźnić ducha, chcąc by ziarno weń rzucone kiełkowało. Niewszystko, co ktoś nam z siebie wyklada, starownie chowamy i w sercu piastujemy. Tylko przez sympatyczny związek w duchu, zdołał Sokrates zapładniać nasieniem cnoty swych słuchaczy. Tylko taki węzeł uczuciowy przywiązać mógł tak do niego tych mniemanych uczniów, że w dniu śmierci nauczyciela zalewali się łzami jak dzieci po najdroższym ojcu, z żalu i jakby sieroctwa. Sądzymy, że i Platona sposób uczenia był podobny. Różnić się mógł o tyle, o ile w jednym z tych mędrców mniej spotęgowane było uczucie, a silniejsza wyobraźnia i rozum, niż w drugim. Zapewne przyjaźń Platona stanowiła również narzędzie wpływu, skoro uczeń jego, ów głęboki Arystoteles dbał jeszcze o zaskarbienie ufności słuchaczy. Ten założyciel szkoły perypatetyków, zwykł był inaczej wykladać dla poufalszych (achroamatycznie czyli ezoterycznie), a inaczej dla pospolitego grona (egzoterycznie). Wielu utrzymywało, że tę różnicę w wykładzie, zachował sam Platon. Takie mniemanie upadło jednakże nie tylko przez brak dowodów, ale i przez bezzasadność podstawianych przyczyn. Zresztą, wyjawienie myśli w słowach ma w sobie zawsze coś ezoterycznego, a tém bardziej wyjawienie głębokiej idei filozoficznej. Myśl bo-

wiem jest fenomenem bez końca złożonym. Zanim ona powstanie w umyśle człowieka, dojdzie do jasnej świadomości siebie, już znaleźć musiała słowo, w którym się odbiła, wyobraziła, ukształtowała. Wyobrażenia wyprzedzają pojęcia.

Nienależycie jeszcze oceniona jest ważność wyobraźni, jako jednej z kardynalnych części duszy ludzkiej, i środkującej między władzami umysłu (rozumem), a uczuciem (sercem) w *procesie* myśli. Słowo w rozleglejszym znaczeniu wzięte, ma, że tak powiem, dwie strony: jedną wewnętrzną, czysto duchową, zapładniającą (mowa); drugą zewnętrzną, pojawną, ściślej biorąc to, co nazywamy *wyrazem* (języki). Wyraz jestto oblicze słowa, znak przedstawialny, widomy myśli, i kategorycznie uważany, wpływa na jej znaczenie. Przez słowo, w naszym rozumieniu, udzielamy i przyswajamy sobie myśli: ono jest warunkiem naszego życia umysłowego. Jeżeli więc myśl chcemy wywnętrzyć, głosem *wypowiedzieć*, co następuje po pewnym już wiedzeniu, to musimy ją przyoblec w wyrazy odpowiednie; gdyż w ogółności mowa podaje *sukcesyjnie* to, co jest *simultaniczném* samo w sobie, rozwija to, co było rozwinięte w duchu ludzkim. Atoli w tém rozwinięciu, w oddaniu rzeczy pomyślanej, leży główna trudność. Władza nazywania jest w istocie władzą poznawania. Każdy pomysł posiada, jeżeli tak rzecz można, pewną atmosferę swoją, ducha właściwego sobie; dlatego właśnie nie daje się w zupełności *zmateryalizować*, uzewnętrznić w dźwiękach, słowem wyrazić. Każdy zaś wyraz jest znowu przedstawicielem osobnej myśli. W tym punkcie ważnym jest zrozumienie sztuki pięknej. Idei nigdy mechanicznie w drugiego przelać niepodobna, ale tylko obudzić w nim, wprowadzić go na tór

pracy *intelektualnej* za pośrednictwem wykładu, wyrażenia, mowy; co się nie dzieje bez przyłożenia się ze strony przyjmującego, bez pewnej spółki duchowej. Albowiem wszelkie wyrażenie, definicya, określenie, nie wyczerpuje istoty; określa tylko, rozgranicza, odosobnia od okolicznych.—Ale wróćmy już do rzeczy.

Umarł Platon na 347 lat przed narodz. Chrystusa; wedle kilku świadectw w samą rocznicę urodzin. Seneka mówi, że Magowie, którym trafiło się być podówczas w Atenach, nieśli na cześć jego ofiary. Zdaniem ich, Platon był istotą nadludzką, bo przeżył doskonałą liczbę lat, jaką daje dziewiątka z pomnożenia raz przez siebie.

Zarysowaliśmy żywot Platona w miarę tego, jak on rzuca światło na osobistość autora, wpływa na zrozumienie tła nauki, będącego wyrazem świadomości czasowej. Nie każda okoliczność z życia tego myśliciela, wiąże się ściśle z kierunkiem jego ducha, nie każdą też trzeba było namienić. Inaczej się rzecz ma z biografią Sokratesa. Życie nauczyciela Platona z filozofią jego, jak się niżej przekonamy, składają jedną całość, nie dają się rozpołowić. Tu niema prawie drobnostki, któraby nie nosiła piętna uczucia, nie uwydatniała charakter. Ale Sokrates był wyłącznie człowiekiem czynu; Platon jakkolwiek mu nie schodziło na poświęceniu, uwiecznił swe imię li przez potęgę myśli. Jak przy poglądzie na żywot pierwszego, śledzić należy bodziec każdego postępkę; tak przy rozwadze drugiego, o pismach i metodzie pomówić obszerniej wypada.

Rozbiór dzieł Platońskich znalazł tysiące badaczy. W samym łacińskim języku, naliczyćby można około dwustu dzieł dotyczących się jego filozofii. Z Francuzów:

Dacier, Fleury, Grou Leclerc, Farcy, Cousin; z Niemców: Bruker, Meiners, Tiedeman, Teneman, Socher, Ast i Szlejemacher niemało zasług w tym względzie położyli. Wyższym krytycznym sądem odznacza się między pierwszymi Cousin, między ostatnimi Ast i Szlejemacher. Postępy na polu ściślejszej egzegizetyki i rozpoznawania autentyczności pism, zajmować nas tu nie będą. Dostyc powiedzieć, że względem jedenastu dyalogów niema już żadnej wątpliwości. Co do reszty, zdanie dotąd nieustalone. Szlejemacher dziesięć, Ast trzy do prawdziwych, acz mniej ważnych jeszcze wlicza. W uporządkowaniu, między badaczami także niema zgody. Krytycy alexandryjscy, niemało się już z tém biedzili. Układ późniejszych na *tetralogie* czyli czwórki i *szygie* albo sfory z sześciu, jest bezzasadny i bezkorzystny. Ast badawczém okiem dopatrył w utworach Platońskich ślady wieku autora, i rozłożył je na trzy rzędy, wedle epok życia. Pierwszy obejmuje tak zwane Sokratyczne, w których poetyczny charakter i dramatyka wydatniejsze: *Protagoras*, *Fedros*, *Gorgiasz*, *Fedon*. Drugi zawiera dyalektyczne, czyli te, gdzie rozmyśl filozoficzny przeważa: *Tetet*, *Sofista*, *Polityk*, *Parmenides* i *Kratylos*. Do trzeciego nakoniec włączają się te, w których poetyczność z dyalektyką się wiąże: *Filebos*, *Biesiada* (Sympozion), *Timeusz*, *Rzeczypospolita* i *Krytyasz*. Schlejemacher usiłował uszykować dyalogi Platońskie wedle naturalnego następstwa w rozwijaniu myśli; Socher rozstawił je jeszcze wedle przedmiotu rozbiéranego.

Przekładów na łacinę dzieł Platona jest mnóstwo; więcej cząstkowych niż całkowitych. Niemcy, jeden z najzupełniejszych może europejskich i najwierniejszych posiadają w swoim języku w pracy Szlejemachera. Fran-

cuzi mają niemal całkowite (kompletne) tłumaczenie Cousin'a. Anglicy, o ile mi wiadomo, Sydenhama i Tajlora. Nasze piśmiennictwo zubożyło przez polszczenie niektórych dialogów przez Kozłowskiego. Rossyjski przekład rozpoczął przed dwudziestą laty Oboleński. Atoli nędzny jego wybór i niepomyślność podjętego zachodu, słusznie wytknął i zganiał nasz filolog Jezowski, w swém zkładniąd małej wartości pisemku, wydaném w Moskwie (1).

W rozjaśnienia, przypisy czyli komentarze dzieł Platońskich obce piśmiennictwa obfitują. Rozbiierać je nie widzimy potrzeby. Znane są wszystkim chłodne wykłady, tak nierzadko dziś przyczepiane do tworców czasem natchnionych. Nie od rzeczy tu będzie wspomnieć o przedśmiertnym śnie Platońskim, jaki przytacza Olimpiodor. Marzyło się mędrce, że zmieniony w łabędzia ulatuje swobodnie z drzewa na drzewo, a ptasznicy uganiają się za nim i złowić w żaden sposób nie mogą. Otoż to ta myśl Platońska, którą ptasznikom, komentatorom, tak trudno pochwycić.

Metoda przez Platona w filozoficznej rzeczy użyta, jest poniekąd jeno wydoskonaleniem Sokratycznej.

Jak uczucia Sokratesa we wszystkiém odpowiadały Platońskim, tak i sposób dowodzenia najwięcej zgadzał się z nastrojeniem jego umysłu. Co męczennik ateński wytknął, to nasz mędrzec utorował i przekazał nam jako gościniec doskonały dla pochodzenia myśli ludzkiej do krainy prawdy. Piérwotne pobudki, jakie naprowadziły Sokratesa na wynalazek metody, od niego sokratyczną zwaną, ścisły mają związek nietylko z szczegółami jego

(1) O postępie badań filologicznych we względzie pism Platona. 1829.

żywota i ze stanowiskiem, do którego doszły filozoficzne badania; ale i ze społeczném polityczném położeniem Grecyi. Bez ich uprzedniego oglądu, rzecz dalsza zaciełniałaby się. Zastanowim się więc nad niemi na chwilę, a i ważność całej reformy, zrzędzonej w umiejętności filozofii przez Sokratesa i Platona, bardziej się unaoczn.

Po epoce Wschodu nastąpiła epoka Greków. Na Wschodzie myśl pojmowała się, jako jedność ducha i przyrody. Człowiek żył jako dziecię nieusamowolnione na łonie natury, i od niej jak od troskliwej matki, brał bezpośrednio pokarm w samorodnych owocach. Działanie jego sił duchowych, odbiło się więcj w mitycznych i pełnych zmysłowości utworach fantazyi, niżeli w płodach umysłu i z idealnych elementów powstałych filozofemach, które są tu tylko efemerycznymi zjawiskami. Ciało i dusza, natura i bóstwo, wszystko razem złane w orientalnem poglądzie. U Greków zwolna duch ludzki wychodzi z ogółu wszechrzeczy, przestaje być tylko biernym, wyswobadza się z więzów materyi, i odnosi przewagę nad naturą. Wschodnia bezpośredniość uczucia, przeobraża się w końcu w czystą *refleksyę* (Arystoteles). Na Wschodzie nieograniczoność, bezmiar; u Greków określenie, wymierność; tam myśl zupełnie jeszcze zatopiona w realizm, tu coraz więcj oderwana, widniejsza w miarę budzącego się w człowieku uznania siebie w swoim jestestwie. Oto najogólniejsze, jakie być mogą zarysy różnicy tych dwóch światów.

Wspomnieliśmy już, że w filozofii greckiej był przechód ludzkości do epoki wiedzenia, i że Platon w rozwinięciu Sokratesa stanowi tu ogniwo spajające. Na dowód czego, oznaczmy jeszcze momenta rozwoju myśli u Greków, do Sokratesa. Najprzód występuje szkoła jońska.

Mimo mocnego kolorytu realizmu, dostrzedz w niej można obraz całego dalszego pasma pełnych systematów filozoficznych, jako pewnej organicznej całości. Ztąd też nowsi badacze usiłują odzyskać ważność jej stanowiska dla dziejów filozofii, jako wstępu, w którym cały zarys następnej budowy przyświeca, przegląda. W szkole jońskiej, duch ludzki wstępuje na szczybel oznaczoności, ale daleki jest jeszcze od pojmowania się sam w sobie. Myśl bezsilna w swych oderwaniach, ile razy jej się uda roztargnąć więzy fizyczności, wpada w czczość i ogólniki bez istotnego znaczenia (Anaksimander); inaczej zawsze się wspiera na bezpośrednim materialnym bycie. Człowiek zaledwie wzbił się do potrzeby pomyślenia ogólnej zasady, pryncypu w rozumowaniu, zaraz go szuka w zmysłowości, w szczególe realnego świata. W siłach natury, w żywiołach, upatruje pierwotne początki wszech rzeczy. Tak Tales wodę, Anaksimenes powietrze, Heraklit, choć stoi poza szkołą jońską w idei organicznie pojętą, pod pewnym względem wodę stawia jako warunki *egzystencji* ducha. Z jońskiej wyrodziła się szkoła pod nazwą italskiej znana. Jeżeli *kategorją* ilości uważać będziemy za niższą od *kategorji* jakości, to ta szkoła otwoczy już historją filozofii (1). Człowiek w badaniu pojavów przychodzi do więcej określonych pojęć w stosunkach czasu i przestrzeni. Pitagoras wyraża takowe przez liczby, i ztąd jest twórcą czysto-formalnego widoku świata. Liczba, tak abstrakcyjne oznaczenie, jest u niego rdzeniem rzeczy, rozłogą (substancją). Ostatnią kończyną Pitagoreizmu byli Eleatycy. Myśl zrzuca z siebie formę liczby, występuje w większej świadomości siebie.

(1) Cieszkowski.

Ksenofanes stawia jedność za zasadę (pryncyp), za wszystko: nie uznaje zmienności. Istnienie jest u niego ciąglem, témże samém trwaniem. **Parmenides**, uczeń jego rozwija tę zasadę. **Byt czysty** uważa za jedyną prawdę. **Zenon z Elei** zastosowuje rodzaj dyalektyki do metafizycznych twierdzeń i szermierzy w obronie nauki dwóch poprzednich. Świat rzeczywistości rozpierzcha się we mgle, przed promieniami jego spekulacji umysłowej. **Krom** wyłuszczonych, **Empedoklesa** i **Anaksagorasa** uważać można za pośredników między powyższemi kierunkami. Ostatni jest niezmiernéj wagi z przyczyny, iż rozum sam położył za pryncyp. On piérwszy odświecił naturę, odosobniwszy z niéj bóstwo. Tu się odnoszą jeszcze **Leney** i **Demokryt** atomistycy.

Dotąd miejscowość piętnowała się na obliczu nauki. Szkoły pierwotne: jońska i italska, powstały w wcale odmiennych okolicach ówczesnego świata. Jońska jest jeszcze pewném przejściem od Wschodu. Italska miała już swoje siedlisko na zachodzie (w Wielkiej Grecyi). Piérwsza wyrosła z plemienia jońskiego, druga ma cechy charakteru Doryczyków. Wiadomo, że w Italii były kolonie doryjskie. Te różnice odbiły się piérwéj i na poezyi, która niegdyś wyłoniła pojęcia filozoficzne. Obydwie szkoły, przez następstwo doszły do zupełnie różnych wyników. Mechaniczny układ zdobytych pojęć i widoków, przy niecném użyciu dyalektyki, nie dając nic stałego, a podkopując wiarę, rozplenił sceptycyzm. Przy niemocy pogodzenia dwóch filozofij, snadniej było nie uznać ani w jednéj, ani w drugiéj prawdy, a ztąd o wszystkiém zwątpienie. Uosobieniem téj utarczki powszednich pojęć i więcéj na realności polegających sądów, z subtelnościami szkół filozoficznych byli sofisci

w Atenach. Przyczyny zbiegu pojęć do tego miasta, wyrodzenia się w niém sofistyki i jój ohydnych skutków dla życia praktycznego, szukać należy w politycznym stanowisku i społecznym życiu Greków. Odsłońmy widok tego.

Gdy po długoletniej wojnie perskiej, wewnętrzna siła żywotna Grecyi budzić się zaczęła, dźwignęły się Ateny i zakwitnęły pod rządem sławnego Peryklesa. Szybki wzrost sztuk i nauk przy błogim cieple swobody, gromadził tu wszystkich ludzi myślących i chciwych światła. Ześrodkowanie potęgi wojennej, postawiło Ateny na czele państw sprzymierzonych. W chwilach takiego szczęścia, wszystkich oczy zwrócone były na sprawcę jego, Peryklesa. Nie piastując wysokiej godności, sterował ten mąż pomyślnie łodzią państwa, wśród burzliwej złądiną epoki. Wzniosłość ducha Peryklesa, jego charakter demagogiczny, działały, że kierunek jego, a bardziej droga postępowania służyły w pewnym względzie za wzór dla spólczującego narodu. Ale jakżeż się ludzono, sądząc, że wszystkie przymioty serca i rozumu zdobył on obcowaniem z Anaksagorasem i innymi filozofami. Każdy dążył, aby śladem jego urosć w znaczenie. Wymowę, albo lepiej sztukę rozprawiania, uważano za środek ku temu jedyny. Pojawili się tacy, co najhaniebniejsze chwytając środki, usiłowali lud oślepić błyskotliwym słowem, ogłuszyć czczym dźwiękiem wyrazów. Pogarda ludowych wierzeń powszedniała. Straciły one powagę ukształcenijszej klasy, w obec świeżo krzewionych zasad jednostronnych filozofij. Kasta sofistów jęła się eleatyckiej metody dowodzenia, i stosując takową do najbłachszych zagadek po-

toeznego życia, pozbawiała ją godności. Zręczne mylniki, miałość myśli, gmatwanina wyrażen, próżność wątku, cechowały rozprawy sofistów. Oni zdawali się badać prawdę, aby módz dowieść fałszu. Szczerość i sumienność mało poplacały. Wolno było strącać w przepaść sceptycyzmu byle podstępem, niejawnie. Podcięta sofizmatami ostatnia podpora człowieka, religia, runęła już rzeczywiście u wyższych warstw społeczeństwa; pozornie tylko ją szanowano. Dzieje dają świadectwo, że zawsze w chwili wielkiego bezbożnictwa, jedynie nowa idea, jak gdyby światło zstępujące z góry, niesie ratunek człowieczeństwu. Podobnie u Greków, w epoce okropnej, epoce zmazania karygodnego i zwichnień umysłowych, jedynie pojaw oświeconych prawdą mężów Sokratesa i Platona, naprowadzić mógl na drogę prawą. Im w większą otchłań zapadnie ludzkość, tém silniejszego trzeba ducha, iżby ją z niej wydzwignął. Widzieliśmy, jak do Aten, za dni pokoju spływać zaczęło życie Grecyi całej, i jak przez zlew wyobrażeń szerzyły się trujące wyziewy, niby fermentacyi. Otóż Atenom dano, aby pośród nich wyłoniły ludzi, w których duch greckiego narodu miał się odbić dla potomności. Sokrates, męczeństwem swoim, daje przykład siły poświęcenia, jaką uzacniała Greków, i wysnuwa z pamięci szereg bohaterów tego wielkiego narodu. Platon, w wyrobie swego ducha, zostawia człowieczeństwu pomnik świadczący o wysokości, do jakiej myśl grecka wzbić się była zdolna.

(Dalszy ciąg nastąpi).



ZNACZENIE I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michała Głiszczyńskiego.

(Ciąg dalszy).

IX.

Życie i zwyczaje domowe, uzbrojenie i sposób wojowania Zaporozców.

Od niejakiego czasu piszą a piszą o Kozakach i o Małorossyi. Wszędzie znajdziecie o nich albo wspominek, albo rozprawkę, albo całe dzieło. Historya, powieść i poezya, uczepiły się tego przedmiotu i potworzyły z niego to wyborne i malownicze, to urodliwe i fałszywe obrazy. Widzę w tém następowość logiczną, a zarazem dowód ogromnej siły żywotnej, tkwiącej w Kozaczynie, a wybitnej w Zaporozu, że może być i jest przedmiotem do utworów myśli, pełnych siły życia i poezyi; boć tylko to, co jest w sobie jedrnym i pełnym, obudza równie jedrne i pełne pomysły. Wojny Kozaków, ich byt, zwyczaje i obyczaje, musiały przecież wywołać u nich odpowiedni ruch umysłowy, a u tych, co się na nich zdala patrzeli, rozroić się rozmyślań nad zja-

wiskiem tak fantastyczném. Byli i tacy, Boże im odpuść! co ani rozumieli znaczenia Kozaczyzny, ani znali ich historyi, a powymyślali na to piękne i energiczne zjawisko, ogrom fałszów i nielogiczności. Nie mówię tu już o tych, co pisali na Kozaków prawie paszkwile, a nie historyą, wtedy, kiedy Kozaczyzna istniała jeszcze: boć wtedy i polscy i rossyjscy historycy mają przynajmniej to uniewinnienie za sobą, że pisali stronnie przez boleść serca, przez klęski i nieszczęścia zadane swemu krajowi przez owę burzliwą wolnicę; chociaż boleść serca i stosunki lub położenie takie a nie inne, nie mogą na żaden sposób wpływać na historyka. Żal! doprawdy żal, widzieć zjawisko historyczne tak ważne, tak żywotne, a niezrozumiane! Ale żal jeszcze bardziej, że dzisiaj jeszcze, kiedy Zaporozie już umarło i w przeszłość zapadło, kiedy niema nawet rozdrażnionego uczucia przeciwko niemu; że dzisiaj jeszcze ośmiela się ktoś wystąpić z gorzkimi satyrami i przekreconemi faktami przeciw Kozakom, którzy kiedy istnieli, ani rozbójnikami, ani hajdamakami nie byli, a teraz jako umarli, bronić się już nie mogą. Nie biorę wcale na siebie urzędowej obrony Zaporozia, bo zacząwszy od Beauplana i Chevalier, aż do Millera i Markiewicza, musiałbym uczynić przegląd wszystkich co pisali o Kozakach i Małorossyi, i prostować danemi z innych źródeł, a najwięcej z pozostałego kozackiego archiwum ich błędy i fałsze; co prawie jest niemożliwém, a przynajmniej nie leży w zamiarze obecnej mojej pracy.

Co znalazłem pod względem domowego życia o charakterze Zaporozców w Beauplan'ie (1), w Chevalier, któ-

(1) *Description de l'Ukraine. Rouen. 1660.*

ry podobno sam nawet dowodził Kozakami pod Dunkierką 1660 roku (1), w Starowolskim (2), Maksimowiczu (3), Millerze (4), i w opowiadaniu Korży w ostatniem dziele Skalkowskiego (5), to podaję, w pewien ład zebrane, zostawując sobie przytém prawo wtrącenia gdzie-niegdzie mojego widzimi się, albo jakiegoś ogólnika filozoficznego, albo jakiego obrazka jaskrawszego i żywszego, coby choć trochę kozackie życie przedstawiało.

Być może, że gdzieś tam leżą jeszcze ukryte jakie rękopisy polskie o Kozakach, co mówią o nich czystą prawdę; nawet wydaje mi się to niepodobieństwem, aby gdzieś takiej pracy nie odszukano w familijnych archiwach, bo przy tak długich a najrozmaitszych stosunkach Polski z Kozakami, nie mogą uwierzyć, aby nikt nie podniósł się nad jezuicki sposób widzenia, i nie opowiedział na pamiątkę wnukom swoim tak ważnych, chociaż tak boleśnie i krwawo nieszczęśliwych dla nas wypadków, z zupełną bezstronnością. Czekajmy! Dopóki to nie nastąpi, chociaż w krótkim zarysie podaję czytelnikom Biblioteki Warszawskiej ten przedmiot, nie jako powagę wyroczeni, ale jako usiłowanie: *in magnis voluisse sat est.*

I. Życie domowe Zaporozców.

Kiedy na początku tego obrazu Zaporozia wyrzekłem, że było ono wysłane przez Opatrzność na strażnicę ludów

(1) *Histoire de la guerre des Cosaques contre la Pologne, avec un discours de leur origine, pais, moeurs, Gouvernement et religion*, p. Pierre Chevalier. Paris. 1663.

(2) W wyżej przytoczonych pismach.

(3) Nowy dopełniony geograficzny słownik rosyjskiego państwa. 1788.

(4) *Cosaccica*, prelekye uniwersyteckie.

(5) *Historya nowój siczy*. Odessa. 1846 r.

słowiańskich od fanatycznych zapędów islamizmu: że następnie było na południo-wschodzie Europy tém samym, czém zakony wojenne na zachodzie: życie więc domowe Zaporozców niewiele różnić się może, i niewiele się téż różni od życia zakonników wojennych, jak to zaraz w szczegółach zobaczymy.

Urodzenie, chrzciny, żeniaczka, życie familijne i uczucie rodzicielskie, wszystkie te najważniejsze przemiany życia człowieka nie istniały dla Kozaka zaporozkiego, jak i dla Krzyżowca, Maltańczyka lub Templariusza. Zaporoziec nie rodził się na Zaporozu; nie chrzcił się tam, chyba wtedy, jeżeli był innéj wiary lub niechrześcianin; nie żenił się i nie miał familii, bo jak tylko się ożenił, tém samym przestawał być „wolnym Kozakiem” towarzyszem kurennym, a stawał się żonatym Kozakiem, to jest „pospolitym” mieszkańcem Zaporozia i z „matką siczą” zrywał już zupełnie stosunki. Jeżeli nawet przychodził kto z dziećmi swojemi na Zaporozie, albo przywołał do siebie swoich krewnych, to nie miał żadnego na nich wpływu, jedno moralny. Kureń był ich rzeczywistą familją; ataman kurennny, ojcem „bał’ko”, a koszo-wy „panem i dobrodziejem”. Ale ponieważ Zaporoziec wyrzekał się wielu najczulszych stosunków społecznych, wstępował zatém w inne, które głównie stanowiły najwybitniejszy jego charakter, i całego „towarzystwa zaporozkiego”.

Ale zkąd przybywał do sicy Zaporoziec? Z całego Bożego świata: z Polski, Rosyi, Mołdawii, Wołoszczyzny, od Tatarów i Bóg raczy wiedzieć zkąd. Co tylko miało w duszy ognistsze pierwiastki, lub na sumieniu jaki czyn karogodny, albo rozdrażnione uczucie, albo żądę bogactw: wszystko to leciało do sicy i zapisywało

się do kurenia. W archiwum kozackim przy sprawach i inkwizycjach kryminalnych, znajduje się bardzo wiele opowiadań, w których Kozak z całego swojego życia się spowiada, dochodząc nakoniec do przestępstwa, za które do odpowiedzialności przed sąd kosa pociągnięty został. I tak np. jeden Kozak, Iwan Lach, mówi: „Urodziłem się na Litwie w województwie nowogrodzkim z domu szlacheckiego, a imię moje było Jan Sulistrowicz. Ojciec mój oddał mię za młodu w służbę do pułkownika Halisiewicza, u którego służyłem cały rok, i odszedłem jak należało. A potem byłem w służbie u Jego Miłości Solohuba przez trzy tygodnie, a potem przystałem do Jego Miłości Mokronowskiego, z którym przyjechawszy do Kijowa, uciekłem od niego. Kiedy zaś tulałem się po Kijowie, podmówili mię siczowi Kozacy, z którymi siadłszy w dąb (czajkę), pojechałem do sicy, a przyjechawszy przystałem do kaniowskiego kurenia, gdzie przewano mię Iwanem Lachem”.

Oto znowu świadectwo drugiego Kozaka Wasila Przechrzty. Urodził się w polskiej prowincyi w gubernii czechryńskiej, w mieście Czechrynie, z żyda Ajzyka. Będący tam za handlem Kozak wojska nizowego zaporozkiego, kurenia płastuniwskiego, Jakób Kowalenko, za dobrowolną jego zgodą, tego Przechrztę do sicy zaporozkiej przywiózł, gdzie przez naczelnika kijowo-międzygórskiego klasztoru jeromonacha Pafnucego Jampolskiego był ochrzczony, a ojcami jego chrzestnemi byli wojska zaporozkiego nizowego towarzysze kurenni: Wawrzyniec Garb, Gabryel Szary i Jan Markowicz; a wykonawszy w cerkwi Opieki Najświętszej Bogarodzicy przysięgę, w wojsku zaporozkim, w kuszczewskim kurenieniu służył.—Nakoniec oto jeszcze jak mówi o sobie

jeden dotąd jeszcze żyjący (1846 r.) 89letni Zaporoziec: „Urodziłem się na Ukrainie w sam dzień ś. Jana Chrzciciela (Kupajły), którego roku nie wiem. Ojciec mój Sidor Peresunka chował mię w domu do dziewięciu lat, to jest uczył mię pracować i Bogu się modlić; potem wzięli mię do sicy, gdzie przy panu koszowym był młodykiem, a w 20 roku wzięli mię i zapisali do wojska, a było mi 23 lat kiedy „sicz atakowano”. W wojsku przewali mię Żurbą, to jest melancholik, bom zawsze milcząc pracował; a potem za to, że na czatach przesłąpił, jak Polacy naszą zdobycz odbili, przewali mię Prześlepcą”. Młodyków w szkole i nie w szkole uczyli: Bogu się dobrze modlić, na koniu rypakom (doskonale) siedzieć, szablą rąbać i odbijać się, z rusznicy celnie strzelać i piką dobrze kłuć; a praktyki dosyć było, jak to powiedziano w pieśni:

Oj bat'ki, zbirajte drużynu
 Chodym wraha byty,
 Beryt i mału ditynu,
 Szczob znała, jak wrażaho syna łupyty.

(Oj ojcowie, zbierajcie drużynę, pójdziem wroga bić; weźcie i małą dziecinę, żeby wiedziała, jak trzeba nieprzyjacielskiego syna łupić).

Z tych trzech przykładów widać, że każdy ktokolwiek bądź, nawet żyd, aby tylko przyjął grecko-rossyjską wiarę, był przyjmowany do wojska zaporozkiego i zapisywany do kurenia; wprzód jednak musiał wykonać przysięgę na wierność królowi polskiemu, lub cesarzowi rossyjskiemu i wojsku. Co więcej, i co ważniejsza, że przed zapisaniem go do towarzystwa musiał odbyć nowicyat, to jest: dowieść męstwa, odwagi i roztropności. Sami Kozacy mawiali często o kozackiej regule: toć przybysz musiał ją wprzód poznać, za-

nim Kozakiem zaporozkim zostawał. Musiał się więc jęć uczyć i zarazem dowieść, że ma duszę, co godna kozacką się nazwać.

Chevalier powiada „że kandydat na Zaporozca, powinien być w czajce przepłynąć Dnieprowskie progi i po- bywać na Czarném morzu; tak samo, jak kawalero- wie Maltańscy, chcący pozyskać wyższe stopnie w zakonie, musieli mieć udział w ich karawanach, to jest walczyć na galerach przeciw niewiernym” (1). Beauplan, Potemkin i książę de Ligne, coto honorowemi członkami zaporozkiego towarzystwa zostali, odbyli tę próbę na czajce zaporozkiej. A nie myślcie, że to rzecz mała, że to fraszka, taka podróż po kataraktach Dniepru. Przypomnijcie sobie ich wysokość, liczbę, i kruchy statek, lichą czajkę, i połączcie to razem, a kto wie, czy można lepszą próbę odwagi dla człowieka wymyśleć. Trzynastie razy w przepaści wody Dniepru na głowę lecieć, to zawiele; skok z jednego progu Nienasytiec, wystarczyłby na zawrócenie głowy niejednemu, a cóż dopiero z trzynastu! To téż tak doświadczony przy- bysz stawał się Zaporozcem; ale ponieważ przez samo wejście w towarzystwo, zrywał wszelkie stosunki uczu- ciowo-familijne, toćby mu i nazwisko jego dawne cięża- rem było: wypiera się go, zmienia na inne, jak i Za- chodni zakonnicy wojenni, a to nazywało się u Zaporoz- ców *kłyszkoju*. Przemiana ta nazwisk, miała jeszcze inny i dosyć ważny cel, bo służyła do ukrycia Kozaka, jeżeli to był jaki burlak, hajdamak, lub przestępca

(1) „*Il faut les avoir passées pour être reconnu vray Cosaque Zaporousky, et avoir par consequant fait un voyage sur la mer Noire: de mèsme, que les Chevaliers de Malte pour pouvoir parvenir aux dignités de leur ordre, sont obligés de faire leurs cara- vanés*”.

w kraju z kąd przybywał: w siczy przepadał na wieki, godność i nazwisko jego istnieć przestawały. To też nigdy kocz nikogo z siczowego towarzystwa nikomu nie wydawał, a na odezwę rządu polskiego, hetmanów małorossyjskich lub władz rossyjskich, o wydanie kogo, odpowiadał: że takiego nazwiska człowiek nie znajduje się w Zaporozu, albo że umarł 20 lub 30 lat temu i t. p.

Nie dziw więc, że w kronikach małorossyjskich spotyka się tyle dziwnych nazwisk, jakoto: Nalewajko, Podkowa, Palej, Mazepa, Mnohogreszny, Sahajdaczny, Lizogub, Suchy, Święty, Biały, Czarny, Gładki, Hołowaty (Gołowaty). Na Zaporozu one wyrosły, przy chrzcinach zakonno-wojennych, i z jakiegokolwiek bagatelnej przygody: czy życia, czy charakteru, czy ciała, obdarzali tam nowém mianem; a nietylko prości Kozacy, ale i starszyna i hetmani sami w początkowych czasach nastania kozactwa, dostawali również nanowo oryginalne kozackie nazwy (1). Książę Wiśniowiecki, coto zginął jako męczennik w Konstantynopolu, nazywał się u Kozaków Bajda; Bohdan Rożyński, Bogdan-kiem; Jan Serpaga, Podkową; Zborowski, Samuchą. *Koszowi*: jeden Sierką, drugi Syczem (jastrząb), trzeci Łantuchem (worek na mąkę), inny Kałnysz (Kałniszewski). Nie darowali i Potemkinowi, którego jako towarzysza kuszczewskiego kurénia przewali Hrycka Neczosa, (nieczesany), bo perukę pana najwyższego wodza, uważali za włosy nieczesane nigdy, jak to widać z pieśni o atakowaniu siczy:

Oj prowidały Zaporozcy
Szezo Neczosa Tekelu poslaw.

(1) Hetmani Małorossyjsy i Kozacy. Biblioteka Warszaw. z roku 1848.

Oto co Korz o téj przemianie nazwisk rozpowiada, a jako świadek naoczny i członek ostatniego kosza zaporozkiego, musi najlepiej o tém wiedzieć.

„Kozacy zaporozcy, mówi on, szczególniej siczowniki, przez swobodę zaporozkiego ducha i przez wesołość charakteru takie mieli usposobienie do żartów, że od najmniejszego przypadku, postępku, chodu lub kalectwa, natychmiast dawali człowiekowi nazwisko; które przy nim nazawsze już zostawało. Tak np. kto przez nieostrożność spali kureń lub zimownik, tego nazywano „Palej”; kto gotuje jedzenie lub rozkłada ogień nad wodą, temu dawali nazwisko „Paliwody”; kto chodzi pochylony, czy z natury, czy z przyzwyczajenia, ten Garbacz, Garb; a jeśli kto chudy, blady i słaby, ten Gnida. Jeżeli kto przeciw zwyczajom zaporozkim nie lubi małałgi, albo tetery, najpospolitszych zaporozkich potraw, a gotuje sobie kaszę: tego przezywali kaszką, delikatni-
siem, albo kaszowarem. Kozaka bardzo małego wzrostu, dla żartu nazywali machiną, ogromnym olbrzymem, a Kozaka wybujałego, małutkim. Jeżeli kto nie bacząc na zgrabność, jakby wrodzoną Kozakowi, pośliznął się i upadł, dostawał nazwisko śliski; nieruchawych i ciężkich nazywali żółwiem; hulaków, świętymi; leniwych, dobra wola. Od takich to okoliczności, i mój ojciec, którego prawdziwe imię było Żadan, został w Zaporozu przezwany Taranem, to jest okrągłą stępą, którą Kozacy wyciskali olój konopiany. Powiem téż, jak i ja dostałem nazwisko Korza, to jest: okrągłej lepieszki z pszenicznej mąki. W młodych latach byłem bardzo żywy i zgrabny. Raz jadąc z Nowych-Kodak do Siczy i przejeżdżając około wysokiej mogiły, którą nazywali Czertomelykom (zapewne od rzeczki tegoż nazwiska), wbie-

gliśmy na jej wierzchołek, i poskakawszy tam kilka minut, zaczęliśmy się na dół spuszczać. Moi towarzysze udali się po wydeptanej ścieżce, a mnie zachciało się iść prosto, ale kurhan był bardzo spadzisty, a trawa sucha; to też pośliznąłem się, upadłem, i poleciałem jak strzała na dół, albo jak kubar, jak korz. „Spadł! spadł, jak korz!” zawołali Kozacy, i od tego dnia wszyscy nazywali mnie Nikitą Korzem. Mój chrzestny ojciec wojskowy chorąży, Jakób Kaczałow, dowiedziawszy się o tém, rzekł do mnie: „Niech będzie i Korz, bo i mnie przewali Kaczałowem, to jest chuśtawką, za jedną kaczalę, którą zrobiłem w siczy.” *Szczo budesz robyty, koły (kiedy) tut taka powedencia (zwyczaj). Terpi chłopcze, Kozakom budesz, a iz Kozaka popadesz i w atamany; z posmichu i ludy bywajut.*”

Przyjęty na Zaporozie, ochrzczony i wyprobowany przyszedł Kozak, zapisywany był w końcu do którego z 38 kureni, a uroczyście przez atamana kurenego tam wprowadzony, zajmował w posiadanie w kureniu miejsca 3 arszyny wzdłuż, a 2 wszere na wieczne czasy. Prawda, niebardzo przestronno i niebardzo wykwinicie; ale zato nabywał prawa wolnego zaporozkiego nizowego Kozaka, prawa nie bać się ani Polski, ani Rosyi, ani hetmana małorossyjskiego, ani nikogo; prawa hulanki po białym świecie na koniu lub czajce, i zbierania ze wszystkich stron zdobyczy, dopóki nie zatęskni za rodzinną stroną, lub go nie pociągnie ku sobie jaka czarnobrewa Laszka lub Ukrainka: wtedy porzuca matuskę sicz, i osiada na gospodarstwo, albo jako żonaty służy w ukraińskich Kozakach. Zyskał prawda na wygodzie, ale stracił na swobodzie!

2. Odzież i uzbrojenie.

Prawdziwy początkowy kozacki ubiór stanowiła kurtka, szerokie szarawary i czapka na bakier, bez różnicy żadnej. Z czasem różne dodatki i odmiany wkradały się na Zaporozie. I tak: od Polaków przejęli Kozacy kontusze z wylotami, i pas pod wierzchnią suknią; od Turków jupki, czyli fufajki, spancery, a od Tatarów, burki z kapiszonem. Ale kontusze nosiła starszyczna sama; towarzysze rzadko kiedy tego zbytku sobie pozwalali, a i to chyba poza granicami sicz. Pan Rzewuski w opowiadaniach starego litewskiego szlachcica, zamieszczonych w *Rusałce* 1840 r. powiada: „że kiedy Zaporozcy przybywali do Polski z towarami, to wtedy ubierali się w kosztowne materye, i pili, dopóki całego zarobku nie przepili. Kiedy nie było za co już pić i wracać trzeba było do sicz, to wstydząc się, czy się bojąc pokazać w owych sutych i strojnych sukniach, w których czwalili się i oczy dziewcząt ciągnęli ku sobie, wskakiwali jeden po drugim w całym ubraniu w beczkę dziegciu, i zmieniając do niepoznania, nucąc jaką dumkę, wracali do kurenia weseli i o nic niedbający”.

Nasi pisarze XVIIgo wieku tak opisują ich ubranie: „Zaporozcy Kozacy nosili szerokie granatowe szarawary, z szerokim złotym lampasem zamiast wypustki, półkontusze zwykle jasne z wylotami, żupan z białej jedwabnej materyi, pasy jedwabne przerabiane złotem lub srebrem, ze złotą frendzlą, i wysokie czapki z baranków siwych, z czerwonym jedwabnym woreczkiem, spuszczo-
nym na bok, a zakończonym złotym kutasem; do tego czerwone czabaty, tojest bóty”.

Ale opis ten oczywiście tyczy się ubrania zaporozkiej starszyny, albo świątecznego lub ceremonialnego ubrania, bo ubiór Kozaka i starszyny na wyprawie i codzienny był koniecznie daleko skromniejszy i prostszy, bo taka wykwintność nie leżała w duchu, charakterze, i życiu Zaporozca. Kitowicz w swoich Pamiętnikach tak opisuje ubiór Zaporozców, a ma wiarę po sobie, boć ich sam widział w czasie najścia Polaków na Zaporozie, a zatém w czasie wojny:

„Hajdamacy (1) mieli piki, które po rusku nazywały się *spisami*, z żelazném ostrzem na obu końcach. Ta pika i samopał (broń palna bez zamku), stanowiły całe jego uzbrojenie. Proste siodło bez poduszki, wojsłok, drewniane strzemiona, i uzda cienka z rzemienia lub z nici. Konie ich lekkie jak wiatr, na wszystkie strony pędzić umiały. Jeźdźcy równie lekko byli odziani: nosili oni koszule (soroki) grube, czarne, wysmarowane słoniną dla zabezpieczenia się od nieczystości; szarawary płócienne lub z grubego sukna; na nogach lekkie bóty czyli łapcie; na wierzchu koszuli króciutki kontusz z cielęcój skóry niewyprawnój, bez pasa, z wielkimi wyłotami wiszącymi lub w tył zarzuconemi; na głowie czapka z cielęcój skóry, w kształcie ostro zakończzonego worczka zrobiona, której koniec na prawą stronę się spuszczał. Cała głowa była ogolona; oseledec nad czołem wiszący, wąsy długie, brodę jedni golili, drudzy zapuszczali” (2).

(1) Tak zwykle nazywa Kitowicz Zaporozców, czy przez nienawiść, czy przez niewiedomość. Prawda, jak wyżej powiedziałem, że na Zaporozu było prawdziwe siedlisko hajdamaków w zakładach do łowienia ryb; ale mimo to Zaporozcy nie byli nigdy hajdamakami; przeciwnie, sami ich ścigali i łapali.

(2) Opis obyczajów i zwyczajów, str. 119.

W tym opisie jasno widać, że w samej rzeczy Kito-wicz widział hajdamaków, zapewne przez jaki oddział polski w niewolę zabranych, a nie samych Zaporozców; bo niektóre szczegóły wcale na kozacki ubiór nie wyglądają.

Najlepiej maluje prawdziwego Zaporozca jeden ustęp pieśni, który czytelnikom cały podaję:

Omelko Kozak choroszy,
Wzdumaw icha' na Zaporozie.
Win uże padniawsia,
W siny żupan ubrawsia;
Konia kupyw takaho,
Jak u atamana samaho
ne było.

Sidło czerkeskoe s pitnikom,
Uzdeczka nowisienka s bajrakom,
Ratyszczs s bilaho żeleza,
Paru pistoletyw iż spizu,
Sabla wostra u pochwy,
Wes majątek u sakwy;
Siw na konia pochyływsia
Radynonki pokłonywsia
i poichaw i t. d.

(Omelko Kozak dobry, zamyslił jechać na Zaporozie i owoż on podniósł się, w siny żupan ubrał się, konia kupił takiego, jakiego u atamana samego nie było. Siodło czerkieskie z podkładką, uzdeczka nowiusienka z munsztukiem, pika ze stali, para pistoletów ze spizu, szabla ostra w pochwie, cały majątek w sakwie. Wsiadł na konia, pochylił się, matce swojej pokłonił się, i pojechał i t. d.)

Co pieśń opiewa, to potwierdza opowiadanie Korzy, który najlepiej może o tém wiedzieć, boć przecie sam był Zaporozcem. Oto jego słowa:

„Wszyscy w ogóle Zaporozcy głowę i brodę golili (dla odróżnienia się od Dońców, których za odszczepieńców uważali. Na głowie zostawiali tylko nieduży pęk włosów, czub, po rusku *chachot*, od czego téż wszyscy Ukra-

inicy nazywali się u Rosyan chachłami, a Ukraina Chachłandyą. Ten czub czasami był tak wielki, że zakrywał całą twarz, a w takim razie pletli go jak warkocz, i zakładali za ucho; taki czub nazywali oseledec. Wąsy wszyscy nosili, czernili je i zakręcali do góry; a im dłuższe były wąsy, tém większą ozdobą były dzielnego Kozaka, który na nich opierał swoje sławę i miłość własną. Ubiór Zaporozców, kiedy byli na służbie albo na wojnie, był u wszystkich jednakowy i jednokolorowy, a w szczególności *kaptan* (kaftan), kozacka kurtka, która czasem nazywała się *kazan*, *czerkieska* z wylotami. *Szarawary* sajetowe (?), to jest z angielskiego lub polskiego sukna, jasnokolorowe, które w Polsce nazywało się *sajetą*; *czaboty safiancy* safianowe z czerwonego ruskiego, lub krymskiego safianu, *pas szalowy* to jest jedwabny, i czapka kabardynka, wokoło i na krzyż obłożona. Dla osłony, szczególnież na wyprawach, nosili kosmatą z sierci burkę, która u nich i u Polaków nazywała się wilczurą (?). Taki ubiór, byłto ubiór wojskowy; ale jeżeli Zaporozcy mieli się ubrać paradnie, do cerkwi albo na wizytę, albo w wielkie jakie święto, to sprawiali (sic) sobie suknie jak kto mógł: czasem bardzo drogie i różnokolorowe, i wtedy zamiast czerkieski, nosili szerokie żupany polskiego kroju”.

Nieco dalej Korz objaśnia znaczenie wyrazu kabardynka, a objaśnienie to pokazuje zarazem jego wiadomości z historyi naturalnej:

„Kabardynka, znaczy czapka, od nogajskiego wyrazu *habarda*, dziki zwierz, który żyje około rzek w wielkich lasach, i może żyć na lądzie i na wodzie; żywi się rakami, przemieszkuje i rozpladza się pod korzeniami leśnych drzew. Takich zwierząt było bardzo wiele na Wiel-

kim Ługu za czasów Zaporozża. Z postaci zupełnie podobne do kota, ale grubsze i dłuższe; nogi mają krótkie, przy końcu szerokie, z żaglami (błoną zrastającą) jak u gęsi; ogon bardzo długi i kosmaty jak cała skóra. Sierć młodego zwierzęcia jest popielata, starego czarniawa jak u kuny. Ten zwierz nazywa się u Zaporozców wydrycha, wydra, *loutre*, a futro jój było bardzo modnym, szczególnie na czapki, nie tylko u Zaporozców, ale u Lachów i żydów. Zaporozcy tak je lubili, że czapkę nawet ze sukna zrobioną nazywali kabardynką”.

Pan Skalkowski zadziwiony obrazem Zaporozca, naszkicowanym i przez Kitowicza i przez Korzę, widzi w nim potomka starożytnych plemion słowiańskich i powiada: „Przeczytajcie bizantyjskich kronikarzy, a znajdziecie tam opis powierzchowności Wielkiego księcia Swiatosława Igorowicza, i zobaczycie obraz każdego Zaporozca w jego prostém ubraniu, jak narysował go Kitowicz. Tak np. Lew dyakon kołajski, mówi o Swiatosławie: „Miał on gęste brwi, niebieskie oczy, płaski nos; głowa jego była goła, na bok tylko spuszczał się lok włosów, oseledec, znamionujący szlachtetne pochodzenie”.

Prawdziwie, rzecz zadziwiająca takie rażące podobieństwo Zaporozca między r. 1550 i 1750, a Wielkim księciem z 1000 r. po Chrystusie. Siedm wieków nie zmieniło nic w tym rysie, aż do ubioru nawet.

Jestto nowy dowód, że kozactwo jest słowiańskiego pochodzenia, a nie czerkieskiego, ani tatarskiego.

Jeszcze kilka wyrazów o ubraniu Zaporozców.

Samo opisanie Korzy, jak ubierali się Zaporozcy, zdaje mi się trochę przesadzone: bo nie mogę wierzyć,

a nawet mam to zupełne przekonanie, że Zaporozcy na wyprawie nie nosili sajetowych szarawarów, ani safianowych bótów. Boplan wyraźnie powiada: „że ubranie Kozaka na wyprawie składało się z koszuli, dwóch szarawarów dla przemienienia, kaftanu, kurtki z grubego sukna i czapki. Zapomniał jeszcze Boplan o burce z kapturem. Owoż niema tu nic drogiego; samopał, ładownica, pika, dwa pistolety i sakwy; oto Kozak z całym swoim mieniem. W domu dla odróżnienia się od pospolitych ludzi, szczególnie od polskich mieszkańców, nosili czerwone żupany, granatowe kontusze i wysokie siwe czapki z czechem także czerwonym. Nazywali się mołojcami, lub mołodcami; to znaczy kawalerami, na znak ich ślubu bezzeństwa. Ale mimo tego, ślub ten wcale im nie przeszkadzał, kiedy w sicy nie byli, aż do szaleństwa prawie uganiać się za Ukrainkami i Polkami, które szczególnie były w ich guście; za Laszką Kozak rozum tracił; dla Laszki często porzucał ukochaną sicz, bo oczy Laszki mocniejsze były i od jego konia, i czajki, i stepów, i batki atamana i od serajowej turczynki. Kozak Zaporozia, kiedy przybywał w siedziby pospolitych lub na Ukrainę, albo do Polski, był postrachem mężów, opiekunów, narzeczonych: było dandy paryzki na prowincyi. Śmiały, ufny w siebie, wystrojony jak bożek, szedł prosto do serca, a często w krwawe z tego powodu płał się sceny. Gubernator czechryński nieraz zanosił skargę na Zaporozców do koszowego, że jego postowie, szabłą, pistoletem i pieśnią nie dają pokoju ani mężom, ani opiekanom, ani żonom, ani córkom.

W jedném doniesieniu zaporozkich agentów, wysłanych do Turcyi dla przewidzenia się o politycznych wypadkach, napotyamy ciekawy ślad opisu z natury Zaporoz-

ców ubioru. Jestto inwentarz po zabitych dwóch Kozakach zaporozkich przez Nogajców w 1775 roku; mieli oni: *kirów* (rodzaj kaftana szerokiego, z granatowego sukna) 2; burek krymskich 2; kurtek kitajowych 2; jupek, kurtek tureckich, spancerów 2, jedna kitajowa, druga lisiurka, pokryta żółtą materją; szarawarów kozackich, w których było po 5 łokci granatowego sukna, dwoje; czapek dobrych krymskich 2; czabatów safianowych czerwonych 2 i czarnych 2 pary; szabel dwie, jedna w srebro, druga w mąsiądz (sic) oprawna; pik ze spisami 2; pistoletów dwie pary; ładownic dwie, jedna z tabliczką i sprzączką srebrną połączaną, druga prostej roboty; koni 4; kulbak krymskich nowych z podtybinkami krymskimi malowanych 4, i gotowych pieniędzy rub. sr. 500.

I tutaj nie widać żadnych materyj; a że był zwyczaj noszenia jedwabnych sukien, szczególnie między starszyzną, to wiemy ztąd, że Potemkin przy liście pisanym do Kałniszewskiego, posłał mu aksamitu na suknię. Nawet monarchowie rossyjscy, takiemiż sukniami, podług starego zwyczaju, obdarzali Zaporozców. Często starszyzna zapisywała sobie z Moskwy cienkie sukna, materye, galony. Ale są téż i na to dowody urzędowe, że zwyczajny ubiór Zaporozców był prosty i skromny. I tak: r. 1767 kosz żądał, aby jego deputaty odesłali wziętych z siczy szewca i krawca (sic), sądząc, że ci potrzebne im rzeczy już pokończyli. W r. 1749 znowu, kiedy naznaczono kommissyą do rozstrzygnięcia sporów granicznych między Zaporozem a Krymem, to główny kommissarz ze strony Rossyi, major Nikiforów, pisał do kosza usilnie prosząc, żeby zaporozcy deputaci

byli „w całej gotowości i ubraństwie, żeby przed tatarskimi deputatami wstydu im nie było”.

Korż mówi, że Zaporozcy nie znali wcale ekwipaży, i zawsze jeździli wierzchem; szczególniej w czasie wojny, w szeregu lub na podjazdach. Pan Skalkowski zarzuca Korżowi w tym względzie oczywisty błąd, i utrzymuje, że w XVIII wieku i na Zaporoziu już były w modzie wozy, bryczki, kolaski i t. d., że dla częstych podróży do Warszawy, Petersburga i Krymu z towarami, gościńcami i zapasami różnemi, niepodobieństwo było jeździć zawsze tylko wierzchem. Prawda; ale owe wozy na których wożono te przedmioty, nie mogą być przecie uważane jako ekwipaże; woźnica na nich nie był kurenym towarzyszem, i nikt z wojska zaporozkiego nizowego, nigdy na nich nie siedział, chyba ten co zasłał. Prawda jeszcze i to, że około połowy XVIII wieku starszyzna kozacka przez stosunki rozmaite zwolniła nieco w surowej pierwotnej kozackiej regule, i rzuciła konia dla powozu; ale prosty towarzysz, co to przywykł całą pierśią na otwartym oddychać stepie, co to mańdrować koniem niby wicher jaki, było mu potrzebą jak pokarm i napój, gdzieby on tam kilkadziesiąt mil wysiedział na wozie, kiedy mu raźniej i weseliej na koniu.

Dalój Korż tak opisuje uzbrojenie Kozaka: „Na koniach siodła bywały czasem bardzo drogie, z kolorowemi czaprakami i z całą kozacką zbroją, która była następująca: z przodu siodła przyszyte były dwa kubury, olstra na pistolety; w tyle przytroczona zwinięta burka, i wszystko co do pierwszej potrzeby służyło. Amunicją i całą bronią mieli na koniach, jakoto: pikę, szablę i cztery pistolety, dwa za pasem, a dwa w siodle. Na piersi zamiast ładownicy szeroki czeres; patronaż napełniony

w dwa lub trzy rzędy nabojami i kulami. Karabinów i armat konni Kozacy nie miewali, a używali je tylko wtedy, kiedy pieszo lub na łódkach wyprawę robili, albo szturm do miasta przypuszczali. Wtedy i konni Kozacy zsiadali z koni i pieszo walczyli”.

I tutaj Korz zrobił mały błąd, bo zwykła broń kozacka była pika i rusznica przez plecy zarzucona. Szablę i pistolety starszyzna więcej nosiła. Armaty, szczególnie w ważniejszych wyprawach, oddawna używali Kozacy, i mieli swoją artylerię; a piką robili tak doskonale, że tylko pancerne nasze towarzystwo oprzeć się im mogło. Kitowicz zapewnia, że jeden tęgi Kozak wpadłszy z piką w szeregi naszych, zabijał lub ranił do 40 ludzi. „Choć bardzo dawno nauczyli się Kozacy od nas nosić napierśniki lekkie i żelazne szyszaki z piorami, jednak wkrótce porzucili to ochronne uzbrojenie, które z natury sposobu ich wojowania, gdzie na szybkości wszystko zależało, zamiast korzyści, utrudzenie w ruchach im sprawiało; otwartą pierś stawiali wszędzie, i ta wystarczała im na ochronienie ich stepów.”

3. Sposób wojowania.

Jak we wszystkich urządzeniach i działaniach Zaporozców, tak w ich sposobie wojowania nie widać nigdzie nic systematycznego, nic do ładu i zasad sztuki przywiedzionego, a wszystko okolicznościowe, z potrzeby danej chwili i położenia wynikające. Wszystko tam rachowano na własne siły, na własną pierś; i dlatego, ani tam karności i szyku wojskowego w naszym rozumieniu, ani wyuczonych naprzód obrotów nie ujrzysz. Wojna u nich, jako synów natury i stepu, jako konnych lekkich woja-

ków, zależała na nagłym i niespodziewanym napadzie, na podejściach, na chytrności. Mimo to, wytrwałość na przykrości fizyczne była u nich ogromna. Starowolski nasz, a znał się na tém dobrze, bo sam wojskowo służył, chwali ich z tego, gdy mówi: „Wszystkich ludów żołnierze, do prac i trudów wojennych dla miękkości niezdatni; samych Kozaków zaporozkich wyjąwszy, którzy w tym względzie wiele ze starożytnej wytrzymałości między sobą zachowali (1).

Ale chociaż powiedziałem, że nie było u Kozaków zaporozkich urządzeń i karności wojskowej w naszym sposobie widzenia rzeczy, nie idzie za tém, żeby ich wcale nie było. Owszem, był tam: 1) najprzód podział pewien na tysiącznie, setnie i dziesiętnie. Pułkownik, rozumié się w czasie wojny, miał pod sobą 1000 ludzi, podzielonych na 10 setni. Setnik 100 podzielonych na 10, a dziesiętnik dziesiętni 9 starych żołnierzy i około 30 nowozaciężnych; wypadalo więc, że dowódzca tysiączni miał pod sobą około 4000 ludzi.

2) W czasie pokoju, pułkownik i ataman kurenniy a nawet i starszyzna wojskowa, nie ciążyła tam na towarzyszach swoją wyższością. Żyli w siczy, jakby równi wszyscy, a często towarzystwo uniesione wrodzonym mu szalem i trunkiem, przewodziło starszyźnie; ale krok za siczę lub na wyprawie, towarzysz do najściślejzego posłuszeństwa swoim starszym był obowiązany, pod karą nietylko razów, ale i śmierci. Nic go od niej obrońić nie mogło, jeżeli na nią zasłużył; szczególnież téż, ponieważ na niespodzianym napadzie i nagłym przestraszeniu nieprzyjaciela zależał u nich cały skutek bitwy,

(1) Starowolski. Instit. Rei milit. L. III. C. 26, 23.

dlatego najściślejsze milczenie w marszu przestrzegano. Koniom nawet rżnąć nie pozwalali.

3) Zmuszeni tylko stawali we dnie do walki; przynosili bowiem z powyższej przyczyny nocne napady, i podjazdowe utarczki, w których tak byli wyćwiczeni, że żadne inne wojsko w porównanie z niemi pod tym względem iść nie mogło. Idąc do bitwy, w środku mieli wozy, i gdy postrzegli, że nieprzyjaciół przemożniejszy od nich siłą, tworzyli z nich tabory na sposób polski, i ukrywający się za nie, jakby z za murów walczyli.

4) Czujność, przezorność i wytrzymałość Kozaków na wojnie, stała się przysłowiową nawet. Ten sam Kozak, coto w siczy cały Boży dzień hulał, pił i szalał, na wojnie nagle trzeźwiał, męźniał i stawał się walecznym i karnym żołnierzem. Wiedział instynktem, że najmniejsze zaniedbanie się, najmniejsze opuszczenie rozkazu, nieobrachowane skutki dla wojska miećby mogło, a na niego okropną karę ściągano. „Lud ten, powiada Beauplan, w czasie wypraw swoich szczególniejszych morskich, jest niezmiernie wstrzeźliwy; jeżeli w gronie ich znajdzie się jaki pijak, to go zaraz w morze wrzucają. Trzeźwość uważają w tych wyprawach za największą cnotę: dlatego niewolno było nikomu mieć z sobą wódki”. Zresztą, wojna długa nie była w charakterze, ani na znaczeniu Kozaków; ztąd też systematyczne bojowanie, nie miało u nich ani ceny, ani miłości. Napad, przerażenie, rzeź, pożar, rabunek—oto ich wojna; a to wszystko w jednym dniu, w jednej godzinie się odbywało. Taką ich wojnę na stepach, na lądzie, opisałem już wyżej, a teraz zapraszam czytelnika na kozacką czajkę, i dalej wpływ do Konstantynopola, jak mówili Kazacy: „Koszulę z ognia uszyć Stambułowi.”

Cała poezya Zaporozia, cały urok tego wojennego bractwa, a zarazem jego zasługa leży w walkach staczanych z Turkami i Tatarami. Tatarów dosięgali lądem, boć z nimi graniczyli; ale kiedy się im zachciało odwiedzić Turków, a corocznie zwykli byli to czynić w nadziei bogatěj zdobyczy, siadali wtedy na łodzie, na owe sławne czajki, i nie prosząc nikogo, ani króla, ani hetmana o pozwolenie, ani bacząc, co tam za piśmienne układy i kontrakty między Polską i Turcyą, płynęli na Czarne morze pohulać z Turkami, tak jak hulali z Tatarami po stepie; bo to powiada pieśń:

Kozak pana nie znaw z wika,
I zrodywsia na stepach,
Ptakom stawsia z czołowika,
Bo wzrys w kinskich stremenach.

Nieraz rabowali posiadłości hana krymskiego, niszczyli Natolią, burzyli Trebizondę, zapędzali się aż do Bosforu i wdzierali się na przedmieścia samego Konstantynopola, zostawiając po sobie przerażenie, rabunek i śmierć, jak to oprócz Beauplana poświadcza Łubieński, gdy mówi: „Rodzaj ten ludzi w małych łodziach, z których każda nie więcj jak 40 ludzi mieściła, przy ujściu Dniepru wypłynąwszy, brzegi Azyi mniejszėj i Tracyi opłynąwszy, wycieczkami na nie robionemi, miasta i wsie rabowali i palili, a nierzadko na sam Carogród postrach rzucali, co nawet w tych czasach kilka razy uczynili, i dalėj; często na lądzie, ale częściej na morzu wyprawy czynią skrytemi napadami, i najwięcej chrześciańskiego imienia nieprzyjaciolom są straszniemi”.

Kiedy zamysłali nowy napad, to otrzymywali na to pozwolenie nie od króla polskiego, ale od hetmana małorossyjskiego, a czasem tylko od swojego koszowe-

go, a często samowolnie czynili te wycieczki na morze, nikomu się nie opowiadając. Potém składali radę i wybierali sobie doświadczonego i słynnego pochodnego atamana, a za dawniejszych jeszcze czasów, kiedy Zaporozcy nie tak bardzo wyróżnili się od ukraińskich Kozaków, to nie sam ataman koszowy, ale nierzadko nawet hetman małorossyjski w owych wycieczkach na Turków i Tatarów przywoził (1). Ukryci w niedostępném miejscu, które skarbnicą wojskową nazywali, budowali tam owe sławne łodzie czajkami przezwane, mające 60 stóp długości, a 10 lub 12 szerokości; nad jedną czajką pracowało zawsze 60 Kozaków, i w dwa tygodnie musiała być skończoną: bo jak mówi Beauplan, we wszelkiego rodzaju rzemiosłach byli oni biegli. Budowano je z twardego drzewa, obijano deskami, rozszerzając ich kształt im więcej szły do góry; obwodzono je potém linami z lipowój kory, oblewano smołą i przyprawiano dwa rudle: jeden z przodu, drugi z tyłu, dlatego, że czajki te będąc znacznej długości, potrzebowałyby niemało czasu do kierowania w różne przeciwne strony. Statki te miały od 10 do 15 wiosł z każdój strony, dlatego szybciej pływały, niż tureckie galery. Ich szybkość i dobrą budowę chwali Starowolski, ale dodaje zarazem, że nie były tak dobre, jak dalmackie lub albańskie, dlatego, że z jednego drzewa bywały wyżłobione. Bywały téż na czajkach maszty z żaglami, ale używano je tylko w czasie pogody, bo Zaporozcy woleli sami robić wiosłami, szczególniej w czasie wielkich wiatrów. Zapasy żywności chowali w beczkach; mieli téż jeden exeft z ka-

(1) Patrz mój artykuł: „Hetmani małorossyjscy i Kozacy do czasów unii” w Bibliotece Warszawskiej r. 1848.

szą jaglaną, a jeden z ciastem rozczynioném w wodzie, pomieszaném z jagłami. Potrawa ta była kwaskowatą i nazywała się *sałamak*, to jest cudna potrawa, chociaż, czemu bardzo wierzę, Beauplan powiada, że ją wcale cudną nie znajdował, i jeżeli ją jadł, to dlatego, że nie było nic lepszego do jedzenia.

Kiedy chcieli pomścić się na Tatarach za ich napady i rabunki, albo zarobić coś przez zdobycz na Turkach, zwykle zaczynali te hulanki po ś. Janie, a czasem zaraz z wiosny, i nie wracali do domu, aż późną jesienią. W 80 lub 100 czajek, na każdój od 40 do 60 ludzi, mając armatki i kompas, puszczały się na Czarne morze i rzucali się na najzamożniejsze miasta Natolii. Płynąc Dnieprem, zachowywali zwykle taki porządek, że jedna łódź na przodzie miała zawsze armaty, a to nazywało się u nich ciągnąć żurawiem. Przy ujściu Dniepru ataman pochodny, niby admirał floty, zawieszał znak swój na maszcie, głosząc tém, że Kozacy płyną w krwawą gościnę do Turków. Turcy z swój strony, spodziewając się zawsze ich przybycia, trzymali swe galery na straży przy wyjściu z Dniepru na Czarne morze, a mieli téż i kilka zamków nadbrzeżnych, opatrzonych w armaty, a to wszystko na garstkę ludzi, co się ich galer i ich fortec nie bała. Przebiegli Kozacy, zwykle w najciemniejszą noc przed samym nowiem księżyca, kryli się po trzcinach, co tam na mil 4 wokoło rosną, i ztamtąd, dokąd galery iść nie śmiały, a armaty nic im zrobić nie mogły, wypływali na Czarne morze. Kiedy ta flota straszna osadą swoją ukaze się na Czarném morzu, krzyk trwogi rozlega się po wszystkich jego wybrzeżach:—*Allach! Allach!* Kozacy wyszli na morze! Dają o tém natychmiast znać do Carogrodu, a sultan w téj chwili rozsyła gońców do

Natolii, Bulgaryi, Romanii, aby każdy miał się na ostrożności.

Ale kozackie czajki, to nie tureckie galery, ani mużmańskie gońce; szybkie jak ptak morski, wyprzedzają posłańców Padyszacha, i w 56 lub 40 godzinach dobijają do Natolii. Tutaj zostawiwszy w każdój łodzi po dwóch ludzi, z rusznicą w ręku napadają na miasta, palą, łupią, a nie zapędzając się nigdy w głąb kraju jak o milę, wracają na czajki obciążeni łupem; płyną dalej, i dalej też samą dramę odgrywają, dopóki widzą się bezpiecznymi. A kiedy postrzegą turecki okręt, wtedy manewrują za nim wkoło niego dotąd, dopóki pod wieczór nie staną w takim położeniu, że mają słońce za sobą, i na godzinę przed jego zachodem, uchwyciwszy za wszystkie wiosła, pędem strzały puszczają się na okręt, który wnet otoczony 80 lub 100 czajkami, ulega przemocy. Wszystko co żyło, na nim ginęło, a wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, stawało się zdobyczą Kozaków, którzy nareszcie zatapiali zwykle, albo też czasem pälili zdobyty okręt.

Ale trzeba kiedyś wracać do Zaporozża, do siebie, a Turcy jeszcze mocniej obsadzili ujścia Dniepru, aby nie puścić Kozaków obciążonych bogatą z Turków zdobyczą; lecz i na to mieli Zaporozcy sposób, bo o 3 lub 4 mile od odnogi, gdzie morze ledwie na stopę głębokie, wyskakują wszyscy w morze, holują swe czajki, i we dwa lub trzy dni, już są na Dnieprze, gdzie ich nie doścignie żaden statek turecki. Raz nawet zagnała się ich flota za Kozakami aż między wyspy, których środkowym punktem był Czartomelyk, mając około siebie do tysiąca malutkich wysepek, z których jedne suche, drugie błotniste lub zarosłe trzcina i sitowiem, tak że nie wi-

dać dzielących je strumieni. Dniepr na milę się tu rozlega, to też zapędziwszy się galery tureckie w ten labirynt wysp i wysepek, nie mogły znaleźć do powrotu drogi, a Kozacy ukryci na czajkach w trzcinie, znieśli do szczeru wszystkie nieprzyjacielskie statki, i raz nazawsze uwolnili się od ścigań Turków.

Prawdziwe to przysłowie: „że śmiałym los sprzyja”; boć to nie powszedniej trzeba odwagi w takim lichym statku jak czajka, rzucać się na morze przez sam środek nieprzyjacielskiej straży, i hulać sobie po tej wodnej przepaści, jakbyto u siebie na świętej ziemi rodzinnej. Wiedzieli, że na ich przybycie wzrusza się wszystko co żyje nad brzegami Czarnego morza, a nie bali się; wiedzieli, że galery i większe statki tureckie, ścigać ich będą nieustannie, i pokoju im nie dadzą, a nie bali się. Z okrzykiem: „Hura ha! hura ha! da my pajdom na wraha”, w samej owiej szalonej odwadze znajdowali zarazem ogromną masę energii i siły, do przemożenia największych niebezpieczeństw, a to tak szczęśliwie, że zwykle bardzo mało ich ginęło na tych morskich wyprawach, lub w niewolę poszło. Prawda, i na Zaporozców przychodziła czasami ciężka godzina, i oni też czasami bywali na dole; to wtedy znowu ginęli prawie do ostatniego, bo zwykle do niewoli brać się nie pozwalali, przenosząc śmierć nad ciężki u Turka jassy.

Po powrocie do sicy następował podział zdobyczy, jak już powiedziałem zupełnie równy między wszystkich, nawet i tych, co na wyprawie nie byli; a potem znowu Zaporozec, mając w kaletce pełno tureckich piastrów, cały Boży dzień pił i hulał u siebie, nie bacząc na to, że wszystko straci: boć na przyszły rok znowu popłynie w odwiedzinę do Turka!

4. Pokarm i zwyczaje Zaporozców.

Pokarm i zwyczaje Zaporozców bardzo wiele miały podobieństwa do pokarmów i zwyczajów Ukraińców, ale obok tego, były tam pewne wyróżnienia się, wynikające z charakteru owego wojennego bractwa.

Wszystko u Kozaków było wspólne, krom jego konia, uzbrojenia i zdobyczy wojennój; wszyscy téż razem z jednego kurenia w kureniu jedli. Korż tak opisuje ich obiad:

„Kiedy już czas trąpczy (obiadu) nadejdzie, kucharze nasypują (leją), w drewniane wagany (wazy) i stawiają na syrno (stół), około waz rzędem rozmaite napoje: horyłkę (gorzałkę), miód, piwo i brahę w wielkich konwiach także drewnianych, i zawieszają na nich drewniane (kubki), które po kozacku nazywają się *Michajłykami*, bo w siczy kieliszków i szklanek nie było. Kiedy Kozacy przyjdą już z atamanem na obiad, to pomodliwszy się do Boga, siadają: ataman na pierwszym miejscu w końcu stołu pod obrazami, a potem Kozacy na ławkach naokoło stołów. Kiedy kucharze podają ryby na stiaństwo (rodzaj sitowego półmiska), to wtedy podług ich obyczaju, stawiają je głową do atamana. Kiedy obiad się skończy, Kozacy znowu modlą się, kłaniają się atamanowi i jedni drugim, a potem dziękują kucharzowi, „*spasibo bratczyku, szczo nahoduwaw Kozakiw*” (dziękujemy bracie, żeś nasycił Kozaków). Wychodząc z kurenia, ataman i każdy Kozak kładł po dwa grosze w karnawkę (puszkę), a kto chciał, to i więcej, a potem każdy szedł gdzie mu się podobało. Za zebrane pieniądze, kucharz kupował wszystko, co było na jutro do obiadu potrzebne. Jedzenia gotowano w kureniu trzy razy na dzień w miedzianych kotłach na kominie, a nie w piecu.

Pod wiedzą kucharza były prowiant i krupy, które się kureniovi dostawały z podziału żołdu zbożowego; a z dochodów kurenych, wydawali co miesiąc atamani potrzebne na kuren pieniądze, bo „podług reguły wojskowej, od wszystkiego klucz był u ojców atamanów.”

Najulubieńszym pokarmem Zaporozców była jaglana kasza; ztąd téż i kucharzy swoich i łakotników nazywali kaszowarami. Oprócz kaszy, gotowali teterę; tetera był to rodzaj polewki z żytniej mąki, rodzaj barszczu, który Kozacy bardzo lubili, i najczęściej jadal. Kiedy idą na wyprawę wojenną, wtedy przygotowują w domu tak gęstą teterę, że ją mogą w beczkach przewozić. O niéjto wspomina Beauplan i Chevalier, nazywając ją kwaszonym ciastem, niebardzo dla nich wykwintném, które w wodzie rozrabiali i tak jedli przez ostrożność, nie chcąc palić ogni w czajkach lub na czatach, aby się nie odkryć nieprzyjacielowi. Ich hetman Paweł, przezwany był Teterą, na znak miłości dla niego; to znaczyło, że był im tak potrzebnym i drogim, jak tetera na pokarm. Przyrzędzali jeszcze mamalygę, to jest ciasto z kukurydzy, które jedli bez soli, ale z solonym serem, a często z pastramą. Pastrama była bardzo ważnym wynalazkiem na Zaporozu, ale liczyła się już do łakotek. Był to kawałek baraniny, szczególnież wyższe części baranich nóg, zaszuszone lub uwędzone z solą, które Kozacy w trokach wozili z sobą. Kiedy oddział miał czas lub sposobność przyrzędzenia sobie czegoś lepszego niż tetera, wtedy dobywał mąkę z kukurydzy, i gotował mamalygę, dodając do niéj dla smaku kawałek postramy. Srezniewski wspomina jeszcze o jednéj potrawie Zaporozców, i nazywa ją *tura*; był to starty na proch suchar, rozwiedziony kwasem i przyprawiony olejem i solą.

Oprócz chleba, którego bardzo rzadko używali, robili *kosze*, to jest placki, które nazywały się u nich *zahrebami*, podpłomykami, dlatego, że przyrządzone do tego ciasto kładli do pieca i zagrzebywali popiołem i węglami; o czém Starowski wspomina, jak już wyżej powiedziałem.

Te wszystkie potrawy, były codzienném pożywieniem Zaporozców, a kiedy chcieli pohulać sobie wykwintniej, wtedy jedli pastrydę (suszoną rybę), lepieszki, prosięcinę na zimno, ogórki kwaszone, a nadewszystko kiełbasy; pili téż gorzałkę, miód, piwo, a węgierskie i krymskie wina, szczególniej zaś *warenicha* lała się rzeką. Warenichę robili z wódki, pachnących korzeni, miodu i suszonych owoców, i gotowali to razem. Napój ten na Zaporoziu był bardzo szacownym; warenichę uważano tam za pewien rodzaj okazji szczególniejszój przyjaźni i szacunku dla gościa.

Ot wszystkie ich zmysłowe rozkosze; proste i niewyszukane, powiedziałbym nawet twarde i surowe, jak ich życie. Niéma tu nic delikatnego, nic rozmiękczonego i łechcącego podniebienie; nie mieli jeszcze nerwu gastronomicznego wykształconego: chodziło im o pożywienie, a nie o jedzenie. Powiecie może, że ta surowość, aż do potrzeb codziennych posunięta, dowodzi więcej ich grubości, niż wstrzemięźliwości; ale powiem wam otwarcie, że wolę nieskończenie więcej tę grubość, którą prostotą nazywam, niż waszą wykwintność wycwilizowaną, co rozstraja i rozmiękcza organizm, robi z nas pieszczoszków i wystawia na tysiączne choroby. Jedno za drugie. Kozacy żyli skromnie, nie ucztowali po naszemu, mieli za to silniejsze muszkuły i tęższe zdrowie. My mamy delikatne i wyszukane w przyprawach poży-

wienie, mamy za to chmurę klęsk i cierpienie fizycznych. Tam wszyscy jedno i to samo jedli; u nas przeciwnie, mamy prawie uprzywilejowane pożywienia, potrawy, co nas oddzielają od siebie, jakby na kasty jakie, i co tam w górze na stół podają, o tém i śnić się nie może stojącemu niżej. Ha! cóż robić; jestto konieczny rezultat z poprzednio i obecnie danych, ale przykro jest patrzeć na to, że tak lichy, tak nędzny rezultat wychodzi czasem z prac i myśli wieku!

Wróćmy do Kozaków, boby nam niejeden powie-
dział: „przez imaginacyą wjechał na koronacyą”.

Owe proste pożywienie dostawała i starszyzna z ma-
łym bardzo ulepszeniem; żyła ona skromnie, a depu-
tacya zaporozka w 1755 r., składająca się z byłego ko-
szowego, dwóch wojskowych starszyn i wielu sług, wy-
dała na drogę i na życie przez trzy miesiące w Peters-
burgu i przyjęcia 60 rub. sr. gorzko się żaląc przed ko-
szem, że jeden dzień z trudnością można rublem opę-
dzić. W r. 1764, w czasie kiedy graniczne kommissye
jedna po drugiej zjeżdżały na Zaporozie, to delegowani
siczy wydali na przyjęcie tych kommissyi podług rachun-
ku szarza u Nikityna przewozu rub. sr. 17 i 33 kop.
Zdaje się, że to niebardzo wielka summa, chociaż owi
delegowani mieli rozkaz od kosza, aby przez czas trwa-
nia kommissyi, dostarczali jój wszystkiego, co zażąda
„w wielkiej obfitości”. Dopiero w ostatnich czasach bytu
Kozaczyzny, kiedy jój dowódcy często przebywali po sto-
licach, zachwycili téż miejskiego życia i delikatniejszego.
Widać tam u nich na przyrodziewku materye bogate,
srebrne, kryształowe kredense, kolaski i inne niesły-
chane na Zaporozu „wymysły”.

Świadkiem owęj prostoty życia Zaporozców był jeszcze generał-porucznik Tekeli, którego Kozacy przyjmowali u siebie w siczy, kiedy przybył zanucić im pogrzebową pieśń. Korzypowiada ten wypadek szczegółowo, i umieścimy jego opowiadanie później; tu tylko nadmienimy, że zastawiano przed nim potrawy na drewnianych półmiskach i jedzono drewnianemi łyżkami. Pieśń o atakowaniu siczy powiada także:

Zjw Tekeli obid burłacki,
Ta use smakowaw,
A pisle po kozacki,
Winom, midom zapiwaw i t. d.

(Zjadł Tekeli obiad burłacki, i wszystko mu smakowało, a potem po kozacku, winem, miodem zapijał i t. d.).

I mieszkania nietylko prostych towarzyszy, ale i starszyny były skromne, powiem nawet prawie ubogie; była to chata albo z drzewa rzniętego, albo lepianka, z równie skromnemi domowemi sprzętami. Zostały dotąd we wsi Pokrowsku, byłej nowej siczy, dwa domy dwóch kozowych, które jeszcze w r. 1845 w swęj wycieczce na Zaporozie widział p. Skalkowski, i powiada: że to są proste, drewniane, gliną oblepione domki, mające dwie izby i dwa albo trzy alkierzyki. Całe upiększenie ich leżało w suficie belkowanym, na którym był wyrznięty krzyż, i (jak się u nas wszędzie w staropolskich domach dawało widziéć) obok jakiegoś wezwania imienia Boga, nazwisko gospodarza i data wystawienia tego domku. Całe usiłowanie zbytku i przepychu obracali Kozacy na broń i konie, a jedyną i największą rozkoszą Zaporozca był sad wiśniowy przed zimownikiem; gdy to miał, już więcej niczego nie pragnął.

Oryginalny i ciekawy dowód życia Zaporozców, a więcéj ich starszyny, pozostał w archiwum kozac-

kiém. Jestto dziennik podróży pana koszowego z siczy do Kodaku. Przytaczam go cały, bo maluje wybornie domowe życie przywódców, owych dzielnych synów stepu:

„Jego Wielmożność ataman koszowy Piotr Iwanow Kałniszewski, pan sędzia wojskowy Mikołaj Tymofiejewicz (syn Tymoteusza), pan pisarz wojskowy Iwan Jakowlewicz (syn Jakóba) Głoba, były wojskowy sędzia Andrzej Artemowicz Nosak, i naczelnik cerkwi ojciec Włodzimierz Sokalski z dyakonem, i pochodna kancelarya wojskowa, 23 lutego 1772 r. we czwartek, *przed wschodem słońca* z siczy wyjechali. I jechali przez cały dzień i nocą, *aż do północy*, ku zimownikowi byłego starszyny wojskowego asała Wasila Andrzejewicza Piszmicza. Ale że noc była ciemna, to nie dojechawszy do owego zimownika, *pod stogiem siana stanęli*, i zano-cowawszy tam noc, owém sianem konie karmili. 25 lutego pojechali dalej, a na obiad dojechali do zimowni-ka Piszmicza (1). Spotkało tu i przyjmowało bardzo dobrze panów i przy panach będących, jakoto: obiad zastawił dostateczny, i *gorzałką nieskapo częstował*. Podziękowawszy mu, jechali dalej do Kodaku pospiesznie przez cały dzień, dokąd do Kodaku już około zachodu słońca przybyli. Ale nim wyjechali, spotkani byli w Popasnych bajrakach przez nowokodackich Kozaków w dostatecznej liczbie, dobrze odzianych i z proporcem. A jak już dojeżdżali do kodackiego miasta, to naprzód dano z armat dwa sygnały, a potem raz po raz ze wszystkich mających się naokoło miasta wałów strzelanie

(1) Rzecz szczególna i ciekawa, że na rzece Kamionowatěj, tam gdzie stał ów zimownik, teraz jeszcze jest wieś pod nazwiskiem Piśmiczówka. *Skalkowski*.

armatnie czyniono. I byli przygotowani, w suknie cerkiewne wszyscy świąszczeni z dyakonami, odziani, przy bramie, coto przy wojskowym zamku, aby ich spotkać z krzyżem; a że nie w tę, a w inną pojechali bramę, to świąszczeni już rozebrani z sukien cerkiewnych, z pokłonem na kwaterę do wojskowego zamku do pana koszowego przychodzili, i dobrze przyjęci będąc, odeszli. Gdzie w wojskowym zamku pan koszowy z panem pisarzem, pan sędzia zaś u Konrada Siewierskiego, a ojciec naczelnik u świąszczeni kwaterami stali. I chodzili oni w sobotę 25 lutego do cerkwi *na ranne nabożeństwo, a potem na służbę (mszę)*, na której śpiewano śliczną pieśń: „O uwielbiona Matko!” i inne. Po służbie, pan koszowy wszystkich panów i świąszczeni do siebie zaprosił, i *kilku czarkami gorzałki potraktował*. Potem zaproszeni przez Poltawca na obiad, gdzie bardzo dobrze, jak mówią, byli przyjęci i wrócili do swoich kwater. A pan koszowy odpocząwszy w swojej, *chodził na wieczorne nabożeństwo*, a po nabożeństwie nigdzie nie chodząc, u siebie wieczerzał i położył się spać i spał; a kiedy rano w dzwony zadzwoniono, wtedy poszedł do cerkwi na ranne nabożeństwo, potem na służbę, którą odprawiał w licznej assystencyi ojciec naczelnik. Po służbie, wszyscy w ogóle zaproszeni byli na obiad do pana sędziego. Zjadłszy obiad, wracając do domu, wstąpili po drodze do kwatery księdza Fedora, gdzie trochę pobywszy, rozeszli się po kwaterach. I pan koszowy w swojej był aż do wieczornego dzwonu, a potem na wieczór na nabożeństwo do cerkwi chodził. Po nabożeństwie, do jerea (księdza) Wasila szedł na wieczerzę, a potem z wizytą do jerea Artema, u którego był i *przez śpiewaków bawionym*. Od 27 lutego zaczęli pościć,

a w sobotę spowiadali się wszystkie pany. Od soboty do wtorku w Kodaku żyjąc, wszystkie porządki tamtejszemu miastu pożyteczne zatwierdzali, a po zatwierdzeniu, 6 marca w południe zabrali się do powrotnego marszu: pan koszowy, pan sędzia i ojciec naczelnik, którzy jak tylko z kwatery ruszyli, zaraz raz po raz strzelano z trzech armat, a Kozacy z proporcem do Popasnych bajraków odprowadzali, a od Popasnych wrócili się. My zaś 7 marca niedaleko od Stefana Wasilewicza zimownika, co na Surze, a 8 marca w Kamionowatęj nocowali. A może Bóg da i do siczy jak najprędzej przybędziemy”.

Owoż opis jak i sam przedmiot naiwnie tchnący prostotą, boć w samej rzeczy był takim. Niéma nigdzie wzmianki o żadnych przygotowaniach do podróży: wsiedli na konie i pojechali. Niéma żadnych wygodek zniewieściałych w drodze; dobrze im było i pod kupą siana; przyjęcie tylko jest okazalsze wojskowe, bo téż najwyższy dowódca Zaporozża przybywał. W mieście żadnych balów; prosty obiad i gorzalka; za to trzy razy dnia modlili się i urządzenia potwierdzali. Niéma żadnych ceremoniałów, ale była treść i czyn, a to znaczy wiele; to nawet znaczy wszystko, i bodaj zawsze wszystko znaczyło.

Obok téj skromności w życiu, Zaporozcy byli nadzwyczaj gościnni; pod tym względem i panowie polscy i rossyjscy generałowie i uczeni, którzy byli w siczy, oddają im najzupełniejszą sprawiedliwość. Co mieli pod duszą, ofiarowali gościom: czém bogaci, tém i radzi.

Ale obok tego pełnego rzewnej prostoty życia i zwyczajów domowych u Zaporozców, grassowała między nimi jedna, ale zjadliwa skłonność; skłonność co nieraz

popychała ich do najnierozsądniejszych kroków; byłato skłonność do pijaństwa. Naturalnie bardzo nałóg ten rozkrzewił się i głęboko zapuścił między Zaporozcami. Kiedy nie byli na wyprawie, a w domu nie byli zajęci żadną familijną powinnością; kiedy nie mieli dla kogo pracować i oszczędzać, i nic nie mieli do roboty, to cóż mieli robić przez cały dzień Boży?—Ot pili i przepijali wszystko co mieli, ani wspomniawszy na jutro, bo jutro to nie było ich, bo jutro w polu na harc z Tatarami i śmierć, a po śmierci niéma komu przekazać, choćby co było do przekazania. Aby tylko była broń dobra, li chy (dzielny) koń i przyodziewek, to zresztą hulaj dusza bez kontusza!

Czyż téj saméj wady nie znajdujemy i w owych zakonach wojennych? Była ona tylko lepiej ukrywaną, chociaż równie zgubną dla nich była. Taż sama przyczyna wydała i na Zaporozu też same skutki. Mimo to, podług podań gminnych, nigdzie nie było tyle pieniędzy, tyle złota i srebra, jak na Zaporozu. Zaporozcy, mówi gmin, rzeszotami mierzyli talary i karbowańce; i dotąd szukają jeszcze tych skarbów, co je tam w ziemi mieli zaryć i zakląć na wieki Kozacy. Wierzono, że oni ćwiczyli się w czarnoksiężtwie, i nocą na mogiłach rozmawiali z duchami lasów i upiorami. Brakuje tylko czarownic i wiedm: bo téż i kobiet na Zaporozu nie było.

Nie było téż u Zaporozców żadnych zabaw publicznych, a więc następnie karczma, szynk i gorące napoje były im całą rozrywką. Albo w cerkwi, albo w szynku, ot całe życie domowe Zaporozca: bo na wyprawie trzeźwiał on nagle, i ni razu się w służbie nie potknął, bo bił się za siebie, a i bo to pachnęło kijami lub szubienicą.

Jedyną rozrywką moralno-fizyczną a światową Zaporozca był taniec. Miał on i ma dotąd wybitność sobie

właściwą, malującą doskonale życie i charakter owój wojowniczej wolnizny. Nie kusząc się o nowy opis owego tańca, powtórzę raczej to, co o nim w „Charakterystyce tańców” (1) tak poetycznie powiedział Karol Czerniawski:

„Gdy ustawy wymagały od Kozaków odosobnienia od kobiet, ażeby w czasie *potrzeby* nie wstrzymywały ich miłe uczucia i obowiązki rodziny, albo głos lubej młodycy serca nie miękzył i nie roziałał; kiedy odosobnieni od kobiet obozowali ciągle w siczach i tylko za urlopem do żon i rodziny w futory odjeżdżali (2): więc téż treścią ich tańca nie mogła być miłość, ale odbicie w ruchach ich obozowego życia, ich napadów i zwycięstw, zdobyczy lub porażek. Nuta Kozaka smętna i dzika, ale pełna życia i znaczenia. On tańczy i smutny jest, bo nie tańczy ze swą czarnobrewą; obraz jój tylko w myśli mu się przedstawia i rodzi smutek w duszy. Kozak staje naprzeciw Kozaka o kilkanaście kroków od siebie. Naprzód jeden zaczyna: wzięwszy się pod boki, w drobnych skokach, z nogi na nogę, raz prawym, drugi raz lewym bokiem pomyka się do swego towarzysza, jakby się zalecał do kochanki, jakby sądził, że to jego luba; ale spostrzega pomyłkę i w tył się cofa — już znikło marzenie! Poznaje, że to towarzysz broni, i zaraz napady na myśl mu się nasuwają. Patrz jak się ku ziemi pochylił w *prysudy*, i nogami to w jedną, to w drugą stronę wyrzuca: —to wiośta! on płynie przyczajony na czajkach przez dniewne porochy. Czasem skoczy nagle w górę i jeszcze

(1) Biblioteka Warsz. maj, 1847.

(2) Prostuję małe zboczenie młodego a dzielnego szkicownika, że w siczy mieszkali nieżonaci Kozacy; ślubem do tego obowiązywali się na całe życie, a za tem i za urlopami do żon jeździć nie mogli.

prędzej przykucnie do ziemi, jak gdyby chciał tylko ujrzeć, daleko tam jeszcze półksiężyc i meczety. Nareszcie zrywa się z krzykiem wojennym, lub przeciągłym gwizdem, i w nagłych, zwinnych, trudnych do podziwu skokach, doskonale wydaje napad na pohańca. Tu już oba tańczą, naśladując nagły napad, bitwę, rabunek i uciezkę... Znów na czajki! Płyną, płyną, pieśń wojenną woda niesie, smętną, dziką i radosną. To ze śmiechem w dłonie klaska: „piękna zdobycz; to dla Hanki! méj bohdanki!” albo z groźbą pięść wyciąga poza siebie: „to dla ciebie wraży synu!”

Ej! ha! ha! ha! hurra! ha!
Siczy, koli, riż wraha!”

Życie i zwyczaje żonatyh Kozaków i poddaństwa, czyli pospolitych ludzi w granicach Zaporozża zamieszkałych, niczém nie różniły się od małorossyjskich Kozaków; dlatego nie o nich mówić nie będę, bo są dobrze znajome z rozmaitych dzieł i mniejszych prac różnych naszych literatów, jakoto: Michała Grabowskiego, Antoniego Czajkowskiego, Izopolskiego i wielu pisarzy rossyjskich, szczególniej Bantysza Kamińskiego. Ale muszę jeszcze wspomnieć o jednej klasie ludzi na Zaporozżu, tojest o pastuchach.

Korż tak o nich rozpowiada: „Každy Kozak, szczególniej téż pospolity, np. tabunszczyk, skotar albo czaban, tojest: pasterz koni, rogatego bydła i owiec; nosił rzemienny pas przez ramię, zawieszał także przez plecy rzemienny haman (worek), wybijany stalowemi albo srebrnemi guzikami, sprzączkami i innemi błyskotkami. W nim chowali krzesiwo, krzemień i hupkę, a do pasa przywiązana wisiła fajka, zapas do szycia i tyżecznik. Igła służyła do naprawiania odzienia i ubrania na

konia, bo pastuchy zawsze jeździli konno, a łyżecznik do przechowania łyżki, bez której żaden Kozak nie mógł się obejść, jeżeli nie chciał się narazić na imię nieporządnego pastucha. Oto przykład na to: jeżeli czabanowi zechce się czasem pójść lub pojechać ze swojego do cudzego kosza (pastuszy namiot albo szałas na kołach), i jeżeli przyszedłszy tam, zastanie gospodarza przy obiedzie lub wieczery, to mówi: *Chlib da sil pany mołodcy*; a oni mu odpowiadają: *Imo ta swij a ty u porocha postij. Ni bratcy*, odpowiada gość, *dawajcie i mini misto*; wyjmuje łyżkę i sadowi się przy kotle, a czabani gospodarze wołają: *Wot Kozak dogadliwy! weczeraj bratczyku, weczeraj!* i dają mu najlepsze miejsce i przyjmują jak współbrata. A jeżeli się przytrafi, że nie ma łyżki i nie siada z niemi, to nietylko głodny odejdzie, ale jeszcze poniesie z sobą nazwisko *ogłucha*".

Czabani i nazwisko ich pochodzi od Tatarów; a byli oni bardzo cenieni na Zaporozżu, na niezmiernych stepach, gdzie stada nie miały innego schronienia krom sklepienia niebieskiego, a czaban inną chaty krom swojego kosza, czyli kibitki; bo to byli dzielni jeźdźcy i odważni stróże; bo codziennie prowadzili wojny z dzikimi wilkami, których tysiące kryło się po zeschniętych trawach i jarach; bo codziennie bili się z dzikszemi jeszcze Tatarami, hajdamakami, coto mieli sobie za największą sławę odbić stado cudze. Ale najzawziętym wrogiem czabana były żywioły, szczególnież zima, nagła i niespodziewana zimowa zamieć, od której całe stada i tabuny ginęły, a która czasem zagrzebywała w swoim zimnym i straszliwym całunie samego nawet nieszczęśliwego Kozaka. O nichto śpięwa pieśń:

Kotory pospizały,
To i w siczy zimowały.
A kotory nie pospizały,
To i w stepu propadały.
(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Wiązanie dla moich wnuków. Pierwiastki czytania jako zachęta do nauki, przez T. Dziekońskiego, b. dyrektora gimnazjum. Warszawa. 1849, w 12ce, str. 221.

Piśmiennictwo nasze, pod względem dzieł poświęconych nauce i rozrywkom dzieci, od czasu zjawienia się „Pamiętki po dobrej matce” przez Tańską, znaczne otrzymało rozwinięcie. Co rok wychodzą już to oryginalne, już tłumaczone książki dla młodocianego wieku, z większym lub mniejszym talentem, z większą lub mniejszą znajomością rzeczy napisane. Wrocław, zdaje się, był pierwszą do tego zachętą; lecz oprócz rycinek kolorowanych, oprócz niezręcznych tłumaczeń i naśladowań z francuzkiego albo też niemieckiego, cikliwych i nietrafnych, a częstokroć zupełnie nieodpowiednich usposobieniu i charakterowi naszych dzieci, nie wydał nic mającego rzeczywistą wartość. Natomiast Warszawa, produkująca stopy tłumaczeń francuzkich romansów, wydała też i pisarzy znakomitych talentem w dziedzinie historyi, nauk i sztuk pięknych; pisarzy poświęcających swe prace dzieciom, tym przyszłym członkom naszego towarzystwa. Między temi ostatniemi zaszczytne zajmują miejsce: Stanisław Jachowicz, którego bajki kilkakrotnego doczekały się wydania, Teofil Nowosielski, Dominik Puchalski, Żmichowska i inni.

P. Dziekoński, autor *Wiązania*, nie wstępuje w ich ślady pod względem formy, bo jak sam w przedmowie do przewodników młodzieży powiada, że chce tylko nauczyć dziecię czytać, co jest mozolną, ale przy dobrych chęciach nie tak trudną rzeczą, jak pospolicie głoszą. Dodaje zaraz potem: „Zaprawić, że *tak rzekę*, do czytania, doprowadzić młodego do tego punktu, iżby z upodobaniem brał książkę do ręki, iżby ją uważał za jeden z najważniejszych środków ukształcenia umysłowego, to jest trudniejsze nad wszelkie spodziewanie. Nie zapychałem kart (?) powiastkami, mówi dalej, bo pragnę zachęcić młodzież do czytania dzieł naukowych, pewny będąc, że *czytelników romansów nie zabraknie* (!). Nie chcę przez to ubliżać pisarzom romansów: *dobrzy* (!), mają swoje zasługi; ale niepodobna, aby zasady rozmaitych umiejętności dały się wtłoczyć w formę powieści, nawet poważnej historyi nie do twarzy zalotny strój romansowy, w jaki ją w ostatnich czasach powszechnie, *jakby na przekorę ubierano* (!?). Rozważny przewodnik młodzieży z tego com napomknął, *łatwo odgadnie*, dlaczego najrozmaitsze pomieściłem przedmioty, każdej niemal trąciłem nauki, porobiłem dzieciom obietnice, pisałem wiele i mało; wszakże w użyciu nietrudno skrócić lub rozszerzyć, w miarę potrzeby lub dogodności.”

Z tej więc przedmowy dowiedzieliśmy się, że romanse piszą już dla dzieci; że historia poważna wdziwała na siebie jakiś strój zalotny; nakoniec, że autor ma na celu zachęcenie poczynających czytać do dzieł naukowych. Z tego powodu rozdzielił swoją pracę na ośmnaście nauk. Pierwszy rozdział traktuje o świecie w zbyt krótkich wyrazach, i o ludziach, z którego dowiedzą się małoletni czytelnicy, że Cześ, jak był w Warszawie, widział człowieka zupełnie czarnego i że mu dziadek tłumaczy, iż ten czarny człowiek znajduje się dotąd w stolicy, a daleko, bardzo daleko od nas jest wielki kraj, w którym sami czarni ludzie mieszkają i nazywają się Murzynami albo Negrami. „Jest inny kraj, mówi dziadek, w którym ludzie nie są wprawdzie czarni jak Murzyni, ale też nie biali, jak my; są oni żółtawo-śniami,

ogorzali daleko mocniej jak my, kiedy się od słońca opalimy. Jest znówu inny kraj, w którym ludzie są czerwono-wniادی, jak wanna miedziana po wierzchu." Na tém się kończy pierwsza nauka; jój rozszerzenie, widoczna, wypada na karb przewodnika czyli nauczyciela.

Rozdział drugi zaczyna się od bajki Krasickiego o chłopcach i żabach. Ztąd ustęp o moralności i o zwierzętach, a najprzód o małpie i sposobie jój łowienia; ztąd kilkowerszowe opowiadanie o kuglarzach, którzy kupują małpy dla pokazywania ich za pieniądze i uczą je rozmaitych sztuk. Na tém koniec! Znowu wyraźnie liczono dalsze objaśnienie na karb nauczyciela.

O wartości pieniędzy traktuje rozdział trzeci w podobny, jak poprzednie, sposób. Potém Józio mówi bajkę: „Bił ojciec dziecię różgą, że się nie uczyło”, a dziadek, po jój ukończeniu opowiada o słoniu, którego widział w Berlinie, którego tam z wielą innemi zwierzętami przyprowadził jakiś Francuz. To opowiadanie o słoniu i o Francuzie zajmuje trzy karty. Nowa praca dla nauczyciela!

Dla zachowania w czytaniu należytego tonu głosu, dziadek w nauce czwartej mówi o znakach pisarskich i razem opowiada o mądrości bozkiej bardzo pocieszną anegdotę. Rozdział piąty traktuje o strefach gorących; ztąd bardzo naturalnie jest mowa o lwie, królu zwierząt i znowu historia o wyższości człowieka w kole stworzeń, w następujących wyrazach:

„Stary lew, niegdyś postrach zwierząt, *król pustyni*, wiekiem przyciśniony, stracił dawną siłę i zwinność: już ledwie potrafił wywlec się z jaskini, którą sobie za mieszkanie obrał i żył tylko z tego, co mu syn młody (?) codziennie dostarczał. Syn był w sile wieku, zwinny, śmiały, krzepki. Ojciec bojąc się by go zbyt zapal nie uniósł i o szwank kiedykolwiek nie przyprowadził, rozmaite dawał mu przestrogi, skoro się na polowanie wybierał; między innemi co dzień prawie mu powtarzał: „Nie wdawaj się w walkę z człowiekiem.”

„Z początku lewek słuchał przestrogi ojca, z mocnym postanowieniem stosowania się do niój; gdy wszakże raz udało

się mu pokonać młodego słonia, wyobraził sobie, że już i człowieka zwalczyć potrafi, że stary ojciec pozbawiony siły, stracił także i odwagę, i dlatego tak trwożliwe daje mu rady. Jednego dnia wyszedłszy z jaskini, nie nie mówiąc ojcu, postanowił szukać człowieka, stoczyć z nim walkę, by sił swoich doświadczyć.”

„Wychowany w pustyni nie widział człowieka, nie miał o nim żadnego wyobrażenia: zbliżywszy się więc do wsi, gdy spotkał wołu w pługu, zapytał go: „Czy ty jesteś człowiekiem?” Wół odpowiedział: „Nie, ale ten jest człowiek, który mię wprzągnął w jarzmo i poszedł po mego towarzysza, aby nami orał”. A więc ten człowiek musi być potężnym, kiedy wołu, silnemi rogami zbrojnego, do pługu wprząga i do ciężkiej go pracy zmusza; tak sobie myślał lewek, i nieustraszony z tém większą ciekawością postępował dalej”.

„Osiodłany dzielny koń stał przywiązany do słupa, niecierpliwie gryząc żelazne wędzidło i bijąc kopytem w ziemię; lewek zbliżywszy się do niego, rzecze: „Czy ty jesteś człowiekiem”? Na to koń: „Nie ja, ale ten, co popręgiem ścisnął mi boki, by umocować siodło na grzbiecie, w pysk twarde włożył wędzidło i wkrótce wsiądzie na mnie, godząc na dzikie zwierzęta”. Tu znowu pomyślał lew: co to musi być za zwinna i czynna istota ten człowiek, kiedy tak ognistego zwierza, jakim jest koń, okiełznać potrafił i do posłuszeństwa zmusił”.

„Gdyby to nie był młody i zapalony lew, byłby zapewne przezornością wiedziony, zaniechał dalszych poszukiwań i ufał przestrogom ojca; lecz w naszym lewku tém większa zawrzała ciekawość i koniecznie wynaleźć człowieka, z nim się spotkać postanowił, myśląc sobie, że choćby to był jak słoń ogromny, toć przecie z nim walczyć potrafi”.

„Wśród takowego uniesienia w potężnych susach pędząc, dostał się do lasu. Tu widzi małe, nikczemne stworzenie, kawałem ostrego żelaza, na kołku osadzonem, podcinające potężną sosnę. Stał i zdziwiony myśli: Ot i to zwierzę dowcipny, nie dał mu Pan Bóg zębów dość silnych, żeby

przegryzł drzewo, ani pazurów żeby je wykopał, on sobie poradził i ostrém narzędziem tnie lepiej niżbym ja potrafił mojami silnemi zębami. Żeby to wszakże miał być człowiek, to mu nawet przez myśl nie przeszło. Bo i któżby przypuścił, że tak słaba istota potrafiła ująć wołu za rogi i włożyć mu jarzmo na kark, albo wsiąść na grzbiet ognistego rumaka? Już nasz lewek w dalszą zabierał się drogę, gdy go zdjęta ciekawość, coby to była za istota, która tak potężne drzewo podcina. W téj chwili runęło drzewo, łoskot do grzmotu podobny echo po całym rozniosło lesie; lew tém bardziej zdziwiony pyta się: „Kto ty jesteś, co tak przemyślnie ogromną na ziemię powaliłeś sosnę?” „Jestem człowiek, odpowiedział zapytany”.

„Na te słowa odskoczył lew, nie mógł pojąć, oczom swoim nie wierzył, aby ten, którego z takim zapalem szukał, o którym tak dziwaczne tworzył sobie wyobrażenie, miał być tak niedołężnym i słabym! Po chwili zadumania rzecze lew: „A więc to ty jesteś ten człowiek, którego ja szukam, z którym sił swoich doświadczyć pragnę? musisz więc ze mną walczyć, stawaj natychmiast do boju!” — „Jakież z ciebie śmiaćki? Poczekaj, zaraz się sprobujemy, pierwój wszakże pomożesz mi rozłupać to drzewo.” To mówiąc wbitemi klinami nadszczepał kloc, a siekierą trzymając silnie, woła na lwa: włoż w szparę łapy i ciągnij silnie, abyśmy kloc rozłupali, a potem walczyć będziemy. Usłuchał lew rozkazu, głęboko między dwa łapy zapuścił swoje łapy, a wtém człowiek wymknął siekierę. Ścisnął kloc łapy, lew ryknął z bólu, ale już ich wydobyć nie mógł. Rozśmiał się człowiek i rzekł z przekąsem: „Poczekaj tu zuchu, ja tymczasem pójdę do domu, sproszę sąsiadów i włożymy ci na paszczę żelazny kaganiec, takżeż pęta na nogi, a potem nauczymy cię chodzić według naszej woli”.

„Odszedł człowiek, by się przysposobić do spełnienia obietnicy; lew tymczasem bólem i wstydem do żywego przejęty, póty się rzucał, szamotał, póki przecież łap nie wyrwał, ale odarte były ze skóry i bez pazurów. Wydobywszy się z łapki, już nie myślał o walce z człowiekiem, ale czém-

prędzej wracał do jaskini ojca, aby mu pokazać skutki swego niedowierzania.”

Przytoczyliśmy tę anegdotę dla pokazania, jak autor *Więzania* umie dobrze opowiadać, jak włada językiem i jak nareszcie pisze pięknym i czystym stylem. Takim samym sposobem prowadzi rzecz o wędrówkach po obczyźnie, o Wezuwiuszu, Etnie, o stronach niebieskich; następnie o tygrysie, panterze, lamparcie i o różnych rodzajach zwierząt. Dalej o myszach, miarach, o wilku, hyenie, niedźwiedziu. Potem przechodzi do pięciu części świata i rozwódzi się nad giraffą, zebra, wielbłądem, indykiem. Tu przeskakuje do określenia wag i znowu opowiada o łabędziu, nietoperzu, orle, papudze, dudku i bocianie. Następują: pory roku, księżyc, miary czasu, wieloryb, *flamingo* (czemu nie czerwonak?), grzechotnik, *boa* (czemu nie połoz?). Od tego węża raptowne przejście do bogów Grecyi i krokodyła. Potem nauka o posłuszeństwie, potem anegdota, potem o raku morskim, żółtciu, ananasie i o pożytku z drzew; nakoniec o kruszcach i o drogich kamieniach.

Ztakięto mozajki składa się całe dziełko, zbyt krótkie, jeżeli wyrzucimy z niego wszystkie anegdoty i opowiadania powtarzane, słyszane, znajome nawet z Mejdingera, lub nowo utworzone; dostateczne, jeżeli weźmiemy na uwagę wiek, dla którego *Więzanie* jest przeznaczone. Ten brak systemu dałby się nawet wytłumaczyć usposobieniem małoletnich czytelników, których umysł pragnie zawsze czegoś nowego, gdyby autor, oprócz loicznego toku rozmowy, zachował także samo stanowisko w uporządkowaniu przedmiotów, wykładanych podług jednej jakiegokolwiek nauki. Tu bowiem historia naturalna pomieszana jest z geografią astronomiczną, a po astronomii znowu następuje historia naturalna, po niej zaś mitologia, a po ostatniej jeszcze historia naturalna. Lecz obok tych usterków nie możemy się wstrzymać od pochwalenia w p. Dziekońskim uroczego poglądu na świat cały, tak mądrze stworzony, poglądu, z takim przekonaniem wyrażonego, że ta jedna myśl, jaśniejąca i ożywiająca całe dziełko, może zachęcić młodo-

ciane umysły do poświęcenia się naukom. Co jeszcze bardziej zasługuje na pochwałę, to owo zamiłowanie kraju, owo wpajanie w dziecinne serca przywiązania do tego wszystkiego, co jest blisko nas, co jest swojskie.

„Wiązanie dla wnuków”, wyszło z zakładu p. Strąbskiego, na pięknym welinowym papierze, i pismem czystym, wyraźnym i kształtnym, bardzo stosownym dla poczynających czytać dzieci, odbite zostało. Nadto, ozdobione jest dwudziesto czterema niezłemi rycinami: (1. księżyc, 2. człowiek, 3. małpa, 4. słoń, 5. lew, 6. Etna, 7. tygrys, 8. hyena, 9. niedźwiedź, 10. jeleniopart, 11. zebra, 12. indyk, 13. łąbędź, 14. nietoperz, 15. orzeł, 16. papuga, 17. dudek, 18. bocian, 19. wieloryb, 20. flamingo, 21. grzechotnik, 22. krokodyl, 23. rak morski, 24. ananas). Zresztą podobne książki poświęcają się zwykle czytelnikom, którzy z takim zapalem i tak długo nad nimi pracują, dopóki ich nie podrą w kawałki. W takim razie „Wiązanie” może się podobnego losu spodziewać, i cel jego pod wielorakim względem osiągnięty zostanie.

*Wykład praktyczny chorób zębów i ich leczenia, przez
Jana Anns. Warszawa, 1849, w 8ce, str. 51.*

Część praktyczna i teoretyczna dentystyki, na niskim stopniu rozwinięcia zostaje jeszcze za granicą, gdzie wiele już dzieł w tym przedmiocie wydano; tém bardziej u nas, gdzie przed niedawnymi ledwo czasy, zaczęto wzbogacać krajowe piśmiennictwo podobnemi utworami. Dla zaradzenia temu brakowi p. Jan Anns, wykładający praktycznie dentystykę w tutejszej szkole felczerskiej, korzystając z rad nauczyciela téjże szkoły, Rosseta, wydał teoretyczny wykład chorób zębów i ich leczenia, ze stanowiska czysto-praktycznego. Dziełko to, użyteczne dla uczniów pomienionej szkoły, stanie się dla felczyków, szczególnie na prowincyi i dla ogółu równie użytecznym i potrzebnym. Nie ma w niem

wielu nowych pomysłów, którychbyśmy nawet z Huffelanda nie znali; patologia i terapia skróślona treściwie, lecz natomiast część higieniczna i operacyjna, o ile krótkość pisemka dozwalała, obrobiona jest dokładnie. Rozdział pierwszy zawiera w sobie wykład o szczękach i szczegółowy ich rozbiór, podział kości szczękowych na górne i dolne, nareszcie o stanie dolno-szczękowym: następny o zębach górnych i dolnych, mlecznych i trwałych, oraz ich naturze; dalej o zębach krających, kłach, policzkowych lub twarzowych, trzonowych lub mielących, tudzież podział zęba na koronę, szyję, korzeń, kanał zębowy, naczynia krwionośne i nerwy. Przecież rozdział trzeci, wykładający dyetetykę jest tak ważny, że dla powszechnego użytku kilka ustępów z niego przytaczamy:

„Jeżeli zęby, mówi autor, któremi natura dla użytku i ozdoby obdarza człowieka, mają swemu odpowiadać celowi, staraniem naszym powinno być *takowe*, o ile być może najdłużej w zdrowym stanie utrzymać. Główną zasadą zaś utrzymania zębów jest utrzymanie *tychże* ciągle w należytej czystości. Zęby nowo wyrzynające się, są po większej części żółte, a ich powłoka (emalia) nie posiada dostatecznej jeszcze trwałości; dlatego uważają często to zafarbowanie zębów u dzieci, które z niedoskonałego wykształcenia *tychże* pochodzi, za chorobliwe i uciekają się do rozmaitych środków czyszczących, które działając tylko mechanicznie, słabą powłokę ściągają i dalszemu psuciu się zębów dają początek”.

„Aż do piętnastego roku życia, strzedz się trzeba używania wszelkich proszków czyszczących, niemniej ostrych szczoteczek; natomiast miękką tylko szczoteczką, oraz zwyczajną magnezją zęby czyścić należy. Samo się przez się rozumie, że nie tylko przednie widzialne zęby czyścić należy, ale wszystkie i ze wszystkich stron; z powodu niebaczności w tym względzie, często pierwsze trzonowe zęby, wkrótce po wyrznięciu się pruchnieją, a to z tego powodu, iż pokarmy w rowkach na wierzchu korony znajdujących się, osiadają, *takowe* przez niedokładne czyszczenie zębów w zgniliznę przechodzą, i tym sposobem stają się psucia *tychże* powodem.

„Zwykle czyszczenie zębów w ranniej dnia porze się odbywa; gdy jednakże bliżej tę rzecz rozważymy, przekonamy się, że resztki pokarmów przez dzień spożytych, częstokroć do zębów *przytwierdzone*, przez noc tamże pozostają i bardzo łatwo przez tak długi przeciąg czasu rozkład *tychże* nastąpić może; z tego powodu daleko lepiej jest wieczorem przed spoczynkiem, wyczyszczeniem dokładnym zębów się zająć. Nazajutrz wystarczy tylko wyplukanie oraz wyszczotkowanie zębów za pomocą czystej wody. Płukanie ust po każdym jedzeniu nadzwyczaj wielki wpływ na utrzymanie zębów wywiera. Co do temperatury wody, mającej być w tym celu użytą, najlepsza jest ta woda, która przez kilka godzin w pokoju stała; gdyż cieplej wody użycie pieści zbyt nie zęby, które potem zimniejszej temperatury zniesć nie będą mogły; w ogólności wiele w tym względzie od przyzwyczajenia zależy”.

„W szesnastym lub siedemnastym roku życia, powłoka zębów nabrała już tej trwałości, że pozwala przejść do łagodnie czyszczących proszków, z użycia których wielkich i rozmaitych skutków niektórzy się spodziewają, a proszek użyty, tylko czystość zębom powrócić jest zdolny”. Tu następują cztery przepisy używania proszków i skład ich wymieniony.

„Co się tycze użycia szczoteczek, mówi dalej autor, trzeba się starać twardość ich tak zastosować, żeby ani zębów nie psuły, ani też nie kaleczyły dziąseł; czucie samo doskonałą będzie w tym względzie wskazówką. Ponieważ często się zdarza, iż po użyciu potraw osobliwie mięsnych, cząstki *takowych* pomiędzy zębami pozostają, które za pomocą szczoteczki oddalone być nie mogą, użycie zatem zębodłubów wcale nie jest do odrzucenia. Co do materiału, z którego sporządzone być mają, najlepsze z gęsiego pióra, gdyż dość są cienkie, aby pomiędzy zęby się dostały, dość miękkie, a tém samym *tychże* nieszkodliwe, nareszcie dość giętkie i nie tak kruche jak drewniane, których szczątki po ułamanju niekiedy pomiędzy zębami pozostają. Przeciwnie strzedz się należy używania w tym celu nożów, grabek lub innych

jakich metalowych przedmiotów, jak niemniej długiego, bezpotrzebnego i tylko dla zabawy trzymania zębodłubów w ustach. Oto jest jak najkrótszy sposób utrzymania zdrowych zębów i dziąseł w dobrym stanie. Bledo-różowy kolor, moc i sprężystość dziąseł są oznakami zdrowego tychże stanu; kto takowe posiada, nie potrzebuje innych środków do płukania, jak czystej zimnej wody. Gdyby kto nie chciał *téjże* czystej używać, może do niej albo nieco wody kolońskiej w dobrym gatunku, lub téż w tym celu w aptecce przyrządzonej np. przez Lavarende przepisanej wody dodać". Następnie wymienia rodzaj wody do płukania zębów i tynktury służących albo do oczyszczania zębów, albo do leczenia jakiego stanu ich chorobliwego. Dalej idzie rzecz o czyszczeniu zębów za pomocą narzędzi, o piłowaniu zębów (*limatura dentium*), o ich zapełnieniu lub plombowaniu (*obturbatio dentium*) i o korzyściach, jakie z tego ostatniego środka wypływają.

Rozdział czwarty, zawierający patologią, z jasnością i dokładnością napisany. Treścią jego: złamanie korony zęba, gangrena i pruchnienie zębów, osad kamienny, zapalenie ganglionu zębów (*inflammatio ganglionis*), zapalenie przykostnych korzeni zębów (*inflammatio periostii radicum dentium*), chwieianie się zębów (*vacillatio*), ich związywanie (*ligatio*), zwichnienie (*luxatio dentium*), nakoniec o fluksyi. „Fluksya, mówi autor, nie jest właściwie cierpieniem zębów, lecz tylko cierpienie twarzy, i dlatego ważną rzeczą jest odróżnić fluksyę od bolu zębów, ażeby napróżno ich nie wrywać. Fluksyą nazywają opuchnięcie twarzy, niebolące, białe, błyszczące, dochodzące czasami do powiek, które przeszkadza mówieniu, łykaniu i sprawia choremu nieprzyjemne uczucie. Cierpienie to jest prawie zawsze reumatycznej natury, a przyczyną jego, przeziębienie. Ponieważ fluksya pochodzi zawsze od wstrzymanego potu, najpierwój trzeba się starać o przywrócenie *onegoż*, do czego używają się środki poty sprawujące: *infl. florum sambuci* (bzowy kwiat), *fl. ulvae* i t. p., przytém trzeba obejrzyć stan zębów; jeżeli są zęby chwiejące się, próchniejące, trzeba je wyjąć, co pomaga

do skrócenia cierpienia". Tyle tylko o fluksyi; zbyt krótko, a więc niedostatecznie.

O operacjach wyjmowania zębów, wskazania wymagające wyjęcia zębów, o przepisach ogólnych przed, podczas i po wykonaniu operacji i okolicznościach, na jakie przed operacją trzeba zwrócić uwagę, traktuje rozdział piąty. Szósty i ostatni narzędziom i ich opisaniu poświęcony. „Historya dentystyki, są słowa autora, od swego początku aż do końca przedstawia nam niezliczone mnóstwo narzędzi, za których niedostatecznością mówi ich sama ilość; z drugiey strony nie zabrakło na dentystach, którzy przypisywali jednemu lub drugiemu narzędziu własność wyłączną do wszelkich operacyj, wykonywanych na zębach; nie podlega wątpliwości, że (tylko) niewiadomość i zarozumiałość może coś podobnego utrzymywać. W nowszych dopiero czasach nauka leczenia chorób zębów przeszła w ręce ludzi świadomych i ukształconych, którzy ciemny labirynt nauki oświecili. Dlatego niezliczony zapas narzędzi starożytnych sprowadzony został do liczby mniejszej, z których główne są: 1) cęgi; 2) lewarek; 3) klucz angielski; 4) wypychacz albo kozia stopka”.

P. Anns w taki sposób wykazawszy zdrowy na naukę dentystyki pogląd, opisuje ściśle każde z powyższych narzędzi, i rozdział ten, najobszerniejszy z całej broszury, dopełnia jeszcze objaśnieniami i uwagami, dla operatorów nieodbicie potrzebnymi. Leczenie zębów wymaga zaiste obszerniejszego traktatu jak obecny, lecz ze względu, że dziełko p. Anns swoją jasnością i krótkością może być dostępne dla wszystkich, przeto autorowi zawsze należy się wdzięczność w imieniu cierpiących. Oby to stało się dla niego bodźcem w nieustawianiu w pracy i wzbogacaniu nauki nowemi doświadczeniami nad chorobą tak okropnie rozszerzoną, a na którą, pomimo tylu i tylkokrotnych usiłowań, jeszcze nie wynaleziono prawdziwie skutecznego lekarstwa.

J. R. Szymański,



ROZMAITOŚCI.

Starożytne rękopisma i książki w Samarkandzie.

Pan Khatkadur Howanizyanin, Armeńczyk rodem z Ispahanu, znający doskonale, oprócz swego rodowitego, języki: arabski, perski, syryjski i awghański, przez odbywanie częstych podróży pomiędzy temi narodami, tak dalece obeznał się z ich obyczajami, poznał ich literaturę i zwyczaje, przejął ich ruchy, postać, sposób noszenia głowy, witania a nawet poruszenia ich rąk, oczów i ust, że fanatyczne te ludy nie mogły nigdy odgadnąć w nim chrześcianina. P. Khatkadur przed ośmiu laty (około 1836 r.) przybył do Kalkuty, gdzie objął służbę w Kompanii Indyjskiej. Później przedsięwziął podróż przez Afghanistan i zdołał dostać się do Samarkandy. Odważny ten podróżnik, nie opowiada celu swojej niebezpiecznej wyprawy do niegościnnego kraju, gdzie wstęp każdemu cudzoziemcowi jest wzbroniony. Zapewnie, jak się domyślają, towarzystwo uczonych Ormian w Wenecyi, Wiedniu, Rzymie i Moskwie od stu lat istniejące, i z zapalem przykładające się do poznania literatury i zbadania języka, który Noe zostawił w spuściznie armeńskiemu narodowi, i które od dawnego czasu wiedziało z prywatnych doniesień, że w Samarkandzie znajduje się nader bogaty zbiór starożytnych książek, a szczególniej armeńskich, że te księgi zamknięte są w niedostępnych

piwnicach tamiecznego zamku: polecito p. Khatkadurowi przekonać się o ile można o rzeczywistości téj pogłoski, czego on z jak największą zręcznością i sumiennością dopełnił.

P. Khatkadur przywdział na siebie białą odzież jaką noszą szeiki, zawiesił na szyi 99 trójgraniastych i sześciograniastych amuletów, pierś okrył drogiemi czarodziejskiemi kamieniami, a na palce włożył mnóstwo pierścieni okrytych kabalistycznemi napisami, i rozpoczął podróż przechodząc miasta i wsie wolnym i poważnym krokiem, nie zaniedbując oddania hołdu na wszystkich pobożnych stacyach przed grobami osób wsławionych pobożnością, wzywając Mahometa i Imam-Ali, i przytaczając wyjątki z koranu. Tym sposobem cudownie zamierzony cel osiągnął, i w końcu pierwszego roku przybył do Samarkandy, gdzie jak najlepiej przyjęty został przez uczonych i ministrów; ponieważ wszyscy szeikowie w miejscach, przez które przechodził, wydawali mu z największą chęcią i gotowością jak najpochlebniejsze listy zalecające.

Lecz Khatkadur myślał zawsze o swoim posłannictwie; chciał on koniecznie zobaczyć ogromny skład *rekopisów* i *książek*, które Tamerlan ze wszystkich stron pozgromadzał. Khatkadur dociekł, że były one w samarkandzkim zamku strzeżone z największą troskliwością i ostrożnością, że nikomu nie było wolno wejść do ich składu bez wyraźnego zezwolenia ministrów, bardzo trudnego do otrzymania; ci nawet, jak biegały pogłoski pomiędzy ludem, co wstępowali do owego zamku, albo pomarli, albo pomieszanu ulegli. P. Khatkadur nie zważając na te wieści, udał się z prośbą do ministrów; ci starali się go odwieść od tego zamiaru, upewnianiem, że w tém tajemniczym miejscu słychać dziwny zgiełk, okropne walki pomiędzy aniołami i djabłami, z których pierwsi strzegą ksiąg świętych a drudzy ksiąg niewiernych; że djabłów daleko większa jest liczba, i że nieochybne z ich strony czeka go niebezpieczeństwo. P. Khatkadur odpowiedział, że przy pomocy cudownych amuletów, które przyniósł z sobą z Mekki, nie boi się za-

dnego w świecie diabła. Otrzymawszy nakoniec żądane pozwolenie, w asystencyi kilku urzędników, których mu ministrowie przydali i którym był powierzony rozkaz do straży zamkowej, udał się do owego tyle straszego miejsca. Wchodząc to na górę, to spuszczając się na dół, przez nierówne i zawałone ścieżki, przez tysiące zakrętów; przebywszy nader obszerne komnaty, zamieszkałe przez mnóstwo ogromnych nietoperzów, których przeraźliwe krzyki fanatycznym towarzyszą odważnego podróżnika zdały się głosami diabłów; przyszedł nareszcie do drzwi piwnicy, w której złożone były książki. Drzwi były zamknięte na ogromne zamki i kłódki. Tutaj p. Khatkadur rozłożywszy się na ziemi, odczytał „*Namaz*”. Straż i urzędnicy oddali mu klucze, mówiąc: „Jeżeli Pan Bóg cię nie opuści, możesz odemknąć drzwi i wejść, my zaś oddalimy się, a za godzinę powrócimy wziąć cię ztąd żywego lub umarłego”.

Dzięki zręcznemu działaniu p. Khatkadur, zdołał pokonać trudności, a nie tracąc czasu, otworzył drzwi z ogromnych dębowych bali i z wielkiem napięciem potrafił o tyle ich uchylić, że mógł się wsunąć wewnątrz piwnicy. Wchodzi; jakż widok! Tysiące książek rozmaitej wielkości: to pokładzone bez porządku jedna na drugiej, to rozrzucone tu i owdzie, okryte grubą warstwą kurzu; ciemna piwnica oświetlona tylko przez dwa niewielkie otwory. Dla rozpoznania tych skarbów, potrzebaby długiego lat szeregu, on zaś miał tylko pozwoloną sobie jedną godzinę. Zbliża się do księgi mającej stopę grubości, sześć długości, a 4 stopy szerokości; chce ją otworzyć, lecz okładka, a raczej spruchniała deszczółka rozsypuje się w palcach. Książka ta składała się z grubych arkuszy pargaminu; pismo było greckie, a tytuł napisany po armeńsku: „*Historja starożytnych Bohatów wszystkich krajów przez najwyższych kapłanów świątyni Dyany i Marsa*”. P. Khatkadur przerzucał wiele kart i wszędzie widział jeden i ten sam charakter pisma. Chciał on unieść tę księgę ażeby zobaczyć inne, pod nią leżące, lecz że była nadzwyczaj ciężka, musiał odstąpić zamiaru. Udał się więc w inną stronę: otworzył książ-

kę, która mu w ręce wpadła; byłoto syryjskie dzieło pisanie po armeńsku, bez tytułu, traktujące o historycznych przedmiotach. Bierze inną książkę: jestto rękopis georgijski. Obok niego leżało znowu grubym armeńskim charakterem pisane dzieło „Elizeusza” (Elysée), autora historyi, którą w r. 1844 wytłumaczono we Francyi. P. Khatkadur otworzywszy inną grubą księgę, widzi w niej armeńską biblią. Dalej w nowój księdze spostrzega poezye po arabsku. W innych dwóch czy trzech książkach poznaje dzieła greckie, autorów wcale mu nieznanych. Nareszcie bierze inny tom: sąto dzieła Orygenesesa. Zaledwie przejrzał w ten sposób 20 do 22 książek, cząstkę nie nieznaczącą, kroplę w morzu, w stosunku z bogactwem tego nieoszacowanego skarbu starożytnój literatury, kiedy usłyszał rozlegający się zewnątrz głos osób przywołujących go. P. Khatkadur z wielkim żalem zamyka książkę, którą tylko co otworzył, i wypada z piwnicy wołając: „Wody! przynieście jak najprędzej wody, aby umyć ręce, ponieważ dotknąłem się ksiąg niewiernych. Nie lękajcie się zbliżyć i drzwi zamknąć—rzekł potem do straży—albowiem odpedziłem wszystkich djabłów na pustynię, aż za Gog i Magog”.

P. Khatkadur powrócił do swoich przyjaciół i udawał, że żałuje swego postępkę, ponieważ, jak mówił, splugawiłem się dotykając książek nieczystych i to bez nagrody, albowiem nie znalazłem rękopismu Mahometa, jedynego celu moich poszukiwań. Bez wątpienia, mówił on dalej do fanatycznych swoich słuchaczów, którzy wcale o tém nie powątpiewali „aniołowie przenieśli go do raję”.

Wkrótce potem P. Khatkadur opuścił Samarkandę, i przez Persyę i Palestynę przybył do Alexandryi, zkąd udawszy się do Konstantynopola, odwiedził P. Hohannes Dadian, dyrektora cesarskiej fabryki prochu, którego patryotyczne cnoty i gienialne zasługi w zawodzie umiejętności mechanicznych, znane są całemu państwu otomańskiemu i ocenione przez Anglików i Francuzów. P. Dadian zaprosił p. Khatkadura na kilka dni do swojego wiejskiego

domu, aby w wolnym czasie mieć przyjemność słuchać opowiadań tyle zajmującego i doświadczonego wędrowca. P. Khatkadur, pomiędzy wielu ciekawemi przygodami jakich doświadczył w częstych i dalekich podróżach, opowiadał w gronie liczego i znakomitego towarzystwa i o tym fortelu w Samarkandzie, dopiero co opisanym.

P. Hohannes Dadian obdarzony wielu szczęśliwemi przymiotami, pomiędzy innemi wielką pamięcią i nieustanną żądzą pomnażania swoich wiadomości, w czasie podróży do Francyi w tym roku (zapewne w 1843), opowiadał nam wyżej przytoczone szczegóły; za ich prawdziwość i istotność możemy ręczyć z całą sumiennością.

(Wyjęto dosłownie z francuzkiego: *Nouvelles annales des voyages et des sciences géographiques. Cinquième Série T. XV, fol. 364 — 368, 1848 r.*, a tam z przypisków księdza opata Grzegorza Karabagy Garabed, znajdujących się przy dziele przez niego na francuzki język przetłumaczonym: *Historja Armeńska przez Elisée*, wydrukowana w Paryżu w 1844 r., w 8ce, str. 349).

J. M.

O droncie, samotniku i o urojonym ptaku nazareńskim.

W Bibliotece Warsz. tomie IV z r. 1845, od str. 469, podaliśmy o tych wyginionych ptakach wiadomość, czerpaną ze wszystkich źródeł, jakie nam wtedy nastreczyć się mogły. Akademik petersburski Hamel, tymże zajmawszy się przedmiotem, z całą ciekawością badacza zanurzył się w te mętne źródła, więcj ich jeszcze wykrył, i wypadki swoich poszukiwań ogłosił w *Bulletin de la classe physico-mathématique de St. Pétersbourg*; najciekawszy ciąg w nr. 149 i 150, co umieszczamy w skróceniu, dla dopełnienia niejako dawniejszj pracy naszj.

Podług Blainvilla, ptaki które Vasco de Gama w jednej zatoce w Angra de San Bras widział, były drontami; ale po-

dług autora zatoka ta nie należy do wyspy Maurycyusza, lecz do stałego lądu Afryki. W przekładzie angielskim podróży Gamy przez Lichfielda, są one już *Stares* (szpaki, *sturni vulgares*), już *Solitarii* nazwane; Hottentoci nazywali je *Sotilicari*.

Solitarius, podług Greensa *new general Collection of Voyages and Travels*, ma wzrost gęsi, ale skrzydła jego są jak u niedoperza; w temże samém miejscu mówi Green o *Stares* (szpakach), które dochodzą wielkości kaczki, wrzeszczą głosem takim jak osły i skrzydła bez piór mają.

Carre, w 1699, pierwszą podaje wiadomość o ptaku, który się znajduje na wyspie Mascarenhas, terazniejszej Bourbon, i którego on samotnikiem (*Solitarius*) nazywa; lecz i dawniejsi podróżni, przypadkowo na tę wyspę wyrzuceni, wspominają o ptaku, który jest bardzo tłusty, który ma mieć wielkość kalekuckiego koguta, lecz tylko małe, niezdatne do latania skrzydła.

Carré opisuje samotnika wyspy Bourbon, jako ptaka podobnego kalekuckiemu kogutowi, jednak na wyższych nogach; piękne jego upierzenie wpada według niego, w żółtawe; jego mięso jest bardzo smaczne; dwa takie ptaki, które Ludwikowi XIVmu na podarunek dać chciano, zdechły podczas drogi.

Z tym opisem Carre'go zgadzają się podania jakiegoś pana D. B. który odwiedzał wyspę Bourbon, gdy na niej de la Haye był gubernatorem. Samotnik, podług niego, ma mieć wzrost wielkiej gęsi i białawe upierzenie; końce skrzydeł i ogona są podług niego czarne; ogon podobny strusiemu, szyja jest długa, dziób jak u bekasów tylko większy, nogi i palce jak u kur kalekuckich. Łapano ptaka w biegu, bo nieco tylko mógł latać.

Franciszek Leguat który przez dwa lata na wyspie Rodriguez mieszkał, donosi o tamecznym ptaku którego także Samotnikiem nazywa; samiec ma być podług niego szary lub brunatny, samica płowa lub brunatna; ostatnia ma mieć rodzaj brunatnej przepaski wpoprzek dzioba przy jego podsta-

wie. Samica ma oprócz tego wole naprzód występujące, ze dwiema wypukłościami. Autor sądzi z rysunku Leguata, że to rozdzielone wole było i u samca. Dziób taki jak u kalekuckiego koguta; szyja i nogi są dłuższe niż u rzeczzonego ptaka. Piórka gęsto opierzonych udów są muszlowate; oko jest czarne i żywe; część tylna ciała jak u konia, prawie bez ogona, piórami tylko okryta; skrzydła są za małe, ażeby zdołały 45 funtów ważącego ptaka unieść; służą mu do obrony i do regulowania poruszeń; na głowie nie ma ani grzebienia, ani czuba.

Samotnik Leguata (*Didus solitarius*), (który czy jest to samo co *Solitarius* na wyspie Mascarenhas czyli Bourbon znaleziony, zdaje się być autorowi niedowiedzioném jeszcze), miał być na pamiątkę astronoma Pingré, który w 1761 przechodzenie Wenus na wyspie Rodriguez uważał, na karcie niebios zamieszczony; ale przez omyłkę, zamiast temu krajowemu ptakowi, cześć mu przyznana, dostała się małemu, ledwie kilka cali wielkości mającemu drozdowi (*Turdus solitarius*).

Około w sto lat po Waskonie de Gama, Hollendrzy pod przewodnictwem Korneliusza Houtman, odwiedzili zatokę przez Portugalczyków Angra de San Braz nazwaną, i na jednej wyspie w téjże zatoce widzieli mnóstwo ptaków wielkości małej gęsi, które zamiast skrzydeł miały pletwy do pływania, i które *Pinguyones* nazwali. Ptaki te, które na sto lat przedtém zwały się u Hottentotów *Sotilicari*, i z których Lichfield szpaki i *Solitarii* czyni, Thompson zaś i Blainville opisują je jako dronty, są więc nie czém inném tylko bezłotkami (*Aptenodytes*). Rzeczona zatoka stałego lądu Afryki, nazywa się teraz zatoką muszlową (Mossel-bay), a wyspa w niej leżąca, wcale nie jest wyspą Maurycyusza.

W czasie drugiej holenderskiej wyprawy, w r. 1598, okręt wiceadmirała Wybrand von Warwyck wyrzucony był na wyspę, która na kartach portugalskich Ilha do Cirne, a u Holendrów Mauritius, zatoka zaś w której leżała, zatoką Warwycka nazwana była. Holendrzy wylądowawszy na tę wyspę, znaleźli na niej, oprócz mnóstwa wielkich żółwiów, rozma-

ite oswojone ptaki, które się rękami chwycić dawały. Po między temi ptakami, które się najwięcej z papug i turkawek składały, był jeden wielkości łabędzia, którego głowę okapturzała skóra; który zamiast skrzydeł miał trzy lub cztery czarne pióra, a zamiast ogona cztery lub pięć piór kędzierzawych: ptaki były koloru szarego; ich mięso zdało się po turkawkach ludziom okrętowym źle smakować, przeto ptaka nazwali *Walghvogel*, co znaczy odrazę wzbudzający. Ten *Walghvogel* jest tedy rzeczywistym drontem.

Podług Buffona, *Walghvogel* był przez Portugalczyków nazwany *dodo*; na wyspie Maurycyusza, miał on, podług niego, początkowo nazywać się *drontem*; ale Portugalczycy nie wzmiankują nigdzie o takim ptaku, a wyspa Maurycyusza, gdy ją Holendrzy zwiedzali, była niezamieszkałą; co do obu dwu przeto podać myli się Buffon. To, co de Brys pod nazwiskiem *dodo* wyobraża, nie jest *Walghvogel*, lecz kazuar.

Holendrzy wśród późniejszych swoich do Indyj Wschodnich wypraw, wielokrotnie zawijali na wyspę Maurycyusza, a że ptaki dały się tam rękami chwycić i kijami zabijać, nadzwyczajnie je powyniszczali. Podług opowiadania Willema, majtkowie jego okrętu, między wielu innymi ptakami, jednego dnia zabili 25, drugiego stado ze 20 sztuk złożone, ptaków *dodo*, które on *drontami* albo *dodaursami* nazywa; były one tak wielkie, że dla całej osady okrętu (nie podaje jak licznej) dwóch tylko takich dosyć było do stołu.

Kluzyusz opisuje ptaka „*Walghvogel*” podług doniesień z pierwszej holenderskiej wyprawy; dziób u niego jest, podług Kluzyusza, długi i gruby, górna jego część hakowato zgięta, dolna ma na środku między żółtym a czarnym błękitną plamę. Ciało ptaka okryte jest rzadko i krótkimi piórkami; w miejsce skrzydeł jest tylko cztery albo pięć piór czarnych; tylna część ciała jest gruba i tłusta, nogi raczej grube niż długie, górna ich część aż do kolan okryta jest drobnymi, czarnymi piórami, część dolna wraz ze stopą żółtawą. Cztery palce, z których trzy dłuższe naprzód, czwarty krótszy w tył idą, wszystkie są opatrzone czarnymi szponami; szpon tylnego palca jest najdłuższy. Kluzyusz oglądał

w zbiorze prof. Pauw w Hajdzie, nogę tego ptaka i bliżej ją opisał; Gray sądzi, że noga dronta teraz znajdująca się w Muzeum brytańskim, jest ta sama, którą Kluzyusz opisał. U Porreta widział Kluzyusz dwa kamienie, które w żołądku ptaka Walghvogel znalezione być miały. Mówiono mu, że mięso jego jest łykowate, piersi tylko i żołądek niejako smaczne. Nazwisko dodaars albo dront, zdaje się, że nie było Kluzyuszowi znane.

W raporcie także admirała Korneliusza (Cornelisz) Matelief, który w roku 1606 na wyspę Maurycyusza wylądował, znajduje się doniesienie o ptaku Walghvogel, który się jeszcze Dodaars albo dront nazywa; podług niego całe ciało ma być pokryte drobnymi piórami szaremi, dziób wielki, a oczy żywe. Zamiast skrzydeł ptak ma małe pletwy, zamiast ogona cztery albo pięć piór, bardziej niż inne wydatnych. Nogi są wielkie i grube, w żołądku znajduje się zwykle kamień jak pięść wielki. Już w 1607 r. donosi kupiec Paweł van Soldt, który z okrętem swoim wyrzucony był na wyspę Maurycyusza, że na brzegu wyspy mnóstwo ptaków w ogólności od roku do roku ubywa, dlatego że je zanadto wylawiają, lecz że w głębi wyspy są jeszcze bardzo liczne. Ludność jego okrętu, podczas 23dniowego pobytu, żyła samemi drontami, niektórymi innemi ptakami i żółwiami.

Jan Verkens, rodem z Lipska, który r. 1611 był na wyspie Maurycyusza, opisuje dronta jako ptaka wielkości łabędzia, z szarawym upierzeniem, wielkim dziobem i pięciu do sześciu żółtymi piórami zamiast skrzydeł, a czterema do pięciu na siebie zachyłnemi piórami w miejscu ogona; ptaki łatwe były do złapania w biegu; bronily się dziobem.

Nazwisko *dodo* użyte było najpierw od Anglika Tomasza Herberta, który r. 1629, na wyspie Maurycyusza zostawał; ma ono być portugalskiego pochodzenia. Ptak, podług Herberta, rzadko mniej niż 50 funtów waży: jego dziób jest bardzo zakrzywiony, nozdrza znajdują się w środku niego, okrągłe i małe, a iskrzą się jak dyamenty; połowa głowy pokryta jest czarniawemi piórkami, druga naga i jakby przezroczystą tkanką powleczonea. Ciało ptaka jest okrągłe i nadzwyczaj-

nie tłuste, przeto jego chód jest tylko powolny, zamiast piór pokryte puchem; nogi są grube, czarnego koloru, szpony wielkie i ostre. Małe skrzydła niezdatne są do lotu, ogon podobny do brody Chińczyka, składa się tylko ze trzech albo czterech piórek. Żołądek u dodo, jest podług Herberta tak gorący, że kamienie i żelazo trawić może.

Młody Francuz, Franciszek Cauche, który 1638 r. przez 14 dni na wyspie Maurycyusza bawił, opowiada o ptaku, którego *oiseau de Nazare* zowie, a z którego później osobny gatunek ptaka nazareńskiego (*Didus nazareus*) uczyniono; lecz opisanie jego dosyć się zgadza z opisami dronta, tylko osobliwszym sposobem języka mu brakować miało. Autor domyśla się, że nazwisko *oiseaux de nazare* powstało z niedokładnego przeczytania albo napisania nazwiska *oiseaux de nausée*, będącego wytłumaczeniem pierwotnego nazwiska *Walgh* czyli *Ekeloogel* (ptak mierzliwy); później z wyrazu *nausée* zrobiono *nazare* z powodu wyspy i haka tego nazwiska, niedaleko wyspy Maurycyusza; wyspa ta przez długi czas była równie jak i ptak na niej mieszkać mający, bajeczna i niepewna; dziś ze wszystkich kart jest wykręślona. Wszyscy żeglarze czasów nowszych, którzy tę okolicę zwiedzali, zgadzają się na to, że równie wyspy nazareńskie jak i nazareńskie rafy nigdy nie istniały; a zdaje się, że nigdy nie żył na świecie ptak nazareński, lecz że tylko Cauche z drontem go pomieszał.

W r. 1638 pokazywany był w Londynie dront żywy; olejny wizerunek tego ptaka w Oxfordzie, dosyć się zgadza z jego opisem. Może ten ptak dostał się wprost do muzeum Tradeskanta a z nié m później do Oxfordu; tam całkowicie przez mole zjedziony, musiał być zapewne z wielu innymi ptakami w r. 1775 na rozkaz uniwersyteckiej zwierzchności, wyrzucony. Głowa tylko, na której się nieco puchowatych szypek utrzymało i odcięta noga są wszystkiém, co pozostało jeszcze z niego. Autor dał porobić gipsowe odlewy i fotograficzne wizerunki tych ciekawych preparatów.

Leguat, który od r. 1693 — 1696 na wyspie Maurycyusza zostawał, nie wspomina o droncie, pewnie już wtedy całko-

wicie wyniszczonym; ale mówi, że widział raz na wyspie Rodriguez bardzo wielkiego ptaka, który na 6 stóp od ziemi głowę wznosił, a którego, że źle na nogach biegał, złapał nawet; nawet zdaje mu się, że i na wyspie Maurycyusza, gdzie większą część czasu w niewoli przepędził, takiegoż 6 stóp wysokiego ptaka widział; że jednak nikt ani przed nim ani po nim nie donosi o tém, zdaje się więc, że Leguat ulega omyłce. Wielki zaś ptak złapany przez niego na Rodriguez, podług opisu musiał należeć do rodzaju strusiów, a teraz zapewne, razem z drontem wymarł.

Holender Piotr van den Broecke i Anglik Tomasz Herbert, wydali około roku 1630 wizerunki i opisy małego ptaka, któremu prawie lub całkowicie skrzydeł nie dostaje, i który zdaje się być najpodobniejszy nietowi (*Apteryx australis*), może jeszcze niewyniszczonemu wtedy.

Autor zakończy swe poszukiwania uwagą, że tylko odkopywania na miejscu w którym ptaki żyły, mogłyby dać wyjaśnienie tak względem kościskładu dronta jak i samotnika, a może i względem olbrzymiego ptaka, o którym Leguat wzmiankuje. Szczątków pierwszego należałoby szukać mianowicie na placach portowych wyspy Maurycyusza, kości zaś samotnika na wyspach Bourbon i Rodriguez, a nadewszystko na ostatniej i tam, gdzie Leguat mieszkał. Dotąd szukano ich po jaskiniach wysp pomienionych, i jedynie szczątki żółwiów znajdowano, gdy kości tych ptaków, które ludzie pozjadali i wytępilli, należało także szukać w bliskości miejsc dawniej zamieszkałych.

Mniemane kości dronta znajdujące się w muzeum Andersona w Glasgowie, według autora są po większej części szczątkami żółwiów, a prócz tego wcale nie na wyspie Maurycyusza, tylko na Rodriguez pozbiérane być miały. Nawet i w Paryżu znajdujące się kości, które podług mniemania Cuviera z wyspy Maurycyusza przybyły, miały być zebrane na Rodriguez, mogą więc do samotnika, ale nie do dronta należeć.

Istniejące wizerunki dronta na miedzi ryte, podobne są do karykatur; pochodzą one od de Brys'a, Kluzjusza, Piotra van den Broecke i Tomasza Herberta; dwa malowidła olejne są

Rolanda Savery; inne, w British Museum zachowane, nieznaną ręką; a owo z muzeum Tradeskanta, dziś w Ashmolskim w Oxfordzie zachowywane, jest Jana Savery.

A zatem poszukiwania autora wykazują, że 1) dront żył tylko na wyspie Maurycyusza, 2) że *Solitarius* był wcale innym ptakiem, który tylko na wyspach Bourbon i Rodriguez mieszkał, i 3) że ptak Nazareński nigdy nie istniał. (*Fror. Not.* 1848, nr. 144.)

P. Edm. de Sélvs-Longchamps, rozbieając w *Revue Zoologique* (nrze 10, 1848 r., pag. 306), nowe dzieło Stricklanda o drontcie (1), pochwała tę znakomitą i sumiennie wykonaną pracę, wskazującą prawdziwe zpowinowacenia dronta i kilku innych podobnych mu ptaków, tém ciekawszych dziś dla nas, że tylko na wyspach Maurycyusza Bourbon, i Rodriguez żyjące, wyginęły temu lat 150, to jest za ledwie po upłynieniu wieku od odkrycia tych rozosobnionych ziem wśród oceanu, a we 30 lat po pierwszój ich kolonizacyi.

Znakomici naturalści, mówi p. de Sélvs, zpowinowacali rodzaj dronta, to z ptakami strusiowatemi, to z sępami, to z grzebiącemi (kurami); inni uderzeni dziwacznością kształtu w jakim te odłomne wyobrażono istoty, nie wahali się nawet poczytać ich za zmyślone. Ostatecznie p. Brandt zbliżyć je chciał do siewek w rzedzie błotnych, nie przecząc wszakże iż mają analogią i z gołębiami. P. Strickland załącza je stanowczo do ostatnich, ale p. de Sélvs czyni uwagę, że professor J. T. Reinhardt w Kopenhadze, najpiérwój wskazał to zpowinowacenie ich z gołębiami w końcu r. 1845, sam zaś utwarza

(1) *The Dodo and his kindred, or the history. affinities and osteology of the Dodo, Solitaire, and other extinct birds of the island Mauritius, Rodriguez and Bourbon; by H. E. Strickland president of the Ashmolean Society of Oxford, and A. G. Melville.* 1 tom, wielkie 4to z 18 tablicami rycin i mnóstwem drzeworytów pomiędzy drukiem. Cena książki 1 funt szt 1 szylling. Londyn, 1848. Na rycinach przedstawione są wizerunki dronta, jakie się dochowały, nie wyjmując i obudwu malowideł Rolanda Savery, który zdaje się robił je z żywego ptaka. Część anatomiczna dzieła, należy do p. Melville.

z nich familią oddzielną (*Dididae*) w rzędzie Temmincka *Inertes*, umieszczając ją teraz po gołębiowatych, przed grzebiącymi, strusiowatymi i kurzycowatymi (*Alectorides*), z którymi kilka cech ją łączy.

W tymże samym numerze pisma *Revue Zoologique* (pag. 293) p. de Sélvs - Longchamps w taki sposób przedstawia utworzoną przez siebie familią *Dididées*, w rzędzie Temmincka *Inertes*.

Rząd niedoleżnych (INERTES Temm.)

Familia drontowatych (DIDIDÉES).

Rodzaj I. DRONT, *Didus* L.

1. Dront niedoleżny (*Didus ineptus* L.) *Le Dronte* Buff. *Dodo* Angl. Opisanie i t. d. (Patrz Stricklanda). Mieszkał na wyspie Maurycyusza, wzmiankowany pierwszy raz w sposób autentyczny w r. 1598 przez Vannecka. Wyspa była osiedloną w 1644; w r. 1681 jeszcze się na niej utrzymywał według Talbota; w 1602 już niewątpliwie wyginął, ponieważ Leguat nie czyni o nim wzmianki.

Bontekoe przytoczył dronta na Bourbon, 1610, a sir Tomasz Herbert mówi o nim ze słyszenia, jako o znajdującym się na Rodriguez w 1627, ale p. Strickland mniema że ci dwaj autorowie dwa gatunki samotnika wzięli za dronta, co mnie wszakże nie zdaje się być rzeczą zupełnie pewną.

Rodzaj II. PEZOPHAPS Strickland, 1848; *Didus* L.

2. Samotnik (*Pezophaps solitaria*) *Didus solitarius* L. *Solitaire* Leguat, Buffon. — Opisanie i t. d. (Zob. Stricklanda). Mieszkał w 1691 na wyspie Rodriguez za przybycia tam Leguata. Nie wiadomo dokładnie, czy w 1760 wyginął już, gdy Pinzré przybył na wyspę dla czynienia postrzeżeń astronomicznych; jakożkolwiek bądź, nie było go w 1789, to jest w niejaki czas po osiedleniu wyspy.

Rodzaj III. APTERORNIS de Sélvs, 1848.

Podług tego co wiemy o gatunkach które niżej przytoczę, niemożna ich mieścić ani w rodzaju dronta, ani w rodz. *Pezophaps*; winieniem przeto wskazać utworzenie tymczasowe przynajmniej, rodzaju nowego, który się znacznie różni od dwóch poprzedzających długością dzioba, podobnego nieco

do dzioba bekasów, lecz grubszego: niby to był dziób nietota (*Apteryx*). Ptaki te były na wysokich nogach, biegały szybko i bardziej się oddalały od gołębi aniżeli dront i *Pezophaps*, do których zresztą podobne były skrzydłami niezdatnymi do lotu, początkiem tylko lub zupełnym niedostatkiem ogona, na koniec liczbą i rozkładem palców u nogi.

3. Samotnik (*Apterornis solitarius* de Sélvs); *Solitaire Carré*, *Great-fowl* Castleton.— Mieszkał na wyspie Bourbon w 1613 (Castleton); wyspa osiedloną była w r. 1669. Pomiedzy 1735 a 1746, gdy p. de la Bourdonnaye był gubernatorem wyspy, ten ptak istniał jeszcze, a podług notatki pewnego oficera angielskiego, może być, że znajdował się jeszcze na wzniosłej równinie zwanój równiną Kafarów, w 1763; odtąd go już nie widziano. Oto są cechy, które mu przyznawano:

Pióra na ciele białe (Castleton), albo pięknego mieniącego koloru, wpadającego w żółty (Carré) lub biały, z wierzchołkiem skrzydeł i ogona czarnym; ogon z takich piór jak u strusia, szyja długa, dziób jak u bekasów ale grubszy; nogi jak u indyka (D. B.).

Ci trzej autorowie przyznają mu wielkość indyka albo znacznej gęsi.

4. Ptak błękitny (*Apterornis caerulescens* de Sélvs); *Oiseau bleu* D. B.— Mieszkał na wyspie Bourbon w 1669, gdy ta wyspa osiedlaną była przez p. Delahaye, mającego z sobą w towarzystwie p. D. B. który nam zostawił rękopis podania o wyprawie, a z tego p. Strickland wyjął miejsca ściągające się do samotnika (*Apterornis solit.*) i ptaka błękitnego (*Oiseau bleu*). Ten ostatni był całkiem błękitny, wielkości poprzedzającego, dziób i nogi miał czerwone: nogi z ukształcenia kurzym podobne. Biegały one tak szybko, że psy zaledwie mogły je doścignąć. Ostatnie szczątki tego gatunku może znajdowały się jeszcze w 1763 na dolinie Kafarów, podług tego co przytoczyłem wyżej.

5. *Apterornis bonasia* de Sélvs; *Hen* (Th. Herbert); *Veltboenders* Cornelisz; *Feldhüner?* Verhuffen; *Poules*

rouges au bec de bécasse Cauche; *Gélinottes* Leguat.—Może tu kilka gatunków jest pomieszanych. Mieszkał na wyspie Maurycyusza w 1604, miał wielkość małego kruka indyjskiego (Cornelisz). W r. 1638, Cauche przytacza czerwone kury (*Poules rouges*) z dziobem bekasa, wielkości kur naszych, które się dawały ręką chwycić za pokazaniem im kawałka sukna czerwonego. W 1693 Leguat mówi, że na tej wyspie jarząbki (*Gélinottes*) gdzieindziej pospolite, stały się bardzo rzadkiemi.

Leguat wzmiankuje także o jarząbkach na Rodriguez; są jasno szare z czerwoną obwódką wkoło oka; dziób prosty i kończaty, czerwony, około dwóch cali długi. Będąc zbyt ciężkiemi, prawie nie mogą latać i łowią się za ukazaniem czego czerwonego.

Nakoniec Cauche mówi, że jego jarząbki znajdują się także na Madagaskarze. Rzeczą jest pewną, że przy końcu ośm-nastego wieku, ptaki te nie istniały już na wyspie Maurycego ani na Rodriguez.

Mamy rysunek Tomasza Herberta, na którym dziób wyobrażony jest całkowicie prostym; ciało nie przedstawia i śladu ogona, nogi są dosyć niskie, z palcem tylnym należycie rozwiniętym, co je różni od nietota (*Apteryx*) do którego na pierwszy rzut oka odnosićby się mogły. Inny wizerunek, dodany przy opisie podróży Vandenbroecka w 1617, przedstawia zapewne tego samego ptaka, w tém się od poprzedzającego różniąc, że mu daje dziób dosyć zakrzywiony.

Czy te ptaki należały do rodzaju *Apterornis*, rzecz jest wątpliwa; nogi ich były krótsze. Należałyż do tej ciekawej rodziny?—Sądzę, że tak jest, bo: łód wspólną miały ojczyznę, że ten sam niedostatek narządzi do lotu, niedostatek ogona, i palce nóg z wejżenia podobne.

N. B. Nie przytaczaliśmy ptaka nazareńskiego (*Oiseau de nazare*) o którym mówi Cauche i z którego Gmelin utworzył gatunek *Didus nazareus*. Zdaje się rozstrzygniętą być rzeczą, że ten mniemany gatunek zasadzony był tylko na okoliczności, że Cauche opisując obyczaj dronia, którego widział na wyspie Maurycego, przypisał mu z pamięci

kilka cech kazuara, mianowicie czarne pióra i nogi o trzech tylko palcach. Takie jest przynajmniej mniemanie p. Strickland. (*Revue Zoologique*, 1848 nr. 10). A. W.

Wspomnienia koncertowe.

Pewnie już sześć, a może i ośm lat upłynęło, gdy pojawił się w Warszawie kwartet braci Ładewskich: dwoje skrzypiec, altówka i wiolonczella. I właśnie w Niemczech tak miłujących muzykę tego rodzaju, cokolwiek przed epoką o której mówimy, zjawił się kwartet z czterech braci Müllerów, najwybredniejszym wymaganiom znawców zadosyć czyniący, a celujący przedewszystkiém, jak mówiono, niezwykłą w wykonaniu jednością, dowodzącą i pochodzącą z jedności krwi w sercach braci artystów płynącej. Wieść o tém i do nas doszła, a nie-jeden biegł słyszeć braci Ładewskich w nadziei, że w nich do słynnych Müllerów podobieństwo znajdzie. Ale przy wielkiej ich młodości nie było dosyć wykształconej techniki, by owa jedność urocza, zawarowana swobodą mistrzowskiego wykonania, na wierzch wyszła. Z przyjemnością jednak słuchano młodzieńczego kwartetu, bo szczególnie pierwszy skrzypek wiele na przyszłość obiecywał. Z obiecującego młodzieńca, stał się dziś obiecujący artysta, który pod imieniem Kazimierza Łady, na koncert publiczny w r. b. warszawskich miłośników muzyki zaprosił, by go jako wirtuoza i kompozytora ocenili. Jako pierwszy, zdaniem naszym, jest dopiero na polowie drogi do wielkiego skrzypka, jeśli czuje w sobie popęd by nim zostać. Pod względem mechanizmu skrzypcowego, obie ręce pana Łady wiele zostawiają do życzenia; prawa nie ma potężnej siły i długości smyczka, a odwrócić go zręcznie nie umie; lewej wiele i bardzo wiele przybyć może biegłości, ale więcej jeszcze potrzeba czystości intonacyi. Wprawdzie, niesłusznie nazwalibyśmy intonacją pana Ł. fałszywą; bo pojedyncze tony ustępu porównywane z sobą tylko, są niena-

ganne; ale i czystą nazwać jej nie można, bo tony jednego ustępu nie są te same w drugim, choć te same być mają i być powinny. I dlatego właśnie, że intonacja choć raz mylnie pochwycona, z całą logiką czystości dalej prowadzoną bywa, powodu tej wady nie pojmujemy, a raczej tego, czemu p. Ł. z tak stoicką wytrwałością przy niej obstaje. Słyszeliśmy już skrzypków pierwszego rzędu, Ernsta naprzykład, którym fałszywy ton się zdarzał; ale każdy skwapliwie na dobrą drogę spieszył. Nie pojmujesz p. Ł. że wytrwałością w uchybieniu najchętniejszego słuchacza dotkliwie porusza, że przygrywający instrument zdradziecko w każdym nowym tonie go wydaje z tego, co by ukrytém mieć pragnął? Pod względem ducha wykonania, nie pokazał p. Łada samoistności pojęcia, ani śmiałości w oddaniu silniejszych uczuć, któreby z kompozycyi wyrwać się do słuchaczy usiłowały. Ostatni tylko numer koncertu cokolwiek ich ożywił. *Cygan* kompozycyi p. Ł. ma niektóre rysy odrębnej, niezwykłej charakterystyki: stylem przypomina piosnki wykonywane na lirze sabaudzkiej, zatem ma w sobie charakter życia napół koczującego, jakie prowadzą mieszkańcy okolic górzystych. Cygan jest z zawodu nomadą, ale obyczajem, zatrudnieniem, pojęciem, nadzwyczajnie od górala różny; dlatego trafność charakterystyki w wymienionej kompozycyi decydującą nie jest, szczególnież dlatego, że rysy są zbyt nieliczne, by dowód na dowód składając, przekonały nakoniec. Nie jestto obraz rozległy przez znakomitego poetę rozwinięty, nie jest szkic gienialną ręką rzucony, z któregoby przewidzieć można, jaki w wykończeniu będzie; ale jestto rysunek niektóre cechy zewnętrzne wskazujący, bez usilności zamknięcia w nich wewnętrznego życia. To też z tej jednej pracy pana Ł. nie wnosić o nim jako kompozytorze nie możemy. Szkoda, że pierwszy raz występując, taki nam drobiazg pokazał!

Pan Komman, występujący z dwoma solami fortepianowemi na koncercie pana Łady, nie był szczęśliwszy tą razą jak w r. 1846 na koncercie pani Franchetti. Wprawdzie zyskał przez ten czas na mechanizmie, zyskał na sile; ale nie na zapale, a mało co na artystyczném pojmowaniu kompozycyj wy-

konywanych. Ze pierwszej nie rozumiano, mogło to być winą nieznanego autora, ale finał z koncertu Webera tak powszechnie znany, był dla pana Komman ciężką próbą, a z której zwycięzko nie wyszedł. Dla braku pojęcia ustępy zdawały się źle powiązane, przesadzaniem *rallentando* odosobnione, frazesowanie mało dosadne, a świetne figury, choć prawdę powiedziawszy nie w dzisiejszym smaku i elementarne, nie miały brawury mogącej je okraszyć. Wprawdzie, okoliczności koncertowe wiele wpłynąć na to wszystko mogły; ale są one tego rodzaju, że tylko domyślać się ich godzi, a domysłów nikt za istotę nie przyjmie, żądając na koncercie posłyszć, jak nieczęsto słyseć sposobność miéwa, i dlatego nielitościwym jest sędzią.

Grę p. Gnadendorffa, osiadłego między nami fortepianisty, dzielną nazwać można, bo na to starczą: wysoki w niektórych rodzajach trudności mechanizm, pewność, siła i ciągła energia. Ale zbyt ciągła energia jednotonnością nuży nakoniec, siła, delikatności pragnienie budzi, a pewność zyskana więcej sumienną pracą niż wrodzoną zdolnością, mechanizm wyprężonym czyni, i ciężkością go znamionuje. Przymioty gry pana G. najlepiej wydały się w *Najadzie* Tauberta, i *Etiudzie* Szopena: bo rodzaj tych kompozycji zmuszał do powściągliwości, a trudności techniczne umiarkowane, nie potrzebowały wysilenia na jakie zdobywać się musiał w fantazyi Prudent'a. Żałujemy, że nam nie dał posłyszć czegoś z zapomnianej dziś szkoły niemieckiej Hummla na przykład, bo wnosimy, że i gra pana G. temu rodzajowi najlepiejby przystała, i rodzaj sam więcej niż powszechnie mniemają potrzebujący mechanizmu, miałby w nim jednego z lepszych u nas tłumaczów, i pewnieby nie stracił na porównaniu z dzisiejszemi fantazyami, do których nienawisć chętnie tu wyznajemy.

Mając mówić z kolei o trzynastoletnim wiolonczeliście Adamie Hermann, który dał się słyseć na koncercie pana G. radziłyśmy mieć wymowę Złotoustego, by zapalić miłujących muzykę, sławę kraju i swą własną, kochających ludzi, i protegujących a raczej chcących protegować talenta. Nie jesteśmy zwolennikami muzyki dziecięcej, bo dziecko nie jest ar-

tystą i najczęściej nim nie będzie, gdy mu gwałtem każą być dojrzałym przedwcześnie. Ale niema ogólnika bez wyjątku; młody Hermann tak jest wyjątkowem w świecie muzycznym zjawiskiem, że się lękać trzeba, by jako zjawisko nie skończył. Instrument na którym grywa dzisiaj, choć znacznie większy nad ten, który mu od początku nauki i niedawno jeszcze służył, nie ma zwyczajnej basetli rozmiarów; a ztąd niemoc i brak sprężystości w tonie, boć i struny nie są takie, jakie być powinny i nie tak wyciągnięte. Ale niedostateczność instrumentu stokroć nagradza grający. *Mechanizm* lewej jego ręki do mistrzostwa posunięty, przed żadną nie cofa się trudnością; *smyczkowanie* prawej, prócz siły nic do życzenia nie zostawia; *czystość* intonacji, zawsze i wszędzie niezachwiana; *łatwość* wykonania winawia, że to wszystko jest tylko igraszka; *pojęcie* młode jeszcze jakim być winno, jeśli rzeczy naturalnym isć mają porządkiem, ale umiejące zgadywać: i to wszystko w dziecku trzynastoletniem, któreby za dziesięcioletnie wziąć można, i zdobyte pod kierunkiem tylko ojca (wiolonczelisty teatru warsz.), który pchnął syna o połowę drogi dalej nim sam zająć zdołał, i w naszej kochanej Warszawie, gdzie brak wzorów, któreby chłopca jeszcze dalej zawiodły, i z instrumentem najtrudniejszym ze smyczkowych, a więc podobno ze wszystkich! Nie zakrawaź to na bajkę? A przecież to wszystko jest prawdą. Ale kto zrozumiał jakim trybem rzeczy u nas idą, ten pewnie nie weźmie za bajkę, gdy mu z czasem powiedzą, że biedny chłopiec zmarniał dla braku pomocy, że wielki w przyszłości artysta usechł w Warszawie jak roślina na jałowym gruncie, że go losowi zostawiono, jak się to gieniuszom zdarza. Znajdzie się kto, by mu ułatwiwszy kształcenie się i postęp, popchnąć mu muzykę pomógł, ktoby zapragnął jedną więcej znakomitość dać krajowi, ktoby wreszcie sam słynąć zechciał w sławie drugiego, ktoby umiał pojąć ogrom pracy i poświęceń, które już w dzieciństwie do tak zadziwiających doprowadziły rezultatów? Ktoby dla przyszłości człowieka i sztuki, poświęcił cząstkę *własności*, którą wedle Tiersa ma na to, by do jój zdobycia innym pomagał? Jeśli nie, mniejsza

o to! Wytrwałość! Dziecko stanie się młodzieńcem, młodzieńiec na męża wyjdzie, a mąż tém większym będzie artystą, im cięższą walkę z losem stoczy. Oby miał siły po temu!

Porównywając sprawozdanie nasze o panu Frankensztein z drugiej połowy roku 1845 (Bibl. Warsz. tom III, str. 171) z tém, co dzisiaj o nim powiedzieć wypada, z przyjemnością wyznać; przychodzi, że wielki uczynił postęp. Zarzucaliśmy mu tam niezdolność smyczkowania, nieczystość intonacyi, brak czucia, pojęcia, i mechanizm niedostateczny do pokonania większych trudności; wówczas mało co chwalić było można. Dziś prawie wszystko inaczej i niewiele zganić przyjdzie. Prawa ręka nabyła pewności, dzielności, lekkości jój w stakkatach jednak trakuje. Intonacya dziś jest tak nienaganna, że o drobnych i chwilowych od wykwinnej czystości zboczeniach tylko dla skrupulatności mówimy; pojęcia przybyło, lubo nie na wszystko zgodziłby się można; czucie się wykształciło i mechanizm niezmiernie zyskał. Słowem, p. Fr. dziś stoi w pierwszym rzędzie między naszymi skrzypkami, a wnosząc po łatwości i pewności wykonywania, po kilku jeszcze latach pracy na znakomitego wyjdzie wirtuoza. Ale trzeba mu pracy *sumiennój* i *zaciętój*; tak np. pod względem mechanizmu, passażę potrzebują jasności jedne, lotności drugie: te mianowicie, które jednym wykonywa smyczkiem, i w ogóle smak artystyczny zyskać tylko może na powiększonym mechanizmie, bo uczyni instrument posłuszny uczuciom. Trzebaby też panu Fr. i wzorów, któreby często powtarzanym przykładem sprowadziły go z drogi przesadnej sentymentalności (szczególniej o nadużywanych portamentach mówić tu cheemy), a nauczyły go efektów zdrowym i jędrnym uczuciom odpowiednich. Trzebaby i surowych studiów nad dawniejszemi na skrzypce klasykami, by styl wznioślejszym uczynić i nauczyć się szanować myśl autora. Powtarzamy raz jeszcze: potrzeba panu Fr. pracy, a odwlekać jój nie powinien; jawszy się jój zapóźno, nie dojdzie do doskonałości mistrza, do której przebyte przygotowania i wrodzone zdolności, ułatwiły mu przystęp niezmiernie.

J. Sikorski.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Wyczytałem w Bibliotece Warszawskiej z miesiąca marca r. b. między doniesieniami literackimi wiadomość o dukacie polskim Władysławowskim, w mojem ręku znajdującym się; którąto wiadomość jako mylną, niniejszym listem sprostować mam sobie za obowiązek. Wprawdzie przed rokiem jeszcze podałem wiadomość obszerniejszą o tym dukacie do biblioteki imienia Ossolińskich, lecz ile mi wiadomo, dotychczas ogłoszoną nie była: otóż drugi powód przesłania szanownej redakcyi opisu tego dukata.

Erazm Niedzielski.

Przejeżdżając przez Bochnią w czerwcu 1847 r., dowiedziałem się, że złotnik także mieszkający Izaak Rosshaendler, ma kilka starych monet do pozbycia. Ciekawością zdjęty, wstąpiłem do niego i nabyłem ten zupełnie dotąd nieznanany polski dukat, o którym wiadomość rodakom podaję.



Po jednej stronie jest przedstawionym król, we fałdzistej, długiej sukni, siedzący na tronie. W prawej ręce trzyma berło, którego wierzchołki w lilię się zakończy, w lewej zaś ręce do góry podniesionej, trzyma jabłko z krzyżem na wierzchu. Na głowie korona, twarz zatarta, nogi ubrane w bóty ostro zakończone. Naokoło gotycki napis: *Wladislaus d. i. g. rex.*

Po drugiej stronie przedstawionym jest śty Stanisław, w biskupim stroju stojący. Prawą rękę, którą błogosławi, ma podniesioną do wysokości głowy, u której są trzy palce wyprostowane, zaś dwa mniejsze zgięte. W lewej ręce trzyma pastorał. Twarz cokolwiek do góry i na prawą stronę obrócona. Głowa ubrana w infulę, z pod której długie włosy spadają; ręce w długie rękawiczki; suknia zaś fałdzista spada na ziemię i nogi zasłania. Naokoło napis: *S^t Stanislaus o Pole.*

Głowy świętego i króla nie są w jednem położeniu. Pod spodem głowy śgo Stanisława leżą litery (*sla*), należące do

słowa *Wladislaus*, pod spodem zaś głowy króla leżą litery (*an*), należące do słowa *Stanislaus*.

Zdaje się, że słowo *Pole* odnosi się do podpisu na odwrotnej stronie znajdującego się, i ma się czytać *Wladislaus. d. j. g. rex pole (Polonie)*, i z tej przyczyny tylko na tej stronie zostało umieszczone, iż na tamtej dostatecznego miejsca nie było.

Dukat ten szczęśliwie tak dokładnie jest zachowanym, iż jedna tylko litera (*e*) w słowie (*Pole*) jest niewyraźną.

Dukat ten Władysławowski, jest najdawniejszym, dotąd świata znanym polskim złotym pieniądzem.

Lecz dziwną jest rzeczą, iż Kromer bliżej czasów Władysławowskich żyjący, dukatów jego hicia zupełnie nie znał, twierdząc w swém dziele: *De situ polonie et gente polona, Lib. I, pag. 501. edit Colon: „Aureos vero nummos primus omnium Sigismundi Augusti pater nostra memoria signavit bonitate et pondere ungaricorum. Tametsi Alexandri quoque fratris ejus aureum nummum vidimus.”*

Jan Tobiasz Koehler w swojém dziele: *Vollstaendiges Dukaten-Cabinet. Hannover, 1759. T. I, pag. 252* utrzymuje także, iż Alexander król, piérwszy złote bić kazał pieniądze. Opisawszy dukata Alexandrowskiego, dodaje: „*Dieses ist die allererste und sehr rare in Pohlen geschlagene Goldmünze*” i t. d.

P. Bandtkie w swojém szacowném numizmatyczném dziele opisując dukata przez Kromera wspomnianego, a przez Koehlera opisanego, powątpiewa o bycie oryginalnego exemplarza. Cóż zatem powiedzieć można o tym Władysława dukacie, o którego bycie Kromer zupełnie nie wiedział, a nikt z późniejszych ani nie domyślał się? Odpowiedź łatwa: iż są w łonie ziemi naszej ukryte jeszcze skarby, o których się nam nie śni, a które czas dopiéro wyjawi.

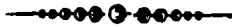
Byt dukata Władysława dowodzi, że ani Zygmunt Stary, ani Alexander król, nie byli piérwszemi, którzy złote pieniądze bić kazali; lecz jest więcéj jak prawdopodobieństwem, że piérwszym królem bijącym polskie dukaty był Władysław Warneńczyk.

Władysław Warneńczyk jako król węgierski, lić kazał węgierskie dukaty z patronem Węgier śtym Ludwikiem (1); nie jestże bardzo naturalną rzeczą, że będąc także królem polskim, i polskie dukaty bić kazał, z patronem Polski ś. Stanisławem?

Liczba atoli przez Władysława i Alexandra bitych dukatów musiała być arcy mała; dowodem tego zeznanie Kromera, który wspomina, że przecie także (Tametsi quoque) dukata (a zatém jednego) Alexandra króla widział, a o Władysława dukatach nawet zupełnie nic nie wspomniał.

W roku 1847 równano plac przed terażniejszém gimnazyum a dawnym klasztorem OO. Bernardynów w Bochni. Przy zbieraniu ziemi w głębokości sążnia, ten dukat został znalezionym przez robotnika, który go złotnikowi tamże mieszkającemu Izaakowi Rosshaendlerowi sprzedał, a od którego szczęśliwym wypadkiem ja go nabyłem.

(1) Na wspomnianych dukatach nie śty Ludwik, ale śty Władysław jest wyobrażony. Patrz: Numizmatyka Krajowa K. W. S. Bandkie, nr. 55. *Przyp. red.*



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

Astronom amerykański Bond, w liście pisanym do Everretego prezydenta uniwersytetu harward'skiego, donosi o *wielkim obłoczku w Oryonie*, co następuje: Dnia 22 września 1847 r., około godziny 3 nad ranem, przy nader przyjaznym stanie atmosfery, wielka luneta w Cambridge skierowaną była na trapez z gwiazd utworzony w obłoczku Oryona. Przy 200krotném powiększeniu, pięć gwiazd były odrazu postrzeżonemi; około nich pokazało się jeszcze mnóstwo gwiazd jasnych, jakby punkta świecące, których położenie w części zmierzone i na karcie niebieskiej naznaczone zostało. Gwiazda najświetniejsza w trapezie przy 600krotném powiększeniu pokazała się podwójną, i jest ona szóstą gwiazdą podług Struwego; inne gwiazdy trapezu widziane, były także jako podwójne. Tak więc razem z obłoczkami Oryona i Andromedy, ostatnia podstawa na której Wiliam Herschel swoją teorią o obłoczkach opierał, uważając je za rodzaj materji świetnej, skupiającej się dla tworzenia nowych światów, upadła. Dwa powyższe obłoczki wymknęły się przed badawczym umysłem obydwóch Herschlów i ich wybornemi teleskopami, jak równie i przed teleskopem lorda Rossa, który o bytności tych gwiazd ka-

zał się tylko dorozumiewać, ale ich tak wyraźnie jak refraktor w Cambridge nie rozdzielił. (*Froriep Notizen* nr. III, Mürz 1848).

* *O wulkanach księżycowych* przez Jakóba Danę (*). Powierzchnia księżyca nastęcza dla geologii najciekawsze zjawiska, które pomimo odległości 52 tysięcy mil, za pomocą teleskopu z dziwną dokładnością, i to tak wyraźnie dostrzegać się dają, że już Arago uważał: iż wysokość gór księżycowych lepiej poznano, aniżeli gór ziemskich. Przy zupełnie pogodném niebie i nadzwyczaj czystej atmosferze, uzbrojone oko postrzega całą zewnętrzną postać księżyca z jego rozpadlinami, kraterami, Alpami, Apeninami, które od spodu aż do szczytów wyraźnie śledzić można; jednak nie widać tam ani pokładów, ani najmniejszego śladu roślinności, albowiem jedno i drugie bez wody być nie może; cała niezaściana rozległość powierzchni, skutki tylko ognistych działań, przedstawia wzrokowi. Dlatego rozważanie tego niebieskiego kraju, poczytuje autor za przedmiot zajmujący i dla umiejętności ważny. Pismo *Edinburgh new philosophical Journal* z r. 1847, obejmuje pracę autora w dwóch kwartalnych zeszytach.

Wysokość gór księżycowych Galileusz najprzód z przybliżeniem oznaczył, później Heweliusz i Riccioli matematycznie je obrachowali. Wiliam Herschel dalej posunął dochodzenia: trzy wulkany zdawały mu się jeszcze dotąd czynnemi. Meyer Huth, Harding i Schröter, później Gruithuisen i W. G. Lohrmann, w badaniach powierzchni księżyca niemałe położyli zasługi; jeszcze później Beer i Mädler, powtórzyli i sprostowali wszystkie dawniejsze postrzeżenia, i nakreślili wyborne karty księżycowe.

Na tych kartach oparł swoją teorią Elias de Beaumont, a niedawno Jakób Nasmyth i Rozet ważne postrzeżenia nad księżycem ogłosili; piérwszy dowiódł cechy wulkanicznej gór księżycowych, drugi pokazał, iż księżyc będąc

(*) James Dana wstawiający się dziś amerykański naturalista, chemik i astronom.

kiedys ognisto-płynną kulą, ostygł zwolna tak, iż obecnie dawniejszy stan naszej planety przedstawia.

We wszystkich postrzeżeniach geologicznych, dotyczących się księżyca, nadzwyczajna wielkość kraterów pozostaje dotąd niezupełnie wyjaśnioną. Niektóre z nich dla nadzwyczajnej wielkości, nie za właściwe kratery, ale raczej jako kołowe szczyty, albo góry pierścieniowe uważać należy. Geologowie nie odważyli się dotąd podać stanowczego tłumaczenia tych dziwów księżycowych. Wystawmy sobie, jeżeli można, zamiast zwyczajnych kraterów, okrągłe wały od 50 do 150 mil średnicy, a od 10 do 20 tysięcy stóp głębokości mające, dla zrobienia sobie przybliżonego obrazu, licznie na znacznej części powierzchni księżyca porozrzucanych kraterów, które przy mniejszych nawet obwodach, ledwie kilka mil średnicy mają.

Z trudnością tylko postaci te dałyby się do typu Wezuwiusza i Etny sprowadzić; wszelako krater Kilauea na wyspach hawańskich, ma całkiem odrębny charakter i dlatego autor mniema, że przez porównanie z nim będzie można powstanie gór pierścieniowych księżyca wyjaśnić, a następnie dla księżyca wynalezioną teorią, do geologii ziemskiej przystosować.

Autor rozważa najprzód ogólną postać księżyca: przeszło $\frac{2}{3}$ powierzchni jego widzialnej półkuli, złożone z całej prawie południowej połowy i północno-wschodniej ćwiartki, pokryta jest gęsto wulkanicznymi górami; gdy przeciwnie północno-zachodnia ćwiartka, jest po większej części płaską, i gdzieniegdzie tylko tworząc wzniesienia, ciągnie się dalej ku południowi przez równik.

Autor rozróżnia 6 rodzajów postaci, które przedstawia powierzchnia księżyca:

1) Góry pierścieniowe, szerokie ścięte ostrokągi, z nadzwyczaj wielkimi, okrągłymi kraterami.

2) Stożkowate góry, podobne do naszych zwyczajnych wulkanów.

3) Proste albo nieforemne grzbiety.

4) **Wielkie zagłębione płaszczyzny**, zwykle za morza uważane, lecz jak się zdaje bez wody.

5) **Szerokie, jasne pasy** znacznej rozciągłości.

6) **Wąskie linie**, najpodobniej rozpadliny.

Zpomiędzy 1095 mierzonych gór przez Beera i Maedlera, jest 6, które mają przeszło 20,000 stóp wysokości; 22 po 15,750 stóp wysokości; najwięcej z nich sąto szerokie, spłaszczone stożki z rozległemi okrągłemi kraterami; ich średnica równie jak i głębokość kraterów są bardzo różne. Krater nazwany Baily ma u szczytu szerokości 149 $\frac{1}{2}$ mil, Clavius jest na 143 $\frac{1}{3}$ mil, Schickard na 128 mil szeroki. Głębokość krateru Newtona wynosi 23,833 stóp angielskich, Casatusa 22,822, Calippa 22,209, Tychona 20,181 stóp. Wysokość zewnętrznej powierzchni podług tychże autorów, dochodzi często tylko połowy albo trzeciej części wysokości od dna krateru; zewnętrzny spadek gór jest zwykle nagły, i dlatego brzeg przedstawia się jako wypukła rama, naokoło wewnętrznego zagłębienia. Jeden z takich kraterów, podług zdania Nasmyth, od dołu aż do szczytu, jak się zdaje płynną, a później stwardniałą lawą jest wypełniony.

Największe kratery nie są właśnie na najwyższych górach; wysokość ostatnich jest raczej w odwrotnym stosunku z średnicą krateru. Czeluście wulkanów są w ogólności okrągłe, złożone jednak gdziegdzie z dwóch razem spojonych, okrągłych dołów; u innych, a to u największych, zewnętrzny wał rozdziela się na szereg szczytów, które niekiedy szerokie rozpadliny mają; niejednostajne ich kształty dają się przeto już do koła, już do zbioru wielu kół, już do szczytów jeden za drugim idących sprowadzić. Dna tych dołów są w ogólności płaskie, często jednak mają znowu małe stożki albo wzniesienia, dochodzące niekiedy 5000 stóp wysokości; również i zewnętrzna pochyłość pokazuje podobne stożki boczne, bardzo różnej rozległości. Główny krater mieści znowu w sobie mniejsze, również okrągłe kratery.

Rzadko znajdują się kończate ostrokągi bez dołów kraterowych; Doerfel, największy z księżycowych ostrokągów, podług Beera i Maedlera, ma 24,945 stóp wysokości, leży on w Apeninach księżycowych; inny ostrokąg Huygens, jest na 18,209 stóp wysoki.

Grzebień księżycy są zwykle przedłużonemi wzniesieniami albo ich zbiorami; jednakże nie przeryniają ich doliny, jak na naszej planecie, gdyż księżyc, podług Rozeta i innych, nie ma wody, któraby takowe doliny mogła wymyć.

Nawet zniżenia, za morza uważane, *Mare Serenitatis* i *Mare Crisium*, są ogromnemi od 500 do 600 mil szerokiemi i mniej głębokiemi dołami kraterowemi, które obejmują także stożki i okrągłe wały jak inne kratery.

Jasne pasy, które naokoło wielkich ostrokągów, mianowicie naokoło Eulera, Keplera, Kopernika i Arystarcha promieniste linie tworzą, są na 500 mil długie i ciągną się dalej przez góry i doliny; spływają one ponad szczytem Keplera, przez co cała jego powierzchnia wydaje się mglistą.

Moc odbitego światła od dołów kraterowych jest bardzo różna; Beer i Maedler odróżniają 10 stopni światła: od 1go do 3go stopnia światło jest szare; od 4go aż do 5go jasnoszare; od 6go do 7go białe; od 8go do 10go świetnie białe.

Tak nazwane morza, pokazują się nieraz jaśniejszemi od otaczających je okolic; oświecenie dwóch obok siebie położonych równorozległych i głębokich dołów, w pełni księżycy, jest niekiedy bardzo różne, albowiem jedno morze jest już całkiem ciemne, gdy drugie jeszcze błyszczy; oby dwa zaś razem dają się widzieć, gdy ich cienie znowu się pokażą. Najświeńsze kratery są: Arystarch, Werner, Proclus; pierwszy jest na 7629 stóp głęboki, ma jeden główny punkt świetny i prócz tego dwa albo trzy oddzielne okrągłe, jaśniejsze plamy. Werner ma jeden tylko świetny punkt; Proclus błyszczy tylko swoim wałem, bo dno jego w ciemności zostaje.

Wiliam Herschel pierwszy zwrócił uwagę na istnienie wulkanów księżycowych. Zdaniem jego, dnia 19 kwietnia

1787 roku, dwa wulkany albo już zupełnie wygasły, albo miały wybuchnąć, przeciwnie trzeci wulkan cały był w wybuchu; następnego dnia czynny wulkan palił się z największą gwałtownością, ognisty brzeg miał trzy mile średnicy; wszystkie miejsca blisko krateru położone, zdawały się być oświetlone. Dwa inne wulkany podobne były do wielkich plam mglistych, a ich środek najjaśniejszy; jednakże świecącej wyraźnej plamy nie można było dostrzedz. W roku 1780 Herschel miał w témże miejscu podobny wybuch postrzedz.

Autor opisawszy w ten sposób ogólne zjawiska co do wielu ogromnych kraterów o różnych obwodach i kształtach, co do większego zagłębiania i różnego oświetlenia krateru, przechodzi do wyjaśnienia tych zjawisk, do czego obiera wyżej wspomniany krater Kilauea, który prawie takie same zjawiska okazuje: 1) Obejmuje rozległy otwarty kraterowy dół, mający w najdłuższej średnicy przeszło 3 mile, a głębokość blisko 1000 stóp wynoszącą; 2) W większej rozległości swojego obwodu ma wolne, spłaszczone wały, u spodu wewnętrznym rąbkiem na 340 stóp nad dno krateru wzniesionym opasane; 3) Dno krateru utworzone jest z twardej lawy, którą tylko w dzień widać i bez niebezpieczeństwa po niej przejść można; nad nią znajdują się kotły roztopionej i gotującej się lawy, z których jeden przeszło 1000 stóp ma średnicy. I tu także napotykamy na stożki od kilku jardów do 3000 stóp średnicy mające, z różnym nachyleniem. Szczyt największego z tych ostrokregów ma znowu na sobie krater.

Tak pod względem opaski dolną część wydrążenia otaczającej, jako też rozmaitych postaci stożków, nie widać tu podobieństwa z kraterami księżycowymi, albowiem te ostatnie mają po największej części wewnętrzne koło, to jest pewnego rodzaju płaskie wzniesienie, które w Tymocharysie do wewnętrznego obwodu krateru Kilauea zupełnie jest podobne, i które tutaj równie jak i tam, naokoło całego krateru opasuje. Niektóre kratery księżycowe zawierają okrągłe łożyska z małowzniesionymi brzegami,

inne znowu przedstawiają wzniesienia stożkowe, lecz także w Kilauea znajdują się niekiedy na płaszczyźnie dna, równie jak i na szczytach stożków, jeziora gotującej się lawy. Otwór krateru Kilauea jest od zewnątrz na 3 mile długi, lecz o połowę jeszcze szerszy. Największa kotlina przeszło 1000 stóp średnicy mająca, jest jednak małą plamą w porównaniu z tą nadzwyczaj rozległą płaszczyzną. Jeżeli zaś wszystkie te ogniste morza są czynnemi, wtedy cały dół świeci ognistą, na wszystkie strony rozlewającą się, przez liczne stożki wyrzucaną lawą. Równie kulisty lubo mało co eliptyczny kształt krateru księżyca, daje się widzieć przy Kilauea, którego wszystkie łożyska są okrągłe, a otwór krateru, z przyczyny jego położenia na rozpadlinie, ma podłużną postać, gdy przeciwnie wygasłe kratery Mount, Loa, zupełnie są okrągłe; lecz i tu znajdują się niektóre podwójne kratery.

Autor dla wytłumaczenia wulkanów księżycowych obrat dlatego właśnie wulkan Kilauea, że ten jeszcze i teraz jest czynnym, a oprócz tego z pierwszych doniesień admirała Byrona i Karola S. Stewarta bliżej poznanym został. Kapitan Wilkes, w swoim opisie *Narrative of the Exploring Expedition*, piękne rysunki tego wulkanu podał, a w mającym wkrótce wyjść opisie geologicznych podróży do wysp hawańskich, jeszcze dokładniej opisanym będzie.

Zkądże tak wielkie podobieństwo tego wulkanu z kraterami księżycowemi, gdy inne ogniste góry ziemskie tak odmienną postać mają? Sprawia to głównie wielka płynność lawy, która wulkanowi Kilauea prostego tylko wrzenia dozwala, albowiem wyziewy bez przeszkody uchodzić mogą, przez co w roztopionej massie lawy powstaje ruch podobny do wrzenia wody; gdy przeciwnie w Wezuwiuszu i innych wulkanach, gazy są wstrzymywane i dopiero przy wielkiem prężeniu gwałtownie uchodzą, a wtedy lawę nieraz do wysokości 1000 stóp wyrzucają i jako żuzle naokoło ją rozrzucają. Przez takie parcie od wewnątrz, tworzą się także szczyty gór, gdy przeciwnie proste wrzenie

wulkanu Kilauea, ani żuzli, ani stożków żuzlowych nie wyrzuca; wszelako tutaj powstają także przez przelewanie się lawy i jej nagłe stygnięcie przy brzegach, stożki, ze ścianami różnych pochyłości, które mocny wał naokoło ognistej kotliny tworzą. Rozległość wrzącego jeziora zależy jedynie od rozległości garąca na dnie; ztąd nadzwyczajna liczba tak zwanych mórz księżycowych nie jest już zagadką; równie ich okrągła postać przez promieniste rozchodzenie się ciepła od środka, łatwo daje się tłumaczyć.

Autor przeto odrzuca zwyczajne zdanie, jakoby kratery przez wybuchy żuzłowe powstały, albowiem żuzle mogłyby tylko małe otwory czynić, gdy przy stygnięciu cały wał okrągły musiałby się koniecznie skurczyć. Przeciwnie przy wielkim, bardzo płynnym wybuchu ognistym, nietylko wszystkie pary uchodzą bez przeszkody, lecz i oderwana przez nie lawa, która, wyjąwszy okolicę brzegu, znowu do kotliny wpada; dlatego boczne ściany nie mogą takiej dosięgać wysokości i tak się zakrzywiać jak Nasmyth podaje; nadto siła wyrzucająca zostaje do pewnego stopnia w odwrotnym stosunku do średnicy łożyska.

Przeciwnie, lawa we wszystkich podobnych otworach okolic księżycowych, w których po części ogień już wygasł, przez stopniowe ziębnienie stała się wlekaço-gęstą, więc tylko jak przy zwyczajnych wulkanach, wyciąga się; ztąd powstają wysokie stożkowate końce z wązkiemi przy ich wierzchołkach otworami, albo bez otworów.

Nadzwyczajna głębokość dołów księżycowych zdaje się wymagać innego sposobu tłumaczenia, a ten znajdujemy w mniejszej gatunkowej ciężkości ciał księżycowych, która tylko $\frac{1}{6}$ gatunkowej ciężkości ciał ziemskich wyrównywa. Dlatego lawa księżycowa nietylko gatunkowo lżejsza, ale jest oraz dziurkowatsza i gębczastsza; to nam tłumaczy dlaczego wielkie kratery księżycowe, wszystkie kończą się brzegiem wystającym, gdy przeciwnie największa liczba wulkanów ziemskich, np. Mount Loa, mają szczyty i zwolna ukośnie pochyłone ściany. Na ziemi, nierównie większy ciężar płynącej lawy, jest przyczyną tworzenia się brze-

gu, który, na księżycu, daleko większej dochodzi wysokości, a przez to głębokość dołów staje się tak znaczną.

Autor przeto mniema: że wulkany księżycowe, bez namysłu za prawdziwe wulkany uznać należy, choćby nawet który z ich ogromnych kraterów 20 razy Etnę miał przewyższać. Przyjmuje on nadto: że przy oziębianiu się kuli księżycowej, dopiero przez twardnienie skorupy, w różnych miejscach gotująca się lawa potworzyła jeziora, które znowu przy ciągle zmniejszającym się cieple, miejscami stygły, przez co w środku od większego gorąca popękały; przy innych znowu wypływająca i przy brzegu ostygła masa coraz bardziej się skurcza, przez co się i wielkość otworu i jego pierwotna postać zmieniła; inne znowu nagle się skurczyły, a tym sposobem powstał wewnętrzny z zewnętrznymi spółośrodkowy obręb, poczem mogło i więcej takich nastąpić.

Na górze Heinsius, której większa średnica 48 mil wynosi, znajduje się wewnątrz wielkiego obrębu drugi mniejszy, którego okrągła przepaść dochodzi 12 mil w średnicy. Ślady szerokiego spółośrodkowego wału, który zapewne początkowo był obwodem i który stał się niższym od nastąpionego po nim, potwierdza to przypuszczenie, że im większy jest krater, tém go niższy wał otacza. Wszelako i tu, podobnie jak przy Kilauea, mogło zajść obniżenie otaczającej okolicy. Toż samo pokazują góry Abulfeda i Timocharis. Ciągłe stygnięcie mogło znowu wielkość otworów kraterowych tak zmniejszyć, że wolne uchodzenie par, a następnie spokojne opadanie lawy, stało się niepodobnym; nastąpiło przez to gwałtowne wyrzucenie żuzli i lawy, lub téż wierzchołek krateru, stożkowato pędzone żuzle wyrzucać musiał. Te rozmaite zajścia połączone ze szczelinami, rozpęknięciami i wzniesieniami przez skurczanie się wynikłymi, które także do utworzenia wyżej opisanych wałów przyczynić się mogły, podają według mniemania autora, całkowite wyobrażenie sposobu, jakim się utworzyła tak nierówna powierzchnia księżyca.

Czy kratery księżycowe i teraz jeszcze są czynnymi, trudno powiedzieć z pewnością; powierzchnia księżyca w większej części jest niewątpliwie ostygła, wszelako tak rozmaite natężenie światła różnych okolic téj powierzchni, każe się domyślać ogniowego działania, chociaż może i rozmaita gładkość powierzchni, lub co jest najmniej prawdopodobnym, różnaitość ciał, odbijanie się światła zmienia. Te jednak tłumaczenia byłyby niedostatecznymi, jeżeli nie dla kraterów, to przynajmniej dla jasnych pasów ciągnących się nieprzerwanie przez góry i doliny; tak, że świecące wały któremi naokoło okrążone są ciemne doły i powszechne rozpostarcie światła, rozchodzącego się od jednej lub wielu małych świecących okolic, nieinaczej jak przez działanie ognia wytłumaczyć się dają. Autor uważa te świecące okolice za wyziewy, które się z dna wznoszą; jasnych jednak pasów nie uznaje za ogromne szpary, tylko za chmury, które z wielu u szczytów krateru schodzących się szpar wydobywają się, a przez to oświetlają te szczyty; pary te mogą potem na dnie krateru tak się zgęścić, że jego wały najświetniejszymi się wydadzą.

Ponieważ mało co albo całkiem nic do działań wulkanicznych księżyca woda się nie przyczynia, siarka zdaje się tu główną rolę odgrywać, jak to w ogólności w kamieniach napowietrznych w postaci siarczyków dostrzegano. Wspomniane wyziewy należałoby zatem siarce i innym lotnym stałym pierwiastkom przypisać.

Jakkolwiek nie dowiedziono, ażeby stan wulkanów dziś był czynny, zaprzeczyć jednak nie można, że tam w dawniejszych okresach panowało gwałtowne działanie wulkaniczne, i dlatego na księżycu przez coraz stopniowe i powolne ziębnienie, następowały zmiany tak wyraźne, że w nich przemiany naszej planety jak najwyraźniej widzieć możemy. Jeżeli ziemia początkowo była płynną kulą, musiała więc i ona przez też co i księżyc zmiany przechodzić; należy tylko zwrócić uwagę na tę ważną różnicę, że ziemia równocześnie wodą była okrążona i jój osadami pokryta. I ona początkowo musiała mieć niezmierne łożyska wrzące

lawy, które się z czasem w miarę ustającego działania wulkanicznego zmniejszały. Ale gdzie się te wielkie krater-y podziały? czy wszystkie powoli znikły i zmieniły się na dzisiejsze góry? Leopold von Buch słusznie przyrównywa jedną z wysp Kanaryjskich zwaną Palma, do krateru księżycowego; ma ona średnicę dwakroć taką jaką Kilauea, do której zresztą jest bardzo podobna. Na wyspie Maurycyusza znajduje się podobna okolica, 15 mil średnicy mająca, obwiedziona dokoła spadzistemi wałami, o brzegach z pochylenia na zewnątrz warstw powstających, która, albo jak się domyśla Bailly, należy do wulkanu którego się środek zapadł, albo też jest śladem wielkiej jamy krateru. Dzisiaj mało znajduje się czynnych kraterów; z pomiędzy tych jeden tylko Kilauea ma podobieństwo do wrzącego kotła; wulkaniczne zatem ognie znikły prawie całkiem z powierzchni ziemi. Dzisiejsze nasze wulkany znamionują się głównie tylko wybuchami ze swoich szczytów i strumieniami lawy, która z rozpadlin gór wypływa.

Autor przechodzi od wulkanów księżycowych do początku mineralogicznej natury, przez ogień wypartych skał, a najprzód rozbiiera to ważne pytanie: dlaczego wulkaniczne okolice w środku stałego lądu, feldspat mające, ze skał niewarstwowanych składać się powinny; gdy przeciwnie, powierzchnia zewnętrzna tylko z bazaltowej lawy jest złożona. Scrope, Leopold von Buch i inni, dostarczają na poparcie zdania tego przykładów; to zjawisko daje się równie postrzegać tam, gdzie wulkaniczne wzniesienia rozpadlinami są poprzedzielane, jeżeli zaś to nie ma miejsca, natenczas daje się postrzegać kamień brzmiący (*Klingstein*) na szczycie ostrokręgu albo grzbietu.

Autor usiłuje to zjawisko wyjaśnić przez:

- 1) Ruch, jakiemu wrzący płyn podlega.
- 2) I przez mniejszą topliwosć feldspatu, w porównaniu do innych ciał stałych. W wielkiem gotującym się łożysku, gorętsze cząstki płynne musiały koniecznie, jak to widzimy w każdym wrzącym kotle i teraz nawet w kraterze Kilaue-

ea, do góry się wznosić, potem na wszystkie strony rozlewać i tym sposobem ruch kołowy sprawiać.

Wrzenie lawy na ziemi pochodzi po większej części od wodnych i siarkowych wyziewów, które przez nią do góry się wnoszą, takową wzdymają i nakoniec w postaci baniek ulatują. Trudniej topiący się feldspat, wszędzie gdzie tylko temperatura nieco mniej zwyczajnego punktu topliwości dochodzi, znajdzie się w stanie stałym i nieroztopionym, przez co część masy płynniejsza tém łatwiej do góry się wznosi i od feldspatu coraz bardziej oddziela; dlatego środek całego działania musi się koniecznie z feldspatu składać. Wierzch krateru, podług rodzaju masy z jakiej się składać może, bazaltowe lub téż feldspatowe kamienie wyrzuca; przeciwnie, jeżeli gwałtowne działanie z głębi pochodzi, wtedy feldspatowe tylko kamienie będą wyrzucane. W tymże czasie bazaltowe lawy, które około wielkiego środka krążącego układu ku zewnątrz się wnoszą, jako boczne wybuchy ze szczelin zostaną wypchnięte; oprócz tego, mogą jeszcze od środka krążącego układu dalsze źródła rozlewać lawę, która wspomnianym odłączeniu zapewne jeszcze nie uległa, i właśnie takie najczęściej mogłyby się przytrafiać.

Góry z feldspatowem, jądrem a bazaltową powłoką, dają się tylko w ten sposób wyjaśnić, że feldspat najprzód wyrzuconym został, albo że dwa odmienne układy pęknień, do utworzenia góry wpłynęły, jak to pięknie i wyraźnie księżyc przedstawia.

Autor dotąd uważał lawę jako złożoną głównie z feldspatu i augitu, a z ogólnego na obydwu zapatrując się stanowiska, pod pierwszy podciąga wszystkie minerały do szeregu feldspatowego należące, a pod augit inne topliwe ciała: bądźto zwyczajny augit (krzemionka wapna, magnezy i żelaza), bądź krzemionkany o jednej lub więcej z tych zasad, lub téż o glinie w rozmaitych połączeniach. Wprawdzie, nie znając zupełnie prawdziwej topliwości części składających lawę i ich naturalnego stosunku, hipotezę powyższą do niektórych tylko mogliśmy stosować przypadków; wszelako wiemy, że minerał nietopliwy pod pewnemi

warunkami staje się topliwym, a połączony z pewnego rodzaju innymi minerałami, może się utrzymać ciekłym przy temperaturze niższej od swego punktu topliwości, albo już przed oziębieniem się w inne przejść połączenia.

Z takowego odzielania się feldspatu, możnaby zapewne o podobnym działaniu dla trudniej topliwego kwarcu wności: jednakże to nie zdaje się być rzeczywistym, gdyż trachyt często w wielkiej ilości ten minerał w sobie zawiera, gdy przeciwnie trudno topliwy chryzolit (oliwiec), ma go nieraz mało. Dlatego autor uważa chryzolit jako ciało późniejszego utworu, kiedy już tylko niewiele znajdowało się krzemionki, gdy przeciwnie ostatni w dawniejszych feldspatowych skałach nieraz znajduje się aż nadto obficie. Toż samo ściąga się i do innych ciał składających wulkaniczne skały, których pierwiastki zawsze jednakie, wszakże bardzo różny stosunek mają; co późniejsze dopiero dochodzenia mogłyby rozstrzygnąć.

Główna zasada na której autor swoje pomysły opiera, dostatecznie jest dowiedziona przez żuzle albo zeszkłą powierzchnią każdego otworu kraterowego, gdzie się takowy znajduje; właśnie bowiem ta zeszkłona masa tworzy najtopliwsze części lawy, i składa się zwykle z krzemionkanów alkalicznych bez magnezyi żelazo zawierających; takie też właśnie ciała, przy zmniejszonym nawet gorącu, są dostatecznie płynnymi, aby pomimo swego ciężaru rozdeptane przez pary, z niemi się na powierzchnię przedarły.

Autor przechodzi teraz do prędkiego stygnięcia, głównie cechującego wyrzucaną lawę, w której tylko część masy w prawdziwym jest roztopieniu. Terazniejszy stan kamieni wulkanicznych, podług niego, nie pochodzi tylko od samego gorąca i parcia, ale też i od sposobu stygnięcia. Feldspatowy środek wulkanicznej góry, jest przykładem powolnego stygnięcia; twarde i gęste głązy powstawały również przez powolne stygnięcie i ciśnienie ich własnej masy; jakoż augit różni się od hornblendy tylko przez krystaliczny stan tej ostatniej. Hornblendy potwierdza to mniemanie częstym znajdowaniem się w trachitach i szklach feldspa-

towych; toż samo ściąga się do miki i innych minerałów. Chryzolit jednak nie należy tutaj, on bowiem powstaje z przedszego stygnięcia, podobnie jak zwyczajne bazaltowe skały, albo lava. Przez powolniejsze stygnięcie, całe feldspatowe góry stają się krystalicznymi, jak np. granit albo syenit; równie i inne minerały, które przy nagłym stygnięciu stają się zwykle nieforemnymi, tutaj przybierają krystaliczną postać.

Sposób wrzenia w wielkim wulkanie, połączony z temperaturą, stopniem ziębnienia i topliwością różnych minerałów, i innych wspomnianych przyczyn, nasuwa wnioski o rozmaitych postaciach, kierunkach i związkach skał przez ogień utworzonych, równie jak i o rozpostarciu wulkanicznych minerałów. Nawet i granitowe skały, gdy ich pierwiastki w płynnym znajdują się stanie, mogą się podobnym sposobem tworzyć. Już przedtém autor wyrzekł swoje zdanie, że granitowe szczyty gór, środkami dawnych wulkanicznych działań były. Otoczone skałami z hornblendy, są one podobne środkom trachitowym gór innych, także zapewne wulkanicznych.

Mniemanie, iż stan utworzonych gładów zależy całkiem od stanu roztopionej masy, z przytoczonymi pomysłami nie da się pogodzić; zdaje się raczej, jakoby z tych samych materyj, podług stopnia gorąca i rodzaju ziębnienia, tu feldspatowe, tam hornblendowe lub téż augitowe kamienie powstać mogły. Proste, feldspat zawierające granity, mogły być w płynnym stanie, podobnie jak porfirowe wały wyrzucone. Kamień w większej liczbie takich wałów, jest augitowej natury, podobnie jak wulkaniczne tamy wynikłe ze źródeł, w których żadne jeszcze oddzielenie części składowych nie nastąpiło. Kamienie zaś ze ściśłym spojeniem, nie mogły się utworzyć w powietrzu, lecz pod ciężarem wielkiego ciśnienia.

Z przytoczonych tu faktów wnosi autor; że we wszystkich epokach zupełnie te same wulkaniczne skały powstawać mogły, byleby tylko powietrze albo woda ziemską nie były zbyt gorące, przez coby ziębnienie przy tworzeniu się nie-

krystalicznych kamieni, zbyt wolno następowało. Żule: bazalt, trap, porfir, syenit, granit, mogły zatem, ostatnią okoliczność wyjąwszy, w każdej epoce powstać; gdyby więc temperatura ziemi po wszystkie czasy, równą terazniejszej była, dawne skały byłyby podobne terazniejszym, terazniejsze dawnym.

W końcu autor zastanawia się nad początkiem lądów stałych, w czém także księżyc ciekawe mu oznaki wskazuje. Jak wspomnieliśmy już wyżej, rozległość księżycy blisko w $\frac{1}{3}$ części jego połowy ku ziemi zwróconej; prawie zupełnie nie ma wulkanów, gdy przeciwnie druga część gęsto jest niemi pokryta. Autor domyśla się, że ta goła część najprzód stwardniała i dlatego najdawniej i najgłębiej ostygła. Stygnięciem sprawione skurczenie się, musiało najprzód na cieńsze, dopiero tworzące się części wypaść, jak stopione żelazo, albo kula ołowiana, przy nierówném ziębnieniu na stronie oziębionej najbardziej się skurcza. Na stałym lądzie ziemskim po większej części wulkaniczne działania zupełnie wygasło, jakto rzut oka na kartę Azji i Afryki łatwo okazuje. Brak wulkanów wewnątrz stałego lądu zwykle przypisujemy brakowi mórz, któreto jednak przypuszczenie zbija peryod sylurski, bo w nim właśnie ląd stały znajdował się po większej części pod słoną wodą, a jednak żadnego wulkanu nie miał. Sylurskie głazy w Afryce i Rosyi dostatecznie tego dowodzą. Przeciwnie wszystkie wyspy na oceanie, mają początek wulkaniczny; nawet koralowe wyspy zdają się mieć ogniową podstawę.

Autor ztąd wnosi, że okolice, które terazniejszy ląd stały składają i początkowo od wybuchowego ognia wolnemi były, najprzód ostygły, i dlatego mniej niż inne ścisnęły się części; tym sposobem powstały łożyska oceanu, które przez ciąg długiego późniejszego peryodu, lubo powoli i w różnych miejscach rozmaicie, większą otrzymały głębokość; jakkolwiek jestto tylko przypuszczenie, jednak ono zdaje się być autorowi mniej bezzasadném niżeli tak często ogłaszane mniemanie: że dzisiejsze morza niegdyś stałym lądem były.

Nizeli łożyska mórz należytą głębokość osiągnęły, cały ląd wodą musiał być pokryty; zdaje się to ściągać i do sylurskiej epoki, co jej rozległe rozpostarcie się wnosić każe. Wysokość wody nad terazniejsze lądy, musiała być zresztą bardzo różna; takie miejsca w których się rozmaite szczątki dawniej żyjących morskich stworzeń znajdują, zapewne tylko płytkie były, albowiem światło i powietrze wtedy jak i teraz do życia zwierząt było koniecznie potrzebne, a tak przypuszczenie nadzwyczaj wielkiej płaszczyzny z wielu lecz płytkimi morzami, jest tém podobniejsze do prawdy.

Śledząc coraz dalej powstawanie lądu, spostrzegamy w każdej wielkiej epoce ustępowanie morza. Pokłady kopalnego węgla świadczą o niezmiernej lądowej vegetacji; już wówczas wysokość lądu musiała się powiększyć a poziom wody zniżyć. Zamiast rzeczywistego podniesienia się lądu, autor przyjmuje rzeczywiste obniżenie morza, którego łożysko stawało się coraz głębszém; nie działo się to jednak nieprzerwanie. W ciągu każdej epoki, tak sylurskiej jako i późniejszej, zachodziły to obniżania się, to rzeczywiste wzniesienia i rozmaite kołysania się powierzchni lądu stałego. Widać tedy, że lubo z początku, skutkiem ziębnienia, tak na lądzie jak i pod morzem, następowało ściąganie się, później jednak z przyczyn miejscowych wywiązane gorąco, rozszerzenie się sprawiło. W trzeciorzędowym peoryodzie, ląd, przez opadnienie morza znacznie się podniósł, jak tego poszukiwania Darwina dowodzą, i autor w swoich geologicznych wiadomościach o oceanie Spokojnym pokazał, że od czasu jak korale rosnać zaczęły, dno morskie na parę tysięcy stóp osiadło. Każda koralowa wyspa może za dowód na to posłużyć.

Dlaczegożby więc dno morskie, równie jak ląd stały, nie mogło się zniżyć? Czy nie samo tylko nierówne skurczanie się całej kuli, wzniosłości i zapadłości na ziemi utworzyło? Czyliż stateczność morza, zmiana lądu geologicznie z pewnością są dowiedzione? Mamyż w ogólności tak dokładne śledzenia geologicznych dziejów łożyska morskiego, aby to pytanie z pewnością rozstrzygnąć?

Prevost skłania się już na stronę teorii opadania mórz, jako przyczyny wzniesień powierzchni; jednak można przeciwko jego mniemaniom różne zarzuty przytoczyć, ponieważ nie miał na względzie podziemnych sił, które mniejsze przeszkody spowodowały.

Naostatek, rozumie autor, rozwinięcie zasad teorii kurczenia się, lepiej ziemskie zmiany i ich rzeczywiste przyczyny wyjaśnia; tłumaczy nadto sposób powstania pęknień, wzniesień, zfałdowań i zakrzywień w czasie twardnienia. Opadanie okolicy morskiej musiało koniecznie zrzucić boczne ciśnienie, a przez to rozmaite kształty zfałdowań wszystkich znaczniejszych gór i innych okolic sprawić. (*Fro-riep Notizen* 1848 nr. 122, 123). J. B.

CHEMIA.

Witryol żelazny (siarkan nied. 1 żelaza lub koperwas żelazny) *przeciw chorobie ziemniaków*. Za środek zapobiegający chorobie ziemniaków, podaje p. *Bouquet* mierzwienie gruntu z witryolem żelaznym. Przyczynę ich choroby upatruje on w ogołoceniu roli przez ciągłą uprawę, z nieorganicznych składających ją cząstek. Zastosowuje tedy witryol żelazny, zgarniając na kupę świeży ze stajni wyrzucony pognój, i posypując go pomienioną solą. Ziemniaki *posiane* na roli, którą umierzwiono tak przyrządzonym pognojem, były zwykle zdrowe: przeciwnie te, którym się dostał nieumierzwiony grunt, okazały się po większej części zepsutemi. Wiadomo, że na łąkach starannie przeoranych i ugipsowanych, udają się zawsze zdrowe ziemniaki, że przeciwnie na gruntach, które już wiele razy wydawały ziemniaki, te ostatnie bywają dotykane chorobą. I zkądże ta ich choroba pochodzi, czy z braku siarkanu wapna, czy z braku siarkanu sody? Z dzieła *Oeconomie rurale* p. *Boussingault* okazuje się, iż ziemniaki, nie mając względu na ich liście, hektarowi ziemi

odbierają 13,9 kilogramów kwasu fosforowego, 8,8 kilogramów kwasu siarkowego, 3,3 kilogramów chloru, 2,2 kilogr. wapna, 6,7 kilogr. magnezyi, 6,5 kilogr. potażu i sody, 6,9 kilogr. kwasu krzemionkowego, 18,6 kilogr. niedokwasu żelaza z glinką. Nie zdarza się żniwo, któreby odejmowało roli więcej niedokwasu żelaza i kwasu siarkowego. (*Journal für praktische Chemie* nr. 2 z r. 1849.)

* *Rozkład przez rozpaloną parę wodną.* P.R. Tilghmann przepuszczał rozpaloną parę wodną przez chlorek barytu, chlorek sodu i chlorek wapni; wszystkie powyższe związki z łatwością zostały rozłożone, a w skutek tego powstały niedokwasy albo ich wodany i kwas chlorowy-wodorodny (solny). Również i siarkany ziem alkalicznych z łatwością tym sposobem rozłożyć się dały, a najprędzej siarkan magnezyi. Przy mocniejszym, to jest do białosci rozpaleniu, nawet z fosforanu zasadowego wapna, kwas zwolna zostawał wypędzany. Siarkany potażu i sody, równie jak i chlorek potasu i chlorek sodu jeszcze łatwiej się rozkładają, skoro z wapnem, magnezyą, a szczególnie z glinką będą zmieszane. Na tej zasadzie alun z łatwością się rozkłada, co równie do pewnego stopnia uskutecznić można i z feldspatem. (*Tamże.*) :

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Trzeci gatunek europejskiego koziorożca (*Capra hispanica*). P. Schimper, konserwator muzeum zoologicznego w Sztrasburgu, podróżując w górach Andaluzji, otrzymał przeszłego lata (1847) kilka okazów wątpliwego dotąd koziorożca, który w tych okolicach mieszka, i w Sierra Nevada i Sierra de Ronda, znany jest pod nazwiskiem *Capra montes* albo *Montesa*.

Już z opisywania andaluzyjskich strzelców domyślał się p. Schimper, że ich monteza nowym jest, przynajmniej dla Europy, gatunkiem, a ten domysł w najzupełniejszą zamienił się rzeczywistość, gdy pierwsze ujrzał zwierzę. Dokładnie przejrzał okazy zachowywane w muzeach mogunckim, frankfurckim i wiedeńskim, tudzież bogaty szereg w British Museum, a oprócz tego, poruszywszy tych wszystkich myśliwców w Picacho de Veleta i Mulahacen, którzy sławnymi byli ze strzelania koziorożców, wkrótce otrzymał od nich aż 8 okazów żądanego zwierzęcia. Między niemi znajdowało się dwóch całkowicie wyrosłych samców, cztero-miesięczny koziełek z matką, i prócz tego druga dorosła samica. Przebywając Pirenee, otrzymał znowu od p. Philippe w Bagnères de Vigorre, trzeciego samca, tego prawie zupełnie tam nieznanego gatunku, z którym się mu dostała i samica koziorożca pirenejskiego. Czy monteza przybywa w Pireneje z południowych gór Hiszpanii, czy też z Asturyi, gdzie ma się znajdować jeszcze jeden koziorożca gatunek, tego autor nie mógł rozwiązać stanowczo; to pewna, że go niema wcale ani w Sierra de Guadarama ani w Sierra Morena, lecz obficie znajduje się w Sierra Nevada. P. Boissier, wstępując na Mulahacen, widział raz trzódkę ze 20 indywiduów złożoną, i autor zastał na wierzchołku Velety kilkoro obok siebie, a jego szwajcarski strzelec ujrzał na tej samej górze, raz 3, drugi raz 7 indywiduów w gromadzie.

Koziorożec hiszpański (*Capra hispanica* Schimp.) wielkością i stosunkami ciała podobny jest chińskiemu (*Capra sinica*). Sierć na nim krótka, bez wełny, na grzbiecie i na bokach ciemno-brunatno-żółta, pod brzuchem i na wewnętrznej stronie nóg, biała. Pojedynczy włos od wierzchołka jest brunatny, od środka w całej niższej połowie popielaty. Głowa jaśniejszego niżeli wierzch ciała koloru, wyjąwszy na twarzy i z tyłu, gdzie jest czarna z białymi centkami; za każdym uchem znajduje się biaława plamka. Czarna plama na tyle głowy przedłuża się w mniej więcej wyraźną pręgę, idącą wzdłuż grzbietu aż do ogona, który

jest mały i kończy się wiązką włosów głębokiej czerności. Tylko samiec ma krótką, równo-ściętą brodę, która mało co góruje, tworząc raczej plamę czarną, kształtu trapeza. Nogi po stronie zewnętrznej, są aż do racie lśkniąco-czarne, a ten kolor zachodzi od przodu aż na piersi, od tyłu przechodzi w czarny pasek, brunatny grzbiet od białego podbrzusza oddzielający.

Rogi są wielkie i grube, u podstawy zupełnie zbliżone, trójkanciaste, kaniem siecznym skierowane do wewnątrz, i mają 12 do 14 poprzecznych wybłędzistości, które u starszych indywiduów prawie się całkiem spływają, ale bardzo wyraźnie poodłączane są od siebie u młodych. Rogi wznoszą się nad czoło prosto i prawie równoległe do siebie, ale potem nagle zakrzywiają się od siebie, tworząc łuk nakłoniony nieco do poziomu, poczem opisawszy pół spiralnego zakrętu, wracają do swojej osi. Rogi nie są tak ciężkie jak kozioróżca pirenejskiego, ale ten sam kolor mają.

Samica jest daleko mniejsza od samca, nie ma u niej żadnego śladu brody, a rogi tylko małe, nieco spłaszczone. (*Fror. Not. nr. 136 z Comptes rendus nr. 10, 6 mars, 1848*).

* W wiosce jednej w Chinach osobliwszym przypadkiem złapany został połoz (*Boa*) (1), gdy młodą świnię połknął. Zakradł się on do chlewa, nie mogąc jednak po połknięciu zdobyć się wy dostać się nazad, zakopał się tylko w wygrzebaną jamę w chlewie. Wąż miał 12 stóp i 9 cali długości; wewnętrzna poprzeczna średnica szczęki jego, wynosiła 3 1/2 cala, obwód karku 9 cali, a największy obwód ciała, po wyciągnięciu świni z niego, tylko 11 1/2 cala. Świnia miała około 3/4 roku, a ważyła przeszło 50 funtów; zachowała się zupełnie dobrze, żadna kość nie była złamana, szczecina nawet nie skrzywiona; po bliższym jednak zbadaniu pokazało się kilka żeber zgniecionych. Niżeli świnią wydobytą została, można ją było przez skórę i mięśnie węża należycie widzieć leżącą; ściany brzucha tak się roz-

(1) Może raczej jutrzyna (*Python*).

ciągnęły, że jak błonka z przedarcia pęcherza przezroczystymi się stały. (F. N. nr. 140 z *The Journal of the Indian Archipelago and Eastern Asia, for Feb. 1848*).

* Anglik Leadbitter postrzegł w ogrodzie swoim w Surrey opodal od krzaków liskami okrytych, siedzącą wielką ropuchę; odłamał gałązkę z krzaka i zaniósł ją do ropuchy, ażeby zobaczyć, czy będzie liszki jadła. Zwierzę z wielką chciwością rzuciło się ku nim, i jedną po drugiej swoim długim językiem zbierało. Karmił tak przez dobry kwadrans ropuchę. Nazajutrz o tym samym czasie przybył do ogrodu; ropucha siedziała znowu na témże miejscu, i znowu otrzymała pokarm od niego. Odtąd codziennie ją o jednym czasie w tém miejscu zastawał i nakarmił, aż póki nie zabrakło liszek tak, że już nie miał jej czém karmić. Zaraz nazajutrz potem, nie przyszła więcj. (*Id. nr. 152 z The Zoologist nr. 64, 1848*)

* Jeszcze dotąd nie są ujednione zdania badaczów co do owęj w pogodne dni unoszącej się pajęczynki, czyli tak zwanego *latu babiego*. Nowy badacz (nazwiska nie wymienił) dostrzegł, że podczas więdnienia i gnicia roślin, wydzielają się z ich środka gatunki gazów, które się zgęszczają jakby w drobne perelki, a te wiatr porwawszy rozciąga na cieniutkie niteczki. najwyraźniej widzieć się dające, gdy słońce jest ku zachodowi. Taka sama przedza rozpościęra się niekiedy i na powierzchniach piaszczystych, gdzie niema widocznego śladu wegetacyi; za rozkopaniem jednak, można spostrzedz, że z gnijących roślin wynika. Przedza ta nie działa ani na magnes ani na elektryczność; spalona w zamkniętém naczyniu, wydaje obfity węgiel. Wszakże zupełnie co innego ogłasza dr. Prestel w Emden. Znalazł on 12 października w dniu pogodnym, trawę okrytą cienkimi nitkami przedzy, na której mnogość drobnych pajęczków postrzegł; w niektórych miejscach wysoka trawa była jakby uwikłana w tę przedzę, a na niej roily się krocie drobnych pajęczków, pod nazwiskiem *Aranea obtextrix*, przez Bechsteina opisanych. Te same pajęczki znajdował i na pajęczynie w powietrzu się unoszącej, przyczém dwa inne pa-

jąków gatunki, *Lycosa saccata* i *Tetragnatha extensa* w znacznej liczbie, na innych miejscach pod przędzą czuwały. W kilka dni później zawiął na pola zimny wiatr południowo-wschodni, a pająki znikły w większej części. D. 19 przy południowo-zachodnim wietrze, znowu się wypogodziło i ociepliło, a pająki *Lycosa saccata* i *Tetragnatha extensa* okazały się powtórnie w licznej zebraniu, lecz drobny *Aranea obtatrix* całkowicie zginął. (*Id. nr. 136 z Isis, 1848, pag. 544*).

* T. Bell Salter doradza użycie chloroformu do zabijania owadów; niewiele jego kropel na gąbce lub na bibule do szklanego naczynia albo do puszki blaszanej z owadami zamknięte, odejmuje im życie w kilku sekundach. Kilka chloroformu kropel wpuszczonych do ściśle zamykającego się pudełka ze zbiorem owadów, zniszczyłyby wszystkich nieprzyjaciół tego rodzaju zbiorów (*Id. no. 154 z The Zool. nr. 67*),

* G. Newport; *Worki powietrzne, i rozszerzenia tchawic u owadów* (1). Liczba i wielkość powietrznych worków najznaczniejszą jest u owadów pszczołowatych, motyłowatych i muchowatych; są one i u niektórych siatkoskrzydłych liczne, ale mniej liczne i mniejsze u jętek, u rodz. *Sialis* i t. p. Zpośród chrząszczowatych, tylko latające gatunki je mają; u bezskrzydłych nigdy się nie znajdują. W rzędzie prostoskrzydłych, są tylko u wędrownych gatunków; gatunki skaczące zamiast nich, mają rozszerzenia tchawic. Naostatek u gąsienic owadów, nie ma worków powietrznych; tworzą się one z rozszerzenia tchawic dopiero podczas przemiany w dojrzały owad, zaczynając od okresu, w którym gąsienica przestaje już pokarm przyjmować. Powolne rozszerzanie się tchawic ulega przerwie w jesieni u tych owadów których gąsienice zimują, a na nowo zaczyna się z nadejściem wiosny; lecz u niezimujących nieprzerwanie się ciągnie.

(1) Porówn. Bibl. Warsz. b. r. tom I, str. 652.

Daléj okazuje autor, że podługne tchawice trzeciego i czwartego działu gąsienic owadów skrzydlatych, po każdej stronie działu wydają gałązkę, która się na dwie części rozdziela, idzie na zewnątrz i otula się fałdą nowego na ciele pokrycia, tworzącego się na kilka dni przed przemianą, pod starą skórą. Te fałdy skóry zastępują tchawicami swojemi odwłokowe skrzela wodnych gąsienic, i stają się później najważniejszym organem zupełnego owadu: skrzydłami. Na rozpostarcie ich podczas przemiany głównie wpływają tchawice, które zamiast, jak w ciele zwierzęcia, rozszerzać się, rozciągają się wzdłuż i przez to częściom tym przynoszą silny krwi strumień, który wyżywia i przedłuża skrzydła. Rozrastanie się tchawic tak w długość jako i w szerokość, jest więc skutkiem silniejszego oddychania. O ile łatwo jest śledzić to rozwijanie się, o tyle trudno właściwy cel worków powietrznych dostatecznie wyjaśnić. Autor przyjmuje z Janem Hunterem, że ich przeznaczeniem jest dowolne zmienianie gatunkowej ciężkości podczas lotu, a więc oddziaływanie czynności mięśni. Napoparcie tego zdania przytacza autor pęcherzowaty kształt organów oddychalnych u rozmaitych zwierząt kręgowych, które mianowicie u ptaków, tak kształtem jako i większą rozległością, najpodobniejsze są organom powietrznym owadów: nawet, równie jak u cięższych albo wcale nie latających ptaków, w tym przypadku i u owadów mniej są rozwiniętemi.

U owadów różnaitość ta zachodzi tak daleko, że gdy u jednego i tego samego gatunku jedna płeć jest bezskrzydła a druga skrzydłata; tamta ma tchawice rozgałęzione poprostu, ta z powietrznemi workami, jak przykład tego daje świetlik i miernica zimowa (*Geometra brumaria*). Według postrzeżeń Newporta, krówka niżeli się przysposobi do lotu, wciąga do ciała więcej powietrza; ciało to nadyma się, i dopiero odtąd w lot się puszcza. (*Id. nr. 140, z The Annals and mag. of nat. hist. no. 5, 1848*).

* Tenże, o rozmnażaniu się mszyc. Tak osobliwy, takie zbroczenie względem innych zwierząt przedstawiający

sposób rozmnażania się mszyc, jak go Leeuwenhoek, Bonnet, Réaumur i inni przedstawili, obudził w autorze ciekawość przypatrzenia się mu na własne oczy. Zadał on sobie nadewszystko rozwiązanie tych pytań: czy gatunki mszyc rzeczywiście w jednej roku porze żywo rodzą, w drugiej jaja niosą? i czy zniesione jaja są prawdziwymi jajami, czy też tylko pokrowcami, służącymi jedynie do okrycia wykształconego już zapłodka i zasłonienia go przed ostrością zimy?

Wybrał mszycę róży; na początku listopada 1842 wniósł na okna nieopalaną izbę, w której się utrzymywała temp. pomiędzy 45 a 50° Fahr. młody pęd różany, który latem stał w gruncie i całkiem był mszycami pokryty. Nie było między temi mszycami ani jednej skrzydlatej, i żadna jeszcze samica jaj nie zniosła. Dopiero w drugim tygodniu listopada, gdy nastąpiły dni zimniejsze, ukazało się kilka indywiduów z początkami skrzydeł, które niedługo przedarły swoje obwicie i odtąd zupełnie się rozwinęły. Te skrzydlate indywidua były po większej części samczemi; jednocześnie z niemi zjawilo się mnóstwo młodych zwierząt. Na dniu 30 listopada liczba indywiduów skrzydlatych znacznie się pomnożyła; wiele miało dopiero początki skrzydeł, a tak oczka na liście jak liście same i gałązki różanego krzaka, były w tym czasie czarnemi jajami pokryte. Widział autor jak jedna mszyca dwa jaja zniosła; wziął z nich jedno na mikroskop i przekonał się że nie jest wcale pokrowcem zapłodka, tylko całkowicie odpowiada prawdziwemu jajcu. Jaje zaraz po zniesieniu jest żółte, wkrótce jednak coraz ciemnieje, a nareszcie staje się błyszcząco-czarnem. Tę zmianę koloru sprawia sam pigment skorupy; nie jest on u wszystkich gatunków jednakowy. Jaja są mocno przyklepione do rośliny, pod względem budowy podobne jajom innych owadów; ich żółtek pomarańczowy, utworzony z żółtych, jądrem opatrzonych komórek, a otoczony skąpem tylko, przezroczystem białkiem; zarodkowy pęcherzyk jest bardzo wielki, zarodkowy znaczek bardzo wyraźny; tamten, czterokroć tak wielki jak komórki

żółtkowe, znika dopiero wtenczas, gdy już jaje pewien czas poleży, a pod mikroskopem dosyć mocne naciśnienie znosi.

Ażeby zobaczyć jak niesione są jaja, wybrał autor dwa męzkie niezupełnie jeszcze rozwinięte, i dwa wielkie żeńskie indywidua; posadził je na różanej gałęzi i nakrył dzwonem szklanym. D. 2 grudnia ujrzał przy ciepłe izby 58° F. że samice nie niosły jaj, ale raczej żywy płód rodziły. Najprzód tylny koniec młodego zwierzęcia ukazał się z ciała matki, wyszedł za nim tułów z nogami, potem nastąpiła przerwa, na której końcu dopiero uwolniła się głowa. Sposób jakim matka uwalniała się od swojego płodu, był dosyć zajmujący; kiedy płód znacznie się już z niej wysunął, ujął się mocno gałęzi, gdy tymczasem matka z krótkimi przestankami naginała ciało do góry, i tym sposobem łagodnymi potrąceniami pomagała mu dalej się wysuwać. Cały akt urodzenia odbył się w 5 minut; żadnego popłodu (foetal covering) nie mógł autor odkryć. Nowo urodzona mszyca, natychmiast, polazszy wolnym krokiem po liściu, opuściła matkę, a ta zatopiła dziobek w roślinę, ażeby się na nowo pokarmem zasilić. Tym sposobem, postrzeżenia autora sprawdzają to, co dawniejsi badacze podali. (*Id. no. 136 z The Zoologist, nr. 72, 1848*).

* Franc. Walker, *Wędrowniki mszyc* (1). Niektóre gatunki mszyc peryodycznie z jednej na drugą roślinę wędrują. Mszyca róży (*Aphis rosae*) z téj rośliny przechodzi na oset; *A. dirrhoda* z róży na trawiaste i liliowe rośliny, a ze zmianą pokarmu, zmienia i sposób życia. Z zaprowadzeniem rozmaitych gatunków róży, powiększyła się nie tylko żywność ale i liczba rozmaitych mszyc gatunków. *Aphis tri-rhoda* przechodzi z róży na orlik; ale *A. tetra-rhoda* i *A. rosarum* zdają się żyć tylko na róży. Mszyca owsu (*A. avenae*) zjawia się najprzód na trawach, niżej potem na zboża przejdzie. Mszyca iwy (*A. capreae*) przechodzi z powoju na baldaszkowe rośliny; mszyca pokrzywowa (*A. urtica-*

(1) Porówn. Bibl. Warsz. r. b. tom I, str. 654.

ria) z pokrzywy na jeżyny. Mszyca chmielu (*A. humuli*) żyje zrazu na tarninie, ale podczas lata żywi się także chmielom, wszakże tylko wtedy, gdy tarnina jest niedaleko; dlatego nie należałoby nigdy jej rośnienia w bliskości chmielu dopuszczać. *A. ulmaria* żyje na gatunkach janowca, ale wśród lata żywi się także komosą (meadow - sweet)? i na grochu, bobie, koniczynie, wyce i innych z motylkowatemi kwiatami. Mszyca sałaty (*A. lactucae*) pospolita jest także na łoczycach i podobnych im roślinach, a sposób jej życia stosuje się zawsze do obecności lub braku sałaty albo czarnych porzeczek, co oboje chętnie odwiedza. Mszyca kapusty (*A. brassicae*) mieszka właściwie na brzoskwini (*Crambe*) i dzikiej gorczycy; po wprowadzeniu warzyw z południowej Europy, powiększyła się jej żywność. Mszyca śliwy (*A. prunæ*), od wprowadzenia tego drzewa do europejskich sadów, na niem osiadła, a że początkowo żyła na trzcinie, zowie się także *A. arundinis*. Mszyca jabłoni (*A. mali*) i jarzębu (*A. sorbi*) mieszka na głogu, jabłoni, niespliku; na *Sorbus domestica* i jesionie. Mszyca brzoskwini (*A. persicae*), po wprowadzeniu tego drzewa do Europy, osiedliła się na niem; gdy druga jej nazwa *A. prunicola*, oznajmia jej pierwsiastkowe siedlisko. Mszyca orzecha (*A. juglandis* i *A. juglandicola*) towarzyszyła orzechowi w jego wędrówce na zachód z Persyi, ojczyzny tego drzewa, moreli i brzoskwini. Mszyca jodły (*A. abietina*) i niektóre inne na szyszkowatych żyjące, przybyły zapewne ze świerkiem do Anglii. Mszyca maliny (*A. rubi*) pospolita jest na malinie i jeżynie, ale podczas lata mieszka także na kukliku (*Geum urbanum*), na zwyczajnym owisie i na jednym gatunku wierzbówki (*Epilobium*). Mszyca goździka (*A. dianthi*, zwana także *A. vulgaris*, *A. rapae*, *A. vastator*) żyje na mnóstwie oranżeryjnych roślin. Mszyca szczawiu (*A. rumicis*) zdaje się zimować na ciernistym janowcu (*furze*), na którym w jesieni jaja składa. Latem nawiedza pola zasiane bobem, ale żywi się także złotym deszczem (*Cytisus laburnum*), topolą, gatunkami szczawiu i innymi roślinami. Przeszłego lata w bardzo wielkim

mnóstwie ukazała się na złotym deszczu, i przywabiła pszczoły dzikie swoim cukrowym wydzielaniem. Biedrzonka także (*Coccinella septempunctata*) w niemałej liczbie towarzyszyła tej mszcy. (*Id. nr. 144 z Annals and mag. of nat. hist. nr. 5, 1848*).

* Okolice Himalai nawiedzone zostały w r. 1843 szarańczą gatunku z czerwonymi i innego z żółtymi skrzydłami dolnemi. Koło Bennourie, na drodze do Almorah, okryła ona, jak donosi Westwood, w połowie października drzewa i krzewy w takim mnóstwie, że gałęzie na palec grube łamały się pod jej ciężarem, a ziemia, jakby czerwonym kołniercem, pokryta nią była. Donoszący widział, jak te zgubne zwierzęta w kilkumilowej rozległości rozciągały się gęstą chmurą, zaciemniającą światło słoneczne; lektykarze którzy go nieśli, wiele od niej ucierpieli. Młode zwierzę ma dolne skrzydła jasnoczerwone, dojrzałe ciemniej czerwone, koloru indyjskiej farby czerwonej. W lipcu następnego roku, gąsienica żółtej szarańczy, której autor doniesienia, mimo swój 19letni pobyt w Indyach, nigdy przedtem nie widział, tak się w tej okolicy rozszerzyła, jak rokiem pierwej dojrzały owad; pagórki koło Nusseerabad w milowej rozległości okryte nią były. Gąsienica ubarwiona jest pomarańczowo i czarno; głowę ma jasno-żółtą, pod i za oczami kolor ciemno-żółty rezedy; nogi tylne jasno-żółte, czarno pręgowane; kikuty skrzydeł (*winglets*) jasno-żółte z mglistymi ciemnymi plamami; różki czarne. Dwa jednak pierwsze stawy żółte. Obydwa gatunki zdają się być autorowi nowe, wszakże je tylko za różnice płci uważa: gatunek czerwony ma za samice; obydwie należą do rodzaju *Colias*. (*Id. nr. 143 z The Annals and mag. of nat. hist. nr. 2, 1848*).

* Westwood uważał ogromną mrówkę białą na polach, na których się uprawia trzcina cukrowa w Indyi. Gniazda tych owadów sąto małe, stożkowate, około 6 cali wysokie pagórki ziemi, które na 5 do 20 stóp oddalone bywają od siebie. U góry ziemia wolna tylko leży, ku wewnątrz zaś budowa jest daleko stałsza; do środka prowadzą 3 lub 4

kanały, rozchodzące się od głównego wejścia. Autor rozrzucił takie gniazdo, ale już po 10 minutach mrówki zaczęły na nowo je stawiać, tak, że gdy powrócił tegoż dnia po południu, robota skończoną już była. Robocze miały prawie $\frac{1}{2}$ cala długości. Inna, cztery linie długa mrówka, robi gniazdo w drzewie smaczeliny (*Garcinia mangostana*); jest ono podobne do gniazda ziemnych pajaków, nierównie jednak cięższe i mocniejsze; ma kształt piłki a od zewnątrz okryte jest liśćmi smaczeliny, które pewna przędza wiąże. Indywidua skrzydlate mają zielony kolor; ukąszenie roboczych jest bardzo bolesne, a całe gniazdo napętnia się wyziewem mrówczanego kwasu. (*Id. nr. 138 ex eod.*)

* Zdaniem Reinigera, tak nazwane pszczoły posłannicze (*Spurbienen*), nim się do opuszczonego ula wprowadzą, odwiedzają go na kilka dni piérwój, czyszczą i dopiero potem wprowadzają rój do niego. Przy zbliżającym się czasie rójki, widział autor z początku tylko wyloty swoich próżnych ulów obcemi osadzone pszczołami; wkrótce potem znalazł ule pełne pszczół, które z wielkim pośpiechem i obudzonym zapalem miejsce uprzętały, co wieczór odlatywały, a znowu rano powracały. Po tém pilném, około 8 dni trwającym krzątaniu się, do każdego z przygotowanych przez nie ulów wprowadził się rój obcy w najlepszym porządku, i wszystko w najpożądańszy ułożyło się sposób. Wszyscy autorowie uważają tatarkę i grykę (*Polygonum fagopyrum* i *tataricum*) jako jedną z tych roślin, które najulubieńszego pszczołom pożywienia dostarczają. Autor nie może zgodzić się na to; zasiał on kawałek gruntu tém zbożem, lecz ani jednej pszczoły na jego kwiatach nie widział; gdy na ogóreczniku, na rezedach, na kwiatach jabłoni i wiśni mnogość ich osiadła. (*Id. nr. 144, z Würtemberg. naturwissensch. Jahreshfte. Heft 1, 1848.*)

* Plieninger, któremu świeżo z poczwerek wyklute i zaraz na śpilki pobrane samiczki prządki *Gastropacha quercus* jaja poznosiły, uważał, że wiele tych jaj, mimo niewątpliwe niezapłodnienie, płodnemi były; utrzymuje nadto, że niezapłodnione jaja tém się od zapłodnionych różnią, iż na

piérwszych skorupka prędko się marszczy i zapada, gdy drugie, aż do wyjścia gąsieniczek, zachowują kulistość. (*Id. nr. 147 ex eod.*) (1).

* Na posiedz. Akad. um. Bruxelskiej d. 15 sierpnia r. z. p. Karol Morren przedstawił klassie umiejętności postrzeżenia, które czynił podczas lata r. 1847 i 1848 nad obyczajami liszek zwanych *processyonarnemi*, nocnego motyla *Bombyx processionea* Lin. (prządka towarzysz Kl.) i nad chorobami w które ten szkodliwy owad ludzi i zwierzęta wprawuje.

P. Morren uważał w tych obudwu latach, jak gąsienice rzeczone, z poblizkich lasów niemieckich do belgickich doszedłszy, niszczyły straszliwie w tych ostatnich drzewa obudwu gatunków dębu (*Quercus robur et pedunculata*) właściwych lasom Europy północnej, ogoławając je z liści, i przekonał się, że one nie do samych drzew na brzegu lasu stojących, jak sądził Réaumur, spustoszenia ograniczają, lecz postępują i w środek lasu, nawet do głębokości znacznej.

P. Morren przyglądając się tłumom tych niszczycieli, miał sposobność dostrzeżenia, że nie wszystko co Réaumur o nich podał, zgodném jest z naturą rzeczy. Małą jednakże tylko postrzega różnicę w opisanym przez tego wielkiego obserwatora sposobie przechodzenia processyonarnych gąsienic, których wojsko ma na czele swoim jedną, niby woda, potem idzie rzędem pojedynczym jedna za drugą, dalej podwójnym dwie za dwiema, potrójnym trzy za trzema, poczwórnym cztery za czterema i t. d. Ratzéburg, znany niemiecki autor dzieła o owadach leśnych (*Die Forst-Insekten*), który nie widział tych gąsienic w naturze, podaje z zapewnienia p. Nicolai, leśnika westfalskiego, że zadziwiająca ich zmysłność trzymania się jedna za drugą linią doskonale prostą, tem wspierana być może, iż następna uchwyca się pyszczkiem końcowego włosa poprzedniej, i tym sposobem wszystkie wiążą się jak ogniwa w łańcuch. Autor jednak co innego postrzegał; widział, że to wzajemne posprzęganie

(1) Porówn. Bibl. Warsz, r. b. T. I, str. 421.

się zależy jedynie na zanurzeniu głowy gąsienicy następnej pomiędzy włosy poprzedniej, kończące jej tylny koniec ciała i tworzące tam niby szczotkę, której połowa włosów skierowawszy się wtedy zukosa na lewo, a połowa na prawą stronę zanurzonej głowy, tak utrzymują gąsienicę na linii całego szeregu, jak boczne cugle utrzymują konia na kierunku drogi.

Réaumur czyniąc postrzeżenia nad obyczajami gąsienic i motylów prządki towarzysza, uczuł palące świerbienie na rękę, w sparach palców, na twarzy, a nadewszystko wkło oczu; że ledwie do połowy mógł potem otwierać powieki; skóra tak rozcierwieniła się na nim, jak w zapaleniu: powyskakiwały na niej przystudzienice (czerwone plamy) i krosty. Trwało to przez dni 4—5. Cztery damy obecne tym postrzeżeniom znakomitego naturalisty, ani gąsienic, ani ich gniazd niedotykające, z odległości rażone zostały tymże samym pociskiem złego, które ogarnęło ich kark i szyję. Dosyć było laską poruszyć gniazdo owadów, ażeby uczuć szczególniejsze skutki ich władzy. Przytacza autor wielu innych naturalistów piszących o tymże przedmiocie, a którzy tego samego doświadczyli zjawiska. Doznawali go i pasterze, wypędzający trzodę w okolice miejsc gąsienicami processyonarnemi zarażonych; mocno się także wystawiali na nie ścinający drzewa od tychże gąsienic objedzone. P. Nicolai wzmiankuje o koniach, które wprowadzone w okręg działań tych owadów, rozbiegały się i jakby szalone popadały ze zmęczenia. Mówi jeszcze ten autor o nieszczęśliwych zdarzeniach z ludźmi, którzy zasnęli pod dębami obleżonemi przez processyonarki, mianowicie w epoce ich przemiany w dojrzały owad. Borckhausen dalej jeszcze sięga; uważa on, że *Bombyx pityocampa* tak samo działa jak i *Bombyx processionea*, i nie waha się twierdzić, iż jeżeli szkodliwy wpływ tych owadów wywrze się na płuca albo kanał pokarmowy, natenczas i śmierć nastąpić może.

Gdyśmy, mówi autor, uważali 19 czerwca w Lanachen liszki processyonarne, nikt z nas nie doznał najmniejszego symptomatu choroby: służący, którego zwykłem brać z so-

bą na herboryzacye, zdejmował ich gniazda i kładł liszki do pudełka, bez żadnego uczucia dolegliwości; wyznaję wprawdzie, iż na jego narobionych rękach skóra jest gruba. Nazajutrz synowie moi i wielu uczniów kursu botaniki, poruszali te owady wolno chodzące po oranżeryi, nie uczuwszy najmniejszego obrażenia. Gąsienice te były potem pozatrykane i udziały oprzędy. D. 31 lipca scena się zmieniła: Jeden z moich synów przyniósł rano, przy śniadaniu, naczynie w którym świeżo wyszedł motyl; otworzył na chwilę to naczynie, owad jednakże w niem został, i lubo kazałem mu natychmiast je zamknąć, w pół godziny jednak potem, twarz synowi mojemu spuchła, rozcierwieniła się, wystąpiły na nią zaognione plamki; najgorzej naokoło oczu, ale i na szyi, na ręku, na ramionach ukazało się zapalenie połączone z mocnym świerzbieniem. Co do mnie, uczulem to samo w ręce i ramieniu lewém, tojest po stronie, z której się znajdowało naczynie w chwili gdy było otworzone. Pomimo te przestrogi, najstarszy mój syn chciał na sobie skutku doświadczyć; przyniesiono naczynie do pokoju; otworzył je i dobrowolnie na złe się narażał; w pół godziny potem zaczęły mu dokuczać broda, gardło i ręce. Otwierając naczynie, widziano wychodzące z niego mgliste kłaczki czyli kosmki, o których Réaumur już mówi i słusznie im przyczynę złego przyznaje. I żona moja poddała się doświadczeniu: pod jeden taki kłaczek pływający w powietrzu, podstawiła rękę: nie dotknęła się tego miejsca, cierpliwie czekając skutków; jakoż w pół godziny potem, nastąpiło pieczenie, skóra się zarumieniła i przedstawiło się zjawisko, o którym już Nicolai wzmiankuje. P. Nicolai dotknął oprzędu tylko końcem palca który się wnet rozboleł, a przez sympatyą złe od niego na całe ciało się rozszło. Pani Morren, której tylko na rękę upadła przedza, uczuła ból w brodzie i szyi, lubo daleko mniej niż w ramieniu. Ta miejscowa zapalność przez dwa dni trzymała się w swoich granicach, ale trzeciego na całe ciało wystąpiły przystudzienice z gorączką. Zostawiliśmy naturze działanie;

dopiero na piąty dzień chorobne zjawiska przeszły. Radzono nacierania oliwą, mlékciem i kąpiele dla uwolnienia się od téj szczególniejszój choroby, ale doświadczenie uczy, że to wszystko jest bezskuteczne. Réaumur leczył się prędko nacieraniami pietruszką. My zostawiliśmy chorobę naturze. Zapalenie ustało na końcu drugiego lub trzeciego dnia u moich dzieci, a ja miałem przez kilka dni nieco przystudzenie nieznośne sprawujących swędzenie.

Już Réaumur okazał że nie długie włosy liszki to złe sprawują, jakkolwiek uzbrojone są drobnymi kolcami na bokach; lecz że przyczyną niebezpiecznych zadrażnień są włoski krótsze, bliższe skóry i które odpadają w czasie przemiany gąsienicy w poczwarkę. Znakomity obserwator podał niekształtny wizerunek takiego włoska i narysował jako narzędzia złego, dwa ciała które są widocznie łuskami dojrzałego owada, lecz całkiem nieszkodliwymi. Zresztą, czynił on postrzeżenia w wieku, w którym optyczne narzędzia nie były tyle co dziś dokładne.

Schwytalem więc pływający w powietrzu jeden taki kłaczek jakim Borckhausen przypisuje zrządzenie śmierci, jeśli zostaną wetchnięte lub połknięte, a schwytalem go na szkiełko do mikroskopu, nieco zwilgocone. Niezwłocznie podłożyłem go pod mikroskop. Czémże jest ten kłaczek? oto kupkę włosów bardzo rozmaitych co do długości, kształtu, grubości i koloru; jedne pomiędzy niemi są pojedyncze, drugie delikatnie kropkowane; niektóre żółte: największa ich część przedstawia kanał wewnętrzny, napęczniony substancją ułożoną w przerwy. Tu i owdzie dają się widzieć ułamki włosów pociętych, a ku środkowi zwitki, to co Réaumur widział, to jest łuski motyla zdarte z jego skrzydeł, a które ma każdy motyl.

Dojrzałego motyla, tak samca jako i samicę, można brać nieszkodliwie palcami i w rękę; łatwo ścierają się z niego łuski, ale nigdy nie zrzadza tego co oprzęd skutku. Z tego można wnosić, że łuski nie są organami parzającymi, a ponieważ w parzącym kłaczku nie ma nic więcej prócz włosów, je więc należy uważać za narzędzia ten bolesny

skutek tworząca. Zapewne włosy przełamują się i wchodzą w skórę. Réaumur świadczy, że widział włos w środku każdego pryszczyka; być to może, aleśmy, najściślej dochodząc, nie dostrzegali nic podobnego. Nicolai przyjmuje tworzenie się tych środków drażnienia przez sympatyę; i bez wątpienia nie byłoby w tym przypadku przyczyny materialnej. Zresztą bardzo wielkiem jest prawdopodobieństwem, że ulomki włosów złe zrzadzają, a rzeczą jest najprawdziwszą, że sprzęty, jakiegokolwiek przedmioty na które te parzące kłaczkę upadły, długo zachowują własność sprawiania świerzbień o jakich mówiliśmy; wszyscy autorowie zgadzają się na to; a my mniemamy, że własność ta trwa dopóty, dopóki parzące włoski same istnieją. Może też być, że substancja wypełniająca przerwami wewnątrz włosa, ma jakieś znaczenie w zjawisku parzenia, i że rozdrażnienie skóry od niej zależy. Zawsze trudno będzie to pytanie rozstrzygnąć, lecz co w tém najprawdziwsze, iż osobne włoski złe sprawują.

Nie potrzeba dowodzić, że prądka processyonarna niszczoną być powinna wszędzie-gdzie się znajduje, i że obowiązkiem jest władz administracyjnych użyć do tego wszelkich środków jakie są w możności. Jestto istota i dla człowieka i dla zwierząt niebezpieczna, jest owad najprzeciwniejszy wzrostowi dębiny. Już Ratzeburg uważał, że ponieważ samica niesie jaja w szpary na korze, prawie niepodobna do jój jaj dochodzić. Gąsienica będąc towarzyską, sama na swoje wygubienie podaje sposoby, bo można ją massami palić, gdy jest w skupieniu lub w gniazdach. Wszakże przy takiem ich niszczeniu, należy zachować ostrożność, poruszenie bowiem tych mass sprawić może ciężkie choroby. Palą się rzucając po prostu gniazda w płomień zapalanej słomy lub perzu. Nicolai naznacza połowę maja jako epokę ukazywania się gąsienic; myśmy 19 czerwca w zupełnym rozwinięciu je znaleźli. Od pierwszych dni lipca zamieniały się w poczwarki, a 31 pokończyły już niebezpieczne oprzędę. W pierwszych dniach sierpnia wychodziły motylami, lubo Réaumur dopiero 15sty sierpnia na tę

tę przemianę naznaczył. Ciekawą byłoby rzeczą śledzić około tego czasu wędrówki motyla. (*L'Institut* nr. 781, 20 déc. 1848).

* Prof. Fr. Will w Erlandze, ogłasza pod d. 26 czerwca z r. z. we *Fror. Notizen* nr. 142, swoje badania w przedmiocie dojścia rzeczywistej przyczyny szkodliwego działania na skórę, włosów pokrywających liszki niektórych zanic, a mianowicie prządki towarzysza (*Bombyx processionea*). Wiadomo, że kto przybliży się ku znacznemu zebraniu tych gąsienic, a w jakim one zwyczajnie się znajdują; chociażby nawet nie dotykał ich bezpośrednio, doświadcza jednak potem długiego i niemiłego swędzenia. Chemicznymi badaniami przekonał się autor, że wszystkie części tych gąsienic, a w szczególności zielonawo-żółty sok, który wypuszczają z siebie, wyrzuty ich i kanały włosków je pokrywających, pełne są mrówczanego kwasu, i że to on tak dotkliwie na skórę naszą działa. Autor z 50 gąsienic poobcinał włosy, dla oznaczenia stosunkowej w nich ilości tego kwasu. Lecz zaledwie 10 minut nad tą czynnością przepędził, gdy uczuł w głębi nozdrzy oschłość, właściwe ciśnienie z uczuciem drzenia, na brzegu zaś palenie, czemu dopiero przywiązaniem do nosa gąbki zwilgoconej zapobiegł. Przez kilka jednak dni następných niemiłe uczucie na brzegu nozdrzy trwało. Nazajutrz jeszcze po obcięciu włosów z gąsienic, czuł mocne zapalenie wzdłuż dolnej powierzchni łokcia ręki, tudzież na piersiach, na karku, na przodzie szyi, i w niektórych miejscach twarzy. Wszystko to pochodziło z działania na skórę kwasu mrówczanego, którego mnogość zawierają włoski gąsienicy od *Bombyx processionea*, a nawet od *Bomb. neustria*, *chrysorrhoea*, *dispar* i *salicis*, a co większa że tenże kwas postrzegał w łuskach ze skrzydeł tych i wielu podobnych motylów. Pomieniony kwas trzyma się wolno w kanale włoska, tak, że naciskanie pod mikroskopem widocznie go wytłacza. Nie samo więc przyłamywanie się tych włosków w skórze, zapalenie jej sprawia; na żadnym nawet ich gatunku, nie postrzegał wstecznych nacięć; wszystko zatem każe się domyślać, że

włoski wchodząc w skórę, zanoszą tam kwas mrówczany, który jest główną zapalenia przyczyną. Podaje razem sposoby zapobieżenia temu, zależące głównie na obmywaniu bliższych części ciała, zwyczajnym ługiem.

* Szkody, które zrzędziły wielkie liszki zanocnicy, zwanój sówką sosnowcem (*Trachea piniperda*), w borach Geldryi i Utrechtu, podały okoliczność p. A. Brants do uważania pasorzytów w ciele tych liszek, to jest gąsienic much, i do ogłoszenia swoich uwag nad niemi w drugim zeszytce na rok 1848, pisma pod tyt. *Tijdschrift voor wis-en natuurkundige Wetenschappen*, z którego tu wyciąg umieszczamy.

Ratzeburg starannie uważał zależność pomiędzy gąsienicznikami a liszkami, czego dotąd nikt jęszcze nie uczynił względem pasorzytowego utrzymywania się gąsienic niektórych much w liszkach. W tym samym roku co autor, czynił także nad niemi postrzeżenia p. Verloren i tychże samych doszedł wypadków, jak to okazuje ogłoszona treść jego pracy w 37 nrze pisma *Algemeenen Konst-en Letterbode*, na rok 1846.

Dwa tu przedewszystkięm nastęrczają się pytania: jak pasorzyt żywi się w ciele innego zwierzęcia? i jakim sposobem oddycha?

Burmeister mówi w swojej Entomologii powszechnój, że gąsienice gąsieniczników, żyjące w ciele innych tchawicami oddychających zwierząt, kaleczą zapewne którą tchawicę swojego zwierzęcia dla spotrzebowania jęj powietrza. Zamilcza wzmiankę pod tym względem o gąsienicach much, które w jednakowych z tamtymi rozwijają się okolicznościach.

Twierdzenie to zdaje się być autorowi zupełnie bezzasadnym. Jeżeli bowiem żywienie się gąsienicy ciałem liszki, ma mieć ten dobroczynny cel natury, ażeby wyniszczyć liszki, musi w nich gąsienica znajdować trwałe źródło pokarmu i bezpieczny pobyt na zimę, ażeby mogła na wiosnę rozwinąć się w owad dojrzały i ród swój rozmnożyć; to się zaś wtedy tylko stać może, gdy i liszka ze wszystkiemi życia

swojego funkcyami, dotrwa do okresu całkowitego wykształcenia się gąsienicy. Jeżeliby przeto pasorzyt przedziórał w piéj, jak utrzymuje Burmeister, którą tchawicę, skaleczenie takie pociągałoby niechybny zgon liszki, a tém samym i zgon żyjącej nią gąsienicy. Niepodobna także ażeby pasorzyt żywił się tłuszczem (słoniną) liszki, bo chociaż wiemy, że te gąsienice nie mają przyrządu do gryzienia, lecz tylko pokarmowe materye wsysają, to nie można jasno sobie tłumaczyć sposobu, jakby się mogły żywić nie kalecząc organów potrzebnych do życia drugiemu zwierzęciu. Pasorzyt zaś musi mieć równie pokarm jak i powietrze do oddychania. Ratzeburg przez pilne śledzenie życia gąsieniczników, wiele się przyłożył do wyjaśnienia niektórych okoliczności; podług niego gąsienice gąsienicznika nie leżą między organami liszki, lecz są otoczone pęchérzem; Verloren znalazł ten pęchérz i u innych pasorzytów. Najważniejszém Ratzeburga odkryciem jest, że tchawice gąsienicy późniéj dopiéro powstają; w piérszym zaś okresie życia pasorzytów, nie ma ich wcale, muszą przeto innym oddychać sposobem. Późniéj, mówi, rozwijają się tchawice, lecz jak one wchodzą w związek z powietrzem atmosferyczném, tego dotąd nie wiemy.

Z gąsienicami much rzecz się ma jeszcze inaczej: nie znamy u nich tak istotnéj zmiany organów dopóki są gąsienicami; od piérszej chwili swojego istnienia, mają już należycie rozwinięte organa oddychania. Tu więc przyjmować życie bez atmosferycznego powietrza, byłoby rzeczą tak niepojętą, jak wystawić sobie kaleczenie organu oddychalnego liszki i odychanie jéj kosztem.

Autor przechodzi tedy do własnych postrzeżeń, i najprzód zastanawia się nad pokarmem gąsienicy. Liszki mają już około $\frac{1}{3}$ swojej całkowitéj długości, gdy różne much gatunki, wszystkie prawie do rodz. *Tachina* należące, jaja na nie składają. Późniéj zamiast jaj, znajdujemy młode gąsieniczki w ciele liszki; tu zostają one aż póki się liszka nie zamieni w poczwarkę, wtedy téż i gąsienice zupełnie już dorosły, i także przechodzą w poczwarki, a to w ciele liszki.

Liszki przeto muszą jeszcze dłuższy czas rosnąć i utrzymywać się, dostarczać swoim gościom pożywienia, dać im przestrzeń do rozwinięcia się, i nie pierwój dozwolić im wysać się, dopóki ich gość sam do stanu poczwarki nie przejdzie. Ani można pomyśleć o tém, ażeby liszka miała być do ostatka wyjedzona. Ratzeburg mówi wprawdzie, że gąsienice much wolno się czolągają w liszce i wyzerają ją wewnątrz; autor, który więcej jak sto takich liszek otwierał, nie widział w żadnej nic podobnego. Verloren widział gąsienicę od *Tachina glabrata* w pęcherzu leżącą. a dopiero w ostatnich dniach jęj gąsieniczego życia, wolno się czolągającą. Autor znajdował wszystkie gąsienice much w pęcherzu, w którym nawet poczwarkami jeszcze leżały. Otworzywszy liszkę żyjącą, prawie zawsze znajdziemy pęcherz w nięj zniszczony; często nawet i wtedy, gdy spirytusem poprzednio była zabita, i ztądto zapewne powstało mniemanie Ratzeburga, wbrew któremu autor zawsze znajdował nietylko pęcherz i w nim gąsienicę, lecz i wszystkie organa liszki w nienaruszonym stanie; słonina tylko była opodal od okolicy, w której gąsienica leżała.

Z drugiej strony, już Schröder van der Kolk okazał, że gąsienice much, lubo są potężnymi narzędziami gryzienia opatrzone, nie używają ich jednak do żadnego niszczenia, ale raczej cieciami się żywią. Ratzeburg potwierdza to podanie; według tego więc zdaje się być rzeczą prawdopodobną, że gąsienice żywią się sokami, które liszka przygotowuje do rozwinięcia pewnych tylko organów, i że te tylko jęj materye spożywa, które liszka podczas normalnego stanu wewnątrz siebie zgromadza, ażeby ich do późniejszej przemiany użyć. Pęcherz w którym gąsienica leży, wciąga przez endosmozę żywiącą ciecz i zabięra ją liszce, nie szkodząc jęj organom w żaden inny sposób, tylko że ją tęg cieczy pozbawia. Lubo to pozbawienie musi naostatek zgon liszki pociągnąć, z początku jednak nie szkodzi żywo-tnym funkcyom zwierzęcia, i zabija je tylko wyrzuciem z sił, które niepodobnym czyni przemianę w dojrzały owad.

Autor śledził powstawanie rzeczzonego pęcherza, który on zapewne najpięrwój widział, a Verloren najpięrwój opi-

sał. Skoro przy końcu czerwca 1845 roku, pierwsza wiadomość o rozmnażaniu się liszek w borach doszła do uszu autora, udał się on po nie i w jednym lesie jodłowym pod Arnhem, dokoła wzniesieniami ziemi otoczonym, miliony ich znalazł, po większej części w ostatecznym wzroście. Ale w téjże co liszka mnogości, były i nieprzyjaciele jój, różne gatunki much z rodz. *Tachina*. Wszędzie je można było widzieć latające ponad liszkami, siadające na nich, niosące im na gołą skórę jaja: wszelki obronienia się sposób ze strony liszki był nadaremny. Jaje przyklejało się właściwą sobie wilgocią do skóry na liszce, a wykluta z niego gąsienica hakami opatrzona, dziurawiła jój skórę, złożoną po największej części z chityny. Wkrótce tam gdzie gąsienica leżała, tworzyła się wystająca czarna plamka, po dokładném uważaniu zdająca się być otworem wśród stwardniałej rogowatej w tém miejscu skóry, a pod nim lejkowata przestrzeń pod skórą. W téj lejkowatości wisiał zamknięty, zcieniutki włóknistej skóry utworzony woreczek, a w nim gąsienica. Zdaje się, mówi autor, że on nie należy do gąsienicy, bo nigdy nie ma budowy jój skóry właściwej.

Podług Platnera, skóra owadów składa się ze dwóch, podług Strauss-Dürckheima, ze 3 warstw odmiennych: ze skóry włóknistej, z naskórka, i z pigmentu.

Nie chce tu autor rozstrzygać, ale tego jest pewny, że skóra jest tkanką włókien w której się wyłącza rogową treść, chityną albo entomoliną zwana, i że pod tą skórą leży nader cienka, ściśle z nią w każdym punkcie łącząca się błonka. Autor nie ma jój za właściwą skórę (*derma*), lecz za ową skórkę, która według postrzeżeń Van Hovena i de Vriese'go, wszystkie wewnętrzne części liszek otula i pod którą soki się poruszają. Młoda gąsienica przekala, podług niego, skórę, w skutek czego wyłącza się ciecz, która ją zalewa (1). Gąsienica rośnie odtąd wido-

(1) „*Die Made von ihr vernichtet wird*” musi być błąd, z uwagi niemieckiego tłumacza wynikły; to samo niżej o gąsienicy: *und verbleibt als einfache Faserhaut*”.

cznie, że jednak wyłączoną wilgoć wkrótce zużywa, a miejsca na skórze w których leży, zamknięte są przed wpływem powietrza, przeto nie może tu rozwinąć się zupełnie, i pozostaje jako prosta skóra włóknista (?). Gąsienica u której organa oddechowe na tylnym końcu ciała leżą, tak się zawsze układa, że głowa jej do wewnątrz liszki, tylny zaś koniec do zewnątrz jest zwrócony; rosnąc, dostaje się zawsze głębiej w ciało liszki, a wkrótce skóra z włókien obściela ją workiem, jakby kiszkowa przysadka założonym pomiedzy organa liszki. Gdy zaś i ten worek wyścielony jest delikatną błoną, która wszystkie miękkie części otacza i pod którą soki krążą, następuje zatem ciągły przyptyw pokarmu, a gąsienica żadnej części liszki nie kaleczy i przez pośrednictwo lejkowatego otworu worka, zostaje w związku z atmosferycznym powietrzem.

Wypadałoby jeszcze objaśnić przeznaczenie i tworzenie się rogowatego lejeczka. Część rogowata jego zaczyna się przy skórze, a kończy się tam, gdzie leżą organa oddechowe gąsienicy; znajduje się przeto na samym przepływie powietrza. Autor już wspomniał, że w miejscu w którym spoczywa gąsienica, przystęp powietrza jest zatamowany, a że i soki obok gąsienicy, są przez nią zużyte, nie może się zatem utworzyć chityna. Ale tu, gdzie odwrotnie jest położenie rzeczy, soki nie są wciągane, a silny strumień powietrza przyplywa; chityna więc może się tém łatwiej tworzyć, i tym sposobem rogowaty lejek powstaje. Wewnętrzny związek tego lejka z pecherzem nie jest niedościgły; jeśli go nie uznamy za wyrób gąsienicy, do czego téż i zasady nie ma, to musi być częścią skóry samej liszki, bo żadną miarą nie można go za zrzuconą skórę gąsienicy uznawać: jakżeby ona tak wewnętrznie łączyła się ze skórą liszki? jakby mogła obumarła już błona, ciągle się rozszerzać? Takie umiemy sobie dałoby się zawsze sprawdzić znajdowaniem wewnątrz worka wielu zrzuconych skór z narzędziami gryzienia. Nie może téż i błona pod skórą leżąca tego worka tworzyć, bo z jednej strony tkanka jej jest inna, z drugiej worek jeszcze sobą okrywa.

Niniejsze postrzeżenia tłumaczą tak powstawanie jako też i funkcje pęcherza; okazują one, że ten pęcherz jest przedłużeniem się skóry w worek, że pasorzyt nim okryty leży w środku, pomiędzy miękkimi częściami liszki, tak, iż to nie tamuje mu związku z atmosferą; okazują, że gąsienica leży w miejscu, w którym jej przez błonę worka dosyć pożywienia przybywa, ona zaś sama w niczem nie może organów liszki uszkodzić, tylko jej zwolna odciąga soki i stopniowo ją zwątla. Liszka też przygotowuje soki w nierównie większej ilości, niżeli ich w swym stanie potrzebuje; te wyłączają się między jej organami pod postacią słoniny. Ilekroć tylko liszka ma w sobie gąsienicę, a ta dosięgła wielkości znacznej, zawsze znajdziemy tam gdzie ona leży, całą słoninę znikłą, i będziemy mogli przyjąć, że w samym tém i tylko w tém miejscu nastąpiło przestoczenie i wyczerpnięcie słoniny na zewnątrz. Skutkiem tego odciągania soku, przemiana liszki w owad dojrzały staje się niepodobną, i liszka umiera skoro nastąpi czas tej przemiany. A lubo zaród śmierci w niej leży, zmyślność jednak pobudza ją do zamienienia się w poczwarkę; szuka w boru bagnistego gruntu, niesie tam gościa, który ją zamieszkuje i już wtedy wzrost swój uzupełnił, a mając sama niedługo umrzeć, przygotowuje mu bezpieczne schronienie na zimę, daje pomieszkanie, pożywienie i odzież własnemu niszczycielowi, który następującej wiosny wyjdzie z jej zwłok i rozwinie się w owad dojrzały, parzący się i znowu jaja niosący, i którego gąsienicę dalej tymże samym sposobem dzieło niszczenia prowadzą (*F. N. nr. 141*).

* Znaczna liczba w wodzie żyjących gąsienic owadów, lubo ma niekiedy w zupełności przyrząd tchawicowy lądowych, opatrzona jest jeszcze organami do odłączania z wody powietrza na oddychanie. Organa te, dające się ze skrzelami ryb porównać, i nawet skrzelami zwane, tém się różnią od rybich, że nie jak one krew, tylko powietrze przewodzą. Porównanie jednych z drugimi okazuje nam, jak natura przy wielkiem bogactwie postaci, zawsze się je-

dnak zgodności z celami swojemi pilnuje: obydwaj przyrządy wyłączają z wody je obmywającą, powietrze, które w skrzelach ryb naczynia krwionośne bezpośrednio przyjmują, a u pomienionych gąsienic, które nie mają naczyń krwionośnych, skrzela wyłączają je z wody i do tchawic prowadzą.

U ryb skrzela położone są na bokach głowy, a woda nie mi czerpana do paszczy się dostaje; u gąsienic wielkiej ważki (*Libellula*) skrzela leżą w kiszce odchodowej, woda wpływa odchodkiem, drogą jakiej drugi przykład tylko strzykwki w całym królestwie zwierzęcym przedstawiają.

P. Leon Dufour, w którego wyrazach niniejszą wiadomość podajemy, sam się dziwi, jak przy tylu porównawczonoanatomicznych badaniach, pierwój nie wpadł na myśl zgłębienia tego oddechowego przyrządu, który już opisywali Réaumur, Cuvier i Sucków. Niezmierna mnogość tchawic, ciągnących się od sześciu wielkich kanałów powietrznych do kiszki odchodowej, świadczy o niepospolitem ich znaczeniu. Wszakże rozszerzenie kiszki odchodowej nie tworzy, jak niektórzy autorowie sądzili, rodzaju oddechowego pęcherza, owszem jego wewnętrzne ściany w całej długości wyłożone są sześciu mierzytelkami, symetrycznymi, w obu budwu końcach nagiętymi ku sobie słupami, z których każdy składają dwa rzędy dachówkowato zachodzących na siebie listeczków. Słupy tworzą na początku kiszki odchodowej sześć zaokrąglonych wierzchołków, z których wspólnego połączenia się powstaje kłapa.

Listki tych skrzeli, dokładnie uważane przez mikroskop, składają się z delikatnej plecionki nader cienkich gałązek tchawic, które się łączą z gałęziami większemi, a te znowu z głównymi pniami powietrznego układu. Tym sposobem skrzela gąsienic owadów, sąto rozgałęzienia naczyń, ale się mocno różnią od właściwych skrzeli u ryb, że nigdy krwi, tylko zawsze samo powietrze prowadzą.

Rzeczony listki nie u wszystkich gatunków ważek tenże kształt, utkanie i liczbę mają. U niektórych gąsienic z rodzaju szklarków (*Aeschna*), każdy szereg składa się ze 20

i więcej listków, półkolistych, osadzonych rurkowatemi i włoskowatemi brodawkami, gdy skrzela wązki szerokiej (*Libellula depressa*) mają w każdym szeregu więcej niż sto podłużno-okrągłych, gładkich, ściśle poukładanych na sobie blaszek.

Dla dojścia związku rurkowatych brodawek z układem powietrznym listków, poddał autor narzniętą gąsienicę maceracy; już po dwóch dniach odjąć mógł z łatwością przezroczystą błonkę od wewnętrznej powierzchni kiszki odchodowej; rozczynał na niej przy dokładnym mikroskopnym uważaniu, rzędem ułożone fałdy, przedstawiające wolne brzegi listków skrzelowych, a zarazem brodawkowate workiczki. Zwrócił wtedy uwagę na wolno leżące miejsca odchodowej kiszki; wszystko okazało to samo położenie i rozporządzenie, tylko wyraźniej niż poprzednio. Wielokrotne powtórzenie tej próby dało zawsze ten sam wypadek. Nieraz powiodło się autorowi całą śluzową błonę kiszki odchodowej odjąć. Ze wszystkiego się więc okazuje, że jak krwionośne ryb skrzela śluzowa błona policzków okrywa, tak śluzowa błona kiszki odchodowej, powleka skrzela powietrzonośne gąsienic owadów. (*Id. nr. 138 z Comptes rendus nr. 10, 1848*).

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1847.

W I L N O.

173. Zamek Krakowski, romans historyczny z wieku XVI, przez Autora Listopada. Z godłem:

Et dulce moriens meminiscitur Argos.
Virgilius.

Wydanie Redakcyi Tygodnika. 3 tomy. 8ka. Petersburg. 1847—1848. W drukarni wojennój. Tom I str. XIX i 255. II, 223. III, 314. Złp. 40.

1849.

WARSZAWA.

30. Historia cywilizacyi Rzymu, czyli rozwój społecznienia rzymskiego, napisał Romuald Świerzbński. 8ka. Tom I. Warszawa, 1849. Druk Kom. Rząd. Sprawiedliwości. Kart 4 i str. 312. Złp. 10.

31. Nowy Elementarz polsko-niemiecki podający najłatwiejszy sposób nauczania się w krótkim czasie poprawnie czytać w tych językach, przez autora Nowej Metody. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 1849. Nakład Merzbacha, druk Strąbskiego. Str. II. i 70. Złp. 1 gr. 15.

32. O wyrabianiu nawozów, ich zasilków i bodźców czyli podniet. Podług P. Dumas dziekana wydziału umiejętności uniwersytetu paryzkiego, członka wielu towarzystw uczonych, profesora chemii, i t. d. Wydał Józef Belza. 12ka. Warszawa. 1849. Druk Strąbskiego. Kart 2, str. IV i 123. Złp. 3 gr. 10.

33. Sposób nawiedzania grobów Wielko-Piątkowych, Wyjęty z ksiąg duchownych ku wygodzie pobożnych chrześcian, przez Tomasza z Aquinu Radkowskiego. 12ka. Warszawa. 1849. Druk Tomaszewskiego. Z dwiema rycinami. Str. 48. Złp. 1.

34. *Warschauer Deutsche Fibel nach einer leichten Methode.* 12, *Warschau.* 1849. *Verlag von S. Merzbach.* Druk Strąbskiego. Str. 43. Gr. 20.

35. Życie Świętego Stanisława Kostki w listach brata do siostr, napisane po francuzku przez A. de Blanche, wydane w Paryżu roku 1845, na język zaś polski przełożone i o drugie tyle pomnożone, przez Ka. P. Rzewuskiego, nauczyciela religii przy szkołach rządowych. 12ka. Warszawa. 1849. Druk Ad. Krethlow. Kart 2, str. XI i 426. Złp. 5.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Dalszy ciąg Kroniki Polskiej Marcina i Joachima Bielskich wyjdzie wkrótce z druku. Obejmuje on z nieznanego dotąd rękopismu *Interregnum* po śmierci Stefana Batorego i część panowania Zygmunta IIIgo.

Druk tomu 2go Album Literackiego pod redakcją K. Wł. Wójcickiego, już jest na ukończeniu. Zawierać będzie między innymi ciekawą wiadomość o życiu i pismach dwóch kronikarzy polskich Marcina i syna Joachima Bielskich, napisaną przez F. M. Sobieszkańskiego.

W Wilnie wyszły następne nowe dzieła: „Aben-Hamet”, dramat w 4 aktach (w Kijowie) z muzyką do 3ch śpiewów, w 8ce. „Wymarzony kochanek:” Tadeusza Strzemięca w 12ce.

Znany już w literaturze naszej z kilku uczonych prac w przedmiocie historii naturalnej p. Stanisław Batys Gorski z Wilna, bawiąc od znacznego czasu w Berlinie, zajął się tam wydaniem dwóch pism swoich w języku łacińskim, które ulubioną mu naukę znakomicie rozszerzają. Jedno z tych pism jest botaniczne, drugie entomologiczne. Pierwsze stanowi monografią litewskich gatunków roślin z gromady *Naiadeae* Juss. a mianowicie z rodz. *Potamogeton* i *Chara*, do czego na końcu dodane jest rozróżnienie nowej trawy litewskiej. Należy do dzieła 20 tablic rycin formatu wielkiego arkusza, ażeby mieścić wizerunek całej rośliny w naturalnej wielkości. Tablica 1sza wystawia porównanie owocu 16 gatunków z rodz. *Potamogeton*; tablica 2ga *Potamogeton fluitans*; tabl. 3cia *P. lituanicus* (nowy); 4ta *P. Tyzenhauzi* (nowy); 5ta *P. eburneus* (nowy); 6ta *P. Vaillantii*; 7ma *P. pectinatus*; 8ma *P. filiformis*; 9ta *Chara flexilis*; 10ta *Ch. Reichenbachi* (nowa); 11ta *Ch. Tyzenhauzi* (nowa); 12ta *Ch. saginoides* i *Ch. amoena* (obiedwie nowe); 13ta *Ch. paucicarpa* (nowa); 14ta i 15ta *Ch. aspera* z odmianami; 16ta *Ch. hispida* Lin.; 17ta *Ch. ceratophylla*; 18ta *Scirpus Tabernemontani*; 19ta *Koeleria grandis* Bess.; nakoniec 20ta *Glyceria lituanica* (nowa trawa). Wizerunki gatunków ukoloryzowane z żywych exemplarzy. Entomologiczne dzieło p. Gorskiego, jest podobnież rodzajem monografii gatunków nowych, które autor w Litwie poznajdował. Należy do niego pięć tablic w 8ce, podobnież koloryzowanych z natury. Pierwsza przedstawia dwa nowe gatunki muchowate, zwane przez autora *Tyzenhauzia vespiformis* i *Milesia Wagae*; 2ga nowy pluskwowaty *Myrmecoris lituanica* i pszczołowaty *Alyson Perthesi*; 3cia same pszczołowate: *Prosopis Rinki* (nowy), *Tenthredo adumbrata*, *Tryphon Ratzeburgi* i *T. Gorskii* Ratz. (obydwa nowe). Tablice 4ta i 5ta przedstawiają dwie zanoctnic: *Agrotis exclamationis* i *Apamea basilinea*, z ich przemianami. Obydwa dzieła p. Gorskiego, są już na wyjściu.

Dowiadujemy się także z dzienników niemieckich, że w Berlinie wyszła praca innego botanika Polaka, hr. Leszczyca Sumińskiego, to jest *dopełnienie do nauki o rozwijaniu się roślin paprociowatych*, w języku niemieckim (*Zur Entwicklungsgeschichte der Farrnkräuter*) z 6 tabl. rycin kolorowanych.

Doniesienie dla miłośników starych ksiąg.

Jeden z gorliwych o rzecz publiczną członków Towarzystwa Naukowego krakowskiego, chcąc wesprzeć użyteczne jego zamiary w wydawaniu książek dla kmiotków i własną ofiarą pragnąc przyjść mu w pomoc; w braku gotowizny, przesłał dwa wolumina książek, które nie małą mają wartość dla posiadających biblioteki i zbiory starożytności krajowych. Jeden z tych woluminów zawiera dwa dzieła, z tych jedno drukowane pod tytułem, na końcu umieszczonym:

Johannis de Turre cremata Cardinalis Seti Sixti vulgariter nuncupati explanacio, in psalterium finit. Cracis impressa.

Dzieło to dokładnie opisane w oddzielnej rozprawie w roku 1803 przez *Zapfa* napisanej i przez wszystkich naszych i obcych bibliografów znane, jest niezawodnie drukowane w Krakowie około roku 1465 przez *Güntera Zejnera*, jednego z pierwszych drukarzy, który około 1468 r. pierwszą w Augsburgu założył drukarnię. Exempla przesyłany odznacza się nie tylko najlepszym zachowaniem, ale nadto wszystkie jego początkowe litery pisane są zielonym i czerwonym kolorem.

W tymże samym woluminie znajduje się rękopis następujący:

Psalterz tudzież wszystkie hymny z pisma Ś. w czasie nabożeństw i uroczystości kościelnych śpiewane, po łacinie i niemiecku; zawiera kart nieliczbowanych 107 czyli stron 214, pisany w dwóch kolumnach *in folio*. Na początku każdego psalmu i hymnu jest treść i cel jego po niemiecku. Następnie werset po wersecie naprzód po łacinie, a potem po niemiecku. Wielka część liter początkowych téjże samej ręki co i w poprzedzającym dziele. Treść psalmów pisana czerwoną farbą po niemiecku bez skrótów. Każdy werset łaciński zaczyna się od czerwonej litery, a niemiecki od zielonej.

W drugim woluminie znajdują się trzy dzieła, z których dwa pierwsze lubo *Incunabula*, nie zasługują na szczególną uwagę; za to trzecie ma szczególną wartość bibliograficzną, i dotąd bardzo mało jest znane. Zaczyna się od pisma:

Omnes libri, Beati Augusti Aurelij, de doctrina Christiana Tres, praeter quartum qui tractat de modo pronuntiandi sermones catholicos.

Pierwsze to pismo zawiera nieliczbowanych kart 34, stron 68. W następstwie i zupełnym ciągu drukowym są inne rozprawy i księgi Ś. Augustyna, mianowicie:

De natura summi Boni, str. 20.

De laude et utili, str. 4.

De vera et falsa penitencia, str. 22.

Speculum sive manuale, str. 27.

De contemplacione Jesu Christi, str. 9.

De fide et de Trinitate, str. 31.

Soliloquia (cum registro capitum), str. 45.

De honestate mulierum ad clericos, str. 3.

De contemptu mundi, str. 5.

De correctione et gracia, str. 29.

De simbolo, str. 9.

De Christiana Disciplina str. 8.

De cura mortuorum str. 18.

De conflictu viciorum et virtutum, str. 16.

De predestinatione sanctorum, str. 29.

W całym tym zbiorze dzieł Ś. Augustyna, nie ma ani kart liczbowanych, ani kustoszów, miejsca wydania roku, ani drukarza. Na każdej stronie wierszy ciągłych 40.

Lubo J. S. Bandtkie jeszcze w roku 1821 in *Indice lectionum Universit. Crac.* dał wiadomość o tym starożytnym druku, nie masz o nim wzmianki (prócz H. L. Wiszniewskiego) w żadnym tak zagranicznym jak krajowym dziele. Nie wymienia go w kompletnym zebrawiu wszystkich inkunabulów *Hain (Repertorium Bibliographicum)*, nie wspomina o nim *Brunet*, zapomniał go umieścić *Jocher*.

Druk i papier w tém dziele jest ten sam, co i na początku wymienioném *Jahannis etc. explanatio*, a lubo tak jak w powyższém oznaczonego miejsca wydania nie masz, domyślać się godzi, że jest drukiem krakowskim. Dotąd nie był nigdzie widziany za granicą, u nas w Krakowie już drugi znajduje się exemplarz. Jeden posiada Biblioteka Jagiellońska, a ten drugi był kupiony na licytacji książek po ś. p. X. biskupie *Zglenickim*.

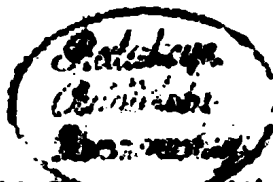
Podwójnie więc dzieła te są dla miłośników narodowych starożytności ważne: raz jako liczące się do pierwszych zabytków sztuki drukarskiej, drugi raz jako pomniki drukarstwa polskiego, które epokę pierwszych w naszym kraju druków o wiele wcześniej niż zazwyczaj mniemano posuwają. Towarzystwo wypełniając zamiar szanownego Dawcy, oddaje dzieła te do nabycia, nie wątpiąc bynajmniej, iż wielu znajdzie miłośników ubiegających się między sobą; tém więcej, że pieniądze ze sprzedaży zebra-
ne, mają być obrócone stosownie do zamiarów Towarzystwa na cel najwznoślejszy i najpiękniejszy, na krzewienie oświaty w stanie włościańskim.

Życzący sobie nabycia tych książek, zechce zgłosić się w tém mierze do podpisanego Sekretarza Towarzystwa. Termin do tego zakreśla się do dnia 1 października r. b.

Kraków d. 17 marca 1849 r.

J. Kremer.

J. I. Kraszewski po długiej rozłące z Tygodnikiem Petersburskim, na nowo wpisał się w poczet współpracowników stałych tegoż pisma.



Redakcyá Biblioteki Warszawskiej.

Marzec 1849.

Dostrzeżeni w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7 względem południka paryzkiego.

| Dnia | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienne | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|------|--|-----------|-------------|-------------|---------------------------|-----------|-------------|-------------|--|-------------|---------------|---------------|--------------|-----------------|---------|---------|---------|--|-------|
| | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | dé- | śnie- |
| | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | | godz. rano | godz. rano | godz. wiecz. | godz. wiecz. | god. r. | god. r. | god. w. | god. w. | szezu | gu |
| 1 | 751.12 | 748.98 | 744.65 | 743.89 | - 2.5 | + 2.2 | + 3.4 | + 2.4 | 83.7 | pogodny | pr. pogodny | pr. pochm. | pochmurny | Pd. | PdW. | Pd. | Z. | | |
| 2 | 744.06 | 746.65 | 746.98 | 747.71 | + 1.2 | + 2.6 | + 3.0 | + 3.4 | 91.2 | pochmurny | pochmurny | dészcz rosi | pochmurny | PdZ. | Z. | Z. | Z. | 3.2 | |
| 3 | 747.51 | 748.33 | 749.08 | 754.24 | + 3.7 | + 5.2 | + 2.5 | + 0.6 | 84.2 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pogodny | PnZ. | Z. | PnZ. | PnZ. | 2.2 | |
| 4 | 758.57 | 760.88 | 760.97 | 760.91 | - 1.5 | + 1.1 | + 5.0 | + 4.0 | 94.2 | pogodny | pogodny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | PnZ. | Z. | | |
| 5 | 760.62 | 761.68 | 759.60 | 758.60 | + 3.9 | + 4.7 | + 5.6 | + 5.3 | 94.2 | pochmurny | pochmurny | dészcz b. dr. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | 0.2 | |
| 6 | 755.64 | 757.87 | 757.15 | 755.38 | + 5.6 | + 5.3 | + 6.4 | + 3.0 | 74.7 | pochmurny | napót pog. | napót pog. | pogodny | PnZ. | PnZ. | Z. | Z. | | |
| 7 | 746.87 | 743.72 | 736.47 | 735.35 | + 4.3 | + 7.6 | + 12.1 | + 7.8 | 69.0 | pochmurny | lek. zamgl. | lek. zachm. | dészcz drob. | Z. | Z. | Z. | Z. | 0.1 | |
| 8 | 736.02 | 737.31 | 736.92 | 736.79 | + 3.3 | + 4.7 | + 2.2 | + 1.2 | 87.5 | napót pog. | pochmurny | napót pog. | pochmurny | Z. | Z. | PnZ. | Z. | 0.2 | |
| 9 | 738.69 | 739.35 | 739.49 | 741.36 | - 1.0 | - 0.3 | - 0.9 | - 2.0 | 95.2 | pr. pogodny | napót pog. | napót pog. | chmurki | Z. | Z. | Z. | PnZ. | | 0.2 |
| 10 | 744.26 | 746.84 | 749.26 | 752.09 | - 4.3 | - 1.5 | - 1.5 | - 4.1 | 83.7 | pochmurny | chm. podz. | napót pog. | pr. pogodny | PnZ. | Pn. | PnZ. | PnZ. | | |
| 11 | 751.52 | 750.97 | 750.74 | 751.58 | - 3.8 | - 0.2 | + 1.2 | + 1.5 | 96.2 | pochmurny | śnieg | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | Z. | Z. | 0.1 | |
| 12 | 749.17 | 746.17 | 741.03 | 738.79 | + 1.2 | + 2.4 | + 1.0 | + 2.6 | 85.7 | pochmurny | pochmurny | dészcz z śn. | pr. pogodny | Z. | Z. | Z. | PuZ. | 0.3 | |
| 13 | 739.53 | 740.04 | 738.52 | 759.37 | + 0.4 | + 0.5 | - 1.3 | - 2.5 | 94.2 | pochmurny | śnieg gęsty | śnieg gęsty | lek. zamgl. | Z. | Z. | Z. | PnZ. | 1.2 | |
| 14 | 743.10 | 744.79 | 745.47 | 749.48 | - 4.7 | - 2.5 | - 2.3 | - 7.3 | 95.2 | pogodny | chmurki | pochmurny | pogodny | PnZ. | PnZ. | PnZ. | Z. | | |
| 15 | 751.06 | 752.83 | 753.10 | 753.16 | - 9.0 | - 6.2 | - 5.7 | - 5.7 | 87.5 | pogodny | pr. pogodny | napót pog. | pochmurny | PnZ. | PnZ. | Pn. | PnZ. | | |
| 16 | 751.46 | 750.74 | 748.61 | 749.03 | - 7.1 | - 3.4 | - 2.7 | - 3.7 | 89.7 | pr. pogodny | pochmurny | śnieg | pochmurny | Pn. | PnZ. | Pn. | PnZ. | 0.3 | |
| 17 | 746.82 | 745.92 | 746.96 | 747.26 | - 4.6 | - 3.1 | - 3.4 | - 4.8 | 92.2 | pr. pogodny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | Z. | PnW. | Pn. | 0.8 | |
| 18 | 745.80 | 747.20 | 748.06 | 750.91 | - 5.9 | - 3.4 | - 3.1 | - 11.7 | 95.0 | śnieg drob. | śnieg drob. | pochmurny | pogodny | W. | PnW. | Pn. | — | 2.4 | |
| 19 | 751.60 | 752.50 | 752.39 | 752.25 | - 12.2 | - 7.4 | - 4.5 | - 9.2 | 85.2 | pogodny | napót pog. | napót pog. | pogodny | Pn. | Pn. | PnW. | PnZ. | | |
| 20 | 750.04 | 747.10 | 740.63 | 742.46 | - 8.7 | - 4.0 | - 2.4 | - 1.8 | 100. | pochmurny | śnieg gęsty | zamiecie śn. | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Pn. | 4.0 | |
| 21 | 750.15 | 752.85 | 754.04 | 754.02 | - 6.3 | - 3.2 | + 0.2 | - 4.6 | 100. | pogodny | pr. pogod. | pogodny | pogodny | Pn. | Pn. | Pn. | PnZ. | | |
| 22 | 755.02 | 755.98 | 756.48 | 755.34 | - 7.8 | - 5.9 | - 2.6 | - 5.1 | 90.5 | pogodny | napót pog. | pochmurny | pochmurny | Pn. | Pn. | PnW. | — | | |
| 23 | 754.59 | 755.76 | 754.62 | 754.56 | - 5.2 | - 0.7 | - 0.5 | - 3.8 | 88.5 | pochmurny | lek. zachm. | pochmurny | pr. pogodny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 24 | 751.52 | 750.71 | 747.42 | 748.18 | - 5.7 | - 2.0 | + 1.1 | - 1.2 | 77.0 | pochmurny | pochmurny | pr. pochm. | pochmurny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 25 | 749.56 | 751.58 | 751.47 | 753.19 | - 3.1 | - 1.1 | + 2.2 | - 1.4 | 96.0 | pochmurny | napót pog. | pochmurny | pochmurny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 26 | 753.16 | 753.73 | 752.63 | 752.23 | - 2.8 | + 0.1 | + 2.2 | - 2.6 | 82.7 | pochmurny | pogodny | pogodny | pogodny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 27 | 749.97 | 749.41 | 747.88 | 747.28 | - 4.0 | + 0.2 | + 0.8 | - 2.5 | 80.2 | pogodny | pr. pogodny | pogodny | pogodny | PdW. | PdW. | PdW. | W. | | |
| 28 | 745.62 | 745.05 | 742.88 | 741.32 | - 0.9 | + 2.5 | + 3.3 | + 0.7 | 87.7 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 29 | 739.48 | 739.71 | 739.74 | 739.91 | + 0.2 | + 0.9 | + 0.5 | + 0.1 | 100. | dészcz | śnieg z desz. | śnieg | śnieg b. dr. | W. | PnW. | PnW. | PdW. | 3.2 | 8.6 |
| 30 | 741.54 | 743.97 | 745.46 | 747.94 | + 0.0 | + 5.3 | + 8.1 | + 1.4 | 87.8 | mgła | pochmurny | napót pog. | pochmurny | PdW. | Pd. | W. | — | | |
| 31 | 748.26 | 749.31 | 749.43 | 750.78 | + 1.2 | + 3.6 | + 4.9 | + 1.9 | 89.0 | pogodny | pochmurny | pochmurny | napót pog. | W. | W. | W. | W. | 0.2 | |
| Sre. | 748.462 | 748.966 | 748.005 | 748.329 | - 2.45 | + 0.18 | + 1.14 | - 1.18 | 88.8 | | | | | | | | | 9.3 | 17.9 |

| | mm. | c. | l. |
|---|------------|-----------|----------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 748.490 | 27 | 7.802 |
| Najwyżej dochodził — d. 5 o 10 g. r. | 761.68 | 28 | 1.649 |
| Najniżej — — d. 7 o g. 10 w. | 735.35 | 27 | 1.994 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 4.80 | | 2.128 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 4 w. | 20.68 | | 9.167 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających | 0.437 | | 0.194 |
| Średnia temperatura Marca wynosi: | 748.927 | 27 | 7.996 |
| i ta jest niższą o | — 0° 58 C. | — | 0° 46 R. |
| od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających | 1.35 „ | | 1.07 „ |
| Największe ciepło dochodziło d. 7 o g. 4 w. | + 0.768 „ | + 0.614 „ | |
| Największe zimno d. 19 o g. 6 r. | + 12.1 „ | + 9.7 „ | |
| (Termometrograf wskazał Maximum: + 10.°1 R. d. 7 w. Minimum: — 10.°4 R. d. 19 r.). | — 12.2 „ | — 9.8 „ | |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.47 „ | 1.98 „ | |
| Największa zmiana dzien. d. 7—8 o g. 4 w. | 9.9 „ | 7.9 „ | |

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 88.8 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 4,62 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 3; napółpogodnych 12; pochmurnych 16:

— deszczu 8 (d. 2, 3, 5, 7, 8, 12, 29, 31).

— śniegu 10 (d. 3, 9, 11, 12, 13, 16, 17, 18, 20, 29).

— krup 2 (d. 3, 8).

Wody z deszczu spadło wysoko na 9.3 millim. czyli 4.12 linij paryz.; z śniegu 17.9 milim. czyli 7.93 linij paryz., razem wody z deszczu i śniegu 27.2 millim. albo 12.05 linij paryz., to jest o 3.71 linij paryz. mniej jak zwykle.

Marzec r. b. był mroźny, suchy, wietrzny, nieco pogodniejszy jak zwykle, zimniejszy o 1.07 stopni R. niż w stanie normalnym, a nawet zimniejszy o 0.14 stop. R. od Lutego r. b. Piérwsze ośm dni i ostatnie trzy dni miesiąca były łagodne, przeciwnie 20 dni, to jest od d. 8 do 28 były ciągle mroźne. Wichry i zadyмки częste. Przez cały dzień 26 i noc śnieg obfity padał. Przez całe dni 3, 7, 20, 24, wichry silne panowały.

Wiatry panujące były: Zachodnie i Północno Zachodnie, a od 23 Południowo-Wschodnie.

Wichrów było 9, to jest Z. 4; PnZ—1. PdW. 4.

Dnia 1 wieczorem koło białe otaczało księżyc.

D. 23, obręcz biała naokoło słońca.

D. 15 o godz. 8 wieczór zorza zodyakalna wyraźna.

D. 1, 21, 27 plamy na słońcu były widzialne.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Marzec 1849.



RYS HYDROGRAFII
KRÓLESTWA POLSKIEGO

Z WIADOMOŚCIĄ O SPŁAWACH.

SKRĘŚLISZ.

Ludwik Wolski.

(Ciąg dalszy).

N A R E W.

Puszcza Białowiezka, około 30 mil kwadratowych obejmująca, położona między 52° 29' i 52° 51' szerokości północnej, a 41° 10' i 42° długości wschodniej względem południka wyspy Ferroë; siedziba zwierząt już w całej Europie wygubionych, szczyci się także wydaniem znakomitęj u nas rzeki Narwi. Po miejscach niskich i nad brzegami strumieni ciągle panująca tu wilgoć i mnóstwo roślin wodnych, tworzą czarnoziem, który aczkolwiek częstokroć ugina się pod stopami człowieka, w jedném tylko miejscu jest trzęsawiskiem, i właśnie ztąd rzeka Narw wypływa. Zabiera ona z sobą największą część wód puszczy Białowiezkiej, z niemi od Surazu aż do połączenia się z Biebrzą otacza prawym swym brzegiem część powiatu łomżyńskiego, dalej przeryna go, jak również

ostrolęcki i pultuski, i nareszcie pod twierdzą Nowogeorgiewską wpada do Wisły, przepłynąwszy w ogóle w Królestwie wiorst 285. Dno jęj szczyrkowate, piaszczyste; największa szerokość do 100 sążni dochodzi. Przy ujściu, a mianowicie od Serocka do Nowogeorgiewska na długości wiorst 35, spadek wynosi stóp 18 cali 3, czyli na wiorstę średnio po cali $6\frac{1}{4}$. Średnia prędkość w razie nadzwyczajnych wezbrań jest około 4 stóp na sekundę; ztąd w takowych razach, to jest w czasie nadzwyczajnych wezbrań, przepływ wody na sekundę wypada około stóp sześć. 140,000 przy stanie średnim. — 12,000 w czasie najniższego stanu. — 3,000.

Rzeka ta pozostawiona w stanie naturalnym bez żadnej pomocy sztuki, przedstawia dla spławu, zwłaszcza w czasie niskiej wody, w niektórych miejscach wiele trudności; w ogóle jednak, chociaż ze zmniejszonym ładunkiem, statki na niej przepływać mogą. Tylko pod wsią Czartoryą w powiecie łomżyńskim, zawały drzewne i kamienne rozbiciem statkom zagrażają.

Od Surazu do Tykocina służy tylko dla spławu drzewa, a odtąd już do wszelkiego spławu, który odbywa się berlinkami, dubasami, galarami, prowadzącemi płody rolnicze, a z powrotem w górę głównie sól, a niekiedy także i produkta rolnicze. Tych wszystkich Rząd Gubernialny Augustowski podał następną wartość:

| | | |
|-----------|-------------|----------|
| w r. 1844 | na rub. sr. | 280,000. |
| — 1845 | — | 235,600. |
| — 1846 | — | 327,163. |
| — 1847 | — | 281,400. |

Przystanie głównejsze są: Tykocin, Łomża, Piątница i Nowogród.

Do Narwi zlewają się następujące rzeki: 1) Lissa, 2) Łopuchowo, 3) Biebrza z Niedźwiedzicą, Netą, Kopytkówką, Łekiem, Wissą; dalej 4) Srebrowo, 5) Mezlak, 6) Gać z Jabłonką, 7) Pisma z Wincentą, Turoślą, Skrodą, 8) Ruż, 9) Skrwa, 10) Rożoga, 11) Omulew z Trybówką, 12) Orz, 13) Orzycz z Ulatówką, Węgierką, Murawką, 14) Bug z wpadającymi do niego rzeczkami, 15) Długa, 16) Wkra czyli Działdówka z Mławką, Lidynią, Raciążnicą, Sową, Płoną.

1) **Lissa** (*l.*) stanowi część granicy od cesarstwa Rosyjskiego aż do Surazu, gdzie wpada do Narwi, ubiegłszy mil 2.

2) **Łopuchowo** (*l.*) płynie od wsi Kościelny Kuleszów, i rozgranicza okręgi łomżyński i tykociński; ujście pod wsią Nieciece. Długa mil 3.

3) **Biebrza**. O tej oddzielnie.

4) **Srebrowo** (*pr.*) początek ma pod miastem Jedwabnem; przepłynąwszy mil 2, wpada do Narwi pod wsią Kramkowem.

5) **Mezlak** (*pr.*) wypływa zpod wsi Jurzec, poniżej m. Stawisk; wpada do Narwi pod Kossakami, ubiegłszy mil 3.

6) **Gać** (*l.*). Początek około wsi Ciosaki za Zambrowem, płynie mil 3; zaraz w bliskości poprzedniej rzeki wpada do Narwi pod wsią Kossaki. Ma dość znaczną obfitość wody, mogłaby więc służyć do splawu drzewa, gdyby nie upusty młynowe, osobliwie pod wsią Gać.

Przyjmuje w siebie około wsi Poryte rzeczkę *Jabłonkę* (*l.*), długą mil 2, poczynającą się około wsi, od której bierze nazwisko.

7) **Pisma** (*pr.*), pod wsią Wincentą wpływa z Prus do Królestwa, a wpada do Narwi pod Nowogrodem.

Splawna na wiosnę dla drzewa i pomniejszych statków.
Przystanie we wsi Koziół i mieście Nowogrodzie.

Wpływają do niej:

Pod wsią Wincentą rzeczka tegoż nazwiska *Wincenta* (l.), poczynająca się we wsi Glinka w powiecie augustowskim. Przez całą swą długość stanowi ona granicę kraju od Prus.

Pod wsią Polusz rzeczka *Turośl* (pr.), której źródło w Prusach; wchodzi do Królestwa pod wsią Łączki. Długa mil $2\frac{1}{2}$.

Pod Rudką rzeczka *Skroda* (l.), poczynająca się w powiecie augustowskim pod wsią Chelchy, prawie w tém samym miejscu, gdzie bierze początek rzeczka *Wincenta*; płynie w bliskości m. Kolna. Długa mil 3.

8) *Ruż* (l.), początek bierze pod Głębockiem, poniżej miasta Sniadowa w okręgu łomżyńskim, wchodzi następnie w ostrołęcki, wraca znowu w łomżyński i tam pod wsią Rybaki wpada do Narwi. Długa mil 4.

9) *Skrwa* (pr.), poczyna się w Prusach, pod Grądkiem wpływa do Królestwa, odkąd aż do samego ujścia do Narwi pod wsią Kurpiewskie, oddziela gubernią augustowską od plockiej. Długa mil $6\frac{1}{2}$; nie może być splawną.

10) *Rozoga* (pr.) wpływa z Prus do Królestwa, płynie około m. Myszeńca; pod wsią Łęgi, powyżej m. Ostrołęki, ubiegłszy w powiecie ostrołęckim mil 8, wpada do Narwi. Prawie cała błotnista, nie może więc być splawną.

11) *Omulew* (pr.) ma źródło w Prusach o pół mili od granicy. Od samego wejścia swego w Królestwo, aż do wsi Przystań, płynie prawie wprost z północy ku południowi, nachylając się nieco ku wschodowi, i dotąd sta-

nowi granicę powiatów ostrołęckiego i przasnyskiego. Od wsi rzezonój, od której splawną jest na wiosnę dla pojedynczych sztuk drzewa, płynie zupełnie w kierunku wschodnim, i pomiędzy wsią Olszowka a miastem Ostrołęką zlewa się do Narwi.

Pod wsią Brodowe Łąki przyjmuje w siebie rzeczkę *Trybówkę* czyli *Tryp* (z brzegu lewego), która poczyna się w Prusach, i wchodzi w Królestwo między wsiami Cyk i Pelty. W kraju płynie milę jedną.

12) **Orz** (*l.*) wypływa z błot Radwan i Wyszomierz w powiecie łomżyńskim; wpada do Narwi przy wsi Zbonczek w powiecie ostrołęckim. Długa prawie 4 mile; niesplawna i nie może być usplawnioną.

13) **Orzycz** (*pr.*). Początek w Prusach; wchodzi do Królestwa około m. Chorzele w przasnyskim. Od wsi Długokąty płynie znaczny kawał pod ziemią, i dopiero za Grzebskiem na wierzch się pokazuje (1); dalej w powiecie przasnyskim rozlewając się, formuje błota na pół mili szerokie; płynie następnie około miast Krasnosielca, Makowa i pod Przeradowem wpada do Narwi. Z powodu obszernych błot, przez które przechodzi, nie może być splawną.

Pod wsią Małowidz przyjmuje w siebie rzeczkę *Ulatówkę* czyli *Swiniarkę* (*pr.*), która bierze początek ze źródeł za wsią Grabowem; płynie przez Swiniary, Ulatów.

(1) Nil, kiedy wpływa w granice Mezopotamii, znika na przestrzeni trzech dni drogi, a potem znowu na granicy Etyopii na dwadzieścia pięć dni.

Podobnie Syr-Daria, ogromna rzeka płynąca w stepach kirgizkich i wpadająca do morza Aralskiego, w kilku miejscach znika z powierzchni ziemi, pogrążając się w piasek, zajmujący wielką przestrzeń nazwaną Kyzyl-Kum. (Bibl. Warsz. m. luty 1849 r.).

Pod wsią Młodzianowem przyjmuje w siebie rzeczkę *Węgierkę* (pr.), powstającą z połączenia się kilku źródeł pod wsią Pawłowem. Płyńie ona około m. Przasnysza. Długa mil 3; nie może być splawną.

Rzeczka *Węgierka* pod wsią Dobrzankowem przyjmuje w siebie rz. *Murawkę* (l.); która bierze początek pod wsią Murowa na północ Przasnysza, i płynie mil 2.

14) Bug ze swoim zlewem; o nim poniżej.

Dalsze rzeki wpadające za Bugiem do Narwi:

15) *Długa* (l.). Ma swój początek powyżej miasta Mińska, płynie kręto pomiędzy wsiami Dębe Wielkie i Cyganka; pod Zagrobami wpada do Narwi. Długość jój wynosi mil 6.

16. *Wkra* czyli *Działdówka* (p.). Wypływa z jeziora Działdowskiego w Prusach, przy wsi Gnojno dotyka królestwa Polskiego i odtąd aż do wsi Wronka rozgranicza powiat mławski od Prus; następnie w powiecie tym płynie około miast: Żuromina, Bieżunia, Radzanowa, około 8 mil, i pod Pomiechowem i twierdzą Nowogeorgiewską wpada do Narwi. Od wsi Popielżyna, gdzie przyjmuje rzeczkę *Sowę*, a nawet od Idzikowic, podczas dużej wody na wiosnę splawiają na niej drzewo do Narwi. Średnia jój szerokość do 16 sążni. Zasilana wodami w dosyć znacznej obfitości, mająca ogólnie niskie brzegi i znaczne niziny, w czasie roztopów wiosennych nagle wzbiera, a wznosząc się do 10 stóp wysokości nad najniższy stan, występuje z łoża swego i zalewa wszystkie położone nad nią łąki i niższe grunta. Zalewy te jeszcze więcej powiększane były przez to, że pobudowane młyny nie miały upustów dennych na przestrzeni wód wielkich, lecz tylko proste przewały z chrustu; woda więc nad nie wznosić się musiała, aby znaleźć sobie odpływ,

a przez to zalewy nierównie były większe, jak gdyby naturalnym odchodziła korytem. Gdy nadto rzeka ta jest spławną dla drzewa, którego znaczna część do Narwi, a następnie do Wisły przechodzi, zniesienie więc przewalów przy młynach, stało się niezbędnym. Dlatego zabroniono na niej budowy przewalów lub jazów, jako spławności przeciwnych, a istniejące uprzętać nakazano; tam zaś, gdzie podniesienie wody w rzece przy zakładzie miejscowym jest nieodbicie potrzebnym, upusty denne, w miejsce przewalów urządzać dozwolono.

Do Wkry wpadają: Mławka, Lidynia, Raciążnica, Sowa, Płonna.

Mławka (l.) poczyna się w okolicach miasta Mławy, a ujście przy wsi Ratowo, powyżej Radzanowa; w powiecie mławskim płynie mil 4. Nie jest i nie może być spławną.

Przyjmuje w siebie:

Przylepnicę (p.). Ta poczyna się, w powiecie mławskim pod wsią Sarnowo, blisko granicy pruskiej; pod miastem Kuczborskiem formuje staw dosyć obszerny, a przepłynąwszy mil $2\frac{1}{2}$, wpada do Mławki powyżej miasta Szreńska.

Lidynia (l.). Dwa strumienie: jeden płynący zpod wsi Nowa Wieś, na zachód m. Mławy, drugi zpod wsi Zalesia, połączywszy się za wsią Żmiewo, tworzą rzekę Lidynię, która następnie wchodzi w powiat przasnyski, płynie pod m. Ciechanów, za wsią Luboradz wchodzi w powiat plocki, gdzie pod wsią Gutarzewem, powyżej Sochocina wpada do Wkry.

Raciążnica (p.) wypływa z błot pod Raciążem; pod Sohocinem wpada do Wkry ubiegłszy mil 4.

Sowa (l.) poczyna się około wsi Załuże, na drodze od Przasnysza do Ciechanowa; pod wsią Popielżynem w powiecie przasnyskim wpada do Wkry, ubiegłszy mil 8.

Płonna (p.) poczyna się pod wsią Płonna w powiecie plockim; przepływa około Płońska. Pod Kołozębem wpada do Wkry, ubiegłszy blisko 5 mil drogi.

B I E B R Z A.

Biebrza odgarniczająca powiat augustowski od cesarstwa Rosyjskiego, bierze początek z bagien w bliskości wsi Ponarlica. Od wsi Kościelny Sztabin zaczyna być spławną dla mniejszych statków zbożowych i drzewa. Pod miastem Wizną wpada do Narwi. Główniejsze przystanie są w Ossowcu i Goniądzu.

Na Biebrzy dla małej prędkości i obfitej masy wód, sama natura zapewniła spław w ogólności dogodny; to też wartość spławianych nią produktów, według raportów Rządu Gubernialnego Augustowskiego, jest następująca:

| | | |
|-------------|-------------|---------|
| W roku 1844 | na rub. sr. | 25,000 |
| — 1845 | — | 38,000 |
| — 1846 | — | 13,000 |
| — 1847 | — | 64,000. |

Wszakże w trzech tylko miejscach: pod Dolistowem, Wroceniem i Goniądzem, gdzie koryto rzeki płynącej gruntem zapadłym i bagnistym podzielone jest na kilka odnóg, z których żadna nie ma dostatecznej głębokości, spław jest utrudzony. Oprócz tego koryto rzeki w wielu miejscach zanieczyszczone piaskiem, zwirem, kamieniami, czyni spław trudnym i niebezpiecznym. Pod Brzostowem, Goniądzem, Wroceniem i Dolistowem znajdują się w korycie rzeki zawały kamienne, a pod Dawidowizną (pod Goniądzem) rafa kamienna z dawniej grobli młynowej.

Celem ułatwienia statkom przejścia, zasilano tę rzekę wodą z rezerwoarów kanału augustowskiego; lecz środek ten, jakkolwiek chwilowo był pomocnym, w gruncie jednak rzeczy był szkodliwym, bo zrzęczał podwyższenie dna rzeki i zmniejszenie jęj gębokości do tego stopnia, że wypuszczona z kanału woda, rozlewała się po bokach nie ułatwiając statkom przejścia. Przygotowany więc jeszcze w 1842 r. projekt poprawienia koryta rzeki, w miejscach gdzie się ono rozdziela, zatwierdzonym został w miesiącu kwietniu 1848 roku, i roboty, która według niego kosztować ma rub. sr. 31,435, na lat trzy rozłożoną została.

Do Biebrzy wpływają: 1) Niedźwiedzica, 2) Netta, 3) Kopytkówka, 4) Łek z Jegrznią, 5) Wissa z Rewiną.

1) *Niedźwiedzica* (p.) bierze początek z łąk błotnistych, ku wsi Hołyńce w powiecie augustowskim, obok wsi Kopczany ciągnących się; wpada do Biebrzy pomiędzy Rohozynem i Ponarlicą.

2) *Netta* (p.) wypływa z jeziora Necko. Stanowi ona cała część kanału Augustowskiego, który idzie prawie w prostym kierunku; koryto zaś rzeki idzie obok niego w różnych zakrzywieniach.

3) *Kopytkówka* (p.) wypływa z kanału nawigacyjnego pod wsią Polkowem, a wpada do Biebrzy naprzeciw wsi Nowa-Wieś.

4) *Łek* (p.) początek ma w Prusach; wchodzi w granicę Królestwa koło wsi Bogusze, przerzyna cały powiat augustowski w kierunku od północy ku południowi, i pod Goniądzem wpada do Biebrzy. Przyjmuje w siebie:

Pod Czyzewem rzeczkę *Jegrznią* (l.), która także wypływa z Prus, wchodzi w Królestwo około wsi Kukowo i przechodzi przez jezioro Rajgrodzkie.

5) *Wissa* (p.) wypływa z Prus, pod wsią Rakowo wchodzi w Królestwo, przepływa miasta Szczuczyn i Wąsosz, i wpada do Biebrzy za Radziłowem pod wsią Racibory.

Pomiędzy Radziłowem a Raciborami przyjmuje w siebie rzeczkę *Rawinę* (p.), wypływającą ze stawu Radziłowskiego.

B u g.

Bug. Początek rzeki téj w Galicyi austryackiej; od wsi Piaseczno lewym brzegiem przypiera do Królestwa, stanowiąc granicę jego od cesarstwa Rosyjskiego aż do wsi Kamieńczyka; odtąd rozdziela gubernie lubelską i plocką; pod Serockiem wpada do Narwi, a z tą pod twierdzą Nowogeorgiewską do Wisły. Dno rzeki téj w części jest piaszczyste, w większych zaś głębokościach złożone z warstw mułu i gliny. Długość rzeki Bugu w przestrzeni, gdzie już oba brzegi znajdują się w Królestwie, to jest od ujścia do niej rzeki Nurca, aż do połączenia się z Narwią, wynosi około 133 wiorst i na téj przestrzeni, stosownie do wykończonój w roku 1847 niwellacyi, jest spadku stóp 105 cali 9, a zatém średnio po cali $9\frac{1}{2}$ na wiorstę. Spadek ten wszelako nie jest równy. I tak: na przestrzeni od ujścia Nurca aż pod miasto Brok, na długości $49\frac{1}{2}$ wiorst, wynosi stóp 40 cali 3, czyli po $9\frac{3}{4}$ cala na wiorstę; od Broku do Kamieńczyka, na 35 wiorstach długości, spadek wynosi stóp 29 cali 11, a zatém na wiorstę blisko cali $10\frac{1}{4}$; dalej od Kamieńczyka do samego ujścia Bugu do Narwi pod Serockiem, na $48\frac{1}{2}$ wiorstach długości, spadek wynosi stóp 35 cali 7, czyli na wiorstę cali $8\frac{4}{5}$. Od pierwszego z wymienionych punktów, to jest od zlania się Nurca z Bugiem aż do samój Warszawy, linia wodna wy-

nosi wiorst 168 czyli mil 24; a więc z téj długości wypada na Narew od Serocka aż do ujścia jej do Wisły, na długości wiorst 35 spadku stóp 18 cali 3, co czyni na wiorstę średnio cali 6 $\frac{1}{4}$.

Rzeka ta zamarza pospolicie po pierwszych znaczniejszych mrozach miesiąca listopada lub początku grudnia; puszcza w marcu a czasami aż w kwietniu. Lody z powodu małego spadka zwolna i bez żadnej szkody spływają, lecz z powodu niskich brzegów, woda wiosenna zalewa obszernie niziny, na których czasem kilka tygodni pozostaje.

Głębokość i szerokość téj rzeki od granicy powiatów krasnostawskiego i radzyńskiego, aż do miasta Terespoła, przedstawia następująca tablica:

| Wymienienie miejsc. | Szerokość | | | Głębokość | | |
|-----------------------------|-------------|---------|---------------------------------------|-------------|---------|------------|
| | najmniejsza | średnia | największa | najmniejsza | średnia | największa |
| | sążni | | | stóp | | |
| Wola Uhruska..... | 28 | 45 | Szeroko za oba brzegi wychodzi. | 8 | 12 | 20 |
| Stulno..... | 23 | 40 | | 7 | 11 | 19 |
| Zbereże..... | 31 | 45 | | 6 | 10 | 18 |
| Między Zbereżem a Sobiborem | 25 | 38 | | 5 | 9 | 17 |
| Sobibor..... | 25 | 45 | | 6 | 10 | 18 |
| Orchówek..... | 38 | 50 | | 4 | 8 | 16 |
| Włodawa..... | 25 | 38 | | 6 | 10 | 18 |
| Rożanka..... | 25 | 50 | | 4 | 8 | 16 |
| Dołhobrody..... | 30 | 38 | | 4 | 8 | 16 |
| Hanna..... | 30 | 38 | | 4 | 8 | 16 |
| Kuzawka..... | 28 | 38 | | 4 | 8 | 16 |
| Sławatycze..... | 22 | 30 | | 2 | 4 | 14 |
| Kodeń..... | 38 | 76 | | 4 | 8 | 16 |
| Okrzyn..... | 25 | 38 | | 6 | 10 | 18 |
| Murawiec..... | 50 | 76 | | 4 | 8 | 16 |
| Michałków..... | 50 | 76 | | 4 | 8 | 16 |

Rzeka Bug przepływa w górnej swojej części okolice bogate w płody rolnicze i lasy: dlatego téż już od Uścituga użyta jest do spławu. Dawniej chodziły po niej

dubasy, żyźwy i galary, dziś same tylko galary są tu używane, a i te z powodu młynów i licznych zawałów, często na niebezpieczeństwo są narażone; ukazują się też i dubasy.

Okolo powiatów krasnostawskiego i hrubieszowskiego, na długości 12 mil, płynie ona w ścieśnionych brzegach, bo dochodzących średnio tylko do 20 sążni; ma spadek mały, obfitość wody dostateczną, dogodną więc tu jest do spławu: tylko koryto jój przechodzące najczęściej okolice lesiste, przedstawia zawały z drzew i kamieni zatopionych.

Od Opalina aż do Brześcia Litewskiego już mniej dogodna jest do spławu, bo koryto jój już więcej jest rozlane i płytkie, a w niém wiele zawad; młyny i jazy powiększają także trudności spławu. Niedogodne miejsca są: pod Wołą Uhruską, Bytyniem, Zabuzem, Zberezem, Olszanką, Suszmem, Rożanką, miastem Kodeń, Okrzy-nem, Kostomłotami i samém miastem Brześciem.

Rozdzielenie się koryta na trzy odnogi, od Kuzawki aż do Jabłecznej, a więc w długości mil 2, przedstawia wiele trudności dla spławu. Tu, osobliwie pod Sławatyczami, rzeka tak kręto płynie, że pocalodziennój mozolnej żegludze, statek znajduje się niemal w tém samém miejscu, z którego rano wypłynął. Lecz najgorszy stan tej rzeki, z powodu rozlanego koryta i większego spadku wody, rozpoczyna się od Brześcia i idzie wciąż aż do ujścia jój do Narwi. Miejsca najwięcej szerokie i rozlane znajdują się pod Krzyczewem, Pratulinem, Mężeninem, Grodkiem, jako też poniżej przewozu nurskiego.

Oprócz tego, znajdują się tu jeszcze i rafy kamienne, zawały drzewne i t. p. które w miarę zmiany koryta

rzeki, płynącej w bardzo lotnym gruncie, wykrywają się przez wymulanie pędem wody.

Zgoła, na przestrzeni od Terespoła do Serocka, idą następnym porządkiem przeszkody spławu na téj rzece: Krzyżew, Zabuze, Melnik, Ostowa, Binduga, Gnojno, Mężenin, wszystkie w powiecie bialskim; Wasilew, Wierów, Małzew, Grodek, Osnówka, Obryte, w siedleckim; Zgliczew, Glina, Brok, Bojany, w ostrołęckim; Tuchlin, Zatoka, Dąbrowka, Wywłoka, Budy Siemieńskie, Brańszczyk, Kamieńczyk, Wyszków, Nadgórze, Młynarze, Słopsk, Drąszew, Janki, Budy Popowskie i Kania, położone jedne w stanisławowskim, inne w pułtuskim powiecie.

Tak więc Bug, ów główny kanał handlowy hrubieszowskiego, chełmskiego i Wołynia, tyle przedstawia trudności dla spławu, że tylko z wiosny i to najczęściej z wielkim pośpiechem do spławu użytym być może. Nawet i na wiosnę niezawsze jest zupełnie bezpiecznym; czasem mała tylko liczba prowadzących produkta wystaje się na Wisłę z wielkim kosztem i ładując prawie przez połowę mniej jak zazwyczaj. Inni z naładowanemi statkami osiadają na mieliznach i muszą wyładowywać, a ztąd wieleto uronionego nakładu, wieleto kosztów na przenoszenie się z ziarnem, jego zsypywanie, przeróbkę, nową ugodę flisów i tyle innych wydatków! Najlepiej czasem wychodzą ci, którzy nie odważają się ładować, i cierpliwie, lecz często nadaremnie wyglądają dogodniejszej wody. Mimo takowych przeszkód spławu, wartość transportów rzeką tą prowadzonych, wynosiła, według raportów urzędowych z gubernii plockiej w r. 1844 rubli sr. 260,000. a w r. 1846 rs. 296,354.

Przystanie na Bugu są: Łuszków, Włodawa, Brześć Litewski, Nur, Brok, Brańszczyk, Wyszków, Serock.

Usunięcie wymienionych trudności spławu i ulepszenie téj tak ważnej linii komunikacyjnej, oddawna już było przedmiotem zajęcia władz. Dowiadujemy się obecnie, że dla uregulowania téj części Bugu, która stanowi granicę pomiędzy Cesarstwem i Królestwem, a gdzie spław w najgorszym jest stanie, władze cesarstwa sporządziły odpowiedni projekt, i już wedle niego roboty są rozpoczęte. Dla posunięcia ich i na całej przestrzeni Bugu, wypadało przedewszystkiém przekonać się, w jakim stanie rzeka ta znajduje się w przestrzeni od ujścia Nurca aż do Serocka, a dalej i Narew od Serocka do ujścia pod Nowogeorgiewskiem do Wisły. Rozpoznanie to, wywołało potrzebę przygotowania projektu uszlawnienia téj części rzeki, w skutek czego postanowioném zostało przystąpienie do przedsięwzięcia robót przygotowawczych, to jest zrobienia nowego pomiaru i niwellacyi. Po ukończeniu, projekt nakreślony wkrótce ma być przedstawionym wyższej władzy do zatwierdzenia i przeznaczania potrzebnego funduszu.

Celem przekonania się, czyli i o ile młyny i tamy młynowe na Bugu znajdujące się wpływają na utrudnienie spławności rzeki téj, oraz podania następnie wniosków co do zniesienia jednych jak i drugich, ustanowiona została oddzielna kommissya, która czynności swe jeszcze w 1839 roku ukończyła.

W liczbie 25 młynów na części granicznej Bugu znajdujących się, kommissya ta znalazła najszkodliwszych młynów 12, mniej szkodliwych 25, a najmniej szkodliwych 15.

Wnioski kommissyi, aby najszkodliwsze młyny zostały zniesione, a mniej szkodliwe stosownie urządzone, przedstawione były do decyzji Rady Państwa na ogólném zgromadzeniu w dniu 27 stycznia 1841 roku.

W skutek czego wydana została przez tęż Radę następną decyzya, pod dniem 24 lutego 1841 roku przez Najjaśniejszego Pana zatwierdzona:

1) Upoważnić Zarząd Główny Kommunikacyj do bezwłocznego przystąpienia do ulepszeń spławu na rzece Bugu.

2) Jeżeli przeszkoda pochodząca z istnienia młynów i grobel może być usuniętą przez samo przebudowanie takowych młynów, zażądać od właścicieli, aby toż przebudowanie niezwłocznie uskuteczнили w taki sposób, jaki będą sobie mieli wskazany przez Zarząd Kommunikacyj, do czego wyznaczyć im dostateczny termin. Lecz gdyby właściciel uchylał się od tego obowiązku lub takowego w czasie właściwym nie wykonał, albo gdyby uznano, że przebudowanie nie byłoby dostateczne dla zapewnienia dogodności spławu; młyny te i groble przeznaczyć do zupełnego zniesienia, przyczém dozwolony być ma udział właścicielom młynów, jako też marszałkom powiatowym i t. d.

W wykonaniu tego, uformowany wykaz młynów pływaków, znajdujących się na stronie królestwa polskiego w przestrzeni od granicy austriackiej do Brześcia Litewskiego, z zamieszczeniem co do każdego poszczególne decyzji, przesłano władzom dla stosownego postąpienia, to jest zniesienia niektórych młynów, u innych zaś tylko przerobienia zatamowań czyli grobel.

Skrócenie drogi statkom płynącym z wyższej części Bugu do Warszawy, i to jeszcze przy wielkich niedogo-

dnościach spławu, a stąd ożywienie handlu zboża, ułatwienie transportu wielkiej masy drzewa, szczególnie opałowego z lasów puchaczowskich, nadrybskich i wytaczańskich, osuszenie wielkich błót między Włodawą i Łęczną szeroko rozciągających się; wszystkoto podało myśl otworzenia kanału splawnego, mającego łączyć Bug z Wieprzem od miasta Włodawy do Łęczny.

Jakkolwiek zamiar ten, powzięty w 1829 r. nie przyszedł do skutku, gdy jednak przedstawiony projekt kanału daje pojęcie o miejscowości téj strony, przeto niektóre z niego przytaczamy szczegóły.

Po zrobieniu niwellacyi okazało się, że powierzchnia wody jeziora Siemień, będącego prawie w środku niziny pomiędzy Włodawą i Łęczną jest najwyższą: od niego do Wieprza pod Łęczną jest spadku stóp 45 cali 11 1/2, a do Bugu pod Włodawą spadku stóp 49 cali 5; różnica zatem położen tych dwóch rzek we wskazanych punktach jest stóp 3 cali 5 1/2. Połączenie ich więc w projektowanych miejscach nie może inaczej nastąpić, jak tylko przez kanał z punktem podziału (canal à point de partage), w następujący sposób:

Zniżywszy powierzchnią jeziora Siemień o stóp 15, można otrzymać kanał, którego długość wynosiłaby wiorst 34 i sążni 197, średnia głębokość stóp 10, a dając mu stóp 30 we dnie, uczyni 235,277 sążni sześciennych ziemi do wykopania. Bief ten posłuży za kanał podziału wód pomiędzy Bugiem i Wieprzem; napelnivszy go wodą do 5 stóp (głębokość dostateczna do wygodnego spławu), otrzymamy poziom 10 stóp niższy od poziomu wody jeziora Siemień. Kanał ten byłby zasilony wodami jezior: Siemień, Rodcze, Piaseczno, Ościwierz, Płotycz, Nadrybek, Biegcze, Karasne, Wy-

tyczańskie, Węskie, które wszystkie zawierają wody stóp kubicznych przeszło 741 milionów, a powierzchnia ich ma włók 64, morgów 18, przętów 160.

Do téj ilości wód, dołączywszy jeszcze wody, które z błót i jezior Ościwierza, Wytyczańskiego i stawu Andrzejowskiego ciągle odpływają, i które pomimo największych suszy, mają przepływu na sekundę stóp kub. 22, co na 24 godzin uczyni 1,900,800 stóp kub. wody; otrzymalibyśmy do użycia masę wody przeszło 743 milionów stóp kub., która po potrąceniu na ewaporacyą i filtracyą, wystarczyłaby do spławienia przeszło 7000 statków. Ponieważ spadki jezior Ościwierz, Rodcze, Piaseczno i Biegcze niewiele się różnią od siebie, przeto możnaby sprowadzić je do jednego poziomu, przez co otrzymanoby obszerną równinę jednego rezerwoaru, do zasilania kanału podziałowego. Jeziora: Siemień, Wytyczańskie i Nadrybek formowałyby oddzielne rezerwoary; co się zaś tyczy jezior Płotycz i Węskiego, te, jako blisko kanału najwyższego położone, mogłyby stanowić wygodne przystanie dla schronienia statków na zimę, lub wymijania się w czasie wielkiej żeglugi.

Począwszy od miasta Łęczny, kanał przechodziłby przez wieś Turowolę, dalej koło wsi Dratowa, Kaniovoli, Nadrybia, Garbatówki, w bliskości Orszulina, Wytyczna, przez wsie Szczęśniki, Starzyznę, Suchowolę, młyn zwany Adamki, do stawu włodawskiego, z kąd następnie do Bugu. Całkowita więc długość jego wynosiłaby 15,400 przętów czyli wiorst 62,3. Miałby siedm szluz, z których trzy od strony Wieprza, a cztery od strony Bugu; pierwsze miałyby spadku stóp 35 cali 11 $\frac{1}{4}$, drugie 39 stóp i cali 5. Profil kanału 30 stóp we dnie ze spadkiem brzegów jednostopowym.

Do Bugu wpadają następujące rzeki: 1) Huczwa, 2) Welnianka, 3) Ucherka z Gdole, 4) Włodawka, 5) Krzna z Białką, Zielawą, Żyrnicą i Lutnią, 6) Toczna z Korhaną, 7) Nurzec z Manką, 8) Buczynka, 9) Brok z Broczkiem, 10) Tuchelna, 11) Liwiec z Muchawką, Kostrzeniem i Czerwonką.

1) *Huczwa* (l.). Początek jej w powiecie hrubieszowskim we wsi Podhorcach, ze źródła położonego na łące wśród niewielkiej wzniesłości, która w odległości $\frac{2}{5}$ wiorsty, wznosi się do 60 stóp. Jeden mały grzbiet wzniesłości, ciągnącej się koło miasta Tomaszowa, wyrzuca dwa źródła: wschodnie rodzi Huczwę, a zachodnie rzekę Wieprz. Źródło Huczwy, wyrzuca strumykowi krętemu na jedną sekundę blisko stopę kubiczną wody czystej wapiennej. Strumyk ten płynąc przez wieś Zimno, łączy się ze strumieniem idącym od wsi Żernik, nad samą granicą galicyjską położonej; już dalej płynąc jako rzeka przez miasto Łaszczów, przyjmuje w siebie strumienie idące z błot od Kamarowa. Od młyna w Dobuszkach, do młyna w Tyszowcach, toczy się rzeka w szerokiej nizinie, mającej w średnim przecięciu około wiorsty. Nizina ta między dwoma łądami stałymi, jest jakby jednym niedostępnym bagnem; na niej bowiem całej pływa kożuch z ziemi czarnej, tłustej, na jedną stopę gruby, a pod nim dopiero w średnim przecięciu na 3 stopy jest grunt stały. Przedział ten zajmuje prawie czysta woda, w której ryby i płazy obficie się znajdują. Częste otwory, które przy największych nawet mrozach nigdy nie zamarzają, dodoją powietrza tym podziemnym mieszkańcom. Płynie dalej Huczwa przez Tyszowce, Czerniczyn, gdzie wpada do niej strumień idący od Stariej Wsi, a z drugiej, to jest lewej strony od Perespy; na-

koniec przez Hrubieszów, a przebiegłszy w całej swej długości mil $7\frac{1}{2}$, wpada do Bugu pod Grodkiem. Huczwa nie jest splawną, lecz począwszy od miasta Tyaszowce, dałaby się usplawnić; tém więcej, że na długość koryta 13,416 prętów, czyli wiorst 54,7 od mlyna w Dobuszkach aż do ujścia, ma spadku 79 stóp czyli na wiorstę półtory stopy.

2) *Welnianka (l.)* poczyna się z błot pod Siedliszczami w okręgu hrubieszowskim; ubiegłszy milę drogi, wpada pod Dubienką do Bugu. Nie jest i nie może być splawną.

3) *Ucherka (l.)* poczyna się pod wsią Ucher, w stronie miasta Rejowiec w okręgu chełmskim; płynie około miasta Chełma. Pod wsią Uhrusk, w okręgu włodawskim, wpada do Bugu, ubiegłszy mil 4. Nie jest i nie może być splawną.

Przyjmuje w siebie pod wsią Rudką rzeczkę *Gdołę (p.)*, która wypływa z błot pod wsią Brzezno; długa milę jedną.

4) *Włodawka* wypływa w powiecie radzyńskim z jezior okolicznych, od południowej granicy powiatu; pod Włodawą wpada do stawu włodawskiego. Ma około $2\frac{1}{2}$ mili długości, i kilka odnóg błotnistych bez żadnego nazwiska. Główne koryto wąskie, płytkie, kręte; woda czysta, której przepływ wynosi 40 stóp na sekundę. Chcąc ją do splawu między rzeczonymi jeziorami i stawem włodawskim, a następnie rzeką Bugiem przysposobić, potrzebaby koryto sprostować, pogłębić, rozszerzyć.

5) *Krzna*. Początek pod Łukowem, płynie koło Międzyrzecza, Białej; ujście pod wsią Neple. Długość mil 10. Przepływa okrąg radzyński w długości mil 3, i tu ma kilka odnóg małych, błotnistych, mianowicie na gran-

tach gminy Międzyrzecz. Od Woskrzenia, mając już 10 sążni szerokości, spławną jest dla tratw drzewa.

Wpadają w nią:

Białka (l.); zaczyna się pod wsią Kornicą, a przepłynąwszy mil 2 $\frac{1}{2}$, pod Kozulą, nieco niżej miasta Biały, wpada do Krzyny.

Zielawa (p.) płynie pod miastami Rososzem, Łomazami, a pod Woskrzenicami wpada do Krzyny, ubiegłszy mil 3.

Przyjmuje w siebie rzeczki: Żyrnicę i Lutnię.

Żyrnica (p.) wpada pod Dokudowem. Ta cała jest błotnista, a nad brzegami jój są trzęsawiska, mające przeszło milę rozległości.

Lutnia (p.) poczyna się od Konar, płynie na miasto Piszczac; ujście jój pod wsią Kłodą. Długość mil 2 $\frac{1}{2}$, szerokość do 4 sążni.

6) *Toczna* (l.) płynie w okręgu łosickim od Biernat, koło miasta Łosic, wsi Swiniarowa; w bliskości miasta Drohiczyzna wpada do Bugu. Długa mil 2.

Pod m. Łosicami przyjmuje w siebie rzeczkę *Korhany* (l.), która poczyna się od wsi Łepki; długa milę jedną.

7) *Nurzec* (p.), wypływa zpod Brańska w gubernii grodzieńskiej; płynie granicą od wsi Wyszonki około m. Ciechanowca do wsi Młynarze, w długości mil 3, a pod tą ostatnią wsią wpada do Bugu.

Nurzec przyjmuje w siebie rzeczkę *Manka* (pr.), której początek pod wsią Średnicą w tykocińskim, a ujście naprzeciw wsi Proszanka-Baranki; długa milę 1.

8) *Buczynka* (l.) bierze początek około wsi Skibniewa w okręgu węgrowskim; płynie około Buczyna, miasta Sterdyn, i pod wsią Kamieńczykiem wpada do Bugu, ubiegłszy mil 3.

9) *Brok (pr.)* poczyna się w powiecie łomżyńskim pod wsią Rosochate; pod miastem Brok wpada do Bugu, przepłynąwszy mil $6\frac{1}{2}$.

Pod wsią Nieskorze przyjmuje w siebie z prawej strony rzeczkę *Broczek*, długą mil 4.

10) *Tuchelna (pr.)*. Początek około wsi Naguszewa pod miastem Ostrowem w powiecie ostrołęckim, w którym też pod wsią Tuchlin wpada do Bugu, ubiegłszy mil 3.

11) *Liwiec (l.)* wypływa z trzęsawisk krzymowskich poniżej miasta Mordy w powiecie siedleckim; pod Kamieńczykiem w powiecie stanisławowskim łączy się z Bugiem. Bieg wody dosyć bystry, głębokość do kilku łokci; koryto kręte i ciasne, przy ujściu do 7 sążni szerokie; dno miejscami piaszczyste, miejscami gliniaste. Rzeka ta na wiosnę i w czasie ciągłych deszczów znaczne zrząda szkody przez wylewy, którym z powodu niskich brzegów trudno zaradzić. Od Węgrowa mogłaby być spławna, lecz z powodu licznych zawałów, tylko od wsi Rudy i Pogorzela w powiecie stanisławowskim, spławna dla pojedynczych sztuk drzewa. Przystań w Kamieńczyku.

Zlewają się do Liwca:

Muchawka (l.). Początek około wsi Płuty w powiecie siedleckim, a płynąc koło wsi Rudy, Koła, przyjmuje w siebie pod Mościbrodami, poniżej Siedlec, strumień *Żytunia*; płynie dalej około wsi Iganie, Żytunia, i pod Jerzmanowem wpada do Liwca. Długa mil 3, szeroka od 3—4 sążni.

Kostrzeń (l.). Początek z błot olszyckich w okręgu siedleckim na wschód miasta Wodynia; od wsi Łęka stanowi granicę powiatu stanisławowskiego od siedleckiego. Pod Proszowem wpada do Liwca, przepłynąwszy

mil 4. Ponieważ tylko na wiosnę ma podostatkim wody, a w innych porach roku zbyt jest płytką i płynie korytem krętém, przeto do spławu służyć nie może.

Czerwonka (pr.) powstaje ze źródeł za wsią Czerwonką w okręgu węgrowskim; płynie koło Węgrowa, a pod Popowem wpada do Liwca, przepłynąwszy mil 2. Z powodu płytkości swój i wąskiego koryta, nie może być uszlawnioną.

Oto są rzeki spławne z ich zlewami; teraz przystępujemy do innych rzek wpadających do Wisły.

Inne rzeki w zlewie Wisły.

A) Z lewego brzegu.

PRZEMSKA CZARNA. Źródło jój w pokładach węgla kopalnego między Bzowem a Ogrodziencem; płynie do miasta Siewierza ku zachodowi, odtąd zagina się ku południowi, zabiera z lewego brzegu strumień od Milcegi, a z prawego od Dąbia, Psar, dalej z lewego od wsi Tuczna-Baba i Piekło. Pod Modrzejowem zabiera strumień płynący od północy od Dziewek (ma 15 drobnych odnóg), i wzmacnia się stokami od Huty Królewskiej; odtąd spadając wprost ku południowi, zabiera pod Niwką Białą Przemszę. Przy połączeniu się brzegi wynoszą 9', nurt 3'. Na zachód Niwki i pięknego zakładu Henryka, wychodzi z kraju do dawnego okręgu miasta Krakowa, otoczona z prawego brzegu wzgórzami Szląska pruskiego. Już po wyjściu z kraju, przyjmuje pod Wysokim Brzegiem *wodę żelazną* i tu jój brzegi wznoszą się do 18'; koryto się wije. Kilkaset kroków poniżej, wpada do

niej *niestała struga* z lasu, a pod Baranem Wąwolnica, dalej **Ponikwicz**, **Śmierdzionka**. Okrążywszy wieś **Chełmek** blisko ujścia do Wisły leżącą, zagina się mocno ku wschodowi, opływa obszerne równiny wypełnione torfem, poniekąd zalane stojącą wodą. Zapach jęj tu niemiły, smak zgniły, czasami mętna, zawiera pierwiastki wyciągowe roślin. Nakoniec zwolna zaginając się dopływa do wsi **Gorzów**, która położona wśród równin, w stronie wschodniej zasłonięta lekkim wzgórzem, zajmuje ostatni załam **Przemszy Czarnęj**, bo ta wpada tu do **Wisły**, mając 40^o szerokości, nurtu 4, 6'', a brzegi 10' wysokie. Spadku ma prawie 2' 6'' na wiorstę długości. Cokolwiek powyżej od **Niwki** aż do samego ujścia, służy do spławiania węgla kamiennego z kopalni **Długoszyna**, **Dąbrowy**, **Jaworzna**, **Brzęczkowic**; przez nią bywa także prowadzone i drzewo. Nurt z małemi wyjątkami wynosi 5', średnia wyniosłość brzegów 6'; dno jęj piaszczyste. Wzbiera na wiosnę i po długich deszczach. Wieś **Gorzów** podwójnie, bo od **Przemszy** i **Wisły** zalewaną bywa.

Prócz wielu ryb wspólnych z **Wisłą**, zawiera szczególniej białoryb, płotki, owiesek, olszanki, karpie, a nadewszystko ślize, miętusy, węgorze, piskorze; dosyć minogów, a nadto mnóstwo raków z gatunku *Astacus fluviatilis*.

Przemsza Biała. Wspomnieliśmy, że **Przemsza Czarna** zabiera z lewego brzegu **Białą Przemszę**. Otoż ta zaczyna się dwoma strumieniami około **Wolbromia**: północny płynie zpod **Łobzowa**, południowy zpod **Poreby Górnej**. Obadwa z wapienia. Płynąc ku zachodowi, zabiera z prawego brzegu pod **Cieślinem** strumień od **Strzegowa**, następnie zpod **Rodaków**, dalej od **Niego-**

nowic i Tucznej-Baby. Pod Łazami zabiera *Białą*, płynącą zpod Kluczów, Hutek i kopalni olkuskich (ze skały Komorowskiéj, stolni Ponikowskiéj, Pileckiej i Białego bagna). Na wschód Mączek ukazuje się po raz pierwszy na granicy Galicyi, i odtąd aż do ujścia Czarnéj Przemszy, rozgranicza królestwo Polskie od téjże Galicyi. Koryto tu ma dosyć szerokie, piaszczyste; nurt 4'—5', brzegi 5' wysokie. Otoczona mokrzadłami lesistemi i płynąc ku zachodo-południowi, zabiera z lewego brzegu Jaworznik czyli Kozibród. Śród tego przebiegu, koryto wije się nieustannie. Minąwszy wzgórze piaszczyste Młynosko zwane, zabiera wodę z kopalni Długoszyna. W dalszym biegu ku Niwce, dzieli się pod Piwowarem, obok jazu, na dwa koryta: południowe (lewe) podziela się jeszcze na *robocze* i *dzikie*; obadwa tworzą trzy wyspy. Koryto prawe czyli północne obiega poprzedzające kolisto, obraca tartak leżący po prawym brzegu, a zabrawszy strumień płynący od północy zpod wzgórz Łosienia i Gołonóg, skręca się ku południowi i wraz z poprzedzającym wpada pod Niwką do Przemszy Czarnéj. Tuż pod Niwką kanał idący na zachód doprowadza wodę pod zakład Henryka, a zagiąwszy się pod kątem prostym ku południowi, wpada napowrót do Przemszy Białéj.

Rzeka ta wzbiera w czasie cieplej wiosny, a po zimie śnieżnej, wylewy wiele szkodzą łąkom.

Według zrobionéj niwellacyi, spadek jéj na wiorstę długości wynosi łokci dwa, stopę jedną i cali cztery; wówczas, gdy na Wiśle w tych stronach spadek 3 stopy na wiorstę długości wynosi.

BABA bierze początek niedaleko Olkusza. Małą zaiedwie ubiegłszy przestrzeń, ginie ona w piasku

i podziemne robi sobie koryto (1); pod Olkuszem widoczna jest tylko w czasie wezbrania, kiedy się to koryto przepelni. Onato zalewa wszystkie kopalnie srebra, jakie się tam znajdują, i do osuszenia ich przeskadza.

Lecz jak rzeka Baba ginie w ziemi, i jakim sposobem kopalnie te zalanemi być mogły?—W całym tym obszarze ziemi od Olkusza aż za Tarnowskie góry w Szląsku, leży pod piaskami ziemia niebieskawa, którą górnicy nazywają kurzawką. Składa się ona z gliny i piasku, i ma własność nabięcia w siebie, jak gąbka, wodę. Ona więc w tych górach wszystkie połyka wody, te z sobą jakby korytem pod ziemią prowadzi, a gdzie napadnie roboty górnicze, takowe zatapia. Zważając skład i całe położenie Olkusza wśród niezmiernych zsepisk piasku, przekonałem się, mówi Staszyc w dziele „O Ziemiopłodztwie gór”, że te wielkie wody, które zalewają tu-

(1) Podobny fenomen spostrzegamy i na innych rzekach; między innymi powiada Pliniusz, że do liczby rzek wpływających w ziemię, należą: Alphe w Peloponezyi, Tygr w Mezopotamii, Tymavus w ziemi akwilejskiej i t. d. Guadiana pośród rozległych łąk, i rzeka Meuse w Baxoilles podobnie nagle znikają. Rzeka Droma w Normandyi zupełnie wpływa w otwór znajdujący się pośród łąk, który ma 10 lub 12 metrów średnicy, i znany jest pod nazwiskiem Fosse-de-Soucy. Rzeka wpadająca do niego, przy samem ujściu jest bardzo mała, gdyż inne jamy będące także na łąkach, wypijają (wyrażenie miejscowe) znaczną ilość wody. W tejże części Francyi, rzeki: Rille, Iton, Aure i wiele innych, powolnie z powierzchni okolic zupełnie znikają. W korytach tych rzek są miejscami otwory czyli nory, które pochłaniają część wód, tak dalece, że przy ujściu w przepaść podziemną, stają się małemi strumykami. Nietrudno przytoczyć więcej podobnych przykładów, chociażbyśmy mówili o tych tylko rzekach, które zupełnie znikają. Dokładny wymiar ilości wody płynącej rzekami niezawodnie dowiódłby, iż mnóstwo jest takich rzek, które tracą pewną część wód przez podziemne kanały. Loara też do nich może być policzoną. (Bibl. Warsz. m. luty 1848 r., stron. 293).

tejszych kopalni bogactwo, pochodzą od pochłoniętych potoków, mających bieg i spadek przez tutejszy step piasków. Strumień przez wieś Żuradów płynący, dwa kamienie pędząc, o kilka staj za młynem nieznacznie ginie w ziemi. Strumień ze źródeł pomiędzy Olelinem i Kosmołowem, również tu ginie w ziemi. Rzeczka Ba-ba, której łożysko rozciąga się po najwyższym stepie piasków olkuskich, i której woda na wiosnę i jesień bardzo wielka, jest także przez ziemię pochłonięta. Tak nika z powierzchni ziemi wody i topią roboty; a zalanie przez nie kopalni, wojny ze Szwedami, mór okropny, zniszczyły m. Olkusz, tę bogatą przemysłnych mieszkańców osadę, która niegdyś miała znaczną ludność, produkowała srebra i ołowiu prawie za dwa miliony złotych, i miała swoje mennicę. Zabudowania jedno po drugim szły w gruzy, tak dalece, że w odległości 300 sążni naokoło obecnie istniejącego miasta Olkusza, znajdują się fundamenta rozległych zabudowań. A tak Olkusz tyle ciekawy z położenia fizycznego, z zajmującej historii i tak dawnych pomników sztuki, dziś ma tylko postać smutnego zgorzeliska. Mała rzeczka i kilka strumyków, najwięcej na takowe zniszczenie wpłynęły (*).

PRĄDNIK (Prątnik, Białucha, Białka, Wódki, Sułoszówka) zaczyna się o milę od Pieskowej Skały, pod kościołem Sułoszowskim. Na miejscu zaraz tworzy strumień 5' szeroki. Od źródła aż do zamku Pieskowej Skały, bieży ku wschodowi wąską doliną, zwartą z obu stron malowniczo-najeżonemi skałami. Opodal zamku zabie-

(*) Rzeka Baba nie splywa do Wisły, właściwie więc nie powinna być zamieszczona w tém miejscu. Tojest pomiędzy rzekami wpadającemi do Wisły: lecz gdy ona jest tak mała, że oddzielnego działu stanowić nie może, zamieściliśmy ją więc obok innych rzek w bliskości niej płynących.

ra z lewego brzegu gruby strumień zpod skały tryskający, a poniżej tego daje ramię do stawów. Koryto dzikie płynie od południa tuż obok lasu Bukowca, mija dwa stawy, dosięga zamku, i tworzy pod lasem topiel otoczoną skalami. Pod Sokolcem (pałka Herkulesa) zabiera ramię lewe, płynące ze stawów na młyny. Koryto dzikie leży o 8' niżej poziomu stawów. Dotąd w dnie przebija kamień wapienny. Minąwszy zamek, wydobywa się Prądnik na obszerniejszą dolinę, otoczoną wysokimi pasmami wzgórz. Pod Grodziskiem tworzy parę stawów. Odtąd z obu brzegów sterczą skały; szereg ich rozpoczyna pustelnia Grodzisko, z kaplicą i mieszkaniem ś. Salomei. Stroma ta skała spada ku zachodowi i południowi w dość obszerną dolinę, a od północy przechodzi w las. Obszerny widok na wschód i zachód, nadaje miejscu temu raczej cechę rozkoszy, niż pustyni. Dalszy ciąg tworzą skały: już to wyskakujące w postaci słupów, już też układające się w ściany. Pod Ojcowem południowe pasmo pokrywa las śpilkowy, z którego wyskakująca ku północy opoka, dźwiga resztki zamku Ojcowa. W całym przebiegu strumień otaczają łąki. Koryto 8', brzegi 4' wys., nurt 1' — 2'. Poniżej Ojcowa wznosi się stromo wzgórze; w niém leżą jamy Ojcowa, zwane Królewską grotą. Prowadzi do niój otwór trójkątny 4' wysoki, a 3' szeroki. Zniżona temperatura, sączące się ze sklepienia krople wody, oślizgła podstawa, cisza grobowa, ciemność, odbicie się z hukiem głosu, znamionują tę podziemną pieczarę. Oświecona, przedstawia okopcone ściany, pokryte sopełcami. Sklepienie ma do 60' wysokości, a długość kilkaset stóp wynosi. Nieco dalej ku południowi, odpowiednie wzgórze po prawym brzegu mieści jamę Łokietka. Więc tu rozmaitości. Nieró-

wnie dłuższa, napełniona kośćmi, po części skamienia-
łemi, ale za to nierównie węższa; głos więcéj niknie.
Dałéj urocze skały maleją i wkrótce dochodzi się do
granicy b. okręgu Krakowa i tam Prądnik rzuca się do
Wisły.

W całym swym przebiegu Prądnik przerzyna wąską do-
linę, otoczoną po największej części kamienistemi wzgó-
rzami. Koryto dość płytkie, dno kamieniste. Wzbiera na
wiosnę lub po deszczach. Chociaż jest małą rzeczką, je-
dnak w swym gwałtownym pędzie porusza koła wielu
młynów, tartaków, papierni, a przytém żywi w sobie
mnóstwo żarłocznych pstrągów (*salmo fario*), i małych
brzydkich rybek o dużych głowach, zwanych przeto gło-
waczami albo pałozami (*cottus gobio*).

DZUBNIA (Glanówka, Gorąca). Zaczyna się w stronie
południowej wsi Suchéj. Płynąc ku wschodowi, mija
Imbramowice. Poniżej Wysocic zabiera z prawego brze-
gu strumyk zpod Tarnawy. Płynąc ku południowi,
w Iwanowicach zabiera z prawego brzegu strumień po-
wstały ze stoków, idących od Wielmoży, Skały i Rzeplina.
W dalszym biegu ku południowi mija Wilczkowice, Mi-
chałowice, Młodziejowice, Książnice, a pod Raciborowi-
cami wchodzi na granicę b. okręgu miasta Krakowa. Ma
5' szerokości, nurt 2' głęboki, brzegi 3' wysokości; dno
z namulisk utworzone. Przy samém ujściu do Wisły,
dzieli się na dwa koryta. Dzikie (lewe) zmierza ku po-
łudniowi, ma 18' szerokości, nurt 2' głęboki; obraca
młyn i wpada do Wisły. Robocze (prawe) płynie po
zachodnim brzegu wioski Mogiły ku południowi, obraca
młyny pod klasztorem leżące i na południe tychże wpa-
da do Wisły.

Należy do rzek rzadko zamarzających. Wylewa po długich deszczach; więcej zamula, niż topi (*).

SZRENIAWA czyli **STRZENIAWA** początek bierze na wschód Wolbromia w powiecie olkuskim pod wsią Szreniawą, od której téż przyjmuje nazwisko. Niedaleko zaraz wchodzi w powiat miechowski, gdzie płynie pod Słomnikami, Proszowicami, sławnemi z urodzajności gruntów i za Koszycami wpada do Wisły. Dla szczupłości nie może być spławną. Długosz świadczy, że ani zima, ani susza, ani deszcze w niczem nie zmieniały stanu wysokości jęj wody; obfite źródła trzymały ją zawsze w jednostajnej mierze.

NIDZICA wypływa z lasu giebułtowskiego pod Książem Wielkim w powiecie miechowskim; płynie na Nieszków, Dziaduszyce, miasto Działoszyce, i pod wsią Przemyków, poniżej Koszyc, wpada do Wisły. Całkowita jęj długość około 9 mil wynosi. Nie może być spławną. W dawnym podziale województw, oddzielała województwo krakowskie od sandomierskiego.

CZARNA powstaje z kilku strumieni w bliskości wsi Cisów, w powiecie opatowskim; płynie dalej około miast: Rakowa, Staszowa, a za Połańcem wpada do Wisły. Spławną być nie może.

Wpadają do nięj Schodnia i Łagówka.

Schodnia (*pr.*) poczyna się ze stawów grzymalskiego i żarnockiego, na drodze od Szydłowa do Stopnicy. Stanowi w części granicę okręgów szydlowieckiego i stopnickiego. Pod Połańcem łączy się z rzeką Czarną, i z nią wpada do Wisły.

(*) Hydrografia miasta Krakowa, skreślona p. Franciszka Marczykiewicza ze szczególną znajomością miejscowości, obejmuje dokładne opisy wód dawnego okręgu miasta tego; wedlug nięj zamieściliśmy tu w skróceniu opis Przemszy, Prądnika i Dłubni.

Łagówka albo **Łagowica (L)**. Początek w lasach łagowskich, pod Rakowem wpada do Czarnéj; długa więc mil 2.

KOPRZYWIANKA czyli **WRONA**. Początek w dobrach Mostki, na północ Staszowa, w powiecie sandomierskim; pod wsią Bogorya, poniżej miasta Koprzywnicy wpada dwiema odnogami do Wisły, ubiegłszy mil 6. Spławną być nie może. W czasach dżdżystych szkodliwie wylewa.

Przyjmuje w siebie pod wsią Bazów rzeczkę *Klimontówkę (p.)*, wypływającą zpod miasta Iwanisk w powiecie staszowskim.

OPATÓWKA albo **ŁUKAWA** bierze początek powyżej miasta Opatowa, koło którego następnie płynie. Wpada do Wisły pod wsią Słupcza w powiecie sandomierskim. Dla zbyt małej wody spławną być nie może, jednak przy roztopach bardzo znacznie wzbiera. Długa mil 6. Prawie w całej długości ściśnięta jest górami.

KAMIENNA. Rzeka ta bierze swój początek pod Odrowążem (pomiędzy miastami Końskie i Szydłowiec). Od Wąchocka dosyć już znaczna, płynie najpiękniejszą, żyzną doliną aż do samej Wisły, do której wpada pod Wolą Pawłowską. Do miasta Ćmielowa płynie w stronę południowo-wschodnią, ztąd zwraca bieg swój ku północy, a od Bałtowa aż do samego ujścia płynie w kierunku północno-wschodnim. Krętém swém korytem przerzyna rozległe pola, pastwiska, łąki i lasy; prawie wszędzie otoczona jest górami, a szczególnie ściśniona jest niemi pod wsią Chmielowem, od m. Ćmielowa do wsi Borowni, pod Bałtowem i Skarbką Dolną.

Przy znacznym spadku ma pęd bystry, w niektórych miejscach rwący, obfitość wody wielką; głębokość najmniejsza 2 do 6, przy średniej wodzie 4 do 8 stóp, wy-

jąwszy miejsca w których znajdują się doły; przy największej zaś wodzie przepelnia koryto i w wielu miejscach szeroko rozlewa. Szerokość od 16 do 24 stóp dochodzi, długość mil 10.

Kiedy po 1820 r. rząd całą swą zwrócił uwagę na wzniesienie zakładów górniczych, tak rządowych, jak i prywatnych, gdy prócz tego okolica, którą przerzyna rzeka Kamienna, bogata jest i w inne płody natury: Łotu w Ilży i Ćmielowie istnieją fabryki fajansów, pod Kunowem znany powszechnie łom kamienia piaskowego, którym dotąd cały kraj jest zaopatrywany, i kopalnia węgla kamiennych; pomyślano więc o rzece téj, która tu podwójną oddawać miała usługę: raz jako wielki motor do fabryk, drugi raz jako łatwa droga przewozu wyrabianych przedmiotów. Do pierwszego celu została należycie przygotowana, lecz mimo wykonanych odpowiednich robót, do spławu posługiwać nie może.

Przed przystąpieniem do wykonania robót takowych, najprzód postanowieniem Rady Administracyjnej królestwa z d. 17 czerwca 1828 r. zobowiązani zostali właściciele nadbrzeżni do czyszczenia brzegów rzeki Kamiennéj z drzew wyniosłych i leżaków na trzy pręty po obu stronach rzeki, nie naruszając brzegów przez wycianianie zarośli, które mają być w całości zostawione; mosty na rzece téj, gdzieby zaszła konieczna tego potrzeba, miały być zniesione, lub podług potrzeby spławności odbudowane.

Za wszelkie straty, na jakie właściciele gruntów wystawieniby byli przy zakładaniu kanałów spławnych lub sprostowaniu rzeki, Rada Administracyjna zapewniła im stosowne wynagrodzenie.

Roboty wykonane przez inżynierą dla przysposobienia Kamiennéj do użytku fabryk żelaznych i do splawu, są następujące:

A) Kanały:

1) Kanał odpływowy pod Wąchockiem, dla odwrócenia wody rzeki od prowadzić się mającego kanału splawnego, i odprowadzenia jéj do grobli zaprojektowanego stawu wąchockiego, wykopany był w 1830 r. w długości 1000 sążni: szerokość jego we dnie stóp 24, średnia głębokość stóp 7, bryłowość sąż. kub. 5,126.

2) Kanał odpływowy pod wsią Rudą, w tym samym celu jak powyższy wykopany; długi na 660 sążni, bryłowość jego sąż. kub. 2,014.

3) Kanał rudzki, przedsięwzięty dla usplawnienia r. Kamiennéj od wsi Rudy do Nietuliska, w długości jednéj mili; służyć on miał zarazem za kanał odpływowy od grobli projektowanego stawu rudzkiego i fabryk przy téjże wystawie się mających. Składa on się z dwóch części: kanału właściwie rudzkiego i kanału rudzko-podgórnego. Piérwsza część, to jest kanał rudzki ma długości 3,203 sążni, głęboki od 7 do 13 stóp, bryłowość jego sążni kub. 46,249. Druga część, to jest kanał rudzko-podgórny, ma długości 1,250 sążni, głęboki od 10 do 50 stóp, bryłowość jego sążni sześć. 54,578. Z powodu lekkiego gruntu, po obu stronach jest on wydarninowany; wodościeki wyłożone są kamieniami na mchu.

4) Rezerwoar nietuliski. Dla połączenia kanału powyższego z kanałem następnym kunowskim, tudzież kanału świślińskiego z poprzedzającym, wykopany został rezerwoar nietuliski, mający zarazem służyć do umieszczenia zakładów fabrycznych przy połączeniu powy-

ież rzeczonych kanałów, na spadku między niemi 28 stopowym. Rezerwoar ten ma długości 150 sążni i tyleż szerokości; średnia głębokość $6\frac{3}{4}$ stóp. Na środku znajduje się wyspa eliptyczna, dla oszczędności w kopaniu pozostawiona, i z wykopanój w rezerwoarze ziemi usypana. Wybrana z rezerwoaru tego ziemia, wynosi sążni. kub. 21,094. Burty samego rezerwoaru, jako i wyspy, wyłożone są darnią.

5) Kanał swiślański wykopany, jak się powyżej powiedziało, dla połączenia wód rzeki Swiśliny z kanałem rudzkim i kunowskim, służyć ma zarazem za kanał odpływowy od grobli zaprojektowanego stawu na Swiślini. Długość jego wynosi 925 sążni, głębokość około 12 stóp, bryłowatość 10,485 sążni sześć.

6) Kanał kunowski poprowadzony dla uszlawnienia rzeki Kamiennój w okolicy m. Kunowa, ma długości 3,515 sążni, a głębokości około 17 stóp; bryłowatość jego wynosi sąż. sześć. 85,913. Z powodu lekkiego gruntu burty poobrywały się.

7) Przedłużenie kanału kunowskiego czyli kanał szluzowy chmielowski, ciągnie się od końca kanału kunowskiego, do szluzy chmielowskiej pod wsią Chmielowem; długi 850 sążni, głęboki 10 stóp, zawiera sążni kub. 8,698.

8) Kanał spławny między Chmielowem a Borównią. Dla uszlawnienia Kamiennój w rzeczonój przestrzeni na długości mil 3, zaprojektowany został kanał spławny długi 9,793 sążni z 6 części złożony, i tyłuż podzielony szluzami. Kanał ten poczyna się poniżej wsi Chmielowa od fryszerki Romanus, i ciągnie się w prostój linii wedle wsi Częstocic, Ostrowek, Denkowek, Gozdzielin, Bodzechów i wsi Grojec, gdzie się łamie i dalej cią-

gnie około wsi Brzostowy i miasta Ćmielowa; pod wsią Podgródkiem łączy się z rzeką, a następnie minawszy 1,000 sążni koryta rzeki, zaczyna się pod wsią Borownią i kończy kanałem szluzowym 625 sążni długim. Budowa jego nie jest ukończoną.

9) Kanał boczny odpływowy. Obok kanału poprzedzającego, dla odprowadzenia od niego dzikich wód i licznych strumieni wpadających do rzeki Kamiennój, zaprojektowany został kanał boczny, długi 8,150 sążni, głęboki około 7 stóp, szeroki średnio około 23 stóp. Poczyna się naprzeciw wsi Częstocic, a kończy pod wsią Podgrodziem.

Według więc powyższego wykazu, roboty poczynione przy uszluzowaniu rzeki Kamiennój, wynoszą sążni sześćset. 276,665.

B) Szluzy:

Z 19 szluz zaprojektowanych do uszluzowania rzeki Kamiennój, pięciu do 1832 r. rozpoczęto budowę, a do reszty materiały przysposobiono. Wszystkie szluzy miały być budowane w kształcie skrzyniowym (à sas), i w takim też kształcie budowę ich rozpoczęto.

1) Szluza chmielowska wystawiona jest z kamienia łamanego i ciosowego; kamień łamany użyty jest na fundamenta i tylne mury, kamień ciosowy zaś zewnątrz, tak, iż muru z kamieni łamanych wcale nie widać. Szluza ta zawiera długości razem z przedszluzkami stóp 212, sama skrzynia 80, szerokość stóp 18; spadek między górnym a dolnym progiem stóp 9. Drzwi z drzewa dębowego odpowiadają szerokości szluzy.

2) Szluza częstocicka. O 1,675 sążni poniżej szluzy chmielowskiej, rozpoczęta jest budowa szluzy naprzeciwko wsi Częstocic, w tym samym sposobie, téj saméj

długości i szerokości, co poprzednia, ze spadkiem 11stopowym. Mury wzniesione są na stóp 10 nad dno.

3) Szluz a ostrokowska i denkowska; do jój budowy wybrano tylko ziemię na fundamenta w ilości 1,366 sąż. kub. i przysposobiono materiały.

4) Szluz a bodzechowska pod wsią Bodzechowem, budowana jest jak chmielowska i częstocicka, ze spadkiem 11stopowym.

5) Szluz a grojecka. Do szluz y pod wsią Grójcem, oprócz dostawionych materiałów, wykopane tylko znajduje się miejsce na założenie fundamentów, wynoszące sąż. kub. 1,034.

Wszystkie te roboty wykonano do 1833 r.; budowa kanałów kosztowała.... r. sr. 147,709 kop. 41 1/2
 budowa szluz..... — 43,596 — 10 1/2
 razem wymienione roboty kosztowały r. sr. 191,305 kop. 52.

Nad rzeką tą istnieją liczne zakłady górnicze rządowe, mianowicie:

Wielkie piece:

W *Mroczkowie* produkuje rocznie do 18,000 cent.; w *Bzinie* do 15,000 cent.; w *Starachowicach* wystawiony 1789 r. wielki piec dawny, czynność swą odbywał do końca 1838 r.; następnie zastąpiony trzema nowemi, których produkcya roczna dochodzi do 90,000 cent. surowizny. Tu spadek wody wynosi stóp 20; doprowadzoną ona jest przez kanał górny i takimże dolnym odprowadzona. Przy samój łucie stojąca miecharnia, mieści miechy cylindrowe, które porusza koło wodne; glichtociąg znajduje się w wieży glichtowój, w którój naboje podnoszone są przez wodę.

Fryszkerki:

W *Bzinie* i *Marcinkowie* wykuwają rocznie po 2,000 cent. żelaza; w *Wąchocku* produkują 8,600; w *Michałowie*, poniżej miasta Wierzbicy, produkują do 3,000 cent. żelaza.

Pudlingarnie:

Michałów: pudlingarnia żelaza kolbowego o sześciu piecach pudlingowych z młotem wielkim, nożycami i dwiema parami walców kolbowych; porusza to wszystko koło wodne o sile 36 koni. Zakład ten posiada kanał górny, dolny i przewał ze szluzami; produkcja jego 40,000 cent rocznie. *Brody*, podobny powyższemu zakład. *Nietulisko*; przy połączeniu wód Swiśliny i Kamiennój walcownia sztabowa; wodę do pogródek przyprowadza kanał górny, opatrzone dwiema szluzami: jedną przy zakładzie, drugą przy rz. Swiślini; jest tu jeszcze i trzecia szluz na téjże rzece. Koło wodne o sile 60 koni porusza walcownią, która przerabiać może do 76,000 cent. żelaza.

Do rzeki Kamiennój wpadają: Łączna i Kaczka.

1) *Łączna* (p.) wpada pod Bzinem, a bierze początek we wsi Łączna; płynie z południa ku północy. Nad rzeką tą stoi piec wielki w Rejowie, wydający do 32,000 cent. i gisernia czyli odlewnia. Koło wodne urządzone jest przy spadku wody stóp 20.

Fryszkerki nad nią są następne, z produkcją roczną:

Ostojów, w dolinie téj rzeki, wydaje rocznie do 1,300 cent. żelaza. *Ogonów*, poniżej poprzedzającej, wydaje rocznie 16,000 cent. *Jędrów* i *Berezów* wydają rocznie po 2,000 cent. Staw zapasowy pod Berezowem, został w 1838 r. powiększony i zaopatrzony w groble, mnicz i przewały, dla sprawienia większego spadku wód do zakładów, nad rzeką tą istniejących, przez co spadek

wody powiększono do 28 stóp, i woda ta działać może z siłą 30 do 40 koni. W *Pstrążnicy* kuźnia sprzętowa o 2 ogniskach wykuwa rocznie 2,800 cent. W *Stokowcu*, były fryszerki o 2 ogniskach z dwoma młotami. *Baranów* wyrabia 2,000 cent żelaza.

2) *Kaczka* (p.) wpada poniżej *Wąchocka*; bierze początek w lasach rządowych, leśnictwa *Bodzentyn*, we wsi *Siekierno*. Długa wiorst 12; taką ma obfitość wody, iż nadaje ruch zakładom żelaznym w *Mostkach* i *Paraszowie*.

ŁŻANKA albo *BIAŁKA*, powstaje z połączenia wielu strumieni, wijących się pomiędzy *Szydłowcem* i *Wąchockiem*; następnie przechodzi przez wieś *Seredzice* i miasto *Ilzę*; od wsi *Wólki Borowskiej* do *Rekówki*, stanowi granicę powiatu *radomskiego* od *opatowskiego*; następnie powraca w okrąg *solecki*, płynie pod miastem *Ciepielowem*, i nakoniec pod wsią *Chotczą Dolną* wpada do *Wisły*. Tu szluzą ułatwia spław belek.

Pod wsią *Miechowem* przyjmuje w siebie rzeczkę *Chotczę*, wypływającą zpod wsi *Pękosław*.

RADOMKA, dawniej zwana *Radomierzą*, bierze początek poniżej *Skrzynna* pod wsią *Ruskibród*; płynie na *Przytyk*, *Jedlińsk* i ubiegłszy mil 9, pod *Ryczywołem* wpada do *Wisły*. Przepływa więc strony obfite w różnego rodzaju płody. Przy jej źródłach jest siedlisko fabryk żelaznych, słynnych z dobroci swoich wyrobów; w okolicach *Chlewisk* znajduje się kamień ciosowy, który w wielkiej przestrzeni znaczne pokłady formuje; w niższych jej okolicach, szczególnież około *Domaniowa* są pokłady gipsu, ważnego materiału budowlanego. Lecz co najważniejsza, że znane powszechnie lasy *kozienickie*, zawierające drzewo zdatne do budowy okrętów, *Radomka* w całej prawie swjej długości przepływa,

a zamiast ułatwienia wywozu z nich drzewa, jeszcze niejednostajnym biegiem i rozlewem przystępu wzbraniała. Stan jój dawniej był następujący:

Poniżej Przysuchy, z kąd bierze początek rzeczka Przytyczka, którą właściwie można za początek Radomki uważać, wody tak jest znaczna obfitość, że wśród suszy nawet byłaby dostateczną do spławu; między Mniszkiem, Domaniowem, Przytykiem, Zamęczkiem i Jankowicami, znacznie także zasilaną jest strumieniami od Przysuchy i Chlewisk płynącemi; między Jankowicami a Jedlińskiem w wielkiej części rozlana w błota, niewiele przyczynić się może do spławu, chociaż zasilana tu jest wodą z górnych źródeł przychodzącą; między Jedlińskiem a Bruską Wolą także rozlana w błota. Tu rzeczka zpod Radomia idąca, Mleczna, wlewa w nią znaczną obfitość wody, lecz obfitość ta z powodu licznych zawałów, rozgałęzienia się rzeki na kilka odlewów bocznych, do spławności posłużyć nie może. Od młyna Trawki do wsi Rogożka niezliczona liczba zawałów; od téj wsi dopiero aż do ujścia, rzeka ta zdatna do spławu.

Takowe położenie rzeki téj i stan jój wody, zwróciły uwagę nietylko prywatnych osób, ale i samego króla Stanisława Augusta, który bory kozienickie niejednokrotnie zwiedzał, i nastęrczyły myśl, czyby usplawnić się ona nie dała. Tym sposobem nietylko by zaopatrywała Warszawę w drzewo, ale jeszcze dostarczałyby go i do handlu z Gdańskiem, a przez to artykuł ten nabyłby odpowiedniej wartości, jakiej dotąd, z powodu nadzwyczaj trudnej dostawy, prawie żadnej nie miał.

Idąc za przekonaniem o korzyściach z usplawnienia téj rzeki, w 1823 i 1824 r. uskuteczono jój wymiar i niwellację od ujścia aż do Jedlińska, blisko 6 mil wodą, a następnie sam wymiar posunięto do

Przytyka, przeszło 7 mil wodą. Przekonano się wszakże, że Radomka tylko od Gorynia uszlusowaną być może. W téjże więc przestrzeni uporządkowano brzegi na 7 sążni z obu stron, zrobiono w wielu miejscach zatamowania, wykopano kanał $4\frac{4}{5}$ wiorsty długi, 24 stóp u dna szeroki, 4 stopy głęboki, i wydobyto z koryta rzeki blisko do 1,000 sztuk zawałów. Po dokonaniu tych robót, już w 1826 r. spławność téj rzeki od wskazanego punktu, to jest Gorynia, na rozległości przeszło 3 mil żadnym nieulegała przeszkodom, a przez zebranie w jedno koryto licznych strumieni, rozległe błota w piękne zamieniono łąki; lecz wyższa część rzeki między Brzuską Wolą a Jedlińskiem i dziś jeszcze jest rozbroconą.

Oprócz spławu, rzeka ta przynosi przemysłowi i inne użytki; istnieją bowiem nad nią i strumieniami jęj zakłady żelazne, do prywatnych należące:

Rzuców, wielki piec do 15,000 cent. surowizny rocznie wydający; jest tu i pudlingarnia.

Chlewiska, trzy wielkie piece z odlewniami, siedm kuźnic, walcownia i tokarnia.

Krasna, dwa wielkie piece i 5 kuźnic, wydających do 5,000 cent.

W nieświńskich dobrach 5 kuźnic produkujących około 15,000 cent. żelaza i 500 cent. drutu.

Blizin, wielki piec, 16 warsztatów ręcznych i 5 fryszerek; produkeya tych zakładów wynosi 10,000 cent. surowizny i 6,000 cent. żelaza kutego.

Ponizéj Jedlińska, jakieśmy to widzieli, wpływa do Radomki rzeczka Mleczna (p.). Ta bierze początek o milę powyżéj Radomia, i płynie pod tém miastem. Długa mil 3.

CZARNA. Początek jęj pod wsią Zbroza Wielka w powiecie warszawskim; płynie krętém korytem w kierun-

ku od południa ku zachodowi w długości wiorst 40, przez gminy: Łychów, Boglewice, Rytomoczydła, Nowa-Wieś, Chojnowska Wola, Sulkowice, Czaplinek, Czaplin i niedaleko miasta Czerska wpada do Wisły.

Gdy rzeczka ta prawie zupełnie zamulona i zarosła, znaczne pobrzeżnym gminom przez zalewanie łąk czyniła szkody; dlatego zamierzone oddawna wyczczenie jój od wsi Gośniewic do Sulkowic w powiecie warszawskim, podług planu przez budowniczego Düring działanego, częścią przez same gminy przez które przechodzi, częścią przez rząd w roku 1824 dokonane zostało.

JEZIORNA. Początek pod wsią Mała-Wieś w powiecie warszawskim. Płyńie bystro, koryto ma wązkie, dno piaszczyste, długość wiorst 50; ma znaczną obfitość wody, użytój do fabryk papieru we wsi Jeziornój. Formuje wiele stawów. Od wsi Opasz płynie nad samą prawie Wisłą, do którój wpada w dobrach willanowskich.

BZURA bierze początek w powiecie łęczyckim, okręgu zgierskim, w okolicach miast Zgierza i Łodzi, pod wsiami Modrzewie, Moskule i Radogoszcz. Kierunek jój następny: najprzód płynie od wschodu ku północy w powiecie łęczyckim pod miastami Zgierz, Ozorków i Łęczycza; następnie zwraca się znowu ku wschodowi, dotykając powiatu gostyńskiego, od wsi Ktery w powiecie łęczyckim leżącój, aż do wsi Gosławice w powiecie rawskim położonój. W tym samym kierunku przebiega terytorjum rawskie przez gminy Gosławice, Zakrzew, miasteczko Sobotę i Mrzyce, zkąd dalój rozgraniczając powiat rawski do gostyńskiego i łowickiego, wchodzi w ten ostatni niedaleko wsi Klewkowa. Nakoniec płynąc pod miastami Łowicz i Sochaczew, odwraca się ku północy i łączy

się z rzeką Wisłą w powiecie łowickim pod wsią Kamionem, w ekonomii rządowej Kampinos położonej, przepłynąwszy mil 25 czyli wiorst 175.

Płynie kręto, jak tego dowodzi opis powyższy jój biegu, i formuje znaczne załamania. Bieg wody na niej dosyć jest wolny, z powodu małego spadku, jaki ma do Wisły.

Koryto téj rzeki jest w powiecie łeczyckim wązkie; w rawskim na terytoryum miasta i gminy Sobota dzieli się na trzy odnogi, zajmujące szerokości sążni 13. Pod Zakrzewem i Urzycami jest wązka na sążni 2. Od wsi Ostrowa o milę drogi wyżej Łowicza położonej, dzieli się na koryto stare i rów kopany przez młyn Otolice, grunta wsi Jastrzębi i Zagórza do Łowicza prowadzący. Od Łowicza trzema odnogami płynie dalej około miasta, gdzie poza miastem zbiera się nakoniec w jedno koryto, i niém dopływa aż do samej Wisły. Najszersze jój koryto jest pod Łowiczem i wsią Żukowem.

Dno łożyska téj rzeki jest po większej części błotniste, miejscami piaszczyste.

Głębokość téj rzeki jest różna; miejscami wynosi 6 do 8 stóp. Najpłytszą być się zdaje w powiecie łowickim w bliskości wsi Piotrowic, koło folwarku Łowicz, pod wsią Kozłów Biskupi, pomiędzy Mistrzewicami i Brochowem, nakoniec przy samém ujściu pod Kamionem; największa zaś głębokość dostrzeżoną została w gminie Kozłów Szlachecki od wsi rządowej Potoki przez 1 1/2 mili, tudzież poniżej w gminie Gawiów aż za wieś Żuków przez 2 wiorsty ciągnąca się.

Lubo podczas suszy jest miejscami zaledwie na stopę głęboka, przecież nigdy nie wysycha, dla znacznych łąk i gruntu sapowatego, przez które w biegu swym prze-

chodzi. Z powodu krętego jakieśmy widzieli koryta swego, pobudowanych młynów, nawet dla pojedynczych sztuk drzewa nie jest splawną. Bieg wody wolny z powodu małego spadku do Wisły, nizkie jęj brzegi, jak równie i całe okolice na mil kilkanaście rozciągające się nisko położone, liczne młyny i groble, były przyczyną nadzwyczajnych rozlewów. Rozlewy te rozblacające [szeroko po obudwu jęj brzegach rozciągnione łąki, uformowały owe sławne, odwieczne błota, otaczające miasto Łęczycę i wyziewami swemi zarażające powietrze. Przeszło 100,000 fur siana ginęło w trawie kwaśnej, sitowiu, łozysku lęgnących się płazów; prócz tego zatamowane i wyniesione wody przy leniwym swym biegu, zamulając się coraz więcej, zarastały różném zielskiem, i groziły zupełném zagubieniem łoża. To spowodowało jeszcze b. rząd polski do przedsiębrania zaradczych środków, jak równie i dla jęj usplawnienia. Zamiany takowe odziedziczył rząd pruski, sporządził kosztowne rozmiary niwellacyjne, lecz do wykonania robót nie przystąpił. Dopiero skorzystano z suchego lata 1823 roku, i za pomocą szarwarku z wsi nad błotami temi położonych, przystąpiono do tęg ważnęg i wielkęg czynności. Jakoż, zaraz wokoło niedostępnego miasta Łęczycy, gnijące błota przez wybicie rowów znacznie osuszonemi zostały. Dokładne wykonanie zarządzonych robót od Łęczycy do Łowicza, chętne dostarczenie robotników przez interesowanych właścicieli ziemskich, nader dogodne do podobnęg czynności lato, posłużyły do uskutecznienia zamiaru w całej jego rozciągłości; tak, że przez formalne wykopanie koryta rzeki Bzury, szerokie na pół mili i więcej błota, po których pieszo dawnięj przejść nie można było, osiadły i oschły, a w miejscu

nieużytecznych topieli, liczne ukazały się stogi siana. Następnie nadano rzece proste kierunki, w niektórych miejscach po trzy ćwierci mili trzymające. Nowe kanały, wszędzie w miarę potrzeby, wykopano na 15 łokci szerokości, 4 — 6 stóp głębokości, w małych tylko tu i owdzie kawałkach, stare koryto do téjże szerokości rozprzestrzeniono. Ziemia wszystka od burtów usunięta, aby nazad w kanały nie wpadała; lecz owszem w odległości kilku stóp w sposobie wału ułożona, wzbraniała rozlewów rzeki, i łożysko jój tym sposobem jednostajnie utrzymywała. Tak więc wykopano 12,963 pretów (przeszło 6 mil) rzeki, wydobyto 23 kamieni, rozmaitych zawalów sztuk 1,408, pali 129. Do wykonania całego dzieła użyto 31,595 dni roboczych. Prócz téj operacji, rzeka Bzura powyżej, aż do jój początku przekopana, wszystkie źródła wydobyte i tym sposobem dziesięciu foluszom do zakładów fabrycznych tak dalece zapewniono potrzebną wodę, że téj wśród jednego z najwięcej suchych lat 1823 roku, nigdzie nie brakowało. Prócz tego powzięto zamiar przekopania wszelkich strug błotnistych, a tym sposobem osuszenia dotąd nieużytecznych nizin.

Do Bzury zlewają się: Moszczenica, Ochnia, Mroga z Mroźcą, Przysowa, Skierniewka, Rawka z Rylskiem i Bielskiem, Gągolina z Kuklewką, Rzewa z Rokitnicą, i Łasiocha.

Moszczenica także Cesarską zwana (p.) bierze początek w powiecie rawskim ze 4 strumieni wypływających zpod wsi: Imielnika, Klenk, Skoszewy i Sierzni. Przerzyna najprzód prywatne lasy, następnie płynie pod miasteczkiem Strykowem, z kąd dalej przechodząc przez wieś Swędów, wchodzi w powiat łęczycki niedaleko wsi

Kemblina, w kierunku od południa ku północy dąży przez wsie Biesiekierzyk, Kołowice, Wypychów, miasto Piątek, i nakoniec w powiecie rawskim za wsią Jankowem łączy się z Bzurą, przepłynąwszy w ogóle wiorst 75. Od ujścia aż na 1000 sążni długości w górę, wykopano nowe koryto.

Ochnia (*l.*) zaczyna się z błot na gruntach wsi Kobyła Łąka, w powiecie wrocławskim, cokolwiek poniżej miasta Lubienia; płynie na Kutno, a pod wsią Orłowem wpada do Bzury. Długość jęj mil 6. Bieg wolny, dno błotniste, koryta nie ma pewnego, płynie tylko przekopami. Wśród lata wody w niej mało, lecz na roztopach i ku jesieni znacznie przybiera i zalewa przyległe łąki; zalewy te jednak nie zrzadzają znacznych szkód. Ryb w niej mało.

Mroga (*p.*) poczyną się od wsi tegoż nazwiska na północ Brzeziny w powiecie rawskim; przechodzi przez m. Główno i Bielawy; pomiędzy m. Sobotą i wsią Szeligi w rawskim wpada do Bzury. Długa mil 7, szeroka od 10—30 łokci, głęboka od 2—4; dno więcej piaszczyste jak błotniste. Ma znaczną obfitość wody; wylewy jęj żadnych szkód nie czynią. Ryb wcale nie posiada.

Pod m. Głównem przyjmuje w siebie rz. *Mrożyce* (*l.*), biorącą początek za m. Brzeziny pod wsią Lipiny. Długa mil 3; zwykle jest za odnogę Mrogi uważana.

Przysowa (*l.*) poczyną się z błot dóbr trębskich w gostyńskim. Płynie w kierunku od północy ku południowi; pod wsią Klewkowo na granicy powiatów gostyńskiego i łączyckiego wpada do Bzury. Długa mil 7. Koryto błotniste. Bieg wody dawniej nader wolny, zwiększony został przez wykopanie nowego koryta 12 łokci szerokiego od ujścia, do młyna dąbrowskiego, w długo-

ści przeszło mil 5, przez co przyległe błota osuszone, obfite wydają siana i żyzne pastwiska.

Skierniewka, Jeżówka albo Łupia (p.). Strumienie wypływające z powiatu rawskiego: a) z błot pod wsią Białynin, poniżej miasta Jeżowa; b) ze źródeł pomiędzy m. Jeżowem a wsią Mikulinem, i c) z lasów do Krosnowa należących, łącząc się pod wsią Modłą w jedno koryto, tworzą rzekę Skierniewkę. Ta płynie przez wsie: Janisławice, Zajrzew, Rzędków, Strobów; formuje kolano załamane pod wsią Strzybogi, następnie w prostym kierunku przechodzi między miastem Skierniewice i wsią Skierniewką, idzie przez wieś Mrogi, Sierakowice, Bełchów, Dzierzgów; nakoniec w powiecie łowickim płynie przez wsie Bobrowniki, Arkadyą, Mysłaków, i wpada do Bzury pod młynem zwanym Nakwasy. Kierunek biegu téj rzeki jest od południa i zachodu ku północy. Długość mil 5 w rawskim, a 1 w łowickim powiecie; szerokość koryta od 5 — 15, głębokość od 2 — 3 łokci. Bieg wody zupełnie wolny; na wiosnę i w jesieni ma podostatkiem wody, w lecie wszakże miejscami wysycha. Obfituje w drobne ryby.

Rawka (p.) wypływa z lasów wsi Rawiec Królewski w rawskim, a pod wsią Patoki wpada do Bzury, przebiegłszy w rawskim 8, a w łowickim 2 mile. Bieg wody dosyć bystry; szerokość od 2 do 4 sążni, a pod miastem Rawą szeroka do 10 sążni. Dno z początku błotniste, od terytoryum m. Rawy aż do Dalecka piaszczyste. Głębokość wynosi do 1 sążnia; miejscami znajdują się doły do 2 sążni głębokie, kąpiącym się często niebezpieczne. Pod Kęszycami w powiecie łowickim jest najpłytszą. Ma znaczną obfitość wody.

W samém mieście Rawie wpada do niej rzeczka *Rylsk (p.)*. Ta bierze początek pod wsią Rylsk Wielki w powiecie rawskim; płynie korytem dość krętém w długości 20 wiorst między polami wzgórzystemi, przez wsie: Rylsk Mały, Mięglowy, Gołki, Osowicę, Bogusławek Stary, Głuchówek aż do ujścia. Szerokość jój wynosi od 2 do 8 sążni. Głębokość od 4—6 stóp. Dno po większej części błotniste. Nie wylewa ona, a w czasie posuchy więcej za strumień, jak za rzekę uważaną być może.

Pod wsią Kurzeszynkiem wpada do Rawki rzeczka *Bielsk (p.)*, biorąca początek ze źródeł pod wsią Toniki, w rawskim; przeryna tenże powiat w kierunku od zachodu na północ. Płynie przez wsie Danków, Rzeczków, Podśędkowice, m. Białę, gdzie formuje znaczne załamania; przechodzi dalej wsie Rosławowice, Lesie, Przewodowice, nakoniec pod wsią Kurzeszynkiem uchodzi do Rawki.

Radziejówka albo Gągolina (*p.*) bierze początek pod wsią Gnojno, płynie przez m. Wiskitki; w powiecie warszawskim płynie w rozległości jednej mili, a w łowickim $4\frac{1}{2}$. Pod wsią Boryszewek wpada do Bzury. Rzeczka ta ma bieg wody zupełnie wolny, miejscami nawet gdzie jest błotem zamulona, bieg ten prawie dostrzedz się nie daje. W ogólności jest płytka, wyjąwszy pod wsiami Bielice, Duranów, Rokotów, gdzie ma głębokości od 1 do 4 stóp. Dno jój w ogólności błotniste; koryto bardzo wąskie.

Po zatwierdzeniu w 1819 roku przez Kommissyą Rządową Spraw Wewnętrznych zarządzenia byłego landrata Kentrzywskiego, dokonane zostało oczyszczenie téj rzeki i wpadającej do niej Kuklewki, a to po-

dług planu niwelacyjnego, sporządzonego w 1805 roku przez hydraulika Koeppena. Roboty te skutecznie zapobiegły szkodom, jakie zrządała ta rzeka przez swe wyłewy. Najwięcej cierpiały tu gminy Gole, Izdebnó, Kaski, Gągolin, Skotniki, Mikołajew, Wyczółki, Jeżówka i t. d.

Rzeczka ta mało jest rybną; jazy dawniej na niej istniejące, poznoszono.

Tuczna czyli *Kuklewka* albo *Piotrkówka* (p.) ma początek około wsi Petrykozy w pow. warszawskim; od Chylic aż do gminy Gole stanowi granicę powiatu warszawskiego od łowickiego. Pomiędzy wsiami Wyczółki i Gągolinem w łowickim, wpada do rzeczki Gągolina. Długa mil $3\frac{1}{2}$.

Rzewaczyli Utrata (p.) zaczyna bieg swój w gminie Ojrzanów, powyżej m. Tarczyna w powiecie warszawskim. W powiecie tym przepływa mil 6, w łowickim $2\frac{1}{2}$; pod Trojanowem wpada do Bzury. Bieg wody mierny; głębokość od 5 do 7 łokci, najmniejsza przy ujściu. Dno piaszczyste w gminie Pawłowice, Łazy, Strzyżew i Żelazowa Wola, w łowickim błotniste. Przyległe grunta dawniej rozbłoczone, przez wykopanie kanału znacznie osuszonymi zostały.

Rokitnica (l.) bierze początek pod wsią Radonią; płynie w kierunku od południa ku północy przez wsie Jordanowice, Chrzanów, Żuków, Rokitno, i w bliskości Kopytowa wpada do Rzewy. Długa mil 2.

Kur (l.) bierze początek niedaleko wsi Żabięj Woli w pow. warszawskim, płynie przez m. Grodzisk; pod wsią Tłusta wpada do Rokitnicy. Długa mil $2\frac{1}{2}$.

Łasiocha czyli *Łasiczka* (p.) zaczyna się z błot ekonomii rządowej Kampinos w łowickim; przerzyna tylko małą część powiatu tego, płynąc około Bud Myszorskich, folwarku Sienna, wsi Tułowice i Łasice, za któ-

ra blisko wsi Witkowic wpada do Bzury. Kierunek jęj jest od wschodu ku północy. Długość mil 2. Bieg wody dość bystry; dno błotniste. Szeroka na 4 stopy, głęboka do 10 i 12 stóp; najpłytsza przy ujściu. Wody tak mało, że podczas suszy niekiedy wysycha.

OSETNICA, inaczej **SKRWA**, bierze początek z kilku punktów powiatu gostyńskiego, mianowicie: a) ze źródeł we wsi Łanięta, płynąc przez wsie Pomarzany, Sokółów, Zaborów Stary, gdzie formuje znaczne załamania aż pod miasto Gostynin; b) ze źródeł pod wsią Jastrzębia; c) ze źródeł pod wsią Osiny i Sieraków; d) z jeziora pod wsią Łubiensk, która to odnoga ma oddzielne nazwisko Stoki. Wszystkie te odnogi połączywszy się tworzą rzekę Osetnicę, która już jedným korytem płynie przez wsie Lucień, Ruda, i pod nazwiskiem Skrwy wpada do Wisły niedaleko wsi Brwilna. Rzeka ta jest dosyć znaczną; kierunek jęj biegu od zachodu i południa ku wschodowi. Płynie samemi lasami mil 5. Lubo w ogólności jest płytką, głębokość jęj jednak miejscami do 8 stóp dochodzi. Koryto jęj idzie po większej części między wzgórzystemi brzegami, i dlatego żadnych szkód przez wylewy nie zrzęda. Dno piaszczyste, wody obfitość; można ją do większych rzeczek policzyć.

ZGŁOWIĄCZKA wypływa z jezior pod wsiami Głuszyn, Orle i Chalno. Dąży z początku w kierunku od zachodu ku wschodowi przez wsie Janiszewo, Zgłowiączka (gdzie powiększoną zostaje rzeczką Kocięcą), Korzeszynek, m. Lubraniec, wsie Dobieszyn, Kazanie, aż do Sokółowa. Tu formując znaczne załamanie, odwraca się ku północy, i płynie około wsi Rządka Wola, miasta Brześcia, wsi Falborza aż do wsi Wolicy. Pod tą wsią przyjmując wody z wielkich błot Bachorza zwa-

nych, płynie znowu w kierunku ku wschodowi przez wsie: Konty, Wieniec, Siedlinin, nareszcie pod wsią Zamcze wpada do Wisły, łącząc się przed ujściem niedaleko wsi Mazury z wodami, pochodzącymi z wielkich błot czyli bagnisk Rakutowskiemi zwanych. Długość jęj. biegu w powiecie wrocławskim wynosi mil 7.

Rzeczka ta w dzisiejszém położeniu kryjąc się w bagnach i łąkach, nie może być co do szybkości biegu dostatecznie opisaną; z licznych przecież młynów na nięj znajdujących się, a mianowicie prywatnych na Zochlu, Janiszewie, Lubrańcu, Dolnym Młynie, Kazaniu, Kątach, Wieńcu, Zawadzu, tudzież rządowych: Topielcu, Falborzu, Piaskach, Swiechu, Stodowym, w bliskości siebie położonych, o wielkim spadku Zgłowiączki, a tém samém o szybkości jęj. biegu sądzićby można, gdyby młyny pędu wody nie wstrzymywały, tudzież błota i zarośla nie tamowały odpływu.

Wody ma wielką obfitość. Koryto jęj. gliniaste z mułem pomieszane, jest w ogólności wąskie; miejscami jednakże gdzie zalewa łąki, do 175 sążni szerokości dochodzi, a w porze jesiennęj przeszło o 20 sążni więcj się rozlewa.

Gdy rzeczka ta miejscami od 1 1/2 do 5 sążni ma głębokości, przeto radca stanu Okolów podczas rewizyi w 1819 roku, częścią w zamiarze uczynienia jęj. splawną, częścią także dla osuszenia łąk nadbrzeżnych, polecił ją zniwellować, tudzież odebrać deklaracye od prywatnych właścicieli młynów na nięj znajdujących się, względem zniesienia tychże młynów. Z niwelacyi okazało się, że gdyby młyny były zniesione, wprawdzie łąki zostałyby osuszonymi, ale natenczas cała woda

splynęłaby do Wisły, i z rzeki pozostałby strumień. Dla utrzymania wody do splawa potrzebnej, można by stawiać szluzy, lecz poprzednio wyrachować należy, czyli koszta łożone na te szluzy i ich utrzymanie, jako téż na wynagrodzenie za zniesienie młynów, nie przeniosłyby spodziewanych korzyści.

Zgłowiączka obfituje w szczupaki, węgorze, piskorze, lecz trudno je poławiać dla zarosłego i zamulonego koryta.

Wpadają do niej: Kocięca, Przedpolna, Ośła.

Kocięca (*pr.*) wypływa z jeziora grojeckiego w powiecie wrocławskim, i w kierunku od południa ku północy przechodząc przez wsie Siemnowo, Sulkówek, Milczynek, pod wsią Zgłowiączką łączy się z rzeczką Zgłowiączką, za pomocą wybitych rowów przez właścicieli dóbr. Na téj rzeczce znajduje się tylko jeden młyn. Klawiz zwany, lecz i ten czasem tylko mléc może dla braku wody.

Bieg ma wolny; głęboka jest najwięcej na 6 łokci. miejscami tylko $\frac{1}{2}$ łokcia.

Długość jéj przeszło milę wynosi; szerokości ma 4 łokcie. Koryto gliniaste i zamulone. Obfituje w drobne ryby.

Przedpolna, także **Djabełek** (*pr.*) zwana, wypływa z jeziora lubieńskiego, i w kierunku od południa ku północy przechodzi przez wsie: Kłobka, Kępka, Wilkowiczki, Wilkowice, Śmiłowice, Kuźnice, Łopatki, Nakonowo, wpadając niedaleko Łagiewnik do błot rakutowskich, z kąd znowu płynie samemi borami, i łączy się ze Zgłowiączką niedaleko wsi Przygrudnia. Długość biegu téj rzeki wynosi przeszło mil 5. Bieg wody ma wol-

ny, głębokość średnia; przy wsi Kępie Szlacheckiej dochodzi pięciu sążni. W tém miejscu także jest najszerszą, zalewając całkiem łąki nadbrzeżne; w innych miejscach rowami odpływa. Dno koryta ma gliniaste i m.łowate.

Ośła (l.) wychodzi z błot koło wsi Ustronia w powiecie włocławskim; z jednej strony płynie rowem pięć łokci szerokim przez bór wsi Brzezie w kierunku od północy ku wschodowi, wpadając niziną do Wisły niedaleko młyna Ośła zwanego; z drugiej zaś strony w długości blisko mil dwóch płynie samemi borami w kierunku od północy ku południowi, łącząc się z rzeczką Zgłowiączką pod wsią Łysek albo Lisek zwaną.

Bieg ma wolny, głębokość jęj łokcia nie wynosi. Woda m.łó; koryto piaszczyste. Ryb żadnych.

TARZYNA (l.). Początek w powiecie inowrocławskim; płynąc w kierunku od zachodu ku północy, od Przybranówka do Otoczyna, gdzie wpada do Wisły, stanowi część granicy od Prus. Długość jęj między temi punktami wynosi mil 3. Bieg wody wolny; dno częścią piaszczyste, częścią gliniaste; w ogólności płytka, miejscami wszakże do 4 łokci głęboka. Płynie rowami, a lubo ma dostatek wody, jednak więcej na nazwisko strugi, aniżeli rzeki zasługuje.

B) *Z prawego brzegu.*

SANNA poczyna się w okręgu kraśnickim pod Moczydłami; płynie około Modliborzyc, i ubiegłszy mil 6, pod wsią Opoką wpada do Wisły. Nie jest i nie może być splawną, lecz ważną przynosi usługę przemysłowi fabrycznemu, albowiem pod Zaklikowem stoi zakład

pudlingowy Irena, wydający rocznie do 50,000 cent. żelaza szlachowego.

STRÓŻA bierze początek we wsi Stróża, okręgu kraśnickim; płynie koło Kraśnika, a pod wsią Rybitwy, powyżej Józefowa wpada do Wisły. Długa 30 wiorst; nie jest i nie może być splawną.

CHODEL. Początek powyżej wsi Kłodnicy w okręgu kraśnickim; płynie dalej koło miasta Chodel; pod wsią Podgórze, ubiegłszy mil 6, wpada do Wisły. Nie jest i nie może być splawną.

BYSTRA. Źródło jej pod wsią Palikije; płynie przez Wąwolnicę. Pod wsią Bochoćnicą, ubiegłszy mil 4, wpada do Wisły. Nie jest i nie może być splawną.

KUROWKA wypływa z błot Woli Przybysławskiej w okręgu lubartowskim. Płyynie obok miasta Markuszowa, przez Kurów. Ubiegłszy mil 5, wpada do Wisły poniżej wsi Wólka Prosecka. Nie może być splawną.

OKRZEJKA bierze początek około wsi Okrzei w powiecie lukowskim; pod wsią Przewóz wpada do Wisły, ubiegłszy mil 8. Do uszlawnienia niezdatna.

WILEA. Początek przy wsi Goniwilk. Płyynie około Garwolina, a pod wsią Podole wpada do Wisły.

ŚWIDRA. Początek około wsi Kamionki; przepływa okręg siedlecki w długości mili, następnie wchodzi w powiat stanisławowski, płynąc koło miast: Latowicz, Kolbiel i pod wsią Świdry, poniżej miasta Karczewia, wpada do Wisły. Długość jej mil przeszło 7. Koryto nader kręte, prawie co kilka sążni zakłamuje się, i dlatego może nazwisko Świdra dostało się rzece. Jest ona wązka, jednak pod Glinianką do 40 stóp szerokości dochodzi. Pęd wody bystry; głębokość co kilka sążni odmienna, od dwóch do kilku stóp dochodząca. Dno miejscami piasczy-

ste, miejscami błotniste. Wzbiera znacznie na wiosnę i w jesieni, lecz wylewy z tego wezbrania trwają krótko i nie są szkodliwe. Dla osuszenia błot przyległych, wykopany jest kanał wyżej i niżej miasta Kołbieli, długi około 2,500 sążni, czyli przeszło 4 wiorsty, a szeroki stóp 20. Oprócz ryb zwykłych, ma dużo raków.

MOTŁAWA bierze początek w powiecie płockim pod wsią Cierzniwo; płynie dalej na miasto Bodzanów, i ubiegłszy mil 5, wpada do Wisły pod wsią Kępa.

SKRWA wypływa z jeziora Skrwilno w powiecie lipnowskim, wpada do Wisły przy wsi Murzynowo; od wsi Boguszewice oddziela powiaty mławski, lipnowski i płocki. Długa wiorst 175. Dla wielości znajdujących się na niej młynów i zawałów, splawną być nie może.

Wpada do niej przy wsi Mieszczku za miastem Sierpcem rzeczka **Sierpnica** (L), wypływająca z błot rozciągających się pod miastem Bielsk w powiecie płockim.

MIEŃ wypływa z jeziora w dobrach Skempe, powiatu lipnowskiego; płynie koło miasta Lipna i pod wsią Mień, naprzeciw Nieszawy, wpada do Wisły. Na rzecę tej znajduje się wiele tartaków i młynów.

DRWĘCA wypływa z jeziora dobrzyckiego w Prusach. Z początku płynie ku północy, potem od miasta Osterody zwraca się ku południowi; płynie na Nowe-Miasto, Brodnicę i dopiero przyjąwszy w siebie rzeczkę Rypienicę, tu w kraju płynącą, od wsi Łopinoz ukazuje się na granicy Królestwa, i takową aż do wsi Lubicz stanowi. Odtąd opuszcza znowu Królestwo, i pod wsią Złotoryą w Prusach wpada do Wisły. Długość jej wynosi do 250 wiorst. Znaczna obfitość wody, odpowiedni spadek i dogodne brzegi, podałę myśl usplawnienia tej rzeki dla wszelkich statków. Od 1819 r. prowadzone były

w tym celu z rządem pruskim korespondencye, i wyznaczeni już zostali z obu stron kommissarze do zbadania stanu rzeki; zamiar ten jednakże do skutku doprowadzonym nie został, i obecnie Drwęca splawną jest tylko dla pojedynczych sztuk drzewa.

Jakśmy wspomnieli, wpada do niej pod wsią Łopinoz rzeka **Rypienica**, która wypływa zpod wsi Sosnowo w powiecie lipnowskim, i płynie na miasto Rypin.

RZEKA NIEMEN I JÉJ ZLEW.

Rzeka ta bierze początek w cesarstwie rossyjskiém w bliskości Horoszczowa w gubernii mińskiej. Płynie od wschodu na północ, otaczając lewym brzegiem znaczną część gubernii augustowskiej; w bliskości wsi Romaniszki wchodzi w kraj pruski. Długość jój wzdłuż granicy Królestwa wynosi wiorst 380. Około trzech mil niżej miasta Tylży, rozdziela się na prawie równe dwie części, które w ostrym kącie rozchodzą się; nieco mniejsza uchodzi w prawo ku północy i jest owém ramieniem pod nazwą Russy znaném, Niemen zaś płynie w lewo ku zachodowi. Ledwie 4 mile uszły, obie te odnogi stają się łupem Bałtyku czyli zalewu jego *Kurischer-Haff*.

Rzeka Niemen, w niemieckim języku Memel, z miastem Memlem nie ma żadnej styczności, gdyż miasto to oddalone jest od ujścia Niemna na mil 12, a od ujścia Russy mil 6, z którą tylko pośrednio przez zalew czyli zatokę komunikuje, a przytém położone jest nad ujściem Dangi z telszewskiego jeziora pochodzącej i nad morzem Bałtyckim; dlaczegóż więc rzeka i miasto wspólną nazwę mają? Być może, że chcący koniecznie niemieckiej nazwy, zamiast litewskiej Klejpedy (ugrzęztój

nogi), mieli na to wzgląd, że główne towary miasta tego pochodzą początkowo z rzeki Niemna, albo też, że odzwana od niego przez długi czas nazwy osobnej nie miała: owszem, jak tego liczne mamy przykłady, pod nazwą Niemna, swego źródła znaną była, i dopiero później, jakaś znaczna okoliczność do nazwy Russ dała powód. Z tych więc może powodów miastu temu nadano nazwisko rzeki.

Nizinę zpod morza wyszłą, Polacy nazywają Solawą, Żuławą; oż nizinę od miasta Ragniety, gdzie wysokie brzegi Niemna się kończą, aż do samego Bałtyku, nazywają Żuławą tylżycką, dla odróżnienia od Żuławy gdańskiej.

Niemen oddawna już był splawnym, i dlatego z powodu wielu zawad w korycie znajdujących się, już za rządu pruskiego w latach 1805 i 1806 rozpoczęte zostało czyszczenie tej rzeki. Następnie w latach od 1820 do 1825, wykonane były wspólnym kosztem cesarstwa i królestwa odpowiednie roboty oczyszczające Niemen powyżej Kowna, do odległości 28 wiorst. Mimo to jednak, znajdują się jeszcze i obecnie na rzece tej przeszkody splawu, mianowicie rafy kamienne do pół szerokości rzeki, a często i napoprzek jej całej; długość ich wynosi od 10 do 150, a czasem i 200 sążni. Raf wielkich jest 28, mniejszych 40. Nadto zdarzają się i mielizny, pochodzące ze zbytniego rozlania koryta rzeki.

Znaczniejsze więc przeszkody splawu na Niemnie są: pomiędzy wsiami Przeloma i Zachorniki w cesarstwie; nawprost ujścia Czarnej Hańczy do Niemna, znajdują się skały, o które częstokroć rozbijają się statki; pod wsiami Gierdasze, Dzierze, Lipnunce w gminie Se-reje, z powodu rozdzielenia się rzeki na dwa koryta,

w czasie opadnięcia wody okazują się mielizny, ztąd by wają utrudzenia w żegludze, a często nawet i rozbicia statków; od wsi Mizery do wsi Gudel, na przestrzeni blisko mil 3, są kamienne rafy; pod miastem Balwierzszki kamienie wielkie, ostre, zwane rafą Balwierz; pod wsiami Poświętupie, Gogi, Pilona, także znajdują się rafy, a pod wsią ostatnią znajdująca się rafa, ma nazwisko Lejbowa skała; w gminie Leonowo pod folwarkiem tegoż nazwiska, mielizna nazwana Szoluska; w gminie Pożajście pod wsiami Garsona i folwarkiem tegoż nazwiska, pod wsią Kempiszki, Księdzowska Skała, pod wsią Skałą i Pokalniszki.

Lecz najtrudniejsza i najniebezpieczniejsza przeprawa jest pod wsią Dworaliszki z prawego brzegu, przez skały zwane Djabli Most, gdyż tu wpoprzek rzeki są duże, ostre kamienie, trudne do ominięcia bez uszkodzenia statku; zwłaszcza, że woda w rafach ścieśniona skałami, idąc bystrzej nad rafą, statek zbyt mocno unosi. Przejścia te szczególnie są niebezpieczne dla statków zmuszonych zatrzymać się zaraz za rafą, i kiedy inne za nimi płyną, wtenczas statki uderzają o siebie i zostają zniszczone, a najmniej, kiedy tylko mocno uszkodzone. Wypadkom tym możnaby zdaje się zapobiedz, przez zaprowadzenie następnych ostrożności: aby każdy statek na Niemnie płynący miał kotwicę o 3 odnogach; aby statek zmuszony koniecznością zatrzymać się za rafą, zaraz wysyłał w górę najmniej o pół wiorsty czółno z uwiadomieniem o tém; wtedy wszystkie inne statki za pomocą kotwic wstrzymane zostaną w biegu, dopóki tamten nie wyruszy z miejsca.

Mimo takowych przeszkód, spław na rzece tej odbywa się berlinkami, wicinami, łodziami żaglowemi, ba-

tami pruskiemi (statki nadbrzeżne morskie), bajdakami, krypami, galarami. Statki te, osobliwie początkowo wymienione, przywożą nam z morza: towary kolonialne, wino, sól pruską, śledzie; lecz za to Niemen zaopatruje zamorskie kraje w zboże wszelkiego rodzaju, len, konopie, lój, smołę, krédę, drzewo.

W ciągu 1848 roku, przepłynęło Niemnem przez komorę celną Kucharskinia zwaną różnych produktów: z Prus do Królestwa za rs. 2,099; z Królestwa do Prus za rub. sr. 397,643. W liczbie ostatnich, wypłynęło do Prus: zboża różnego gatunku korcy 17,057; cynku, żelaza i t. p. centnarów 2,332; wapna, smoły i t. p., beczek 890; drzewa opałowego sążni sześciennych 1,254; a więc Niemen wprowadził do kraju z Prus 395,544 rub. sr. Bo też pominąwszy część wyższą, Niemen oblewa bardzo bogate strony; to jest powiaty: maryampolski i kalwaryjski, a dogodnością swoją do spławu, wiele się do ich zamożności przyczynia. Przy bliskości portów morza Bałtyckiego, jakiemi są Klejpeda i Królewiec, nietylko zboże, siemię, włókno, drzewo, wełna, opasy, ale nawet poślady, ziele i obficie rodząca ją kostrzewa (dyrsa) ma swoich na Prusy spekulantów. Królewiec jest głównym targiem zboża i siemienia, Klejpeda zaś szczególnież drzewa, które do niej w obfitości, nawet z Wołynia przybywa. Poniemoń, Kucharskinia i słynna z pięknego położenia Aleksota, będąca jakby przedmieściem Kowna, są głównymi punktami w spichrze zuopatrzonemi, do których wszelkie transporta kołami ściągają, a następnie przechodzą na rzekę. Pośrednikami handlu są tutaj kupcy żydowscy Poniemonia, Kalwaryi, Władysławowa i Wilkowyszek; tych znaczny kredyt

u zagranicznych kupców, oraz rozgałęzione z nimi spółnictwo i stosunki, do znacznej wzniosły zamożności. Mimo to i litewski kmięć dobrze tęż na handlu wychodzi, a przy zadawnionej opiece jakiej doznaje, zwłaszcza skutkiem niedopięro juź upowszechnionego oczynszowania lub umiarkowanej pańszczyzny; przy miejscowości sprzyjającej hodowli bydła i koni, tudzież lnu uprawie; przy położeniu handlowém okolicy, które Niemen znacznie podwyższa; przy swym nakoniec charakterze oszczędnym, kmięć ten jest zamożnym, a szczególniej w maryampolskim, jest może najbogatszy w całym kraju.

Niemen wpływając na dobry byt okolicznych mieszkańców, przedstawia jeszcze uroczosć litewskich krajobrazów. Brzegi jego należą do najpiękniejszych okolic Polski, a widok z Aleksoty na wspaniałą kowieńską dolinę, gdzie Wilia obok starożytnego Kowna do Niemna uchodzi, jest prawdziwie przecudnym.

Główna w Królestwie kraina jezior, rzeczek, bagien, trzęsawisk, rozłożyła się po lewym brzegu wyższej części Niemna; lecz ten wyższe obrawszy sobie łoża, czystej swęj wody nie maći ściekami z nich, i niewiele wód obcych do siebie przyjmuje. Wpadają bowiem do niego tu w Królestwie tylko Łososna, Czarna i Biała Hancza, Perczajka i Szeszupa; wszystkie z lewego brzegu, prawy bowiem nie do nas należy.

ŁOSOSNA wypływa z cesarstwa rossyjskiego. Od wsi Bojar aż do wsi Łososna, gdzie wpada do Niemna, stanowi część granicy gubernii augustowskiej od grodzieńskiej.

Przyjmuje w siebie pod wsią Karolin rzeczkę Tatarkę (l.), wypływającą z błot niedaleko wsi Nowosiołki.

CZARNA HANCZA wypływa z jeziora Hancza, w bliskości granicy pruskiej, na wschód miasta Przerosił; pły-

nie dalej na miasto Suwałki. Od wsi Mikaszowka do wsi Czortek, stanowi ona część kanału augustowskiego, tu go opuszcza i wpada do Niemna pod wsią Sieniewicze.

Zlewają się do niej: Wołkusz i Sejny albo Marycha.

Wołkusz (p.). Poczyna się w lasach błotnistych, rozciągających się około wsi Karasne na północ miasta Lipska.

Sejny płynie pod miastem Sejnami aż do jeziora Pomorzanka do wsi Giby, następnie opuszcza jezioro, i przybiera nazwisko **Marycha**, odkąd splawna dla pojedynczych sztuk drzewa. Za wsią Kalety wpada do Hanczy.

BIAŁA HANCZA stanowi część granicy powiatu sejneńskiego od augustowskiego; pod wsią Śto-Jańskie wpada do Niemna.

PERCZAJKA wypływa z jeziora obelskiego w powiecie sejneńskim, na północ m. Sęreje. Od wsi Koleśniki do miasta Balwierzyszek, stanowi granicę powiatu kalwaryjskiego od maryampolskiego. Około rzeczonoego miasta Balwierzyszek wpada do Niemna. Splawną być nie może.

Wszystkie te wymienione rzeki, wpadające bezpośrednio lub pośrednio do Niemna, biegną od zachodu na wschód; wszystkie zaś następne mają przeciwny kierunek, to jest płyną od wschodu na zachód.

SZESZUPA bierze początek przy wsi t. i. w powiecie sejneńskim, w bliskości także źródła rzeki Hanczy Czarnej. Punkt więc ten, to jest pomiędzy miastami Przerośl i Wizajny, jest najwyższym; z jego dopiero spadzistości płyną w różnych kierunkach rzeki, strumienie, które wpadają do Niemna lub giną w jeziorach, rznąc sobie koryto często przez rozległe błota. Szeszu-

pa płynie pod miastem Lubów, Kalwaryą, Ludwinów; od wsi Sorakiszki aż do miasta Władysławowa, oddziela powiat kalwaryjski od maryampolskiego; odtąd, to jest od miasta Władysławowa aż do wsi Kirkiły, stanowi granicę od Prus, gdzie wpada do Niemna. Od miasta Władysławowa zaczyna być splawną dla drzewa. U Litwinów *Upa* oznacza rzekę, *Szesz-Upa* dosłownie znaczy ta rzeka. Zakończenia *upenis*, *upie*, tak często przy nazwie litewskich wsi znajdujące się, dowodzą, że tam mała rzeczka płynie.

Wpadają do Szeszupy:

1) **Kirsna** (*p.*). Wypływa z jeziora przy mieście Łozdziecach, wpada do Szeszupy pod Borowszczyzną i Santoką; jest zbyt mulista.

2) **Dawina** albo **Spernianka** (*p.*) bierze początek z jeziora Dusia przy wsi Bobrowniki, wpada następnie do jeziora Simno, z którego wypływając przybięra nazwisko *Bombiny*, i nareszcie poniżej miasta Ludwinowa wpada do Szeszupy.

3) **Rowsia** (*l.*). Początek jęj przy wsi Wronaliskach na zachód miasta Maryampola; płynie prawie prosto z południa ku północy, i pod wsią Piluny, powyżej Pilwiszek, wpada do Szeszupy.

4) **Pilwa** (*p.*). Początek pod wsią Ponejnapie w stronach miasta Kowna; płynąc w kierunku zachodnio-południowym, pod miastem Pilwiszki wpada do Szeszupy. Długa mil 3. Splawną dla pojedynczych sztuk drzewa.

5) **Wysoka** (*p.*). Początek z jeziorka pod wsią Stonis, w bliskości m. Sapieżyszek; poniżej miasta Pilwiszki wpada do Szeszupy. Długa mil $4\frac{1}{2}$. Na wiosnę splawną jak i powyższa dla pojedynczych sztuk drzewa.

6) **Szyrwinta (l.)**. Początek pod wsią Gudele w północno-wschodniej stronie m. Wysztyńca; od wsi Bojar do ujścia w Szeszupę pod Władysławowem, stanowi część granicy Królestwa od Prus.

Pod wsią Bojary w pow. kalwaryjskim przyjmuje w siebie rzeczkę *Leponę (l.)*, której początek pod wsią Popczki. Od wsi Kopodzie aż do ujścia swego, Lepona stanowi granicę powiatu kalwaryjskiego od Prus.

Rzeka Niemen połączona jest z Narwią, a przez tę z Wisłą, za pośrednictwem systemu wód, nazwanego kanałem Augustowskim, którego opis poniżej zamieścimy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MNIEMANY GROBOWIEC

BOLESŁAWA WSTYDLIWEGO

W KRAKOWIE.

PRZEZ

Kazimierza Stronczyńskiego.

W kościele ks. Franciszkanów w Krakowie, znajduje się obok wielkiego ołtarza po lewej ręce wmurowana kamienna tablica, na której w płaskorzeźbie wyrobiony rycerz w misiurce na głowie, odziany żelazną zbroją, w lewej ręce trzyma rodzaj buzdycanu, a prawą opiera na mieczu w pochwach u boku zawieszonym (1). U stóp jego tarcza z wyrobionym wypukłym orłem, a dokoła napis podobnie wypukłymi literami:

*Anno Dni MCCLXX^o obiit illustrimos pnceps & dns Vladislaus dict9 pi9. dux Cacov. wedle in-
nych Cal &c.*

Tablica ta uchodzi od niepamiętnych czasów za grobowiec Bolesława Wstydliwego, który wedle świadectw kronik społecznych, w tymże kościele został pochowanym.

Historia tego pomnika dosyć jest osobliwa. Był on poprzednio wmurowany w ścianę choru większego, czyli części kapłańskiej, i do połowy stallami czyli formami zasłonięty. Stalla te w r. 1670 kosztem księdza Wale-

(1) Rysunek tego grobowca dotąd nie mógł być wykończonym. Dołączonym więc będzie do jednego z następnych zeszytów Biblioteki Warszawskiej.

ryana Gutowskiego fundowane, a historią Bolesława Wstydliwego wyobrażające, w końcu zeszłego stulecia już się były nadwątlily, i dlatego ks. Kassyan Korczyński gwardyan tameczny w roku 1781 kazał je odjąć, a odsłoniwszy tym sposobem pomnik, próbował, czyby się za nim co nie znajdowało. Użyty do téj roboty mularz, niejaki Mirecki, przekonał się za pomocą młotka, że kamienna tablica wyobrażająca zbrojnego rycerza, nie jest wmurowaną w ścianę, ale tylko w pewien rodzaj niszy wstawioną, i ceglami dokoła umocowaną. Wydobyto zatem owę tablicę, i znaleziono za nią złożone w niszy kości, a co najdziwniejsza, dostrzeżono, że nietylko ze strony zewnętrznej, ale i z odwrotnej była wyrabianą. Ks. Korczyński namyśliwszy się nieco, kazał ją na dwoje przerznąć, i rozdzielone tym sposobem płaskorzeźby, po bokach wielkiego ołtarza wmurować, tak jak się teraz widzieć dają.

Tak pisze o tém naoczny wszystkiego świadek ksiądz Wyszkowski, zapewne *in chronica domus* (1).

W rzeczy samej z drugiej strony wielkiego ołtarza, zupełnie w miejscu odpowiedniém mniemanemu pomnikowi Bolesława Wstydliwego, znajduje się podobna kamienna tablica z wyobrażeniem mężczyzny w habicie zakonnym reguły śgo Franciszka, z osobliwszą na głowie czapką; ręce ma na krzyż złożone, a pod głową w miejsce poduszki, mszał. Napis dokoła wyrobiony wypukło, zasłoniętym jest w części budową wielkiego ołtarza; można przecież na nim wyczytać: *Anno Domini n. 494... ann Bonem rapt... ann et sue sepultus reciescit (sic) orate Deu po eo.*

(1) Zobacz Płonczyńskiego: Groby i pomniki, zeszyt I.



Jestto zatem grobowiec jakiegoś tutejszego zakonnika, zmarłego roku 1494.

Porównując jego robotę, z płaskorzeźbą rycerza wyobrażającą, dostrzegamy następujące różnice:

1) Że litery napisu otaczającego postać zakonnika, mniejsze są i foremniejsze od liter otaczających figurę zbrojnego rycerza, chociaż na obu kamieniach są gotyckie, i na obu wypukło rzniete.

2) Że data na grobowcu zakonnika wypisaną jest liczbą arabską, na grobowcu zaś rycerza rzymską.

3) Że na grobowcu zakonnika znajdują się pomiędzy wyrazami napisu punkta przedzielające, których w napisie otaczającym rycerza wcale niemasz.

4) Że w ogólności napis na grobowcu zakonnika jest obszerniejszym, więcej szczegółowym, a w jego pisowni inne są zupełnie skrócenia.

Z tego wszystkiego należy wnosić, że obiedwie rzeźby nie są sobie spóczesne, ale że wyobrażenie księcia znacznie jest dawniejszém od wyobrażenia zakonnika. I w istocie, przypatrując im się bliżej nietrudno dostrzedz, że to ostatnie wyrobioném zostało ręką nierównie bieglejszą, i że na tak długie działanie czasu jak pierwsze, nie było wystawioném.

Mniemany zatém pomnik Bolesława Wstydliwego był w końcu XV wieku kamieniem do niczego nieużytym, i uważanym jedynie za materiał, z którego nagrobek dla jakiegoś księdza Franciszkana zrobiono; a gdy w napisie tego nagrobku jest wezwanie o modlitwy za duszę zmarłego, widać więc, że on tak był pierwotnie w ściągę wmurowanym, iż nie figura rycerza, ale figura zakonnika była zewnątrz widoczną.

W żadnym zaś razie nie można przypuścić, aby kamień ten leżał pierwotnie na grobie Bolesława, założyciela kościoła dla Franciszkanów krakowskich, gdyżby nikt się nie odważył wyrzucić go z tego kościoła, a tém bardziej na inny pomnik, choćby nawet dla prowincyała zakonu przemienić. Ani téż nie daje się wnioskować, aby kiedykolwiek na grobowiec dla Bolesława Wstydliwego był przeznaczonym, gdyż nietylko na nim imię i data śmierci inna, ale co może ważniejsza, nie widać w ubiorze żadnego znamienia najwyższej dostojności

monarszej, jaką Bolesław Wstydlivy sprawował, a w napisie żadnej wzmianki o fundacyi kościoła, w którym był pochowanym; która to wzmianka nigdy w napisach nagrobkowych opuszczaną nie była.

I w rzeczy samej, Długosz który w kronice swojej nie przepominał uczynić wzmianki o innych grobowcach polskich monarchów, jakie w Krakowie za jego czasów istniały, mówiąc dosyć szczegółowo o śmierci i pogrzebie Bolesława Wstydliwego, wskazując nawet miejsce w kościele, w którym ciało jego zostało złożone, o żadnym jego nagrobku nie namienia. Również Arnold Mylius, około r. 1594 zbiór portretów polskich monarchów wydający, wzór do wyobrażenia Bolesława Wstydliwego wziął z pieczęci, nie zaś z pomnika, jak to przy kilku innych portretach uczynił; co dowodzi, że o istnieniu pomnika Bolesławowego jeszcze nie wiedział.

Dopiero w drzeworytach, użytych do wydanej przez Joachima Bielskiego w r. 1507 Kroniki Polskiej, po pierwszy raz widzieć się daje, że artysta rysując postać Bolesława Wstydliwego, miał może przed oczyma rzeźbę o której mówimy; i chociaż od niej w rysunku znacznie odstąpił, przecież w kształcie przyłbicy, berła, i rysach twarzy, widocznie usiłował podobieństwo zachować.

Z powyższego wywodu rzeczy okazuje się, że kamień ten nietylko nie był pierwotnie na pomnik Bolesława Wstydliwego przeznaczonym, ale nawet, że do r. 1594 nie był za grobowiec tego księcia uważanym; że zatem osobę którą ma przypominać, pomiędzy innemi Piastami, a zwłaszcza pomiędzy Władysławami szukać należy.

Z liczby tych ostatnich, dwaj tylko byli tacy, do których nasz pomnik mógłby się stosować: to jest Włady-

śław Laskonogi syn, i Władysław Odonicz wnuk Mieszka Starego, obaj wielkopolscy książęta. Do wcześniejszych zaś Władysławów kamień ten odnoszonym być nie może, dlatego, że aż do roku 1207 wszyscy Piastowie, z wyjątkiem jedynie szląskich, tytułu książąt polskich *dux Poloniae* używali, a w napisie na nim jedni *dux Cracoviae*, drudzy *dux Calisiae* czytają.

Dwie jednakże okoliczności walczą przeciw uznaniu naszego kamienia za pomnik Władysława Laskonogiego:

1) Że Laskonogi łacińskim wyrazem nazywany był w kronikach *magnus*, a mając przeciw sobie duchowieństwo, i dlatego od współczesnych dziejopisów za człowieka sprosnych obyczajów wystawiony, nie mógł być na grobowcu nazwanym *pius*, co znaczy pobożnego.

2) Że chociaż jeszcze przed rokiem 1207 rzekł się głównowładztwa Polski, i w opuszczeniu życie zakończył, był jednakże przez lat kilka monarchą; a na płaskorzeźbie o której mowa, żadnej oznaki najwyższego tego dostojęstwa nie widać.

Że się Laskonogi za czasów rządów swoich tytułował zawsze *dux Poloniae*, to możnaby tutaj pominąć, gdyż w epoce kiedy umarł, książęta dzielnicy krakowskiej, do której tron monarszy był przywiązany, przestali używać tytułu książąt polskich, i krakowskiemi tylko książętami się zwali.

Jeżeli więc pomnik nasz koniecznie do jednego z Władysławów należy, tak jak na nim napis naucza, tedy do innego należeć nie może, jak chyba do Odonicza, a w takim razie nie *dux Cracoviae*, ale *dux Calisiae* na nim czytać należy. Rozbierzmy teraz cały napis w szczególności.

Co do tytułu *dux Calisiae*:

Tytułu tego używali książęta wielkopolscy z początku wyjątkowo, później stale. Janko archidyakon gnieźnieński w kronice swojej taki tytuł daje Mieszkowi Staremu; Władysław Odonicz tak się nazywał w jednym przywileju z r. 1207, i tak go w jedném miejscu mianuje Długosz. Syn zaś jego Bolesław Pobożny, prawie zawsze występował w dokumentach jako kaliski książę, i małoby można przytoczyć takich, któreby w tym względzie wyjątek czyniły.

Co do przydomku *Pius*, ten najwłaściwszy byłby temuż samemu Bolesławowi księciu kaliskiemu, gdyż tak go jednoznacznie spóczesne mianują kroniki. Obok imienia Władysławowego, napotyka się taki przydomek w jednym tylko przywileju, nadanym w r. 1278 przez Bolesława księcia mazowieckiego dla kościoła w miasteczku Jezowie w ziemi rawskiej, które do opactwa Benedyktynów w Lubieniu w Wielkiej Polsce należało. Wspomina w tym przywileju Bolesław Mazowiecki o poprzedniku swoim Władysławie Pobożnym w następujących wyrazach:

„Denique, forum, thelonem et forense quod targove dicitur donacione Serenissimi principis pii Vladislai antipatris nostri felicitis recordationis ecclesie ac dicte domui Yezeviensi et fratribus ibidem ob antiquo datum, statutum et scripto confirmatum etc... perpetuis temporibus confirmamus”.

Dosłownie wyrazy tego przywileju tłumacząc, zdawałoby się, że w nim mowa o Władysławie Laskonogim, gdyż ten tylko, a nie inny był w linii bocznej nadojcem czyli dziadem (antipater) mazowieckiego Bolesława. Bliżej jednakże zastanowiwszy się nad osnową całego przywileju, okazuje się, że go w dosłowném tłumaczeniu brać niepodobna, a to z następujących powodów

1) Że w ogólności żaden z Władysławów do końca XIII wieku żyjących, nie mógł nadawać przywilejów dla filialnego zakładu księży Benedyktynów w Jezowie, ziemi rawskiej, gdyż ani Laskonogi, ani Odonicz nad tą ziemią nie panowali, a Władysław Herman zmarł na sto lat wcześniej, nim Benedyktyni w Jezowie, a nawet w macierzystym klasztorze w Lubieniu nad Wartą, zostali zaprowadzeni.

2) Że wspomniany przywilój chociaż nosi na sobie datę wydania rok 1278, nie mógł być spisany w tymże roku, ale znacznie później; wchodzące albowiem do niego osoby wymienione są w takim charakterze, jakiego jeszcze w tymże roku nie nosiły, a powołane w nim wypadki, historia pod znacznie późniejszą epoką zamieszcza (1).

(1) Miałem sposobność przez długi czas przypatrywać się przywilejowi temu w oryginale. Nie przedstawia on nic takiego, coby z powodu zewnętrznych oznak czyniło autentyczność jego w czémkolwiek podejrzaną. Pismo w nim odpowiada postacią swoją końcowi XIII wieku, a przynajmniej wykonane jest ręką na wzorach téj epoki ukształconą; a jednakże najoczywistsze w nim anachronizmy. I tak, według niego Bolesław książę mazowiecki, zawdzięczając opatowi Benedyktynów w Lubieniu, że go w czasie wyprawy wspólnie z Władysławem księciem sieradzkim przeciw Henrykowi księciu głogowskiemu prowadzonej, pod zamkiem Krzywín z wielkiego wywiódł niebezpieczeństwa, nadaje w r. 1278 w przytomności synów swoich Ziemowita i Trojdena rozmaite swobody dla filialnego tychże Benedyktynów kościoła w Jezowie. Tymczasem biorąc na świadectwo spóczesne kroniki, okazuje się:

1) Że Bolesław dopiero w r. 1294 zostawszy panem całego Mazowsza, wcześniej przed tym rokiem albo *dux Plocensis*, albo *dux Masoviae et dominus plocensis* był tytułowanym; w dyplomacie zaś naszym tylko *dux Masoviae* stoi.

2) Że w r. 1278 Władysław nie był księciem sieradzkim, ale brzesko-knjawskim; sieradzkie zaś księstwo dopiero po śmierci starszego brata swego Leszka Czarnego w r. 1289 odziedziczył.

Jeśli zatem ten przywilej nie jest całkowicie sfalszowanym, tedy zamieszczonęj w nim wzmianki o Władysławie Pobożnym nie można inaczej zrozumieć, jak tylko że się odnosi do Władysława Odonicza, i że przypomina nadania uczynione przez tegoż Władysława, nie w szczególności Benedyktynom w Jeżowie, gdzie się władza jego nie rozciągała, ale w ogólności Benedyktynom lubieńskim, do których i Jeżów należał. I w rzeczy samej, książę ten, hojny duchowieństwa dobroczyńca, mógł być przez duchownych najwłaściwiej przydomkiem *Pius* (pobożny) zaszczyconym, a tém samém przydomek ten i na jego grobowcu mógłby znaleźć pomieszczenie.

Co do daty śmierci na grobowcu naszym zamieszczonęj, ta odpowiada zgonowi jednego tylko księżęcia z rodziny Piastów, to jest Władysława ks. szląskiego. Lecz że ten obrawszy sobie stan duchowny, umarł arcybi-

3) Że w r. 1278 księciem głogowskim nie był Henryk, ale Konrad jego ojciec. Sam zaś Henryk tém księstwem dopiero od r. 1298 zarządzał.

4) Że według Długosza, Bolesław mazowiecki dopiero w r. 1279 pojął żonę Litewkę, która mu wymienionych w dyplomie synów urodziła.

5) Że wojna Władysława Łokietka z Henrykiem księciem głogowskim, o której mowa w przywileju, dopiero w r. 1306 miała miejsce.

Ztémwszystkiém Długosz nie miał wcale w podejrzeniu powyższego dokumentu; nie tylko bowiem o jego wydaniu namienił, ale i całe zdarzenie, które onemu początek dać miało, w kronice swojej opisał (zobacz księgę VII, stron. 814, wydania lipskiego), chociaż w inném miejscu mówiąc o tymże samym Bolesławie, niezgodnie z osnową tegoż dokumentu utrzymuje, że Bolesław dopiero w r. 1279 zawarł związki małżeńskie.

Nie powątpiewał także o jego autentyczności Naruszewicz; i owszem, prostując świadectwa dawnych kronik, kilkakrotnie się na niego powołuje. Także uważali go za wiarogodny Antoni Muczkowski i Zygmunt Hoelzel, wcielając go do Kodexu Dyplomatycznego polskiego na stronie 100, pod liczbą LVIII, w tomie I.

skupem salcburskim, przeto grobowiec w kościele Franciszkańskim w Krakowie znajdujący się, w żaden sposób do niego należeć nie może. Oczywiście więc jest rzeczą, że na tym grobowcu zachodzić musi niezgodność z rzeczywistością co do daty śmierci księcia, którego ma wyobrażać.

Jestże ta niezgodność skutkiem mimowolnej pomyłki, czyli też rozmyślnego antydatowania? trudno odpowiedzieć; to tylko pewna, że tego rodzaju niezgodności dat nierzadko się napotykają. Znajduje się ona na przykład na kolumnie Duninowskiej w Koninie (1), na grobowcu Adelajdy córki Kazimierza Sprawiedliwego w Sandomierzu (2), a nawet na niektórych grobowcach książąt szląskich, które nad inne polskie staranniej i umiejętniej były wykonywane.

Co do ubioru księcia na pomniku naszym wyobrażonego, ten tyle tylko może przekonać, że pomnik ten dla żadnego z książąt krakowskich nie był zrobionym; orła zaś, jaki na nim przy nogach książęcych widzimy, zarówno Bolesław Wstydlivy krakowski, jak i Władysław Odonicz wielkopolski na pieczęciach używali.

Kiedy więc na grobowcu naszym leży imię Władysława, jakie także nosił wnuk Mieszkowy Odonicz książę

(1) Wiadomo z kronik, że Piotr Dunin będąc wielkorządcą w Wielkiej Polsce, kazał w mieście Koninie wystawić kamienny słup na znak połowy drogi z Kalisza do Kruszwicy. Kolumna ta otoczona jest rytym napisem, w którym rok 1250 zamiast 1150 jest położony, a przecież postać liter składających cały napis, raczej XII, jak XIII wiekowi jest właściwą.

(2) Grobowiec ten opisałem w Październikowym poszycie Bibl. Warszawskiej z r. 1842 dołączwszy jego rysunek. Później miałem jeszcze raz sposobność przypatrzenia mu się w oryginale i dostrzegłem, że na nim nie 1211, ale 1290 rok śmierci czytać należy. Rysunek zatem powyższy, podług tego sprostowanym być powinien.

wielkopolski; kiedy się obok tego imienia znajduje przydomek *Pius*, który w jednym z dyplomatów dodano temu, jak się zdaje, a nie innemu księżęciu, i do którego bez zaprzeczenia ten jeden większe niż którykolwiek inny miał prawo; kiedy koniec napisu grobowego zarówno *dux Cracoviae*, jak *dux Calissiae* czytać można, a tego ostatniego tytułu Władysław Odonicz także niekiedy używał; kiedy przy nogach wyobrazonego na grobowcu rycerza, leży tarcza z orłem herbowym, jakiego na wszystkich prawie pieczęciach Odonicza widzimy; kiedy brak oznak najwyższej godności w ubiorze przekonywa, że pomnik budowany był dla księżęcia, który wcale nad krakowską dzielnicą nie panował, a w tym przypadku ze znanych Władysławów (pomijając szląskich), jeden był tylko Odonicz; kiedy nareszcie niezgodność co do daty śmierci wpływem pomyłki być mogąca, i zresztą wielu innym pomnikom spólna, na uwagę zasługiwać nie może: dlaczegobyśmy pomnika naszego raczej Władysławowi Odoniczowi księciu wielkopolskiemu przyznać nie mieli, niż wyszukiwali dla niego z Michałem Wiszniewskim, dotąd nieznanego w dziejach Piasta, który się podobno nigdy nie znajdzie?..

Pozostaje mi jeszcze wykazać, jakim sposobem pomnik ten, przeznaczony dla księcia pochowanego w Poznaniu, mógł się znaleźć w Krakowie. Wiadomo, że Władysław Odonicz zmarł na wygnaniu, i że dwóch synów po sobie zostawił; że starszy z nich Przemysław w lat kilkanaście poszedł za ojcem, młodszy zaś Bolesław, nierównie późniejszej doczekał się starości. Że ten Bolesław pojawiający za żonę Helenę czyli Jolantę, siostrę Śtėj Kunegundy księżnej krakowskiej, większe niż którykolwiek inny z książąt miał stosunki z Krakowem;

że Kraków podówczas z polskiej ludności przez tatarskie najazdy ogołocoony, zaludnił się już w znacznej części Niemcami, pomiędzy którymi na artystach wszelkiego rodzaju nie zbywało. Jeżeli więc Bolesław synowskiem uczuciem wiedziony, umyślił ojcu kamienny grobowiec wystawić, łatwiej było w okolicach Krakowa potrzebny do tego materyał obmyśleć, i łatwiej znaleźć człowieka dostatecznie w sztuce rzeźbiarskiej biegłego, niż w którémkolwiek z miast wielkopolskich.

Nic przeto nie stoi na przeszkodzie do wnioskania, że kamienny grobowiec dla Władysława Odonicza księcia wielkopolskiego, zamówiony został w Krakowie przez jego syna Bolesława Pobożnego, niedługo po roku 1270; że albo z powodu zaszłej wkrótce śmierci tego Bolesława, albo może z powodu popełnionej na nim pomyłki co do daty zgonu książęcia, nie został od sztukmistrza odebrany; że przez dwa wieki przeszło poniewierał się w Krakowie, dopóki w końcu XV stulecia na pomnik dla jednego z księży Franciszkanów przerobionym nie został; że przy tém przerobieniu zachowano na nim z drugiej strony nietkniętą dawniejszą rzeźbę; że nowy ten pomnik wmurowano w ścianę kościoła ks. Franciszkanów w Krakowie, wystawiając na widok tę stronę, która zakonnika na sobie wyobrażała; że w takim położeniu znajdował się ten pomnik blisko do końca XVI wieku, w którymto czasie, a mianowicie między rokiem 1594 a 1597 odwróconym być musiał; że po odwróceniu dopiero swojem figurą książęcą na zewnątrz, począł za grobowiec Bolesława Wstydliwego uchodzić, i już od tego czasu na grobie tego monarchy był zamieszczonym; że go w roku 1781 na nowo z miejsca ruszono, na odwrotnej stronie płyty inny nagrobek znalezione, i oba

te nagrobki przez przerznięcie kamienia rozdzielono, umieszczając je po bokach wielkiego ołtarza, tak, jak je teraz widzimy.

Jeden tylko wykładowi temu zarzut uczynićby można: że powierzchowność jego wielce XV wieku grobowce przypomina, a uzbrojenie rycerza, mianowicie téż krótkie berło, zamiast dzidy albo proporca, pomnikiem XIII stulecia wcale nie jest odpowiednie. Gdy jednakże nie mamy krytycznie objaśnionych szczegółów ówczesnego rycerskiego ubioru, zarzutu tego ani popierać, ani zbijać nie można.

Podług tego wykładu rzeczy, napis na naszym grobowcu w ten sposób czytać należy:

Anno dni MCCLXX obiit illustrissimus princeps et dominus Vladislaus dictus pius dux Calissiae etc.

Wyobrażenie tego grobowca rytowane przez Dietricha, podług rysunku Stachowicza w dziele *Monumenta regum Poloniae Cracoviensia*, zupełnie jest fałszywém; wierniej nieco zrobił jego rysunek Sonntag, lecz ten szychowany nigdzie nie był, i znajduje się tylko w zbiorze rycin i rysunków Gwalberta Pawlikowskiego w Medyce. Rycina w dziele Bernarda Zajdlera: *Storia della Polonia*, jest także wierniejszą, ale w napisie daty znajduję na niej jedno X więcej, przez co zrobił się rok 1280, nie zaś 1270, jak na oryginalnym grobowcu. Z tym samym błędem przekopiowano tę rycinę w *Magazynie Powszechnym* z roku 1837. Ostatni ogłoszony rysunek Aleksandra Płonczyńskiego w *Zbiorze grobów i pomników królów polskich*, nic do zyczenia nie zostawia. Rysunek ten przekopiował w piśmie swoim *Przyjaciół Ludu* w poszycie z d. 2 grudnia 1843 r.



ZNACZENIE I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michała Głuszczyńskiego.

(Dokończenie).

Rozwój i plody umysłowości na Zaporoziu.

Wszystko, co dotąd o Zaporoziu nakreśliłem, wykazało dowodnie, czém byli Kozacy zaporozcy, na jakie przeznaczenie osadzeni byli przez Opatrzność, jak je spełniali, a następnie, jaki charakter i cywilizacya mogła i powinna się być między nimi wyrobić. Powstali dla wojny, i żyli przez wojnę; ztąd na całym ich historycznym istnieniu wybija się pewien brak towarzyskiego wykształcenia. Nie powiem jednak, żeby to był brak w jakich zasadniczych urządzeniach społecznych, ale tylko brak powierzchniowej oglądy i wykwiutnego życia; boć z całego szkicu, który czytelnikom podałem, łatwo zrozumieć, że sami Zaporozcy wiedzieli po co byli, umieli stosownie się urządzać, a rozwój pojęć religijnych, administracyjnych, prawnych i ekonomicznych, wykazuje, że myśl działała tam rozumnie, i w oznaczonym celu. Nie było

więc stan instynktowy ludów, a raczej plemion dzikich, np. amerykańskich; a była to ustawa, w początku może przypadkowa, ale w rozwinięciu już rozumowana. Owoż powtarzam, umysłowość Zaporozców świadczy o sobie we wszystkich ich urządzeniach i działaniach; ale umysłowość ta w rozwoju swoim na polu czystej myśli, w utworach czysto umysłowych, nie mogła, i powiem znowu, nie powinna była okazać się taką, jak my zwykle uznajemy ją w tym względzie. Zaporoziec żył wojną, a zatem twardo, i w ciągłej bójkę ze śmiercią, co go lada chwila porwać mogła; żył na stepie odgradzony życiem od ruchów cywilizacyjnych sąsiednich ludów; nie miał więc ani sposobności, ani czasu, ani chęci, kształcić się umysłowie, w naszym tego słowa rozumieniu. Ataman koszowy i wszystka starszyzna pisać nawet nie umiała, i nie powinna była umieć, tém mniej prosty towarzysz; zkądże więc i jakie mogły tam być plody umysłowości? Nie mogli więc pisać książki, ztąd téż niema tam piśmiennictwa ani literatury, chociaż niepodobieństwem jest, aby myśl nie zostawiła po sobie jakich pewnych i koniecznie takich, a nie innych wyrobów. Jakie mogły być, i jaki mają charakter i znaczenie te wyroby myśli zaporozkiej? oto ostatnie, i równie ciekawe i zajmujące, jak i poprzednie pytanie, które mi do rozwiązania zostaje.

Piśmiennictwo na Zaporozu istniało tylko w kancelaryi wojskowej i między duchowieństwem. Głową kancelaryjnego piśmiennictwa był wojskowy pisarz; był więc prawie pierwszym ministrem wojska. Na nim ciążyły wszystkie rozporządzenia, odezwy i korespondencje; musiał więc i dobrze pojmować interes siczy, i umieć go wyłożyć na papier. Oprócz wojskowego pi-

sarza, było po jednym pisarzu w każdej pałance, i po jednym podpisarzu; u dwóch przewozów dwóch pisarzy i dwóch podpisarzy, a w kancelaryi kosza 20 kancelistów. Około roku 1760 liczba tych pisarzy i kancelistów prawie się podwoiła przy natłoku interesów, i jakimś gorączkowym już wyprężeniu. Była téż i szkoła, której ataman był nietylko człowiek piśmienny, ale nawet *ciekawym*, uczony. Tak więc piśmiennictwo urzędowe stało tam dobrze, i niebrak było ludzi co je doskonale pojmowali: i najtrudniejsze polityczne zadania rozwiązywali, i z najdrażliwszych umieli wywijać się położeń.

Duchowieństwo siczowe było téż dosyć wykształcone, bo przychodziło z Kijowa, stolicy oświaty dla Ukrainy, i całej południowej Rosyi. Co więcej, sami Zaporozcy wymagali od swoich świaszczenników, moralnego i cichego życia, a obok tego, i wiele wiadomości; jak to widzieliśmy w odezwach kosza do międzygórskiego monasteru. Raz nawet wszystko duchowieństwo przysłane z tego klasztoru, kosz odesłał napowrót, bo jego prowadzenie nie podobało się koszowi; przeciwnie, jednego jeromonacha, jak to wspomniałem, wzywało do sicy z samarskiego monasteru, dlatego, że miał tyle wykształcenia, że „może nawet kazania mówić.”

W zbiorze pieśni i dum ukraińskich Maksymowicza, wydany w Moskwie 1834 r. znajduje się jedna pieśń czysto-zaporozka, pod tytułem: „Czarnomorska burza”; pieśń malująca doskonale szacunek Zaporozców dla piśmiennych, więcej niż oni wykształconych umysłowo ludzi. Zaporozcy na Czarném morzu, w czasie silnej burzy, na okręcie blizkim zatonienia; koszowy przedstawia swój drużynie, że trzeba odszukać między sobą grzesznika, który ściąga na wszystkich gniew Boży i nieszczęście,

obecne, i wydać go na ofiarę dla ocalenia wszystkich. Oczywiście nastąpiło głębokie po tej przemowie koszowego milczenie, każdy zajął w siebie, czy tam bardzo czarno, i czy na niego los fatalny nie padnie; co widząc,

Obizwawsia (odezwał się) pisar wojskowy
Piratyński popowicz Oleksy;

że sam jeden jest grzesznikiem przed Bogiem i prosił, żeby go poświęcili dla ocalenia towarzystwa. Zdziwieni takim bohaterstwem Kozacy, i słysząc o tym nie chcieli; rzekli do niego:

„Ty że święte pismo w ruki bieresz, czytaesz,
Nas prostych ludy na wse dobro nastawlaesz,
Jakże najbilsze grechów na sobie maesz?”

(Ty przecie święte pismo w ręce bierzesz i czytasz, nas prostych ludzi ku wszystkiemu dobremu nakłaniasz, i jakże ty możesz najwięcej grzechów mieć na sobie)?

dając temi wyrazami świadectwo swojego uszanowania dla ludzi piśmiennych, i pochodzenia pana pisarza ze stanu duchownego. Boć w samej rzeczy, podług świadectwa samego Korzy, przychodziło na Zaporozie wielu „popowiczów”, którym życie duchowne zaciężkiem się wydawało, albo którzy porzuciwszy seminaryum bez wiedzy zwierzchności, i bez woli rodziców, przekładali broń i piłę nad wszystek książkowy rozum, i przybywszy na Zaporozie, jako piśmienni zwykle pisarzami zostawali. To samo rozumieć należy i o przybyszach polskich; który z nich nie miał ochoty do bojek i pijatyk, a naturalnie pisać i czytać i cokolwiek więcej jeszcze umiał, zostawał pisarzem. Dwa te fakta tłumaczą nam doskonale zjawisko to, dlaczego charakter i styl papierów zaporozkich urzędowych, raportów, rozkazów, śledztw, odezw i t. d. nie ma w sobie nic, a przynajmniej bardzo mało ukraińskiego, a widać w nim już obroty wy-

szukańsze, składnią inną, a większa połowa wyrazów i całych zwrotów, żywcem z polskiego języka wzięta. Tu muszę dodać, że codziennym do rozmowy językiem starszyn i towarzyszy, był małorossyjski „jak ich maty uczyła”.

Siczowa szkoła nietylko słynęła z tego, że się tam pisać i czytać uczono, ale i ze śpiewu; była ona niby wstępem, nowicyatem do przyszłego rycerskiego zawodu. Zostało w archiwum kozackim wiele listów, w których małorossyjscy mieszkańcy dziękują koszowemu, za jego życzliwe zajmowanie się powierzonym mu synem albo krewnym.

Szczególniej zaś synowie chrzestni starszyn, ze wszystkich końców Ukrainy i Polski zbiegali się na Zaporozie, ponieważ tam ciągle trwała służba, i to *służba kozacka*, a nie regularna, jak w Małorossyi. Zaporozcy bowiem, jak wszyscy bezzenni, lubili dzieci, i chętnie bywali chrzestnemi ojcami w Polsce i Małorossyi. Rodzice tych dzieci zyskiwali na tém, bo oprócz podarków za życia, ich dzieci zwykle odziedziczali większą część majątku Zaporozca. Ale nietylko synowie chrzestni, ale wszystko co tylko z dzieciństwa wychodzić i mężnieć poczynało, wyrывało się na Zaporozie, popróbować wojackiego żywota, żeby było w starości mieć z czegoś chlubę, i opowiadać wnukom swoim wyprawy za młodu na Tatara, Turka i Lacha. Tę chęć wycieczki na Zaporozie, znajdujemy w bardzo wielu pieśniach, np. w *łumie* na śmierć walecznego Kozaka Iwana Konowczenka. Młody Ukraińiec mówi:

Rydenka maty!

Pusty mene s Kozakami pohulaty,
Szczob otcowski sławy ne utyraty.

(Rodzoniusienska matko! puś mnie pohulać z Kozakami, żeby ojcowskiój sławy nie utracić).

Ale ani płody kancelaryjne dyplomatów zaporozkich, ani owe wykształcenie duchownych, nie należą do towarzystwa wojennego; byłoto coś nawiasowego, o czym ani śniło się Zaporozcowi, coto ani pisać, ani czytać nie umiał. Aleć znowu i Zaporozec, który żył wojną, rabunkiem i rzezią, a w domu gorzałką; który niekrępowany w najmniejszych zachceniach swoich, marzył tylko o tém, jak bić *wrazaho syna*, albo hulać po stepie na koniu, albo pić w szynku do zapamiętania, i Zaporozec powtarzam nie był bez myśli i bez uczucia. O! byłyto nawet dzielne myśli, potężne uczucia, i nieladajakie popędy, kiedy rzucały nim na kark Tatarów, Turków, kiedy uczyniły go postrachem wrogów chrześcijaństwa, a dla nas najboleśniejszą pamiątką! Owoż owe burzliwe myśli i gwałtowne namiętności, a przytém ciągła walka, a śmierć tuż nad głową, musiały koniecznie wybić się na zewnątrz, musiały się objawić: bo sprzeczny byłoby, aby to, co jest jędrne i dzielne w sobie, nie dało świadectwa o sobie słowem i czynem. Jak się objawiały czynem owe myśli i uczucia na Zaporozu? to należy do jego historyi zewnętrznej, dosyć znajomej; a jak wypowiedziały one o sobie słowem, i jakim był ten wydzźwięk? to należy do jego historyi wewnętrznej, i to właśnie naszkicować zamierzyłem.

Powiedziałem wydzźwięk, bo wszystkie objawy owych myśli i uczuć Zaporozca, ograniczały się na dźwięku mównym, na podaniu, pieśni i dumie; nie naprzód obmyślanych i ułożonych, a improwizowanych; nie napisanych w książkę, a żyjących w pamięci i krążących po Zaporozu i Ukrainie, niby krew po ciele, ustnym podaniem.

Nie pisano tam książek i traktatów, bo nie umiano, i nie było potemu czasu, a mimo to myślano tam przecież, i nie brak tam było wszelakiego rodzaju uczuć: to téż wylewały się one ryczałtem w owych pięknych, energicznych, rzewliwych, krwawych nieraz kozackich pieśniach, które stanowią jedyną, a może dlatego że jedyną, najlepszą literaturę zaporozką.

Wielu i naszych i rossyjskich pisarzy zajmowało się zbiorem tych pieśni, i wielu, szczególnież Michał Grabowski, studyowało charakter i znaczenie kozackiej poezyi; dla mnie zaś, jako wyłącznie Zaporozem zajętego, pozostają czysto-zaporozkie dumy i pieśni do obejrzenia: cała więc miłosną tęsknota Ukrainek nie wchodzi tutaj dla téj prostej przyczyny, że kobiet w siczy nie było i być nie mogło.

Podania historyczne o Zaporozu teraz prawie już zaginęły. Pan Skalkowski powiada, że sam trzy razy zwiedzał Zaporozie w całej jego rozciągłości, przez cały niższy Dniepr i stepy Bohu, a oprócz oderwanych opowiadań o hajdamakach, oprócz ułomków pieśni i kilku nazwisk uroczysk, co z historią tamtéj krainy mają związek, nic więcéj, coby było całkowitą i zupełną pamiętką, nie znalazł.

Dziwny los krajów i ludzi! Co się tyczy kronik, te więcéj Ukrainą niż Zaporozem się zajmując, a nawet i ukraińskich Kozaków fałszywie wojskiem zaporozkiém nazywając, kiedyniekiedy ledwie o Zaporozu i atamanie koszowym wspomną. Całym więc źródłem historycznym pisaném o Zaporozu, jest opowiadanie Korzy.

Prawdziwym organem podania historycznego Zaporozia, byli opowiadacze ustni, starcy bandurzyści. Byli to potomkowie tych samych bandurzystów, którzy jak

owi skandynawscy Skaldy prowadzili zaporozką wolniczną na wszystkie wyprawy, pieśnią rozgrzewali ich do bitwy, i w pieśni przechowywali historią i czyny całego bractwa i pojedynczych osób. Każdy nawet starszyna miał dawniej przy sobie chłopca torbanistę, który zamłodu poświęciwszy się muzyce, śpiewał zrazu legendy i pieśni innych śpiewaków, a później i sam nowe składał. Jeszcze do roku 1835 byli oni tam napotykanii; stanowili nawet osobny cech starców, którzy pod nazwiskiem żebraków, albo pod nazwiskiem muzykantów, chodzili od wsi do wsi, i radowali ludzi grą na bandurze, śpiewem smutnych i starożytnych pieśni i dum, i opowiadaniem, jak to dawniej było.

W pamięci tych starców żyje cała starożytność zaporozka, i pod tym względem starcy ci są daleko ważniejszą pewnością, niż wszystkie kroniki; nawet mówią tam: „W pieśni prawda, w skazce brehnia”, (w historii opowiadanej kłamstwo). A chociaż podania i pieśni tych starców podlegają najobejrzalszej krytyce, mimo to koniecznie je znać musi każdy, kto chce lepiej i głębiej zajrzeć w Zaporozie. Co się tyczy podań i pieśni do życia zewnętrznego Zaporozia, to są tam omyłki w szczegółach, albo nazwiskach osób, albo w porządku następowania wypadków; to też krytyka oczyszczać takie błędy powinna. Za to podania i pieśni, tyczące się bytu, obyczajów, zwyczajów, charakteru i całego wewnętrznego życia Zaporozców, są nieocenione: bo jedyne w swoim rodzaju i pod względem treści, i pod względem obszerności.

Na nieszczęście i starców tych już niestało; jedni poumiérali, nie przekazawszy nikomu zapasów swój pamięci i sztuki: drudzy kryją się przed ludźmi, szczegól-

niej też przed miłośnikami i zbieraczami tych słowiańskich sagów, bo ich mają za urzędników ścigających włóczęgi i niczém niezajętych. Mimo to wszystko, co mamy dotąd o Zaporozu, tą drogą nam przyszło.

Dziwna zaiste rzecz, że dotąd jeszcze zbieracze płodów kozackiej poezji, mieszają wojskowe zaporozkie pieśni, z pieśniami ludowymi małosyjskimi; sam nawet uczony Maksymowicz ledwie kilka dla Zaporozia oddzielił. Dziwno zaiste, jak nie zwracają uwagi na to, że wszystkie prawie starożytne dumy o pierwszych bohaterach Kozaczyzny, wyszły ze siczy, albo urodziły się przy wojennych biwakach u ognia, pikiet, albo na trudnej pogranicznej służbie. Forma i język tych dwóch poezyj, były też same, ale charakter i treść zaporozkiej, nieskończenie różne od ukraińskiej.

W całym ciągu tego krótkiego rysu Zaporozia, starałem się wszędzie wykazać i dowieść szczególniej to: że Zaporozie było pierwszym siedliskiem, zaczątkiem, metropolią Kozaczyzny; że ztamąd wyszli ukraińscy i dońscy Kozacy; że w Zaporozu pozostał prawdziwy typ kozackiej służby, najoczywistszy charakter zakonno-wojenny, kiedy Ukraińcy i Dońcy poženili się, i byli rolnikami; a chociaż broni nie porzucali, w kureniach mieszkali, i starszyznę z kozackimi nazwiskami mieli, ale nie mieli już koszowego urzędu, bo starszyzna ich była dożywotnią, chociaż wybieralną.

• Różnica w życiu i zatrudnieniu, wydała konieczną różnicę i w pieśniach. Zaporozkie są twardsze, i ani wzmianki w nich o kobietach; chyba przez ironię lub żart. Wojna, przechwałka, Turek, Tatar, Rusin, Lach i Żyd, śmierć lub niewola: oto treść pieśni i dum zaporozkich. Nie znajdziecie w nich żadnych słodziutkich

wyrażeń, żadnych wydelikatnionych uczuć, ani pieszczotliwych dźwięków. Tu wszystko dzikie, jak stepy co ich kołysały przy urodzinach; tu wszystko porywiste, jak uragan, przy którego wściekłym ryku śpiewanemi były; tu wszystko burzliwe, surowe i grube, a mimo to poetyczne, jak i całe życie Zaporozia. Albo będzie to pieśń młodzieńca, którego serce zaniemiało już na głos miłości kobiety: surowe, nieublagane, jedyną rozkosz znajduje w bitwie, zwycięstwie i zdobyczy; młodzieńca, który ma obojętnie patrzeć na śmierć swoich towarzyszy, z rozpaczą mści się ich zguby na wrogach: albo czeka z odwagą podobnego losu, albo się przechwala z tego, co dokonał. Albo będzie to pieśń starca: ubielona latami jego głowa, już nachyla się ku mogile, gotowej przyjąć go w swe objęcia; jego nadzieje znikły niepowrotnie jak dym, ale została się jeszcze jedna radość w duszy—wspomnienie przeszłości i dźwięki bandury, co je wywołują. Oczy jego dawniej ogniem wojny błyszczące, teraz zagasłe, wyschłe, błyszczą łąą smutku i żalości po tém, co ubiegło; głos jego cichy, zwiędły, ledwie zrozumiany, na chwilę odżywia się śpiewem, w którym wypowiada historią swego długiego żywota i wypadków, które sam widział.

Z tego podwójnego źródła, wypłynęły téż dwojakie utwory poetyczne: pieśni i dumy. W pieśniach wyraziły się zupełny liryzm i dramat poetyczny; a w dumach poważny, rzewliwy, zimny i smętny epizm: to téż w pieśniach odbija się więcej wewnętrzne, a w dumach więcej zewnętrzne życie Zaporozia. Forma tych pieśni i dum, nie ma w sobie nic stale oznaczonego; żadnych podziałów na strofy, żadnego zupełnego rozwinięcia myśli lub opowiadania, a wszystko niby nieszykowne, krótkie,

jakby napomykane tylko; co świadczy, że były improwizowane, a nie z rozmysłem układane. A mimo to któż nie lubi tych pieśni? Cóż może być piękniejszego nad te dumy? Prawda, nie podług prawideł sztuki składane, ale za to pełne uczucia, wymowy, tęsknoty, oryginalności, w których jakby na granitowej skale wyrwały się wszystkie okresy historyi i stanu wewnętrznego Zaporozża!

Język sam tych poetycznych utworów, małoruskim nazywany zwykle, jak równie i losy tamtej krainy, odbił w sobie trzy dosyć wyróżnione przemiany: w najstarszych zbliża się do ogólnego słowiańskiego języka; od Daszkiewicza do r. 1700, czyli aż po śmierć Chmielnickiego, język małoruski przybiera wiele wyrazów i wyrażeń polskich, prawie miesza się z niemi zupełnie; nakoniec od przejścia kozaczyzny pod władzę Rosyi, aż do zniesienia siczy, pokazuje się pierwiastek rosyjskiego języka. Ale mimo to, małoruski i polski do końca przewagę utrzymały.

W obrazie, który czytelnikom podaję, niepodobieństwem jest, aby wszystkie dumy i pieśni obejrzyć; dlatego odsyłam ciekawych do oddzielnych zbiorów, a tutaj dla stwierdzenia prawdy wywodów moich, przytoczę tylko ułamki, a niektóre i całe pieśni i dumy zaporozkie.

a) Dumy historyczne.

Zaczawszy od Ostafiego Daszkiewicza, coto piérwszy urządził zbiegowisko ludzi za progami Dniepru osiadłych, i w jakiś ład i formę Zaporozców przywiódł, aż do zniesienia czyli atakowania siczy przez Tekelego, cały ten przeciąg bytu kozactwa, z górą półtrzecia wieku

trwający, zapisany jest w historycznych dumach; każdy ważniejszy wypadek, każda słynniejsza osoba nie została zapomnianą, wszystko tam żyje w dumie.

Przebiegnę pokrótce kolejną czasów ważniejsze dumy, aby pokazać, jak tam poetyzowano i osoby i wypadki, a tém samém, jaki charakter mają te poetyczne utwory.

1) Duma o królowej polskiej.

Najdawniejszą historyczną dumą jest ta, w której, jak powiada p. Skalkowski, polska królowa wdowa po Władysławie Jagielle, zachęca Kozaków do zemsty za zabitego swego syna Władysława pod Warną, i dużą im za to nagrodę przyrzeka. Duma ta, gdyby rzeczywiście z tamtego czasu była pochodziła, dowodziłaby aż do oczywistości, że już za Warneńczyka, a zatém na sto lat przed Ostafim, Kozacy już we właściwém sobie znaczeniu istnieli, i że już z Polską związani byli. Trudno jednak i zaśmiało byłoby wyrzec coś stanowczego o tej dumie, której nawet niektórzy zbieracze wcale w swych zbiorach nie umieścili. P. Maciejowski daleko słuszniej twierdzi, że дума ta pochodzi z czasów Teodora Bogdanka. Oto i sama дума:

Czyby ja wijsku ne zapłaciła czerwonymi złotymi da biłejkimi talarami? Czyby ja wijsku ne zapłaciła czerwonoju kijačkoju za usłużeczku kozackoju.

A w nedełejku, poranejku zbyrały sia hromadajki, do kozackoj poradojki, i stały radu, dostawały od koł Warny miesta dostały. Oj czy z pola, czyli z moria, czy stoj ryczki ne welyczki?

Posłały posła jak pod Warnu, pojmałże poseł Turczany na starykaho worożbyta. Stały sia jeho wypytywały, od koł Warny miesta dostały; oj czy z pola, czyli z moria, czy stoj ryczki ne welyczki?

A w nedelejku, poranejku bihnut, plynut czowenciami, poblyskujut weselciami; wdaryły razem samopałow w sidmy piades....ot zapałow.

Jak pólśadkiu i z harmaty stały wsi Kozaki dobuwały; stały narikaty szczo nas Turkow w nej zabrały.

Była Warna, była Warna zdawna sławna, sławniwszy Kozaki, szczo toj Warny mista dostały i w nej Turkow zabrały.

Po polsku:

Czyby ja wojsku nie zapłaciła czerwonymi złotemi i białemi talarami; czyby ja wojsku nie zapłaciła czerwoną kitajką za usługę kozacką? A w niedzielę rano, zbierały się gromady na paradę kozacką i na radę, zkądby miasta Warny dostać, czy z pola, czy od morza, czy od téj niewielkiej rzeczki? Posłali posła pod Warnę, a poseł złapał Turka na starego wróżbita, i zaczęli się go wypytywać, zkąd Warny miasta dostać: czy z pola, czy od morza, czy od téj niewielkiej rzeki? A w niedzielę rano, biegną, płyną czółenkami, błyszczą wiosłami, i uderzyli razem w samopały w siedm i pięćset zapałow, a potem i z arnatami zaczęli wszyscy Kozacy miasta dobywać, a Turcy zaczęli narzekać, że ich w Warnie zabrali. Była Warna, była Warna zdawna sławna, ale sławniejsi Kozacy, co tego miasta Warny dostali i w niej Turków zabrali.

2) Duma o Ostafim Daszkiewiczzu.

Z kolei następuje duma o Ostafim Daszkiewiczzu, bohaterze i założycielu Kozaczyzny. Imię to znaczyło na Zaporozżu tyle, co u starożytnych *heros*, półbożek. Ileżto razy był on Tatarów i Rusinów, sam siedział w jassyrze, i sztuką umknął z niewoli, i znowu padał jak grom na karki niewiernych! Głośne to imię, nie wiadomo zkąd się wzięło i kiedy zniknęło; ma zupełną mytyczną postać, jest więc samo z siebie niezmiernie poetyczne.

Duma, którą zaraz w całości podam, wybrała czas, kiedy Ostafi siedział w niewoli; opiewa jak uciekł z tamtąd, i nowy napad na Tatarów.

Ta dajdach! ta dajdach!
 Tatarczukom trusyt strach,
 Tatarcicha borodaty
 Biżyt konyka sidłaty:

Tatarynka molodaja,
 Czornobrywa urodlywaja,
 Za wikonce wyhladaje
 Dumu dumaje.

Oj! kołybie ja mała ta orłyněj kryła,
 Oj! tobym w Kozaczyznu teper poletila,
 A tam w Kozaczyni chrestom sia mołyła;
 Atamanu kozackomu prawdu howoryła:

Oj ty Atamane! Syzoperyi orle!
 Kołyż sia do tebe diwczyna pryhorne?

Diwczyna neboha u Tatar w newoli,

A ty z Kozakami stoisz w czystym poli,

Diwczyna neboha tużyt, ta sumuje,

A Tataryn bisurmana i z tuhy hlumuje.

Oj pane Ostape! de ty zabarywsia?

Czy ty szcze z newoli taj ne widkupywsia,

Czy i z Laszkamy po swity brodysz;

Oj! czomu ty kozaczenkiw taj w Krym ne prywodysz?

Ja i z newoli taj newidkuplawsia

Czerez zemli tatarskii konykom probrawsia.

Po dorozi meni zwiry zabihaly

Taj konia speniały;

Kiń zwirciwsia nezlakaw,

Stalowymy pidkiwkami pid nohy toptaw.

Po peredomnoju orły prolitaly,

I mene speniały;

Ja ich meczom othaniaw,

Ta krylla łomaw.

Za mnoju czorni wstawaly chmary,

A w chmarach byly Tatary;

No kiń miy wichrom, stepy probihaw,

Za soboju chmary zostawlaw.

Za mnoju kulj w pohoniu letily,

No mene braty nechliły;

Bo na czorta chrest, na kulu ie słowo,

Tak ja w Kozaczyznu wernusia zdrowo.

A teperki w tatarszczyni jeszcze pohulaju,

Ta uże i zbroju narażaju.

Czyto czorni orły krylla rozpustylly,

Temnenkoju nicziu soneczko zakryły,

Czyto iz za mora chmara nastupaje?
 Oj! to ne z za mora chmara nastupaje:
 Ni czornij orły krylla rozpustyły,
 Temnenkoju nicziu soneczko zakryły,
 To pid jasne nebo luna nabihaje,
 A dymom klubkamy po poli kaczaje:
 To chorobre Kozacza Tatariw rozbyły,
 I horod bisurmańsky Oczakiw zapalyły.
 Bazar horyt, a na more luna ide,
 Pan ataman Kozaczeńkiw do domu wede.
 A za nymy bisurmany pole pokrywały,
 Atamana kozackoho chorosze uhoszczaly:
 Chorosze uhoszczaly, daramy nadaraly,
 Oj włodi to Kozaczenkiu! ta wsi szanowaly.

Toż po polsku.

Tatarzątkiem wstrząsła trwoga:
 Stary Tatar co bój znał,
 Skoczył ca koń, w step, na wroga,
 Ze swojemi chyżo gnał.

Tatarzynka urodziwa,
 U okienka nizkiej chaty,
 Puszcza oko w śnione światy,
 Dumę śpiéwa:

Gdyby mi orle skrzydła! lotbym mój zwróciła,
 W lubą ziemię kozacką, gdzie piérwsze dni żyła;
 Tam krzyżem po dawnemu piersi przeżegnała,
 I Kozaków hetmanowi, prawdę powiedziała:

Oj ty hetmanie! orle w Kozaczyźnie!
 Czyś ty już wrócony twojej ojczyźnie?
 Jeśliś już wrócony, po cóż gnuśniesz marnie,
 Kiedyż się twe dziewczę do ciebie przygarnie?

Dziewczyna sierota, w tatarskiej niewoli,
 A ty nie spieszysz, ulżyć jej niedoli;
 Dziewczyna sierota, łzami się zalewa,
 A niewierny pohaniec i z łez się naśmiewa.

Oj panie Ostafi! gdzieżeś się zatracił,
 Czyś niewoli tatarskiej, dotąd nie opłacił?
 Czy wykupion, z Lachami gdzie po świecie brodzisz,
 Że dotąd swych Kozaków, tu w Krym nie przywodzisz?

—Ni ja krymską niewolę okupem zapłacił,
 Ni ja w lackich szeregach w świecie się zatracił;
 Chyżym koniem ubiegłem z tatarskiej niewoli,
 W biegu go wiatr nie seignął, ani lot sokoli.

Drogę mi żarłoczne wilki zabiegały,
 Konia w biegu wstrzymywały;
 Koń pomny na niesione do ojczyzny brzemię,
 Wilków twardém kopytem podeptał na ziemię.

W oczy mi drapieżne orły zagłądały,
 Mnie zatrzymywały;
 Lecz miecz mój w krwawych walkach niezstępiony,
 Łamał im skrzydła i szpony.

Ciemne tumany za mną się wzbily,
 Goniących mnie Tatarów w łonie swém kryły,
 Lecz koń mój wichrem w bezdrożny szlak gnany.
 Za sobą ciemne zostawił tumany,

Kule mię tylko tatarskie dobiegły,
 Ale bezwładne u nóg mych legły;
 Bo krzyż od djabła, od kul kilka słów.
 Tak w lubą Kozaczyznę powróciłem zdrów,
 By znów mię zbrojnym gościem powitał pohaniec,
 Bym raz jeszcze z Tatarzynem szedł na stepy w taniec.

Czy czarne orły, skrzydłem wiatry sieką,
 Na jasne słońce, noc ponurą wleką;
 Czyto z za morza, ciemne chmury cieką?

Ni to z za morza, ciemne chmury cieką,
 Ni czarne orły skrzydłem wiatry sieką,
 Na jasne słońce noc ponurą wleką.

To łuna gorejąca na niebo wybiega,
 Dym kłębkami step zalega,
 To dzielni Kozacy Tatarów rozbili,
 Gród Oczaków zapalili.

Miasto płonie, a morze goreje od łuny;
 Hetman wraca z kozactwem w rodzinne już strony,
 A za nim bisurmani pole pokrywają,
 I zwycięzcy hetmanowi dary posyłają.
 Dary posyłano, o mir upraszano,
 O! wtedyto Kozaków, wszędzie szanowano!

3) Duma o Bajdzie.

Drugim z kolei również ogromną sławę na Zaporozu mającym, był książę Dymitr Wiśniowiecki, dzielny także wojownik, i nieszczęśliwy męczennik. Obie te wybitne epoki jego życia opiewa duma, w której książę Dymitr przezwany jest Bojdą, jak to był zwyczaj na Zapo-

rozu, o czém gdzieindziej mówiłem. Pomimo to, że szczegóły tej dumy o Bajdzie tak doskonale przypadają do księcia Dymitra Wiśniowieckiego, długo nie wiedzianno, czy nie śmiano jój przyznać za dumę o samym księciu; dopiero wynaleziony urywek innej dumy o tymże Bajdzie, w którym on wyraźnie księciem przezwany, ostatecznie zatwierdził prawdziwość historyczną i nazwiska, i dumy.

W sławnomu misteczku, w ridniomu Czerkasi,
Kozak Bajda med, wyno zpywaje;
Med, wyno zpywaje,
Na turecki zemli hrozno pohladaje.

Na tureckoho sułtana welme pochwataje,
Oj pje Bajda ta na swoich klycze:
A nutežno, skoro kolino mužyczel!
Med, ta wyno wypywajje,
Plaszki sporozniajje,
Konykno sidłajje,
Zbrocie narazajje.

Ta pidem w Tureczczynu,
Pokaraje lychuja hodynu.
Bo wżeł my dawno ridnenkoi siczy,
Ta nebaczyły w wieży.

Piszow Bajda z Kozakamy;
Turky k nemu idut z daramy,
Szczu ich sułtan prysyłaje;
Bajdu k sobi pidimowlaje.

Oj! ty Bajdo sławneseńky!
Bud ty mini wirnesenky,
Woźmy moju sułtanywnu diwczynu,
I bud panom na wsiu Ukrainu.

— Twoja sułtane wira proklataja;
Twoja sułtane doczka pahanaja;
A ja i bez twoi sułtanywny diwczyny,
Budu panom wsei Ukrainy.

Oj ty Bajdo! w szczo ty dbajesz?
Czy ty wijska tilky majesz,
Szczobyś mene sułtana zwojowaw,
Ta w Ukraini Kozakom panowaw?
W mene wijska jak w mori pisoczku,
Albo wliże maku w odnu makiwoczku.

— Meni Bajdi, se bajduże,
 Szczo ty wijska majesz mnoho duże;
 Pisok w mori woda zmyje,
 Mak po poli witer zwije,
 No ja w swoich Kozaczeńkiw dbaju,
 Szczo ja z nymy w dworu twoim pohulaju.—

Oj kryknuw sultan na swoi hajduky:—
 Woźmite no Bajda dobre w ruki,
 Oj woźmite Bajdu, ta zwiazite,
 Na hak rebrom poczepite.—

Wysyt Bajda ne den, ne dwa,
 Ne dwi nyczki, ni hodynki.
 Wysyt Bajda, Chrysta proślawlaje,
 I do swoho czury, czury mołodoho, słowom pro-
 Oj czuro mij, czuro mołodenkij! (mowlaje:
 Byd ty mini szcze trochy wirneńky,
 Zate tobi Boh zapłatyt mnoho,
 A ja tobi daru konia woronoh;
 Utikaj z nym na rodynu,
 Zawezy od mene pokłon w Ukrainu.
 Ono mini oddaj tuczok,
 I z sajdaka strilok puczok,
 Nech szcze choć raz w moim żyti,
 Pouszczu stritu po biłomu świti.
 Oj baczu ja try hołubeczky,
 Može ich ubju dla sultanskoj doczky,
 Nechajże ja jěj ubju na weceru.
 Jak strelyw w serce sultanu...
 Buło tobi znaty, jak Bajdu karaty.
 Ne na hak czyłaty, a hołowu zniaty,
 Woronym konem izdyty,
 Moha czuru, czuru mołodoho, sobi zhołobyty.

Po palsku:

W sławném miasteczku, w rodzonym Czerkasio, Kozak Bajda miód, wino pije; miód, wino pije, na tureckie ziemie groźnie pogłada, na tureckiego sultana bardzo się przechwala.

Oj pije Bajda i na swoich woła: A no tam prędko plemię chłopskie, miód, wino wypijajcie, butelki opróżniajcie; osiodłać konie i narządzić zbroje.

Bo pójdziem w Turcyą pomścić złą godzinę. Bośmy już dawno sicz naszą rodzoną nie widzieli w oczy.

Poszedł Bajda z Kozakami. Turcy z darami do niego przychodzą, sultan ich przysyła; Bajdę do siebie namawia.

—Oj ty Bajdo sławny, bądź mi wiernym; weź moją sultanównę i bądź panem całej Ukrainy.

—Twoja sultanie wiara przekłeta, twoja sultanie córka nieładna, a ja i bez twojej sultanownej będę panem całej Ukrainy.

—Oj ty Bajdo! w co ty ufasz? Czy ty wojska masz tyle, abyś mnie sultana zwojował, a w Ukrainie władał Kozakami? U mnie wojska jak w morzu piasku, albo ile wlezie ziarn maku w makówkę.

—Mnie Bajdzie to fraszka, że ty wojska masz wiele; piasek w morzu woda zmyje, mak po polu wiatr rozwieje, a ja na swych Kozaków ufam, że z nimi w twoim pałacu będę.

Zawolał sultan na swe sługi: — Weźcieno Bajdę w dobre ręce, weźcieno Bajdę zwiążcie, na hak żebrem powieście.

Wisi Bajda nie dzień, nie dwa, nie dwie nocy, ani godziny; wisi Bajda, Chrystusa chwali i do swego ciury, ciury młodego, słowami przemawia:

—Oj ciuro, mój ciuro młody, bądź mi jeszcze trochę wierny! Bóg ci za to nagrodi, a ja ci daruję wronego konia, uciekaj nim na rodzinę, zawieź odemnie w Ukrainę pokłon; tylko mi podaj łuk i pęk strzał, niech jeszcze choć raz w życiu mojem wystrzelę, puszczając strzałę po białym świecie.

Oj widzę ja trzy gołąbki, może ich ubiję dla sultańskiej córki; niechże ja ję ubiję na wieczerzę. Jak strzelił—sultanowi w serce...

Było tobie sultanie wiedzieć, jak Bajdę ukarać; nie na hak czepiać, a głowę ściąć, wronym koniem jeździć, mego ciurę, ciurę młodego sobie zjednać.

4) Duma o Swirgowskim czyli Swirczowskim.

Dzieje Kozaczyzny aż do Zygmunta III, obejmują szereg wielkich przywódców i pogromicieli Tatarów. Trzecim z kolei był Swirgowski, od historyków naszych Swirczowskim przewany. Jego przywództwo i czyny, oraz jego poprzedników i następców, aż do Zygmunta III wyłącznie, podałem w osobnym artykule, umieszczonym w Bibliotece Warszawskiej 1848 r., pod tytułem: *Hotmani małorossyjscy i Kozacy do czasów unii*. Szkic ów

historyczny, wybornie sprawdzają i dopełniają dumy o owych bohaterach Zaporozia. Oto дума o Swirgowskim:

Jak toho pana Iwana,
Szczo Swirgowskoho hetmana
Bisurmany pijmały;
To hołowu jemu rubały.

Oj hołowu jemu rubały,
Ta na buńczuk wiszały,
Ta w surmy vyhrywały,
Z jeho hłumowały.

A iz nyzu chmara stiahała
I woroniw klucza nabihala,
Po Ukraini tumany kłała;
A Ukraina sumowała,
Oj Ukraina sumowała,
Swoho hetmana oplakała.

Todi bujni witry zawiwały:
„Deż wy naszoho hetmana spodiwały?”
Todi kreczeły nalitały:
„Deż wy naszoho hetmana załkowały?”
Todi orły zahomonily:
„Deż wy naszoho hetmana schoronyły?”
Todi zajworonky powyłysia:
„Deż wy z naszym hetmanom proszczały-
W hlibokoi mohyli, (sia?)
Pila horoda, pila Kilij,
Na turecki linij.

Toż po polsku:

Gdy tego pana Iwana,
Swirgowskiego hetmana,
Bisurmany złapali,
To głowę mu zrabali.

Oj głowę mu zrabali;
Na buńczuk wsadzili,
I w trąby zagrali,
I z niego szydzili.

A dołem jakby chmura ciągnęła,
Taka moc kruków się wzięła,
Aż w Ukrainie tumany wzbiła;
A Ukraina się smuciła,
Bo swego hetmana straciła.

A wtedy straszno wichry zawyły:
 „Gdzieście naszego hetmana skryły?”
 Wtedy i kruki wrzeszczały:
 „Gdzieście naszego hetmana podzieli?”
 I orły huczac pytali:
 „Gdzieście hetmana grzebali?”
 I żałośnie skowronki śpiewały:
 „Gdzieście się z hetmanem żegnali?”
 Gdzieś w grobowej ciemnicy,
 Około miasta Kili,
 Na tureckiej granicy
 Hetmana złożyli.

Oj w horodi w Czerkasi surmy zasurmiły,
 Tak ti lacki komisary do hetmana pryhodyły;
 Oj w horodi w Czerkasi hubny zaorały,
 Tak ti lacki komisary do hetmana prybuwały;
 Oj zarżały koni, koni ta pid horu iduczy,
 Zaholowały bisurmany do Kili iduczy.
 Ot jak pan Swirgowski do Kili prybuwaw,
 Wsich Kozakiw zbyraw, taj na radu pozwaw;
 Syzym orłykom litaw, jaworońkom hnausia,
 Deś to ia moi myli bratia ta ispodinusia?
 Spodinawsia pan Swirhowski u syri mohyli,
 Jak Kozaky pila jeho ta zahomanily.

Toż po polsku:

Jako w mieście Czerkasach wtenczas w trąby grzmieci,
 Gdy lacy kommissarze do hetmana iść chcieli;
 A wtedy i bębny głośny huk wydały,
 Jak ci lackie kommissarze przed hetmanem stali.
 Oj zarżały konie tam idąc pod górą,
 A w Kili bisurmany zawyli ponuro;
 Bo gdy pan Swirgowski do Kili przybywał,
 Wszystkich Kozaków na radę zwolywał.
 Orlim lotem przebiegał, a jak jawor młody,
 Co się gibko od wiatru pochyla na błoni,
 To tak pan Swirgowski z wiatrami w zawody,
 Zgina się, przechyla na swym wronym koniu.
 I rzekł pan Swirgowski Kozakom w tej chwili:
 „Gdzieżto przyjdzie mi odpocząć, moi bracia mili?”
 Oj odpoczął pan Swirgowski, ale w zimnym grobie,
 A Kozacy koło niego płakali w żalobie.

5) Duma o Serpiąże, czyli Podkowie.

Sierpiaga dla nadzwyczajnej siły Podkową przezwany, bez pozwolenia Polski wkroczył z Kozakami do Wołoszczyzny, wezwany jak się zdaje przez samych Wołochów. Hospodara z tronu zrzucił, i sam na nim osiadł; ale bojąc się złych ztąd dla siebie skutków, wracał już na Zaporozże, kiedy schwytyany przez Sieniawskiego wojewodę podolskiego, zawieziony do Lwowa, i tam na żądanie Turcy ścięty został.

Za rykoju, za bystroju,
 Bietsia Turok z Mołdawoju,
 Na Dunaju i Dnistri,
 Ljutsia krowju wody bystril
 Potym baci lis rubajut,
 A na sej bik trisky letiat,
 Kozaczenki w Wołoszczyny,
 Hospodaryty chtiat.
 Potym hoci oboń horyt,
 A na sej bik łuna ide;
 Pan ataman szczo Serpiaha,
 W Wołoszczynu Sicz wede.
 Potym baci dzwony dzwoniat,
 A na sej bik homon ide,
 Pan ataman szczo Serpiaha,
 Na Wołoszczynu jde.
 Zarżaw konyk w Ukraini,
 Czutno rżania w Zaporozzi
 Hej Serpiachu mołodoho,
 Szczo pohybnuw żalsia-Boże.
 Oj u Lwowi Senatory,
 Serpiahowi smert sudyły,
 I Kozaka mołodoho,
 Ta i zdradoju zhubyły.
 Po drozi witer wije,
 A z Ilwowa wiz ide,
 To kozacza Atamana,
 W Ukrainu weze.
 A wsi dzwony zadzwonyły,
 A wsi surmy zasurmiły,
 Jak Serpiahu mołodoho,
 Ta w Kanewi choronyły.

Toż po polsku:

Bystro toczy Dniepr swe wody,
 A za Dnieprem na Mołdawie,
 Wojna gore, płoną grody,
 Kraj Wołoszy Turek krwawi.
 Rąbią lasy z tamtéj strony,
 A tu słyhać siekier trzask,
 Ztamąd do nas dźwięk szłą dzwony,
 Pożarowy widać blask.
 Wołosz w sławne Zaporozie,
 Słe swe próśby z hojnym darem:
 „Niech ataman nam pomoże,
 Będzie naszym hospodarem.”
 Pan Serpiaha, Kozak młody,
 Broń uchwycił, rzekł do braci:
 „Na tureckie pójdziem grody,
 Sława, zdobycz, trud opłaci”.
 Rzekł i poszli.—Rżały konie,
 W Zaporozu słyhać było,
 Że Serpiaże w cudzej stronie,
 Niebardzo się poszczęściło.
 Od lackiego wojewody,
 Do niewoli pochwycony,
 Gdzieś we Lwowie Kozak młody,
 Osądzony i stracony.
 W pustym stepie przez bezdroże,
 Ciekły wichry, wiatery wył,
 Wrócon Kozak w Zaporozie
 Martwy! Lecz tu kiedyś żył.
 W wszystkie dzwony zadzwoniono,
 W wszystkie trąby zatrąbiono,
 Na pamiątkę czi Podkowie,
 Gdy grzebany był w Kaniowie.

Ach! syła, syła! syła podoliła,
 Serpiahowi da u Lwowi spoditaś mohyla,
 Spoditaś mohyla... jak Wołocham lubo
 Prytynały da Serpiahu do suchoho dubo,
 Oj Wołochy! oz Wołochy! czohoż jego zwały,
 Szczo Kozakam zaporozciam, ta i zdradu dały?
 Ta i zdradu dały hospodarowi swomu,
 Oj hetmanowi Serpiahowi dobre buło doma.

Pomynajtez tychom hospodara swoho,
 Czy win dobryi czy ne dobryi. Oj, szczo wam do toho.
 Chocz win dobryi, chocz i zluka, aby nypodluka.
 Prytynajtez ta Serpiahu do suchoho suka,
 Szczo Serpiaha! to Serplaha, brata zacha maje,
 To wid brata, to wid zacha, pomyn spodiwaje.

Toż po polsku:

Sila, sila, co po sile,
 Gdy ją przemoc znęka?
 I silnemu tam w mogile
 Zbezwładnieje ręka!
 Tak choć silny był Podkowa,
 Serpiahą nazwany,
 Z siłą poszedł wpośród Lwowa,
 W mogilne tumany.
 Poszedł Kozak do mogiły,
 Jak Wołochy chcieli:
 Kajdanami zmogli siły,
 A głowę ucięli.
 Ach! Wołochy, djable syny,
 Natoście nas zwali,
 Aby synom Ukrainy
 Zdradą odpłacali?
 Aby zdradzić hospodara,
 Zwąc go swoim panem,
 W Zaporozju lepsza wiara,
 On tu był hetmanem.
 Czy dobry był, czy niedobry;
 By tylko nie podły,
 Nic wam z tego, lecz był chrobry,
 Zdrady w grób go wwiody.
 Ma Serpiaha, zacha brata,
 On z wami da rady:
 Podłe głowy precz pozmiata,
 Srogo pomści zdrady.

Kiedy samowolność Podkowy wprawiła Polskę w drażliwe położenie z Turcją, to też Zaporozie zwróciło na siebie szczególną uwagę Stefana Batorego. Postanowił on urządzeniami niby karnemi, jakiemiś zewnętrzznemi oznakami od Polski im danemi, skępować troszkę Kozaków, czyniąc ich tém samém już więcej

zależnemi od siebie. Zaporozcy, niesięgający głęboko w jądro rzeczy, ani téż nieprzewidujący daleko, nie dojrżeli tajemnej myśli nadań i przywilejów, nie myśleli wcale, żeby ich to do jakiegós tam zależności, lub ograniczenia się w swych napadach obowiązywało; przyjęli godności i oznaki tych godności w prostocie serca, jako nagrodę za strzeżenie granic Polski, i niezmiernie się niemi ucieszyli. Prawda téż, że i Batory w tym duchu z niemi sobie poczynał; nie chciał on wcale ani zmieniać ich charakteru i naznaczenia, ani im narzucać polskich praw i form; ale chciał, aby ta garstka ludzi dzielnych i na wszystko odważnych, choć trochę za jego, a niezawsze za swoją wolą wbrew interesom Polski postępowała. Batory w nadaniach Kozakom przywilejów, nie miał żadnej wstecznej myśli, i dopiero przewrotny duch jezuicki wyciągnął z nich treść, która Kozaków od Polski oderwała, i aż podwalinami kraju naszego zatrzęsała.

Widać, że Batory był u Kozaków w wielkiej miłości i poszanowaniu, kiedy o nim śpiewali następującą dumę:

To ne witer bujnyj po stepach wye, zawywae;

To ne han tatarski na Zaporozie wijsko swoje nasytae,

Szczo wono Ukrainu, rydnu maty nasz beznewinno plindrowało;

Żynok, ta diwok, ta dobro nasze u połon brało i zabirało;

Kinej ta owic, usiu bożuju skotynu u swoi dzereła zabaniało;

Kozacki choliwy razbiwało i razzarało.

To Bohdanko usich Kozakiw u hromadu wzywae; usich Kozakiw i służytych i prostych i sosidiw i pidsosidkiw, i chorunzych i proczych inych starszyn, usich chorobrych sotnikiw i polkownikiw u kupu szywae, sklikae, do bromady sobirae.

A sam po seredini wychozae, tablukoju błyskae, swiatym mistam try pokłony pokładae, a na czetyre storony po odnomu pokłonu.

Ta Kozakam odyń pokłon, ta sotnikam, ta połkownikam
druhoj pokłon.

Do Boha modlitwu czytae, a do Kozakiw do usiej bro-
mady tak promowlae:

To ne witer bujnyj po stepach wye, zawywae;

To ne han tatarski na Zaporozie wijsko swoje nasylae,

Szczo wono Ukrainu, rydnu maty naszu, beznawinno
plindrowało;

Żynok, ta diwok, ta dobro nasze u połon brało i zabirało;

Kinej ta owic usiu bożuju skotyńu u swoi dzereta zaha-
niało;

Kozacki choliwy razbiwało i razzarało.

To korol Polszczy nam i wam podarok wysylae,

Welyki dar darue, nas i was szanujuczy i poważajuczy.

Choce win szczob wy bratecy chorobry Kozaki towarzy-
szczy za jeha, korola Polszczy Boha mołyty.

Ta jemu, korolu Polszczy, jak Bohowi, szczo żywe wyso-
ko na nebi, po wiry i po prawdy służyty.

Lachiw by ne były, a z nimi jak z rydnymi bratami żyły;
Tatariwby pobiwały i woewwały.

A za see waszemu hetimanowi Bohdankowi, ta i wam
i z nim welyki dar darue, a toj welyki dar podarok:

Bulawa zolota, ta chorugwa ze strybla, ta bunczuk z że-
rebca.

Ta iszcze toj korol Polszczy pisze, pripisue:

Hacze ka! twoi Kozaki towarzyszczy słuzał mini wiroju
i prawdoju, jak welykomu tomu Bohowi, szczo żywe wyso-
ko na nebi.

A jak ne budut służyty mini wiroju i prawdoju, to ja im
tody drugij podarok podaruju: choroboju ich podaruju,
choroboju tiażkoju ta ważkoju.

A Kozaki toe i zaczuwały, do swoho atamana tak pro-
mowlały:

Ot sez nam korol Polszczy welyki podarok, dar darue.

A ne postuzym my jemu wiroju i prawdoju, to i choro-
boju; bacz jakoju nas poradue.

Jakojuzby to choroboju? czy nie swobodoju? ta jak by ot
toju choroboju, szczo swobodoju, to usiu by nam towarzy-
szczam Kozakam inszych dariw i ne treba.

Służylyb jemu korolu Polszczy po wiry i po prawdy, jako
Bohowi, szczo żywe wysoko na nebi, i Lachiw by ne były,
i z nimi jak z rydnymi bratami żyły, i Tatariw by wojowały;

I wo wikib wiczay, ne złom a dobrom, ta mołytwoju,
swoho pana welykoho korola Polszczy imenitoho, jak Bo-
had szanowały.

Toż po polsku:

To nie bujny wiatr wieje, powiewa po stepach;
 To nie han tatarski nasyła swoje wojsko na Ukrainę,
 Żeby ono grabiło i niszczyło naszą rodzoną matkę Ukrainę;
 Żeby nasze żonki i dziewice, i dobro nasze do niewoli
 brało i zabierało;

Konie i owce, i wszystkie nasze stada od Boga nam dane,
 do swoich aułów zaganiało;

Żeby kozackie kurenie rozbijało i niszczyło.

To dzielny Bohdanko wszystkich Kozaków gromady zwo-
 łuje, wszystkich Kozaków, i służbowych, i prostych, i są-
 siadów, i podsąsiadów, i chorążych, i wszystkich innych star-
 szyn, wszystkich walecznych sotników i pułkowników ra-
 zem zwołuje, i w gromadę zbiera.

A sam na środek wychodzi, szabelką błyska, świętym
 miejscom trzy pokłony oddaje, a na cztery strony po jednym
 pokłonie; a Kozakom jeden pokłon, a sotnikom i pułkowni-
 kom jeden pokłon, do Boga modlitwy odmawia, a do Ko-
 zaków, do całej gromady, tak przemawia:

To nie bujny wiatr wieje, powiewa po stepach;

To nie han tatarski nasyła swoje wojsko na Ukrainę,
 Żeby ono grabiło i niszczyło naszą rodzoną matkę Ukrainę;
 Żeby nasze żonki, i dziewice, i dobro nasze do niewoli
 brało i zabierało;

Konie i owce, i wszystkie nasze stada od Boga nam da-
 ne, do swoich aułów zaganiało;

Żeby kozackie kurenie rozbijało i niszczyło.

To król polski wam i mnie podarek przysyła, wielki dar
 daje, mnie i was szanując i poważając.

Chee on, żebyście wy bracia, waleczni Kozacy towarzy-
 sze, za niego Boga prosili, i jemu, królowi Polski, jak Bogu,
 który żyje wysoko na niebie, wiarą i prawdą służyli; żeby-
 ście Lachów nie bili, a z niemi jak z rodzonymi braćmi żyli,
 i Tatarów bili i wojowali.

A za to waszemu hetmanowi Bohdankowi, a i wam ra-
 zem z nim wielki dar daje, a ten wielki podarek taki:

Buława złota, i chorągiew ze srebra, i buńczuk z ogiera;
 a jeszcze ten król polski pisze i dopisuje:

„Niechże więc twoi Kozacy towarzysze służą mi wiarą
 i prawdą, jak Bogu, który żyje wysoko na niebie”.

„A jak nie będą służyć mi wiarą i prawdą, to ja im inny
 podarek podaruję: udaruje ich chorobą, a chorobą ciężką
 i bolesną”.

A Kozacy usłyszawszy to, do swego atamana tak przemówili:

„Otóż nam król polski wielki dar daruje, a jeżeli nie będziemy mu służyć wiarą i prawdą, to nas chorobą, bacz jakąś uderuje.”

„A jakążby to chorobą? czy nie wolnością? A jeżeliby to tą chorobą, tą wolnością, to wszystkimby nam Kozakom i towarzyszom innych darów i nietrzeba.”

„Służylibyśmy jemu królowi Polski, wiarą i prawdą jak Bogu, który żyje wysoko na niebie, i Lachówbyśmy nie bili, i z nimi jak z rodzonymi braćmi żyli, i Tatarówby wojowali; na wieki wieczne nie złem, a dobrem, a modlitwą swego Pana, wielkiego króla Polski, znamienitego jak Boga, byśmy szanowali.”

To powiedziawszy, zamilkli.

Po Stefanie Batorym, dzieje Zaporozia przy ogólném powstaniu przeciw Polsce Kozaków, mieszają się z wypadkami historycznymi całej Ukrainy: to téż we wszystkich dumach z tego czasu, występują na scenę wypadki i osoby te same, co i w Ukrainie, a wszędzie przebija się w nich, albo nienawiść do Polski, albo tryumf z pobicia Lachów, albo okrutna radość z wyrznięcia żydów, albo smutek po przegranej, lub utracie którego ze sławniejszych przywódców. Kiedyniekiedy słyhać tylko o napadzie Turków albo Tatarów, i więcej nic. Dopiero kiedy Mazepa odegrał tak dziwną, a nieszczęśliwą rolę w Kozactwie; kiedy widząc, że przy Piotrze Wielkim nie utrzyma się, jako niezależny władca obojęd Ukrainy, bo gieniusz tego wielkiego monarchy, niby ogień pochłoniął wszystko w siebie, i w jednolitość stapiał; kiedy więc powtarzam Mazepa oderwał się do Karola XIIgo, wtedy i Zaporozie razem z nim przeszło do obozu szwedzkiego, za co, jak już opowiedziałem, utraciło starą swoją sicz, i u Tatarów schronienia szukać musiało. Niebardzo więc musieli być Zaporozcy wdzięczni Mazepie

A szczoś baćku Iwane,
 Proszuż mini kazaty;
 Czy z twoich słow bude szczo harne,
 Bo ja ehocz Mazepi zwistoczku posłaty.

A tyż tee i zabuw,
 Szczo my Carewi prysiagały;
 Mazepa toho i ne rozżuw,
 Szczo my oproszczenie wziały,
 A szczoż tobi kazaty,
 Ty baczysz diło sam,
 Nam ne możno prysiagi łomaty,
 Nam ne możno pomiczy daty wam.

Zaporożec ne buw bisowym synom,
 Koły prysiagu win daw,
 Nazywajut jeho jerytycznym czynom,
 Koły i chrystycsia zabuwaw.

Bo win zabuwaw chrysticsia,
 Koły wraha w szyju hnaw,
 A pisle znaw, i pomołycsia,
 Ta wse prysiagi ne łomaw.

Otce Orłyku brate,
 Otwezi Mazepi sej otwit,
 Nechaj win łuczsze naczne żaty,
 Otce bude nasz sowit.

Oj iskra mała, ta może swit spałyty
 I sama szczezne, propade,
 Oj chce Mazepa, bahacko naroda zgubyty,
 Czoho win chce, toho win ne najde.

Nu baćku Iwane proszczaj,
 Szczo budem s toboju robyty,
 Ta baćku pamiataj,
 Jak my budem tebe i sicz gołyty.

Oj Orłyku mij brate,
 Ne kopaj ty jamy dla nas,
 Postij żyw żyku, chwate,
 Bo w tu jamu, ta popadesz sam.

Oj powiwae witrec,
 Ta wid moria chołodny,
 Ta poichaw nasz brehunec,
 Jak sobaka gołodny.

Toż po polsku:

Oj z za góry, z za Dniepru,
 Wiater powiéwa;

Oj, jakieś tam czólenko,
 Fala do brzegu przybija.
 Oj przybija fala czólenko,
 Czólenko łabędzia,
 Ta i wyskoczył z niego Orlik,
 Ta i zaczął rozmowę:
 „Pugu! bracia, pugu!
 Pugu Zaporozczy!”
 „Stoi Kozak w ługu!” (1)
 Odpowiadają mu chłopcy.
 Ej bracia chodźmy do koszowego,
 Będziemy radzić radę,
 Zwoła małego i starego,
 Na tę ważną poradę.
 Oj, poszedł Orlik do koszowego,
 Ta do kolan pokłonił się;
 Ta zaczął o sprawach Karola,
 Że z naszym carem nie pogodził się.
 Oj, ojcie Iwanie,
 Ot taka to rzecz:
 Powiedz Małasiewiczowi, panie,
 Czy staniesz nam na pomoc?
 Oj, nad Ukrainą hetmańską
 Gromowa chmura stoi;
 Oj, przyszedł car z armią ruską,
 Ta chce ją, ta zniszczyć.
 Czemuż nie pomagać, kiedy proszą bracia sąsiedzi,
 Czemuż nam Tatarów nie rąbać, kiedy ręce zaczęły świerz-
 Ta to nie Tatarów rąbać, (bić.
 Mazepa prosi do nas przystać,
 Naszej Ukrainie pomoc dać.
 A cóż ojcie Iwanie!
 Proszę mi powiedzieć,
 Czy z twoich słów będzie można mieć nadzieję,
 Bo ja chcę Mazepie wiadomość posłać.
 A tyś to i zapomniał,
 Żeśmy carowi przysięgali,
 Mazepa tego i nie pamięta,
 Żeśmy przebaczenie dostali.
 A cóż tobie powiedzieć,
 Ty rozumiesz dzieło sam,

(1) Pugu. pugu! umówiony wykrzyknik między Zaporozcami. Co znaczył? patrz w rozdziale: Zaporozkie zgromadzenie czyli towarzystwo.

**My nie możemy przysięgi łamać,
 My nie możemy pomocy dać wam.
 Zaporoziec nie jest biesowym synem,
 Kiedy przysięgę on dał;
 Chociaż nazywają go heretykiem,
 I że zapomniał się ochrzcić.**

**Bo on zapomniał ochrzcić się,
 Kiedy wroga na kark goni;
 A potem umie i pomodlić się,
 I przysięgi nie złamie.**

**Ojcie! Orliku bracie!
 Odwieź Mazepie tę odpowiedź:
 Niechaj on lepiej zacznie żać,
 Ojcie! taka jest nasza rada.**

**O iskra mała, ta może świat spalić,
 A sama zniknie, przepadnie;
 Oj, chce Mazepa dużo narodu zgubić,
 Czego on chce, tego i nie znajdzie.**

**Oj ojcie Iwanie, bądź zdrow!
 Cóż będziemy z tobą robić,
 Ale ta ojcie pamiętaj,
 Jak my będziemy ciebie i sicz golić.**

**Oj, Orliku mój bracie!
 Nie kop ty dołków pod nami;
 Poczekaj wykrętacz, chwacie!**

Bo w ten dołek wpadniesz ty sam.

**Oj powiewa wiat, a od morza chłodny,
 Ta pojechał nasz łgarz, jak sobaka głodny.**

Jak wyżej powiedziałem, za wstawieniem się hrabiego Wejsbacha, Zaporozcy wrócili do rodzinnej ziemi, i odbudowali sobie nową sicz nad rzeczką Podpolną. Ale przeznaczenie jakieś fatalne popchnęło ich znowu do samowolnych kroków, i zanadto śmiałych domagań się od petersburskiego dworu, który bardzo naturalnie i logicznie zadosyć uczynić im nie chciał, bo nie mógł: gdyż inaczej, byłby wbrew zasadzie swojego rządu postąpił. Byłato więc dla Zaporozia epoka konania, była to walka karła z olbrzymem; a te śmiertelne kurcze i gorączkowe wyprężenie, widać znowu w wielu pie-

śniach, a szczególnie w owój sławnej dumie, o niepomysłnej podróży ostatniego kozowego Kalniszewskiego do Petersburga, a zaczynającej się tak:

Oj wstan baťku! oj wstan Petre!

Kłyczut tebe lude;

Oj chodimo do carycy, po preźnemu bude i t. d.

Toż po polsku:

Oj wstań ojczy, wstań Piotrze,

Wołają na ciebie ludzie,

Oj chodźmy do carowej, a będzie jak pierwój.

Nadeszła wreszcie śmiertelna godzina dla Zaporozców. Jednostka ta, nie znajdując już więcej na zewnątrz zajęcia, bo Tatarów już nie było, a z Turcją i Polską harcować już nie mogli, bo ich Rossya pilnie strzegła; trawiła więc wszystkie swoje siły w pijaństwie i rozpucie, a pijaństwo wywoływało w niej jakieś cudackie pomysły, jakieś niepraktyczne marzenia, a konwulsyjne drgania raz po raz objawiały się u nich przez nieposłuszeństwo rozkazom monarchów rosyjskich. Wszystkie starania i zabiegi jój starszyny, aby sicz w dawnym kształcie i granicach utrzymać, były nadaremne; rozbiły się o tę jedną zaporę, że w środku posiadłości rosyjskich, nie mogła istnieć kraina z odrębną ustawą i duchem. Zapadł też wyrok śmierci, i w sam dzień Zielonych Świątek 1775 r., Tekeli z rozkazu Potemkina zajął sicz, odczytał Zaporozcom manifest cesarzowej Katarzyny znoszący nazawsze Zaporozców, i tak skończyło sławne tak długo i rozgłośne zakonno-wojenne kozackie zaporozkie bractwo.

Było dzień straszny, dzień niby ostatecznego sądu dla nieszczęśliwej, chociaż prawda zbyt burzliwej drużyny. Wszyscy ile ich tam było, woleliby byli pewnie śmierć z ręki niewiernych, niż doczekać téj godziny,

w której regułę kozacką zniesiono. Ten smutek, ta rozpacz i uczucia Kozaków na widok rossyjskich wojsk, co przyszły wyganiać ich z poza tych progów Dnieprowskich, w których górą trzy wieki siedzieli, wylały się w inną znowu dumie, która jest taka:

Duma o atakowaniu siczy.

Oj iz za zeleneho haju
 Czerwone soneczko ziszło,
 Oj iz ruskaho kraju
 Welyke wijsko przszło.
 Czerwone soneczko
 Wże wysoko stoit,
 Dywiłsia ba'ko w okoneczko,
 Taj kaže: „ditki, szczo budem robyt?
 Os pered nami,
 Nenkine wijsko stoit,
 Otec ma bud za nami,
 Szczo szły Tatar, jak szaranczu honit”.
 Oj ba'ku! szchos wono ne te,
 Czoho si harmaty hortom w siczu stojat,
 Treba ba'ku uzraty,
 Czocho ony od nas hotiat?
 Oj prowadaly Zaporozcy,
 Szczo Neczosa Tekelu posław,
 Szczob nas i koszowaho,
 I wsiu sławnu sicz atakowaw.
 Jak dity budem jeho wstryczaty,
 Czy chlibom i soleju,
 Czy wijnu objawlaty,
 Czy ity do neho dobroju woleju.
 Odni kažut: ne damo zaspasibi siczy;
 Druhi kažut: mir łutsze wseho;
 A ci: nehaj nam wypalat oczy,
 Daj pomrem jeden za druhaho.
 Nykołyz toho ne bude,
 Szczob my oddali sicz darom;
 Poka szcze swita sonca,
 Wse budem bytsia z kozackim zapasom!
 Boha bijtesia dity,
 Kaže pan otec archimandryt,

Szczo wy choczete robyty,
 Proklaty bude iz rida w rid.
 Wy dity Chrystiane,
 I pidymaete na brata ruki.
 Ne robyte w serdcu swomu rany,
 Bo za te budut wam welyki muki.
 Ot wam chrest boży,
 Na jeho wy nadijtesia,
 I sowit mij zdaetsia hoży,
 I ni w czem dity ne zurytesia.
 Nu pan otcze po twoemu nehaj!
 Posłuchajut tebe Zaporozcy;
 Bery Petre chlib da sil,
 I chodim do Tekeli w hosti.
 Nu bat'ku! hospody pomoży!
 I daj nam dobry czas,
 Chlib bat'ku położy,
 I sperszu howory za nas.
 Bo wijnoju bat'ku niczego neuczynim,
 Treba dobroju woleju robyty;
 Chodim ta pokłon wchylim,
 Ta i naczem za diło howoryty.
 Chlib, sil Tekeli priniaw,
 I naczaw nas uhoszczaty,
 A jak dobre pidhulaw,
 Ta staw i nas do sebe prochaty.
 Oj! nasz Petro koszowy,
 Mae zwyczaj swij!
 Piszow henerała zawywyaty,
 Do sebe obida kozackaho używyaty.
 Ziw Tekeli obid burłacki,
 Ta use smakowaw,
 A pisał po kozacki,
 Winom, midom zapiwaw.
 Oj! piszow Tekeli w swoju pałatku,
 Ta i naczaw mirkowaty,
 Jak jemu postupity iz poczatku,
 I jak naszu sicz atakowaty.
 Uże wsi naszy pałanki;
 W Tekelewych rukach,
 Uże wsi jeho pałatki,
 U naszych siczach!
 Oj proczytaw Tekeli papier,
 Koszewomu, pisarewi od carycy,
 Treba nam ichaty w dwir,

Aż u dwir stołcy!....
 Oj! począły, Kozaki dumat' ta gadat',
 Jakby Tekelu w szory ubrat',
 A dali do Tekeli przystali,
 Szczob daw bilet i weliw roboty szukat'.

Oj! ruszyły Zaporozcy
 Do Lamy na zarobitki;
 Zakiwali piatami siromy,
 Tylko braciom dali zwistki!
 Tekeli pisał chot ochładywsia,
 Zaporozcyw pominaj jak zwali!
 Oj! bidny zażurywsia,
 Szczo w szory jeha ubrali!

Oj! żyte nasze minulosia,
 Żyte burłackoe!
 Kołyb ono wernulosia,
 Sławne żyte kozackoe!
 Hej! bratcy, wozmite w ruki
 Pisoczku, ta i posijte;
 Oj! tody ono wernetsia,
 Jak sej pisoczok zyjde!

Toż po polsku:

Oj! z za zielonego gaju,
 Czerwone słoneczko weszło,
 Oj z ruskiego kraju,
 Wielkie wojsko przyszło.
 Czerwone słoneczko
 Wysoko stoi,
 A patrzył baćko w okieneczko,
 I mówi: „Dzieci! cóż będziem robić?

Oto przed nami
 Carowój wojsko stoi;
 Zapewne każą nam,
 Żebyśmy poszli Tatarów gnać jak szarańczę”.

Oj! baćku! coś to nie to,
 Na co te armaty gardłem do siczy stoją,
 Trzeba baćku dowiedzieć się,
 Czego one od nas chcą.

Oj! przewidzieli Zaporozce,
 Że Nieczosa (Potemkin) Tekelego posłał,
 Żeby nas i koszowego,
 I całą sławną sicz atakował.

Jakże będziemy go, dzieci, przyjmować?
 Czy chlebem i solą?

Czy wojnę wypowiemy,
Czy pojedziemy do niego dobrą wolą?
Jedni mówią: nie damy za „dziękuję” siczy!
Drudzy mówią: pokój lepszy od wszystkiego!
A inni: niech nam wypalą oczy,
A i pomrzemy jeden za drugiego!
Nigdy tego nie będzie,
Żebyśmy oddali sicz darmo;
Dopóki światła słońca,
Bić się będziemy po kozacku!
Bójcie się Boga, dzieci,
Mówi pan ojciec archimandryta,
Za to co chcecie robić,
Przeklęty będzie od pokolenia do pokolenia.
Wy dzieci chrześcjanie,
A podnosicie na brata ręce;
Nie róbcie w sercu waszém rany,
Bo za to, czekają was wielkie męki!
Oto krzyż boży,
W nim ufajcie;
I rada moja zdaje się dobra,
I z niczego dzieci nie smućcie się.
No, panie ojcze! po twojemu niech będzie,
Ustuchają cię Zaporozcy.
Bierz Piotrze, chleb i sól,
I pójdźmy do Tekelego w gościnę.
No, baćku! niech ci Bóg pomoże,
I daj nam dobry czas,
Połóż chleb baćku,
I mów naprzód za nas.
Bo wojną baćku nic nie skuramy,
Trzeba dobrą wolą robić.
Pójdźmy i pokłon oddajmy,
A i zaczynajmy za sprawą mówić.
Chleb i sól Tekeli przyjął,
I zaczął nas częstować,
A jak tego podhulał,
To i nas do siebie zaprosił.
A nasz Piotr koszowy,
Ma zwyczaj swój,
Poszedł generała prosić
Do siebie, obiad kozackiego skosztować.
Zjadł Tekeli obiad hurłacki,
I wszystko mu smakowało;

A potem po kozacku,
 Winem, miodem zapijał.
 Oj! poszedł Tekeli do swojego namiotu,
 I zaczął rozmyślać,
 Jak ma z początku postąpić,
 I jak ma naszą sicz atakować.
 Już wszystkie nasze pałanki
 W Tekelowych rękach;
 Już wszystkie jego namioty
 Przy naszych siczach.
 Oj! przeczytał Tekeli papier,
 Koszowemu pisany od carowej,
 Trzeba nam jechać do dworu,
 Aż do dworu do stolicy...
 Oj! zaczęli Kozacy dumać i gadać,
 Jakby Tekelego w szory ubrać,
 I potem do Tekelego poszli,
 Żeby im dał bilet, roboty szukać.
 Oj! ruszyli Zaporozcy,
 Do Lamy na zarobki,
 Zakiwali piętami sierotki,
 Tylko braciom dali o sobie wiadomość.
 Tekeli potem, gdy obejrzał się,
 Ani już znaku z Zaporozców nie było;
 Oj biędny zasmucił się,
 Że go Kozaki w szory ubrali!
 Oj! życie nasze już minęło,
 Życie burłackie!
 O gdyby się ono wróciło,
 Sławne życie kozackie!
 Ej! bracia! weźcie wy w rękę
 Piaseczku i posiejcie;
 Oj wtedy ono wróci się,
 Gdy ten piaseczek zejdzie!

Pieśni.

Tak więc cała historia Zaporozża wyśpiewaną została przez ich ludowych piewców. Każdy przeczytawszy te dumy zrozumieć lepiej, niż najtrafniejsze rozumowania i wywody krytyczne uczynić to mogą, że w samym przedmiocie tych dum i charakterze tych, co je nucili, leżał

konieczny ten warunek, że one są nieforemne, niewyglądzone, szorstkie, a zawsze smętne i rzewliwe. Ci co je śpiewali, śpiewali je z natchnienia, z uczucia, bo nie byli naukowo wykształceni; a ci o których śpiewano, nie byli to ludzie miasta i miękkości, a byli to dzielni harcownicy stepu i wojny, a zatém, byli to ludzie ciężkich prac i twardego życia. Jakiemi więc byli ci co śpiewali, i ci których opiewano, takimi koniecznością logiczną musiały być i są ich utwory umysłowe.

Ale jest jeszcze inna strona w Zaporozżu; jest jeszcze w niém, oprócz owej smętności i szorstkości, leżącój w naturze życia i zatrudnienia Zaporozców, inny charakter: to jest rzutność, pogarda niebezpieczeństwa, przechwałka, upijanie się, śmierć bohatersko na wojnie, czyli inaczej — strona wewnętrzna. A i ta musiała znowu wydać odpowiednie sobie plody: i owoż brzmia tam pieśni pełne energii, i życia, i hulanki; bo Kozak Zaporozec każdy krok swój wyśpiewywał, każde poruszenie wylewał w pieśni. Żył pieśnią jak powszednim chlebem, śpiąc marzył o pieśni, jak to dziwnie zajmująco opowiada Olizarowski:

A zadrzemię, to mi łążą
Dumki, pieśni ponad twarzą,
Ponad głową, ponad czołem,
I śpię z dumką jak z aniołem.

Zaporozec jako człowiek, mógł kochać kobiety, ale się żenić nie mógł; to też we wszystkich zaporozkich pieśniach niéma ani wzmianki o czulej miłości, a o kobiecie wszędzie żartem, albo prawie z pogardą śpiewają; np. w jednej pieśni o Sahajdacznym:

A po zadu Sahajdaczny,
Szczo prominiaw żynku
Na tintion i lulku,
Neobaczny!

Oj, wernisia Sahajdaczny
 Weźmi swoju żynku,
 Oddaj moju lulku,
 Neobaczny!
 Mine z żynkoju newodytsia,
 A tutuń da lulka,
 Kozakowi w dorozie
 Znadobitsia.

Toż samo po polsku:

A z tyłu Sahajdaczny,
 Co zamienił żonkę
 Na tytuń i lulkę,
 Nieobaczny.
 Oj wróć się Sahajdaczny
 Weź swoją żonkę,
 Oddaj moją lulkę,
 Nieobaczny.
 Mnie z żonką nie jeździć,
 A tytuń i lulka,
 Kozakowi w drodze
 Przyda się.

Owoż Zaporozec woli tytuń i lulkę, niż żonę, bo za nią mógł czasem zapłacić głową. To też ojciec wyprawiając syna na Zaporozie, powiada mu, żeby nie myślał nawet żenić się.

My żynok musimo lubity
 Tak jak naszych sester, materyw,
 A oprycz ich nam treba nikoho nielubity,
 I utykaty jak od złych czortyw;
 Bo ty znaesz mij miły synku,
 Łycarewi treba wojowaty,
 A tobie bude żal żynku zostawlaty.

My żonki musimy lubić,
 Tak jak nasze siostry i matki,
 A oprócz nich, niewolno nam nikogo kochać,
 I uciekać jak od złego ducha;
 Bo ty wiész mój miły synku,
 Że rycerzowi trzeba wojować,
 A tobie byłoby żal żonkę opuszczuć.

Jedna pieśń posuwa żart aż do tego, że Zaporozcy nawet z kształtu kobiet nie znali.

Sławny młodocy pany Zaporozcy,
 Pobaczyli wony czapła na bołoty;
 Ataman każe: „ot te bratcy diwka”,
 A asaул każe: „ja z neju kohawsia”,
 A koszowy każe: „a ja i powinczawsia”.

Sławne zuchy, panowie Zaporozcy,
 Zobaczyli oni czaplę na błotach;
 Ataman mówi: „Oto bracia dziewczka”;
 A asaул mówi: „Ja się w niój Kocham”,
 A koszowy mówi: „Ja się z nią ożenił.”

Zamiast kobiety i żony, miał Kozak Zaporozec towarzyszkę na całe swoje życie — wojnę i śmierć; to też sobie śpiewał:

Wozmet sobi w družynoczku,
 Wysokuju moglioczku.

A jak żył zawsze jeden po klasztornemu, tak i umrze; na grobie jego tylko czarny kruk zakrucze, albo siwy koń kopytem bije o ziemię.

Kozacy zaporozcy nie byli piśmienni, więc téż u nich w pieśniach u wszystkich wszystko po kozacku się odbywa; myśleli, że cały boży świat po kozacku urządzone. U nich i Tatary, i Kozacy, i Polacy szykują się w kosz; u nich w pieśniach, nietylko w siczy, ale na całym świecie, ludzie mieszkają w kureniach. Pieśń mówiąc o wojnie i najazdach, przedstawia tegoż zuchą, który przychodzi zdawać raport kurennemu atamanowi. Na zapytanie jego dokąd chodzili? odpowiada: „Na lacką ziemię, na bisurmana, na Turka”, i że przywiózł jako zdobycz trzy skóry z barana, a czwartą z samego bisurmana.

Przechwałka i zaufanie w siebie ledwie nie w każdej pieśni napotkać się daje; np. kiedy wojskiem dowodził sam Władysław IV, to Kozak śpiewa o sobie, że:

Po pered wijska konykom hrae,
 A nazad wijska meczem mabae,
 Korol diwue,
 Czyjco syn wojue?

Kołyb ja znaw, czyj syn konym braw,
 Toby ja za neho korolewnu wydaw,
 Dawby jemu pola nezmerynoho,
 Dawby jemu grosza nezliczonoho,
 Dawby jemu woływ na chlib robvty,
 Dawby jemu konyka w wijsku służyty.

Przodem wojska na koniku igra,
 Ztyłu wojska mieczem macha.
 Król się dziwuje,
 Czyj to syn wojuje.

Żebym ja wiedział, czyj to syn na koniu igra,
 Toby ja za niego królewne wydał;
 Dałbym mu pola niezmierzonego,
 Dałbym mu grosza niezliczonego,
 Dałbym mu wołów na chléb robić,
 Dałbym mu konika w wojsku służyć.

I w saméj rzeczy Kozak myślał, że gdyby mu się zachciało, toby i królewne dostał; ale coby mu po niéj było! On wolał tureckie piastry, wolał ruskie karbowanice, żeby miał potém za co pić w siczy; i pił téż dopóki wszystkiego nie przepił:

Da burłacze, burłacze,
 Mołody Kozacze,
 Da szczo ty zaroblaesz
 To i te propiwaesz,
 A jak zahulaesz,
 Muzyku naimaesz.

Jak życie kozackie zostało się w pieśni, tak samo i życie czumaków, o których wyżej mówiliśmy, odbiło się równie w podobnych pieśniach, z tą różnicą, że podróż do Krymu lub na Don, ulubione czumakowi woły, albo śmierć daleko w obcej ziemi, jest zwykłą pieśni o czumakach treścią; np. jedna z nich śpiewa o czumaku, który na stepie umiera:

Sidyt czumak mez wozami,
 Ta na wiz pochyłwsia,
 Oj prawenkoju ta ruczenkoju,
 Za serdenko uchwatysia.

Oj, wy czumaczenki, oj wy mołodenci,
 Zrobyt moju wolu,
 Prydyte, popa prywedyte
 Pohoworyt so mnoju.

Wy czumaczenki, wy mołodenci,
 Wy choży, i pryhoży,
 Zrobyte swomu czumakowi,
 Domowinu z rogoży.

Wy czumaczenki, wy mołodenci,
 Uczynit tuju sławu,
 Wykopajće siomu czumakowi,
 Głybokuju jamu.

Siedzi czumak między wozami,
 I na wóz się pochylił,
 I prawą ręką za serce się ujął.
 Oj wy czumaczenki, oj wy młodzieńcy,
 Zróbcie moję wołą,
 Przyprawódźcie popa
 Pogadać ze mną.

Wy czumaczenki, wy mołodcy,
 Wy dobrzy i najlepsi,
 Zróbcie swemu czumakowi
 Trumnę z rogoży.

Wy czumaczenki, wy mołodcy,
 Zróbcie tę sławę,
 Wykopcie temu czumakowi
 Głęboką jamę.

Inna znowu pieśń powiada o jakimś czumaku, który siedm razy był na Donie, a zawsze szczęśliwie wracał:

„Chodiw czumak sim hod na Don,
 Ta ne buło prygodyny nikoty jemu.

W końcu dzuma złapała czumaka na stepie, towarzysze odbiegli go, i tylko woły przy nim pozostały.

Oj rewut woły moi stojaczy w jarmi
 Pochowały czumaka w czuzoj storoni.

Nie lubili zapewne czumaki rolnictwa, przywykłszy do owych ciągłych na Dunaj i Krym wędrowek, jak o tém mówi pieśń:

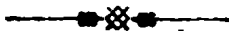
Oj czumacze, czumacze, szczo ne syesz, ne oresz,
 Szczo ne rano z Krymu idesz.

Czumak tak lubił swoje woły, jak Kozak konia, bo dzieliły z nim wszystkie jego trudy i przygody; to też śpiewa o nich:

Oj woły moi siwy połowy (płowe),
A tonki u was rogi.
Schodyły wy z czumakom,
Wsi krymski dorogi.

Tak więc całe zewnętrzne i wewnętrzne życie Zaporozia, widzieć można w pieśni jak w zwierciadle. Nie braknie tam nic, coby najzupełniejszy obraz Kozaczyzny przedstawić mogło. Chodzi tylko o to, aby z tych danych umieć wydobyć na wierzch myśl, znaczenie i cały charakter tej dziwnej krainy, która zmieniawszy formę, pod dawnym jednak swoim nazwiskiem dziś jeszcze istnieje, chociaż w innych stronach, i jest wielką usługą w czasie wojennym dla Rosyi.

Ukończywszy obejrzenie wewnętrznego życia Zaporozia, chociaż w ciągu całej pracy nieraz wspominałem o tém, jeszcze raz oświadczam, że pomysł i układ tego artykułu jest wzięty z dzieła p. Skalkowskiego, wydane-go po ross. w Odessie 1846 r. w 3 tomach, pod tytułem: „*Historja Nowej Siczy*”, w taki sposób: że cały I-szy tom z pewnemi skróceniami, prawie dosłownie przełożyłem, a w ogóle zmieniłem to, co mi do zmienienia koniecznym się wydawało, i obrobiłem obszerniej to, czego w pracy p. Skalkowskiego nie było. Dodaje jeszcze, że mappa Zaporozia i plany starój i nowój siczy przy odbitkach dołączone, z tegoż dzieła p. Skalkowskiego są wzięte, czajki zaś zaporozkie z Beauplana.



TAMKO.

POWIEŚĆ Z XVIII WIEKU.

PRZEZ

Antoniego Wieniarskiego.

Nad Wisłą, gdzie teraz znajdujemy dość liczne ulice, około r. 1722 stało kilkudziesiąt rybackich domków, które niskie, w ziemię wklęsłe, pochylone, biędne jak ich mieszkańcy, niezbyt korzystnie przedstawiały Warszawę, obdartą także z ozdób przez liczne klęski, jakie jej zapasy stronnictw i wojny szwedzkie przyniosły.

W jednym z takich domków mieszkał starzec blisko siedmdziesięcioletni, o którym tyle tylko wiadano, że się nazywał Tamko, i że co piątek o północy wychodził z domku; a ciekawość sąsiadów rybaków dociekła, że zawsze szedł przed kościół OO. Reformatów, klękał przed kratą, która od wschodniej strony zasłaniała otwór kościelnych podziemi, i tam w najgorętszej modlitwie przepędzał większą część popółnocnych godzin.

Często wschodząca jutrzienka, opromieniła głowę starca i zajrzała w załzawione oczy; często nocni wałęsacze wracając z hulanki, uciekali od widma klęczącego

przy kracie, roznosząc potém najdziwaczniejsze wieści, które lud łatwowierny ze strachem wszędzie powtarzał.

I pełno było baśni o dziwnym starcu z rybackiej chaty; wszyscy o nim mówili, wszyscy się nim zajmowali, a on siedział spokojnie przez cały tydzień w małej swojej izdebce, i dopiero kiedy w piątek nocni stróże obwołali północ w mieście, szedł wolnym, spokojnym krokiem ku kościołowi Reformatów, i tam modlił się. Nie zważając znów na wszystko wracał o jutrzence, aby znowu zamknąć się na cały tydzień w swoim domku.

Ciekawość wzrastała tém więcej, że Tamko był nieużytym; drzwi jego chaty zawsze były zamknięte, nikt nie znalazł u niego przytułku, nie zajrzał wewnątrz izdebki, nie słyszał jego głosu.

Częstokroć sąsiedzi chcąc dociec koniecznie tajemnicy, wyszukiwali różne sposoby zbadania szczególnego starca, ale wszystkie ich usiłowania były daremne; ani surowy głos rybaka, ani prośba biédnego o przytułek, nie znalazły nigdy odpowiedzi; jak gdyby domek był pusty. A przecież wieczorem migało w zasłoniętym okienku bladawe światło lampy, i ci, co ich ciekawość bliżej przywiodła, bardzo często słyszeli szepty modlitwy przerywanéj łkaniem i bolesnemi choć stłumionemi jęki.

Do dziwniejszych jeszcze domysłów wiodła ta okoliczność, że Tamko nie wychodząc z domku, jak tylko raz w tydzień i to jeszcze o północy, gdzie wszystkie stragany były już zamknięte, nie zaopatrując się w żywność, musiał ją zkąd odbierać; bo jakżeby mógł żyć i jedném obywać się odzieniem?

Drugim także bardzo ważnym powodem sprzecznych wieści, była obojętność straży marszałkowskiej na liczne

doniesienia, jakie ciekawi odkrycia dręczącej ich tajemnicy zanosili, pomnażając wszystko dla wzbudzenia obawy, a z nią chęci bliższego przeświadczenia się o czynach starca, który nie im nie przeszkadzał i o nich zupełnie nie myślał.

Gdyby lepiej jeszcze uważano, spostrzeżonoby zapewne, że w różnej porze przychodziła pod drzwi domku stara, zgarbiona żebraczka, i że za pierwszą nutą psalmu: „Kto się w opiekę poda panu swemu”, otwierało się małe we drzwiach umieszczone okienko, przez które starzec odbierał pożywienie na dzień cały, a żebraczka szła dalej, narzekając na nieuczynność starca, głuchego na jej prośby.

Gdyby spytano się marszałka wielkiego koronnego, dowiedzianoby się, że odbierał co miesiąc listy bezimiennie, nadsyłane przez dworzan znakomitego bardzo domu, w których proszono go, aby starcowi z rybackiej na powiślu chaty, straż miejska dopełnienia uroczystego ślubu nie tamowała.

Jakież był ten ślub, kto był ów duch opiekuńczy? Marszałek wielki może wiedział, a może i nie, bo jako człowiek prawy, nie zwykł badać tajemnic, które zasłoną pokuty były okryte.

* * *

Na rogu Bednarskiej i Furmańskiej ulicy, nad drzwiami murowanego o jedném piętrze domku, wisiała wiecha, znak nieomylny szynkowni, a na czerwonej tablicy namazany był Krakowiak ze szklanką w ręku, z napisem: „Gospoda krakowska”. I jakoś, kto tylko przechodził ulicą, to zawadził o drzwi gospody, popatrzył to na Krakowiaka, to na wiechę, i wszedł.

W gospodzie było już gości dosyć; dwie izby pełne szumnej, hucznej gawiedzi, która przy dzbanach, szklanicach i kielichach wylewała potoki wrzawy, tak, jak lała w gardło smaczny miodek i piwko pani Jagusi Wareckiej, rodowitej Krakowianki, która i pełnym dzbankiem, i zalotnym oczkiem wabiła gości jak mogła.

W drugiej izbie przy stole, który był dwa razy tak długi jak szeroki, siedzieli trzech braci szlachty w czerwonych żupanach i granatowych kontuszach, nosząc w tym stroju znaną województwa, z którego pochodzili; obok nich, dwóch dworzan pana wojewody lubelskiego i dwóch miejskich urwiszów, którzy bawiąc przybyłych opowiadaniem rozmaitych zdarzeń, łykali ich miodek, sprzedając za niego cały zapas tygodniowych, dwutygodniowych, a czasem i całomiesięcznych wieści.

Panowie szlachta, znać z jakiegoś zaścianka, bo kontusze i żupany przemawiały latami, przez które służyły już swoim panom, gładząc wąsy i poprawiając pasa, zaprzemi od dobrego truneczku, którego już ósmy garniec rozlewał się w szklanice, słuchali baśni miejskich wyjadaczy, zbyt często i coraz w miarę wypróżniających się dzbanów częściej wtorując hucznym, długim śmiechem ich powieściom.

— Otóż moi wielmożni panowie, tandem opowiem wam jedną jeszcze dykteryjkę. Ale za pozwoleniem, czegoś mi tak w gardło zasycha, jakbym nic nie pił, a tu z łaski zacnych ludzi, bodaj tacy rodzili się na kamieniu, trzecią już podobno szklaneczkę przepuściło się przez gardło.

— Oj! nie lżyj waszce! — przemówił dworzanin — jużby ci nawet palców u rąk i u nóg nie stało, gdybyś chciał policzyć szklanki Jagusinego miodu, który lejesz jak

w kufę. Jeżeli i to taka prawda co prawisz, toś waszeć nie wart i torby sieczki ze swojemi dykteryjkami.

— Ej! kiedy bo jegomość dobrodziej zbił mię z tropu jak ogara, który trafi na zajęcze skoki, a niewprawny myśliwiec trąbką go odwoła. Z przeproszeniem: jeżeli wadzi słuchać, to ja nie bronię jegomości zatkać uszy; ja opowiadam dla tych zacnych panów, którzy, bodaj tacy rodzili się na kamieniu!

— Za cóż to ty nas masz, urwipołciu, nas dworzan pana Tarły ze Szczekarzowic, lubelskiego wojewody dobrą herbową szlachtę? co hultaju! Nauczę ja cię respektu.

I byłoby pewnie przyszło do bójki, bo dworzanin zapyrzony już chciał się brać w czuby, gdyby jeden ze szlachty nie zawołał:—Jagusi! ładna Krakowianeczko! dziewiąty garniec miodku!

Na wyraz ten, jak gdyby połączony z jakimś czarodziejskim zaklęciem, dworzanin ochłódnął z gniewu i zaczął tylko mruczyć coś przez zęby; a miejski powieścisz jął go przeproszać za to, jeżeli się co złego mimo woli wyrzekło.

— No, no! dajcieno waszeć pokój z dasami; lepiej posłuchać co nam powie ten brukowiec, którego dali-pan, gdybym był kasztelanem albo wojewodą krakowskim, przyjąłbym...

— Na blazna. — przerwał dworzamin.

— Niech i tak będzie; przecieżto tam kiedyś powiedziano to samo Rejowi z Nagłowic, a on się nie obraził, to i ja gniewać się nie myślę; wolę zabawić moich wielmożnych panów. Otóż tak było: Wczorajszej nocy, wracałem sobie z dobrej zabawki, gdzie troszkę się piło, tak, że aż tam coś w czuprynie szaszmerala.

Któratam była godzina. djabeł ją pytał; a choćbym nawet i wiedział, to pewniebym nie spamiętał, bo świat jakoś ze mną wkoło chodził, a kamienice tańczyły krakowiaka. Zdawało mi się, że stara katedra wzięwszy się pod boki z tą wielką Wejcherowską kamienicą, sunęła w pierwszą parę, a ja za niemi, i tak nie wiem z kąd wzięłem się tuż przy Reformackim kościele. Kościół ten, który już nie tysiąc razy widziałem, zdał mi się być wieżą, a słupki kamienne które go otaczają, strażą marszałkowską; zacząłem prosić o litość tłumacząc się, że nic nie winien, i wreszcie głośno płakać: gdy wtém czuję, że ktoś mię naprawdę trzyma. Obejrzawszy się spostrzegam jakiegoś starca, który o coś mnie pyta. Gdybym był trzeźwiejszy, pewniebym się przeląkł, ale dobry miodek pana Pawła Gawrońskiego, tak zapamiętałe opanował mi głowę, że zdawało mi się, jakbym wyraźnie widział kochanego naszego Kubusia. „A tuś mi, drabie, krzyknąłem; nie uciekniesz! Choć do Pawelka...” Chciałem go zatrzymać, ale wyrwał mi się i zaczął spiesznie uchodzić. Ja za nim; on prędzej, ja za nim. Gdyby mi nogi trochę lepiej statkowały, byłbym go dogonił, bo jakoś mimo pośpiechu, laźł leniwo; ale nieraz zatoczyłem się uczciwio, i tak goniąc go zaszedłem aż nad Wisłę między rybackie chaty. Na nieszczęście potknąłem się o coś i przewróciłem; on zniknął, mnie się w oczach zaćmiło i zasnąłem..... Nazajutrz budzą mnie poczciwe rybaki, pytają co tu robię? A gdy im opowiedziałem wszystko: „Podziękuj, mówią, Bogu; to szatan prowadził cię pijanego do piekła. W téj chatce mieszka starzec, który ma z szatanem sprawy”. — I nuż opowiadać dziwne rzeczy o jego nocnych co piątek sprawkach. Aż mi włosy na głowie stanęły; ślubowałem nie pijać więcej

miodu, i uciekłem od chaty pod którą noc przepędziłem, a w której mieszka ten przeklęty starzec.

— Jakże on się zowie?—zapytał szlachcic.

— Tamko!

— Wieczne mu odpoczywanie!—zawołał wchodzący w tę chwilę do izby jeden z marszałkowskiej straży.

— Alboż on umarł?...

— Tak, dziś rano. O! cóżto był za człowiek!

— Szatan!....

— Anioł.

— Jukto?

— Żył przez lat czterdzieści o chlebie i wodzie, a zostawił wiele, bardzo wiele pieniędzy i te kazał podzielić pomiędzy biednych rybaków.

— To być nie może!

— A to idź waszeć przekonaj się. Tam cała Warszawa dąży; mają teraz czytać testament.

— Idźmy! idźmy! — zawołano zewsząd, i w moment gospoda krakowska była pusta.

* * *

Chatę rybacką otoczył tłum ciekawych, którzy zbiegli się z różnych części miasta na rozgłos śmierci starca, będącego dla wszystkich podziwem.

Straż marszałkowska otoczyła domek nie dopuszczając wnijsia, dopóki sam pan marszałek nie przybędzie, który w godzinę po śmierci starca, zwykłym dotąd sposobem uwiadomiony został o ostatniej jego woli: aby wszystko co tylko się znajdzie, podzieloném zostało między biednych rybaków, i aby testament przez samego marszałka był otworzony i odczytany.

W chatce, na skromnym katafalku stało złożone ciało starca; cztery świece i cztery lampy stanowiły całą

ozdobę pogrzebowego przyboru. U nóg klęczała stara żebraczka; modły jej były rzewne, gorące, bo łzy płynęły po okrytém zmarszczkami licu, i częste westchnienia boleśnie rozdzierały piersi.

Turkot kolasy oznajmił przybycie marszałka; niebawem wszedł on do chaty, a za nim kilku z obecnych podówczas w Warszawie senatorów.

Żebraczka podniosła się, otarła łzy, oddała ukłon przybyłym, którzy za przykładem marszałka odmówili naprzód zwykle za duszę zmarłego pacierze, i zbliżwszy się do okna, wyjęła z małej szkatuleczki papier opatrzony kilkoma pieczęciami, na wierzchu którego był napis: „Po mojej śmierci, marszałek wielki koronny otworzy i odczyta.”

Marszałek wziął do ręki, okazał obecnym i rozłamał pieczęcie. W środku znalazł kartę, na której czele był napis: „Testament”, a w niej znowu grubszy pakiecik opieczętowany.

Rozłożył kartę i czytał:

— „Ja, żyjący na świecie, choć dla świata dawno umarły, pokutnik za wielkie moje występki, wiedząc że z mienia mego, które niegdyś było bardzo znaczne, pozostały jakieś jeszcze ślady, i wiedząc, że dzień w którym Bóg, najwyższy sędzia, powoła do rachunku grzesznika, jest bliski; proszę głosem umiэрającego, aby ten, któremu wykonanie mój ostatniej woli powierzyłem, majątkiem moim, który znajdzie zakopany w wschodnim rogu chaty, tak rozporządził: aby wszyscy biedni rybacy, którzy na tej stronie rzeki mają swoje chaty, odebrali każdy równą część, jaka z podziału wypadnie, zaraz w dniu mojej śmierci; z tym przecież warunkiem, aby za to pieniądze wystawili sobie w tém samym miej-

scu dobre murowane domy, i co tydzień w piątek, każdy z nich, dopóki tylko żyć będzie, słuchał klęczący mszy świętej w Reformackim lub innym jakim kościele, i odmówił trzy pacierze za dusze Maryi i Szymona."

— „Spodziewam się po szlachetności tego, któremu tę ostatnią moją wolą poruczam, że podział summy z wszelką sumiennością dopełni; ażeby zostawić mu za ten czyn ludzkości jakąś pamiątkę, składam na ręce jego krótko opisane wypadki mego nędznego życia, zaklinając go na miłość boską, aby pismo to, dopiero w pierwszą rocznicę mojej śmierci otworzył i odczytał. Może choć jedna łza, pójdzie za pokutnikiem błagać dla niego przebaczenia; może choć jedna ofiara wrzących namiętności, wstrzyma się nad przepaścią zguby, gdy przejrzy karty, na których wśród łez żalu, czarne obrazy mego życia skreśliłem."

— „A wy wszyscy, którzy słyszeć będziecie te ostatki moich ziemskich nadziei, błagam was, zaklinam na najświętsze obowiązki, módlcie się za grzesznikiem, bo wielkie są jego winy!"

Zaledwie marszałek skończył, gdy wszyscy wśród łez i łkania ukłękli przy katafalku starca, którego martwe oblicze zachowało ów niepojęty wyraz godności i poświęcenia, tak silnie przemawiający do duszy.

Ale ze wszystkich najrzewniej płakał ów miejski powieściarz, który niedawno pod wiechą opowiadał przesłonocne zdarzenie.

Marszałek zapytał o przyczynę; z żalem i pokorą powtórzył czyn swój, przeklinając fatalną noc i przysięgając odpokutować swoje winę.

Tymczasem gromadzili się zewsząd biedni rybacy, prowadząc swoje żony i dzieci. Trudny do opisanja

obraz ich radości obok religijnego żalu! Obraz ten każdy pojmie, komu dni życia niezbyt jasno świeciły, i kto ujrzał jutrenkę szczęścia zza czarnych chmur wschodzącą. Marszałek dobył szabli, i pierwszy w skazaném miejscu odrzucił kawał ziemi, poczem niebawem wyjęto dwułokciową skrzyneczkę, i otworzono; pełno było w niej złota!...

Boże! cóżto był za dzień, dla tych biędnych rybaków! Gdy przeliczono, okazało się 60,000 dukatów.

Marszałek kazał się zgromadzić wszystkim rybakom z powiśla, odczytał im po raz drugi wolą zmarłego, i podzielił pieniądze między pięćdziesiąt dwie rodzin, niemożących nawet pojąć szczęścia, jakie ich spotkało.

— „Bóg wam zesał pomoc — przemówił marszałek — w niepojętym postępku nieznanego człowieka. Umiejcież z niej korzystać, pobudujcież się tu o ile możecie najlepiej, ja wam także we wszystkiém pomagać będę; a nadewszystko zachowajcie wolą nieszczęśliwego, módlcie się za dusze Maryi i Szymona, bo Bóg, który teraz was pocieszył, nie błogosławiłby waszój pracy, gdybyście zapomnieli jednego z najświętszych obowiązków. A teraz, pochowanie zwłok tego czcigodnego starca, zostawiam waszój wdzięczności. „Bądźcie zdrowi.”

I marszałek wzięwszy testament z opieczętowanym rękopismem, zaprosił towarzyszących mu senatorów do wyjścia, rozkazawszy dać sobie wiadomość, kiedy pogrzeb nastąpi.

Wkrótce gromadzić się zaczęły bractwa ze światłem i księża z licznych zakonów; zabrzmiały smutnym, ale uroczystym tonem pogrzebowe pieśni, i z rybackiej chaty wyruszył tłumny pochód. Rybacy nieśli trumnę, za trumną szła żebraczka, i może ona tylko jedna łzami szczę-

rego żalu płakała. Pod cmentarzem czekały już liczne karety, świetnej barwy, a nad wymirowanym naprędce grobem stał marszałek. Zamiast pogrzebowej mowy, odczytał testament zmarłego, a w miejscu gdzie tenże błaga o modły za swoją duszę, wszyscy obecni rzucili się na kolana, i prosili o zbawienie grzesznika.

* * *

Na ratusznym zegarze wybiła dwunasta godzina, a było to w dniu 15 października 1723 roku.

Marszałek Bieliński siedział w swoim gabinecie, i policzywszy uważnie dwanaście uderzeń zegaru, zapalił drugą woskową świecę i dobył z szufladki kantorka opieczętowany zwitek papieru.

Zdjął potem ze ściany Kalendarz powszechny z roku 1722, otworzył, popatrzył na podkreślony dzień 16 października, i rozłamał pieczęcie.

— Piérwsza rocznica śmierci nadeszła, mogę teraz odczytać historią życia tego dziwnego starca— powiedział do siebie, i poprawiwszy świecę, zabrał się do czytania.

Rękopis starego Tamka.

Drżąc od starości i wzruszenia ręką biorę pióro, aby zostawić światu pamiątki mego życia; pamiątki, które niestety! ogniem zgryzot palą resztki tego biednego serca niewygorzale namiętaościami, nierozszarpane żalem i ostrą, ale zasłużoną pokutą.

Urodziłem się nad brzegiem Włłii, w rozkosznej wiosce, której pamięć w tylolicznych odbita obrazach, zbyt często przypomina występniemu starcowi igraszki jego dni dziecińczych; dni, które jedna pozostały w dziewiczej barwie na czarném tle jego życia.

Nazwiska moich rodziców, ich dostojenstw i godności nie wymienię, bo nie chcę ubliżyć ich pamięci; nie chcę zostawić śladu, że mieli syna, który występkami splamił ich imię, którego wreszcie jako odrodzonego potomka, odepchnęli od swego łona.

Dość wiedzieć, że urodziłem się w domu, głośnym z obywatelskich cnót, godności i bogactw; że byłem pierworodnym dzieckiem, ukochanym od rodziców, którzy we mnie widzieli całe swoje szczęście, nie przewidując, jak zgubną była ta zaślepiona miłość, to pobłażanie najszkodliwszych wad, które się stopniowo, ale głęboko wkorzeniały.

Ojciec nie mogąc wydołać licznym urządóm, jakie sprawował, i poświęcając się zupełnie usłudze obywatelskiej, nie miał czasu wglądać w moje postępowanie; a matka dobra, ale niestety zbyt dobra, każdego kto tylko chciał jęj odkryć jaką wadę w Szymusiu, oddalała od siebie, i lubiła tylko słuchać wynoszone przez pochlebców moje przymioty, które przez nich wymyślone, jako zadatki oczekiwanej łaski, matce mojej znosili. Ona wtedy upojona szczęściem, patrzyła na mnie z całym wylaniem macierzyńskiego uczucia, opowiadając ojcu potrojone przez siebie moje zdolności i talenta.

Takto zbytek przywiązania szkodliwszy jest od zbytnej nawet surowości: bo ta, bojaźnią przynajmniej wstrzymuje wrzące namiętności, gdy pierwsze dodaje im bodźca i tamuje wszelkie środki, któreby mogły wstrzymać dążącego do swęj zguby młodzieńca.

Wychowanie moje było niestosowne. Rodzice, zamiast oddać mnie pod ścisły dozór i ściślejszą jeszcze bacność OO. Jezuitów wileńskich, trzymali w domu

nauczycieli, choć zapewne zdolnych, ale za przykładem rodziców pobbżających ulubieñcowi.

Uczyłem się więc mało, i czas, który powinien był uchodzić mi przy książce, przepędzałem za domem, w towarzystwach młodzieży równie zepsutej i równie napojonej zgubnemi zasadami, jakie już we mnie szeroko się rozkrzewiły.

Kończyłem rok dwudziesty, kiedy rodzice postanowili, abym zwyczajem podówczas przyjętym, zwiedził obce kraje. Wyjechałem więc z jednym z moich nauczycieli, Francuzem, unosząc z sobą błogosławieństwo ojca, łzy matki i sporą tekę wexli do handlowych domów Brukselli, Wiednia i Paryża, wraz ze sporym woreczkiem złota, który mi matka przy pożegnaniu, tajemnie w rękę wsunęła.

Przebiegłem szybko Berlin, Wiedeń, Bruksellę, Halle i inne niemieckie miasta, dążąc do Paryża, tego ogniska zbytków, zepsucia i rozpusty.

Biło mi serce, kiedym ujrzał wznoszące się wieże téj Niniwy nowożytnych czasów; tak miałem zapaloną wyobraźnię opowiadaniem, zdolnemi obłąkać najlepiej ugruntowane zasady.

Nie będę tu szczegółowo opowiadać zdarzeń i przypadków, które najsmutniejsze dla mnie budzą wspomnienia: bo one wtrąciły mię w piekło tego świata, z którego wybrnąłem, skalany zbrodnią i sromotą, na ostatnim szczeblu rozpusty.

Całoroczny mój pobyt w Paryżu, był pasmem ciągłych zbytków; i gdy odebrałem list ojca, odwołujący mnie od téj uczy, podług mego wówczas przekonania załedwie skosztowanej, płakałem jak dziecko, któremu odbierają cacko skaleczyć go mogące. Nieszczęściem dla

manie, list ten zapóźno już oderwał mnie od ponętnego dla wzburzonych namiętności świata, rozdrażniwszy tylko moje wyobraźnię i ugruntowawszy ślepe postanowienie spróbowania podobnego życia u siebie.

Przybyłem do kraju. Pan guwerner nie szczędził pochwał nad mojem sprawowaniem się, a dobra matka w nagrodę jego troskliwości, wręczyła mu dożywotni zapis jednej wioski. On był wtenczas tak szczęśliwy, że byłby gotów kolos moim cnotom, zdolnościom i talentom wystawić, byle tylko tak znakomity dar godnie odplacić.

A w mojem sercu wrzało całe piekło namiętności; wioska przedtém tak cudna, tak ponętna, wydała mi się pustynią. Chciałem żyć i użyć, w całym znaczeniu rozpustnego języka.

Ojciec wybierał się do Warszawy, z łatwością przyjął moje przedstawienia i wziął mnie z sobą.

Warszawa z początku wydała mi się jakimś z pustyni Arabii przeniesioném miastem, w porównaniu z cudownym, rozkoszaym Paryżem; jednakże przypatrzwszy się jój bliżej, poznałem, że i w niej żyć podług mego widzenia rzeczy będzie można.

I gdy ojciec zatrudniony, dnie całe w kołach senatorskich, lub na proszonych konferencyach przepędzał, ja poznawałem Warszawę, uganiając się za pięknymi oczami dziewcząt, pijatyką, hulanką; wpadając z burdy w burdę, obcinając w pojedynkach uszy, nosy i często-kroć odbierając podobneż bolesne dowody mojego pięknego postępowania.

Raz wracając porankiem z całonocnej hulanki i przechodząc koło kościoła Karmelitów na Lesznie, usłyszałem pobożne pienia kapłanów. Nie religia, bo ta wówczas było mi zupełnie obcą, ale jakieś fatalne przema-

czenie szepnęło — wejść i machinalnie, bez żadnego celu wszedłem.

W kościele mało było pobożnych, albowiem byłato dopiero pierwsza msza śta. Stałem przy bocznym z lewej strony filarze; nie modliłem się, bo nie mogłem, bo sumienie nie pozwalało mi się modlić usty, kiedy serce zarzucone było czarnemi, obrzydliwemi myślami.

Niedaleko mnie, na stopniach ołtarza Matki Boskiej, klęczało dziewczę w kamlocikowym niebieskim kabaciku; długie jej kosy czarne jak heban, z wplecionemi karmazynowemi wstęgami, spadały aż na stopnie ołtarza.

Spojrząwszy raz na nią, nie mogłem już oderwać wzroku, choć jeszcze nie widziałem twarzy; tak cudowną, zachwycającą była jej postać.

Czekałem niecierpliwie chwili w której skończy swoje pacierze, abym mógł zobaczyć lica, które w samym już marzeniu widziałem najpowabniejsze.

Powstała. Mój Boże! ta okropna chwila była karą za moje grzechy, zadatkiem wszystkich występków!

Teraz jeszcze widzę tę twarz anielską, te czarne zachwycające oczy, okryte lekką mgłą smutku lub wzruszenia. Ach! tyle dni sromoty, tyle chwil rozpaczy, wreszcie tyle lat zapomnienia i pokuty, nie zdołały wygładzić z mojej pamięci tego obrazu, którego farby, jak w pierwszej chwili, jaśnieją całym blaskiem nieprzetrawionej ponęty.

Nie potrzebuje powtarzać, że poszedłszy zaraz za tą piękną dziewczką, dowiedziałem się, że mieszkała na trzecim piętrze przy Piwniej ulicy; była córką płatnerza; że nie miała już matki; że ojciec był w biednym dość stanie, mając liczną rodzinę, a niewielki odbył w swoim rzemiośle.

Nie wstydzę się pierwszej myśli, jaką powzięłem, bo czy podobny mi rozpustnik, mógł lub nawet umiał inaczej myśleć? Na cześć cudownego odkrycia, wypilem z towarzyszami moich hulanek kilka garncy węgryzna, i wieczorem zastukałem do drzwi płatnerza.

Otworzył mi on sam, siwy ale czerstwy starzec. Zamówilem się potrzebą obstalowania kilku szabel, i niby nieznacznie wtrąciłem, że przybywam od wojsk hetmańskich z Kamieńca Podolskiego.

— Z Kamieńca? to zapewne jegomość znasz i mego brata Józefa, porucznika w pułku pana krakowskiego? — zapytał mnie dobroduszny starzec, nie dorozumiewając się zupełnie mojego kłamstwa.

— O tak! najlepij! to mój najserdeczniejszy przyjaciel—odpowiedziałem, i dalej zacząłem się rozwódzić nad jego pochwałami, męstwem, zdolnościami; i tak umiałem podbić serce starca, że mnie choć z wielką nieśmiałością, zaprosił na skromną rzemieślniczą wieczerzę. A ja wieczerzy tej nie oddałbym za żadne najwystawniejsze bankiety. A ona?... przecież była celem, do którego tak krętymi ścieżkami dążyłem.

Weszliśmy do drugiej równie skromnej izdebki; zastałem tam ową piękną dziewczkę z Karmelickiego kościoła, zaścielającą czystą bielizną niewielki stolik, stojący na środku izdebki. Starzec przedstawił mi w niej swoją córkę Zofię, a jej powiedział, że przyjacielowi i towarzyszowi swego stryja, powinna być rada. Zarumienila się piękna dziewczka, bo poznała we mnie tego, który od kościoła śledził jej kroki.

Jak ona była piękną, jak wielą wdziękami obdarzyła ją hojna natura, ja tylko sądzić mogę, który ją widziałem przy tej najpamiętniejszej dla mnie wieczerzy.

Odtąd byłem już codziennym prawie gościem w domku płatnerza, bo napotkałem w jego córce nie tylko najcudniejszą urodę, ale i niełatwo zaślepić się dającą przezorność.

Jednakże czegoż to miłość i namiętność nie dokaze? Zofia, która nie wierzyła moim zakłębom, w prostocie serca uwierzyła przysięgom, i przylgnęła do mnie w całej sile zapamiętałej miłości. Wtenczas stary jej ojciec spostrzegłszy moje zamiary, a bojąc się o córkę, zapytał mię, co zamysłam względem jego domu? W końcu dodał, że jak uczciwym chęciom gotów jest błogosławić, tak w przeciwnym razie noga moja na jego progu nie zostanie.

Nie byłem przygotowany na odpowiedź; zmieszałem się. Stary, który poczęści dorozumiewał się mego kłamstwa, otworzył mi drzwi i zapowiedział, że jeżeli chcę zostać cały, to zapewne na oczy mu się nie pokażę.

Przeraziła mnie z początku ta groźba, ale pomyślałem sobie potem, że potrafię nie bywając u płatnerza, widywać się z Zofią. I nic się o to nie troszczyłem, bo i wówczas jeszcze miłość ku niej była zmieszana z obrzydliwymi myślami.

Jakoż widywałem się z nią często: to w kościele, to na Denasowskich wzgórzach, i tam miłość moja, przez jej niepokonaną stałość oczyszczając się z brudnych zamiarów, stawała się coraz zapamiętałą. Ale ojciec, który ją miał na oku, dowiedział się o naszych schadzkach, a jeden z moich towarzyszków rozpusty, wydał mu moje prawdziwe nazwisko i pochodzenie.

Zapalony gniewem starzec, poszedł do ojca mego, wydał mu całą intrygę i prosił, aby dla zaradzenia złym

skutkom, wydalone mnie z Warszawy. Rozmyślałem o mojej pięknej Zofii, kiedy dworzain mego ojca zaprosił mnie do niego.

Pierwszy raz zobaczyłem gniewną twarz tego godnego starca, pierwszy raz usłyszałem sprawiedliwe jego wyrzuty. Dziś je uważam takimi, ale wówczas, przywykłem do ciągłych pochlebstw, zdały mi się być nieznośne; i kiedy ojciec zapowiadał mi, że natychmiast wyjechać muszę z Warszawy, oświadczyłem, że nie będę posłuszny i wyszedłem.

Co się później stało, nie wiedziałem, bo chcąc stłumić gorzkie wyrzuty, które czasem mimowolnie nasuwały się myślom, poszedłem w umówione miejsce piekielnych naszych schadzek, i tam póty piłem, dopóki tylko mogłem utrzymać się na nogach. Zasnawszy wreszcie za tym samym stołem, na którym rozlewałem potoki wina, obudziłem się kilka mil za Warszawą, więziony w zakrytej kolasie, otoczony pilną strażą.

Nie jestem w stanie opowiedzieć, co się wówczas ze mną działo. O mój Boże! jakież straszne przekleństwa wyzionęły wówczas moje usta! ile gorzkich, rozpaczliwych zamiarów zemsty napłynęło wówczas do obłąkanego serca! Bo przewidywałem wszystko, wszystkiego się domyślałem.

Niedaleko Trok, w starożytnym zamku, którego nazwiska wymienić nie mogę, mieszkał kasztelan W., przyjaciel mego ojca, towarzysz jego młodzieńczych wypraw, obywatel majątny, powszechnie szanowany. Miał jedną córkę Maryą, młodą, przystojną blondynkę, która mogłaby się może podobać, ale temu, któryby nie znał Zofii i jej czarodziejskich powabów.

Zamiary moich rodziców nie były mi obce; wiedziałem, że chcieli ściślejszym węzłem połączyć dwa domy, najzamożniejsze w całym województwie, i tak już dość ściśle z sobą złączone. Wiedząc o tém, postanowiłem bądź co bądź oprzeć się ich woli i widokom.

W tydzień po moim przyjeździe do domu, nadjechał ojciec; nie chciał się ze mną widzieć, a i ja unikałem zbliżenia się z tym, który mię od siebie odpychał. Matka, dobra matka płakała.

Wreszcie po kilku dniach, kazał mnie ojciec do siebie zawołać, i oświadczył, że zaślubić muszę kasztelanekę, że wszystko już ułożone, i że zostawia mi tylko wybór dnia, w którym ślub ma nastąpić. Uniesiony gniewem i doznawaném dotąd pobłażaniem, powazyłem się zapytać: czyto wszystko nastąpić będzie mogło mimo méj woli? Zapytanie to opłaciłem okropną, poniżającą karą, która rozdrażniła mnie jeszcze bardziej.

Upór mój był niepokonany; nie uległem strasznym groźbom, nie zmieniły mego postanowienia najświętsze zaklęcia, nie uląkłem się nawet ojcowskiego przekleństwa; byłem martwy i głuchy jak opoka. Ale łzy matki, oh! te łzy tak rzewne, czule, błagalne, roztopiły skamieniałe serce. W chwili najwyższego wzruszenia, leżąc u nóg matki, musiałem przysiąc, że zaślubię kasztelanekę, i nazajutrz zaraz pojechałem do zamku jéj ojca.

W tym właśnie czasie odebrałem z Warszawy wiadomość, że stary płatnerz, bez względu na łzy i prośby swéj córki, wydał ją za pięćdziesięcioletniego piekarza, który zachęcony datkiem, jakim ojciec mój wsparł ubożego płatnerza, oświadczył się z chęcią zaślubienia jego córki. Wiadomość tę przyjąłem ze smutkiem, ale wię-

cój byłbym ją uczuł dawniej. Sądziłem więc, że namiętna miłość ku Zofii już przemija, nie przewidując, że pierwsza miłość, jestto wulkan, który na chwilę tylko usypia, ażeby z tém większą siłą wybuchnąć.

Marya była dość przystojna, miła, uprzejma; ale w jój sercu nie było ani iskierki tego ognia uczuć, którego tak pragnęła moja wyobraźnia, który jeden tylko mógł osłabić doznane już wrażenia.

Szczupły zakres tych notatek, nie dozwala mi opisać szczegółów, które poprzedziły mój ślub z Maryą. Przysięgłem matce, i z urągliwym uśmiechem spełniłem przysięgę! Straszna, okropna chwilo, zakreślona palcem Bożym! Tyś była karą za moje ciężkie grzechy! Ślubowałem Maryi usta, bo serce było od niój dalekie; ślubowałem w strasznym zamiarze, ukarania w niój wszystkich.

Jakie były pierwsze dni naszego pożycia, każdy pojmie, kto się domysli mego celu. Nie usychały z łez oczy dobrej Maryi, a ja, barbarzyniec, okrutnik, pastwiłem się nad niewinną ofiarą, spełniając moje szkaradną zemstę.

Wyjechaliśmy do Warszawy. Zaledwie noga moja stanęła na bruku tego miasta, kiedy myśl już była około Zofii, i nie wytchnąwszy nawet, pobiegłem wywiedzieć się o niój. Dla mnie nie było trudności, którychbym nie pokonał. Wkrótce dowiedziałem się o niój, a nazajutrz znalazłem już sposobność wskazania jój miejsca schadzki. Dość było raz widzieć Zofią, ująć ją w swoje objęcia, aby fatalne zamiary objawiły się w całej swój sile. Odtąd codziennie widywaliśmy się w umówioném miejscu. Ona płakała, a ja jój przysięgałem, że będzie moją: bo namiętna miłość przechodziła już u mnie w szaleństwo!

Dnie całe topilem w potokach trunków, a wieczory, rozkoszne wieczory, w jój objęciach. I gdy Marya samotna, łzami zalana, nie zasypiała przy krośnach, wyglądając mego przybycia; ja ponury, milczący, skinieniem nawet głowy nie powitałem biegnącej ku mnie nieszczęśliwej ofiary, i często nawet gorzkim wyrzutem spotkałem jój troskliwość.

Pożycie takie, nie uszło oka rodziców; zaczęli mnie napominać, wtedy właśnie, kiedym ja tajemnie starał się o rozwód z Maryą. Prawnik jeden, któremu mój zamiar odkryć musiałem, wydał go rodzicom, i zaraz wszelkie ich starania zwróciły się ku temu, aby nie dopuścić rozwodu. I nie dopuścili. Pomimo nadludzkich prawie usiłowań, mimo złota, które rozsypywałem, odmówiono mi rozwodu w tej właśnie chwili, kiedy szaleństwo moje doszło do najwyższego stopnia.

Powziąłem straszny zamiar — zwierzyłem go Zofii!...
Przystała!!!

I wkrótce dobra, czuła Marya, z rąk moich w kubku winnej polewki wypita śmierć okropną. Wkrótce piekarz konał na rękę Zofii swój żony!... Żony, która przed kilku godzinami przyrządziła mu ostatnią wieczerzę.

A było piątek, godzina dwunasta w nocy.

Niedość na tém, Marya umierając w najsroźszych męczarniach, zwierzyła się kobiecie, która jój usługiwała, że za kilka miesięcy miałem być ojcem!...

O bolesne, o okrutne wspomnienia! jakże wy szarpiecie resztki tego biédnego, przetrawionego rozpaczą serca! Nie zdołała was przytłumić ani ciężka pokuta, ani żal szczery i poznanie wielkości zbrodni! Boże! mój Boże! Ty, któryś mnie wielkiego grzesznika tak straszną dotknął karą, błagam cię za moimi braćmi w ludzko-

ści, nie dopuszczaj na nich podobnej kary; niech raczej śmierć przetnie pasmo własnego ich życia, niech konanie ich nie będzie męczarnią, którą przez tyle tysięcy dni każdy wschód słońca ponawiał; niech każdy krok, każdy głos ludzki, szmer liści, powiew wiatru, burzliwe nawalnice i jasne dnie wiosny, szumiące drzewa i ciche trawki, szybkie prądy rzek i spokojne oblicza wód stojących, nie wołają za nimi: „Tyś zbrodzień!... Morderca!... Dzieciobójca!...” Bo wtedy, gdzież jest tak odludne miejsce, aby głosu tego nie słyszało sumienie? gdzież jest tak uroczy widok, aby go nie zasłoniły całuny, jęki i łzy? Oh! niema, niema już dla niego wytchnienia! Rozpacz, męki, piekło przez całe życie, a ani jednej chwili, ani promyka pociechy!

Przy zgonie Maryi nie byłem. Pomimo całego szalu jaki wrzał w moich żyłach, czułem, że nie byłbym w stanie znieść téj chwili. Nie pojmuję dotąd, dlaczego Marya ukrywała przedemną swój stan, dlaczego go dopiero konając, kobiécie téj wykryła. Powątpiewam, chciałbym powątpiewać o rzeczywistości tego okropnego odkrycia; ale nie wiem z kąd, jakieś przeczucie ostrzegamnie, że domysł Maryi był istotny. Widać, że Bóg chce dopełnić miarę sprawiedliwej kary, na którą zasłużyłem.

Szedłem za orszakiem pogrzebowym. Księża śpiewali psalmy; każdy wyraz przedtém prawie niesłuchany, odzywał się do mnie słowami, podobnemi do słów, które niewidoma ręka, na uczcie Baltazara kreśliła.

Zdawało mi się, że każdy wie o mojej zbrodni, albo przynajmniej jęj się domyśla. Okropny byłto dla mnie dzień, piérwszy dzień po mojej zbrodni! Sumienie już i wówczas odzywało się, ale głuszyła je pamięć Zofii, żądza jęj posiadania.

Złożono ciało Maryi w grobach kościoła Reformatorów. W chwili, w której ostatnią cegielkę murarz wspanem przyrzucił, jęk przeciągły, bolesny, jęk który dotąd odzywa się w mojej duszy, odbił się o sklepienia, i biedna matka Maryi poszła za swoją jedyną córką, nie mogąc przenieść jej zgonu.

Zaledwie orszak pogrzebowy oddalił się z cmentarza, niosąc drugą ofiarę mojej zbrodni, wyrwałem się z liczby tych szczerych przyjaciół, którzy czekali na stypę pogrzebową, i pobieglem do Zofii. Wróciła także z cmentarza, gdzie odprowadziła zwłoki swego męża. Zdawało mi się, że dostrzegłem łzy w jej oczach, które starannie przedemną ukryć usiłowała.

Jak tylko wszedłem, rzuciła się w moje objęcia i głosem tak strasznym, tak przenikającym, że aż krew się we mnie ścięła, zawołała:—Szymonie! teraz jesteśmy wolni!

Z zapalem odpowiedziałem na jej namiętne uściski, i w tej chwili pamięć moich zbrodni odbiegła mnie. Tak, bo w tej chwili zbrodzień i zbrodniarka, skalaniem i przysięgli sobie wieczną miłość; miłość, która lepiej szalenstwem może być nazwaną!

Ułożyliśmy sobie, że po pewnym przeciągu czasu, który prawa koniecznie zastrzegły, połączymy się u stóp ołtarza, i oblakani śmieliśmy przedstawiać sobie rozkoszną, jasną przyszłość.

A przyszłość ta, jakże była odmienna!.....

Szóstego dnia po pogrzebie byłem obok Zofii; poiłem się jej widokiem, marzyłem nawet o szczęściu, kiedy otoczono domek piekarza, i prosto ztamtąd zaprowadzono nas do więzienia.

Stary płatnerz, ojciec Zofii był naszym oskarżycielem. Zebrał jawne poszlaki, powołał na świadectwo sługi, udowodniono mi, że przyrządzałam Maryi winną polewkę, po której zaraz doświadczyła najokropniejszych boleści. Zofii, że do misy męża sypała jakiś proszek. Świadkowie przysięgli, wyrok był przewidziany, wyrok śmierci!..

Żał mi było wówczas umierać, żał mi było Zofii; szukałam sposobności ocalenia. Za pośrednictwem dozorczy przekupionego złotem, porozumiałem się z memi towarzyszami rozpusty; przysięgli ocalić nas.

Piętnastego maja, w sam dzień imienia mojej Zofii, prowadzono nas na plac kary. Przechodząc około posągu króla Zygmunta, spotkałem świetny pogrzeb. Spytałem czyj? Wymieniono mi imię mego ojca, bo matka nie przeżyła pierwszej wiadomości o mojej zbrodni! Wówczas obojętnie przyjąłem tę straszną wiadomość, bo wówczas cały świat, prócz jednej Zofii, był dla mnie obojętnym.

Przywiedziono nas do owego fatalnego miejsca; kat przygotowywał narzędzia śmierci. Zwątpilem o przysiędźce współników tajemnicy i o mojem ocaleniu, gdy wtém tłum zaczął się zbierać, i usłyszałem szeptane z początku cicho, później głośnieję, wyrazy: „Oni niewinni, to zawiść prześladowuje ten znakomity dom; należy ich uwolnić” — i tłum coraz się zwiększał.

Miejscy drabanci poznali co się święci; kat ukończył przygotowania, porwano nas gwałtownie i stawiono przed ogniskiem, w którym czerwieniły się katowskie kleszcze.

○ strasna zgrozo!... płatnerz stał obok kata. Twarz jego była tak okropna, wzrok tak przerażający, że nie mogłem znieść jego widoku. Wtém zabrzączały hala-

bardy drabantów: „Górą dobra sprawa” i niebawem ujrzelśmy się wolni...

— Uciekajcie!— szepnął mi jeden z przywódców— uciekajcie póki czas.— Porwałem Zofią za rękę i uchodząc, spojrzałem raz jeszcze ku stronie, w której stał płatnerz.

Niestety! cóż ujrzałem!... Stary widząc nas uchodzących, wydarł szablę jednemu z drabantów, odstąpił piersi, uderzył; krew bryzgnęła strumieniem aż załala ognisko, zachwiał się i upadł. A my?... My uciekaliśmy wśród krzyżujących się mieczów i dzikięj, okropnej wrzawy. Dokąd?... nie wiedzieliśmy sami. O! okropny był to dzień, chociaż był dniem wybawienia od męczarni i sromotnej śmierci. Bo dzień ten tyle zostawił smutnych, gorzkich pamiątek; tylą wyrzutami obciążył upadające teraz pod brzemieniem zbrodni sumienie!

Uciekając bez celu i myśli, przyszedliśmy nad Wisłę między rybackie chaty. Dalsza ucieczka była niepodobną; słyszałem zbliżające się głosy miejskiej straży, która przemogła naszych obrońców. Na los szczęścia zastałem do jednej biédnej lepianki.

Otworzył nam stary rybak, zajęty naprawą sieci. Rzuciłem mu się do nóg prosząc, aby nas ukrył przed ścigającą napaścią, i podałem ostatnie dwadzieścia dukatów, które mi jeszcze pozostały. Szlachetny starzec odepchnął moją rękę, i powiedział: że chociaż jest bardzo biédny, ale pomocy i ulgi, jaką przynieść może, nie sprzedaje; lecz owszem, że wszystkich dołoży starań aby nas mógł zastonić i ocalić. Jakoż kazał nam zdjąć nasze suknie, które zaraz starannie ukrył, ubrał mię w podarte łachmany rybaka, a Zofią w szarą wełniankę, i zasadził przy sobie do roboty.

Wkrótce drabanci plondrować zaczęli rybackie chaty. Po raz pierwszy drzałem z bojaźni, a stary rybak splatając włókna do swojej sieci, jak tylko mógł najgłośniej wyśpiewywał rybackie piosenki, dodając nam nadziei, i zachęcając do spokojnego poddania się woli Boskiej. Poczciwy w prostocie serca wierzył, że jesteśmy mu podobni, nie przypuszczając wcale, jakich ocalał zbrodniarzy.

Zastukano i do chaty Bartnika (bo tak się zwał nasz obrońca). Z uśmiechem i piosenką otworzył drzwi, i zapytał drabantów:

— A cóż u licha panowie chcecie od starego Maćka Bartnika? Kawał sieci, podrywka, i ta podarta sukmana, to całe jego mienie, a tu pan Bóg przysłał mi jeszcze córkę i zięcia; jest komu jeść, a zarobek mały. Oj! biędne życie rybaka! I zaśpiewał:

Głodno się wstało,
Dzień z suchotami,
Zjész rybkę małą,
Popijesz łzami.

— Oj ty stary urwiszu! — zawołał jeden z miejskich — zawsześ wesoly.

— Choć bięda to hoc. Moi panowie!

— A niéma tu u ciebie kogo?

— Zięć Piotrek i córka Kachna; dalibóg nikogo więcej. Ale, ale, i pies Łysek, dobre, poczciwe psisko; taki stary jak ja, a może i taki poczciwy.

— Ej! co z nim gadać, chodźmy — i poszli; a my rzuciliśmy się do nóg szlachetnego biędaka, który nas czémprędzej podniósł i z całą dobroduszeńością cnotliwego, powiedział: — Terefere, moi państwo, dziękujecie jakbym co wielkiego zrobił! Przecież to ludzie dla ludzi żyć powinni.

Po raz pierwszy, od spokojnych i pięknych dni mojej młodości zapłakałem. Bo takato jest potęga szlchetnych, wzniosłych czynów! One, jak ranna rosa orzeźwiają spieczone namiętnościami serce; one jak cudowny balsam, otwierają wzrok tym, których niecnoty, występki, zbrodnie zaślepily.

Śmiało powiedzieć mogę, że pokutę za wielkie moje grzechy, że dzisiejsze pojednanie z sumieniem, jestem winien biednemu rybakowi, który pierwszy dał mi poznać szlachetną cnotę, w całej swojej uderzającej piękności.

Rozwazywszy lepiej nasze smutne położenie, spostrzegłem, że niema innej rady, jak tylko wynieść się w jakie odludne miejsca, i tam pracą rąk zarobić sobie kawałek chleba.

Pożegnaliśmy więc czcigodnego rybaka, który także z prawdziwem rozrzewnieniem nas pożegnał; i piechotą, z całym majątkiem składającym się z dwudziestu dukatów, opuściliśmy Warszawę, udając się ku Ukrainie.

Po dwumiesięcznej bardzo przykrój podróży, ujrzelismy nieprzejrzone zieleniejące się stepy, i przez nie, jak niebieską wstęgę rzekę Boh, której kwieciste brzegi, ujmowały w swoje objęcia tę piękną i żyzną ziemię.

W jednej nad samą rzeką położonej slobodzie, kupilem chatkę, krowę i małe stadko koni. Nasz majątek wystarczył nam przecież na nabycie tych niezbędnych przedmiotów do zajęcia, jakie prowadzić postanowiliśmy.

Przykre były pierwsze chwile przyzwyczajania się do pracy, której dotąd nie znałem; ale potrzeba nauczy wszystkiego. Coraz chętniej brałem się do roboty,

a w rok, uważałem ją już za konieczną do uspokojenia przynajmniej na chwilę dręczących wyrzutów sumienia.

Tak zbiegał nam czas szybki jak wody rzeki, która obok chatki naszej płynęła. Zostałem ojcem, najprzód syna, potem córki. Działki te ślicznie się chowały, a nadzwyczajna ich pojętność, cudna uroda, wzbudzały powszechne podziwienie; byłem tém dumny, szczęśliwy. W szaloném upojeniu sądziłem, że Bóg albo przebaczył nam nasze grzechy, albo nie karze występnych, skoro największym zbrodniarzom pozwala takiej pociechy.

O jakże są błędne sądy ludzkie! Tu, gdzie widzą całe swoje szczęście, w tém co oceniają najwięcej, znajdują gromy Wszechmocnej ręki, karzącej ich występki, wyniosłość i upojenie.

Syn nasz Jasio, dorastał już lat dziesięciu, a Krysia, córka, ośmioletnia dziewczeczka, jak anioł ładna, miła, spokojna, obudzała najtkliwsze zajęcie. Kochaliśmy ich więcej, jak wszystko na świecie; ich życie było naszym życiem, ich uśmiech, naszym szczęściem.

Raz powracałem ze stepów, pędząc przed sobą stado młodych koni; Jaś jechał okok mnie na jednym, którym z dziwną zręcznością powodował. Potrzeba nieszczęścia, aby pod nogi konia na którym syn mój jechał, z gęstych nadbrzeżnych zarośli wpadł wilk, który tam na żer czatował. Koń się spłoszył i uniósł z sobą niezbyt silnego jeźdźca, a za nim poszło całe stado. Pędziłem za nimi przejęty okropną trwogą, widziałem, jak syn mój nie mogąc już dłużej utrzymać się, w największym pędzie spadł z konia... jak całe stado przebiegło po nim; i przybywszy, znalazłem mego syna, moje kochane dziecię z roztrzaskaną w kawałki głową!

Rwalem z rozpacz y włosy, przeklinałem okrutne przeznaczenie, chciałem sobie odebrać życie; ale wspomniałem na Zofią, Krysię, i dałem sobie solgę żalom; zabrałem na ręce ukochane zwłoki, i wracałem do domu. Już byłem blisko; Krysia wybiegła na moje spotkanie, i stanęła nad rzeką, klaszcząc w dłonie; wtém oberwał się brzeg podmyty wodą, i drugie moje dziecko, w moich oczach, pograżyło się w niezmiernie głębokiej bystrzej rzeki.

A byłto piątek, dziesiąta rocznica naszej zbrodni!! O Boże! twoja święta ręka wstrzymała mnie wtenczas od ostatniej zbrodni samobójstwa!... Ukarales srodze zbrodniarza, ale w swojej wszechmocnej litości zawiesiles różgę kary, i rzekles: „Pokażę mu światło prawdy, i rozproszę ciemność dni jego”.

Maryo! dobra Maryo! I twój czysty duch unosił się nademną w owej strasznej chwili, kiedy nieszczęsnemu nie pozostało nic na świecie prócz życia; kiedy zbłąkany umysł sądził, że jedynym schronieniem, jedyną nadzieją jest grób!...

Rzuciłem się w nurty rzeki, i po znacznym przeciągu czasu, wydobyłem zwłoki Krysi. Wszystkie usiłowania przywrócenia jej życia, były daremne. Zofia tonęła we łzach; ja nie płakałem, bo gdyby kto zajrzał był do mego serca, nie znalazłby już tam nic, prócz rozpacz y!

Złożyłem ciało ukochanej dzieciny obok zbuczonych krwią zwłok syna. Ująłem rękę Zofii; zamiar mój był straszny; jedna chwila, a byłby już spełniony!

Spojrzałem w niebo. Księżyc tylko co zeszedł, gwiazdki słabem jeszcze światłem jaśniały, cisza była uroczysta; wtém zdało mi się, że ktoś do mnie mówi. Natężyłem uwagę i wyraźnie usłyszałem te słowa: Szymonie!

a w rok, uważałem ją już za konieczną do uspokojenia przynajmniej na chwilę dręczących wyrzutów sumienia.

Tak zbiegał nam czas szybki jak wody rzeki, która obok chatki naszej płynęła. Zostałem ojcem, najprzód syna, potem córki. Działki te ślicznie się chowały, a nadzwyczajna ich pojętność, cudna uroda, wzbudzały powszechne podziwienie; byłem tém dumny, szczęśliwy. W szaloném upojeniu sądziłem, że Bóg albo przebaczył nam nasze grzechy, albo nie karze występnych, skoro największym zbrodniarzom dozwala takiej pociechy.

O jakże są błędne sądy ludzkie! Tu, gdzie widzą całe swoje szczęście, w tém co oceniają najwięcej, znajdują gromy Wszechmocnej ręki, karzącej ich występki, wyniosłość i upojenie.

Syn nasz Jasio, dorastał już lat dziesięciu, a Krysia, córka, ośmioletnia dziewczeczka, jak anioł ładna, miła, spokojna, obudzała najtkliwsze zajęcie. Kochaliśmy ich więcej, jak wszystko na świecie; ich życie było naszym życiem, ich uśmiech, naszym szczęściem.

Raz powracałem ze stepów, pędząc przed sobą stado młodych koni; Jaś jechał okok mnie na jednym, którym z dziwną zręcznością powodował. Potrzeba nieszczęścia, aby pod nogi konia na którym syn mój jechał, z gęstych nadbrzeżnych zarośli wpadł wilk, który tam na zér czatował. Koń się spłoszył i uniósł z sobą niezbyt silnego jeźdźca, a za nim poszło całe stado. Pędziłem za nimi przejęty okropną trwogą, widziałem, jak syn mój nie mogąc już dłużej utrzymać się, w największym pędzie spadł z konia... jak całe stado przebiegło po nim; i przybywszy, znalazłem mego syna, moje kochane dziecię z roztrzaskaną w kawałki głową!

Rwałem z rozpaczyny włosy, przeklinałem okrutne przeznaczenie, chciałem sobie odebrać życie; ale wspomniałem na Zofią, Krysię, i dałem solgę żalom; zabrałem na ręce ukochane zwłoki, i wracałem do domu. Już byłem blisko; Krysia wybiegła na moje spotkanie, i stanęła nad rzeką, klaszcząc w dłonie; wtém oberwał się brzeg podmyty wodą, i drugie moje dziecicę, w moich oczach, pogrążyło się w niezmięzone głębinie bystrzej rzeki.

A bylto piątek, dziesiąta rocznica naszej zbrodni!! O Boże! twojato święta ręka wstrzymała mnie wtenczas od ostatniej zbrodni samobójstwa!... Ukaraleś srodze zbrodniarza, ale w swojej wszechmocnej litości zawiesileś różgę kary, i rzekleś: „Pokażę mu światło prawdy, i rozproszę ciemność dni jego”.

Maryo! dobra Maryo! I twój czysty duch unosił się nademną w owęj strasznej chwili, kiedy nieszczęsnemu nie pozostało nic na świecie prócz życia; kiedy zbłąkany umysł sądził, że jedyném schronieniem, jedyną nadzieją jest grób!...

Rzuciłem się w nurty rzeki, i po znacznym przeciągu czasu, wydobyłem zwłoki Krysi. Wszystkie usiłowania przywrócenia jęj życia, były daremne. Zofia tonęła we łzach; ja nie płakałem, bo gdyby kto zajrzał był do mego serca, nie znalazłby już tam nic, prócz rozpaczyny!

Złożyłem ciało ukochanej dzieciny obok zbroczonych krwią zwłok syna. Ująłem rękę Zofii; zamiar mój był straszny; jedna chwila, a byłby już spełniony!

Spojrzałem w niebo. Księżyc tylko co zeszedł, gwiazdki słabém jeszcze światłem jaśniały, cisza była uroczysta; wtém zdało mi się, że ktoś do mnie mówi. Natężyłem uwagę i wyraźnie usłyszałem te słowa: Szymonie!

Szymonie! co czynisz? A potem tenże sam głos, tylko nieco mocniej powtórzył: „Pokutujcie”.

Obejrzałem się. Prócz łkającej Zofii i dwojga martwych dzieci, nie było więcej nikogo; a jednak słyszałem wyraźnie, i w tym cichym, ale dźwięcznym głosie poznałem głos Maryi.

Chwila ta zmieniła wszystko... Rzuciłem się na kolana, i zacząłem się modlić; nie usty wprawdzie, ale duchem... Oh! ta modlitwa była pierwszą w mojem życiu, którą modlitwą nazwać mogę.

Opowiedziałem Zofii najprzód mój zamiar, a później owe cudowne słowa. Ona nic nie słyszała; zapragnęła jednak tego balsamu, który łagodzi ciężkie rany sumienia, téj ścieżki, która po cierniach prowadzi do jaśniejącej w dali krainy pojednania.

Pochowaliśmy zwłoki naszych drogich dzieci w jednym grobie. Sprzedaliśmy chatkę, gospodarstwo; rozdaliśmy pomiędzy biędnych całe mienie, i oblawszy łzami pożegnania jedyną pamiątkę— mogiłę naszych dziattek, z jałmużniczą torbą i dyscypliną, opuściliśmy te ciche miejsca, w których przy ubóstwie jakiś czas doznaliśmy, nie powiem szczęścia, ale przynajmniej spokoju!

Na grobie Jasia i Krysi rozstaliśmy się z Zofią.

Okropna to była chwila! Rzuciliśmy się raz ostatni w swoje objęcia, postanowiwszy nie widzieć się więcej na tym świecie.

Ja pierwszy, wydarłem się z jój uściśnień, i oddalając się szybko, widziałem ją jeszcze długo klęczącą na mogile i przesyłającą mi znaki pożegnania.

Od tego czasu ubiegło lat trzydzieści, zanim powtórnie ujrzałem mój kraj: te brzegi Wisły, za któremi nad Jordanem, Tagiem i Tybrem tęskniłem.

Pieszko, o jałmużnie, przez piaszczyste pustynie Syryi, przebrałem się do Palestyny, prosiłem przebaczenia u grobu tego, który nawet mordercom swoim przebaczył. Przepędziłem pięć lat ostrój pokuty w klasztorze Kartuzów, trapiłem ciało będące niegdyś jedynym przedmiotem mojej troskliwości. Wyszły, wynędzniały, ale wzmocniony duchem i nadzieją, udałem się przez Hiszpanią do Rzymu. Zwiedziłem Toledo, Walencją i wszystkie słynące w chrześcijaństwie miejsca; przyszedłem do Włoch, tam powtórnie zamknąłem się w odludnym wśród gór Piemontu położonym klasztorze Cystersów, pełniąc ochotnie wszystkie usługi, i żyjąc tylko chlebem i jarzynami. Zyskałem wzgląd braci tego pokutniczego zakonu. Pielgrzym Tamko, obudzał współczucie wszystkich, choć tylko jeden brat Floryan, spowiednik, wiedział historią jego życia. Byłbym tam zapewne ostatki mego życia przepędził, gdyby nie chęć zobaczenia raz jeszcze rodzinnej ziemi.

Odebrawszy więc w Rzymie błogosławieństwo Ojca ęgo, puściłem się w podróż do Polski. Bóg użyczył mi sił, ujrzałem śliczne brzegi Wilii, powitałem zamek, w którego objęciach spędziłem moje dziecięce lata, i dowiedziałem się, że ojciec zapisał cały majątek bratańcowi swemu, że ten brataniec przed rokiem umarł, a po nim odziedziczyła go jego siostra, wdowa po kasztelanie trockim. Zapragnąłem dać się poznać komuś z mojej rodziny, i przestąpiłem progi ojcowskiego zamku. Ah! wtedy ileż wspomnień obudziło się w przygasłym moim sercu!

Zażądałem widzenia się z panią kasztelanową; przyjęła mnie, a gdy jej opowiedziałem moje nazwisko, nie wzgarda, której się spodziewałem, ale szlachetne, wznio-

ste przebaczenie, wynagrodziło moje długoletnie cierpienia.

Uznała mię prawym dziedzicem majątku, a gdy jój powiedziałem, że odkrycie mego nazwiska jest niepodobnym, wyliczyła mi posiadaną teraz summę, zakławszy na najświętsze pamiątki abym ją przyjął, i nie obarczył jój sumienia wyrzutem, że dziedziczy nieprawnie mój majątek.

Na klęczkach prosiłem, aby mnie uwolniła od posiadania znowu tych blaszek, od których przez lat tyle odwykły już moje oczy i potrzeby; ale nie dała się ubłagać. Przyjąłem więc z silnym postanowieniem użycia ich dla dobra moich braci w ludzkości. Odkryłem jój mój zamiar, że umyśliłem resztę życia spędzić na modłach przy grobie biednej Maryi; obiecała, że będzie nademną czuwać, i że pamięć o mnie nigdy ją nie odbiegnie.

Przybyłem do Warszawy. Piérwsze moje kroki były na cmentarz kościoła Reformatów, a drugie do rybackiego pobrzeża. Chatka Macieja była pusta; zająłem ją, a opieka mojej pocziwój krewniczki, zasłoniła mnie od wszelkich jawnych i skrytych napaści.

Minęło pół roku mego pobytu w Warszawie, kiedy wśród nocy zastukano do mojej chatki. Chciałem otworzyć, gdy głos tak mi dobrze znany, zawołał:

— Szymonie! nie otwieraj; nie możemy się widzieć, ale możemy rozmawiać.

Był to głos Zofii; nie mogąc znieść pokusy widzenia jój jeszcze raz w życiu, już chciałem odemknąć zapórę, ale wspomniałem na naszą uroczystą przysięgę, i odeprhnałem od siebie zgnubną żądzę. Dowiedziałem się tylko rozmawiając noc całą, że biedna Zofia wycierpiała także bardzo wiele, że będąc już w Warszawie od trzech lat

i żyjąc z jałmużny, którą jej pobożni u Śgo Krzyża znosili, usłyszała o pielgrzymie, zamieszkującym rybacką chatę Macieja; wpadła na domysł, który ją nie omylił.

Odtąd, trzy razy w tydzień, przychodziła Zofia pod drzwi mojej chaty, przynosząc mi żywność, którą małym otworem we drzwiach zrobionym odbierałem, i tak zawsze, jedni w uczuciach, choć różni względem świata i wszystkich jego zwodniczych mamideł, które nie warte są jednego czystego westchnienia, jednej łzy żalu, nawet jednej myśli człowieka, pozbawionego w ciężkich próbach wszystkiej ślniącej uludy; widzącego świat żądz, namiętności, intryg, zawiści, dumy, ponizenia w całej swojej obrzydliwej nagości; różni mówię dla tego tak pięknego świata, przeżyliśmy dni wiele, pocieszając się wzajemnie nadzieją, że występki nasze przebaczone nam już zostały.

Na dopełnienie mojej pokuty, którą nigdy za wystarczającą nie uważałem, postanowiłem nie wychodzić z chaty jak tylko w piątek, aby pomodlić się na grobie Maryi, o tej godzinie, w której czysta jej dusza opuściła udreżone ciało.

Resztę czasu trawiłem na modlitwach, na rozmyślaniu nad tém trudném zadaniem, które życiem nazwano; na rozmowach z Zofią, ściągających się po większej części do naszych ukochanych dzieci, i na wspomnieniach, choć czarne tło mających, ale zawsze, zawsze ubranych w nieodwołane, rzewne uczucia.

Wśród tychto dni, postanowiłem zostawić choć szczupłe pamiątki mojego życia, aby jeżeli kiedy odczyta je młodzieniec z sercem równie namiętném, z wyobraźnią równie szaloną, zastanowił się i pomyślał: ten człowiek, który mógł wypełnić wszystkie warunki życia,

któremu los wtrącił w rękę majątek, urodę, zdolności i to co nazywają urodzeniem; który po drodze usłanej kwiatami mógł potoczyć dni swoje i żyć dla szczęścia innych, przyjąwszy do serca zgubne żądze, pozwoliwszy wzrosć namiętnościom, z kału sromoty, dostał się w przepaść zbrodni, te oddały go w ręce kata, tak, jak on był katem żony, dziecka, ojca i matki, i skończył wreszcie na żebraczym kiju i ostrój, pokutnej włosiennicy!

Ah! bracia i siostry moje w ludzkości! straszna to choć wielka prawda, że niéma sroższych męczarni, dotkliwszych cierpień nad te, które człowiek sam sobie przynieść może, jeżeli pójdzie za swemi namiętnościami, jeśli nie powie: „Bóg mnie stworzył nie na to, abym własną ręką zgubę sobie zgotował”.

Czuje, że kres dni moich już blizki; odbiegają resztki starganych sił, grób się przedemną otwiera; a ja czekam go z upragnieniem, jak anioła wybawiciela, który mnie ze światem już nazawsze rozdzieli.

Boże mój, Boże! Czémże było moje życie, jeśli nie ciągłym pasmem wijących się z początku żądz, namiętności, występków? później cierpień, męczarni, ochydy, a wreszcie istotnej boleści, żalu i pokuty!... Takie życie, to okropna kara! Spełniłem ją jednak; wypilem do dna puhar goryczy i powtarzam z prorokiem: „Tys wytknął moje ścieszkę, niech będzie uwielbione Imię Twoje!”

Marszałek skończył czytanie. Na wysokim jego czole osiadł wyraz prawdziwego smutku: zwinął rękopis, opieczętował go i na wierzchu napisał:

„Dziś nie mogę ogłosić drukiem wypadków Tamka pokutnika, dla powodów mnie wiadomych; ale obowiązuję każdego, komu po trzydziestu latach wejdzie w rę-

kę to pismo, aby je dla pożytku bliźnich do druku podał”.

Potém na drugi dzień kazał szukać po wszystkich kościołach Zofii żebraczki, ale nigdzie jój nie znaleziono.

Tymczasem powiśle zaczęło się formować w ulice przystrojone w porządne domki; jedną z tych ulic, która zaczynała się od chatki tak długo przez starca zajmowanej, na wieczną pamiątkę szlachetnego czynu, ulicą Tamka nazwano.

Powieściarz miejski wstąpił do zakonu OO. Kamedułów w Bielanach, i przykładném życiem starał się odpokutować czyn, który podług jego przekonania, spowodował zgon tajemniczego starca.

Wola marszałka nie po trzydziestu, ale blisko po stu-trzydziestu latach wypełnioną zostaje, dla pożytku, jak powiedział, bliźnich, którzy zechcą zwrócić wzrok olśniony czarownemi obrazami, w smutną, ale prawdziwą rzeczywistość.



KRONIKA LITERACKA.

Pamiętnik Jana Chłopickiego (,) porucznika 7 pułku ułanów wojsk francuzkich, z czasów kampanii Napoleona (.). Spisany z ustnych opowiadań przez jego syna. Z portretem autora (?). Ozdobiony winietami (drzeworytami) Horacego Werneta. Wydany staraniem i kosztem Romualda Podbereskiego. Wilno. 1849, w 8ce większej, str. IV i 80.

Przy obecnym kierunku, jaki otrzymała historia powszechna, wszelkiego rodzaju pamiętniki, tak mające styczność z samemi tylko dziejami, jako téż ze zwyczajami i obyczajami ludu, nabrały wielkiej wagi. Opisanie bowiem historycznej przeszłości państw nie ogranicza się już życiorysami monarchów lub najświetniejszych mężów, lecz pragnie zarazem objąć w swoje ramiona życie publiczne i prywatne całych krajów. Gdy zaś z postępem wszystkich nauk i nauka dziejów musi iść tą samą drogą; ważność przeto pamiętników coraz się bardziej powiększa. Ale kiedy takie wylanie na papier wypadków, dając szczegóły z życia publicznego, maluje również zdarzenia codzienne, potoczne, a co większa, ściśle historycznej własności, jakim się piszący naocznie przypatrywał; wówczas te opisy nabiorą, obok niezaprzeczonej korzyści, jeszcze większego, jeszcze rozmaitszego zajęcia.

Piękne, odrębne pole do takiego kreślenia wspomnień, nastroczają czasy Napoleońskie dla ich świadków w ogólności, a dla bohaterów czynnie w nich działających w szczególności. Jestto nowa, wielka karta w dziejach naszych, na początku bieżącego wieku. Tyle tu poświęcenia, rezygnacyi, odwagi, bezstronności i przywiązania do wielkiego imienia i bronionej sprawy, że najwięcej uprzedzony z przyjemnością przebieży tę kartę, i odda zasłużony hołd czynom świetnym i chlubnym dla ich wykonawców i dla nas.

Do wybornych opisów wspomnień z tej epoki, należą: „Pamiętniki o zdobyciu Sarragossy” przez Mrozińskiego, w Pamiętniku Warszawskim; „Obrona Fuengirolli” przez Młokosiewicza, w Bibl. Warsz. i w Athen.; „Bitwa lipska w r. 1813”; „Działania wojenne po bitwie lipskiej. Bitwa pod Hanau i koniec wojny jesienniej w Niemczech 1813 r.”; „Wojna wiosenna w Niemczech, bitwy pod Lützen i Bautzen”, wszystkie przez Tadeusza Wyleżyńskiego; „Pamiętniki moje o Hiszpanii”, przez Wojciechowskiego w Bibl. Warsz.; „Pamiętniki porucznika Płaczkowskiego” w Athen. i kilka innych. Obecne dziełko Chłopickiego, z szumnego tytułu i jeszcze szumniejszej przemowy wydawcy, zasługiwałoby na zajęcie miejsca zaszczytnego w szeregu prac dopięro wzmiankowanych. Lecz jakże wielkiego czytelnik doznaje zawodu, gdy zamiast pamiętników, widzi przed sobą niekształtną i zbyt pobieżną tkaninę historii wszystkim znajomiej; tkaninę tak krótką, że po odrzuceniu stronnic napisowych z latami 1807, 8, 9, 10, 11, 12, 13 i 14, stronnic rejestrowych, szkaradnie zrobionego portretu Chłopickiego, a nie autora, jak się wyrażono na tytule, (w takim bowiem razie byłby to portret syna porucznika napoleońskiego) i niestosownie dobranych starych drzeworytów Werneta; dalej dodatków i wyciągu z Opisu powiatu borysowskiego przez Tyszkiewicza wydanego, a nakoniec rejestru rozdziałów, zaledwo dwadzieścia kilka kart samego tekstu pozostanie! Darmo tu szukać wielu wspomnień osobistych porucznika 7 pułku ułanów, oprócz dwóch czy trzech pojedynków; wspomnień, któreby nadawały życie całemu zbior-

rowi i uprzyjemniały w pewny sposób suche daty i zlekka napomknięte wypadki; darmo upatrywać stanowisko, z jakiego każdy piszący spogląda na te wypadki. Jestto zbyt płaska kompilacya i nic więcej. Na poparcie tego zdania, niech świadczy następujący wypis z początku:

„W roku 1806, kiedy Napoleon pobiwszy Prusaków pod Jena, ciągnął ku Warszawie, ja podówczas jeszcze młodzieniec pełen ognia i zapału, zrobiłem niezachwiane postanowienie zaciągnięcia się w szeregi armii francuzkiej. Zamiar ten jednakże niełatwo było doprowadzić do skutku, z powodu, iż Napoleon zawarłszy traktat pokoju w Tyłży z cesarzem Alexandrem, cofnął się w głąb Europy, a oprócz tego, że rodzice moi, których zostałem podporą, nie zgadzali się na oddalenie jedynaka syna. Ale popęd młodości i żądza zawodu nie widziały tamy przed sobą. Jakoż idąc za przykładem większą częścią (sic) emigrującej młodzieży naszej, dnia 15 septembra 1807 roku, potajemnie opuściłem dom rodzicielski, a przebywszy Niemen pod Wieloną w powiecie rosieńskim, udałem się do Warszawy, i zaciągnąłem do konsystującego tam pułku gwardyi polsko-francuzkiej, pod komendę pułkownika hrabi Krasieńskiego.”

„W Warszawie bawiłem tylko sześć niedziel. Ztamąd pomaszerowaliśmy w oddziale kapitana Dzienanowskiego przez Saxonią, Niemcy, Moguncyą do miasta francuzkiego Szantylli, sławiącego się szczątkami wspaniałego niegdyś zamku Kondusza, z przestronnym zwierzyńcem i kanałami wykładanemi ołowiem, a ztąd do Hiszpanii. W pogranicznym mieście francuzkiem Bajonie, dokąd na lato zjechało cesarstwo, szwadron nasz, z powodu nieobecności kawalerji od gwardyi, wstrzymanym został dla pełnienia służby przy cesarzu. A chociaż ten obowiązek był nieco uciążliwym, gdyż codziennie w eskorcie cesarskiej we sto koni musieliśmy galopować po piaszczystym wybrzeżu morza, którędy się Napoleon zwykle przejeżdżał; jednakże, o błogie chwile pierzchnionego zawodu! z jakimże upojeniem serce starego wojaka *tętni* do was i rozrzewnia się *wspominkiem* tej przychylności i popularności braterskiej, jakimi

wielki nasz przewodnik zwykł osładzać trudy i znoje swych żołnierzy!”

„Opisując pobyt nasz w Bajonie, nie mogę pominąć *milczeniem*, jak dnia pewnego, kiedy na pożar zdarzony w mieszkaniu cesarskiem, zbraliśmy się na dziedzińcu; cesarzowa Józefina spostrzegłszy nas z pałacowych okien, rzekła do Napoleona: „Pocziwi Polacy nieodstępnie nas strzegą, trzeba ich pokrzepić trunkiem ich krajowym”; i wystąpiła nam przez adjutanta Chłapowskiego kilka flasz ogromnych wódki gdańskiej.”

„Z Bajony za przybyciem dragonów i grenadyerów od gwardyi, uwolnieni od służby, pomaszerowaliśmy przez St. Jean de Suez do piérwszego miasteczka hiszpańskiego, zwanego Yrun; dalej zaś idąc przez Tuluzę, Wiktoryą, piątego dnia stanęliśmy po tamtój stronie gór Pirenejskich w Ponte-Corvo; miasteczku z fortecą tak stromo położoną, iż sztyldwach, któregośmy zrazu nie dostrzegli, jak mały punkcik majaczał w przestrzeni. Z Ponte-Corvo poszliśmy przez St. Marya do Breviesco; ztąd wracając to nad morze ku Bilbao, to znów do Vittoryi, mnóstwo mieliśmy drobnych partyzanckich utarczek, aż w końcu pod miastem Burgos, dokąd Hiszpanie zbrali się w dość znacznej sile i stawili nam czoło, stoczyliśmy walną bitwę, przemogliśmy nieprzyjaciół, i miasto z fortecą było wzięte.”

„To była moja piérwsza batalia, którój bój zacięty i ogień kartaczowy przez dwie godziny utrzymywany od nieprzyjaciela, aż dotąd jeszcze *szamoce* po méj pamięci, i posuwa wyobraźnią w lata niedoświadczenia, prawda, ale razem męztwa, zapału i determinacyi.”

„Z Burgos przez Kahołtos i Willahos ruszyliśmy do Lerma, gdzie z powodu ucieczki mieszkańców, sami musieliśmy o żywność dla siebie starać się. A że miasto obfite było w wino, więcemy chlebem *pomiętym* w tym napoju koni *naszych karmili*. Oprócz téj korzyści z samego wina, mieliśmy użytek z koszów winogronowych, gdyż w chłodne hiszpańskie noce składaliśmy je w stosy, a przy rozdętem ognisku popijając *aquardiente forte* (mocną wódkę)

z zakąską cebuli i chleba pieczonego z wołową zółcią, hucznie gwarzyliśmy o dokonanych i czekających nas jeszcze czynach.”

„Z Lerma udawszy się drogą wiodącą do Madrytu, zastanowiliśmy się w wiosce Bocequillas, dokąd i Napoleon téjże nocy przybył; a za dostrzeżeniem znacznej liczby ogniów, ciągnących się na szczytach gór Karpetanos, co oznaczało obóz nieprzyjacielski, tegoż samego dnia wydano nam rozkaz dzienny, aby się przygotować na dzień następny do batalii, i aby pułk cały jak tylko świtać zacznie, ubrany w wielkim uniformie, czekał danego hasła.”

„Noc całą nie spano. Żołnierze zajęci zadysponowaną wyprawą, zapomnieli o wypoczynku; nazajutrz zaś równo z brzaskiem, szwadron nasz (*chevaux legers*) przybrany w świetną paradę, za danym znakiem trębacza wyskoczył rzeżko za wioskę, gdzie się znajdował cesarz, a ztąd pod przewodnictwem szefa szwadronu Koziętulskiego, kłusował blisko mili pod obóz nieprzyjacielski.”

„Hiszpanie słysząc tentent śpieszącego po twardój, kamiennój drodze szwadronu naszego, a nie mogąc wyrachować *dystansu*, dla gęstój mgły, otaczającej pod tę porę całą przestrzeń dokoła, zawczasie rozpoczęli z baterii ogień kartaczowy; lecz że pędziliśmy z dołu pod górę, więc tylko naszą awangardę, i to po samych piórach kaszkietów, dosięgały wystrzały nieprzyjacielskie. Jednakże i to niebezpieczeństwo wprędce zatamowane zostało, gdyż Koziętulski stosując się do ordynansu Napoleona, rozkazał wstrzymać się u krawędziów (sic) gór, obsadzonych nieprzyjacielem i posłał oficera do cesarza, prosząc o dalsze rozporządzenie. Hiszpanie wystrzeliwszy kartaczami ze trzydzieści razy z czternasto-działowój baterii, umilkli nakoniec, a forpoczty swoje, które pod zasłoną mgły gęstój nie poniosły żadnej straty, niewidzialnie ściągnęli do armii. W godzinę potem powrócił oficer z rozkazem dalszego awansu, lecz zaledwo postąpiliśmy kilkaset kroków, ujrzeliśmy w dwóch miejscach po dwie armaty nieprzyjacielskie z przekopanemi fosami, dla zrównania których wypotrzebowaliśmy kom-

panią pionierów, a wtenczas skonfiskowawszy cztery armaty, zabieraliśmy się w dalszą drogę, gdy w tę prawie chwilę nadjechał i Napoleon z jednym pułkiem piechoty liniowej."

„Wtenczas rozkazano nam uformować się na prawej stronie drogi. Naprzeciw samej baterji nieprzyjacielskiej, a cesarz ze swoją świtą obrał stanowisko *vis à vis* (sic) nas, na stromém urwisku skały po lewej stronie. Bateria nieprzyjacielska zaczęła *na hazard* strzelać, próbując w różnych kierunkach: na prawo, na lewo, wprost, bliżej i dalej. Napoleon zsiadł z konia i pieszo wydawał rozkazy, a gdy wystrzelono z góry, i kula armatnia padła blisko cesarza, ten popatrzwszy na nią, zażył tabaki i rzekł: „No proszę, wszak to i Hiszpanie strzelać umieją; i gdyby nie mgła im przeszkadzała, to miejsce, na którém stojemy, byłoby wielce niebezpieczném”. Po chwili zaś, z wierzchołków nad nami sterczących (?), zrzadka zaczął się odzywać ogień ręcznej nieprzyjacielskiej broni, której jeden wystrzał ugodził w same piersi porucznika naszego Rudowskiego; (.) dano rozkaz dwóm batalionom piechoty iść w góry dla poruszenia nieprzyjacielskiego stanowiska; tu się już zaczął mocny ogień tak ręcznej broni, jako téż i baterji; mgła podniosła się w górę, nieprzyjaciel ukazał się oczom naszym, a cesarz rozkazał nam zdobywać stanowisko. Droga była wązka, rozwiniąć plutonów nie można było (;) musiano więc czwórkami w ściśnionej kolumpie galopować na baterję, która tak morderczy na nas wywarła ogień, iż grad kartaczów i kul armatnich połowę szwadronu nam położył”.

„Pomimo jednak tak straszliwej klęski, będąc przy hoku swego wielkiego przewodnika, nie traciliśmy odwagi, a do kompletowani z innych szwadronów pod dowództwem danego nam ze świty generała, z nowym zapalem uderzyliśmy na Hiszpanów. Tą razą batalion piechoty nieprzyjacielskiej, dozwolewszy nam zbliżyć się na trzydzieści kroków od wierzchołka skały, niespodzianie ukazał się na szczycie, a powitawszy straszliwym batalionowym ogniem wiszącą u stóp swoich garstkę, tak nieszczęśliwie nas wy-

tracił, żeśmy we trzynastu tylko przedarli się do tego piekielnego stanowiska.”

„Po batalii pod Samo-Sierra, tegoż wieczora umaszzerowawszy mil ośm, o północy stanęliśmy w Andilla (,) wiosce, gdzie ogłoszono pamiętny rozkaz cesarza (,) zaliczenia pułku naszego do stariej gwardyi. Awans ten był dla nas wielce zaszczytny, jak ze względu, żeśmy się porównali z gwardyą francuzką, nie chcąc dotąd z nowicyuszami się łączyć; tak też i z tego dowodu wdzięczności Napoleona ku nam, którzyśmy krew swoją i życie dla niego *sakryfikowali* (sic).”

„W Andilla zrobiwszy niewielki wypoczynek, udaliśmy się do Madrytu, który za nadejściem dwóch pułków dragonów francuzkich, otoczyliśmy dokoła, stawiając po dwóch żołnierzy na każdej widecie, *dlatego*, aby w razie śmierci jednego, drugi mógł donieść o obrocie zbliżającego się pod komendą generała Kastanosa, w liczbie sześćdziesięciu tysięcy wojska nieprzyjacielskiego. Hiszpanie dostrzegłszy tak gęsto dokoła miasta rozstawione czaty, zaczęli *na hazard* z armat strzelać do nas, tak, że musieliśmy być w ciągłym ruchu na dystansie dla widety przeznaczonym, aby się uchronić od tej straszliwej kanonady. Jednakże w krótkim czasie, za przybyciem cesarza odwołano nas z widety, uszykowano front, a zatoczywszy dwie wielkie haubice, tak trafnie wypuszczono bomby, iż te w sam środek ugodziły miasta.”

„Na tém się skończył dzień ataku; Napoleon do jutra odłożył swoje straszliwe hasło: „Poddajcie się lub gińcie”, a tymczasem nasz pułk i dwa pułki dragonów odkomenderował do miasta Alkalla, na spotkanie tam awangardy generała Kastanosa, ciągnącego w sukurs ku Madrytowi. Tegoż więc jeszcze dnia późnym wieczorem w największej cichości stanęliśmy pod miastem, i ażeby się przekonać o poruszeniach nieprzyjacielskich, posłano natychmiast na patrol jeden pluton naszego pułku, który Hiszpanie wzięli z początku za awangardę Kastanosa, a otoczywszy go dokoła, zaczęli *głaszczyć* konie i przemawiać do żołnierzy” i t. d.

Po przeczytaniu tego ustępu i całych „Pamiętników” trudno nie przyznać, że nędznym wyrobem jest to dziełko, a spekulacją tylko jego wydanie.

Rocznik literacki. Pismo zbiorowe. Rok czwarty. Z portretem Stanisława Moniuszki i winietami (drzeworytami) Wincentego Smokowskiego, tudzież z widokiem chatki syberyjskiej i wnętrza świątlicy ruskiej. Pod redakcją Romualda Podbereskiego. Wilno. 1849, w 8ce większej, str. XXIII i 205.

Miłym zjawiskiem było pierwsze ukazanie się „Rocznika literackiego” w Petersburgu. Imiona Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Szyrmera (w t. I i II) zdawały się zapowiadać, że publikacja pana Romualda Podbereskiego z czasem ukaże się w większych rozmiarach pod względem wewnętrznej wartości. Nie można wprawdzie i teraz powątpiewać o użyteczności tego pisma; ale utraciwszy swoich współpracowników, zaszczytnie już znanych w naszym piśmiennictwie, Rocznik nie wykrył aż dotąd wielu nowych zdolności, jak się to po nim spodziewać należało i co było jego istotnym zadaniem. Nie obwiniamy o to jego redaktora, bo na ozdobne wydanie ani pracy, ani prenumeratorskich kosztów nie żałował, i w tym względzie godzien jest nawet pochwały. Lecz wytrwałość i staranność o dobry druk i papier jeszcze nie stanowią rzeczy, czego dowodem almanachy i keepsaki zagraniczne, w których część literacka ledwo na wspomnienie zasługuje; i dlatego z drugiej strony słusznie zarzucają powszechnie panu Podbereskiemu, że przyjmował do swego zbioru wiele ramot, odznaczających się tylko zarozumiałością autorów i ich miernymi zdolnościami.

„Rocznik literacki” staje teraz przed sądem publiczności po raz czwarty i ostatni, ponieważ się zamienia na pewnego rodzaju czasopism, mający wychodzić pod nazwą: „Pamiętnik naukowo-literacki”. Życzymy serdecznie, aby ze zmianą tytułu, publikacja ta zyskała więcej na literackiej wartości. Pomimo bowiem zapewnień wydawcy, że „Rocznik” jest na drodze postępu, nikt temu nie uwierzy; bo twierdzenie takie nie ma za sobą żadnych innych dowodów, oprócz wyrzekania na oziębłość możnych, na brak mecenasów, na niepojęcie znaczenia i stanowiska redaktora, co oczywiście nie jest dostatecznym, aby się usprawiedliwić w oczach bezstronnych czytelników.

W Roczniku z roku bieżącego, najwięcej interesującą z prozy jest rozprawa: „O sposobie prowadzenia wojny u starożytnych Litwinów”, wyjątek z dzieła: *„Budą senowęs Lëtwiit kalmieniit ir Žamajtiit iszraszę pagat senowęs Rasstū Jokyb's Łaukis”* (O zwyczajach starożytnych Litwinów górnych i dolnych; wypisał podług dzieł dawnych Jakób Łaukis). Szkoda, że autor nie wszędzie wykazał źródła, z których czerpał wiadomości; bo w przeciwnym razie całe takie dzieło, jako pierwsze prawie w swoim rodzaju, byłoby bardzo wielkiej wagi w literaturze krajowej, a pod względem historii, stałoby się nader pomocne dla nowszych dziejopisarzy Litwy.

Litwini udając się na wojnę, zawsze mieli przy sobie psa i konia. Co nie mogli zabrać na konia, to pies wprzężony do sanek ciągnął za nim. Dlatego młodzieńcy o nie się tak nie starali, jak o dobrego konia. W ogólności kochano się w koniach do tego stopnia, że razem z rycerzem palono jego ulubionego rumaka na stosie. Po wprowadzeniu nawet wiary chrześcijańskiej, umierający ostatnie spojrzenie zwracał na konia, tego wiernego towarzysza swego rycerskiego zawodu. Dzisiaj jeszcze młodzi Litwini do kościoła inaczej nie lubią jeździć, jak tylko wierzchem; na wozach udają się do świątyni starzy, kobiety i dzieci. Wybierając się na wojnę, okrywano całego konia rogożą, dla zabezpieczenia go od deszczu i zimna. Jeźdźcy nie używali siodeł, lecz pomi-

mo tego tak się mocno trzymali, że nieraz, po ucięciu głowy jeźdźca, koń jeszcze go siedzącego o kilka kroków unosił. Konie kierowane były naprzód uzdami, a potem hamulcami albo munsztukami.

Wybierając się na wojnę, każdy na zwyczajną odzież wdziewał skórę niedźwiedzią, łosiową, rysią, w taki sposób, że głowa jego mieściła się w głowie niedźwiedzia, łosia lub rysia. Dla większego postrachu nieprzyjaciół, między rogami tura na czole zawieszano ogon koński, co nazywało się „sztykiem”. Czasami też w miejscu odzieży, używany był płaszcz z grubej rogoży z kapturem; taki płaszcz bywał przepasany pasem, na który wojak nawiązywał tyle obrączek miedzianych lub sprzączek, ile zabił nieprzyjaciół. Bronią była powszechnie dębina lub drewniany pałasz, rohatyna czyli oszczep, na końcu którego był wbity ostry róg; siekiery, berdysze, a często i pałasze były z kamienia lub porcelanowej gliny, ponieważ Litwini żelaza nie znali. Do uzbrojenia należała także tarcza, mająca kształt podługowato-okrągły, wyciosana z drzewa, albo z giętkiej łoży pleciona. Z początku nie znano w Litwie ostróg, lecz po wojnach z rycerzami niemieckimi, zaczęto robić ostrogi z porcelany. Łuk i sajdk ze strzałami, dopełniały uzbrojenie litewskiego wojaka. Piechota szła do boju z karbowanemi kijami czyli korbaczami; za zbliżeniem się nieprzyjaciela, ciskała palanty z drzewa, lub kamienie z procy. Nieprędko potem poznawszy użytek żelaza, zaczęto robić pancerze, piki i bagnety. Do wzywania wojowników używano długiej drewnianej trąby, nadzwyczaj tęsknej nuty. Podczas przepływania rzek, piechota robiła pewnego rodzaju czółna z turzej skóry, a kawalerya, przywiązawszy rękę do końskiego ogona, wplaw przebywała wodę. Żywnością w czasie pochodu były: wędzone mięso, buraki, mąka, które częścią wożono na koniu, częścią ładowano na sanki, które za wojskiem ciągnęły wielkie psy z rodzaju brytanów.

Najbiędniejszy rolnik jechał samotrzeć; bogatsi mieli więcej ciurów, którzy, w razie potrzeby, stawali do boju, podobnie jak u dawnych Polaków. Litwini bili się stosownie do

miejsca, nie skupiając się, lecz najczęściej walcząc podstępnie. Tak byli straszni, że, jak powiada Dusburg, stu Niemców od jednego uciekało. Było u nich we zwyczaju, marszerując, nagle się rozsypywać, a potem zbierać w należytym porządku. Tak posuwali się w głąb nieprzyjacielskiego kraju, zabierając łupy i bijąc wrogów. Najczęściej lubili podjazdami nacierać i nieprzyjaciela wciąż niepokoić. Ostrożność przedewszystkiem była prawidłem w prowadzeniu wojny Litwinów; nigdy nie wstępowali w otwarty bój i nigdy się nie cieszyli z początkowej wygranej. Takim sposobem w roku 1220 Erdźwił, książę żmudzki, pokonał Tatarów (?). Wszakże występowali Litwini czasem otwarcie i w znacznej liczbie do boju. Podobny wypadek miał miejsce w 1340 r. pod Rudławkami, kiedy się potykali z żołnierzami całego świata, przez papieża podburzonymi.

Spotkawszy niespodzianie liczne wojska i nie mogąc się rozproszyć, robili z sań i wozów rodzaj okopów albo barykad terażniejszych i często zwycięzko z nich wychodzili. W taki sposób w r. 1275 pokonali rycerzy niemieckich pomiędzy Rygą i Runem, na zamarzlęj rzece. Jak górni, tak dolni Litwini chociaż najczęściej potykali się konno, mieli jednak piechotę. Mieli także swoje obozy, w których trzymali jeńców, łupy, broń i czasem zapasy. Stanąwszy obozem, okopywali się rowem i usypywali naokoło wały; ztąd, jak autor fałszywie twierdzi, powstał wyraz *obóz*, od litewskiego *ab-eżę* (okolna miedza lub wał) (!!!).

Litwini mężnie bronili twierdz, których jednak w odległej starożytności u nich nie znano, bo gęste lasy były najbezpieczniejszemi ich kryjówkami. Z przprzedzeniem dopióro lasów, musieli stawiać obronne zameczki na sypanych pagórkach, które szanćami szwedzkiemi podanie nazywa. Naprzód jednak zamki stawiano na równinie ze trzech stron zupełnie nieprzystępnej, otoczonej wałem, głębokim rowem i ostrokołem. Takie zamki dostateczne były do obrony; lecz po wynalezieniu taranów i żelaznych pancerczów Litwini nie mogli długo wytrzymać w takich forteczkach. Z tego powodu stawiano je potem już nie na równinach,

ale na górach lub w miejscach ze wszech stron nieprzystępnych od natury. Mieszkańcy blisko zamków osiedli, obowiązani byli strzedz je po kolei, i ztąd powstała nazwa: „Okolicy strażniczej.” Tacy stróże zaprawiali się do boju, robiąc wycieczki na niedźwiedzia lub jakiego innego drapieżnego zwierza. Na zamku zatykano zwykle tyczkę wysoką, oblaną smołą, ze słomianą wiechą na wierzchu; zapalona wiecha dawała wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Zamki górne mogły niekiedy mieścić po kilka tysięcy żołnierzy. Olgierd i Kiejstut w 1300 r. po krwawej walce pod Rudławą, z 15,000 jazdy zamknęli się w twierdzy Ankajme. Miejsca, gdzie dawniej stały zamki, lud zowie dotąd sypanemi górami. Taką piękną górę, na której znajduje się czworobok wielkości kilku morgów, otoczony wałami, można widzieć w powiecie kalwaryjskim niedaleko wsi kościelnej Urdomina. W późniejszym czasie „Okolice strażnicze” zaczęły się otaczać kamiennymi ścianami, co nieprzyjacielowi bardzo utrudniało oblężenie. Takimi murami były opasane: Wilno, Kowno, Płotele, Białystok, Żousławki, Birże i t. d.

Za przykład, jak dzielnie broniono się w tych fortecach, autor przywodzi Magiera, obrońcę zamku Punie w 1278 r., Wajdotisa w Kownie w r. 1346 i Jurszę w Łucku w r. 1434. Tak odpiérając nieprzyjaciela w swoich twierdzach, niemniej walecznie uderzali Litwini na zamki wrogów. Aby mieć o tém pojęcie, przytoczone jest oblężenie zamków: Parnawy, Kesseń, Nejemila. Pomędzy tak mężnym narodem, były téż śmiałe i odważne niewiasty, które obok swych mężów walczyły. Na poparcie tego wymieniono obronę kobiet w Nowogródku litewskim, i bohaterskie znalezienie się w 1504 r. Nastazyi Olelkowiczówniej księżnej stuckiej, zupełnie podobne do czynu Chrzanowskiiej, podczas oblężenia Trębowli. Litwini podczas wojny wszelkie ruchomości i inwentarz zapędzali do gęstych lasów, a spaliwszy swe domy, tamże się przenosili. W taki sposób w 1340 r. Olgierd z Kiejstutem rozkazali postąpić mieszkańcom nadniemeńskim za zbliżeniem się Krzyżaków, którzy częścią od

miecza, a więcej jeszcze z głodu i powietrza co do nogi wyginęli. Ze schwytanych na wojnie jeńców, główniejszych przynoszono na ofiarę bogom. Zabiwszy zaś dowódcę nieprzyjacielskiego, z jego czaszki robiono czarę, z której podczas biesiady spijano na pamiątkę męztwa. Wojnę wypowiadał kapłan, który wzięwszy nieprzyjacielski oszczep z uwiązaniem doń palącym się zarzewiem, rzucał przez granicę na obcą ziemię. Rozpoczynając kampanię, wybierano wodza czyli atmona z mężniejszych i roztropniejszych. Litwini mieli także dziesiętników i setników czyli półkoriusów, których później z teutońska nazywali rotmistrzami, a nakoniec chorążami. Z takięto starszyny obierali atmona czyli mściciela z władzą nieograniczoną, ale tylko w czasie wojny. Ciało poległego w boju wodza, wrywali z rąk nieprzyjaciela i palili na rodzinnej ziemi. Jeżeli sam atmon uległ podobnemu losowi, wówczas lud z całego państwa zgromadzony, kopał ogromny kurhan na uczczenie wielkich czynów zabitego. Potem palili ciało wodza na stosie, z koniem, psami, parą sokołów, wojennym rynsztunkiem i najwierniejszym sługą. Oprócz tego rzucono w płomień pazury rysie i niedźwiedzie; potem zebrawszy popioły, sypano je do naczynia w kształcie urny, które zakopywano do kurhanu, nazywanego dla pamiątki imieniem pogrzebitego. Takim sposobem czcili zgon nie tylko wodza, ale również i innych wojowników i sławnych w Litwie mężów. Czasami powierzano dowództwo mężowi z obcego pokolenia, którego władzy nawet najwyższy kapłan Krywe-Krywejta nigdy nie tamował. Owszem, bywały przykłady, że starsi kapłani sami walczyli na czele szeregów.

W każdym powiecie był chorąży, który corocznie w jesieni zbierał swych podwładnych i oglądał u każdego z nich konia i zbroję. Niemający należytego rynsztunku wojennego, był wymazywany z listy, którą utrzymywał chorąży, i taki musiał płacić podatek. Urząd chorążego powierzano najmężniejszemu z ziemian. Starszyna wojskowa składała się jeszcze z wilunasa (kwatremistrza), którego obowiązkiem było prowadzić na wojnę i śledzić obroty nieprzyjaciela.

Każdy właściciel dwóch włók ziemi musiał służyć w wojsku. Wszyscy Żmudzini nie znali ani pańszczyzny, ani danin, za to każdy powinien był mieć konia do boju. W r. 1387, 1501 i 1569, przywileje te były zastrzeżone przez królów, jednak z czasem poszły w poniewierkę. Jazda w wojsku litewskim zawsze miała pierwszeństwo; piechota grała podrzedną rolę. Przed wyprawą kapłani wróżyli o powodzeniu wojny. Wąż przesuwający się przed wojskiem, oznaczał pomyślny skutek wyprawy. Takie wyprawy były nieraz przedsiębrane w celu rabowania. Zwyczaj ten wprowadzony został od czasu napadu Niemców na żmudzkie Pomorze, na których później podobnym sposobem mścić się zaczęto. Przygotowując się do bitwy, rozwijano wielką białą chorągiew, z tarczą napół przedzieloną: górna jej część była żółta, dolna siną; na żółtym polu korona naturalnie była wyrażoną, na dolnej części w kierunku przewróconym; niekiedy na chorągwi bywał niedźwiędź. Gdzie autor o tym wyczytał, nie wiadomo.

Taki jest najogólniejszy zarys rozprawy „O sposobie prowadzenia wojny u starożytnych Litwinów”, którą tłumaczył wydawca. Do tego dodane są drzeworyty Wincentego Smokowskiego, choć niewszędzie stosowne, a znane już z drugiego wydania „Witoloraudy.” Z oddziału prozy w Roczniku godne są jeszcze uwagi Listy p. Irenę z Wierzbickich Bułhakową. Powieść pana Januarego Filipowicza, chociaż ma cel moralny i pięknym napisana stylem, jednakże na tytuł powieści nie zasługuje. Są tu, prócz wymienionych, pisma Podbereskiego Romualda, Podbereskiej Weroniki i spolszczona z francuzkiego: „Żałośna historia ubogich kwiatków doliny” przez Podbereską Różę. Nie możemy zrozumieć, do jakiego rodzaju piśmiennictwa należy fantastyczne sprawozdanie wydawcy o kantacie pana Stanisława Moniuszki: czyto jest krytyka muzyczna *à la* Berlioz, czy felieton *à la* Jules Janin? Zapewne dla dopełnienia tego artykułu, umieszczony jest na początku Rocznika portret Stanisława Moniuszki, najgorzej wykonany.

Najpiękniejszą ozdobą części poetycznej w Roczniku są utwory Antoniego Edwarda Odyńca. Niéma w nich wprawdzie tego młodzieńczego ducha, jaki ożywiał piérwsze jego prace; lecz powszechnie uznane artystyczne wykończenie wiersza i trafność pomysłów dostatecznie okazują, że zapal jeszcze nie ostygł w piersiach poety. Wypisujemy tu na dowód „Starość ducha:”

„W każdych ustach żal młodości,
W każdém sercu chęć jój zwrotu,
Pory szczęścia i miłości,
Siły ducha, myśli lotu.

Lecz czyż słońce południowe
Mniej ogniste jak u wschodu?
Czyż gdy do snu schyla głowę,
Mniej ma blasku i obwodu?

A duch, światło co nie gaśnie,
Promień słońca przedwiecznego,
Miałby stygnąć przez to właśnie,
Że ogniska bliższy swego?

Miałby słabnąć razem z ciałem,
On, którego cel na ziemi,
Wzrość i wzmódz się życiem całym,
By się zrównać z niebieskimi?

O! kto w młodych dniach zapалу,
Prawdy Pańskiej słów usłucha:
Serca nie da w służbę ciała,
W świetle wiary pojmie ducha.

Duch takiego nie starzeje,
I gdy ciało, plewa marna,
Sypie się w proch i niszczeje—
Rośnie w niebo, jak cedr z ziarna”.

Prawdą i budową zaleca się równie piękny wiersz: „Do młodej przyjaciółki.”

„Coż się tak zżymasz jako sensatywa,
Gdy słowo prawdy draśnie twoje uszy,
I choć zamilczasz, twarz twoja odkrywa,
Niewymówiony wyraz twojej duszy?

Wiém, że nie taka płytkość w twym rozumie,
 Byś miała sądzić, żeś jest doskonałą;
 Lecz znieść nie możesz w obrażonej dumie,
 Że cudze oko w głąb' twą zajrzeć śmiało.

A przykrzój jeszcze, że przez to ci samój,
 Wchodzą na pamięć, przed czym się rumienisz,
 Wchodzą niejedne, choć drobne rdzy plamy,
 Które zmyć łatwo, lecz się zmywać lenisz.

I ztąd ci milój w salonowym gwarze,
 Gdzie sama siebie unikasz w natłoku,
 Gdzie ci pochlebstwo buduje ołtarze,
 A fałsz uwielbia w kadzideł obłoku.

Tam więc idź, króluj! tam niech próżność płocha
 Zbiera swe laury, swych tryumfów wieńce!
 Ten, co raz prawdę poczuje i kocha,
 i. t. d.

Ale to pomnij, że w duszy kobiecój,
 Z plam, co w nią rzucił grzech pierworodzony,
 Co nie wypali wstyd młodej dziewicy,
 Zmyć kiedyś będą musiały łzy żony!"

Po cudownych poezjach czcigodnego weterana naszej literatury, drugie miejsce zajmują w „Roczniku” prace Władysława Syrokomli (pseudonim), zaszczytnie już znanego w Athenaeum z wybornego przekładu z łacińskiego dawnych wieszczów polskich, jak niemniej z własnych prac, celujących świeżością uczuć i nieudanym zapałem. Jego sonety o Nieświeżu, układem swoim, wytwornością obrobienia i nowością zwrotów, przypominają autora sonet krymskich, tak jak „Wybryki dobrego humoru” przez Ludwika Kondradowicza, przywodzą smutną myśl o zbyt wczesnie zgasłym i nieodżałowanym Józefie Massalskim. Do tego małego, lecz prześlicznego bukietu najwonnejszych kwiatów w „Roczniku”, dodać jeszcze można kwiatki Zana Tomasza, Gabryeli Günther i Moszyńskiego Antoniego.

Cóż powiedzieć o reszcie wierszów, przepelniających karty tego pisma? Że tam są zarodki zdolności, albo har-

dzo małe, nie pewniejszego; to są końcówki wszystkim znane z wielkich naszych poetów, pod których strażą kryje się zbiór pustych słów, wykrzykników i znaków zapytania, to jeszcze pewniejsza; i dlatego nie wabamy się powtórzyć życzenie, aby „Rocznik literacki” ze zmianą napisu, zyskał więcej niż dotychczas na istotnej wartości.

J. R. Szymański.

Kurs geometrii elementarnej, z rysunkiem geometrycznym i zastosowaniami, przez M. Swierzbiińskiego. Warszawa. 1848.

Niebrak w naszym języku dzieł podręcznych do geometrii elementarnej. Większa ich część jest tłumaczeniem mniej lub więcej dobrém, z małemi skröczeniami i odmianami dzieł powszechnie w Europie znanych, i przyjętych za elementarne. Dwa tylko dzieła, jedno wyszłe w Poznaniu, drugie z którego treścią zamierzamy obznajomić czytelników, tak ze swego układu, jako też i wykładu, są więcej samoistne.

Dwie głównie istnieją metody wykładu geometrii elementarnej: metoda starożytnych, powszechnie znana, i nowopowstająca, zwana *genetyczną*.

Metoda syntetyczna starożytnych, przy wykładzie geometrii wszędzie prawie bywa używaną. W Anglii za dzieło podręczne służy Euklides, i jak jeden z niemieckich pisarzy powiedział „Euklides w Anglii pod względem metody wykładu, stanowi prawo kononiczne matematycznej ortodoxyi.” We Francyi w największym użyciu jest dzieło Lacroix; u nas dzieło Legendréa. Niemcy głównie trzymają się także metody starożytnych. Jednakże krytycyzm, przeważająca dążność tego narodu, i w matematyce wyraźnie się przebijają. W skutek tego, geometria elementarna usi-

tuje otrząsnąć się z dawniej i przybrać nową formę, nazwaną przez Magiera metodą genetyczną.

Jak wiadomo, sposób używany przez starożytnych, przepisuje geometryi stałą formę, w którą zresztą każdy przedmiot dotyczący się matematyki, musi być jakby wtłoczony. Według niego, traktowana nauka musi być rozczłonkowana na mnóstwo podań, z których każde samo w sobie stanowi całość i łatwo wszechstronnie obejrzanem być może. Zasada na mocy której te oddzielne prawdy wiążą się z sobą, polega na umieszczeniu każdego podania w takim miejscu, iżby ono opierając się na wszystkich poprzednich, było zarazem koniecznym do zrozumienia wszystkich po niem następujących. W tej więc metodzie, trudno dostrzedz wiążącej nici, koniecznego następstwa; dla ucznia te prawdy i t. p. spadają jakby z nieba.

Podług metody genetycznej, autor traktując geometryą i wychodząc z położonych naprzód zasad, wyprowadza z nich wnioski, z tych nowe podania, wnioski i t. d. i dochodzi do rezultatów, zawierających więcej skomplikowane prawdy. Tym sposobem wszystkie podania, stanowiące jakby odosobnione prawdy w metodzie starożytnych, tu widzimy jako części nieprzerwanego łańcucha, którego trudno wskazać początek i koniec. W porządkowaniu prawd, służy za zasadę nie tylko możność wyprowadzenia jednych za pomocą drugich, ale nadto ich wewnętrzna zależność; starają się głównie o to, aby każde podanie jak najlogiczniej prowadziło do następnych.

Metoda genetyczna, usuwa więc ten ważny niedostatek metody starożytnych: brak wewnętrznego związku, naturalnego rozwijania się prawd. O wadzie wykładu syntetycznego dotąd używanego, każdy łatwo się przekona, jeżeli zechce przypomnieć sobie treść którejkolwiek księgi ze znanych u nas geometryj elementarnych.

Według nowej metody, zwykle tak porządkują przedmioty wchodzące w zakres geometryi elementarnej: pierwszy rozdział mówi o liniach na płaszczyźnie, szczegółowo zaś o linii na płaszczyźnie; potem o dwóch liniach nieprzecina-

jących się lub przecinających się, stąd o kątach; następnie o trzech liniach na płaszczyźnie, wraz z wykładem kątów, powstałych z przecięcia nierównoodległych i równoodległych przez sieczną; w końcu o kątach w trójkącie. Następuje potem rozdział o czterech liniach na płaszczyźnie, różne gatunki czworokątów, potem o pięciu liniach i t. d.

Rozdział drugi obejmuje związek między bokami i kątami figur, warunki równości figur. Następny rozdział o kształcie i podobieństwie figur. Potem o zależności między kątami i stosunkami boków. O podobieństwie wielokątów.

Po wykładzie tych prawd, następuje właściwa planimetria: powstawanie płaszczyzn przez ruch linii, mierzenie powierzchni równoległoboków, trójkątów i t. d., stosunek powierzchni podobnych figur, w końcu nauka o kole i trygonometria.

Autor dzieła „Kurs geometrii elementarniej”, jak sam mówi na wstępie, starał się o zachowanie nieprzerwanego i jednostajnego ciągu i następstwo apodyktyczne myśli, mianowicie w szczególnych traktatach nauki, przyczem jednak nie chciał pochłonąć się w jednostronnie pojętym celu pedagogicznym, poczynienia ułatwień dla uczących się, które zwykle dzieją się kosztem samej nauki, kosztem myślącej i tworzącej zdolności ucznia. Te dwa założenia każą się domyślać, iż główną myślą autora nietyle było napisanie podręcznego dzieła dla początkujących, jak raczej wyłożenie systematyczne zasad téj nauki z nowego stanowiska, a mianowicie, jak to niżej zobaczymy, wprowadzenie metody genetycznej do wykładu geometrii elementarniej.

Trudne to było w części zadanie. Metodę naukową geometrii, choćby elementarniej, trudno dziś pogodzić ze sposobem traktowania dzieł elementarnych. Jedna drugiej w wielu miejscach ustąpienia poczynić winna. Niezawsze w najlogiczniejszym porządku, bez względu na ułatwienia, a więc różne zdolności uczniów, korzystnie wykladać można. Pisarze dzieł naukowych starać się winni o pojednanie tych dwóch względów, że się tak wyrażę, o zniesienie pierwszej do stanowiska drugiej. Tą tylko drogą osiągnąć zdo-

lają główny zamiar w nauczaniu matematyki, rozwijania władz umysłowych; zamiar, któremu niestety dzisiejszy wykład bardzo mało sprzyja.

P. S. godzi te dwie metody, podwyższając metodę elementarną do stanowiska naukowego wykładu. I słusznie wyznać należy, że szczęśliwą jest ta próba.

Usprawiedliwiamy to przytoczeniem treści dzieła. W pięknie napisanym wstępie, wyłożone są pojęcia o wielkościach przestrzennych, stanowiących przedmiot geometrii i względy pod którymi ta nauka niemi się zajmoje. Gruntownie napisany ten wstęp, w którym wysnuty został cały plan dzieła, nie dla początkujących był przeznaczony, i dlatego autor zamierzał wydać skrócony i treściwszy zarys pierwszych pojęć, stanowiących przedmiot geometrii. Planimetrią i solidometrią; dzieli każdą według téjże samej zasady. W pierwszym rozdziale np. planimetrii traktuje o wielkościach przestrzennych oddzielnie uważanych, jakoto: linii prostój, łamanój, kole. W drugim rozdziale o połączeniach linii prostych, o liniach równoodległych, kątach, trójkątach, czworokątach, pięciokątach i t. d. Trzeci rozdział obejmuje połączenia linii prostych z okręgami i wielokątami. W czwartym połączenia linii krzywych z krzywymi, o punktach sprzężonych, o linii środków, o kołach potęgowych i t. d.

Druga część planimetrii obejmuje własności płaszczyzn. A że figury mogą być jednakowego kształtu i wielkości, albo bez względu na kształt mogą być równe lub zostawać w pewnym do siebie stosunku; albo nakoniec, ponieważ figury mogą być przy jednakowych obwodach równoważne lub różnej wielkości, przeto druga połowa planimetrii obejmuje:

Równość,

Podobieństwo,

Równoważność i stosunek wielkości,

Równoobwodowość.

Autor nie rozłączając w początkach obwodu koła od linii prostój (jak to czynią niezbyt szczęśliwie w metodzie ściśle

genetycznej), uniknął w wykładzie wielu trudności, i więczej zbliżył swój do dziś istniejącego i powszechnie używanego wykładu.

Oprócz metody odmiennój, mało znanój u nas a wielce pożądanej, dzieło p. S. odznacza się treściwością, zaleca się pięknnością języka, licznemi i trafnemi zagadnieniami, jak również praktycznemi zastosowaniami do rzemiosł. Autor zbogacając naszą ubogą matematyczną literaturę, zaszczytnie przysłużył się ziomkom swą pracą, przedstawiającą dzisiejszy stan nauki tak co do formy, jako też i treści.

Pisząc powyższą wiadomość o dziele p. S., mieliśmy głównie na celu metodę wykładu; o praktyczności dzieła trudno dać zdanie. Często się trafia, że wykład lub dowód jakiej prawdy wydający się łatwym, okaże się trudnym dla ogółu uczniów, a to z wielu powodów, jakoto: zbytnej rozciągłości dowodzeń, zmieszania wielu warunków, zawczesnego umieszczenia i t. d. Pod tym względem jedyną drogą jest praktyka. Tym właśnie sposobem postępują w Niemczech; po różnych gimnazyach różnych trzymają się metod, a skutek dopiero wyrokuje o wyższości téj lub innój formy wykładu w początkach nauki.

Marek Swierzbński urodził się w 1822 r. w folwarku Metlica Księżewska w obwodzie sejneńskim gubernii augustowskiej. Początkowe nauki pobierał w Sejnach, Suwałkach, następnie w uniwersytecie moskiewskim, dokąd wysłany został kosztem rządu. Ukończywszy chlubnie kursa fakultetu matematycznego, wrócił do kraju 1844 r. i został umieszczonym przy gimnazyum realném, gdzie z zamiłowaniem oddany swemu szlachtetnemu zawodowi, nie poprzestawał pracować nad sobą, zbogacać swego umysłu.

Czując brak w naszej literaturze kursu matematyki, przedsięwziął obrobić i wydać wszystkie jój części, odpowiednio dzisiejszemu stanowi téj umiejętności. W r. 1844 wydał pierwszą część Kursu geometryi elementarnój; korektę drugiej części, obejmującej solidometrią, drżącą już dokonywał ręką. Obiedwie te książki stanowią jedną całość.

Wychowany nie w wielkich dostatkach, nagłony wczesnie do starania się o środki zapewniające mu byt, a więc i możliwość dalszego kształcenia, wyrobił w sobie silne przekonanie o obowiązkach swego powołania, rozwinął do wysokiego stopnia cierpliwość, zamiłowanie w pracy, i współczucie dla innych. Obdarzony przytém wielkimi zdolnościami i wytrwałością, rokował chlubną dla siebie przyszłość.

Przyjaciele i koledzy ze smutkiem odprowadzili w d. 30 kwietnia r. b. na cmentarz Powązkowski, zwłoki tego młodziana, tak wczesnie dla nauki i ziomeków zgasłego.

S. P.



ROZMAITOŚCI.

Droga żelazna z Libawy do Jurburga.

Droga ta ma na celu: port libawski nad morzem Bałtykiem w gubernii kurlandzkiej, połączyć z rzeką Niemnem, a przez to uczynić Libawę głównym składem produktów zachodnich gubernij Cesarstwa i wielkiej części królestwa Polskiego. Obszerniejsza wiadomość o tej drodze, nie może być obojętną dla czytelników Biblioteki Warszawskiej; podajemy więc zasady, na których towarzystwo do zbudowania tej drogi zawiązuje się, i zarys szczegółowy tego przedsięwzięcia, podług drukowanego w języku niemieckim i francuzkim pisemka.

Zasady do zawiązania towarzystwa akcyonaryuszów na budowę drogi żelaznej z Libawy do Jurburga, przez rząd zatwierdzonej, przy poręczeniu 4%:

1) W celu zbudowania tej drogi, ma się zawiązać towarzystwo akcyonaryuszów z kapitałem rubli sreb. pięć milionów, podzielonym na 50,000 akcji, po 100 rubli.

2) Zgromadzenie kupieckie libawskie, które z własnych funduszów zaspokoilo już koszta niwellacyi i robót przedwstępnych, otrzyma od towarzystwa odpowiednie wyłożonym kosztom wynagrodzenie w akcyach, tak za te, jako i za wszystkie inne aż do urzeczywistnienia projektu ponieść się jeszcze mogące wydatki.

3) Od zapisujących się nie jest żądanem zaliczenie na akcye, dopóki zapisy nie uczynią sumę trzech milionów rub. sr., koniecznych do zabezpieczenia przedsięwzięcia.

4) Skoro zapisy do trzech milionów rub. sr. dojdą, akcyonaryusze obowiązani są wnieść pierwsze zaliczenie na akcye 10% wynoszące; pozostałe zaś 90% wypłacone będą ratami w przeciągu trzech lat, w miarę postępu robot budowy drogi. Dozwala się jednak każdemu, kto by sobie tego życzył, wnieść z góry całą wartość akcyi

5) Na uiszczone zaliczenia, otrzymują akcyonaryusze kwity tymczasowe, które od chwili wystawienia przynoszą 4 procenta. Po ściąganiu trzechmilionowego kapitału, nastąpi zamiana tych kwitów na akcye, opatrzone 4% procentowymi kuponami w półrocznych ratach płatnymi, jak niemniej rewersami rozdzielowemi (Dividenden - scheine). Rozdział zysku nastąpi na wniosek Dyrekcji za zgodą ogólnego zgromadzenia akcyonaryuszów, przy składaniu rocznych rachunków.

6) Wszelkiemi działaniami towarzystwa trudnić się będzie podpisany tymczasowy komitet, wybrany z ramienia zgromadzenia kupieckiego libawskiego, aż do czasu ustanowienia Dyrekcji Głównej.

7) Komitet tymczasowy ułoży statut towarzystwa i przygotowuje plany budowy, przy pomocy obeznych z rzeczą inżynierów, i takowe po przyjęciu przez delegowanego, z grona akcyonaryuszów na ten cel wysłanego, przedstawi rządowi do zatwierdzenia.

8) Siedlisko dyrekcji głównej jest w Libawie. Osobna rada administracyi prowadzić będzie kontrolę dyrekcji. Liczba członków tak dyrekcji, jako i rady administracyi, statutem towarzystwa bliżej określona zostanie.

Członkowie w dwóch trzecich częściach wybrani będą przez akcyonaryuszów, a w jednej trzeciej przez zgromadzenie kupieckie libawskie, na imię którego udzieloną została koncesya. Również zgromadzenie to zastrzega sobie prawo wyboru naczelnika dyrekcji i technicznego dyrektora.

9) Dla dogodności akcyonaryuszów mieszkających za granicami kurlandzkiej gubernii, postanawia się, że każdy oddział akcyonaryuszów, posiadający kapitału nie mniej jak 500,000 rub. sr., będzie mocoen utworzyć komitet filialny w związku z dyrekcją główną zostający, dla kierowania interesami swego oddziału, ściągania rat i wypłat, wnoszenia do kassy głównej dyrekcji, jak niemniej trudnienie się rozplatą procentów rocznych do rąk swoich komittentów.

10) Prawo głosowania akcyonaryuszów na zgromadzeniach ogólnych, ustanawia się w następującym stosunku:

| | |
|--------------------------------------|-----|
| Właściciel jednej akcyi ma glos. . . | 1. |
| „ 5 „ glosów | 2. |
| „ 10 „ „ | 3. |
| „ 20 „ „ | 5. |
| „ 100 „ „ | 10. |
| „ 300 lub więcéj „ | 20. |

Więcéj nad 20 głosów jeden i tenże sam akcyonaryusz posiadać nie może. Pośrednie stopniowania, statulem bliżej oznaczone zostaną.

11) Wyżej wzmiankowane zasady i warunki udzielonéj koncessyi, stanowią zasadę przyszłego statutu towarzystwa.

12) Gdyby towarzystwo w przeciągu dwóch lat nie przyszło do skutku, uważane będzie za rozwiązane, a zapisane osoby wolne będą od wszelkich zobowiązań.

Libawa, dnia 27 stycznia 1849 roku.

Komitet tymczasowy drogi żelaznej Libawsko-Jurburgskiej:

Prezes i starszy zgromadzenia kupieckiego (podp.) *Ulich.*

(podpisano) *Günther.*

(podpisano) *K. Schnobel.*

Przystań libawska przed innemi portami rossyjskiemi nad brzegami morza Bałtyckiego, posiada następujące dogodności: najstosowniejszą jest do związków zagranicznych (jako najbardziej ku zachodowi położona); stanowi połowę drogi między Sundem a Petersburgiem; dla swego otwartego położenia, zawinięcie do niej łatwiejsze i bezpieczniejsze, jak

do portów zatoki Fińskiej i Rygskiej, do których przystęp utrudniają jużto ławy piaszczyste, już różne podwodne zawady, już burze morskie. Najważniejszą dogodnością zaś jest, że w porcie libawskim w zimie, tylko przez krótki czas, bo przez półtora miesiąca (od Nowego Roku do połowy lutego), żegluga bywa przerywana. Skutkiem tych okoliczności, libawski fracht okrętowy i premia assekuracyjne, o 25% są niższe jak Rygi; zaś o 40% tańsze jak Petersburga; nadto transporta ztąd wyszłe, o 2 lub 3 miesiące wcześniej, jak rygskio lub petersburskie na zagranicznych targach ukazują się.

Położenie państwa rosyjskiego, jako spichrza całej Europy, pod tym względem jest niedogodnym, że główne składy, jak Ryga, Petersburg, Archangelsk i Olessa, tylko krótko przed nowymi zbiorami mogą dostarczyć swoich mass zbożowych innym krajom; niema bowiem ani jednego portu, któryby w chwili najgwałtowniejszej potrzeby, zdołał wyprzewadzić znaczną ilość zboża. Niedogodność ta tém bardziej czuć się daje, że Ameryka północna zadaleko jest od Europy, aby zawsze w samą porę opatrzyć ją dostatecznym dowozem zboża. Z tych tedy powodów, każdy port rosyjski znacznie zbliżony do innych krajów morza Północnego, stać się powinien przedmiotem najwyższego interesu nietylko Rosyi, ale i wszystkich europejskich w handlu zbożowym współdziałających ludów. Miejsce tak zaszczytne, sprawiedliwie przynależy się portowi libawskiemu, gdy ten z wnętrzem kraju kolejami żelaznemi ściślej połączony będzie.

Po ośmioletnich przygotowawczych czynnościach, dojrzał projekt wybudowania kolei żelaznej z Libawy do Jurburga (Georgenburg), miasta leżącego w gubernii kowieńskiej (na Żmudzi) nad Niemnem, w punkcie, gdzie rzeka ta występując z państwa rosyjskiego, wchodzi ku zatocowi kuryjskiej (Kurisches-Haff) przez Prusy.

Rzut oka na mapę przekona o ważności nowój téj drogi komunikacyjnej. Zachodnie prowincye, mianowicie gubernie: kowieńska, wileńska, grodzieńska z Białymstokiem, mińska, równie jak i całe królestwo Polskie, oddzielone od

Baltyku przez Prusy, nie mają innéj styczności z morzem, jak Wisłą i Niemnem; któreto rzeki przebiegłszy w większej części kraje do Rosyi należące, przecież na pruskim gruncie wpadają do morza. Nawet odleglejsze strony, jakoto gubernie: witebska, mohilewska, ezernichowska, podolska i wołyńska, znaczną ilość produktów Niemnem splewają.

Prusy korzystając z swego położenia, nałożyły znacznej wysokości cło przechodowe na rosyjskie i polskie produkty, które stanowią w portach bałtyckich dla Memla, Królewca, Elbląga i Gdańska, główny materiał zamorskiego ich handlu. Takie cło opłacają nawet towary z Rosyi do Rosyi, przez Prusy przechodzące; a podczas niepomyślnych żniw r. 1840 w głębi Rosyi, gdy Petersburg z za morza opatrywać się musiał, zachodnie prowincye i Polska, obfitujące wówczas w zboże, nie mogły przyjść w pomoc stolicy państwa, bez opłacenia Prusom cła przechodowego, wynoszącego za mąkę i krupy po 15 sr. groszy za centnar, czyli 1 rubel i 35 kop. sr. za czetwerł (=6 szylingom za quarter, czyli 2 frankom 70 cent. za hektolitr).

Tyle niekorzystne położenie, zwróciło oddawna już uwagę rządu rosyjskiego na potrzebę obmyślenia stosownych środków, dla bezpośredniego połączenia z morzem Bałtyckim zachodnich części państwa, i ułatwienia tym sposobem związku tychże z północnymi prowincjami i obcymi krajami.

Już w tym celu założono przed 20 laty w królestwie Polskiem kanał Augustowski, który pod Grodnem wychodząc z Niemna, rzekę tę za pośrednictwem Narwi z Wisłą i Bugiem łączy, tworząc tym sposobem nieprzerwaną linię wodnej komunikacyi od Warszawy do Jurburga.

Jednocześnie za pomocą drugiego systemu kanałowego, przecinającego gubernią wileńską, połączyć miano Niemna z rzeką Windawą, i przez pogłębienie téj rzeki, komunikacyą wodną przedłużyć aż do morza; ale przedsięwzięcie to, dla nieodpowiednich założeniu kosztów, zaniechaném zostało.

Dzisiaj, gdy koleje żelazne zastąpiły po większej części komunikacye za pomocą rzek i kanałów, droga żelazna Libawsko-Jurburska (wymagająca nieporównanie mniejszego nakładu kosztów) odpowie celom, jakie rząd osiągnąć zamierzył przez budowę kanału windawskiego.

Droga ta zatem ma na celu: port Libawy uczynić głównym składem produktów zachodnich gubernij i wielkiej części królestwa Polskiego.

Rząd udzielił zgromadzeniu kupieckiemu Libawy przywilej na zbudowanie tej drogi, następującej osnowy:

1) Grunt lasów i dóbr do korony należących, a pod drogę żelazną potrzebny, udziela się towarzystwu bezpłatnie.

2) Podobnież i gmina miejska Libawy, udzieli bezpłatnie grunt pod drogę potrzebny.

3) Do nabycia prywatnych gruntów, w razie niemożności zawarcia ugody z właścicielami, użyte będzie prawo wywłaszczenia według istniejących przepisów.

4) Sprowadzone być mogą bez cła szyny zagraniczne, jeżeli fabryki w Rosyji nie podejmą dostawy tychże po cenie rub. sr. 1 kop. 42 za pud.

5) Sprowadzić dozwala się parochody zagraniczne bez cła.

6) Rząd poręcza towarzystwu czystego dochodu 4% od użytego kapitału zakładowego, do rub. sr. 25,000 na wiorstę, przez lat 25 od otwarcia drogi na całkowitej przestrzeni. W razie chwilowych zaliczeń rządu, takowe w następujących latach spłacane będą, z przewyżki czystego dochodu nad 4%.

7) Towarzystwo obowiązane jest na amortyzacyą kapitału, z czystego dochodu nad 5% rocznie po pół procentu odłożyć. Ponieważ wówczas umorzenie, podług wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpiłoby za lat 56, przeto trwanie koncessyi przy doliczeniu jeszcze lat 4, naznacza się na lat 60. Po upływie zaś tego czasu, droga przechodzi na własność rządu; ten jednak zastrzega sobie już po 30 latach eksploatacyi, prawo nabycia jej w drodze kupna, przyjmując dochód ostatnich lat 5 za zasadę do spłacenia.

8) Przed ostatecznym zatwierdzeniem, towarzystwo winno przedłożyć rządowi statut swój, plany i kosztorysy. Zarazem deponować ma 5% kapitału zakładowego, którego summa, mająca służyć za kaucyą na wypadek niedojścia do skutku w sprawie będącego przedsięwzięcia, użytą będzie na pokrycie możebnych procesów i pretensyj, za wyrokiem sądowym. Po otwarciu zaś drogi, depozyt ten z procentem towarzystwu zwróconym zostanie.

9) Na 8 miesięcy przed otwarciem drogi, przedstawi towarzystwo rządowi regulamin policyjny i taryfę transportową do uznania i zatwierdzenia.

10) Rząd zastrzega sobie nadzór nad robotami, zarządem i utrzymaniem drogi. Urzędników na ten cel z ramienia rządu delegowanych, Towarzystwo pociągnie.

11) Również przesyłki rządowe i pocztę bezpłatnie przewozić będzie, a na transportach wojska rabat 30% od cen przewozowych opuści.

Ażby należycie ocenić przyszłość drogi żelaznej Libawsko-Jurburskiej, dwojako potrzeba ją uważać:

1) Jako przedsięwzięcie osobne, zamykające w sobie samém środki powodzenia, i

2) jako początek przyszłej sieci dróg żelaznych, które z czasem pokryją żywno obszary Rossyi, przeznaczonę stać się przed innemi krajem dróg żelaznych, jużto dla zbliżenia ważnych punktów ogromnie odległych, już dla łatwości nabycia i taniości środków do budowy dróg takich.

Dokładne rozpoznanie i niwellacya gruntu, przedsięwzięte kosztem zgromadzenia kupieckiego Libawy, przez inżyniera w służbie polskiej p. Pollini, przekonały, że położenie i układ ziemi między Libawą a Jurburgiem, do budowy drogi nadzwyczaj są korzystne.

Grunt chociaż w większej części lesisty, w całej swęj rozciągłości 199 wiorst (=28 1/2 niemieckim milom, 213 kilometrom, a 132 1/2 angielskim milom) jest prawie nieprzerwanie równy i jednolity, a ziemia lekka. Konfiguracya gruntu nie wymaga nigdzie wielkich grobli ani przekopów.

a tém mniej tunelów. Linia nie przechodzi przez bagna, ani wielkie brody; na całej linii jedno tylko przejście przez rzeczkę Minia, wymaga mostu 400 sążni długiego (2800 stóp angielsk. albo 853 metrów). Roboty ziemne wymagają obrotu około 300,000 kubicz. sążni ziemi (1500 kub. sążni na wiorstę czyli 13600 metrów kub. na kilometr, a 25000 prętów na milę niem.). Wszelkie materiały do budowy, prócz żelaza, znajdują się na gruncie; mianowicie drzewo po nader umiarkowanych cenach. Prócz tego, nabycie gruntu pod kolej, bez porównania jest tańsze jak za granicą. Można więc śmiało przypuścić, że z pomiędzy wszystkich dotychczas zbudowanych dróg żelaznych w Europie, żadna nie przedstawia tyle korzystnej miejscowości, a żadna z niemieckich, tak małym nie mogłaby być wystawiona kosztem.

Podług p. Pollini, kosztorys budowy drogi z pojedynczą koleją, lecz w szerokości 28 stóp, jaka na podwójną kolej jest potrzebna, obejmowałby w przybliżeniu następujące cyfry:

| | |
|--|----------|
| 1) Karczowanie lasów i krzaków, rub. sr. | 50,000. |
| 2) Roboty ziemne | 590,000. |
| 3) Przejście przez rz. Minią (most ameryk.) . | 335,000. |
| 4) Mosty i kanały | 320,000. |
| 5) Budowa wierzchnia (750,000 pudów szyn) | 930,000. |
| 6) Stacje i budynki | 380,000. |
| 7) Przejazdy poprzeczne | 20,000. |
| 8) Nabycie gruntów (w skutek układów lub wywłaszczenia) | 75,000. |
| 9) Materiał i sprzęt eksploatacyjny | 530,000. |
| 10) Koszta dyrekcji. | 120,000. |
| 11) Procent od kapitału zakładowego w cza- sie trwania robót. | 250,000. |

Razem rub. sr. 4,600,000.

Nadto w przybliżeniu na komissowe, przed-
wstępne i nadzwyczajne wydatki. 400,000.

Summa ogólna rub. sr. 5,000,000
czyli rub. sr. 25,000 na wiorstę = 93436 fr. na kilometr,
a L. St. 6,080 na milę angielską.

Celem oznaczenia ruchu na tej drodze, odpowiedzieć potrzeba na pytania następujące:

1) Jak wielkim jest ruch teraźniejszy produktów, pomiędzy dwoma ostatecznymi punktami projektowanej drogi?

2) Jakie są dzisiejsze ceny transportu, w porównaniu z cenami dróg żelaznych?

Ruch w kwestyi będący obejmuje:

a) Transporta towarów, osiá teraz dokonywane między gubernią kowieńską a Libawą. Składają się takowe rocznie, średnio licząc z 356,000 pudów zboża, lnu, siemienia lnianego, konopi i innych płodów wywozowych, a z 335,000 pudów soli, śledzi i innych artykułów, przychodzących do kraju. Transport tych przedmiotów, oplaca się teraz na odległość 100 wiorst w zimie na saniach po 8—10 kop. a w innych porach po 14—20 kop. od puda. Że zaś droga żelazna transportu tych artykułów podjąć się może po 3 kop. za pud na 100 wiorst, więc nie podpada żadnej wątpliwości, że ona tego rodzaju transporta ku sobie ściągnie.

b) Transporta wszelkich innych artykułów, jakie obecnie osiá lub saniami z kowieńskiej gubernii do Libawy wysyłane bywają.

Z podobnychże jak wyżej wymienionych okoliczności przypuścić wypada, że transporta te przypadną drodze żelaznej, bo gdy wszystkie do Memla (Kłajpedy) prowadzące trakty poprzecinane będą przez kolej, która idzie równolegle od granicy pruskiej w całej téjże rozciągłości, przeto trakty te w przyszłości użyteimi tylko będą do dowozu przedmiotów do różnych stacyj drogi żel., celem dalszego ich przewozu koleją. Według obliczeń, zasiągniętych z komor celnych w Taurogach, Garsden, Nowém-Mieście (Neustadt), Kretyn-dze i Połudze, transporta te w latach 1843 i 4 średnio wynosiły 355,000 pudów zboża, lnu, konopi, siemienia lnianego, skór surowych i t. p. Co do przywozu w tychże latach, takowy obejmował, według deklaracyi, przedmiotów za rub. sr. 3,246,000 (wagi nie można było oznaczyć). Przypuściwszy, że większa część przywozu równie jak dowózki złota (wynosząca rub. sr. 1,025,000 wartości), przeznaczono-

na była dla wnętrza państwa, mianowicie Petersburga i Moskwy, ograniczymy się jedynie na przyjęciu w tej wielkiej ilości około 50,000 pudów soli, śledzi i t. p. artykułów do konsumpcyi gub. wileńskiej i kowieńskiej, choć ilość tych towarów niewątpliwie musiała być większą.

A zatem terazniejszy lądowy ruch towarów na linii drogi żel. projektowanej, wynosi w ogóle 1,096,000 pudów (18267 tons angiels.), to jest 711,000 pudów w jednym, a 385,000 w drugim przeciwnym kierunku. Można przewidzieć, że ruch ten pomnoży się rozlicznymi artykułami przemysłu krajowego, którym kolej zupełnie nowy nada popęd; np. transportem drzewa budulcowego i opałowego, które obecnie dla braku komunikacyi, na pniu puchnie; cegły, którą w niezliczonej ilości kraj fabrykować może, wapna i wiele innych tym podobnych skarbów, bez pożytku dzisiaj w ziemi zostających.

c) Winnibyśmy niemniej i te transporta przyjąć, które gubernia augustowska do Prus wysyła, a które w przyszłości nieochybnie na Jurburg się skierują; tych jednak liczb i ruchu nie znamy. Wspomnieć także winniśmy, że droga żelazna przyczyni się znakomicie do przytłumienia handlu defraudacyjnego na granicy prusko-rossyjskiej prowadzonego, przez wytrzebienie lasów, regularność i porządek służby drogowej, które dozwolą straży granicznej bliżej dozierać linii i nie dopuszczać defraudantów. Przytłumienie zaś kontrabandy, powiększy przywóz towarów do portu libawskiego, a tём samém przysporzy ruch na drodze żelaznej.

W ogólności możemy obiecywać, że przez wpływ kolei na ruch handlowy tych okolic, tenże w dwójnasób się pomnoży. Takie nadzieje nie są bynajmniej przesadzone, gdy weźmiemy na uwagę, że droga przerzynać będzie kraj żyzny, dotąd nieposiadający ani kanałów, ani dróg bitych, a którego handel i produkcya, dla braku komunikacyi rozwinąć się należycie nie mogły. Ruch wszakże wyżej wspomniany jest tylko widokiem podrzędnym; główna wartość drogi spoczywa w punkcie zetknięcia się jój z Niemnem pod Jurburgiem.

Niemen, znakomita rzeka biorąca źródło w gubernii mińskiej, od Grodna do Jurburga przedziela Polskę od Rosyi, i w biegu swym na 800 wiorst długim, różne spławne rzeki zbiera, jak np. od strony rossyjskiej: *Wilią*, płynącą przez gubernią wileńską i miasto Wilno; *Szczarg*, która Niemen za pośrednictwem kanału Ogińskiego z Prypecią, a przez tę z Dnieprem łączy. Od strony polskiej Niemen przez kanał Augustowski jest w związku z Narwią, Bugiem i Wisłą. Owoż Niemen stanowi główną komunikacją do prowadzenia produktów rozległych zachodnich gubernij i części królestwa Polskiego do morza. Zanim Niemen ujdzie do kuryjskiej zatoki (przy której leży Memel), dzieli się wprzód pod Tylżą na dwa ramiona: z tych południowe *Gilga* zwane, za pomocą kanału Fryderyka i małych rzeczek *Nemonin* i *Deina*, łączy się z *Preglem*, do *Królewca* dążącym. Niemnem spławiane produkta biorą więc dzisiaj kierunek w części do *Memla*, w części do *Królewca*, po opłaceniu przy wejściu do Prus znacznego cła.

Podług deklaracyj składanych na komorach celnych granicznych nad Niemnem, transporta tą rzeką wynosiły w latach 1843 i 1844 następujące ilości:

1) *Wywóz.*

a) Przez rossyjskie komory celne *Kowno* i *Jurburg*: 3,900,000 pudów zboża, siemienia lnianego, lnu, konopi, skór i t. d.; 1,250,000 pudów dębowych klepek.

b) Przez polskie komory celne *Kucharskinia* i *Aleksota*, położone na lewym brzegu *Niemna* naprzeciw *Jurburga* i *Kowna*, około 1,000,000 pudów siemienia lnianego, zboża, lnu i t. p.

Cały zatem wywóz na Niemnie (nie licząc w to budulcu) obejmuje 6,150,000 pudów (=102,500 tous angiels.) towarów kwalifikujących się bezwarunkowo do transportu kolejną żelazną. Prócz tego, spławiają Niemnem rocznie 240,000 sztuk belek sosnowych i świerkowych.

Dla uniknienia kwestyi, czy ostatecznie z wyżej wymienionych ładunków, kolejną na odległość 200 wiorst z korzyścią

wogą być przewożone, wyłączamy tymczasowo znakomitą tę masę z naszego obrachunku, i objaśnimy tę rzecz oddzielnie.

Można z pewnością twierdzić, że deklaracje składane na komorach celnych, nie były ściśle obliczone; władze bowiem celne dla oszczędzenia właścicielom czasu i kosztów wyładowania, nie żądają szczegółowego sprawdzenia mass towarów, i ładunki tylko przez przybliżenie oceniają. Z tego względu, przyjęć możemy rzeczywistą masę wywozu Niemnem w okrągłej summie na 7 milionów pudów rocznie (= 1 16,666 tons).

2) Dowóz.

Wynosi przez wspomniane wyżej komory celne, około 750,000 pudów (= 12,500 tons ang.) soli, śledzi, wina i innych artykułów konsumcyjnych.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób odbywają się transporta na Niemnie.

Wyżej wzmiankowane 7,000,000 pudów płodów przewożone są:

1) Na statkach ruskich (wicinami czyli bajdakami zwanych), docierających do wyższego Niemna i Wilii. Statki te w liczbie 200—300, wywożą około 2,250,000 pudów; gdy zaś są za wątle, aby je na zatokę Kuryjską do Memla sprowadzić, przeto albo wyładowują fracht w jednym z portów rzecznych, np. w Kownie lub Jurburgu, albo wyprawiają je pod Tylżę, kanałem do Królewca.

2) Na pruskich berlinkach, opatrzonych sterem i pokładem, a zabierających ładunki z Kowna, Jurburga lub Tylży. Liczba ich rocznie 600 — 800 dochodzi; transportują zaś około 3,500,000 pudów towarów, częścią do Memla, częścią do Królewca. Że zaś ładowanie towarów na wagony, większych kosztów za sobą nie pociąga, jak ładowanie na statki, przeto różnica kosztów nie będzie tu zawadą do wyprawiania ich koleją.

3) Resztę ciężaru, to jest 1,250,000 pudów, stanowią dębowe klepki do beczek, które już na statkach, już na tratwach splawiane bywają Niemnem aż do Russi. Stacya

ta przy ujściu Niemna nad zatoką Kuryjską leżąca, jest składem głównym jak i punktem centralnym handlu drzewnego, będącego prawie wyłącznie w rękach Memla; ku Królewcu bowiem idąca komunikacja wodna, nie kwalifikuje się wcale do splawów podobnego rodzaju.

Koszta transportu Niemnem.

Szyprom za transport łasztu (=120 pudów albo 2 tons ang.) od Kowna i Jurburga do Memla lub Królewca, płaci się średnio 8 talarów czyli rs. 7 kop. 20 za łaszt, czyli 6 kop. sr. od puda. Za transport kopy klepek dębowych (=50 pudów), po rs. 3 (kop. 6 od puda); prócz tego inne pomniejsze koszta: np. komissowe, assekuracyjne, i t. p. zwiększają koszta przynajmniej o 1 kop. na pud; czyli że w ogóle transport Niemnem wynosi po 7 kop. od puda, oprócz ceł pruskich. Te ostatnie zaś wynoszą po 3 sgr. za szefel (=36 kop. za czetwert') grochu, bobu, wyki; po 2 sgr. za szefel (=24 kop. za czetwert') żyta, jęczmienia i owsa; po 3 tal. za łaszt (=2 kop. za pud) soli; po 10 sgr. za beczkę (=30 kop. za beczkę) śledzi, i t. d.

Koszta transportu koleją.

Ponieważ droga nasza z wyjątkiem kilku miejsc jest prawie poziomą, a do transportu towarów niepotrzeba nadzwyczajnej szybkości, przeto koszta lokomocyi jak najniższe przyjąć możemy.

Do opalenia parochodów używa się drzewa, którego taki jest dostatek, że 100 stóp kub. płaci się rs. 1 kop. 25. Użycie koksu kosztowałoby 4 razy więcej.

Z tych powodów, jako też z powodu taniości kosztów budowy, możemy ustanowić taryfę przewozową towarów na 6 kop. sr. od puda za całą przestrzeń drogi, czyli po 3 kop. na 100 wiorst (=2½ feników prus. za centnar na 1 miłę niem.). Opłata ta w porównaniu z belgijskimi i francuzkimi, jest o 50% niższą; w niektórych jednak przypadkach, jest i tam 7 centim. za 1000 kilogr. na kilometr (=3, 12 kop.

za pud na 100 wiorst), co się do naszych cen zbliża. Oplata zaś na innych kolejach, jakoto angielskich i niemieckich, wszędzie od przytoczonych tu jest wyższą; a to z powodu użycia do opalenia parochodów w braku drzewa koksu. 4 razy droższego. Oplata na drodze od Petersburga do Carskiego Sioła, wynosi kop. 3,1 do 3,4 od puda na 100 wiorst; co ztąd pochodzi, że koszta drzewa tam wypadają na 4,77 kop. za przebieżoną wiorstę, a zatem znacznie taniej jak w Niemczech, gdzie średnio na 1 milę wypada po 1 tal. 3 sgr. Na paliwie tedy oszczędzamy średnio 22 sgr. czyli 60%, w porównaniu z kosztami na 19 drogach żelaznych niemieckich.

Na wielu niemieckich drogach okazało się w końcu roku 1844, że każda przebieżona mila kosztowała średnio 3 tal. 14 sgr. Jeżeli powyżej przyjętą oszczędność na drzewie, wynoszącą u nas sgr. 22, od tego potrącimy, będzie u nas mila 2 tal. 22 sgr., czyli 35 kop. przebieżona wiorsta kosztować.

Utrzymanie drogi i budynków, które na niemieckich drogach średnio 3600—4000 tal. kosztuje na milę, przyjmujemy u nas 4000 tal. na milę, czyli 514 rs. na wiorstę.

Koszta ogólne średnio na niemieckich drogach po ra. 2000 na milę wynoszące, przyjmujemy u nas 300 rs. na wiorstę. Podług powyższych danych, układamy następujący ogólny anszlag kosztów eksploatacyjnych:

Jak wykazaliśmy, całkowita massa towarów do transportu wynosi:

| | | | |
|--------|-----------|-------|-----------------------------|
| Na dół | 7,000,000 | pudów | na całą długość drogi. |
| — | 711,000 | — | średnio na połowę długości. |
| W górę | 750,000 | — | na całą długość. |
| — | 385,000 | — | średnio na połowę długości. |

Razem 8,846,000 pudów (=147,433 tons ang).

Przyjmując, że jeden parochód prowadzi pociąg obciążony 166 tons = 10 tysięcy pudami towarów, z szybkością 20 wiorst na godzinę, ruch transportów na naszej drodze takby się urządził:

700 pociągów na dół po 10,000 pud. a 200 wiorst = 140,000 wiorst do przebycia.

100 — — 5,000 — 100 wiorst = 14,000 —

700 — w górę 1,000 — 200 wiorst = 140,000 —

100 — — 2,750 — 100 wiorst = 14,000 —

Na transport osób przyjmujemy:

60 pociągów na dół — 200 wiorst = 40,000 —

200 — w górę — 200 wiorst = 40,000 —

388,000

na nadzwyczajne 32,000 —

W ogóle 420,000 wiorst do przebycia.

(=449,400 kilometrów =60,000 niem. mil =280,000 angielskich mil).

Zważywszy, że pociągi w górę idące obejmować będą dziesiątą część, a pociągi pomiędzy stacyami tylko czwartą część całego możebnego ciężaru, otrzymamy wielką oszczędność na sile pociągowej. Średnio jednak przyjmujemy wysokość kosztów transportowych po kop. 35 na wiorstę.

Ztąd ogólny anszlag eksploatacyi wykaże:

1) W dochodzie.

| | | | | |
|-----------------|---|-----|---------|--------------|
| a) Z transportu | | | | |
| ku dołowi | 7,000,000 pudów na 200 wiorst po kop. 6 | rs. | 420,000 | |
| | 711,000 — 100 — | 8 | — | 21,880 |
| b) Z transportu | | | | |
| ku górze | 750,000 — 200 — | 6 | — | 45,000 |
| | 885,000 — 100 — | 8 | — | 11,550 |
| | | | | rs. 497,880. |

Z transportu już istniejącego drogą zwyczajną (drzewa, cegiel, bydła i innych pomniejszych artykułów), przyjmujemy..... — 12,120

Z transportu osób spodziewamy się, chociaż nasza droga w takich massach osób przewozić nie będzie jak zagraniczne, jednakże przy ciągłym ruchu handlowym średnio 25 podróźnych tam, i 25 napowrót zabierając, na 200 wiorst, po rs. 3 — 150,000

Dochód ogólny rs. 660,000.

2) *Wydatkach.*

1. Koszta transportu: 420,000 wiorst do przebieżenia, po kop. 35. rub. sr. 147,000.

2. Utrzymanie drogi i budynków: 199 wiorst po r. s. 514 — 102,286.

3. Koszta ogólne utrzymania: 199 wiorst po r. s. 300 — 59,700.

Wydatek ogólny . . . rub. sr. 308,986.

czyli kop. 73,57 za przebieżoną wiorstę = 5,72 tal. za przebieżoną milę.

Billans.

Dochód. rub. sr. 660,000.

Wydatek (46,82%). rub. sr. 308,986.

Czysty zysk . . . rub. sr. 351,014.

czyli 7,02 procentu od kapitału r. s. 5 milionów, który aż nadto wystarczającym jest na budowę naszej drogi.

Nie obawiamy się, aby podane tu liczby można nazwać stroniczemi; utrzymywaliśmy wszędzie najściślejsze umiarowanie.

Co się tyczy dochodu, jest dowiedzioném, że skoro pomiędzy dwoma punktami drogi porusza się masa 150,000 angiels. tons., tém samém istnieje matematyczna pewność, że w tym kierunku zbudowana kolej dobrze procentować musi.

Zresztą przy obrachowaniach trzymano się ruchu obecnego, przez komory celne podanego: przewidzieć jednak łatwo, że kolej wiele nowych transportów wywoła. Doświadczenie we wszystkich krajach może być tego dowodem, a wypadek podobny tém prędzej w Rosyi miejsce mieć może, gdzie obfitość produktów wszelkiego rodzaju, wymaga tylko dobrze urządzonych środków komunikacji, aby się ruch handlowy jak najsilniej rozwinął. Rozwinięcie to wewnętrzne, pociągnie za sobą większy przyływ zewnętrzny do portu libawskiego.

Uwagi te z rzeczywistości i doświadczenia czerpano zdają się być dostateczne, aby naszej drodze żelaznej świetną zapo-

wiedzieć przyszłość, choćby nawet w początkach tylko zapewnione przez rząd 4% przynosić miała. Przecież wiele innych i większych przedsięwzięć wykonano, gdzie również zaspakajającego zapewnienia nie było; zapewnienia, które natomiast przedsięwzięciu nim się w przyszłości uświetni, bezpieczną nadaje podstawę.

W końcu nadmienimy, ile korzystnym może być transport drzewa spławianego obecnie Niemnem. Koszta spławu z Jurburga do Russi, wynoszą teraz wraz z komisso-
wem i cłem w Prusach rs. 24 za kopę belek, czyli po kop. 40 za sztukę. Do transportu koleją żelazną (przy zakładzie w Jurburgu młyna parowego do tarcia desek, co obecnie w Memlu się odbywa), można ten przedmiot tak obliczyć: Belka średniej objętości daje 20 kub. stóp desek; waga stopy kub. drzewa sosnowego, wynosi 1 pud. Ztąd ustanowić się mająca cena przewozu, uczyniłaby po kop. 2 za pud czyli za stopę kubiczną i t. d.

Nie możemy się wdawać w rozbiór korzyści, jakie drodze żelaznej pomiędzy Jurburgiem a Libawą są przyobiecane, potrzebamy na to bliższej znajomości miejsca i stosunków handlowych tamtejszych; zresztą dosyć obszernie i w sposób jasny traktował o tém autor powyższego artykułu. Tę tylko zrobimy uwagę, że wyszczególnienia i obliczenia przedmiotów transportować się mających, zazwyczaj po wykonaniu drogi nie sprawdzają się. Droga która zamierzyła wozić węgle, główny miéwa dochód z towarów; inna dla towarów zbudowana, utrzymuje się przez ruch osób i t. d., bo tak udoskonalona komunikacja jaką jest droga żelazna, nowe zupełnie wywołuje potrzeby i ruchy. Przecież jakkolwiek zmienić się mogą przewidywane artykuły przewozu na inne, to jednak nie było przypadku, aby droga żelazna na podobnej zmianie straciła.

Dodamy jeszcze kilka uwag technicznych, mniej od znajomości miejsca zależnych.

Łubo w ogólności biorąc przypuszczamy, że w opisaném położeniu zbudowaną być może droga żelazna około 30 mil długa. przez doświadczonego, dobrze z eksploatacją

obeznanego technika, zwłaszcza przy umiejętnem prowadzeniu linii, i trafnem zastosowaniu robót do przyszłego ruchu, a szczególnie ograniczeniu wydatków do potrzeb niezbędnych, za summę rub. sr. 5 milionów; nie możemy jednak pominąć kilku mylnie podanych cyfer. I tak, na stacye i budynki podano 380,000 rub. sr. a na materiał, sprzęt eksploatacyjny 530,000 rub. sr.

Stacye i budynki. Do téj kategorii należą: Domki drożnicze i domki dozorców, które w okolicy niezbyt zaludnionej, koniecznie są potrzebne dla wygody tych ofycjalistów, głównie nad utrzymaniem i bezpieczeństwem drogi czuwających. Stacye zwyczajne drugiego rzędu, gdzie prócz zabudowań na pomieszczenie służby, znajdować się winny składy paliwa, i przyrządzenia do brania wody. Dwie stacye przynajmniej znaczniejsze, na długość 30 mil, gdzie koncentrować się będzie usługa ruchu, gdzie będą stanowiska powozów, wagonów i parochodów, gdzie wreszcie oprócz wygod dla podróżnych, pomieszczą się ekspedycya towarów i znaczniejsze ich składy. Nakoniec stacya główna, gdzie siedlisko Administracyi i Dyrekcyi, gdzie warsztaty reperacyjne parochodów i powozów, z przynależnemi do nich machinami i t. p.

Jakkolwiek stacye te i zabudowania urządzone i rozłożone będą, zawsze na drodze 30 mil dłużej, 8 milionów pudów przewozu mającej, kosztować muszą 510 do 580 r. sr., zatem o 170 do 200 rub. więcej jak podano.

Materiał i sprzęt eksploatacyjny, czyli jak nazywamy tabor drogowy. Cyfra na ten przedmiot zdaje się być podana bez żadnego rozbioru. Kto jakiegokolwiek o eksploatacyi dróg żelaznych ma wyobrażenie, na pierwszy rzut oka dostrzeże niedostateczność téj summy. Koszt sprawienia taboru drogowego, potrzebnego na ruch zamierzony, ocenić należy na 950.000 do 1,100,000 rub. sr., to jest 420 do 570 tysięcy rub. sr. więcej, jak wykazano; gdyż samych wagonów sześciokołowych potrzeba 500, różnych powozów 100 a parochodów 36 do 40.

Obliczenia ruchu są także mylne, jako nieoparte na doświadczeniu. W ogólności koszty eksploatacyi od tyłu i tak rozmaitych okoliczności zależą, że ich wysokość z przecięcia wziętego z dróg zagranicznych oznaczać nie można, a tém bardziej potrącać od wynalezionój średniej wartości, oszczędność przewidywaną na pojedynczych artykułach.

Przyjąwszy, że koszty przebiegu pociągów czynić będą na miłę, jak średnio na drogach niemieckich 3 talary 14 sr. gr., nie możemy jednak potrącać 22 sr. gr. jako oszczędność na paliwie, z tego jedynie powodu, że 100 stóp drzewa w okolicy Jurburga kosztuje rub. 1 kop. 25: bo do téj ceny doliczyć potrzeba koszt rozwózki, zachowania, rznięcia i rąbania drzewa, któryto koszt znacznie cenę przygotowanego do użycia materiału podwyższa.

Nie zgadzamy się także na rachunek co do przebiegu pociągów. Wiadomo, że nigdy na pociągi kompletnie obładowane liczyć nie można, chociaż do tego ideału dąży każda dobra administracya. Różne w tém, czasem i drobne zachodzą przeszkody: najczęściej jednak dni słotne, śniegi, gołoledź i t. d. nie pozwalają normalną ilość ciężarów zabierać na pociągi. Pomijając nawet przeszkody nadzwyczajne, nie możemy na jeden pociąg zaliczać więcej nad 8 tysięcy pudów; a nadto nie możemy przypuszczać, aby transporta z pośrednich stacyj, oddzielnemi szły pociągami, bo cóżby za korzyść wypadła dla takich stacyj z drogi żelaznej, gdyby interesenci czekać musieli z odsyłką swoich transportów dopóty, dopóki się ich 8 tysięcy pudów nie nazbiera; co w jednych miejscach i w pewnych porach nastąpić mogłoby w ciągu tygodnia, a w innych miejscach i porach w ciągu sześciu tygodni. Już więc i z tego powodu, że pociągi o ile możności dla nienarażenia interesentów na zawód, zabierać muszą ciężary ze wszystkich stacyj, nie mogą być od początku do końca drogi kompletnym obładowane ciężarem.

Na przewiezienie około *ośmiu milionów* pudów jak sobie założyliśmy, po 8 tysięcy jednym pociągiem, potrzeba 1,000 pociągów w jedną stronę i tyleż napowrót przez ca-

łą długość drogi, a nie 700 przez całą drogę i 140 przez pół drogi, jak wykazano. Dziwną także byłoby rzeczą, gdyby w ciągu roku 200 pociągów osobowych chodziło, dla ułatwienia komunikacji pomiędzy tak handlowemi miastami, jak nam wystawiono; wypadłoby po 4 pociągi niespełna na tydzień. Cóż za rachuba? Przyjąć należy 365 pociągów osobowych w każdą stronę, to jest jeden pociąg dziennie, któremi także nieco towaru zabrać się może, tak, jak przy pociągach towarowych wysyłać należy powozy niższych klas dla osób, bo większa łatwość komunikacji ściąga podróżnych. Wypada więc co dzień po 4 pociągi w każdą stronę, czyli 300 wiorst, a na rok przeszło 600,000 wiorst.

Z tego co powiedzieliśmy wnosić należy, że koszta eksploatacji drogi od Jurburga do Libawy, wynosić mogą na rok nie 308,986 rub. sr., lecz około 430,000 rub. sr. Ale też z drugiej strony i dochód wyżej ocenić należy, bo taxa po 3 kop. od puda na 100 wiorst jest oczywiście za niską, i zapewne bez uszczuplenia ruchu do 4 kopiejek podwyższoną będzie.

Tym sposobem lubo inną drogą, przyszlibyśmy prawie do tego samego rezultatu, jaki wyżej wykazanym został co do czystego dochodu.

Zdaje się, że sam autor niewiele wagi do swoich obliczeń przywiązywał, albowiem na nich nie poprzestał, i rzecz w te słowa zakończył:

„Co się tyczy dochodu, jest dowiedzioném, że skoro pomiędzy dwoma punktami drogi porusza się massa 150,000 ang. tons, tém samém istnieje matematyczna pewność, że w tym kierunku zbudowana droga żelazna, dobrze procentować musi”.

Jesteśmy tego samego zdania, i szczerze życzymy, ażeby przedsięwzięcie tak błogo wpływające na ruch przemysłowy, handel i na ogólne dobro niemałej przestrzeni kraju, rychło i szczęśliwie do skutku przywiedzioném było.

W. Kolberg.

Wzmianka o niektórych obrazach Fr. Smuglewicza; w odpowiedzi na zapytanie w Kurjerze Warszawskim z r. b. n. 105 zamieszczone.

Przytoczone w Bibliotece Warsz. z miesiąca marca r. b. str. 454 obrazy Fr. Smuglewicza, w kościele ks. Benedyktynów na górze Śto-Krzyżkiej; znajdujące się, były powodem pewnemu lubownikowi sztuki krajowej do poczynienia zapytania w Kurjerze Warszawskim, czyli te obrazy są rzeczywiście pędzla Fr. Smuglewicza? czy niektóre obrazy podobnej treści w kościele ks. Kamedułów w Wigrach niegdyś będące, a obecnie podobno do kościoła w Suwałkach przeniesione, są także dziełem Smuglewicza? Wreszcie, czy te obrazy są oryginalne utwory artysty, czyli téż z włoskiego oryginału kopie? Czyniąc zadosyć chwalebnej ciekawości bezimiennego miłośnika naszego krajowego malarstwa, powiem, co o tych Smuglewicza dziełach jest mi wiadomo, sam zaś korzystając ze sposobności, dopraszać się będę bliżej świadomych o oświecenie mnie w szczegółach, o których dotąd wywieźć się nie zdołałem.

W kościele Śgo Krzyża na Łysiej-górze przy klasztorze ks. Benedyktynów, jest istotnie siedm wielkich obrazów oryginalnych utworu Franciszka Smuglewicza. Wymienienie ich w przytoczonym numerze Biblioteki Warszawskiej, nie jest zupełnie dokładne, ponowię je przeto w tém miejscu: w wielkim oltarzu *śta Trójca*, miara łokci $9\frac{1}{2}$ — $5\frac{3}{4}$. W oltarzach bocznych: *Emeryk syn Stefana króla węgierskiego, któremu anioł z obłoków wskazuje miejsce, gdzie ma wystawić klasztor*. *Helena matka Konstantyna czyniąca próbę cudowności Krzyża śgo na schorzałej osobie*. *Śty Józef*. *Śta Scholastyka z śtym Benedyktem*. *Zgon śgo Benedykta*. *Zwiastowanie N. Panny*. Te 6 obrazów są równej miary, po łokci $6\frac{3}{4}$ — $4\frac{3}{4}$. Obrazy te łysogórskie przez wilgoć wielce podniszczone zostały: troskliwość władzy starała się przeto uchronić je od zupełnej zagłady, a odnowieniem ich miał się zajmować Antoui Blank;

lecz gdy mu śmierć tego nie dopuściła, podjął się później restauracyi także już dziś nietyjący malarz Alexander Kolkular. Obrazy te przed niedawnemi laty oglądać można było w Warszawie; czyli na odnowieniu zyskały lub może straciły, powiedzieć nie mogę, gdyż ich po wyrestaurowaniu nie widziałem. Wiadomo jest wszakże każdemu sztuki malarzkiej znawcy, ile dla jój lepszych dzieł niebezpieczne bywają restauracye.

W Wigrach w pięknym kościele księży Kamedułów, znajdowały się obrazy pędzla Fr. Smuglewicza. Wiadomość o tém zapisał sam Kuryer Warsz. w r. 1841 nr. 284, str. 1347. Obrazy te podziwienie bezimiennego miłośnika wzbudzające, nie mogły być, jak mu powiadano, w połowie XVI wieku z Włoch przez ks. Kamedułów sprowadzone; zakon ów albowiem dopiero w początku XVII wieku przybył po raz pierwszy do Polski, a klasztor w Wigrach fundowany został za czasów panowania Władysława IV. Nadmienić tu muszę o pomyłce przez uczonego Ambr. Grabowskiego uczynionój, który utrzymuje (Opis Krakowa, wyd. 4te, str. 328), że ten klasztor zwany był Mons Pacis; nazwa ta bowiem nadaną była innemu klasztorowi tychże księży Kamedułów w Pożajściu, niedaleko Kowna, fundacyi Krzysztofa Paca kanclerza W. ks. lit. za panowania króla Jana Kazimierza. Klasztor ten i kościół ku czci stój Małgorzaty *dei Pazzi* z Florencyi poświęcony, zbudowany z niezmiernym przepychem, przyozdobiony był wielu bogactwy i najokazalszemi sztuk pięknych dziełami, od założyciela zaś Mons Pacis nazywany. Z Włoch sprowadzeni artyści mieli się tą budową zajmować, a archiwa rodzinne Paców zawierać mają rachunki wykładu na ten klasztor, sumnę 8 milionów złp. przenoszącą.

Że obrazy Fr. Smuglewicza tak na Łysój-górze jak w Wigrach znajdujące się, nie były kopiami, lecz oryginalnemi jego utworami, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Znamienity ten artysta uposażony był wielką twórczością wyobraźni, a długim pobylem we Włoszech wpatrzył się w arcydzieła sztuki, przejął się wyższém ich pojęciem; teki jego

przepelnione były szkicami większych kompozycyji historycznych i biblijnych. Nie potrzebował on kopiowania lub pożyczania cudzych pomysłów, posiadając zasób nieprzebrany własnych, których mu bujna wyobraźnia nauką wsparta ciągle dostarczała. Nie robił też wcale kopij; a jeżeli mu co brakło, to raczej niezawsze dostateczna pilność w wykonaniu, niezawsze trzymanie się natury w szczegółach, ztąd też pochodzi wielka nierówność wartości artystycznej jego mnogich prac malarskich. Podobieństwo, które upatruje szanowny zapytujący w układzie dwóch obrazów stój Scholastyki w kościele Śto-Krzyżkim i Wigierskim, posłużyć tylko może za nowy dowód, że tak jak pierwszy, tak też i drugi pędzla jest Fr. Smuglewicza.

Należy tu wynurzyć wdzięczność redakcyi Kuryera Warsz. za wieloliczne nader zajmujące wspomnienia o dziełach sztuk, przechowujących się w kraju naszym z odległych czasów. Badaczom; ich dziejów nieraz korzystając z nich w źródle tém przychodzi; życzyłyby tylko trzeba, żeby tyle pożądane tego rodzaju wiadomości, opierane zawsze bywały na niejakić historycznej krytyce i dokładności, inaczej bowiem zamiast nauczać, w błąd tylko wprowadzać mogą. Tak więc mówiąc tu o dziełach Fr. Smuglewicza, przywiodę jeden szczegół: w r. 1841 w nrze 148 przytacza Kuryer Warsz. ciekawy obraz historyczny w kościele ks. Reformatów w Warszawie znajdujący się, który przedstawia *nadanie przez Zygmunta III przywileju ks. Reformatom*. Kuryer utrzymuje, że obraz ten jest tworem Smuglewicza, gdy tymczasem rzecz się ma wcale inaczej: bo ten obraz malować miał w czasie Włoch, uczeń Annibala Vinci, a Smuglewicz go tylko odnawiał za rządów króla Stanisława Augusta, o czém można było z łatwością przeświadczyć się na miejscu, prostém obejrzeniem naoczném.

Obrazy klasztoru Wigierskiego mają zdawna sławę z piękności swojej. Śmiem tu z mojej strony upraszać osoby bliższą o nich wiadomość posiadać mogące, o łaskawe jej udzielenie mi, nie tylko zaś co do obrazów Smuglewicza, ale

i co do innych, jakieby ten przybytek ozdabiały. Były tam zapewne i z dawniejszych czasów piękne obrazy, malarzy czy krajowych, czy cudzoziemskich; wykrycie ich nazwisk przy dokładnym opisie dzieł samych, zdołałoby uzupełnić w niejednym szczególe zasób wiadomości o sztuce krajowej w ubiegłych wiekach. Równie pożądanym byłby mi wykaz obrazów i ich malarzów, które znajdowały się w słynnym niegdyś klasztorze ks. Kamedułów w Pożajściu. Wreszcie co do samego już Fr. Smuglewicza, usiłowałem zebrać o ile można było dokładne wiadomości tak co do żywota, jak prac malarskich tego naszego znamienitego artysty. Liczne jego obrazy rozproszone są dziś nietylko po rodzinnym kraju, lecz téż i za granicą: są one i we Włoszech, i wiele poszło do Anglii. Nie miał ten malarz zwyczaju utrzymywania wykazu czyli spisu dzieł przez siebie wykonywanych; przytrudne jest więc dziś zebranie o wszystkich wiadomości. Wykaz tworców jego malarskich, udało mi się dotąd posunąć do blisko dwóchset numerów; lecz to jest część tylko wielolicznych dzieł jego. Z wdzięcznością oczekiwać będę nowych pod tym względem od światłych sztuki krajowej miłośników oświeceń, o które w szczeréj chęci wygotowania dokładniejszej i zupełniejszej pracy, dopraszać się usilnie nie przestaję.

E. Rastawiecki.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Mając zamiar przesać redakcyi do ogłoszenia opis mój geognostyczno-górnicy formacyi gór węglowych i wapieni kruszcowych, uprzedzam takowe ogłoszenie niektórymi uwagami nad dziełem p. Oeynhausena radcy górniczego w Szlązku, co do natury tych formacyj.

P. Oeynhausen w obszerném i dokładném dziele swojém, pod tytułem: „Opis geologiczny górnego Szlązka”, dotknął w swojej uytocznej pracy nasz kraj, i piękném piórem skre-

ślił i oznaczył rozciągłość, stosunki i naturę skał i formacyj w okolicach Krakowa, Olkusza, Siewierza, Olbroma, Pilicy, Miechowa, Wiślicy, Zarek, Olsztyna, Częstochowy i Wielunia. Okolice te tak bardzo interesowne pod względem naukowo-górnym, zasługują na bliższe jeszcze rozpatrzenie, i na zbiór liczniejszych obserwacji, któreby naturę tych użytecznych gór dokładniej oznaczyć dozwoliły. W tym celu przytaczam niektóre moje uwagi, co do zmian stanowiska geognostycznego, jakie p. Oeynhausen takowym naznacza.

Piękna i wielka praca autora, dowodzi szczerego zamiłowania, naukowego usposobienia, nakoniec znakomitego talentu w obserwacjach i determinowaniu skał. Rozpatrzenie bowiem własności tak obszernej okolicy, i tak rozlicznych i odmiennych gatunków formacji i utworów, wymaga długiej pracy i wprawnych doświadczeń. Autor umiał korzystać z różnych objaśnień i opisów, a mianowicie Puscha, Beckera i Karozego, i jak sam oświadcza, zawdzięczając życzliwą pomoc urzędnikom górniczym w Szlązku i Polsce; jednakowoż opis jego, z wszelką dokładnością klasyczną wypracowany, niedosyć jest krytyczny i praktyczny.

Na szczególną dokładność pod tym względem zasługuje opis gór węglowych dawniejszej formacji, których rozpoznanie głównym zapewne było przedmiotem osobistej pracy autora; lecz pokłady kruszcowe w wapieniu, tak pod względem gatunkowości, sposobu ich ułożenia, jak również co do odmian, wcale niedokładnie, a nawet błędnie są opisane. Pokłady bowiem kruszonośne są różnego gatunku: albo ołowiane, w których galman tylko jako przypadkowa masa się znajduje, jak w kopalniach siewierskich, mianowicie w Wojkowicach Kościelnych; albo czysto galmanowy, w pomieszaniu z wapieniem wierzchnim, jak w Strzemieszycach, pod Sławkowem i w Bukownie; albo w połączeniu z ołowiem białym i to w stanie eolitycznym makowym, z glinką siwą, jak przy rudach żelaznych w Górze i Bobrownikach; albo w pomieszaniu z siarczykami ołowiu,

jak w Olkusz. Starczyno wie i w Bolesławiu. Wapień nadkruszcowy, który z massami kruszców w jednostajnym jest związku, również odmienna swe charakteru. i te są bardzo uderzające, porównyując takowy z Wojkowie Kościelnych a z Olkusza.

Wapień biały w całej rozciągłości od Krakowa aż do Wielunia, podciąga autor pod jednogatunkowy utwór. Jakież może zachodzić podobieństwo pomiędzy łomami tego kamienia krakowskiego i tęczynskiego, a łomami w Olsztynie i Częstochowie? Pierwszy zbliża się do wapienia twardego przechodowego, drugi do wapienia królowego; odmiany takowe w nim, jakkolwiek postępują powoli i niewidocznie, nie pozwalają go uważać jako jeden utwór. Tak samo przechód wapienia kruszcowego w biały, jest błędnie oznaczony; albowiem przeciwnie wapień biały bardziej zbliża się do wapienia nadkruszcowego, niż podkładowego, lecz pierwszy uważać należy w tych odmianach i własnościach, jak się przedstawia w okolicy Okradzionowa, Łosnia, Ząbkowie i Turznejbaby. Porównyując z is wszystkie te wapienie z sobą, zdaje się, iż wapień krakowski zbliżony jest do wapienia podkładowego, wapień zaś siewierski i pilicki do wapienia nadkruszcowego; na tych zasadach ciąg takowych gór odznacza się, i tworząc jedną formację, różno przybiera własności. Nie można także odmawiać posad kruszcowych wapieniowi białemu; w najgłówniejszym bowiem ciągu takowych gór od Pnicy do Ołbroma, szczególnież w Swolemin, znajdują się zroby ołowiane i ślady dosyć obfitych siarczyków tego metalu; a nawet rzadkie są łomy kamienia na całej tej obszerniej przestrzeni, aby ziarenek ołowiu sarkowego w nich nie znajdowano. Także pod Ogrodzińcem, dadzą się zbierać takowe siarczyki na powierzchni ziemi, w piaskach lub glinach; jestto fenomen powszechny w tamocznej kruszcowej okolicy, który najlepiej wyjaśnia naturę posady kruszców, na co autor wcale nie zwrócił uwagi. Te dowody właśnie kwalifikują wapień biały do bliższego rozpoznania pod względem kruszców.

Ta główna odmiana stosunków i stanowiska gór kruszcowych, szczególnie wapienia białego, przeciwko twierdzeniu p. Oeynhausena, da się jeszcze tém doświadczeniem uzasadnić:

Wapień kruszcowy, zgodą wszystkich geognostów, jest wapieniem formacyi alpejskiej, to jest sformowany w epoce najwięcej zbliżonej do wapieni przechodowych. Stan pozostałości zwierzęcych, jaki się przedstawia w łonie wapienia białego, naznacza mu daleko późniejszą epokę utworową: tylko formacją Jura. Pomiedzy temi dwiema epokami, zachodzi długi peryod czasu, przeznaczony dla osadów soli kamiennój, które się tworzyły z ustępowaniem i wysychaniem wód morskich, i te dopiero wzmocniły siłę życia zwierzęcego, która była podstawą następnych utworów Jurajcznych. Z téj zapewne zasady, p. Rost wyprowadził plan poszukiwania soli kamiennój pomiedzy temi dwiema formacyami, i wykonał takowe otworami i swidrowemi w Tucznójbobie i Siewierzu. W Siewierzu na 400 stóp głęboko dowiercił prób siarczyków ołowiu. Gdy zaś wszystkie rudy metaliczne tylko z wapieniem nadkruszcowym się łączą i mieszają, i od wapieni spodnich są zupełnie, a nawet pewną epoką czasu oddzielone; przeto nie ulega wątpliwości, że wapień biały siewierski jak również pod Chruszczobrodem, Wysoką i t. d. pochodzi z natury wapienia nadkruszcowego, i że w nim również spodziewać się należy użytkowych posad kruszcowych.

Wapienie sandomierskie, t. j. chęciński i kielecki, różnią się zupełnie od pierwszych i co do gatunku, i co do sposobu znajdowania się w nich kruszców, jak również co do natury skał i kształtu samej powierzchni; autor zatem z wielkim błędem takowe z sobą łączy i porównywa. Rozciągłość tych gór, natura i epoka ich powstania, jako też stosunki z przyległemi formacyami, sąto przedmioty bardzo ważne, rzucające światło na wielkie zamierzenia górnicze, poszukiwalne i dobywalne, tak pod względem soli kamiennój, jako też i drogich metalów, mianowicie srebra, miedzi i ołowiu. Co do téj formacyi, zdanie p. Oeynhausena

i Bekera jest zupełnie przeciwne zdaniu Blödego i Puscha; w opisie moim przytoczę takowe i porównam obydwóch stron dowody, z naturą miejscowych obserwacyj.

Formacją gipsów w dolinie Nidy, uważa autor jako odnogę utworów solnych w ieliczkowskich; byłoto uprzedzenie Beckera, które autor bez krytyki pozostawił. Gipsy bowiem te łączą się z wapniem muszlowym i są dużo późniejszej formacyi.

Późniejsze pokłady węgla, autor za lekko bierze, i w krótkości je opisuje; że te są cienkie, dają gatunek węgla miękki i kruchy; wnosić więc ztąd można, że nie zastanawiał się nad robotami górnictwem w Wysoce, w Rokitnie, a nawet w samej Porębie, o której wspomina. Węgla wprawdzie nie są grube, bo dochodzą do 24 cali, lecz ich gatunek jest nawet dużo lepszy od dąbrowskich i będzińskich; jeżeli zaś nie są użytkowane, to powodem jest, że im towarzyszy znaczny napływ wód, i że dzisiejsza wartość węgla w tamtej okolicy, nie opłaca kosztów ich wydobycia; lecz zawsze są kosztownym i użytecznym skarbem dla przyszłości.

Geologiczne stanowisko rud żelaznych ilastych, także mylnie jest oznaczone; liczy je bowiem w ogólności do formacyi napływowej. Pokładów siwych glin nie można uważać za napływy: sąto najregularniej uwarstwowane massy, w bliskości formacyi wapienia leżące, które także mieszczą w sobie bardzo regularne ławice sferosyderytowych rud żelaznych, jak w Kostrzynie, w Bargłach, w Kamienicy, w Jastrzębiu, w Wysoce pod Żarkami, w Rudnikach i w bardzo wielu innych miejscach, ta formacja jest tylko właściwą okolicy wapienia białego i niejako podziela takowy z formacją młodszych piaskowców. W dalszej rozciągłości gór napływowych wcale jej niema, lecz w miejsce tej, są gliny szare, żelezione, czasami zwapnione, które są bardzo częste w nasepach piaszczystych, i z niemi przedzielają. Te tak samo są uposadzone jak autor opisuje; lecz z pierwszymi nie mogą być za jedno wzięte. Co się zaś tyczy rud ilastych pod Końskimi, Drzewicą i t. d., podciągnięcie takowych do formacyi napływowej, jestto fałszywa hipoteza w przed-

miocie dotykającym. Rudy te zupełnie innego są utworu: formują cienkie ławice w piaskowcach łupkowatych, które po kilka na sobie leżąc, warstwami takowych łupków są poprzegradzane, tak, iż kilka razem warstewek rudnych jednym przedkiem mogą być kopane. Autor nawet nie widział tych kopalń, a mianowicie w Rzucowie, Chlewiskach, w Borkowicach, w Korytkowie, Przysusze, i po wielu innych miejscach. Znajduje się wprawdzie ruda żelazna mialka, ilasto-brunatna, żółta, w glinach lub piaskowcach natozonych, jak np. pod Gowarczowem, na Fidorze, w Krasnym i t. d., w gniazdach niedosyć obfitych, lecz i tych formacya nie jest napływową; leżą bowiem na piaskowcach łupkowatych, nad pokładami rud żelaznych kamionkowych, i do tych głównie należą. Formacyą tę policzyć można do piaskowców młodszych węglowych, lecz w własnościach bardziej zbliżonych do formacyi trzeciorodnej, niż napływowej.

W ogólności praca ta przynosi wielką zasługę i zaletę autorowi; daje najlepsze wyobrażenie geognostyczne o okolicy którą opisuje, o rozciągłości skał, ich gatunku, o położeniu pionowem okolicy i szczegółowych miejsc; lecz żadnych wniosków poszukiwalnych wyprowadzić z niej nie można, a te które tworzy, są błędne i do rezultatów nie doprowadzą. Ażeby usprawiedliwić te moje krytyczne objaśnienia, przytoczyć tu muszę dwa główne w tym przedmiocie wnioski autora, które z uwag i obserwacyj swych wyprowadza. Góry wapieni checińskich uważa autor jakoby były w wielkiem zagłębieniu siodełkowatém, połączone z wapieniem kruszcowym, a w przestrzeniach tego zagłębienia wapień biały i inne późniejsze je mu przyległe góry potworzyły się. Z tą myślą uważa podobieństwo wyniosłej skały konglomeratu krzemionkowego pod Parzynowem, z olbrzymiém pasmem gór Śgo Krzyża; a rozpatrując się w istnieniu kruszców, jakie w tym obrębie geologicznym zachodzą, wyprowadza wniosek do poszukiwań kruszcowych. Te dwie formacye gór kruszcowych, nie dadzą się z sobą porównywać, a cóż dopiero łączyć; ich posady kruszcowe zupełnie są różnorodne. Dlatego wniosek ten jest w zupełności błędny.

Co do drugiego, podciągając utwór rud żelaznych ilastych do formacji napływowej, którą słusznie uważa za rozległą uposażoną w dalszym ciągu Polski i Rosyi, nustręcza myśl do poszukiwania takowych rud. Bez wątpienia, formacja napływów i nasepów piaszczystych, na paraset mil rozległa ciągnie się, tak wzdłuż morza Bałtyckiego, jako też w poprzek w kraje Polesia i Kijowa; lecz na tej całej przestrzeni nie same tylko nasepy dają się widzieć; w wielu bardzo miejscach z wielkiej toni tych gór, wydobywają się i takowe przerzynają masy wapienne, które na powierzchni przedstawiają się w stanie gliniek wapiennych, a w głębokości coraz więcej twardnieją i okazują charakter formacji kredowej. Obok tych wapnistych gliniek, prawie zawsze towarzyszą im obszerne pokłady glin szarych, które także mają część żelaza, a nawet niekiedy formują cienkie warstewki glinki okrawej, która przybiera często budowę nerkową, właściwą rudom żelaznym. Te okrawe żółte glinki widzieć można często w przerzynach koryt rzecznych, w dołach glin garncarskich i ceglarskich i t. d., lecz czyliż kiedy i gdzie znalezionym był ślad zbitych sferosyderytowych kamionek bogatej rudy żelaznej, jakie w siwych glinach pankowskich, koziogłowskich, żareckich, nakoniec w całej formacji węglowej są pospolite? Czyliż zatem wniosek takowy może być praktycznym?

W końcu autor oznaczając w tej formacji wielką obfitość narzutów kamieni, które jako odlamy gór pierwotnych uważa. daje to zdanie, że wapnistość w formacji napływowej, okazuje się być małą i rzadką. Zdanie to jest błędne, albowiem wapnistość w górach napływowych, również może stosunkowo jest tak wielką, jak i takowa na przestrzeni pasma gór warstwowych, jakkolwiek w pomieszaniu i nieregularnym utworze. Wielkie masy żwirów wapiennych, różnej natury tego gatunku glinki, nakoniec obfite odlamy skał wapiennych, które zastępując miejsce kamieniołomów, ubogacają tym materialem całe okolice, najlepszym tego są dowodem.

Nakoniec nie mogę pominąć także obojętnego wyrażenia się autora co do rud żelaznych łącznych. Podaje, iż rudy te są twar dotopliwe, ubogie, źle dają żelazo, i na wytop w wielkich piecach mało użyteczne, i zaleca takowe masy jako materiał budowlowy. Jeżeli pod nazwą rud żelaznych łącznych, uważać będziemy piasek żelazisty, silnie spojony w kamień masą wiązalkową fosforanu niedokwasu żelaza, wtenczas zgodzę się na takowe zdanie; lecz jeżeli uważmy rudę żelazną łączną czysto wydobytą w rozmaitych odmianach, to jest: łupkowo-skorupiastą, kruchawą i rozsypującą się tatarczasto, takowa ruda jest płynną w topieniu, bogatą równie jak rudy brunatne co do procentu, daje żelazo płynne, szczególnie dobre na wszystkie odlewy, a przy staranności wyrobieniu daje najlepszy gatunek żelaza płuznego. Gatunek ten jest wprawdzie twardy i kruchy na zimno, lecz przy stosownie urządzonej manipulacji fryszerskiej, która ma na celu odłączenie przez wapno fosforu, można ten stopień kruchości tak dalece zniżyć, iż żelazo to bardzo korzystnie może być używane, nawet na delikatne okucia. Rudy zatem takowe w krajach, gdzie innych tego gatunku formacji niemasz, powszechnie są najobfitsze, a wtenczas są wielkim i użytecznym skarbem, czego dowodem są fabryki żelazne w Holandyi i w wielu miejscach w Rosyi. Jako zaś materiał budowlowy mogą być tylko używane w wielkiej potrzebie i niedostatku, gdyż albo są bardzo twarde i gruzłowate, albo kruche; ztąd nie dadzą się obrobić, i napełnione dosyć wodą krystaliczną, nie mogą sformować silnego i trwałego spojenia z wapnem na mur.

K. Kossowski.

Wiadomości literackie i artystyczne krajowe i zagraniczne.

Podług statystyki księgarstwa we Francyi, w ciągu 1843 roku wyszło tam z druku dzieł w rozmaitych przedmiotach we francuzkim i innych językach 7,234, zaś rycin i litogra-

fij 1055. Ogółem dzieł 8,289, nie licząc mnóstwa nowych dzienników i gazet, których większa część wkrótce wychodzić przestała.

* W dniu 1 stycznia b. r. umarł w Lipsku w 63 roku życia jeden z najznakomitszych helenistów w Europie, professor łamecznego uniwersytetu Jan Gottfried Hermann, Urodzony w roku 1772, już w roku 1796 był profesorem, a pierwszą literacką jego pracą była znakomita rozprawa po łacinie *De poeseos generibus* w r. 1794 wydrukowana. Dla strzymania katedry, napisał: *Observationes criticae in quosdam locos Aeschyli et Eurypidis*. Atoli najstarsze było wydanie jego starożytnych klasyków z przypisami krytycznemi, któreto dzieła stawiły go w rzędzie pierwszych filologów naszego stulecia.

* Nowy dowód iż gieniusz nie starzeje się, bo oto sędziwy duński poeta Oelenszläger w bieżącym roku obdarzył swoją publiczność dwoma nowemi poetycznemi dziełami. Jedno z nich jestto epopeja pod tytułem: *Lodbrok Ragnar*, a drugie w rodzaju dydaktycznym, pod tytułem: *Digtekunsten i Poesier* (tojest poezye i o sztuce rymotwórczej). W dziele tém autor obejmuje nie tylko teoretyczne prawidła poezyi, ale oraz objawia swoje zdanie o poetyczném wychowaniu człowieka.

* Rząd francuzki w byłej drukarni królewskiej drukuje teraz dwa wspaniałe dzieła, jakimi są: 1) *Le Panthéon, documents réunis pour servir à une restauration, publiés par L. de Laborde et A. Paccard*; 2) *Musée de Sculpture de Clarea*.

* Świeżo wyszły dwudziesty tom „Kurs historyi” professora Donu (*Cours d'histoire par M. Daunou*) zakończa to znakomite dzieło, zawierające znajome lekcyje tego sławnego professora. Dzieło podręczne, ważne i nieodzownie konieczne dla każdego zajmującego się naukami historycznemi.

F. M. S.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Ciepłik nagromadzając się w ciałach, rozszerza i czyni je mniej lub więcej świecącymi w ciemności. Ważne następczą się pytania przy obserwowaniu tego zjawiska: czy temperatura potrzebna do rozszerzania ciał zawsze jest jednakową, czyli zmienia się z naturą ciała? jaki jest stopień ciepła odpowiadający świeceniu ciała? jakie kolory przybiera ciało poddane działaniu coraz wyższych temperatur? a na koniec jaki związek zachodzi w różnych peryodach zarzenia między temp. ciała a ilością rozrzuconego światła i ciepłika?

Draper (z Ameryki) roztrząsając przywiedzione pytania, rozpałał za pomocą stosu Grove, drut platynowy długi na $1\frac{1}{3}$ a szeroki na $\frac{1}{20}$ cala, utwierdzony jednym końcem w postumencie, a na drugim końcu utrzymujący ciężar, przeznaczony do naciągania drutu. Temperaturę obrabowywał na mocy hipotezy, że rozszerzanie platyny proporcjonalne jest do temperatury. Stopniując siłę strumienia elektrycznego za pomocą reo-statu, autor zwiększał ciepło w drucie do tego stopnia, iż w końcu platyna w ciemności ukazywała kolor czerwony. Z wielu obserwacyj obliczył, że temperatura odpowiednia temu stopniowi rozszerzenia platyny, wynosi 420° R.

Nagrzewając w rurze od flinty, której zapal został zamknięty, platynę, miedź, antymon, wapno, marmur i t. d.;

obserwował chwilę, gdy rura była rozpaloną do czerwoności, i chwilę, gdy materiał w niej umieszczony również świecącym się okazywał. Między obydwoma momentami nie można było dostrzedz żadnej różnicy w czasie; w miarę wzmocnienia ognia, jednocześnie oba ciała zmieniały swój kolor, i po wyjęciu z ognia i umieszczeniu w ciemni, także jednocześnie utracaly swą świetność. Do badania kolorów jakie przybierały ciała rozpalone, autor używał pryzmatu z czystego flintglasu, który umieścił w pewnej odległości od drutu platynowego. Poprzednio w miejscu gdzie wisiał drut, ustawił Draper przegrodę ze szparą podłużną, takiej szerokości, jaką drut posiadał, i przez nią światło przepuszczał. Widmo powstałe z wiązki promieni światła słonecznego, przechodzącej przez szczelinę podłużną, po załamaniu się ich w pryzmacie, obserwowano za pomocą lunety, opatrzonej mikrometrami, a to w celu dokładnego oznaczenia linii Fraunhofera.

Następnie rozpalając umieszczony w miejscu przegrody drut platynowy, śledził autor widmo powstałe z załamania się promieni, rozchodzących się ze świecącej platyny. Początkowo część widma z drutu platynowego, odpowiadająca kolorowi czerwonemu, była krótko - trwała; lecz w miarę zwiększania temperatury w drucie, widmo rozciągało się ku błękitnemu kolorowi, i przy pewnej temperaturze w lunecie można było widzieć wszystkie kolory widma słonecznego, wyjąwszy promienie jego skrajne, zbyt słabe dla oka obserwatora. Ilość promieniejącego ciepłika, autor oznaczył za pomocą termomultiplikatora, instrumentu który już tyle przysług wyświadczył i tyle nowych wykrył fenomenów. Z tablicy ułożonej według wypadków doświadczeń, porównyując temperaturę platyny, moc ciepłika i światła, okazuje się, że moc ciepłika promieniejącego i światła, proporcjonalne są do przyrostu ciepłika w drucie. (*Pogd.* nr. 9, 1848.

* J. Luvini opisuje następne doświadczenie, mogące z korzyścią być powtarzanem nie tylko przy użyciu telegrafów lunetowych w czasie trwania węgly, lecz także przy wielu

geodezyjnych pracach, odbywanych za pomocą lunet. Jeżeli między dwiema stacyami telegrafuzalegnie mgła gęsta, tak, że osoby na jedoń stojące z trudnością zaledwie mogą dostrzedz odpowiednią stacyą, wówczas umieściwszy między okiem obserwatora i szkłem ocznym lunety szkło kolorowe, szkodliwy wpływ mgły bardzo znacznie się zmniejsza, tak iż z pomocą tego dodatku nietylko odpowiednią stacyą, ale i sygnały bardzo wyraźnie obserwowanemi być mogą. Różne kolory w rozmaitym stopniu sprawiają skutek przywie-dziony; kolor czerwony zdaje się być najwłaściwszym. Osoby mocny wzrok posiadające, przekładają szkła koloru ciemno-czerwonego, przeciwnie krótko-widzący wolą szkła koolorowanejasno-czerwono. Przyczyna tego zjawiska zdaje się polegać na tém, że biały kolor mgły zbyt energicznie działa na organ wzroku, szczególniej gdy używane lunety mają obszernie pole; szkło kolorowe wstawione przed lunetą zmniejsza o wiele natężenie światła, wstrzymując znaczną liczbę jego promieni, oko obserwatora mniej jest rażone, a skutkiem tego łatwiej rozróżnia kontury zdala uważanego przedmiotu. (*L'Institut* 783).

* Fizeau dowiódł, że skoro ciało ciągły dźwięk wydające zostanie wprawione w szybki ruch prostoliniyjny, wówczas fale głosowe przestają być symetrycznie ułożonemi względnie do ciała drgającego, jak to ma miejsce gdy ciało dźwięk wydające jest w zupełnym spoczynku. Fale głosowe w tym razie będą więć do siebie zbliżone w téj stronie, ku której odbywa się bieg ciała drgającego, a więć oddalone w przeciwnym kierunku. Ton więc wydany przez ciało drgające i poruszające się szybko, będzie odmienny dla ucha obserwatorów, umieszczonych w kierunku biegu ciała i kierunku przeciwnym. Obserwator w piérwszém miejscu stojący, usłyszy ton wyższy, a z tyłu stojący niższy ton. Podobne zjawisko ma miejsce, gdy ciało dźwięk wydające jest w spoczynku, a obserwator zmienia swe miejsce z pewną szybkością. Obliczając prędkości odpowiednie różnym tonom gammy muzycznej, wypada, że szybkość biegu ciała dźwięk wy-

dającego, powinna być 21,25 metrów na sekundę, jeżeli chcemy podnieść ton o pół tonu; przy szybkości 170, ton wznosi się o oktawę. Wypadki rachunku autor sprawdzał za pomocą aparatu, zbudowanego na podobieństwo koła, zębatego Savarta, z tą różnicą, że nie koło zębate się obraca, lecz ciało dźwięczące szybko bieży, uderzając o zęby osadzone na wewnętrznej stronie łuku koła, stale utwierdzonego. Przy pewnej prędkości obrotu ciała uderzającego, z przodu słyszimy ton fundamentalny, a z tyłu jego oktawę. (*L'Institut* 784).

* Wiadomo, że bizmut kombinowany przez topienie z saletrą, przybiera bardzo świetne kolory: żółty, zielony, czerwony; podobnież znanem jest, że bizmut zwilgocony i wystawiony na działanie powietrza, wkrótce przybiera kolor czerwono-brunatny, a następnie błękitno-fioletowy. Pogendorf przekonał się, że bizmut w daleko krótszym czasie i w massie dowolnej wielkości, doznaje podobnych zmian, skoro jego tafle włożone w ług potażu gryzącego, będą użyte jako dodatnie elektrody strumienia galwanicznego. Autor używając dwóch kubków stosu Grove, roztworu potażu gryzącego w 4 — 6 częściach wody, i tafi platynowych za ujemny elektrod, w kilka chwil tafle bizmutowe umieszczone na dodatnim elektrodzie, pokrywał szeregiem kolorów następujących po sobie w takim porządku, jaki dostrzegamy w pierścieniach Newtona, to jest z żółtego w czerwony, fioletowy, błękitny, zielony. Przerywając strumień elektryczny w stosownej chwili, można na bizmucie utrwalić każdy z tych kolorów; poczem jednak tafla winna być splukaną czystą wodą i wysuszoną w powietrzu. Tafla bizmutu trzymana dłużej aniżeli tego wymaga pojawienie się koloru zielonego, staje się bezkolorową; następnie zaś ukazują się na niej kolory drugiego stopnia daleko słabsze i mniej świetne od pierwszych.

W podobny sposób zakoloryzowane tafle bizmutu, wystawione na światło polaryzowane, ukazują pewne własności optyczne godne uwagi z tego względu, że ściśle są związane

z teorią mało traktowaną, powstawania kolorów przez interferencją na taflach metalowych (*L'Institut* 784).

* Fourault urządził aparat, za pomocą którego światło galwaniczne przez znaczny przeciąg czasu prawie jednostajne posiada natężenie. W budowie tej *lampy elektrycznej* usuniętą została szczęśliwie znana niedogodność, iż do utrzymywania w jednej mocy światła, należy zbliżać końce węgli, między którymi powstaje łuk świetny; a to w ten sposób, że osady utrzymujące końce węgli same mogą się zbliżać ku sobie, w miarę zużycia końców węgli. Motorem tego ruchu jest elektromagnetyzm. Strumień który wywołuje światło między węglami, przechodzi spiralną elektromagnesu, którego siła zmieniać się musi w miarę słabnięcia strumienia elektrycznego. Elektromagnes działa na sztabę z miękkiego żelaza, odciągana w przeciwnym kierunku przez sprężynę. Na tej sztabce żelaznej ruchomej, znajduje się ząb, który zachacza za zęby koła zębate, lub też pozwala tymże kołom poruszać się bez zachaczenia. A ponieważ strumień wzmacnia się lub słabieje jednocześnie z większą lub mniejszą odległością między końcami węgli, łatwo więc pojąć, że same węgle mogą regulować zbliżanie się osad na których są osadzone, i że to zbliżanie ma za granicę wzajemne ich zetknięcie, które wszakże nigdy nastąpić nie może; wówczas bowiem wzrastająca siła magnetyczna elektromagnesu stawia ruchowi osad opór, którego pokonać nie są w stanie. Zbliżanie więc węgli nie odbywa się ruchem ciągłym, lecz przerywanym; jednakże przy dokładnie zbudowanym aparacie, chwile spoczynku i zbliżania następują po sobie tak szybko, że zastępują ruch ciągły.

Na tę myśl urządzenia lampy elektrycznej, natrafili prawie jednocześnie Ed. Staite i Wiliam Petrie (w Londynie). Ten ostatni już w 1843 r. otrzymał patent swobody na aparat galwaniczny, zastosowany do latarni morskich w taki sposób, że według naprzód oznaczonych peryodów, lampa jego może wydawać różne gatunki żądanych ogni.

S. P.

CHEMIA.

Nowy sposób uprawy winorośli, przez p. Persoz profesora wydziału umiejętności w Strazburgu.

P. Persoz od wielu lat trudniący się wyszukiwaniem, w jaki sposób nawozy działają na roślinność, a w szczególności na uprawę winorośli, doszedł, że w nawozach właściwych do tego rodzaju uprawy, znajdują się cząstki wyłącznie służące do wzrostu drzewa, a inne do rozrastania się jagód czyli winogron; a oprócz tego aby otrzymać najpomyślniejszy wypadek, ciała nie odrazu mają skutkować, ale powolnie. Kości sproszkowane, gips, szczątki ciał zwierzęcych w pierwszym mieszczą się tu rzędzie, sole zaś potażowe w drugim.

Ta już jedynie uwaga może mieć znaczenie dla gospodarzy, bo ci bez zmiany w sposobie uprawy do której przywykli, mają tu wskazane, jakiego nawozu użyć im potrzeba, czyto przy zasadzaniu winnicy, czy też później po utworzeniu drzewa, gdy już idzie jedynie o pobudzenie tworzenia się winogron.

Ale nie tu jeszcze ogranicza się p. Persoz. Zaleca on w zupełności cały sposób uprawy wina, a to dla ułatwienia zastosowania nawozów sztucznych i powrócenia pewnej przestrzeni roli zajętej przez winnice, uprawie innego rodzaju roślin.

Postępowanie jego polega na tém, aby rozpiąć winorośli tak, iżby jedna od drugiej na 1 metr, lub 1^m,2 była oddaloną, a wszystkie krzaki złączyć w wspólnym dole na 1 metr szerokim a 0^m,45 głębokim po umieszczeniu w nim gnoju. Każdy krzew ma mieć dla siebie przestrzeń długą na blisko 5 metrów; tym sposobem w całej długości winnicy pokopią się doły, równolegle oddalone pomiędzy sobą na 5 metrów.

Tak przeto uwalniamy się od przerabiania i ustawiania tyczek; a wreszcie można pomiędzy winem w miejscach wolnych uprawiać rośliny pożywne lub pastewne, jak turkę, pszenicę, ziemniaki, marchew lub łąki sztuczne.

Otóż więc można uprawiać winorośl i na gruncie nieurodzajnym i skalistym, bo w takim razie wystarczy wykopać dół i ten napelnić ziemią z poblizkości braną.

Zapewne rada p. Persoz nie jest całkowicie nową, bo można już widzieć gdzieś podobne urządzenie; ale zasada nowa wprowadzona przez niego do tego rodzaju uprawy, a do której największą przywiązuje on wagę, polega na wyborze nawozów i na ich zastosowaniu. Skoro urządzi się winnica w sposób opisany, autor radzi narzucić łodygi zagłębione w dole, głęboko około na 0^{metr}.06 do 0^{metr}.07 ziemią, poprzednio zmieszaną na każdy metr kwadratowy dołu z 3 kilogramami kości tłuczonych, 1½ kil. obrzynków skór (starego np. obuwia), rogów, krwi i t. d., i ½ kil. gipsu.

Jeżeli ziemia jest zbita lub gliniasta, można korzystnie domieszać do niej piasku, marglu, albo pyłu węglowego dla jej spulchnienia, i ułatwienia rozwijania się korzeni. Oprócz tego, wypada w tym celu dodać do tej warstwy nawozu z fosforanem, pewną ilość gnoju krowiego i końskiego.

W końcu jednego lub dwóch lat, skoro drzewo stanowiące wici winne dostatecznie się rozrosło, należy dostarczyć korzeniom soli potażowych, dla rozrastania się jagód. W tym celu na wierzch dołu dodaje się na przestrzeń 0^{metr}.07 do 0,08 wici zagrzebanych, 2 kilogramy na metr kwadratowy powierzchni, mieszaniny złożonej: z 4 kilogramów krzemionkanu potażu, 1 kilogramu fosforanu podwójnego potażu i wapna.

Wtedy dopełnia się dół, a korzenie na długi czas są opatrzone potrzebnym im potażem: aby zaś sól ta nie wyczerpała się, w krajach winorodnych należałoby każdego roku przy korzeniach rozstać pewną ilość wytłoczeń winogronowych. Na cel powyższy mogą także być zużytkowane pozostałości z wylugowanego popiołu (zoły), i niektóre rośliny obfitujące w sole potażowe. Nawiasem dodać tu można, że p. Persoz zaleca używać soli potażowych bardzo rozpuszczalnych, to jest takich, jakie mamy w handlu.

Niniejszy pogląd będzie zapewne wystarczającym dla zrozumienia tego nowego sposobu uprawy. (*Bibl. univ. de G. Ferrer. 1849.*)

J. B...a

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Paryzka Akademia lekarska, w skutek złożonej sobie rozprawy p. Soubeiran o handlu pijawkami, postanowiła prośbę zanieść do ministra handlu, ażeby 1) pod najsurowszą karą zabronioném było sprzedawanie pijawek, które już ssały; 2) ażeby handlarze obowiązani byli każdokrotnie dostarczaną odmianę pijawek w swoich fakturach wymieniać; 3) ażeby połów pijawek w miesiącu ich parzenia się i niesienia jaj był zabroniony, i ten czas dla każdego departamentu przez jego prefekta oznaczony; 4) ażeby pijawki mniej niż 2 a więcej nad 6 gramów ważące, przedawane nie były; 5) lecz tylko wyjątkowym sposobem i za szczególném pozwoleniem prefekta dopuszczona była sprzedaż takich indywiduów dla zaopatrzenia niemi sadzów do rozplenienia; 6) ażeby połów pijawek dla podniesienia ich chowu we Francyi, był w całym kraju na lat 6 zupełnie zakazany; 7) ażeby naostatek każdej zwierzchności nad szpitalami przełożonej, naznaczoną była powinność dopilnowania, iżby pijawki użyte, wpuszczane były do umyślnych sadzów w którychby mnożyć się mogły. (*F. N. no. 136 z Journal des connoiss. méd. chir. 1 mai, 1848*).

* P. Otto Schmidt z Jeny, za powrotem z podróży odbytej na północ do Islandyi i Färoe, wiele uczynionych tam postrzeżeń w przedmiocie systematyki i fizjologii wodnych pierścieniec ogłosić miał zeszłej jesieni, w obszerniej pracy. Tymczasowo przez niego podany artykuł do dziennika *Notizen von Froriep*, donosi o ważniejszych odkryciach, a mianowicie o nowym gatunku morskim z grupy, którą *Rhabdocoela* nazywa, mającym płęć zupełnie rozdzieloną, gdy gatunki wód słodkich z téjże grupy, mają połączoną w jedném indywiduum. Zwierzątko to, zewnętrzną postacią tak podobną do *Vortex capitata* Oerstd., że autor zrazu jedno i drugie brał za to samo, ma jamę żołądkową od tyłu zamkniętą, innym swojej grupy gatunkom wspólną, ale jego kanał pokarmowy ma budowę bardzo zawiłą i można w nim po-

łyk, wole, żołądek, kiszki cienkie, kiszki grube, kischkę odchodową i tyłowy otwór rozróżnić. Ale najważniejszą jest rzeczą rozdział płci na indywidua męzkie i żeńskie, których różnicę szczegółowo autor opisuje. Samice składają jaja, do roślin i kamieni w wodzie je przyklejając. Zpomiedzy tych u których skrzela leżą przy głowie (*Kopfskiemer*), odkrył i on gatunek podobny do *Filograna implexa*, podany w Fau- nie norweskij przez Sarsa, jako zład osobliwy, że się przez poprzeczne dzielenie rozmnaża. To dzielenie się uważał p. Schmidt we wszystkich stadyach na swoim, a oraz upewnił się na nim, że dwie podwójne kropeczki, które na końcu głowy Sars postrzegał, są niewątpliwie oczami tych zwierząt.

Ehrenberg na posiedz. Tow. badaczów natury berlińskie- go, w r. 1836, krótko zcharakteryzował gatunek *Amphico- ra sabella*, niedosc wszakże okazów do badania mając. Później J. Müller i inni kopenhagscy zoologowie, widzieli to samo zwierzę, nie zajmąwszy się jednak starannie anatomią jego. Autor uważa je za zwierzę nowój grupy pierściennic, przy ogonie skrzela noszącój i postrzega, że co uznawane było za głowę, jest raczej ogonem. Postrzeżeniu Ehrenberga, że zwierzę na obudwu końcach ciała ma oczy, nikt nie chciał wierzyć. Tymczasem jestto według autora niezaprzeczone prawda. Więcej on jeszcze docieka: dorosła samica ma na głowie dwoje, a na tylnym końcu ciała czworo oczu; dote- go ostatnia para tych czworga tylnych, przedstawia budowę złożoną, błonę rogową, torebkę krystalicznój soczewki, ga- leczkę nerwową. Mówi autor o samicy, gdyż i u tego ga- tunku płeć jest rozdzielona, a gruczoł uważany za jądra wyrabia materyą przeznaczoną zwierzęciu do wylepiarcia sie- dliska jego. Autor śledził rozwijanie się zwierzęcia bez przer- wy, od wyjścia z jaja aż do okresu w którym skrzela cał- kowicie wyrosły, co wszystko potwierdziło niemylnosc jego postrzeżeń dawniejszych i jego zdania o stanowisku rodzaju w układzie (*F. N. nr. 143*).

* Zwierzęta miękkawe należące go gromady ślimaków (*Ga- steropoda*), nie mają według Pappenheima i Berthelena, za-

dnym w układzie krwionośnym komór czyli jamistości; wszystkie naczynia włoskowe są u nich zamknięte i właściwemi opatrzone ścianami. Ztémwszystkiém pnie arteryalne i wenalne niejednak ową mają budowę; tak nazwane weny płucne są daleko zawikłańszėj organizacyi niżeli arterye. Lecz naczynia ślimaków wcale nie mogą być porównywane z naczyniami zwierząt kręgowych; we włoskowych płynie krew bez kuleczek. Wątrobą ich jest rozgałęzienie wątrobowego przewodu (*ductus hepaticus*) z pęcherzykowatemi końcami (*Fror. Not. nr. 136 z L'Institut, nr. 746, 1848*).

* Quatrefages śledził rozwijanie się z jaj świdraków (*Teredo*); w jaju tych małżów znalazł on wszystkie składowe części jaj innych: żółtek, pęcherzyk Purkiniego i zarodowy znaczek. Rozwijaniu się młodego zwierzątka kilka okresów naznaczyć można. W pierwszym postrzegał autor gromadzenie się kuleczek żółtka wkoło pęcherzyka Purkiniego; wtedy przezroczystość w środku jaja nieco się zmniejsza, lubo naokoło w przeciągu półgodziny, coraz większe rozjaśnienie następuje. Odtąd zarodowy znaczek znika, obudzają się niewyraźne i niemierzytelne poruszenia, które pociągają zniszczenie pęcherzyka Purkiniego. Następuje potem (we 3 godz. po zapł.), jak u piaskiłek (*Sabella*), wystąpienie przezroczystej kuli. Z tém zjawiskiem zaczyna się drugi okres. Zaraz po wystąpieniu rzeczonyj kuli, żółtek rozdziela się na dwie prawie równe połowy; jedna ciągle się dzieli i wkrótce się tak rozpościéra, że całkiem drugą połowę otula. Tak otulona połowa długo odtąd pozostaje w niezmienionym stanie, a lubo w niej nie widać poruszeń, przekształca się jednak w młodą tkankę. Okres ten zdaje się autorowi mieć wiele podobieństwa z tym, który uważał Vogt względem akteona (*Actaeon*).

Z jedenastą godziną zaczyna się trzeci okres: powstaje kilka krotkich, grubych rzęs brzegowych, które zwolna stają się coraz dłuższemi, cieńszemi i liczniejszemi. Młoda gąsienica jest już gotowa; od 25 do 48 godziny rusza się ona żwawo i ohochozo po wodzie; koło tego czasu zmniejszają się rzęsy, a z niemi i szybkości ruchu ubywa. Gąsienica spada naostatek na dno naczynia, i już tylko powoli czołgać się może.

Teraz, z 48 godziną, następuje czwarty okres. Dotychczas skóra żółtkowa nie zmieniła się istotnie, skoro zaś gąsienica zaczęła się poruszać, na jednem miejscu tej powłoki powstała przestrzeń jaśniejsza, która około 48 godziny, rozciągnęła się w kształt sałdy i wnet rozdzieliła skórę żółtkową na dwie równe, na rozległym rozciągnięciu się złączone z sobą części; autor uznał w nich pierwsze początki skorupy świdraka, do-
tąd jeszcze niemierzytelnie jajowatej i całkiem skórkowatej, lecz która niedługo, w skutek ścisnienia się powatających od-
tąd mięśni, nabyła kształtu sercowatego i przyjęła w sie-
bie sole wapienne.

Do tegoż stopnia do jakiego się wykształciła skorupa, roz-
winął się na jednym końcu ciała przyrząd rzęsowy, i odtąd
jako organ poruszenia, zastąpił rzęsy, które przedtém całą gą-
sienicę pokrywały.

Szkoda że autor rozwijanie się tego płodu śledzić mógł tyl-
ko do 130 godziny, bo około tego czasu zawsze mu indywi-
dua niknęły: wszakże jeden świdrak wylęzione w jesieni mło-
de przez całą zimę w jajowodzie (*tube palléal*) zatrzymał.
To podało autorowi sposobność uważania powtórnej prze-
miany kształtu ciała, które naostatek staje się kulistém. Z tą
ostatnią przemianą ukazały się pierwsze początki jajowodu,
otolity i długa noga, na której zwierzę po dnie łązi, gdy
bardzo już teraz rozwinięty przyrząd rzęsowy, służył mu do
szybkiego pływania.

Młody świdrak ulega następnie rozmaitym przemianom, ni-
żeli się dojrzałem stanie zwierzęcia; podobne zmiany kształ-
tu wysledził już autor i drudzy badacze, u szczeżuj (*Anodon-
ta*), innéj grupy małżów. Autor sądzi że wszystkim małżom
przemiany rodzenia się są wspólne.

Gdy autor te postrzeżenia Akademii przedstawiał, jeden
z obecnych, p. Laurent, oświadczył, że i on potwierdzić może
iż świdraki równie jaja niosą jak i żywo rodzą, i że uważał
także ich gąsienice opatrzone długą, do łązenia sposobną no-
gą i narzędziami do pływania; pierwszą uwieszają się u chro-
powatych miejsc desek okrętowych, ażeby się w nie po-
wwiercały. P. Laurent uważał sposób życia tych szkodliwych
zwierząt w Tulonie, Fouras, Lorient, Bréście i Hawrze.

Są one dwupłciowemi i składają płód już jako jaja, już jako wylęzione młode, równie latem jak w jesieni i zimie, na miejscu rozwijaniu się ich sprzyjającym. (*lb. z L'Institut no. 750*).

* Nowy gatunek świdraków (*Teredo*) który Quatrefages opisał, przez całą zimę nosi w kanale skrzelowym gąsienice swojego rodu, podczas jesieni z jaja. wyklute. (Okoliczność ta objaśnia mniemanie, że świdraki równie jaja niesą, jako i żywo rodzą). U dwóch innych tego małża gatunków które Quatrefages badał, nie było w organach rodnych ani jaj, ani nasiennych nitek; zato znajdowały się w fałdach płaszcza i w skrzelach, gąsienice rozmaitego wieku. Widział on jak jeszcze jeden gatunek, który mu się być zdawał właściwym okrętowym świdrakiem (*Teredo navalis*), rzeczywiście niósł jaja, które na dnie wody zostawały, i nigdy się nie wylegały bez poprzedniczego zapłodnienia: zapłodnienie to następowało przez rozlewanie cieczy zapładniającej. Autor, który przez trzy miesiące żywe świdraki chował, kilkokrotnie uważał tak niesienie jaj, jako i ich zewnętrzne zapłodnienie. Świdraki, podług niego, nie są bynajmniej obopłciowemi zwierzętami. Nie znaleziono nigdy jaj i nitki nasiennych, w indywiduum jednym; ale w zwierzętach nieżywych, u których organa rodne częściowemu rozkładowi już uległy, powstaje massa dosyć podobna do tego co jest w jądrach, a która przez mikroskop uważana, składa się z drobnych ciałek, rozłożonych skór i t. d. tych więc drobniejsze cząstki okazują pylinkowe ruchy Browna, lecz wcale nie są nasiennemi nitkami, tylko utworem rozkładu, powstającym tak w komórkach w których się kształcą jaja u samicy, jak i w jądrach samca: nie mogą przeto służyć za dowód obopłciowości. (*Id. nr. 155 z L'Inst. no. 755*).

* Na czerwcowem posiedzeniu Tow. bryt. um. w z. r. nie ze wszystkim zgadzano się z mniemaniami Hancocka co do sposobu jakim niektóre gatunki małżów przewiercają ciała stałe. Owen utrzymywał że skalotecz (*Pholas navalis*), świdruje swoją skorupę. Forbes nie mógł znaleźć tych krzemienistych cząstek u zaskalców (*Saxicava*), których znajdowania się i przeznaczenia nie zaprzecza bynajmniej w rodz

Olavagella; Forbes przeto utrzymuje, że rozmaite małże wierzące, bardzo odmiennych środków do swojego celu używają. Charpenter widział na brzegu płaszczną przewiertek (*Terebratula*) kolczyste wyrosty natury krzemienistej, i sądzi że wszelka twarda substancja może tu służyć do świdrowania. Jeffreys potwierdza postrzeżenia Hancocka; i on widział, jak u wielkiej liczby zwierząt miękkich powierzchni nogi wraz ze swojemi krzemienistemi ziarnkami, ustawicznie się odnawiała. Dillwyn tymczasem przytoczył zdarzenie opisane przez Oslera, jak zaskalec chropowaty (*Saxicava rugosa*) w swojej pracy wiercenia wstrzymany został warstwą gliny, która przez wapienny kamień przechodziła; sądzi przeto, że tego zdarzenia nie można wytłomaczyć inaczej, tylko przyjmując że zwierzę używa cieczy rozpuszczającej. (*Id nr. 177, 1849 z L' Inst. no 776, 1848*).

* Blanchard, o rozmnażaniu się robaków (Entozoa). Robaki znajdują się u wielu zwierząt w stanie zapłodnienia; liczba ich jaj u niektórych gatunków jest niesłychanie wielka, a jednak zdaje się, że one same nie bardzo się mnożą, pomieważ jaja ich i gąsienice (1) z trudnością tylko i wyjątkowo do zupełnego rozwijania się dochodzą. Właśnie z powodu tej okoliczności potrzebna im jest do rozmnożenia się ta niesłychana jaj mnogość; ale czy te jaja rozwijają się na tém samym miejscu na którym zniesione były, czy dopiero pod innymi wpływami, tego dotąd prawie nie uważano jeszcze.

Autor przez długi czas zgłębiał rozwijanie się, organizacją i sposób życia motylicy (*Fasciola hepatica* L.) która już przez to samo na uwagę zasługuje, że ją tak często znajdujemy w używanej na pokarm wątrobie zwierząt przeżuwiających. Motyllice najczęściej się znajdują u owcy, wołu i cielęcia; napełniają one kanaliki żółciowe, leżą także nie-

(1) Powtarzamy tu cośmy już na str. 201 tomu III Bibl. Warsz. z r. z. powiedzieli, że dziś wszędzie się tak nazywa pierwszy stan zwierzęcia wylętego z jaja. jeżeli znacznie w dalszém dojrzewaniu odmienić się musi.

rzadko w miękkim wątroby, gdzie są częstokroć ropowatą masą otoczone. Jeżeli się taka wątroba używa, z nią zjadają się oczywiście i te robaki, których wszakże użycie o ile wiemy, nie pociąga za sobą żadnych złych skutków, prócz wstępu. W ciągu dokładnego, przez trzy lata prowadzonego badania najrozmaitszych wątrób owczych, zawsze w nich autor znajdował, w każdej porze roku tylko dojrzałe a przynajmniej prawie dojrzałe indywidua motyli i przy nich, mianowicie na wiosnę, krocie jaj w kanalikach żółciowych, a nigdy nie znalazł zwierząt młodych: chyba może bardzo mało indywiduów, które się zdawały do innego gatunku należeć. Motylca musi się więc w innym wykształcać miejscu nie w tém, w którym ją dorosłą znajdujemy; wypada tylko okazać jakim sposobem jaja na zewnątrz się dostają. Autor znajdował je niekiedy w żółciowym kanale owcy po całej długości jego rozrzucone i to w stanie zupełniejszego wykształcenia, niżeli te, które są w kanalikach; śledził je potem aż do kiszki, i tam je znalazł w rozmaitych stanach, a w szczególności tak, że bardziej rozwinięte gąsienice leżały zawsze bliżej części tylnej kiszki. Z tego się okazuje, że jaja kanałem żółciowym wchodzi do kiszki i tam się wylęgają; dalej, jak autor wnosi, wypadają z gnojem zwierząt. Różne więc okresy życia motyli przywiązane są do okoliczności całkiem nie tych które otaczają dojrzałe zwierzę, i zapewne młode robaki dopiero w pewnym okresie rozwinięcia dostają się z pokarmami w ciało tych zwierząt, w których je często i licznie znajdujemy.

Lecz co do tego ostatniego punktu, nie ma jeszcze żadnych pewnych postrzeżeń; możnaby tylko nieprzerwanem śledzeniem wszystkich okresów rozwijania się motyli, dojść do niego z zupełną pewnością. Niepodobna więc było autorowi pozapełniać przerwy w jego pracy: czyni on tylko uwagę, że nadewszystko nad Renu brzegami motylca u owiec licznie się znajduje.

Nie sama wszakże motylca, lecz i różne inne robaki znajdują się tylko w dojrzałym stanie w ciele zwierząt: np. *Amphi-*

stena confusa, która tak często w pierwszym żołądku u węża. znajdowaną bywa,

Żabowate płazy żywią się najchętniej robakami, i w płucach ich znajdują się także bardzo licznie rozmaite motylcowate gatunki (*Batrachylaemus variegatus* u żaby jadalnej, *B. cylindricus* u zwyczajnej). Lecz i u tych zwierząt, choć niekiedy w jednych płucach 4 do 5 robaków bywa, nie ma wcale i nigdy indywiduów zupełnie młodych, lubo autor wielką liczbę i w rozmaitych roku porach badał, zdaje się przeto że i te robaki w pewnych okresach życia, zewnątrz zwierzęcego ciała bawią, i dopiero w pewnym rozwinięciu się stopniu dochodzą tam, gdzie je wykształconemi zwierzętami zastajemy.

Wszystkie te robaki są niewątpliwie przemianie podległe, postać ich stanów młodszych jest z pewnością bardzo odmienna od téj, którą dorosłe zwierzęta mają, a może niejedno do wcale innej gromady liczony gatunek zwierzęcia, jest tylko młodym robakiem téj familii; niektóre dochodzenia nowsze, a mianowicie Steenstrupa badania pasorzytów w ślimakach wód słodkich, udowodniły już tę zmianę kształtów.

Nawet i u robaków z innych familij przenoszenie zarodków niemniej jest oczywiście, jednakże rozwijanie się zachodzi tylko w okolicznościach w jakich się zwierzęta dojrzałe znajdują. Szczególnie stosuje się to do gatunków tasiemca z rodz. *Taenia* i *Bothriocephalus* tak u ludzi jako i u zwierząt, których niekiedy całe rodziny w najrozmaitszych rozwinięciu stanach wewnątrz kiszek znajdujemy. Autor uważał tego rodzaju przypadki u psa, lisa, zająca i rozmaitych innych zwierząt, ale zdaje się mu równie pewną rzeczą i to, że jaja tego robaka wychodzą na zewnątrz, i mogą być przez inne indywidua z pokarmem polykane. Dostyc pospolity we Francyi soliter (*Taenia*) człowieka, w pewnych okolicach Afryki zdaje się być endemicznym, a przeciwnie tasiemiec (*Bothriocephalus*) nie znajduje się we Francyi, ale endemicznym jest w Szwajcaryi. Zapewne tam jaja tego robaka z gnojem dostają się na pola, tym sposobem rozpraszają się po jadalnych roślinach i z niemi polykają. Już dawniej Milne-Edwards

objawił to mniemanie, i ono w rzeczy samej nie zdaje się niepodobnym, skoro zważymy jak niesłychaną liczbę jaj może znieść soliter albo tasiemiec, który z kilkuset ogniwek złożony, w każdym ma jajecznik z kilkuset jajami; większa ich wszakże część ginie, a niektóre tylko w małej liczbie na tak przyjazne natrafiają okoliczności, że się rozwinąć mogą.

Jakkolwiek autor po wielu i nader troskliwych badaniach, nigdy ani w ludzkim ani w zwierzęcym płodzie nie znalazł śladu robaka, nie odważa się jednak utrzymywać z pewnością, że tych pasorzytów zarody nie są w pomienionych płodach. Wybiierał nadewszystko takie nowo narodzone zwierzęta, które się chętnie robakami żywią, jakoto: psy, zające, koty, owce, szczury i t. p.

Przyrzeka badania swoje dalej prowadzić i ma nadzieję że dociekłszy rozwijania się i warunków przyjaznych wehódzeniu zarodków, odkryje tém samym środek ich rozszerzanie się ograniczający. (*Id. nr. 138, z L'Institut nr. 744*).

* Van Beneden anatomizując kinała (*Mandrill*), który w zoologicznym ogrodzie w Antwerpii zmarł, znalazł w pęcherzykowatych nabrzmiałościach skóry brzusznej u niego, wiele wrzęchów (*Linguatula, Pentastoma Rud.*) których u żadnego jeszcze afrykańskiego zwierzęcia nie znaleziono i które od wszystkich znajomych gatunków odmiennymi były. Nazwał je od Diesinga, sławnego helmintologa wiedeńskiego, *Linguatula Diesingii*.

Ciało u tego nowego zwierzęcia było białe, walcowate i z obrączek złożone, z obu dwu końców tępe, z tyłu i z przodu jednakowo szerokie; zaokrąglony pyszczyk leżał ze czterema hakami w jednej linii; długość zwierzęcia wynosiła 15 milim. szerokość 2 milim.

W jednym położeniu (*Boa*) znalazł autor wiele okazów innego wrzęcha, *Linguatula proboscidea*, które że jeszcze żywe były, badał je przeto, i następujące wypadki badań otrzymał.

1. U wrzęchów pleć jest rozdzielona, ale pochwa samicy, nasiennymi nitkami wypełniona, uwiodła Owena, że ohoją pleć przyjął. Już Valentin to samo znajdował w organie,

który Diesing za gruczoł do tworzenia powłoki na jajach uznawał. Prącie u samca jest podwójne, dłuższe od ciała, do długości jajowodu wymiarem zastosowane.

2. Wrzęchy nie należą do robaków (*Entozoa*), ale raczej do stawowatych zwierząt, i są bliższymi zawrybek (*Lernaea*). Mniemanie to opiera autor na następujących zasadach:

a) Że zwierzęta z jaj wychodząc, mają dwie pary nóg stawowatych, szponami zakończonych.

b) Że rozporządzenie układu nerwowego, takie jest jak u zawrybek, z różnicą tylko, że u wrzęcha obydwa sznurki, ganglionary łańcuch tworzące, w całej swojej długości nie rozłączają się, gdy u zawrybki rozchodzą się od środka.

c) Że w obudwu grupach samce stosunkowo są mniejsze od samic; jajeczники ostatnich w obudwu grupach mają wielkość równą, wszakże u zawrybki która żyje w wodzie, wiszą na zewnątrz, gdy u wrzęcha który nigdy nie znajduje się w wodzie, zostają wewnątrz ciała.

d) Oprócz nerwowego pierścienia, ganglionu leżącego pod kanałem pokarmowym i dwóch sznurków łańcucha ganglionarnego, wrzęch ma jeszcze rozmaite inne gangliony, które wielki sympatyczny nerw wyobrażają. U nowego gatunku znalezionego w kinału, widział autor cztery całkowicie rozdzielone gangliony, które od spodniej strony pokarmowego kanału na ścianie jego leżały. Blanchard postrzegał także u innego gatunku te gangliony i nerwy, do przyrządu trawienia należące.

e) Nakoniec włókna pierwotnych mięśni są wyraźnie rowkowane, co się nigdy nie wydarza u niższych gatunków zwierząt. (*Id. nr. 137 z Bulletin de l'Acad. royale des sciences etc. de Belgique, no. 3, 1848*).

* Styczniowy i kwietniowy zeszyt dziennika *Edinburgh new philosophical journal*, z r. 1848, obejmuje ułomek tego listu Agassiza do Humboldta, którego treść lubo już podaliśmy w poprz. tom. Bibl. Warsz. str. 428, tu jednak wrócić się musimy do niej, dla objaśnienia lub dopełnienia kilku szczegółów o których nowe źródło dokładniej nas poucza. Z głębokości 140 stóp wydobyl autor nowy gatunek ukwiału (*Acti-*

nia), i nazwał go od imienia kapitana Davis, dowodzącego okrętem, na którym całomiesięczną podróż badawczą wzdłuż brzegów Nantucket odbywał, *Rhodactinia davisii*. Ukwiał ten odznacza się wielkością i małą liczbą czulków, w górnym końcu szeroko się otwierających. Autor postrzegł, że ściągnięty pyszczek u tego zwierzęcia linią prostą tworzy, i że zawsze jeden z czulków, które po pięć ustawione mierzytelny pięciokąt tworzą, zawsze jest przedłużeniem téj linii, i dlatego symetryczność tych polipów za niewątpliwą uważa.

Uważał także rozwijanie się tego ukwiału. Z kupki jaj, które zniósł w oczach jego, wylęgały się młode. Miały one aż do ostatniej szyby, którą się stale miejsca trzymały, kształt pięciokątny i tylko 10 czulków. Budowa młodych zwierząt była w tym czasie bardzo prosta: 10 wertykalnych tabliczek dzieliły jamę ciała; żołądek leżał nad tą jamą i przez pośrednictwo szerokiego ku tyłowi otworu, w związku z nią zostawał. Młody ukwiał podobny był w tym okresie do spianu (*Alcyonium*), miał jednak zamiast ośmiu wertykalnych pasów, dziesięć wertykalnych tabliczek, które do znacznej głębokości w jamę ciała zachodziły, i którym dziesięć czulków odpowiadało. Tabliczki te składają się z włókien mięśniowych, i oneto, równie jak włókna mięśniowe na powierzchni ciała wkoło idące, wykonywają najrozmaitsze kurczenia się ciała. Jajeczniki i jądra, w związku z temi tabliczkami będące, wczesnie się już rozwijają. Nowo powstające czułki są prostemi wyskokami na powierzchni; powstają one zewnątrz już będących czulków i pomiędzy niemi. Ściany nowo powstających czulków rozwijają się potem w kierunku wertykalnym, i tym sposobem dochodzą wewnątrz ciała, tworząc nowe tabliczki. Jama w ciele zwierzęcia była napełniona wodą, która tam wchodziła równie przez pyszczek i żołądek, jak i przez niezliczone mikroskopne dziurki, rozrzucone wertykalnemi rzędami po ścianach ciała i czulków. Tym sposobem wyroby trawienia ustawicznie woda rozcieńcza; że zaś pyszczek, żołądek i końcowe otwory czulków zdolne są według upodobania zamykać się, wyżywia-

jąca załém ciecz może przez dłuższy czas pomiędzy tabliczkami w jamie ciała i rurkach czułkowych krążyć, niżeli na zewnątrz wypędzoną i przystępem nowój wody rozcieńczoną zostanie. U tych przeto zwierząt te same ściany ciała służą do przerabiania pokarmów, do wyłączania cieczy wyżywiającej i do jój przyswajania: funkcyj, do których zwierzęta wyższe potrzebują przyrządu krążenia i oddychania. Nowy ukwiał autora, nietylko niesie jaja, ale i rodzi młode, które się na tenże sposób co i młode z jaj wylęgle rozwijają. Obydwa sposoby rozmnażania się uważał autor wielokrotnie i na dwóch odmiennych gatunkach: sądzi przeto, że wszystkim ukwiałom są wspólne.

Autor odłącza od polpów gąbki, które podług niego nie należą do królestwa zwierząt, jako téż i mszywioly (*Bryozouires*), które tak ze względu na organizacyą jak i rozwijanie się, są niewątpliwie miękkiwymi zwierzętami. Gromada mszywiolów tworzy podług niego zupełnie naturalną grupę, którą lubo na 2 oddziały: hydroidów (stulbiowatych) i aktynoidów (ukwiałowatych) rozkładamy, obydwu jednak okazują największą zgodność.

Hydroidy mają środkową jamę ciała a nad nią żołądek, który się jak u ukwiałów, otworem z nią połączą. Ściany jamy ciała opatrzone są włóknami muskułów i wzdłuż i dookoła, jajeczniki umocowane są pod czułkami; uchodzą one jednak, jak u ukwiałów, w jamę ciała, zaginając się od swoich skupień. Żołądek rozciąga się jeszcze pomiędzy czułkami, a otwiera się od spodu w jamę ciała. Tylko budowa czułków nie ta jest co u ukwiałów; nie są one dęte, lecz stałe i dlatego mniej ruchliwe; podstawa ciała przedłuża się w szypułkę którą zwierzę do dna nieruchomo jest przytwierdzone. W miarę obeznawania się z organizacyą spianów i ukwiałów, różnice pomiędzy niemi coraz bardziej znikają. Budowa żołądka i jajeczników u obojga jest ta sama.

Autor zgadza się na to z p. Milne-Edwards, że mszywioly do miękkiwych zwierząt policzone być powinny. Zastosowaniem rozkładu otworów oddechowych i odchodowych,

do rozporządzenia organów wewnętrznych, nie różnią się one od małżów. (*F. N. no. 151*).

* Gatunek toczka *Volvox globator*, podług p. Laurent rozmnąza się przez ciała powstające wewnątrz tego zwierzęcia, a które najprzód się w niem poruszają, niżeli nakoniec za rozdarciem się zewnętrznej powłoki, na wierzch powychodzą. Ciała te są nagie, koloru zielonego, jak właściwe oczka rzesami osadzone, i już tem różniły się od innych, mniejszego gatunku organów rozmnążania się, które są złożone z przezroczystej, jednorodnej, stałej skorupki i gęstej, ziarnistej, czerwonej massy. Autor te ostatnie ma za właściwe jaja, nie mógł w nich wszakże powstawania młodego zwierzęcia dopatrzeć. Ehrenberg uważa za oddzielny gatunek toczka, w którym te czerwone, jajowate organa widać. Byłoby bardzo pożądaną rzeczą gruntowniej się o tém przekonać. (*F. N. no. 143 z L'Institut no. 754*).

* W dzienniku podróży biskupa anglikańskiego Hebera, do Indyj Wschodnich w r. 1844 odbytej, znajduje się wiele ciekawych podań o zwierzętach tamecznej fauny, tylko szkoda, że te opisy nie odpowiadają częstokroć warunkom naukowej ścisłości. D. 19 sierpnia, płynąc autor po Gangesie, w swojej izdebce na statku znalazł pomiędzy książkami młodego niedźwiadka. „Wiedząc, mówi niżej (str. 138 tomu I), o czarnych tylko niedźwiadkach, zadziwiłem się znalazłszy białego i prawie przezroczystego”. D. 13 września (str. 181 tomu II) ukazał się w jego okrętowej izdebce niezmierniej wielkości niedźwiadek czarny i kosmaty (*black and hairy*), jakich potem służący więcej mu przynosili. Rano 18 września, doniesiono mu że w koszu obejmującym dwie czapki futrzane, które mu w podarunku przyśłał władca Dakki, ukazał się wąż wielki. Okręcił się on wokoło futra czapki, i w tém położeniu nieruchomie spoczywał. Zdaje się, że nie był z rodzaju jadowitych. Trudno domyślić się co nazywa autor *latającą pijawką*. Pijawka latająca (mówi na str. 167, tomu IV), o której pierwszy raz w Indjach się dowiedziałem, jest bardzo pospolita w gęstych zaroślach (*jungles*) tego kraju. Tameczne trzody, wychodząc na pastwiska,

wiele cierpią od tego zwierzęcia, które niekiedy pozbawia bydłę nogi, niekiedy nawet życie mu odejmuje. Widziałem jedną u nogi konia; największa nie przechodzi półtora cala długością. Daje się ona wyciągnąć aż do cienkości nitki, i ma własność skakania przez znaczną odległość. Z tamicznych owadów najciekawszym był dla autora jeden, mający własność nabywania kształtu i koloru liścia, do którego tak jest podobny, iż bardzo blisko przy nim znajdować się potrzeba, ażeby go między liśćmi postrzedz. Najosobliwszym z tego rodzaju (*Mantis*), jest gatunek żyjący na pewnej kolczystej roślinie, której naśladuje gałązkę do stopnia, że go nawet kolce pokrywają. (*Bishop Heber, The Indian journal in the Murray's home colonial library, 1844 (1)*).

A. W.

(1) Udzielenie tego wyciągu winien jestem pani bar. Sass z domu hr. Stackelberg.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

WARSZAWA.

94. Nauka czytania języków polskiego i niemieckiego podług najnowszej metody ułożona. 12ka. Warszawa. 1848. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. 102. Złp. 1 gr. 10.

CZĘSTOCHOWA.

95. Nauka początkowego czytania dla małych dzieci. 12ka. Jasna Góra Częstochowska. 1848. Str. 30.

L W Ó W.

96. Kurs praktyczny języka francuzkiego bez uczenia się reguł na pamięć. Z niemieckiego D. F. Ahna, podług trzydziestego piątego wydania. Część pierwsza. 8ka. Lwów. 1848. Nakład V. Stockmanna, druk M. Poremby. Str. VIII i 129. Złp. 3 gr. 15.

L I P S K.

97. Spis najcenniejszych prawideł Arytmetyki z objaśnieniami przez przykłady. Ułożył S. Krawczykiewicz, były uczeń warszawskiej szkoły wojskowej aplikacyjnej, i oficer artylerji wojsk królewsko-polskich. 8ka. Lwów. 1848. Nakładem P. Stockmanna, druk Breitkopfa i Härtela w Lipsku. Kart 4 i str. 48. Złp. 2 gr. 15.

POZNAŃ.

98. Promemoria w sprawie nadwziężenia praw kościoła katolickiego w Wielkiem Księztwie Poznańskim od czasu Królewsko-Pruskiego zaboru. 8ka. Poznań. 1848. Nakładem i czcionkami N. Kamińskiego i Spółki. Str. 33.

WILNO.

99. Nauka czytania pisma Polskiego dla małych dzieci, z różnym nabożeństwem i katechizmem katolickim krótko zebrana, niegdys kilkakrotnie drukowana, i znowu przedrukowana. 8ka. Wilno. 1848. Nakład Rubena Rafałowicza, druk M. Zymelowicza. Str. 28. Gr. 6.

100. *Der Israelit als Unterthan. Eine Rede ausgesprochen in der neuen Synagoge zu Wilna am Sonnabend den 24 April 1848..... vom Censor und Ehrenbürger W. Tugendhold. Wilno. 8va. 1848. Gedruckt bei R. M. Romm. Str. 32.*

101. Epigrammata J. Legatowicza. Wilno. 12ka. 1848. Druk Marcinowskiego. Str. 48.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

W. A. Maciejowski wykończył obecnie obszerną rozprawę „O Lechach”, i mapę objaśniającą sam skreślił. W niej między innymi wykazał pierwsze Gniezno, siedzibę Lechów, i zamek Bolesława Chrobrego, gdzie ten władca przemieszkiwał. Obszerne to badanie, wiele nowych spostrzeżeń i szczegółów nieznanych obejmujące, będzie w oddzielnym tomie wydane r. b.

Nakładem księgarza Henryka Natansona, wychodzić będzie wkrótce: „Galerya Drezdeńska: zbiór rycin na stali z najcenniejszych obrazów tej Galeryi”. Format wielkiej ćwiartki w 63 zeszytach po dwie rycin z textem. Cena zeszytu 50 groszy. Text ma zawierać pół arkusza lub więcej druku. Zeszyty mają wychodzić regularnie co dni dziesięć, całe zaś dzieło obejmować będzie około 126 rycin na stali, stosownie do ogłoszonego prospektu, który wyszedł już z drukarni Stanisława Strąbskiego, gdzie i pomienione dzieło ma być wylaczane. O ile nam wiadomo, wydanie to nader ozdobne, stosować się będzie do ostatniego niemieckiego dzieła, pod tytułem: „Der Kunstverein; neue Serie Stahlstich-Sammlung der vorzüglichsten Gemälde der Dresdener Galerie, nebst Text von A. Görling” wydawanego przez A. W. Payne w Lipsku w roku b. zład ryciny cenniejsze przeniesione zostaną, z dodaniem polskich napisów. Text wszelako niezawsze podług oryginału niemieckiego będzie zachowany, lecz z najcenniejszych dzieł wybierany; nadto ma być dodana obszerna rozprawa, obejmująca rys historyczny malarstwa, zastosowana do arcydzieł tejże galeryi, nad którą pracuje pan Paweł Bolesław Podczaszyński, nauczyciel w tutejszej szkole sztuk pięknych.

P. Kazimierz Bandtkie Stężyński, ogłosił przedpłatę na: *Historią prawa polskiego*, napisaną i wykładaną przed rokiem 1830, w b. warszawskim Alexandryjskim uniwersytecie, przez Jana Wincentego Bandtkie Stężyńskiego, radcę stanu, członka Komisji Rządowej Sprawiedliwości, b. dziekana wydziałów prawa i administracji w rzeczonym uniwersytecie, członka b. Najwyższej Komisji Examinacyjnej i wielu towarzystw uczonych, dr. ob pra. i t d.

Dzieło to pogrobowe, po tym napisem wyjdzie w ciągu roku bieżącego, podzielone na cztery główne okresy, obejmujące: czasy starożytne przed przyjęciem religii chrześcijańskiej; od jej przyjęcia do Ludwika króla; od Ludwika do Zygmunta Augusta i od Henryka Waleczusza do Stanisława Augusta włącznie. Zawierać będzie: opis Scytyi, Słowiańszczyzny, Polski, opis rządów, stanu

kraju, jego rozległości, oświaty, obyczajów, ubioru, różnolitości mieszkańców i różności stanów, składu rządu, dochodów i skarbu, wojskowości, sądownictwa, praw i pisarzy prawa. Dzieło rzezone jest owocem kilkudziesięcioletniej pracy, a wykazane w niem prawdy historyczne, wsparte na 2650 cytacjach, są rękojmią jego erudycji.

Druk obejmować będzie przeszło 40 arkuszy. Przedpłata przyjmuje się we wszystkich księgarniach w Warszawie i u podpisanego wydawcy przy ulicy Granicznej pod nr. 1077 lit. d. (w domu p. Landsteina), oraz na wszystkich urzędach i stacyach pocztowych Królestwa, po rub. sr. 3, czyli złp. 20 za egzemplarz; po wydrukowaniu zaś dzieła, cena takowego podniesioną zostanie do rub. sr. 4, czyli złp. 26 gr. 20. Osoby płacące z góry za 10 egzemplarzy, otrzymają jedenasty bezpłatnie.

Towarzystwo Naukowe z uniwersytem Jagiellońskim połączone, w myśl urządzenia swego z dnia 20 października 1848 roku zamierzyło wydawać dzieła naukowe, następujących treści:

1) *Rocznik* w 4ch zeszytach kwartalnych, obejmujący prace Towarzystwa na posiedzeniach czytane lub przez członków w tym celu nadestane; tudzież roczny pogląd na czynności Towarzystwa we wszystkich działaniach jego zakresach i zdanie sprawy ze stanu wydziałów uniwersyteckich.

2) *Zabytki historyczne* z dziejów, oświaty i sztuk pięknych w Polsce.

3) *Bibliotekę naukową*, przeznaczoną do wykładu w uniwersytecie, ogarnąć mającą z czasem ogół naukowych przedmiotów podzieloną według tychże przedmiotów, na stosowną ilość oddziałów.

4) *Książki elementarne* dla szkół pośrednich.

5) *Książeczki dla ludu*, obejmujące wykład nauk, uzupełniający wiadomości nabyte w szkołach początkowych, zastosowane do pojęcia ludu, a odpowiednie jego umysłowym i materialnym potrzebom, mianowicie:

a) Wykład nauki wiary rzymsko-katolickiej.
 b) Powieści biblijne starego i nowego testamentu.
 c) Powieści moralno-religijne, brane z życia ludzi znakomitych, a szczególnie rodaków.

d) Nauka liczenia, z wiadomością o pieniądzach, miarach i wagach.

e) Wiadomości z historyi naturalnej, o zwierzętach, roślinach i rzeczach kopalnych, szkodliwych i pożytecznych.

f) Wiadomości z fizyki: o zjawiskach napowietrznych, ciepłe i t. d.

g) Wiadomości o kuli ziemskiej pod względem geografii śrycznej z wykładem o kalendarzu.

h) Rys geografii politycznej.

i) Nauka o zachowaniu zdrowia i ratowaniu w nagłych wypadkach.

k) Historia powszechna.

m) Poradnik prawny. z ogólnym wykładem prawa cywilnego i karnego.

n) Nauka o człowieku, pod względem jego praw i powinności.

o) Ogólny wykład dobrego gospodarstwa krajowego.

p) Wykład zasad rolnictwa, ze stosownym wstępem z chemii.

r) O przemyśle ludzkim, czyli wiadomości o rękodzielnictwach i fabrykach, a w szczególności w kraju polskim.

s) Początki budownictwa wiejskiego, ze wstępem z miernictwa, przyczem o biciu rowów i robieniu dróg.

t) O chowie bydła, z nauką o leczeniu chorób zwierząt domowych.

u) O ogrodnictwie i jego użytkach.

y) Wyjaśnienie przesądów we względzie lekarskim między ludem powszechnym.

Gdyby kto z miłośników oświaty, bądź miał wygotowaną, bądź wygotować zamierzał, czyto książkę elementarną, czy jedną z książeczek tutaj wymienioną lub niewymienioną, lecz przydać się mogącą, i życzył sobie wcielić takową do zakresu dzieł przez Towarzystwo wydawanych; raczy zgłosić się w tej mierze do sekretarza Towarzystwa w celu porozumienia się; czy zamierzony przedmiot nie jest już wypracowany przez jednego z członków Towarzystwa; czy sposób wypracowania zgodny jest z planem przez Towarzystwo przyjętym; tudzież dla powzięcia wiadomości, pod jakimi warunkami zamierzałby pracę swoją Towarzystwu odstąpić.

J. Kremer sekr. Tow. Nauk. krak.

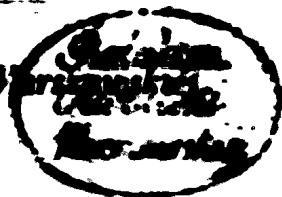
Wydano dotąd: 1) Rocznika Tow. Nauk. zeszyt 1. Cena złp. 3 gr. 10.

2) Zjawiska napowietrzne jako 1sza część wykładu nauk dla ludu. Cena gr. 18.

Zostaje w druku: 1) Księga promocyi i zbiór ustaw wydziału filozoficznego od początku uniwersytetu krakowskiego aż do ostatnich czasów.

2) Opisanie roślin skrytoptyciowych, jako 1sza część botaniki szczególnej (?).

Redakcja Biblioteki Warszawskiej



Kwiecień 1849.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Astronomiczném Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25",5 na wschód

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s.7
względem południka paryzkiego.

| Dnia | Odmiany Księżyca. | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR stustopniowy | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dziennej | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|------|-------------------|--|-----------|-------------|-------------|---------------------------|-----------|-------------|-------------|---|--------------|-------------|--------------|--------------|-----------------|---------|---------|---------|--|-------------|
| | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | dé- szczy | śnie- gu |
| | | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | | godz. rano | godz. rano | godz. wiecz. | godz. wiecz. | god. r. | god. r. | god. w. | god. w. | | |
| 1 | | 751.92 | 753.03 | 752.40 | 752.59 | + 2.3 | + 3.4 | + 5.2 | + 4.1 | 86.7 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 2 | | 751.77 | 752.07 | 750.56 | 751.36 | + 3.3 | + 4.0 | + 6.4 | + 3.7 | 79.5 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 3 | | 750.72 | 751.50 | 750.79 | 752.08 | + 3.3 | + 4.3 | + 9.0 | + 2.1 | 65.0 | pochmurny | pochmurny | pogodny | pogodny | PdW. | PdW. | Pd. | PdW. | | |
| 4 | | 752.42 | 752.58 | 751.93 | 752.52 | + 0.4 | + 3.2 | + 6.0 | - 0.6 | 70.7 | pochmurny | pr. pogodny | smugi | pogodny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 5 | | 751.38 | 751.79 | 750.71 | 751.29 | - 0.7 | + 1.9 | + 1.7 | - 1.2 | 83.0 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 6 | | 750.55 | 750.06 | 752.80 | 763.13 | - 1.5 | + 2.1 | + 1.4 | + 1.2 | 76.7 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 7 | ☉ | 751.97 | 752.22 | 750.71 | 751.34 | - 0.3 | + 1.6 | + 4.4 | + 1.8 | 70.0 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 8 | | 749.84 | 749.7 | 748.44 | 749.33 | - 1.5 | + 4.1 | + 7.1 | + 0.1 | 72.2 | pogodny | napót pog. | napót pog. | pogodny | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 9 | | 747.98 | 748.13 | 746.59 | 747.37 | - 0.5 | + 4.1 | + 7.7 | + 2.2 | 73.0 | pogodny | napót pog. | napót pog. | napót pog. | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 10 | | 745.56 | 745.45 | 742.65 | 741.89 | + 1.3 | + 2.2 | + 7.1 | + 3.1 | 82.2 | pochmurny | śnieg drob. | pochmurny | dészcz | PdW. | PdW. | PdW. | PdW. | 0.5 | 1.5 |
| 11 | | 738.18 | 738.17 | 737.47 | 738.04 | + 2.7 | + 6.7 | + 13.3 | + 5.6 | 88.8 | dészcz drob. | pochmurny | napót pog. | napót pog. | PdW. | PdW. | Pd. | Pd. | 6.0 | |
| 12 | | 737.90 | 738.0 | 739.95 | 742.09 | + 5.3 | + 11.2 | + 9.1 | + 5.1 | 81.0 | mгла | dészcz | pochmurny | pochmurny | Pd. | Z. | Z. | Z. | 1.0 | |
| 13 | | 743.86 | 745.90 | 746.62 | 747.43 | + 2.7 | + 4.9 | + 7.4 | + 2.9 | 78.7 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | napót pog. | Z. | Z. | PnZ. | Pd. | | |
| 14 | | 746.41 | 745.64 | 741.28 | 737.84 | + 4.3 | + 10.0 | + 13.0 | + 10.4 | 72.7 | pochmurny | lek. zamgl. | pochmurny | pochmurny | PdW. | PdW. | W. | W. | 2.0 | |
| 15 | ☾ | 730.96 | 730.10 | 730.32 | 733.13 | + 9.6 | + 14.8 | + 9.8 | + 6.1 | 77.2 | napót pog. | pochmurny | dészcz | dészcz drob. | PdW. | PdW. | PdZ. | PdZ. | 6.3 | |
| 16 | | 736.27 | 738.70 | 739.82 | 741.62 | + 4.0 | + 6.5 | + 4.0 | + 2.3 | 80.7 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | dészcz drob. | Z. | Z. | Z. | — | 0.5 | |
| 17 | | 747.90 | 742.82 | 742.10 | 742.49 | + 1.8 | + 3.8 | + 7.0 | + 1.6 | 71.0 | pochmurny | pochmurny | napót pog. | lek. zachm. | Z. | Z. | PdZ. | PdZ. | | |
| 18 | | 741.96 | 741.98 | 742.52 | 744.76 | + 1.8 | + 9.7 | + 7.5 | + 1.8 | 72.0 | pochmurny | napót pog. | napót pog. | pochmurny | PdW. | PdW. | Z. | Pd. | 2.0 | |
| 19 | | 744.38 | 744.83 | 743.81 | 744.45 | 0.0 | + 0.6 | + 0.1 | - 0.8 | 98.7 | śnieg gęsty | śnieg | śnieg gęsty | pochmurny | PnW. | PnW. | Pn. | PnZ. | | 6.4 |
| 20 | | 745.79 | 747.33 | 744.85 | 742.77 | - 5.0 | + 1.1 | + 5.7 | + 5.0 | 81.7 | pogodny | pr. pogod. | pochmurny | pochmurny | Pd. | PdW. | PdW. | W. | | |
| 21 | | 739.67 | 738.98 | 737.67 | 739.84 | + 3.7 | + 5.6 | + 7.7 | + 4.3 | 95.0 | dészcz | pochmurny | dészcz drob. | pogodny | PnW. | W. | W. | — | 9.3 | |
| 22 | | 740.37 | 741.21 | 739.76 | 737.66 | + 2.2 | + 10.0 | + 13.2 | + 6.8 | 75.7 | pogodny | pr. pochm. | napót pog. | napót pog. | PdW. | PdW. | PnZ. | Z. | 1.5 | |
| 23 | | 738.39 | 741.21 | 743.01 | 744.23 | + 2.3 | + 4.5 | + 8.6 | + 3.7 | 79.2 | pochmurny | pochmurny | napót pog. | dészcz drob. | Z. | Z. | Z. | PdZ. | 3.2 | |
| 24 | | 744.30 | 745.49 | 745.10 | 747.00 | + 2.9 | + 9.3 | + 12.9 | + 6.8 | 80.2 | pogodny | chmurki | pochmurny | napót pog. | Pd. | PdZ. | Z. | PdZ. | 2.2 | |
| 25 | | 747.00 | 748.39 | 748.15 | 749.65 | + 5.8 | + 12.4 | + 17.2 | + 9.3 | 67.7 | napót pog. | pr. pogodny | pr. pogodny | pr. pogodny | Pd. | PdW. | PnW. | W. | | |
| 26 | | 750.48 | 750.80 | 749.82 | 750.52 | + 6.9 | + 16.4 | + 16.9 | + 11.5 | 57.5 | napót pog. | chm. miejs. | pr. pogodny | pogodny | Pn. | Pd. | Pn. | — | | |
| 27 | | 750.22 | 750.87 | 748.83 | 749.42 | + 7.7 | + 15.5 | + 19.6 | + 11.5 | 56.2 | pogodny | pogodny | pogodny | pogodny | PnZ. | — | PnW. | — | | |
| 28 | | 748.78 | 748.41 | 747.62 | 747.68 | + 8.3 | + 14.3 | + 15.2 | + 11.3 | 53.2 | pogodny | pogodny | pochmurny | pochmurny | Pn. | PnW. | PnW. | PnW. | | |
| 29 | | 748.78 | 749.76 | 750.17 | 751.05 | + 9.7 | + 12.2 | + 13.7 | + 9.0 | 76.2 | pochmurny | pochmurny | napót pog. | pochmurny | Pn. | Pn. | Pn. | Pn. | | |
| 30 | ☾ | 751.18 | 751.45 | 750.35 | 751.43 | + 8.9 | + 10.9 | + 17.9 | + 13.4 | 81.0 | pochmurny | dészcz | lek. zamgl. | lek. zamgl. | Pn. | PnW. | PnW. | PnW. | 1.0 | |
| Śre. | | 745.696 | 746.275 | 745.567 | 746.158 | + 3.07 | + 7.04 | + 9.19 | + 4.81 | 76.1 | | | | | | | | | 35.5 | 7.9 |

| | mm. | c. | l. |
|---|---------|----|-----------|
| Średnia wysokość barometru miesięczna | 745.023 | 27 | 6.055 |
| Najwyżej dochodził — d. 1 o g. 10 r. | 753.03 | 27 | 9.815 |
| Najniżej — — d. 15 o g. 10 r. | 730.01 | 26 | 11.650 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 2.91 | | 1.29 |
| Największa zmiana dzienna barometru d. 14—15 o g. 10 r. | 15.54 | | 6.89 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających | 2.534 | | 1.132 |
| Średnia temperatura Kwietnia wynosi: i ta jest niższą o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających | + 60.02 | C. | — 4.82 R. |
| | 1.61 | „ | 1.28 „ |
| Najwyższa temperatura d. 27 o g. 4 w. | + 7.63 | „ | + 6.10 „ |
| Najniższa d. 20 o g. 6 r. | + 19.6 | „ | + 15.7 „ |
| (Termometrograf wskazał Maximum: + 17.° R. d. 26. Minimum: — 4.° R. d. 20.) | — 5.0 | „ | — 4.0 „ |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.61 | „ | 2.09 „ |
| Największa zmiana dzień. d. 18—19 o g. 10 r. | 9.1 | „ | 7.3 „ |

Średnia wilgotność miesięczna wynosi: 76.1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 5.87 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z deszczu spadło wysoko na 35.6 millim. czyli 15.74 linii paryz.; z śniegu 7.9 milim. czyli 3.50 linii paryz.; razem wody z deszczu i śniegu 43.4 millim. albo 19,24 linii paryz., to jest o 3 linii paryz. więcej jak zwykle.

- Dni pogodnych było 3; napółpogodnych 13; pochmurnych 14:
- deszczu 12 (d. 10, 11, 12, 14, 15, 16, 18, 21, 22, 23 24 30).
 - śniegu 2 (d. 10, 19).
 - gradu i krup 3 (d. 10 18, 22).
 - błyskawic 1 (d. 11).
 - mgły 1 (d. 12).

Kwiecień r. b. był zimny, wilgotny i mniej pogodny jak zwykle; wyjąwszy ostatnie pięć dni, cały prawie miesiąc był chłodny; niektórych dni jak d. 5, 6, 7, 8, 9, 19, 20 poranki były mroźne. Średnia temperatura miesięczna jest o 1.28 stopni R. niższa od normalnej. Najcieplejsze dni były: d. 26, 27, 28, 30. Najzimniejsze: d. 5, 6, 19, 20. Z przyszyny zimna, roślinność znacznie spóźniona była; w końcu miesiąca jeszcze się drzewa nie rozwijały. D. 19 śnieg spadł znaczny, przeszło na 6 cali wysoko. D. 15 deszcz padał prawie przez dzień cały.

Wiatr panujący był: Południowo Wschodni.

Wichrów i wiatrów silnych było 7, to jest Z=2; PdZ=1; PdW=4.

D. 18 grad padał znacznej wielkości.

D. 24 o godz. 7 w wieczór, tęcza świetna w stronie wschodniej.

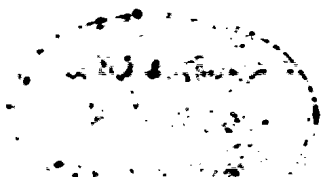
D. 4 i 27 plamy na słońcu były widzialne.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Kwiecień 1849.



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :

Digital-Center

Ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82